

# Bellow Saul

## PRZYPADKI AUGIEGO MARCHA

### Rozdział I

Jestem Amerykaninem, z Chicago rodem — Chicago, tego ponurego miasta — i podchodzę do spraw tak, jak sam nauczyłem się podchodzić, swobodnie, z rozmachem, więc będę prowadził te zapiski na swój własny sposób: co pierwsze zakolące, pierwsze zostanie wpuszczone. Czasem będzie to niewinne kołatanie, czasem nie tak znów niewinne. Ale/charakter człowieka jest jego losem, powiada Herakliyi w końcu nie da się zakamuflować natury tych kołatań wymyślnym bębnieniem w drzwi lub przyobleczeniu knykci w rękawiczki.

Każdy wie, że} w zatajeniu nie ma ani piękna, ani dokładności, jeśli bowiem stłumić jedną rzecz, tłumi się również przylegają

Moi rodzice mewiele dla mnie znaczyli, chociaż kochałem matkę. Była to kobieta prostoduszna i to, co mi przekazała, nie stanowiło jej przemyśleń, lecz należało do rzędu naocznych przykładów. Nie miała wiele do nauczania, biedaczka. Kochaliśmy ją z braćmi bardzo. Mówię za nich obu — starszy na pewno by to potwierdził, ale za młodszego, Georgie, muszę ręczyć sam (urodził się idiotą), choć łatwo odgadnąć, jakie uczucia żywił dla niej, bo miał taką piosenkę, którą wyśpiewywał, gdy biegał sztywnym truchtem idioty wzdłuż drucianej siatki na podwórku:

„Georgie, Augie, Simey, Winnie Każdy, każdy kocha mamę.”

Miał rację co do wszystkich z wyjątkiem Winnie, opasłej, dychawicznej, starej pudlicy babci Lausch. Mama była sługą Winnie, tak samo jak babci Lausch. Ta zasapana i popierdująca suka leżała koło stołka starszej pani, na poduszce z wyhaftowanym Berberem mierzącym z karabinu w lwa. Była prywatną własnością babci, stanowiła jej świętę; wszyscy pozostali byli poddani starszej pani, szczególnie mama. Mama podawała psią miskę babci i Winnie otrzymywała jadło z rąk starszej pani u stóp starszej pani. Te ręce i stopy były małe; babcia nosiła na nogach coś w rodzaju skurczonych pończoch fildekosowych i szare bambosze z różowymi wstążeczkami — och, szarość tych bamboszy, ileż w niej było despotyzmu! Mama zaś miała duże stopy i chodziła po domu w męskich kamaszach, zwykle bez sznurówek, i w czepku czy też czepcu — jakby czymś fantastycznym bawełnianym urojeniu kształtu mózgu. Była potulna i wysoka, krąglooka jak Georgie — łagodne, krągłe, zielone oczy, łagodna świeżość cery długiej twarzy. Dłonie miała poczerwieniałe od pracy i bardzo niewiele zębów — aby wymienić ciosy, jakie na nią spadły — i tak jak Simon nosiła postrzępione swetry. Krągłość jej oczu podkreślały okrągłe okulary, po które chodziłem z nią do bezpłatnej lecznicy przy Harrison Street. Wyuczony przez babcię Lausch szedłem kłamać. Teraz wiem, że wcale nie tak bardzo musiałem to robić, ale wówczas wszyscy uważali, że trzeba, a zwłaszcza babcia Lausch, która była jednym z Machiavellich małych uliczek i zaułków, tych tak licznych Machiavellich moich młodych lat. Więc babcia, która miała wszystko zaplanowane przed naszym wyjściem z domu, bo pewnie spędzała całe godziny na wymyślaniu i ujmowaniu w słowa tego kłamstwa, kiedy leżała drobna pod pierzyną w swoim zimnym małym pokoiku, wykladała mi je przy śniadaniu. Chodziło o to, że mama była dość bystra, by kłamać jak należy. Nie przyszło nam na myśl, że nie wszyscy muszą być bystrzy; to była walka. W bezpłatnej lecznicy mogli chcieć wiedzieć, czemu opieka społeczna nie zapłaciła za okulary. Więc nie wolno mówić o opiece, a tylko że pieniądze od taty czasem przychodzą, czasem nie i że mama ma lokatorów. Było to w pewien kapryśny 8 i delikatny sposób, przez zignorowanie i pominięcie dość znacznych faktów, nawet zgodne z prawdą. Dostatecznie zgodne z prawdą dla nich, i mając dziewięć lat potrafiłem doskonale to docenić. Lepiej niż mój brat Simon, który był za tępy do tego rodzaju forteli i zdołał już przyswoić sobie z książek pewne pojęcia angielskiego ucznia o honorze. Przez długie lata sytuacja nie pozwalała nam poddać się wpływowi lektury Szkolnych czasów Toma Browna.

Simon był blondynem o dużych kościach policzkowych i szeroko rozstawionych szarych oczach oraz o ramionach krykicisty — opieram się na ilustracjach, my grywaliśmy jedynie w palanta. Z cechującym go stylem brytyjskim kontrastował jego patriotyczny gniew na Jerzego III. Ówczesny burmistrz kazał inspektoratowi postarać się o podręczniki do historii, które surowiej traktowały tego króla, i Simon był bardzo zawzięty na Cornwallisa. Podziwiałem jego patriotyczny zapał, jego straszliwy osobisty gniew na generała i satysfakcję z poddania się generała pod York town, które to uczucia opanowywały go najczęściej podczas lunchu, gdy pałaszowaliśmy kanapki z kiełbasą. Babcia w południe zjadała ćwiartkę gotowanego kurczęcia i czasem małemu, ostrzyżonemu na jeża Georgie'emu trafiał się żołądek, który Georgie uwielbiał, i dmuchał na tę prądkowaną podróbkę raczej z lubości niż potrzeby jej schłodzenia. Ale i szczerza wojownicza duma Simona dyskwalifikowała go w obliczu chytrego zadania, jakie należało wykonać w bezpłatnej lecznicy — zbyt wzdorczy, by kłamać, mógł wszystko wydać. Na mnie w podobnych sprawach można było śmiało liczyć, bo bardzo je lubiłem. Uwielbiałem takie działania strategiczne. Ja też potrafiłem się entuzjasmować — podzielałem

entuzjazm Simona, chociaż osoba Cornwallisa nigdy nie miała dla mnie większego znaczenia, i podzielałem entuzjazm babci Lausch. Co do prawdziwości tych zeznań, które kazano mi składać... hm, to fakt, że mieliśmy lokatora. Była nim właśnie babcia Lausch, z którą nas nie łączyły więzy rodzinne. Utrzymywało ją dwóch synów, jeden z Cincinnati, a drugi z Racine, w stanie Wisconsin. Synowie nie kwapiły się, aby ją wziąć do siebie, toteż ona, wdowa po

wielkim kupcu odeskim, który był naszym bóstwem — łysy, z bokobrodami i mięsistym nosem, wbity w pancerz zakietu i dwurzędowej kamizelki z mnóstwem guzików (błękitna fotografia pana Lauscha, którą powiększył i wyretuszował pan Lulov, wisiała wsunięta między dwie portykowe kolumny ogromnego lustra w saloniku i jego tułów kończył się akurat w miejscu, gdzie zaczynała się kopała pieca) — wołała mieszkać u nas, bo nawykła do kierowania domem, rozkazywania, rządzenia, rozporządzania, knowania i intrygowania we wszystkich znanych sobie językach. Chlubiała się znajomością niemieckiego i francuskiego, poza polskim, rosyjskim i jidysz, a któż jeśli nie pan Lulov, renomowany retuszer z Division Street, mógł sprawdzić jej znajomość francuskiego? Z niego też był kawał wesołego łgarza, z tego szarmanckiego amatora herbaty, obdarzonego potrójnym kregosłupem. Pracował jednak kiedyś jako doróżkarz w Paryżu i jeśli nie kłamał, może naprawdę umiał mówić po francusku, tak jak umiał wygrywać ołówkiem na zębach melodyjki lub podśpiewywać przy akompaniamencie garści monet, które grzechotały, gdy pstrykał kciukiem o blat stołu, i grać w szachy.

Babcia Lausch grała jak Timur, czy to w szachy, czy klabyascha, z kocim parsaniem i ostrymi błyskami złota w oczach. W klabyascha grywała z panem Kreindlem, który ją tej gry nauczył. Ten potężny mężczyzna z rękami jak kloce i ogromnym brzuchem trzaskał tymi swoimi twardymi dłońmi w stół ciskając karty i krzychał: „Shtoch! Yasch! Menel! Klabyasch!” A babcia popatrywała na niego sardonicznie. Często po jego wyjściu mawiała: — Jeżeli masz Węgra za przyjaciela, nie musisz już mieć wroga. — Ale pan Kreindl nie miał w sobie nic z wroga. Jedynie chwilami wydawał się groźny z powodu swoich sierżanckich pokrzykiwań. Odbывał służbę w dawnej armii i miał w sobie coś z żołnierza: nadwężoną od pchania kół armatnich szyję, czerwienią twarzy starego wiarusa, potężne szczęki i zęby ze złotymi koronkami, zielone świdrowate oczy i krótko ostrzyżone miękkie włosy, całość isticie napoleońska. Chodząc odstawał stopy w bok zgodnie z ideałem Fryderyka Wielkiego, ale brakowało mu stopy do wymaganego na 10 gwardzistę wzrostu. Miał władczy wyraz twarzy człowieka niezależnego. Wraz z żonakobietą cichą i skromną wobec sąsiadów, kłótliwą zaś w domu — i synem, studentem stomatologii, mieszkał w tym, co się nazywało angielską suteroną od frontu. Ów syn, Kotzie, pracował wieczorami w narożnej aptece, a uczył się w pobliskim Szpitalu Powiatowym, i to właśnie on powiedział babci o tej bezpłatnej lecznicy. A raczej staruszka sama posłała po niego, aby się wywiedzieć, co można wydusić z tych stanowych i powiatowych ośrodków. Zawsze posyłała po ludzi, rzeźnika, właściciela sklepu spożywczego, sprzedawcę owoców, i przyjmowała ich w kuchni, aby wyjaśnić, że Marchom należy się rabat. Mama zwykle musiała wówczas stać przy niej. Staruszka mówiła: — Sam widzisz, jak jest... co tu jeszcze mówić? W domu nie ma mężczyzny, a dzieci trzeba wychować. — Był to najczęstszy jej argument. Gdy przychodził Lubin, pracownik opieki społecznej, i rozsiadał się wygodnie w kuchni, bezceremonialny, łysy, za okularami w złotej oprawce, z wyrazem cierpliwości w twarzy, rzuciła mu pytanie: — Jak się ma wychowywać te dzieci? — A on słuchał usiłując nadal siedzieć wygodnie, lecz stopniowo upodabniając się coraz bardziej do człowieka zdecydowanego nie wypuścić konika polnego z ręki. — Cóż, moja droga, pani March mogłaby przecież podnieść pani komorne — mówił. Ona zaś odpowiadała mu na to zapewne — często bowiem odprawiała nas wszystkich z kuchni, aby pozostać z nim sam na sam: — Wie pan, co by się stało, gdybym tu nie mieszkała? Powinien pan czuć dla mnie wdzięczność za to, co dla nich robię. — Jestem pewien, że nawet dodawała: — A kiedy umrę, panie Lubin, wtedy pan zobaczy, co spadnie na pana barki. — Jestem tego stuprocentowo pewien. Przy nas nigdy nie mówiła nic, co mogłoby zachwiać jej rządy choćby najlżejszą sugestią, że kiedyś może nastąpić ich kres. Ponadto czulibyśmy się tym wstrząśnięci, a ona, w swojej cudownej znajomości nas, zdolna odgadywać nasze myśli — była jedynym suwerenem, który znał dokładnie proporcje miłości, szacunku i lęku przed władzą u swoich poddanych — •wiedziała, jak bardzo by to nami wstrząsnęło. Lubinowi jednak, ze względów taktycznych, a także z potrzeby

wrażenia uczuć, które z pewnością były jej nieobce, musiała to mówić. Miał on dla niej rodzaj udreżonej cierpliwości z gatunku „wybaw nas, Panie, od takich klientów”, choć usiłował sprawiać wrażenie, iż jest panem sytuacji. Trzymał swój melonik między udami (jego spodnie wydawały się zawsze przykrótkie i odsłaniały białe skarpety i buldogowate buty, popękane, czarne, z wypchanymi noskami) i patrzył w jego wnętrze, jakby deliberując, czy nie byłoby roztropniej wypuścić na chwilę tego konika polnego z garści na podszewkę.

- Płacę tyle, na ile mnie stać — mówiła babcia.

Wydobywała spod szala papierośnicę, rozcinała Mura- da nożycami krawieckimi na pół i wkładała do cygarniczki. Było to w czasach, kiedy kobiety jeszcze nie paliły. Oprócz pań z inteligencji — termin ten stosowała do siebie. Z cygarniczką między ciemnymi drobnymi działkami, pomiędzy których wypływały wszelkie jej podstępny, złośliwości i rozkazy, doznawała najlepszych inspiracji strategicznych. Była pomarszczona jak stara papierowa torba, samowładcza, bezwzględna i podstępna, stary drapieźny łupieżca bolszewicki, z małymi, szarymi i przewiązanymi wstążką stopami, nieruchomymi na stołeczku z szufladką na szczołki do butów, który Simon zmajstrował na lekcjach robót ręcznych, i ze starą brudną kudłatą Winnie, której smród wypełniał mieszkanie, spoczywającą obok na poduszce. Jeśli rozum i rozgoryczenie nie zawsze z koniecznością chodzą w parze, to nie od tej staruszki się tego dowiedziałem. Nie można jej było zadowolić. Kreindla, na przykład, na którym zawsze mogliśmy polegać, tego Kreindla, który nosił węgiel, kiedy mama chorowała, i który kazał Kotziem wydawać nam za darmo lekarstwa na recepty, nazywała „tym nędznym Węgrem” lub „węgierską świnią”. Ko- tziego „pieczonym jabłuszkiem”, panią Kreindl „skrytą gęsią”, Lubina „synem szewca”, dentystę „rzeźnikiem”, a rzeźnika „tchórzliwym oszustem”. Nienawidziła dentysty, który kilka razy próbował jej bezowocnie dopasować sztuczne szczęki. Zarzucała mu, że poparzył jej dziąsła robiąc odcisk. Ale przecież sama szarpała go przy tym za ręce. Widziałem, jak to się odbywało: powolny, barczysty doktor Wernick, który mógłby swymi krępyimi 12

rękami utrzymać na dystans niedźwiedzia, zatroskany, zdeterminowany, speszony jej zduszonymi krzykami, znosił cierpliwie drapanie. Nielatwo mi było patrzeć, jak ona się szamocze, i doktorowi Wernickowi też było przykro, że tam jestem, wiem o tym, ale któryś z nas, Simon albo ja, musiał jej asystować, dokądkolwiek szła. A w tym przypadku szczególnie potrzebowała świadka okrucieństwa i niezaradności doktora Wernicka, a także ramienia, na którym mogła się oprzeć, gdy osłabiona wracała do domu. Mając dziesięć lat byłem tylko trochę od niej niższy i dość krzepki, by utrzymać jej niewielki ciężar.

- Widziałeś, jak przykrył mi łapami twarz, tak że nie mogłam oddychać? — mówiła. — Bóg stworzył go na rzeźnika. Czemu został dentystą? Ma toporne ręce. U dentysty liczy się przede wszystkim dotyk. Skoro nie ma odpowiednich rąk, nie powinni mu byli zezwolić na praktykę. Ale jego żona ciężko harowała, żeby mógł skończyć szkołę i zostać dentystą. I dlatego ja muszę iść do niego i dać się oparzyć.

Reszta z nas chodziła do bezpłatnej lecznicy — która była jak ze złego snu ze swoją mnogością foteli dentystycznych, całych setek foteli na obszarze równym hali fabrycznej, i zielonych spluwaczek w desenie ze szklanych gron, z zygzakami maszyn do borowania niczym nogi owadów i gazowymi płomykami na porcelanowych tacach obrotowych — i zanurzała się w grzmiącą ponurość wapniowych budynków państwowych Harrison Street i jej ciężkich czerwonych tramwajów z metalowymi kratami w oknach i monarchicznymi żelaznymi bokobrodami zderzaków z przodu i z tyłu. Tramwaje turkotały i dzwoniły, sapały pneumatycznymi hamulcami w brejo- watej brunatności zimowych popołudni lub kamiennej brunatności letnich, przyprawione popiołami, dymem i pyłem preriowym, z długimi postojami przy klinikach, aby pozwolić wysiąść niedołączom, kalekom, garbusom, ludziom z klamrami kolanowymi, ludziom chodzącym o kulach, cierpiącym na ból zębów i oczu, a także wszystkim innym nieszczęśnikom.

Otóż przed pójściem z matką po okulary byłem zawsze przez staruszkę pouczany, a musiałem się i słuchać z ogromną uwagą. Mama też musiała być przy tym, żeby

potem nie doszło do żadnego potknięcia. Trzeba ją było skłonić, by nic nie mówiła. — Pamiętaj, Rebeko — powtarzała babcia — on ma odpowiadać na wszystkie pytania. — Mama przyjmowała to z takim posłuszeństwem, że nawet nie mówiła: „tak”, tylko siedziała ze swymi długimi rękami założonymi na podółku opalizującej jak giez sukni, którą staruszka wybrała dla niej na tę okazję. Jakże zdrową i gładką miała cerę; żaden z nas nie odziedziczył po niej tej cery ani kształtu nosa, którego skrzydełka leciutko cofnięte nieznacznie odsłaniały dzielącą nozdrza chrząstkę. — Ty się nie wtrącaj. Jeśli cię o coś spytają, spójrz na Augie'ego, o tak. — I pokazała, jak mama ma na mnie spojrzeć, z dokładnością tak straszliwą, jak na to pozwalało jej naturalne dostojenstwo. — ■ A ty nie mów nic. Tylko odpowiadaj na pytania — upomniała mnie. Matka pragnęła, abym wyrósł na porządnego i uczciwego człowieka. Simon i ja byliśmy dla niej zjawiskami cudownymi lub przypadkowymi; Georgie zaś jej prawdziwym dziełem, w którym powróciła do swojego losu po błogosławionych i niezasażonych sukcesach. — Augie, słuchaj babci. Słuchaj, co mówi. — To jedno, co ośmieliła się powiedzieć, gdy staruszka rozwijała swój plan.

— Gdy cię spytają: „Gdzie jest twój ojciec?”, odpowiesz: „Nie wiem, panienko.” Bez względu na to, ile by miała lat, nie wolno ci zapomnieć dodać: „panienko”. Jeżeli będziesz chciała wiedzieć, gdzie był, kiedy ostatni raz przysłał wam wiadomość, musisz powiedzieć, że ostatni raz przysłał przekaz na pieniądze mniej więcej dwa lata temu z Buffalo w stanie Nowy Jork. Pamiętaj, żeby ani razu nie wspomnieć opieki społecznej. Słyszysz? Ani razu. Kiedy ona cię zapyta, ile wynosi komorne, powiedz, że osiemnaście dolarów. Kiedy cię zapyta, skąd bierzecie na nie pieniądze, powiedz, że macie lokatorów. Ilu? Dwoje lokatorów. A teraz powtórz, ile wynosi komorne?

— Osiemnaście dolarów.

— A ilu jest lokatorów?

— Dwoje.

— Ile oni płacą?

— A ile mam powiedzieć?

— Po osiem dolarów tygodniowo. 14

Osiem dolarów.

— Więc mając sześćdziesiąt cztery dolary miesięcznie nie możecie iść do prywatnego lekarza. Same krople do oczu kosztowały mnie pięć, kiedy do niego poszłam, i jeszcze mi poparzył oczy. A te okulary — postukała palcem w futerał — dziesięć dolarów za oprawkę i piętnaście za szkła.

Jedynie w takich razach, z konieczności, był wspomniany mój ojciec. Twierdziłem, że go pamiętam; a Simon temu przeczył i miał rację. Lubiłem sobie wyobrazać, że pamiętam ojca.

— Chodził w mundurze — mówiłem. — Pamiętam na pewno. Był żołnierzem.

— Guzik prawda. Nic nie wiesz.

— Może marynarzem.

— Guzik. Jeździł ciężarówką braci Hall, tych od pralni, przy Marshfield, ot, czym był. To ja mówiłem, że chodził w mundurze. Małpa widzi, małpa robi. Małpa słyszy, małpa gada. — Małpy były u podłoża wielu naszych myśli. Na kredensie, na turkiestańskim bieżniku, z zakrytymi oczyma, uszami i ustami stały u nas „nie patrz na zło”, „nie słuchaj zła” i „nie mów zła”, niższa trójca domowa. Korzyść z tych pomniejszych bóstw jest taka, że można interpretować ich nazwy, jak się komu podoba. — Cisza w sądzie, małpa prosi o głos, mów, małpo, mów. — Albo: — Raz małpa i Bambo bawili się w trawie... — Mimo to owe małpy posiadały moc, budziły grozę jako wyrazicielki krytyki społecznej, gdy babcia niczym wielki lama — bo w końcu była dla mnie ze Wschodu — wskazywała siedzącą w kucki brunatną trójkę, której usta i nozdrza wymalowano krwistą czerwienią, i z głęboką mądrością, sięgając wreszcie szczytów swej nieżyczliwości, mawiała: — Nikt cię nie prosi, abys kochał cały świat, ehrlich, tylko żebyś był uczciwy. Nie gadaj dużo. (Wbardziej będziesz ludzi kochał, tym bardziej cię wystrychną na dudka. Dziecko kocha, Człowiek dorosły szanuje. Szacunek jest lepszy od railośćLJ to jest szacunek, ta środkowa małpa. — Nigdy nie przyszło nam do głowy, że sama grzeszyła szkaradnie przeciwko skurczonej „nie mów zła”, która zakrywała łapkami usta, ale ani myśleliśmy wówczas krytykować babci, zwłaszcza

gdy cała kuchnia wibrowała brzmieniem wielkiej zasady.

Udzielała nam lekcji na przykładzie nieszczęsnego Georgie. Georgie całował Winnie. Tę niegdyś jazgotliwą służebnicę starszej pani. Obecnie zaś senną, wzdychającą ciężko dziwaczkę i obiekt zasłużonego szacunku ze względu na lata nie całkiem miłej, acz pełnej uwagi krzątaczki. Georgie kochał ją — i kochał babcię, którą całował w rękaw, w kolano, ujmując je w obie dłonie i wysuwając dolną wargę, czysty, durnowaty, pieśczośliwy, łagodny i przejęty, kiedy pochylał wąskie plecki w workowatej bluzie i głowę z białawymi sterzącymi na wszystkie strony krótkimi włoskami jak oset lub słonecznik, z którego wydłubano pestki. Staruszka pozwalała się obejmować i przemawiała do niego w te słowa: — Hej, ty, chłopak, ty sprytny jungu, lubisz swoją starą babcię, ty mój minister, mój kawaler? Grzeczny chłopiec. Ty wiesz, kto jest dla ciebie dobry, kto ci daje żołądki i szyjki? Kto? Kto robi dla ciebie kluseczki? Tak. Kluseczki są śliskie, trudno je wziąć na widelec i trudno złapać w palce. Widziałeś, jak ptaszek wyciąga robaczka z ziemi? Robaczek chce zostać w ziemi. Robaczek nie chce wy leżeć. Dość, ślinisz mi suknię. — I odpychała szorstko jego czoło swoją starą wymuskaną dłonią wypaliwszy mnie i Simonowi, pomna obowiązku pouczenia nas, jeszcze jedną krytykę ufnych, kochających i prostych, którzy żyją wśród chytrych i pozbawionych skrupułów, wypowiadając się o wojowniczej naturze ptaszków i robaczek i zrozpaczonej ludzkości pozbawionej uczuć. Ilustracją tego był Georgie, lecz nie główną. Główną była mama, z jej zrodzoną z miłości służalczą, prostoduszną, porzuconą z trójgiem dziećmi. Oto do czego zmierzała stara pani Lausch obecnie, w nabytej z wiekiem życiowej mądrości, że ma drugą rodzinę do kierowania.

A co myślała mama, kiedy w rozmowie napomykano z konieczności o moim ojcu? Siedziała potulnie. Wyobrażam sobie, że myślała o jakimś dotyczącym go szczególe — potrawie, którą lubił, może mięsie z ziemniakami, może kapuście lub sosie żurawinowym; a może o tym, że nie znosił krochmalonych kołnierzyków albo miękkich kołnierzyków; że przynosił do domu „Evening 16

American” lub „Journal”. Musiała tak władnie myśleć, ponieważ jej myśli były zawsze proste, odczuwała jednak porzucenie, i na jej prostotę kładł się cień większego bólu niż tylko ten uświadomiany, duchowy. Nie mam pojęcia, jak sobie radziła przedtem, gdy po dezercji ojca zostaliśmy sami, ale później zjawiała się babcia i wzięła w swoją dłoń rządy nad rodziną. Mama oddała jej władzę, z której posiadania być może nigdy nie zdawała sobie sprawy, i została za to ukarana ciężką harówką. Zajęła miejsce wśród kobiet, które uległy wyższej władzy miłości, jak te kobiety, które Dzeus zdobył przybrawszy zwierzęcą postać, i które następnie musiały kryć się przed jego rozwścieczoną żoną. Co wcale nie oznacza, że uważam moją wielką, łagodną, steraną, wiecznie zaharowaną matkę za jakąś nadzwyczajną piękność w ucieczce przed tak eleganckim gniewem ani też ojca za Olimpijczyka o alabastrowych nogach. Ona obszywała dziurki od guzików płaszczy w szwalni na poddaszu przy Wells Street, a on był kierowcą ciężarówki pralni — nie pozostała po nim nawet fotografia, kiedy od nas prysnął. Lecz zasłużyła sobie na miejsce pośród tych kobiet na głębszej zasadzie nieustannego płacenia. Jeśli zaś idzie

O kobiecą zemstę, była na miejscu babcia Lausch, aby ją karać wedle wszelkich przyjętych norm, jako reprezentantka głównych sił zamężnej kobiecości.

Mimo to wcale nie twierdzę, że starsza pani nie miała serca. Nie zamierzałem tak o niej powiedzieć. Był z niej kawał tyrańca i snoba, jeśli chodzi o świątynię odeską, służbę i guwernantki, lecz chociaż jej samej się w życiu powiodło, wiedziała, co znaczy upaść z powodu słabości. Zaczęła sobie z tego zdawać sprawę, gdy przeczytałem później kilka powieści, po które posyłała mnie do biblioteki. Nauczyła mnie rosyjskiego alfabetu, więc mogłem odczytać tytuły. Raz na rok czytała *Armę Kareninę* i *Eugeniusza Oniegina*. Zdarzało się, że popadałem w tarapaty przynosząc książkę, której nie chciała. — ile razy mam ci mówić, że jeśli na książce nie jest napisane roman, to jej nie chcę? Nie zaglądasz do środka. Czy masz za słabe palce, żeby ją otworzyć? W takim razie powinny być też za słabe do grania w piłkę i dłubania w nosie. Ale na to masz dość siły! Boże nioj! Boże na niebiosach.' Musisz

mieć mniej rozumu od kota, jeśli idziesz dwie mile li przynosisz mi książkę o religii tylko dlatego, że na okładce jest napisane Tolstoj.

Stara grandę dame, nie chciałem jej ukazać w złym świetle. Dręczyło ją, że jakiś odziedziczony zły rys, jedna rodzinna wada, może w przyszłości sprawić, że będą nas wyzyskiwać. Nie chciała czytać, co Tolstoj napisał o religii. Nie ufała mu jako człowiekowi rodzinnemu, ponieważ hrabina miała z nim wiele kłopotu. Choć nigdy nie chodziła do synagogi, jadała chleb w Paschę, posyłała mamę do rzeźnika, który sprzedawał wieprzowinę, gdyż tam mięso było tańsze, uwielbiała kraby z puszki i inne zakazane potrawy, nie była ateistką ani wolnomyślicielką. Pan Anticol, stary szmaciarz, którego nazywała (nie wiem czemu) „Ramzesem” — może od miasta wymienionego obok Pitom w Piśmie Świętym, nie tłumacząc się, co ją do tego natchnęło — ten był rzeczywiście ateistą. Prawdziwym buntownikiem wobec Boga. Chłodno i przebiegle wysłuchiwała, co miał do powiedzenia, sama się nie deklarując. On zaś był czerstwy i ponury; w twardej niczym skóra mycce z serży wyglądał, jakby miał spłaszczoną głowę, a wykrzykiwanie po zaułkach: szmaty, kupuję, żelazo — co wyśpiewywał: „aaaty — upujęlaa” — sprawiło, iż głos mu ochryplł i pogrubiał. Miał gęstą czuprynę i brwi, i wzdardliwe piwne oczy; był rozmiłowanym w nauce, kudłatym, otyłym staruszkciem. Babcia kupiła od niego komplet Encyklopedii Amerykańskiej — wydanie, zdaje się, z 1892 roku — i pilnowała, żebyśmy ją obaj z Simonem czytali; a on też, ilekroć nas spotykał, pytał: — Jak tam komplet? — jak sądzę, w przekonaniu, że ta encyklopedia uczy nieposzanowania religii. Ateistą stał się po masakrze Żydów w jego mieście. Z piwnicy, gdzie się ukrył, widział, jak robotnik sika na zwłoki młodszego brata jego żony, przed chwilą zabitego. — Więc mi nie mówcie nic o Bogu — powiadał. Lecz to on sam mówił o Bogu, bezustannie. I chociaż pani Anticol pozostała pobożna, on, na znak odstępstwa jeździł w wielkie święta do zreformowanej synagogi i parkował swoją różowooką szkapę wśród luksusowych samochodów bogatych Żydów, którzy obnażali w świątyni głowy, jakby byli w teatrze, i zdradzali znikczem-

18 nienie sprawiające mu ponurą radość aż do końca życia. Zaziębił się na deszczu i zmarł na zapalenie płuc.

Babcia zawsze jednak paliła świeczkę w rocznicę śmierci pana Lauscha, rzucała grudkę ciasta na płonące węgle, jako ofiarę, ilekroć coś piekła, wymawiała zaklęcia nad wyrzynającymi się zębami i wyczyślała różne sztuki przeciw złemu oku. Była to religia kuchenna nie mająca nic wspólnego z wielkim Bogiem Stworzenia, który kazał rozstąpić się wodom i zburzył Gomorę, ale zarazem jakby niezależna od religii prawdziwej. A skoro już jesteśmy przy tym, wspomnę o Polakach — byliśmy zaledwie garstką Żydów pośród nich — i nabrzmiałych, krwawiących sercach na ścianie każdej kuchni, obrazach świętych, wieńcach pogrzebowych przymocowanych do drzwi, komuniach, Wielkanocach i Bożych Narodzeniach. I czasem bywaliśmy ścigani, obrzucani kamieniami, nabierani i bici jako mordercy Chrystusa, wszyscy, włącznie z Georgie'em, wciągani, czy chcieliśmy, czy nie, w te tajemnicze praktyki. Ale ja nigdy nie miałem o to specjalnego żalu czy pretensji, będąc zbyt psotny i niesforny, by brać to sobie do serca, i uważałem te rzeczy za tak samo usprawiedliwione jak zwykle walki band ulicznych na kije i kamienie lub też wyrażanie się w jesienne wieczory miejscowych wyrostków, aby wyrzywać deski z płotów, piszczeć i ryczeć na dziewczęta, bić obcych. Nie zwykłem zadawać sobie fatygi zmartwieniem, że przynależę do tych tajemnych praktyk niejako z urodzenia, mimo że niektórzy z mych przyjaciół i towarzyszy zabaw bywali bardzo często pośród tych gromad, które zastępowały ci drogę w wąskich przejściach między domami. Simon mniej się z nimi zadawał. Bardziej go absorbowwała szkoła, a poza tym miał inne porywy duszy, których mu dostarczał Natty Bumppo, Quentin Durward, Tom Brown, Clark pod Kaskaskią, posłaniec, który przyniósł dobrą nowinę do Ratzbony, i tak dalej, co mu pozwalało zamknąć się w sobie. Bardzo opornie mu w tym sekundowałem, nigdy też nie udało mu się zmusić mnie, abym poświęcał całe godziny na ćwiczenia rozwijające mięśnie i sposobowi wzmacniającemu ścięgna nadgarstka. Łatwo zawierałem nowe przyjaźnie i przeważnie lojalność wobec dawniejszych kazała mi je zrywać.

Najdłużej kumplowałem się ze Stasiem Kopciem, którego matka była położną, po Szkole Położnictwa „Eskulap”, przy Milwaukee Avenue. Zamożni Kopciowie mieli elektryczną pianolę i we wszystkich pokojach linoleum, ale Stasiu był złodziejem i z przyjaźni dla niego ja też kradłem: węgiel z platform, bieliznę ze sznurów, gumowe piłeczki z bazarów i groszaki ze stoisk z gazetami. Działo się to głównie z chęci popisania się zręcznością, choć to właśnie Stasiu wymyślił zabawę w rozbieranie się w piwnicy i ubieranie się w dziewczęce fatałaszki świeżnięte ze sznura. A potem i on pojawił się w bandzie, która przyłapała mnie któregoś zimnego, niemal bezśnieżnego popołudnia, kiedy siedziałem na przymarzniętej do błota skrzynce i jedząc wafelki Nabisco miałem pełne gardło słodziutkiego pyłu. Najpierw przyczepił się do mnie taki urwipoleć, trzynastolatek, ale mały jak na swoje lata, surowy i rozżalony. Podszedł, żeby mnie oskarżyć, i zaraz go poparł wielki Moonia Staplański, którego właśnie wypuścili z Zakładu Poprawczego Św. Karola i niedługo później zamknęli w innym, w Pontiac.

- Ty żydowski skurwysynu, ty uderzyłeś mojego brata — powiedział.
- Wcale nie. Ja go nawet nigdy nie widziałem.
- Zabrałeś mu piątaka. Jakbyś mu nie zabrał, to za co kupiłbyś te wafelki?
- Dostałem w domu.

Właśnie wtedy zobaczyłem Stasia, z włosami jak siano, drwiącego, strasznie zadowolonego ze swego podstępu i nowo objawionego zbratania z tamtymi, więc powiedziałem: — Hej ty, Stasiu, ty zawszony siusiumajtku, wiesz przecież, że Moon nie ma żadnego brata.

Wówczas ten chłopak mnie uderzył i cała banda, nie wyłączając Stasia, rzuciła się na mnie. Poobrywali mi sprzączki od kożuszka i rozkrwawili nos.

A czyja to wina? — spytała babcia Lausch, kiedy wróciłem do domu. — Wiesz, czyja? Twoja, Augie, bo potrafisz tylko włóczyć się z tym siusiumajtkiem, synem akuszerki. Czy Simon zadaje się z taką bandą? Nie. Simon nie. On jest za mądry. Dziękowałem Bogu, że nie wiedziała o kradzieżach. I podejrzewam, że nawet uradowała ją ta lekcja poglądowna, do czego wiedzie zbyt 20

pochopne szafowanie uczuciami. Lecz mama, wyborny przykład takiej słabości, była przerażona. Przytłoczona autorytetem starszej pani nie śmiała wyrazić swoich uczuć podczas posłuchania, ale gdy zabrała mnie do kuchni, aby zrobić kompres, zbadała krótkowzrocznymi oczami wszystkie moje zadrapania, szepcząc i wzdychając, a Georgie kiwał się za jej plecami, długi i biały, Winnie zaś chleptała wodę pod zlewem.



## Rozdział II

Kiedy kończyliśmy dwanaście lat, starszuszka wyszukiwała dla nas pracę na lato, abyśmy spróbowali życia i trudu zarobkowania. Nawet wcześniej wynajdowała mi różne zajęcia. Rankami odbywały się lekcje dla upośledzonych dzieci, więc pozostawiwszy Georgie'ego w szkole meldowałem się w kinie Gwiazda, u Sylwestra, aby roznosić reklamówki. Babcia załatwiła to z ojcem Sylwestra, którego znała z altany starszych ludzi w parku.

Gdy tylko do naszego mieszkania od podwórka dotarło, że pogoda jest wyborna — ciepła i bezwietrzna, bo taką lubiła — babcia szła do swojego pokoju i wkładała gorset, pozostałość z czasów, kiedy była pełniejsza, oraz czarną suknię. Brała przygotowaną przez mamę butelkę z herbatą. Następnie, włożywszy ustrojony kwiatami kapelusz i lisa spiętego na ramieniu łapkami borsuczymi, udawała się do parku. Z książką, której nie zamierzała czytać. W altanie było na to zbyt gwaro. Stanowiła ona miejsce zawierania małżeństw. Mniej więcej w rok po śmierci starego ateisty pani Anticol znalazła sobie tam drugiego męża. Ów wdowiec przyjechał aż z Iowa City w tym tylko celu, żeby się ożenić, a po ich ślubie nadeszły wieści, że trzymał ją uwięzioną w swoim domu i zmusił do zrzeczenia się na jego korzyść praw majątkowych. Babcia nawet nie udawała, że ją to zasmuciło.

Powiedziała: — Biedna Berta — ale z humorem, w którym była mistrzynią, subtelnym i pełnobrzmiącym jak struna skrzypy cowa, i gratulowała sobie, że sama nie wyszła po raz drugi za męża. Dawno już przestałem myśleć, że ludzie na starość mają wreszcie spokój od tych rzeczy, za którymi uganiali się we wcześniejszych latach. Lecz ona chciała w nas wzbudzić właśnie to przekonanie — „taka stara baba jak ja...” — i uwierzyliśmy jej na słowo, że jest samą bezinteresowną mądrością, wyzbytą wszelkiej próżności. Jeśli nawet nigdy nie spotkała się z propozycją małżeństwa, nie twierdzę, iż było to jej obojętne. Nie przepadałaby tak za Anną Kareniną lub drugą ulubioną książką, którą tu powinienem wymienić, Mdnon Lescaut, i kiedy była w dobrym nastroju, przechwalała się swoją talią i biodrami, toteż skoro nigdy nie rezygnowała z żadnych swoich wpływów ani chwały, nie tylko z nawyku chodziła do sypialni, by zasnurować gorset i upiąć włosy, lecz także w nadziei, że może zdoła zwrócić na siebie uwagę jakiegoś siedemdziesięcioletniego Wrońskiego lub Des Grieux. Czasem, pomimo plamistej żółtości jej cery, zmarszczek i wyliniałej grzywki, próbowałem dojrzeć w jej oczach młodszą i dumną kobietę.

Cokolwiek jednak usiłowała załatwić w owej altanie dla siebie, nigdy nie zapomniała o nas i wystarała się dla mnie o to roznoszenie ulotek reklamowych poprzez starego Sylwestra, zwanego „Piekarzem”, ponieważ chodził w białych drellichach i białej czapce golfowej. Miał chorobę Parkinsona, stąd żart, że ugniata bułeczki, ale był schludny, mówił zwięźle, z powagą w spojrzeniu przekrwionych oczu, pogodzony z bliskością śmierci, wysiłkiem woli, odzwierciedlonym w białej podkowie wąsów. Przypuszczam, że rozmawiała z nim na zwykły temat: rodziny, którą się opiekuje, i Sylwester wziął mnie na spotkanie ze swoim synem, młodym człowiekiem, który wiecznie się zamartwiał z powodu pieniędzy lub rodzinnej skłonności do niepokoju. Nie wiem co — kulejący interes i świecąca pustką o drugiej godzinie widownia, skrzypek grający tylko dla niego i operatora — czyniło w jego oczach konieczność wypłacania mi dwudziestu pięciu centów rzeczą wręcz straszną i bolesną. Sprawiało, że stawał się srogi. Mówił: — Miałem tu takich chłopaków, którzy wrzucali ulotki do studzienek odpływowych. Ale niech się tylko o tym dowiem! A mam sposoby, żeby się dowiedzieć. — Wiedziałem więc,

że  
23

może mnie śledzić, i pilnie wypatrywałem na ulicach jego łysiejącej głowy i zatroskanych oczu, brązowych jak u niedźwiedzia. — Znam parę sztuczek na takich smarkaczy, którym się zdaje, że potrafią mi zrobić psikusa — ostrzegał. Kiedy jednak stwierdził, że może na mnie polegać, a początkowo tak było i pilnie przestrzegałem instrukcji, żeby zwijać ulotki i wkładać w mosiężne otwory nad dzwonkiem, nie brudzić skrzynek na listy i nie wywoływać przez to zatargów pomiędzy nim a urzędem pocztowym, częstował mnie wodą sodową i rachatlukum i mówił, że zrobi ze mnie biletera, gdy trochę podrosnę, albo postawi przy maszynie do prażenia kukurydzy, którą zamierzał kupić. W najbliższych latach miał wynająć zarządcę kina, a sam wrócić do Armour Institute, żeby ukończyć swoje studia inżynierskie. Zostało mu do końca tylko dwa lata i żona wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby te studia wreszcie tfończył. Brał mnie za starszego, jak przypuszczam, że mi się tak zwierzał jak ludzie w bezpłatnej lecznicy i w ogóle. Nie rozumiałem wszystkiego, co do mnie mówił.

Tak czy siak trochę się na mnie oszukał, bo kiedy powiedział, że inni chłopcy wrzucali ulotki do studzienek kanalizacyjnych, poczułem, iż nie mogę być od nich gorszy, i tylko czekałem okazji. Albo dawałem pliki ulotek dzieciakom w przechowalni dla głuptaków, gdy przychodziłem po George'a w południe do przypominającej więzienie szkoły, zbudowanej z identycznej cegły co lodownia i fabryka trumien, które były jej najbliższymi sąsiadkami. Panowała w niej straszna ponurość wszystkich mamrów świata, sufity były wysokie, że ledwie okiem sięgnąć, a drewniane podłogi wytarte butami. Latem jeden segment szkoły był otwarty dla upośledzonych umysłowo i wchodząc do środka pozostawiało się za sobą opary bijące od lodowni i wkraczało w bełkotliwą, pełną brzęku nożyczek wrzawę towarzyszącą robieniu papierowych łańcuchów, przerywaną rozkazującymi głosami nauczycieli. Siadałem na schodach i rozdawałem ulotki, a kiedy rozpuszczano klasę, Georgie pomagał mi pozbyć się reszty. Potem brałem go za rękę i prowadziłem do domu.

Chociaż bardzo kochał Winnie, bał się obcych psów, 24  
a jej zapach właśnie je do niego ściągał. Zawsze obwąchiwały mu nogi i musiałem nosić przy sobie kamienie, żeby je odpędzić.

To było ostatnie próżniacze lato. W następnym roku, zaraz po zakończeniu nauki, Simona posłano na boya hotelowego do pensjonatu w Michigan, a ja zamieszkałem u Coblinów w Dzielnicy Północnej, żeby pomagać Coblinowi w roznoszeniu gazet. Musiałem się do nich przenieść, bo gazety przychodziły o czwartej rano, a my mieszkaliśmy o dobre pół godziny jazdy tramwajem. Nie można jednak powiedzieć, że poszedłem w obce ręce, bo Anna Coblin to kuzynka mojej matki i w związku z tym traktowano mnie jak krewnego. Hyman Coblin przyjechał po mnie swoim Fordem; Georgie beczał, kiedy wychodziłem. Zwykł demonstrować swoje uczucia, co z kolei mamie było zakazane przez babcię Lausch. Musieliśmy zamknąć George'a w saloniku. Posadziłem go przy piecu i wyszedłem. Za to kuzynka Anna wypłakała się za wszystkich i obsypała mnie pocałunkami już w drzwiach widząc, że oniemiałem z żalu za opuszczonym domem — co było dość zresztą chwilowym u mnie uczuciem i niemal, jak by to powiedzieć, zapożyczonym od mamy, która bolała nad naszym przedwczesnym zetknięciem z trudami życia. Ale Anna Coblin, która była motorem tego całego przedsięwzięcia, płakała najwięcej. Nogi miała bose, fryzurę ogromną, a czarną suknię z poobrywanymi guzikami. — Będę cię traktowała jak własnego syna — obiecała — mojego Howarda. — Wzięła ode mnie płócienną torbę, która zwykle służyła do brudnej bielizny, i umieściła mnie w pokoju Howarda, pomiędzy kuchnią a ubikacją.

Howard uciekł. Razem z Joe Kinsmanem, synem przedsiębiorcy pogrzebowego, podrobili metryki i zaciągnęli się do piechoty morskiej. Rodziny starały się ich wyciągnąć, lecz chłopcy zostali wysłani do Nikaragui, by walczyć z Sandinem i buntownikami. Anna Coblin rozpacziała, jakby Howard już nie żył. Była ogromna i miała strasznie dużo energii przejawiającej się w najrozmaitszych wybrykach. Nawet natury fizycznej, jak pie- przyki, bąble, włoski, guzy czoła, nabrzmiałość karku. Miała kręte rudawe włosy rosące pięknie i równo nad

czołem, następnie buchające płataniną pierścieni ku górze li na boki, w tyle zaś przystrzyżone w kaczy kuper i rozwichrzone wysoko nad uszami. Jej silny z natury głos był nadszarpięty płaczami i astmą, białka oczu z tych samych przyczyn zabarwione na miedziano, płonąca twarz markotna i żalosa, a dusza nie oswojona z myślami, które umieją godzić ludzi ze znacznie gorszą niedolą. Bo, jak powiedziała babcia Lausch przykrawając z właściwą sobie satysfakcją ten przypadek do skali spraw zasadniczych, czego ona chce, ta kobieta? Bracia znaleźli jej męża, kupili mu interes, ma dwoje dzieci, własny dom i jeszcze kilka parceli. A przecież nadal mogłaby siedzieć w tym sklepie modniarskim za Pętlą na Wabash Avenue. Wzmiankę tę usłyszeliśmy, gdy kuzynka Anna przyszła do niej porozmawiać — tak jak się przychodzi do wróżki — wbita w kostium, kapelusz, pantofle i siedziała przy kuchennym stole patrząc w lustro, kiedy mówiła, nieprzypadkowo, ale bezustannie, surowo, z gniewnymi uwagami; nawet w chwili największego rozgoryczenia, gdy usta miała najszerzej rozciągnięte w płaczu, nie zaniechała przypatrywania się sobie. Mama w barwnej chustce na głowie opalała kurczę nad palnikiem gazowym.

— Daragaja, nic się twojemu synowi nie stanie. Zobaczysz, że wróci — mówiła staruszka przy wtórze Ikań Anny. — Inne matki też mają tam synów.

— Mówiłam mu, żeby przestał chodzić z synem tego przedsiębiorcy pogrzebowego. Co to dla niego za przyjaciel? To on go w to wciągnął.

Uważała Kinsmanów za siewców śmierci i podpatrzyłem, iż nakłada spory kawał drogi idąc po zakupy, aby ominąć zakład Kinsmana, choć przedtem zawsze się chwaliła, że pani Kinsman, wielka, hoża, szczwana kobieta z tych bogatych Kinsmanów, była jej siostrą w loży i przyjaciółką. Wuj Coblina, urzędnik bankowy, został pochowany przez zakład Kinsmana, a Friedl Coblin i córka Kinsmanów chodziły do tej samej nauczycielki dykcji. Miała tę samą wadę wymowy co Mojżesz, któremu anioł nakierował dłoń, by dotknęła oczyszczającego węgla, i później Friedl przestała się jąkać i zaczęła mówić płynnie. Po paru latach słyszałem, jak 26 rozmawiała na jakimś meczu, gdzie sprzedawałem hot- -dogi. Nie poznała mnie wówczas w mojej białej czapce, lecz pamiętałem, jak ją oklaskiwałem na jakimś dziecięcym przedstawieniu. I pamiętam też, jak kuzynka Anna mówiła, że powinienem się ożenić z Friedl, kiedy dorosnę. Było to wtedy, gdy zalewała mnie łzami powitania i tuliła do piersi na ganku swego domu. — Słuchaj, Augie, ty będziesz moim synem, mężem mojej córki, mein Kind\ — W owym momencie raz jeszcze uznała Howarda za nieżyjącego.

Podtrzymywała projekt naszego małżeństwa przez cały czas. Kiedy skaleczyłem sobie rękę ostrząc kosiarkę do trawy, powiedziała: — Do wesela się zagoi — a potem: — Najlepiej poślubić kogoś, kogo się zna od urodzenia, przysięgam ci. Nie ma nic gorszego jak obcy. Słyszysz mnie? Słuchaj! — Tak więc zaplanowała przyszłość córki, bo mała Friedl tak bardzo była do niej podobna, że kuzynka Anna przeczuwała już trudności. Sama zdołała pokonać własne tylko dzięki przezorności brata. Nie miała matki do pomocy. I pewnie czuła, że gdyby nie znaleziono jej męża, zginęłaby od zdławionej mocy swych instynktów, pozbawiona dzieci. I ży do ronięcia nad nimi zalałyby ją tak samo niechybnie jak wody strumienia Ofelię. Im prędzej za męża, tym lepiej. W środowisku, z którego się wywodziła Anna, nie popierano dzieciństwa. Jej matka wyszła za męża mając trzynaście czy czternaście lat, Friedl zatem miała przed sobą zaledwie cztery lub pięć do zamążpójścia. Sama Anna przekroczyła tę granicę wieku o piętnaście lat co najmniej, a ostatnie, jak sobie wyobrażam, spędziła w lęklwym smutku, nim Coblin ją poślubił. W związku z tym od razu wszczęła kampanię widząc w każdym młodym chłopcu kandydata, bo przypuszczam, że ja nie byłem jedynym, ale jak na razie, najdostępniejszym. A Friedl tymczasem kształciła się na lekcjach muzyki, tańca, a także dykcji i obracała się w najlepszym towarzystwie z okolicy. Nic innego tylko właśnie to skłoniło Annę do przystąpienia do loży. Była zbyt ponurą i lubiącą dom kobietą, aby cokolwiek mniejszej wagi mogło ją wygnąć na różne benefisy i wenty dobroczynne.

Każdy, kto zrobił jej dziecku jakiś afront, znajdował

w niej zajadłego wroga i szerzycielkę niszczących pogłosek. — Nauczycielka gry na pianinie sama mi to mówiła. Co sobota było podobnie. Ilekroć szła do Minnie Carson na lekcję, pan Carson usiłował ją wciągnąć do swego pokoju. — I czy to była prawda, czy nie, wkrótce Anna stawała się o tym najgłębiej przekonana. Choćby nie wiadomo kto temu zaprzeczał i sama nauczycielka przychodziła ją prosić, aby przestała. Ale Carsonowie nie zaprosili Friedl na urodzinowe przyjęcie Minnie i zrobili sobie z Anny wroga o istic korsykańskiej zawziętości i całkowitym zapamiętaniu.

A teraz, kiedy Howard uciekł, wszyscy jej wrogowie ponosili za to winę jako agenci lub wysłannicy piekieł. Leżąc na łóżku płakała i przeklinała ich:—O Boże, Panie Wszechświata, oby im wszystkim ręce i nogi poodpadały, a głowy wyschły — albo na inne imponujące sposoby, co było jej mową codzienną. Kiedy w letnim świetle, złagodzonej firankami i cieniem drzewa rosnącego przed domem, leżała płasko na wznak z kompresami, ręcznikami, szmatami, wyglądała jak góra, a podeszwy jej stóp lśniły wystając spod prześcieradła niby potarte grafitem — stopy klęsk wojennych w zburzonych miasteczkach podczas hiszpańskiej kampanii Napoleona — a na długim przewodzie wyłącznika lampy u sufitu siedziały rządkiem muchy. Ona zaś dyszała ciężko zadrezczając się rozmaitymi lękami i smutkami. Miała żelazną wolę świętej męczennicy, by aż do sądnego dnia nosić skołataną głowę w Raju, w gronie cierpiących matek, którym przewodzi Ewa i Hanna. Była bowiem bardzo religijna, a także miała własne pojęcia czasu i miejsca, tak iż Niebios a wieczność nie były zbyt odległe; miała niektóre rzeczy pokawałkowane, spłaszczone i wciśnięte jedna w drugą jak cząstki i piętka Krzywej Wieży, Nikaragua zaś leżała w jej odczuciu w odległości wynoszącej dwukrotną długość obwodu kuli ziemskiej, gdzie wojowniczy Sandino — a kim on dla niej był, tego nie jestem w mocy sobie wyobrazić — zabijał właśnie jej syna.

Tymczasem w domu, a zwłaszcza w kuchni, panował potworny brud. Niemniej obrzmiała i z płonącymi oczyma, nieruchawa i pokrzykująca niezrozumiale do telefonu, z twarzą jakby rozświetloną tymi wspaniałymi włosami, które ją w końcu podniosły do godności monarchini, jakoś radziła sobie z obowiązkami. Przygotowywała na czas posiłki dla mężczyzn, pilnowała, aby Friedl ćwiczyła i powtarzała lekcje, żeby zebrane pieniądze zostały sprawdzone z rachunkami, policzone i posortowane, a monety zawinięte w papier, gdy Coblin sam nie mógł tego zrobić, żeby nowe zamówienia zostały zrealizowane.

— Der... jener ... Augie, telefon ringt. Słyszysz! Nie zapomnij im powiedzieć, że sobotnia popołudniówka kosztuje ekstra!

A kiedy raz spróbowałem dmuchnąć w ustnik saksofonu Howarda, zobaczyłem, jak szybko kuzynka Anna potrafi zerwać się z łóżka i obiecać cały dom. Wpadła do pokoju, wyrwała mi saksofon z rąk wrzeszcząc w sposób, od którego mrowie przeszło mi po głowie i szyi: —Już mu zabierają jego rzeczy! — Pojąłem, czym jest dla niej zięć — przyznaję, zaledwie ewentualny — wobec syna. Nie wybaczyła mi tego dnia, choć wiedziała, że mnie przestraszyła. Pewnie jednak wyglądałem na mniej urażonego, niż byłem w istocie, i sądziła, że nie odczuwam skruchy. Prawdopodobnie nie potrafiłem żywić urazy — w przeciwieństwie do Simona z jego honorem Dawnego Południa i niebezpieczną beztroską codo duello — jego specjalnościami w owym czasie. Poza tym jak można żywić urazę do kogoś tak okropnego? Ona zaś nawet w chwili, gdy wyrwała mi z rąk saksofon, szukała swego odbicia w małym lusterku nad długą komodą. Zszedłem do piwnicy, gdzie były złożone podwójne okna i narzędzia, a zdecydowawszy, że nie warto uciekać do domu po to tylko, aby zaraz zostać z powrotem odesłanym przez babcię Lausch, zainteresowałem się, czemu w ubikacji przecieka woda, i zdjęwszy z rezerwuaru pokrywę siedziałem tam majsterkując, podczas gdy nad moją głową podłoga kuchenna ugiwała się i trzeszczała.

To z pewnością tłukł się po domu Pięć Nieruchomości, ogromny brat Anny, długoręki i garbaty, z głową, która wyrastała z wiązki grubych mięśni równie osobliwie jak ten pniak na jego plecach. Mężczyzna o włosach miękkich i zielonkawobrazowych, o oczach zupełnie zielonych, jasnych, taksujących, prymitywnych i sardonicznych,

I o prymitywnym eskimoskim uśmiechu odsłaniając™ eskimoskie zęby głęboko zatopione w dziąsłach, żartobliwy, wesoły i nieszczerzy; wielkostopy uczestnik pogoni za pieniądzem. Był kierowcą wózka mleczarskiego, jednego z tych elektrycznych, gdzie kierowca stoi niczym sternik statku, a butelki i skrzynki z drewna i drutu grzechoczą jak szalone. Brał mnie kilka razy w objazd i płacił pół dolara za pomoc w ładowaniu pustych pojemników. Gdy spróbowałem dźwignąć pełny, ob- Imacał moje zębra, uda i barki — uwielbiał to robić — i rzekł: — Jeszcze nie, jeszcze musisz poczekać. — Po czym sam ściągnął pojemnik z wózka i rzucił obok chłodni. Wnosił ożywienie do małych, cichych, zalatujących smalcem polskich sklepików, przy których się zatrzymywał, boksując się lub mocując na niby z ich właścicielami, lub kłął po włosku Włochów: — Fungoo! — i pokazywał, gdzie mu się ręka zgina. Świetnie się bawił. Był bardzo bystry, jak mówiła jego siostra. Jeszcze niedawno wnosił swój skromny udział w zagładę imperiów, wożąc furmanką trupy Rosjan i Niemców na cmentarze polskich wsi, a teraz miał już pieniądze w banku, akcje mleczarni i przyswoił sobie słowa ogólnie niecierpiącego, grubego pyszałka z jakiejś sztuki w Teatrze Żydowskim: — Pięć nieruchomości. Mnóstwo pieniędzy.

W niedzielny ranek, kiedy sprzedawcy baloników pofiuukiwali na fujarkach w świeżości i spokoju liściastej ulicy i błękitnego nieba, przyszedł na śniadanie w białym garniturze, elegancko dłubiąc w zębach, ze scytyjskimi włosami gładko zaczesanymi pod słomkowym kapeluszem. Mimo to nie zdołał się wyzbyć codziennego odoru mleka. Lecz jakże wytworny był tego ranka, opalony i krzepki, z szerokim uśmiechem, w którym brały udział zęby, dziąsła i policzki. Uszczypnęła swą miedzianooką siostrę, spochmurniała od łez.

— Anniczka!

— Idź, śniadanie gotowe.

— Pięć nieruchomości, mnóstwo pieniędzy.

Na jej twarz wkradł się uśmiech, który markotnie oddaliła. Ale kochała swojego brata.

— Anniczka.

30

— Idź! Moje dziecko zginęło. Świat to chaos.

—' Pięć nieruchomości.

— Nie bądź głupi. Sam będziesz miał dziecko, to zrozumiesz, co to wehtig.

Pięć Nieruchomości nie dbał nic a nic o nieobecnych czy zmarłych i wcale tego nie ukrywał. Niech ich piekło pochłonie. Nosił ich buty i czapki, a nieboszczycy podskakiwali na jego furze wśród huku wystrzałów. Jego wypowiedzi kształtowane na modłę spartańską lub pro- konsularną były błyskawiczne i surowe. „Nie można być na wojnie i nie wachać prochu.\* „Gdyby babcia miała kółka, to byłaby wózkami.“ „Kto kładzie się z psami, ten budzi się z pchłami.“ „Gdzie się ćpa, tam się nie sra.“ A w każdej jeden prosty morał, który się sprowadzał do: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“ albo na sposób francuski — bo spędził trochę czasu i w stolicy świata — „Tu l'as voulu, Georges Dandin.“

Pojmujecie zatem, jaki stosunek musiał mieć Pięć Nieruchomości do faktu zaciągnięcia się do wojska siostrzeńca. Starał się jednakże oszczędzać swoją siostrę.

— Czego ty chcesz? Przysłał ci list w ubiegłym tygodniu.

— W ubiegłym tygodniu! — odrzyknęła Anna. — A co potem?

— Potem znalazł sobie malutką Indiankę, żeby go łechtała i ścisłała.

— Kto jak kto, ale nie mój syn—powiedziała kierując oczy na kuchenne lustro.

Rzeczywiście okazało się, że chłopcy znaleźli sobie kogoś do łóżka. Joe Kinsman przysłał swojemu ojcu fotografię dwóch prostowłosych tubylczych dziewcząt w krótkich spódnickach i trzymających się za ręce, bez żadnego komentarza. Kinsman pokazał zdjęcie Cobli- nowi. Ojcowie nie byli z tego niezadowoleni, a przynajmniej nie uznali za właściwe okazać wobec siebie niezadowolenia. Wręcz przeciwnie. Kuzynka Anna nic o tym zdjęciu nie wiedziała.

Coblin odczuwał ojcowski lęk o syna, ale nie żywił wściekłości Anny do Kinsmana, i utrzymywał z nim konieczny kontakt przez biuro, bo oczywiście przedsiębiorca pogrzebowy nie miał wstępu do domu. Mówiąc

ogólnie, ścieżki, którymi chadzał Coblin, biegły z dala od domu, a wiódł żywot ruchliwy, ustalony i unormowany. W porównaniu z Anną i jej bratem wydawał się mały, choć w rzeczywistości był wysoki, krzepki, całkiem łysy, o wydatnych rysach twarzy, krągłych i spłaszczonych, z workami pod oczyma, których mruganie graniczyło z karykaturalnością. Gdyby chcieć zinterpretować ten jego tik jako standardową oznakę potulności, to... cóż, istnieją typy i nawyki rozwinięte jakby dla wyprowadzenia ludzkiego doświadczenia w pole. Nie dał się zdominować ani przez Annę, ani przez Pięć Nieruchomości, ani przez nikogo innego z rodziny. Był facetem kierującym się własnymi motywami i wywalczył sobie własne prawa z determinacją człowieka, który może się stać niebezpieczny, kiedy mu stanąć na drodze. A Anna mu ustępowała. Tak więc jego koszule leżały zawsze w pogotowiu w szufladzie, z fiszbinami w kołnierzykach, a na drugie śniadanie, które zjadał po rozniesieniu porannych gazet, musiały być obowiązkowo płatki kukurydziane i jaja na twardo.

Te posiłki były wręcz zdumiewające pod względem ich składu i ogromnej objętości — Anna pokładała głęboką ufność w jadle. Michy makaronu bez soli, pieprzu, masła lub sosu, duszone mózdzki i płucka, galaretki z nóżek cielecych z kępkami cielecych włosów i plasterkami jajek, marynowane ryby na zimno, flaki z pulpetami, kukury- dzianka z puszki i wielkie butle oranżady. Wszystko to bardzo odpowiadało Pięciu Nieruchomościom, który rozsmarowywał masło na chlebie palcami. Coblin, człowiek o lepszych manierach, też się na to jedzenie nie uskarżał i uważał je za naturalne. Wiem jednak, że kiedy jechał do śródmieścia na zebranie kolporterów, odzywał się inaczej.

Więc najpierw zmieniał stare ubranie w kratę, w którym obchodził swoją trasę z torbą gazet niczym „Siewca” Milleta, na nowe ubranie w kratę. W nasuniętym na oczy filcowym kapeluszu detektywa i butach z kwadratowymi noskami niosąc rachunki i egzemplarz „Tribune”, w której interesowały go komiksy, wiadomości sportowe i notowania giełdowe—grywał bowiem na giełdzie—a także kronika porachunków gangsterskich, by wiedzieć na 32

bieżąc, co dzieje się wokół Colossima i Capone w Cicero i O'Bannionów w Dzielnicy Północnej, jako że było to w czasie, kiedy ktoś stuknęła O'Banniona wśród kwiatów trzymając jego dłoń w przyjaznym uścisku — z tym wszystkim Coblin wsiadał do ashlandzkiego tramwaju. Na lunch szedł do jakiejś dobrej restauracji albo do Reicke'a na fasolkę bostońską z czarnym chlebem. Potem na zebranie, gdzie wysłuchiwał referatu kierownika kolportażu. Następnie lody i kawa u południowego krańca Pętli i burleska w Haymarket czy Rialto albo jeden z tańszych lokalików, gdzie swoje wdzięki pokazywały Murzynki i dziewczyny ze wsi, lokalików o bardziej prostolinijnym i nie tak figlarnym charakterze.

I znów zupełnie nie wiadomo, jaki Anna miała pogląd na jego śródmiejski program. Tkwiła ona, można by powiedzieć, w pustynnym, pasterskim okresie rozwoju, nie zaś na ekstrawaganckim etapie Uczty Baltazara późniejszych czasów barbarzyńskich. Zresztą, o ile o to chodzi, nawet sam Coblin do tego etapu nie dorósł. Był mężczyzną solidnym, o stosunkowo niskim napięciu prądu myśli, troszczył się, jak mógł najlepiej, o swoje interesy i za nic by nie pozostał w śródmieściu tak długo, aby mieć później trudności ze wstaniem o zwykłej porze, czyli o czwartej rano. Grał na giełdzie, ale to wchodziło w zakres jego interesów. Grał w pokera, lecz nigdy

o więcej, niż miał w obciążonych bilonem kieszeniach. Nie miał owych długodystansowych pod powierzchnio- wych wad ludzi, którzy zjednują człowieka łagodnością, a potem okazuje się, że przez cały czas ryli pod nim 1 drażyli tunele — jak to z dumą wytykają sceptyczni sędziowie na widok szacownych głów wyłazących spod ziemi w różnych mrocznych miejscach. Na ogół traktował mnie dobrze, choć miewał okresy złego humoru, a wtedy mnie popędzał, żebym prędzej wkładał niedzielne dodatki. Działo się to zwykle pod wpływem Anny, gdy wiodła z nim boje w dymie swych okopów. Pozostawiony sam sobie był przeniknięty zupełnie innym duchem prywatnych uciech, czego przykładem niech będzie choćby moment, kiedy go zaskoczyłem, gdy leżał wyprężony w wannie w całej swej męskiej okazałości i onanizował się przy pomocy gąbki w parnej, ciasnej kajutce małej

bezokiennej łazienki. Rzecz byłaby bardziej kłopotliwa, gdyby się zastanowić, że tak niegodna sytuacja stała się udziałem ojca piechura morskiego i małej córki, a w dodatku męża kuzynki Anny — znacznie bardziej kłopotliwa, wiem to teraz, niż w rzeczywistości. Ja jednak nigdy nie traktowałem tych spraw zbyt surowo — nie mogłem widzieć rozpustnika w człowieku, w którym zawsze widziałem kuzyna Hymana, zazwyczaj rozważnego i miłosiernego, bardzo dla mnie hojnego.

Właściwie oni wszyscy byli hojni. Kuzynka Anna, zawsze oszczędna, mówiła, że jest biedna i mało wydawała na siebie, ale kupiła mi parę zimowych butów z wysokimi cholewkami, a do tego scyzoryk. Pięć Nieruchomości uwielbiał przynosić różne smakołyki, skrzynki czekoladowego mleka, wielkie pudła słodczy, cegły lodów i przekładańca. Obaj z Coblinem byli rozmiłowani w obfitości. Czy w grę wchodziły jedwabne koszule w prążki, podwiązki do rękawów czy pończochy z ozdobnym szlaczkiem, napoje w kinach czy lukrowane orzeszki w parku, gdy brali Friedl i mnie na przejażdżkę łódką, rzadko je kupowali w ilościach mniejszych niż tuzin. Przy czym Pięć Nieruchomości płacił banknotami, a kuzyn Hyman równie szczerze garściami monet. Wszędzie wałało się mnóstwo pieniędzy, w kubkach, szklankach, słoikach i na biurku Coblina. Uważali za rzecz oczywistą, że nie tknę tych pieniędzy, i pewnie dlatego, iż mieli wszystkiego w bród, nigdy tego nie zrobiłem. Łatwo było w ten sposób trafić mi do przekonania, pod warunkiem, że mnie darzono zaufaniem, jak wtedy, gdy babcia wysyłała mnie z misją. Z równą łatwością potrafiłem włożyć serce w jakieś oszustwo. Nie sądzicie więc, że usiłuję wam wmówić, iż gdyby mną należycie pokierowano, zrobiono by ze mnie jakiegoś Katona lub młodego Lincolna, który drałował cztery mile w straszną zawieruchę, by oddać klientowi trzy centy. Nie chcę uchodzić za kogoś mającego tak legendarne zalety prezydenckie. Tylko że te cztery mile nie oznaczałyby dla mnie żadnej przeszkody, gdyby rozbudzo we mnie odpowiednie uczucia. Wszystko zależało od tego, w którą stronę mnie ciągnięto.

Nasz dom stanowił schludny i lśniący kontrast w moje 34

wolne półdni. W Anny podłogi były myte w piątkowe popołudnia, kiedy zwlekała się z łózka i brodziła boso za pociągnięciami osadzonego na kijku zmywaka do podłogi i rozpościerała za sobą czyste płachty gazet, które wchłaniały wodę, schły i pozostawały tam do końca tygodnia. U -nas pachniało codziennym pastowaniem i wszystko leżało na swoim miejscu, zgodnie z przemyślanym planem — lśnienie politory, serwetki, tanie szlifowane szkło, rogi łosia, zegar ljr uporządkowane jak rozmównica klasztorna lub jakieś inne miejsce, gdzie w domowej schludności i gruntownym odseparowaniu rzeczy od morskiej kompozycji brutalnych i hałaśliwych kłopotów, które przewalają się przez każde nie chronione mury, czeka miłość boża. Łóżko, w którym spałem z Simonem, stało wybrzuszone w pełnej krasie haftowanej kapki na poduszce; książki (biblioteka Simonowego bohatera) równo ułożone; szkolne chorągiewki zawieszzone w rzędzie na ścianie; kobiety robiące na drutach u kuchennego okna w czystym, zabarwionym od murów na ceglasto letnim powietrzu; Georgie wśród słoneczników i zielonych słupów do rozwieszania bielizny na podwórku, potykający się za ospałą Winnie, która poszła obwąchać miejsce, gdzie przed chwilą siedziały wróble.

Chyba martwiło mnie, że pod moją i Simoną nieobecność wszystko w domu szło bez nas tak gładko. Mama zapewne to czuła i nadskakiwała mi, jak tylko jej na to pozwalano. Piekła ciasto i sadzała mnie za stołem okrytym obrusem, przed miseczkami z dżemem. W ten sposób okazywano uznanie dla mojej pracy zarobkowej i z dumą wygrzebywałem z kieszonki na zegarek złożone banknoty. Mimo to gdy jakiś żart starej kobiety rozśmieszał mnie bardziej niż zwykle, z mojego gardła dobywał się dźwięk jakby echo ciężkiego kaszlu — tak niedaleko zostawiłem za sobą dzieciństwo i choć już mi się zaczynały wydłużać kończyny, a głowa osiągnęła pełny wymiar, wciąż nosiłem krótkie spodenki i wykładane kołnierzyki.

— Pewnie cię tam uczą różnych wspaniałości—mówiła babcia. — Masz szansę, żeby się nauczyć kultury i ogłady. — Chciała się pochwalić, że już mnie uformowała i możemy się nie obawiać pospolitych wpływów.

Na wszelki wypadek jednak, gdyby istniało jeszcze me- bezpieczeństwo,, trzeba było trochę drwiny.

— Czy Anna wciąż płacze?

— Tak,

- Przez cały dzień. A co on robi? ... Patrzy na mą i mruga oczami. A dzieciak się jąka. Tam musi być bardzo wesoło. A Pięć Nieruchomości, ten Apollo... wciąż szuka amerykańskiej dziewczyny na żonę?

Taka była zręczna i przewrotna. Jednym ruchem drobnej poźółklej ręki, ręki oddanej w Odessie mężczyźnie, który naprawdę coś znaczył, przekreślała kurek, woda buchała i zatapiała niedorajdę — razem z jego pieniędzmi, ułą, tuszą, jedwabiami i bombonierkami — a nad kręgami (al na powierzchni pozostawał jedynie dowcipny i wspaniały uśmiech. Trzeba wam wiedzieć, aby na to mieć właściwy pogląd, że w rocznicę zawieszenia brom w roku 1922, gdy babcia skreśliła nogę w kostce schodząc o jedenastej ze schodów, przy akompaniamencie uroczystego wycia wszystkich syren fabrycznych, zamiast fetać w owej chwili nieruchomo, Pięć Nieruchomości wziął ją parszkającą i skrzywioną z bólu na ręce i zaniósł pośpiesznie do kuchni. Pamięć babci specjalizowała się w wykroczeniach i urazach, które pozostawały tak niezatarte w mózgu jak jej patrycjuszowska zmarszczka pomiędzy oczyma, i niezadowolone było jej żywiołem, częścią natury.

Pięć Nieruchomości bardzo pragnął się ożenić. Podejmował ten temat z każdym i naturalnie przychodził rozmawiać o tym z babcią Lausch, ona zaś jak zwykle przyoblekała maskę rozwagi i uprzejmości, w duchu zaś odfajkowywała i wybierała do swojej kartoteki, co chciała Dostrzegała w tej sprawie coś dla siebie, zysk swatki. Zawsze szukała okazji do zrobienia interesu. Kiedyś zorganizowała akcję szmugłowania imigrantów z Kanady. I wiem przypadkiem, że zawarła umowę z K rand lem co do siostrzenicy jego żony, że Kreindl wystąpi w roli pośrednika, a babcia ze swej strony zachęci Pięć Nieruchomości. Plan upadł, choć Pięć Nieruchomości początkowo zapalił się do mego, przybył, aby cię przedstawić, wyczyszczony i wypolerowany, z płonąca po starannym ogpkmu aż po kąciaki eskimoskich oczu twarzą, do J6 sutereny Kreindla, gdzie miało się odbyć (potkane. Dziewczyna jednak była chuda i blada i nie przypadła n w gustu. Pięć Nieruchomości marzył o krewkiej, czarnowłosej, wesołej ślicznotce z grubymi wargami Był jednak dżentelmeński w swej odmowie j raz czy dwa zaprosił gdzieś tę chudzinę — dostała od niego celuloidową lalkę, bombonierkę i więcej go nie zobaczyła. Babcia wówczas powiedziała, że umywa ręce. Jednakże układ z Kreindlea jeszcze przez pewien czas trwał i Kreindl nie rezygnował Nadal bywał w niedziele u Coblmów załatwiając za jednym zamachem dwie sprawy, bo miał do sprzedaży żydowskie karty noworoczne, które brał w komis od drukarza. Było to jednym z jego regularnych zajęć, tak samo jak kapowanie partii towaru okazjnie lub z licytacji i naganianie klientów do sklepów meblarskich przy Hałsted Street, gdy się dowiedział, że ktoś z sąsiedztwa chce umeblować sobie mieszkanie.

Oddziaływał na Pięć Nieruchomości bardzo przebiegle i często widywałem ich gawędzących w szopie, Kreindl na kabłąkowatych nogach i z wojennymi dziejami wpisanymi w gorliwy, upokorzony grzbiet, z twarzą halabardnika rozdetą aż do czoła w wychwalaniu zalet kolejnej kandydatki: z dobrej rodziny, wy karmiona ręką matki, najdelikatniejszymi i najbielszymi kąskami, wychowana bez zgrzytów i spięć, w porę rozwinięta w biuście,

O czystych jak dotąd myślach, a więc osóbką, można powiedzieć, szczerozłota — i wiem, co Pięć Nieruchomości myślał słuchając z założonymi rękami, uśmiechem

I jakby drwiną. Czy ona naprawdę taka łagodna, wytworna i niewinna? A co jeśli po krótkim czasie wyjdzie z niej café prostactwo i wulgarność i będzie wylegiwała się w łóżku zajadając figowe ciasteczka, leniwa, zepsuta, dająca zza firanki znaki tfadkim młokosom? Albo jeśli jej ojciec okaże się łapownikiem, bracia włóczykijami i karciarzami, a matka osobą rozwiązłą lub rozrzutną? Pięć Nieruchomości pragnął zachować jak największą ostrożność, a nie mó^ narzekać na brak przestróg siostry, która będąc od niego o dziesięć lat starsza, chciała go przestrzec przed amerykańskimi niebezpieczeństwami, a zwłaszcza tymi, które czyhają ze strony amerykańskich kobiet na naiwnych, nowo przybyłych do tego kraju chłopców.



Była komiczna, kiedy to robiła, ale komiczna w ponury sposób, bo poświęcała temu czas przeznaczony na swe żale.

— To nie będzie tak jak ze mną, kobietą rozumiejącą życie. A jeśli zechce mieć futro, jak jej wytworne koleżanki, będziesz musiał kupić, i taka młoda istota nawet się nie zastanowi, że się wykrwawisz do ostatniej kropli.

— Kto jak kto, ale nie ja — odpowiedział Pięć Nieruchomości w sposób przypominający słowa Anny: — Kto jak kto, ale nie mój syn. — Pięć Nieruchomości kręcił grubymi paluchami kulki z chleba i palił cygaro, a jego zielone oczy były czujne i zimne.

Siedząc w gatkach nad swymi rachunkami — popołudnie było upalne—Coblin uśmiechnął się do mnie swymi mrugającymi oczyma zauważywszy, że oderwałem się od książki i przysłuchuję się tej rozmowie. Nigdy nie miał mi za złe, że zakłóciłem jego chwilę odosobnienia w łazience; wręcz przeciwnie.

A co do książki, był to egzemplarz Iliady, pożyczony od Simona, i czytałem właśnie, jak piękną Bryzejdę wleczo do namiotu, Achilles zaś odstawił w kącie włócznię i powiesił na kołku zbroję.

Jako ranne ptaszki Coblinowie szli spać zaraz po kolacji, niczym wieśniacy. Pięć Nieruchomości wstawał pierwszy, o wpół do czwartej, i budził Coblina. Coblin prowadził mnie na śniadanie do knajpy przy Belmont Avenue, nocnej spelunki kierowców, konduktorów, pracowników poczty i sprzątaczek biur Pętli. On zamawiał drożdżówki i kawę, ja naleśniki i mleko. Był tutaj ze wszystkimi strasznie zaprzyjaźniony, z innymi stałymi bywalcami, z właścicielem Grekiem, który nazywał się Christopher, i z kelnerkami. Nie miał ciętego dowcipu, ale śmiał się ze wszystkiego. O tej godzinie skazańców, między czwartą a piątą, gdy nawet ci, którzy nie mają się czego obawiać, są pochmurni i poważni, i wzdrygają się przed jawą. On był inny. Uwielbiał, przynajmniej latem, wychodzić wówczas z domu i siadać nad kubkiem kawy, z pierwszym porannym wydaniem gazety pod pachą.

Potem wracaliśmy do szopy, żeby być, kiedy nadjadą z hukiem ciężarówka z gazetami strącając liście z drzew zaułka, z wyrostkami, którzy siedzieli z tyłu (rozwoże-

38

nic ciężarówkami gazet było dla nich pewną drogą do gangsterstwa, tak samo jak pobyt w poprawczaku lub kawalerska przejażdżka skradzionym samochodem) i zrzucali kopniakami przewiązane sznurkiem stopy „Tri-bunc” i „Examiner”. Wówczas pojawiała się gromada roznosicieli z rowerami i przed ósmą cała trasa była obsłużona, przy czym Coblin i jego starsi pracownicy brali na siebie wysokie tylne ganki, gdzie trzeba umieć wrzucać gazetę między słupami i sznurami na bieliznę aż na drugie piętro. Tymczasem kuzynka Anna budziła się i wracała do swoich specjalności — jakby ich siła słabła w nocy — a więc do łez, wyrzeknięć, lamentów i dręczenia porannych luster swoim wyglądem. Zarazem przygotowywała drugie śniadanie, które Coblin zjadał, zanim szedł stukać do siatkowych drzwi i zbierać pieniądze, ubrany w elegancką panamę, mrugający jak karabin maszynowy. Miał na nogawkach poranną pajęczynę, bo pierwszy przechodził przez podwórka i był przygotowany na każdą pogawędkę, dysponując najświeższymi wiadomościami o krwawych walkach gangsterskich między właścicielami browarów i o ostatnich notowaniach giełdowych— wszyscy grali na giełdzie, z Samuelem Insullem na czele.

A ja zostawałem w domu<sup>N</sup> z Anną i Friedl. Anna zazwyczaj wyjeżdżała do północnego Wisconsinu, aby umknąć przed sierpniowymi pyłkami kwiatów, ale tego roku, z powodu ucieczki Howarda, Friedl pozbawiono wakacji. Anna często kończyła swoje żale skargą, że Friedl jest jedynym dzieckiem z lepszych sfer, które nie wyjechało na wakacje. Aby dziewczynce to wynagrodzić, karmiła ją jeszcze usilniej niż dotychczas, od czego dziecko dostało niezdrowych rumieńców na rozgorączkowanej, drażliwej, barbarzyńskiej twarzy. Nie można jej było zmusić, żeby zamykała drzwi, gdy szła do ubikacji, czego nawet Georgie zdołał się nauczyć.

Nie zapomniałem, że Friedl została mi przyrzeczona, gdy kryłem się przed nią na meczu futbolowym pewnego dnia, a piłkarze uganiali się i padali z łoskotem aa zamrażającym boisku. Była wówczas młodą damą wyzbytą, jestem pewien, wszystkich takich nawyków i wyrośniętą na wielką jak matka kobietę z cerą swego wuja, jak

39

jesienne jabłko. Miała na sobie futro z szopów i śmiała się radośnie wymachując chorągwią z barwami Michigan. Uczyla się bowiem w Ann Arbor na dietetyczkę. Było to mniej więcej w dziesięć lat od tych sobót, gdy Coblin dawał mi pieniądze, abym szedł z nią do kina.

Anna nie sprzeciwiała się temu, ale sama nie dotykała pieniędzy w dni święte. Świąciła je wszystkie, włącznie z dniami nowiu, zgodnie z żydowskim kalendarzem, nakrywając głowę, zapalając świece, z rozszerzonymi i zdecydowanymi oczyma, poddając się religijnej grozie z lękiem i opanowaniem Jonasza zmuszonego do wkroczenia w mury przerażającej Niniwy. Uważała, że skoro jestem w jej domu, musi się zająć moim wykształceniem religijnym, toteż przedstawiła mi dość cudaczną relację ze Stworzenia i Upadku, budowy wieży Babel, Potopu, odwiedzin aniołów u JŁota, ukarania jego żony i rozwiązłości córek, wyrecytowaną mieszaniną hebrajskiego, jidysz i angielskiego, podpartą wiarą i gniewem, z drobnymi kwiatuskami i krwawymi ogniami zaczerpniętymi z własnej pamięci i wyobraźni. Niewiele pomijała z takich epizodów jak igraszki Izaaka z Rebeką w ogrodach Abimeleka albo zgwałcenie Diny przez Sychema.

— On ją katował — powiedziała.

— Jak?

— Katował!

Nie uważała za stosowne rozwijać tematu i miała rację. Muszę jej oddać sprawiedliwość, że znała swojego słuchacza. Tutaj nie było miejsca na bzdurne dygresje. Kierowała mnie od swej bujnej piersi ku rzeczom wielkim i wiecznym.

### Rozdział III

Nawet wtedy nie wyobrażałem sobie, że mógłbym się wżenić w rodzinę Coblinów. A kiedy Anna wyrwała mi z rąk saksofon Howarda, pomyślałem: „Bierz sobie. Po co mi on! Będę mógł kiedyś sobie ich sprawić, ile zechce.” Już wówczas myślałem o lepszym dla siebie losie.

Tymczasem starsza pani, idąc za własnymi przewidywaniami, jaki ten los będzie, nadal wynajdowała dla mnie różne zajęcia.

Mówiąc „różne zajęcia”, odkrywam jakby kamień z Rosetty, który mógłby posłużyć do rozszyfrowania mego całego życia.

Te najwcześniejsze zajęcia, które babcia dla nas wybierała, nie należały na ogół do mozolnych. Jeżeli były ciężkie, to tylko chwilowo i wiodły do czegoś lżejszego. Nie chciała, żebyśmy zostali prostymi robotnikami. Nie. ona pragnęła widzieć nas w przyszłości w garniturach, me w kombinezonach, i zamierzała wy kierować nas na dżentelmenów. choć nie powinniśmy na to liczyć z racji urodzenia, w przeciwieństwie do jej synów, którzy mieli niemieckie guwernantki, nauczycieli i nosili gimnazjalne mundurki. Nie jej wina, iż osiągnęli pozycję zaledwie małomiasteczkowych biznesmenów, bo ona wychowała ich tak, że mogliby o wiele silniej wstrząsnąć światem. Nie znaczy to wcale, że się kiedykolwiek na nich uskarżała albo że oni nie odnosili się do niej z należnym szacunkiem, dwa wielkie chłopiska w płaszczach z paskami i w getrach, St>va jeżdżący Studebakerem i Aleksander Stanleyem

Stamerem. Obaj sprawiali wrażenie małowównych i znudzonych. Kiedy zwracała się do nich po rosyjsku, odpowiadali po angielsku i najwyraźniej wcale nie byli tacy nadzwyczajnie wdzięczni za to wszystko, co dla nich zrobiła. Być może wkładała w wychowanie Simona i mnie tyle pracy, aby im pokazać, co potrafi zrobić nawet z tak bardzo obciążonych chłopców jak my. I może prawiała nam te kazania o miłości z powodu własnych synów. Chociaż skwapliwie przytrzymała ich głowy, kiedy się schylali, aby złożyć na jej twarzy zdawkowy pocałunek.

W każdym razie trzymała nas mocno w garści. Musieliśmy czyścić zęby solą, myć głowy mydłem kastylskim, pokazywać jej dzienniczki, a spanie w spodenkach i podkoszulkach było surowo wzbronione — musieliśmy przebierać się w piżamy.

Za co Danton stracił głowę i po co w ogóle istniał Napoleon, jeśli nie po to, aby nas wszystkich nobilitować? I właśnie ta powszechna możliwość zyskania szlachectwa, o której wszędzie wykładano, była powodem honorowych zadęć Simona, jego irokezkiej pozy i orlej postawy, gibkiego kroku, pod którym nie trzaska gałązka, wdzięku kawalera Bayarda i dłoni Cyncynata u pług, pomysłowości chłopca z zapalkami z Nassau Street, który został królem korporacji. Bez specjalnego daru jasnowidztwa może nie dostrzeglibyście tego w większości z nas, ustawiających się w szeregu na szkolnym dziedzińcu w czerwony jesienny poranek, odzianych w czarne kożuszki i poskręcane czarne pończochy, rękawiczki z jednym palcem, rękawice westernowe, w dziurawe kamasze, gdy oddział werblistów i trębaczy dudnił

1 grzmiał, a szkliste fale wiatru niosły suche chwasty, liście i kłęby dymu, naciągały sztywno flagę i dzwoniły sprzączką linki o stalowy maszt. Lecz Simon musiał się wyróżniać na czele szkolnego patrolu policyjnego, w nakrochmalonym parcianym pasie, wyprasowanym poprzedniego wieczoru, i w czapce z serży. Miał przystojną, śmiałą twarz blondyna i nawet mała blizna na czole dodawała mu uroku i pewności siebie. W oknach szkoły wisiały wycinanki wykonane na Dzień Dziękczynienia, czarno- -pomarańczowi Pielgrzymi i indyki, nanizane na nitki żurawiny, a w wypolerowanych szybach widniał błękit

42

i czerwień chłodnego nieba oraz światła elektryczne i tablice wewnątrz klas. Ciemnoczerwony ginach — ni to klasztor, ni to młyn nad rzeką Fali lub Susquehanna, ni więzienie powiatowe — przypominał trochę wszystko.

Simon miał tu wybitne osiągnięcia. Był prezesem Ligi Lojalności, nosił jej tarczę na swetrze, i wyznaczano go do wygłaszania mów pożegnalnych po promocji. Ja nie miałem jego jedności celu, byłem bardziej rozproszony i każdy, kto miał do zaproponowania jakąś zabawę, mógł mnie namówić do wagarowania i buszowania po zaułkach w poszukiwaniu różnych rupieci, grasowania na przystani albo wspinania się po żelaznych kratkach mostu nad laguną. Odbijało się to na moich stopniach, toteż starsza pani dawała mi wycisk, gdy przynosiłem je do domu, zwąc mnie „kocim łbem” i w swojej francuszczyźnie — nie „meshant”, grożąc, że w czternastym roku życia pójdę do roboty.

— Załatwię ci w Radzie zezwolenie i pójdziesz jak Polak pracować w dokach — mówiła.

Kiedy indziej stosowała odmienną taktykę.

— Nie chodzi o to, że jesteś tępy. Jesteś tak samo bystry jak inni. Jeżeli syn Kreindla mógł zostać dentystą, ty możesz stać się gubernatorem stanu Illinois. Tylko że jesteś zbyt skory do zabawy. Wystarczy, że ktoś ci obieca coś zabawnego, trochę śmiechu, cukierka albo loda, zaraz wszystko rzucasz i lecisz. Krótko mówiąc jesteś głupi — mówiła zbierając pajęczynowe zwoje wełnianego szala w obie dłonie i obciągając go jak mężczyzna kłapy marynarki. — Nie wiesz, co cię czeka, skoro myślisz, że przejdiesz przez życie śmiejąc się i zjadając placek z brzoskwiniami. — Apetyt na placek wyrobił we mnie Coblin. Babcia z tego szydziła i drwiła. — Papier i klajster — mówiła z nienawiścią i zazdrością Jahwe o wpływy zewnętrzne. — Czego jeszcze cię nauczył? — pytała groźnie.

— Niczego.

— Właśnie, niczego! — I zmuszała mnie, bym stał i znosił jej karzące milczenie, pełne nagany dla mojej głupoty i mnie, przerośniętego, długonogiego w krótkich spodenkach, wielkogłowego, z gęstwą czarnych włosów i dołkiem w brodzie, przedmiotem dowcipów. A także

43

zdrową cerą, w moim wypudku zupełnie widać niepotrzebną, bo babcia mawiała: ~ Spójrzcie, spójrzcie, spójrzcie na jego twarz! Spójrzcie na niego! - uśmiechając się drwiąco i ściskając w dżiąsłuch cygarniczkę z papierosem, z którego sączyła się strużka dymu.

Kiedyś przylapała mnie na ulicy, gdzie właśnie kładziono asfalt, jak żulem kawałek smoły z jednego z kotłów, w towarzystwie Jimmie'ego Kleina. Bubcianie tolerowała rodziny Kleinów i wpisała mnie na czarną listę nu dłużej niż kiedykolwiek przedtem. Zresztą te okresy stale się wydłużały, bo moje wykroczenia stawały się coraz cięższe. Od stadium, gdy bardzo brałem sobie jej kary do serca, radziłem się mamy, jak uzyskać wybaczenie, i prosiłem, aby wstawiła się za mną u starszej pani, następnie zaś roniłem łzy, kiedy mi wreszcie darowała, przeszedłem do etapu większej odporności. Porównanie własnych przestępstw z pozarodzinnymi zezwoliło mi na większą tolerancję w stosunku do siebie. Nic twierdzą przez to, że przestałem łączyć babcie z tym, co najszczytniejsze i najlepsze — dworami europejskimi, Kongresem Wiedeńskim, splendorem rodzinnym oraz wszelkimi rzeczami, które cechuje głębia i kultura, co zaznaczała swoim zachowaniem, tudzież głosiła słowami — wywoływała skojarzenia ze wszystkim, co jest najwyższej wagi, cesarskim brązem kaiserów i rotograwiurami stolic, mrokiem najgłębszych myśli. I jej łajania nic przechodziły bez wrażenia. Nie chciałem podjąć pracy pakowac/u w wieku czternastu lat, toteż od czasu do czasu brałem się dla odmiany do nauki. Odrabiałem lekcje, niemal wyskakiwałem z ławki i wymachiwałem podniesionymi palcami paląc się do odpowiedzi. A wtedy babcia zaklinała się, że nie tylko pójdę do szkoły średniej, lecz jeżeli ona dożyje i zachowa dostateczne siły, także na wyższą uczelnię.

~ Żebyś tylko chciał! Niebo i ziemię poruszę-r\* Po czym opowiadała o swojej kuzynce Duszy, która nocami tarzała się po podłodze, aby nie zasnąć, kiedy uczyła się do egzaminów na medycynie. Gdy Simon ukończył szkołę i wygłosił mowę na uroczystości rozdania świadectw, a ja przeskoczyłem jedną klasę, kierownik wymienił nas obu w swoim przemówieniu, dwóch braci March. Gała rodzina była 44 obecna. Mama z George'em z tyłu sali — mogły mu przyjąć do głowy jakieś wygłupy, a nie chciała tego dnia zostawić go w domu, więc usadowili się w ostatnim rzędzie, gdzie podłoga sali i spód galerii niemal się schodziły. Ja siedziałem na przodzie, w wachlowanym piórami powietrzu przy babci, strojnej w ciemne jedwabie i zwoje złotego łańcuszka z zapięciem w kształcie złotego serduszka nadgniecionego przez jedno z jej ząbkujących dzieci. Nozdrza miała dumnie ściągnięte i spośród emigranckich krewnych innych uczniów wyróżniała się tą furią niemego uporu, pęk piór zaś u jej kapelusza zwisał ważnie na dwie strony. Właśnie to usiłowała nam cały czas uzmysłowić: że jeśli będziemy robili, co każe, możemy oczekiwać mnóstwa takich rezultatów jak ten oto publiczny hołd.

- W przyszłym roku chcę ciebie zobaczyć na tym podwyższeniu — rzekła do mnie.

Ale nie zobaczyła. Było już za późno, mimo że przyłożyłem się dobrze do nauki, aby przeskoczyć rok. Przeciwno mnie przemawiały moje dawniejsze stopnie, a poza tym ten sukces nie dał mi trwałej podniety do pracy. Nie miałem do niej zacięcia.

Na dodatek Simon też nie wytrwał długo. Nadal poświęcał szkole więcej uwagi niż ja, lecz tego latu uległ pewnej przemianie usługując przy stołach w Benton Harbor i wrócił z innymi, niż miał pierwotnie, celami i nowymi poglądami, jak należy postępować.

Oznaką tej zmiany, tak dla mnie ważnej, było, że wrócił jesienią tęższy i opalony na złoto, ale ze złamanym przednim górnym zębem, ostrym i trochę odbarwionym wśród reszty zdrowych i białych, ze zmienioną przez to twarzą, uśmiechem i w ogóle. Nie chciał powiedzieć, jak to tnę stało. Czy ktoś mu go złamał w bójce?

- Przy całowaniu kamiennego posągu — powiedział mi. - Nic, ugryzłem dziesiątaka podczas gry w kości. Pół roku wcześniej taka odpowiedź byłaby nie do pomyślenia. Istniała też sprawa pieniędzy, z których się nie wyliczył tak, jak babcia by tego pragnęła.

Nie mów mi, że zarobiłeś w napiwkach tylko trzydzieści dolarów! Wiem, że pensjonat Reimannu jest pierwszorzędny i gości ludzi uż z Clevelund i St. Louis.

Spodziewałam się, że pozostając poza domem przez całe lato wydasz coś na siebie, ale...

— Tak, oczywiście, wydałem około piętnastu dolarów.

— Zawsze byłeś uczciwy, Simon. Augie nam przyniósł wszystko co do centa.

— B y ł e m ? Ja jestem uczciwy! — rzekł przybierając wyraz dumy i najwyższej, gardzącej fałszem godności. —• Przywiozłem do domu całą trzymiesięczną pensję i jeszcze trzydzieści dolarów.

Zarzuciła temat z milczącym, przesywającym błyskiem złotooprawnych szkieł i ostrzeżeniem w siwiznie i zmarszczkach, a także w króciutkim zassaniu policzka, aby zawrócić ze złej drogi. Zasygnalizowała tylko, że potrafi zadać cios, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Lecz Simon po raz pierwszy dał mi wtedy do zrozumienia, że nie trzeba się tym tak bardzo przejmować. Co wcale nie znaczyło, że zamierzał otwarcie się zbuntować. Ale że coś tam sobie myśli i odtąd zaczęliśmy rozmawiać między sobą o rzeczach, o których nie śmielibyśmy mówić przy mamie i babci.

Początkowo pracowaliśmy przeważnie w tych samych miejscach. Czasem chodziliśmy do Coblina, gdy potrzebował pomocy, i do piwnic Woolwortha, gdzie wypakowywaliśmy szkło i porcelanę z beczek tak ogromnych, że można by w nich spacerować. Wygarnialiśmy z tych beczek stęchlą słomę i wrzucali ją do pieca. Albo wkładaliśmy papiery do ogromnej prasy i zbijaliśmy je w bele. Śmierdziało tam na dole zepsutymi produktami spożywczymi, puszkami musztardy, starymi słodyczami oraz tą słomą i papierami. Na obiad chodziliśmy na górę. Simon odmówił brania kanapek z domu. Powiedział, że kiedy pracujemy, musimy jadać gorące posiłki. Za dwadzieścia pięć centów dostawaliśmy po dwa hot-dogi, po kuflu piwa korzennego i po kawałku ciasta. Hot-dogi były j w trocinowatej bułce i ociekały tą samą musztardą, którą cuchnęło w piwnicach. Ale rola pracownika w roboczym ubraniu i koleżeński stosunek do zatrudnionych tam | dziewcząt, przynależność do tego pseudonieugiętego, I skrzypiącego, barwnego bazaru z towarami żelaznymi I i szklanymi, wyrobami czekoladowymi, paszą dla kur\*

46

czą, biżuterią, wyrobami bławatnymi, ceratami i przebojami piosenkarskimi — to się najwięcej liczyło. Mimo że byliśmy tylko jego Atlasami, pod podłogą. Słyszeliśmy, jak ta podłoga dźwiga setki stąpających ludzi, jak w sąsiednim domu sapią i dyszą organy kinowe, od Chicago Avenue dociera łoskot przejeżdżających tramwajów — a na zewnątrz trwała krwawo obwiedziona sobotnia ponurość wzbijanych wiatrem popiołów i poczerniałe kształty czteropiętrowych domów wznosiły się w północny mrok nad bożonarodzeniowy blask wystaw sklepowych.

Wkrótce Simon przeniósł się do lepszej pracy, w Federalnej Agencji Prasowej, która miała koncesję na kioski przy stacjach kolejowych, a także na sprzedaż słodyczy i gazet w pociągach. Rodzina musiała wpłacić zastaw za mundur i Simon spędzał teraz nocne godziny w śródmieściu i w pociągach, bardzo elegancki i przypominający w nowym szykownym mundurku kadeta. W niedzielne | ranki wstawał późno i zasiadał do śniadania w szlafroku, wielki i swobodny, ośmielony swymi nowymi możliwościami zarobkowania. Stał się bardziej obcesowy wobec mamy i George'a, a czasem nieznośny nawet dla mnie.

— Odepierz się od tej „Tribune”, póki jej nie przeczytam. Chryste Panie, przynoszę w nocy gazetę, a rano, nim zdążę ją przejrzeć, już jest cała w strzępach!

Z drugiej jednak strony dawał mamie za plecami babci część zarobków, by mogła je wydać na własne potrzeby, dbał, abym ja miał kieszonkowe, i nawet George'owi trafiały się miedziaki na karmelkowe żołnierzyki. Nigdy nie był skąpy, gdy szło o pieniądze. Odczuwał wschodnią potrzebę obdarowywania. Nie zaznał spokoju, kiedy nie miał pieniędzy, i wołał uciec nie płacąc rachunku niż wyjść z jadłodajni bez pozostawienia dużego napiwku. Kiedyś dał mi po łbie, gdy wziąłem jeden z dziesiątków, które włożył pod nasze talerze w kawiarni. Wydawało mi się, że dziesięć centów napiwku wystarczy.

— Pamiętaj, żebyś cię więcej nie przyłapał na takim skapstwie — powiedział, a ja się go bałem i nie śmiałem mu odszczeknąć.

A więc w te niedzielne ranki w kuchni, skąd widać było jego mundur w pokoju sypialnym, troskliwie rozwieszony

47

na poręczny łóżka, w kuchni, gdzie po szybach spływały pokrzepiająco łożki pary, czuł siłę płynącą ze swojej nowej pozycji: tego, który szykuje się do wzięcia władzy w rodzinie we własne ręce. Bo czasem mówił do mnie o babci jak o kimś obcym.

— Wiesz chyba, Aug, że ona nie należy do naszej rodziny?

Musiała się obawiać nie tyle buntu, ile odrzucenia, nie zważał bowiem na nią rozkładając gazetę na prawie całym stole i czytając z czołem opartym o rękę, na którą opadały ciemniejące już blond włosy. Mimo to nie zamierzał się jej pozbyć i nie ingerował w jej rządy nad resztą nas — zwłaszcza nad mamą, która pozostała równie służalcza wobec niej jak przedtem. Wzrok jej się pogarszał — okulary przepisane poprzedniego roku były już za słabe. Udaliśmy się znów do darmowej lecznicy i wybrnęliśmy z jeszcze jednego badania. Wybrnęliśmy z trudem. Mieli zanotowany wiek Simona i zapytali, czy nie pracuje. Uznałem, że już nie potrzebuję pouczeń babci i potrafię sam zmyślać odpowiedzi, a nawet mama nie milczała posłusznie jak dotychczas, tylko podniosła swój dziwny, czysty głos i powiedziała:

| — Moi synowie jeszcze się uczą, a po szkole muszą mi pomagać.

Przy obliczaniu budżetu rodzinnego urzędnik omal nas nie przyłapał i byliśmy przerażeni, ale uratował nas tylko panujący tego dnia tłok w lecznicy i dostaliśmy kartkę do działu optycznego. Jeszcze nie mogliśmy się obyć bez pouczeń babci.

Przynieszone przez Simona wiadomości cieszyły się w domu największym zainteresowaniem, gdy został odkomenderowany z pociągów do stoiska na stacji La Salle Street, a potem stoiska centralnego z książkami i nowościami, gdzie ruch był największy, a utargi spore, jak to na głównym szlaku podróznym. Mógł tam oglądać różne znakomitości w futrach, stetsonach, płaszczach z alpaki, kroczące sobie swobodnie wśród dźwigających ich walizy bagażowych. Ludzi zawsze dumniejszych lub bardziej melancholijnych, uprzejmiejszych lub bardziej zalanych, | niż ich przedstawiano. Przybywali z Kalifornii albo Ore- gonu „Różą Portlandu” w śniegu nawiewanym z nielu- 48

dzkich wysokości La Salle Street lub mocno przywartym do torów pociągów pospiesznych. Odjeżdżali „Dwudziestym Wiekiem” do Nowego Jorku w przybranych kwiatami, politurowanych na ciemno, iście salonowych przedziałach z ciemnozielonymi obiciami, myjąc się w srebrnych umywalkach, sącząc kawę z filiżanek z porcelany, paląc cygara.

— Widziałem dziś Johna Gilberta w wielkim weluro- wym kapeluszu — meldował Simon. Albo: — Senator Borah zostawił mi resztę z dziesiątaka za „Daily News”. Lub: — Gdybyście zobaczyli Rockefellera, uwierzylibyście, że ma, jak mówią, gumowy żołądek.

Kiedy nam zdawał przy stole te sprawozdania, budził nadzieję, że może ta wielkość wciągnie go w swoją orbitę, skoro się już o nią ociera. Pozwalał się ludzić, że może wpadnie w oko Insulla, który da mu swoją wizytówkę i każe następnego ranka zameldować się u siebie w biurze. Odnoszę wrażenie, że babcia wkrótce zaczęła w skrytości ducha winić Simona, że nie dostąpił tego awansu. Może nie dość dbał o to, aby się wyróżniać, może zachowywał się nieodpowiednio, a nawet bezczelnie. Babcia bowiem wierzyła w uśmiechy losu lub natchnienie, które sprawiały, że wielcy ludzie dostrzegali kogoś z maluczkich. Gromadziła różne opowieści o takich przypadkach. Ilekroć przeczytała, że Juliusz Rosenwald zrobił jakiś nowy zapis, planowała, że wyśle do niego list. Mówiła, że zawsze dawał pieniądze Murzynom, nigdy Żydom, co ją ogromnie irytowało i wykrzykiwała:

— Niemiecki Yehuda\ fe Słyszając ten krzyk stara zreumatyzowana biała pudlica podnosiła się na nogi i usiłowała do niej przydreptać. — Ten Deutschl

Mimo to żywiła podziw dla Juliusza Rosenwalda. Należał do wewnętrznego kręgu równych jej ludzi. Ludzi obdarzonych głębszym niż nasze rozumieniem spraw, wszystko posiadających i nad wszystkim czuwających. Simon tymczasem próbował znaleźć na stacji La Salle Street sobotnie zajęcie dla mnie, abym uwolnił się od pracy w piwnicach Woolwortha, gdzie jego miejsce zajął Jimmy Klein. Suszyła mu o to głowę babcia, a nawet mama.

— Simon, ty musisz tam wciągnąć Augie'ego.

- Ilekroć widzę Borga, zawsze go o to proszę. Jezu,, ludzie, tam każdy ma krewnych!

- O co chodzi, czy on nic bierze łapówek? — rzekła babcia. — Uwierz mi, on tylko czeka, żebyś mu ją zaproponował. Zaproś go na obiad, a ja cię nauczę. Wkłada się kilka banknotów w serwetkę.

Uczyła nas sposobów radzenia sobie w świecie. Wstrzymując się przed doradzaniem jedynie tak drastycznych środków jak lechtanie przy obiedzie gardel rywali lub przeciwników zatrutym piórkiem, jak to czynił Neron. Simon oświadczył, że nie może zaprosić Borga. Za mało go zna, jako pracownik nadetatowy, i nie chce, aby go brano za lizusa i wyśmiewano.

- Mój ty hrabia Potocki—powiedziała zimno i sucho babcia, zwiężając oczy, kiedy Simona już zatkało ze zniecierpliwienia. — A więc wolisz, żeby twój brat został z tym głupim chłopakiem Kleinów w piwnicy u Woolwor- thal

Po miesiącach takiego nękania Simon w końcu zabrał mnie do śródmieścia dowodząc, że jej władza nad nim jeszcze się nic skończyła.

Pewnego ranka zaprowadził mnie do Borga.

- Pamiętaj — ostrzegął w tramwaju — żadnych wygłupów. Będziesz pracował u starego lisa, a on nie znosi wygłupów. W tej pracy przewija się przez ręce kupa forsy. Z czego się nie potrafisz wyliczyć pod koniec dnia, Borg ci odejmie z twojej koperty. Przyjęto cię na próbę. Widywałem już takich, którzy wylatywali stąd na uszach.

Odnosił się do mnie tego dnia szczególnie surowo. Pogoda była trupio zimna, ziemia twarda, badyle połamane na mrozie, nad rzeką szuła się mgiełka, a nad lokomotywami wlatywały w szeroki błękit wisconsińsko nastrojonego nieba obłoczki pary jak leghorny. Lśniły wypolerowane palcami mosiężne uchwyty wyplatanych siedzeń w tramwaju, złociła się krucha plecionka i fałdy oliwkowych i brązowych płaszczy, a włoski na szerokich nadgarstkach Simona były jeszcze bardziej złociste, po; dobie jak puszek zarostu na twarzy obecnie częściej golonej. Nabrał teraz nowego, łobuzerskiego zwyczaju charkania na ulicę. Lecz mimo wszystkich zmian, którym uległ albo zaczynał ulegać, nie zatracił swego wspaniałego 50

wyrazu niezależności, którym nade mną panował. Bałem się go, chociaż prawie dorównywałem mu wzrostem. Byliśmy tak samo zbudowani, z wyjątkiem twarzy.

Nie było mi sądzone dobrze się spisać na stacji. Może miały z tym coś wspólnego groźby Simona i jego oburzenie na mnie, gdy zaraz pierwszego dnia musiano mi potrącić pieniądze z wypłaty. Ale okazałem się fajtłapą i za każdym razem miałem prawie dolara deficytu, nawet w trzecim tygodniu. Ponieważ zaś otrzymywałem dwa dwudziestaki ponad koszt przejazdu tramwajem — równo czterdzieści centów — nie mogłem pokryć tego deficytu i którejs nocy w drodze do domu Simon oświadczył mi ponuro, że Borg mnie wywalił.

- Nie mogę biegać za ludźmi, którzy mi nie dopłacają — broniłem się. — Ciskają drobne, chwytają gazetę i tyle ich widać. Nie mogę przecież zostawiać stoisku i rzucać się za nimi w pościg.

Po dłuższej chwili, kiedy znaleźliśmy się w niezmiennym chłdzie zimowym czarnej stalowej upręży mostu nad ciągnącą się, nie nazwaną ciecżą płynącą wstecz rzeki, odpowiedział chłodno z zimnym błyskiem w oczach:

- A nie mogłeś sobie odbić tego na innych, co?

- Co ty mówisz?

■—■ To co słyszysz, tępakul

- Czemu nie powiedziałeś mi tego od razu? — wrzasnąłem.

- Taką prostą rzecz? — spytał, przepychając się gniewnie koło mnie. — Że trzeba zapinać rozporek? Jakbyś miał tyle rozumu co George!

I pozwolił babci krzyżeć na mnie, nie mówiąc nic na moją obronę. Przedtem zawsze mnie bronił, kiedy szło

o coś poważnego. Teraz trzymał się z boku w słabym świetle kuchni z pięścią wspartą o biodro, z przewieszonym przez ramię płaszczem, co chwila zdejmując haczykiem fajerkę piecyka, na którym grzała się nasza kolacja, i poprawiając węgle. Bardzo przeżyłem tę jego nieojalność, ale wiedziałem też, że go zawiodłem wobec Borga, któremu mnie zachwalał jako bystrego braciszka, a ja okazałem się głupcem. Postawiono mnie przy małym stoisku pod kolumną dworca, gdzie mi się trafiali prawic sami maruderzy, i Borg dał mi tylko bluzę od munduru, SI

z wytartą podszewką, poszarpanymi mankietami i oberwanym galonem. Nie miałem przy sobie nikogo, kto by Jmi mógł pokazywać znakomitości, gdyby która zabłądziła w moją stronę, więc spędzałem czas łażąc bezmyślnie i czekając na obiadowego zmiennika i przerwę o trzeciej, żeby móc patrzeć na Simona przy głównym stoisku, na panujący ruch w interesie — tam były rachunkil — na strumień napływających pieniędzy, czarne molekularne krążenie podróźnych, którzy wiedzieli, czego chcą z gum do żucia, owoców, papierosów, stert gazet i pism ilustrowanych, na potęgę przestrzeni i rozpiętości głównego żyrandola. Myślałem, że gdyby Borg postawił mnie tutaj, a nie w moim marmurowym kącie, daleko na skraju dworca, gdzie słyszałem tylko echa i nie widziałem wcale pociągów, lepiej bym się spisał.

Tak więc przeżyłem hańbę wylania z pracy i dostałem burę w kuchni. Starsza pani chyba tylko czekała, że mnie wyleją, i była w pełni przygotowana, aby mi powiedzieć, że są błędy, na które nie mogą sobie pozwolić, pozostając na tym, a nie innym szczeblu drabiny społecznej, dziecko bez ojca, który wyciągałby mnie z kłopotów, bez nikogo, prócz dwu słabych kobiet, które nie mogą wiecznie chronić nas przed głodem, niedolą, wykroczeniami i gniewem świata. Może gdyby nas oddano do sierocińca, jak mama kiedyś zamierzała, byłoby dla nas lepiej. Przynajmniej dla mnie, bo zaznałbym trudów życia, skoro mam taki charakter, że szukam tylko łatwizny i miejsca, gdzie by można sobie spokojnie poleżeć. Trzęsła nade mną gniewną dłonią w takt tych gwałtownych słów, wypowiedzanych dotąd z goryczą jedynie w duchu i zakończonych oceaniczną błyskawicą proroctwa, która wzbierała pod jej czaszką podczas przesiadywania przy piecu w dni poza tym niezbyt świetliste, aż wybuchła.

- Wspomnisz o tym, kiedy będę w grobie, Augie, gdy umrę!

1 dłoń opadła na moje ramię. Stało się to przypadkiem, ale efekt był piorunujący, jęknąłem bowiem, jakby to klepięcie ugodziło moją duszę z dziesięciokrotnie większą siłą. Może jęczałem nad własnym charakterem, świadom jego najgorszych stron, że sam znajdę się w grobie, nim zdołam się naprawić, bo nie ma takiej 52 władzy, która by mnie mogła wyzwolić, oczyścić i ocalić. Ona zaś już teraz stawiała się niejako poza życiem, aby swój werdykt co do mnie uczynić wiążącym nieodwołalnie.

— Gedenk, Augie, wenn ich bin tot!

Lecz nie mogła długo się rozwódzić nad śmiercią. Dotychczas nigdy nie poruszyła tematu własnej śmiertelności wobec nas, był to więc rodzaj potknięcia. Jednakże nawet teraz przypominała faraona lub cezara obiecującego swoje przejście w stan boskości — tyle że nie mogła oczekiwać żadnych piramid ani posągów, aby tej obietnicy dotrzymać, więc w tym tylko im ustępowała. Aliści jej bolesny, straszliwy, bezzębny, obnażający nagie dziaśła krzyk potępienia w obliczu śmierci ogromnie na mnie podziałał. Miała większe niż ktokolwiek inny prawo do podobnej groźby, ale musiała to opłacić ceną własnego lęku.

Następnie powróciła do tematu naszego bezojcostwa. Sam sprowadziłem tę złą chwilę na mamę. Simon wciąż milczał przy niklu i bitumicznej czerni pieca bawiąc się pogrzebaczem. W drugim kącie kuchni siedziała mama, poważna, pełna winy, bezradna ofiara człowieka, który był naszym ojcem. Starsza pani zawzięła się, aby mnie spalić na popiół tej nocy nie bacząc, kogo przy tym oparzy.

Nie mogłem wrócić do dawnej pracy u Woolwortha. Chodziliśmy więc z Jimmy Kleinem wspólnie szukać pracy, mimo ostrzeżeń babci, abym się z nim nie zadawał. Jimmy był bardzo towarzyski i pełen animuszu, drobny, o ciemnej twarzy i wąziutkich oczach, rozgarnięty, na ogół uczciwy, lecz — babcia miała rację — niezbyt wrażliwy na głos sumienia. Nie mógł przychodzić do mnie — babcia mówiła, że nie zamierza aprobować złego towarzystwa. Ale ja, a nawet Georgie, byliśmy zawsze mile widziani u Kleinów. Popołudniami, kiedy musiałem wyprowadzać brata na spacer, mogłem go zostawić z kurczętami, które hodowali, a raczej usiłovali hodować w ciemnym, gliniastym przejściu między domami, gdzie pani Klein siedziała za stołem koło płyty w piwnicznej kuchni i obierając, skrobiąc, krając, tnąc mięso na gulasz, kształtując pulpety, miała go na oku.



Ważąca ponad fto kilo, z jedną nogą krótszą, nie moBP długo stać. Spokojna i prosta, ze zrośniętymi łukami brwi, krótkim zakrzywionym nosem, malowała włosy na czarno płynem otrzymanym za zaliczeniem pocztowym z Altoony. Nakładała ten płyn starymi szczoteczkami do zębów, które trzymała w szklance na oknie łazienki. Nadawał jej splotom osobliwe indiańskie linie\* nic. Opadały wzdłuż policzków ku wielowarstwowemu podbródkowi. Miała małe czarne oczy, aż żenująco litościwe. Była iście papieska w bezmiarze wybaczenia i pobłażliwości. Jimmy miał czterech braci i trzy siostry. Część z rodzeństwa zajmowała się jakimiś tajemniczymi sprawami, lecz wszyscy byli weseli i bardzo gościom radzi, nawet ci w średnim wieku i te starsze Już zamężne. Dwoje dzieci pani Klein się rozwiodło, a jedna córka owdowiała, toteż zawsze w jej kuchni pętały się jakieś wnuczeta, jedne wpadały ze szkoły na obiad albo po szkole na kakao, inne raczkowały po podłodze lub leżały w wózkach. Każdy w tych sprzyjających czasach zarabiał pieniądze i każdy też miał kłopoty, Gilbert musiał płacić alimenty, jego rozwiedziona siostra, Vel ma, nie otrzymywała swoich regularnie. Mąż wybił jej ząb w czasie burdy i teraz często przyjeżdżał błagać jej matkę, aby skłoniła córkę do powrotu. Widziałem, jak kładł rudą głowę na stole i płakał, a tymczasem jego dzieci bawiły się na siedzeniach taksówki. Dobrze zarabiał, ale Velmie dawał mało, w przekonaniu, że wróci do niego, jeśli będzie żyła w niedostatku. Ona jednak radziła sobie pożyczając pieniądze od rodziny. Nigdy nie widziałem ludzi, którzy by bardziej ochoczo komuś lub od kogoś pożyczali. Pieniądze przechodziły u nich z rąk do rąk i nikt do nikogo nie miał o to pretensji.

Lecz Kleinowie potrzebowali mnóstwa rzeczy i wszyst' ko kupowali na raty. Jimmie'go — a z nim mnie — wysyłano z pieniędzmi ukrytymi w nausznikach czapki, aby je wpłacił. Za gramofon, za singerowską maszynę do szycia, za komplet mebli z moherowym obiciem, obciążonymi śrutem popielniczkami, które się nie dawały prze^ wrócić, za wózki dziecięce i rowery, za linolea, za usługi dentystyczne i położnicze, za pogrzeb ojca pana Klein, za usztywniające gorsety i specjalne buty pani Klein, za 54 fotografie rodzinne zrobione w rocznicę ślubu. Zwiedzaliśmy wówczas śródmieście. Pani Klein nie miała nam za złe, że wstępowaliśmy często na różne przedstawienia, by posłuchać, jak Sophie Turner klepie się po tyłku śpiewając Gorącą mamuszkę, albo zobaczyć, jak Rose La Rose pyszni się i rozbiera w leniwym rytmie, który tak bardzo zachwycał Coblina.

— Ta dziewczyna nie jest po prostu piękna — mówił. — Jest całe mnóstwo pięknych dziewcząt, ale ona potrafi chwycić mężczyznę za serce. Nie zrzuca sukni jak inne, ściąga ją przez głowę. Dlatego jest dzisiaj najlepsza w swoim fachu.

Spędzaliśmy w Pętli więcej czasu, niż należało, i stale natykaliśmy się w godzinach lekcyjnych na Coblina stojącego w kolejkach do kas kinowych. Nigdy mnie nie wsypał. Mówił tylko żartobliwie:

— A cóż to znowu dzisiaj, Augie? Burmistrz zamknął szkołę? — Wesoly jak zwykle, radosny, uśmiechnięty w wapiennych i czerwonych światłach pod daszkiem u wejścia, niczym stary król szkockich mgieł z połową twarzy ze szmaragdu, a połową z czerwonego kamienia.

— Co idzie?

— Bardelys Wspaniały plus Dave Apollon i jego tancerki, siostry Komaryńskie. Chodźcie ze mną.

Mieliśmy w tym czasie powód, żeby unikać szkoły. Stało się to za przyczyną Marynarza Bulby, z którym dzieliłem szafkę, tęponosego i czerwonego na gębie, z długimi wypielegnowanymi włosami i konopnymi bakami, co świadczyło, że jest niebezpieczny. Niedźwiedziowały, w zapiętych na mnóstwo guzików, zamiatających ziemię nogawkami marynarskich spodniach i groźnych kamaszach z ostrymi szpicami, był włamywaczem, który okradał świeżo opuszczone mieszkania z armatur łazienkowych i dobierał się do automatów telefonicznych. Otóż ten Bul ba zwędził mi zeszyt do fizyki i przedstawił nauczycielowi jako własny. Ponieważ nie mogłem Bulbie nic zrobić, Jimmy pożyczył mi swój zeszyt, a ja wytarłem byle jak jego nazwisko i wpisałem własne. Sprawa wyszła na jaw i zawezwano Simona. Simon tak samo jak ja nie chciał, aby ściągano do szkoły mamę. Udało mu się w końcu jakoś udobruchać Wiglera, nauczyciela fizyki.

Ale przez cały czas Bulba. z małymi oczkami i łagodną miną, spokojnym i nieprzeniknionym czołem, lekko zmarszczonym w miękkim zimowym świetle klasy, zabawiał się próbując ustawić szczyryk na ostrzach, jak owada z rogami.

Po tym wydarzeniu Jimmy nic musiał mnie długo namawiać na wyprawę do śródmieścia — zwłaszcza w te popołudnia, gdy mieliśmy fizykę — gdzie w braku innych zajęć jeździliśmy ratuszową windą z jego bratem, Tomem, od złoconego hallu do Sądu Muncypalnego. Wznosiliśmy się i opadali w klatce windy ocierając się o grube ryby, finansistów, komisarzy rządowych, dorobkiewiczów, opryszków, fagasów, kobieciarzy, chuliganów, kombinatorów, powodów, gliny, mężczyzn w szerokoskrzydłych kapeluszach i kobiety w pantoflach z jaszczurczej skóry oraz futrach, wśród mieszaniny podmuchów szklarniowych i arktycznych, atmosfery brutalności i seksu, znamion dobrego odżywiania się i systematycznego golenia, kombinacji, żalów, beztrioski i nadziei na grube miliony w wylanym cemencie lub całych rzekach nielegalnej whisky i piwa.

Tommy posyłał nas na Lake Street do swojego maklera, który pod szyldem sklepu tytoniowego prowadził biuro gry giełdowej, a później bukmacherkę. Tommy był świetnie ustawiony, otrzymywał cynki. Lecz nawet w tych czasach łatwych pieniędzy wychodził tylko na swoje. Jeżeli nie liczyć zysków, które szły na jego garderobe i prezenty dla rodziny. Klei nowie byli wszyscy dawcami prezentów. Darowane płaszcze kąpielowe i szlafroczy, lustra weneckie i gobeliny z dworkami w świetle księżycy, stoliki i stoliczki, lampy na onyksowych postumentach, maszynki do kawy i elektryczne toasty, powieści - całe pudła różnych rzeczy zalegały w szafach i pod łózkami, czekając, aż staną się przydatne. A mimo to, z wyjątkiem niedziel, kiedy się sztafirowali, Kleinowie sprawiali wrażenie ubogich. Stary Klein wkładał kamizelkę wprosi na podkoszulkę z długimi rękawami, a papierosy robił sobie sam maszynką.

Jedyna niezamężna córka Kleinów, Eleonora, nosiła się z cygańska, stroiła w jaskrawe kwiaty i malowała japońskimi szminkami. Tłusta i blada, z czymś czerkief 56 kim w inteligentnych oczach, bardzo ludzka, aż nadto pogodzona ze złym losem, rozumiejąc, że przy swojej tuszy nie znajdzie męża, nic zazdrościła zamężnym siostram i obrotnym braciom, że im się lepiej powiodło, miała w sobie jakąś serdeczność, nieomal męską i braterską. Dla mnie była szczególnie miła, nazywała mnie „kochanecz- kicm”, „małym braciszkiem” i „złotkiem”, wróżyła mi z kart i zrobiła na drutach czapkę z trzema czubkami z żółtej i zielonej włóczki, żebym wyglądał na ślizgawce jak norweski mistrz. Kiedy się dobrze czuła — cierpiała na reumatyzm i jakieś dolegliwości kobiece — pracowała jako pakowaczka w fabryce mydła na North Branch. Kiedy zaś była w domu, przesiadywała z matką w kuchni, owinięta w lśniące, kwieciste materiały, z ciężkimi czarnymi włosami, które zwisały luźno i bulwiasto od koka, i piła kawę, robiła na drutach, czytała, goliła nogi, słuchała operetek z płyt gramofonowych, malowała paznokcie, i wykonując te konieczne, na wpeł konieczne albo zbędne rzeczy, niewidocznie zapadała wciąż głębiej i głębiej w nastrój kobiety zasiedziałej.

Kleinowie żywili dla babci Lausch szacunek i podziw za trud, jaki podjęła względem nas. Babcia jednak dowiedziała się z jednego ze swoich pinkertonowskich źródeł, że widziano Georgie'ego wśród kurcząt w przejściu między domami — nieszczęsne ptaki nigdy nie osiągały pełnego wzrostu, z braku słońca i dobrego pożywienia, tylko pierzyły się i zdychały marnie w dziwnym stadium rozwoju — i bardzo brzydko wyrażała się o Kleinach.

Nie zesłała na dół, żeby powiedzieć, co o nich myśli, bo nic było sensu wszczynać z nimi kłótni. Mogli mi czasem załatwić jakieś drobne zajęcie — przez wuja Jimmie'ego, Tambowa, który dysponował głosami krewnych i dzięki temu bardzo się liczył w republikańskiej polityce dzielnicy. Mieliśmy bardzo dobry miesiąc przed wyborami, kiedy rozprawdzaliśmy literaturę wyborczą. Tambow często dawał nam robotę, gdy ktoś podsunął mu jakiś interes, na przykład znalezione rzeczy w urzędzie pocztowym albo towary zajęte na skutek bankructwa. Niełatwo było oderwać go od kart, lecz kiedy dokonał zakupu partii żyłek, skórzanych pasków,

\$7

lalek, cymbałków, przyrządów do cięcia szkła, mydła hotelowego albo apteczek pierwszej pomocy, wolnych od konieczności posiadania koncesji, urządził stoisko na Milwaukee Avenue i zatrudnił nas. Synowie nie chcieli dla niego pracować.

Był rozwiedziony i mieszkał w jednym pokoju. Miał ogromny nos, twarz z obwisłą skórą, z workami pod oczyma jak u brodzącego ptaka, zmiętą, zielonkawą, i szarą. Cierpliwy, wytrwały, gruby, zagłębiony w krzesło jak \aquero w siodle, oddychał ze świstem z powodu nadmiernej tuszy i ściskanego zębami cygara, a w nosie i na palcach wokół licznych pierścieni miał kępki włosów. Wszystkie pory roku były dla niego jednakowe. W maju czy listopadzie jadał zawsze o jedenastej śniadanie złożone ze słodkich bułeczek, herbaty z mlekiem i kostką cukru, na obiad befszyk z pieczonymi kartoflami, wypalał dziesięć do dwunastu Ben Beyów dziennie, nosił wciąż te same pasiaste spodnie starszyny miejskiej, konwencjonalny ciemny kapelusz niczym aureolę wysokiej pozycji społecznej nad niegdyś mocną twarzą, dumając, jaką zrzucić kartę, kiedy zagrać waleta czy asa, albo czy dać synowi, Clementiemu, te dwa dolary, po które ten często przychodził. Clementi był jego młodszym synem i mieszkał z matką i ojczymem na tyłach sklepiku z bielizną niemowlęcą. — Z przyjemnością, mój chłopcze — albo: — Z przyjemnością, ale jutro — mówił Tambow. Nigdy nie odmawiał synom, którzy mieli ojczyzna. Głęboko pod skórą, wśród intensywnych woni tłuszczu, herbaty i cebuli swojej restauracyjnej kwatery głównej, jednym ruchem strącając popiół z cygara na spodnie i biorąc karty, nie był mimo wszystkich innych grzechów kutwą. Miał książęcy gest, gdy szło o pieniądze, tak jak Kleinowie. A Ciem też nie żałował pieniędzy i fundował. Lecz nie chciał pracować ani dla ojca, ani dla nikogo innego. Stary Tambow ustawiał nas zatem w tłumie na Milwaukee Avenue, dawał nam Sylwestra za szefa, załatwiał z glinami, aby się nas nie czepiali, i wracał do kart.

Były to ciężkie czasy dla Sylwestra. Stracił dzierżawę kina, które i tak nie przynosiło mu wielkich dochodów — przerobiono je na sklep z farbami ściennymi i tapetami gg i zamieszkał u ojca, bo żona go rzuciła i jak sam 58 opowiadał, ciskała w niego kamieniami, gdy szedł do niej przez podwórko. Stwierdził, że jest wariatką, i posłał jej list wyrażający zgodę na anulowanie małżeństwa. Żeby zdobyć pieniądze na opłaty w Armour Tech, gdzie próbował skończyć swoje studia inżynierskie, sprzedał meble i aparaturę kinową, a teraz mówił, że za długo był poza uczelnią, by mieć cierpliwość do wysiadywania na wykładach. Ze łzawiącymi w listopadowym wietrze oczyma stał z nami na Milwaukee Avenue trzymając grube łapy w kieszeniach płaszcza, z głową wciśniętą w ramiona, i uderzając nogą o nogę opowiadał ponure dowcipy. Nie zważał na różnicę wieku między nami. Mówił wszystko, co myślał. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera chciał wyruszyć na zwiedzanie świata. Obce rządy podobno przyjmowały z otwartymi ramionami amerykańskich inżynierów i będzie mógł pojechać, dokąd zechce. Pojedzie do Kimberley, gdzie krajowcy chowają diamenty we własnych jelitach. Albo do Rosji Sowieckiej — przyznając się teraz otwarcie, że sympatyzuje z Czerwonymi i uwielbia Lenina, a zwłaszcza Trockiego, który wygrał wojnę domową poruszając się czołgiem i czytając francuskie powieści, podczas gdy wykurzano carów, popów, baronów, generałów i obszarników z ich pałaców.

Przez cały ten czas Jimmy i ja siedzieliśmy na dwóch wielkich walizach Tambowa i krzycząc: — Żyleetki, żyleeetki! — handlowaliśmy. Sylwester inkasował pieniądze.

#### Rozdział IV

Wszystkie te wpływy stały do mnie w kolejce. Gdy się urodziłem, one już czekały, by mnie kształtować, i dlatego mówię o nich więcej niż o sobie.

W owym czasie, a także i później, bardzo słabo zdawałem sobie sprawę z konsekwencji mojego postępowania, toteż starszej pani nigdy się nie udało dość skutecznie przemówić mi do wyobraźni różnymi ostrzeżeniami i przewidywaniami, co mi grozi — zaświadczenie

o przydatności do pracy, doki, łopata, obóz pracy przymusowej, chleb i woda, wieczna ignorancja i degradacja. Powoływała się na to wszystko coraz zajadlej

I zajadlej, zwłaszcza od chwili, gdy zacząłem chadzać z Jimmym Kleinem, usiłowała zaostrzyć dyscyplinę domową, sprawdzać czystość paznokci i kołnierzyka koszuli przed wyjściem do szkoły, surowiej odnosiła się do moich manier przy stole i groziła, że jeśli przyjdę do domu po dziesiątej wieczorem, mogę zastać drzwi zamknięte na klucz. — Idź sobie do Kleinów, jeżeli cię przyjmą. Posłuchaj mnie, Augie, ja chcę wykierować cię na ludzi. Ale nie mogę przecież wysyłać za tobą na przespługi mamy. Ja chcę, abyś był mensch. Masz mniej czasu na to, aby się zmienić, niż ci się wydaje. Przez tego Kleina popadniesz w tarapaty. On ma złodziejskie oczy. A teraz mów prawdę: czy on jest uczciwy? Aha! Patrzenie, nie odpowiada. No proszę — rzekła i natarła ostro: — Mów!

— Tak — odparłem bezbarwnie, zastanawiając się, co ona może wiedzieć i kto jej o tym doniósł. Bo Jimmy, 60

podobnie jak Stasiu Kopeć, rzeczywiście brał, co mu się spodobało, ze sklepów i stoisk. A właśnie w tym czasie zajmowaliśmy się pewnym szwindelkiem w pobliskim domu towarowym Deevera, gdzie przed Bożym Narodzeniem pracowaliśmy jako nadetatowi w dziale zabaw-karskim, w charakterze pomocników świętego Mikołaja, przebrani za elfy o pomalowanych twarzach.

Jako starsi gimnazjaliści zaczynaliśmy już być za duzi do tej roli, ale sam święty Mikołaj był ogromny. Przebierał się za niego pewien Szwed, palacz i majster do wszystkiego z zaułka przy domu towarowym, niegdyś palacz okrętowy z Duluth, o mięśniach zdolnych gnać żelazne sztaby i neandertalskich oczodołach, z czerwonym od bimbrowego czołem i ukrytymi pod sztuczną brodą ustami wypchanymi tytoniem do żucia Copenhagen Seal. Na pełen dziur podkoszulek przywiązywał sobie poduszki, żeby się pogrubić, wypychał poduszkami również spodnie, bo nogi miał cienkie i długie, a potem ubieraliśmy go w płaszcz. Pomalowani szminkami teatralnymi i upudrowani świecącym proszkiem Jimmy i ja chodziliśmy z tamburynami i diabelskimi językami po całym domu towarowym fikając koziołki w błazeńskich kostiumach z bilardowego sukna i ściągaliśmy gromady dzieciaków na drugie piętro, gdzie ów szwedzki święty Mikołaj siedział w saniach ze zmyślnie podwieszanym u sufitu reniferem pośród turkotu drewnianych kolejek i koszyków na pieniądze, które wędrowały szybko i mechanicznie po drutach do budki kasjerki. Mieliśmy tu w swojej pieczy beczkę niespodzianek ozdobioną czerwonym i zielonym papierem, ostrokrzewem, szychem i zwojami łańcuchów z cynfolii. Te bożonarodzeniowe paczki-niespodzianki z beczki szły po dwadzieścia pięć centów. Jimmy stwierdził, że nie może być nad nimi żadnej kontroli, i zaczął wkładać do własnej kieszeni co dziesiątą ćwierćdolarówkę. Przez kilka dni nic mi o tym nie mówił, tylko stawiał lunch. Potem, gdy ruch w interesie zrobił się większy, dopuścił mnie do tajemnicy. Mieliśmy odnosić pieniądze do kasjerki, gdy tylko uezbiera się dziesięć dolarów. — Ona je wrzuca do worka razem z innymi drobnymi — mówił. — Nie zapisuje, od kogo pochodzą, bo jest za bardzo zajęta zgarnianiem pieniędzy,

więc czemu mielibyśmy ich trochę nie uszczknąć? — Od by- J liśmy wiele rozmów na ten temat i w końcu zwiększyliśmy 1 procent do dwóch ćwierćdolarówek na każde dziesięć. 1 W całym tym blasku, wrzawie i ruchliwości, kiedy uwaga wszystkich była rozproszona w bożonarodzeniowym po- dzwanianiu, warkocie, kolędach i graniu kurantów, nikt nie mógł zauważyć, co robiły skrycie nasze ręce. Ukradliś- f my w ten sposób sporo pieniędzy. Jimmy więcej niż ja. Nie tylko bowiem zacząłem później od niego, lecz jeszcze musiałem przerwać na kilka dni pracę z powodu przejedzenia się ciastkami z kremem oraz innymi ciężko strawnymi smakołykami, których sobie nie żalowaliśmy; | A może fepowodu napięcia nerwowego wywołanego wspa- nialością i sukcesem czynionego zła, a także problemu, jak wydać te pieniądze,|Jimmy poświęcał dużo na pre- I zenty — eleganckie bambosze i ozdobne pantofle dla wszystkich, bonżurki, krzykliwe krawaty, dywaniki i garn- ki aluminiowe firmy Wearever. Ode mnie mama dostała szlafrok kąpielowy, starsza pani spinkę z kameą, Georgie kraciaste pończochy, a Simon koszulę. Dałem też prezenty pani Klein, Eleonorze i niektórym dziew- czętom w szkole.

Dni, kiedy nie pracowaliśmy, spędzałem u Kleinów, gdzie okna były na równi z chodnikiem, i poznałem smak siedzenia sobie w saloniku, gdy tymczasem na zewnątrz coś się właśnie kroi z naszych złych uczynków, jak dla Rogera Touhy, Tommy'ego O'Connora, Basila Banghar- ta lub Dillingera, którzy mieli twarze zmienione operacjami plastycznymi, opuszki palców spalone kwasem, stawiali pasjansy, śledzili wyniki meczów sportowych, posyłali po hamburgery i napoje i w końcu dawali się złapać w drodze do kina lub podczas ucieczki przez dach. Czasami robiliśmy napisy na wykresie genealogicznym Jimmy'ego, Kleinowie bowiem wierzyli, że pochodzą od hiszpańskiego rodu Avilów, z trzynastego wieku. Mieli kuzyna w Mexico City, który produkował skórzane j kurtki, i to właśnie on był autorem tej teorii. Ja chętnie wierzyłem w takie sprawy. Pracowałem z Jimmym nad arkuszem papieru milimetrowego wyprowadzając jego drzewo genealogiczne czerwonym i czarnym tuszem. Czulem się głupio.

62

Pod koniec świąt Bożego Narodzenia wykryto nasze kradzieże u Deevera. Kierownik działu zabawkarskiego przyszedł na rozmowę do babci. Zrobiono inwentaryzację paczek. Nawet nie próbowaliśmy wypierać się kradzieży, a ja przynajmniej nie podawałem w wątpliwość sumy siedemdziesięciu dolarów, którą wymienił kierownik, chociaż w rzeczywistości wzięliśmy mniej. Babcia początkowo odmówiła wszelkiego wstawiennictwa. Powiedziała lodowatym tonem Simonowi, żeby wezwał Lubina, kuratora społecznego, bo ona nie wygrała zdrowia na loterii i podjęła się tylko pomocy w wychowywaniu dzieci, a nie zajmowania się kryminalistami. Simon jednak przywołał ją do porządku, bo jak powiedział, Opieka Społeczna zechce wiedzieć, od jak dawna pracujemy i czemu jej o tym nie doniesiono. Rzecz jasna, babcia nie miała najmniejszego zamiaru zezwolić na to, aby wysłano mnie do poprawczaka, czym mi grożono. Ale ta groźba istniała i byłem przygotowany z istic chińską rezygnacją, że stanę przed sądem dla nieletnich i znajdę się w poprawczaku. Ukazuje to po trosze, że czyjś gniew był dla mnie dowodem jego racji. Jednakże z drugiej strony nie miałem prawdziwego poczucia dokonania występnego czynu, poczucia, że znalazłem się po złej stronie szerokiej linii dzielącej całą ludzkość, po tej gorszej czy też słabszej stronie, wespół z ludźmi o poznaczonych bliznami czo- łach, okaleczonych kciukach, rozplątanych uszach i nosach.

Tym razem nie było zwykłych grózb i łajań, lecz absolutne upokorzenie. Po tym pierwszym wielkim huku, w pełnej gali, babcia zaczęła traktować mnie chłodno. Simon zachowywał w stosunku do mnie dystans. Nie mogłem mu zarzucić, że sam radził oszukiwać przy wydawaniu reszty; powiedziałby po prostu, że jestem dureń, i zachowywałby się, jakby nie wiedział, o czym mówię. Mama zapewne odczuła to jako dopust boży i karę za jej nieszczęsną kapitulację wobec naszego ojca. Ale nawet ona powiedziała mi kilka ostrych słów. Cierpiałem jak bóbr. Jednakże nie zmusili mnie do próśb i błagań—choć nie pozostałem niewzruszony na myśl, że mnie zamkną, zgołą mi głowę, będą karmili wodnistą zupą, musztrowali w błocie, poniewierali i traktowali jak

63

śmiecia. Skoro zdecydowali, że sam się o to prosiłem, nie wiedziałem, jak mógłbym to kwestionować.

Tak naprawdę to wcale mi nie groziło umieszczenie w poprawczaku. Szlafrok, kamea i inne rzeczy zostały zwrócone. Z zarobionych przeze mnie u Coblina pieniędzy zostało dość, by spłacić resztę. Kleinowie też wyratowali Jimmy'ego z opresji. Ojciec sprawił mu lanie, matka się popłakała i cała rzecz poszła dawno w zapomnienie, zanim niełaska, w jaką ją popadłem u swojej rodziny, zelżała choćby o stopień. Nasz dom okazał się pod tym względem znacznie surowszy. Kleinowie też się długo na mnie nie gniewali. W ich oczach nie było powodu do gniewu i nie myśleli, iż to wydarzenie spaczyło moją duszę. Po kilku dniach stałem się tam równie mile widziany jak dawniej, a Eleonora znów mówiła do mnie: „kochaneczku”, i zrobiła mi na drutach szalik w miejsce tego, który musiałem zwrócić.

Gdy Jimmy wykaraskał się z tarapatów, udając cały czas niewzruszonego i cynicznego i zbierając bez skrzywienia mocne, a niespodziewane razy ojca, oburzał się, że u Deevera tak na nas zarobili. Bo istotnie zarobili. Zastanawiał się nad zemstą i mówił nawet o podpaleniu, lecz ja miałem już dość kłopotów z domem towarowym Deevera, on szczerze mówiąc też, ale te knowania sprawiały mu ulgę.

Ciem Tambow, kuzyn Jimmy'ego, uśmieł się z nas zdrowo słysząc naszą debatę na temat podpalenia sklepu i inne desperackie propozycje. Powiedział, że jeśli chcemy odzyskać trochę straconych pieniędzy, możemy przystąpić do konkursu charlestona u Webbera i spróbować uczciwie zarobić. Wcale nie żartował. Chciał zostać aktorem i już raz próbował sił w występach amatorskich naśladować Brytyjczyka, który usiłował wygłosić długą opowieść o jakimś wydarzeniu na Przełęczu Khyberskiej. Polacy i Szwedzi wygwizdali go, a mistrz ceremonii skreślił z programu. Jego brat, Donald, rzeczywiście wygrał pięć dolarów za stepowanie i zaśpiewanie Mar-a-uity. Donald był przystojniejszy, o czarnych, wijących się włosach — ukochany syneczek mamusi. Ona też była przystojna, pełna godności, nosiła w sklepie czarne suknie i pince-nez. Jej najulubieńszym tematem był brat, przemy- 64

słowiec, który podczas wojny zmarł w Warszawie na tyfus. Ciem odziedziczył urodę po ojcu: czerwona twarz, nos i głowa kościste, niskie czoło, duże usta, wszystko z wyjątkiem wagi; nogi miał długie, nerwowe. Miałby szansę na zwycięstwo w biegu na pół mili, w zawodach miejskich, gdyby nie palił cygar i nie uprawiał — jak sam się chwalił — tego, co w podręcznikach zdrowia nazywa się masturbacją i upustem męskości. Szydł z własnej nikczemności oraz innych rzeczy, które wywołują strofujące pomruki świata. Stąpił z dumą po bieżni z udami chudymi jak łydki i porośniętymi czarnymi prostymi włoskami, szykowny i pełen lekceważenia dla innych zawodników, tych bubków, którzy zadzierali nosa i wypinali pierś. Ale mimo wszystko dręczyła go trochę niepewność i niepokój, a jego czarne oczy w długiej surowo-żartobliwej twarzy bywały czasem bardzo smutne. Potrafił się smucić jak wszyscy diabli. Mówił, że nie ma takiej rzeczy, której nie mógłbym zrobić lepiej od niego. — Tak, tak — mówił — mógłbyś pieprzyć dziwki, które nie chciałyby nawet na mnie spojrzeć. — Była to główna sprawa, w której pokładał we mnie zaufanie. — Z takimi zębami. Są idealne. Moja matka dopuściła, żebym zmarnował swoje. Jeżeli kiedykolwiek zbiję forszę, będę musiał sobie sprawić sztuczną szczękę. — Śmiałem się prawie ze wszystkiego, co mówił, toteż często nazywał mnie tępakiem. — Biedny March, on się ze wszystkiego śmieje.

Na ogół zgadzaliśmy się z sobą wspaniale. Odnosił się wyrozumiale do mego braku dojrzałości i znalazłem w nim i Jimmym podporę, kiedy {zachorowałem z miłości, z wszelkimi klasycznymi oznakami, jak brak apetytu, całkowite zaabsorbowanie, tęsknota, ogromna schludność w wyglądzie zewnętrznym, nieporadność i głowa nabita zaczerpniętymi z filmów ideałami, a także frazesami z popularnych piosenek} Dziewczyna nazywała się Hilda Novinson i była dość wysoka, ale o drobnej twarzy, z błądzą i innymi oznakami słabych płuc, cicha, mówiąca szybko, nieśmiała. Nigdy nie odezwałem się do niej ani słowem, tylko mijałem udając żałośnie, że to jedynie przypadek, cały w siódmych potach i pełen skrytych uniesień. Przechodziłem obok ciężkim krokiem udając obojętność i zaabsorbowanie innymi sprawami.

Wyglądała na nieco starszą ze swą twarzą o wystających kościach policzkowych oraz bladymi oczyma, umieszczonymi nisko i unikającymi spotkania z cudzym wzrokiem. Chodziła w zielonym żakiecie, paliła papierosy, nosiła książki przyciśnięte do piersi i miała stale rozpięte botki, które podzwaniały zapinkami. Szeroko rozłożone cholewki tych rozpiętych botków, ich szybkie podzwania- nie, działały na mnie niczym podsycające gorączkę ukłucia i budziły wręcz idiotyczne pragnienie, by paść przed nią na twarz. Później, kiedy zmądrzałem i wyzbyłem się ciełcowatości, stałem się bardziej zmysłowy. W tym początkowym okresie znajdowałem się na etapie dworskości, pragnienia czystego uczucia, a byłem dobrze wyposażony, prawdopodobnie dziedzicznie, we wszelkie przybory miłosne.

Nie miałem pojęcia, że Hildzie mogło schlebiać moje chodzenie ślad w ślad za nią, toteż zdumiałem się, gdy Ciem i limmy mi to powiedzieli. Włóczyłem się za nią po korytarzach, manewrowałem, żeby siedzieć blisko niej na meczach koszykówki, zapisałem się do Bonheur Club, żeby przynajmniej raz na tydzień spędzać po szkole godzinę w tym samym co ona pokoju, i cierpiąc strasznie stałem na tylnej platformie tramwaju, kiedy jechała do domu. Ona wysiadała przez przednią, a ja zeskakiwałem z tylnej na kupy zabrudzonego sadzą śniegu i szare, mokre płyty ulicy w Dzielnicy Zachodniej. Jej ojciec był krawcem i mieszkali za pracownią. Hilda wchodziła za zasłonę w drzwiach L. co robiła? Zdejmowała rękawiczki? Botki? Wypijała kubek kakao? Paliła papierosa? Ja nie paliłem. A może szperała w książkach? Skarżyła się, że ją boli głowa? Zwierzała się matce, że czają się w zimowe popołudnie w migotliwych światłach ciężko człapiący, w baranim kozuszkach? Nic sędzę, aby to robiła. A jej ojciec, krawiec, nie wydawał się świadom mojej obecności, chudy, nie ogolony, zgarbiony. Mogłem na niego patrzeć, ile tylko chciałem, kiedy spinał materiał szpilkami, spryskiwał, prasował, zmęczony i niepomny na nic. W każdym bądź razie Hilda raz wszedłszy do środka, już nie wychodziła. Zapadała w ów dom i zdawała się nie mieć żadnych spraw na zewnątrz.

Kiedy naokoło jest tyle laleczek, dla których można 66

stracić głowę! — kpił Ciem Tambow, wzdurliwy i z brzydką miną. — Chodź ze mną raz na kurwy, a zapomnisz

0 niej. --- Ja oczywiście nie odpowiadałem. — Więc pozwól mi do niej napisać — proponował — to cię z nią umówię. Wystarczy, że raz się z nią przejdiesz i pocałujesz, a będziesz miał dość. Zobaczysz, że ma ptasi mózg 1 nie jest ładna. Ona ma paskudne zęby. — Nic zgodziłem się i na to. — Więc dobra, porozmawiam z nią. Powiem, niech cię chwyta, póki masz zaćmę na oczach. Nigdy nie złapie przystojniejszego od ciebie chłopaka i na pewno

0 tym wie. Co ci się w niej tak podoba? Chyba to, że pali papierosy. — W końcu Jimmy rzekł: — Daj mu spokój, on chce nieść pochodnię — po czym chwyciwszy się bezwstydnie za genitalia zaczęli się tarzać po meblach saloniku Kleinów, który był naszym klubem. Ale nie zaprzestałem tego pełnego czci, żalostnego snucia się za nią lub wystawiania niby malowany słup przed pracownią krawiecką w niebieskawe popołudnie. Jej chudy ojciec szył pochylony i zapewne wcale nie dbał o to, jak go widzą z ulicy poprzez szybę oświetlonego pomieszczenia, a chuda jak pisklę siostrzyczka w czarnych spodenkach gimnastycznych cięła wielkimi nożycami papier.

Minęło kilka tygodni, zanim uczucie moje nieco ostygło, a tymczasem w domu byłem wciąż w niełasce. Fakt, że przynosiłem w tym okresie miłosnego odurzenia mało pieniędzy, nie poprawiał sytuacji. Simon przychodzi!

1 wychodził o bardzo dziwnych porach i nie musiał się z tego tłumaczyć, ponieważ pracował. Nie wracaliśmy już do domu na lunch i w związku z tym mama musiała przejąć na swoje barki obowiązki, które zwykle wykonywaliśmy w południe, a więc noszenie węgla, wyprowadzanie Winnic, przyprowadzanie George'a ze szkoły i męczące wykręcanie prześcieradeł, gdy prała, przez co stała się jeszcze bardziej chuda i wynędzniała od tej dodatkowej pracy. W każdym razie w domu panował ton i atmosfera anarchii, braku dyscypliny, a także władzy słabnącej wskutek wieku i zwlekania, planującej uderzenie, od którego zatrząsie się cały pałac jak za dawnych czasów, a dworzanom powypadają z rąk kubki w chwili, gdy się będą tego najmniej spodziewali.

— No co, Augie? Co? Skończyłeś już z pracą? — spy-

łała mnie babcia. — Skończyłeś, co? Chcesz całe życie być na łasce Opieki Społecznej?

Niby to miałem w owym czasie pracę w kwaciarni. Tylko że w te popołudnia, gdy przebywałem na zebraniach Bonheur Club albo włóczyłem się za Hildą Novinson z tymi jej chwytającymi za serce botkami w stajałym śniegu, łatwo mogłem skłamać, że Bluegren nie ma dla mnie nic do doręczenia.

Bluegren dawał mi do roboty to, co mu danego popołudnia podszeptał kaprys, a była to częściej pomoc przy splataniu i owijaniu drutem słomianych rdzeniów do wieńców (miał sporą klientelę spośród gangsterów) niż doręczanie kwiatów, kiedy domyślał się, że będą napiwki, które na ogół trafiały się spore. Nie lubiłem jeździć tramwajami z dużymi wieńcami czy kwietnymi ozdobami drzwi domów w żałobie, ponieważ wczesnym wieczorem trafiałem na powracające z pracy tłumy i musiałem wywalczyć sobie miejsce w kacie i bronić go przed konduktorami i przed zimowo drażliwymi pasażerami, osłaniając kwiaty ciałem, za co mnie nieźle besztano. Poza tym, gdy szedłem do przedsiębiorstwa pogrzebowego żonglując paczką nad głową jak kontrabasista i brnąc powoli wśród klaksonów, wrzawy i tłumów, czasami w wyścielanych, cichych, obitych pluszem i różowo lśniących mahoniem salonach pogrzebowych nie zastawałem prawie nikogo, kto by mi dał napiwek, oprócz jakiegoś fagasa, któremu wręczałem wieniec, ubrany w swoją rogatą czapkę lyżwiarską i z zasmarkanym nosem, doprowadzanym do porządku dotknięciem ręki w wełnianej rękawiczce. Czasami zdarzało mi się trafić na grono czuwających, którzy podawali sobie z rąk do rąk dzban taniego bimbru w jednym z tych oddalonych parterowych domków, do których się szło po chodniku z desek przez grzęzawisko podwórka, owych pomieszczeń dla przyjaciół i żalobników. Kiedy się wchodziło z kwiatami do jednej z tych pachnących whisky salek żalobnych, nikt nie był aż tak pochłonięty smutkiem, aby człowieka nic dostrzec, jak to się w innych przypadkach zdarzało, i wychodziło się z dolarem albo więcej w ciężących w czapce drobniakach. Ale tak czy owak wolałem być w sklepie — w przepływie kwiatów jak z Pól Elizejskich, 68 kwiatów leżących pękami wokół skrzynek z ziemią w pokoju na tyłach albo złożonych za grubymi szybami chłodni róż, goździków i chryzantem. Zwłaszcza że byłem zakochany.

Bluegren był imponującym mężczyzną, jasnowłosym, przymilnym i ogromnym, o wielkim zdrowym cielsku — przyjaciel gangsterów i szmuglerów alkoholu, bardzo zaprzyjaźniony z takimi ludźmi jak Kuba Golibroda i swego czasu szef gangu Dzielnicy Północnej, Dion OBannion, sam poniekąd kwaciarz, zabity we własnym sklepie przez trzech mężczyzn, ponoć wysłańców John-ny'ego Torrio, którzy potem uciekli granatową limuzyną. Bluegren wkładał rękawiczki, aby nie pokłuć się kolcami, kiedy wyciągał szybkim ruchem jedną z róż, aby następnie przyciąć ją nożycami. Miał zimne, niebieskie oczy, przygotowane na wszelkie niespodzianki, i duży mięsisty nos, nieco wszystkim znudzony. Przypuszczam, że taka kombinacja musi powstać, kiedy się ma fałszywe myśli i szczerą twarz lub szczerze myśli i fałszywą twarz. Bluegren należał, jak sądzę, do tego pierwszego typu, skutkiem powiązań z gangsterami i odczuwanego lęku lub tymczasowości. To go właśnie uczyniło takim. Bywał szorstki i rozgorączkowany, czasami bardzo swarliwy, zwłaszcza po głośnym morderstwie któregoś z Gennów lub Aiellów. A tej zimy zabito mnóstwo facetów.

To była dla wszystkich zła zima — nie tylko dla notabli, lecz i dla ludzi, których nic nie obchodziło, prócz własnej doli i niedoli, i którzy zajmowali się ograniczonym kręgiem spraw własnych serc i umysłów. Ludzi jak Kreindl, dajmy na to, Eleonora Klein albo moja matka. W tych dniach Kreindl urządzał historyczne sceny i miotał się po swoim mieszkaniu w suterenie jak dziki, rzucając talerzami o podłogę i tupiąc nogami. A Eleonora popadała w przygnębienie i często płakała nad swoim losem. W atmosferze tych dni było mnóstwo tego rodzaju impulsów, wystarczająco dużo, aby osiągnąć i poruszyć wszystkich. Sam odczułbym to dotkliwiej, gdyby nie Hilda Novinson.

Mama też bardzo się denerwowała, co u niej trzeba było umieć dostrzec, ponieważ nie towarzyszyły temu zwyczajne objawy. Poznawałem to po zawziętości, jaka



przeglądała z jej potulnej twarzy, i dłuższym zatrzymywaniu się spojrzenia jej słabych zielonych oczu na otaczających przedmiotach, a czasem po jej ciężkim oddechu, którego nie wywołało zmęczenie. Powstawała w niej niemądra czujność, jakby dostrzegła w czymś zapowiedź zła.

Niebawem dowiedzieliśmy się, co się kroi — staruszka była gotowa do zadania ciosu. Zaczekała z tym na wieczór, kiedy usiedliśmy do kolacji. Ja wróciłem z roznoszenia kwiatów śmierci; Simon zaś tego dnia nie poszedł na stację. I nagle babcia wypaliła, że już najwyższy czas, aby coś zrobić z George'em, który dorasta. Na stole stał gulasz wołowy i wszyscy, nie wyłączając George'a, jedli dalej mięso wycierając chlebem sos. Ale ja nigdy nie zakładałem, tak jak babcia, że Georgie był nieświadom tego, co o nim mówiono. Przecież i pudlica Winnie, nawet tuż przed śmiercią, gdy była już głucha, wiedziała, że się o niej mówi. A George czasem miewał wyraz i uśmiech Giocondy, gdy o nim rozprawiano, twierdząc to stanowczo, jakiś subtelny wyraz, który spływał z jego białych rzęs i policzków, rodzaj odzwierciedlenia mądrości spętanej niemocą, krytyki życia nas wszystkich. Nie pierwszy raz babcia mówiła o przyszłości George'a, lecz teraz nie była to zwyczajna gadanina, tylko poważne zabranie się do sprawy. Z wyrazu wyczekiwania na twarzy mamy wnoszę, że już o tym wiedziała. Pędzej czy później coś trzeba z nim zrobić, mówiła staruszka. Trudno sobie z nim radzić, gdy tak bardzo wyrósł i zaczął wyglądać jak mężczyzna. Co zrobimy, kiedy mu strzeli do głowy zacząć dobierać się do dziewcząt, powiedziała, i narobi nam kłopotów z policją? Był to nieskrywany wyrzut za wszelkie trudności z nami, nieposłuszeństwa, krnąbrność, lekceważenie naszej rzeczywistej sytuacji, a główną tego przyczyną byłem właśnie ja, z czego zdawałem sobie świetnie sprawę. Powiedziała, że trzeba oddać George'a do zakładu specjalnego. Przecież i tak nie może przez całe życie pozostawać z nami, którzy jak dotąd nie wykazaliśmy wielkich zdolności w ponoszeniu ciężarów. Poza tym Georgie musi się czegoś nauczyć, jakiegoś koszykarstwa, szczerkarstwa czy czego tam uczą niedorozwiniętych, mieć zawód, aby na siebie choć trochę zarabiać. Zakoń-

70  
czyła mocnym akcentem, grożąc, że sąsiedzi, którzy mają małe córki, już złoścą się na widok włóczącego się po podwórkach George'a, prawie dorosłego do długich spodni. Nie kryjąc niesmaku powiedziała, że dojrzał jako mężczyzna. Określiła to jako coś sprośnego, czemu jednak należało stawić czoło. Dała temu wyraz w starczym grymasie odrazy i napelniła nas zgrozą.

Ach, jakże się cieszyła, że potrafiła nas zmusić do przełknięcia tego porządnego haustu swojej mikstury rzeczywistości i mogła obserwować nasze trzeźwiejące pod jej wpływem oczy. Kończąc przemowę miała na twarzy przeraźliwy wyraz dominującej przyjemności. Umilkła z uniesionymi brwiami. Twierdząc, iż Georgie miał pojęcie, o czym mowa, choć nie przestał jeść i nadal wycierał sos skórką chleba. Nie chcę sugerować, że jej stanowisko było z gruntu złe, natomiast jego cechowała czysta wzniosłość. To by nie było prawdziwe. Ona miała przed sobą trudne konkretne zadanie przedstawienia nam tej wstrząsającej propozycji dla naszego dobra. My nigdy nie mielibyśmy dość siły lub rozumu, aby z tą propozycją i wystąpić. Jak tylu czułych, litościwych ludzi, którzy sami i też przede wszystkim żyć jak wszyscy inni i zdają się na | brutalniejszych. Ale chyba za bardzo usprawiedliwiam babcie. Bo jeszcze pozostaje satysfakcja, jaką jej to dało. Z jej ust wydobyło się ciche, napięte: — Aha! — którym zazwyczaj zamykała pułapkę podczas gry w szachy. Zawsze było tak samo — nigdy nie chcieliśmy widzieć, dokąd prowadzą nasze błędy, a potem następowały straszliwe konsekwencje. Podobnie jak z Elizeuszowym niedźwiedziem, który rzucił się na drażniące go dzieci, albo owym gromem z nieba, co poraził Żyda, który był tak bezmyślny, iż wyciągnął rękę chcąc podtrzymać Arkę Przymierza, by nie spadła z wozu. Była to nasza kara za błędy, których nie mieliśmy już czasu naprawić, ot, co. Czowała się szczęśliwa, że może wystąpić w imieniu tej nieubłagalności, przed którą nas cały czas przestrzegała.

Georgie siedział przydeptując jedną stopę drugą i zjadał sos z wyrazem nieświadomego, upośledzonego na umyśle serafina, tak kontrastującym z ziemskim rozsądkiem. Mama próbowała coś powiedzieć swoim urażonym, wysokim głosem, ale wyszedł z tego tylko nie

zrozumiały bełkot. Zawsze i tak mówiła niewyraźnie, a w podnieceniu lub cierpieniu nie można jej było w ogóle zrozumieć. Wówczas Georgie przestał jeść i zaczął jęczeć.

— Ty! Cicho bądź! — rzuciła staruszka.

Wystąpiłem w obronie jego i mamy. Powiedziałem, że Georgie jeszcze nic złego nie zrobił i chcemy, aby był z nami.

Wiedziała, że się odezwę, i była przygotowana.

\*— Kop f Mensch meiner — odparła z potężną ironią.— Geniusz! Chcesz czekać, aż narobi kłopotów? Czy jesteś w domu, kiedy trzeba się nim zająć? Ganasz po ulicach i zaułkach z Kleinem, tym chuliganem, uczysz się kradzieży i innych łajdactw. Może chciałbyś zostać stryj aszkiem bękarta spółzonego z płowowłosą Polką i pójść do rzeźni, gdzie pracuje jej ojciec, żeby mu powiedzieć, jakiego znakomitego będzie miał zięcia z twojego braciszka? Zabije cię młotem jak wołu i spali nam dom. | ■ Jeżeli Augie — wtrącił się Simon — chce się nim naprawdę zaopiekować...

— Gdyby nawet Augie był lepszy, niż jest — odpowiedziała szybko—co by to dało? Gdy Augie zabiera się do pracy, jest z tego więcej kłopotu niż pieniędzy. A wyobraź sobie, co by było, gdyby w ogóle nie pracował. Zostawiałby tego chłopaka u Kleinów i łobuzował się ze swoim przyjacielem. 7nan> dobrze twojego braciszka, mój kochany... ma wielkie serce, jeśli to go nic nie kosztuje, szczerozłote, a kiedy się wzruszy, wszystko ci obieca. Ale nie muszę ci mówić, w jakim stopniu można na nim polegać. A choćby nawet dotrzymywał słowa, czy stać cię na to, aby przestał przynosić do domu te swoje mizerne zarobki? Co? Jesteś dziedzicem fortuny? Możesz pozwolić sobie na służbę, gowernantkę, nauczycieli, jak Łanach, który poświęcił całe życie, żeby zapewnić to wszystko swoim synom? Ja robiłam, co mogłam, aby ci dać tę odrobinę wykształcenia i dobrego wychowania, nawet próbowałam z ciebie zrobić dżentelmena. Musisz zdawać sobie sprawę, kim jesteś, czym jesteś, patrzeć na życie realnie. Więc mówię, zrób lepiej sam, co do ciebie należy, nim świat cię upfłBdzi i zrobi to za ciebie, w sposób brutalny.tWidziałam trochę więcej niż ty na ty®

72

świecie, wiem, jak ten świat naprawia czasem ludzkie błędy i że można zginąć z ogromnej ilości powodów, nie tylko z głupoty. Próbowałam wyjaśnić to twojemu bratu, ale on jest równie chwiejny w myśleniu jak pijak w sikaniu.

W taki to sposób pokrzykiwała złowieszczo i prorokowała. Nie musiała Simona przekonywać—w tym jednym względzie zgadzał się z nią całkowicie. Nie chciał otwarcie przyznać jej racji, żeby nie urazić uczuć mamy, lecz gdy wieczorem byliśmy sami w swoim pokoju, wysłuchał wszystkich moich oskarżeń i argumentów z wyrazem wyższości, swobodnie wyciągnięty na całą długość na prześcieradle—uszytym ze sprutych lnianych worków — i kiedy uznał, że jestem już gotów go wysłuchać, rzekł: — Gadaj zdrów, chłopcze. Rusz mózgownicą od czasu do czasu, zanim ci wyschnie na proch i wybuchnie. Staruszka ma ragę i dobrze o tym wiesz. I wcale nie myśl, że jesteś jedyny, który się troszczy o George'a, ale coś z nim przecież trzeba zrobić. Skąd wiesz, co może mu strzelić do łba? To już nie smarkacz, a my nie możemy go pilnować całe życie.

Simon odnosił się do mnie szorstko, odkąd straciłem pracę na stacji, a także z powodu moich przejść z Wiglerem i Marynarzem Bulbą oraz poczynań u Deevera. Nie miał też dobrego wyobrażenia o demie i Jimmym. a w dodatku popełniłem błąd, że powiedziałem mu o swoich uczuciach do Hildy, narażając się na jego kpiny. — Daj spokój — rzekł—Friedl Coblin będzie od niej ładniejsza, jak wyrośnie. A przynajmniej będzie miała cycki. — Wiedział oczywiście, że nie należę do ludzi, którzy długo chowają urazę, mój gniew równie szybko przechodzi, jak wybuch. I uważał, iż ma prawo traktować mnie w ten sposób, ponieważ czynił postępy, gdy ja robię z siebie durnia, a poza tym chciał mnie pociągnąć za sobą, kiedy nadarzy się okazja, podobnie jak Napoleon swoich braci. Podczas moich najgorszych starć z babcią zachowywał się sztywno i trzymał na dystans, aie jednocześnie mówił, że mogę na niego liczyć w prawdziwych kłopotach, pod warunkiem, iż będę na to choć trochę zasługiwał. Nie chciał, aby moi pustogkmi przyjaciele wciągnęli mnie w tarapaty. Tak, czuł się za mnie od- ■

'''

powiedziałny, i za George'a też. Nie mógłbym posądzić go o dwulicowość w stosunku do George'a.

— Przez chwilę było mi cholernie przykro, gdy pozwoliłeś mamie mówić, a sam nie powiedziałeś nic — rzekłem. — Wiesz dobrze, że nie mogę zająć się małym, póki chodzę do szkoły. Ale jeżeli mama chce, żeby został w domu, powinieneś pozwolić jej samej zdecydować, zamiast siedzieć tylko i patrzeć, jak robi z siebie widowisko.

— Mama mogłaby śmiało postawić na swoim. — Leżał na ciemnym żelaznym łóżku, smagły i jasnowłosy. Mówił zdecydowanym tonem. A potem umilkł i spokojnie dotknął językiem złamanego zęba. Sprawiał wrażenie, jakby się spodziewał z mojej strony mocniejszego ataku, a gdy już wypowiedziałem najostre słowa, zaczął dalej mówić to, o czym sam doskonale wiedziałem, bez jego gadania. — Babcia bardzo słusznie przywołała cię do porządku, Augie. Sam wiesz, że jesteś nieodpowiedzialny. A i tak moglibyśmy zatrzymać małego najwyżej jeszcze rok. Gdybyś nawet był idealny, a wcale nie jesteś.

— Ona teraz myśli, że tu rządzi.

— Niech sobie myśli — odparł. Oczyszczył krtań głośnym, krótkim chrząknięciem, co z czasem stało się u niego oznaką powagi, i włączył nogą światło. Zaczął czytać.

Niewiele więc mogłem zrobić. Nie mogłem już uważać babci za głowę rodziny i część jej dawnej władzy musiała przejść na Simona. Wołałem zostać z nim w pokoju niż wyjść i stawić czoło mamie, która po umyciu naczyń i strzepnięciu okruszyn z obrusa z pewnością siedziała na wpół leżąc w swoim fotelu pod żarówką ze szpicem niczym pruska pikielhauba, rzucającą lśniący blask na strupy i pęcherzyki, i gruboziarnistą farbę na ścianach. Kiedy mama się smuciła, jej smutek nie miał żadnych komedianckich efektów; wypływał wprost z głębi duszy. Nie robiła żadnego zamieszania ani hałasu, nikt nie widział, żeby płakała, i wydawało się tylko, że z jakimś ogromnym i przerażającym napięciem patrzy za kuchenne okno, póki podszedłszy bliżej nie zobaczyłeś odświeżonej łzami barwy jej zielonych oczu i różowej twarzy, ust z rzadkimi zębami — opierała głowę bokiem o oparcie fotela, nigdy prosto. Kiedy była chora, za-

74  
chowowała się tak samo. Kładła się do łóżka w szlafroku, ze splecionymi w warkocze włosami, aby się nie splątały, i z nikim nie chciała rozmawiać, póki znów nie stanęła na nogi. Daremnie przychodziliśmy do niej z termometrem. Nie chciała mierzyć gorączki. Zdawała się niemo na wynik działających mocy, bez duchowego sprzeciwu, do którego nie była zdolna. Wyznawała bardzo oryginalny pogląd na kwestię zguby i ozdrowienia.

Tak więc sprawa George'a została przesądzona i mama nie robiąc nikomu wyrzutów wróciła do zwykłych zajęć, a tymczasem babcia Lausch wzięła się ostro do realizacji swojego zamierzenia. Udała się osobiście do drogerii, aby zadzwonić do Lubina, opiekuna społecznego. Było to samo w sobie dosyć osobliwe, bo rzadko wychodziła na zaśnieżoną ulicę, od owej mroźnej Roczniczy Zawieszenia Broni, gdy skreśliła nogę w kostce. Starzy ludzie nazbyt często dożywają swoich dni ze złamanymi kośćmi, które się nie chcą zrosnąć, mawiała. Ponadto, jeśli nawet wybierała się na sąsiednią ulicę, nie mogła iść w domowej sukni. To byłoby niestosowne. Musiała się wystroić, zmienić wełniane pończochy — a właściwie golfowe podkolanówki podwiązane poskręcanymi gumkami — na jedwabne, nałożyć czarną suknię, upiąć potrójną koronę z warkoczy i dla poprawienia samopoczucia upudrować twarz. Nie dbając o to, jak się prezentuje w naszych oczach, przypięła do kapelusza pióra wachlujące powietrze i przybrana w ten ceremonialny strój wyszła z osłabioną przez wiek gniewną żywością, chociaż schodząc na dół musiała stawiać na każdym stopniu obie stopy.

Był dzień wyborów i nad każdym miejscem, gdzie głosowano, wisały skrzyżowane chorągiewki, a w śniegu stali tędy przedstawiciele partii z parującymi oddechami i wymachiwali długimi wzorcowymi kartkami do głosowania. Szkołę zamknięto i mogłem iść z babcią, ale nie chciała. W pół godziny później, kiedy wyszedłem z szufladką z pieca, żeby wyrzucić popiół, zobaczyłem babcię klęczącą na śniegu w przejściu między domami. Upadła. Ból ścisnął mi serce na ten widok. Nigdy dotąd nie wychodziła bez czyjejs opieki. Cisnąłem blaszaną szufladkę i podbiegłem do babci, a ona uczepliła się mokrymi

rękawiczkami mego ramienia w cienkiej koszuli. Stanąwszy jednak na nogi nie chciała już ode mnie pomocy z powodu ogromnej, wezbranej świadomości własnego poświęcenia lub może z przesądnej myśli o karze. Weszła po schodach sama i pokulała przez całe mieszkanie prosto do swego pokoju, gdzie stworzyła następny precedens zamykając drzwi na klucz. Do tej pory nie wiedziałem nawet, że klucz istnieje — musiała go od początku trzymać w ukryciu razem z kosztownościami i papierami rodzinnymi. My z mamą zostaliśmy na zewnątrz, zdumieni, i pytaliśmy zza drzwi, czy się nie skaleczyła, póki nie otrzymaliśmy wścieklej odpowiedzi, żebyśmy odeszli i zostawili ją wreszcie w spokoju, a ja byłem dostatecznie wstrząśnięty widokiem jej ośnieżonej twarzy, by teraz zadrzeć słysząc kocią intensywność jej głosu. Oto w czym nastąpiła zmiana ustalonego porządku: że drzwi, które jak drzwi kościoła, zawsze stały otworem i każdy mógł przez nie wejść, miały klucz i że ten klucz został przekreślony! Doniosłość tego upadku w dniu wyborów była tym głębsza, iż zwykle wszystkie skaleczenia i oparzenia kuchenne były traktowane z ogromną powagą i przejęciem, gruntowną melancholią i widmem ostatecznej groźby. Po zastosowaniu jodyny lub oliwy i bandaży zapalała dla uspokojenia nerwów papierosa. Teraz jej Murady leżały w koszyczku z robotką w kuchni, a ona nie wychodziła z pokoju.

Minęła pora lunchu i nastąpiło późne popołudnie, kiedy się ukazała. Nogę miała grubo obandażowaną. Przyszła starymi ścieżkami domowymi, po papuzich barwach dywanu startego do gołej nitki w miejscu, gdzie trzeba było ominąć piec w saloniku, przez krótki przedpokój, z którego wchodziło się do kuchni, gdzie ów ślad przechodził w przybrązowanie linoleum, które było w sporej części dziełem jej własnych stóp i szarych pantofli wędrujących nieodmiennie tą lisią dróżką przez blisko dziesięć lat. Miała na sobie znowu swój codzienny ubiór i szal, co znamionowało, że wszystko wróciło lub prawie wróciło do normy, w rzeczywistości zaś było nerwowo przyciszone, a jej twarz, usiłująca okazać spokój i rozwagę, była blada jakby naprawdę z utraty krwi lub też jej zwykłej kobiecej reakcji na widok krwi. Musiała być okropnie

wzburzona lub przerażona, skoro zamknęła drzwi na klucz, jednak najwidoczniej zdecydowała, że musi powrócić i przestraszyć nas księżycową bledością. Ale czegoś w tym wszystkim brakowało. Nawet zmordowana, dychawiczna stara suka, której biała sierść zbrązowiała wokół oczu, szła wolno postukując pazurami o podłogę, jakby czuła, że oto nowe wypiera resztki dawnego reżimu, jak w czasach, gdy radcy i ministrowie widzą kres swojej chwały, a Szwajcarzy i Gwardia Pretoriańska zaczyna przejawiać nerwowość.

Zacząłem teraz, w tym ostatnim miesiącu, poświęcać cały swój czas George<sup>owi</sup> wożąc go na sankach, chodząc z nim na spacer i do cieplarni Parku Garfielda, żeby zobaczyć, jak kwitną cytryny. Koła maszyny urzędowej już się obracały — moje spóźnione wysiłki nic nie dały. Lubin, który zawsze mówił, że Georgie będzie miał lepiej w zakładzie, przyniósł odpowiednie papiery i pozbawiona poparcia Simona mama (a pewnie i jego poparcie nic by nie dało, ponieważ babcia prowadziła zdecydowaną akcję i dała się ponieść impulsowi kłęski) musiała podpisać. Nie, nikt by nie zdołał oprzeć się babci Lausch, jestem o tym przekonany. Nie teraz, nie w tej sprawie. Zważywszy wszystko, choć bardzo nas to smuciło, mądrzej było chłopca oddać. W przeciwnym razie, jak powiedział Simon, musielibyśmy później przeprowadzić tę sprawę sami. Jednakże babcia uczyniła z niej coś, bez czego mogłoby się obyć — próbę sił, rzecz nietaktowną, przykład sułtanizmu. Wywodziło się to z rzeczy mało przez tl nas rozumianych: rozczarowania, gniewnego rozżalnia- J nia z powodu narzuconej samej sobie dumnej walki, I nieprzekony wającej bliskości śmierci, która osłabiła zdol- I ność osądu, może na skutek ostrego podszeptu upartego A zwierzęcego ducha albo banieczki ludzkiej przedsiębiorą II czości, która tonąc wyładowywała się ślepo w odmę- If tach. <sup>1</sup>

Nie wiadomo. Ale można było przeprowadzić tę rzecz inaczej.

W końcu przyszło zawiadomienie, że George ma miejsce w zakładzie. Musiałem pójść i kupić mu walizkę w sklepie Army-Navy—brązową, najlepszą, jaką mogłem dostać. Miała do mego należeć przez całe życie, więc

chciałem, żeby była przywoita. Nauczyłem go operować zamkami i kluczykiem. Tam, dokąd się udawał, byli oczywiście ludzie, którzy mogli mu pomóc, ale chciałem, żeby sam umiał sobie radzić z tą garstką własnych rzeczy, gdy będzie się przenośli z miejsca na miejsce. Kupiliśmy mu również kapelusz u sukienika.

Był bezsłoneczny dzień odwilży w początkach spóźnionej wiosny, z drzew i dachów kapalo. W tym dorosłym kapeluszu i palcie, które nosił zupełnie bez pojęcia — wyraźnie nie odczuwając potrzeby założenia jak należy na ramiona — wyglądał jak dorosły i podróżnik. Prawdę mówiąc, ślicznie, istny obraz przybysza z obcych stron, z tą swoją bladą, bezsilną urodą upośledzonego. Sam jego widok wystarczył, aby się załamać i rozplakać. Ale nikt nie płakał, to znaczy żadne z nas, bo byłem tam tylko ja z mamą — Simon pocałował go w czoło wychodząc rano z domu i rzekł: — Żegnaj, stary małpisonie, przyjdę cię odwiedzić. — A co do babci Lausch, w ogóle nie wyszła ze swego pokoju.

Mama powiedziała: — Idź, zawiadom babcię, że już jesteśmy gotowi.

— To Augie — krzyknąłem pod drzwiami babci. — Wszystko gotowe.

— Więc co? Idźcie. — Wyrzekła to swoim dawnym zdecydowanym i niecierpliwym tonem, ale bez świeżości i tego, co można by nazwać dźwięcznością rozkazu. Drzwi były zamknięte i przypuszczam, że leżała w fartuchu, szalu i spiczastych pantoflach na pierzynie, z wszystkimi bric-a-brac swojej odeskiej przeszłości na blacie stolika obok łóżka, na toaletce i ścianach.

— Mama pewnie chce, żeby babcia się z nim pożegnała.

— Po co mam się żegnać? Wkrótce pojedę go odwiedzić.

Nie miała siły pójść patrzeć na to, co z takim trudem osiągnęła, a potem nadal starać się utrzymać władzę w swoich rękach. A jakże inaczej miałem interpretować tę odmowę, jeśli niejako słabość i załamywanie się organizacji?

Mama przejawiała wreszcie ów drżący gniew ludzi słabych, który tak trudno wywołać. Zdawała się zdecydowa-

78

wana do wymuszenia należącego jej dziecku potraktowania. Po kilku minutach jednak wróciła z sypialni sama i powiedziała z ostrością, która nie była wymierzona we mnie: — Bierz walizkę, Augie. — Drugą ręką wzięłem George'a pod ramię w szerokim rękawie płaszcza i wyszliśmy przez drzwi frontowego pokoju, gdzie pod paprociami drzemała Winnie. Odbyliśmy powolną podróż tramwajami; przesiadaliśmy się trzy razy, a nasz ostatni odcinek drogi w Dzielnicy Zachodniej przebiegał obok sklepu pana Novinsona.

Przeszło godzinę zajęła nam droga do zakładu—odru- towane okna, szczelny potężny płot, asfaltowe podwórko, ogromna ponurość. W malutkiej kancelarii pod schodami kapryśna dozorczyzna wzięła od nas papiery i wpisała George'a do rejestru. Pozwolono nam wejść z nim do sypialni, gdzie pod umieszczonym wysoko na ścianie kaloryferem stali przypatrując się nam inni chłopcy. Mama zdjęła George'owi płaszcz i męski kapelusz, po czym w bluzce z wielkimi guzikami, ze swą białawą głową i długimi, białymi lodowatymi palcami —jakie to kłopotliwe, że zrobiły się takie dorosłe — stał obok mnie przy łóżku i patrzył, jak pokazuję mu jeszcze raz proste działanie zamka walizki. Nie zdołałem jednak odwrócić jego uwagi od grozy tego domu i takich samych jak on chłopców dokoła —jeszcze nigdy nie widział podobnych. A teraz zdał sobie sprawę, że go zostawimy, i zaczął rozpaczać, to znaczy wydawać swoje jęki, gorsze dla nas niż łzy, choć o wiele tonów niższe od odgłosów zawodzenia. Wówczas mama zupełnie się załamała. A kiedy wzięła w obie dłonie tę kochaną głowę porośłą białą szczecinią i zaczęła go całować, rozplakała się. Po kilku chwilach, gdy chciałem ją odciągnąć, próbował iść za nami. Ja też płakałem. Zaprowadziłem go z powrotem do łóżka i powiedziałem: — Siądź tu. — Więc usiadł i jęczał. Poszliśmy na przystanek tramwajowy i staliśmy przy czarnym brzęczącym słupie czekając, aż od strony miasta ukaże się tramwaj.

Odtąd nasze życie rodzinne zwiędło, jakby to troska o George'a była główną podstawą naszej jedności rodzin-

79

nej, a teraz wszystko uległo zakłóceniu. Teraz każdy patrzył w swoją stronę — staruszka przechytrzyła się. Cóż, ona się też na nas zawiodła. Może początkowo marzyło jej się, że znajdzie wśród nas cudowne dziecko, które doprowadzi do sławy. Być może. Siła, która kieruje w nas, istotach wyższych, tymi sprawami i powoduje, że kochankowie płodzą geniusza zdolnego pchnąć świat

0 krok lub dwa w powolnym marszu ku doskonałości lub u trafić w ton mogący dotrzeć do zakrytych uszu tłumów

1 zachęcić je, aby ów krok podjęły, stworzyła w to miejsce George'a i nas. Dalecy byliśmy od posiadania tego, czego babcia zapewne w nas pragnęła. Nasze urodzenie nie odgrywało w tym znaczniejszej roli i nie była to po prostu kwestia wysokiego czy nawet prawego pochodzenia. Fouche zaszedł tak samo wysoko jak Talleyrand. Liczyło się dziedzictwo naturalne, a w tej materii wyrobiła sobie gorzkie zdanie, że nie urodziliśmy się z talentami. Niemniej można z nas było zrobić przyzwoitych i kulturalnych ludzi, abyśmy nosili białe kołnierzyki i mieli czyste paznokcie, czyścili zęby i umieli zachowywać się przy stole, abyśmy byli dobrze wychowani bez względu na to, w jakim biurze będziemy pracowali, w jakim sklepie sprzedawali, w jakiej kasie uczciwie liczyli pieniądze — grzeczni w windzie, uprzejmi w pytaniach o drogę, dworni wobec dam, ponurzy i milczący w stosunku do włóczęgów, uważni w pojazdach komunikacji miejskiej, podążający śladami nieco bardziej szarego i skromnego Ca- stiglione.

My zaś stawaliśmy się coraz bardziej pospolici, ordynarni, włochaci i grubiały nam głosy. Rankami, kiedy się ubieraliśmy, boksowaliśmy się i mocowali w samych gatkach, tarzając się po sprężynowym łóżku, po podłodze, przewracając krzesła. Przechodząc później przez przedpokój, aby się umyć, często widzieliśmy drobną postać staruszki, białka odwracanych z pogardą oczu, okropne nagie dziąsła rozwarte z cmoknięciem me wysłowionego potępienia. Ale odartą z władzy. Skończoną. Simon często teraz mawiał: — Co ty możesz wiedzieć babciu? — a czasem nawet: — pani Lausch. — Ja sam nigdy nie wypierałem się jej aż tak bardzo ani nie próbowałem wyrwać z jej rąk dawnych wpływów. Nieba- 80

wem i Simon przybrał w stosunku do niej mniej lekceważący ton. Lecz wtedy nie miało to już większego znaczenia. Przekonała się, cośmy za jedni i na co nas stać.

Dom zmienił się również dla nas. Stał się ciemniejszy, bardziej obskurny, mniejszy. Rzeczy niegdyś lśniące i czczone jęły zatracać swoją atrakcyjność, przepych i znaczenie. Zaczęła prześwitywać cyna, pęknięcia, czarne plamki, gdzie emalia odprysnęła, spelzł wzór ze środka dywanu, bardziej wyświechtanego, wytarła się cała świetność, polor, masywność, kwiecistość. Zapasek starej pasty zalatujący od Winnie w jej ostatnich dniach był najwyraźniej niezauważalny dla stale przebywających w domu kobiet, ale nie dla nas, wchodzących z zewnątrz ze świeżego powietrza.

Winnie wyzionęła ducha w maju tego roku, więc umieściwszy ją w pudełku od butów pochowałem na podwórku.

## Rozdział V

William Einhorn był pierwszym niepospolitym człowiekiem, którego poznałem. Miał głowę na karku, mnóstwo pomysłów, prawdziwą umiejętność rządzenia, naturę filozofa, i gdybym był dostatecznie metodyczny, aby się namyślać przed podejmowaniem ważkich, doniosłych decyzji, a także, notabene, gdybym był naprawdę jego uczniem, nie zaś tym, czym jestem, wówczas zastanawiałbym się: — Na co w takim przypadku pozwoliłby sobie Cezar? Co radziłby Machiavelli lub co zrobiłby Odyseusz? Co myślałby o tym Einhorn? — Wcale nie kpię dołączając Einhorna do tego znakomitego grona. Znałem spośród nich tylko jego i tylko przez niego mogłem rozumieć tamtych. Chyba że powiecie, iż znajdujemy się u skarłałego krańca wszelkich czasów i jesteśmy tylko dziećmi, których cały udział w wielkości przypomina udział chłopca w majestacie królów z bajek, istot całkiem odmiennego typu, z czasów lepszych i bardziej bohaterskich niż nasze. Lecz jeśli porównujemy ludzi z ludźmi, a nie dorosłych z dziećmi albo ludzi z półbogami, co właśnie wśród nas, licznych rzesz demokratów, spodobałoby się bardzo Cezarowi i jeśli nic mamy specjalnego zamiaru abdykować do roli jakiegoś innego, niższego bytu z poczucia wstydu za nasze ułomności przed złoconymi obliczami tych i innych ludzi z dawnych wieków, wówczas mam prawo wychwalać Einhorna nie bacząc na pogardliwe uśmiešky tych, którzy uważają, iż ludzka rasa nic posiada już cech, jakie czcimy u ludzi o tak legendarnych nazwiskach. Nie chcę jednak być oskarżony o przesadę z powodu tej opinii godnej uczniów, którzy zawsze, w każdej porze życia czują się w konfrontacji z przeszłością chłopcami.

Pracę u Einhorna zacząłem już w niższych klatach szkoły średniej, na krótko przed wielkim kryzysem gospodarczym za rządów Hoovera, gdy Einhorn był jeszcze bogaty, chociaż nic wierzę, że aż tak bardzo, jak twierdził później, i pozostałem przy nim, gdy utracił większość swoich majątków. Wtedy to właśnie stałem się mu niezbędny, nie jako metaforyczna prawa ręka, ale prawdziwie obie ręce i nogi. Einhorn był bowiem kaleką o zupełnie bezwładnych kończynach — poruszał tylko dłońmi, zbyt słabo, by móc chociażby popychać fotel na kółkach. Zwykle wozila go po domu żona, brat, krewni albo ktoś, kto właśnie przyszedł w odwiedziny, jakiś pracownik albo wspólnik. Einhorn miał talent do wykorzystywania ludzi, którzy dla niego pracowali albo po prostu akurat byli w jego domu czy biurze, a zawsze kręciło się koło niego mnóstwo takich, co chcieli się wzbogacić albo z pomocą Einhornów pomnożyć swoje bogactwa. Einhornowie byli największymi w dzielnicy pośrednikami w handlu nieruchomościami i mieli na własność czy pod zarządem mnóstwo domów i placów, włącznie z ogromnym czterdziestomieszkaniowym budynkiem, w którym mieszkali. Sala bilardowa w narożniku tego gmachu była ich wyłączną własnością i nazywała się „Bilardem Einhorna”. Mieściło się tam jeszcze sześć innych lokali — skład towarów żelaznych, owocarnia, sklep z naczyniami emaliowanymi, restauracja, fryzjerna i zakład pogrzebowy Kinsmana, tego samego, którego syn uciekł z moim kuzynem, Howardem Coblinem, do piechoty morskiej, by walczyć z Sandinem. I właśnie w tej restauracji Tambow, ów republikański agitator, grywał w karty. Einhornowie byli kuzynami jego byłej żony, ale odnieśli się do sprawy rozwodu bezstronnie. Nie licowałoby bowiem z postawą Einhorna seniora, starego Komisarza, który sam miał cztery żony, a dwie z nich wciąż alimentował, gdyby chciał za to samo potępiać kogoś innego. Stary Einhorn nigdy nie piastował stanowiska komisarza rządowego, nazywano go tak tylko żartem.

Był starym wesolun z siwą spiczastą bródką a b Vaa Dykc jak Buffalo B&H i wciąż sprawny fizycznie paradował białych garniturach przyglądając się wszystkim oczyma Inba&mk. Wszyscy go ogromnie szanowali za przemkiwość i gdy otwierał jasnie wielmożne usta, żeby w zwykły dla siebie lakoniczny, jednosylabowy sposób wypowiedzieć się na temat załipotekowana ruchomości albo o lokalizacji działki budowlanej cały ten nieruchawy, poważny dom kupców w jego biurze momentalnie mftł Komisarz udzielał łodziom najróżniejszych porad i Cobl&n oraz Pi&ć Nieruchomości powierzyli mu część swoich pieniędzy, aby je zainwestował. Kretni, który czasami wykonywał dla mego róż&e prace, uważał go za wielkiego m&drca.

— S>n też jest bystry — mówił — ale Konmarz — ten jedyny człowiek na tym świecie, któremu każdy musiał ustąpić z drogi. — Nie zgadzałem się z nim ani wtedy, ani teraz, aie am&ę przyznać, że kiedy Komisarz wkroczył na aren&ę, wszyscy mm mogh spokojnie zabierać <e do domu. Latem do moich obowiązków nakazał je&żdzenie z ś& na pla&ę, gdzie aż do drugiego tygod&a wr&na codziennie pływał. Pilnowałem, aby rc-t iy- pi&ywał za daieko. Podawałem zapalone papierosy, g&y le&ał w wodzie na plecach przy mo&o. ubrany w kostium peutyty ^ak poszwa, z ogromnym brzuszkim, wi&lnai starczymi gerrfTafarim i ż&łtymi ł&ysymi kolanami. Jego sz&we włosy z tyto głowy rozpościerały się na wodzie, ż&łtawe jak furto nied&wiedzia polarnego, a pot&żna czaszka opalona i czerwona, byia odchyłona w tył, kiedy wch&amał dyrc p&cz& szerokie osta i wypuszcza] nosem sprytn&e i z lab&sm, w caep& granatowej wodzie jeziora Michigan, a tymczasem obramowane tratwami trawlerzy z wysmołowanym: burtami dudniły i buchał:\* psia poza obszarem zarezerwowanym dla rozwr&e-szczanych, chlapi&cych się, rozbrykanych, pstrokatych tłum&w na tle widniejących w g&ł&bi zabudowań, wie&ż i drapaczy a&e&a. które tworzyły ogromny k&ąt prosty z m&kn&ącym - dałi zak&olem wybrze&ża.

Eiahorn był synem Komisarza z pitn&w/ty mał&żeństwa. Z drugiego czy trzeciego Komisarz mat amep> syna. Twsmegip Sfcep, a w&ród przyjaci&ół z sa& bilardowej S4 Szajbo\*. jak John Szajbus O\* Berta, słynny w p&of&tycz&y-ck kr&ę&ach miasta gogn& i p&czyj&aciei Polaka Sama 7m-cowicza. Poniewa&ż jednak ani nie znał, ani me przypominał O'Berty i nie był zwi&ązany z potitykan& Trzynastego Okr&ęgu ani żadnego innego, nie wiem, czemu zawdzi&cza\* ten przydomek. Nie bod&ąc sam opryskiem interesowa&ł n&ę ogromnie gangami i przest&ępstwami, był czym&ś w rodzaju amatorskiego znawcy ich dziej&w i no&łł się w gangsterskim stylu, że można go byk> podgrzewać o pomna&zania z jakim&ś Drnc&ż lub Wielkim Hayesem Hubaczkim; k&anci&sty kapelus&z finansisty, dopasowany garnitur, koszula andalu&zyjskiego kroju z&api&ta pod szyj&ą i bez krawata, szykowne pantofle z ostrymi szpicami, wypucowane jak na konkurs tanga — chod&ił ci&ę&ko, stuk&age g&ło&no sk&ó&zanymi obcasami Włosy mia&ł bujne, t&sm&ace, czarne, zadbane, fa&luj&ące. Zadziorny, szczup&ły, memai w&ł&ty, mia&ł niedorzeczn&ą twarz. Zdecydowanie nie b.m- taln&ą — wida&ć by&o na me&j wszelkie uczucia Aie dzika, ś&cią&gni&ęt&ą ku do&łowi, ze zmr&u&żonymi oczyma i niezmiernym wyrazem zdecydowania i z&łych zamiar&ów, z czarnymi punkcikami p&cz&g&ada^acyint spod niedbale zastosowanego talku po go&emu: bu&ż&ka ofiary kata. pod warunkiem, że ów prototyp me przedstawia moresrey (atakowa&ł p&seic&iani z morderczym zad&ęciem, c&oe bez sz&czerego zamiaru z&abicia,; lecz kogo&ś nies&fornego. Skoro

0 tym mowa. Szajbus lez&ustannie z&f&ckrai ci&ę&gi i n&ssi p&askudn&ą bu&ż&nę na po&eh&zku od zetkni&ęcia a&ę w&łasnych z&ęb&ów z CJ&dz&ym pter&śc&ion&kkm, lecz wciąż b&oksowa&ł

I pod&sk&akiwa&ł, wypadaj&ąc z sa&io&u bilardowego na ka&żde •f&cezw&ame, aby obraca&ć na obcasach pemto&fi do Langa i zadaw&ać swe nerwowe, pozbawione mocy ciosy. Te ia&aa jednak nie przyt&łacza&ły jego ducha. By&łem kt&ó&re&js me- d&za&efi, gdy wda&ł się w b&ó&jk&ę z ogromnym Pi&ęci&oma Nieruchomościami i natar&ł na jego pier&Ł W&ówczas P&x&ł Nieruchomo&ść d&źwign&ął go do g&óry i cisn&ął o pod&ł&og&ę. Gdy jednak Szajbus zn&ów cuc&ił a&ę ca mego z pi&ę&so&ana. Pi&ć Nieruchomo&ści u&śmiecha&ł a&ę, lecz u&ę z&t&ą&ki i wye&ok&ł pod stoj&ak na kije. Kto&ś z tłum&u kizy&kn&aj, że P&f&e&ć Nieruchomo&ści st&ch&ó&rzy&ł, i uznano za w&ła&ściwe powstrzyma&ć Szajbusa miotaj&ącego sn&ę z u&f&le&pu z w&sn&rir&loiri, ś&cią&gni&ęt&ą twarz&ą. Jaki&ś kumpri powiedzia&ł, że to w&sty&d,

e



aby weteran z Chateau Thierry dał sobą pomiatać żółtodziobowi. Pięć Nieruchomości wziął to sobie do serca i odtąd omijał salon bilardowy.

Swego czasu Szajbus był kierownikiem sali bilardowej, ale okazał się niesolidny i Komisarz zastąpił go kimś innym. Teraz kręcił się tam jako syn właściciela—zbierał bile i czasem czerwieniał gwałtownie jak rozżarzony węgiel, gdy ktoś rozdarł kijem zielony filc stołu — pełnił też rolę klucznika, wykiadajły, arbitra, świadka zakładów, eksperta sportowego i historyka wojen między gangami, węsząc za łatwym zarobkiem, bokserami, którym mógłby urządzać walki, i kandydatami do partyjki po dziesiątaku od bili. Od czasu do czasu bywał szoferem swojego ojca. Komisarz nie umiał prowadzić ogromnego czerwonego Blackhawk-Stutza — Einhornowie nie cenili sobie małych samochodów—i Szajbus woził starego na plażę, gdy było za gorąco, żeby iść piechotą. Ostatecznie staruszek miał siedemdziesiąt pięć lat na karku i trzeba go było chronić przed niebezpieczeństwem apopleksji. Jeździłem z nim na tylnym siedzeniu, gdy Szajbus ze swą posiniaczoną, idiotyczną szyją siedział ściskając kurczowo kierownicę, z ukulele i kostiumem kąpielowym leżącymi obok na siedzeniu. Był szczególnie erotycznie nastawiony, a kiedy prowadził samochód, gwizdał, pokrzykiwał i trąbił za spódniczkami, ku wielkiej ucieście ojca. Czasami jeździł z nami również Ciem lub Jimmy, albo Sylwester, ów zbankrutowany kinooperator, który właśnie oblał studia inżynierskie w Armour Tech i przebąkiwał o przeniesieniu się na stałe do Nowego Jorku. Na plaży Szajbus, spięty pasem jak atleta i ze skórzanymi opaskami na nadgarstkach, a także w barwnej chustce, która miała mu chronić włosy przed piaskiem, gdyby mu się chciało stanąć na głowie, ociekający olejkiem do opalania, przyłączał się do gromady dziewcząt i plażowych atletów i tańcząc, i brzdąkając na swojej ukulele śpiewał:

Ani-ka, hula wiki-wiki Śniade dziewczątko rzekło mi I nauczyło mnie hula-hula Na pięknej plaży Waikiki...  
Gdy się rozochocił, czynił to bardzo sugestywnie, żałującym się, żalobnym głosem, buchając dziwacznym i mętym zapałem kogucika. Jego rodziciel, burkliwy i drwiący, spoczywał na leżaku niczym etruski Buffalo Bill, z głową owiniętą ręcznikiem kąpielowym jak burnusem, żeby osłonić przed blaskiem oczy — już i tak ukryte pod miękkim, grubym ramieniem — i śmiał się szeroko otwartymi wśród zarostu ustami.

^frl-dio-ta! — mówił do syna.

Jeśli wycieczka wyruszała po południowym upale, czasem brał w niej udział również William Einhorn, z fotelem na kółkach w bagażniku Stutza i parasolem, który zabierała jego żona, aby oboje mogli się skryć przed słońcem. Z biura do samochodu jechał na plecach brata lub moich, na barana, potem tak samo, z samochodu na odpowiednie miejsce na brzegu jeziora — dystygowany, nienaganny, biały, nieskazitelny i szlachetny jak jakiś margrabia. Żywooki. Ogromny, postury Komisarza, dobrze zbudowany, dobrze utrzymany, miał więcej delikatności od Komisarza i oczywiście Szajbus ani się umywał do niego. Einhorn był bardzo blady, z twarzą nieco zwiotczałą, silnie zakrzywionym nosem, małymi ustami i siwiejącymi włosami tak długimi, że opadały mu na uszy. I nieustannie czujny, ze wzrokiem ciągle wypatrującym nowych obiektów. Jego tęga, przystojna żona siedziała z parasolem obok niego, ociężała, sennie uśmiechnięta, trzymając wolną, miękką brązową dłoń na kolanach, z bujnymi włosami przystrzyżonymi równo niczym kołpaki na egipskich wizerunkach, z płaską podstawą tworzącą czarną grzywkę nad karkiem. Cieszyła się letnimi powiewami znad wody, widokiem łódek na falach i brykaniem oraz błaznowaniem młodych.

A jeśli chcecie wiedzieć, o czym myślała, to niechybnie o tym, co pozostało w zamkniętym na klucz domu. A były tam dwa funty parówek w piecyku gazowym, dwa funty zimnych kartofli na sałatkę, musztarda, żytni chleb już pokrajany na kromki. Gdyby jej czegoś zabrakło, mogła posłać po to mnie. Pani Einhorn lubiła mieć wszystko przygotowane zawczasu. Stary Einhorn na pewno będzie chciał herbaty. Trzeba było mu dogadzać i ona chętnie to

czyniła, prosząc tylko w zamian, aby nie pluł na podłogę, ale nie tama, była na to zbyt nieśmiała, tylko za pośrednictwem męża, który robił to bez ceregieli. Reszta z na\* piła coca-cola, ulubiony napój Einhorna. Jednym z moich codziennych zadań było przynoszenie mu coli w butelkach z tali bilardowej lub w szklankach z drogerii, zależnie od tego, które z tych miejsc posiadało według mego w danym dniu lepsza mieszankę.

Mój brat Simon widząc kiedyś, jak się przedzieram ze szklanką na tacy przez tłum na chodniku - przed drzwiami Einhorna zawsze stał tłum biznesmenów, który się mieszał z tłumem żałobników przed kaplicą Kinsmana i z różnymi typami z salonu bilardowego — roześmiał nę ze zdziwieniem i powiedział: - ■ Ach, więc to jest twoja praca! Jesteś lokajem.

Lecz była to tylko jedna z setek moich funkcji\* częstokroć jeszcze bardziej służebnych, bardziej osobistych, gdy inne wymagały bystrości i wyszkolenia, jak funkcja sekretarza, zastępcy, agenta, towarzysza. Einhorn stale musiał mieć kogoś koło siebie. Konieczność robienia przy nim różnych rzeczy uczyniła z niego autokratę. W Wersalu albo w Paryżu Król Słońce miał jednego ze szlachetnie urodzonych do podawania pończoch, innego zaś do koszuli podczas rannych przyjęć. Einhorna trzeba było podnieść z łóżka i ubrać. Czasami musiałem to robić właśnie ja. W pokoju panował półmrok i duchota, ponieważ państwo Einhornowie sypiali przy zamkniętych oknach. Czuło się tam zatem nocny smrodek dwóch śpiących ciał. Nie odnosiłem się do takich spraw krytycznie, bardzo szybko do tego przywykłem. Einhorn sypiał v, b,di/me. bo przebieranie się w pizamę było dla niego zadaniem trudnym, a oboje z żoną kładli się późno. Tak więc zapalając iwiatło spostrzegałem Einhorna leżącego w gatkach, z bezwładnymi piegowatymi ramionami, szpakowatymi wlotami rozrzuconymi wokół twarzy nieco płaskiej, z zakrzywionym, znamionującym przebieg- łoic nosem i przyszczyżonym wąsikiem. Kiedy bywał zły, a to się czasami zdarzało, musiałem stać cicho, póki nie od/y skał humoru. To ranne ziryutowanie było wbrew przyjętej taktyce. Wolał nastrój krotocwilny. Kpiarskl drwiący, często ordynarny i sprośny, naśmiewał się W z żony, która krzątała się hałaśliwie wokół śniadania. Przy ubieraniu go przydało mi się doświadczenie z Geor-geem, ale nie przywykłem do aż tak wielkiej elegancji. Skarpetki nosił jedwabne, spodnie prążkowane jak u bankiera, miał kilka par butów, pięknych Waikoverów, które oczywiście nigdy nie marszczyły się na zgięciach ani «ę nie niszczyły, pasek z gotyckim monogramem. Sadzałem ubranego od pasa w dół na czarnym skórzanym fotelu i pchałem na chwiejnych kołach do łazienki. Czatami posadzenie na fotelu wywoływało skrzywienie na jego twarzy, kiedy indziej bardziej niewyraźny przejaw jakiejś zatrutej akceptacji, ale najczęściej tę czynność przyjmował stoicko. Sadzałem go i wiozłem tyłem do toalety, słonecznego pokoiku z oknem wychodzącym na wschód, na podwórko. Komisarz i Einhorn, obaj dość beztroscy w swych nawykach, bardzo utrudniali utrzymanie w tym pomieszczeniu czystości. Lecz ludzie ich pokroju zawsze spotykali się z pobłażliwością w tym względzie. Podobno arystokraci brytyjscy do tej pory mają prawo sikać na tylne koła swoich powozów, jeśli im przyjdzie na to ochota.

Pani Einhorn nie mogła w żaden sposób zapobiec moczeniu podłogi. Qd czasu do czasu, gdy służący Bawacki ugrzązał na dłużej w Dzielnicy Polskiej lub leżał pijany w piwnicy, prosiła, żebym tam posprzątał. Mówiła, że robi to z przykrością, bo jestem uczniem. Niemniej otrzymuję zapłatę. Za nieokreślone prace o mieszanym charakterze. Zgodziłem się na nie — właśnie ów mieszany charakter tych prac przypadł mi do gustu. Tak samo lubiłem wszelkie urozmaicenia i byłem niezdolny do jakiegokolwiek dyscypliny i regularności jak mój przyjaciel Ciem Tambow. Różniłem się od Clema tylko tym. że stawałem się bardzo przedsiębiorczy, gdy jakaś praca lub sprawa przypadła mi do serca. Gdy Einhorn mnie przejrzał, a uczynił to szybko, naturalnie zaraz wykorzystał. Bardzo mu to odpowiadało, bo miał mnóstwo spraw, które musiał komuś zlecić. A gdyby ich zabrakło, sama moja obecność pozwalała mu wymyślać nowe. Zatem nieczęsto bywałem w ten sposób zatrudniany w toalecie - miał dla mnie o wiele ważniejsze zadania. Jeśli się zdarzało, że musiałem sprzątać,

szkoła, jaką  
m

przeszedłem u babci Lausch, czyniła z tej godzinnej roli posługacza zupełną błahostkę.

Ale wróćmy do porannego rytuału w toalecie Einhorna: trzymał mnie przy sobie, abym mu odczytywał nagłówki artykułów w „Examinerze”, wiadomości finansowe, ostatnie notowania giełdowe z Wall Street i La Salle Street. Następnie wiadomości lokalne, coś o Wielkim Billu Thompsonie, że na przykład wynajął Cort Theatre i wystąpił na scenie z dwoma ogromnymi szczurami w klatkach, i przemawiał do tych szczurów zwąc je republikańskimi renegatami — z czasem nauczyłem się, co Einhorna najwięcej ciekawi. — Tak, jest tak, jak Thompson mówi. Straszny z niego bufon, ale tym razem ma słuszność. Przygnał tu aż z Honolulu, żeby ocalić tego jak mu tam przed więzieniem. — Miał dobrą i niemal niezawodną pamięć, był pilnym i uważnym czytelnikiem wiadomości i zbierał niezwykle systematycznie wycinki z gazet na tematy, które go interesowały, toteż do moich zadań należało porządkowanie tych wycinków w długich stalowych i drewnianych szufladkach, które stały wokół niego, i przybierał ostre, często z niezrozumiałych powodów grzędne tony, kiedy kładłem coś przed nim z propozycją, aby to wrzucić do kosza. Wszystko musiało się znajdować w jego bezpośrednim zasięgu, wszystkie wycinki i skrawki papieru, w teczkach z napisami: Handel, Wynalazki, Główne Miejsce Transakcje, Zbrodnie i Gangi, Demokraci, Republikanie, Archeologia, Literatura, Liga Narodów. Nie mam pojęcia czemu właśnie Liga Narodów, ale Einhorn żył bacońskimi ideami o tym, co czyni człowieka takim czy innym, i miał słabość do wyczerpujących informacji. Wszystko musiało u Einhorna być zrobione jak należy. Wszystko musiało znajdować się na swoim miejscu na biurku i w bezpośredniej jego bliskości — Szekspir, Biblia, Plutarch, słownik i thesaurus, Prawo Handlowe dla Laików, poradniki nabywcy nieruchomości i ubezpieczeniowe, almanachy i przewodniki, poza tym maszyna do pisania pod czarną pokrywą, dyktafon i telefony na przystawce biurka, a także mały śrubokręt do wyłączania mechanizmu rejestrującego wrzucenie monety — ponieważ nawet w czasach największego dobrobytu Einhorn nie zamierzał płacić za każdą 90 rozmowę, niech sobie towarzystwo telefoniczne zbija fortunę na rozmowach innych biznesmenów telefonujących z jego biura — dwie druciane tace z napisem Przybyłe i Do Wysłania, przyciski do papieru w kształcie Etny, pieczęć notarialna na łańcuszku, spinacze, gąbki do nawilżania kleju, klucze od sejfu, papiery poufne, notatki, prezerwatywy, korespondencja osobista, poematy i eseje. Kiedy to wszystko zostało należycie ułożone, na swoim miejscu, mógł zacząć działać usadowiony za wypolerowaną barierką, do której był dostęp przez dwoje drzwi, i pełnić rolę jednego z wodzów życia, bladolicego szefa świadomego własnej godności, a nawet owej kapryśnej, zamierzonej przebiegłości, która czasami tę godność psuła, i swoich dumnych, pięknych, jakby wyczelowanych rysów twarzy.

Musiał dotrzymywać kroku ojcu, którego poglądy na interesy były może mniej fantastyczne, ale za to szersze, oparte na powiązaniach z dawnymi bogatymi kolegami. To właśnie Komisarz zrobił majątek Einhornów i nadal zachowywał dla siebie prawo własności do znaczniejszej jego części, nie dlatego że nie ufał swojemu synowi, ale jedynie z tego powodu, że wśród ludzi interesu to on był tym Einhornem, do którego w pierwszej kolejności przychodzi się z ofertami. William był jego spadkobiercą, a także kuratorem udziałów swego syna, Artura, studenta drugiego roku Uniwersytetu Illinois, oraz udziałów Szaj-busa. Chwilami Einhorn martwił się skłonnością Komisarza do udzielania prywatnych pożyczek, nawet dość sporych, ze zwitka banknotów, który nosił zapięty na agrafkę w wewnętrznej kieszeni ubrania a la Mark Twain. Częściej chęłpił się ojcem jako pionierskim budowniczym Dzielnicy Północno-Zachodniej i snuł marzenia o dynastii Einhornów — po zdobywcy organizator, po organizatorze poeta i filozof, i cały ten typowo amerykański rozwój, dzieło siły i inteligencji na otwartym polu, w świecie możliwości. Lecz w rzeczywistości, przy całym szacunku dla starego Komisarza, Einhorn, gdy był jeszcze świeży i prosperujący, miał owe nadrzędne zdolności ojca plus jeszcze coś, zalety męża stanu, subtelność linii, parsyjski rozsądek, zdolność do głębokich intryg, pogardę papieża Aleksandra VI wobec zwyczajów. Któ-

regoś ranka, kiedy mu przeczytałem z gazety o złym prowadzeniu się amerykańskiej spadkobierczynie, o romansie z włoskim księciem w Cannes, przerwał mi i zacytował: — „Droga Kasiu, ty i ja nie możemy się zamknąć w ciasnych szrankach zwyczajów jednego kraju. Jesteśmy mądrcami, Kasiu, a wolność przywiązana do naszej godności zamyka usta cenzorom...!”\* Oto, co jest napisane w Henryku V. A znaczy to, że czego innego się wymaga od ogółu, a czego innego od tych, którzy mają przed sobą specjalne zadania. Z czego ogół musi sobie zdawać sprawę. A gdy to czyni, czuje się pokrzepiony, że jest jakiś przywilej dlań niedostępny. Poza tym istnieje prawo i Natura. Opinia publiczna i Natura. Ktoś musi wystąpić poza prawo i opinię, przemawiać w imię Natury. Jest to nawet publicznym obowiązkiem, a więc zwyczajnie nic mogą wziąć za gardło wszystkich. — Einhorn, podobnie jak babcia Lausch, miał skłonność do pouczania i wierzył, tak jak ona, że mógłby pokazać, co trzeba uczynić ze światem, gdzie może on ustąpić, a gdzie się nie ugnie, gdzie można mieć ufność i biec, a gdzie tylko macać drogę jak ślepiec i z konieczności błądzić. Ponieważ zaś jego syn był na uniwersytecie, miał do pouczania tylko mnie.

Uruchamiał swoją mądrą głowę i sprawy, choćby nie wiadomo o jak zagmatwanym biegu, musiały dać się opanować i wstrzymać do chwili, gdy będzie gotów przyznać się do porażki. Kładł bezwładne ręce na biurko stosując sprytny wieloetapowy chwyt, który polegał na pociąganiu palcami lewej ręki za rękaw prawej, a następnie wspomaganie lewej ręki prawą. W wyczynie tym nie było nic budzącego litość — czysta operacja. Ale miała ona olbrzymie znaczenie. Jak krzepki i silny mężczyzna mógłby wejść na kazalnicę, aby następnie wyznać przed Bogiem swoją słabość, tak Einhorn ukazawszy tę słabość na wstępie zyskiwał pozycję, by mówić z mocą o mocy. Dziwnie brzmiał ten ton w zestawieniu z życiem codziennym w tym domu.

Wróćmy jednakże do toalety, gdzie Einhorn szykował się z rana. Dawniej wzywał fryzjera, by dać się ogolić. Ale to za bardzo przypominało mu, jak mówił, szpital, gdzie spędził w sumie dwa i pół roku. Poza tym lubił dbać o siebie w miarę możliwości sam, a i tak musiał korzystać 92

z usług zbyt wielu ludzi. Posługiwał się więc maszynką do golenia ostrzoną w urzędzeniu, które mu sprzedał osobiście pewien Czech-wynalazca i ręczył za nie słowem. Golenie trwało ponad pół godziny — z brodą na krawędzi umywalki i rękoma w wodzie mozolnie skrobał zarost. Wyławiał z wody myjkę, opatulał nią twarz i słyszałem, jak oddycha przez tkaninę. Mydlił się, nacierał, parskął, skrobał, badał skórę palcami szukając nie ogolonych miejsc, ja tymczasem siedziałem na pokrywie kibla i czytałem. Opary budziły dawne zapachy, a w kremie do golenia był jakiś środek ściągający, którego woń drapała mnie w gardle. Potem pomadował wilgotne włosy i wciągał na głowę czepek z uciętej damskiej pończochy. Kiedy się wytarł ręcznikiem i napudrował, musiałem mu pomóc włożyć koszulę i krawat, którego węzeł sprawdzał wielokrotnie palcami i przesuwając, nieco poirytowany guzikiem kołnierzyka, póki nie trafił na właściwe miejsce. Następnie marynarka, doprowadzona do ostatecznego porządku z suchym chrzęstem miotełki ze słomy ryżowej. Po ponownym zbadaniu, czy rozporek jest zapięty jak trzeba, i otarciu kropel wody z pantofli byliśmy gotowi i kiwał na mnie głową, abym go wiozł do kuchni na śniadanie.

Miał wilczy apetyt i opychał się jedzeniem. Ktoś obcy z głową na karku, nieświadom, że Einhorn jest sparalizowany, widząc, jak wysysa przekłute jajko, odgadłby od razu, że nie jest on człowiekiem zdrowym, było w tym bowiem coś lisiego, zwierzęco niezdarnego, nieprzeciętnie łapczywego. Poza tym miał na głowic czepek z damskiej pończochy niczym trofeum świadczące o apetytach i w innej dziedzinie, jeśli mi wybaczycie wzmiankę o tego rodzaju wyczynach czy podbojach. Zdawał sobie z tego sprawę, bo wszystko miał przemyślane, i jego umysł w jakiś sposób uwznioślał wszystko, co robił; albo nie miał zamiaru przestać robić; czy nie mógł przestać; lub też uważał za jedynie zgodne z ludzką naturą; albo lubił. Był dumny, że choroba nie ukróciła jego możliwości w tym kierunku, lecz przeciwnie, obdarzyła go możliwościami większymi niż u normalnych mężczyzn. Rzeczy dla wielu nienazwane, przez wstyd czy obrzydzenie, nie wzdragał się nazywać przed sobą lub człowiekiem w pełni zaufanym (albo prawie w pełni) jak ja bez najmniejszego

wahania, i z całą swobodą wychwytywał, wykorzystywał i swobodnie poruszał wszelkie uczucia- Trzeba się było orientować w wiehi sprawach — należało do zajętych ludzi Po kawie odbywało się krótkie posiedzenie, podczas którego Einhorn mądrzył się w sprawach domowych. Pomarszczony, ponury, żylasty „Mały” Bawacki przychodził z sutereny i otrzymywał pouczenia, co ma zrobić, a także ostrzeżenie, żeby aż do wieczora trzymał się z dala od butelki. Odchodził kulejąc i mruczając pod nosem przekleństwa brał sse do roboty. Pani Einhorn, mimo narzekań na zalaną podłogę w toalecie i płucie starego Komisarza, nie była dobrą gospodynią. Lecz Einhorn dbał o kamienicę i pilnował, aby wszystko grało, działało, spływało i podlegało stałym ulepszeniom — by szczuty zostały wytępione, podwórko wybetonowane, maszyny oczyszczone i naoliwione, ganki obite nowymi deskami, aby lokatorzy zachowywali czystość, a pojemniki na śmieci były przykryte, siatki okienne całe, muchy wy- flótowane. Potrafił powiedzieć, jak szybko się pieniąć szkodniki, ile kupić kitu do oszklenia okien, znał car/ gwoździ, sznura do bielizny, bezpieczników i innych takich rzeczy; jak dawni senatorowie znali się na gospodarce, nim dostrzeżono niestosowność podobnych dla mch zajęć. Następnie, opanowawszy w pełni sytuację, kazał się wież specjalnie skonstruowanym fotelem na gdaczących rolkach do biura. Musiałem odkurzyć mu biurko i przynieść coca-cole, którą wypijał przy drugim tego ranka papierosie, i gdy z nią przychodziłem, już przeglądał swoją codzienną pocztę. Listów otrzymywał dużo — od najrozmaitszych korespondentów z najprzeróżniejszych zakątków kraju,

W upały — bo mówię o letnich okresach, w czasie wakacji, kiedy spędzałem z nim całe dni <— miał na sobie w biurze kamizelkę. Rano, wczesnym rankiem, na długo przed ciężką harówką (mam na myśli ruchliwość i spieko- tę chicagowskich letnich popołudni), panowała często łagodna prenowa pogoda — jak naiwność, której f\* oczekuje po najsurowicj i najbrutalnkj wykorzystywanych, gdy fig z nimi przebywało dostatecznie długo. Był to czas wytchnienia. Komisarz jeszcze nie zdążył p ubrać; wychodził w rannych pantoflach w łagodne pro\* 04 mienie słońca na ulicę, ze zwisającymi z tyłu szelkami, dymem Claro unoszącym się nad siwą głową i dłonią wetkniętą wygodnie głęboko w spodnie. A Einhorn w głębi biura rozcinał listy, robił notatki do odpowiedzi, sięgał do kartotek albo zlecał różne sprawy mnie, swemu pomocnikowi, często zachodzącemu w głowę, do czego zmierza w swoich rozlicznych drobnych szwindlach. Pod tym względem me było rzeczy, którą by wzgardził, na przykład zamawianie bez obowiązku kupna różnych różności, za jakie nie miał zamiaru płacić — znaczki, fiołki perfum o zapachu bzu, paczuski z lnianymi saszetkami, japońskie papierowe róże, które się otwierały w wodzie, i najrozmaitsze przedmioty reklamowane na ostatnich stronach dodatku niedzielnego, Kazał mi pisać moim charakterem z prośbą o przysłanie ich i podpisywać zmyślonymi nazwiskami, a następnie wyrzucał upomnienia o zapłatę do kosza, twierdząc, że wszyscy kidzie, którzy te rzeczy produkują, wliczają straty z tego tytułu w cenę. Kazał sobie przysyłać wszystko, co było za darmo; próbki potraw, mydeł, leków, literaturę na wszelkie tematy, raporty Biura Amerykańskiej Etnologii i publikacje Smńb- sonian Institution, Muzeum Bishopa na Hawajach, „Congressional Record”, dzienniki ustaw, pamflety, prospekty, informatory uczelniane, broszury na temat śród- ków znachorskich, porady w kwestii rozwinięcia biustu, pozbycia się pryszczu, długowieczności i toućizmu, pamflety na temat fletcherizmu, jogi, wirujących stolików, antywiwisekcji. Figurował na listach wysyłkowych instytutu Henry George’a oraz Fundacji Rudolfa Steinera w Londynie, miejscowej paistry, Legionu Amerykańskiego. Musiał mieć kontakt ze wszystkim. I wszystkie te materiały zachowywał. Co się nie mieściło w biurze, szło do sutereny. Znosił to tam Bawacki albo ja, albo Łofce Pewter, która przychodziła trzy razy w tygodniu prasować bieliznę. Część z tych materiałów, gdy przestawały ukazywać się w druku, sprzedawał księgarniom łob bibliotekom, niektóre zaś wysyłał z pieczęcią Einhornów klientom, z prostej życzliwości. Miał też mnóstwo do czynienia z różnymi turniejami i stawał do wszelkich konkursów, o jakich usłyszał, sugerując nazwy dla nowych produktów i slogany reklamowe; snuł uajrozkosz\*

niejsze marzenia, wymyślał błyskotliwe powiedzonka i najkłopotliwsze sytuacje, znaki wróżebne, na które winien zwracać uwagę, telepatyczne doznania i rymowa\* nki:

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem radio, oszalałem. Grosz do grosika na nie odkładałem. Więc gdy mi przyjdzie być za nieboszczyka, Niech mi do trumny włożą mego „Dynamika”.

Za ten wierszyk dostał pięć dolarów, pierwszą nagrodę „Evening American”, i między innymi musiałem dbać o to, aby wszystko, co wysłał na konkursy, a więc różne anagramy z nazwisk prezydentów albo stolic stanów, lub słonie utworzone z liczb (ile dają w sumie?), było schludne, naklejone jak należy w wyrysowanych ramkach i zaopatrzone w niezbędne kupony, fragmenty opakowań i naklejki. Ponadto musiałem wykonywać adnotacje w jego gabinecie albo w bibliotece w śródmieściu, ponieważ jednym z jego projektów było wydanie Szekspira zaopatrzonego w indeks podobny do indeksu Biblii Towarzystwa Gideonów: Kiedy Interes Podupada, Niepogoda, Trudni Klienci, Kiedy Masz Pelen Magazyn Ubiegłorocznych Modeli, Kobieta, Małżeństwo, Wspólnicy. Tysiąc i jedna mama transakcja, przy założeniu, iż żadne zamówienie nie jest zbyt wielkie, żadna suma nazbyt mała. A przy tym wszystkim bezustannie gadał, błaznował i był raz nastrojony klasycznie, raz filozoficznie, to znów homiletycznie lub sprośnie, kiedy to puszczał w obieg francuskie pozycje oraz imitacje mówien ze sklepu z nowościami na Clark Street, pornograficzne „Katzenjammer” i „Przygody Stenotypistki”. Dokuczał młodej Loli Fewter, świeżo przybyłej z okręgu górniczego, tej dziewczynie o zielonych oczach płonących nieskrywani) namiętnością i o nakrapianym biuście, który prezentowała przebywającym w biurze mężczyznom, kiedy wchodziła w lekkich podrygach pastować podłogę. Tak, Einhorn, który ogromnie dbał o swoją wysoką pozycję

i miał martwe nogi, przeczył ludziom w żywe oczy, że jest od nich inny. Nigdy nie wzdragał się przed mówieniem o swoim paraliżu — przeciwnie, często nim się chwalił\* 96

jako czymś, co zdołał przezwyciężyć, przypominał wtedy biznesmenów lubiących mówić o swym ubogim dzieciństwie na wsi. Nic pomijał żadnej okazji, by wykorzystać to swoje kalectwo. Na spisane skrzętnie adresy firm, które sprzedawały fotele na kółkach, szyny i inny sprzęt medyczny, wysyłał egzemplarze odbitej na powielaczu gazetki „Unieruchomieni”. Dwie stroniczki uwag i esejów, rzewnych kawałków zerzniętych z Notatnika Elberta Hubbarda, sentencji z „Thanatopsis”. „Nie jak niewolnik przykuty do tacek”, lecz jak szlachetny, stoicki Grek; albo z Whittiera: „Książęciem jesteś, dojrzały mężczyzna /Może być tylko republikaninem” i z innych takich źródeł. „Wzniesł sobie wspanialsze pałace, O moja duszo!” Trzecia stroniczka była zarezerwowana dla listów od czytelników. Ten cały dyngus — to ja odbijałem to piśmko na powielaczu, spinałem i nosiłem na pocztę — przyprowadził mnie czasem o dreszcze i powodował, że skóra mi cierpła na karku. Lecz on traktował to jako służbę dla ludzi unieruchomionych kalectwem. Znajdował w tym również pomoc dla siebie — piśmko przysparzało mu klienteli w sprawach ubezpieczeniowych, podpisywał się bowiem „William Einhorn, pośrednik handlowy z sąsiedztwa”, i rozmaite towarzystwa pokrywały koszty. Podobnie jak babcia Lausch umiał wykorzystywać wielkie instytucje. Wyglądał bardzo ważnie w rozmowach z ich przedstawicielami — kwaśna mina, inteligentny wąsik, ruchliwe, przenikliwe czarne oczy, nieruchome ręce jak skrzydła pisklęcia. Nosił podwiązki przy rękawach — jeszcze jeden element kobiecego stroju. Próbował wmanewrować towarzystwa ubezpieczeniowe w coś w rodzaju rywalizacji, aby uzyskać większe prowizje.

Wiele powtarzanych nacisków daje ten sam efekt co jeden silny cios, oto jego metoda, mawiał, i bardzo się szczycił, że potrafi wykorzystać środki, jakie daje wiek dwudziesty, by móc działać jak normalni ludzie — w czasach prymitywniejszych leżałby w chacie zdany na czyjąś łaskę lub zebrałby u drzwi kościoła, od czego tylko krok do memento mori lub, co gorsza, świadomości, ile trzeba przejść, żeby w ogóle móc umrzeć. A tymczasem teraz... no cóż, to zapewne wcale nie przypadek, że właśnie

ułomny Hefajstos wymyślił genialne maszyny. Normalny człowiek wcale nic musiałby pokonywać rozmaitych przeszkód z pomocą korb, łańcuchów i innych mętało\* wych urządzeń. Poza tym fakt, iż Einhorn może sobie na tak wiele pozwolić, zawiera się w samej istocie ludzkiego postępu. A ponieważ ludzie są tacy zdolni do wymyślania różnych urządzeń, on, Einhorn, nie jest taki znowu mniej samodzielny od innych, którzy nie mogliby się obyć bez tego czy innego udogodnienia, maszyny, urządzenia rozsuwanych drzwi czy urzędu, zatem uwolnienie od drobnych uciążliwości czyni umysł głównym ośrodkiem próby. Gdy tylko Einhorn wpadał w poważny nastrój, a jego tłustawa, szlachetna twarz burbońska z haczykowatym nosem przybierała wyraz zamyślenia, zaraz zaczynał wykład o dobre mechanizacji, słabości i sile, szpikując go dygresjami z dziejów kalek — o niemocie Spartan, o tym, że Edyp był kulawy, bogowie zaś często ułomni, że Mojżesz się jękał, Dymitr Czarodziej miał suchą rękę, Cezar i Mahomet epilepsję, a Lord Nelson podpięty agrafką rękaw — ale głównie o dobre mechanizacji i w jaki sposób ją wykorzystywać, ja tymczasem byłem jak rycearz wysłuchujący wykładu od uczonego pana feudalnego, który raczył mnie oświecać.

Wychowano mnie na słuchacza. Lecz Einhorn z tymi swoimi ozdobnikami, uczonością, krasomówstwem i całym rejestrem efektów wcale nie chciał na mnie wpływać. Nie był jak babcia, która miała w nas wiecznie wymierzone swoje pouczające siedemdziesiątki piątki. Chciał tylko być wymowny, godny podziwu i elokwentny. Nie ojcowski. Pilnie baczył, aby nie przyszło mi do głowy uznać się za członka jego rodziny. Zresztą mało miałem na to szans, zważywszy na wzmianki Einhornów o Arturze, ich jedynym synu, i na to że odprowadzono mnie, ilekroć zbierało się na jakieś ważne sprawy rodzinne. Chcąc absolutnie się upewnić, by nie niedorzecznego nic powstało w moich myślach, Einhorn od czasu do czasu pytał o moją rodzinę, jakby nie wiedział dostatecznie o niej od Coblina, Kreindla, Clema i Jimmy'ego. Było to dosyć sprytnie z jego strony, takie ustawianie mnie na swoim miejscu. Jeżeli babcia roiała sobie, że my z Simonem spodobamy się jakimś bogaczowi, który pomoże nam dojść do pieniędzy- 98

dzy, Einhorn dążył do czegoś wręcz przeciwnego. Żeby nasze zażyłe stosunki i fakt, iż mnie lubił, nie wzbudziły we mnie nadziei uwzględnienia w jego testamencie. Usługi, jakich wymagał, były tej natury, że każdy, kto je wykonywał, musiał z konieczności być z nim w wielkiej zażyłości. Bardzo mnie czasem wściekało, że oboje z żoną dokładali wszelkich starań, abym znał swoje miejsce. Ale może mieli słuszność, bo babcia zdołała zaszcześcić nas swoje rojenia, choć nigdy nie traktowałem ich poważnie. Przemyślałem jednak o tym i stąd moje oburzenie. Einhorn i jego żona to samoluby, choć nie byli małostkowi, musiałem przyznać i na ogół oddawałem im tę sprawiedliwość — jedynie samolubni, jak dwoje ludzi, którzy jedzą sobie obiad na trawie i wcale cię nie proszą, abys się do nich przysiadł. Gdybyś sam nie marzył o kanapce, byłby to nawet przyjemny obrazek, to smakowanie musztardy, krojenie ciasta, obieranie jaj na twardo i ogórków. Tak więc Einhorn był samolubny i ciągle węszył swoim nochem, czasem surowo, to znow beceremonialnie, potajemnie, kątem oka wypatrując, czy go nikt nie śledzi, a jeśli nawet śledził, to i cóż.

A i tak nie mógłbym nawet w najmniejszym stopniu uważać się za spadkobiercę Komisarza, bo po pierwsze wciąż podkreślali, że nie mam żadnych podstaw do jakichkolwiek roszczeń, a po drugie bez przerwy omawiali sprawy spadkowe.

Cóż, z konieczności tkwili aż po uszy w różnych sprawach związanych z ubezpieczeniami, prawami własności, procesami i pomyłkami sądowymi, nieuczciwymi spółkami, zawłaszczeniami pieniędzy klientów i zaskarżonymi testamentami. To właśnie się słyszało, gdy zbierał się klub znawców zagadnienia złożony z wpływowych przyjaciół z całym arsenałem oznak swojej pozycji społecznej — sygnety, cygara, jakość skarpet, nowość panam. Oni też byli klasyfikowani wedle gradacji szczęścia i mądrości, ponurości wrodzonej lub nabytej po doznanych przykrościach, uległości lub władzy nad żonami, kobietami, synami i córkami, gradacji zniekształceń albo wedle ról, jakie odgrywali w komediach, tragediach i farsach seksualnych, narzynali czy też sami dawali się nurzynąć, umieli zręcznie manipulować czy dawali się kierować,

I szarpać i targać przez własny los, a także według oszustw, sprytnych bankructw, ogni, które podłożyli, widoków na długowieczność, odległości kresu życia. Również według zasług: który z tych opasłych pięćdziesięcioletnich typów jest dobrym chłopakiem, donatorem, przyjacielem, człowiekiem litościwym, gościem z jajami, przytomnym rachmistrzem procentów, facetem skorym do udzielania pożyczek z dobrego serca, choć nie potrafi się podpisać, Idawcą zwojów dla synagogi, protektorem polskich krew- |nych. Wszystko było wiadome, Einhorn miał to zanotowane. I najwyraźniej wszyscy wszystko wiedzieli. Panowała wśród nich wyraźna szczerłość oraz wzajemny szacunek. A także wiele różnych podłości. Jakkolwiek było, temat rozmów na wygradzonej barierką i ławkami przestrzeni lub przy grze w pinokla w przyległym do biura pomieszczeniu stanowiły głównie interesy—zarządzanie masą upadłości, amortyzacje, testamenty i praktycznie nic poza tym. Jak na Labradorze tematem numer jeden jest surowy klimat, na szczytach Andów oddychanie, a dla kornwalijskiego górnika, który leży w wyrytm pod dnem morza chodniku, przestrzeń. Na ścianach zaś plakaty firm ubezpieczeniowych ukazywały ludzi rozpaczkujących na widok pożaru i na widok szczurów podgryzających belki domu, kobiety ściągające sobie na głowę półki spizarni. A wszystko to dla wykazania, że nie można uniknąć kwestii dziedziczenia. Nie wiem, czy stary Komisarz mnie lubił. Pani Einhorn na ogół była dla mnie uprzejma, ale chwilami posyłała mi spojrzenia przywodzące na myśl Sarę i syna Hagar. Zresztą nie było się czego obawiać. Niczego. Nie należałem do rodziny, a stary też miał swoje marzenia dynastyczne. I wcale nie próbowałem wkraść się do niczyjej spuścizny ani przywłaszczać sobie jakiegokolwiek części tego, co miało przypaść jej eleganckiemu i wykształconemu synowi, Arturowi. Z całą pewnością Komisarz mnie lubił—głaskał mnie po ramieniu, dawał napiwki i na tym koniec.

On i Einhorn byli dla Tillie zagadką. Jej podpięte na wzór faraonowych włosy wyrastały z głowy obdarzonej głównie fizycznymi przymiotami — nigdy nie wiedziała, na jaki ci dwaj mogą wpaść pomysł. A zwłaszcza jej mąż — taki prężny, płodny, zmienny. Słuchała go ze czcią.

100

wykonywała jego rozkazy i polecenia, tak jak reszta z nas. Wysyłał ją do ratusza z prośbami o różne informacje z Urzędu Archiwalnego lub Rejestracyjnego. Wypisywał te pytania na kartkach, bo nigdy sama nie potrafiła wyjaśnić, o co jej chodzi, i przynosiła informacje wypisane przez odpowiedniego urzędnika. Aby usunąć ją z drogi, gdy sobie coś zamierzył, Einhorn wysyłał żonę w odwiedziny do kuzynki w Dzielnicy Południowej, na całodzienne telepanie się tramwajami. Aby mieć pewność, że nie wpadnie zniemacka; co więcej, ona wiedziała, o co chodzi.

Zalóżmy jednak, że właśnie jest pora obiadu w typowym dniu Einhorna. Pani Einhorn nie lubiła zawracać sobie głowy kuchnią, wołała łatwe lub gotowe dania, potrawy garmażeryjne, konserwowego łososia z octem i cebulką lub hamburgery z frytkami. A te hamburgery wcale nie przypominały mdłych, zaprawionych kukurydzianą mąką produktów bufetowych, ale były wielkimi kawałami mięcha usmażonymi na czarno i przyprawionymi mnóstwem czosnku. Obłożone chrzanem i polane sosem chili smakowały wyśmienicie. Oto jakie jadło stanowiło trwałą pozycję w normalnym systemie tego domu, jak jego zapach i wyposażenie, i gdybyś tam zawitał niczym albatros w przelocie, jadłbyś coś, czego jeszcze nigdy nie jadłeś, wcale się nie uskarżając. Komisarz, Einhorn i Szajbus nie pytali o nic, tylko wsuwali, aż im się uszy trzęsły i popijali jak zwykle herbatą i coca-cola. Następnie Einhorn zażywał białą łyżeczkę Bisodolu i popijał szklanką wody z Waukesha na gazy. Sam się z tego śmiał, lecz nigdy nie zapominał tego uczynić i w ogóle odnosił się z wielką powagą do swoich procesów wewnętrznych dbając, aby nie mieć zbyt obłożonego języka i aby mechanizm trawienny działał gładko. Odgrywał rolę własnego lekarza z ogromną powagą. Lubiał mawiać, że działa fatalnie na doktorów, którzy nie dawali mu zbyt nadziei. — Pochowałem już dwóch—mówił. — Obaj powiedzieli, że nie przeżyję roku, i nim minął rok, wyciągnęli kopyta. — Z zadowoleniem opowiadał o tym innym lekarzom. Z zapałem jednak zajmował się sobą i zapałowi temu towarzyszyło dziecięce naigrawanie się z siebie, bezdenne wygłupy. Wywieszał idiotycznie język

101



na brodę i robił zeza. Niemniej nigdy nie zapomniał o zdrowiu i łykał swoje proszki, żelazo, a także pigułki wątrobowe. Można by niemal powiedzieć, że śledził ich asymilację myślami — poprzez części ciała, w które już wkroczyła śmierć, po Waszyngton swego mózgu, organa płciowe i badawcze oczy. Ach, to prawda, wcale nie przestawał przez to być chodzącą troską, ale przecież musiał myśleć o sobie więcej niż inni, bo gdyby jemu się coś stało, byłby z nimi koniec, plajta, krach zupełnie nie usprawiedliwiony. Wiedziałem o tym, ponieważ niczego nie ukrywał, i chociaż nie chciał opowiadać o pieniądzach, które miał w banku, i posiadanych nieruchomościach, mówił zupełnie otwarcie o rzeczach istotnych li odsłaniał przede mną swoje wnętrze, zwłaszcza gdy byliśmy sami w jego gabinecie i pracowaliśmy nad jednym z projektów, które stawały się tym dziwniejsze i bardziej zagmatwane, im więcej wagi przykładał do systematyczności, tak iż w końcu powstawał supermonstrualny mechanizm, którego nie można było za nic uruchomić.

— Augie, ty wiesz, że każdy inny człowiek na moim miejscu byłby na zawsze wyłączony z czynnego życia. Istnieje pogląd, że człowiek to tylko wór pożałliwości. Możesz to znaleźć w Hamlecie. Jak wielkim dziełem jest człowiek i firmament złotem przetykany... ale cały ten gescheft go nudzi. Spójrz na mnie. Nie jestem nawet szybki i godny podziwu w akcji. Można by powiedzieć, że człowiek jak ja powinien zejść z areny i tylko leżeć. A tymczasem ja kieruję dzisiaj wielką firmą—nie była to zupełna prawda, głównym trybem firmy pozostawał wciąż Komisarz, lecz mimo to Einhorn mówił ciekawie —choć nikt by mnie nie winił, gdybym gnił pod kocem w pokoiku od podwórza albo skarżył się i wylewał żale przed rześkimi i zdrowymi ludźmi odwracającymi oczy, by na mnie nią patrzeć. Przed takim chłopakiem jak ty, na przykład, silnym jak koń i rumianym jak jabłuszko. Istny z ciebie Alcybiades. Nie wiem, jaką masz mózgownicę, jesteś jeszcze za bardzo rozbrykany, a jeśli nawet okażesz się bystry, nigdy nie dorównasz mojemu synowi, Arturowi. Nie powinieneś się na mnie gniewać za te słowa prawdy, skoro masz takie szczęście, że ktoś może ci je powiedzieć. Tak czy owak, nie miewasz się źle będąc 102

Alcybiadesem. To stawia cię i tak o niebo wyżej od ludzi f z twego środowiska. I nie łudź się, że oni nie nienawidzą twego pierwowzoru. Wszyscy z wyjątkiem samego Sokratesa, brzydkiego, podobno, jak stary pies. I nie tylko za to, że ów młodzian odłupywał kuśki świętym posągom, nim odpłynął na Sycylię. Ale wracając do tematu, co innego zostać pogrzebanym ze wszystkimi swoimi przyjemnościami jak Sarda na palos, a co innego być pogrzebanym przed ich zaznaniem i tylko je oglądać. Mam rację? Trzeba geniusza, by móc unieść się ponad.

Spokojne, spokojniutkie popołudnie w gabinecie na tyłach domu, z okrytym ceratą stołem bibliotecznym, popiersiami na ścianach, chrapaniem i dygotaniem niewidzialnych samochodów zdążających w stronę parku, ze słońcem zagląającym na podwórko za okratowanym przed złodziejami oknem, stukotem i odbijaniem się bil na suknie i warstwie gąbki, i cichymi, jeszcze cichszymi tylnymi drzwiami zakładu pogrzebowego, kotami siedzącymi w alejkach ogrodu luterańskiego po drugiej stronie zaułka, zawsze wymiecionych i przystrojonych i z rzadka deptanych przez zapięte pod szyję duńskie diakonisy, które wylegały na zdobne drewnianą kratką zawsze świeżo pomalowane ganki swego domu.

Czułem się nieco dotknięty takim sposobem porównania z jego synem. Ale nie miałem nic przeciwko temu, aby być Alcybiadesem ani aby on sam przyrównywał się do Sokratesa, bo w gruncie rzeczy o to mu szło. Mieliśmy do tego takie samo prawo jak przybrani w kolczugi królowie angielscy do Brutusa. Jeśli ktoś ma ochotę wybrać sobie jakiś ideał w zwierciadlanym powietrzu nadmorskim i ostrym listowiu starożytnych doskonałości i czuć się jak u siebie tam, gdzie wielcy ludzie czuli się u siebie, to nie ma powodu, by tego nie czynił. Nigdy jednakże nie mogłem się zgodzić z kimś takim jak wielebny Beecher, który grzmiał do zgromadzonych wiernych: — Jesteście Bogami, jesteście kryształowi, wasze twarze promieniają! — Nie jestem aż do tego stopnia optymistą, aby tak sądzić, gdy patrzę na rzeczywiste twarze w tłumie albo na każdą z osobna. Przyznaję jednak, że prawdziwe widzenie rzeczy jest darem, zwłaszcza w czasach szczególnego zeszpetnienia

i ogólnoswiatowego babiloństwa, kiedy wydaje się, że twardy tłuczeń i wulkaniczna skała są znacznie powszechniejsze od kryształu — przynajmniej dla oczu nie obdarzonych specjalną łaską — i chyba rozsądniej byłoby się zgodzić na średniej jakości kwarc. Ciekawym, gdzie na świecie obejrzano by się na okrzyk: „Homo sum”! Ale jestem i zawsze byłem gotów sięgać, jak najdalej można, mimo że Einhorn nigdy nie imponował mi tak bardzo, jak chciał imponować w swoich wielkich chwilach, siedząc w bankierskich spodniach i kanclerskim krawacie, z wykrzywionymi bezużytecznymi stopami na podnóżku wykonanego według własnego pomysłu fotela na kółkach, który przypominał fryzjerski. I nigdy nie mogłem rozstrzygnąć, czy uważał się za geniusza. Przypuszczam, że sam pragnął zachować w tym pewną niejasność. Nic był człowiekiem gotowym wyjść i oświadczyć, że geniuszem nie jest, skoro istniała szansa, iż mógłby nim być, jako że podobne rzeczy zdarzają się nolens volens. Dla niektórych, jak jego przyrodni brat, Szajbus, był nim niezaprzeczalnie. Szajbus przysięgał na wszystko: — Willie to czarodziej. Daj mu dwa żetony telefoniczne, a zaraz je przegada w całą kupę forsy. — Jego żona też zgadzała się bez zastrzeżeń, że Einhorn jest czarodziejem. Cokolwiek robił — a obejmowało to najrozmaitsze dziedziny — uważała za dobre. Nikt nie był dla niej wyższym autorytetem, nawet jej kuzyn Karaś, który stał na czele spółki Holloway i sam był demonem robienia pieniędzy. Karaś, ten podły, ordynarny typ, kuty na cztery nogi, zabójczo elegancki, z krzywym uśmiechem i oczyma zdziercy, też cieszył się jego pełnym czci szacunkiem, ale nie dorastał do klasy Einhorna.\*

Lecz Einhorna nie pogrzebano tak znowu przed zaznaniem przyjemności. Ciągłe miał romanse z tą czy inną kobietą, a zwłaszcza odczuwał ogromny pociąg do dziewcząt typu Loli Fewter. Tłumaczył się, że to po ojcu. Komisarz na swój dobrotliwy, senny, ciepły, pełen fascynacji sposób przypieszczał i wielbił wszystkie kobiety — wtykał ręce, gdzie chciał. Wyobrażam sobie, że nie bardzo się za to na niego gniewały, gdy salutował je w tym stylu, ponieważ wybierał w tym celu to, co każda z nich sama najwięcej w sobie ceniła — cerę, biust, włosy, biodra 104

i wszystkie inne drobne sekrety i słabostki, jakimi starała się podkreślić swoje zalety. Nie można o nim powiedzieć, że był zwyczajnym lubieżnikiem, przeważało raczej coś w rodzaju Salomonowej czci starego wodza lub wiekowego lwa morskiego. Podmacywał wielkimi, płamistymi męskimi łapskami zarówno zamężne jak niezamężne, a nawet małe dziewczynki, które miały w sobie zaledwie zapowiedź rozkwitu, i nikt się nigdy za to nie obrażał, tak jak nie obrażał się za przezwiska, które wymyślał, jak „Mandarynki” lub „Małe Saneczki”, „Pani Zeszłoroczna”, „Sześciostopowa Gołąbeczka”. Wytworny stary dżentelmen. Zadowolony i nasycony. Wyczuwało się z samego sympatycznego obejścia tego człowieka, co było między nim a kobietami teraz już starymi lub w grobie, które rozpoznawał zapewne i witał to w czyimś nosku, to znów w biuście.

Jego synowie nie posiadali tej cechy. Oczywiście trudno oczekiwać, by młodszy mężczyźni posiadali ten rodzaj wiecznomississippijskiej pogody, ale żaden z nich nie miał w sobie takiej bezinteresowności oraz skłonności do kontemplacji. Może jeszcze Szajbus, lecz nie jego brat. Szajbus był wiecznie zaręczony z jakąś miłą panną. Szorował się i stroił idąc do niej w jakimś rozpaczliwym, wariackim przypiływie gorliwego szacunku. Czasem wyglądał, jakby się miał za chwilę rozpłakać z uwielbienia i w swych przygotowaniach wybiegał z buchającej pach- nidłami łazienki w czystej, nakrochmalonej koszuli rozpiętej na chudej, owłosionej piersi i przypominał mi, że mam skoczyć do Bluegrena po stanik. Nie było rzeczy, której by nie zrobił dla tych panien, i zawsze uważał, że jest ich niegodny. A im bardziej je szanował, tym więcej uganiał się za dziwkami, które podrywał w „Paradyzie” Guyona i woził Stutzem do Rezerwatu Leśnego lub małego hoteliku przy Wilson Avenue, który był własnością firmy Karaś-Holloway. Ale w piątkowe wieczory, przy stole rodzinnym, często bywała jakaś jego narzeczona, raz nauczycielka gry na pianinie, raz projektantka sukien, to znów buchalterka lub zwykła dziewczyna, z zaręczynowym pierścieniem na palcu i innymi prezentami, a Szajbus w krawacie, napięty i ogłupiały, zwracał się do niej hołdowniczo per „Kochanie”, „Moja Isabel”

lub „Kochana Janicc” swoim cienkim, chrapliwym, po. nurył głosem.

Einhorn wcale nie żywił podobnych sentymentów niezależnie od tych z innych dziedzin. Pozwalał sobie na różne żarty jak jego ojciec, ale te żarty miały całkiem inny wydźwięk, co wcale nie znaczy, że nie były śmieszne, lecz służyły zawsze określonej celowi — uwiedzeniu. Ów śmiech dotyczył jego ułomności. Miał zwyczaj śmiać się z niej i przy tym wcale niedwuznacznie dawać kobietom do zrozumienia, że jeśli wejrzą w sprawę głębiej, będą mogły odkryć ku swemu zdumieniu rzecz z prawdziwego zdarzenia, nie tkniętą ułomnością. To im obiecywał. Tak więc roztańczając nicksenny, lubieżny urok, z pozoru tak bezpieczny, jak kapłan światowiec lub starszy pan, od którego można zupełnie bezpiecznie przyjąć miły żarcik lub połachotanie, w rzeczywistości zmierzał nieodmiennie i ponuro do jednej rzeczy, właśnie tej rzeczy, dla której kobiety i mężczyźni łączą się ze sobą. I w ten sposób postępował ze wszystkimi kobietami, nie przewidując oczywiście wielkiego sukcesu, lecz mimo to ludząc się, że któraś z nich — piękna, chętna, zaintrygowana, pragnąca zabawić się w sekrecie, może w sposób nieco perwersyjny (sugerował), dostrzeże, pojmie, zapagnie, zapłonie ku niemu. Wypatrywał i wyczekiwał tego od każdej kobiety.

Nie chciał pozostać kaleką, jego duch buntował się przeciwko temu. Czasem to było okropne — tracił wszystko, z czym, jak wielokrotnie sądził, zdołał się po- I godzić, i stawał się podobny do wilka w zoo, który raz I po raz wtyka nos w kąty swojego wystawowego więzienia. I Rzadko się to zdarzało — pewnie nie częściej niż u zwyk- I łych ludzi, których z takich czy innych powodów diabli I biorą. Ale się zdarzało. Wystarczyło, że odczuwał brak I apetytu, zaziębił się i miał trochę gorączki, w firmie I zarysował się rozłam, uznał swoją pozycję za nie dość I wybitną albo nie otrzymał dostatecznej ilości hołdów I i korespondencji, jakie mu były potrzebne do szczęścia — lub przeczuwana z lękiem prawda dawała w sposób I niewidzialny znać o sobie w całej masie elementów, które I składały się na jego egzystencję, a zaraz zaczynał m<sup>o</sup>\* | wić: — Kiedyś myślałem, że albo odzyskam władzę I 106

w nogach, albo wypiję jodynę, i stosowałem masaż i ćwiczenia koncentrując uwagę na jednym mięśniu, i sądziłem, że go rozwijam samą siłą woli, a także próbowałem tych wszystkich banialuk, Augie, teorii Couego et cetera. I wszystko na nic. Także Nie ma rzeczy niemożliwych i różnych takich bzdur, które ten ważniak Teddy Roosevelt pisał w swoich książkach. Nikt nie wie, ilu rzeczy próbowałem, nim w końcu nie zdecydowałem, że nic z tego [JAę mogłem pogodzić się z losem, a pogodziłem się. I nadal nie mogę się pogodzić i się godzę. Ale jak mi to ciężko przychodzi! Człowiek może się godzić z własnymi troskami przez dwadzieścia dziewięć dni, a zawsze przychodzi ten trzydziesty, kiedy już, cholera, nie może, kiedy czuje się niby śmierdząca mucha w pierwszym tchnieniu mrozu, kiedy rozgląda się i myśli, że jest Starcem Morskim, który oplata nogami szyję Sindbada, a czemuż by ktokolwiek miał dźwigać na swym karku zawistny kawał ludzkiego rupiecia? Gdyby społeczeństwo miało choć trochę rozsądku, zastosowałyby wobec mnie eutanazję/lub pozostawiłoby jak Eskimosi swoich starców w jakimś igloo zjedzeniem na dwa dni. Nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Idź sobie. Zobacz, może się na coś przydasz Tillie.

Lecz tak bywało tylko trzydziestego dnia lub nawet rzadziej, ponieważ na ogół cieszył się dobrym zdrowiem i uważał się za jednostkę pożyteczną, a nawet wręcz niezwykłą, i chętnie się, że nie ma chyba takiej rzeczy, której nie mógłby osiągnąć, gdyby się zawiązał. I bezsprzecznie dokonywał czasem bombowych czynów. Wyprawia ł nas wszystkich, by móc pozostać sam na sam z Lolą Fewter. Na przykład urządzał samochodową wycieczkę do Niles Center, aby Komisarz obejrzał jakąś nieruchomość. Sam zaś ostentacyjnie niby to przygotowywał się do jakiejś pracy, kiedy nas nie będzie — akta i materiały miał już przed sobą na biurku — nie spieszył się, ujmujący, łagodny za okularami w szyl- kretowej oprawce, odpowiadał wyczerpująco na pytania i nawet opóźniał wyprawę, żeby wymienić ostatnie słowa z ojcem na temat szerokości działki lub jakichś ulepszeń. — Czekaj, pokażę ci na mapie, jak biegnie linia autobusowa. Przynieś mapę, Augie. — Kazał mi po nią

lecieć i zatrzymywał Komisarza, póki ten się nie zniecierpliwił, ponieważ Szajbus raz po raz przyciskał klakson, a pani Einhorn, już usadowiona na tylnym siedzeniu z torbami pełnymi owoców, wołała: — Chodźcie, bo gorąco! Zaraz tu zasłabnę! —? A tymczasem w korytarzu między mieszkaniem a pokojami biurowymi krzątała się sennie ze ścierką w ręce, w połyskliwym mroku, Lola Fewter, wielka i miękka, nie odczuwająca upału w cieniutkiej bluzce i słomkowych sandałach, jak nazbyt wyrośnięta mała dziewczynka spacerująca z lalką i uśmiechnięta przy tej zabawie w matkę i małżeństwo, leniwa i beztroska, jakby oszczędzająca siły do zabawy, która dopiero miała nastąpić. Ciem Tambow próbował mnie oświecić w czym rzecz, ale dałem się przekonać, nie tylko z powodu niezwykłości samej myśli oraz chłopięcego szacunku, jaki żywiłem dla Einhorna, lecz również i dlatego, że sam przystawiałem się do Loli. Szukałem różnych pretekstów, żeby być z nią w kuchni, kiedy prasowała. Opowiadała mi o swojej rodzinie w okręgu węglowym Franklin County, a potem o tamtejszych mężczyznach i o tym, co próbowali z nią robić i robili. Strasznie na mnie działała. Wystarczyła byle sugestia, a zaczynałem przestępować z nogi na nogę. Wkrótce zaczęliśmy się całować i obmacywać. Czasami odpychała moje ręce, a kiedy indziej sama kierowała pod sukienkę, aby mnie rzekomo pouczyć, wzburzona, że wciąż jestem prawiczkiem, i w końcu z dobroci serca powiedziała kiedyś, że jeśli przyjdę wieczorem, pozwoli się odprowadzić do domu. Pozostawiła mnie w stanie takiego podniecenia, że ledwie mogłem poruszać się na nogach. Ukryłem się w sali bilardowej drżąc, aby Einhorn po mnie nie posłał. Nadszedł jednak Ciem z wiadomością od niej, że się rozmyśliła. Byłem bardzo rozgoryczony, lecz myślę, iż także uwolniony od kryzysu. — Czyż ci nie mówiłem? — rzekł Ciem.—Oboje pracujecie dla jednego szefa, a ona jest jego dupą. Jego i jeszcze kilku facetów. Ale nie twoją. Jesteś za głupi i nie masz pieniędzy.

— Niech ją diabli!

— Einhorn gotów jej dać, o co go tylko poprosi. On za nią szaleje.

Nie mogłem tego pojąć. To takie niepodobne do 108

Einhorna, że ulokował swoje uczucia w byle dziwce. Ale to była prawda. Szalał za nią. Wiedział też, że dzieli jej względy z kilkoma nicponiami z sali bilardowej. Jakżeby mógł nie wiedzieć. Nigdy w życiu nie był pozbawiony informacji. Miał ich istic mrowiskowe ładownie z wijącymi się czarnymi rządkami dostarczycieli wpełzających na kopiec ze wszystkich stron. Mówili mu, jaka będzie dalsza kolej sprawy Lingle'a, co znajdzie się na liście publicznej aukcji lub jakie są decyzje Sądu Apelacyjnego, jeszcze nim zostały ogłoszone drukiem, czy też gdzie można nabyć atrakcyjne towary, od futer do przyborów szkolnych — miał więc pełne informacje o Loli od początku do końca.

Eleonora Klein zadawała mi sentymentalne pytania. Czy już mam jakąś sympatię? Chyba dojrzałem do tego. Nasz stary sąsiad, Kreindl, też mnie o to pytał, ale inaczej i cichaczem. Uznał, że nie jestem dzieckiem i może się przede mną odsłonić, z błyskiem i wesołością w zezowatych oczach. — Schmeist du schon, Augie? Masz przyjaciółki? Mój syn nie ma. On wraca ze sklepu do domu i czyta gazetę. S'interessiert ihm nisht. Nie jesteś na to jeszcze za młody? Ja byłem młodszy od ciebie i gefarlich. Wciąż było mi tego mało. Kotzie nie wdał się we mnie. — Musiał się chwalić, że jest lepszym, ba, jedynym mężczyzną w domu i rzeczywiście wydawał się bardzo krzepki, kiedy szczerzył zęby i krzywił w uśmiechu ogorzałą, wyrazistą twarz. Był narażony na różne niepogody w swoich pieszych wędrowkach po całej Dzielnicy Zachodniej z torbą próbek towarów. Bo musiał się liczyć z każdym groszem. I miał cierpliwość i odporność potrzebną na to bezustanne szlifowanie bruku, wędrując dwadzieścia razy na miesiąc pod wciąż tymi samymi zamalowanymi oknami fabryki i znając do najdrobniejszych szczegółów każdą pustą parcelę od domu do miejsca przeznaczenia. Przybywszy na miejsce potrafił przesiadywać całymi godzinami w oczekiwaniu na szes- ciodolarowe zamówienie lub jakąś informację. — Kotzie wdał się w moją panią. Jest kaltblutig. — Wiedziałem, oczywiście, że to on sam wyprawiał te wrzaski i krzyki, i tupania w swoim pokoju na dole ciskając różnymi przedmiotami o podłogę.

— A jak się ma twój brat? — spytał z zaintrygowania-

ni cm. — Podobno małe maidelech sikają w majtki na jego widok. Co on porabia?

Prawdę mówiąc nie miałem pojęcia, co w owym czasie robił Simon. Nie mówił mi tego i nie wydawał się ciekaw, co dzieje się ze mną, skoro raz uznał, że jestem jedynie lokajem Einhorna.

Kiedyś poszedłem z Szajbusem na przyjęcie, które urządzała jedna z jego narzeczonych, i spotkałem tam Simona z młodą Polką w pomarańczowej sukni lamowanej futrem. Simon miał na sobie luźny, pierwszorzędny garnitur w kratę i wyglądał urodziwie, jak należy. Nie pozostał długo, odniosłem więc wrażenie, że nie chciał spędzać wieczorów tam gdzie ja. A może nie podobał mu się styl, jaki narzucił przyjęciu Szajbus, jego recytacje i niewybredne parodie, pyszałkowate drwiny i sprośne gadki wywołujące piski dziewcząt. Przez kilka miesięcy pozostawałem z Szajbusem na bardzo zażyłej stopie. Wyglądałem się razem z nim na przyjęciach, towarzyszyłem mu w błazeństwach albo przystawiałem się do dziewczyn i ścisnąłem z nimi na gankach i podwórkach, dokładnie tak samo jak on. Wziął mnie pod swoją opiekę w sali bilardowej i boksowaliśmy się po przyjacielsku, w czym nigdy nie byłem za dobry, lub grywaliliśmy w piramidkę, co mi szło nieco lepiej — z chuliganami i różnymi krzykaczami. Tak więc babcia Lausch pomyślałaby, że to najgorsze, co mi wrożyła, obeszło się ze mną zbyt delikatnie, gdyby mnie zobaczyła na wysokim krześle pucybuta nad zielonymi stołami, w kapeluszu z wyciętymi dla przewiewu romboidalnymi otworami i mosiężnymi plakietkami z napisem: „Pocałuj mnie” i „Al Smith”, w tenisówkach i pulowerze, pośród skwierczenia jazzu i zgiełku transmisji baseballowych, stuku kredy o tablice i łoskotu kijów, wśród wypluwanych łupinek pestek, kawałków niebieskiej kredy rozgniatanych butami i wiszącego w powietrzu pyłu talku do posypywania rąk. Razem z węszącymi krew chojrakami, narybkami band, złodziejami samochodów, bandziorami, pijakami i opryskami, drobnymi awanturnikami, którzy marzyli, że zostaną gangsterami, okolicznymi kowbojami z baczkami ś la Jack Holt aż do dolnej szczęki, eks-więźniami, szulerami, kanciarzami i rozrabiaczami, eks-żołnierzami, 110 mężami unikającymi domów, taksiarzami, kierowcami ciężarówek i domorosłymi atletami. Ilekroć komuś przyszło do głowy zechcieć dać mi wycisk — a było tam mnóstwo drażliwych typów skłonnych opacznie zrozumieć czyjeś spojrzenie — Szajbus natychmiast przybywał mi na pomoc.

— Ten chłopak to mój kumpel i pracuje u mojego brata. Spróbuj z nim zadrzeć, a zbierzesz po ryju. Co ci jest? Takiś silny czy głodny?

Był zawsze nadzwyczaj poważny w sprawach honoru i lojalności; gotów zaryć się gwałtownie w ziemię swymi kubańskimi obcasami i puścić w ruch kościste pięści, a broda z dołkiem machinalnie zajmowała bojową pozycję na przyobleczonym w nakrochmaloną koszulę ramieniu, co poprzedzało zwykle taneczną pracę nóg i łomot pięści.

Ale nie musiał się o mnie bić. Jeśli przyjąłem którąkolwiek z doktryn babci Lausch, to właśnie doktrynę łagodnych odpowiedzi, chociaż dla babci miała ona źródło w taktyce, a nie miłosierdziu, stanowiła przytarcie nosa poganom, durniom i brutalom. Nie twierdzą więc, że to umiejętność odwracania gniewu lub integer vitae (jakżeby mógł?) sprawiały, że zabijacy mnie szanowali, po prostu nie przepadałem za bezustannym srożeniem się, zwężaniem oczu, postawą podstępного Tybalta sprężonego do zadania ciosu, za tego rodzaju kodeksem, i nie ciekawiło mnie, jak to jest, kiedy się kogoś zdzieli, toteż nie odpowiadałem na żadne zaczepki.

Podzielałem w tym względzie również poglądy Einhorna, który lubił podawać za przykład siebie za kierownicą Stutza — gdzie rzeczywiście go czasem sadzano, by mógł lepiej widzieć rozgrywki tenisowe lub podwórkowe gry w piłkę — gdyby jakiś dostawca węgla natarł na niego z łyżką do opon, ponieważ trąbił kilka razy, aby usunąć z drogi Stutza, a w pobliżu nie byłoby Szajbusa. — Co mógłbym zrobić — mówił Einhorn — gdyby ten człowiek bez żadnych pytań zaczął mnie lać tym żelastwem po głowie? Widząc, że trzymam ręce na kierownicy, myślałby na pewno, że jestem kierowcą. Musiałbym bardzo prędko się tłumaczyć! Ale czy zdołałbym to zrobić dostatecznie szybko? Co mogłoby wyrzucić wrażenie na

UI

Htakim bydlęciu? Gdybym udał, że zemdlałem lub jestem martwy? Boże wielki! Nawet przed zachorowaniem, I a byłem dość silnym młodzieńcem, próbowałem zrobić wszystko, aby uniknąć bójki z jakimś sukinsynem, umięśnionym gorylem lub ciemnym typem szukającym zwady. To miasto jest jedynym w świecie miejscem, gdzie ktoś, kto wychodzi na spokojny spacer, ryzykuje, że powróci z guzem lub rozkwaszonym nosem, a może to zawdzięczać w tym samym stopniu pałce policjanta co pięściom zabijaków, którym zabrakło kilka dziesiątków, by móc uganiać się po Riverside za cipami, więc włóczą się po zaułkach wypatrując kogo by ograbić. Ponieważ wiemy, że gliniarze nie utrzymują się jedynie z magistrackich pensji, przy tak wielkich pieniądzech syndykatu, które tylko na nich czekają. Żadna ciężarówka z bimbrem nie przejedzie ani mili, żeby jej nie konwojował samochód policyjny. Więc się niczym nie przejmują. Słyszałem, że potrafili zatłuc niemal na śmierć facetów, którzy nie znali dostatecznie angielskiego, by móc odpowiedzieć na ich pytania. — I teraz z ożywioną przenikliwością w twarzy z workami pod oczyma zaczynał rozszerzać swój widnokrąg i wyglądał imponująco z białą grzywą włosów nad uszami i odchyłoną do tyłu głową, jakby cierpiał raczej za coś niż z powodu czegoś, zaprzestawał troszczyć się o siebie. — Ale jest pewna korzyść z brutalności takiego miasta jak Chicago, z braku wszelkich złudzeń. Tymczasem we wszystkich wielkich stolicach świata istnieją powody, by mniemać, iż ludzkość jest całkiem odmienna. Cała ta kultura starożytna i przepiękne dzieła sztuki wystawione na widok publiczny, dzieła Michała Anioła i Christophera Wrena, no i te ceremonie, jak defilady Gwardii Konnej lub pogrzeby wielkich ludzi w Panteonie w Paryżu. Człowiek patrzy na te wspaniałości i myśli, że wszystko, co dzikie, należy do przeszłości. Tak sobie myśli. A jak się bardziej zastanowi, to stwierdza, że kiedy już zabroniono najmować kobiety do pracy w kopalniach albo zburzono Bastylę i zniesiono Star Chambers i lettres de cachet, wypędzono jezuitów, upowszechniono edukację, zbudowano szpitale i zaprowadzono grzeczność i uprzejmość, to wszczęto pięcio- czy sześćcioletnią wojnę i rewolucję i wybito dwadzieścia 112 milionów ludzi. A czy tam jest mniejsze zagrożenie życia niż tutaj? To śmieszne. Lepiej powiedzieć, że tam się wykańcza lepsze jednostki, a nie próbować wmawiać, że jedyne ludzkie istoty żyjące z krwi są nad Orinoko, tak zwani łowcy głów, lub w Ciceru. Ale najlepsze jednostki były zawsze maltretowane lub mordowane. Widziałem obraz przedstawiający Arystotelesa, na którym siedzi jak na koniu jakaś ohydna kurwa. A Pitagoras, którego zabito nad wykresem; Seneka, który musiał podciąć sobie żyły; wielu nauczycieli i świętych zginęło śmiercią męczeńską.

— Ale czasami zastanawiam się — mówił — co by się stało, gdyby nagle wszedł tu jakiś facet z rewolwerem i zobaczył mnie przy biurku? Gdyby powiedział: „Ręce do góry!” Sądziś, że czekałby, aż wytłumaczę, że mam sparaliżowane ręce? Nigdy w świecie. Myślałby, że sięgam do szulfady po rewolwer albo przyciskam guzik alarmowy, i byłoby po Einhornie. Spójrz na statystykę napadów i powiedz, czy zmyślam. Powinienem zawiesić nad głową tabliczkę z napisem „KALEKA”. Ale wolę nie mieć tego cały czas przed oczyma. Jedyna moja nadzieja, że mam tu wszędzie porozwieszane tabliczki Brink's Express i Pod Ochroną Pinkertona, które może ich odstraszą.

Często oddawał się rozmyślaniom o śmierci i mimo że pod wieloma względami był postępowy, dla niego Śmierć pozostała nadal tym starym kościotrupem, w zgrzebnych zmurszałych gaciach. Tą samą Śmiercią, której nie dostrzegały w swoich lustrach piękne dziewczęta, ponieważ te lustra były wypełnione ich białymi piersiami, błękitnym blaskiem starych germańskich rzek, miastami za oknem pokratkowanym tak jak ich podłogi. Pozostała starym podstępny łotrem z prześwitującymi spod strzepów koźlęcej skóry kośćmi, a nie łagodnym Sir Cedrikiem witającym młodych chłopców pośród gałęzi jabłoni. Einhorn nie otaczał tej postaci żadną życzliwością, lecz samymi przesądami i tylko udawał stoicki spokój wobec thanatopsis, tymczasem zaś próbował wymanewrować tego straszliwego porywacza, który brał nad nim górę. I był zapewne jego jedynym bogiem. Często myślałem, że w głębi ducha Einhorn poddał się

całkowicie temu łąkowi śmierci. Ale kiedy już, już ci się zdawało, że wytropiłeś Einhorna, śledząc jego czyny oraz zamierzenia, i lada moment będziesz go miał w garści, w końcu stwierdziłeś, że nie jesteś w środku labiryntu, lecz na szerokim bulwarze, na którym on się pojawia nadjeżdżając z całkiem innej strony — niby gubernator w limuzynie, otoczony oddziałem policji konnej, dominujący i niezbędny, ulubieniec wszystkich, a śmierć jest tylko jednym elementem, w dodatku odległym, jego prywatnego życia.

#### Rozdział VI

Czego ja mogłem z tego chcieć dla siebie? Nie potrafiłbym powiedzieć. Mój brat, Simon, był niewiele starszy, a zarówno on jak [inni chłopcy w naszym wieku już pojmowali, że trzeba jakoś to życie przeżyć, i obiecali jakąś drogę, podczas gdy ja tylko kręciłem się w kółk^y Einhorn też doskonale wiedział, jakich usług ode mnie potrzebuje, ale co ja miałem w zamian za nie od niego otrzymać, nie było jasne, t^iem, że tbardzo za czymś tęskniłem, i nie pojmowałem za czymj

Przed porą wad i występków, do których przyznajemy się w znużeniu wieku dojrzałego, dość pospolitych i nudnych, by się nad nimi rozwodzić, istnieją zwykle lub winny istnieć owe jedwabiste, nieprzytomne czasy malowane z natury, jak ta idylliczna scenka z dwojgiem zakochanych pastuszków sycylijskich albo z lwami, które można odpędzić kamieniem, i złotymi węzami rozpelzającymi się w szczeliny Eryksu. Chodzi mi o wczesne sceny z życia fężdego z nas z osobna, każdego biorącego początek wEdenie i przechodzącego przez ograniczenia, cierpienia, wykoślawienia i śmierć, do ciemności, z której jakoby możemy znowu, już na trwałe, wejść w początek. Jest w tym też groza szarości, przedśmiertnego skurczu, oszczerczych ust, pełnych lęku oczu i czego tam jeszcze na skutek braku wspomnień o szczęściu i nadziei na cokolwiek. Ale gdy nie ma pasterskiej Sycylii, odręcznego malunku z natury, tylko typowo miejskie utrapienia i człowiek musi od zarania podporządkować się typowo

miejskim dążeniom<sup>^</sup> gdy zamiast ubrany w efod zostać wysłany przed Eliasza, aby rozpocząć służbę w świątyni albo wsadzony na konia przez płaczące siostry jechać studiować grekę w Bogocie, ląduje w sali bilardowej do czego może to w najlepszym razie doprowadzić? Jakie szczęście lub antidotum niedoli może zaofiarować człowiekowi ta sala w miejsce fujarki i owiec lub harmonijnej, mlekiem karmionej niewinności albo choćby wycieczek na wieś z bladym instruktorem w okularach czy lekcji gry na skrzypcach? Przyjaciele, druhowie w człowieczeństwie, ludzie i współpracownicy, nie ma takiego sposobu, żeby móc krótko, zwięźle powiedzieć, do czego prowadzi. Crusoe, sam na sam z naturą pod całym nieboskłonem, musiał się dobrze napocić i nauwijać z tym, co nieludzkie, ja zaś przebywam w tłumie, który do czegoś dochodzi ze znacznie większą trudnością i oporami, i sam jestem jego częścią.

A skoro mowa o tych typowo miejskich dążeniach, pozostawałem przez pewien okres również pod wpływem Szajbusa. Sądził, że może mnie nauczyć mnóstwa rzeczy, których nawet jego brat nie potrafi. Wiedziałem, że Szajbus myślał bezustannie, jak zdobyć uznanie w oczach Komisarza i Einhorna, i dążył do osiągnięcia sukcesu, dosyć zresztą charakterystycznego dla siebie. Zaklinał się, że go osiągnie, zdobędzie majątek i sławę, zabłyśnie jako inspirator, którego nazwisko będzie wymieniane w radio wśród innych osobistości przechodzących przez ring przed j<sup>^</sup>ówną walką, w okularach lśniących jak diamenty. Od czasu do czasu chwycił się roli menedżera jakiegoś pięściarza, najczęściej takiego, któremu łatwo różne rzeczy wmówić. I właśnie w tym czasie został menedżerem pięściarza wagi ciężkiej. Nareszcie, powiedział, ma dobrego zawodnika, Nagela Brudne Pazury. Miewał już bokserów wagi średniej i półciężkiej, ale dobry bokser wagi ciężkiej to źródło największej forsy, pod warunkiem, że ma w sobie zadatki na mistrza, a Brudne Pazury\* oświadczył Szajbus— a raczej wykrzyczał z najszczerzą, wojowniczą pewnością siebie — zdecydowanie je ma- Brudne Pazury też czasem przypuszczał do siebie tę mys»» 116

choć prawdopodobnie nie brał jej sobie do serca, bo w przeciwnym razie zająłby się wyłącznie boksem i przestał pracować na złomowisku starych samochodów. Był zarazem powolny i porywczy w sposobie posługiwania się zwiędzonymi brudem za paznokciami kułakami swoich grubych białych rąk związanych w przegubach jakby dodatkowymi ścięgnami. Jego tępa czarna szczęką była podobnie wzmocniona i sztywno cofnięta na ogoloną grdykę, aby ochronić ją przed ciosem. Wierzchołek głowy osłaniała mu czapka, której daszek wystawał nad ukryte niby w mateczniku oczy. Skromne męstwo, które nie pragnie niczyjej krzywdy ani zła, szczotka z końskiego włosia lub szorstka bryła męskości — oto jakie budził skojarzenia. Był niesamowicie silny i anielsko znosił łomot, a jego wielkie cielsko poruszało się dość szybko jak na boksera wagi ciężkiej. Brakowało mu jedynie sprytu. Zdawał się w tym względzie na Szajbusa, który mu podpowiadał, co robić — pozwalał Szajbusowi sobą kierować, nie mogąc mu się skutecznie sprzeciwić, ponieważ język pośród nielicznych zębów miał mało obrotny i dowcipnisie z sali bilardowej radzili mu: — Przejdź na lżejszy olej, inaczej w tej pogodzie nie zapalisz. — Nie nadawał się na pięściarza ten syn drobiarki. Jego matka pracowała długie lata na tyle sklepu drobiarskiego skubiąc kury i gęsi — ubrana w fartuch jutowy kobiecina, która miała tak bardzo wystające zęby, że nie mogła domknąć ust. Robiła niezłą forszę i Brudne Pazury brał od niej więcej pieniędzy, niż sam potrafił zarobić. Zajmował się tym, do czego tylko z pozoru świetnie się nadawał.

Miał jednak kota na jednym punkcie: chciał, aby go podziwiano jako boksera, i był kiedyś niewiarygodnie szczęśliwy, bo Szajbus wziął go z sobą, gdy miał wygłosić pogadankę dla chłopców z klubu w suterenie przy Division Street, zaproszony przez kolesia z sali bilardowej, który był jednym z opiekunów tego klubu. Odbyło się to mniej więcej tak: Szajbus i Brudne Pazury stali obok siebie w wyjściowych ubraniach, czarnych zamszowych półbutach, zsuniętych na oczy kapeluszach i z łańcuszkami na klucze. — Chłopaki, musicie w pierwszym pędzie zrozumieć, jakie to ważne, abyście żyli w czystości, ostro trenowali, pili dużo mleka, jedli dużo warzyw



i spali przy otwartych oknach. Spójrzcie na tego tu pięściarza — radośnie uśmiechniętego Brudne Pazury, który mężnie rozdzielał im błogosławieństwa — w podróży czy gdziekolwiek, obojętnie gdzie, Nagel trenuje aż do siódmych potów co najmniej raz dziennie. Potem gorący prysznic, zimny prysznic i mocne wytarcie się ręcznikiem. Pozbywa się w ten sposób przez pory trucizny, a pali tylko wtedy, gdy go częstują cygarem po odniesionym zwycięstwie. Czytałem, co niedawno pisał Tex Rickard w „Post” o tym, jak przed walką z Willardem. kiedy w Ohio było trzydzieści osiem stopni w cieniu, Dempsey przeprowadził tak świetny trening, że jak się zdrzemnął przed spotkaniem, w samej białźnie, nie miał na sobie po przebudzeniu ani kropelki potu, a białźna była świeżuteńka. Chłopaki, muszę wam powiedzieć, że to cudowna sprawa! Takim to dopiero warto być! Więc słuchajcie moich rad i nie zabawiajcie się siusiakiem. Wierźcie mi, to bardzo ważne. Zostawcie siusiaka w spokoju. Nie tylko jeśli chcecie zostać sportowcami. Są jeszcze inne, ważniejsze powody. Jeżeli nawet macie inne ambicje, takie zabawy od razu je zniweczą. Zatem ręce precz od siusiaka, bo się wam od tego tylko zmąci w głowach. I nie zabawiać się brzydko z koleżankami. To ani wam, ani im nie wyjdzie na dobre. Wierźcie mi, a mówię to wam wprost, bo nie mam zaufania do żadnych matactw i krętaniny. Te różne gorące gówniary, które widuję na ulicach... omijajcie je z daleka. Jak już który musi mieć przyjaciółeczkę, to nie widzę żadnych przeszkód, żeby ją sobie wybrał z całego mnóstwa porządných dziewcząt, co nie chwytają zaraz za rozporek i nie pozwalają migdalić się ze sobą do pierwszej w nocy na schodkach przed domem — i tak dalej, i dalej, z błyskiem szczerości w oku, do siedzących na składanych krzesłach członków klubu.

Szajbusowi bardzo odpowiadała rola menedżera. Tego właśnie potrzebował: móc wygłaszać pogadanki (jego brat był mówcą w loży i na bankietach), wyciągać Brudne Pazury rankami z pokoju na treningi w parku, schlebiać mu, doradzać, rechotać i popisywać się, wyklócać o różne urządzenia gimnastyczne w salach Traftona. Gniewnie bronić swoich praw do przyrzędów i worków treni- 118 gowych wśród odurzających zapachów płynów do nacierania, rytmicznego drgania lin, trzasku drzwiczek blaszanych szafek w tych zatopionych w cieniu wieżowców Pętli salach które tętniły mozolną pracą lśniących od potu mięśni polskich, włoskich i murzyńskich pod okiem cwanych właścicieli i tłumy kalkulatorów łatwego zysku. Kiedy wyrobił Nagelowi kondycję, zabrał go autobusem w objazd na Zachód, pożyczwszy pieniądze od Einhorna, ale zadesperował z Salt Lake City, gdzie utknęli straciwszy wszystko, po czym wrócili głodni i bładzi. Brudne Pazury wygrał dwie walki na sześć stoczonych i kpinom w salonie bilardowym nie było końca.

Potem Szajbus został na pewien czas wyłączony z pięściarstwa, stało się to po wielkiej ucieczce z więzienia w Joliet, był bowiem kapralem powołanej przez gubernatora Gwardii Narodowej. Stawił się natychmiast w swoim mundurze koloru khaki i szerokoskrzydłym kapeluszu ze sznurem, nie kryjąc zatroskania, że może się znaleźć w patrolu, który przydybie Tommie'ego O'Connora, Larry'ego Awiatora lub Zwariowanego Gonzaleza, jego idolów.

— Padnij w rów, głupolu, i nie wystawiaj głowy — poradził mu Einhorn. — Ale policja stanowa wyłapie ich wszystkich, nim zdążysz wsiąść do pociągu, i grozi ci tylko, że będziesz jechał w tłoku i żywił się fasolą.

Komisarz, który ostatnio podupadł na zdrowiu, zawołał z łóżka: — Pokaż się przed wyjściem, błaznie! — A kiedy Szajbus urażony i opięty deformującymi bryczesami stanął przed nim, stary rzekł ogromnie ubawiony: — Iii-dio-ta! — Pani Einhorn zaś, dając synowi do przełknięcia gorzką pigułkę niezrozumianych uczuć, przestraszyła się na widok munduru i wybuchła płaczem uczepiwszy się szyi Loli Fewter. Szajbus przez kilka dni biwakował gdzieś pod Joliet w deszczowej pogodzie i wrócił wychudły, szerniały, wynędzniały, z lekko zezującymi ze zmęczenia gniewnymi oczyma. Zaraz też podjął trening z Nagelem Brudne Pazury. Załatwił mu walkę w Muskegon, w Michigan. Einhorn wysłał mnie tam, żebym mu donosił, jak Nagel i Szajbus będą sobie w tej dziurze poczynali. — Augie — rzekł — winienem ci wakacje. Jeżeli twój przyjaciel Klein, któremu zbytnio

ufam, zastąpi cię przez parę popołudni, jedź sobie na tę wycieczkę. Może Nagel poczuje się trochę pewniej, gdy będzie miał przy narożniku kibica. Szajbus za dużo mu trzaska z bata nad uszami. Może ktoś taki pogodny jak ty... sursum corda. Jak z twoją łaciną, chłopcze? — Einhorn był uszczęśliwiony własnym pomysłem. Zawsze był pełen ciepłych uczuć, gdy jego pragnienia zbiegały się z dobrym uczynkiem. Zawołał do ojca: — Tato, daj Augie'emu dychę. Wysyłam go w interesach — aby w ten sposób zasygnalizować, że jego szczodroblivość ma do pokonania różne przeszkody. Komisarz, zawsze hojny i usłużny, dawał chętnie, choćby szło o nie wiedzieć jaką sumę swobodzie rozstawania się z gotówką mógłby każdemu służyć za wzór

Szajbus cieszył się, że z nimi jadę, i wygłosił do nas mowę z tą swoją zwierzęcą bezczelnością, która go cechowała, ilekroć stawał na czele jakiegoś przedsięwzięcia. — Dobra, chłopaki, tym razem wszystko pójdzie jak w zegarku... — Nieszczęsny Nagel, nie wyglądał dobrze w morwowej kurtce ekskluzywnego klubu sportowego, rozepchanej muskułami, z odzieżą w torbie zwisającej aż do krzywych gic, ciężkiej jak narzędzia hydraulika. Ogromna twarz wyglądała niczym wygrabiona grządka wymagająca podlania. A w jej porowatej suchości widniała para białawych oczu przewidujących najgorsze i uformowany pięścią nos.

Owo na ten dzień najgorsze już przytrafiło się komuś innemu. Jeden z braci Aiello został znaleziony z kulą w głowie w swoim sportowym wozie. „Examiner” zamieścił na ten temat ogromny artykuł. Przeczytaliśmy go w tramwaju jadąc do przystani, a Nagelowi przypomniało się, że chyba grał kiedyś w baseball przeciwko temu Aiello. Przygnębiło go to. Wciąż było bardzo wcześnie, tuż po świcie, gdy ciągi porannych ulic dzielnicy ruder są puste, z zaledwie kroplą słońca na krawędziach domów. Kiedy szliśmy po moło do „City of Sangatuck” i wyszliśmy spod dachu, nagle miejska ponurość zakończyła się płomienną, błękitną huśtawką słodkich wód, od czarnych brzegów aż po złocistą błądź ku wschodowi. Pokłady powleczone bielą ołowianą były świeżo zmyte i lśniły barwami ciepłych wód Zatoki Meksykańskiej- 120

kiej, a mewy szybowały unoszone w górze prądami powietrznymi. Szajbus poczuł się wreszcie szczęśliwy. Zmusił Nagela do treningu na statku, nim zapelnily się pokłady. Po ośmiu godzinach bezruchu na wodzie stałby się zbyt sztywny, aby móc wieczorem walczyć. Brudne Pazury zaczął więc biegać truchtem, z uśmiechem na twarzy. Stał się zupełnie innym człowiekiem wśród oblanych słońcem niespokojnych wód i mew spadających z powietrza, w którym tkwiły niemal nieruchomo, na powierzchni wody po kawałki chleba. Wykonał kilka pozorowanych uderzeń znad klatki piersiowej, pełnych werwy, technicznie dobrych i niebezpiecznych, Szajbus zaś w pasiastym jak noga szarańczy stroju poradził mu, by mocniej pracował barkami. Byli obaj przekonani, że płyną po zwycięstwo. Udali się do wyściełanego różowymi dywanami salonu na kawę. Ja zostałem na pokładzie radując się słońcem, barwami i zapachem siana z luku, gdzie załadowano konie cyrku wyruszającego w objazd po małych miasteczkach. Krew we mnie żywiej krążyła, kiedy siedziałem w tym ciepłe i błękitnie, a od stóp w mocno wystrzępionych i nieco za dużych trampkach oznaczonych tuszem napływał lekki powiew prześlizgując się po dzinsach i owiewając głowę o czuprynie wystarczająco bujnej, by mogła służyć za poduszkę na ścianie nadbudówki.

Gdy byliśmy już daleko na ciepłych, słodkich wodach, Szajbus wyszedł z salonu z dwiema młodymi kobietami, przyjaciółkami Isabel czy Janice, które tam spotkał, obiema w tenisowej bieli i z włosami podwiązanymi wstążką, udającymi się na wakacje, by biegać i odbijać wysokie piłki na trawiastych kortach w Sangatuck i obwozić ładniutkie biuściki kajakiem po cichych zatoczkach. Pokazywał im kapeluszem oddalające się widoki dając okazję sterczącym włosom ożyć w słońcu i wyparować j pachnidła — cóż mogło być lepszego dla początkującego menedżera boksinerskiego jak ta przechadzka w białych pantoflach, z furkotem nogawek na wietrze niczym u właściciela jachtu w taki uroczy i życzliwy dla ludzkich nadziei poranek oraz towarzystwo panien? Brudne Pazury został w salonie usiłując zdobyć nagrodę za pomocą maszyny zwanej Łapą, zmyślnego urzędnika

w szklanym pudle z aparatami fotograficznymi, wiecz- Jnymi piórami i latarkami elektrycznymi zagrzebanymi w kupie cukierków zwanych groszkiem. Za piątką można było manewrować ową „łapą” posługując się dwiema dźwigienkami, z których jedna naprowadzała ją na cel, druga zaciskała. Wydawszy pięćdziesiąt centów zdołał wyłowić zaledwie garstkę zlepionych cukierków. A pragnął wygrać aparat fotograficzny dla matki.

Wyszedł więc na pokład i podzielił się cukierkami ze mną, a potem oświadczył, że nadwerężył sobie przy maszynie wzrok i kręci mu się w głowie, ale prawdziwą tego przyczyną było kołysanie i rozcinana gładkim dziobem statku woda, i gdy znaleźliśmy się blisko brzegów stanu Michigan, na falach odbitych od dna, nozdrza Nagela spopielały i zrobił się biały jak polip, nawet w najgłębszych zmarszczkach. Kiedy wymiotował, Szajbus trzymał go mocno od tyłu — swego chłopaka, którego gotów był przeprowadzić obronną ręką przez samo piekło — i błagał z nieskrywaną goryczą zawodu: — Człowieku, trzymaj się, na miłość boską! — Ale Brudne Pazury nadal odczuwał mdłości i wciągał powietrze głęboko w płuca, a włosy opadały mu na zlaną zimnym potem twarz i wypatrujące tęsknie łądu oczy. Kiedy dobiliśmy do Sangatuck, nie mieliśmy odwagi powiedzieć mu, że od Muskegon dzielą nas jeszcze całe godziny podróży. Szajbus zaprowadził go pod pokład, by mógł się położyć. Brudne Pazury tylko na niewielu liczkach świata czuł się bezpieczny.

W Muskegon poprowadziliśmy go, zwiotczalego i żół- kłego, po deskach molo, gdzie woda nad piaskiem dna była zbyt spokojna, by ukryć okonie przed popołudniowymi wędkarzami. Poszliśmy do YMCA, umyliśmy go, nakarmili pieczenią wołową i powiedli do sal gimnastycznych. Chociaż uskarżał się na ból głowy i chciał się położyć, Szajbus zmusił go do treningu. — Gdybym ci na to pozwolił, leżałbyś tylko i płakał nad sobą, a wieczorem nie nadawałbyś się w ogóle do walki. Wiem, czego ci trzeba. Augie zaraz pójdzie i przyniesie ci pudełko aspiryny, f^p, ruszaj! Wybiegaj ten posiłek. — Gdy wróciłem z pigułkami, Brudne Pazury, blady i odrętwiały po przebiegnięciu dziesięciu długości bezokiennej, po- 122 zbawionej świeżego powietrza sali, dyszał siedząc pod słupkiem z koszem do gry w koszykówkę, a Szajbus rozcierał mu klatkę i usiłował wzbudzić w nim ufność, lecz tylko sprawiał większą udrekę, nie wiedząc, jak to uczynić bez gróźb. — Chłopie, gdzie twoja siła woli, gdzie zapas energii!

Wszystko na nic. Słońce zachodziło, od spotkania dzieliła nas ledwie godzina, więc siedzieliśmy sobie na placu, ale i tam dobiegał słodkawy zapach głębin i Brudne Pazury znów zaczął odczuwać mdłości, oklapł i zwiesił głowę. — No cóż, idziemy — rzekł Szajbus. — Zrobimy, co będzie można.

Walki toczyły się w Lions' Club. Brudne Pazury występował w drugim spotkaniu, przeciwko człowiekowi nazwiskiem Książę Jaworski, operatorowi świdra pneumatycznego z fabryki brunswickiej, za którym stała cała publiczność, zwłaszcza że Brudne Pazury powłóczył nogami, zasłaniał się przed ciosami i przytrzymywał przeciwnika w zwarcjach, sprawiając wrażenie śmiertelnie przerażonego na połyskującym suchym boraksem ringu, popatrywał głupawo ku otaczającym ring twarzom i krzykaczom żądającym krwi. Jaworski człapał za nim zadając bardziej zamaszyste ciosy. Był zarówno wyższy jak i skuteczniejszy od nieszczęsnego Nagela i na moje oko z pięć lat młodszy. Szajbus szalał z wściekłości słysząc gwizdy publiki i wrzasnął do Nagela, gdy ten znalazł się w rogu: — Jeżeli w tej rundzie nie trafisz go przynajmniej raz, wychodzę, zostawiam cię samego! , — Mówiłem, żeby jechać pociągiem—odparł Brudne Pazury — ale ty chciałeś zaoszczędzić cztery dolce. — Posłuchał jednak ze zdumionymi oczyma wrogich wrzasków i z większą werwą przystąpił do drugiej rundy, przejmując inicjatywę w walce, z morderczością w ruchach olbrzymich, węzlastych białych mięśni. Lecz w trzeciej rundzie otrzymał cios tam, gdzie najmniej mógł go znieść: w żołądek, i runął jak kłoda na deski, a następnie został wyliczony wśród straszliwego ryku i wrzasku, oskarżeń o symulowany nokaut i ukartowaną walkę, a Szajbus wspiał się na liny, machał kapeluszem do sędziego, który stał ze splecionymi w tyle głowy dłońmi, zatkawszy uszy. Brudne Pazury zszedł z ringu zgięty

w pół, z martwymi w blasku elektryczności oczyma i wilgotnym mchem bokobrodów na kamiennej porowatości policzków. Pomogłem mu się ubrać, odprowadziłem do YMCA, gdzie namówiłem, by się położył do łóżka, potem zamknąłem go na klucz, a sam zacząłem na ulicy na Szajbusa, żeby nie wszedł i nie zaczął kopać w drzwi. Ale Szajbus był na to zbyt przygnębiony. Poszliśmy się obaj przejść i zjedliśmy kupione na straganie smażone na smalcu kartofle, wreszcie położyliśmy się spać.

Rano musieliśmy odsprzedać nasze bilety powrotne, żeby móc opłacić rachunek hotelowy, bo Szajbus liczył na wygraną i nie miał ani centa. Ruszyliśmy z powrotem do Chicago na łebka i spędziliśmy noc na plaży w Harbert, niedaleko od St. Joe, Brudne Pazury w szlafroku, a ja z Szajbusem pod jednym płaszczem nieprzemakalnym. Tego dnia przejechaliśmy ciężarówką przez Gary i Hammond, mijając w drodze doki, wysypiska siarki, węgla i płomienie rozpoznawane w spiekocie południa raczej po bijącym od nich żarze niżli blasku, pośród czarnych olbrzymich krów Pazyfae i innych monumentalnych zwierząt, bezgłowych, toczących rdzę dymu, a połączonych w przeogromną rzeźbę hutniczych pieców i fabryk — z tu i ówdzie widniejącym starym kotłem lub kupą popiołów w żabich tarliskach wśród sitowia. Jeśli ktoś widział, jak zimowy Londyn rozwiiera grzmiącą paszczę w swoich ostatnich strasznych minutach blasku na rzece, lub z chłodnym pobrzękiwaniem wjeżdżał od Alp do Turynu w grudniowych kłębach białej pary, wówczas wie, co to ogrom miasta. Trzydzieści mil na zatłoczonej, poznaczonej plamami oleju drodze, gdzie piece, gaz i mechaniczne wulkany stapiają empedoklejskie elementy w surówkę, w stalowe belki i szyny; następnie dziesięć mil luźnej zabudowy, pięć mil zabudowy zwartej — domów czynszowych — i wysiedliśmy z ciężarówki niedaleko Pętli koło Biura Detektywistycznego, a w samym środku dzielnicy wielkich reklam dystrybutorów filmów wstąpiliśmy do Thompsona na spaghetti z duszonym mięsem.

Nikt się specjalnie nie interesował naszym powrotem, bo u Einhornów był tymczasem pożar. Zniszczył salon — w moherowych obiciach czerniały cuchnące dziury, wschodni dywan uległ zniszczeniu, a mahoniowy stół 124 biblioteczny i stojący na nim Harvardzki Komplet Klasyków były nadpalone i zmoczone płynem z gaśnic. Einhorn zażądał dwu tysięcy dolarów odszkodowania, ale inspektor nie przystał na wersję o powstaniu ognia wskutek krótkiego spięcia, napomknął natomiast, że został celowo wzniesiony, co wywołało opinię, iż inspektor pragnął wyłudzić łapówkę. Bawacki gdzieś przepadł — musiałem przejąć na pewien czas część jego obowiązków, nie byłem jednak taki głupi, aby o niego pytać, wiedziałem bowiem, że niewątpliwie się ukrywa. W dniu wybuchu pożaru Tillie Einhorn była z wizytą u swojej kuzynki, a Jimmy Klein z chorym Komisarzem w parku. Komisarza cała ta sprawa bardzo irytowała. Jego pokój mieścił się tuż przy salonie, gdzie zapach spalenizny trzymał się całe tygodnie, toteż Komisarz leżał milczący i nachmurzony, potępiając synowski sposób robienia interesów. Tillie domagała się nowego umeblowania, więc i jej się też dostało — Tte. wiecznie żadne nowych mebli kobiety z ich ciągłymi pragnieniami wicia gnia<sup>Uj</sup>

— Czyż nie dałbym ci sam tych pięciuset, sześciuset dolarów, które w końcu wydebisz od towarzystwa ubezpieczeniowego — mówił do syna — aby nie musieć wachać tego ipisch w ostatnich dniach mojego życia? Willie, wiedziałeś, że jestem chory. — Była to niewątpliwa prawda. Blady, z haczykowatym nosem i poważny Einhorn przyjął po synowsku tę zasłużoną wymówkę od Komisarza, który zwlókłszy się z łóżka w długich gaciach i rozpiętym, brokatowym sięgającym pięt szlafroku stał osłabły w kuchni, nie chcąc się nawet wesprzeć na oparciu krzesła, ciągle niezależny. — Tak, tato odpowiedział Einhorn, a poczucie źle załatwionej sprawy zaznaczyło się na jego szyi kilkoma obwisłymi fałdami, i bez humoru, lecz z zaciętością, niemal srogo spojrzął na mnie. Teraz wiedziałem już na pewno, że to on był sprawcą pożaru, i chyba pomyślał, iż niepotrzebnie poznałem jego sekret. Nie bał się z mojej strony zdrady, ale poczuł się dotknięty w swojej dumie, że poznałem jego tajemnicę. Staralem się nie rzucać mu w oczy i nawet nie przypomniałem, że nie wypłacił mi mojej tygodniówki. Może była to nadmierna delikatność z mojej strony, lecz byłem w wieku, w którym traktuje się sprawy z przesadą.

Minęło lato, zaczęła się znów szkoła, a towarzystwo ubezpieczeniowe nadal było nieusatisfakcjonowane. Dowiedziałem się od Cierna, jak Einhorn nastawał na Tambowa seniora, aby ten skłonił kogoś z Ratusza do poparcia jego roszczeń u wiceprezesa towarzystwa, a i sam napisał sporo listów, w których uskarżał się, iż jeden z największych pośredników nie może załatwić sprawy małego pożaru. W takim razie towarzystwo nie może oczekiwać, by przekonywał klientów, że ich własne straty będą szybko pokrywane. Jak należało się spodziewać, ubezpieczył się w firmie, z którą prowadził największe interesy. Same Holloway Enterprises płaciły premie ubezpieczeniowe od nieruchomości, których wartość opiewała na ćwierć miliona dolarów, a więc musiał istnieć dość wyraźny dowód umyślnego podłożenia ognia, bo jestem pewien, że w przeciwnym razie firma rada byłaby mu się przysłużyć. Cuchnące, nadwęglone meble stały przykryte płótnem w salonie, aż Komisarz wreszcie nie wytrzymał i kazał je wynieść na podwórko, gdzie dzieci bawiły się na nich w Króla Góry, a handlarze starzyzną wciąż przychodzili z propozycjami, iż je zabiorą, pocąc się w biurze w pokornym oczekiwaniu, aż Einhorn ich przyjmie i powie, że nie, bo zamierza je oddać Armii Zbawienia, gdy tylko jego roszczenia zostaną zaspokojone.

W rzeczywistości jednak obiecał je sprzedać Kreindlowi, który chciał im dać nową tapicerkę. Na przekór wszelkim kłopotom Einhorn się uparł, że odzyska pełną wartość mebli. I z powodu pogardy Komisarza. W ogóle zresztą uważał, że postąpił słusznie; że właśnie w taki sposób odpowiada się na prośby żony o nowe meble do salonu. Dał mi w prezencie Harvardzką Bibliotekę Klasyków ze zniszczonymi płynem z gaśnic okładkami. Trzymałem te tomiki w skrzynce pod łóżkiem i zacząłem lekturę od Plutarcha, poprzez listy Lutra do niemieckiej szlachty i Podróż na „Beagle” w której utknąłem w miejscu, gdzie kraby kradły jaja głupim nadbrzeżnym ptakom.

Nic mogłem przeczytać więcej, ponieważ wieczorami nie miałem spokoju. Starszej pani poprzestawiało się z wielkiej starości w głowie, przez co zrobiła się bardzo 126 kłopotliwa. I chociaż zawsze utrzymywała, że jeśli czegokolwiek mamę nauczyła, to właśnie wspaniałego kucharzenia, zapragnęła teraz sama dla siebie gotować i wydzieliła na własny użytek różne rondelki i patelniczki, a także produkty spożywcze i słoiczki w lodówce, przykryte papierem, przytrzymanym gumką, następnie zapomniała o nich, póki nie zapleśniały, a gdy je wyrzucono, wpadła w szal, oskarżając mamę o ich kradzież. Mówiła, że dwie kobiety nie mogą dzielić z sobą kuchni — nie pomna, jak długo ją dzieliły — zwłaszcza gdy jedna z nich jest brudna i nieuczciwa. Obie drżały, przy czym mama raczej ze strachu niż z poczucia niesprawiedliwości. Usiłowała zlokalizować staruszkę wzrokiem, który się jej pogarszał w zawrotnym tempie. Do mnie i Simona babcia nie odzywała się już prawie wcale, a kiedy szczeniak, otrzymany w podarunku od jednego z synów, Stivy — tak naprawdę nie mogła w nim uznać następczyni Winnie, lecz sama się o niego dopominała — kiedy ów szczeniak (podbiegał do któregoś z nas, krzyczała: — Beich dul Betchl — a ta mała brązowa suczka chciała się bawić, a nie tylko leżeć u jej stóp, jak to czyniła Winnie. Nie miała nawet własnego imienia i nie przyuczono jej do zachowania porządku w domu, w takim stanie były teraz te kobiety. Umówiliśmy się z Simonem, że będziemy sprzątaли na zmianę — mama nie mogła już dać z tym sobie rady. Jednakże Simon pracował w śródmieściu, nie było więc sposobu, aby móc dzielić ten trud sprawiedliwie. Nie znalazło się u nas nawet tyle silnej woli, by nazwać i udomowić to szczenię. Nie mogłem czołgać się bez przerwy pod łóżkiem babci Lausch, w tym najbrudniejszym z miejsc, gdy ona, patrząc złowrogo w książkę, nie odzywała się do mnie ani słowem, głucha i ślepa na moje poczynania, póki jej Beich nie rozjazgotała się przy moich mankietach, a wtedy dopiero babcia zaczynała wrzeszczeć. Na takich rzeczach upływała mi większość czasu. A ponadto mama ze względu na wzrok nie mogła już sama jeździć w odwiedzinach do George’a, musieliśmy więc ją wozić do odległej Dzielnicy Zachodniej. Georgie zrobił się teraz większy ode mnie, czasem bywał trochę cierpki i obrażony na nas, choć nadal urodziwy z tym swoim piętnem upośledzonego na umyśle, olbrzym poruszający

się z powolnym dyszeniem i dojrzałą ociężałością w powłóczeniu nedorozwiniętych nóg. Nosił ubrania po mnie i Simonie, i dziwnie było patrzeć, że są noszone tak odmiennie. W szkole nauczyli go wyrabiać szczotki, tkać, i pokazywali nam krawaty w kwiaty ostu, które utkał z wełny. Zaczynał się robić za duży jak na ten przytułek dla chłopców, za mniej więcej rok groziło mu przeniesienie do Manteno lub innej instytucji w głębi stanu. Mama przyjęła to bardzo źle. — Tam będziemy mogli go odwiedzać zaledwie parę razy w roku — powiedziała. Odwiedzanie George'a z tą jego łagodną twarzą i dla mnie nie było łatwe. Toteż zwykle wracając z takiej wyprawy, a miałem w tych czasach pieniądze w kieszeni, prowadziłem mamę do szykownej greckiej cukierni przy Crawford Avenue na lody i ciastka, pby ją wydzwignąć z samego dna ciężkiej niedoli, gdzie, jak domniemywam, spora część ludzkości zawsze spędza większość swoich chwil milczenia! Pozwalała się nieco rozerwać, choć przerażały ją szykowne ceny i protestowała piskliwym tonem osoby nieświadomej brzmienia własnego głosu. Odpowiadałem uspokajająco: — Wszystko w porządku, Ma. Nic się nie martw. — Bo obaj z Simonem chodziliśmy jeszcze do szkoły i pobieraliśmy zasiłek, a także obaj pracowaliśmy, George zaś był w przytułku, mieliśmy zatem więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Tylko że teraz Simon prowadził kasę, nie jak za dawnych rządów babcia.

Czasem, przez chwilę, widywałem postać babci w salonie, w oświetlonym końcu ciemnego korytarza, w tym odcieciu się od nas, czekającą na coś samotnie przy pałacowej wieżycze pieca, w majtadałach po kolana i w nakrochmalonej sukience o brzeżku sztywnym jak linia Euklidesowa. Żywiła teraz do nas zbyt wiele uraz, by móc nam wybaczyć, ale nie podejmowała na ich temat dyskusji. Ze słabości umysłu właściwej ludziom bardzo starym. Ona, którą zawsze uważaliśmy za tak silną i odporną na wszelkie ciosy.

— Ona jest na ostatnich nogach — rzekł Simon i pogodziliśmy się z jej upadkiem, z jej umieraniem. Dla nas było to możliwe, ponieważ już weszliśmy w świat, mama natomiast nie miała tej perspektywy. Siła oddziaływania babci na mamę leżała w jej roli dyrygentki, kierownicarj 128 dłoni, królowej matki, imperatorowej i nawet wygnanie z domu George'a, a także starcze skandale kuchenne nie mogły podważyć szacunku i uczuć poddaństwa od tak dawna ugruntowanych. Mama płakała przede mną i Simonem uskarżając się na tę dziwną zmianę, jaka zaszła w babci, ale nie potrafiła odpowiednio reagować na to jej nowe szaleństwo.

Lecz Simon zawyrokował: — Tego już za wiele dla mamy. Czemu braciom Lausch ma uchodzić na sucho to zwalanie na nas staruszki? Mama już wystarczająco długo była jej sługą. Sama się starzeje i wzrok jej się pogarsza. Nie może dostrzec tego szczeniaka, nawet jak ma go pod nogami.

— Uważam, że powinniśmy zostawić tę sprawę jej samej.

- Rany Chrystusa, Augie! — rzekł Simon. Jego złamany ząb wyglądał bardzo efektownie przy wyrażaniu pogardy. — Czy już do końca żyda będziesz głupcem? Czasem, jak Boga kocham, wydaje mi się, że tylko ja jeden z nas trzech urodziłem się z wszystkimi klepkami. Co ci przyjdzie z pozostawienia decyzji mamie? — Zwykle miałem niewiele do powiedzenia w kwestii teorii czy praktyki odnośnie do mamy. Traktowaliśmy ją podobnie, ale myśleliśmy o niej odmiennie. Chciałem powiedzieć tylko to, że nie jest przyzwyczajona do samotności, i doprawdy zrobiło mi się nijako, gdy spróbowałem to sobie wyobrazić. Już teraz była prawie ślepa. Mogłaby tylko siedzieć sama w pustym domu. Nie miała przyjaciół i zawsze chodziła po ulicach powłócząc nogami, w męskich półbutach, czarnym berecie i grubych szklach na swej różowej, szczupłej twarzy, jak jakiś miejscowy oryginał, dziwaczka, ktoś niespełna rozumu.

— A jakim towarzystwem dla niej jest babcia?—spytał Simon.

— Och, może z czasem przyjdzie do siebie. I chyba nawet teraz trochę z sobą rozmawiają.

— Babcia z nią rozmawia? Chciałeś powiedzieć, że wrzeszczy na nią i doprowadza ją do płaczu. Z twoich słów wynika, że powinniśmy zostawić sprawę własnemu biegowi. To jest zwyczajne lenistwo, chociaż zapewne próbujesz sobie wmówić, że jesteś tylko wyrozumiały i nie

chcesz okazać się niewdzięczny za to wszystko, co starsza pani dla nas zrobiła. Nie zapominaj, że i my zrobiliśmy dla niej wiele. Wykorzystywała mamę od lat i żyła sobie elegancko naszym kosztem. Cóż, mama już nie może dawać się wykorzystywać. Jeżeli bracia Lausch zechcą najać gosposię, to dobrze, a nie, to będą musieli zabrać sobie babcię.

Napisał list do jej syna w Racine. Nie wiem, jak się wiodło tym dwu ulubieńcom kwaków w ich miastach. Nie zdarzyło mi się jednak przejechać przez miejscowość przypominającą Racine, żeby nie pomyśleć, który z tych domów z huśtawką z opony samochodowej i dochodzącymi zza okna dźwiękami fortepianowych wprawek jest podobny do domu Stivy Lauscha, ojca dwóch córek wychowywanych bardzo starannie, włącznie z nauką gry na pianinie, oraz w jaki sposób tak małowinni i wychowani w Odessie synowie trafili na taką drogę w wic- świecie. Za kogo pragnęli uchodzić, że przybierali pozory poprawności i niewzruszoności? Cóż, można o tym wnioskować z listu Stivy, w którym ze spokojem stwierdził, iż on i jego brat nie sądzą, aby zaangażowanie gosposi było należywym rozwiązaniem, i że poczynili starania o umieszczenie matki w Domu Starców Nelsona. Będą ogromnie wdzięczni, jeśli wyświadczymy im przysługę przewożąc tam babcię. O co, zważywszy na nasze długoletnie powiązania z ich matką (przytyk do naszej niewdzięczności), nie wahają się nas prosić.

— A więc już po wszystkim — rzekł Simon z taką miną, jakbyśmy się posunęli za daleko. Ale już się stało i trzeba było załatwić tylko drobiazgi. Jednocześnie babcia otrzymała list w języku rosyjskim i przyjęła to ze spokojem, jak należało się spodziewać po kimś tak dumnym, a nawet się chwaliła: — Ha! Ten Stiva świetnie pisze po rosyjsku! W gimnazjum, kiedy już czegoś uczyli, to naprawdę uczyli. — Dowiedzieliśmy się od mamy, co babcia mówiła o tym Domu Starców — że jest to bardzo piękna stara budowla wzniesiona przez milionera, niemal pałac, z ogrodem i szklarnią, że mieści się koło uniwersytetu, i dlatego większość jej mieszkańców to emerytowani profesorowie. Zmieniała warunki na lepsze. I cieszyła się, że synowie ocalili ją przed nami, i będzie 130

teraz przebywała wśród równych sobie, i wymieniała inteligentne poglądy. Mama była skonfundowana, prze- \* rażona tą sprawą i mimo całej swej prostoduszności nawet ona nie mogła uwierzyć, że babcia, po tylu latach przeżytych z nami, sama to wymyśliła.

Pakowanie trwało dwa tygodnie. Obrazki ze ścian, trzy małpki ze szkarłatnymi dziurkami w nosie, bieżnik z Taszkientu, kieliszki do jajek, maści i lekarstwa, pierzyna z półki w szafie. Przyniosłem jej drewniany kufer z szopy, żółty stary kufer z czasów pionierskich z nalepkami z Jałty, Hamburgskich Linii Okrętowych, American Ex- press, ze starymi rosyjskimi czasopismami w wyklejonym i papierem w niebieskie leśne kwiatki wnętrzu, zalatującym piwnicznym zapachem. Starannie pozawijała wszystkie ■ drogocenności, kładąc łatwo tłukące się na sam wierzch, i przysypała wszystko szorstkim śniegiem naftaliny przeciw molom. Ostatniego dnia śledziła pilnie kufer, kiedy kołysząc się zstępował na plecach tragarza po frontowych schodach, czyniła to ze zdumiewającym, straszliwie władcym wyrazem twarzy, a nadzorowała tę przeprowadzkę aż po ostatnie pudełko, ciągle w ten sam sposób, okropnie i gwałtownie pobladła, tak że każdy włoszek w kącikach jej ust stał się wyraźnie widoczny, ale arystokratycznie sztywna i wyprostowana, zajęta w pełni doniosłą operacją przenoszenia się do czegoś lepszego z tego żałośnie nędznego (teraz, gdy je opuszczała) mieszkanka kobiety porzuconej i jej synów, nad którymi roztaczała swą opiekę podczas chwilowej gościny. Ach, mimo zgrzybiałości zewnętrznej powłoki, jakaż była wspaniała! Człowiek mógł jej darować wszystkie wariactwa i swarliwość minionego roku. Czym był ów rok, skoro teraz, w chwili krytycznej, opadła z niej wszelka chwiejność umysłu, a przywrócona została surowość i moc z najwspanialszych dni? Serce mi zmiękło, poczułem dla niej podziw, którego ode mnie nie chciała. Tak, uczyniła z wygnania przejście na spoczynek, nowo kreowani zaś republikanie, z jeszcze nie ostygłym woskiem na karcie swojej konstytucji, uczuli ostatnie ukłucie lojalności dla usuniętego władcy\* gdy tłumy, w milczeniu, odprowadzały wzrokiem odjeżdżającą limuzynę, a książę i rodzina książęca mieli ostatnie słowo w dziejach krzywd.

— Bądź zdrowa, Rebeko — rzekła staruszka. Niby nie uchyliła policzka przed łzawym pocałunkiem mamy, ale potraktowała ów pocałunek jako rzecz całkiem nieistotną. Pomagaliśmy jej wsiąść do sapiącego samochodu, pożyczonego od Einhorna. W napięciu, ze zniecierpliwieniem, powiedziała do widzenia i ruszyliśmy — ze mną jako kierowcą, który mocował się z wielką, niezręczną aparaturą wrogiej maszyny o barwie miąższu pomidora i ze strażackimi okuciami z mosiądzu. Szajbus właśnie nauczył mnie prowadzić.

Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa. Nie liczę tego, co powiedziała w tłoku ulicznym na Michigan Boulevard, ponieważ była to tylko uwaga na temat ruchu. Z Parku Waszyngtona skręciliśmy na wschód w Sześćdziesiątą Ulicę i istotnie znaleźliśmy się przed uniwersytetem, który wyglądał dziwnie, ale tchnął spokojem w szeleszczącym wśród babiego lata bluszczu. Odnalazłem Greenwood Avenue i wreszcie sam Dom. Płot ze sztachet u góry zaostrzonych w szpic otaczał ogród z grządkami, na których rosły astry podwiązane szmatkami do palików; na ścieżce wiodącej od furtki czarne ławki z desek; a z ławek na ganku z wapienia, z krzesel w westybulu dla osób, które uznały promienie słońce za zbyt silne, i z jeszcze innych ławek w salonie stare kobiety i starzy mężczyźni przyglądali się, jak babcia wysiada tyłem z samochodu. Szliśmy ścieżką między rzędami powolnych, ważących myśli, steranych głów, z plamami wątrobianymi od uwięzłych we krwi starych soli i nieczystości, między rzędami twardych i nagokościstych kopuł albo nabrzmiałych, z jedenastkami ścięgien na nie osłoniętych kołnierzykami szyjach osłabłych w upałach Kansas i mrozach Wyoming, w trudach kuchennej harówki, pracy w kopalniach Dalekiego Zachodu, w sklepach detalicznych Cincinnati, rzeźniach Omahy, w handlu domokrażnym, przy żniwach, żmudnych lub mozolnych przedsięwzięciach od rzędu wielorybich do rzędu wymoczkowych, które składają się na wysiłek narodu. I nawet tutaj ktoś w starych kapciach i szelkach lub gorsecie i bawełnach mógł się okazać piwniczką ukrytej soli, która zachowuje świat, ale trzeba by niemal talentu Orygenesesa, aby ją odnaleźć wśród strasznych widoków siwych włosów i rąk z popękanyimi naczynkami krwionośnymi i okrytymi wysypką, dłoni wspartych na laskach, trzymających wachlarze i gazety we wszystkich językach i alfabetach świata, twarzy trawionych utajonymi influencami i oczu tych ludzi siedzących w słońcu, w płomieniach liści na dworze lub wśród mączystych plśniowatości i sosowych kwasów w domu. Dom wcale nie był wzniesioną przez milionera rezydencją, tylko dawną kamienicą czynszową, i nie miał na tyłach pięknego ogrodu, tylko grządki słoneczników i kukurydzy.

Przyjechała ciężarówka z resztą bagażu. Nie pozwolono babci zabrać kufra do pokoju, ponieważ dzieliła ten pokój z trzema staruszkami. Musiała zejść do sutereny i wybrać co niezbędne — za wiele miała rzeczy, zdaniem tęgiej, śniadej pani kierowniczk. Ale zaniósłem to wszystko na górę i pomogłem rozwiesić, poutykać. Następnie poszedłem na jej polecenie przeszukać bagażnik Stutza, czy nie zapomnieliśmy tam czegoś. Nie rozmawiała ze mną na temat swego nowego miejsca zamieszkania, a z pewnością nie wstrzymałaby się od pochwał, gdyby znalazła w nim cokolwiek do chwalenia, ażeby dowieść, jak bardzo korzystna jest to zmiana. Nie okazała przede mną również swego przygnębienia. Zignorowała radę pani kierowniczk, aby przebrała się po domowemu, i siedziała na bujaku patrząc na ogród ze słonecznikami, kukurydzą i kapustą na tyłach domu, w czarnej odeskiej sukni. Zapytałem ją, czy ma ochotę na papierosa, ale nie chciała niczego od nikogo, a zwłaszcza ode mnie — po tym jak obaj z Simonem odpłaciliśmy się jej za lata trudu. Wiedziałem, że musi być gniewna i oschła, jeżeli chce uniknąć płaczu. Zapewne rozpląkała się, gdy tylko wyszedłem, ponieważ nie miała aż tak rozklekotanych ze starości klepek, aby nie zdawać sobie sprawy, co synowie jej zrobili.

— Muszę oddać samochód, babciu — rzekłem wreszcie — więc już pójdę, jeśli nie masz dla mnie już nic do zrobienia.

— Co jeszcze można zrobić? Nic.

Ruszyłem do wyjścia.

— Zapomniałam torby na pantofle — powiedziała. — Perkalowej, wisi na wewnętrznej stronie drzwi szafy.



Postaram się ją przywieźć jak najprędzej.

• Niech mama ją sobie zatrzyma. A to, Augie, masz za fatygę. — Otworzyła portmonetkę z dużym matowo-srebrnym zameczkiem i krótkim gniewnym ruchem wręczyła mi ćwierćdolarówkę — należność - ■ której nie mogłem nie wziąć, nie mogłem wsadzić do kieszeni, którą ledwie zdołałem zamknąć w dłoni.

U Einhorn ów też działy się dziwne rzeczy. Komisarz leżał konający w wielkim pokoju na tyłach domu, a od frontu, w biurze, tytuły własności przechodziły z rąk do rąk za coraz większe pieniądze przy coraz większej prosperity. Kilka razy dziennie Einhorn osobiście fatygował się w swoim fotelu na kołach do boku ojca leżącego w łóżku, aby zapytać go o radę albo poprosić o informacje — teraz bowiem wszystko było w jego rękach, poważnego i ze ściągniętymi brwiami w miarę jak zaczynał odczuwać niesforność tego, czym musiał zarządzać, i wszelkie towarzyskie szczebiotania w biurze stały się niemal wyłącznie niebezpiecznymi napomknieniami, co komu się należy. Stało się już widoczne, jak bardzo Komisarz chronił go dotychczas. Ostatecznie Einhorn został kaleką w dość młodym wieku. Nigdy się nie dowiedziałem czy przed, czy też po ślubie — sam Einhorn twierdził, że po ślubie, ale słyszałem tu i ówdzie plotki, jak to Komisarz spłacił dłużni kuzyna pani Einhorn, Karasu (Holloway), i w ten sposób kupił sparaliżowanemu synowi żonę. Że go kochała, nic ma najmniejszej wątpliwości, gdyż uwielbienie dla męża miała we krwi. W każdym razie, niezależnie od swoich przechwałek, był synem żyjącym pod skrzydłem ojca. Jest to coś, czego zwłaszcza ja a riigdy bym nic przeoczył. A te jego listy kantujące świat oraz inne poczynania, mimo że sam miał już syna na uniwersytecie, były dziecinadą. A jak miał z nią skończyć — tak długo, aż po wiek średni, traktowany z pobłażaniem? Myślał, że przez zawziętość i powagę. Zarzucił dawne projekty. Przestał wydawać „Unieruchomionych”, a paczki z przysyłanymi bez obowiązku kupna produktami szły do magazynu nie rozpakowane razem z p/nniletami i całą resztą codziennych łupów zdobywanych za pośrednictwem poczty. Dał się pochłonać bez reszty interesom, zawierał i rozwiązywał umowy z kalen-

134  
darza Komisarza, spółki w celu nabycia parceli budowlanych, sklepów kolonialnych na przedmieściach i wreszcie, na własną rękę rzecz, którą najbardziej lubił wykupywał tanio zastawy hipoteczne od ludzi potrzebujących gotówki. Ściągał opłaty od przedsiębiorców robót kanalizacyjnych, instalacji ogrzewczych, prac malarskich, z którymi to przedsiębiorcami Komisarz był zawsze za pan brat, on zaś robił sobie w ten sposób z nich wrogów. To go jednak nie kłopotowało, uważał bowiem za najważniejsze, by po Karolu Wielkim nie nastąpili królowie gliniani -- gdyby jeszcze ludzie to rozumieli. Im więcej napotykał trudności i zawiloci, tym czuł się bezpieczniejszy. Powstawały więc spory wokół zerwanych umów. Płacił rachunki w możliwie najpóźniejszym terminie, a ludzie, którzy się z tym godzili, czynili to jedynie z uwagi na osobę Komisarza. Wziął się do kierowania firmą bardzo brutalnie, - {jpotrafię cały dzień się spierać, że biegacz nie dotknął bazy - mówił — choć wiem cholernie dobrze, że dotknął. Rzecz w tym, że nie wolno dopuścić, aby przeciwnik pomyślał, iż możesz się wycofać^

W taki sposób otrzymywałem pouczenia i poznawałem teorię władzy w chwilach spokoju, które stawały się coraz rzadsze. A te pouczenia, adresowane głównie do siebie samego, były uzasadnieniem tego, co czynił i że czynił to słusznie.

W owym czasie wszystkie jego potrzeby zyskały na ostrości i zaczął pragnąć rzeczy, o które dawniej mało dbał a to: specjalny gatunek kawy możliwy do nabycia w jednym tylko sklepie w mieście, a także kilka butelek rumu z przemytu, których dostarczanie było ubocznym zajęciem Kreindla. Kreindl przynosił je w słomianym koszu z Dzielnicy Południowej, gdzie miał jakieś piętrowe powiązania z demonicznymi, niebezpiecznymi elementami. Ale Kreindl obdarzony był instynktem dostarczania ludziom tego, czego pożąдали ~ instynktem stewarda, podającego w baseballu, cioty Leporella czy sutenc- ra. Ciągłe nie dawał spokoju Pięciu Nieruchomościom. A teraz kiedy Komisarz leżał konający, a Szajbus, który miał odziedziczyć mnóstwo pieniędzy, był wciąż kawalerem, Kreindl nie wychodził od Einhornów, czuwając przy

Komisarzu w sypialni, gawędząc z Szajb usem i prowadząc długie, poufne rozmowy z Einhornem, który się nim wysługiwał na rozmaite sposoby.

Jednym z tematów owych rozmów była Lola Fewter, która odeszła we wrześniu i pracowała teraz w śródmieściu. Einhorn bardzo cierpiał, że nie ma jej w domu, chociaż z całą pewnością nie mógłby podczas choroby ojca i przy nawale zajęć dobrać się do niej, jak się dobierał latem. W mieszkaniu i biurze zawsze byli jacyś ludzie. Ale właśnie teraz jej pragnął i wciąż słał liściki, czułe słówka, i wciąż o tym mówił. W takim właśnie czasie! Odbijało się to na nim samym. Bezustannie myślał, jak na przekór wszystkiemu przeprowadzić swą wolę, i nie tylko myślał, ciągle o tym rozprawiał. Słyszałem, jak omawiał tę rzecz z Kreindlem. A przecież ciągle pozostawał głową rodziny, wodzem klanu, człowiekiem, do którego należało myślenie i zarządzanie, strażnikiem za wszystko odpowiedzialnym, wspaniałym synem wspaniałego ojca. Cholernie wspaniałym. Nawet uniesienie brwi ku siwiejącym włosom było u niego wspaniałe. Cóż z tego, że piastował w duszy skryte osobiste występki, namiętności, nawet chuci, nieprzystojne sprośności? Czy dlatego nieprzystojne, iż był kaleką? A jeśli odpowiemy na to niełatwe pytanie, że nie do nas należy decydować, czego ktoś winien się wyrzec, ponieważ jest kaleki albo dotknięty innym nieszczęściem, to nadal pozostaje faktem prawdziwa podłość i złośliwość Einhorna. Można poznać człowieka po jego diabelstwach i sposobach zadawania bólu. Uważam, że musi ryzykować, iż zrani i siebie samego. I dlatego można sądzić, że jeśli czyni tak, by nie narażać własnego bezpieczeństwa, wówczas jest zły. Albo jeśli nie jest połączony kołem zębatym z czymkolwiek poza sobą A Einhorn? Rany, ten potrafił być uroczy — istne uosobienie uroku. A to ludzi rozbrajało. Można utyskiwać, mówić, że to podstęp albo zmyślny manewr ludzi utalentowanych w celu odwrócenia czyjejś uwagi od pajęczej sieci i brzydkich zawłości ich pożądań, lecz jeśli sztuka czynienia tego jest dostatecznie głęboka i ma znamiona wielkiej gry, wówczas wyrasta ponad swe źródła. Pod warunkiem, że jest prowadzona na wesoło, a tak czasami w przypadku Einhorna bywało, gdy nie uganiał się po prostu za czymś, lecz był radosny. Potrafił być prostoduszny. Ale i tak chwilami złościłem się na niego i wmawiałem sobie, że jest niczym — zwykłym zerem. Samolubem, zazdrośnikiem, głądą, samowładcą i hipokrytą. W końcu jednakże zawsze nabierałem dla niego szacunku. Bo przede wszystkim należało wciąż pamiętać o tej bezustannej walce, jaką toczył ze swoją chorobą. Zapewne to nie to samo, co wśród lodów rozbić zastępy Polaków pędzących sańmi albo być Belizariuszem czy poszukiwaczem Świętego Graala, ale zważywszy wszystko, pole działania i broń, jaką miał do dyspozycji, dokonał imponujących czynów, zawsze duchowo połączony z kołem zębatym, o którym wspomniałem. Wiedział, jakie kary mogą na człowieka ściągnąć siedzące w nim diabły za to, jak traktuje swoją żonę i kobiety lub jak się zachowuje, gdy ojciec leży na łożu śmierci — co człowiek powinien myśleć o swoich przyjemnościach, karaluzym postępowaniu. Był dostatecznie inteligentny na tego rodzaju porównanie. Miał wystarczającą inteligencję, by móc być wzniosłym. Lecz wzniosłość nie może istnieć jako przywilej nielicznych, wynikający z przypadkowości urodzenia, tak jakby się urodziło albinosem. Bo wtedy by nas nie interesowała. Nie, wzniosłość musi przetrwać najgorsze i znaleźć sobie suchy kącik, aby się ukryć przed szalonymi, krwią zbroczonymi i chlustającymi błotem gorszycielami, mistrzami ceremonii, Marlboroughami, zerkającymi na złote zegarki Plugsonami, dzieciobójcami, ludożercami, a także przed wszechświatowym lokajstwem jeźdźców Apokalipsy. Więc czegoż miałem się złościć na nieszczęsnego Einhorna z nogami mumii i drażnionymi kalectwem tęsknotami?

W każdym razie stałem przy nim, a on mówił: — Och, ta suka! Ta podła, piegowata, pospolita kurwa z okręgu górniczego! — I słał do niej za pośrednictwem Kreindla listy z wariackimi propozycjami. Ale zarazem mówił: — Wiem, że jestem drań, że w takim jak teraz czasie wciąż myślę o cipie. To będzie mój upadek. — Lola odpowiadała na jego liściki, ale nie wracała. Miała inne plany.

Komisarz tymczasem z wolna konał. Początkowo odwiedzało go mnóstwo przyjaciół w tej okazałej niegdyś

sypialni, wyposażonej przez jego trzecią żonę, która go porzuciła przed dziesięcioma laty, w wielkie empirowe łoże z baldachimem, złożone lustra i posążek Kupidyna z przewieszonym przez ramię łukiem. Obecnie owa sypialnia ze spluwaczkami na podłodze, cygarami na komodzie, grzbietami książeczek czekowych i taliami kart do pinokla zmieniła się w pokój starego biznesmena. Wyglądał na uradowanego, gdy otaczali go kumple ze starego kraju i synagogi, dawni wspólnicy, i mówił im, że jest skończony. Był to nawyk, którego nie mógł powstrzymać, to żartowanie, żartował bowiem całe życie. W sobotnie popołudnia przychodził Coblin, a w ciągu tygodnia przyjeżdżał swoją ciężarówką Pięć Nieruchomości — jak na młodego człowieka dość ortodoksyjny, przynajmniej zaś pełen szacunku. Nie powiem, aby był bardzo przejęty, ale jego obecność wywierała dobry wpływ na Komisarza i dowodziła, iż ma serce na właściwym miejscu. Prawdopodobnie też imponował mu spokój, z jakim Komisarz schodził ze sceny, jego wspaniały stoicyzm. Przedsiębiorca pogrzebowy Kinsman, lokator Einhornów, był bardzo zdenerwowany, że nie może go odwiedzić, i często zaczepiał mnie na ulicy, żeby zapytać o stan zdrowia Komisarza, błagając, abym nikomu o tym nie wspominał. — Okropnie to przeżywam — mówił. — Gdy któryś z moich przyjaciół kona, jestem tam równie mile widziany, jak stary Granum, ten, co u mnie pracuje. — Stary Granum był człowiekiem najmowanym do czuwania przy konających i recytowania psalmów, słaby i zgrzybiały, w czarnej alpacy z Dzielnicy Chińskiej, i o malutkich, obutych w kapie stopach. — Gdybym j a przyszedł — rzekł Kinsman — wiesz, co by sobie ludzie zaraz pomyśleli.

W miarę jak życie starca dobiegało kresu, coraz rzadziej dopuszczano do niego odwiedzających i skończył się klatek, w którym dominowały jego głębokie, żartobliwe tony. Teraz najwięcej czasu spędzał z nim Szajbus, którego Einhorn już nie musiał wyciągać z sali bilardowej, aby się zajął ojcem. Szajbus był bardzo przejęty — ostatni też pogodził się z diagnozą lekarza i rzekł z przekonaniem: — Ci panikarze zawsze tak mówią, kiedy ktoś stary choruje. Komisarz to nic ułomek, on jest bardzo

138

silny! — Ale teraz wpadał i wypadał z pokoju na swych hałaśliwych, postukujących obcasach nauczyciela tanga, karmił Komisarza i nacierał, przepędzał dzieci, które bawiły się na meblach stojących na podwórku. — Jazda stąd, urwipołcie, tu leży chory człowiek. Cholerne smarkacze, gdzie wasze wychowanie! — Pozasłaniał okna i siedział na pufie czytając przy lampce nocnej Kapitana Fury, Doktora Savage i inne tandetne historyjki. W tym czasie widziałem Komisarza na nogach tylko raz, gdy Einhorn posłał mnie do swego gabinetu po jakieś papiery. Starzec wędrował przez salon w bieliźnie, szukając pani Einhorn, aby zażądać od niej wyjaśnienia w sprawie brakujących guzików, zirytowany, że od góry do dołu miał tylko dwa i świecił golizną. — Tak nie można! — oburzał się. — Lig a naketter, — Był wciąż zły o ten pożar.

W końcu Szajbus ustąpił swego miejsca w sypialni ojca Granumowi Kinsmana, Komisarz bowiem rzadko kiedy się budził, a nawet gdy nie spał, z trudem rozpoznawał kogokolwiek. Poznał jednak ceglaste, gąbczaste policzki starego żalobnika w świetle okręconej ręcznikiem dwu- nastoświecowej żarówki i rzekł: — Du? Więc spałem dłużej, niż mi się zdawało. — Co Einhorn powtarzał potem dziesiątki razy, wspominając Katona, Brutusa i wielu innych ludzi, którzy zasłynęli spokojem w obliczu śmierci. Był zbieraczem takich faktów i przetrząsał wszystko, co kiedykolwiek czytał — dodatki niedzielne, poniedziałkowe przedruki kazań, niebieskie książeczki Hal- demana-Juliusa, wszystkie zbiory cytatów — w poszukiwaniu korzystnych porównań. Rzeczy, które nie zawsze pasowały. Co wcale nie znaczy, że ten stary babiarz, Komisarz, wcale nie zasługiwał na wzmiankę za to, że się nie bał i umierał niczdegustowany, bez krytycznego spojrzenia w ostatnich chwilach na swoje nawyki, którym hołdował całe życie.

Złożono go tej samej nocy u Kinsmana w kolosalnej trumnie. Kiedy przyszedłem nazajutrz, biuro było zamknięte, w oknach widniały marszczące się zielo- no- czarne zasłony w chłodnym blasku słońca i suchej jesiennej pogodzie. Wszedłem od tyłu. Lustra zostały zakryte przez panią Einhorn, osobę niezwykle przesadną, a w ciemnym pokoju stołowym przed fotografią Komisa-

139

rza. zrobioną w czasach, kiedy jego bokobrody & la Bill Cody były wciąż bujne i lśniące, płonęła świeczka w bladym kościelnym szkle. Na pogrzeb dziadka przyjechał z Champaign Artur Einhorn i siedział przy stole z wyniosłą uniwersytecką elegancją, zanurzywszy dłoń w kędzierzawej intelektualnej czuprynie, nie przejmując się zbytnio spodziewanym przy takiej okazji szaleństwem rodziny. Był ujmujący i dowcipny, chociaż z wyglądu nie bardzo młodzieńczy — miał już na policzkach bruzdy — mimo że jego futro z szopów leżało na kredensie z ciś- niętym na nie beretem. Einhorn i Szajbus mieli zrobione brzytwą nacięcia na kamizelkach świadczące, że są to ubrania wypożyczone. Przybyła również eks-żona Tam- bowa, w chuście duenny i łukowatym pincc-nez, oraz jej syn, Donald, który śpiewał na przyjęciach i weselach. Był z rodzinnego obowiązku Karaś-Holloway i jego żona z kępką zmierzwionych jak u pudła włosów nad czołem i charakterystycznym dla siebie wyrazem skoncentrowanego niepokoju lub niechęci. Korpulentna, z czerwoną, urażoną, niezadowoloną twarzą. Wiedziałem, że wciąż upominała swoją szwagierkę, aby się miała na bacności przed Einhornami. Nie ufała im. Nie ufała też mężowi, który dał jej wszystko, wielkie, wspaniale urządzone mieszkanie w Dzielnicy Południowej, porcelanę Havila- nda, żaluzje, perskie dywany, francuskie gobeliny, radio Majestic o dwunastu lampach. Taki był Karaś, w kam- garnowym, dwurzędowym garniturze, o wyglądzie świadczącym, iż zdołał pokonać wszystkie podstępne trudności golenia i czesania ominąwszy różne narośle na twarzy i przyglądziwszy włosy. Ta gładkość sprawiała mu ogromną satysfakcję, tak samo zresztą jak jego niezwykła angielszczyzna, która nie przeszkodziła mu zbić majątku, a także fakt, że był osobą nic nie^znaczącą w starym kraju — ludzie ustępowali mu z drogi na widok jego lekkich zmarszczek i malutkich oczu, tak jak ustępowali przed naporem jego sześciocyndrowego samochodu, złotego Packarda.

Kiedyś później miałem dziwne dziesięciominutowe spotkanie z panią Karaś, w piekarni koło Jackson Park, gdzie wszedłem z grecką dziewczyną, którą wzięła za moją żonę, ponieważ trzymaliśmy się pod rękę, w letnich 140

sportowych spodniach, bardzo czuli wczesnym rankiem. Od razu mnie poznała i aż pokraśniała z zadowolenia, lecz tak opacznie pamiętała różne wydarzenia, że nawet nie próbowałem jej poprawiać. Powiedziała mojej dziewczynie, iż jestem jej krewnym i że kochała mnie tak bardzo jak Artura oraz podejmowała mnie u siebie jak osobę bliską—cała radosna i uszczęśliwiona tym spotkaniem ze mną, obejmując mnie i mówiąc, na jak bardzo wspaniałego i przystojnego mężczyznę wyrosłem, ale że przecież zawsze miałem cerę, której mi zazdrościły dziewczęta (zupełnie jakbym był Achillesem wśród dziewic, w biurze i sali bilardowej). Muszę przyznać, że mnie zamurowała ta jej ogromna wola przemalowania przeszłości czułością i dobrocią. Zawsze budziłem w ludziach skłonności adopcyjne, zupełnie jakby chodziło o sierotę, ale ona nigdy nie była taka, tylko ponura pośród swych bogactw i wściekła na tajemniczego, wytwornego męża oraz krytyczna w stosunku do Einhornów. Bywałem w jej mieszkaniu tylko w charakterze szofera Einhornów i podczas ich wizyty siedziałem w bocznym pokoju. To Tillie Einhorn, nie sama gospodyni, przynosiła mi kawę i kanapki z gościnnego stołu. A teraz pani Karaś, która wyszła kupić bułeczki na śniadanie, znalazła szczęśliwą okazję przyozdobienia przeszłości wymaginywanymi kwiatuśkami wyrosłymi gdzieś w zatroskanej wyobraźni. Nie zaprzeczałem niczemu. Powiedziałem, że to wszystko prawda, i pozwoliłem jej na ten entuzjizm. Pamiętałem jednak morderczą kamienność jej twarzy i to śniadanie przed pogrzebem, kiedy pomagałem w kuchni. Bawa- cki parzył kawę. Znużony, lecz nie zdruzgotany Einhorn siedział w czarnym filcowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy i palił— nic znajdując dla mnie ani jednego słowa oprócz chwilami jakichś poleceń. Szajbus obstawał suchym, zachrypłym głosem, że zawiezie brata fotelem na kołach do salonów pogrzebowych Kinsmana. Później to ja nosiłem Einhorna, nie Artur, który kroczył obok z matką. Na własnych plecach dźwigałem Einhorna do i z limuzyny w jesienny park cementarza, porośniętego krzewami i obłożonego płytami nagrobnymi. Potem znów na obiad z zimnych mięs dla żałobników, a jeszcze później, wieczorem,

w czarnym ubraniu, ze zwisającymi po bokach bezwładnie i bez strzemion nogami i policzkiem przyciśniętym do mych pleców, do bóżnicy.

Einhorn nic był religijny, ale do bóżnicy pójść wypadało, a on bez względu na to, co sobie myślał, potrafił zrobić, co przystoi. Coblinowie także należeli do tej kongregacji, więc trzymałem się kuzynki Anny w orientalnym, zmodyfikowanym kobiecym odosobnieniu galerii, ona zaś wśród zawodzeń i zapachu soli trzeźwiących wystrojonych pań opłakiwała swojego Howarda, łkając nad tym, który w nadchodzącym roku zginie od ognia lub wody — według angielskiego tłumaczenia tekstu. Wszystko to jednak wyglądało całkiem inaczej niż w czasach, gdy w dole modliły się całe tłumy w szalach i kapeluszach przy pobrzękiwaniu dzwonek na aksamitnych ubiorach dwunożnych zwojów. Było mroczno i tylko mała grupka kudłatych bywalców, rozmaite stare twarze i burkliwe głosy, poszeptowała astmatycznie, utyskująco, intonowała hałaśliwie, odśpiewując hebrajszczyznę wieczornych modłów. Szajbusowi i Einhornowi trzeba było podpowiadać, gdy przyszła ich kolej recytować sierocy kadisz.

Wróciliśmy Packardem Karasia, z Krcindlcm. Einhorn szepnął mi, żebym odprawił Kreindla do domu. Szajbus poszedł spać. Karaś odjechał do Dzielnicy Południowej. Artur poszedł odwiedzić przyjaciół — rano miał wracać do Champaign. Przebrałem Einhorna w wygodniejsze ubranie i kaptcie. Wiał chłodny wiatr, na podwórko padał blask księżyca.

Einhorn zatrzymał mnie tego wieczoru: nic chciał być sam. Siedziałem, a on pisał notatkę pośmiertną o ojcu w formie artykułu dla miejscowej prasy. „Powrót karawanu od świeżo usypanego grobu człowieka podporządkowanego ostatniej naturalnej przemianie każe zastanowić się nad tym, który zastał Chicago bagniskiem, a opuścił je, gdy stało się wielkim miastem. Przybył tu zaraz po Wielkim Pożarze, spowodowanym jakoby przez krowę pani O\*Leary, jako uciekinier przed poborem do wojska habsburskiego tyrana, i swoim życiem budowniczego wykazał, że wielkie miasta nie muszą być wznoszone na kościach niewolników, jak piramidy faraonów

142  
czy stolica Piotra Wielkiego nad brzegami Newy, gdzie całe tysiące ludzi wdeptano w rosyjskie bagna. Lekcja płynąca z życia takiego Amerykanina jak mój ojciec, w przeciwieństwie do życia tego mordercy strzelców i własnego syna, jest taka, że osiągnięcia dają się pogodzić z przyzwoitością. Mój ojciec nie znał spostrzeżenia Platona, iż filozofia jest studium śmierci, jednakże umarł jak filozof, wypowiadając w ostatnich chwilach do czuwającego u łóżka starca zdanie...” I tak dalej w tym samym tonie, a wszystko w pół godziny, na arkusikach papieru z biurka, z wysuniętym na wierzch koniuszkiem języka, opatulony w szlafrok kąpielowy i w naciągniętej na głowę czapeczce z pończochy.

Następnie wzięwszy tekturowe pudełko udaliśmy się do pokoju jego ojca, zamknęliśmy drzwi na klucz, zapaliliśmy światła i zaczęliśmy przeglądać papiery Komisarza. Podawał mi je z pouczeniami: — Podrzyj to. To do spalania, nie chcę, żeby to ktokolwiek widział. Pamiętaj, gdzie kładziesz tę notatkę... jutro cię o nią zapytam. Otwórz szuflady i wyrzuć ich zawartość na stół. Gdzie są klucze. Przetrzęsij jego spodnie. Połóż ubranie na łóżku i przeszukaj kieszenie. Więc taki był układ z Finebergiem? Ależ chytrus z mego starego, prawdziwy fenomen! Zróbmy tu teraz porządek, to najważniejsze. Uprzątnij stół, żebyśmy mogli wszystko posortować. Mnóstwo tych ubrań można sprzedać... czego ja sam nie będę mógł nosić, tylko że to takie niemodne. Nie wyrzucaj nawet najmniejszych skrawków papieru. On na nich zapisywał ważne rzeczy. Staruszek myślał, że będzie żył wiecznie, to jedna z tajemnic jego powodzenia. Tak chyba uważają wszyscy wielcy ludzie. Sam o sobie zwykle też tak myślę. I myślałem nawet w dniu jego śmierci. Niczego nie potraflmy się nauczyć, nigdy w świecie, mimo tych wszystkich książek historycznych. Taki nasz sposób argumentowania i dowodzenia samym sobie, lecz to tylko światło z zewnątrz, które mamy wpuścić do wewnątrz. Jeżeli potrafimy, istnieje cały magazyn pięknych sugestii i jeśli nie stajemy się lepsi, to nie dlatego, że nie mamy skąd czerpać cudownych i prawdziwych idei, ale ponieważ nasza próżność waży znacznie więcej niż one wszystkie razem wzięte — mówił Einhorn. — Tu jest coś

o Margolisie, który wczoraj skłamał twierdząc, że nie jest ojcu nic winien. „Krzywe Nogi, dwieście dolarów!” Zapłaci mi albo wygryzę mu wątrobę, temu dwulicowemu skurwysyńskiemu oszustowi!

O północy mieliśmy cały stos podartych papierów niby kartek z kardynalskimi głosami, których dym obwieszcza wybór nowego papieża. Lecz Einhorn był bardzo niezadowolony ze stanu spraw. Większość dłużników określono w zapiskach podobnie jak Margolisa: „Pierdzące Zęby”, „Zardzewiały Łeb”, „Lizus”, „Śmieszek”, „Sam Radny”, „Achtung”, „Król Bashanu”, „Chochla”. Udzielał tym ludziom pożyczek i nie miał na nie żadnych weksli, nie tylko zapiski sum sięgających kilku tysięcy dolarów. Einhorn wiedział, kim są ci ludzie, lecz ci, którzy nie chcieli zwrócić pieniędzy, wcale ich zwracać nie musieli. Była to pierwsza zapowiedź, że Komisarz nie zostawił tak wielkiego majątku, jak Einhorn oczekiwał, natomiast uzależnił ten majątek od honoru mnóstwa ludzi, których syn nie zawsze dobrze traktował. Einhorn zatroskał się i zamyślił.

— Czy Artur już przyszedł? — zapytał nerwowo. — Musi zdążyć na poranny pociąg. — W bałaganie tego niegdys wspaniałego pokoju, w którym jego ojciec rozłożył się obozem w kobiecym przepychu, Einhorn zadumał się z okrągłymi, ptasimi oczyma nad swoim synem, a potem, już swobodniej, zauważył: — Cóż, te sprawy i tak nie dla niego, on się obraca wśród poetów i ludzi inteligentnych prowadząc wzniosłe rozmowy. — Zawsze mawiał w ten sposób o Arturze i to mu przynosiło ogromną pociechę.

#### Rozdział VII

Przyszła mi na myśl stara legenda o Krezusie — z Einhornem w roli tego nieszczęśnika. Początkowo dumny bogacz, irytujący się na Solona, który musiał być kimś w rodzaju przybyłego w gości paryżanina owych czasów i pewnie odnosił się z wyższością do tego bogatego wyspiarskiego prowincjusza, bez względu na to, czy miał, czy też nie miał racji w ich sporze na temat szczęścia. Zastanawiam się, czemu ciepło mądrości nie złagodziło stosunku Solona do na wpół barbarzyńskiego posiadacza złota i klejnotów. Tak czy owak Solon miał rację. A Krezus, który jej nie miał, opowiedziawszy ze łzami Cyrusowi o gorzkiej nauczce, jaką otrzymał, został przezeń ocalony od stosu. Ten starzec stał się wskutek przeżytych nieszczęść myślicielem, mistykiem i doradcą. Potem Cyrus zginął w walce i przyniesiono jego głowę mściwej królowej, która ją zanurzyła w bukłaku krwi i wykrzyknęła: — Chciałeś krwi? Masz, pij! gg A jego zwariowany syn, Kambyzes, odziedziczył po nim Krezusa jako niewolnika i usiłował go w Egipcie zgładzić, tak jak zgładził własnego brata i ku zgrozie kapłanów o wygolonych ciałach i głowach zranił byka Apisa. Krach był Einhornowym Cyrusem, plajty banków — stosem, salon bilardowy — wygnaniem z Lidii, łobuzy zaś Kambyzesa- mi, ale ich grózb zdołał jakoś uniknąć.

Komisarz zmarł przed powszechnym krachem, ale niedługo poleżał w grobie, kiedy zaczęła się fala samobójstw, rzucanie się z drapaczy chmur na La Salle Street

i w śródmieściu Nowego Jorku. Einhorn by) jednym z pierwszych, którzy zostali załatwieni, a to po części z powodu stosowanego przez Komisarza systemu pełnego zaufania, a po części z powodu własnej nieudolności w zarządzaniu. Stracił tysiące dolarów na spekulacjach giełdowych akcjami przedsiębiorstw Insulla (Coblin również utopił w tych akcjach kupę pieniędzy) i zaprzepaścił cały swój spadek, a także spadek Szajbusa i Artura, kupując nieruchomości, których w końcu nie zdołał utrzymać. I na ostatek zostały mu jedynie płace na pustkowiach Clearing i wokół lotniska, a i z tych kilka poszło na podatki. Czasem, gdy zabierałem go na przejażdżkę po mieście, mówił: — Kiedyś te magazyny były nasze — albo na widok pustej przestrzeni zarosłej badyłami pomiędzy dwiema budami: — Ojciec nabył tę parcelę w drodze zamiany przed ośmiu laty i chciał wybudować na niej garaże. Dobrze, że tego nie zrobił. — Toteż przejażdżki z nim miały charakter melancholijny, chociaż tak naprawdę nigdy nie zrzędził, a te uwagi były suche i wypowiedane mimochodem.

Nawet budynek, w którym mieszkał, wzniesiony przez samego Komisarza za sto tysięcy dolarów gotówką, spisał na straty, gdy pozamykano sklepy, a lokatorzy przestali płacić czynsz.

- Nie ma czynszu, nie ma ogrzewania — powiedział zimą postanawiając być twardym. — Gospodarz powinien postępować jak gospodarz lub zrezygnować ze swojej własności. Muszę kierować się prawami ekonomicznymi nie zważając, czy czasy są dobre, czy złe, muszę być konsekwentny. — Oto jak bronił swych poczynań. Pozwany jednak do sądu przegrał sprawę, a na dodatek zapłacił kosztą procesu. Wynajął wówczas puste sklepy na mieszkania, jeden rodzinie murzyńskiej, drugi Cyganowi wróżbicie, który wywiesił w oknie wymalowaną dłoń i ogromny popstrzony napisami mózg. W budynku zaczęły się bójki, kradzieże rur i armatury łazienkowej. Teraz lokatorzy byli jego wrogami, na ich czele stał rudowłosy fryzjer, Beczcwski, który w lepszych czasach urządzał koncerty mandolinowe na chodniku, a teraz spoglądał złowrogo surowymi zimnymi oczyma na taflowe szyby okna biura Einhorna. Einhorn wszczął przeciw niemu i kilku innym lokatorom postępowanie o eksmisję, za co był pikietowany przez organizację komunistyczną.

— Jak bym nie wiedział o komunizmie więcej od nich — mówił z cierpkim humorem. — Bo co te tępe sukinsyny o nim wiedzą? Co wie o rewolucji choćby taki Sylwester? — Sylwester był teraz czynnym członkiem partii komunistycznej. Tak więc Einhorn siedział teraz przy biurku Komisarza, gdzie mogli go widzieć pikietujący, i czekał na interwencję policji. Wymazano mu stearyną okna, a do kuchni wrzucono papierową torbę z ekskrementami. Po tym wydarzeniu Szajbus zorganizował lotną brygadę złożoną z bywalców sali bilardowej, która miała strzec budynku. Wpadł w morderczą wściekłość, chciał dokonać napadu na zakład Beczewskiego i potłuc mu lustra. Beczcwski już w czasie kryzysu wprowadził się do tego lichego zakładziku w suterenie, wstawił fotel fryzjerski i trzymał tam w smutnym flamandzkim mroku kanarki. Ciem Tambow chodził do niego się golić, twierdząc, iż ten rudowłosy fryzjer jest jedynym, który traktuje jego brodę z należnym szacunkiem. Naraził się tym na wściekłość Szajbusa. W końcu Beczcwski dostał nakaz eksmisji, a jego żona stojąc na chodniku wyzywała Einhorna od śmierdzących żydowskich paralityków. Szajbus nie mógł jej nic zrobić. Zresztą Einhorn przykazał mu: — Żadnych awantur, póki sam nie powiem. — Nic wykluczył ich, ale chciał mieć sprawę w swoim ręku, i Szajbus go słuchał, mimo że Einhorn stracił cały jego spadek co do ostatniego centa. — Kryzys nic tylko nas dotknął — mówił Szajbus. — Dotknął wszystkich. Skoro nawet Hoover i J. P. Morgan go nie przewidzieli, to jak mógł przewidzieć Willie? Ale on nas wyciągnie. Jestem o to spokojny.

Eksmisje odbyły się dlatego, że Einhorn dostał wcześniej ofertę na podnajem piętra od producenta płaszczy przeciwdeszczowych. Zburzono ściany w kilku mieszkaniach, zanim władze miejskie nie wsiadły na Einhorna za pogwałcenie zarządzeń przeciwpożarowych i rejonizacyjnych, i za usiłowanie podłączenia trzeciej fazy do budynku mieszkalnego. Ale tymczasem część maszyn została zainstalowana i producent — sam operujący

niewielkim kapitałem — zażądał do Einhorna, by opłacił koszt ich zdemontowania. Odyła się następna sprawa w sądzie, ponieważ Einhorn odrzucając wszelkie zasady wystąpił z roszczeniem, iż maszyny są przyśrubowane do podłogi, a zatem stanowią nieruchomość, która należy do niego. Przegrał i tę sprawę, i producent uznał, że będzie poręczniej, jeśli powybijają okna i spuści maszyny na linach, zamiast je rozmontowywać, oraz otrzymał na tę operację zezwolenie sądu. Przy okazji zniszczono ogromny, wiszący na łańcuchach szyld Einhorna. Tylko że to już i tak nie miało znaczenia, ponieważ Einhorn stracił ten budynek, swoją ostatnią większą nieruchomość, i został wyłączony z interesu. Zamknięto biuro, a większość jego wyposażenia sprzedano. Poustawiano biurka jedno na drugim w pokoju stołowym, segregatory obok łóżka Einhorna, tak że miał do nich dostęp tylko z jednej strony. Pragnął zachować jak najwięcej umeblowania na lepsze czasy. Fotele obrotowe poustawiał w salonie, gdzie wniesiono z powrotem spalone meble (towarzystwo ubezpieczeniowe było „kaput” i nigdy nie wypłaciło mu odszkodowania), tandetnie odnowione i zalatujące spalenizną.

Pozostał nadal właścicielem sali bilardowej i osobiście objął nad nią kierownictwo. Zrobił sobie coś w rodzaju biura w kącie od frontu, gdzie obudował ścianką kasę rejestrującą i dalej w pewnym sensie prowadził interesy. Spadłszy tak nisko nieprędko pogodził się z nową sytuacją. Z czasem jednak zdołał i tu powrócić do dawnej roli i nosił się z zamiarem reorganizacji interesu, nawet zaczął gromadzić na nią pieniądze. Najpierw wprowadził bufet. Stoły bilardowe nieco przesunięto, aby zrobić miejsce. Potem wstawił zielony stół do gry w kości. Pozostał nadal notariuszem i agentem ubezpieczeniowym, uzyskał też akredytyacje towarzystw: gazowego, elektrycznego i telefonicznego na pobór opłat. Wszystko zaś bardzo powoli, sprawy bowiem postępowały wolno w tych zgangrenowanych czasach, i nawet jego pomysłowość stępiała od szybkości i głębi upadku, a myśli wciąż analizowały kroki, które powinien uprzednio poczynić, aby ocalić przynajmniej spadek Artura... i Szajbusa. Do tego dochodziło jeszcze środowisko, zwężone po stracie 148

wszystkiego do jednej ulicy i miejsca, dobiegająca zewsząd i zalewająca ruiną i zniszczeniem zgęstniała, zapiekła cisza unieruchomionej maszyny i przejście od dolarów do miedziaków. Wreszcie on sam, kaleki i starzejący się, zmuszony przejść od wielkich planów do zwykłego współdziałania. Powszechność klęski nie pomagała mu się usprawiedliwić we własnych oczach — wrodzony rozmach często przesłaniał mu innych ludzi — i uznał, że kiedy odziedziczył po ojcu majątek, ten natychmiast wyrwał mu się z rąk na podobieństwo małych złotych zwierzątek, które były posłuszne jedynie głosowi Komisarza.

— Nie jest to dla mnie osobiście takie bardzo straszne — wyjaśniał czasem. — Byłem kaleką przedtem i jestem nim teraz. Dobrobyt nie przywrócił mi władzy w nogach, a jeśli w ogóle ktokolwiek wie, co go w życiu czeka, to tylko William Einhorn. Możesz mi wierzyć.

Otóż właśnie, mogłem i nie mogłem. Wiedziałem, że ta pewność siebie to pojawienie się słabego światełka, raczej bladego niż zielonego, po tym co przecierpiał w dniach, kiedy utracił wielki dom i owe kilka tysięcy dolarów spadku Artura w ostatnim wysiłku ocalenia domu — wysiłku spowodowanym raczej dumą niż zmysłem do interesów. Zwolnił mnie wówczas oficjalnie mówiąc słabym głosem: — Jesteś dla mnie luksusem, Augie. Będę się musiał z tobą rozstać. — Opiekowali się nim w tym złym okresie Szajbus i żona. Nie opuszczał wtedy swego gabinetu, ciężko porażony, pokonany, pogrążony w czarnych myślach, przez wiele dni nie golony—ón, u którego cała barwa życia tak bardzo zależała od regularności nawyków. Aż wreszcie porzucił ten ponury i zapchany książkami pokój oświadczając, że obejmuje kierownictwo sali bilardowej. Niby pokonany w wyborach prezydenckich Adams, powracający do stolicy jako skromny kongresman. Jeśli nie zamierzał zabrać Artura z uniwersytetu i posłać do pracy — zakładając, że Artur wyraziłby na to zgodę — musiał się czymś zająć, ponieważ innej rady nie było. Oddał w zastaw nawet swoje polisy ubezpieczeniowe, by zdobyć gotówkę na ratowanie domu.

Artur zaś nie miał żadnego zawodu. Otrzymał —



w przeciwieństwie do syna Krcindla, dentysty, który teraz utrzymywał całą rodzinę — szerokie wykształcenie w dziedzinie literatury, językoznawstwa i filozofii. Nagle to, co robią synowie, stało się niezwykle ważne. Howard Coblin zarabiał pieniądze grą na saksofonie. A Kreindl przestał szydzić z nienaturalnej oziębłości syna wobec kobiet. Radził mi natomiast poprosić go o pracę w lokalu pod gabinetem dentystycznym. Kotzie wystarał mi się o miejsce zapasowego pomocnika za ladą bufetu z napojami niealkoholowymi. Byłem mu za to wdzięczny, ponieważ Simon ukończył szkołę i już nie dostawał zapomogi z opieki społecznej. Utracił też niektóre dni w kiosku na stacji przy ulicy La Salle. Borg obsadzał stanowiska swoimi bezrobotnymi szwagrami i dawał ludziom zwolnienia na lewo i prawo.

A co do rodzinnych oszczędności, którymi teraz zamiast babci dysponował Simon, wszystkie przepadły. Nasz bank został zamknięty jako jeden z pierwszych

I budynek z kolumnami, w którym się mieścił, zamieniono na sklep rybny — widoczny z kąta sali bilardowej, w którym siedział Einhorn. Mimo to Simon ukończył szkołę z bardzo dobrymi ocenami — nigdy nie pojmę, jak zdołał to zrobić — i został wybrany skarbnikiem klasowym, który miał za zadanie zakup sygnetów i odznak. Chyba z powodu wyrazu rzetelności i uczciwości w twarzy. Musiał rozliczyć się z tych pieniędzy przed dyrektorem, ale nie przeszkodziło mu to zawrzeć umowy z jubilerem i zarobić pięćdziesiąt dolarów na czysto.

Wysoko mierzył, tak samo jak ja. Trzymaliśmy to przed sobą w tajemnicy. Lecz ja, ponieważ z nawyku obserwowałem go od dawna, wiedziałem coś niecoś o jego celach, on zaś nie miał czasu obejrzeć się za siebie na moje poczynania. Zapisał się do miejskiej uczelni z myślą, jaką wówczas piastowali wszyscy, aby się przygotować do egzaminu na urzędnika państwowego. Istniał masowy popyt na pracowników Służby Meteorologicznej, Badań Geologicznych i Urzędu Poczтового, o czym świadczyły drukowane tłustą czcionką afisze na szkolnych i bibliotecznych tablicach ogłoszeniowych.

Simon miał pewien ogromny dar. Wypływało to może z jego nawyku czy tama i ze szczerego spojrzenia guber-

150  
natora, jakie sobie przyswoił. Johna Scviera. Albo Jacksona w chwili, gdy w pojedynku kula ześliznęła się po guziku jego płaszcza, a on składał się do strzału — uniesione spojrzenie bezlitosnej, kosmicznej władczości, owo spojrzenie, w którym uczciwość ma moc przesądu, a przezorność przybiera kształt szlachetnej zmarszczki bezosobowej troski na czole. Według mnie było to niegdyś u Simona zupełnie naturalne. A jeśli kiedyś było naturalne, jak można ze zdecydowaniem twierdzić, iż jego naturalność przeminęła? A że wykorzystywał takie rzeczy? Jestem absolutnie pewien, że się nimi posługiwał. A jeśli ktoś się takimi rzeczami świadomie posługuje, to czy stają się przez to fałszywe? Cóż, w walce nie rezygnuje się z przewagi.

Może marzenia babci Lausch o dostąpieniu łask Rosenwalda lub Carnegie'ego zrodziły się właśnie z docenienia tego daru u Simona. Kiedy przypadkiem znalazł się blisko jakiejś burdy ulicznej, to właśnie jego zawsze pytał policjant, co się stało, lekceważąc głosy dziesiątka ochotniczych świadków. Albo gdy trener wychodził z magazynu sali gimnastycznej z nową piłką i dziesiątki rąk się po nią wyciągały błagalnie, to właśnie Simon, pozornie bierny, zawsze ją dostawał. Oczekiwał tego i nigdy się temu nie dziwił.

A teraz wszedł na grząski grunt i musiał zwolnić szybkość zdążania do celu, który sobie w skrytości wyznaczył. Nie wiedziałem wówczas do jakiego celu ani też nie rozumiałem, czemu go w ogóle musiał mieć. To było dla mnie nic do pojęcia. Lecz on przez cały czas zdobywał najrozmaitsze wiadomości i umiejętności, jak taniec, rozmowa z kobietami, flirt, dawanie prezentów, pisanie romantycznych listów, znajomość restauracji i nocnych klubów, sal tanecznych, wiązanie muszek i krawatów, co jest poprawne, a co niepoprawne przy wkładaniu chusteczki do kieszeni na piersi, jak się ubierać, jak się zachowywać w groźnie nastawionym tłumie. Albo w przyzwoitym domu. To ostatnie było dla mnie łamigłówką, ponieważ nie przyswoiłem sobie babcinych lekcji dobrego wychowania. Lecz Simon, z pozoru nie poświęcając im uwagi, wyciągnął z nich to, co zasadnicze. Wymieniam te rzeczy, dla wielu błaha, ponie-

waż byliśmy z nimi całkowicie nlezaznajomieni. Obserwowałem, jak przyswaja sobie sztukę wkładania kapelusza, zapalania papierosa, składania rękawiczek i chowania ich do wewnętrznej kieszeni. Podziwiałem, zastanawiałem się, skąd ją posiadał, przy czym sam się jej nauczyłem. Lecz nigdy me miałem owego poczucia luksusu, którego on przy tych czynnościach doznawał.

SinKmdilouał to przechodząc przez westybule szykownych lokali i sale restauracyjne z portierami w drzwiach, podpiętymi i ozdobionymi frędzlami, z orkiestrami smyczkowymi wygrywającymi stateczne, kołyszące tram- -tram wiedeńskich walców. Aż mn się nozdrza nadymały. Traktował to z cynizmem, a jednak go brało. Powinienem więc wiedzieć, jaka wstrętna była dla niego monotonia naszej dzielnicy, nuda zimowych popołudni, kiedy spędzał czas w długim palcie i dwa dni nie golony w drogerii albo z tym komunistą Sylwestrem w drakami pamfktów Zechmana. czasem nawet w sali bilardowej. Pracował w kiosku na stacji tylko w soboty, a i to, jak mówił, wyłącznie dlatego, że Borg go lubił.

Mieliśmy trochę czasu na pogawędki w ocieężałości zimowej martwoty, siedząc przy ladzie bufetu saH bilardowej. koło okna, za którym leżał upstrzony końskim odchodami i kawałkami węgla, nasiąkły sadzą śnieg i kłębiła się w świetle zapalanych już o czwartej po południu lamp brunatna mgła. Kiedy zrobiliśmy w domu, co do nas należało, to znaczy napaliliśmy w piecach, załatwili zakupy, wynieśli śmieci i popiół, nie zostawialiśmy tam z mamą — ja jeszcze mniej niż Simon, który czasem przygotowywał prace seminaryjne przy kuchennym stole, wtedy ona trzymała dla niego dzbanek kawy na ogmu- Nie zapytałem go o to, o co Jimmy Klein i Ciem kazali mi zapytać, a mianowicie, czy Sylwester nawraca go na swoją wiarę, bo byłem pewien odpowiedzi, którą cmi im dałem, że Simon szukał sposobu zabicia czaso i chodził na zebrania, spotkania dyskusyjne i różne foia, imprezy towarzyskie i przyjęcia połączone ze zbiórką pieniędzy na opłacenie czynszu gospodarza, z czystych nudów oraz chęci poznania nowych dziewcząt, nie dlatego, że brał Sylwestra za jedno z dzieci poranka, tylko ponieważ lubił duże babki w skórzanych kurtkach, a\* 152

niskich obcasach, w beretach i flanelowych koszulach roboczych. Literatura, którą przynosił do domu. służyła mu następnego ranka za podkładkę pod kubek, żeby na stole nie zostawały krążki od kubka z kawą, lub rwał te powielane kartki swymi wielkimi blond dłońmi na podpałkę. Ja czytywałem więcej tej literatury niż on, z zaskoczeniem i ciekawością. Dobrze znałem Simona i jego pogład na to, co jest słuszne, a co nie. Uważał, że dość ma kłopotów ze mną i mamą, by brać sobie jeszcze na głowę całą klasę robotniczą, i tyleż się godził na przyjęcie moralnych odczuć Sylwestra co na kupno garnituru, w którym nie mógłby diodzie. Ale przesiadywał w drukarnie Zechmana spokojnie paląc zwilgotniałe papierosy pod pobudzającymi proletariackimi afiszami, słuchając latynoskich, germańskich, egzotycznych rozmów, ze szczęką opartą swobodnie o kołnierzyk w żółtym dymie chłodnego powietrza, dając w głębi ducha temu wszystkiemu czarną gałkę.

Fakt, że się zaczął pokazywać w sali bilardowej, też był dla mnie zaskoczeniem, wobec zdania, które uprzednio wyrażał na temat moich powiązań z EinhornamL Ale i w tym wypadku wyjaśnienie zostawało to samo—bo się nudził, bo był bez grosza. Wkrótce zaczął towarzyszyć niedźwiedziookiemu Sylwestrowi w jego zbrojnej w broszury wojnie z burżuazją, a także brać lekcje gry w bilard u Szajbusa, i niebawem stał się w tej grze wystarczająco dobry, by trochę wygrywać przy stawce po piątku za bilę, unikając zacietrzewionych graczy, którzy uczynili z bilardu swój zawód. Czasami grywał w kości w pokoju na tyłach, gdzie też mu się szczęściło. Trzymał się z dala od chuliganów, awanturników i złodziei w ich sprawach zawodowych. Pod tym względem okazał się mądrzejszy ode mnie, bo ja dałem się namówić do uczestnictwa w rabunku.

Większość czasu spędzałem z Jimmym Kleinem i demem Tambowem. Poprzednio, w ostatnim okresie nauki w szkole średniej, nie widywałem ich często. Rodzinę Jimmy'ego bardzo dotknęło bezrobocie—Tommy stracił pracę w Ratuszu, kiedy republikanie zostali wyparci przez Cermaka — i Jimmy dużo pracował. Uczył się również wieczorami księgowości, a raczej próbował się

uczyć, bo nie był dobry w rachunkach ani w ogóle w jakiegokolwiek pracy głową, skoro o tym mowa. Miał tylko ogromną determinację wybicia się z uwagi na rodzinę. Jego siostra, Eleonora, wybrała się autobusem do Meksyku zobaczyć, czy się jej poszczęści u mieszkającego tam kuzyna, tego, który rozbudził w Jimmym zainteresowanie drzewem genealogicznym rodziny.

A co do Clema Tam bo wa, jego pogarda dla szkoły była bezgraniczna, więc spędzał, ile tylko mógł czasu w łóżku, czytając wiadomości filmowe i przeglądając arkusze z typami na najbliższe wyścigi konne. Wyrastał na niebywałego bęcwała. Poprzez matkę wiódł długotrwałe spory z jej drugim mężem, także bezrobotnym, na temat swoich obyczajów. Syn sąsiada zarabia jako chłopak do ustawiania kręgli w jednej ze śródmiejskich kręgielni trzydzieści centów za godzinę, czemuż więc Ciem nie chce poszukać pracy? Mieszkali we czworo na tyłach sklepu z odzieżą dziecięcą, który prowadziła osobiście dawna pani Tambow. Łysy, o karku porośniętym szorstkim włosiem, ubrany w podkoszulek ojczym Cielma czytywał „Jewish Courier” przy piecu i przygotowywał dla nich wszystkich obiad złożony z sardynek, krakersów i herbaty. Na stole zawsze stało kilka otwartych puszek King Oscar, a także mleko skondensowane i ostrygi. Nie był bystry i nie miał wielu tematów do rozmowy. Kiedy przychodziłem i zastawałem go w ciurkowej dzianinie wełnianego podkoszulka, tematem naszej rozmowy było zawsze, ile zarabiam.

— Mam wykonywać jakieś upokarzające zajęcie? — odpowiadał Ciem matce, kiedy podejmowała temat pracy. — Wolałbym połknąć cyjanek. — I myśl o połknięciu cyjanku tak go rozśmieszała, że wybuchał gromkim: — I Ha, ha, ha! — od którego aż mu się trzęsła czupryna. — Tak czy inaczej — rzekł — wolę leżeć w łóżku i zabawiać się sam ze sobą. Ty, mama — mówił do niej ubranej w spódnicę i ze stopami jak tancerka hiszpańskich numerów — jeszcze nie jesteś taka stara, żeby nie wiedzieć, o czym mówię. Pamiętaj, że śpisz w pokoju obok mojego, ty i twój mąż. — A w niej aż dech zapierało i nie mogła nic powiedzieć ze względu na mnie, tylko patrzyła na niego z wściekłym wyrzutem. — Nie zgry- | 154

waj się, na co ci to... po cóż innego wychodziłaś za • mąż?

- Nie powinienes tak mówić do swojej staruszki — powiedziałem później.

Wyśmiał mnie.

— Spróbowałbyś tu spędzić parę dni i nocy... wiedziałbyś wtedy, że jeszcze za mało powiedziałem. Jej pince-nez cię zwodzi, nie wiesz, jak ona lubi tę robotę. Spójrzmy prawdzie w oczy. — I oczywiście przedstawił mi tę prawdę, która dotyczyła, jak się zdaje, i mnie, jego matka bowiem rozpytywała po cichu o mnie mówiąc, że wyglądam na bardzo krzepkiego chłopaka.

Po południu Ciem wychodził na spacer — z trzcinką w rękę i brytyjską fanfaronadą. Czytywał autobiografie lordów, wypożyczane z biblioteki, i zaśmiewał się nad nimi, po czym zgrywał przed polskimi sklepikarzami dżentelmena z Piccadilly, zawsze gotów wybuchnąć swym ha-ha z radosną gwałtownością, dekompresją, z głębokimi termalnymi zmarszczkami brzydkiego ukontentowania na czerwonej twarzy. Kiedy udało mu się wyzbrać kilka dolarów od ojca, obstawiał konie, a jeśli wygrał, fundował mi befsztyki i częstował cygarami.

Obracałem się też wśród innych ludzi. Na przykład takich, którzy czytali wielkie księgi po niemiecku, po francusku i znali podręczniki do fizyki i botaniki na wylot, wśród czytelników Nietzschego i Spenglera. Ale znałem też przestępców. Tylko że nigdy nie myślałem o nich jako o przestępcach, lecz jako o znajomych chłopakach z sali bilardowej, widywanych także w szkole, zataczających się w porze obiadowej w salach gimnastycznych albo w jadłodajniach z hot-dogami. Zadawałem się ze wszystkimi i nikt nie wiedział, z kim naprawdę trzymam. Ja sam tego dobrze nie wiedziałem. A czy kręciłbym się wokół sali bilardowej, gdybym nie znał Einhorna i nie pracował u niego, tego nie wiem. Nie byłem kujonem ani żadnym takim dziwakiem, co się tylko uczy, chociaż nie miałem nic przeciwko kujonom i dziwakom. Gangsterom jednak było łatwiej brać mnie za swego. A pewien złodziej nazwiskiem Joe Gorman zaczął rozmawiać ze mną o skoku.

Nie powiedziałem: nie.

Gorman był bardzo bystry, przystojny, szczupły, dobry w koszykówce. Jego ojciec, właściciel sklepu z oponami, był zamożny, więc Joe nie musiał kraść. Miał jednak na swoim koncie kradzieże samochodów i siedział dwukrotnie w Pt. Charles. Teraz zamierzał obrabować sklep z wyrobami skórzanymi przy Lincoln Avenue, niezbyt daleko od Coblinów, i w tej robocie miały wziąć udział trzy osoby. Trzecia to Marynarz Bulba, mój stary wspólnik od szkolnej szafki, który ukradł mi kiedyś zeszyt do fizyki. Wiedział, że nie jestem papłą.

Gorman obiecał wziąć samochód ojca dla ułatwienia odskoku. Mieliśmy się włamać przez okno piwniczne na tyłach sklepu i wykraść torebki. Bulba miał je ukryć, a w sali bilardowej bywał pewien paser nazwiskiem Jonas, który podjął się ich sprzedaży.

O pierwszej godzinie pewnej kwietniowej nocy pojechaliśmy do Dzielnicy Północnej, zaparkowaliśmy przy zaułku i po kolei wśliznęliśmy się na dziedziniec. Marynarz przeprowadził wstępny wywiad, w okienku piwnicznym nie było krat. Gorman spróbował je otworzyć — najpierw łyżką do opon, a potem metalową taśmą. Była to technika, o której słyszał w sali bilardowej, ale której nam nigdy jeszcze nie próbował. Nie dała pożądanego skutku. Wówczas Marynarz owinął cegłę w czapkę i lupnął w szybę. Na odgłos tłuczonego szkła pierzchnęliśmy w zaułek, a gdy nikt się nie pojawił, podkradliśmy się znowu. W tym momencie miałem już tego wszystkiego dość, ale wycofać się nie było jak. Marynarz i Gorman wleźli do piwnicy, mnie zostawili na czatach. Nic miało to wielkiego sensu, bo okienko stanowiło jedyną drogę ucieczki, i gdyby samochód patrolowy przyłapał mnie w zaułku, oni też by nie umknęli. Jednakże tylko Gorman miał w tych sprawach jakieś doświadczenie, więc słuchaliśmy jego poleceń. Do mnie dochodziło jedynie popiskiwanie szczurów i szelest papierów. W końcu w piwnicy coś zagrzechotało i w okienku ukazała w ostra, blada twarz Gormana, zaczął podawać mi torebki, miękkie, opakowane w bibułkę, które ładowałem do torby przyniesionej pod płaszczem. Potem obaj z Bulbą pr/ebiegij4my z towarem przez podwórka na drugą ulicę, dokąd Gorman podjechał po nas samochodem. Zo- 156

stawiliśmy Bulbę na tyłach jego domu cisnął torbę za płot i sam skoczył za nią łopocząc nogawkami marynarskich spodni, i wylądował na kupie żwiru i blaszanych puszek. Ja poszedłem do domu na skrót, przez parcele, wyjąłem klucz ze skrzynki na listy i wszedłem do uipione- go mieszkania.

Simon wiedział, że wróciłem bardzo późno, powiedział, że o północy mama przychodziła pytać, gdzie jestem, Nie sprawiał wrażenia zatrokanego tym, co robiłem, ani tym, że pod małą obojętności czuję się bardzo podle. Nie spałem kilka godzin usiłując wymyślić, jak wytłumaczyć, skąd wziąłem te dwadzieścia czy trzydzieści dolarów, które zapewne dostanę jako swoją dolę. Zastanawiałem się, czy nie poprosić Clema, by powiedział, że wygraliśmy je razem na wyścigach, ale nie brzmiało to przekonująco. I w gruncie rzeczy był to żaden kłopot, bo mogłem dawać pieniądze mamie po trochu przez kilka tygodni, a poza tym nikt nie śledził pilnie moich poczynań, tak jak za czasów babci. Minęła długa chwila, nim mogłem spokojnie i bez drżenia myśleć o tym wydarzeniu.

Lecz nie tak znowu długa. A powodem był mój temperament. Poszedłem do szkoły tracąc tylko jedną lekcję, pokazałem się na próbie w kółku teatralnym, a o godzinie czwartej udałem się do sali bilardowej, gdzie zobaczyłem siedzącego na krześle do czyszczenia butów Marynarza Bulbę w szerokich spodniach przyglądającego się grze w piramidkę. Sprawa była już załatwiona z Jonaszem, paserem, który miał zabrać towar tego wieczoru. Wykreśliłem całą sprawę z myśli, w czym mi pomogła piękna wiosna i pąki na drzewach. Einhorn powiedział; - W parku odbywają «ię wyścigi rowerowe. Jedźmy popatrzeć - więc chętnie zaniósłem go do samochodu i pojechaliśmy.

Postanowiłem, że już nigdy więcej nie wezmę udziału w kradzieży, skoro już wiem, jak to wygląda, i po wiedziałem Joc Gormanowi, żeby w przyszłości na mnie nie liczył. Byłem przygotowany, że nazwie mnie tchórzem. Tymczasem Gorman nie zaczął sobie z tego powodu rwać włosów i nie odniósł się do mnie z pogardą. Powiedział spokojnie: Skoro uważasz, że to ci nie leży..

■ Właśnie o to chodzi... nie leży,

A on rzekł w zamyślenia: — Zgoda. Bulba jest stuknięty, ale z tobą mogłoby mi się wspaniale pracować.

— Nie ma sensu, jeśli nie mam do tego zacięcia.

— Więc po co się zmuszać? Pewnie.

Odniósł się do sprawy łagodnie i z dystansem. Przyczesał włosy w lusterku automatu z gumą do żucia, poprawił krawat i odszedł. Odtąd nie miał mi wiele do powiedzenia.

Zabrałem Clema i razem puściliśmy tę forszę. Ale rzecz wcale się na tym nie skończyła. Einhorn dowiedział się

o niej od Kreindla, u którego paser próbował upłynnić kilka torebek. Prawdopodobnie zdecydowali obaj, że powinienem dostać wcierę. Toteż któregoś popołudnia Einhorn kazał mi usiąść obok siebie w sali bilardowej. Z jego sztywności wyczułem, że się szykuje na mnie,

1 oczywiście, wiedziałem za co.

— Nie będę siedział spokojnie i patrzył, jak rośniesz na drobnego złodziejzka—rzekł. — Uważam się osobiście odpowiedzialny, że się znalazłeś w tym otoczeniu. Właściwie nawet nie wolno ci tu przebywać, bo jesteś małoletni — nawiasem mówiąc tak samo jak Bulba, Gorman i dziesiątki innych, którym wcale tego nie wzbraniało — chociaż wyrośnięty. Ale nie pozwolę, abyś robił takie rzeczy, Augie. Nawet Szajbus, a wiesz, że on nie jest tytanem umysłowym, nie dałby się wciągnąć w te złodziejskie sztuczki. Ja muszę, niestety, znosić tu obecność najróżniejszych elementów. Wiem, kto jest złodziejem, kto rewolwerowcem, a kto sutenerem. Nie mogę temu zaradzić. To jest sala bilardowa. Ale, Augie, ty nie jesteś głupi, byłeś ze mną w lepszych czasach i jeśli się dowiem, że się porwałeś na jakiś następny skok, każę ci stąd wyrzucić. Nigdy więcej nie postawisz tutaj nogi i nie zobaczysz mnie ani Tillie. Gdyby twój brat się o tym dowiedział, Jezu Chryste! Sprawiłby ci lanie. Jestem pewien.

Musiałem przyznać, że tak byłoby w istocie. Einhorn zapewne dostrzegł mój lęk i przerażenie. Położył palce na mojej ręce. — Oto przez co młody człowiek zaczyna gnici i cuchnąć, a jego zdrowie i uroda się kończą. Przez swoje pierwsze czyny, gdy już nie jest chłopcem, a robi to, co robią dorośli mężczyźni. Chłopiec kradnie jabłka, melo

ny. Jak jest swawolnym studentem, wystawia parę fałszywych czeków. Ale ktoś, kto jak uzbrojony bandyta...

— My nie byliśmy uzbrojeni.

— Otworzę zaraz tę szufladę — rzekł z napięciem — i dam ci pięćdziesiąt dolarów, jeśli przysięgniesz, że Joe Gorman nie miał rewolweru. Możesz mi wierzyć, że miał.

Policzki mnie paliły i było mi słabo. Mówił sensownie, przekonywająco.

— Gdyby nadjechali policjanci, spróbowałby się przebić. Patrz, na co się narażałeś. Tak, tak, Augie, i paru policjantów padłoby trupem. A ty wiesz, co się robi z zabójcami policjantów, już zaraz, od komisariatu poczynając... zmasakrowane twarze, zmiążdżone dłonie i jeszcze gorzej. I takie byłoby twoje wejście w życie. Nie powiesz mi, że to wszystko z młodzieńczej fantazji. Po coś to zrobił?

Nie wiedziałem.

— Jesteś prawdziwym złodziejem? Czujesz w sobie do tego powołanie? Jeśli tak, to jeszcze nie widziałem w swoim życiu dziwniejszego przypadku mylących pozorów. Przebywałeś w moim domu, gdzie pieniądze leżały na wierzchu. Czuleś kiedykolwiek chęć, aby je świsnąć?

— Ależ panie Einhorn! — wykrzyknąłem z gwałtownym oburzeniem.

— Nie musisz mi tego mówić. Wiem, że nie czuleś. Chciałem się tylko zapytać, czy masz prawdziwe impulsy, płynące z głębi duszy, bo ja nie wierzę, że je masz. Augie, na miłość boską, trzymaj się z dala od tych złodziei. Gdybyś mnie poprosił, dałbym ci te dwadzieścia dolarów dla twojej owdowiałej matki. Tak bardzo ich potrzebowałaś?

— Nie.

Była to czysta dobroć z jego strony, że nazwał mamę wdową, choć wiedział, iż nią nie była.

— Chciałeś dreszczyka emocji? Czy to pora, by szukać emocji, gdy każdy stara się siedzieć jak mysz pod miotłą? Mogłeś szukać emocji w wagoniku diabelskiej kolejki w lunaparku, na karuzeli, na zjeżdżalni. Pojechać do Parku Riverview. Ale chwileczkę. Nagle coś w tobie dostrzegłem. Ty masz w sobie jakiś sprzeciw. Ty

nie prześlizgniesz się nad wszystkim z łatwością. Ty tylko udajesz, że tak jest.

Pierwszy raz w życiu ktoś powiedział o mnie coś prawdziwego. Odczułem to z ogromną siłą. Że, jak oświadczył, miałem w sobie sprzeciw, wielkie pragnienie, aby stawić opór i powiedzieć: — „Nie!” — co było jasne jak słońce i wyraźne jak uczucie głodu.

Do odkrywcy tego faktu, człowieka, który zadał sobie trud, by pomyśleć o mnie — pomyśleć o mnie — zapalałem ogromną miłością. Przyoblekłem się jednak w ten swój nowo odkryty atrybut, ten mój sprzeciw. Przyodziałem się weń. Nie mogłem więc nic po sobie okazać, dać wyrazu swojemu uczuciu.

— Nie bądź głupcem, Augie, i nie daj się wciągnąć w pierwszą pułapkę, jaką na ciebie zastawiło życie. Młodzi ludzie, którzy wyrosli w biedzie, tak jak ty, są jakby urodzeni do zapełniania więzień, poprawczaków i podobnych instytucji. To dla nich państwo na wiele lat naprzód zamawia chleb i fasolę. Ono wie, że istnieje element, na którym można polegać, że przyjdzie za kraty, aby ten chleb i fasolę zjeść. Ono wie, ile tłucznia do budowy dróg może oczekiwać, i kto ten tłuczeń wyprodukuje. A także kogo będzie musiało leczyć z szankra w państwowych klinikach. Ludzi stąd i z podobnych części miasta, a tak samo innych miast w całym kraju. Jest to właściwie z góry przesądzone. A jeśli pozwolisz, aby było przesądzone również i dla ciebie, to jesteś frajer. Co też zostało przewidziane. Te wszystkie smutne i tragiczne rzeczy tylko na ciebie czekają... ciupy, kliniki i kolejki po darmową zupę. Wszystko to czeka na tych, którzy są urodzeni do bida, pomiatania, przedwczesnego starzenia się, żyłowania, kopania w tyłek, spisania na straty. Któż by się zdziwił, gdyby to ciebie spotkało? Jesteś przecie na to przeznaczony.

Potem dodał: — Ale myślę, że ja bym się zdziwił. — A potem jeszcze: — Wcale cię nie proszę, abys brał mnie Za wzór. — Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że wiem o jego wielorakich szwindlach.

Einhorn miał swoich ekspertów, którzy majstrowali przy licznikach gazu, okpiwał towarzystwo elektryfikacyjne podłączając się do głównych linii, fałszował bilety 160 i oszukiwał urzędy podatkowe. Jego pomysłowość w tych dziedzinach była bezgraniczna. Miał umysł przepelniony różnymi machlojkami. — Ale nie jestem nędzną kreaturą, kiedy myślę, naprawdę myślę — powiedział. — W końcu nie można ocalić duszy i żyda przez samo myślenie. Jeżeli jednak myślisz, najmniejszą z nagród pocieszenia stanowi świat.

Mówił dalej, lecz moje myśli pobiegły własnym torem. Nie, nie chciałem, aby mój los, jak powiedział, został z góry przesądzony. Nigdy nie uznawałem determinizmu i nie chciałem być taki, jakim inni pragnęli mnie uczynić. Powiedziałem: „Nie” również Joe Gormanowi. Babci. Jimmy'emu. Mnóstwu ludziom. Einhorn dostrzegł to we mnie. Bo i on próbował wyrzucić na mnie wpływ.

Aby mnie ustrzec przed popadnięciem w tarapaty, a także ponieważ przywykł do dysponowania delegatem, posłańcem czy zaufanym pomocnikiem, zatrudnił mnie ponownie za mniejszą płacę. — Nie zapominaj, stary, że mam cię na oku. — Czyż nie miał zawsze na oku wszystkiego i wszystkich znajdujących się w zasięgu jego działania? I odwrotnie, ja miałem na oku jego. Zainteresowałem się jego szwindlami znacznie bliżej niż w czasach, kiedy byłem tylko pokojowym, interesy zaś Einhornów zbyt rozległe, bym mógł je pojąć.

Jedną z pierwszych rzeczy, do których przyłożyłem ręki, było bardzo niebezpieczne zadanie — nabicie w butelkę pewnego gangstera, Wścibskiego Mutchnika. Przed kilku laty Wścibski, jako drobny bandzior, pracował dla gangu z Dzielnicy Północnej oblewając kwasem odzież w zakładach pralniczych, które nie chciały płacić gangowi za ochronę, i wykonując podobne sztuczki Teraz przeszedł na wyższy szczebel gangsterskiej kariery, miał pieniądze i pragnął je inwestować, głównie w nieruchomościach. Bo jak wyznał w pewien letni wieczór Einhornowi: — Wiem, co się dzieje z facetami, którzy nie rezygnują w porę z tej zabawy. Zawsze się w końcu doigrają. Widywałem to już nieraz.

Einhorn powiedział mu, że zna pewną piękną pustą parcelę, którą mogliby nabyć do spółki. — Jeżeli sam chcę

16!

W wejść z tobą w spółkę, mozesz być pewien, że cena tej parceli będzie wciąż rosła i rosła. Gdybyś miał stracić, to i ja bym stracił — rzekł ze szczerego serca Mutchnikowi. Za parcelę żądano sześćset dolarów. On jednak może wytargować ją na pięćset. Jego przypuszczenie miało uzasadnienie, ponieważ to on sam był właścicielem owej parceli, zakupiwszy ją od kolegi ojca za siedem- dziesiąt pięć dolarów, obecnie zaś stawał się jej współwłaścicielem znów na tym zyskując. Wszystko to zostało dokonane z zastosowaniem różnych sztuczek i bardzo spokojnie. Sprawa skończyła się dobrze, ponieważ Mutchnik znalazł kupca na parcelę, zachwycony, iż udało mu się zarobić legalnie sto dolarów. Ale gdyby dowiedział się prawdy, to albo sam zastrzeliłby Einhorna, albo kazałby zrobić to komuś innemu. Dla obrony własnej dumy nie było w jego oczach nic prostszego, nic natural- niejszego. Drżałem, że Mutchnikowi wpadnie do głowy zbadać sprawę w hipotece i wtedy się dowie, iż parcela jest zapisana na krewnego Einhornowej. Lecz Einhorn powiedział: — Czym sobie zawracasz głowę, Augie? Przejrzałem tego faceta. Jest straszliwie głupi. Wma- wiam mu różne rzeczy dla jego własnego bezpieczeństwa.

W ten sposób, nie ryzykując ani centa, Einhorn zarobił na tej osobliwej transakcji ponad czterysta dolarów. Czuł się dumny i cieszył się z tego, bo właśnie za czymś takim naprawdę przepadał. Pragnął, aby z podobnych tryumfów — tylko wciąż większych i większych — składało się całe jego życie. A tymczasem wciąż siedział przy stole do gry w kości, ze skórzanym kubkiem, z zielonym odbłaskiem sukna na bladej twarzy i w podkrążonych oczach. Trzymał cenne bile z kości słoniowej w pudełku obok siebie, w takiej skrzynce po pięciocentowych cukierkach, śledząc pilnie i z uwagą, co się wokół dzieje. Prowadził tę salę bilardową na swój własny sposób.

Nie znam innej sali bilardowej, w której by stale przebywała jakaś kobieta, tak jak Tillie Einhorn, za ladą bufetu przekąskowego. Serwowała tam doskonale meksykańskie gulasze, omlety, fasolówkę i nauczyła się obsługiwać ogromną maszynkę do kawy do tego stopnia, że nawet знаła właściwą chwilę, kiedy należy sypanąć soli 162

i wbić jajko, by kawa była klarowna. Bardzo energicznie przystąpiła do tej nowej w swoim życiu roli i odnosiło się wrażenie, że się rozrosła, wzmocniła fizycznie. Kwitła, a ten męski tłum działał na nią uspokajająco. Mówiono tam i wykrzykiwano rzeczy, których nie rozumiała, co zresztą wychodziło jej na dobre. Nie wpływała łagodząco na zachowanie w sali. Nie wyznaczała żadnych granic, jak to czyniły brytyjskie bufetowe albo właścicielki bistro. Tutaj poczynano sobie zbyt ostro i ordynarnie, by móc mieć na to jakikolwiek wpływ. Zgiełk i bójki, łoskot i sprośne krzyki były nie do powstrzymania i nie ustawały. Tyle że ona jakoś w to wszystko wrosła. Poprzez ograniczenie uwagi do meksykańskiego gulaszu, parówek z fasolą i kawę z plackiem.

Kryzys odmienił również Einhorna. Za życia Komisarza był on raczej niedojrzały i pod pewnymi względami, jak na swoje lata, nieukształtowany. Teraz już nie był przedostatnim, ale ostatnim i końcowym słupem granicznym rodziny. Nie przewidywano, aby ktokolwiek mógł go wyprzedzić w zejściu z tego świata, i można by powiedzieć, wszystkie troski smagały jego twarz i dostrzegało się w nim, jakie przechodził próby. Koniec z giętkością — musiał zgrubieć i stwardnieć, co też się stało. Ale w stosunku do kobiet nie zmienił się nic a nic. Widywał ich naturalnie mniej niż w dawnych czasach. Bo jakież kobiety bywają w salach bilardowych? Lola Fewter nie powróciła do niego. On zaś sam... cóż, sądzę, że ludzie upośledzeni w jakiś sposób muszą mieć coś, co im pomaga wziąć się w garść, co ich pokrzepia, muszą się golić lub ubierać. Dla Einhorna tym, co mu pomagało wziąć się w garść, były pozamałżeńskie stosunki z kobietami. I Lola musiała odgrywać ważną rolę w jego życiu, bo śledził jej losy przez ponad dziesięć lat, aż do końca, to jest do chwili, kiedy ją zabił kochanek — woźnica, ojciec kilkorga dzieci, którego wciągnęła w czarnorynkowe machlojki. Został przyłapany, groziło mu więzienie, jej zaś nic. A więc ją zabił, powiedział: — Aby inny facet nie żył z nią całą gębą na mojej niedoli. — Einhorn przechowywał wycinki z gazet, dotyczące tej sprawy. — Rozumiesz, co powiedział? Żyć całą gębą. Z nią żyło się całą gębą. Wiem coś o tym. — Chciał też, abym i ja się

i? ^■bhBBBB

dowiedział. A mało i móc słuchać jego zvm

|. A mało kto był w lepszej ode mnie sytuacji, by | ■zwierzeń ■BiednaLola. I — Biedne, nieszczęsne dziecko! — rzekł. — Ale sądzę, że musiała właśnie w ten sposób umrzeć, Augie. Miała kurewską mentalność. A kiedy ją znałem, była piękna. Tak, żyła pełną gębą. — Siwowłosa i nieco skurczony w stosunku do swego dawnego wyglądu, opowiadał mi o niej z zapalem. — Podobno pod koniec zaczęła się robić niechlujna i pazerna na pieniądze. To niedobrze. Dostyc kłopotów z samego pier... Że też musiała zginąć gwałtowną śmiercią. Świat nie tak łatwo upuszcza gorącą krew.

Było w tych słowach zawarte i skierowane do mnie wezwanie, abym pamiętał o jego własnej gorącej krwi. Usługi, jakie mu świadczyłem, stawiały mnie w różnych niezwykłych sytuacjach — być może pragnął się dowiedzieć, co o nich myślałem, lub też, co dość ludzkie, czy jestem gotów je wraz z nim wysławiać. Och, miejsca, miejsca, przed którymi wzdraga się duma!

W owej rozmowie miałem sobie szczególnie przypomnieć dzień, w którym ukończyłem szkołę średnią. Einhornowie znaleźli się wówczas bardzo miło. Dostałem od nich trojga portfela z dziesięcioma dolarami, a pani Einhorn przyjechała na uroczystości rozdania świadectw w ten lutowy wieczór razem z mamą, Kleinami i Tambowami. Potem było przyjęcie u Kleinów, na które zostałem zaproszony. Po uroczystości odwoziłem mamę do domu — w programie wieczoru nie wydrukowano mojego nazwiska, tak jak w przypadku Simona, lecz mama była zadowolona i głaskała mnie po rękę, kiedy ją prowadziłem po schodach na górę.

Tillie Einhorn czekała na dole w samochodzie. — Jedź na to swoje przyjęcie — powiedziała, kiedy ją odwoziłem z powrotem do sali bilardowej. Fakt, że ukończyłem szkołę średnią, miał w jej oczach niezmierną wagę i ton jej głosu świadczył, że odnosiła się do mnie z wielkimi honorami. Była kobietą życzliwą, pod wieloma względami bardzo prostoduszną, chciała mi dać coś w rodzaju swego błogosławieństwa, a moje „wykształcenie\*\*”, jak sądzę, nagle ją wobec mnie onieśmieliło. Jechaliśmy więc przez czarny i wilgotny chłód do sali bilardowej, a ona 164

powtórzyła kilkakrotnie: — Willie mówi, że masz niezłą głowę. Możesz sam zostać nauczycielem. — A potem nagle przycisnęła się do mnie w swoich szynszylach pamiętających dawne dobre czasy, aby mnie pocałować w policzki, a przed wejściem do sali musiała otrzeć łzy głębokiego szczęścia. Prawdopodobnie stało za tym moje „sieroctwo\*\*”, które ta okazja przypominała. Wystroiliśmy się, w co mieliśmy najlepszego. Pani Einhorn pachniała nawet perfumami, którymi nasiąkł jej jedwabny szal i suknia spięta na piersi srebrnymi guzikami. Przeszliśmy przez szeroki chodnik do drzwi sali. Okna na dole zasłonięto, jak wymagało tego prawo, a w górze, wśród wilgoci, wiły się pręty barwnych neonów. Z powodu uroczystości tłumek w sali był tego wieczoru niewielki. Słyszało się więc uderzenia bil spod najodleglejszych jaskiniowych świateł i cichy hurgot zielonych stołów, a także skwierczenie tłuszczu z kiełbasek na ruszcie. Z głębi sali przyszedł Szajbus z drewnianym trójkątem do układania bil, aby ucisnąć mi dłoń.

— Augie idzie do Kleinów na przyjęcie — powiedziała pani Einhorn.

— Moje gratulacje, synu—rzekł Einhorn ceremonialnie. — Idzie, Tillie, ale nie od razu. Chcę mu najpierw zrobić frajdę. Zabieram go na przedstawienie.

— Willie — odparła zaniepokojona — niech idzie. Dzisiejszy wieczór należy do niego.

— Nie wybieramy się do tutejszego kina, ale do McVickera, na występy sceniczne z małymi dziewczynkami, tresowanymi zwierzętami i jednym Francuzem z Bal Tabarin, który staje na głowie na szyjce butelki od wody sodowej. Co ty na to, Augie? Fajnie będzie? Zaplanowałem to przed tygodniem.

— Pewnie, że fajnie. Jimmy powiedział, że przyjęcie będzie trwało długo i mogę przyjść po północy.

— Niech Szajbus cię zawiezie, Willie. Augie wolałby spędzić ten wieczór z młodymi, nie z tobą.

— Skoro ja wychodzę, to Szajbus jest potrzebny tutaj i tutaj zostanie — oświadczył Einhorn przebijając wszelkie argumenty.

Fakt, że to mój wieczór, nie uderzył mi do głowy aż tak, bym nie dostrzegł powodu uporu Einhorna, ciemnej



plamki powodu, nie większej jak mysz polna, a mimo to bardzo palącej.

Pani Einhorn opuściła ręce. — Och, ten Willie, jak on czegoś zapragnie... — rzekła przepraszająco. Ale przecież należałem jakby do rodziny, skoro sprawy spadkowe już nie stały temu na przeszkodzie. Zapiąłem mu płaszcz i poniosłem go do samochodu. Twarz mi poczerwieniała w nocnym chłodzie i byłem poirytowany. Bo jazda z Einhornem do teatru stanowiła nie lada zadanie, wymagała poczynienia wielu kroków i przeprowadzenia koniecznych negocjacji. Najpierw należało zaparkować samochód, potem odnaleźć kierownika i wytłumaczyć, że potrzebne są dwa miejsca tuż przy wyjściu. Następnie trzeba było załatwić, aby otwarto stalową bramę przeciwpożarową, wjechać w boczny zaułek, wnieść Einhorna na widownię, posadzić, wyjechać tyłem z zaułka i znaleźć nowe miejsce do zaparkowania. A na dodatek w teatrze siedzieliśmy pod złym kątem do sceny. Einhorn musiał zawsze siedzieć przy zapasowym wyjściu. — Wyobrażasz sobie mnie w samym środku pędzącego w panice ku wyjściu tłumu na wypadek pożaru? — Dlatego staliśmy jakby na uboczu akcji dramatycznej, widzieliśmy puder i farbę na twarzach, słyszeliśmy głosy raz stłumione, raz dźwięczne, to znów srebrzyste jak w górskiej dolinie i często nie wiedzieliśmy, z czego publiczność się śmieje.

Nie pędź — rzekł Einhorn na Washington Boule- vard. j.jj Jedź teraz wolno. — Spostrzegłem nagle, że trzyma w rękę karteczkę z adresem. — To koło' Sac- ramento. Nie myślisz chyba, że zamierzałem cię naprawdę ciągnąć do McVickera, co, Augie? Nie, nie jedziemy do śródmieścia. Nigdy nie byłem tam, gdzie teraz cię prowadzę. O ile się orientuję, wejście jest od tyłu, a to się mieści na drugim piętrze.

Zatrzymałem samochód, poszedłem na rekonesans, a znalazłszy ów lokal wróciłem i wziąłem Einhorna na plecy. Mawiał o sobie, że jest Starcem Morskim jeżdżącym na plecach Sindbada. Ale mamy przecież jeszcze Eneasza, który nosił po płonącej Troi swego ojca, An- chizesa, i właśnie tego starca wybrała Wenus na swego kochanka, co mi się wydaje lepszym porównaniem. Z tą 166 różnicą, że nie było wokół nas płomieni i wrzawy bitewnej, tylko cisza głębokiej nocy na bulwarze i lód. Szedłem wąskim cementowym chodnikiem pod uspiętymi oknami, a Einhorn wciąż powtarzał, głośno i wyraźnie, abym uważał. Na szczęście opróżniłem tego dnia moją szafkę w szkole i miałem na nogach kalosze, które przeleżały na jej dnie większą część roku, więc się nie ślizgałem. Była to jednak ciężka praca tak go dźwigać po drewnianych schodach i pod sznurami na bieliznę na gankach, — Wolałbym, żebyśmy nie pomylili adresu

— rzekł, kiedy dzwoniłem do drzwi na drugim piętrze— w przeciwnym razie mogą mnie zapytać, co tu, u licha, robię. — Nieomal zawsze w takich wypadkach liczyła się tylko jego osoba.

Ale zadzwoniliśmy pod dobry adres. Drzwi otworzyła jakaś kobieta i tylko wy sapałem z trudem:— Gdzie?—na co Einhorn odparł: — Dalej, dalej, to tylko kuchnia. — I rzeczywiście była to kuchnia, załatujące knajpą pomieszczenie. Zaniósłem go ostrożnie do saloniku i posadziłem przed zdumionymi ludźmi na kanapie. Na siedząco czuł się równy innym, więc śmiało przyglądał się kobietom. Stałem obok niego i też patrzyłem z wielkim pożądaniami i podnieceniem. Ilekroć z nim gdzieś szedłem, zawsze czułem ogromną odpowiedzialność, a tutaj, znacznie więcej niż gdziekolwiek indziej, zdawałem sobie sprawę z jego uzależnienia ode mnie. A wcale nie chciałem teraz się o to martwić. Chociaż nie wyglądał niekorzystnie, tylko władczo i niewzruszenie, bez zenującego uczucia wstydu, że oto on, człowiek ważny, jest bezradny wobec trawiących go straszliwych potrzeb. — Słyszałem, że są tu miłe dziewczęta—rzekł—i rzeczywiście są miłe. Wybierz którąś.

— Ja?

— Oczywiście. Która z was, dziewczęta, zabawi tego przystojniaczka, który dziś ukończył szkołę średnią? Rozejrzyj się, chłopcze, i nie trać głowy — powiedział do mnie.

Do salonu weszła z jednego z pokoi madame. Była umalowana w sposób osobliwy barwami przypominającymi owadzi pyłek albo kopeć z lampy i czerwień skrzydła émy na policzkach.

— Panie szanowny... — zaczęła.

Ale wszystko okazało się w porządku. Einhorn miał od kogoś wizytówkę i rzecz była wcześniej omówiona. Tylko najwyraźniej nie powiedziano madame, że Einhorn zostanie wniesiony na plecach. Nie ośmieliły się tutaj przyjść nie wprowadzony przez nikogo.

Niemniej powstało zakłopotanie i Einhorn siedział ze zsuniętymi razem butami i w bankierskich spodniach okrywających bezwładne nogi. Kiedy teraz myślę o tym, Einhorn, pytając, która z dziewczyn mnie zabawi, dał wyraz przewidywaniu odrazy tej dziewczyny, którą wybierze dla siebie. Nawet tu, gdzie płacił. Ale może tak nie było. Nie miałem wcale jasnego umysłu w tym osobliwym lokalu, marnej, odpicowanej spelunie, i zapewne Einhorn wcale nie poczynał sobie tak śmiało i swobodnie, jak mi się wtedy wydawało.

W końcu powiedział do dziewczyny, z którą wdał się w pogawędkę: --- Który twój pokój, dziecino? — i z całkowitym spokojem, ignorując efekt, jaki to wywołało, kazał mi, abym go tam zaniósł. Łóżko było przykryte różową kapą (był to lokal wyższej kategorii, jak później stwierdziłem zyskawszy możliwość porównania go z innymi) i dziewczyna ją zdjęła. Położyłem Einhorna na łóżku. Kiedy dziewczyna zaczęła się w kącie rozbierać, kiwnął palcem, abym się schylił ponownie i szepnął: — Weź mój portfel — więc wyjąłem ciężki skórzany portfel i włożyłem do swojej kieszeni. — Pilnuj go — rzekł. Wyraz jego oczu był śmiały, otwarty i zarazem gniewny. Myślę, że nie z mojego powodu, tylko tej pozycji. Twarz miał napiętą, włosy rozsypane na poduszce. Zaczął mówić do dziewczyny pouczającym tonem:—Zdejmij mi buty. — Robiła to, a on przyglądał się z zainteresowaniem. Jego spojrzenie biegło wzdłuż linii całego ciała do dziewczyny w szlafrocisku, pochylonej nad jego stopami, dziewczyny o silnym karku i czerwonych paznokciach, stojącej w filcowych pantoflach przy łóżku. — I jeszcze parę rzeczy musisz wiedzieć — rzekł. — Chodzi o mój grzbiet. Trzeba zacząć powolutku, aż się dobrze ułożę, panienko, krok po kroczku. — Zobaczył mnie przy drzwiach.—Jeszcze tu jesteś? No, idźże. Trzeba ci mówić, co robić? Przyślę po ciebie później.

168

Nie trzeba mi było tego mówić, lecz póki mnie nie odesłał, chętnie tam pozostawałem.

Wróciłem do salonu, gdzie ktoś już na mnie czekał. Reszta dziewcząt wyszła, więc wybór został dokonany za mnie. Jak zawsze wobec obcych, zachowywałem się, jak bym dokładnie wiedział, co robię, a także z przekonania, że w chwili krytycznej najlepiej i najprzystojniej iść siłą rozpędu. Nie broniła mi tego. Jej zadaniem czy też przekleństwem było zachować spokój w tej pierwotnej kwestii, w której nikt inny go nie zachowuje, i górować nad silnymi. Nie była młoda i|Jt§| kobiety dokonały właściwego dla mnie wyboru — i miała dosyć szorstką twarz, ale skłoniła mnie, bym się odnosił do niej z czułością. Kiedy się rozbierała, zobaczyłem frywolne ozdóbki, jakieś koronki czy falbanki, przy jej bieliźnie — owe ozdóbki, które są tak imponująco, wspaniale, głęboko kobiece. Stałem goły i czekałem. Podeszła i objęła mnie. Nawet posadziła mnie na łóżku. Zupełnie jakby chciała mi pokazać, jak z niego korzystać, ponieważ to było jej łóżko. I przycisnęła się do mnie piersiami odchylając ramiona do tyłu, zamknęła oczy i objęła rękami. A więc nie czułem braku dobroci i nie zostałem odepchnięty, kiedy skończyłem. Później zrozumiałem, jakie miałem szczęście, że na nią trafiłem, że starała się nie być wobec mnie oziębła czy drwiąca, że okazała się dla mnie litościwa.

A jednak, kiedy dreszcz przeminął jak piorun, który uderza i zapada w ziemię, wiedziałem, że była to tylko transakcja. Lecz to się tak bardzo nie liczyło. Ani owo łóżko, ani pokój, ani nawet myśl, że kobieta mogła się czuć ubawiona — na ile pozwalały jej inne względy — naszym widokiem, Einhorna i mnie, tego wielkiego sensualisty z przekrwionymi oczyma i nienasyconym sercem wjeżdżającego do lokalu na moim grzbiecie, ale z pozoru spokojnego i wyniosłego. Płacenie nie miało znaczenia. Ani korzystanie z tego, z czego korzystali inni. Takie jest życie miejskie. A zatem rzecz nie miała blasku, jaki powinna mieć, i nie było żadnego epitalamium czułych kochanków...

Musiałem czekać na Einhorna w kuchni i myślałem, że tuż obok każe zadawać sobie gwałt dla własnej przyjemności

ności. Madame wyraźnie nie była z tego zadowolona. Wciąż przychodzili nowi mężczyźni i przygotowywała w kuchni napoje, więc byłem narażony na jej złe spojrzenia, póki nie przyszła znowu ubrana dziewczyna Einhorna mówiąc, abym go zabrał. Madame poszła ze mną po pieniądze i Einhorn zapłacił z finezją i dał napiwki, a kiedy go niosłem przez salon, gdzie moja partnerka siedziała z innym już mężczyzną i paliła papierosa, szepnął mi do ucha: — Nie patrz na nikogo, rozumiesz? — Czy bał się, aby go nie rozpoznano, czy też rozkaz ten po prostu miał mu pomóc zachować opanowanie przy ponownym przejściu przez salon z nim odzianym w ciemny garnitur, przywartym do mojego grzbietu?

— Tylko uważaj jak jasna cholera, gdy będziesz szedł po schodach — powiedział, gdy wyszliśmy. — Głupio zrobiliśmy, że nie wzięliśmy latarki. Teraz brakuje tylko, żebyśmy się wywalili. — I roześmiał się, ironicznie, ale się roześmiał. Lokal okazał jednak troskę o klienta, bo jedna z kurew, ubrana w płaszcz, jak zwykła kobieta, wyszła, aby nam poświecić, póki nie wydostaniemy się na podwórko, gdzie jej podziękowaliśmy, i wszyscy grzecznie powiedzieliśmy sobie dobranoc.

Zawiozłem Einhorna do domu i wniosłem do pokoju, choć sala bilardowa była jeszcze otwarta, a on powiedział: — Nie kładź mnie do łóżka. Idź na swoje przyjęcie. Możesz wziąć samochód, tylko się nie upij i nie jedź jak wariat, o to jedno proszę.

#### Rozdział VIII

Odtąd zaczęliśmy zdązać nowym kursem — przez siebie samych i dla siebie samych wyznaczonym. Nie będę próbował wyjaśniać wszystkich tego przyczyn.

Kiedy spoglądam wstecz, potrafię łatwo rozpoznać siebie z owych czasów w intymnym negliżu, z własnymi i rodzinnymi cechami dłoni i stóp, zieleni i szarości oczu, sprężystości włosów, ale żeby rozpoznać siebie w pełnym stroju lub jako człowieka o osiągnięciach towarzyskich, muszę się przyjrzeć uważniej. Nie wiem, jak to się stało, że zacząłem nagle dużo mówić, dowcipkować, awanturować się i wygłaszać własne poglądy. Kiedy dojrzałem, aby je mieć, wzięły się nie wiedzieć skąd.

Uczelnia miejska, do której obaj z Simonem uczęszczaliśmy, nie była jakimś seminarium kierowanym przez księży, którzy by nam wykładali Arystotelesa, kazuistykę i przygotowywali nas do europejskich matactw, występków i różnych takich rzeczy, prawdziwych i nieprawdziwych, aktualnych i nieaktualnych, niemniej przedstawianych jako prawdziwe i aktualne. Zważywszy, ile świata mieliśmy do nadrobienia — Asurbanipal, Alaryk, Euklides, Metternich, Madison, Blackhawk—jeżeli ktoś nie chciał temu poświęcać całego życia, to jak miał tego dokonać? A studenci byli dziećmi imigrantów ze wszystkich stron, pochodzili z Kuchni Piekieł, Małej Sycylii, Czarnej Dzielnicy, tłumnej Polonii, żydowskich ulic Parku Humboldta, i zostawali przepuszczani przez grube sita programu, ale i wnosili własną mądrość. Wypełniali oni

korytarze fabrycznej długości i olbrzymie sale wykładowe najrozmaitszymi ludzkimi charakterami i bakcylami, by ulec konsolidacji i stać się, taka bowiem była tego myśl przewodnia, Amerykanami. W tej mieszaninie było piękno — w dobrej proporcji — i pryszczata zuchwałość, i twarze ojcobójców, żująca gumę niewinność, zastępy robotnicze i urzędnicze, duńska stabilność, italskie natchnienie, nekany katarem geniusz matematyczny. Były dzieci robotników od łopaty, z woskiem w uszach, seksualnie obiecujące córki biznesmenów — ogromna próbka nieprzebranych zastępów, biblijnych tłumów zrodzonych przez prących na Zachód popychanych okolicznościami rodziców. A także ja, uboczny produkt zetknięcia z człowiekiem w drodze.

Normalnie obaj z Simonem poszlibyśmy po szkole średniej do pracy, gdybyśmy ją mogli dostać, i ta publiczna uczelnia pełna była takich studentów jak my, którzy z powodu bezrobocia dostępowali tego finansowanego przez miasto wprowadzenia do wyższych pojęć, a także po trosze wglądu w dzieła Szekspira i innych wielkich mistrzów obok matematyki i fizyki w zakresie wymaganym od pracowników administracji państwowej. Nie dało się tego w tym przypadku uniknąć. A skoro zamierzano przygotować zbiedniałą młodzież do trudnych funkcji albo po prostu starano się uchronić ją od zła przez zmuszenie do czytania książek, to naturalnie należało oczekiwać, że te masy muszą wyłonić z siebie jednostki, które osiągnęły znakomite rezultaty. Znałem jednego chudego, chorowitego Meksykanina, który nie mógł sobie pozwolić na kupno skarpetek, był cały w ciapki, w plamy, na ciele i ubraniu, a potrafił rozwiązać na tablicy każde równanie. Znałem też imigrankie popychadła, które były mistrzami w grece. Byli diabelnie zdolni fizycy, historycy wychowani pod straganami i wielu, wielu zawziętych ubogich chłopców gotowych głodować i ciężko harować osiem lat, aby zostać lekarzami, inżynierami, uczonymi i specjalistami. Ja sam nie miałem w sobie do tego zapału i nawet nic przyszło mi do głowy, że powinienem mieć ów zapal lub niepokoić się o przyszły zawód. Nie brałem sobie tego wszystkiego do serca. Niemniej nieźle radziłem sobie z francuskim i historią.

172

W takich rzeczach jak botanika pozostawałem w tyle, bo moje rysunki były krzywe i pomazane. Mimo lat pracy w biurze Einhorna nie nauczyłem się schludności. A ponadto przez pięć popołudni tygodniowo i całą sobotę pracowałem.

Obecnie już nie u Einhorna, lecz w stoisku z damskim obuwiem, w suterenie śródmiejskiego sklepu, gdzie Simon sprzedawał na górze męskie ubrania. Jego sytuacja się polepszyła i podniecała go ta zmiana. Sklep był elegancki, a kierownictwo żądało od pracowników, aby się dobrze ubierali. Simon jednak przekroczył wymagania stawiane sprzedawcom i był nie tyle starannie ubrany, co wręcz wytworny, w dwurzędowym garniturze w paski, z centymetrem na szyi. Ledwie go tam poznawałem wśród luster, dywanów i wieszaków na ubrania osiem pięter nad ulicą. Był wielki, szybki i zajęty, masywny i czerwony na twarzy.

Ja tkwiłem w dziale wyprzedaży, pod poziomem chodnika, skąd mogłem widzieć i słyszeć kupujących, jak przechodzili po wprawionych w cement krążkach zielonego szkła, i poły ich płaszczy przesuwwały się niby cienie nad tymi soczewkami, lecz ciężar ich ciał był bardzo odczuwalny, szkło trzeszczało, a stopy podążały w rozmaite strony. Moja piwnica była przeznaczona dla klientów uboższych lub odludków, dziewcząt, które chcą uzupełnić ubiór, dobrać kapelusze i akcesoria, kobiet mających po kilka córek, którym muszą tego samego dnia kupić pantofle. Towary leżały posegregowane według rozmiarów na stołach, ponadto znajdowały się tam całe tekturowe ściany pudełek z butami i stołki do ich mierzenia ustawione w krąg pod miodowym plastrem chodnika.

Po kilku tygodniach terminowania szef działu zakupów przeniósł mnie na główne piętro. Z początku tylko do pomocy, żeby donosić towar sprzedawcom lub odstawiać pudełka na półki. I wtedy sam stałem się elegancikiem i szef musiał mi tylko powiedzieć, żebym sobie skrócił włosy. Był to zatroskany facet, chory na żołądek. Od golenia się dwa razy dziennie skóra mu wydelikatniała i w sobotnie ranki, gdy przed otwarciem gromadził wszystkich sprzedawców, aby palnąć do nich mowę,

w kącikach jego ust widniała krew. Udawał surowszego, niż był, i podejrzewam, że po prostu zupełnie się nie nadawał do kierowania tak szykownym przedsiębiorstwem. Tym salonem, z kinkietami na wzór francuski o kształcie pochodni w wystających ze ścian rękach, z fałdzistymi draperiami, chińskimi meblami — pełnym takich zakątków, co to są stonowane, osłonięte przed zewnętrzną aurą, nawet przed atmosferą rue de Rivoli, pochłaniającymi dźwięki wschodnimi dywanami i kotarami, które skłaniają do mówienia szeptem i zachowywania etykiety. Trudna do pogodzenia różnica pomiędzy wnętrzem a tym, co na zewnątrz — tuż bowiem za progiem takiego salonu panowało straszliwe napięcie

I antagonistyczna energia, od której żądano opanowania, a ona opanować się nie mogła, próby zaś jej okiełzania wywoływały troskę i dreszcze. Było to coś, co mogło wybuchnąć wściekłymi, krwawymi gordonowskimi lub czartystowskimi buntami i wystrzelić ogniem jak płonący stos skrzynek na jaja. Nieznana, nadmierna, swobodna siła wypływająca w chłodny, wilgotny, poczerniały dzień chicagowski z tego, co zaplanowano jako spokojne, a jednak niezdolne do pozostania w spokoju.

Finansowo staliśmy obaj z Simonem pierwszorzędnie. On zarabiał piętnaście dolarów tygodniowo nie licząc prowizji, a ja wyciągałem trzysta pięćdziesiąt. Nie przejęliśmy się zatem, że utraciliśmy prawo do zapomogi z opieki społecznej. Mama, prawie zupełnie ślepa, nie mogła już prowadzić domu. Simon najął więc mulatkę, Molly Simms, silną, szczupłą kobietę lat trzydziestu pięciu, która sypiała w kuchni — na łóżku George'a — i szeptała lub pomrukiwała do nas, kiedy wracaliśmy późno do domu. Nigdy nie nabraliśmy zwyczaju wchodzenia frontowymi drzwiami, które za czasów babci były dla nas zakazane.

— Ona ma na myśli ciebie, figlarzu — rzekł Simon.

— Gadaj zdrow, to od ciebie nie może oderwać wzroku.

W dzień Nowego Roku nie przyszła i sam musiałem wszystko robić, i przygotowywać posiłki. Simona też nie było. Wyszedł poprzedniego dnia na zabawę sylwestrową w swoim najlepszym ubraniu: melonik, szalik w groszki, 174

getry nad dwubarwnymi półbutami ze świńskiej skóry. Wrócił dopiero wczesnym wieczorem następnego dnia przez nagle spiący, iskrzący się śnieg. Był brudny, nachmurzony, z przekrwionymi oczyma i zadrapaniami widocznymi pod blond szczecinią na nie ogolonej twarzy. Odsłonił wówczas w pełni swoją gwałtowną, szumną naturę pierwszy raz, kiedy tak wszedł ze śnieżycy na tylny ganek otupując śnieg z butów o mur i omiatając je miotłą, a następnie ukazując twarz, podrapaną, jakby go wleczono za włosy przez jarzyny, i kładąc swój melonik, z przebitą w jednym miejscu dziurką, na krześle. Szczęście, że mama nie mogła go zobaczyć, bo domyślała się, że stało się coś złego, i zapytała o to swoim wysokim jęczącym głosem.

— Ale skąd, nic się nie stało, mamó—odpowiedzieliśmy zgodnie.

Mówiąc gwarą, aby nie mogła zrozumieć, opowiedział mi jakieś banialuki o bójce na peronie kolei nadziemnej przy Weil Street z paroma pijanymi awanturnikami, srogimi Irlandczykami, z których jeden szarpnąwszy w dół kołnierz jego płaszcza skrępował mu ręce, a drugi pchnął go twarzą w druty nad poręczą i zrzucił ze schodów. Nie przekonało mnie to jednak. Wcale nie tłumaczyło, gdzie spędził całą noc i dzień.

— Molly Simms nie przyszła, chociaż mówiła, że przyjdzie — powiedziałem.

Nie próbował nawet przeczyść, że był z nią, tylko siedział ciężko w przemoczonym, ubrudzonym, najlepszym ubraniu, potwornie zmęczony. Kazał mi napalić pod bojlerem, by zagrzać wodę na kąpiel, a kiedy zdjął koszulę, zobaczyłem jeszcze więcej zadrapań na jego plecach. Nie troszczył się o to, co sobie pomyślałem. I wtedy, ani chwając się, ani uskarżając, przyznał się mi, że wczesnym rankiem poszedł do pokoju Molly Simms. To prawda, że się bił z dwoma Irlandczykami — był pijany po zabawie sylwestrowej, ale to Molly go podrapała. Co więcej, nie chciała go wypuścić wcześniej jak wieczorem, a wtedy zablądził w śnieżycy aż do Dzielnicy Czarnych. Unosząc koldrę, aby się położyć, powiedział mi, że będziemy musieli się pozbyć Molly Simms.

— Skąd to „my”?

Bo w przeciwnym razie zechce tu rządzić, a ta kobieta to tygrysyca.

Byliśmy w naszym starym pokoiku, gdzie sztywne tapety naklejone wieloma warstwami wybrzuszały się na ścianach, a na szyby sypał suchy śnieg i osuwał się na parapet.

— Będzie chciała zrobić z tego nie wiadomo co. Już o tym mówi.

— Co?

— Że mnie kocha — odparł z uśmiechem, ale poważnie. — To zwariowana dziwka.

— Co ty mówisz? Ona ma pod czterdziestkę.

— A co to ma do rzeczy? Jest kobietą. I ja u niej byłem. Nie pytałem, ile ma lat, gdy na nią włąziłem.

Odprawił ją jeszcze w tym tygodniu. Widziałem, jak przy śniadaniu przyglądała się jego podrapanej twarzy, szczupła, w typie cygańskim, o bardzo żywej twarzy. Umiała się znaleźć, kiedy jej na tym zależało, ale nie dbała o nic, jeśli jej nie zależało, i na jej twarzy widniał żywy, zielonkawooki uśmiech. Simon nie zgłupiał dla niej — zdecydował, że jej obecność może się stać uciążliwa, i ona od razu się połapała, iż postanowił ją odprawić. Była kobietą doświadczoną, której los nie pieścił, rzucając z miasta do miasta, Waszyngton, Brooklyn, Detroit i kto wie, ile jeszcze innych po drodze, obdarzając tutaj złotym zębem, ówdzie cięciem brzytwy przez policzek. Czują się niezależna i nigdy nic prosiła o współczucie, nikt też go jej nie ofiarowywał. Simon zwolnił ją i najął Sablonkę, starą Polkę, która nas nie lubiła, powolną, mrukliwą, tęgą, pobożną wdowę o pospolitej twarzy, w dodatku złą kucharkę. Ale obaj rzadko bywaliśmy teraz w domu. W kilka tygodni po tym, jak u nas nastąpiła, przestałem nawet sypiać w domu, porzuciwszy szkołę i przeniósłszy się do Evanston, gdzie pracowałem i mieszkalem. Zajmowałem się przez pewien czas objeżdżaniem osobliwego okręgu, przedmieść milionerów — Highland Park, Kenilworth, Winnetka — gdzie jako wyspecjalizowany komiwojażer sprzedawałem przedmioty zbytku i miałem do czynienia z arystokratami. Załatwił mi tę pracę szef działu zakupów, bo znajomy z Evanston poprosił go o zarekomendowanie kogoś. Przedstawił mnie, kiedy pan Renling, 176 facet od handlu artykułami sportowymi w Evanston, zauważył mnie przechodzącego.

- Skąd on jest? — spytał ten oziębły, cierpki człowiek o obojętnym spojrzeniu, długich nogach i eleganckim wyglądzie. Przypominał Szkota.

— Z Dzielnicy Północno-Zachodniej — odparł szef.

Jego brat pracuje na górze. Sprytni chłopaki.

— Jehudlm? — spytał pan Renling wciąż patrząc obojętnie na szefa.

- Żyd? — spytał mnie szef. Dobrze znał odpowiedź, tylko po prostu przekazał dalej pytanie.

— Tak.

— Ach — rzekł Renling, tym razem do mnie. — Tam na Północnym Wybrzeżu nie lubi się Żydów. Ale w końcu — dodał z oziębłym uśmiechem — kogo oni w ogóle lubią? Prawie nikogo. Tak czy owak, pewnie się nie poznają. — I zwracając się znów do mego szefa powiedział: — Sądziś, że uda się go wyszlifować?

— Tutaj radzi sobie całkiem dobrze.

— Północne Wybrzeże stawia nieco wyższe wymagania.

Ogłędziny, którym następnie mnie poddano, były zapewne takie same, jakie przechodzili domowi niewolnicy pochodzący z ubogich chat albo dziewczęta przyprawdane przez matki na naukę do jakiejś starej cocotte. Renling kazał mi zdjąć marynarkę, żeby obejrzeć moje ramiona i tyłek, i już chciałem mu powiedzieć, co ma ze swoją pracą zrobić, kiedy oznajmił, że jestem zbudowany w sam raz do jego celów, co spowodowało, iż moja próżność przeważyła szacunek do samego siebie. Następnie rzekł do mnie: — Chcę cię zatrudnić w sklepie siodlarskim: przybory jeździeckie, buty do konnej jazdy, różne wyroby rymarskie i galanteryjne. Będę płacił dwadzieścia dolarów tygodniowo w okresie próbnym, a kiedy się przyuczysz, dwadzieścia pięć plus prowizja.

Naturalnie przyjąłem tę pracę. Miałem zarabiać więcej od Simona.

Przeniosłem się na studenckie poddasze w Evanston, gdzie wkrótce moją najbardziej wyróżniającą się cechą

stała się garderoba. Być może powinienem powiedzieć: liberia, ponieważ państwo Renlingowie pilnie dbali o to, abym był odpowiednio odziany, czyniąc ze mnie istny stojak na ubrania przez płacenie mi zaliczek na tweedy, flanele, kraty, fulary, buty sportowe i płócienne w stylu meksykańskim, koszule i chusteczki — w odpowiednim guście, by móc usługiwać klienteli o wyraźnie brytyjskich upodobaniach. Kiedy już wysondowałem ten dom jak należy, przestał mnie zachwycać, ale początkowo byłem zanadto podniecony i rozentuzjasmowany, aby móc go ujrzeć we właściwym świetle. Świetnie ubrany pracowałem za szybą wystawową z najwspanialszego szkła tafetowego, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, przy zadrzewionej ulicy, w modnym sklepie z belkowanym sufitem, trzy stopnie poniżej głównej części sklepu Renlinga ze sprzętem wędkarskim, myśliwskim, campingowym, golfowym i tenisowym, z łodziami i silnikami przyczepnymi. Rozumiecie teraz, co miałem na myśli mówiąc, iż sam się dziwiłem swoim osiągnięciom towarzyskim, bo nagle stałem się pewnym siebie i wytrawnym pracownikiem tej branży, potrafiłem rozmawiać stanowczo i ze znajomością rzeczy z bogatymi dziewczętami, członkami klubów podmiejskich, ze studentami uniwersytetu, jedną ręką pokazując im różne przedmioty, a w drugiej trzymając papierosa w długiej cygarniczce. Toteż Renling musiał przyznać, iż pokonałem przewidywane braki. Brałem też lekcje konnej jazdy — nie za wiele, bo były drogie. Renling nie chciał, abym się stał wytrawnym jeźdźcem.

— Po co? — mówił. — Ja sprzedaję te wszystkie wymyślne strzelby, a nigdy w życiu nie strzeliłem do żadnego zwierzaka.

Ale pani Renling uparła się, że zrobi ze mnie jeźdźca i w ogóle wyszkoli mnie i udoskonali pod każdym względem. Kazała mi się zapisać na wieczorne kursy na Uniwersytecie Northwestern. Z czterech pracowników sklepu — byłem wśród nich najmłodszy — dwaj mieli ukończone uniwersytety. — A ty — dowodziła — z twoją aparycją i osobowością gdybyś miał stopień naukowy... — Tak przedstawiała mi rezultat, jakbym go miał na dłoni.

178

Okropnie grała na mojej próżności. — Uczynię cię doskonałym — mówiła — bez reszty doskonałym.

Pani Renling miała blisko pięćdziesiąt pięć lat, włosy jasne, nieco tylko siwawe, była niska, o szyi bielszej od twarzy. Miała drobniutkie, czerwone piegi, a oczy jasne, lecz nie łagodne. Mówiła z obcym akcentem. Pochodziła z Luksemburga i wielce się chlubiła, iż miała związki z ludźmi, których nazwiska figurowały w Almanachu Gotajskim tej części świata. Czasami zapewniała mnie: — Wszystko to bzdura, jestem demokratką, obywatelką tego kraju. Głosowałam na Coxa, głosowałam na Al Smitha i na Roosevelta. Nie obchodzą mnie arystokraci. Przyjeżdżali polować w majątku mojego ojca. Królowa Carlotta przyjeżdżała do kaplicy niedaleko nas i nigdy nie wybaczyła Francuzom Napoleona Trzeciego. Chodziłam do szkoły w Brukseli, kiedy umarła. — Prowadziła korespondencję z damami wysokiego rodu w różnych miejscowościach. Wymieniała przepisy kulinarne z jedną Niemką, która mieszkała w Doorn i miała coś wspólnego z domem kaisera. — Byłam przed kilku laty w Europie i odwiedziłam tę baronową. Znam ją od dawna. Tacy ludzie oczywiście nigdy cię w pełni nie zaakceptują. Powiedziłam jej, że tak naprawdę jestem Amerykanką. Przywiozłam jej trochę mego marynowanego arbuza. Tam czegoś takiego nie mają, Augie. Nauczyła mnie przyrządzać cynaderki cielece z koniakiem. To jedna ze wspanialszych potraw świata. W Nowym Jorku jest restauracja, gdzie ją podają. Trzeba tam sobie rezerwować miejsca, nawet teraz, choć jest kryzys. Sprzedała ten przepis szefowi kuchni za pięćset dolarów. Ja bym tego nigdy nie zrobiła. Chętnie gotuję dla przyjaciół, ale uważam, że taka sprzedaż starych sekretów rodzinnych jest czymś niegodnym.

Rzeczywiście umiała gotować i znała wszystkie tajniki kuchenne. Znana była powszechnie z obiadów, które wydawała. Lub tych, które gotowała gdziekolwiek, gdy przyszło jej do głowy uraczyć przyjaciół. Do kręgu jej przyjaciół należała żona dyrektora hotelu w gmachu Symingtona, jubilerzy, państwo Vletold, mający bardzo zamożną klientelę — najwyborniejsza śmietanka i naj- przedniejsza legumina towarzyska. Należała też do niego

179

wdowa po człowieku zamieszany w skandal Teapot Dome, która zajmowała się hodowlą dogów dalmatyńskich. Mnóstwo tego rodzaju ludzi. Dla nowych przyjaciół, którzy nie próbowali jeszcze jej cynaderek, przygotowywała to danie u siebie, a potem wykańczała przy ich stole. Była zagorzałą żywicielką i często gotowała nawet dla nas, ekspedientów. Cierpiała, kiedy chodziliśmy do restauracji, gdzie wszystko, jak mówiła swoim robionym na cudzoziemski głosem, którego nic nie mogło uciszyć, było takie liche i kleiste.

Tak to było z panią Renling — nie dawała się powstrzymać ani pohamować w swoim bladoognistym skupieniu. Gdy przyszła jej na to ochota, gotowała ludziom, karmiła ich, sztorcowała, pouczała, grała z nimi w mah-jonga, i nie było na to żadnej rady, ponieważ miała w sobie więcej siły niż ktokolwiek inny z otoczenia — przy tych swoich jasnych oczach i bladych, lisio zabarwionych piegach prześwitujących spod pudru i na grzbietach dłoni o długich i twardych, promieniście rozchodzących się ścięgnach. Powiedziała, że mam studiować reklamę na wydziale dziennikarskim na uniwersytecie, wniosła za mnie opłatę, więc studiowałem. Sama też wybrała dla mnie przedmioty, które należało zaliczyć do dyplomu, podkreślając, że człowiek kulturalny może mieć w Ameryce wszystko, czego zapragnie, odbija bowiem od tła jak świeca w kopalni węgla.

Wiodłem pracowity żywot w tym nowym wcieleniu, z którego byłem w owym czasie niebывale dumny. Wieczory schodziły mi na wykładach, na studiowaniu w bibliotece historii albo chytrych książek o tym, jak wzbudzać niezadowolenie u konsumenta, albo na brydżowych czy mah-jongowych przyjęciach pani Renling w jej wyścielanym jedwabiami salonie na dachu, gdy ni to lokaj, ni to kuzyn, roznosiłem słodczyce i otwierałem butelki z piwem imbirowym w spiżarni, z nieodłącznym papierosem w długiej cygarnicze w ustach, zręczny; usłużny, leciuteńko żartobliwy, z lśniącymi pomadą włosami, kwiatem w butonierce, pachnący wodą wrzosową, uczyłem się przyzwoitego zachowania i etykiety, póki nie odkryłem, że wiele z tego polega na improwizacji i ludzie patrzą właśnie na mnie, by wiedzieć, jaki obrać ton.

180

Istnym kamieniem probierczym była w tej materii pani Renling, której nie dałoby się odebrać przewodnictwa. Jej mąż nie dbał o nic i grał w karty czy też kości z prawdziwym brakiem zaangażowania i namiętności. Niewiele mówił, natomiast pani Renling wypowiadała własne zdania nie słuchając cudzych. Te cudze, dotyczące służby, bezrobocia albo rządu, były potworne. Renling wiedział o tym, ale się nie przejmował. To byli jego przyjaciele z kręgu ludzi interesu. Człowiek interesu musi mieć przyjaciół, toteż chodził do nich i przyjmował ich u siebie, lecz nigdy nikogo się nie czepiał ani nie dawał powodu, aby się jego czepiano.

Cała jego osobowość była ściśle podporządkowana zawodowi. Czasami pozwalał sobie na popisy umiejętności wiązania węzłów na kawałku liny albo na śpiewki w rodzaju: „Więc to, więc to jest Wenecja, A gdzie zaparkujemy samochód?” Górna warga znacznie wystawała mu nad dolną, nadając ponury i cierpiętniczy wygląd. Był oziębłym, schludnym facetem, jak wielu ludzi, którzy muszą służyć innym, lecz zachowują jakąś cząstkę na własny użytek — jak starsi kelnerzy lub szefowie chłopców na posyłki — indywidualia zamieszane w osobliwą grę życiową, w której z góry muszą wyrzec się wygranej, a jednak potem podejmują coś w rodzaju oddolnej walki. Był zagorzałym kibicem bokserskim i brał mnie od czasu do czasu na mecze na ringu koło cmentarza Montrose. Mówiąc około dziesiątej wieczorem na zebraniu towarzyskim: — Mamy z Augie'em na dzisiaj bilety, które byłoby wstyd całkowicie zmarnować. Jeszcze możemy zdażyć na główną walkę, jeżeli zaraz wyjdziemy. — Ponieważ zaś istnieją rzeczy, które mężczyźni uznają za konieczne, pani Renling odpowiadała: — Nie krępujcie się.

Podczas tych walk Renling nie wrzeszczał ani nie awanturował się, tylko pożerał widowisko oczyma. Pociągało go wszystko, co wymaga wytrzymałości — sześciodniowe wyścigi kolarskie, maratony taneczne, maratony piesze, siedzenia na słupie, loty wytrzymałościowe i dookoła świata, długotrwałe głodówki Gandhiego i strajkujących więźniów, bicie rekordów przebywania

181



pod ziemią, kiedy człowiek leży zasypany, a oddycha i jest karmiony za pomocą pionowej studzienki — wszelkie cuda wytrzymałości i wysiłku, jakby bezkonkurencyjne w porównaniu z tym, co znoszą ścianki cylindrów lub innych części maszyn, które przeciwstawiają się ciśnieniu pary, gazów i innych nieludzkich nacisków. Dla obejrzenia takich wyczynów gotów był jechać nie wiem jak daleko swoim potężnym Packardem, a jadąc gnał na łeb na szyję. Co wcale nie sprawiało wrażenia szybkiej jazdy. Bo siedział statecznie w swoim zielonym skórzanym fotelu, z nieruchomymi, wysoko podciągniętymi kolanami obok jodełkowej cebuli drążka zmiany biegów, trzymając ręce pokryte włoskami koloru piaskowego spokojnie na kierownicy, gdy hiperładka praca silnika wzbudzała podejrzenia, że zatrzymana na stu trzydziestu kilometrach na godzinę strzałka szybkościomierza nie pokazuje prawdziwej prędkości. Póki się nie zauważyło, że długi na milę rząd drzew przemyka niczym cień cała taśma mierniczej, że ptaki przypominają muchy, a owce ptaki i jak szybko rozpryskują się na przedniej szybie owady, żółtą, niebieską i czerwoną krwią. Lubił zabierać mnie z sobą. Jednakże jego pojęcie o towarzystwie było co najmniej kłopotliwe, skoro bowiem wpadaliśmy w różne miejsca i wypadaliśmy jak fryga, brakowało ciepła rozmowy, która mogłaby zneutralizować chłód pędu ignorującego widoki, świst anteny radiowej i szczenie dochodzące zza złotej siatki umieszczonego w desce rozdzielczej głośnika. Głównym jednakże tematem jego z rzadka padających wypowiedzi była sprawność samochodu oraz zużycie oleju i benzyny. Czasami zatrzymywaliśmy się, by zjeść pieczonego kurczaka w jakimś porośłym sosnami miejscu, na ciepłym piasku, niby dwaj przybysze z obcej planety, i sączyliśmy piwo w swoich nieskazitelnych ubraniach, sportowych kratach lub brązowych tweedach od Harrisa, z wziętymi ze sklepu lornetkami w futerałach — posępny, zamożny dzentelmen i jego ozłocony siostrzeniec lub młody snobistyczny kuzynek, bo takie zapewne sprawialiśmy wrażenie. Ja byłem zbyt przejęty ubiorem, który miałem na sobie, i zaprzątnięty myślą o papuziozielonej tyrolskiej kitce przy kapeluszu i wspaniałości angielskich butów, aby 182 móc w owym czasie widzieć Renlinga tak, jak widziałem go później. Był to pies na wszelkie przeciwności. Pędził po drogach. Uwielbiał wyczyny i czczył przejawy wytrzymałości, chwycił zębami wszelkie przeszkody, trudności i zawady, miażdżył i połykał.

Zdarzało się, że mówił coś o sobie, w formie krótkiej uwagi, jak na przykład przejeżdżając kiedyś pod wiaduktem North Shore: — Pracowałem przy jego budowie. Byłem wtedy niewiele starszy od ciebie, wrzucałem cement do betoniarki. To musiało być w roku otwarcia Kanału Panamskiego. Myślałem, że mi ta praca pozrywa mięśnie brzucha. Ale dolar i ćwierć, które mi płacili, to duża forsa w tamtych czasach.

Oto jak mnie wyrzywał, abym mu towarzyszył. Prawdopodobnie bawiło go, że przymierzam się do tego rodzaju życia.

Był okres, kiedy marzyłem głównie o posiadaniu wieczorowych garniturów i o bywaniu na przyjęciach oraz poświęcałem wiele myśli temu, jak dostać się do Niższej Izby Handlowej. Nie dlatego, iż zamierzałem otworzyć jakiś interes. Radziłem sobie w sklepie wcale nieźle, ale brakowało mi owej szerszej inwencji w sprawach pieniężnych. Moim motorem był zapal towarzyski, elegancja, ubiory i konie. Sposób odsłonięcia obcistych skarpet w argilski rzucik przy założeniu nogi na nogę, dopasowanych do muszki przy princetońskim kołnierzyku, chwycił mnie za serce z ogromną mocą i łaknieniem. Porywały mnie te sprawy.

Przez pewien czas chodziłem z kelnerką z restauracji w Gmachu Symingtona, Willą Steiner. Zabierałem ją na tańce do Merry Garden, a wieczorami chodziliśmy na plażę. Dziewczyna ta, w swojej serdeczności, przymykała oczy na moją lalusiowatość i paradność. Sama też bynajmniej nie była skromna i nie robiła żadnych ceregieli z tym, o co nam obojgu szło. Poza tym miała w swym rodzinnym mieście ukochanego i mówiła, że chce wyjść za niego — bez ukrytej myśli, aby wzbudzić we mnie zazdrość, jestem tego całkowicie pewien. Miała mi bowiem wiele do zarzucenia, i to zapewne nie bez racji, a mianowicie moją nadętość i zarozumiałość, a także dandysową dbałość o stroje. Pani Renling, poinformowana o moim

romansie, wsiadła na mnie za to, że się zadaje z tą dziewczyną. Sam Einhorn nie wiedział więcej o dziejących się wokół niego sprawach niż ona o wszystkim na obszarze jej działania. — Augie, ty mnie zdumiewasz — powiedziała. — Ta dziewczyna nie jest nawet ładna. Ma nos jak Indianka — a ja właśnie szczególnie sobie upodobałem ten śliczny nosek Willi Steiner, nie miałem jednak odwagi wystąpić w jego obronie — i jest piegowata. Ja też mam piegi, ale moje są inne, a poza tym mówię ci o tym tylko jako osoba starsza. Ta dziewczyna jest po prostu drobną prostytutką, w dodatku nieuczciwą, bo uczciwa prostytutka pragnie jedynie pieniędzy. I jeśli musisz to robić, to przyjdź do mnie i powiedz... nie wstydz się... dam ci pieniądze, żebyś mógł sobie pójść na Sheridan Road, gdzie są takie specjalne miejsca. — Jeszcze jeden przykład wtykania mi pieniędzy, aby mnie uchronić od kłopotów. Jak w przypadku Einhorna, gdy zmywał mi głowę za udział w rabunku. — Augie, czy ty nie widzisz, że ta mała ladacznica chce, żebyś jej zrobił dziecko i musiał się z nią ożenić? Jakbyś teraz tylko tego potrzebował, mieć z nią dziecko, u progu kariery. Sądziłam, że kto jak kto, ale t y powinieneś się orientować, o co idzie.

Czasami uważałem, że to bardzo mądre z jej strony i ma całkowite prawo tak mówić, a kiedy indziej, że straszliwie głupie. Zupełnie jakby podpatrywała z tą swoją na- krapianą, zbolaną, wścibską twarzą zza franki i uparła się przyciągać każdego, kogo chciała, by coś mu wpajać, w czymś podtrzymywać. Tego rodzaju pouczenia są wygłaszane tępym złotym młodzieńcom przez ich protektorki, żony generałów i mężów stanu we wszystkich księstwach, dzielnicach willowych i stolicach świata.

— Ależ pani nic o niej nie wie — zaproponowałem niezdarne. — Willa wcale nie... — urwałem ujrawszy pogardę w jej twarzy.

— Mój drogi chłopcze, mówisz jak przygłup. Chodź z nią dalej, jeśli chcesz. Nie jestem twoją matką. I zobaczysz, co będzie — powiedziała teatralnym głosem — kiedy cię omota. Czy myślisz, że jedyna rzecz, jakiej ona pragnie od życia, to podawać do stołów i harować na własne utrzymanie, abyś nie musiał nic robić, tylko się nią cieszyć? Ty nie wiesz nic o dziewczynach. Dziewczyny

184

chcą się wydać za męż. A nie żyjemy w dawnych skromnych czasach, gdy tylko sędziały na tym czekając, aż się ktoś ulituje. — Mówiła ze wstrętem, z płonąącym wstrętem.

Gdy pani Renling kazała mi się zawieźć do Benton Harbour, gdzie przechodziła kurację biorąc kąpiele na artretyzm, nie przyszło mi do głowy, że chce mnie rozdzielić z Willą. Powiedziała, iż jest nie do pomyślenia, aby jechała do Michigan sama, mam więc ją wozić i dotrzymywać jej towarzystwa w hotelu. Dopiero później wszystko zrozumiałem.

W Benton Harbour bardzo się zmieniło od czasu, gdy byłem tam ostatni raz, ze swetrem przewiązanym na szyi rękawami i z obolałymi od marszu nogami, podczas powrotnej wędrówki z Muskegon z Szajbusem i Nagelem Brudne Pazury. Teraz zatrzymaliśmy się w St. Joe, tuż nad jeziorem Michigan, w hotelu Merritt, nad samym brzegiem, w głębokim, świeżym zapachu bezmiaru wód, wśród lśniącej różowości ścian pokoi. Hotel był ogromny, zbudowany z cegły, lecz wyposażony na wzór starych pensjonatów w Saratoga Springs, pełen zieleni i wyplatanych mebli, z frędzlami przy kotarach, jadłospisami w języku francuskim, białymi chodnikami w hallu i sutą podściółką pieniędzy — limuzynami na płukanym żwirze podjazdu, obfitością kwiatów ponadnaturalnej wielkości i trójwarstwową darnią, na której bujnie rosła trawa. Wszędzie indziej, w lipcowym skwarze, rosła dość skąpo.

Długie godziny kąpieli miałem wyłącznie dla siebie i poświęcałem je na badanie okolicy. Były to w przeważnej mierze sady, a uprawiali je Niemcy, którzy nie różnili się od innych rolników, ale ich kobiety, zwłaszcza starsze, chodziły w czepkach i boso, w długich sukniach, pod ogromnymi dębami rosnącymi na podwórkach. Gałęzie brzoskwiń lśniły strużkami żywicy, a liście miały mleczne zabarwienie od pestycydów. Na drogach widywało się też jadących rowerami i w ciężarowych Fordach brodatych i długowłosych Izraelitów Domu Dawidowego, z gardzącej mięsem sekty spokojnych, solidnych, pobożnych ludzi, którzy mieli własną ogromną posiadłość czy księ-

185

—i ^igijLig prK» Mó\*i o i An&apddoie z rwraą z&ajooóoą racczr jak o japdł czy apczsżr i r \_ sclóibkoeenki  
koncern jako wtaśddde na- jgrirów zaeodacfc- zdrojomb i razk^fea) psrkzi raz- n^tompw w lidkij bawarsiang  
cktfinc z ^^^^^jiurą kc^L drcz>"cą baseballową oaz orkjesua jazzową, ;: pytym\*. :urni- óansógów w  
pawio-  
de óoaoah aż ca szosę U^śdcie z ćwiessa " " jfiAi  
^flzaeara

|rsz> parną rtz—g aa tance i 20 r® a&ujimydi. a3e okazało ae\_ zc ko^nair bjiy 1-3-3  
PÓZZBS jeżdzedem g^ssraai cm ----- ps-r  
2 aśe raogśa ziorr. •■'eć po co, Nae rozzzsiaia 12Ż-  
sote possaćywanae wćsaż jesz2fzk>- ^ 5pietoc£ :oec boćynkksi sąć z czasów  
oooo^, .-y-^rą-- sśę odswafcj zaraz po obfers ■ zkjaoEY-c z BsJćśałów, ją I kzy. Pzzaaacy-  
Zichj^i jsśrszcz trainvaj pobcsiając Ba %r> P^3 w arcoę pcyłaarr i po pczssłod: lassSB sad ie te za^ose  
srwosr i baszśśase w ssora

pLa^)^ taż wazjBaiY. pncrr^oro, \$\*iergott\*ą -szawć Za-baaraksc ze so&ą irt\*\*?\*^ ^ zbyt wieSe :=La» m  
sw\$da kar^ćń pan od sóora Ławki  
z rcaiowaooęo ca csaśc żelaza były ćośc coszene, ^ trzśc U saweł czterech szaraszków ca akia  
ćrmra\*^ w ^niSńea b&gsokomatyni cgppiSra. klóre ćzśa- aio ożywco i pocrasc^aco ca icfla\*origzvdk kosy i  
iKiv.uk' kwKoy. za to razfesHWŚaśo krew 2 zaa^aeaa  
iBBfsa zyw>:3 śialOB. OAyaim to gętte ?az>w- we powaesrze 1 pczjjzaaą aoaolfczt jak ś>^aiczar» zyc. z  
roczki ty± wywotagacy± peagggg koc i śagodEr\* ból wznaszczŁ. S22 pozi^ac) cziowtia" spoczywać ««9>  
sfKcyficzayzi poi gsicagi, |be pezcćaoKa s\*q ■ Tiiaij EStej- tylko w aiq i Tozsaakomęc pnawtac gnak; jak  
pierwszy czśowie\*, ponfi^cy poza Anęu^ni kaowaiiaiDL, w\*-  
B2«et ód wiasaydi Bsmtfkem, kbbtjda waga sujewę w domem śmeotyczst\*. rzęćm wag aóp\_T paków , i bóa  
są pozbniooc cocy. Tak saoK>|»  
tt

1 osp włosów łnc pafaiń śe wymnm^ mk^jft wjśfmu. na swg  
Paai Rofi^ ds łbSa taro jadać podków, tzs^t flarafań Mmairm jeść razeza z są, w pokojo. Co ranka piła  
herbatę bez eskiu. z mttiera i źpćiśk kiŁa  
kawafł^w cwibaka. Ja jgaćśśa pelay zesaw śaaćaza^  
wy, po doicą poiowę niesa. od soka grapcfrwsowe^o óo pMWBgH z ryŻŁ b gflfta przy ota arr\* s ofrwńr^ w  
powiewie zoad \*oćy, kiócy porsszał —j- ^ w kropki Pas Re&snz zś faedząc ca ióžks i bc przestając mówić  
zdejmowała z szyi prziroarr z gazy, w klóęg spała, i zaczynała scarować tsazz pirsasś i kreasana u także  
wydosbrwać brwi Zazs>czq gśów- s>ib yr^Tfrń rozmowy bfS mm goicie. zoAawiała ca ska mcisej saki gćy tak  
w spokoje seczesaefD racka dokoc^wała zDęzoae pczee^ada swoyg twzy. Zapewae aż go Baera pozostała  
dobrze wypiesegcowacą z zapalrrt i}pcći^ac wsrysdóe cymSoomzae oóo- wiązki kióce zaczdy sąę kszcz^iować  
jeszcze pszed Fkaa- a sie tirtni7)i) sawet z Bcczśsd T. — to, co pKzeptsfwał i czego pczesrze^i wieic? i^lizonrie  
ocaz ćasn iónydi dwmów dk ossagaćća dorirmjnśc, a więc jaki wjraz ptz)tcać w oczri: jat np  
dcćr^y cęaz powagi w rysacŻŁ Aie ójszą wóćaśo oUkze^ć. Scotb&c te wszysćbe zaixp. v jaffioka kudostfo  
apanasezoa. wśród łaywifgo łaziwaiM 7 lala. aśe za^a aę ob^ć bez razfeabo- waaia towaizjiSkicń 2 ptffuas)  
peeae^i z as-  
tyęaóą.

— 2amżyl» to stasze ssaiaieńfsp po zsoyig icwg ręce aa pczjrjęca a pańszwa Boaoo wczoraj ai 1 mu ib,  
a>ra m^TTJ iwrtrmtł CzjŻfł ne orocz> sarsszczł? Bvi jsda^ia z aywfgiTyit kalów w Oacago, a leraz jc«  
c\*\*iaesB racy zaiządzją- cq Faadacp Robuoóaa; t)d od ckk Uarseoyiet aadal ibb flopiea hoBońs ruan w dzssa  
jego  
modaa gazety rwBirsń rają o 0 artykaky. Naowatf żoBf aa ^apsą>k bal ś pijaczkę. Córka iezjefł pi^acziaL Gd.i^a  
wiodziaia, że o a ta będzie, pnyitia^a do Sarilflp Pofcc2gbyb^BÓcpLi^p^ijBde«pa^ę» iaę foio boseiowyiL  
Pomao weją  
IS7

niać. Mają w Chicago apartament za sześćset dolarów miesięcznie. A codziennie rano, jak tylko szofer przyjedzie po staruszkę... wiem to ponad wszelką wątpliwość!... posyłają boya, żeby im przyniósł butelkę bourbona i postawił pieniądze na konia. Potem piją i czekają na wynik zakładów. Ale ta córka... nosi się nieco staromodnie. Jeśli nie zauważyłaś jej wczoraj wieczorem, poznasz ją po tym, że jest tęga i nosi pióra. Wyrzuciła swoje dziecko przez okno, zabiła! Użyli wszelkich wpływów, żeby ją uwolnić. Nieszczęsna, zostałaaby niechybnie skazana na krzesło elektryczne, tak jak Ruth Snyder, co to matrony stały wokół z zadartymi spódnicami, żeby fotografowie nie mogli zrobić zdjęcia. Ciekawam, czy ona ubiera się teraz w ten sposób dlatego, żeby nie czuć więzi z tą młodą śmiałą osóbką, która się dopuściła takiego czynu.

Trzeba było mieć silne nerwy, by móc podziwiać świetność poranka przy wtórze takich potępieńczych pogaduszek. Musiałem mocno się trzymać w garści, gdy wyciągała cały swój arsenał strachów, jeźdźców Apokalipsy, diabłów z przedsionków kościelnych, które porывały nagich grzeszników zniecka, aby ich zawlec przed sąd — dzieciobójstw, plag i kazirodztw.

Jakoś mi się jednak udawało. Lecz sprawy miały się tak, że wiodłem beztroski żywot bogatego młodzieńca, więc odpowiednio modulowałem swoje uczucia, nagradzając sobie i tłumiąc wszelkie sprzeciwy. Zdarzały się jednak parszywe chwile, jak na przykład wtedy, kiedy mówiła o egzekucji Ruth Snyder i przywołała wspomnienie tej straszliwej ochrony kobiecej skromności, gdy skazana wita się pod działaniem tysięcy wolt. A chociaż unikałem wszystkiego, co było niezgodne z moimi pragnieniami, odmalowany przez nią obraz zatracenia i zła, w jakich się specjalizowała, rzeczywiście zalał mi za skórę. Co, jeśli jest tak naprawdę, jak mówiła? Jeśli na przykład ta kobieta naprawdę wyrzuciła swoje dziecko przez okno? To nie żadna Medea z jakże odległych, bezpiecznie dawnych czasów, ścigająca swe nieszczęsne dzieci, tylko kobieta, którą widziałem na własne oczy w sali jadalnej, nosząca pióra i przebywająca w towarzystwie swoich siwowłosych rodziców.

188

Ale niedaleko ich stolika siedziało towarzystwo, które zaczęło mnie wkrótce bardziej interesować—dwie młode dziewczyny o urodzie zdolnej położyć kres podobnym myśłom albo je zagłuszyć. Była taka chwila, że mogłem stracić głowę dla jednej lub drugiej, a potem wszystko zaczęło przeważać na jedną stronę, ku tej szczuplejszej, bardziej wiotkiej, młodszej. Zakochałem się w niej, jednakże nie tak jak w Hildzie Novinson, za którą podążałem jak satelita na tylnym pomoście tramwaju albo krążyłem wokół warsztatu krawieckiego jej ojca. Tym razem wyzwolił się we mnie odmienny rodzaj maniackiej energii i poznałem, czym jest pożądanie seksualne. Moje nadzieje były większe, może też bardziej wyuzdane, dzięki wpływowi pani Renling opowiadającej wciąż o chuciach bez żadnych osłonek. Dopuszczałem więc do siebie najrozmaitsze sugestie. Nigdy nie nauczyłem się robić sobie z tego powodu wyrzutów, a poza tym moje doświadczenie w ukrócaniu ich pozostało ograniczone. Z ostrzeżeń babci Lausch akceptowałem jedynie część dotyczącą niebezpieczeństw naszej krwi, że poprzez matkę jesteśmy czuli na punkcie miłości, nie zaś ową piętnującą część, czyniącą nas nosicielami zarazków zniszczenia. Byłem więc bezwolny. A moja prezencja jeszcze utrudniała sprawę — dzięki pani Renling — jakby obdzielając mnie Bóg nie pominął ani jednego ze swoich darów, a ja byłem żywą reklamą Jego szczodrośliwości: uroda, wykwinna garderoba, wspaniałe maniery, swoboda towarzyska, dowcip, diablo ujmujący uśmiech, umiejętności taneczne i dar rozmowy z kobietami — wszystko najwyższej próby. A cały kłopot w tym, że było to coś, co moglibyście nazwać fałszywymi listami uwierzytelniającymi. Martwiłem się, że Estera Fenchel to wykryje.

Jak oszust i ze ściśniętym sercem pracowałem na najwspanialszy sukces w tym zakresie. Spędzałem całe godziny, aby uczynić z siebie żywą petycję. Poprzez tępe skupienie i chęć zwrócenia na siebie uwagi. Jedyne sposoby, jaki zdołałem wymyślić w swojej krwistej malowniczej kochliwości. Ale tak samo jak lekko łopocące na wietrze flagi mogą wśród piękna przystani sygnalizować zarazę na statku — w scenarii bezpieczeństwa i spokojnej krzątaniny — może zdołałbym mimo trzeźwego wyglądu

189

niczmy w swobodnych, normalnych okolicznościach wy. słać w eter swoje myśli — na plaży, na trawniku z rabatami kwiatów, w rozległej przestrzeni biało-złotej jadalni — myśli tego rodzaju, że gotów jestem dać się powiesić na włosach tej dziewczyny. Śniłem o jej ustach, dłoniach, piersiach, nogach, tym, co pomiędzy nogami. Nie mogła się schylić po piłkę na korcie — kiedy stałem sztywno z zielonym fulem w kasztanki zmyślnie przewleczonym przez ręcznie rzeźbione drewniane kółeczko, które Renling spopularyzował w tym sezonie w Evan- sto n—nie mogłem na to, jak powiadam, spojrzeć, aby nie poczuć przyływu miłości i uwielbienia w trzewiach dla łuku jej bioder i tryumfalnego dziewiczego kształtu z tyłu oraz owego delikatnego, pilnie strzeżonego sekreciku. Sekreciku, do którego dopuszczenie w miłosnym oddaniu byłoby zyskaniem aprobaty świata, że nie jest to czcze zażenowanie, o którym poszeptują odległe i jałowe lęki, lecz coś koniecznego, uzasadnionego, czego dowodzi osiągnięta radość. Ze gdyby się zgodziła, gdyby mnie zaaprobowwała, całowała, pieściła, gdyby mnie dopuściła do glinianego pyłu z kortu na swych nogach, łagodnego potu, intymnego brudu i potu, wówczas wyzwoliłaby mnie z mąk fałszu — dowiodła, iż nie ma nic tak fałszywego, obraźliwego ani zatwardziałego, żeby nie dało się naprawić!

Ale wieczorem, po bezowocnym dniu, gdy nic z moich wysiłków nie wychodziło, leżałem wystrojony do kolacji na podłodze swojego pokoju i trawiony pożądaniem, z szatańską cierpliwością łamałem sobie głowę, jak wymyślić coś błyskotliwego—jakąś efektowną, malowniczą akcję, z wykluczeniem głupoty i niezręczności. Zakonotowałem sobie dobrze wszystko, co tylko mogłem, o Esterze, aby dociec, co miałyby szanse wzniesić w niej chęć ujrzenia się u mego boku, w moim blasku. To znaczy tej wzniosłości. Pragnąc jedynie, aby przeżyła ze mną, przyzwoliła na miłosne uniesienia, z tymi swoimi świeżymi wspaniałymi cudami i urokami kobiecymi, które jeszcze wzrosną dzięki mej radości, że jest, jaka jest, że rozpycha łokciami i sutkami sweter. Patrzyłem, jak biega nieco niezdarnie po korcie tenisowym, osłania piersi i ściska kolana, gdy nad siatką przelatuje ostra 190 piłka. Te moje badania, których przedmiot stanowiła, nie podsycały niestety moich nadziei i właśnie dlatego leżałem na podłodze z płonąca pożądaniem, opaloną twarzą i gapowato rozdziawionymi ustami. Zdawałem sobie sprawę, że wie, jak wielką wartość przedstawia, że nie jest skłonna ulec byle czyim gwałtownym zapalom. Krótko mówiąc, Estera Fenchel nie była ulepiona z tej samej co ja gliny i wcale nie dbała o to, co miałbym do powiedzenia o jej intymnym pocie i brudzie.

Niemniej świat nigdy nie miał dla mnie piękniejszych barw, aby to ująć dokładnie, jak odczuwałem, ani wspanialszej i sensowniejszej wymowy. Nigdy też nie sprawiał mi miłszych kłopotów. Czułem, że jestem w najpraw- dziwiej, najautentyczniej naturalnie i przyjemnie ukształtowanym rodzimym miejscu ludzkiego oraz wszelkiego innego bytowania.

Nie brakowało mi pomysłowości w postępowaniu. Wdałem się w pogawędkę ze starym Fenchelem, nie ojcem dziewcząt, lecz ich stryjem, który zrobił forszę na wodzie mineralnej. Nie przyszło mi to łatwo, bo był milionerem. Jeździł Packardem, tego samego koloru i rocznika co Packard Renlingów. Parkowałem tuż obok niego na podjeździe, żeby się musiał dobrze naprzyglądać, zanim się połapał, który samochód należy do niego, i w ten sposób go zażyłem Inter par es. Skąd bowiem mógł wiedzieć, że zarabiam dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo i samochód nie jest mój? Porozmawialiśmy sobie. Zaproponowałem mu Perfecto Queen. Odmówił z uśmiechem — miał własne cygara hawańskie, robione na zamówienie. Nosił je w wielkim pudełku, w którym z powodzeniem mógłby się zmieścić pistolet, ale u człowieka tak tęgiego i ogromnego nawet nie wypychało kieszeni. Twarz miał otyłą i poznaczoną bliznami, oczy czarne — czarne jak miąższ chińskich owoców liny — siwe, przystrzyżone niemal aż do skóry włosy jak u soł- data niemieckiego. Trochę zniechęcająco działał fakt, że dziewczęta były jego spadkobierczyniami, o czym mnie z miejsca powiadomił, zapewne odgadując, iż nie rozwijam kwiatu swojego uroku dla jego starego obwisłego, rembrandtowsko gąbczastego nosa z kępkami siwych włosów i plamkami prochu. Na pewno nie. I chciał, abym

wiedział, w jakiej gram lidze. Nic ugiąłem się nawet na cal. Nigdy się nic cofałem przed żadnymi kuzynami, młodymi czy starszymi, i nigdy nie dawałem się zbić z tropu żadnemu rodzicowi czy opiekunowi.

Trudniej mi było nawiązać kontakt z ciotką Estery, osobą chorowitą, płochliwą i małomówną, pogrążoną w nastroju, w jaki popadają bogacze, których zawodzi zdrowie. Suknie i biżuterię miała piękne, ale z jej twarzy nie schodził wyraz tajonego wysiłku, od którego jakby nieco ogłuchła. Nie musiałem wobec niej udawać przyznanego zainteresowania, żywiłem je (Bóg wic czemu) rzeczywiście. Wiedziałem instynktownie, co mogło wyrzucić wrażenie na lej chorowitej, bardzo bogatej kobiecie, którą leżące w banku złote wiosła wyniosły daleko poza znane wody — urok zwykłego zdrowia. Zagadnąłem ją więc i porozmawialiśmy sobie dosyć miło.

— Mój drogi, czy osoba, z którą siedziałeś, to pani Fenchel? spytała mnie potem pani Renling. — Cały miesiąc nic nie robiła, tylko wpatrywała się w zraszacz trawnika i już myślałam, że jest pomyłona. Czy to ty rozpoczęłaś rozmowę?

Tak się złożyło, że siedzieliśmy obok siebie.

Zasłużyłem tym na dobrą ocenę — pani Renling była zadowolona. Następne jednak, co musiało przyjść na myśl, to cel tej rozmowy, który natychmiast z grubsza odgadła.

- Chodzi o dziewczyny! Są bardzo piękne, prawda? Zwłaszcza ta czarnowłosa. Wspaniała. I figlarna: jakby miała diabła za skórą. Tylko pamiętaj, Augie, jesteś ze mną, ja odpowiadam za twoje zachowanie. A ta dziewczyna to nie kelnerka, więc nie myśl, wiesz o czym. Mój drogi chłopcze, jesteś mądry i dobry, i chciałabym zobaczyć, jak się pniesz w górę. Już ja dopilnuję, że to się stanie. Naturalnie z tą dziewczyną nie masz żadnych szann. Oczywiście, bogate dziewczęta też potrafią być czasem małymi kurewkami i bywają równie chętne, a czasem nawet jeszcze chętniejsze od zwykłych dziewczyn. Ale nie te dwie tutaj. Ty nie wiesz, co to znaczy niemieckie wychowanie.

Inaczej mówiąc, Fenchelówny są zarezerwowane dla ludzi z forszą. Lecz pani Renling nie była nieomylna, 192

w dodatku już popełniła błąd uznając, że zakochałem się w Tci, a nie w Esterze. Nic miała również pojęcia, jak bardzo się zakochałem, że chodziło o miłość na tak zwaną poetycką śmierć i życie. Nie chciałem jej jednak wyprowadzać z błędu, choć czułbym się szczęśliwy, gdybym mógł się komukolwiek zwierzyć. Przewidywałem, co by z tego zrobiła, toteż pozwoliłem jej myśleć, że chodzi o Tcę, kędzierzawą, lecz również wspaniałą dziewczynę, do której siostry pałałem nic odwzajemnionym uczuciem. Nie musiałem wcale się wysilać na wielkie podstępny, gdyż pani Renling była mile polechtana w swojej dumie, iż tak bezbłędnie i szybko odgadła, co mnie trapi.

Prawdę mówiąc, Tca Fenchel okazała się bardziej niż tylko miła dla mnie i gdy któregoś ranka polowałem na jej wuja, który był w złym nastroju, cierpki i nieprzystępny, zapytała mnie, czy gram w tenisa. Musiałem odrzec z uśmiechem, choć przeżyłem trudną chwilę, że sportem, który uprawiam, nie jest tenis, lecz jazda konna, myśląc zarazem z rozpaczą, iż muszę postarać się o rakieta i jak najszybciej zacząć uczyć się grać na publicznych kortach w Benton Harbour. Nie powiedziałem tak dlatego, że byłem urodzonym jeźdźcem, ale że stwierdzenie to kryło moje prawdziwe pochodzenie i miało dość wiarygodny wydźwięk.

- Mój partner nie przyszedł — rzekła Tca — a Estera jest na plaży.

Nie minęło dziesięć minut, gdy i ja znalazłem się na piasku, mimo że obiecałem zagrać w karty z panią Renling po kąpiel mineralnej, kiedy to czuła się zbyt osłabiona, jak mówiła, aby móc czytać. Leżałem na brzuchu rozpalony i z chaosem w głowie i przyglądałem się Esterze, a myśli miałem rozbiegane, pieprzne, erotyczne, na wpół bolesne, w nadziei i lęku, że zostaną dostrzeżony, kiedy schylała się i rozcierała na swoich nogach olejek do opalania niczym blask, zwracając przy tym głowę ku mnie, oszalałego i odurzonego szacowaniem ciężaru jej piersi i miękkiej lekkiej wyniosłości brzucha, tak elegancko opiętej kostiumem kąpielowym, albo włosów, które czesała z ogromną, jak mi się zdawało, zwierzęcą siłą, zdjąwszy z głowy obcisły biały czepek gumowy.

.....

Z otworów w ścianie urwiska jak z luków odpływowych wytrysła chmara jaskółek i pomknęła nad przejrzystą toń, a potem na powrót w stronę bieli, brązu i czerni, od ruchomych fal ku tym nieruchomym, z piasku, i podmytym wodą drzewom i korzeniom, które stały w słońcu splecione i poskręcane.

Niebawem wróciła do hotelu, a ja zaraz za nią. Pani Renling przyjęła mnie lodowato, ponieważ się spóźniłem. I leżąc na podłodze swojego pokoju, z piętami na pościeli łóżka, niczym rycerz w zbroi, który spadł z konia, spętany ostrogami i potrzebujący dźwigu, aby móc się podnieść, myślałem, że jeśli moja niedbałość gniewa panią Renling, to już najwyższy czas, abym mógł się przynajmniej pochwalić jakimiś postępami. Wstałem, oczyściłem się bez specjalnego zapachu i staranności dwiema wojskowymi szczotkami, które od niej dostałem, i zzechawszy wolną, białą windą na dół wałęsałem się po hallu.

Był zachód, blisko kolacji, lśniąca powierzchnia wód zaczynała ciemnieć, w sali jadalnej stały na stołach serwetki i plachty menu, w długich szyjkach flakonów tkwiły róże i paprocie, a za kurtyną stroiła instrumenty orkiestra. Sam w korytarzu, zmartwiony i rozklekotany, wlokłem się wolno w stronę pokoju muzycznego, gdzie z patefonu płynął głos Carusa, raz przytłumiony, to znów przechodzący w krzyki operowej tęsknoty za matką, owe kwieciste, w głębi serca posępne, synowskie wezwania we włoskim guście. Wsparta łokciami o zamkniętą pokrywę fonografu, w białym kostiumie i białym, podobnym do biskupiego biretu, haftowanym paciorkami toczku, stała Estera Fenchel. Stała z jedną nogą opartą na czubku pantofelka.

— Panno Fenchel, czy nie zechciałaby pani wybrać się ze mną któregoś wieczoru do Domu Dawida? — zapytałem. Spojrzała na mnie znad patefonu ze zdumieniem. — Tam są co wieczór tańce.

Od razu pojąłem, że spotkała mnie klęska, od pierw\* szego słowa, i poczułem się jak zбитy pies, zdruzgotany.

— Z panem? Jeszcze czego. Na pewno nie.

Krew odpłynęła mi z głowy, szyi, ramion i padłem bez czucia.

Przyszedłem do siebie bez czyjejkolwiek pomocy. Nie 194

było nikogo, kto by mi jej mógł udzielić, ponieważ Estera nie poświęciła najwidoczniej ani chwili, by się przekonać, co mi się stało — śpiew natarł na mnie całym splendorem swych końcowych partii, najpierw jak szum muszli, potem głośniejszy, ze wspinaniem się orkiestry po stopniach schodów jakiejś wspaniałej sali aż do wyraźnego pęknięcia serca u samego szczytu, gdzie bębny ucięły, zakatrupiły i pogrzebały z łoskotem wszystko.

Nie wiem, czy zemdlałem z powodu jej odmowy, czy też wrażenia, że przemówiłem do niej, a ona do mnie, w każdym razie nie mogłem szukać języka spustowego tej mojej reakcji ani zastanawiać się, w czym tkwił i czemu był jak rozchwiany ząb. Wystarczyło, że poznałem siłę ładunku i że zostałem poczęstowany kopniakiem fałszywej sytuacji, która odpaliła. Tymczasem wdychałem powietrze, które wydawało mi się zimne, ponieważ miałem wilgotną twarz. Oparty plecami o sofę czułem się jak stratowany przez coś, co w jakiś sposób było związane ciężarem z moją matką i moim bratem George'em, który zapewne w tej chwili pracował nad szczotką lub właśnie ją odkładał, aby poczłapać na kolację; albo z babcią Lausch w Przytułku Nelsona—stratowany jakby przez tę bestię, która ich nigdy nie odstępowała, a od której czułem się dotychczas w tak bezpiecznej odległości.

W pewnej chwili ujrzałem w drzwiach pannę Zeeland, córkę sławnego adwokata. Stała i patrzyła na mnie w swoich wieczorowych piórach, z ciałem spowitym w długą suknię na podobieństwo równo ociosanej ludzkiej kolumny. Miała złote pantofelki i białe rękawiczki do łokci i wyglądała jak nieziemski, orientalny zjawia, z bujnymi włosami upiętymi do góry na kształt wieży stanowiącej przeciwwagę dla ogromnych piersi. Jej twarz, bezchmurna i zimna jak pewien rodzaj pogody, była nieruchoma i tylko długi, wyraźny rowek nad górną wargą jakby już, już miał zacząć się poruszać, a jego właścicielka zamierzała przerwać milczenie wypowiedzeniem czegoś doniosłego, co dawno w niej dojrzało — być może wyjaśnić sens miłości. Lecz jej myśli pozostały dla mnie do końca nie ujawnione, chociaż nie wyszła, póki nie wstałem, aby wyłączyć patefon, wtedy ulotniła się czy też odpłynęła.

Poszedłem do męskiej toalety przemyć twarz odrobiną ciepłej wody, potem na kolację. Niewiele jadłem, nie tknąłem nawet peche flambee, co nie uszło uwagi pani Renling, która powiedziała:

— Augie, kiedy się wreszcie skończą te miłosne bzdury? Zaszkodzisz własnemu zdrowiu. Czy to warto?  
— Po czym zaczęła przemawiać do mnie jak najmiej, starać się sprowadzić mnie żartami na ziemię i będąc kobietą położyć kres mojej wyobraźni o kobietach tam, gdzie ów kres powinien się znajdować, tłumacząc ich zalety i wady oraz we wszystkim wychwalając mężczyzn, zupełnie jakby była na służbie Ateny. To mnie doprowadzało do szału. Byłem już i tak ogłupiały, a słysząc, jak oczernia cały ród kobiecy na swój szorstki i bezwzględny sposób, łypałem na nią żądnym krwi okiem. I wyczekiwałem z niemal malarycznym drżeniem, aż w sali pojawi się Estera. Starzy Fenchelowie siedzieli już przy stole. Potem przyszła Tea, ale jej siostra nie zamierzała widocznie jeść tego wieczoru.

— I wiesz co — rzekła pani Renling po pewnym czasie — ta dziewczyna nie spuszcza z ciebie oczu, odkąd przyszła. Czy między wami już coś jest? Augie! Czy już coś zrobisz? Dlatego jesteś taki przygnębiony? Co zrobiłeś?

— Nic nie zrobiłem — odparłem.

— No, mam nadzieję! — Natarła na mnie ostro i przebiegle jak policjantka. — Jesteś za przystojny, aby ci to mogło wyjść na dobre, i w końcu narobisz sobie kłopotów. Ona też, majtki ją pieką, tę panienczkę.

Zgromiła Teę wzrokiem. Kelner podpalił flambee Fenchelów, a potem tu i ówdzie w zieleni zmierzchu rozbłyskiwały następne ogieńki.

Bez słowa opuściłem salę. Chciałem pospacerować nad brzegiem jeziora, wyzbyć się bolesnych skurczów wstydu i przetrwać zmartwienie. Straszne były te uczucia, które mną targały, ta hańba i gniew na Esterę, i pragnienie, żeby trzasnąć panią Renling w łeb. Powędrowałem skrajem wody, potem obszedłem cały teren hotelu trzymając się z dala od werandy, gdzie, jak wiedziałem, siedziała pani Renling czekając, by mi odpłacić za moje grubiaństwo, a później na tyły hotelu, na plac zabaw dla dzieci, 196 i usiadłem na zbitym z listewek siedzeniu huśtawki ogrodowej.

Siedząc tam marzyłem, że Estera przemyślała rzecz na nowo i wyszła z pokoju, aby mnie odszukać, aż jęczałem nad własną głupotą taplając się w paskudnych uczuciach, jeszcze gorszych niż przedtem. Potem usłyszałem czyjeś lekkie kroki i zobaczyłem kobietę wchodzącą pod drzewa w pylistą koleinę wytartą stopami dzieci pod huśtawką. Była to siostra Estery, Tea, przed którą ostrzegała mnie pani Renling. Tea przyszła, aby ze mną porozmawiać. W białej sukni i pantoflach, które przybliżyły się jak spiczaste kształty ptaków w niewyraźnej bieli koleiny pod huśtawką, z koronką na ramionach i ciepłej tonacji cienia liści nad głową stanęła i patrzyła na mnie.

— Rozczarowany, że to nie Estera, co? Pewnie bardzo pan cierpi. Był pan błąd przy kolacji.

Milczałem, ciekawy, co wie i do czego zmierza.

— Przyszedł pan już trochę do siebie?

— Po czym?

— Po tym omdleniu. Chociaż Estera myśli, że to był pewnie atak epilepsji.

— Może i był — odparłem czując się przybity, markotny i zdruzgotany.

— Nie sędzę. Mówi pan tak, bo jest pan zły i nie chce, żebym panu zawracała głowę.

Nie była to prawda, przeciwnie, chciałem, żeby została, więc powiedziałem: — Wcale nie.

A ona usiadła u moich stóp trącając je udem. Chciałem się odsunąć, ale dotknęła moich kostek i zaprotestowała:

— Drobiazg. Nie musi pan rezygnować z wygodnej pozycji ze względu na mnie. A w ogóle, co się stało?

— Chciałem się umówić z pani siostrą.

— A jak odparła: „Nie”, wtedy pan zemdlął?

Pomyślałem, że nie powoduje się wyłącznie ciekawością, przeciwnie, jest dla mnie serdeczna.

— Stoję całkowicie po pańskiej stronie, więc zdradzę, co ona myśli. Myśli, że świadczy pan pewne usługi tej pani, z którą pan tu jest.

— Co?! — wykrzyknąłem zrywając się z huśtawki i uderzając głową w poprzeczkę u góry.



— Że jest pan jej żigolakiem, że ją pan rżnie. Niech pan nsiądzif. Sądziłam, że powinnam panu to wyjawia Czołem się, jakbym niósł coś z nabożną pieczołowitością i nagle to coś Chlusnęło parząc mnie. A ja cały czas myślałem, że najgorsze, co mogło przyjść do głowy młodym dziewczętom, ba, dziewczętom, to istna niewinność w porównaniu z poziomem sali bilardowej Einhorna.

— Kto to wymyślił, pani czy siostra?

— Nie będę zrzucała całej winy na Esterę. Sama uważałam, że to możliwe, chociaż ona pierwsza podjęła ten temat. Wiedziałyśmy, że nie jest pan krewnym pani Renling, bo słyszałyśmy, jak mówiła kiedyś pani Zeeland, że jest pan protegowanym jej męża. Nigdy pan z nikim innym nie tańczył, trzymaliście się za ręce, a ona jest jeszcze jak na swój wiek dość powabna. Szkoda, że nie może pan sam zobaczyć, jak razem wyglądacie! Poza tym ona jest Europejką, a Europejki wcale nie uważają tego za takie straszne, jeśli kobieta ma znacznie młodszego kochanka. Zresztą ja też nie widzę w tym nic straszego. Tylko ktoś taki głupi jak moja siostra może aę tym oburzać.

— Ale ja me jestem Europejczykiem. Jestem z Chicago. Pracuję u jej męża, w Evanston. Jestem sprzedawcą w jego sklepie i poza tym niczym innym.

— Niech się pan nie irytuje. Bardzo proszę. Bywa się w świecie i widuje rozmaite rzeczy. Jak pan sądzi, poco tu przyszedł z panem rozmawiać? Na pewno nie po to, żeby dodawać zmartwień. Robił pan to, to dobrze, a nie, drugie dobrze.

— Sama pani nie wie, co mówL To szaleństwo myśleć tak o mnie... i pani Renling, która jest dla mnie taka dobra. — Byłem zły i mówiłem gniewnie, ona zaś nie odpowiadała nic, sama podniecona i pełna napięcia. Czuję i widziałem, że mi uę pilnie przygląda. Przedtem jeszcze się chwilami uśmiechała, ale teraz me miała w sobie nawet cienia wesołości, co świetnie widziałem przy tej bieli, w pyłe pod stopami i w zieleni liści Zacząłem rozumieć, że mam do czynienia z kimś niezwykłym, o twarzy namiętnej, bystrej, badawczej i niemal błagalnej. Była delikatna, lecz również pełna zuchwałości,

191

tej brawury, która wzbudza zarazem niepokój i zachwyty, gdy się ją widzi u młodej kobiety — podobnie jak przy oglądaniu dwóch walczących ptaków niby dwóch niepokohamowanych fontann krwi; mogą z łatwością zginąć od tych drobnych ranek, tymczasem jak gdyby me zdają sobie z tego sprawy. Oczywiście jest to zapewne jeden z tych niewinnych męskich wymysłów.

— Ale pani me wierzy, że mógłbym naprawdę być żigolakiem pani RenHng?

— Mówiłam, że wcale nie dbam o to, nawet gdyby pan był

— Pewnie, bo cóż panią to obchodzi!

— Nie, pan mnie nie rozumie. Jest pan zakochany w mojej siostrze i chodzi za nią jak cień, więc nawet pan nie zauważył, że z kolei ja chodzę jak cień za panem.

— Co?

— Że się w tobie zakochałam. Kocham cię.

— Bzdura. Wcale nie. Zwykły wymysł. Jeżeli w ogóle. Proszę mnie nie nabierać.

— Nie mógłbyś kochać Estery, gdybyś ją znał. Jesteś podobny do mnie. Dlatego się zakochałeś. Ją na to nie stać. Augie! Pokochaj mnie, zamiast niej!

Wzięła moją rękę i przytuliła do siebie, przeginając sę w pełnych wdzięku biodrach. O, pani Renling, nad którą tak tryumfowałem, że się pomyliła w swoich przypuszczeniach!

— Nic mnie nie obchodzi pani Renling—powiedziała Tea. — Choćby nawet między wami coś kiedyś było.

— Nigdy.

— Młody człowiek może wyprawiać najrozmaitsze rzeczy nie wiedząc, co zrobić z tym, czego ma w nadmiarze.

Czy powiedziałem, że nigdy jeszcze świat nie miał dla mnie piękniejszych barw? Pomiąłem coś w swoich rachubach, pewien słaby, kulejący wzgląd, który traci na znaczeniu, gdy dosięgasz piękna i kwiatów Orizaby, lecz wkrótce okazuje się, że cię tam wyprzedził.

— Panno Fenhd — rzekłem wstając i usiłując mę od niej oderwać.—Jest pani śliczna, ale co my wyprawiamy? Kocham Esterę i mc na to me poradzę.—A ponieważ nie

199

miała zamiaru siedzieć spokojnie, musiałem uciec z huśtawki do sadu.

- Panie March... Augie! — wołała za mną. Ale nie chciałem już z nią rozmawiać. Wszedłem do hotelu wejściem dla służby. Znalazłszy się w swoim pokoju i zdjąwszy słuchawkę telefonu z widełek, by pani Renling nie mogła do mnie zadzwonić, tłumaczyłem sobie, ściągając wyjściowe ubranie i ciskając je na ziemię, że cała ta sprawa była po prostu czymś pomiędzy siostrami, a ja odegrałem w niej tylko przypadkową rolę. Z drugiej jednak strony, myślałem, jeżeli tak nie jest, to nie ma szczęścia w miłości. Każdego ciągnie jakby w nieodpowiednim kierunku. Zaspokojenie więc tych samych pragnień zależy od przypadku. Natomiast odczuwanie ich jako bardzo specyficznych, zwróconych ku jednej osobie, to być może założenie niedopuszczalne, zbyt czyste, zbyt sprecyzowane i stanowi wyraz braku zrozumienia realnego stanu rzeczy.

Kiedy nazajutrz rano wszedłem na śniadanie do pokoju pani Renling, zostawiłem drzwi otwarte.

— Cóż to? Urodziłeś się w stodole? — powiedziała. - Zamknij drzwi. Ja tu leżę. — A gdy poszedłem niechętnie wykonać jej polecenie, zauważyła, jaki jestem wygnieciony. — Zaraz po śniadaniu idź do krawca i każ sobie odprasować ubranie. Pewnie spałeś w spodniach. Rozumiem, że jesteś zakochany, więc nie powiem nic o twojej wczorajszej grzeczności względem mnie. Ale nie musisz wyglądać jak włóczęga.

Po śniadaniu poszła wziąć kąpiel mineralną, a ja zjechałem na dół do hallu. Fenchelowie wyjechali. W recepcji był dla mnie list od Tei., Estera powiedziała o tobie stryjowi i wyjeżdżamy na kilka dni do Waukesha, a potem na Wschodnie Wybrzeże. Byłeś wczoraj głupi. Przemyśl to sobie. Naprawdę Cię Kocham. Jeszcze się spotkamy.\*\*

Potem nastąpiło kilka trudnych dni, kiedy nurzałem się w melancholii. Myślałem sobie, skąd u mnie ubieganie się o wszystko, co najlepsze w sferach piękna i uciech, jakbym był jakimś księciem szczęsnego wieku młodzieńczego, stworzonym do elegancji i słodkiej miłości, kimś o lukrowanym kościcu? I musiałem wspomnieć o tym, co rzadko miało dla mnie znaczenie, a mianowicie o swoim 200 pochodzeniu i innych historiach, których nigdy me uważałem za wielkie przeszkody, ponieważ byłem z usposobienia demokratą otwartym dla wszystkich i zakładającym, iż inni są tacy sami.

A tymczasem wszystko, co mnie do tej pory uskrzydlało, zaczęło mi coraz to bardziej i bardziej ciążyć. To miejsce, na przykład, hotel Merritt, kremowo-złote ozdoby gnioły mi kark — służba, muzyka przy obiedzie, tańce, hiperboliczne kwiaty jak malowane żelastwo, pretensjonalna elegancja niczym kamień młyński, a do tego dochodziła jeszcze pani Renling ze swym ciężarem odlanego w metalu posagu. Nie mogłem jej teraz ścierpieć, kiedy stawiała się niemiła. Nie miałem szczęścia nawet do pogody, która pod koniec stała się chłodna i deszczowa, więc zamiast siedzieć w hotelu, gdzie pani Renling mogła mnie złapać w swoje ręce, tyranizować i robić mi awantury, kręciłem się po wesołym miasteczku przy Silver Beach, gdzie siedzenia diabelskiego młyna były przykryte, powleczone czernią, i gdzie na deszczu przemakał mi płaszcz (ten z dawniejszych czasów, nie dorównujący mojej nowszej elegancji). Siadywałem przy stoiskach z hot-dogami wśród pracowników miasteczka, koncesjonariuszy i specjalistów od gry w trzy karty, czekając na zakończenie kuracji kąpielowej.

Pod koniec wakacji Simon napisał, że przyjeżdża do St. Joe z dziewczyną, i akurat pogoda dopisała. Stałem na molo, gdy cumowano biały parowiec. Wszystkie błękity i zielenie odświeżyły się po deszczach i chłód mokrych dni niemal zupełnie ustąpił. Na ludziach schodzących z parowca widać było znój żyda miejskiego — czterogodzinny rejs nie zdołał usunąć jego śladów. Rodziny, samotni mężczyźni, trzymające się parami robotnice, z letnimi i plażowymi rzeczami, czasem nie bardzo obciążeni, lecz mimo wszystko obciążeni. Zahartowani lub poszkodowani przez los czy własną naturę. Wychodzili ze statku ciężkim krokiem, po trapie nad skotłowanym śrubami silników skrajem wody, prosto na spokojny, niski, zalany blaskiem brzeg, a tu i ówdzie ten blask opromieniał jakąś charakterystyczną lub nieśmiało jeszcze radosną twarz lub rozświetlał jedwabie, włosy, czoła, słomkowe kapelusze, piersi, które tu przybyły, aby wydy-

choć nerwowe napięcia, pozwolić dojść do głosu tłumionej naturalności, nosicielce rzeczy tak starych jak najstarsze z miast i jeszcze nawet starszych; pragnieniom i brakom wyległym w brzuchach, tęsknotom ramion i łęźwi tak dawnym jak dawny jest Eden i Upadek.

Moj brat, wyżazy od innych, jasnowłosy i opalony, prezentował swoją germańską urodę. Był odstawiony jak stróż w wielkie święto, trochę jak wyelegantowany Cygan, uśmiechnięty, z widniejącym z przodu ułamanym zębem, w rozpiętej kraciastej marynarce dwurzędowej, z dłońmi zaciśniętymi na rączkach dwóch waliz. Promieniował swą jasnością z czymś w rodzaju żaru w niebieskości oczu, wspaniale. Ten żar był również w jego policzkach i szyi, mocnej, zwierzęcej. Szedł ciężko w swoich spiczastych pantoflach, balansując po trapie z rękami ciągniętymi w dół ciężarem waliz, wypatrując mnie w cieniu mola. Nigdy nic wyglądał lepiej niż tam, w blasku słońca, sunąc z całym tłumem, odsztaflowany w najlepsze ubranie. Kiedy mnie objął ramieniem, byłem szczęśliwy, że czuję jego siłę i zapach, i uśmiechaliśmy się, krzywiliśmy gęby, stroili miny, czując wzajem pod palcami męski zarost i wymieniając szorstki, żartobliwy uścisk.

— No i co, wariacie?

— A ty, bogaczu?

Nie było w tym uszczypliwości, choć Simon boczył się na mnie przez pewien czas, bo zarabiałem więcej od niego i pławiłem się w luksusach.

— Jak tam wszyscy... mama?

Wiesz, te jej oczy. Ale poza tym dobrze.

Potem zaprezentował mi swoją pannę—wielką ciemną dziewczynę nazwiskiem Cissy Mxner. Znałem ją jeszcze w szkole, pochodziła z naszej dzielnicy. Jej ojciec, zanim zbankrutował, miał sklep tekstylny — kombinezony, płócienne rękawice robocze, kalesony, kalosze i takie rzeczy. Tęgi, nieśmiały, blady, zamknięty w sobie, nękany kłopotami mężczyzna. Z niej zaś był kawał pięknej, dbałej o swoją urodę baby na kolosalnych, lecz delikatnie stąpających nogach, z biodrami podanymi do przodu. Miała duże usta, które byłyby doskonale, gdyby nic to, ic jakby wciąż coś smakowały, oczy z ciężkimi powiekami, ale wspaniałymi w swej ospałości, bardzo zmysłowymi.

202

Musiała więc trochę opuszczać te oczy, aby zachować przyzwoitość przy całym bogactwie swego wyposażeni a - wysokości biustu, kształcie binder i innych darów natury, gładkości i delikatności, które mogą zaskoczyć młodą osobę czy małą dziewczynkę swoją Obfitością, gdy Mię rozwiną. Trochę się na mnie boczyła, że się jej tak przyglądam, ale któż by mógł się od tego powstrzymać? I było to wybacalne zważywszy, że mogła zostać moją bratową, ponieważ Simon wprawiał wrażenie okropnie zakochanego. Już teraz traktował ja po rneżowsku. Trzymali się siebie kurczowo i wymieniali pieszczoty, pocałunki, czułe słówka, spacerując wśród niewiarygodnych barw wody i powietrza, gdy ja pływałem samotnie nie opodal w jeziorze. A potem na piasku, wytarłszy swoją pięknie zarośniętą pierś, wytarł również jej plecy i całował je, mnie zaś przez chwilę aż bolało podniebienie, jakbym sam poczuł tę ciepłą woń i miękkość skóry. Tak wiele miała, tak wiele roztaczała wokół splendoru. Jak jakieś szalone dziwisko.

Ale ja osobiście niezbyt się nią zachwyciłem. Trochę dlatego, że durzyłem się w Esterze. Lecz także dlatego, że spod jej całej wspaniałej kobiecości przeświecała nuda. Może dziewczyna była ogłupiała tym, co posiada, swoim zabójczym ciężarem. Musiał on zaważyć na jej myślach, jak wszelka witalność w naturze. Jak cechy krwi takiego grizzly czy tygrysa odciskają się na umysłowości tych zwierząt, znajdując gruntowną manifestację czegoś tylko jednego nawet w pręgach i pazurach. Tylko co z przywilejem wyniesienia się ponad zew natury i misję gatunku? Element myślowy był słabszy od innych w mieszaninie, z której składała się Cmy. Była jednak dziewczyną Mprzytną, przy całej swej pozornej łagodności.

A kiedy leżała wyciągnięta na piasku w powiewach niosących ostry zapach musztardy i rozgrzanej oliwy, w której prażyła się i trzaskała kukurydza na stoiskach przy Siher licach, wciąż odpowiadała Simonowi, którego słów nie słyszałem, bo leżał przy niej na boku w swoich czerwonych kąpielówkach;

— Och, fuj, nie. Co za bzdura! Kochanie, głuptasie! — Ale była bardzo zadowolona. Tak się cienzę, że mnie tu przywozłeś, kochanie. Tak tu czy »to. Tak niebiańsko.

203

Nie podobało mi się, że Simon się z nią szamotał — tak to bowiem trzeba było nazwać — aby ją przekonać, nakłonić, urobić. Sprzeciwiała się niemal wszystkiemu, co proponował.

— Lepiej tego nie róbnmy, a powiedzmy, że robiliśmy — i temu podobnie. Wywoływało to u niego szorstkość, jakiej u niego nigdy jeszcze nie widziałem. To napieranie się, drażnienie, uparte zmierzanie do celu, chępczenie się i przy pochlebianie było ordynarne. Wysiłki i miłosne zaślepienie upodabniały go do psa z wywieszonym językiem, a chwilami wpadał w gniew, który uderzał mu do twarzy wykwitając dwiema płomienymi plamkami pod oczyma, po obu stronach nosa. Rozumiałem go, bo mieliśmy do czynienia z tymi samymi trudnościami i wiedliśmy bój pod identyczną Troją. To, co się nam przydarzyło, dałoby babci Lausch satysfakcję prorokini — w każdym razie jej duchowi; ona sama bowiem spoczywała w pyle przytułku, w gromadzie finalistów, którym pozostała jedynie zabawa w zgadywanke, kto następny wypadnie z gry. Przypisałem jej zatem pozorny sukces trafności przewidywań. A co do Simona, wszystko, cokolwiek nas kiedyś łączyło, gdy byliśmy mali, zanim powstały dzielące nas różnice i odległości — wszystko to zaczęło się odzywać w odczuciu bliskości nowego połączenia. To nowe połączenie nie nastąpiło, lecz mimo to kochałem go. Kiedy się podniósł z zarzuconą na ramiona sukienką plażową w kwiaty, miał w sobie coś beznadziejnie głupiego, a zarazem męskiego, stojąc tak nagi i opalony nad pasem czystej wody, jakby żartował, iż jest to widoma oznaka względów tej dziewczyny.

Odprowadziłem ich na wieczorny parowiec — ona nie chciała zostać na noc — i długo stałem z nimi na pokładzie aż po kres zachodu, póki nie speszła ostatnia plamka błękitu, pozbawionego innych świateł —jesienna ciężkość i bruzdy chmur spływały ku miastu, by wypuszczone spod władzy słońca opaść nad zwały wód, szare i potężne.

— Za kilka miesięcy pewnie się pobierzemy — rzekł Simon. — Zazdrościsz mi, chłopie? Mogę się założyć, że tak,

I objął ją trzymając brodę na jej ramieniu i całując w szyję. Płomienne pieszczoty, którymi ją zasypywał, wydawały mi się dosyć osobliwe — wsuwał nogę pomiędzy jej nogi i rozcapierzał palce na jej twarzy. Nie sprzeciwiała się niczemu, chociaż głosem nigdy nic dawała przyzwolenia — nie miała w słowach łaskawości. Stała przy żurawiku z dłońmi wsuniętymi w rękawy białego płaszcza, aby odegnąć chłód. On był w koszuli, jakby się chępczył opalenizną, ale na głowie miał panamę, której rondo podginał wiatr.

Właśnie kiedy konstrukcja wznoszona wokół mnie przez panią Renling była na ukończeniu, umknąłem. Głównym i przyspieszającym powodem tej ucieczki stała się propozycja zaadoptowania mnie. Miałem zostać Augie'em Renlingiem, mieszkać z państwem Renling i odziedziczyć po ich śmierci całą fortunę. Aby zobaczyć, co się za tym wszystkim kryło, trzeba zapewne więcej światła, niż mogę dostarczyć. Ale przede wszystkim miałem w sobie coś, co wzbudzało w ludziach chęć adoptowania mnie. Miało to niewątpliwie związek z faktem, że zostaliśmy już we wczesnym dzieciństwie swoiście adoptowani przez babcię Lausch. Chcąc jej to wynagrodzić i zrobić przyjemność byłem zgodliwy i pełen pozornej wdzięczności, synowski. A jeśli w rzeczywistości nie tak uległy i zgodliwy, to na tym polegała moja ukryta frajda i element niespodzianki. Dlaczego Einhornowie pragnąc uchronić syna, Artura, musieli specjalnie podkreślać, że nie zamierzają mnie przyjąć do rodziny? Bo coś we mnie nasuwało myśl o adopcji. A poza tym istnieją ludzie o skłonnościach szczególnie adopcyjnych. Niektórzy być może pragną w ten sposób dopełnić dzieła swego życia. Tak samo pani Renling na swój męczący i niewyszukany sposób, z bładością pochodzącą z intensywności swoich dążeń. Ona też miała swoje posłannictwo na ziemi.

Jedną rzecz niełatwo było wydobyć z pani Renling — nigdy nie wiedziałem, czego pragnęła najbardziej, a to przez jej kapryśne maniery i lotność konwersacji. Prag- 206

#### Rozdział IX

nęła jednak na pewno pobyc matką. Ja zaś znajdowałem się w stanie buntu przeciwko wszelkim jej zamiarom co do mojej osoby. Czemu miałbym zostać jednym z tych ludzi, którzy sami nie wiedzą, kim są? A naga prawda jest taka, że nie uważałem tego za dostateczny uśmiech losu, co sobie wyraźnie uświadomiłem, kiedy miałem zostać włączony do rodziny. Jako syn. Poza tym nie miałem im nic do zarzucenia, wręcz przeciwnie, czułem dla nich ogromną wdzięczność. Mimo to nie chciałem dać się wcementować w świat pani Renling po to, aby utwierdzić jej wyobrażenia o sobie samej. I nie szło tylko o nią, lecz

O całą klasę ludzi ufających, iż będą usprawiedliwieni, bo ich zapatrywania okażą się tak trwałe jak siedem wzgórz, na których można budować, i przez rozprzestrzenianie własnej władzy będą mieli na swoją obronę wieczne miasto w dniu, kiedy inni budowniczowie runą, z cegłami

I deskami, bo ich myśli były nierealne i budowali na terenach grząskich. Nie chodzi tu o pojedynczą wieżę Babel kleconą pospołu, lecz setki tysięcy oddzielnych, rozpoczętych budów jak Ameryka długa i szeroka. Chodzi o energicznych ludzi, którzy budują wbrew trudom i niepewnościom, jakim słabsi mogą przeciwstawić jedynie nadzieję. A pani Renling była nawet dosłownie bardzo silna, skoro zaś nie wykonywała widocznej pracy, musiało to, ta jej siła mięśni, pochodzić z jakichś ukrytych trudów.

Pan Renling również pragnął mnie zaadoptować i powiedział, że byłby szczęśliwy, gdyby stał się moim ojcem. Wiedziałem, że to coś więcej, niż powiedziałby komukolwiek innemu. Widział w tym dla mnie, wychowanego przez biedne kobiety, szczególny uśmiech losu, że mogę zostać w ten sposób uwolniony od pogoni za chlebem, wybawiony przez ludzkie uczucie. Bóg zbawia wszystkich, ale ludzka zdolność ocalania jest ograniczona do nielicznych.

Gdy powiedziałem pani Renling, że Simon zamierza się ożenić i Cissy jest córką zbankrutowanego kupca tekstylnego, zaczęła się nad tym rozwodzić i przedstawiać mi społeczne skutki podobnego kroku. Odmalowała mi obraz małego mieszkanka z wiszącymi w kuchni pieluchami, kłopoty ze spłacaniem rat za meble, za ubranie, 207

i mego brata, który w wieku lat trzydziestu stanie się starcem ze zmartwienia i zgryzoty, niewolnikiem tej dziewczyny i dzieci.

— Podczas gdy ty, Augie, mając lat trzydzieści dopiero zaczniesz myśleć o małżeństwie. Będziesz miał pieniądze, ogładę i mnóstwo dziewcząt do wyboru. Nawet takich jak Tea Fenchel. Człowiek wykształcony, z własną firmą, jest jak lord. Renling jest bardzo sprytny i zaszedł daleko, ale ze znajomością nauk przyrodniczych, literatury i historii byłby prawdziwym księciem, a nie przeciętnym zamożnym...

Trafiła w mój słaby punkt wspominając Fenchelów. To była pokusa. Lecz tylko jedna pokusa, więc niewystarczająca. Nie wierzyłem, że Estera Fenchel będzie mnie kiedykolwiek chciała. A co więcej, chociaż nadal się w niej kochałem, mój stosunek do niej już się zmienił. Zaczynałem coraz bardziej wierzyć temu, co o niej powiedziała siostra. Ponadto, spojrzawszy prawdzie w oczy, przyznałem, że nie mam żadnych szans.

W każdym razie w zachowaniu pani Renling wobec mnie pojawiły się akcenty czułości. Zaczęła mówić do mnie „synku”, przedstawiać mnie ludziom „nasz mały”, głaskać po głowie i tak dalej. A ja byłem silny i rozwinięty płciowo. Powinna się orientować, że nie głaszcze ośmioletniego chłopczyka po lśniących włoskach, i widzieć we mnie nie tylko dziecko.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłbym nie chcieć zostać zaadoptowany, i zakładała jako rzecz normalną, coś całkiem innego: że jestem jak wszyscy samolubem. Więc jeśli mam w rezerwie jakieś sprzeciwy, to są one drobne i zachowam je dla siebie. Albo że jeżeli nosiłem się z myślami o pomocy braciom lub mamie, to nie zdradzę się ze swoimi zamiarami. Nigdy nie widziała mojej mamy ani nie chciała jej zobaczyć, a gdy jej powiedziałem w St. Joe, że przyjeżdża Simon, nie prosiła, abym go jej przedstawił. Było w tym coś z historii o Mojżeszcu i córce faraona, tyle że w niczym nie przypominałem oseska ukrytego w sitowiu. Miałem związki rodzinne, które mi odpowiadały, i własne dzieje, którym winienem był lojalność, nie spadłem z nieba.

Zatem wycofałem się. Odrącałem aluzje, a gdy się

przerodziły w jawne propozycje, nie przyjąłem ich. Powiedziałem panu Renling:

— Doceniam dobroć państwa, jesteście naprawdę wspaniali. Będę wam wdzięczny do końca życia. Ale mam rodzinę i czuję...

— Ty głupcze! — przerwała mi pani Renling. — Jaką rodzinę? Jaką rodzinę?

— Cóż, matkę, braci.

— A co oni mają z tym wspólnego? Gdzie jest twój ojciec... powiedz!

Nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

— Nawet nie wiesz, kto nim jest. Słuchaj, Augie, nie bądź głupi. Prawdziwa rodzina to ktoś, kto ma ci coś do zaofiarowania. My z mężem mamy ci co dać, więc będziemy twymi rodzicami, reszta się nie liczy.

— Niech on to sobie przemyśli — rzekł Renling. Sądzę, że pan Renling był jakiś nieswój tego dnia.

Z tyłu głowy sterczał mu kosmyk włosów, a spod kamizelki wyglądały szelki, co wskazywało, że podlegał jakiemuś cierpieniu — przeżywał własną rozpacz, która nie miała ze mną nic wspólnego—bo zwykle prezentował się nieskazitelnie.

— Och, co tu myśleć! — wykrzyknęła pani Renling. — Sam widzisz, jak on myśli! On się musi najpierw nauczyć myśleć, skoro nie chce być bałwanem i całe życie pracować na innych. Gdybym mu pozwoliła, już byłby żonaty z tą kelnerką z sąsiedztwa, tą Indianką z rozkwaszonym nosem, i oczekiwaliby teraz dziecka, a za dwa lata chciałby się truć gazem. Proponujesz mu złoto, on tymczasem woli gówno!

Perorowała tak dalej wzbudzając we mnie grozę. Renling był nastroszony. Nie bardzo nastroszony, ale jak nocny ptak, który wie wszystko o świetle dziennym, lawiruje w nim, jeżeli musi, szorstki, wielki, w brązowe pasy, jednakże tylko wtedy, kiedy musi, a i wówczas poszybuje w gęstwą lasu i schroni się znowu w ciemności.

A ja... ja zawsze wysłuchiwałem od kobiet, że brak/ mi głębszej wiedzy o życiu, nie znam zniszczenia i cierpienia, oszalałających ekstaz i blasków, które niesie. Ponieważ nie jestem słaby i nie mam piersi, które jego groźby mogłyby razić. Ponieważ nie wyglądam na tak

silnego, aby móc podjąć równorzędną walkę z życiem. Inni chwalili się przede mną swymi osiągnięciami, działkami złotodajnymi i patentami, dowodami rajy i piekła, wydobytymi próbkami kruszców — często w grudkach, na swych twarzach — i mówili, a zwłaszcza czyniły to kobiety, o mojej ignorancji. A teraz wygrażała mi pani Renling wykrzykując, że jestem dzieckiem głupców, które z całą pewnością zostanie zgniecione u progu życia, zdeptane w życiowej walce. Bo według pani Renling zostałem stworzony do wygod, wstawania z miękkiego łóżka na obfite śniadanie, by maczać rogalik w żółtku i palić cygaro przy kawie, w słońcu, w komforcie, wolny lod trosk i zmaz. Dobrotliwa frakcja świata pragnie dla [mnie właśnie tego, jeśli zaś odrzucę tę szansę, wówczas szczerą, pochwyca mnie w swoje ręce ludzie źli. Staralem się nie lekceważyć prawdy zawartej w jej słowach, a miałem aż nadto szacunku dla władzy kobiet, aby to czynić.

Poprosiłem o czas na przemyślenie sprawy, co mogło zostać uwieńczone wielkim powodzeniem, ponieważ myśleniu sprzyjała pogoda — początek i najlepsza część jesieni, pogoda futbolowa, chłodna żółtość astrów w czystym powietrzu, odgłosy kopanej piłki i końskich kopyt na trasie konnych przejazdów.

Wziąłem sobie wolne popołudnie, żeby poradzić się Einhorna.

Szczerście Einhorna zaczęło wracać i otworzył nowe biuro przenosząc się z sali bilardowej do mieszkania po drugiej stronie ulicy, skąd mógł nadal mieć salę na oku. Ta zmiana uczyniła go nieco egotystycznym, podobnie jak fakt pojawienia się zakochanej w nim kobiety. Bardzo mu to dodało energii. Zaczął znów drukować na powielaczu swoją gazetkę dla ludzi przykutych do miejsca i zakochała się w nim jedna z jego czytelniczek, kaleka dziewczyna nazwiskiem Mildred Stark. Nie pierwszej już młodości, miała około trzydziestki, była tęga, ale o bystrej, aczkolwiek znękaniej przeciwnościami głowie i mocnych czarnych brwiach i włosach. Pisała rymowane odpowiedzi na jego natchnione wiersze, a w końcu poprosiła siostrę, by ją zawiozła do biura Einhorna, gdzie urządziła scenę i nie chciała wyjść, póki Einhorn nie obiecał, że 210 pozwoli jej u siebie pracować. Nie prosiła o zapłatę, chciała tylko, aby ją uwolnił od domowej nudy. Mildred miała kalekie stopy i chodziła w obuwiu ortopedycznym. Musiała się w nim poruszać powolutku, a jak się później miałem okazję przekonać, była osobą o szybkich i silnych impulsach, które napotykać na złe przewodniki, wracały i gromadziły się, aż jej twarz ciemniała. Mildred była, jak mówię, dość tęga, oczy miała czarne, cerę niezbyt jasną. Rozwijanie się kalekiej dziewczyny w kaleką kobietę, wśród rodziny, w domu, taka sytuacja bez wyjścia i upośledzenie przez los prowadzą do posępności, małomówności, zgęstniałego żalu. Braku tego, co trzeba, by ukazywać zadowoloną, a nie odwrotnie, twarz w oknie.

Mildred nie chciała się zgodzić, że jest skazana tylko na leżenie i powolne umieranie, choć nigdy nie wyleczyła się z tego, że wygląda jak osoba prawie w średnim wieku, posępna i urażona, niczym kobieta zmuszona do siedzenia lub ktoś, kto zawiódł się na dzieciach albo czuje się oszukany przez ludzi. To już w niej pozostało, choć dzięki miłości do Einhorna, który pozwolił się kochać, nie rozwijało się dalej. Początkowo przychodziła tylko parę razy tygodniowo, żeby mu przepisać na maszynie kilka listów, skończyło się zaś na tym, że stała się jego pełnoetatową sekretarką, a także sługą i powiernicą. Kimś, kto mógł o sobie powiedzieć w sensie dosłownie biblijnym: „Jestem służebnicą Twoją.” Popychała jego fotel na kółkach — potrzebowała tej podpórki przy powłóczeniu nogami, kuśtykaniu. On zaś siedział zadowolony, obsługiwany. Wydawał się surowy i nawet zniecierpliwiony, ale naprawdę było inaczej. Nastrój, w jakim go zastałem, był nastrojem kogucim, co rozumiem jako męską zadziorność, ostrość, twardość mięśni i krew w grzebieniu, podrygującym, pysznym, hardym i płomiennym, przy zmysłowym falowaniu piór.

Ach, lecz są jeszcze inne fakty, którym należy uczynić zadość po tym porównaniu. Tak jest, niestety. Ludzkość nie zna tego rodzaju prostoty — zamiast pojedynczego śladu zaznaczonego na ziemi patykiem, mamy do czynienia z brzdami ogromnej brony o nieprzeliczonych talerzach. Duch Einhorna był zadziorny, ale należy też

wymienić jego kiepską cerę, zniszczoną wiekiem, poszarzałą, poza tym brzydotę nowego mieszkania, nudę godzin, jałowość dni, marność i ponurość — wspomnieć, że ulica była ogołocona, ciemna i ospała, zła; że za-przątały go myśli o interesach i bezkształtne narodziła dążeń, straszne i groźne, z egzemą hałasów i nowin, wysypką i plamami kłamstw, zarówno przydatnych jak i niczym nie uzasadnionych.

Tillie Einhorn, o ile można się było zorientować, pogodziła się z obecnością Mildred. Einhorn oddziaływał na Tillie w taki sposób, że posądzenie go o cokolwiek złego przerastało jej siły. Poza tym należy wziąć pod uwagę ludzkie uwarunkowania, które są dla ludzi jak szewskie kopyto dla buta, a tym kopytem dla Tillie stały się specjalne potrzeby Einhorna jako kaleki. Przywykła do tolerancji.

Tak więc wyglądała sytuacja Einhorna, kiedy przyszedłem prosić go o radę. Był zbyt zajęty, by móc mi poświęcić wiele uwagi. Przez cały czas, kiedy mówiłem, patrzył na ulicę, a potem poprosił, żebym go zawiózł do toalety, co też uczyniłem, na gęgających kółkach, które jak zawsze przydałoby się naoliwić. W końcu powiedział:

— Niezwykła sprawa. To wspaniała propozycja. Jesteś w czepku urodzony. — Ponieważ nie wysłuchał mnie uważnie, myślał, że po prostu przyszedłem mu donieść, iż państwo Renling chcą mnie adoptować, a nie, że mam zamiar odrzucić tę propozycję. Naturalnie pochłaniały go własne sprawy. Wystarczyło mi spojrzeć na Mildred Stark, aby ujrzeć przykład kogoś najpierw przywiązanego do rodziny, a potem przez nią wchłoniętego. Zakończyłem to popołudnie w śródmieściu jedząc kanapkę z wątróbką u Elfmana i przyglądając się bezrobotnym muzykom na rogu Dearborn. Spostrzegłem przechodzącego faceta nazwiskiem Clarence Ruber, więc zastukałem pierścionkiem w szybę okna, żeby mnie zauważył i wszedł porozmawiać. Znałem tego Rubera z Crane College, gdzie prowadził baseballowego totka w Enark Cafć. Był spokojny, plugawy w mowie, gładki na twarzy, z tłustym zadkiem i lśniąca asyryjską grzywką, a miał na sobie jedwabistą koszulę, żółty jedwabny 212 krawat i szary garnitur flanelowy. Przyjrząwszy się stwierdził, że i mnie się dobrze powodzi w przeciwieństwie do tych kryzysowych muzyków oraz innych gości restauracyjnych, i wymieniliśmy nowiny. Otworzył sklepik przy South Shore do spółki z wdową po kuzynie, która miała trochę pieniędzy. Handlowali lampami, obrazami, wazonami, bieżnikami na fortepiany, popielniczkami i podobnymi gratami, ponieważ zaś kuzyn z żoną byli przed kryzysem dekoratorami wnętrz mając za klientów wielkie hotele, nieźle im to szło.

- W tym jest forsa. To jeden z tych geszeftów, w których ludzie płacą za odpowiednie podejście. Świetny interes. Bo gdyby wiedzieli, mogliby kupić większość tego chlamu w sklepie z tandetą, ale nic ufają własnemu smakowi. Klientelą są kobiety — mówił — i trzeba umieć lechtać im brzuchy.

Zapytałem, co tu robi wśród muzyków.

- Mam w dupie muzyków — odparł. Wracał z Gmachu Bumhama, ze spotkania z wynalazcą gumowanej farby do łazienek, produktu wodoodpornego, który zważywszy na kontakty z hotelarstwem wdowy po kuzynie powinien uczynić Rubera bogaczem. Farba ta ma chronić ściany przed murszeniem, bo woda nie przenika przez nią do tynku. Wynalazca właśnie uruchamiał produkcję. Ruber miał osobiście zająć się sprzedażą — były w tym wielkie pieniądze. Potrzebował zatem kogoś, kto by go zastąpił w sklepie. A ponieważ miałem doświadczenie z bogatą, elegancką klientelą, więc nadawałem się w sam raz na jego miejsce.

- Nie chcę widzieć żadnych pierdolonych krewnych koło siebie, oni mnie denerwują. Więc jeśli cię to interesuje, chodź ze mną i obejrzyj sklep. Jeśli ci się spodoba, omówimy warunki.

Wiedząc, że mogę pozostać u Renlingów tylko jako ich adoptowany syn, w której to roli, jak rozumiałem, na pewno bym się udusił, a żaden inny układ po odrzuceniu ich propozycji nie był możliwy, zawarłem umowę z Ruberem. Wymyśliłem dla Renlinga historyjkę, że trafia mi się najwspanialsza w życiu okazja zrobienia interesu z kolegą ze szkolnej ławy, i wyjechałem z Evanston w atmosferze chłodu — pani Renling zeszytniała z gniewu, a jej mąż



też niezbyt gorąco życzył mi powodzenia, ale dodał, że mam do niego przyjść, gdybym kiedykolwiek potrzebował pomocy.

Wynająłem pokój w Dzielnicy Południowej, w domu przy Blackstone Avenue, cztery piętra w górę, z czego trzy po skąpym czerwonym dywanie, a jedno po słojuwatym drewnie, w ciężki kurz, następne drzwi za kibelem. Było stąd blisko do Przytulku Nelsona, a ponieważ wprowadziłem się w niedzielę rano i miałem czas, poszedłem z wizytą do babci Lausch. Zdążyła się do tej pory upodobnić, jak mi się zdawało, do reszty współmieszkańców, utraciła bowiem tak ją wyróżniającą niezależność, stała się słaba, jakaś skrecała i witając się ze mną musiała się rozejrzeć wokół, by odnaleźć swoje dawne cechy, jakby odłożyła je gdzieś na bok i zapomniała gdzie. Nie pamiętała też żalów, jakie do mnie miała, i kiedy usiedliśmy na kanapce w saloniku, między milczącymi staruszkami, zapytała:

— A jak się ma... no, jener, ten idiota? — Zapomniała imienia George'a i to mnie przeraziło. Tak, wystraszyłem się, póki nie pomyślałem, jak małą część życia w porównaniu z jego resztą spędziła z nami i jak wiele rozlewisk oraz zatoczek bywa przy starym żyłakowatym kanale. I tak jak istnieje w ludziach jakiś upór czy siła, co nie dozwala mówić o najważniejszym fakcie, który ich dotyczy, tak samo istnieje czas, kiedy ów fakt, ta prawda przestaje być przydatna — cóż mogłaby pomóc ruinie kobiety? — i jest jak plama na oczach, przesłaniająca ich dawny wyraz. Co dobrego może przynieść wobec bliskości śmierci? Chyba jedynie jakiś zysk dla tych, którzy są tej prawdy świadkami, ponieważ my, ludzkie istoty, mamy wiele powodów, by wierzyć, że ze wszystkiego można wyciągnąć korzyść, jakiś profit, nawet z najgorszych osadów, odpadów i trujących produktów ubocznych. Urok zaś leków chemicznych czy w ogóle przemysłu chemicznego polega na ogromnych możliwościach wykorzystania czegoś takiego jak węgiel, żużel, kości i gnój. Ale tak naprawdę daleko nam do możliwości wyciągnięcia korzyści ze wszystkiego. Tak, a ponadto nawet prawda potrafi wyiębnąć w samotności, w izolacji i nie żyje długo poza Bastylią; skoro zaś republikański tłum wyba- 214 wicieli jest potęgą śmierci, nie żyje wcale. Oto jak było z babcią Lausch, której zostało zaledwie kilka miesięcy życia. Której czarna odeska suknia stała się poplamiona i wyblakła; która patrzyła na mnie z rozdziawionymi ustami jak stara kocica; która być może nie bardzo się orientowała, kim jestem; której z pierwotnego faktu mającego istotne znaczenie pozostała tylko plama w oku powodująca lekkiego zezę; która stała się słaba, nawet zdzieciniała i zwariowana. Ona, zawsze przez nas uważana za tak silną i odporną na wszelkie przeciwności! To mnie dosłownie zbiło z nóg. Pomyślałem też jednak, że naprawdę pamiętała, kim jestem, i że jej dawna świadomość nie zaginęła, lecz przeszła w inną fazę niby obracającą się zbyt wolno tarcza gramofonu. Pomyślałem, że nawet cieszy się z mojej wizyty, i obiecałem jeszcze ją odwiedzić, skoro stałem się jej sąsiadem. Ale nie zdołałem znaleźć na to czasu, a tej samej zimy babcia Lausch umarła na zapalenie płuc.

W nowej pracy nie szło mi od samego początku. Wdowa po kuzynie Rubera była kobietą wiecznie niezadowoloną i nie bardzo mi ufała. Pani ta — nosiła w sklepie futro zarzucone na ramiona jak pelerynę i czapkę z tego samego zwierzęcia niby kolczastą koronę, a miała twarz zawsze świadomą swej niedoskonałości i z tego powodu cierpiącą, o paskudnej cerze i wąskich ustach — pani ta miała kłopoty żołądkowe i wiecznie zły humor. Nie pozwalała mi zbliżyć się w sposób, który sobie wyrobiłem z lepszą o klasę klientelą, i nie dopuszczała do co znacniejszych klientów. A w kantorze zamykała szuflady na klucz — nie chciała, żebym znał zysk. Pragnęła ograniczyć mnie do pracy na tyłach sklepu, przy pakowaniu, zawijaniu, podklejaniu i oprawianiu obrazów w ramki, owijaniu celofanem abażurów. Toteż pozostając głównie na tyłach sklepu i chodząc na posyłki do rozmaitych małych fabryczek i pracowni garncarskich na górnych piętrach składów wokół Wash- bash Avenue, szybko zorientowałem się, że popycha mnie ku drzwiom. I kiedy tylko gumowana farba weszła do produkcji, stałem się jej sprzedawcą, co, jak przypuszczam, było od początku zamiarem Rubera. Oświadczył mi, że prawdę mówiąc nie jestem w sklepie potrzebny,

skoro się godzę na rolę chłopca na posyłki i nie interesuję się należycie, gdy idzie o handel.

— Myślałem, że będziesz wnosił własne pomysły, a nie tylko brał pensję, ale tak się nie stało.

— No cóż — odparłem — to pani Ruber miała co do mnie własne pomysły.

— Oczywiście — rzekł Ruber — widziałem, że usiłuje cię odsunąć od cycka. Rzecz w tym, że jej na to pozwoliłeś.

Odebrał mi pensję i zostawił na procencie. Nie było rady, musiałem się zgodzić i zacząłem jeździć z puszką farby tramwajami i kolejką nadziemną po różnych hotelach, szpitalach i podobnych instytucjach usiłując zdobyć zamówienia. Zupełne fiasko. Nie mogłem znaleźć żadnych nabywców, tak kiepsko było wówczas z pieniędzmi, a poza tym miałem do czynienia z osobliwym rodzajem ludzi. Od pani Ruber dostawałem nazwiska ludzi z różnych hoteli, u których miałem się na nią powołać, a którzy wcale nie znali jej tak dobrze, jak twierdziła (lub w ogóle nie chcieli się przyznać do znajomości z nią, póki nie wytłumaczyłem, o co mi chodzi). Ponadto byli to ludzie niełatwi do uchwycenia na tylnych schodach i w pomieszczeniach gospodarczych, kremowych, wykładanych marmurami, ze służbą w liberii, staromodnych, z biskupim dostojenstwem wyposażonych budowli nad brzegiem jeziora. Wiele hoteli miało również stałe przedsiębiorstwa remontowe lub łapówkarskie układy. Kontrolowali te hotele wyznaczeni sędownie zarządcy masy upadłościowej, sami zainteresowani w sprawach ubezpieczeniowych, pracach instalatorskich, przemyśle hotelarskim, dekoracji wnętrz, barach, koncesjach i całej reszcie wzajemnie ząbwiąjącego się systemu. Skierowanie przez dyrektora do przedsiębiorcy remontowego oznacza zwyczajny wykręt. Oni wcale nie chcieli oglądać mojej gumowanej farby. Dostyc się na nich naczekałem w pokątnych biurach, a wcale nie powiem, aby to wzbudzało najlepsze nadzieje, co wkrótce stało się dla mnie jasne.

Zima była w pełni, a przy tym barbarzyńsko ostra, więc jazdy pajęczynowymi klatkami tramwajów po mieście, jazdy trwające godzinami, sprawiały, że człowiek czuł się ogłupiały jak kot na zapiecku z powodu ciasnoty wnętrza, a do tego dochodziło jeszcze coś otumaniającego w na- 216 gromadzonej masie jednakowych rzeczy, podobieństwie detali, czcionek kolumn gazetowych i cegieł budynków. Siedzenie i wożenie się tramwajem, podczas gdy się wie, że jest niebezpieczne to bycie szpulką dla nieskończonej nici lub zwojem dla materiałów z metra, skoro te jazdy są niezbyt celowe. A jeśli jest trochę słońca na zapyłonych rosistych śladach na szybie, może to nawet gorzej wpływać na psychikę od tej żelazistej szarości chmur, w brutalny i niczym nie złagodzony sposób. Nie było jeszcze cywilizacji bez miast. A miasta bez cywilizacji? Nagromadzenie tak wielu ludzi, którzy by nie oddziaływali na siebie wzajem zapładniająco, byłoby nieludzkie, o ile w ogóle możliwe. Ale nie, to jest niemożliwe, bo i ponurość rodzi własny ogień, więc to się nie może zdarzyć.

Zdobyłem jednak kilka zamówień. Karaś, szwagier Einhorna, ten z Holloway Enterprises, ulitował się nademną i kupił kilka galonów farby, aby ją wypróbować w małym hoteliku z szarą pościelą przy Van Buren Street, takim noclegowisku włóczęgów (kok) stacji kolejowej, i powiedział, że nigdy jej nie użyje w żadnym ze swoich lepszych lokali, ponieważ mocno zalatuje gumą w gorącej parze pryszniców. Dostałem też zamówienie od kumpla Rubera, lekarza, który zajmował się przerywaniem ciąży i właśnie odnawiał swój apartament. W tym wypadku Ruber próbował mnie oszukać na należnym mi procencie twierdząc, że wcale mu nie byłem potrzebny do tej transakcji. W takiej sytuacji z mićsca rzuciłbym tę robotę, gdybym nie zdążył się do tej pory nieźle zaznajomić z rubryką „Praca” w „Tribune”. Zarabiałem za mało, aby móc łożyć na utrzymanie mamy, ale przynajmniej miałem na drobne wydatki i Simon nie musiał mnie wspomagać. Narzekał oczywiście, że odszedłem od Ren-lingów. Jak miał się ożenić, skoro musiał sam utrzymywać mamę?

— Możesz zamieszkać z Cissy u mamy — odparłem. Lecz on spochmumiał na te słowa i zrozumiałem, że Cissy nie jest taka głupia, by chcieć się wprowadzić do starego mieszkania i jeszcze na dodatek opiekować teściową.

— No cóż, Simon, sam wiesz, że nie chcę zwałać wszystkiego na ciebie — powiedziałem — i zrobię, co

w mojej mocy. — Piliśmy właśnie kawę u Rakkiosa i na stoliku stała puszka tej mojej farby, a na niej leżały moje rękawiczki. Poprute w szwach rękawiczki były widomą oznaką mojego odejścia od dobrobytu. Zrobiłem się też brudny jak na komiwojażera, którego wygląd podlega prawom gwarantującym pewną niezłomność osobowości. Znalazłem się poniżej wymaganego standardu nie mogąc sobie pozwolić na czyszczenie i reperację odzieży, a/akże nie mając na to zbytnej ochoty. Warunki mego bytowania stawały się coraz surowsze i taczynałem brać lekcje człowieka przegranego JD. Do mego pokoju na górze nie dochodziło ciepło i sypiałem w nocy w skarpetkach i płaszczu. Rano schodziłem na dół do drugstore'u, żeby się ogrzać przy filiżance kawy i wyznaczyć marszrutę na ten dzień. Nosilem brzytwę w kieszeni i goliłem się w śródmieściu, używając darmowej gorącej wody, płynnego mydła i papierowych ręczników publicznych toalet, a jadałem w kafeteriach YMCA lub tanich restauracyjkach, gdzie zamiast stolików były krzesła z jedną poręczą do stawiania naczyń, i wymykałem się nie płacąc, ilekroć to było możliwe. Moja poranna nadzieja wyczerpywała się około południa i wtedy największym utrapieniem stawało się to, że nie miałem gdzie odpocząć. Mogłem próbować spędzić popołudnie w nowym biurze Einhorna—przywykł do siedzących na ławce przed barierką ludzi, którzy nie mieli nic specjalnego do roboty. Ale ponieważ kiedyś dla niego pracowałem, musiałem coś robić, dlatego mnie wysyłał zwykle w swoich sprawach. Mogłem więc zająć się własnymi, skoro już wsiadałem do tramwaju. Ponadto miałem zobowiązania wobec Simona, które nie pozwalały mi na próżniactwo, chociaż zwyczajne poruszanie się po mieście nie przynosiło samo w sobie żadnych korzyści. Zresztą nie tylko ja jeden miałem jakby zakaz tkwienia w miejscu — panował ogólny ruch wśród ludzi, których wyganiało z różnych załomów i zakątków na otwartą przestrzeń, z miejsc dla nich bezużytecznych lub niegościnnych. Za przykładem Syna Człowieczego, który nie miał miejsca, gdzie by skłonił głowę — tylko że brakło oświeconego zrozumienia tego faktu, nikt nie odgadywał, co się działo na obliczu ziemi. Ja ze swoją puszką farby nie więcej niż inni.

218

A skoro raz ruszyłem w drogę, przestały mi wystarczać tramwaje i Chicago zrobiło się za małe, by na- nim poprzestać.

Wychodząc któregoś dnia ze stacji kolei nadziemnej pod koniec wysypującej resztki śniegu zimy, napatoczyłem się na Joe Gormana, którego nie widziałem od czasu pamiętnej kradzieży. Miał na sobie przyzwoity granatowy płaszcz modnie wcięty w talii i świeżo zdjęty z formy filcowy kapelusz, wgięty u góry jak miękki bochen chleba palcami. Wybierał sobie pisma z całej ściany czasopism obok stoiska. Nos miał zadarty do góry, wyglądał czerstwo i zdrowo, jakby odczuwał dobrodziejstwa dobrego śniadania i chłodu poranka — aczkolwiek bardziej zgodnie ze swymi nawykami powinien być po całonocnej grze w pokera. Ocenivszy mnie wzrokiem, wraz z moją puszką próbki farby, szybko się zorientował, że nie wie o mnie zbyt wiele. Miałem wyraz twarzy człowieka przegranego.

— W jakiej robisz branży? — zapytał, a gdy mu wyjaśniłem, rzekł, ale bez tryumfu w głosie: — Mięczak! — Miał z pewnością rację i nawet nie starałem się zbyt wiele bronić.

— Jest to sposób, żeby poznać ludzi — odpowiedziałem — i któregoś dnia coś może z tego wyjść.

— Tak — rzekł — jedno wielkie nic. Co z tego, że poznasz ludzi... myślisz, że ktoś dla ciebie coś zrobi na piękne oczy? Da ci jakąś wielką szansę? Oni się teraz troszczą w pierwszym rzędzie o krewnych. A jakich ty masz krewnych?

I Nie wielu. Pięć Nieruchomości nadal rozwodził mleko ciężarówką, ale nie chciałem prosić go o pracę. Coblin stracił wszystko, prócz kolportażu. Tak czy owak, rzadko ich widywałem po pogrzebie Komisarza.

— Chodź, zapraszam cię na kawałek sernika—powiedział i weszliśmy do restauracji.

— Co u ciebie słyhać? — spytałem, bo nie chciałem zapytać wprost, co robi. Byłoby to niegrzeczne.

— Widujesz się z Marynarzem Bulbą?

— Z tym tępakiem? Po co? Jest teraz w jakiejś organizacji, tyra dla jakiegoś związku i to jest wszystko, do czego się nadaje. Ponadto w tym, co teraz robię, nie

219

trzeba mi takich. Ale dla ciebie miałbym coś, gdybyś chciał szybko zdobyć gotówkę.

— Czy to niebezpieczne?

— Nic takiego, co cię trapiło ostatnim razem. Sam się już za nic takiego nie chwytam. To, co teraz robię, legalnie nie jest, za to dużo łatwiejsze i bezpieczniejsze. Na czym, jak sądzisz, można się szybko dorobić?

— No, na czym?

— Na przemycaaniu przez granicę imigrantów z Kanady, z okolicy Rouse's Point do Massena Springs w stanie Nowy Jork.

- Nie — odparłem, mając w pamięci swoją rozmowę z Einhornem. — Tego nie potrafię robić.

— To nic trudnego.

— A jak cię złapią?

— Jak mnie złapią! A jak mnie nie złapią? — powiedział z jakimś dzikim humorem, szydząc ze mnie. — Chcesz, żebym laził i sprzedawał farbę? Wolałbym siedzieć w miejscu jak płomyk w gazowym piecyku, a ja nie mogę siedzieć w miejscu, bobym dostał bzik.

— To jest przestępstwo federalne.

— Nie musisz mi mówić, co to jest. Spytałem cię tylko, bo wyglądasz, jakbyś potrzebował trochę forsy. Robię te podróże dwa, trzy razy w miesiącu i mam już dość siedzenia cały czas za kierownicą. Więc jeśli chcesz się ze mną zabrać i być moim zmiennikiem w drodze do Massena Springs, dam ci pięćdziesiąt dolarów plus koszt. Potem, jeśli się zdecydujesz na resztę drogi, wyrównam ci do setki. Znajdziesz czas na przemyślenie sobie wszystkiego podczas podróży, a za trzy dni będziemy z powrotem.

Przyjąłem propozycję uważając ją za uśmiech losu. Pięćdziesiąt dolarów, na czysto, bardzo by zmniejszyło moje poczucie winy wobec Simona. Miałem wyżej uszu prób handlowania gumowaną farbą i liczyłem na to, że przy odrobinie gotówki mógłbym w jakiś tydzień, dwa znaleźć coś lepszego, może nawet poszukać sposobu dostania się z powrotem na studia, bo jeszcze niezupełnie z nich zrezygnowałem. Tak rozumowałem, kiedy zdecydowałem się jechać, a w głębi ducha pragnąłem zmienić ciśnienie, wydostać się z miasta. Co zaś się tyczy imigrantów, 220

myślałem sobie: „Czemu, u licha, mieliby nie być tutaj z nami, jeśli chcą? Mamy tu wszystkiego pod dostatkiem, wystarczy więc i dla nich, włącznie z nieszczęściami.”

Oddałem farbę Tillie Einhorn, żeby pomalowała sobie łazienkę, a wczesnym rankiem następnego dnia Joe Gorman podjechał po mnie czarnym Buickiem. Samochód był podrasowany, poznałem to po piekielnej mocy silnika. Jeszcze się dobrze nie rozsiadłem, rzuciwszy zawiniętą w gazetę koszulę na zmianę na tylne siedzenie i rozprostowawszy pod sobą płaszcz, a już byliśmy na krańcach Dzielnicy Południowej i mijaliśmy Stalownię Carnegiego; potem wydmy, kopiaste zwały siarki; dwoma zakrętami wpadliśmy i wypadliśmy z Gary i pomknęliśmy drogą na Toledo, a wtedy szybkość jeszcze się zwiększyła i paszcza silnika rozdarła się jak wszyscy diabli, nie w zadyszce, ale w swobodzie czynienia tego, do czego został stworzony.

Szczupły, z długim garbatym nosem i wypiekami na policzkach przechodzącymi wąską smugą na czoło, ściskając nerwowo koło kierownicy, Gorman miał do tego wozu dżokejskie nastawienie. Widać było, jaką odczuwa przyjemność, że wreszcie znalazł coś, w czym może się wyżyć. Zaraz za Toledo oddał mi kierownicę i chwilami przyłapywałem ukośne, sardoniczne spojrzenie, wyraz oceniającego mnie na nowo, ciemnego, podłużnego oka na jego wąskiej twarzy, w szarości zmęczenia czy też znękania nagłym pragnieniem. W końcu powiedział — jakby po raz pierwszy do mnie wprost, choć nie dosłownie:

— Dodaj gazu!

Usprawiedliwiłem się zatem, że jeszcze nie czuję należycie tego wozu, i spełniłem polecenie. Ale nie podobała mu się moja jazda, zwłaszcza że wyprzedzałem ciężarówkę na wzniesieniach z wahaniem i jeszcze na kawał drogi przed Cleveland sam usiadł za kierownicą.

Właśnie zaczął się kwiecień i popołudnia były krótkie, więc już ciemniało, kiedy dojechaliśmy do miejscowości Lackawanna. W pewnej odległości za nią zatrzymaliśmy się, żeby nabrać benzyny, a Gorman dał mi banknot, żebym kupił kilka hamburgerów w knajpce koło stacji benzynowej. Poszedłem najpierw do kibla, skąd zobaczy-

łem przez okno policjanta stanowego, który oglądał nasz samochód, po Gormanie zaś nie było ani śladu. Prześliznąłem się przez brudny, boczny korytarzyk, zajrzałem w drzwi kuchni, gdzie stary Murzyn zmywał naczynia, przemknąłem nie zauważony za jego plecami, koło pojemnika na odpadki stojącego w drzwiach, na podwórko czy pustą parcelę, gdzie zobaczyłem, jak Gorman zmyka co sił w nogach wzdłuż ściany garażu kierując się w stronę pasa drzew i krzaków, za którym zaczynały się pola. Pobiegnęm równoległe z nim mając przewagę około dziesięciu metrów i zaczekałem na niego za tymi drzewami, gdzie omal nie spotkało mnie nieszczęście, bo zrazu mnie nie poznał, a miał w ręku pistolet — broń, o której mówił mi Einhorn. Odepchnąłem jego rękę z pistoletem.

- Po coś to wyciągnął?
- Zabierz łapy, bo cię wyrznię w łeb!
- Co w ciebie wstało? Po co uciekasz przed glinami? Chodzi na pewno o przekroczenie szybkości.
- Co tam szybkość! Oni szukają tego samochodu.
- Myślałem, że jest twój!
- Nie, kradziony.

Zaczęliśmy znowu biec usłyszawszy warkot motocykla na podwórku i padliśmy w bruzdy zaoranego pola. Teren był otwarty, ale zapadł już zmierzch. Policjant podjechał do drzew i rozejrzał się, nie przeszedł jednak na drugą stronę. Mieliśmy szczęście, że tego nie zrobił, bo Gorman trzymał go cały czas na muszce opartego o kawałek darni pistoletu, a miał w sobie dość z kowboja, by strzelić, więc mało nie porzygałem się ze strachu. Tymczasem policjant zawrócił kierując światło reflektora motocykla na krzewy iglaste, a my daliśmy dyla przez zaorane pola na wiejską drogę daleko od szosy. Okolica ta była z pewnością mieszkaniem demona, błękitnawa, ze zbryloną ziemią, cuchnąca olejem, a w mroku, nie bardzo daleko za nami, z kominów Lackawanna buchało w niebo wrzenie maszynierii.

— Nie chciałeś chyba strzelać? — powiedziałem. Stał z ręką wsuniętą pod pachę uniesionego drugiego ramienia, niczym kobieta poprawiająca ramiączko. Chował w rękaw pistolet. Przypuszczam, iż obaj myśleliśmy, każdy na swój sposób, że nie stanowimy dobranej pary

222

- ja o jego próżności, że chciał być tak zawrotnie niebezpieczny, a on z pogardą, że muszę mieć gówna we krwi, albo z podobnym lekceważeniem, w stylu bywalców sali bilardowej.

— Czegoś tak biegł? — spytał.

-f- Bo widziałem, że ty biegniesz.

— Bo miałeś pietra.

— To też prawda.

— Czy ten facet w garażu widział nas obu?

— Musiał widzieć. A jeśli nie, to ktoś w tej knajpie z hamburgerami na pewno się zainteresował, gdzie się podziałem.

— Więc lepiej się rozdzielmy. Jesteśmy niedaleko od Buffalo i jutro rano o dziewiątej zabiorę cię sprzed głównej poczty.

— Zabierzesz?

— Samochodem. Będę go miał do tej pory. Masz tę dychę, którą ci dałem na żarcie... wystarczy ci. Na pewno jest jakiś autobus do miasta. Idź tą drogą w górę i wsiadaj do niego. Ja pójdę w przeciwną stronę. Przepuść parę autobusów, żebyśmy się nie znaleźli w tym samym.

Więc rozłączyliśmy się i poczułem się bez niego bezpieczniejszy.

Patrzył, jak wyruszam w drogę, szczupły, wysoki,

0 łamanej, ostrej linii ramion, kapelusza, rysów, sprawiając wrażenie miejskiego specjalisty na tym obcym sobie terenie pomiędzy miastami. Potem obrócił się szybko

1 poszedł żwawo na ugiętych nogach w dół wzgórza, szurając butami po kamieniach.

Przewędrowałem sporą odległość do pierwszego skrzyżowania z drogą prowadzącą z powrotem na szosę. Zza zakrętu padły na ścianę stodoły światła samochodu i przycupnąłem przy ziemi. Był to samochód policji stanowej, a cóż innego mógł tu robić na tej bocznej drodze, jeśli nie szukać nas? Gorman zapewne nie zatroszczył się nawet o zmianę tablic rejestracyjnych. Skręciłem wówczas w pole i postanowiłem udać się najkrótszą drogą do Lackawanna i nie spotykać się z nim w Buffalo. Był dla mnie za bardzo narwany, a jego lekceważenie prawa kłóciło się z moimi przekonaniem, więc po co miałem się taplać w błocie i czekać, aż popełni głupie przestępstwo

223

i wpakują mnie za kraty za współudział? Gdy się z nim rozstałem tam na drodze, już wtedy zacząłem o tym myśleć i właściwie od początku zdążyłem z powrotem do Chicago.

Pognałem na przelaj, bo mnie znudziło wyszukiwanie drogi, i wyszedłem na szosę w pobliżu miasta, gdzie biegnie ona skrajem jeziora Erie. Zobaczyłem tłum ładujący się ze sztandarami i transparentami do starych samochodów blokujących ruch. Sądzę, że była to jakaś organizacja bezrobotnych, wśród nich wielu weteranów, w czapkach Legionu. Czułem się zbyt skonany, aby się w tym mroku i chłodzie móc zorientować. Zbierali się do marszu na Albany albo Waszyngton, żeby zażądać zwiększenia zapomóg, i właśnie wyruszyli na spotkanie z grupą z Buffalo. Zbliżywszy się powoli zobaczyłem, że wokół jest mnóstwo policji stanowej usiłującej odblokować ruch, a także policji miejskiej, więc pomyślałem, że będzie bezpieczniej wmieszać się w tłum niż starać się wejść do miasta. W świetle lamp zobaczyłem, jaki jestem oblepiony błotem, za mokrym, żeby się dało oczyścić. Było tyle wrzasku, zamieszania z manewrującymi starymi maszynami mającymi uformować się w kolumnę, że podszedłem od tyłu do jednego z tych gruchotów i pomagając kierowcy Maść deski, które miały służyć jako ławki, a także zakładać plandekę mogłem uchodzić w mroku za jego pomocnika. Tak oto, choć byłem na granicy La-ckawanna, miałem mimo wszystko wyruszyć do Buffalo. Mogłem z powrotem pójść w pole i wejść do miasta z innej strony, ale pomyślałem sobie, że tak utyłanego błotem zaraz mnie zgarnie policja.

Kiedy przywiązywałem plandekę przy szoferce, tłum zaczął się powoli rozstępować i po rzucanych w przód i tył błyskach, które go malowały na żółto i czerwono, poznałem, że to samochód policyjny. Wkrótce zobaczyłem samo źródło tych błysków obracające się gładko na dachu. Odwróciłem się na stopniu szoferki, żeby się przyjrzeć i tak, jak mi podszepnął strach, ujrzałem siedzącego na tylnym siedzeniu pomiędzy dwoma policjantami Joe Gormanem ze strużką krwi na brodzie, co wskazywało, że prawdopodobnie wdał się z nimi w bójkę, w której pełniąc swe policyjne obowiązki rozkwasił mu 224 wargę. To mu groziło, gdy jechał cały ten szmat drogi, i tego się doigrał, a nie wyglądał na oszołomionego, lecz całkowicie przytomnego — choć mogło to być złudzenie, bo i czerwień jego krwi wydawała się czarna. Strasznie byłem zrozpaczony, gdy to zobaczyłem.

Samochód policyjny odjechał, my zaś ruszyliśmy ciężarówką z powolnym kołysaniem, coś ze dwudziestu mężczyzn ściśniętych bok przy boku za nie tłumionym rykiem silnika. Pogoda była paskudna — po pierwszej deszcz i wdzierająca się pod plandekę wilgoć, co sprawiało, że ludzkie opary zalatywały wyciekami popłuczek z mleczarni, i gdyśmy tak jechali z chłupotem błota, z podskakiwaniem na wybojach, myślałem cały czas o niedoli Joe Gorman, którego złapała policja, i w jaki sposób go przydybała i czy miał szansę chwycić za pistolet. Nie widziałem zza plandeki mijanej w drodze stacji benzynowej i czy samochód, który zostawiliśmy, jeszcze tam stoi, w ogóle nic. Póki ciężarówka nie wjechała do miasta, nie widziałem nic.

Wyskoczyłem z tyłu ciężarówki w środku miasta i poszukałem hotelu, gdzie przez głupotę nie zapytałem o cenę noclegu, ale bardziej troszczyłem się o to, żeby urzędnik w recepcji nie zobaczył, jaki jestem ubłocony, i wszedłem z płaszczem przewieszonym przez ramię. Poza tym byłem tak znękany tym, co się stało z Joe Gormanem, że o niczym innym nie myślałem. Więc kiedy rano zdarli ze mnie dwa dolary, czyli mniej więcej dwa razy tyle, ile taka pchlarzka powinna kosztować, i opłaciłem obfite śniadanie, które było mi bardzo potrzebne, nie miałem już pieniędzy na bilet autobusowy do Chicago. Zadepeszo wałem do Simona, żeby mi trochę przysłał telegraficznie, a potem poszedłem obejrzeć sobie główną ulicę i wybrałem się na wycieczkę do Niagara Falls, gdzie chyba nikt tego dnia nie miał żadnego specjalnego interesu, prócz kilku zabłąkanych osób przy tym wielkim wodogrzmocie, na podobieństwo wczesnych jaskółek na placu, zanim katedra Notre Dame otworzy podwoje; wiesz wtedy, w tej ponurej martwej mgle, że był czas, kiedy siarczany chłód nie paraliżował wszystkiego, czego dowodzi sama obecność katedry.

Spacerowałem więc przy barierze koło ociekających

wodą czarnych skał, póki znów nie zaczęło siąpić, i wróciłem, żeby się przekonać, czy nadeszła odpowiedź Simona. Pytałem tak o nią do późnego popołudnia, aż w końcu panienkę w okienku zaczął wyraźnie nudzić mój widok, i zrozumiałem, że mam przed sobą perspektywę następnej nocy w Buffalo albo wyruszenia w drogę. A byłem otepiały od tych kłopotów, tego pędu i ucieczki, widoku Gormana w samochodzie policyjnym przeciskającym się przez tłum, a potem straszliwego spadku wód Niagary, i także od telepania się tramwajami Buffalo, gryząc fistaszki i twarde bułki, żołądek miałem jak z gumy, i tego miasta nieprzyjaznego, mokrego — bo gdybym nie był w stanie otepienia, prędzej zdałbym sobie sprawę, że Simon nie przyśle mi nic. Ale nagle uświadomiłem to sobie. Mógł nawet nie mieć skąd ich wziąć, tuż po pierwszym, gdy trzeba płacić za mieszkanie.

Pomyślawszy o tym powiedziałem panience, że przestaję czekać na przekaz, wyjeżdżam z miasta.

Nie chcąc, aby mnie złapano na drogach północnej części stanu Nowy Jork, kupiłem na stacji linii Greyhound bilet autobusowy do Erie i z wieczora znalazłem się w Pensylwanii. Wsiadłszy z autobusu w Erie nie odniosłem wrażenia, że przybyłem dokądkolwiek, że to miejscowość sama w sobie i dla siebie, ale raczej miejscowość, która czeka, aż inne ją okalające tchną w nią życie, ponieważ jej własne jest słabiutkie, ledwie co zmaterializowane, oczekujące.

Znalazłem sobie miejsce do spania w wysokim oszalowanym deszczułkami hotelu, czymś w rodzaju szkieletu budynku, z większą ilością łąt na ścianach wewnątrz niż tynku, z dziurami w prześcieradłach, przez które prześwitywał materac i wiele plam. Lecz nie dbałem o to, gdzie się znalazłem, żeby się nie dręczyć, i zrzuciwszy buty położyłem się. Sądząc z odgłosów na jeziorze był tej nocy sztorm.

Niemniej rano okazał się pogodny i ciepły, kiedy wyszedłem na szosę, aby spróbować złapać jakąś okazję. Nie byłem sam, ludzie wylegli na szosy. Czasem podróżowali po dwóch, ale najczęściej pojedynczo, bo samotnie łatwiej złapać okazję. W oddali widać było ludzi z Cywilnego Korpusu Konserwacyjnego, którzy osuszali 226

bagna i sadzili drzewa, a na drogach mnogość wędrowców, która nie miała na celu żadnego Jeruzalem ani Kijowa, ani całowania żadnych relikwii, ani oczyszczenia się z grzechów, tylko nadzieję, że w następnym mieście szanse okażą się lepsze. Przy takiej konkurencji bardzo trudno złapać okazję. Pozory świadczyły na moją niekorzyść, bo ubranie od Renlingów było zarazem eleganckie i bładne. Poza tym w pragnieniu jak najspieszniejszego oddalenia się od kawałka drogi koło Lackawanna, skąd zgarnięto Joe Gormana, nie mogłem długo stać cierpliwie i machać ręką, ale co chwila ruszałem piechotą.

Koło mnie przemykały z rykiem i dygotem samochody, a gdy doszedłem do pewnego miejsca w pobliżu Ash- tabula, w stanie Ohio, gdzie linia kolejowa Nickel Plate podchodzi niemal do szosy, zobaczyłem pociąg towarowy podążający do Cleveland z ludźmi siedzącymi na dachach wagonów bydłowych, na lorach i w załomach pod platformami, a jeszcze dziesięciu facetów biegło za pociągiem i czepiało się wagonów. Pobiegnęłam i ja z niefortunnej szosy na tłuczniowy nasyp, poczułem cienkość własnych podeszew i chwyciłem się drabinki. Nie byłem zwinny, więc biegłem obok czerwonego wagonu nie mogąc odbić się od ziemi, póki ktoś nie podsadził mnie od tyłu. Nie wiem kto, pewnie któryś z podobnie jak ja biegnących, kto nie chciał, żebym powyrywał sobie ręce ze stawów albo połamał nogi.

Wspiąłem się więc na dach. Był to wysoki wagon bydłowy przykryty szerokimi czerwonymi deskami. Daleko w przodzie raz po raz odzywał się powolny dzwon, a ja siedziałem w licznej kompanii, surowym tłumie pasażerów na gapę linii Nickel Plate. Spod desek dolatywały odgłosy poruszających się bydła, a także ich odór. Aż do Cleveland, do jego ogromnych torowisk, zabudowanych wzgórz i wyziewów, z plewami i piaskiem wiejącym w oczy.

Rozeszła się wieść, że na torowiskach formują ekspresowy pociąg towarowy do Toledo i że ma być gotowy za parę godzin. Udałem się więc do miasta, żeby kupić coś do jedzenia. Wracając zszedłem stromą ścieżką, jak ze szczytu Pisga, u podnóża fabryk, a koło fabryki farb Sherwina Williama natknąłem się na zardzewiałe szyny

— ogromne torowiska i pagórkowate tereny po obu stronach porośnięte łądogami zielska, a wśród nich czekający ludzie: drzemiąc, czytając stare gazety, reperując odzież.

Było to popołudnie nudne i zarazem pełne napięcia, wkrótce też nadciągnął zmierzch przynosząc z sobą deszcz, a my czekając kuliliśmy się w zielsku. Wszystko to przyprawiało o mdłości i jednocześnie denerwowało. Gdy więc poznałem po fali poruszenia wzdłuż ciemniejącego toru, że nadjeżdża pociąg, puściłem się biegiem. Zdawało się, że nagle na otwartą przestrzeń i tory wysypały się całe setki ludzi, z których ci pierwsi już dopadali pociągu. Nadjechała wolno lokomotywa, wielka jak bizon, z czar- i na skorupą kotła.

Pociąg zatrzymał się z łomotem zderzaków i po chwili zaczął toczyć się do tyłu. Wracał po ostatnie wagony. W tej krótkiej chwili wskoczyłem pod platformę z węglem, w zakamarek między skośną krawędź a oś kół. Kiedy ruszyliśmy znowu naprzód, koła piszczały i sypały iskry jak kamień szlifierski, a zaczepy między wagonami napinały się i zwalniały w mechanicznej grze, która niewoliła umysł i uwagę. Zmuszała człowieka do uzmysłowienia sobie, w czym jest królestwie, kiedy tak jedzie pod tonami węgla na małej ślepej galerijce z siekącym z boku ciemnym deszczem. W tej ciasnej przestrzeni zmieściło się nas czterech; szczupły stary cwaniak, który siedział z nogami wyciągniętymi nad koła, wspartymi o żelazną belkę, podczas gdy reszta z nas trzymała je podkulone. Zobaczyłem jego twarz, kiedy zapalał peta, uśmiechniętą i trochę chorowitą, z sińcami pod oczyma jak ogniwa łańcucha. Trzymał palce w kroczu. Po drugiej stronie był młody chłopak. Czwarci z nas, o czym nie wiedziałem, póki nas nie spędzono z wagonów w Lorain, był Murzynem. Widziałem wówczas tylko jego żółty płaszcz przeciwdeszczowy, ale kiedy podszedłem do szopy przy torach, stał tam oparty o deski ściany, z zamkniętymi wielkimi oczyma, krępy, tęgi i oddychał z trudem, a wokół jego ust błyszczały kropelki potu czy deszczu.

Ekspres zatrzymał się pod Lorain. Nie był to zresztą żaden ekspres. Albo może został zatrzymany, ponieważ wiozł zbyt wielu pasażerów na gapę. Tworzyli oni nierów- 228 ny szpaler niczym pracownicy odcinka torów, którzy odstepują w nocy na bok przed reflektorami, kiedy przejeżdża pociąg, tylko że liczniejsi. Błyski latarek przechodziły od wagonu do wagonu, w miarę jak policjanci je opróżniali, a potem pociąg odjechał, oczyszczony z pasażerów, w semaforowe światła i oleisty błękit torów.

Ten tęgi chłopak—nazywał się Stoney — przyczepił się do mnie i weszliśmy razem do miasta. Z błotnistej głównej ulicy widać było port ze sztucznymi górami, stożkami piasku i węgla. W wyzbytych rysów elektrycznych twarzach żarówek zawieszonych na drągach, dźwigach, kablach, deszcz też wydawał się mało ważny, jakby bez znaczenia. Poświęciłem trochę pieniędzy na chleb, masło orzechowe, dwie butelki mleka i zjedliśmy kolację.

Minęła dziesiąta wieczór i lało jak z cebra. Nie zamierzałem wszczynać polowania na jeszcze jeden pociąg towarowy tej nocy, byłem za bardzo zmachany. Powiedziałem:

— Znajdźmy jakieś miejsce do spania. — Stoney się zgodził.

Na bocznicach znaleźliśmy wycofane z ruchu wagony, bardzo stare, przegniłe, powybrzuszone, pełne starych papierów i słomy, zalatujące smrodem dna starej beczki, co przyciąga szczury, z marglową czy grzybiastą bielą na ścianach. Ulokowaliśmy się tam, wśród odpadków, na noc. Dla bezpieczeństwa i ochrony przed chłodem zapiąłem się na wszystkie guziki i wyciągnąłem na podłódze. Początkowo było mnóstwo miejsca. Lecz aż do późna w noc ludzie wciąż przybywali, odsuwając z łoskotem drzwi, łazili tam i z powrotem nad nami, zastanawiając się głośno, gdzie się położyć. Słyszałem, jak nadchodzą szorując stopami wzdłuż rzędu wagonów, póki nasz wagon nie wypełnił się tak, że nowi przybysze zagłądali tylko i szli dalej. Nie była to pora, by leżeć bezsennie lub w półśnie, przy tym jęczeniu, chorowitych kaszlach, wśród odgłosów i zapachów wynikłych ze złego odżywiania się, szelestów papieru i słomy niczym westchnień oraz sapań niezadowolenia. A kiedy wreszcie zasnąłem, nie spałem długo, bo leżący obok mnie mężczyzna zaczął się do mnie przyciskać i początkowo myślałem, że jest to nieświadomy nawyk nocny, że przyzwyczał się z kimś



sypiać, i po prostu odsuwałem się, ale on wciąż się przysuwał. Zapewne potajemnie rozpiął rozporek, bo najpierw dotknął mojej ręki niby przez przypadek, a potem naprowadził moje palce. Miałem kłopot, żeby się od niego uwolnić, w końcu chwycił mnie za nadgarstek obiema dłońmi, więc musiałem wziąć go za łeb i trzasnąć nim o deski. Nie mogłem mu zrobić za wielkiej krzywdy, drzewo było przecież tak zbutwiałe, że nieomal miękkie, puścił mnie jednak i rzekł prawie ze śmiechem:

— Tylko nie wrzeszcz. — Odsunął się trochę ode mnie. Usiadłem i pojąłem, że jeśli się gdzieś nie przeniosę, pomyśli jeszcze, iż jego zabiegi nie są mi niemiłe. W istocie czekał i zaczął mówić z silnym drzeniem w głosie, zarówno cynicznie jak i z nadzieją, jakie to kobiety są brudne, więc kiedy to usłyszałem, wstałem wspierając się o ścianę i przestępując nad śpiącymi poszedłem tam, gdzie leżał Stoney. Zła noc — deszcz dudnił najpierw o jedną ścianę wagonu, potem o drugą, jakby ktoś zbijał gwoździami skrzynkę lub klatkę dla ptaków, a ja czułem się ogromnie smutny, niepokieszony, jak myślące zwierzę. I moje serce zachowywało się, jakby było kulą nazbyt wielką jak na moją pierś, nie z odrazy, której, muszę przyznać, nie czułem, ale z powodu całej tej powszechnej nędzy.

Położyłem się koło Stoneya, który ocknął się na chwilę, poznał mnie i zasnął. Tylko że było zimno; nad ranem śmiertelnie zimno; i raz po raz stwierdzaliśmy, że jesteśmy do siebie mocno przyciśnięci, zetknięci szczeniastyimi twarzami, i odsuwaliśmy się od siebie. Póki nie stało się zbyt zimno, by zważać, że jesteśmy sobie obcy — za bardzo dygotaliśmy — i musieliśmy do siebie przywrzeć. Zdjąłem płaszcz i nakryłem nim nas obu, ale mimo to leżeliśmy trzęsąc się z zimna.

Mieszkająca w pobliżu rodzina jakiegoś hamulcowego miała koguta, który instynktownie czy też z lekko-myślności zapał wśród wilgoci i popiołów podwórka. Ten sygnał poranny nam wystarczył. Wyszliśmy z wagonu. Czy naprawdę był dzień? Z nieba się lało, a chmury sunęły leciutko jak dym. Była w nich różowość, skąd jednak wiadomo, czy to odbłask słońca, czy kolejowych ogni? Weszliśmy na stację, gdzie stał piec rozgrzany

230  
w dole do przezroczystości i wyparowywaliśmy przy nim wilgoć z ubrań. Żar napłynął w nasze twarze.

— Postaw mi kubek kawy — rzekł Stoney.

Trzeba mi było pięciu takich dni, by wrócić do

Chicago, bo przez pomyłkę wsiadłem do pociągu do Detroit. Jakiś hamulcowy powiedział nam, że wkrótce nadjedzie pociąg do Toledo, więc poszedłem go złapać. Stoney wybrał się ze mną. Szczęście zdawało się nam dopisywać — o tej porze pociąg był prawie pusty. Mieliśmy wagon dla siebie. Zapewne wieziono w nim ostatnio jakieś meble, bo na podłodze leżała czysta wełna drzewna, wobec tego zrobiliśmy sobie z tej wełny pośłania i zasnęliśmy.

Obudziłem się, gdy słońce wpadało w drzwi wagonu z wysoka, i domyśliłem się, że pewnie już południe. Było tak późno, iż musieliśmy już minąć Toledo, a teraz z pewnością przemierzaliśmy stan Indiana. Ale te lasy dębowe, odległe farmy i rzadko widoczne bydło wcale nie przypominały krajobrazu, który oglądałem jadąc przez Indianę z Gormanem. Pociąg gnał bardzo szybko, jak na skrzydłach, sama lokomotywa i puste wagony. Potem zobaczyłem tablicę rejestracyjną stanu Michigan na ciężarówce przy przejeździe.

— Jedziemy do Detroit, musieliśmy przegapić Toledo — powiedziałem.

Ponieważ mieliśmy słońce z tyłu, a nie po lewej ręce, jechaliśmy na północ. Nie było też jak wysiąść. Usiadłem ze zwieszonymi nogami w otwartych drzwiach, znękany i spragniony, ponadto głodny, śledząc wzrokiem umykające w tył, przygotowane pod zasiew pola, lasy dębowe z twardymi, ostałymi się z ubiegłego roku brązowymi liśćmi i ogromną przestrzeń poza nimi lub jasne chmurki, potem w rozartgieniu całą ogromną Kanadę blasku.

Popołudniowe światło wkrótce ściemniało, a między pniami i drzewami zblękitniało. Miasta zmieniły charakter na przemysłowy, pojawiły się fabryki, cysterny i wagony chłodnie stojące na ślepych torach. Dziwne, ale przestałem się przejmować tym wielosetmilowym zбочnieniem z drogi, choć miałem tylko parę ćwiercdolarówek i trochę miedziaków w kieszeni, w sumie około dolara. Pewnie dlatego, że w tej jeździe o zmierzchu, wśród

późmy, tak bardzo mieszało się nędzne z fantastycznym, gdy członowaty kręgosłup pociągu mknął przeginając się na zakrętach i wszystkie te stale, rdze i krwawe barwy farb wylewały się na niebo, przestrzeń za przestrzenią, a także inne rzeczy, przestrzeń za przestrzenią.

Dymy fabryczne kładły się na wietrze. Znaleźliśmy się w podmiejskim ośrodku przemysłowym — pole bitwy, cmentarz, krater śmieci, fioletowe błyski spawalnicze, przechylone góry opon i popioły dymiące jak spienione fale przed dziobem okrętu, Hooverville powstałe ze skrzynek, plagi ognia i wojny niczym upostaciowanie wszelkich łupiestw i napoleońskich pożarów Moskwy. Pociąg zatrzymał się z łoskotem zderzaków i ze wstrząsem, więc wyskoczyliśmy. Szliśmy przez tory, kiedy ktoś chwycił nas za ramiona od tyłu i dał nam po kopniaku. Był to strażnik z ochrony kolei, w stetsonie na głowie i z pistoletem zawieszonym na przodzie kamizelki. Pijacką twarz miał czerwoną jak zimowe jabłko, a brodę zapluta ze złości.

— Pokażcie się tu jeszcze raz, to dostaniecie kulę w dupę, nie kopa! — wrzasnął. Zaczęliśmy biec, a on ciskał w nas kamieniami. Żebyśmy mógł zaczekać, aż skończy służbę, udusiłbym go gołymi rękami.

Podrałowaliśmy przez tory wypatrując obłoczków pary i cyklopih oczu lokomotyw, a także puszczonej swobodnie wagonów, bo baliśmy się, aby coś szybkiego nie wyjechało na nas po stalowych szynach leżących zimno w mroku. Trzeba też było uważać na węgiel, który przesypywał się z hurgotem na węglarkach i spadał groźnymi bryłami na ziemię. Biegliśmy i już nie czułem gniewu.

Drogowskaz na szosie powiedział nam, że znajdujemy się o dwadzieścia mil od Detroit. Kiedy staliśmy przy nim, podszedł facet, który jechał z nami pod wagonem z Cleve- land, ten o cwaniackim wyglądzie. Choć było ciemno, dostrzegłem go, gdy nadchodził drogą. Nie miał do nas żadnego specjalnego interesu, chciał tylko być z nami.

Powiedziałem do tego grubaska, Stoneya;

— Został mi dolar, który musi mi wystarczyć, póki nie wrócę do Chicago, chodź, kupimy coś do żarcia.

— Trzymaj go sobie, spróbujemy coś zwędzić — od- 232

parł. Spróbował szczęścia w kilku sklepach przy szosie i w końcu zdobył kilka czerstwych drożdżówek z dżemem.

Wioząca arkusze blachy ciężarówka zabrała nas trzech do miasta. Leżeliśmy pod plandeką, bo zrobiło się zimno. Ciężarówka wlokła się na wzniesieniach na niskim biegu i jazda trwała godzinami, wliczając wszystkie postoje. Stoney spał. Wyglądający na oprycha Cwaniak nie żywił wobec nas żadnych złych zamiarów; doczepił się tylko do nas w drodze. Kiedyśmy tak jechali późnym wieczorem do Detroit, zaczął mi opowiadać, jakie to brutalne miasto i że podobno tamtejsi policjanci są podli, a wszystko zaniedbane, ale on sam nigdy jeszcze tam nie był.

W miarę jak coraz to głębiej przenikaliśmy szeregiem świetlnych przewodów w miasto, słowa Cwaniaka wywoływały we mnie przygnębienie. Potem ciężarówka zatrzymała się i kierowca kazał nam wysiąść. Nie wiem, gdzie się znaleźliśmy; wokół pusto, cicho, po północy. Zobaczyliśmy małą restauracyjkę — wszystko inne pozamykane. Weszliśmy więc do tej knajpy zapytać, gdzie jesteśmy. Była wąska jak korytarz i wyłożona linoleum. Facet za kontuarem powiedział nam, że jesteśmy tuż przy centrum miasta, około mili, i że trafimy tam, jeśli pójdziemy wzdłuż torów tramwajowych biegnących od najbliższego skrzyżowania.

Kiedy wychodziliśmy, zobaczyliśmy samochód policyjny czekający z otwartymi drzwiami i blokującego nam drogę policjanta, który powiedział:

— Wsiadać.

W samochodzie siedziało dwóch tajniaków, więc musiałem trzymać Cwaniaka na kolanach, a Stoney leżał na podłodze. Ten Stoney to był młodziutki chłopak. Nikt nic nie mówił. Zawieźli nas na posterunek — betonowy, z małymi okienkami dookoła i celami u dołu schodów w głębi, niedaleko biurka sierżanta.

Policjanci zatrzymali nas na uboczu, bo właśnie rozpatrywano inną sprawę — widzieliśmy kilka twarzy o osobliwie dzikim wyglądzie w elektrycznym świetle lampy z biurka i sierżanta wielkiej tuszy, o białej tłustej twarzy, który przewodniczył przesłuchaniu. Wśród przesłuchiwanym znajdowała się kobieta i aż trudno było uwierzyć, że jest zapluta w jakąś awanturę, ponieważ wyglądała

skromnie, jak krawcowa, z zieloną kokardą przy kapeluszu. Obok niej stali dwaj mężczyźni, jeden z krwawym ulem bandaży na chwiejącej się głowie, drugi milczący wzgardliwie, z rękami przyciśniętymi do piersi. On to właśnie był podobno stroną winną. Mówię „podobno”, ponieważ sprawę relacjonował policjant, jako że wszyscy troje byli głuchoniemi. Ze słów policjanta wynikało, że ten facet zaatakował drugiego młotkiem. Z tej kobiety to kawał choleryjnej kurwy gotowej się położyć na lada skinienie, a ten skurwysyn najwięcej rozrabia w całej społeczności głuchoniemych, mimo że babka wygląda jak skromna nauczycielka. Powtarzam tylko to, co policjant powiedział sierżantowi.

— Ja myślę — rzekł — że ten biedny dureń uważał się za jej narzeczonego i przyłapał ją z tym drugim gościem.

— Na czym?

— Boja wiem. Zależy, jak bardzo jest drażliwy. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby była bez majątek.

— Ciekawe, dlaczego oni są tacy lubieżni. Biją się o baby więcej niż Italcy. — powiedział sierżant. Cała emfaza na jego twarzy skupiała się w jednym oku, reszta pozostawała nieprzeniknionym murem. Ramię obleczone rękawem było bardzo grube; nie chciałem go ujrzeć w akcji. — Czemu oni muszą się tak cały czas tłuc? Może dlatego, że mówią rękami.

Stoney i Cwaniak uśmiechnęli się, pragnąc pokazać policjantom, że też mają poczucie humoru.

— Jest tam co pęknięte pod tym bandażem?

— Założyli mu parę szwów na bańce.

Zwoje bandaża na skrwawionych włosach pchnięto ku światłu, żeby sierżant mógł zobaczyć.

— No dobra — rzekł przyjrzawszy się — zamknąć ich do czasu, aż znajdziemy tłumacza, a jak nie znajdziemy, wykopać ich z samego rana na ulicę. Co by zrobili z takim rozrabiaką w poprawczaku? W każdym razie noc w ciupie da im do zrozumienia, że nie są sami na tym świecie i me mogą zachowywać się tak, jakby byli sami.

Teraz przyszła kolej na nas i cały czas martwiłem się, czy przypadkiem nie zatrzymano nas w związku z aresztowaniem Joe Gormana, zresztą rzecz mało prawdopodobna. Na mój ślad mogła ich naprowadzić tylko koszula 234

zostawiona na tylnym siedzeniu ukradzionego Buicka. I znak pralni. Była to oczywista przesada, ale już nie wiedziałem, co myśleć. Odczułem ulgę usłyszawszy, że co nas zwinęli: kradzież części samochodowych ze złomowisk.

— Nigdy przedtem nie byliśmy w Detroit — powiedziałem. — Dopiero co przyjechaliśmy.

— Tak? A skąd?

— Z Cleveland. Jedziemy autostopem.

— Jesteś cholerny łgarz. Należycie do gangu Foley'a i kradziecie części samochodowe. Aleśmy was przyłapali. Dostaniemy was wszystkich w swoje ręce.

— My wcale nie jesteśmy z Detroit. Ja jestem z Chica- co.

— A dokąd jedziesz?

— Do domu.

— No, to najlepsza droga z Cleveland do Chicago przez Detroit. Coś mi tu śmierdzi. — Zwrócił się z kolei do

Stoneya: — A co ty powiesz, skąd jesteś?

— Z Pensy.

— Z jakiej miejscowości w Pensylwanii?

— Koło Wilkes-Barre.

— I dokąd się kierujesz?

— Do Nebraski, żeby się uczyć na weterynarza.

— Kto to taki, ten weterynarz?

— Co się zajmuje końmi i psami.

— Fordami i Chevroletami, chcesz powiedzieć, ty mały zasańcu! A ty, co ty nam powiesz, skąd jesteś? — zabrał się do Cwaniaka.

— Też z Pensylwanii.

— Skąd?

— Spod Scranton. To małe miasteczko.

— Jak małe?

— Mniej więcej pięćset mieszkańców.

— Jak się nazywa?

— Niespecjalnie.

— Na pewno, no więc jak?

Cwaniak, którego oczy poruszały się w napięciu, co psuło jego wysiłki, aby uśmiechać się swobodnie, odparł:

— Nazywa się Drumtown.

— To musi być jakaś drańska dziura, jeżeli się w niej

łęgą takie szczury. Dobra, sprawdzimy na mapie, gdzie ona jest. — Otworzył szufladę.

— Nie ma jej na mapie. Jest za mała.

— Dobra, dobra, jeżeli ma nazwę, to na tej mapie musi być. Są na niej wszystkie miejscowości.

— Chciałem powiedzieć, że tak naprawdę to wcale nie jest miejscowość, tylko takie zwykłe miejsce, co się jeszcze nie zdążyło zrobić miejscowością.

— Czym się tam ludzie zajmują?

Kopią trochę węgla. Niewiele tego.

— Węgiel kamienny czy brunatny?

— Oba — odparł Cwaniak opuszczając głowę i wciąż z lekkim uśmiechem, ale dolna warga nieco mu zwiśla i żyły nabrzmiały.

— Ty należysz do gangu Foleya, przyjacielu — rzekł sierżant.

— Nie, ja jeszcze nigdy nie byłem w tym mieście.

— Sprowadź mi Jimmy'ego — rozkazał sierżant jednemu z policjantów.

Po wąskich schodkach prowadzących z dolnych cel wszedł Jimmy, stary i nieruchawy. Miał ciało starej, otyłej baby, sukienne kaptcie i zapinany z przodu na guzik sweter przytrzymujący szerokie piersi — sprawiał wrażenie, jakby z każdym oddechem po trochu umierał. Ale o ile cała jego głowa, szarozółta, siwowłosa, pochylona ze słabości, pozbawiona była określonego wyrazu, o tyle oczy wydawały się bardzo wyraziste. Było tym oczom jednak obce wszystko, prócz jednej funkcji, do której z dawna nawykły, nie miały w sobie nic osobistego.

Przyjrzał się Stonyowi i mnie i minąwszy nas spojrzął na Cwaniaka, po czym rzekł:

— Byłeś tu trzy lata temu. Obrabowałeś faceta i dostałeś za to sześć miesięcy. Trzy lata będzie w maju. Za miesiąc.

Cóż to za wielka machina klasyfikująca — mózg policyjny!

— No i co, łobuzie, Pensylwania? — powiedział sierżant.

— Tak jest, odsiedziałem sześć miesięcy, ale nie znam żadnego Foleya, naprawdę, i nigdy nie kradłem części samochodowych. Wcale się nie znam na samochodach.

236

— Zamknąć ich wszystkich.

Musieliśmy opróżnić kieszenie — szukali u nas noży, zapalek i innych przedmiotów mogących wyrządzić komuś krzywdę. Ja jednak uważam, że chodziło raczej o to, aby twoimi drobnymi przedmiotami zawładnęła wyższa władza i abyś przyjął tę stratę jako widomy znak, iż już nie jesteś panem siebie, na ulicy, gdzie zawartość kieszeni to twoja prywatna sprawa — taki był tego istotny cel. Oddaliśmy więc, co kazano, i pozwoliliśmy się poprowadzić obok cel i przypominającego zoo szelestu słomy, gdyż niektórzy z więźniów wstawali z sienników, by wyjrzeć przez kraty. Zobaczyłem rannego głuchoniemego, który leżał jak mag na swoim wyrku trzymając się za obandażowaną głowę. Doszliśmy do końca korytarza, gdzie ten z niezawodną pamięcią siedział drzemiąc lub

może tylko tępo spoczywając przez całą noc, na krześle pod rybim ogonem wstążki zwisającej od kratki wentylatora. Wsadzili nas do wielkiej celi wśród powstałej wrzawy:

<sup>L</sup> fe Nie mamy miejsca! Nie mamy tu więcej miejsca! — i różnych plugawych dźwięków, sprośnych wyzwisk i odgłosów spuszczenia wody, małych dowcipów i przekleństw. Była to naprawdę zatłoczona cela, ale wpełnięto nas mimo wszystko i radziliśmy sobie, jak się dało, siedząc w kucki na podłodze. Znajdował się tu drugi głuchoniemy, siedzący u stóp jakiegoś pijaka, skulony jak ubogi imigrant w czwartej klasie statku. Ogromna lampa paliła się przez cały czas. Było w tym świetle coś ciężącego, jak kamień zatoczony u wejścia grobu.

Potem, o brzasku, zaczęło dochodzić zza ściany wielkie, tępe dudnienie, krztuszenie, głęboki warkot ciężarówek i ciężki łoskot maszyn, a także iglousty pęd tramwajów, szybkich jak ważki.

Muszę przyznać, że nie przeżyłem wielkiego wstrząsu wskutek doznanej niesprawiedliwości. Pragnąłem tylko wydostać się i ruszyć w dalszą drogę, to prawie wszystko.

Cierpiałem nad losem Joe Gormana, schwytanego i zbitego

Jednakże, jak to odczułem wkraczając do Erie w Pensylwanii, istnieje mrok. Istnieje dla wszystkich.

Człowiek nie próbuje go zgłębiać, jak być może niektórzy sobie wyob-

237

rażają, wstępując weń jedną nogą niby do zakładu fryzjerskiego Wrześniowy Poranek. Ani się w ów mrok nie opuszcza z ciekawością gościa z zewnątrz jak ów monarcha wschodni, którego spuszczone w szklanej kuli w szuwary, aby pooglądał sobie rybki. Nie bywa też z niego zaraz wydzwigiwany po nieszczęśliwym kroku, jak Napoleon z błot Arcole, gdzie ugrzązł aż po namaszczonego nos, podczas gdy węgierskie kule odlupywały grudki gliny z brzegu rzeki. Tylko nieliczni Grecy oraz ich wielbiciele, u niestałego szczytu swojego rozwoju, gdzie przyjaźń piękna dla rzeczy ludzkich była doskonała, sądzi, iż są wyraźnie od tego mroku oddzieleni. A tymczasem oni też w nim tkwili. Mimo to owi Grecy są przedmiotem podziwu całej reszty wyrosłej z błota, nękanego głodem, szlifującej bruki, wstrząsanej wojną, trudnej, trudzącej się, kopanej w brzuch, smutnej i kruchej ludzkości, tego tłumu, czy to spod chłonnego węgiel Wezuwiusza dymów chaosu, czy z głębin kalkuckiej nocy, który dobrze wie, co go otacza.

W brudnej szarości, w zapachu ranka policjanci dali mnie i Stoneyowi chleba z kawą, a potem wypuścili. Cwaniaki zatrzymali jako podejrzanego.

— Wyoście się z miasta — powiedział. — Przenocowaliśmy was, ale następnym razem pójdziecie siedzieć za włóczęgostwo. — W porannej szarości, w szorstkości komisariatu powracający z nocnej służby policjanci oddychali z ulgą, odpinali broń, zsuwali czapki na tył głowy i zasiadali do pisania raportów. Gdyby jakiś komisariat znajdował się po sąsiedzku z domostwem Tobiasza, kiedy odwiedził je anioł, z pewnością byłby taki sam.

Podążając wzdłuż głównego nurtu ruchu ulicznego wyszliśmy na Campus Martius, który wcale nie przypomina, znanych mi skądinąd Champs de Mars. Tu wszystko jest z cegły, barwy łupku od dymów oleju i drgających w powietrzu spalin.

Ruszyliśmy tramwajem ku granicy miasta. A potem konduktor obudził mnie szturchnięciem w ramię, bo przyjechaliśmy do miejsca przesiadki, więc wyskoczyłem przekonany, że Stoney wyskoczy za mną, lecz zobaczyłem, jak śpi sobie dalej przy oknie, i moje łomotanie w szybę go nie zbudziło, kiedy tramwaj odjeżdżał z pneu- 238

matycznie zamkniętymi drzwiami. Potem odczekałem chyba z godzinę, zanim udałem się do końca linii, gdzie przebiegała szosa. Tam z kolei czekałem prawie do południa. Stoney pewnie myślał, że chciałem się go pozbyć, a to nie była prawda. Bardzo mnie przygnębiło nasze rozłączenie.

W końcu zacząłem zatrzymywać samochody. Najpierw jakaś ciężarówka zabrała mnie do Jackson. Znalazłem tam tani dom noclegowy. Następnego popołudnia zabrał mnie komiwojazer jakiegoś przedsiębiorstwa filmowego. Jechał do Chicago.

## Rozdział X

Gdy nadszedł wieczór, mieliśmy już Gary za sobą i mknęliśmy ku Dzielnicy Południowej Chicago, którego rozdziawiona paszcza zionęła ogniem i dymem. Tak jak płomienna zatoka drży w oczekiwaniu na powracających do domu neapolitańczyków. Wracasz na rodzinne wody jak ryba. A tam siedzi wielki rybi bożek, czyli Dagan. Wówczas niesiesz duszę przed oblicze Daganu jak piskorz, w swoich znajomych wodach.

Wiedziałem, że nie wracam do spokojnego i łatwego życia. A więc poczynając od najmniejszej trudności, będę musiał stawić czoło polskiej gospośi, wiecznie dopominającej się pieniędzy; następnie mamie, która z pewnością odczuła moją niesolidność, i Simonowi, który niechybnie ma w zanadrzu coś dla mnie. Byłem przygotowany na wysłuchanie twardych słów od niego — czułem, że zasłużyłem sobie na to swoją wyprawą. Sam też miałem mu coś niecoś do powiedzenia, w związku z telegramem. Czekala jednak na mnie niezwykle kłótnia rodzinna, zapalczywe użeranie się — szło o coś innego, coś dużo gorszego.

Drzwi otworzyła mi jakaś nowa, nieznaną Polka, która nie mówiła po angielsku. Sądziłem, że tamta dawna odeszła, a ta przyszła na jej miejsce, ale wydało mi się dziwne, kiedy spostrzegłem, jak zapełniła kuchnię krwawymi sercami, krucyfikami i świętymi. Skoro jednak musiała je mieć w pracy, mamie nie mogło to przeszkadzać, bo i tak ich nie widziała. Były tam również małe 240 dzieci i już zacząłem się zastanawiać, czy Simon nie przyjął na mieszkanie całej rodziny, kiedy ze sposobu zachowania tej kobiety wobec mnie zacząłem pojmować, że to już nie jest nasze mieszkanie, i wtedy weszła starsza dziewczynka w sukience szkoły parafialnej Świętej Heleny i powiedziała mi, że jej ojciec kupił te meble i przejął mieszkanie po człowieku, do którego przedtem należało. Tym człowiekiem był Simon.

— A mojej matki już tu nie ma? Gdzie moja matka?

— Ta niewidoma? Na dole, u sąsiadów.

Kreindlowie umieścili ją w pokoju Kotzie'ego, w którym było tylko jedno okratowane okienko wychodzące na przejście między domami, które ludzie skracali sobie drogę na podwórko albo gdzie przystawali, żeby się wysikać. Mama jednak odróżniała tylko światło od mroku i nie potrzebowała żadnych widoków, więc trudno powiedzieć, że była to nieuprzejmość ze strony gospodarzy, iż ją tam umieścili. Głębokie bruzdy na jej dłoniach, powstałe przy pracy w kuchni, nigdy się nie wygładziły i czułem je, gdy wzięła mnie za ręce i powiedziała łamiącym się, dziwniejszym niż kiedykolwiek głosem:

— Słyszałeś o babci?

— Nie, a co?

— Umarła.

— Och, nie!

To był cios! Przeszył mi wnętrzności jak strzała i nie mogłem się wyprostować ani poruszyć, tylko siedziałem zgięty w pół. Umarła! To było straszne widzieć oczyma wyobraźni tę staruszkę martwą, w trumnie, w grobie, z zakrytą twarzą, przywaloną ziemią, milczącą. Serce mi się ścisnęło na myśl o tym zadanym jej gwałcie. Bo to musiało być gwałtowne. Ona, która zawsze odtrącała wszelkie ingerencje jak rękę dentysty, musiała zostać wprawdzie słabsza. Mimo całej swej słabości była zaciekłą bojowniczką. Ale walczyła ubrana i na stojąco, żywa. A teraz musiałem ją sobie wyobrazić pojmaną, powaloną do grobu, leżącą nieruchomo. Było to zbyt wiele jak na mnie.

Nie wytrzymałem. Zacząłem płakać zakrywszy oczy rękawem.

— Na co oaa umarła, mamó, i kiedy?

Nie wiedziała. Przed kilku dniami, zanim sprowadziła się na dół, Kreindl jej o tym powiedział i odtąd trwa w żalobie. Tak jak to trwanie w żalobie sama rozumie.

Miała w tym swoim pokoju-jaskini tylko łóżko i krzesło. Próbowałem się dowiedzieć od pani Kreindl, czemu Simon to zrobił. Zbliżała się pora kolacji, więc była w domu. Zwykle bowiem pani Kreindl spędzała popołudnia poza domem, grając z innymi kobietami w pokera, z całą zaciekłością, z żądzą krwi. Nie pytajcie mnie, skąd brał się u niej ten spokojny wygląd wielkiej owcy, skoro wiecznie ją trawiła w skrytości gorączka hazardu i toczonych z mężem wojen.

Nie potrafiła mi nic powiedzieć o Simonie. Czy po to wszystko sprzedał, aby się ożenić? Jeszcze przed moim wyjazdem rozpaczliwie pragnął poślubić Cissy. Ale meble były stare, a w dodatku, ile ten Polak mógł za nie zapłacić? Lub w ogóle ktokolwiek, za ten przetrącony piec kuchenny? Albo łóżka, jeszcze starsze, i meble obite imitacją skóry, na których kołysaliśmy się i ślizgali, gdy byliśmy mali? Te graty pamiętały czasy ramseskich kompletów Americana, pamiętały miniony wiek. Może to mój ojciec je kupił. Same bolesne wspomnienia. Simon musiał strasznie potrzebować pieniędzy, skoro sprzedał ten sterany metal i skórę, a mamę umieścił w klitce u Kreind- lów.

Czułem ssanie w żołądku rozpytując panią Kreindl, ale nie mogłem poprosić ją o coś do zjedzenia, bo pamiętałem, że nie była zbyt hojna, kiedy o to szło.

— Masz jakieś pieniądze, mamó? — zapytałem i znalazłem w jej portmonetce tylko jedną półdolarówkę. — To dobrze, że masz trochę drobnych — powiedziałem — bo może będziesz chciała sobie kupić drosy albo batonik Hersheya. — Gdyby Simon zostawił jej jakąś forszę, na pewno wziąłbym od niej z dolara, ale mogłem jeszcze trochę wytrzymać bez jej ostatniej półdolarówki. Prośba o nią wystraszyłaby mamę, myślałem, a to byłoby już barbarzyństwem. Zwłaszcza teraz, kiedy babcia umarła. A mama i tak była wystraszona, chociaż tak samo jak podczas choroby siedziała wyprostowana i jakby w oczekiwaniu, aż boleść ustanie — jak staje tramwaj na głos

242

konduktora. Nie chciała ze mną rozmawiać o tym, co zrobił Simon, trzymała się mocno własnych domysłów. I nie pragnęła, abym cokolwiek do nich dodawał. Znałem

ją-

Zostałem dłużej, bo wyczułem, że tego chciała, w końcu jednak musiałem sobie pójść i kiedy wstając odsunąłem krzesło, powiedziała:

— Idziesz? Gdzie ty chodzisz? — Było to pytanie odnoszące się do mojej nieobecności w dniu sprzedaży mieszkania. Nie mogłem się przyznać.

— Przecież mam jeszcze ten pokój w Dzielnicy Południowej, o którym ci mówiłem.

— Pracujesz? Masz jakieś zajęcie?

— Zawsze coś się znajdzie. Nie znasz mnie? Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Odpowiadając omijałem wzrokiem jej oczy, chociaż bez potrzeby, i twarz mnie piekła, jakby była kluczem, naciętym i napiłowanym, niecnym i do podłych celów używanym kluczem.

Poszedłem do Einhorna, a na bulwarze, gdzie drzewa już zaczynały wypuszczać pąki w ulubionej purpurze chicagowskiego wieczoru kwietniowego, przesyconego zapachem węgla i krokodylich leż ze szlamu w oczyszczonych kanałach, ludzie oświetleni lampami synagogi wysypywali się na chodnik w nowych płaszczach i melonikach, z kanciastymi kopertami z aksamitu na przybory do modlitwy. Był to pierwszy wieczór Paschy, gdy Anioł Śmierci wchodził w nie oznaczone krwią drzwi, aby odebrać życie wszystkim egipskim pierworodnym, po czym Żydzi wyruszyli na pustynię. Nie mogłem przejść spokojnie; zatrzymał mnie Coblin i Pięć Nieruchomości, gdy zszedłem na jezdnię, aby obejść tłum. Stali na krawężniku i Pięć Nieruchomości schwycił mnie za rękaw.

— Spójrz!—wykrzyknął. — Kto jest dzisiaj w shul!— Obaj uśmiechali się, wymyśli, ubrani odświętnie i tryskający zdrowym męskim zadowoleniem.

— Hej, zgadnij, co się stało — rzekł Coblin.

— Co?

■— To on nie wie? — spytał Pięć Nieruchomości.

— Nie wiem. Nie było mnie w mieście, dopiero co wróciłem.

— Pięć Nieruchomości się żeni — powiedział Coblin.  
- Nareszcie. Z piękną dziewczyną. Powinieneś zobaczyć, jaki jej kupił pierścione! Tak, tak, skończyliśmy z kurwami. Tak, chłopcze, ktoś tu wpadł z kretesem.  
— Naprawdę?  
— Jak Boga kocham — rzekł Pięć Nieruchomości. — Zapraszam cię na wesele, chłopcze, od przyszłej niedzieli za tydzień w Lion's Club Hall, przy North Avenue, 0 czwartej. Przeprowadź swoją cipę. Nie chcę, żebyś miał coś przeciwko mnie.  
— Co ja mogę mieć przeciwko tobie?  
— Właśnie, nie powinieneś. Jesteśmy krewniakami  
1 chcę, żebyś przyszedł.  
— Wszystkiego najlepszego, chłopie—powiedziałem, siląc się na uprzejmość i rad, że w tym mroku nie mogą mi się dobrze przyjrzeć.  
Coblin ciągnął mnie za ramię. Chciał, żebym poszedł z nim na seder.  
— Chodź ze mną. Chodź do domu.  
Śmierząc więzieniem i nie przetrawiwszy jeszcze mojej niedoli? Nim odnalazłem Simona?  
— Nie, innym razem, dziękuję ci, Coblin — odparłem cofając się.  
— Ale dlaczego?  
— Zostaw go, umówił się na randkę. Umówiłeś się?  
— Prawdę mówiąc, muszę się z kimś spotkać.  
— Wchodzi w okres namiętności. Przyjdź ze swoją piczką na wesele.  
Kuzyn Hyman wciąż się uśmiechał, ale pomyślał zapewne o swojej córce i więcej nie nalegał. Zamknął się. W drzwiach mieszkania Einhorna spotkałem Bawackiego, jak schodził na dół, żeby wymienić bezpiecznik. Tillie wysadziła lokówką korki i na górze jedna z kobiet kuśtykała po pokoju, a druga, równie powolna z powodu tuszy i niezdecydowania, weszła ze świecami przypominając mi po raz drugi tego dnia, że to wieczór Wyjścia. W tym domu jednak nie było uroczystej kolacji ani odświętnego nastroju. Einhorn obchodził tylko jedno święto, Yom Kippur, i tylko dlatego, że obstawał przy tym kuzyn jego żony, Karaś-Holloway. — Co się stało z tym pijakiem Bawackim?

244

— Nie mógł się dostać do skrzynki z bezpiecznikami, bo piwnica jest zamknięta, więc poszedł do żony dozorecy po klucz — odparła Mildred.  
— Jeżeli ona ma w domu piwo, to pójdziemy dziś spać po ciemku.  
Nagle Tillie Einhorn ze świeczką na spodku dostrzegła mnie w blasku płomyka.  
— Spójrzcie, to Augie — powiedziała.  
— Augie? Gdzie? — spytał Einhorn rozglądając się po nierówno oświetlonym pokoju. — Augie, gdzie jesteś? Chcę cię zobaczyć.  
Podszedłem i siadłem koło niego. Poruszył ramieniem na znak, że chciałby uścisnąć mi rękę.  
— Tillie, idź do kuchni i zrób kawę. Mildred, ty też — odesłał je w kuchenny mrok. — I wyłącz tę swoją lokówkę. Oszaleję od tych ich urządzeń elektrycznych.

% Jest wyłączona te odparła Mildred głosem znużonym, lecz wiecznie przygotowanym do tych obowiązkowych odpowiedzi. Bez reszty mu posłuszna zamknęła drzwi i zostaliśmy sami. W jego nocnym sądzie. Bo przynajmniej wydawało mi się, że przybrał surowy wyraz. Podał mi rękę tylko dla formalności, same końce palców, i żebym poczuł głębię jego chłodu. A widok tych świec był dla mnie tak samo przyjemny jak tych, które się wtyka w bochen chleba i puszcza na czarne indiańskie jezioro, aby odnaleźć zwłoki opadłe na dno. Teraz biały przedziałek włosów Einhorna osunął się prawie nad samą szklaną płytę biurka, gdy próbował sięgnąć i zapalić papierosa — jak zawsze, metodyczne wysiłki i podciąganie ramion za rękawy, niby transport much przez mrówki. Potem dmuchnął dymem i przygotowywał się do zabrania głosu. Postanowiłem, że nie dam się skarcić jak dziesięcioletni chłopak za układ z Joe'em Gormanem, o którym z pewnością już wiedział. Musiałem porozmawiać z nim o Simonie. Lecz nagle odniosłem wrażenie, że nie zamierza prawić mi nauk. Musiałem się wydawać zbyt schorowany — przygnębiony, wychudły, skrajnie przyparty do muru, opadły z sił. Kiedy ostatnim razem byłem u niego, miałem na sobie warstwę tłuszczu ku z Evanston, przyszedłem się radzić, jak się odnieść do propozycji adopcji.



— Wygląda na to, że nie najlepiej ci się wiedzie.  
— Tak.  
— Gormana złapali. Jak ci się udało uciec?  
— Głupi ma szczęście.  
— Głupi? Kradzionym samochodem, nie zmieniawszy nawet tablic rejestracyjnych! Na to trzeba być kretynem! W każdym razie przywieźli go tu z powrotem. Jego fotografia była w „Timesie”. Chcesz zobaczyć? Nie, nie chciałem, bo wiedziałem, jak musiał wyglądać: między dwoma silnymi policjantami i prawdopodobnie usiłując nasunąć sobie kapelusz na oczy, o ile skrępowane ręce na to pozwalały, aby oszczędzić rodzinie widoku skierowanych wprost w kamerę oczu albo oklejonej plastrem twarzy. Zawsze tak było.  
— Dlaczego powrót zajął ci tak wiele czasu?  
— Podróżowałem na gapę i nie szczęściło mi się.  
— Ale dlaczego musiałeś jechać na gapę? Twój brat powiedział mi, że posyła ci pieniądze do Buffalo.  
— Tak powiedział? — Zmarszczyłem czoło z wysiłku. — Chce pan powiedzieć, że próbował pożyczyć od pana pieniądze?  
— Dostał je ode mnie. I jeszcze pożyczył trochę ponadto.  
— Ile? Nie dostałem od niego ani centa.  
— To źle. Byłem głupi. Powinienem sam ci je wysłać. Bee? — Wysunął język i oczy mu rozbłyły ze zdziwienia. — Podszedł mnie... więc dobrze, podszedł. Ale nie powinien był cię zawieść. Zwłaszcza że dałem mu te pieniądze niezależnie od pożyczki, którą zaciągnął dla siebie samego. Jeśli nawet był w tarapatach, to przebrał miarę.  
Poczułem się okropnie rozgoryczony i wściekły, lecz czułem, że nadciąga fala czegoś jeszcze gorszego niż obecna otchłań.  
— Co pan ma na myśli mówiąc: w tarapatach. Na co pożyczał pieniądze? Czego chciał?  
— Gdybym wiedział na co, chętnie bym mu pomógł. Pożyczyłem mu je, bo jest twoim bratem, przecież ja go prawie nie znam. Wszedł w jakieś konszachty z Wścib- skim Mutchnikiem... no, tym, któremu sprzedałem tę parcelę. Pamiętasz? Otóż ja potrafię sobie z takim radzić,

246

ale twój brat jest zielony. Wykupił udział w totku i po pierwszej grze, którą White Sox rozegrał w tym sezonie, powiedziano mu, że stracił ten udział i jeśli chce pozostać w spółce, musi wpłacić jeszcze sto dolarów... teraz już wszystkiego się dowiedziałem. Zabrali mu i te drugie sto dolarów, a jak się zaczął rzucać, dali mu w zęby. Mutchnikowi chuligani wrzucili go do rynsztoka. Oto co się stało. Przypuszczam, że wiesz, dlaczego chciał się szybko wzbogacić?

— Tak, żeby się wzbogacić.

Żeby wleźć na dupę córki Joe Flexnera, za którą szalał. Teraz jednak przestanie.

r— Czemu? Są zaręczeni.

— Zaczyna mi być żal twojego brata, choć nie jest bardzo rozgarnięty i pewnie mnie narząnął na siedemdziesiąt osiem dolarów... —Mając wciąż przed oczyma Simona pobitego i leżącego we krwi w rynsztoku, mogłem tylko słuchać i nie powiedziałem ani o babci, ani o meblach, ani o mamie wyrzuconej z domu. — Teraz już za niego nie wyjdzie — powiedział Einhorn.

— Nie wyjdzie? Akurat!

—r Kreindl mi to mówił. Znalazł dla niej narzeczonego, twojego krewniaka.

— Chyba nie Pięć Nieruchomości! — wykrzyknąłem.

— Tak, tego żółtodzioba. To jego ręka rozłoży te piękne nóżki.

— Do licha! Nie! Nie zrobią tego Simonowi!

— Już zrobili.

— Domyślam się, że on o tym wie.

— Czy wie! Poszedł do Flexnerów i zrobił awanturę, połamał krzesła. Dziewczyna zamknęła się w ubikacji i ojciec w końcu wezwał policję. Przyjechali i zabrali go.

W dodatku zaaresztowany! Cierpiałem nad losem Simona. Odchodziłem niemal od zmysłów. Byłem zdruzgotany, kiedy to sobie wyobraziłem.

— Cyniczna dziwka, co? — rzekł Einhorn. Chciał mi to wszystko uzmysłowić z dziwnie surowym spojrzeniem. — Kressyda przechodzi do obozu Greków.

— A gdzie jest teraz Simon? Jeszcze w więzieniu?

— Nie, stary Flexner wycofał oskarżenie, kiedy Simon przyrzekł, że nie będzie ich więcej niepokoił. Flexner to

247

przyzwoity chłop. Gdy zbankrutował, nie był nikomu nic winien. Sumienie by mu na to nie pozwoliło. Nie żywi też uraz. Przetrzymani twego brata przez noc i dziś rano wypuścili.

Spędził ostatnią noc w więzieniu?

Tylko jedną noc j|j| odparł Einhorn. — Już jest na wolności.

— Gdzie? Nie wie pan?

— Nie wiem. Ale gwarantuję, że nie w domu. — Kreindl doniósł mu o mamie i Einhorn przygotowywał się, aby mnie o tym powiadomić, lecz powiedziałem, że już byłem w domu. Siedziałem przed nim jak obnażony— nie wiedziałem, gdzie się udać, i nie miałem siły wyjść.

Do tej pory mieliśmy swoje prywatne życie jako rodzina, chociaż ludzie wiedzieli, że w dzieciństwie ojciec nas porzucił i żyliśmy na garnuszku Opieki Społecznej. Za czasów babci nikt, nawet opiekun społeczny Lubin, nie wiedział o nas wszystkiego. Wyteżałem swą przebiegłość w aptece darmowych leków nie ze względu na pieniądze\* ale po to, aby się nauczyć radzić sobie w życiu. Teraz nie mieliśmy żadnych sekretów, nic, co pozostałoby ukryte przed wzrokiem ciekawskich. To był zapewne wzgląd, który sprawił, iż nie powiedziałem Einhornowi najokrut- niejszej ze wszystkich rzeczy, że babcia umarła.

— Współczuję ci, a zwłaszcza twojej matce — powiedział Einhorn usiłując podnieść mnie na duchu. — Twój brat przeszedł sam siebie. Za bardzo daje się inspirować byle tyłkiem. Czemu on się do niej tak zapalił?

Pytanie to, myślałem, wynikało częściowo z zazdrości, że ktoś mógł podlegać takim inspiracjom i zapałom. Lecz w tej dziedzinie Einhorn nie zdołał również zupełnie wyzbyć się współczucia.

Kiedy tak mówił, stopniowo zatracił swój pierwotny cel, którym było pocieszenie mnie, i tak się rozsierzdził, że podwinął pięści do wewnątrz i wsparł się piersią o biurko.

— Co cię obchodzi, że go wyrolowano? Zasłużył sobie na to. Opuścił cię w nieszczęściu, sprzedał mieszkanie, wyciągnął ode mnie pieniądze mówiąc, że są potrzebne tobie, i nie dał ci powąchać nawet miedziaka. Gdyby cię było stać na szczerłość wobec samego siebie, powinienes

248

być zadowolony. Wyszłoby ci na dobre, gdybyś to powiedział, a ja bym cię bardziej cenil.

— Gdybym co powiedział? Że się cieszę, bo to wszystko jego wina? Że jak się zakochał, to przestał dbać, co z mamą? Czy też po prostu dlatego, że jest nieszczęśliwy? Z czego mam się cieszyć, panie Einhorn?

— Czy nie zdajesz sobie sprawy z przewagi, jaką masz nad nim od tej pory? Tylko się nie waz puścić mu tego płazem. Musi ci naprawić krzywdę. Teraz masz nad nim przewagę, trzymasz go za jaja. Nie rozumiesz tego? Na razie możesz przynajmniej powiedzieć, że jesteś rad, że dostał po karku. Jezu! Gdyby to mnie ktoś zrobił coś takiego, na pewno sprawiłoby mi satysfakcję, że się porządnie sparzył. W przeciwnym razie martwiłbym się, że mam coś z głową nie w porządku. Dobrze mu tak! Dobrze, dobrze!

Nie wiem, czemu Einhorn wziął się do mnie z taką dzikością, graniczącą z jakąś nowo rozbudzoną rozpaczą. Zapomniał nawet zrobić mi piekło za Gormana. Domyślałem się, że za tym wszystkim kryło się wspomnienie o tym, jak zaprzepaścił spadek Szajbusa. Nie chciał, abym się spotkał z pogardą, jaką sam żywił dla Szajbusa, ponieważ Szajbus nie wściekał się na niego. Nie, w tym poglądzie, który roztaczał przede mną z taką siłą, choć z leżącymi bezwładnie na biurku rękami, było coś więcej. Chciał powiedzieć, że skoro w dawnych wzorach postępowania nie ma bardziej skutecznych sposobów, skoro żyjemy wśród prześnionych lub straconych marzeń, winniśmy zatem, w swoim nagim kształcie ludzkiej galarety, przeprowadzać wybór lub chwycić rzeczy z mocą; winniśmy z przeciwności czerpać siłę i przeć naprzód pośród wrogów, siejąc gniew i grozę; winniśmy budować na tym, iż jesteśmy czyimiś braćmi, a nie odczuwać tylko ciężar tego faktu; winniśmy posiadać siłę głosu zdolną uciszyć inne głosy — ta sama zasada odnosi się do pojedynczych osób co do narodów, partii i państw. Takim trzeba być, a nie człowiekiem-kunczęciem, podskubywanym i podszczy- pywanym, z chudym tyłkiem i zalęknioną twarzą ze zmarszczkami smutku, ptactwem ludzkim, zewsząd prze- ganianym miotłami. Zamrugały światła, gdy Bawacki zaczął gmerać w

249

skrzynce z bezpiecznikami, i ujawniły, że zamiast wziąć sobie do serca nauki Einhorna, beczalem. Myślę, że poczuł się tym zawiedziony, może nawet wstrząśnięty. To znaczy, wstrząśnięty błędną oceną mojej zdolności zrozumienia trajektorii jego myśli, jaki powinien być człowiek. Potraktował mnie z chłodną łagodnością, jak dziewczynę.

— Nie martw się, wymyślimy coś dla twojej matki — rzekł, bo sądził, że chodzi głównie o to. Nie wiedział, że oplakiwałem również babcię. — Zdmuchnij świecę. Tillie niesie już kawę i kanapki. Możesz się przespać w pokoju Szajbusa, a jutro zastanowimy się, co robić.

Następny dzień spędziłem na poszukiwaniu Simona, ale go nie znalazłem. Nie był u mamy. Zostałem jednak w domu Kreindla, gdy siedział przy późnym śniadaniu zajadając wędzoną rybę z bułeczkami.

— Siadaj i przekaż coś — rzekł do mnie.

— Widzę, że w końcu znalazłeś żonę dla mego kuzyna — powiedziałem do tego starego zezowatego artysty patrząc, jak pod skórą grają krótkie rozwinięte mięśnie jego przedramion, kiedy obiera rybki, i jak mu pracują żuchwy.

— Ślicznotkę. A jakie ma cyckies! Ale nie miej do mnie żalu, Augie. Ja nikogo nie zmuszam. Zwing keinem. Zwłaszcza pary dumnych cyckies jak te. Znasz się na młodych dziewczynach? Musisz się znać! Więc kiedy dziewczyna ma takie rzeczy, nikomu nie da sobą rządzić. W tym właśnie twój brat popełnił błąd, próbował nią rządzić. Bardzo mi go żal. — Zniżył głos do szeptu i wypatrując, czy żona nie nadchodzi, dodał: — Na widok tej dziewczyny nawet mój mały się podnosi. W moim wieku. Baczość! W każdym razie ona jest za bardzo niezależna dla kogoś młodego. Potrzebny jej ktoś starszy, mniej zapalczywy, kto potrafi powiedzieć tak, a zrobić całkiem inaczej. Boby go zrujnowała. A Simon jest chyba za młody, żeby się żenić. Znam was obu od takich smarkaczy. Pardon, ale to prawda. Teraz jesteście duzi, a więc wygłodniali, i myślicie, że już czas się żenić, a po co ten pośpiech? Czekaj was jeszcze mnóstwo pieprzenia, zanim się ustatkujecie. Nie żałujcie sobie! Bierzcie, bierzcie, jak dają! Nigdy nie odmawiajcie. Mło-

250

dym, gorącym kobietkom, które śpiewają wam do ucha. To pokarm dla duszy! — dowodził świdrując mnie zezowatymi oczyma, stary rajfur, stręczyciel. Nawet mnie rozśmieszył, choć wcale nie było mi do śmiechu. — Poza tym, sam widzisz, jaki jest twój brat, jak się zapali, potrafi sprzedać wszystkie meble i nawet matkę wyrzucić na bruk.

Spodziewałem się, że to powie i przejdzie od własnej obrony do sprawy praktycznej — utrzymania mamy. Dawniej Kreindl był zawsze uczynnym sąsiadem, ale nie mogliśmy oczekiwać, że będzie utrzymywał mamę. Zwłaszcza że teraz Simon widział w nim największego wroga. Ponadto nie mogłem pozwolić, aby pozostała w tej ceglanej krypcie, powiedziałem więc Kreindlowi, że poszukam czegoś dla niej.

Poszedłem zaapelować do Lubina, z Opieki Społeczny, na ponurą Wells Street. Lubin zawsze odwiedzał nas jako ktoś w rodzaju przyszywanego wujka, ale to było kiedyś. Teraz, w biurze, jawił się moim dojrzałym oczom inaczej. Miał w sobie coś, co unaocznilo, jacy my, biedacy, zgodnie z pragnieniem łożącej na nas społeczności, mamy być: poważni, zapięci na ostatni guzik, czyści, smutni, powściągliwi. Smutek i nieład cechujące pole jego działania uczyniły go człowiekiem rozsądnym. Tylko niejaka ciężkość oddechu przyciągająca uwagę do jego grubych nozdrzy wywoływała wrażenie zmagania i jeszcze wysiłku zachowania cierpliwości. Widziałem w tym rozrośniętym człowieku oblaskawioną małpią naturę awansowaną do spodni i biura. Jest to całkowite przeciwieństwo zniekształconego obrazu Boga, Jego podobieństwa, które na skutek grzechu zostaje wygnane z Edenu; albo tej samej złej kopii podnieconej i rozpalonej obietnicą łaski odzyskania świętości i złotej pozycji. Lubin żywił przekonanie, że nie został wygnany z Raju, lecz wyszedł z jaskiń. Był jednak poczciwym człowiekiem i to, co powiedziałem, nie jest żadnym oszczerczym wymysłem, tylko jego własnym poglądem.

Kiedy powiedziałem mu, że musimy z Simonem znaleźć mamie nowe mieszkanie, pomyślał niewątpliwie, iż pozbywamy się po kolei wszystkich — najpierw George'a, potem babci, teraz mamy. Rzekłem więc:

— Tylko chwilowo, dopóki nie staniemy na nogach, a potem postaramy się o inne mieszkanie i gospozię dla niej. — On jednak przyjął to bardzo cierpko, czemu nie należało się dziwić, bo wyglądał jak włóczęga, w zniszonym ubraniu, z zaczerwienionymi oczyma i jakbym się żywił odpadkami ze śmietników. Powiedział jednak, że może jej załatwić miejsce w Domu Niewidomych przy Arthington Street, jeżeli pokryjemy część kosztów. Sprowadzało się to do piętnastu dolarów miesięcznie.

Trudno było oczekiwać czegoś lepszego. Dał mi też kartkę do biura zatrudnienia, ale tam nic dla mnie nie mieli. Udałem się do swojego pokoiku w Dzielnicy Południowej i oddałem w zastaw większą część odzieży, smoking, sportowe ubrania i palto w kratkę. Za uzyskane w ten sposób pieniądze urządziłem mamę, a potem zacząłem szukać pracy. Będąc, jak to się mówi, w potrzebie i au pied du mur, wziąłem pierwszą pracę, jaka się nadarzyła, a jeszcze nigdy dotąd nie miałem dziwniejszej.

Załatwił mi ją Einhorn przez Karasia-Hollowaya, który miał udział finansowy w tym interesie. Były to luksusowe usługi dla psów przy North Clerk Street, wśród podejrzanych lokali, lombardów, antykwariatów i ponurych jadłodajni.

Rankami siadałem do kombi i jechałem Złotym Wybrzeżem, by zabierać psy u tylnych wejść rezydencji albo wjeżdżać po nie windami dla służby do hotelowych apartamentów nad brzegiem jeziora, i przywoziłem je do klubu — rzecz bowiem zwała się klubem.

Szefem był Francuz z Place Clichy przy końcu Mont- martre'u, psi fryzjer czy groom, czy też maitre de chiens, szorstki i ordynarny, który, jak mi mówił, występował w kraju na jarmarkach w roli zapaśniczego wabika, ucząc się jednocześnie tego drugiego zawodu. W twarzy miał coś nieludzkiego, co przejawiało się sztywnością i nagłością występowania rumieńców, jak od zastrzyku. Jego stosunek do tych zwierząt był antagonistyczny. Usiłował coś z nich wydobyć. Nie wiem co. Może chciał, aby ich koncepcja psa zgadzała się z jego koncepcją. Żył tu, w Chicago, w warunkach Ksenofontowych „Dziesięciu Tysięcy” w Persji, sam sobie bowiem prał i prasował koszule, robił zakupy, gotował posiłki w wydzielonym 252 płytami pilśniowymi kącie tego psiego pomieszczenia — który to kąt był jego laboratorium, kuchnią i sypialnią. Obecnie lepiej zdaję sobie sprawę, co to znaczy być Francuzem za granicą, jak nieprawidłowe wszystko musi się wydawać, szczególnie przy North Clerk Street.

Mieściliśmy się nie w byle ruderze, zajmowaliśmy dwa piętra dosyć nowoczesnego budynku nie opodal Złotego Wybrzeża, blisko miejsca pamiętnej Masakry w Dniu Świętego Walentego i na dodatek Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami przy Grand Avenue. Wspaniałą zaletę tej placówki, jak powiadam, utrzymywanej przez subskrybentów, stanowiło to, że była ona klubem dla psów, gdzie te czworonogi zabawiano, kąpano w parze, masowano, poddawano zabiegom pielęgnacji pazurów, strzyżono, a także rzekomo uczono dobrych manier i zmyślnych sztuczek. Opłata wynosiła dwadzieścia dolarów miesięcznie i psów nie brakowało — było ich w rzeczywistości za dużo, by móc sobie z nimi poradzić, toteż Guillaume bezustannie walczył z kierownictwem, które chciało zapelnąć klub ponad miarę. Ten klub przepełniała już i tak piekielna wrzawa. Cerberowe dławiące się śliną ujadanie przybierało najwyższe natężenie, gdy przywoziłem ostatnią partię psów i przebierałem się z szoferskiej liberii w gumowe buty i poncho. Od tego hałasu drżały szyby w świetliku. Organizacja była jednak cudowna. Guillaume naprawdę znał swój fach, a wystarczy dać ludziom trochę swobody, to ci zbudują Eskurial. Olbrzymi hałas, jak na dworcu Grand Central, był tylko głosem protestu chaosu przy zderzeniu z przepisami — pociągi odjeżdżały o czasie; psy otrzymywały, co im się należało.

Chociaż Guillaume stosował podsiarczyn częściej, moim zdaniem, niż powinien. Dawał piąures na wszystko i doliczał do rachunku. Mówił:

— Cette chienne est galeuse... to parszywa suka! — i chwycił za strzykawkę. Ponadto dawał kropelkę narkotyku co dzikszemu psom, ilekroć powstawało zagrożenie porządku, wrzeszcząc: — Ten awanturnik dostanie na swoje! — W konsekwencji odwoziłem nieraz do domu dość wyczerpane psy i niełatwo mi było wspinać się po piętrach ze śpiącym bokserem albo owczarkiem na rę-

kach i tłumaczyć kolorowej kucharce, że pies jest tylko zmęczony zabawą i igraszkami. Guillaume nie tolerował też goniących się psów. — Gruef En chasse! — A potem pytał mnie z niepokojem: — Nie stało się nic w tyle wozu? — Skąd mogłem wiedzieć, skoro siedziałem za kierownicą? Wściekał się na właścicieli za przysyłanie suk z cieczką, zwłaszcza gdy zwierzę było chienne de race i jego arystokratyczność nie została uszanowana. Domagał się od kierownictwa, aby pobierało od nich dodatkowe opłaty za podrzucanie do klubu suk w takim stanie. Każde zwierzę z rodowodem czyniło z niego dworaka, a umiał być człowiekiem wielkich manier, jeśli zechciał, i ściągał usta z wyrazem niechęci wobec osobników podłego pochodzenia. Przywoływał nas, pracowników, dwóch Murzynów i mnie, by wskazać na piękne cechy charakterystyczne takiego zwierzęcia, a muszę powiedzieć na korzyść Guillaume'a, że jego ideałem było prowadzenie atelier i występowanie w roli mistrza swego fachu, więc gdy mu się trafił do strzyżenia jakiś dobry pudel, musieliśmy rzucać wszystko i patrzeć, jak demonstruje jego zalety. Następował wówczas okres przyjaznego nastawienia i szacunku dla niego oraz łagodnego jak jagnię, zmyślnego zwierzątka. Och, nie zawsze było samo utraipenie z warczeniem i gryzieniem się piesków, w którym Marek Aureliusz upatruje podobieństwo ludzkiej codzienności, chociaż czasami rozumiem, co chciał przez to wyrazić. Zdarzała się również psia harmonia, a badawcze spojrzenia psich oczu, wielu oczu, potrafią też dać coś do myślenia.

Tylko że ta praca mnie męczyła i śmierdziałem psami. Ludzie odsuwali się ode mnie w tramwaju jak od człowieka pracującego w składzie ze skórami albo oczy robiły im się okrągłe i opuszczali kąciki ust na zatłoczonej trasie do Cottage Grove. Ponadto przeszkadzało mi w tej pracy coś pompejańskiego — ta hojność, którą obsypywano psy, a także ich zwyczaje odzwierciedlające cywilizowaną mentalność, zepsute charaktery ulubieńców, zwierciadła ludzi nerwowo chorych. W dodatku bolesna myśl, że ich miesięczne opłaty klubowe wynosiły więcej niż suma, którą ja sam płaciłem za mamę w Domu Niewidomych. Wszystko to razem co jakiś czas mnie przygnębiało.

254

Dodatkowych wyrzutów dostarczało mi zaniedbanie w pracy nad sobą samym. Powinienem być ambitniejszy. Często szukałem w gazetach wskazówek, jaki sobie obrać zawód, i zastanawiałem się, czy nie rozpocząć nauki w szkole wieczorowej, by zostać reporterem sądowym, jeśli przejawię do tego zdolności, a choćby nawet wrócić na uniwersytet i postawić sobie jeszcze ambitniejsze zamierzenia. Poza tym nierzadko myślałem o Esterze Fenchel, ponieważ obracałem się teraz na szczytach społecznych, wśród posiadaczy psów. Każde spojrzenie przez kuchenne drzwi w ów świat wyższych sfer wywoływało ze względu na nią ścisk serca i inne dziecinady. Słońce podobnych dziecinad świeci nawet wtedy, gdy wschodzą większe i gorętsze gwiazdy, aby człowieka prażyć, objąć swoim wpływem. Te nowsze gwiazdy są może bardziej krytyczne, bardziej jaskrawe, ale tamto wcześniejsze słońce jeszcze długo pozostaje.

Przechodziłem okresy chorobliwego uwielbienia, a później męki pożądania—być może z powodu przebywania wśród zwierząt. Ulica też oddziaływała jak środek wzmagający popęd płciowy przez swoje podejrzané lokaliki, cycastle fotki, nogi przybrane cekinami. Poza tym była jeszcze przyjaciółka Guillaume'a, wspaniała, luksusowa babka w średnim wieku z falującym tyłkiem i biustem niby kule sera mozzarella, która przychodziła, jak zaczynaliśmy wieczorem zamykać interes, kładła się od razu do łóżka i czekała tam na niego szeleszcząc niczym grube białe drzewo. Niewiele jednak mogłem zdziałać dla zaspokojenia swoich potrzeb. Brak pieniędzy zbyt mnie krępował, bym mógł się uganiać za spódnicami. Choć ryzykowałem spotkaniem się z Renlingami, pojechałem do Evanston, żeby odszukać swoją przyjaciółkę Willę w Gmachu Symingtona, ale zwolniła się z pracy, by wyjść za mąż. Wracając kolejną nadziemną byłem pochłonięty myślami o łożu małżeńskim, poczynaniach Pięciu Nieruchomości z Cissy i o tym, że mój brat odchodzi od zmysłów na myśl o ich ślubie i miodowym miesiącu.

Simon tymczasem trzymał się z dala ode mnie i nie odpowiadał na kartki, które zostawiałem u mamy i w innych miejscach. Wiedziałem, że musi mu być ciężko. Nie

255

dawał mamie żadnych pieniędzy, ludzie, którzy go spotykali, mówili, że wygląda bardzo kiepsko. Zrozumiałe więc, że nie chciał wystawiać nosa z takiej jak moja albo jakiejś jeszcze gorszej klitki. Nigdy jeszcze nie musiał stawać przede mną zmieszany, z koniecznością tłumaczenia się i wyjaśniania i nie miał zamiaru czynić tego teraz. Do ostatniego listu dołączyłem pięć dolarów. Przyjął tę łapówkę, oczywiście, ale nie odezwał się do mnie, póki nie mógł jej zwrócić, a stało się to dopiero w kilka miesięcy później.

Jedyną z należących do mnie rzeczy, która ocalała przy sprzedaży mebli, był zniszczony Komplet Klasyków doktora Eliota, otrzymany w podarunku od Einhorna po pożarze. Miałem go w swoim pokoju i czytywałem, kiedy tylko mogłem. I oto kiedyś, gdy się podniecałem jakimś paragrafem z von Helmholtza na rogu ulicy, w śródmieściu, między samochodami, mój dawny kolega z Crane College, Meksykanin nazwiskiem Padilla, wyjął mi książkę z ręki, żeby zobaczyć, co czytam, po czym oddał mi ją mówiąc:

— Po co się tym zajmujesz? To już przestarzałe. — Zaczął mi mówić o najnowszych rzeczach i muszę przyznać, że mnie tym zastrześlił. Następnie spytał, jak mi się powodzi, z czego wynika długa rozmowa.

W mojej matematycznej grupie Padilla uchodził za mistrza od równań. Siedział w końcu sali, pocierając wąskie czoło i pracując na wygładzonych kawałkach papieru, które inni wtykali mu pod pulpit, ponieważ nie stać go było na brulion. Wzywany do tablicy, gdy kogoś innego oblano, podchodził spieszenie w swoim brudnobiałym czy też koloru śledzia w śmietanie ubraniu, z materiału używanego do szycia najtańszych letnich czapek, w darowanych butach z Armii Zbawienia włożonych na bose nogi, również białych, i zaczynał pisać rozwiązaniem zakrywając gryzmołone kredą cyfry swoim chudym ciałem, symbole nieskończoności niby pogniecione mrówki i bzdurne greckie litery pochylone w dół aż do ostatniego znaku równości. Dla mnie w tym, że równania mogą być dla kogokolwiek tak jasne, było coś niezmiernie. Czasami dostawał pięć za swój wyczyn, kiedy wracał szybko klapiąc butami na swoje miejsce — 256

buty trzymały się luźno na nogach, bo nie miał skarpetek. Ale jego twarz, z małym nosem i ze śladami po ospie, nie zdradzała żadnych oznak zadowolenia, tak jak my je rozumiemy. W każdym razie nie była bardzo wyrazista. Często wiało od niego chłodem. A mówiąc to, nie mam na myśli jego charakteru, lecz to, że zima była sroga i czasem widywałem, jak gna po Madison Street w białym ubraniu, po śniegu, biegnąc z domu, by ogrzać się w szkole. Zawsze sprawiał wrażenie zmarzniętego, chorowitego, niechętnego do zbliżeń. Pałac meksykańskie papierosy przemierzał samotnie korytarze, często poczesując grzebieniem swoje piękne, czarne i gęste włosy.

No, ale teraz zaszły pewne zmiany. Wyglądał zdrowiej, a w każdym razie stracił te kolory purpurowego kwiatu ostu i był lepiej ubrany. Pod pachą trzymał grube tomiska.

— Jesteś na uniwersytecie? — zapytałem.

— Dostałem stypendium, żeby studiować nauki fizy- czno-przyrodnicze. A ty?

— Ja kąpię psy. Nie czujesz, że pracuję przy psach?

— Nie, nic nie czuję. Co robisz?

—r To, co powiedziałem.

Strasznie go zmartwiło, że mam takie podłe zajęcie, myję klatki, zamiatam psie kudły, i że nie jestem już studentem, tylko próbuję wczytywać się w Helmholtza, który według niego był przeżytkiem. Innymi słowy, stałem się częścią bezkształtnej szarej masy. Ludzie bardzo często odczuwali, że świat winien mi jest jakieś wyróżnienie.

— A co ja bym robił na uniwersytecie? Nie jestem tak wybitnie utalentowany jak ty, Manny.

— Nie rób z siebie matola—odparł. — Szkoda, że nie widziałeś tych gówniarzy, co tam studiują. Co sobą reprezentują, oprócz forsy? Powinieneś wybrać sobie coś, co ci najbardziej odpowiada, a potem, po czterech latach, jeśli się nawet specjalnie nie wybijesz, będziesz miał przynajmniej stopień naukowy i nie dasz byle sukinsynowi sobą pomiatać.

Moje obolałe plecy! — pomyślałem. Zawsze pozostaną ciemne moce czyhające, aby mi przyłożyć kopa, a gdybym miał dyplom, stopień poniżenia byłby tym większy i dostałbym od tego zgagi.

— Nie powinieneś tracić czasu — ciągnął. — Czy nie rozumiesz, że aby dostać byle zajęcie, musisz zdawać egzaminy, wносить opłaty, starać się o świadectwa lub dyplomy? Lepiej się nad tym zastanów. Jeżeli ktoś nie wie, jakie masz kwalifikacje, to skąd ma wiedzieć, jak cię traktować, a to może być niebezpieczne. Musisz do czegoś dojść, zrobić coś dla siebie. Jeżeli nawet po prostu czekasz, to przynajmniej musisz wiedzieć na co, musisz się w czymś wyspecjalizować. I nie możesz czekać za długo, bo ci wszystko przejdzie koło nosa.

Ale nie tyle to, co mówił, wywarło na mnie wrażenie, choć było ciekawe i zapewne prawdziwe, ile jego przyjazny stosunek do mnie. Nie chciałem go puścić, chwyciłem się go kurczowo. Wzruszyłem się, że pomyślał o mnie.

— A jak mam pójść do szkoły, Manny, skoro jestem bez grosza?

— Myślisz, że ja mam forszę? Stypendium, które dostaję, nie wystarcza, zwalnia mnie tylko z opłat czesnego. Dostaję trochę forsy z Narodowego Związku Młodzieży i zajmuję się kradzieżą książek.

— Książek?

— Takich jak te. Rąbnałem je dziś po południu. Książki techniczne, teksty. Przyjmuję nawet zamówienia. Jeśli uda mi się zwędzić jakieś dwadzieścia, trzydzieści miesięcznie i dostać od dwóch do pięciu dolarów za sztukę, to w zupełności mi wystarcza. Książki kosztują. O co chodzi, takiś uczciwy? — rzekł i zajął mi w oczy, jakby sprawdzał, czy mi się nie naraził.

— Niezupełnie. Tylko jestem zdziwiony, Manny, bo wiedziałem o tobie tylko tyle, że jesteś szatan w matematyce.

— I że jadałem raz dziennie i nie miałem palta. Wiem o tym. No cóż, teraz bardziej dbam o siebie. Chcę żyć trochę lepiej. Nie kradnę dla frajdy. Jak tylko będę mógł, przestanę.

— A jeśli cię nakryją?

— To im wyjaśnię, jaki jest mój stosunek do tej sprawy — odparł. — Nie mam złodziejstwa we krwi, nie jestem prawdziwym przestępcą. To nie jest moje główne zainteresowanie i nikt nie może sprawić, by wpłynęło na mój los. To nie jest moje przeznaczenie. Mogę mieć z tego trochę

258

kłopotów, lecz nigdy nie dopuszczę, aby to były moje kłopoty, kapujesz?

Kapowałem, ponieważ miewałem do czynienia z Joe Gormanem, który patrzył na to zagadnienie z innej strony.

Padilla był utalentowanym złodziejaszkiem, chlubił się swoją techniką. Umówiliśmy się na sobotę i pokazał mi, jak się to robi. Kiedy wyszliśmy ze sklepu, nie wiedziałem, czy wyniósł coś, czy nie, taki był w tym dobry. Na ulicy pokazał mi egzemplarz Botaniki Sinnotta czy też Chemii Schlesingera. Same cenne książki — nigdy nie przyjmował zamówień na tanie. Pokazywał mi listę, kazał wskazać jakiś tytuł, potem szedł i kradł właśnie tę, a nie inną książkę, choćby stała na półce za plecami kasjera. Wchodził do księgarni z jakimś starym tomem i kładł go na ten, który chciał wynieść. Nigdy nie chował nic pod palto, więc gdyby go przyłapano, mógłby zawsze powiedzieć, że odłożył własną książkę, aby coś obejrzeć, potem wziął ją i jeszcze jedną przez pomyłkę. Ponieważ zaraz pozbywał się skradzionej książki, nie miał u siebie w pokoju nic obciążającego. Bardzo mu pomagało, że wcale nie wyglądał jak rzezimieszek, tylko jak młody Meksykanin, o wąskich ramionach, szybkich ruchach, ale nieco przygnębiony i zupełnie nieszkodliwy, który wchodzi do sklepu, nakłada okulary i założywszy nogę na nogę zagłębia się w zagadnieniach termodynamiki lub chemii fizycznej. Swoją sukces zawdzięczał w dużej mierze temu, iż był całkowicie pozbawiony wszelkich występnych uczuć.

Istnieje stary, niezwykle, piękny obraz niderlandzki, który widziałem kiedyś w jakiejś włoskiej galerii. Przedstawia zadumanego starca idącego pustymi polami, a za nim złodzieja, który urzyna mu mieszek. Czarno odziany starzec rozmyśla zapewne o Państwie Bożym, ma jednak śmiesznie wydłużony nos, a marzenie go zbyt wyraźnie zadowala. Natomiast osobliwość postaci rzezimieszka polega na tym, iż została ona umieszczona w szklanej kuli z krzyżykiem na wierzchu, która wygląda jak cesarski symbol władzy. A zatem sens byłby taki, że ziemską władzę kradnie, podczas gdy śmieszni mędrcy są pogrążeni w zadumie o tym i przyszłym świecie, i być może

259

tracąc obecny nie będą mieli nic zarówno z niego, jak i przyszłego świata; tkwi więc w tym zabawnym obrazie ostry ból satyry i nawet malowane pole nie ma zbyt wiele uroku •— jest brzydkie.

Otóż Padilla w swym złodziejstwie wcale się nie zaliczał do ziemskiej władzy i wcale nie chciał w ten sposób dokonać podboju całego świata. To nie było jego prawdziwe powołanie. Ale cieszyło go, że jest w tym dobry, dawało mu frajdę. Zgromadził mnóstwo informacji na temat złodziei, różnych kieszonkowców, rzeźmieszków i ich rozmaitych sztuczek; o hiszpańskich kieszonkowcach, tak sprytnych, że umieli się nawet dobrać do księżyich pieniędzy pod sutanną, albo o rzymskiej szkole złodziejskiej, w której opłaty były bardzo wysokie, uczniowie bowiem podpisywali umowę, że zobowiązują się do płacenia połowy swoich zysków jeszcze przez pięć lat po ukończeniu szkoły. Wiedział dużo o chicagowskich melinach i szwindlach. To było jego hobby, jak dla innych wyniki sportowe. Fascynowało go, gdy niepozorna jednostka próbowała przybrać ładunek przeciwny do centralnego ładunku magnetycznego i tańczyć na peryferiach własny taniec. Wiedział wszystko o B-girlsach i o sposobach działania „dziewczynek” w dużych hotelach, a książką, którą najczęściej czytał, była autobiografia Chicago May, która miała zwyczaj wyrzucać przez okno ubrania swoich klientów czekającej na dole w zaułku współpracownicy i była w ogóle niezwykłą kobietą.

Sam Padilla, kiedy wyruszał, żeby się zabawić, nigdy nie kutwił — wydawał wszystko co do centa. Zaprosił mnie kiedyś do mieszkania dwu Murzynek przy Lake Park Avenue. Najpierw zrobił zakupy u Hillmana — kupił szynkę, kurczęta, piwo, pikle, wino, kawę i czekoladę holenderską — potem poszliśmy tam i spędziliśmy sobotni wieczór, a także niedzielę w tych dwóch pomieszczeniach, kuchni i sypialni. Jedynym ustronnym miejscem była toaleta, toteż wszystko odbywało się gremialnie. Odpowiadało to Padilli. Nad ranem zaczął bąkać, że powinniśmy się zamienić dziewczynami, żeby nie powstały w nas żadne uczucia wyłączności. Dziewczętom to się spodobało, przyklasnęły tej myśli. Ceniły Padillę i ducha, z jakim podchodził do sprawy, więc nie czuły się 260

skrepowane. Niczego nadto nie wzbraniało lub nie traktowano z nadmierną powagą, ale przeciwnie, z ogromną sympatią. Lepiej podobała mi się dziewczyna, którą miałem na początku, ponieważ podchodziła do rzeczy z większym zaangażowaniem i chciała, abyśmy się przytulali policzkami. Druga była wyższa i mniej ochotcza, zdawała się mieć więcej prywatnego życia, które chciała przed nami ochronić. Była w lepszym stylu, starsza.

W każdym razie cała inicjatywa należała do Padilli. Jeżeli wstawał z łóżka, żeby coś zjeść albo potańczyć, chciał, abym robił to samo. Raz po raz w ciągu nocy siadał na poduszkach i opowiadał o swoim życiu.

— Byłem kiedyś żonaty — rzekł, kiedy zeszliśmy na ten temat. — W Chihuahua, kiedy miałem piętnaście lat. Miałem dziecko, zanim sam stałem się dorosły.

Nie spodobały mi się te jego przechwałki, że pozostawił w Meksyku żonę i dziecko, ale zaraz ta wysoka powiedziała, że również ma dziecko, druga też może miała, tylko po prostu nie mówiła o tym, więc zmilczałem, bo jeśli wiele osób czyni takie samo zło, to może w tym jest coś, co nie musi być od razu takie oczywiste.

Leżeliśmy na dwóch łóżkach, cała czwórka, widoczni

O tyle, o ile na to pozwalało wpadające zza zasłon światło rozpoczynającej się niedzieli, które było białe na wschodzie, lecz odbijało się szarością na pionowych zygzakach ścian. Taki widok jak stare ściany domów murzyńskich na tych ulicach ma w sobie osobliwe dostojeństwo, jeśli nie grozę, gdzie ta zewnętrzna powłoka kryje wielkie masy ludzi, teraz niewidocznych. Jak Łaźnie Caracalli. Te wielkie ukryte masy ludzi nadrabiały braki snu w niedzielny poranek. Mniejsza z dziewcząt, która mi się podobała, leżała ze swym płaskim nosem, sennymi policzkami

I wielkimi zmysłowymi, bezmyślnymi ustami uśmiechając się leciutko, kiedy Padilla żartował. Leżeliśmy prawie do wieczora grzejąc się od dziewcząt niczym królowie, a potem wstaliśmy całując je i pieszcząc się z nimi przy ubieraniu, jeszcze zza drzwi obiecując, że znów przyjdziemy.

Wyzbyci ostatniego centa zjedliśmy kolację w mieszkaniu Padilli, jeszcze bardziej nagim niż to, które opuściliśmy, bo tamto miało przynajmniej stary dywan na



podłozie, stare wyściełane krzesła i różne dziewczęce fatałaszkę, a Fadilla mieszkał z jakimiś starymi ciotkami w wielkim mieszkaniu kolejarskim przy Madison Street, Było prawie puste. W jednym pokoju stał stół i krzesła, w drugim leżały na podłodze same materace. Staruszki siedziały w kuchni i gotowały dmuchając w węgle, ocieęzałe z otyłości, powolne, z kamiennymi twarzami i Padilla się do nich nawet nie odezwał. Zjedliśmy zupę z mielonym mięsem na dwie miski i tortille, które nam podano zawięzane w serwetkę. On uporał się szybko z jedzeniem i zostawił mnie samego przy stole, a gdy poszedłem zobaczyć, co się z nim stało, leżał już w łóżku zakryty aż po ostry nos wojskowym kocem i z włosami odrzuconymi do tyłu.

- Muszę się wyspać — powiedział, — Jutro z samego rana piszę sprawdzian.

— A jesteś przygotowany?

- Te rzeczy albo wychodzą łatwo, albo wcale nie wychodzą — odparł.

i to mi zapadło w głowę. Więc jadąc tramwajem myślałem: Oczywiście! Łatwo albo wcale. Ludzie są szaleni, kiedy porywają się na pokonywanie trudności uważając, że tak trzeba. Postanowiłem zatem spróbować czegoś nowego i na początek poeksperymentować z kradzieżą książek. Gdyby mi to łatwo poszło, rzuciłbym psi klub. A gdybym zarobił na tym, tak jak zarabia Padilla, byłoby to dwa razy tyle, ile mi płaci Guillaume, i mógłbym zacząć oszczędzać na opłacenie czesnego na uniwersytecie. Nie zamierzałem uczynić z kradzieży życiowej kariery, gdyby nawet miało mi to pójść łatwo, chciałem tylko umożliwić sobie tą drogą nowy start.

Zacząłem więc. Początkowo z podnieceniem, które ledwie mogłem znieść. Później, na ulicy, schwyciły mnie mdłości i oblał pot. Wziąłem wielką książkę, Platona *Jo wet ta*. Postanowiłem nie cackać się z sobą i doprowadzić eksperyment do końca. Zamknąłem książkę w dziesięciocentowej szafce na walizki na stacji Illinois Central, tak jak mi kazał Padilla, i natychmiast poszedłem po następną. Tym razem poszło mi już nieźle i zachowywałem się spokojnie. Najtrudniejsze dla mnie było nie wyjście ze sklepu, lecz chwila, kiedy wkładałem obie 262

książki pod pachę. Ale zaraz potem czułem się bardziej obojętny, ufny, że jeśli zostanę zatrzymany, zdolam się jakoś wytłumaczyć, zwalić całą rzecz na swoje roztargnienie i wybronić urokiem osobistym. Padilla mówił, że tajniacy nigdy nie dokonują aresztowań w sklepie, łapią człowieka za frak dopiero po wyjściu na ulicę. Jednakże w wielkich domach towarowych przechodziłem nic oglądając się za siebie do innego działu — z męskim obuwiem u Carson Pirie, ze słodyczami lub dywanami u Marshalla Fielda. Nigdy nie przyszło mi do głowy rozszerzyć działalność i kraść również inne rzeczy.

Rzuciłem psi klub wcześniej, niż planowałem, i to nie tylko dzięki ufności w swoje złodziejskie talenty, ale dlatego, że opanowała mnie gorączka czytania. Leżałem w swoim pokoju i czytałem pochłaniając drukowane słowa i stronicę jak człowiek morzony głodem. Czasem nic dostarczałem książki człowiekowi, który ją zamówił, tylko czytałem zapominając o bożym świecie. Zupełnie jakby jakiś żywy ciężar wpadł w sploty czy sieci spragnionych uczuć — chciałem go wchłonać. Padilla był wściekły i wybuchał gniewem wszedłszy do mego pokoju i ujrzawszy stosy książek, których dawno należało się pozbyć. Niebezpiecznie trzymać je u siebie. Gdyby ograniczył mnie do książek z dziedziny matematyki, termodynamiki i mechaniki, prawdopodobnie byłoby inaczej, bo nie miałem w sobie nic z Clerka Maxwella ani Maxa Plancka. Ale ponieważ zlecił mi wszystkie swoje zamówienia z dziedziny teologii, literatury, historii i filozofii, i ukradłem Dzieje papieży Rankego i Sobór Trydencki Sarpiego dla studentów seminarium, a także Burckhardta czy Mertza *Myśl europejską* w dziewiętnastym wieku, siedziałem i czytałem. Padilla zrobił mi piekło o tego Mertza, bo długo trwało, zanim skończyłem go czytać, a facet z Wydziału Historii dopominał się o tę książkę.

- Weź moją kartę i wypożycz ją sobie z biblioteki — powiedział. Ale to nie byłoby to samo. Tak jak jedzenie własnego posiłku różni się, przypuszczam, od rozdawanego w jadłodajni dla ubogich, jeśli nawet w przeliczeniu na kalorie posiada identyczną wartość — może nawet sam organizm inaczej wykorzystuje ten posiłek.

W każdym razie dowiedziałem się czegoś o nie znanym

dotąd niedostatku i zdałem sobie sprawę, w jaki sposób ogólne zamięłowanie czy pragnienie, jeszcze nim stanie się sprecyzowane czy też zanim dostrzeże swój cel, przejawia się w nudzie lub jakiejś innej udęce. A co myślałem

0 sobie samym w odniesieniu do tych wspaniałych okazji, tego okazalszego bytu książek? Więc po pierwsze dostrzegłem je. Zatem choć może nie byłem stworzony do czytania wielkiej deklaracji ani rządzenia pałatynatem, ani wysyłania wieści do Awinionu i tak dalej, mogłem widzieć, więc może była w końcu w tym, co zaszło, jakaś cząstka i dla mnie. Jak wielka cząstka? Cóż, wiedziałem, że są rzeczy, które nigdy nie wyniknąć ponieważ nie mogą wynikać, z mojego czytania. Ale ta świadomość nie odbiegała zbyt od odległej, lecz zawsze obecnej śmierci siedzącej w kąciku sypialni — chociaż tkwi w nim stale, nie zaprzestajesz miłosnych zapalów. Więc i ja nie przestawałem czytać. Siedziałem

1 czytałem. Nie pamiętając o bożym świecie, nie interesując się niczym innym — to znaczy normalną, drugorzędną, powszednią, jedynie zjawiskową, splątano-sznu- rowadlano-biletowo-pralnianą oczywistością, niesprecyzy-zowaną ponurością, nieznanymi zniewoleniami; tym życiem w kieracie rozpaczy lub życiem nawyków organizacyjnych, które ma zastąpić spokojnym trwaniem traf. No bo któż mógłby naprawdę oczekiwać zniknięcia codziennych faktów, zniknięcia więzień i znoju, owsianki, kwitów pralniczych i całej reszty, domagać się, by wszelkie chwile otrzymały rangę najwyższą, żądać, aby każdy oddychał I ostrym, w najgorszym razie pełnym gwiazd powietrzem, zburzył wszelkie ceglane, przypominające krypty pomieszczenia, wszelką ponurość i żył jak prorocy lub bogowie? Przecież wszyscy wiedzą, że takie tryumfalne życie można wieść tylko okresowo. Istnieje więc różnica zdań: jedni twierdzą, że tylko to tryumfalne życie jest realne, inni, że tylko codzienne fakty. Dla mnie rzecz nie ulegała dyskusji i zagłębiłem się w to pierwsze. f!

1 Właśnie wtedy dostałem wiadomość od Simona. Powiedział mi przez telefon, że przyjdzie oddać pięć dolarów, które mu posłałem. Oznaczało to, iż czuł się gotów stanąć przede mną twarzą w twarz — inaczej przesłałby pieniądze pocztą. Toteż gdy wszedł, od razu wyczułem, iż 264

jest nadęty jak lord i pełen bezczelności, zdecydowany mnie osadzić, gdyby mi przyszło do głowy pieklić się i wściekać. Ale kiedy zobaczył, że jestem otoczony książkami, bosy, w starym szlafroku, kiedy zauważył żółte bąble tapety i ubóstwo światła, stał się swobodniejszy i bardziej ufny. Bo najprawdopodobniej wyczuł, że się nie zmieniłem, że moje kółka obracają się zbyt swobodnie, jestem popędliwy, zbyt entuzjastyczny, czyli krótko mówiąc, trochę schlemiel. Niechby na przykład wspomniał o śmierci babci, zaraz bym się rozplakał i miałby mnie w rękę. jjntrygowało go tylko, czy jestem taki z charakteru, czy z wyboru. Jeśli z wyboru, mogłem się zmienić

Ja, ze swojej strony, byłem rad, że przyszedł i mogłem go zobaczyć. Za żadne skarby świata nie poszedłbym za radą Einhorna i nie okazałbym mu surowości. To prawda, że powinien był mi przysłać te pieniądze, kiedy zatelegrafowałem z Buffalo, ale sam wpadł wtedy w tarapaty, więc mogłem mu to wybaczyć. Pożyczką od Einhorna też nie należało się zbyt przejmować, ponieważ Einhorn sam naciągał ludzi na znacznie większe sumy, a był dostatecznie wielki i dżentelmeński, by nie jęczeć i nie krzyczeć z tego powodu. Jak dotąd więc wszystko dobrze. Ale co z mamą i mieszkaniem? Przyznaję, że to był dla mnie bolesny cios, i gdybym spotkał Simona wtedy, kiedy pędziłem po schodach do Kreindłów w poszukiwaniu mamy, skręciłbym mu kark. Lecz później, po dogłębnym przemyśleniu całej sprawy, musiałem się zgodzić, że i tak niewiele dłużej moglibyśmy utrzymywać dawny dom zapewniający mamie spokojną starość, żaden z nas bowiem nie miał w sobie nic z tego staropanień- skiego odrętwienia, jakie posiadają również starzy kawalerowie. Obaj godziliśmy się jakoś z tym rozbiciem domu. Wystarczyło, aby Simon coś powiedział na ten temat. Jeśli tego nie uczynił, to dlatego, że czuł się nazbyt winny, by móc jasno myśleć.

Myślałem, że będzie wymizerowany, on natomiast przytył. Nie sprawiało to jednak miłego wrażenia, raczej świadczyło jakby o nieodpowiednim odżywianiu. Minęła długa chwila, nim opanowałem zażenowanie spowodowane jego marszczącym twarz uśmiechem i żółtozłotą

szczecina — bardzo to do niego niepodobne, że się nie golił — ale zaraz przybrał zwyczajny wyraz i siadł splatając palce na piersi.

Było lato, późne popołudnie, i choć mieszkalem na najwyższym piętrze tego starego domu, to wielkie rozłożyste drzewo sięgało aż nad dach, więc wszystko wokół było zielone jak w lesie, lśniące; w dole zaś na trawniku odzywał się jakiś ptak wydając takie odgłosy jak stukot młotka w rurę. Mogło to nam pomóc odzyskać spokój, lecz nie pomogło.

Sądzę, że ludzie nigdy nie patrzyli na siebie tak krytycznie jak obecnie. Krewni również, oczywiście. Próbowałem tego uniknąć wobec Simona\*, niestety, nie potrafiłiśmy. Toteż każdy ze swej strony przez chwilę myślał o drugim najgorsze. Potem Simon rzekł:

— Co robisz w Dzielnicy Południowej z tymi wszystkimi książkami, chcesz zostać studentem?

— Chciałbym móc sobie na to pozwolić.

— Więc robisz jakieś książkowe interesy. ^Liche to interesy, skoro czytasz. Nigdy nie było cię stac na nic innego!! — Powiedział to z pogardą albo zamierzał powiedzieć, lecz miejsce, w którym powinna była zadźwięczeć pogarda, zabrzmiało głucho i rzekł bardzo słusznie: — Ale przypuszczam, że równie dobrze mógłbys zapytać, dokąd mój geniusz zaprowadził mnie.

— Nie muszę pytać. Wiem. Widzę.

— Jesteś na mnie zły, Augie?

— Nie — odparłem ochryple, więc rzuciwszy na mnie okiem przekonał się od razu, jak daleki byłem od gniewu. Jedno spojrzenie mu wystarczyło i opuścił wzrok. — Byłem zły, kiedy się dowiedziałem. Wszystko spadło na mnie jednocześnie, włącznie z wiadomością o babci.

— Tak, babcia umarła. Musiała być już bardzo stara. Wiedziałaś, ile miała lat? Myślę, że my nigdy... — I tak przeszedł nad tym faktem z ironią, smutkiem, nawet czcią. Zawsze śmialiśmy się z niej i przypisywali jej niezwykle cechy.

Zaraz też Simon odrzucił nadętość, z którą wszedł, i powiedział:

— Byłem cholernie głupi, że zadawałem się z tą bandą. Zabrali mi forsę i sprawili łomot. Wiedziałem, że

są  
266

niebezpieczni, ale myślałem, że dam sobie z nimi radę. To znaczy, nie myślałem, bo byłem zakochany. Zakochany! Tylko na tyle mi pozwoliła. Wieczorami na werandzie. Myślałem, że wyjdę ze skóry. Konałem z pragnienia, żeby jej tam chociaż dotknąć, i to mniej więcej wszystko, co zyskałem. — Powiedział to z gniewem, pogardliwie. Aż ciarki po mnie przeszły. — Gdy się dowiedziałem, że wzięli ślub, śniło mi się; jak się pieprzą, niczym baba z małpą. Ale jej wszystko jedno. A ty wiesz, jaki on jest. Co to za różnica, potrafi w tym dogodzić jak każdy inny. Poza tym ma pieniądze. Znaczy to, co ona uważa za pieniądze! Te parę domów. Nic. Będzie uważała, póki nie zmańdrzeje. — Teraz jego twarz zrobiła się czerwona, tym razem już nie od wzgardliwego gniewu. — Wiesz, jak nie lubię być taki i mieć takich myśli. Wstydzę się ich, szczerze mówiąc. Bo ani ona nie jest taka przewspaniała, ani on taki zły. Był dla nas dobry, kiedy byliśmy dziećmi, pamiętasz? Nie chcę się przez nią zachowywać jak pies eskimoski, który się gotów łaścić o kawałek ryby. Mierzyłem wysoko jako chłopiec. Lecz po pewnym czasie człowiek przekonuje się, na co go stać, a na co nie, zaczyna też rozumieć, że jest z początku samolubny i zazdrosny, nie dba, co stanie się z innymi, byle tylko on osiągnął swoje; zaczyna myśleć takie różne rzeczy... jak by to było dobrze, gdyby ktoś bliski umarł i uwolnił go od siebie. Dopiero potem pomyślałem, że niektórym byłoby wszystko jedno, gdybym to ja umarł.

— Co znaczy: umarł?

— Samobójczą śmiercią. Byłem tego bliski w więzieniu, tam, przy North Avenue.

Ta jego wzmianka o samobójstwie ograniczała się do stwierdzenia faktu. Simon nie starał się wzbudzić we mnie litości — nigdy jej u mnie nie szukał.

— Śmierć nie wzbudza we mnie wielkiego przerażenia, a w tobie, Augie? — spytał. Na tle masy liści wydawał się spokojniejszy, ocieęzały w pozycji siedzącej, z denkiem kapelusza odcinającym się od wariacji wygrywanych przez zielone cienie i żółte barwy listowia. — A w tobie, Augie, powiedz?

— Ja tam się do niej nie palę.

Słowa te, po dwóch czy trzech myślach, które kolejno

267

I przemknęły przez jego twarz, uspokoiły go, odprężyły, nastroiły do mnie łagodniej. W końcu się roześmiał.

— Umrzesz, jak wszyscy inni. Ale muszę przyznać, że nikt tak nie myśli, gdy na ciebie patrzy. Niezły z ciebie wesolek. Tylko nie bardzo umiesz o siebie zadbać. Każdy inny brat wyszarpałby ze mnie te pieniądze. Gdybyś to ty mi wyciął taki numer, jak ja tobie, dałbym ci dobrze w kość. A przynajmniej cieszyłbym się widząc, jak lądujesz na tyłku, tak jak ja wylądowałem. Powiedziałbym: „Dobrze ci tak. Masz za swoje!” No cóż, skoro sam nie chcesz dbać o swoje interesy, widzę, że będę musiał zrobić to za ciebie.

— Moje interesy?

— Pewnie! — rzekł trochę rozgniewany tym pytaniem. — Nie wierzysz, że myślę o tobie? Obaj się za bardzo zadajemy z pechowcami i mam już tego dosyć.

— Gdzie teraz mieszkasz? — zapytałem.

— W Dzielnicy Północnej — odparł lekceważąc fakt, że chciałem się dowiedzieć o nim czegoś konkretnego. Nie miał zamiaru mówić, czy ma w pokoju zlew, dywan czy też linoleum na podłodze lub czyjego okna wychodzą na linię tramwajową, czy ślepa ścianę innego budynku. Ta ciekawość szczegółów była u mnie normalna. Ale on nie zamierzał jej zaspokoić, ponieważ rozwodzenie się nad tymi sprawami oznaczało, iż trudno się od nich oderwać, dla niego zaś miały szybko przeminąć. — Nie zamierzam tam mieszkać na stałe — rzekł.

— Z czego żyjesz? — spytałem. — Co robisz?

— Co znaczy, z czego żyję? — piętrzył mi trudności powtarzaniem pytań. Był zbyt dumny, aby móc powiedzieć, jak się sprawy mają i jak głęboko został zraniony. W roli starszego brata, z której nigdy nie chciał zrezygnować, zawsze go cechowała swoista galanteria. Był niemądry i postąpił źle, przyszedł ziemisty i z haniebną warstwą tłuszczu, jakby przejadanie się było odpowiedzią na krach, który go spotkał — i przy tym wszystkim nie chciał mi powiedzieć, wymigiwał się od powiedzenia kilku drobiazgów. Przyjął moje pytanie jak cios wymierzony w siebie właśnie w chwili, gdy usiłował wydostać się z dna upokorzenia, i odparował ów cios sztywnym ramieniem mówiąc: „Co znaczy, z czego żyję?”, jakby chcąc zapa-

268

miętać, że próbowałem go zranić lub przynajmniej sprowokować. Później przyznał się, że mył podłogi w jadalni, ale stało się to dużo później. Teraz opierał się temu. Włoczony w twarde czarne fotele — mówię tak ze względu na jego powiększoną wagę — z zapalem zebrał w garść siłę i nerwy, widziałem wręcz, jak się koncentruje, jak to czyni, i zaraz wziął się do mnie. Zrobił to z siłą większą, niż należało, niby potężny pasza. — Nie traciłem czasu — rzekł. — Pracowałem nad czymś. Myślę, że wkrótce się ożenię — powiedział i nawet się nie uśmiechnął przy tych słowach ani nie złagodził w żaden sposób ich treści.

— Kiedy? Z kim?

— Z kobietą bogatą.

— Kobietą? Kimś starszym? — Tak to zrozumiałem.

— Co się z tobą dzieje? Pewnie, że mógłbym się ożenić z kobietą starszą. Czemu nie?

— Na pewno nie mógłbyś. — Wciąż umiał mnie wprawiać w zdumienie, jakbyśmy nadal byli małymi chłopcami.

— Wcale nie musimy się o to kłócić, bo ona nie jest stara. Ma podobno około dwudziestu dwóch lat.

— Kto ci to mówił? I nawet jej nie widziałeś?

— Nie, nie widziałem. Pamiętasz tego hurtownika, mego dawnego szefa? To on mnie swata. Mam jej fotografię. Nie jest zła. Trochę przy kości... ale i ja zaczynam tyć. Nawet dosyć ładna. W każdym razie gdyby nawet nie była ładna, to jeśli hurtownik nie skłamał o jej forsie... podobno jej rodzina ma górę pieniędzy... i tak się z nią ożenię.

— Już się zdecydowałeś?

— Pewnie że tak!

— A jeśli ona cię nie zechce?

— Już ja się postaram, żeby zechciała. Sądzisz, że nie potrafię?

— Może i potrafisz, ale mnie się to nie podoba. To takie nieczułe.

— Nieczułe! — wykrzyknął z nagłym wzburzeniem. — Co w tym nieczułego? Byłbym nieczuły, gdybym pozostał, jaki jestem. Patrzę szerzej i dalej niż tylko na to małżeń-

269

stwo. Nigdy więcej nie dam się nabrać na te bzdury o nim. Na kogo spojrzeć, z wyjątkiem być może nielicznych jak ty i ja, każdy urodził się w małżeństwie. Czy widzisz w tym coś tak wyjątkowego albo cudownego, żeby robić z tego wielką sprawę? Po co się wygłupiać i chcieć z tego robić coś wielkiego i doskonałego? Przed czym cię to uchroni? Czy uchroniło kogokolwiek, tych popaprańców, głupców, kretynów, schlepperów, moczymordów, nierobów, kapusiów, tchórzy albo przyzwoitych nieszczęśników, czy jeśli wolisz, tak zwanych porządnymi ludźmi? A przecież wszyscy są żonaci lub zrodzeni z prawowitych związków. Jakże więc możesz we mnie wmawiać, że to ma jakiegokolwiek znaczenie, że Bob kocha Mary, która wychodzi za Jerry'ego? To dobre dla filmów. Czy nie widzisz, jak ludzie zachodzą w głowę, żeby poślubić kogoś z miłości, i zostają wystrychnięci na dudka? Bo kiedy szukają czegoś najlepszego, a zdaje mi się, że jest tak i w twoim przypadku, wszystko inne tymczasem im umyka. To smutne, okropne, ale prawdziwe.

Nie podzielałem jego poglądów. Dobrze o tym wiedział, choć akurat wtedy nie byłem na liście czynnych kochanków i już nie nosiłem żywej pochodni dla Estery Fenchel. Jego twarz zdała mi się twarzą człowieka, który jest w błędzie. Uważałem, że przebywa w zbytnim zgiełku życia, by móc podjąć właściwą decyzję. Ponadto wpływały na to książki, które czytałem—zauważyłem, że Simon uświadomił sobie ich wkład w mój sprzeciw i jego oczy popatrywały na nie z wyrzutem, a w spojrzeniu była również odrobina wzgardy. Ale nie mogłem z powodu czyjegogo spojrzenia lub wzgardy wyprzeć się czegoś, co brałem poważnie i z czym się w głębi ducha podczas lektury zgadzałem.

— Czemu chcesz, żebym ci koniecznie przytaknął? Jeżeli rzeczywiście wierzysz w to, co mówisz, nie powinno mieć dla ciebie żadnego znaczenia, czy się z tobą zgadzam, czy nie.

— Do diabła! — rzekł pochylając się w fotelu i patrząc na mnie rozszerzonymi oczyma. I— Nie pochlebiaj sobie, chłopcze. Jeśli naprawdę zrozumiałeś, musisz się ze mną zgodzić. Byłoby to miłe, ale też mogę śmiało obejść się bez tego. Bo chociaż nie schlebia to żadnemu z nas,  
270

jesteśmy tacy sami i tego samego chcemy. Więc rozumiesz....

Nie podzielałem jego zdania, i to nie z zarzucenia, lecz dlatego, że nie pozwalały mi fakty. Widząc jednak, że pragnie, abym był taki sam jak on, milczałem. A jeżeli mówił o tajemniczych zjawiskach pochodzenia, że organy nasze są nastawione na odbiór fal czy kwantów tej samej długości, za mało o nich wiedziałem, aby się z nim sprzeczać.

■\*rr Cóż, może jest, jak mówisz. Ale czemu sądzisz, że ta dziewczyna i jej rodzina cię zechcą?

— To znaczy, jakie są moje aktywa? Więc po pierwsze, wszyscy w naszej rodzinie jesteśmy przystojni. Nawet George, gdyby był normalny, uchodziłby za przystojnego. Babcia wiedziała o tym i sądziła, że to wykorzystamy. Prócz tego nie żenię się z bogatą dziewczyną, aby żyć z jej pieniędzy i dobrze się bawić. Ci ludzie otrzymają pełną wartość, jaką przedstawiam. Zobaczą, że nie będę się wylegiwał i na wszystko bimbał. Nie mogę. Muszę zrobić pieniądze. należę do ludzi, którzy rezygnują z tego, czego pragną, gdy tylko zdadzą sobie sprawę, co to jest. Ja pragnę pieniędzy, a to znaczy, że naprawdę ich chcę. I potrafię do nich dojść. Takie są moje aktywa. Więc chyba jestem na równi z nimi stopie.

Trudno mnie winić, że słuchałem tego z pewną dozą sceptycyzmu. Lecz ludzie o specyficznych ambicjach często takich czynów dokonują. Nie podobał mi się sposób jego mówienia, na przykład to chwalenie się, że jesteśmy przystojni — brzmiało to, jakbyśmy byli fircykami. Nie mogłem jednak pragnąć, aby i tym razem spotkał go zawód. Nie był aż tak wielkoduszny, aby móc to należycie spożytkować.

■— Pokaż jej fotografię.

Miał ją w kieszeni spodni. Dziewczyna wydawała się dość młoda i była duża, o miłej ładnej twarzy. Uznałem ją za przystojną, lecz nie o łatwym, otwartym charakterze.

— Jest ładna, mówiłem ci. Choć może trochę za tęga.

Nazywała się Charlotte Magnus.

— Magnus? Czy to nie właśnie ciężarówka Magnusa przywoziła węgiel do Einhornów?

— Jej stryja, który handluje węglem Ma cztery czy

pięć wielkich składów. A jej ojciec ma całe akry nieruchomości. Hotele. Kilka sklepów z tanimi towarami. Ja chcę się zająć węglem. W węglu jest największa forsa. Poproszę, by mi dali skład w prezencie ślubnym.

— Masz już to wszystko świetnie rozpracowane.

— Pewnie że tak. Dla ciebie też coś wymyśliłem. Co, ja także miałbym się ożenić?

— Z czasem tak, wyswatamy cię. Na razie musisz mi pomóc. Muszę mieć jakąś rodzinę. Są to podobno bardzo rodzinnie nastawieni ludzie. Nie rozumieliby naszego stosunku do sprawy, a co więcej nie spodobałby się im. Musimy to jakoś poprawić. Będą obiady i różne takie rzeczy, a prawdopodobnie także wielkie przyjęcie zaręczynowe. Nie myślisz chyba, że pojedę i przywiozę George'a, żeby go im pokazać. Muszę mieć ciebie. Potrzebne nam ubrania. Masz jakieś?

— W lombardzie.

— To je wykup. • — A za co?

— Nie masz pieniędzy? Myślałem, że prowadzisz jaJciś interes z książkami.

— Wszystkie pieniądze oddaję mamie.

— No dobra — rzekł ostro — nie bądź za mądry. Wkrótce sam zajmę się tym wszystkim. Skombinuję pieniądze.

Zastanawiałem się, gdzie jeszcze mógł znaleźć wierzyciela. Może pożyczył trochę pieniędzy od swego przyjaciela, szefa zakupów. W każdym razie po kilku dniach dostałem od Simona przekaz i kiedy wykupiłem z lombardu ubrania, przyszedł pożyczyciel jeden z moich evanston- skich garniturów. Niebawem powiadomił mnie, że poznał Charlotte Magnus. Był przekonany, że już jest w nim zakochana.

#### Rozdział XI

Teraz jest jakby mroczność Westminsteru, pora, kiedy całego mnóstwa przedmiotów nie widać wyraźnie — bo są zbyt skupione, pada deszcz wyspiarski i panuje bez- światłość Morza Północnego, wstęgi Tamizy. Mroczność, w której mimo to trzeba podejmować decyzje — a nie jest ona jedynie miejscowa. To ta sama mroczność, jaka istnieje w najsrozszych blaskach skwarnej Messyny. A chłód deszczu? On nie umniejszy żaru głupoty osiadłej w ludzkiej twarzy, nie ujmie fałszywości, nie zmieni defektów. Jest ten deszcz symbolem naszego wspólnego losu. Może oznacza, że to, czego trzeba, aby umniejszyć głupotę i splukać fałszywość, istnieje zawsze wokół nas w nadmiarze i jest nam natarczywie podsuwane — jako czarna oferta na Charing Cross, szara na Place Pereires, gdzie widać tyle rozmaitych istot pomykających tędy i owędy w wilgoci i mgłę, brązowa" w prostej zwartości Wabash Avenue. Wraz z mrocznością oferuje się więc nam rozpuszczalnik, póki coś nie zostanie zdecydowane, a te oferty, dobrodziejstwa i okazje się nie skończą.

Dom, w którym mieszkałem w Dzielnicy Południowej, był bursą studencką, gdzie w ciche wieczory dolatywało bicie zegarów uniwersyteckich i dzwonów kaplicy, i miał w sobie coś z istic średniowiecznego ścisku — w jego ciasnych murach mieściły się całe zastępy, w każdym oknie tkwiły twarze, każdy cal przestrzeni był zajęty. Miałem tam klientów na podręczniki akademickie, miałem też kilku przyjaciół. Prawdę mówiąc, znałem tam

wszystkich, a to dlatego, że Owens, stary Walijczyk, który zarządzał domem, powierzył mi odbieranie telefonów i rozdawanie poczty w małej politurowanej dziurze zwanej hallem. Czyniłem to w ramach odpłatności za czynsz. Sortowałem listy, musiałem więc z konieczności znać adresy zwrotne i treść pocztówek, a przywołując dzwonkiem ludzi do telefonu musiałem słuchać ich rozmów, ponieważ nie było tam kabiny. Owens też przysłuchiwał się tym rozmowom oraz jego siostra, stara panna prowadząca mu dom. Drzwi od ich stęchłego saloniku stały zawsze otworem — nad wszystkimi zapachami domu górował tam zapach kuchni — ja zaś na swoim posterunku na wiklinowym bujaku mogłem każdego wieczoru przez dwie godziny obserwować ich w pokolacyjnym stanie, patrzeć na kanciaste kolumny orzechowe, szal krochmalonych koronek, rżnięcia na szkle w kształcie owadziej oczu, zawile szczegóły paprotek zarówno zwiniętych w kształt główki skrzypiec jak i rozłożystych, malowidła z owocami, pełne surowości na przekór swobodzie, koła błękitnych talerzy nad boazerią. Przy pomocy tego arsenału — a nie wolno mi pominąć wielkiego kryształowego żyrandola wiszącego na trzech łańcuchach — demonstrowali swoją wolę trwania. Ich lokatorzy ciągle się zmieniali, toteż Owensowie potrzebowali takich solidnych rzeczy, aby się mogli poczuć zadowoleni na stałe, rzeczy ogromnie ciężkich.

Zaczął mnie odwiedzać Clem Tambow. Jego ojciec, ten stary polityk, zmarł i Ciem z bratem, obecnie stepującym w lokalach Loewa, podzielili między siebie pieniądze z ubezpieczenia na życie ojca. Czy to z dziwaczego poczucia taktu, czy dyskrecji, a może z przesądu, nie chciał mi powiedzieć, ile odziedziczył, ale zapisał się na uniwersytet, na psychologię, i zamieszkał nie opodal.

— Co powiesz na to, że stary zostawił mi tyle forsy? — rzekł ze śmiechem wstydząc się swoich wielkich ust i spróchniałych zębów — wciąż miał te swoje wielkie czyste białka oczu jak w dzieciństwie i kudłaty kark. Zaraz też zaczął się użalać na swoją brzydotę mówiąc z powagą o smutku, jakiego mu przysparza nos, lecz wciąż przerywając skargi gromkim śmiechem i podnosząc nagłym ruchem rękę, żeby przytrzymać cygaro. Teraz, 274 gdy miał pieniądze, nosił w kieszeni marynarki rządęk cygar Perfecto Queen.

— Nie doceniałem mojego starego. Byłem w całości za matką. Byłbym i nadal, ale ona tymczasem zrobiła się zwyczajnie za stara. Trudno, żebym się dłużej oszukiwał, zwłaszcza po przeczytaniu kilku dzieł psychologicznych. — Mówiąc o psychologii zawsze się śmiał.

— Jestem na uczelni tylko dla cipy — mówił. I dodawał z lekką melancholią: — Mam teraz trochę forsy, więc mógłbym zbierać żniwo. Z tymi moimi rybimi ustami i moim nosem nigdzie inaczej bym nie zaszedł. Dziewczyny wykształcone można brać na intelekt i nie oczekują, że będziesz na nie zbyt wiele wydawał. — Nie uważał się za studenta, był na uczelni czymś w rodzaju gościa wnoszącego opłaty. Różnił w pokera w suterenie Wydziału Prawa, grał w totka w Reynold's Club i chodził do pośrednika na Pięćdziesiątą Trzecią Ulicę obstawiać konie. Gdy bywał na zajęciach w wielkiej sali wykładowej w Kent czy w auli, z byle naukowego dowcipu lub sobie tylko znanych przyczyn wybuchał gromkim: „Ha-ha-ha” i nie potrafił się powstrzymać.

— Ale — wyjaśniał — ten tępak starał się zareklamować jakiś behawiorystyczny złom, że wszelkie myślenie przebiega w słowach, a zatem musi odbywać się częściowo w krtani, w strunach głosowych... co jak powiedział, jest „powstrzymaną subwokalizacją”. No więc zaciekawiono się, co się dzieje z niemowami, sprowadzono kilku i założono im przyrządki na szyję, potem czytano sylogizmy. Ale to wszystko uciekało niemowom przez palce, bo oni oczywiście rozmawiają dłońmi. No więc założono im gips na rękę. Jak facet doszedł do tego miejsca, to ja wybuchnąłem: Ha-ha-ha! I on poprosił, żebym opuścił salę.

Ciem wypowiedział to z jednym ze swoich skurczów zawstydzenia i nieśmiałości, które następnie zostały zatarte nowym wybuchem śmiechu. Ha-ha-ha! Potem przebłysk zachwyty. Potem znów zasepienie, gdy przypomniał sobie swoje troski, że pod względem darów natury został oszukany na wadze. Próbowałem mu powiedzieć, że się myli, że nie musi niczego nadrabiać. Był właśnie w okresie łajdaczenia się i wyglądał bardzo

męsko, mimo znacznej przesady w noszeniu się, takiej jak wąsik, garnitury w szulerskie paski, po dwadzieścia dwa pięćdziesiąt sztuka, które kupował na raty — miał pieniądze, ale wolał płacić ratałnie. Powiedział mi:

■ — Nie staraj się być dla mnie miły, Augie. Wcale nie musisz. — Czasem przybierał wobec mnie tony wujaszka, choć byliśmy prawie w tym samym wieku. Pragnął być starszy. Zdecydował, że mógłby wtedy stać się pociągający dla kobiet, które ceniły sobie doświadczenie; nieco zużyty, troszkę zgorzkniały, rozpustny wujaszek. Tak właśnie próbował to rozgrywać.

— No, a co z tobą, Augie, co z tobą? — mówił. — Po co tu gnijesz? Masz tyle możliwości, że nie wiesz, jak je wykorzystać. Cały kłopot w tym, że szukasz zawsze menażera. Teraz jesteś w konszachtach z tym Meksykaninem. Czemu odkładasz wszystko na później?

— Co to jest wszystko?

— Nie wiem. Ale leżysz tu w tym wyplatany fotelu, nie przejmując się, z książką na piersi i tracisz czas, kiedy są tysiące rzeczy, które mógłbyś robić.

Ciem miał rozległe pojęcie o tym, co można by mieć, i było to całkiem naturalne, gdy zważyć, jak boleśnie i dojmująco znosił własne przekonanie, że pozostaje to poza jego zasięgiem. Wiem, że miał na myśli pieniądze, podziw, kobiety, które na widok mężczyzny stają się absolutnie bezwolne z miłości. Dary fortuny. Niepokoiły go te tysiące rzeczy, mnie zresztą też. Domagał się, abym do czegoś dążył, a przynajmniej starał się dążyć. Abym się skoncentrował na tym, jak być potrzebnym i nie ociągającym się, lecz energicznym, kategorycznym i tak dalej. Ja oczywiście żywiłem niejasne pragnienie, by dać się wciągnąć w coś większego ode mnie. Nie mogłem świecić blaskiem gwiazdy wielkiej indywidualności, która przez wchłonięty żar staje się słońcem świata nad tłumem, dla którego połyskuje — niekoniecznie go grzejąc, a tylko zalewając Plutarchowymi promieniami. Być potrzebnym, tak, to byłoby piękne i cudowne, lecz być chłopięciem Febusa? Nie mogłem o tym nawet śnić. Nigdy nie próbowałem wyjść poza własne założenia. W każdym bądź razie, gdy ktoś taki jak Ciem schlebiał mi i nakłaniał, słuchałem tego niezbyt pilnie. Miałem swój własny system<sup>1</sup> — doradcy. Nie był niezawodny, za to przynajmniej potrafiłem znieść jego błędni

Ciem nie wygłupiał się poruszając ze mną ten ogromny temat, ale kiedy mnie odwiedzał, rozmawialiśmy nie tylko

O tym. Nie przychodził po to, aby mnie podnieść na duchu czy opowiedzieć najświeższe nowiny o Jimmym Kleinie, który już się ożenił, miał dziecko i pracował w jednym z domów towarowych, ani o swoim bracie, który pragnął występować na Broadwayu. Przychodził, ponieważ uganiał się za dziewczyną nazwiskiem Mimi Villars, która tu mieszkała.

Mimi nie studiowała, była kelnerką w studenckiej stołówce przy Ellis Avenue. Spoglądałem na nią z uznaniem, może tym bardziej zdolny należycie ocenić jej zalety, że sam nie miałem na nią chrapki. Była jasnowłosa i rumiana, o nieco nadętej surowej urodzie, brwiach przedłużonych bardzo cienkim ołówkiem leciutko ku górze, niby wić eugleny, w bok od naturalnej linii ku przylegającym blond uszkom, których trzeba było szukać wśród loków, i o dużych ustach znamionujących nieokiełzane apetyty bez jakichkolwiek zahamowań. Mówiła wszystko, co jej strzeliło do głowy i nic jej przed tym nie mogło powstrzymać. Biodra miała wąskie, biust obfity i chodziła w dopasowanych spódnicach, w obcisłych swetrach, a wysokie obcasy napinały mięśnie jej łydek w niecierpliwy łuk. Chód miała drobny i ładny, a śmiech gwałtowny, totalny i złośliwy. Nie bardzo przypominała mi Willę z Gmachu Symingtona, która też była kelnerką. Willę, którą osobiście wolałem, tę wiejską dziewczynę — sędzę, że mógłbym być całkowicie szczęśliwy z Willą i przeżyć z nią całe życie na wsi, gdybym miał na to jakąkolwiek szansę. Albo przynajmniej tak sobie czasami mówiłem.

Mimi pochodziła z Los Angeles. Jej ojciec grywał w niemych filmach. Mówiła o nim, gdy chciała wyrazić, jak bardzo nie cierpi Anglików. Właściwie przyjechała na studia, ale wywalono ją z uczelni za przekroczenie dopuszczalnych norm w amorach w sali klubowej Gmachu Greene'a. Wyglądała na stworzoną do wyrzucania. Bez wątplenia była zdolna do zarzucanego jej przestępstwa, jeśli to w ogóle przestępstwo; wymie-



rzona zaś jej kara stała się ulubionym tematem dzikich żartów.

Wiedziałem, że Ciem nie miał u niej szans. Powodem jej silnych rumieńców nie było zwykle zdrowie ani podniecenie — przyczyniała się do nich również miłość. Zbiegiem okoliczności jej kochankiem był jeden z klientów, których przekazał mi Padilla, człowiek nazwiskiem Hooker Frazer, asystent na Wydziale Nauk Politycznych. Uważałem go za trudnego klienta, bo zamawiał książki rzadkie albo wyczerpane. Dwa tomy Woli mocy Nietzschego zwędziłem dla niego z ogromnym trudem, bo z zamkniętego regału Księgarni Ekonomicznej; zdobyłem też dla niego Philosophie des Rechts Hegla, a także ostatnie tomy Kapitału z komunistycznej księgarni przy Division Street, Autobiografię Herzena i parę rzeczy de Tocqueville'a. Targował się ostro, tak samo jak mówił, z niezwykłą zwięzłością, i był człowiekiem, z którego uczelnia musiała być zadowolona — o wyniosłym, swobodnym wyglądzie inteligenta z przedwczesnymi kurzymi łapkami wokół oczu od ciągłego zastanawiania się nad różnymi problemami, istny młody Calhoun lub mąż stanu z jasnoniebieskimi oczyma świadczącymi o rygorystycznej konsekwencji i przedwczesnymi zmarszczkami niczym zapis sejsmografu. Nie należał do tych wysokich, o których człowiek jest skłonny myśleć, że są zlepieni z części wykonanych według odmiennych zasad mechanicznych, był swobodny w ruchach i zgrabny. Fakt, że mieszkał w Burton Court, tak bardzo przypominającym nowy Christ Church lub Magdalen College, posiadał godność asystencką, owe ostrogi uczoności, bardzo mi imponował. Lecz nie wywierał wrażenia na Padilli, z jego sztywnym nosem mumii egipskiej, sinymi plamami oczu, wąsko sklepionymi ramionami i plecami, który stąpił żywym, mocnym krokiem po nabierających sędziwości płytach. Manny pochodził z górzystych slumsów i nie pociągały go zabytki przeszłości. Nie przepadał za Starym Światem.

Hooker Frazer był kochankiem Mimi Villars i widując ich razem na schodach domu Owensa zachwycałem się obojgiem, tak ładnie zbudowanymi, ona surowa i pełna werwy, nie przebiegająca w słowach, a on tak dystyn-

278  
gowany, jakby pochodził wprost od człowieka kroma-  
niońskiego... ale z dzisiejszymi cechami, oczywiście nie  
wyłączając zaburzeń. Miał charakterek, który nie pasował do całej reszty, do jego opanowania, a nawet pyszał-  
kowatości. Zęby miał często mocno zaciśnięte, czubek prostego nosa zdradzał kapryśność, która raczej  
wywodziła się z tego charakterku, niż była dziedziczna. Jednakże nawet Padilla, który niezbyt go lubił, mówił,  
że jest muy hombre, nie byle kto. A jednak Padilla złościł się na niego

0 to, że traktował nas z góry, zresztą bardziej mnie niż jego, bo Frazer wiedział, iż Padilla jest geniuszem fizyki  
matematycznej. Ale zwracał się do nas obu przez „panie”, jakby był z West Point, i traktował jak zabawnych  
złodziejasków. Jak gdyby sam nie korzystał z kradzionych rzeczy. Mówił na przykład:

— Panie March, niech się pan z łaski swojej pofatyguje do śródmieścia i wywłaszczy wywłaszczycieli z  
jakiegoś przyzwoitego egzemplarza Esprit des lois. Onegdaj widziałem takowy w Argusie. — Wybuchalem  
głośnym śmiechem słysząc tę mieszaninę pompatyczności i rewolucyjnego żargonu, wypowiedaną z lekkim  
akcentem z Tennessee. Początkowo uważał mnie chyba za miłego durnia

1 żartował na temat moich rumieńców. — Panie March, widząc te kolorki każdy powiedziałby raczej, że spędza  
pan dni na krowim pastwisku, a nie że oddycha pan powietrzem księgarń. — Później zaczął traktować mnie  
poważniej i proponować stare egzemplarze gazet i czasopism komunistycznych i trockisto wskich—miał tego  
całe stosy, zwały i pęki w swoim pokoju, w najrozmaitszych językach. Otrzymywał najprzeróżniejsze dzienniki i  
biuletyny. Raz nawet zaprosił mnie na swój wykład, ale zapewne tylko dlatego, że byłem dla niego tanim  
źródłem zaopatrzenia — udzielałem mu kredytu i chciał być ze mną na dobrej stopie. Padilla załamał ręce, gdy  
się dowiedział, że daję mu książki na kredyt. Myślałem, że się zamachnie i dzieli mnie swą chudą piąstką o  
długich palcach, ale tylko wrzasnął: — Bobo! — i: — Ty głupi gringo!—A ja mu na to, że wstrzymam  
Frazerowi kredyt, kiedy osiągnie dwadzieścia dolarów. Było to oczywiście kłamstwo, żeby go uspokoić, bo  
Frazer już się u mnie zadłużył na prawie czterdzieści. — Gównu! Ja nie dałbym

279

mu nawet centa. On w ten sposób okazuje swoją wyższość — rzekł Manny. Ale to mnie nie obchodziło. Bardzo lubiłem dostarczać te książki Frazerowi w zamian za okazję spędzenia pół godzinki w atmosferze jego mieszkania i możliwości słuchania jego słów. Często kradłem dwa egzemplarze książki, którą zamawiał, aby przeczytać ją samemu, i w ten sposób miałem zapewnione nudne i trudne popołudnia.

Nigdy się nie obwiniałem za odrzucanie takich dzieł, które się nie dawały czytać z zapalem, bo i tak nic po nich we mnie nie pozostawało, a poza tym nauczyłem się od Padilli nie zawracać sobie głowy tym, co nie przychodzi łatwo. Przecież ostatecznie jeszcze nie zdecydowałem się na coś określonego, a tylko próbowałem różnych rzeczy.

Musiałem jednak powiedzieć Clemowi, że nic nie osiągnie u Mimi Villars.

— Czemu — spytał — bo jestem brzydki? Ona wygląda na dziewczynę, która nie dba o wygląd zewnętrzny. Gorącą dziewczynę.

— Twój wygląd nie ma z tym nic wspólnego. Ona już ma chłopca.

— I myślisz, że już nigdy nie będzie miała innego? Co ty wiesz.

Tak więc z uporem trwał w swej wierze, iż ją zdobędzie, i przesiadywał u mnie umyty i ogolony, w lśniących, długich czarnych butach, i odgrywał, ćwiczył przede mną, z tak wyciszoną galanterią, że mógłby uchodzić za stronnika upadłego domu Stuartów na wygnaniu, gdyby nie brak miecza i koronek — swój ciężki dramat nudy. Tylko niesforna naelektryzowana chłopięca czupryna, miękki blask białek oczu i to jego „ha-ha-ha!” świadczyły o czymś innym. Cieszyłem się z jego towarzystwa. Lecz oczywiście nie mogłem mu powiedzieć o Mimi wszystkiego, co wiedziałem. Nie chodzi tylko o to, że czytałem kartki pocztowe i słuchałem rozmów telefonicznych, ale o to, że Mimi nie dbała o dyskrecję. Wiodła hałaśliwy żywot i jeśli zaczynała mówić, niczego nie skrywała. Frazer czasami przysyłał jej kartkę odwołującą spotkanie, a wtedy wpadała we wściekłość, ciskała kartką o podłogę i mówiła do mnie z furią otwierając portmonetkę: 280

— Daj mi żeton — po czym wrzeszczała w słuchawkę: — Ty tchórzliwy draniu, nie mogłeś do mnie zadzwonić i powiedzieć, czemu nie przyjdiesz? Dość mam tych łgarstw, że piszesz pracę doktorską! A co robiłeś przedwczoraj wieczorem na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy z tymi dwoma grubymi bęcwałami, kiedy podobno pisałeś pracę? Kim oni są? Jeden z nich to angielski pedał, czuło go pedryłem na milę. Nie mów, że nic nie rozumiem. Dość mam twoich kłamstw, ty świętoszku!

W przerwach, kiedy łapała oddech, słyszałem leżąc na fotelu bujającym odmierzone dźwięki głosu Frazera. A potem w drzwiach pojawiała się potężna ręka Owensa i zatrząskiwiała je. Nie obchodziło go, co lokatorzy robią w swoich pokojach, ale nie lubił, jak ich przekleństwa dolatują do jego saloniku — siedział w nim na swoim skórzanym fotelu, skrzypiącym niby suchy śnieg. Charakterystyczne dla niego odgłosy to z bliska sapanie, a z daleka wiercenie się na tym fotelu.

— Niedoczekanie twoje, żebyś cię miała o cokolwiek prosić — brzmiały ostatnie słowa Mimi do Frazera i kiedy wieszła z trzaskiem słuchawkę na haczyku, robiła to jak pianista, który zamyka klawę fortepianu po bezbłędnym odegraniu burzliwych akordów o najwyższym stopniu trudności.

Najmniejsze wyprowadzenie kochanka z równowagi sprawiało jej najgłębszą z możliwych rozkoszy. Mówiła wówczas do mnie:

— Jak ten skurczybyk zadzwoni, powiedz, że wybiegłam z domu przeklinając. — Mimo to czekała na jego następny telefon.

Co mnie jednak utwierdzało w przekonaniu, iż nie zainteresuje się Clemem, przynajmniej na razie, to to, że ostatnio Frazer dzwonił regularnie, a ona nie spieszyła się z zejściem do telefonu, kiedy przywoływałem ją brzęczy-kiem. Wiedząc, że to ja odbieram telefony, Frazer mówił:

— Nie może pan jej troszkę popędzić, panie March? — Na co ja odpowiadałem:

— Spróbuję, ale nie jestem królem Kanutem. — I puszczałem wielką, maczugowatą słuchawkę, żeby dyndała sobie na przewodzie.

— Czego chcesz? — pytała położywszy palącego się

papierosa na skrzynce aparatu. — Nie mogę z tobą rozmawiać. Jestem w impasie. Jeżeli chcesz wiedzieć, jak się czuję, możesz pofatygować się osobiście i zapytać. — A potem radośnie, brawurowo, ciesząc się narastającego gniewu, mówiła: — W porządku, jeśli to cię nie obchodzi, to i mnie nie obchodzi. Nie, nie zmieniałam jeszcze decyzji, ale się nie martw, nie będziesz musiał się ze mną żenić. Nie wyszłabym za człowieka, który nie wie, co to miłość. Tobie nie jest potrzebna żona, tobie jest potrzebne lustro. Co! Co to ma znaczyć, pieniądze! Dotąd jesteś mi winien czterdzieści siedem dolarów. W porządku. Nie dbam o to, na co zostały wydane. Kiedy jestem w trudnej sytuacji, sama troszczę się o siebie. Ty u wszystkich jesteś zadłużony. Nie gadaj mi takich rzeczy. Gadaj je swojej żonie. Ona wszystkiemu wierzy.

Frazer jeszcze nie rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną, od której Mimi, zgodnie z własną wersją, go wyzwoliła.

— Pamiętasz film Wyspa doktora Moreau? O tym szalonym uczonym, który przerabiał zwierzęta na mężczyzn i kobiety? I jego laboratorium nazywano Dornem Bólu? No więc on żył ze swoją żoną jak jedno z tych zwierząt — powiedziała mi kiedyś mówiąc, jak ńę pierwszy raz spotkali. — Ta dziewczyna miała mieszkanie.. nie uwierzyłbyś, że taki człowiek jak Hooker mógł w nim mieszkać. Bez względu na to, co o nim myślę, jest inteligentny, ma swoje poglądy. Kiedy był komunistą, chcieli go wysłać na studia do Instytutu Leninowskiego, gdzie szkołą przywódców narodowych jak Cachin i Mao. W końcu nie pojechał, bo go wyrzucili w związku z kwestią niemiecką. No więc w tym mieszkaniu były w toalecie kordonkowe dywaniki i człowiek czuł ńę winny, kiedy wchodził w butach. Co można zrobić, kiedy trzeba znosić takie rzeczy? Kobiety są naprawdę podłe, Augie — oświadczyła z charakterystyczną dla siebie komiczną pasją. — Podłe, pier... baby. Chcą mieć chłopca w domu. Właśnie w domu. Żeby siedział w fotelu. Udają, że zgadzają się ze wszystkim, co myśli i mówi poważnie. Chodzi o rząd? Chodzi o astronomię? Zaraz udają, że bardzo się interesują partiami politycznymi i gwiazdami-Matkują chłopom i wszystko im jedno, jakich mają ńę gierki, byle tylko miały w domu chłopca. Jeżeli mąż jest

282  
socjalistą, to i ona będzie socjalistką, jeszcze oardzkj zagorzała, a jeśli on się zmieni w technokratę, ona go jeszcze w tym wyprzedzi... zmusi go, żeby tak myślał. Ale naprawdę idzie jej tylko o to, żeby go mieć w domu, i guzik ją obchodzi, czym, jak mówi, jest. I to na wet nie jest hipokryzja, to coś głębszego. To posiadanie mężczyzny. — Takimi rzeczami, a była to tylko jedna z wielu, Mimi usiłowała przeszyć człowieka na wskroś. Dość powiedzieć, że traktowała to jak najświętszą prawdę. Wierzyła w słowa, mówienie, a kiedy kogoś przekonała, wówczas i sama zaczynała wierzyć w to, co podszeptało jej natchnienie. A jeśli idzie o sposób mówienia, zapożyczyła go od Frazera — tę poufną metodę adwokacką, która nie zawsze wydaje się na miejscu w prywatnej rozmowie: siedział z łokciami opartymi o rozstawione kolana długich nóg, ze złożonymi dłońmi, z pełnym przejęciem w oczach i białą ścieżką przedziałka pośrodku włosów koloru piasku jako jeszcze jednym dowodem szczerości słów. Mimi naśladowała te jego maniere umiejętnie, odznaczała się większą od niego zwartością i pasją oraz impetem, jaki występuje przy malej dyszy wylotowej oraz wysokim sprężeniu.

Była, jak Einhorn kiedyś słusznie powiedział o mnie, w opozycji. Tylko że wymieniała nazwiska i krzywdy i stawała się agresywna, a ja zwykle poczynałem sobie inaczej, więc nie przekonywała mnie. Dla mnie jej stanowczość me świadczyła o słuszności.

— Czemu milczysz — pytała — jeżeli się ze mną nie zgadzaiz? Czemu me powiesz, co o tym sądzisz, zamiast zbywać mnie uśmiechem? Starsz się udawać głupszego, niż jesteś, a to meuczró e. Ais jeżeli wiesz lepiej, powiedz.

— Nie — odpowiadałem. — Nie wiem. Tylko me lubię, gdy ktoś wyraża się o kimś niepochlebnie, bo kiedy to robi, jego stówa stają się dla mego wiążące i go zniewalają. Takie gadanie powoduje, że ludzie wmawiają sobie rzeczy, których nie mogą uważać za słuszne.

Przyjęła to jako znacznie surowszą krytykę, niż zamierzałem, i odpowiedziała z kodą naelektryzowaną agresywnością i paskudnym wyrazem twarzy.

— Och, ty zawszony tępaku! Nie potrafisz się nawet oburzyć... Chryste, nawet krowa czasem się oburza! I

to znaczy niepochlebnie! Chcesz mieć wysokie mniemanie o śmieciach? Chcesz się przemienić w rurę kanalizacyjną? Do diabła, nie! Jeżeli coś jest złe, to jest złe, i jak ktoś tego nie potępia, to po cichu z nim flirtuje.

Wypaliła mi prosto w twarz, że za mało się oburzam na obrzydliwości albo niedostatecznie zdaję sobie z nich sprawę, że nie wiem, ile grobów deptę nogami, że brak mi uczucia wstrętu, nie występuję dostatecznie twardo przeciw okropnościom i szwindle nie wzbudzą mego gniewu. Najgorszym zaś z tych szwindli jest to, że się otrzymuje straszliwą zapłatę za rzecz, która powinna być czułą wymianą ciał i podstawą wszelkich prawdziwych doznań w życiu. Kobiety, które ponoszą za to winę, są stokroć gorsze od kurew. Domyślam się, że ten jej wybuch w czasie naszej rozmowy został spowodowany tym, iż nie byłem dostatecznie wrogo nastawiony do takich rzeczy i niszczący wpływ żon wywoływał u mnie swoją kobiecą delikatnością uśmiech. Odnosiłem się do nich nazbyt pobłażliwie, w stosunku do tych łózek, które najpierw robią się stęchłe, następnie zaś trujące, ponieważ ich zarządczyni myślały o zdobywczej mocy kordonków i muślinów, i dławieniu światła firankami, i mieszczańskim zatopieniu ryzykanta w meblach saloniku niczym owada w bursztynie. Ponieważ te rzeczy nie wydawały mi się dostatecznie groźne, byłem dla niej przynajmniej pod tym względem głupcem, który mógł również utkwic, na klęczkach, w tej białej pajęczej wydzielinie, i zostać tknięty paralizem w takim bezpiecznym kobiecym gniazdku. Ona wyrwała z niego Frazera. Zasługiwał na to.

I tutaj zobaczyłem, jaką wagę przykładała do inteligencji mężczyzn. Jeśli nie oddychali najtrudniejszą atmosferą wysiłku i szlachetności, wówczas życzyła im śmierci w trującej chmurze ustabilizowanej egzystencji, biurowej niewoli, gnicia w cichym sklepiku, nie rozpoznanej rozpaczki małżeństwa bez nadziei lub pospolitej urazy powodującej powstawanie nieświadomych wrzodów serca albo krzewienie się niezgody. Stosowała wysokie, absolutne kryteria i wołała, gdy ludzie do nich nie dorastali z powodu choroby, występku, zbrodzenia albo bzika. Kiedy poznałem ją lepiej, dowiedziałem się, że sama była 284

złodziejką — kradła ubrania ze sklepów, kradła sporo, bo lubiła się dobrze ubierać, i nawet ją kiedyś aresztowano, ale dostała wyrok z zawieszeniem. Robiła to tak: wkładała na siebie w przymierzalnicach po kilka sukien, majtek i halek, a wykaraskała się z opresji w ten sposób, że przekonała psychiatrę sądowego, iż ma pieniądze i może płacić, lecz jest kleptomanką. Była z tego dumna i namawiała mnie, abym zrobił to samo, gdyby mnie przyłapano — wiedziała oczywiście, że kradnę książki. Inną rzeczą już się tak nie chlubiła. Mniej więcej przed rokiem, późnym wieczorem, gdy przechodziła koło zaułka przy Kimbark Avenue, jakiś rabus próbował zabrać jej torebkę, więc kopnęła go w jądra, chwyciła rewolwer, który mu wypadł z ręki, i postrzeliła w udo. Ilekroć o tym wspominała, czuła się strasznie, a kiedy to opowiadała, pocierała się nerwowo dłońmi w pasie — była bardzo szczupła w talii, co podkreślała noszeniem szerokich pasków — i mocno czerwieniała, jakby miała szkarlatynę. Próbowała dostać się do szpitala Bridewell, żeby go odwiedzić, ale jej nie wpuszczono.

— Biedny facet — mówiła wyrzucając sobie swoją dziką gwałtowność i brawurę, a zarazem żałując tego chłopca, który nawiedzał wylot zaułka z ową zabawką szybkich decyzji. Bo pieniądze z rabunku potrafią się ogromnie kurczyć i satysfakcja z ich posiadania szybko się kończy, natomiast zmuszenie kogoś, żeby zrobił, co mu się powie, to całkiem inna sprawa. Zwłaszcza zmuszenie kobiety. Nie interpretowała tego jako tchórzostwo ze strony napastnika, ale specjalną oznakę surowego odruchu miłosnego. Tłumaczyła to w ten sposób, że w nieokrzesanym dziecku miasta odezwał się instynkt, lecz opatrność otaczała je mniejszą troskliwością niż żyjące w lasach zwierzę, nad którym czuwa przynajmniej natura. Otóż musiała udać się do sądu i złożyć zeznanie, wyjaśnić, czemu go postrzeliła. Nie chciała jednak wnieść oskarżenia i próbowała przekonać sędziego, niestety na to jej nie pozwolono. Chłopiec dostał więc pięć lat za napad z bronią w rękę, a ona pisała do niego listy i posyłała mu paczki do więzienia. Nie dlatego, że się bała, aby jej nie zrobił czegoś po odsiedzeniu kary, ale ponieważ miała wyrzuty sumienia.

Tym razem nie wpadła w tarapaty, jak się o tym wyrażała, Z czasem mogła zakomunikować Frazerowi dobrą wiadomość. Kazała mu jednak długo na nią czekać. Chciała, żeby się martwił albo nauczył martwić nią, me tylko o siebie. Nie ułatwiała mu życia. Wiedziała, że kocha go bardziej, niż on potrafiłby kochać ją lub kogokolwiek innego. Ale też miłość nie była jego powołaniem, tak jak jej. I odnosiła się do niej z wielką powagą i egzaltacją. Mogłaby dla niej żyć na pustyni żywiąc się szarańczą.

Nauczyłem się od Mimi rzeczy wagi najwyższej, a mianowicie, że każdy dba, aby iść za własnym losem. Albo próbuje dbać. Powiecie, że powinienem to wcześniej wiedzieć. Powinienem i na swój sposób wiedziałem, bo inaczej babcia Lausch, Einhorn czy Renlingowie wywarliby na mnie większy wpływ. Lecz nigdy nie wydawało mi się to tak jasne, jak w przypadku Mimi Villars, której punktem werbunkowym było własne ciało i która wyraźniej niż ktokolwiek inny sama sobie wystawiała gwarancje, świadectwa, dyplomy stwierdzające, czym jest,

I nie miała żadnego miejsca usankcjonowanej działalności, takiego jak sklep, biuro, rodzina lub jakiegokolwiek członkostwo, tylko stawiała na swą nieugiętą wolę, twarde rozumowanie i swój uparty ton. Sądzę, że musiała dostrzegać — i jak mogło to nie sprawiać jej bólu? — sprzeczność pomiędzy twardym przeświadczeniem a taką wiarą miłosną, jak jej wiara. Lecz gruba skorupa zorganizowanego oporu światowego sprawiała, iż była to sprzeczność nieunikniona. Cóż, to też los, jaki należało znosić, i jeszcze jedna towarzysząca mu gorycz.

Pod koniec lata staliśmy się już bliskimi przyjaciółmi, a Tam bo w podejrzewał, że czymś więcej. Ale nie było w tym nic poza jego zazdrośną, chociaż nie niechętną wyobraźnią, popartą tak słabymi pozorami jak to, że przychodziła do mego pokoju w samej halce. Działo się tak dlatego, że mieszkaliśmy na jednym piętrze. Tak samo ubrana wchodziła też do pokoju Kayo Obermarka—zajmowaliśmy we troje całe poddasze. Rzecz wynikała z bliskości zamieszkania. A jeśli nawet miała w sobie coś z prowokacji, pochodziła z konieczności nieustannych wprawek, jak wprawki skrzypka, który ma gumową 286

piłeczkę w kieszeni alpakaowego palta, gdy jedzie pociągiem na koncert, i nigdy nie jest daleki, według siebie, od największego sukcesu, gdzie wśród znaków chromatycznych i glissand krajobrazu wzdłuż stalowych szyn. Nie, przychodziła pożyczyc papierosa albo skorzystać z szafy, w której trzymała nadmiar sukien. Albo porozmawiać.

Mieliśmy teraz więcej tematów do rozmowy, bo z czasem odkryliśmy, że łączy nas jeszcze jedna wspólna znajomość. Był nią smagły Sylwester, któremu ja roznosiłem programy kinowe i który chciał zrobić z Simona komunistę. Nie zdobył dyplomu w Armour Tech. Mówił, że z braku gotówki, napomykał też o zadaniach politycznych, które musiał wykonać gdzie indziej, ale wszyscy wiedzieli, że po prostu zawalił studia. Tak czy inaczej mieszkał teraz w Nowym Jorku i pracował na kolei podziemnej jako technik. Pod Czterdziestą Drugą Ulicą. Zawsze pracował w ciemnościach, co sprawiło, że jego twarz nabrała osobliwego odcienia, obwisła i pociemniała, a oczy, przygasłe od zmartwień, stały się teraz jeszcze bardziej tureckie od zgrubienia skóry z powodu stałego ich mrużenia i wyęzania zapewne przy patrzeniu na rubinowe i zielone przyciski w podziemnym biurze — tam, gdzie siedział przy stole kreślarskim i kopiował plany, a w wolnych chwilach czytywał pamflety polityczne. Został wydalony, tak samo jak Frazer, z partii komunistycznej. Pod zarzutem infantylnej lewicowości i odchylenia trockistowskiego — które to terminy były dla mnie dziwne, a równie dziwne wydawało mi się jego założenie, iż je rozumiem. Należał teraz do innej partii, trockistowskiej, ale pozostał nadal bolszewikiem i przyznał się, że zawsze jest na służbie, zawsze ma jakieś zleczone zadania i nigdzie się nie rusza bez pozwolenia swoich partyjnych zwierzchników. Nawet kiedy powraca do Chicago, rzekomo by odwiedzić ojca, tego staruszka, którego babcia Lausch nazywała „Piekarzem”, przyjeżdża z misją, którą było kontaktowanie się z Frazerem. Wnioskowałem więc, że Frazer też dał się zwerbować do tej nowej partii. Zdarzyło się kiedyś, że szedłem za nimi po Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Sylwester dźwigał wypchaną tekę i patrząc na Frazera mówił specjalnie powoli rodzajem politycznego żargonu, a Frazer patrzył gdzieś

w bok i ponad niego z wyniosłą powagą i miał ręce splecione z tyłu.

Widziałem też Sylwestra na schodach naszego domu, z Mimi. Był szwagrem Mimi, ponieważ ożenił się w Nowym Jorku z jej siostrą, Annie, która ostatnio rzuciła go i wystąpiła o rozwód. Pamiętam, jak jego pierwsza żona ciskała w niego kamieniami, kiedy chciał przejść przez podwórko, aby z nią porozmawiać. Pamiętam nawet okoliczności, w jakich dowiedziałem się o tym od niego, ponurą atmosferę chłodnej Milwaukee Avenue, gdy sprzedawaliśmy na ulicy żyłki i przyrządy do cięcia szkła z Jimmym Kleinem. Sylwester chciał, żeby Mimi wstawiła się za nim u siostry.

— Do diabła — powiedziała mi później Mimi ze swoją zwykłą dyskrecją — gdybym go znała, zanim się pobrali, wybiłabym Annie to małżeństwo z głowy. To nie jest chłop, a kupa nieszczęścia. Jak mogła go znosić przez całe dwa lata. Młode dziewczęta popełniają straszne głupstwa. Czy możesz sobie wyobrazić, że leżysz z nim w łóżku, z tą jego błotnistą twarzą i takimi ustami? Wygląda jak księżę przemieniony w żabę. Mam nadzieję, że Annie weźmie sobie teraz do łóżka jakiegoś młodego, silnego sztauera. — Gdy ktoś naraził się czymś Mimi, nie miała dla niego litości, i słuchając słów Sylwestra widziała cały czas swoją siostrę, jak się szamocze z lubością w mocnym uścisku bardziej krzepkiego mężczyzny, więc na chwilę przestałem ją lubić za okrucieństwo, bo miała oczy szeroko otwarte i Sylwester mógł z nich to wyczytać. Żart możliwy do przyjęcia dzięki domniemaniu, iż nie mógł. Nie, zapewne nie mógł.

Należy wyjaśnić, że zgodnie z surowym poglądem Mimi wszystkim, co się dziedziczy po przemieszanych przodkach i przypadkowym zetknięciu się rodziców jak u bydła teksaskiego, jest ziemskie tworzywo, natomiast ukształtowanie go we wspinałe ciało to już własna rola każdego człowieka. Innymi słowy, w zastosowaniu do Sylwestra, zawdzięczał swój wygląd sobie samemu—jego duch okazał się marnym tygłem. Również sam był winien, że opuszczały go żony i dziewczyny.

— Podobno jego pierwsza była okropną dziwką. Annie ma też w sobie coś ze ścierki. Dlaczego one na

288  
początku tak na niego lecą? To dla mnie naprawdę ciekawe — mówiła Mimi. Przypuszczała, że brały tę jego ponurość za przejaw demonizmu i spodziewały się, że będzie je nawiedzał z ogniem i kolcami jak prawdziwy demon, a kiedy się tak nie działo i okazywał się po prostu nie ukształtowaną bryłą błota, ciskały w niego kamieniami, dosłownie i w przenośni. Mimi miała w sobie jakąś dzikość i ceniła ją jako dowód, że nie ma z nią żartów — kiedy karała lub odbierała ciosy to już naprawdę.

Ten upokorzony, krzywonogi, skąpo owłosiony i z nadwątlonym wzrokiem Sylwester, podziemny kreślarz i operetkowy komisarz przyszej sowieckiej Ameryki, który się uczył manier, a nawet uśmiechu i ufności zwycięzcy, zamierzał jednak wysadzić w powietrze starą martwicę wapienną, aby odsłonić dla nowej ludzkości lśniące złoto i marmury. Próbował zaimponować mi znajomością marksistowskiej produkcji węgla i bawełny, dat plenów, dziejami odłamów ideologicznych, tekstów Lenina i Plechanowa, a tak naprawdę było to tylko marzące spojrzenie w bardzo daleką przyszłość i zbiór frazesów, które opramieniał swoim uśmiechem i z lubością wdychał przymykając powieki niczym zapach perfum. Odnosił się do mnie łaskawie i traktował po ojcowsku, bo wiedział, że go lubię, i nie zdawał sobie sprawy, ile o nim wiem. Czego musiałem mu zaoszczędzić. W każdym razie jego wady nie były dla mnie tak poważne jak dla Mimi.

Do mnie odnosił się z pełną ufnością, a niektóre z jego zalet nie mogły się bez tej ufności ujawnić.

— Jak się masz, chłopcze? — mówił z radosnym uśmiechem (choć mroczność i gorycz już nigdy nie opuszczały całkowicie jego twarzy), wyglądając dłońmi dwurzędową marynarkę na swym połączonym z piersią brzuchu. — Jak ci leci? Radzisz sobie jakoś? Czym jesteś, studentem? Nie. Macherem? Proletariuszem?—Słowo to wymawiał nawet w żartach Ze czcią.

?— Czymś w rodzaju studenta.

— Ech, ta nasza młodzież — odpowiadał z szerszym uśmiechem. — Gotowa robić wszystko, byle się nie wziąć do uczciwej pracy. A co u twojego brata, Simona? Czym się zajmuje? Kiedyś myślałem, że uda mi się go zwerbować. Byłby z niego dobry rewolucjonista. Skąd mieli

byśmy ich brać, jeśli nie z waszego środowiska? Nie potrafiłem go przekonać. Ale jest bardzo inteligentny. Kiedyś sam do tego dojdzie.

W tym osobliwym losie sprawiającym, że ludzie tyją i bogacą się, kiedy to następuje bardzo szybko, grozi niebezpieczeństwo popadnięcia w pólśen, który ich ograbia z poczucia rzeczywistości. Powiedzmy, że starość i śmierć tak czy owak przyjsć muszą, więc czemu ich nadejsia nie oczekiwać w wygodzie? Lecz na tej dziwnej płaszczyźnie, gdzie wszystko przepływa zbyt szybko, podobna propozycja nie brzmi przekonywająco. Lekarstwem na ten kłopot może być myślenie, może być czyjaś siła ducha, pieniądze i rozrzutność, nieprzenikniona konkretność, działalność organizacyjna. A więc istnieją te rozmaite lekarstwa oraz jeszcze wiele innych, starszych, ale w rzeczywistości nie ma się wyboru wśród wszystkich odmian, zwłaszcza wśród tych starszych, z niewidzialnego świata. Większość ludzi poprzestaje na tym, co posiada, i trzdi się w danym sobie świecie widzialnym, a to ma też własną nieodłączną zaletę.

Simon robił nie tylko to, co musiał, ale wręcz przechodził sam siebie. Zdumiewało mnie, jak wyznaczał sobie cele i realizował skrupulatnie, co sobie zaplanował. To nieuczciwe tak dokładnie wszystko projektować i robić z ludźmi ściśle to, co się zamierzało, kiedy się jeszcze jest dla nich prawie obcym. Charlotte kochała Simona. Mało, była już jego żoną, i to nie tylko jemu się spieszyło, nie tylko on parł do ożenku, ona też chciała jak najprędzej wyjść za niego. Częściowo dlatego, że był za biedny, aby mógł długo się do niej zalecać. Powiedział jej o tym i zgodziła się, a także jej rodzice, iż nie powinni tracić czasu. Ceremonia odbyła się za miastem, żeby wiadomość nic przedostała się do gazet, i dla reszty rodziny należało jeszcze urządzić zaręczyny i wesele. Sprawą tą zajęła się Charlotta i jej matka, a Simon, chociaż płacił czynsz w przyzwoitym śródmiejskim klubie kawalerskim, tak naprawdę mieszkał u Magnusów w ich ogromnym, starym mieszkaniu w Dzielnicy Zachodniej.

Odwiedził mnie po jednodniowym miesiącu miodo- 290

wym, bo konieczność utrzymania małżeństwa w tajemnicy nie pozwoliła na dłuższy. Spędzili ten dzień w Wisconsin. Już teraz miał więcej nowych cech, niż zdołałbym zarejestrować — miękki flanelowy garnitur, nowa zapalniczka, a w kieszeniach tyle wszelakiego dobra, że jeszcze nie zdążył się w nim połapać.

— Magnusowie są dla mnie cudowni — rzekł. Przy krawężniku stał nowy szary Pontiac, pokazał mi go przez okno. Poznawał teraz tajniki handlu węglem w jednym ze składów Magnusów.

— A co z twoim własnym składem? Czyż nie mówiłeś...

— Tak, tak, mówiłem. Obiecali mi ten skład, jak tylko nauczę się nim kierować. To nie potrwa długo. Nie, nie jest tak ciężko — ciągnął dalej zrozumiawszy moje nieme pytanie. — Oni wolą biednego młodego człowieka. Biedny młody człowiek potrafi zdobyć się na większy zapal. Wiedzą, bo sami byli kiedyś biedni.

Już teraz nie wyglądał na bardzo biednego młodego człowieka w szarym flanelowym ubraniu doskonałego gatunku i nowych półbutach. Jego koszula pachniała sklepem, jeszcze nigdy nie była w pralni.

— Ubieraj się, idziesz ze mną do nich na obiad — powiedział. Gdy wyszliśmy na ulicę kierując się do samochodu, wciągnął haust powietrza i chrząknął dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy szliśmy na stację przy La Salle Street, gdzie wyraźnie okazałem się za tępy, aby sprzedawać gazety. Tylko że tym razem miał ponuro podkrążone oczy i usiedliśmy w samochodzie, w którym wisiał kwaśny zapaszek nowej gumy i tapicerki. Pierwszy raz zobaczyłem Simona za kierownicą. Kręcił nią jak stary, nawet trochę zbyt zawiadacko.

A więc zostałem wprowadzony w to gorące wnętrze pełne lamp i dywanów, do domu Magnusów. Wszystko tam było brzydkie, przestronne i za duże. Nawet wymalowane na abażurach papugi miały wielkość kur rasy Rhode Island Red. Magnusowie też byli ogromni, po niderlandzku grubokościści. Moja bratowa nie ustępowała im rozmiarami i ciągle o tym pamiętając czuła się onieśmielona jakby jakąś niedelikatnością, toteż dotyk jej dłoni był jakby dotykiem dłoni mniejszej. Wcale nie

musiała. Przykro, kiedy bardzo duzi ludzie martwią się swoim wyglądem, zwłaszcza kobiety, które w skrytości ogarnia przerażenie przed pomówieniem o wulgarność. Miała szczególnie ładne oczy, łagodne, chociaż chwilami połyskiwały niesmakiem, bystre, niezmiernie przebiegłe, ale też i ciepłe. Tak samo jak jej bujne piersi i szerokie biodra. Zwracała na mnie uwagę, jakby się obawiała krytyki, tego, co powiem Simonowi, gdy zostaniemy sami. Musiała sobie wmówić, że poślubiając ją wyświadczył jej ogromną łaskę, ponieważ jest tak bardzo bystry i przystojny, a jednocześnie ogarniała ją złość, że mogą ją uznać za niegodną go albo za bardzo będą pamiętać jej pieniądze. Najwyższą kwestią stanowiło, czy by ją poślubił, gdyby nie pieniądze. Sprawa była zbyt dręcząca, aby mogła zostać przemilczana, a więc poruszano ją swoiście żartując i z okrutną drwiną. Simon mówił o tym w sposób tak ordynarny, że musiało to wywoływać śmiech, bo wzięte poważnie, byłoby istnym morderstwem — na przykład te jego słowa, gdy zostawiono nas troje samych w salonie, abyśmy się mogli zaznajomić:—Nikommu za żadną cenę nie było lepiej w łóżku. — Było to tak dwuznaczne, a przy tym tak jawne, kto ową cenę zapłacił, że musiało zostać uznane za zabawne, toteż Charlotte czym prędzej porzuciła romantyczną, sentymentalną pozę i zaprzeczyła wszystkiemu udając, że takie lubieżne oświadczenie jest żartem wynikającym ze szczerości i głębokiego wzajemnego porozumienia, bardziej realistycznym rodzajem miłości. Lecz pochylając się nad nim na kształt przybranej falbankami wieży w Pizie — ubierała się wykwintnie i śmiało — i kładąc rękę na jego włosach przeżywała przy mnie bardzo trudne chwile.

Przeżywała je bardzo niedługo, póki nie przyswoiła sobie od Simona nastawienia, że jestem trzpiotowaty, serdeczny, lecz nie grzeszący zdrowym rozsądkiem. Wkrótce nauczyła się, jak sobie ze mną radzić. Póki nie odzyskała pewności siebie, było to jednak bolesne, i przypuszczam, że w owym czasie jeszcze nie oprzytomniała po swoim miodowym miesiącu, który, jak Simon z pełną szczerością wyznał, okazał się okropny. Nie wyszczególniał, pod jakim względem, ale powiedział dość, aby nadać temu głęboką wiarygodność. Na krańcach

skali po- 792  
brzmiewały takie nutki, których wolałbym nie słyszeć, bo było w nich przyzwolenie na śmierć, ale musiałem wysłuchać wszystkiego, uderzenia w każdy klawisz, od końca do końca. Mogłem mieć pewność, że te wypowiedziane żartem rzeczy były z gatunku najfatalniejszych. Jakie kiedykolwiek wypowiedziano i wyśmiewano w tym wyłożonym dywanami i brązowymi welurami pokoju. Miały uchodzić za żarty i chutliwość młodego żonkosia, przejaw jego energii i frywolności, lecz dotarło do mnie, że dręczy go myśl o samobójstwie, nie tylko jej cień, ale że jednocześnie zdolny jest sięgać po rekompensaty, takie jak duma z własnej zuchwałości, siła nerwów i ciała albo luksusy, które stawały się jego udziałem, i co więcej, pewna brawura w żądaniach — poczucie możliwości czynienia i egzekwowania rzeczy nie troszcząc się o to, co ktoś mógłby o tym pomyśleć.

Potem weszła rodzina, ciekawa, jaki jestem. Ja byłem ich nie mniej ciekaw. Byli tacy ogromni, że mogliby traktować nawet Simona i mnie jak dzieci, chociaż wcale nie jesteśmy karłami — Simon ma prawie sześć stóp wzrostu, a ja o cal mniej. Cała różnica polegała na tym, że byli tacy szerocy... że nawet teraz, gdy Simon zaczął tyć, daleko mu do nich. Ich życie wydawało się równie solidne jak ich talie, szanowali najstarszych w rodzinie — tego wieczoru znajdowała się wśród nich babcia. Wszystko, co kupowali — czy to ubrania, meble, czy maszyny — było w najlepszym gatunku. Czuli się również wdzięczni za element rozrywki i podziwiali bystrość dowcipu, którą sami nie dysponowali, i spektakle dramatyczne, jakich dostarczał im Simon. Ogromnie im się podobał i odniósł wśród nich niebywały sukces. Zdobył mocno ugruntowaną pozycję gwiazdora i suwerena. Zanim się pojawił, mieli między sobą patriarchów i matriarchinie, ale nie mieli księcia. Aby się nim, tym księciem, stać, Simon przeszedł metamorfozę. Wprawiło to mnie w kolejne zdumienie. Na innym miejscu powiedziałem, że zawsze, nawet gdy milczał, był zauważalny. Teraz jednak już nie milczał i jego dawna rezerwa gdzieś przepadła. Stał się hałaśliwy, kapryśny, hardy, krytyczny, arbitralny i przedrzeźniał, drażnił się, piał, rechotał, robił miny, że stół o mało nie zaczął się kręcić jak karuzela w tym pokoju



jadalnym ustabilizowanej i szacownej zamożności. Widziałem w nim ponad białą chałką, garniowaną rybą i świecami uszczypliwość babci Lausch — tak, brutalność inwencji staruszki i przejętą dzikość, nawet niektóre rosyjskie wrzaski. Nie wiedziałem, że Simon tak wiele sobie od niej przyswoił. Cofnąłem się myślami o jakieś sześćset czy siedemset piątkowych wieczorów i zobaczyłem, jak się przygląda bezkrytycznym wzrokiem wy czynom staruszki. I jak głęboko, choć niepostrzeżenie zapadły mu w pamięć. Nieomal słyszałem pełne pogardy uwagi, z jaką się odnosiła do wywoływanych pisków śmiechu, pogardy również Simonowi nie całkiem obcej. Simon zarówno naśladował babcię, jak i parodiował. Jego wygląd był teraz nowy pod niejednym względem, nowszy niż ta koszula, klejnot na palcu czy mniejsze w spinkach mankietów lub nawet tusza i to znękanie w twarzy spowodowane nie chcianą myślą, która go nawiedzała między poszczególnymi wyczynami. Była to typowa zuchwałość nieszczęśnika. W pewien sposób kazał im i za to płacić, naśladując na przykład wymowę poczciwej królowej matki swojej żony. Lecz ani ona sama, ani nikt inny nie uznał tego za obraźliwe, a przeciwnie, za coś wspaniałego i strasznie śmiesznego.

Nie tylko ich jednak zabawiał, bo kiedy kończył wodewil trzeźwym spojrzeniem i poważniał, zaraz zapadało milczenie nacechowane pełnym szacunkiem i wyczekiwaniem na jego słowa.

Zwrócił się do mnie, ale oczywiście jego słowa były po większej części przeznaczone dla nich.

— Augie — rzekł obejmując ramieniem Charlotte, która położyła palce o pomalowanych paznokciach na jego dłoni — sam widzisz, jacy byliśmy nieszczęśliwi, że nie mieliśmy tak silnie związanej i lojalnej rodziny. Nie ma takiej rzeczy, której ci ludzie nie zrobiliby dla siebie wzajem. My nawet nie rozumiemy, co to jest, bo nigdy tego nie doświadczyliśmy, brakowało nam tego przez całe życie. Nie mieliśmy szczęścia. Teraz oni przyjęli mnie do siebie, uznali za swego, jak własne dziecko. Do tej pory nie wiedziałem, co to prawdziwa rodzina, i chcę, abyś wiedział, jaki im jestem za to wdzięczny. Może wydają ci się trochę tępawi — do państwa Magnusów nie bardzo to 294

dotarło, bo wystarczał im sam ton głosu Simona i zadowolenie z jego obecności, za to Charlotte chwycił za gardło atak śmiechu, który przerwał powagę Simona — ale mają coś, co będziesz musiał nauczyć się doceniać, a tą rzeczą jest ich dobroć i wzajemne przywiązanie.

Kiedy mi to wszystko wyłożył jak łopatą, odczułem nagły przypływ nienawiści do tego tłuszciocha, którym się zaczął stawać, i chciałem powiedzieć.

— To podłość tak ich wychwalać, a własną rodzinę potępiać. Co masz do zarzucenia mamie, a choćby babci? — Ale w tym, co powiedział o Magnusach, kryło się dużo prawdy, trudno tego nie dostrzec. Ja też byłem spragniony miłości rodzinnej. I chociaż Simon wyraził to w bardzo niewybredny sposób, wątpię, żeby był całkowicie nieszczerzy i tylko udawał. W kręgu serdecznych twarzy wiele obiekcji może ustąpić, tak jak ustępują przy pocałunkach kobiet wroga. Wiele pospolitych kłamstw wynika właśnie z potrzeby dostrojenia się do wymagań chwili. W przypadku zaś Simona była w tym również ucieczka od nękających go kłopotów i potrzeba tchnienia ducha w jego pobitych z Doliny Ezechiela. Dlatego podbudowywał swoje powody do wdzięczności. I dlatego także milczałem.

Gdy mi to jednak powiedział, patrzyli na mnie podejrzliwie, ponieważ nie rzuciłem się łapczywie do tej uczyty miłosnej. Zgodziłem się wziąć udział w jego gierce, ale byłem nie dość skory, by zrobić wszystko, czego ode mnie oczekiwano. Przytłoczony własnym morzem uczuć. A poza tym wydaje mi się, że wszystkie ich nie rozproszone podejrzania co do Simona przeszły teraz na mnie. Oczekiwali chyba, że się z nich oczyszcze — wszyscy razem, ze swoją czerstwością i wielkimi cielskami, nawet babcia, która zaczęła już tracić jedno i drugie, blednąc i maleć, ta starowina w czerni, przystrojona w rytualną perukę i amulety, wyglądająca na obdarzoną metafizycznymi mocami sądenia. No cóż, mieli składy, więc może weszli we mnie złodzieja. W każdym razie przyglądali mi się tak przenikliwie, że niemal widziałem siebie samego jakby ich oczyma: moją sporą głowę i niezobowiązujący uśmiech, moje niesforne i nieujarzmione włosy. Zamiast zapytać: „Kim oni są?”, to znaczy Simon i ja, zapytywali

siebie: „Kim jest od?” Bo i prawda: kim byłem, ze dzieliłem z nimi złotą zupkę kołacyjnego blasku i wkładałem do ust ich przyzwoite sztucze?

Dostrzegłszy te trudności Simon szybko przyszedł ira na pomoc mówiąc:

— Augie to dobry chłopiec, on po prostu nie podjął jeszcze żadnej decyzji. — Bardzo się cieszyli, że ich w ten sposób uspokoił co do mnie. Oni tylko chcieli, żebym był zwyczajny, więcej mówił, powiedział parę dowcipów i śmiał się, kiedy wszyscy się śmieją. Nie powinienem tak bardzo różnić się od Simona. Miałem oczywiście pewną trudność w tym, żeby być jak on, nie zdążyłem się jeszcze połapać w jego nowej roli. Wkrótce jednak trochę się zorientowałem i stałem się bardziej do przyjęcia, ba, wręcz mik widziany, gdy przyłączyłem się do tańców i zabawy w salonie po kolacji. Jedynie pan Magnus nie mógł mi darować tego, że nie umiałem grać w bezika. Czy to możliwe, żeby przyzwoicie wychowany młody człowiek tego nie potrafił? Pan Magnus, skądinąd bardzo pobłażliwy i wyrozumiały, był wielce z tego niezadowolony. Jak Talleyrand, który cichł, gdy mówiono o kimś, kto nie umiał grać w wista. Simon umiał grać w bezika. (Gdzie on sse tego nauczył? A skoro o tym mowa, skąd u niego te wszystkie nowe umiejętności?)

— Och, Augie ma zamiłowania naukowe, on nie przepada za podobnymi rozrywkami — wytłumaczył mi. Nie wystarczyło to panu Magnusowi, który miał długie szare pasemka łysiny na swej potężnej głowie.

— Nie znaczy to, że lubię, gdy młodzi ludzie oddają się hazardowi — rzekł. — Ale powinni grywać dla zabawy. — Czułem, że to uzasadnione.

— Będę grał, jeżeli mnie nauczycie — powiedziałem, co w ogromnym stopniu poprawiło sytuację i uczyniło mnie kimś swoim. Siadłem w kącie z młodszymi dziećmi, żeby się uczyć tej gry.

Przyszło więcej krewnych, wielkie mieszkanie się zapełniło. Był to rodzinny zwyczaj, że zbierali się w piątkowe wieczory, a poza tym rozeszła się wieść, że Charlotta jest zaręczona. Ludzie chcieli zobaczyć Simona. Znał już większość z nich, tych stryjów-olbrzymów i okutane w syberyjskie futra stryjenki, którzy przyjeżdżali Cadillac- 296

lakami i Pac kardami: stryja Charlie'ego Magnusa, właściciela składów węgla, stryja Artie'ego, który miał wielką fabrykę materaców, stryja Robbie'ego, który prowadził sklep komisowy przy South Water Street, ciężkiego, białego, z karakulowymi włosami — jak Stiva Lausch — i wetkniętym w ucho aparatem słuchowym. Stawili się tam też ich synowie w mundurach, z akademii wojskowej, i inni, z insygniami klubów piłkarskich, i ich córki, a także małe dzieci. Simon był przygotowany na przyjście tych stryjów i stryjenek, z niektórymi bardzo zżyty, innych nawet już teraz wręcz lekceważył. Miał naturalny dar orientacji w tym ich systemie bratania się i gardzenia — jak nie dać się w żadnych okolicznościach przyłapać w sytuacji zezwalającej komuś na spojrzenie z góry, kiedy to się później czyta z czyichś odwróconych gburowato pleców, że się jest schmuck.

Pewność siebie Simona była nadzwyczajna, to on górował nad nimi, chociaż odnosił się z wielkim szacunkiem do kilku kobiet. W stosunku do nich cynizm i serdeczność nie były wskazane, natomiast należało dowieść, że poza wszystkim jest się jeszcze amantem. Muszę też dodać, że nie czułem zakłopotania z mego powodu — zakładał z góry mój współudział, dlatego prowadził mnie za sobą i uczył. Zdążyłem więc z nim, ponieważ o nikogo innego nie mógłbym się bez obaw zahaczyć. Brakowało tylko białych pończoch i wachlarzy, a byłaby to istna scena z okresu Dyrektoriatu — mam tu na myśli ludzi z gminu, którzy się nagłe znaleźli w pałacach władzy. Tylko że Magnuso wie jeszcze mniej wiedzieli. jak postępować. Ale na całym świecie nie znajdziesz człowieka, który by miał coś więcej od nich, chyba pieniędzy — lecz ta przepaść jest zawsze do przebycia.

Nad całym tym zgiełkiem i żarem rodzinnym, krzykami od stołu karcianego, bieganiną dzieci, dzbankami kakao i herbaty, stosami wnoszonego ciasta kawowego, hałaśliwymi rozmowami na temat polityki i ostrzejszym rzeniem kobiet, nad tym jednym wspaniałym, pełnym żywotności dysonansem sprawował nadzór stryj Charlie, który stał, a raczej unosił się na dwóch łapach, obok matki u ncruce i czarnej sukni. Jeśli uznałem za stosowne dodać określenie „unosił się na dwóch łapach\*”, stało się to

z powodu potężnego brzucha i ogromnego ciężaru, jaki dźwigał na swych stopach, a może także i dlatego, że staruszka miała na szyi łańcuch z czegoś w kształcie złotych zębów niedźwiedzia grizzly, co mi przywiódł na myśl to zwierzę. Stryj Charlie był biały, gruby, zrzędnny i miał w sobie rodzaj wyniosłości, która razi oczy jak śnieżna ślepotą, każąc myśleć, że w posiadaniu miliona dolarów jest coś arktycznego. Przynajmniej taki blask rozsiewał imigrant będący w czasach wielkiego kryzysu milionerem. Co nie znaczy, że stryj Charlie był groźny pod każdym względem, przedstawiam go po prostu upozowanego na czas spotkania rodzinnego, jako człowieka mającego bratanicę na wydaniu i nowego kandydata na członka rodziny.

Poprzez Simona musiałem również stać się takim kandydatem. Gdyby on się sprawdził, mógłbym ewentualnie zostać czyimś mężem, bo tu nie brakowało córek na wydaniu, niektóre nawet były ładne, a wszystkie z pieniędzmi. Jak dotąd Simon odnosił same sukcesy. Od kilku tygodni pracował pod okiem stryja Charlie'ego, najpierw jako wagowy i kasjer, a potem ucząc się kupować, rozmawiając z maklerami i pośrednikami, poznając ceny frachtu i różne złoża węglowe. Stryj Charlie zaświadczył, że jest fehig, czyli zdolny, że ma z natury dobry łeb do interesów, co wszystkich bardzo uradowało. Simon już zaczął szukać własnego składu węglowego, pragnąc znaleźć taki, który by miał nadzieiny tor, co znacznie zredukowałoby koszta rozładunku. Krótko mówiąc, stryj Charlie był niezmiernie pobłażliwy dla Simona jako człowieka rzutkiego i darzył go swymi względami, które się objawiały w prostych serdecznych sprośnościach i kładzeniu dłoni na ramieniu. Potrząsał głową przy twarzy Simona i otwierał skarbnice dowcipu. Jego humor sprawiał, że wszyscy się zaśmiewali. Nikomu nie przyszło do głowy upominać go, że są tam dzieci i młode dziewczęta, gdy mówił:

— Niezły jesteś, skurczybyku, niezły. Masz łeb. Myślę, że równie dobrze spisujesz się w łóżku, co? — Tak po prostu zwykł się wyrażać.

— A jak ci się zdaje? — odparł Simon. — Zostaw to mnie.

298

— Myślę, że tak. Zostawiam to tobie. Myślisz, że sam się do tego wezmę? Charlotta nie byłaby zadowolona. Spójrz, jak jest zbudowana. Niczego jej nie brak. Musi mieć młodego strąka.

W tym miejscu i ja dostałem się w centrum uwagi. Kelly Weintraub, jeden ze spowinowaconych z rodziną przez małżeństwo, który jeździł na platformie u stryja Rob- by'ego, rzekł:

— Spójrz na jego brata. Dziewczętom aż oczy wychodzą na wierzch, jak na niego patrzą. A twojej córce najwięcej. Nie masz wstydu, dziewczyno? W tej rodzinie dziewczęta są bardzo niecierpliwe.

Słowa te wywołały piski. Lucy Magnus jednak nadal uśmiechała się do mnie, choć bardzo poczerwieniała. Była drobniejsza od reszty rodziny i nie wstydziła się objawiać swojej szczerzej zmysłowości na oczach całego klanu. Nikt z Magnusów nie troszczył się o ukrywanie takich rzeczy — nie było to potrzebne. Młodzi mogli mówić rodzicom dokładnie, co chcieli, a ja uznałem to za wspaniałe. Sam spoglądałem na Lucy z przyjemnością. Choć pospolita, miała zdrową cerę, bardzo jasną, i ładne piersi, którymi rzucała na wszystkie strony. Tylko nos mogłaby mieć ładniejszy — był trochę za szeroki, jak jej usta, ale czarne oczy pełne wyrazu, a włosy czarne i miękkie. Przywiódło mi to na myśl te inne włosy, w czym zawierały się pewne sugestie, których nawet nie próbowałem unikać. Były to jednak myśli ewentualnego kochanka, nie męża. Nie paliłem się specjalnie do małżeństwa. Zbyt wyraźnie dostrzegałem kłopoty Simona, aby chcieć się ożenić.

— Chodź tutaj — rzekł do mnie jej ojciec i musiałem się poddać drobiazgowym oględzinom. — Czym się zajmujesz? — zapytał mrugając oczami jak w pełnym oślepieniu śnieżnym. Simon odpowiedział za mnie:

— Zajmuje się handlem książkami. Póki nie zarobi dostatecznie dużo, żeby móc wrócić na studia i zdobyć stopień naukowy.

— Zamknij się! — odrzekł. — Lizydupa! Pytam jego, nie ciebie, wtrącałski! Czym się zajmujesz?

— Handlem książkami, jak powiedział Simon.—Zda-

299

wało mi się, że strtry jest zdolny przejrzeć siłą swej podejrzliwości moje łotrostwo, całe dziwactwo domu Owensa i moich tamtejszych przyjaciół. Co mógł dla niego oznaczać handel książkami, jeśli nie głodujących sprzedawców Pięcioksięgu o brodach pełnych polskich wszy i nogach zawiniętych w workowe płótno?

— Przekłete szkoły! Teraz uczniowie bywają nawet siwowłosi. Więc na co chcesz się wyuczyć? Na prawnika? Fajnie! Prawnicy muszą być na świecie, oszuści. Moi synowie nie chodzą do szkół. Córki tak, póki to je chroni przed popadnięciem w kłopoty.

— Augie ma zamiar pójść na prawo — rzekł Simon do matki Lucy.

— Tak, właśnie — potwierdziłem.

— To świetnie, świetnie, świetnie — powiedział stryj Charlie kończąc przesłuchanie i odprowadzając nas wszystkich odwróceniem białej, obciągniętej grubą skórą twarzy w inną stronę. Spojrzał groźnie, z wyrazem najwyższej troski na swoją córkę, Lucy, która odpowiedziała mu uśmiechem. Dostrzegłem w jej wzroku zapewnienie posłuszeństwa, a w jego obietnicę zaspokojenia wszystkich słusznych pragnień pod warunkiem, że pozostanie posłuszną.

Czułem na sobie jeszcze jedno specjalne spojrzenie — mojej szwagierki, Charlotty, która patrzyła na mnie badawczymi, ciepłymi i w pewnym stopniu zropaczonymi oczyma. Nie wątpię, że już wiedziała trochę nieprzyjemnych rzeczy o Simonie i może próbowała dostrzec je we mnie. Przypuszczam, że zastanawiała się nad ryzykiem, na jakie naraziłaby się jej kuzynka Lucy w związku ze mną.

Tymczasem Kelly Weintraub mówił:

— On ma sypialniane oczy, ten Augie. — Ale byłem jedynym, który to usłyszał, i dobrze mu się przyjrzałem, żeby sprawdzić, w jakim stopniu chciał mi naprawdę zaszkodzić, a w jakim tylko żartował, ten furman przy- stojniaczek o przylizanych włosach, zdecydowanie lubieżnych oczach i wiele mówiącym wydatnym podbródku.

— Ja was znam, chłopaki — rzekł do mnie.

Wtedy go poznałem — niewiele się w gruncie rzeczy 300 zmienił od czasów, gdy biegał w swetrach po szkolnym podwórku.

— Mielicie małego braciszka, George'a.

— Nadal go mamy. Tylko że już nie jest mały — odparłem. — Wyrósł i mieszka w głębi stanu.

— W Manteno?

— Nie, w innym mieście, w takiej małej dziurze koło Pinckneyville. Znasz tę część stanu?—Sam jej nie znałem. Był tam kiedyś tylko Simon, bo Renlingowie nie mogli mnie w owym czasie puścić.

— Nie, nie znam. Ale pamiętam George'a — powiedział.

— Ja też ciebie pamiętam, jak się czepiałeś wozów rozwożących lód. — Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. Głupi był z tymi swoimi pogroźkami. Myślał, że włoży kij między szprychy Simona, a Simon zostawił go daleko w tyle.

— Oczywiście, że Charlotta wie — rzekł Simon, kiedy mu powiedziałem o Kellym Weintraubie. — Czemu mielibyśmy robić z tego sekret? Ona nawet chce umieścić George'a w prywatnym zakładzie. Nie przejmuj się, nikt tu nie zwraca uwagi na tego faceta. On się nie liczy. W każdym razie ja pierwszy go poznałem i mam nad nim przewagę. Zostaw tę sprawę mnie, oni wszyscy jedzą mi z ręki. I dodał: — Będą jeść i tobie, jeśli będziesz robił, co ci powiem. Wywarłeś na nich dobre wrażenie.

Szybko się przekonałem, że rzeczywiście ma nad nimi władzę. Wcale bowiem nie żartował, kiedy powiedział, że ma co do mnie plany i przyjeżdżał po mnie po kilka razy w tygodniu, żeby mnie zabierać na różne spotkania. Jedliśmy obiady ze stryjami i kuzynami w restauracjach, klubach i innych wykwinnych lokalach biznesmenów. Simon był wobec nich twardy i nieustępliwy czy to w żartach, czy w wynikłych sporach, a jednocześnie wzgardliwie informował mnie półgłosem o ich różnych sprawkach. Stwierdziłem, że rozwinął w sobie okropną zdolność do kłótni — o czymkolwiek się mówiło, miał zawsze odmienne zdanie. Mogło to dotyczyć krawców lub aktorów, bokserów wagi ciężkiej lub polityki — spierał się o wszystko, o czym miał jakieś takie pojęcie. Był niecierpliwy nawet w żartach, wzbudzał postrach wśród

kelnerów odsyłając dania z powrotem do kuchni, ale też dawał sowite napiwki. Wydawało się, że w ogóle się nie liczy z pieniędzmi — zawsze teraz miał przy sobie gruby plik banknotów — wkrótce jednak przekonał mnie swoim sposobem traktowania portfela i rachunków, że wie, co robi.

- Przy tych ludziach — wyjaśniał — musisz sypać pieniędzmi. Niech tylko raz zobaczą, że ręka ci zdrzy, jak sięgasz do portfela, to będą cię mieli za nic. Muszę być z nimi w dobrych stosunkach. Oni znają wszystkich, a ponieważ chcę wkrótce założyć własny interes, są mi potrzebni. Takie obiadowe pogawarki i chodzenie do Chez Paree i Glass Derby udowodniają, że potrafię dotrzymać im kroku, i to jest najważniejsze. Im ani w głowie załatwiać interesy z kimś, kto do nich nie należy. Rozumiesz teraz, czemu taki cham jak Kelly Weintraub się nie liczy. Jego nie stać na obiady w podobnych lokalach, on nie może zapłacić rachunku w Chez Paree w taki sposób, żeby się zaraz wszystkim nie zrobiło głupio... żeby nie pomyśleli, że go na to nie stać, bo dobrze wiedzą, ile zarabia tygodniowo. To człowiek bez znaczenia i nikt nie chce go słuchać. Ale zapamiętam go sobie — rzekł niebezpiecznym tonem. Wiem, że miał listę rachunków do załatwienia. Czy była na niej Cissy i Pięć Nieruchomości? Myślę, że na pewno.

— Ech — powiedział — jedźmy do śródmieścia. Ostrzyżemy się.

Pojechaliśmy do Gmachu Palmera i zeszliśmy na dół w promienny blask salonu fryzjerskiego. Simon byłby upuścił swoje wytworne angielskie palto na ziemię, gdyby Murzyn-szatniarz nie nadbiegł w porę, aby je pochwytać w ramiona. Siedzieliśmy przed ogromnymi lustrami w tych biskupich machinach wielkich foteli, poddając się różnym zabiegom upiększającym. Simon kazał sobie robić gorące okłady na twarz, przypalać koniuszki włosów, zrobić manicure, nie żałując sobie niczego, i nie tyle nakłaniał, ile zmusił mnie, abym uczynił to samo. Chciał wypróbować wszystko, co tylko tam umiano.

Doszło do tego, że podlegałem surowej inspekcji stając przed nim, jak szeregowy przed wyższym oficerem. Nie mogłem mieć nawet o włos wykrzywionych pięt, nian- 302 kiety spodni musiały odpowiednio opadać na buty, dostarczał mi krawatów, zabierając moje i wieszając tuzin wybranych według własnego gustu na moim wieszaku. Wrzeszczał i dokuczał mi, jeśli uznał, że nie ubieram się, jak według niego powinienem. A była to rzecz, która przestała mnie interesować od czasów Evanston. Musiałem się liczyć z tym, że Mimi mnie wyśmieje, kiedy zobaczy moje wypolerowane paznokcie. Ale pozwoliłem sobie to zrobić. Nie poświęcałem wiele uwagi swoim rękóm. Zadbane ręce jednak były zapewne atutem w moim fachu złodzieja książek. Widząc moje ręce i krawaty, któż by posądził mnie o kradzież? Bo oczywiście nie przestałem kraść. Nie musiałem już utrzymywać mamy — teraz Simon się tym zajmował. Ale chociaż zawsze za mnie płacił, te wyjścia z nim sporo mnie kosztowały. Zdarzało się, że musiałem dawać napiwki, płacić za drinki albo cygara, albo bukietki dla Charlotty, gdy to umknęło uwagi Simona, a poza tym moje rachunki za pranie i czyszczenie były teraz wyższe niż kiedykolwiek. Ponadto od czasu do czasu chodziłem w sobotnie wieczory z Padil- lą i przyjaciółmi na Lake Park Avenue. A prócz tego starałem się łączyć na opłaty wstępne na uniwersytet. Simon chytrze nie dawał mi pieniędzy, przeważnie obdarowywał tylko rzeczami. Chciał, abym przywykł do kosztownych potrzeb, wtedy pragnienie forsy powstałoby samo. Wtedy, gdybym go zaczął prosić o więcej, mógłby mnie od siebie uzależnić.

Od fryzjera szliśmy do Fielda kupić Simonowi tuzin koszul, importowaną włoską bieliznę, spodnie albo buty, wszystko, czego i tak miał za wiele. Pokazywał mi pełne szuflady, szafy i półki i mimo to wciąż kupował. Wynikało to w części z faktu, że się znajdował nie po tej co trzeba stronie lady lub służalco zgiętego grzbietu przy stołku do mierzenia-butów, a w części było sposobem kuszenia mnie. Ale wiedziałem też, że w tym salonie fryzjerskim i na wyprawach na zakupy chciał się odświeżyć. Sypiał źle, wyglądał na chorego i słabego, któregoś ranka, kiedy przyjechał po mnie, zamknął się w ubikacji i płakał. Po tym dniu przestał wchodzić na górę — trąbił, żebym zszedł do niego. — Nie mogę znieść tego domu, w którym mieszkasz—

powiedział. — Strasznie tam brudno. Jesteś pewien, że nie ma pluskiew? A kibel jest ohydny. Nie rozumiem, jak możesz tam wchodzić. — Wkrótce przyzwyczaił się to powtarzać z tym samym surowym badawczym spojrzeniem, jakim oceniał mój wygląd. — Kiedy się wreszcie wyprowadzisz z tego gniazda szczurów? Jezu, przecież właśnie w takich miejscach rodzą się wszelkie plagi i epidemie! — Z czasem przestał po mnie przyjeżdżać. Dzwonił, kiedy byłem mu potrzebny, a nawet telegrafował. Początkowo jednak pragnął, abym przebywał z nim niemal bezustannie. Tak więc chodziliśmy po rozjarzonych uliczkach i buchających ciepłem wnętrzach sklepów, ale potem, kiedy wracał do Dzielnicy Zachodniej ubrany w jeden z nowych krawatów i w lepszym chwilowo nastroju, nagle tracił cały ten nastrój i naciskając pedał gazu prawdopodobnie widział samego siebie przebaczonego pędem granicę własnej wytrzymałości. Lecząc jak samochód z piskiem opon na zakrętach w końcu wyrównywał, tak i on odzyskiwał równowagę. Jednakże sądząc ze sposobu prowadzenia wozu i rzucania się w sporach na każdego, kto go zaczepił, dręczyły go najwyraźniej myśli samobójcze. Miał pod siedzeniem kierowcy łyżkę do zdejmowania opon na wypadek sporu z innymi kierowcami i przeklinał wszystkich na ulicy, przejeżdżając na czerwonych światłach i zmuszając pieszych do ucieczki. A jedno, co za tym stało, to fakt, że miał kieszenie wypchane pieniędzmi, które mu dano z góry, ponieważ twierdził, iż potrafi zbić majątek. Teraz zaś musiał się wykazać.

Wiosną, pod koniec sezonu opałowego, wydzierżawił skład. Bez torów nadziemnych, a tylko z długą boczną koleją, więc pierwsze deszcze przemieniły cały teren w bagno. Trzeba go było zmeliorować. Pierwszy węgiel wysypano w błoto. Kantor znajdował się w lichej szopie, waga wymagała kosztownej naprawy. Pierwszych kilka tysięcy dolarów rozpląnęło się i trzeba było poprosić o więcej. Chcąc zdobyć zaufanie maklerów musiał w porę płacić rachunki. Pomógł mu w tym stryj Charlie. Ale należało również zadowolić samego Charlie'ego.

Była też do płacenia okazała pensja kierownika składu i wagowego, Happy Kellermana, którego podkupił z dużej starej firmy w Dzielnicy Zachodniej. Zatrudniłby mnie (pewnie za nieco mniej pieniędzy), gdybym umiał sobie poradzić z tą robotą, ale uparł się, żebym przychodził uczyć się od Kellermana, więc wkrótce zacząłem spędzać w kantorze sporo czasu. Kiedyś chwycił mnie za rękę i powiedział, niemal jak pijany, z przybrudzonymi i splekanymi od długiego, nerwowego mówienia ustami, cicho, ochryple, zjadliwie:

— Tu musi być ktoś, komu mogę ufać. Musi! — Nie mogłem mu odmówić. Nie wiem jednak, co Happy Kellerman mógłby tam sprzeniewierzyć. Był to drobny piwosz, o sflaczałym ciele, komiczny, skrzywiony, wymi-zerowany, słaby, mówiący cierpkim, nosowym tonem, ubrany w pogniecione pod brzuchem spodnie. Nos miał zadarty, ukazujący urażone i płochliwe nozdrza, a oczy krągłe, fałszywe, którymi dawał do zrozumienia, że nie jest bezbronny. Istny tio listo, karnawałowy typ, bywalec burdeli. Miał styl lichego tancerza najniższego rzędu, co wymachuje laseczką postukując w takt zelówkami i śpiewa: „Chodziłem do szkoły z Maggie Murphy”, i opowiada sprośne dykteryjki, podczas gdy głupkowata publiczność czeka, kiedy wreszcie wyjdzie naga gwiazda i zacznie mleć pośladkami. Miał repertuar nieszkodliwych żartów, psich ujadów i sztucznych popierdywań. Jego najlepszym kawałem było zająć kogoś od tyłu i schwycić za nogę z warknięciem pekińczyka. Na życzenie Simona musiałem spędzać z tym człowiekiem popołudnia i uczyć się od niego handlu. Od czasu gdy usłyszałem w kiblu płacz Simona, trudno mi było odmówić mu czegokolwiek.

Często zastępowałem Happy Kellermana w porze obiadowej. Happy wskakiwał do tramwaju i jechał na Halsted Street, bo nie cierpiał chodzić. Wracając o drugiej wywlekał się z tramwaju na przystanku przy drodze dojazdowej do składu niosąc w rękę marynarkę i słomkowy kapelusz, z kamizelką wypchaną papierosami, ołówkami i wizytówkami — miał własną wizytówkę z napisem: „Happy Kellerman, reprezentant firmy Węgiel i Koks Marcha”, a pod tym kogut ścigający oszalała z lęku kure i słowa: „Biznes dla mnie to nie żarty”.

Wszedłszy sprawdzał jęczyczek wagi, wkładał „Timesa” do pieca, obchodził plac węglowy, a potem, jako że były

I to psie dni, straszny upał, siadaliśmy w miejscu, gdzie z betonowego kanału wagi płynął chłód. Kantor wyglądał jak chata osadnika albo dom z westernowego miasteczka stojący szczytem do ulicy. Za podjazdem była bocznica rzeźni z zakurczonymi bydłętami ryczącymi w wagonach i wtykającymi czerwone pyski między listwy. Koła platform zapadały się w roztopioną smołę, węgiel pękał i matowiał na hałdach, łopian wiadł na lodygach. W rogu placu gnieździły się szczury, które nie uciekały przed Inikim, całe rodziny tych rosnących tam, pełzających [i żywiących się stworów. Nigdy nie widziałem tak obłąskawionych szczurów, które chodziły, gdzie chciały, poruszając się bez lęku przy nogach człowieka. Simon kupił pistolet...

— I tak jest nam potrzebny — powiedział... i strzelał do szczurów, a wtedy pierzchały, ale zaraz znowu wracały. Bez troskie, nawet nie kopały sobie nor, tylko wygrzebywały płytkie gniazda.

Trochę handlowaliśmy. Happy spisywał sprzedaż na wielkich żółtych arkuszach. Dumny ze swego charakteru pisma siadał w słomkowym kapeluszu na wysokim stołku i kreślił cienkie i grube linie. To staromodne biurko buchaltera, żółte i podrapane, przybliżało twarz piszącego do kwadratowego okienka nad wagą. Czasem widywałem tam Simona wypisującego czeki w szerokiej potrójnej księżeczce. Wypisywanie czeków początkowo go fascynowało. Wyciągnął ze mnie, że jestem winien Padilli dwa dolary, dla wyłączonej satysfakcji zapłacenia mego długu czekiem ze swoim podpisem. Teraz ta fascynacja minęła, ponieważ jego saldo się skurczyło i przypomniał sobie swoje śmiałe poczynania z pieniędzmi, gdy chciał się szybko dorobić, aby ożenić się z Cissy. Był przekonany, że tym razem ryzykuje całym życiem. Nie na darmo mówił, jak bardzo chce zrobić pieniądze, gdy przyszedł powiedzieć mi, że się żeni. Dowodziły tego teraz duchowe rany jego twarzy, śmierć jej rumieńca i bliskie obłądzenie zachowanie. Jego żaloszny wygląd na tym czarnym Morzu Sargassowym placu węglowego w okresie letniej stagnacji i duchoty sprawiał, że czasem krew mi zamierała z przerażenia. Jeśli chodzenie z nim po tym placu z rękami w kieszeniach pochłaniało tyle mego czasu

przeznaczone- 306  
go na kradzieże książek i czytanie, to nie wynikało to ze zwykłej troski o brata, ale z prawdziwego przerażenia. Niedbałość, z jaką obchodził się z pistoletem strzelając do szczurów, była dla mnie złowróżbna. Także fakt, że uskarżał się na wrzenie w głowie mówiąc:

— Mózg mi zaraz wykipi uszami.

Kiedyś musiałem powstrzymać Simona, żeby nie zszedł Happy Kellermana, gdy ten obrał zły moment, aby go schwycić z warknięciem za nogawkę spodni. Mało brakowało, a byłby mu przyłożył. Jeszcze przed chwilą śmiał się z opowiadania Kellermana o tym, jak był podstawionym klientem w czasie boomu nieruchomościowego na Florydzie, i o przygodzie miłosnej z Turczynką, która nie chciała go wypuścić z domu, a także o pierwszej zażytej dawce, kiedy powiedział, że: — To było, jakby się wlało do puszek z gorącymi robakami na ryby. — Nagłe przejście od śmiechu do brutalności sprawiło, że Happy gotów był z miejsca odejść, i jego wielkie, doświadczone, kliwne oczy zmarmotniały, wypełniły się ostrzeżeniem, gdy próbowałem załagodzić sprawę. Bo do mnie należało zaprowadzać pokój.

— Nawet w dużo większych firmach nikt nie śmiał do mnie podskakiwać—powiedział mi Happy kątem ust, ale tak, aby Simon słyszał. Widząc, jak Simon stoi z pochyloną głową i otwartymi ustami odsłaniającymi ten wciąż jeszcze nie wyreperowany ząb na przodzie, wiedziałem, że serce mu mocno bije i najchętniej chwyciłby Kellermana z tyłu za portki i wyrzucił na ulicę, lecz z konieczności musiał zwalczyć to pragnienie.

W końcu Simon rzekł:

— W porządku, przepraszam cię, Happy. Jestem dziś trochę zdenerwowany. Musisz sobie zdawać z tego sprawę, Happy...—Zwyciężyła myśl o Magnusach i przerażenie, jak mógł do tego stopnia zapomnieć, że jest początkującym biznesmenem, a Happy zwykłym nic, i unieść się z powodu takiej bzdury. Cierpliwość Simona i to przelknięcie własnej dumy były dla mnie gorsze niż jego gniew czy wygłupy — nędzna, wymuszona fizyczna cierpliwość. Drugą taką trudną dla mnie do zniesienia rzeczą stały się jego rozmowy z Charlottą przez telefon, kiedy mówił cicho, jakby u kresu wytrzymałości, i odpowiadał na jej

pytania uległe i po kilkakroć, bliski całkowitego poddania.

— Słuchajcie — rzekł do mnie i Kellermana — może siądziecie w samochód i pojedziecie pogadać z kilkoma handlarzami? Spróbujcie trochę rozkręcić handel. Macie tu pięć dolarów na piwo. Ja zostanę z Coxie'em i spróbuję naprawić ten płot na tyłach placu. Jeśli tego nie zrobimy, rozkradną nam cały węgiel. — 'Coxie był majstrem do wszystkiego, starym pijaczną w kaszkiecie zachlanego malarzyny, podobnym do czapki włoskiego oficera. Simon posłał go na poszukiwanie starych desek pod płotem zakładów firmy Westinghouse. Coxie pracował za hamburgery, butelkę kalifornijskiego sherry K. Arakeliana albo za prochy. Był też stróżem nocnym i sypiał na kupie szmat za zieloną kratą z drewnianych listew przed rzadko używanymi frontowymi drzwiami. Poszedł kulejąc — miał w nodze kulę, jak twierdził, z czasów bitwy o San Juan Hill — wzdłuż ciągnącego się na milę wielkiego siatkowego płotu korporacji, w której takie potrzeby jak płoty zaspokajają młodszy urzędnicy, ogłaszając przetargi na ich wykonanie, a mocno napięta stalowa siatka pozwala wszystkim patrzeć na bijący z dala wielki blask, ceglane wieże, długie budynki siłowni i wielką jak Wezuwiusz górę tłustego węgla pod rzadko maconą jaskrawością letniego nieba.

Pojechałem z Happyem, który prowadził. Na ulicach imigrantów z Europy Środkowej bał się, że przejedzie jakiegoś dzieciaka, a rozwścieczony tłum rozerwie go na strzępy.

— Jeżeli któremuś z ich dzieci coś się stanie, to lepiej uważaj, choćby nawet to nie była twoja wina. — Zawsze więc odczuwał ten lęk i nie pozwalał mi usiąść za kierownicą, ponieważ za mało się bałem, żeby być dostatecznie ostrożnym. Zapraszaliśmy handlarzy węglem i lodem do tawern na piwo i na pogaduszki i siedzieliśmy w tych sennych, mrocznych w upał norach, gdzie nawet muchy wolały pełzać niż latać jakby odurzone oparami moczu, cierpkim zapachem siodła, a także rozgrzaną pustką z drewnianymi odgłosami transmisji baseballowej, która jeszcze zacieśniała to niemożliwe do zlokalizowania nie rozpoznane zło. Gdy wybiegałem

308

myślą ku czemuś na zewnątrz, wówczas mógł to być Padilla ze swymi teoriami na temat wielkości wszechświata, bo jego zapal naukowy bronił przed ponurością. Ale w takich miejscach człowiek się modlił, aby nie rozpocząć tego powolnego, kosmatego, muszego pełzania od kropli do kropli, od gwiazdy do gwiazdy, nie wkraczać w ten nieludzki wszechświat tutaj, a nie było to jeszcze dno wora, który się wysypał na Cook County i Północne Illinois.

Simon nigdy nie przejmował się takimi sprawami. On z każdego miejsca musiał wydusić swoje i to był jedyny interesujący go z tym miejscem związek, że są w nim dolary, jak wody podskórne, jak pozornie jałowa góra musi wypluć z siebie ropę naftową lub żelazo, jak te miejsca, dokąd ludzie inaczej nigdy by nie poszli, pustkowia, Nowe Fundlandie, spękane ziemie i antarktyczne śniegi poczernione dymami paliwa czerpanego w Teksasie lub Persji.

Ci handlarze nazywali się Hrapek, Drozd, Matuczyń- ski. Znajdowaliśmy ich w szopach, przy kościele, przy domu pogrzebowym lub w czasie przewożenia czyjegoś dobytku. Sprzedawali węgiel na tony i worki. Mieli zwykle ciężarówkę lub wywrotki. Trzeba było ich przekonywać i kupować, zabawiać, proponować im specjalne transakcje, schlebiać, przekomarzać się z nimi, opowiadać sekrety o żyłach w różnych kopalniach, na które składały się obszerne techniczne wywody o brytyjskich jednostkach ciepła i o procentowości popiołu. Happy bardzo zręcznie z nimi postępował, świetny pomocnik hurtownika o talentach, które można porównać z talentami dostawcy zaopatrzenia okrętowego. Pił tyle samo piwa co oni, szklanka w szklankę, i osiągał rezultaty. Skuszeni obniżonymi cenami i wyborowym węglem, zaczęli przychodzić.

Simon przeprowadził kilka wyprzedazy, żeby się coś ruszyło. Kazał mi rozdawać w Dzielnicy Chińskiej karteczki reklamujące jego koks, który pralnie chińskie przekładały nad inny opał, i z wolna zyskiwał klientów. On też jeździł po mieście i prosił swoich nowych krewnych o zamówienia. Parę okazji podrzucił mu stryj Charlie. więc interes powoli się rozkręcał.



Simon się wycwanił Jak załatwiać sprawy na płaszczyźnie politycznej — jak zdobyć pozycję, żeby wejść w interesy municypalne — zaczął spotykać się z pomniejszych politykami i wszedł w zażyłe stosunki z policją. Zadawał się z porucznikami i kapitanami, z prawnikami, handlarzami nieruchomości, z szulerami i bukmacherami, tymi ważnymi, którzy prowadzą na boku legalne interesy i coś posiadają. W czasie strajku kierowców i monterów linii elektrycznych samochody policyjne pilnowały jego dwóch ciężarówek, bo strajkujący wysypywali węgiel na ulice. Musiałem czekać na jego telefony w komisariacie, żeby powiedzieć policjantom, kiedy wysłać z placu transport, co było moją pierwszą okazją do przesiadywania w takim miejscu nie w charakterze podejrzanego, przesunięciem z mroku w jaśniejszy punkt tej wielkiej społecznej protoplazmy. Ach, ten mrok komisariatu Dzielnicy Zachodniej! Cóż to był za mrok! Zepsuty, zżarty chorobami, obolały i ropiejący. I gdy te niewydarzone i wykołejone postaci chyliły się, powłóczyły nogami, szły wielkimi krokami, popatrywały, lękały się, były zrezygnowane albo bez troskie, człowieka ogarniało zdziwienie, że wszystko to urodziło się ludźmi i miało ludzki kształt, i zdumiewała ta nieumiejętność odróżniania dobra od zła i brak wyboru. Nie wolno również zapominać o draóstwie, pazerności i okrucieństwie samej policji. A nie było to wcale wielkie Newgate komendy śródmiejskiej, tylko po prostu podrzędny komisariat.

Jako zięć Magnusów, a także z własnej chęci, Simon nawiązał doskonałe stosunki z porucznikiem Nuzzo, przekładając go nad kilku innych zwyczajniejszych i bardziej gładkich. Nie wiem, jak porucznik dawał sobie radę. Policjant, który nawet w przyjacielskich żartach bierze człowieka za ramię, jakby go aresztował, rękami, które umiały być tylko z żelaza. Porucznik Nuzzo pozostał w pewien sposób Valentinem, mimo że był tęgi i jego twarz długo zachowywała różne ślady, takie jak odgniecenia z czasu snu i ślady ucisku palców. Umawialiśmy się z nim do Chez Paree — w piątkę, póki nie zacząłem zabierać Lucy Magnus, co powiększyło towarzystwo do sześciorga osób — gdzie jedliśmy spaghetti i kurze wątróbki z perlistym burgundem lub szampanem — i P<sup>o\*</sup>

310

rucznik rozglądał się jak mistrz ceremonii, który wpadł z wizytą ze znacznie lepszemu klubu nocnego. Jego żona sprawiała wrażenie osoby na warunkowym zwolnieniu z więzienia, jak w pewnym sensie w towarzystwie policjanta musi wyglądać każdy. Nawet żona. Był Włochem i wprowadzał swoją obecnością styl dawnych królestw. Wielu ich to robi. Za władzą musi stać śmierć. Żeby ściąć Masaniella; żeby powiesić wielkich admirałów, jak to uczynił Lord Nelson w Neapolu. Tak moim zdaniem należało odczytywać gładką twarz porucznika, gdy siedział w radosnym rozgwarze Chez Paree, patrząc na Veloza i Yolandę lub prawie gołe dziewczynki, które nie bardzo wiedziały, co robią, lecz sugerowały, że doprowadzają pracowicie swoje skryte przyjemności do szczytu. W każdym bądź razie póki klub był pierwszorzędny, Simon i Charlotte przepadali za nim, a także, sprytnie, za poufnymi wiadomościami, jakie tam można było uzyskać, kontaktami, życiem publicznym, interesami, za zdjęcia- Jmi, które im robiono przy błyskach flesza, śmiejącym się i obejmującym dla ludzkiego oka, w papierowych czapkach i z serpentynami. Zdjęciami z kimś ważnym przy stoliku, jakąś śpiewaczką, co ubrana w suknię bez ramiączek urzekała uniesioną główką i pięknymi ząbkami, lub z dopijającym drinka prezesem jakiejś rady dyrektorów.

Simon bardzo szybko pojął, jak wielką wagę mają w interesach tego rodzaju kontakty. Czyż sam Prezydent nie cierpiał w Jałcie na bezsenność z tego jedynie powodu, że przez dwa pierwsze dni Stalin nawet się nie uśmiechnął? Prezydent nie potrafił rozmawiać z człowiekiem, który się nie poddawał niczyjemu urokowi i który nie pertraktował na zasadzie przychylności. Przydałoby się przecież trochę żartów i uprzejmości dla złagodzenia decyzji, które nie mogły być w pełni przyjemne. Była to rzecz, którą Simon dobrze wiedział — jak być lubianym i jak dojść do porozumienia na zasadzie tajnych myśli z ludźmi podobnej pozycji.

Lecz jestem z nim ciągle w środku lata, gdy nasilenie jego kłopotów było największe i truł go Jęk przed bankructwem, a jestem pewien, że musiał przyznać przed samym sobą, iż boi się Magnusów i jest przerażony

311

I wziętym na swoje barki zadaniem. Toteż spędziłem z nim większość tych miesięcy. Nie twierdzę, że nigdy nie byliśmy sobie bliżsi — z uporem zachowywał te podstawowe myśli dla siebie — ale nigdy nie przebywaliśmy z sobą tak wiele. Od świeżości poranka po brud i rogową barwę późnego popołudnia jeździłem z nim samochodem, Ibywałem gdzie on — w śródmieściu, w banku, w biurze przy South Water, które Charlotta prowadziła stryjowi Robby, w kuchni u Magnusów, gdzie wpadaliśmy do czarnej kucharki po kanapki, albo w pokoju od tyłu, gdzie stało ich łóżko małżeńskie, ponieważ małżeństwo to było wciąż tajemnicą najbliższej rodziny. Tutaj drzwi się otwierały na to, na czym spoczywał cały ciężar tego intensywnego życia. Pokój został zaopatrzony dla niego i Charlotte w lampy z jedwabnymi abażurami, dywaniki z obu stron łóżka, zasłony odcinające widok zaułka z jego barbarzyństwem — jak w weneckim palazzo odcinają przykrą woń kanałów — w satynową narzutę na łóżko i dodatkowe poduszki na wałku zagłówek.

Aby skrócić sobie drogę do komody, Simon stąpił po łóżku. Zmieniał ubranie ciskając części garderoby, gdzie popadło, skopując buty w kąt pokoju, a nagie ciało wycierając z potu podkoszulką. Bywało, że przebierał się trzy lub cztery razy w ciągu dnia, zdarzało się też, że siedział apatyczny i milczący, a potem wstawał ze swego fotela biurowego ocieślały po całych godzinach milczenia i mówił:

— Wyrwijmy się stąd.

Czasem zamiast pojechać do domu, żeby się przebrać, jechał nad jezioro.

Pływaliliśmy przy cyplu koło North Avenue, tak bardzo lubianym przez nieżyjącego Komisarza. Tego Komisarza, któremu wkładałem w usta papierosa, kiedy przepływał obok mnie. Nogi Simona luźno rozrzucone, kiedy wskakiwał do wody, i ramiona niezgrabnie obejmujące wodę wywołały dręczącą myśl, że skoczył, aby już nigdy nie wypłynąć, jakby chciał posmakować dobrodziejstw pozostania pod powierzchnią. Potem wynurzał się wymęczony, leniwie zaczerpując tchu ustami, z zaczerwienioną mocno twarzą. Wiem, że czuł wielki pociąg do tego, aby opaść na dno i już się nie wynurzyć. Jeśli nawet się me 312

afiszował z tym swoim półpragnieniem i pływał tam i z powrotem, nasepiony, z przyglądzonymi szorstkimi włosami, przegarniając wodę mistrzowsko — a ta woda odbijała się od zatłoczonego brzegu i niosła jak okiem sięgnąć czarne wrzeciona fal, chłodny bruk jakiegoś wymyślanego świata, aż po rozplamiony eter.

Mój brat pływał niczym Aleksander w szkodliwych wodach rzeki Kydnos, których chłód przyprawił go o chorobę, kiedy zanurzył się w nich po bitwie, ja zaś stałem w pasiastych kąpielówkach z palcami nóg zagiętymi na krawędzi pala, gotów w razie potrzeby skoczyć. Nie wchodziłem do wody, gdy on się kąpał. Trzęsąc się wyłaził po drabince, a wielkie muchy cięży paskudnie i od harmideru nadbrzeżnego karnawału kręciło się w głowie. Pomagałem mu się wytrzeć. Kładł się na kamieniu jak człowiek chory. Lecz kiedy się ogrzał i uspokoił, zaczynał robić sprośne aluzje do kobiet i dziewcząt, z oczyma rozszerzonymi i zaczerwienionymi, jakby był bykiem, a każda dziewczyna schylona po sliwkę w torebce śniadaniowej czyniła mu niedwuznaczną propozycję niczym jakaś Pazyfae. Potem zaczynał grzmieć jak trąba, uderzał mnie po ramieniu i mówił:

— Spójrz, co za dupa! — zapominając, że był nie tylko żonaty, ale i zaręczony—to znaczy publicznie zaręczony, na przyjęciu w hotelu. Nie myślał o tym. Myślał natomiast o ogromnych możliwościach, jakie mu stwarzał nowy Pontiac stojący koło Parku Lincolnna oraz posiadane pieniądze. Również o rzeczach robionych na pewnej ulicy, w pewnym budynku czy pokoju, które to rzeczy nie muszą mieć wpływu na to, co będzie się robiło gdzie indziej tego dnia. Stawał się gwałtowny i chutliwy, stąpił tanecznie, a wypukłość głowy tworzyła coś na kształt ściany z jego szyi, twardej i nabrzmiałej jak szyja boksera, który ugodzony ciosem nie upadł, a tylko się rozjuszył.

Nie miał w sobie nic z tej swojej nowej klasy ani chyżości na plaży przy North Avenue (zwana plażą, była jedynie nabrzeżem z kamiennych płyt). Było to miejsce hałaśliwe i surowe, przebywający tam młodzi ludzie twardzi, a dziewczęta wojownicze, robotnicy, ekspedientki, a także trochę dziwek z Clark Street i fordanserek

I z lokali tanecznych. Simon więc mówił i proponował bez dobierania słów:

— Podobasz mi się. Masz ochotę? — Prosto, bez żadnych gier, nawet bez tanich frazesów. I może właśnie ten fakt sprawiał, że to nie było nieprzyzwoite, przeciwnie, budziło lęk i szacunek, gdy żyły Simona pęczniały, szczęki się zaciskały, a oczy zachodziły prądami chuci ciemniejszymi aż do czerni. Dziewczyny nie zawsze się go bały — biła od niego siła, był przystojny, toteż jego boscie nogi stapały po najrozmaitszych podłogach w gorących pokojach za spuszczonejmi zasłonami. Jeszcze rok temu nie spojrzwałyby nawet na takie dziewczyny.

Teraz o wszystkich miejscach, w jakich bywał, miał nieosiągalne dla mnie informacje, ale musiał osiągać, jak się domyślam, jakieś korzyści i przywileje w zamian za swoje wyrzeczenia. Tak, tego rodzaju pryncypałowicie miewają fochy, na jakie nie wszystkim się pozwala. Odgrywają bogów, niczym krwawy Kommodus przed senatem, albo uganiają się za dżokejami i zapaśnikami jak Karakalla wiedząc, że gdzieś zaczynają się już zbierać na podobieństwo oczek włóczki na drutach myśli o upadku tyranów. Tak właśnie było z Simonem, o czym ja miałem szansę przekonać się wcześniej, kiedy włożył na głowę damski kapelusik w Chez Parea i zaczął podskakiwać albo gdy zabrał mnie na wieczór kawalerski, gdzie dwie nagie akrobatki robiły numery z atrapami. Od cyrkowych gier do prywatnej rozwiązłości, czyniąc jedynie to, co robiło wielu innych ludzi — tyle, że siła jego osobowości wysuwała go na czoło i nadawała mu wiodącą rolę.

— A ty? Ty nie? — rzekł Simon. — Co za pytanie! A ta laleczka, która mieszka na twoim piętrze? Czy dlatego nie chcesz się przeprowadzić? Ona się nazywa Mimi, prawda? Wygląda na dość łatwą.

Zaprzeczyłem, ale on mi nie uwierzył.

Mimi ze swej strony interesowała się Simonem.

— Co go trapi? — pytała. — To on wtedy płakał, w kiblu, prawda? Dla kogo się tak stroi? O co chodzi? Ma jakąś babę na karku, co? — Mimo drwiącego tonu gotowa była go zaaprobować dostrzegając w nim cos

314

ekstrawaganckiego i zakazanego, co właśnie aprobowała.

Jednak nie sama zuchwałość i czarna rozpacz powodowały Simonem. Nie, do tego dochodziło jeszcze stu-procentowe pozerstwo. Było lato i zastój i naturalnie tracił pieniądze. Charlotta, znakomity łeb do interesów, niesłuchanie cenna popieczniczka, doradczyni, konsultantka, dawała mu to, co ich łączyło bardziej niż małżeństwo. Chociaż kłócił się z nią i od początku beszał ją, i przeklinał, mówiąc zadziwiające rzeczy, ona zachowywała spokój. Pilny obserwator dostrzegłby, jak się kurczy, a potem wraca do tej wielkiej, tej jedynie ważnej rzeczy — do tego, że on jest jednym z tych namaszczonych, tych zrodzonych do siły i bogactwa. Dowodziła tego sama jego bezczelność, gdy wykrzykiwał: — Głupia krowo! — Przyjmowała to nerwowym śmiechem, który go przywoływał do rozsądku, przypominał, że tego rodzaju rzeczy miały uchodzić za żarty. Toteż niemal nieodmiennie dodawał na końcu odrobinę błazeńskiego śmiechu, mimo że jego wzrok pozostawał dziki. I bywał do tego zmuszany nawet wtedy, gdy uczucia obu stron były tak bliskie zranienia, że trudno by im nadać pozory szorstkiej czułości. Ale pierwszym celem i powodem starań Charlotty było scementowanie ich związku przez zbudowanie na nim fortuny. Jak mi powiedziała: — Simon jest naprawdę zdolny do interesów. To, co teraz ma — a w owym czasie już robił spore pieniądze — to jeszcze nic. — Kiedy to czasem mówiła, przenosiła się jakby na poważny teren, gdzie nie istnieją różnice płci, przyzywane bowiem moce są na nie za wielkie. Nie pochodzą z kobiety ani mężczyzny. [Jak w przypadku żony Makbeta, która wyrzekła błaganie: — Z płci mnie wyzujcie! — Wezwanie tak okrutne, do mocy tak okrutnych, że dusza staje się nijaka^/

Ani jej kobiece ozdóbki HEJłyskotki, szykowne części ubioru, ani wspólne urządzenie mieszkania, ani nawet wybryki Simona nie miały wielkiego znaczenia. Lecz gdy omawiali sprawy związane z bankiem, towarem, podatkami, zaraz ich głowy zbliżały się ku sobie, wielkie, czyste i krytyczne kalkulacje oraz zwierzenia przebiegały w tonacji wagi najwyższej, gdyż na tym w rzeczywistości

315

opierał się ich związek. Chociaż bezustannie nuciła i pogwizdywała takie melodie jak *Moje niebo błękitne* i *Zwiedła letnia miłość*, kiedy się zajmowała pielęgnowaniem paznokci lub poprawiała włosy, wcale nie żyła tymi błahostkami. W istocie beznadziejnymi. Składała im należyny hołd, może nawet więcej niż należy. Wysokie obcasy, przejrzyste pończochy, piękne kostiumy, kapelusze, kolczyki, pióra, różnobarwne kamienne pudry, plusowe elektrolizy i różne tajemne podpórki, na których mogłoby się zdomowić uwielbienie. Nie zaniebdywała niczego w tym względzie, miała sporo godności, potrafiła być posągowo przystojna. Lecz jej krańcowa niewiara w to wszystko widniała nieomylnie na jej prawdziwych ustach, nietożsamych z tymi uszmińkowanymi, niecierpliwych, lekceważących rzeczy mniej istotne. Nie wybrałaby na męża młodego człowieka z fotografii na kartach nut ze swego pianina, tak samo jak nie wybrałaby uczniaka. Kurczowo trzymała się swoich ambicji i niewzruszona w dążeniu do celu była przygotowana na wszelkie grubiaństwo, bezczelności, szorstkości, skandale. Przewidziała je, przetrwała w sobie i nie musiała czekać, aż większość z nich zaistnieje. Najpierw powstały w jej wyobraźni i tam się z nimi rozprawiła.

Simon, rzecz dziwna, niczego więcej nie pragnął.

— Ona ma więcej rozumu i zdolności niż sześć kobiet — mówił. — Jest stuprocentowo uczciwa, niezakłamaną. Ma dobre serce jak nikt — było w tym wiele prawdy — a na dodatek lubi cię, Augie. — Powiedział to mając na względzie moje przyszłe zaloty do Lucy Magnus, na które wyraziłem zgodę. — Posyła mamie różne rzeczy. Chce ją umieścić przy jakiejś rodzinie. To jej własny pomysł. Mama się nigdy nie skarżyła na przytułek. Dobrze jej robi towarzystwo, które tam ma. Co ty na to?

Jeżdżąc po mieście czasem do niej wstępowałyśmy. Najczęściej jednak tylko przejeżdżaliśmy koło przytułku. No, bo z Simonem nigdy nie było wiadomo, gdzie się jedzie. Gdy mówił: — Wskakuj — prawdopodobnie sam nie wiedział, dokąd się wybiera, zaspokajając potrzebę, której jeszcze nie rozumiał. Mogła to być chęć zjedzenia czegoś, wywołania bójki, spowodowania katastrofy, P<sup>0</sup>, 316 dążenia za kobietą, która go kokietowała, albo jakiś interes, partia bilardu, wizyta u adwokata, kąpiel parowa w klubie atletycznym. A pośród tych wszystkich możliwości były też odwiedziny w przytułku przy ulicy Arthington.

Przytułek był zbudowany z szarego kamienia i miał ganek stanowiący jakby lekkie rozszerzenie przed wejściem, z ławkami z obu stron. Wewnątrz też znajdowały się ławy. Wyposażono go jak salę zebrań albo forum publiczne, z ogołoconą ze wszystkiego wspólną przestrzenią. Tylko zły stan okien nie zezwalał intruzowi zajrzeć do środka, bo szyby były pełne skaz i zabrudzone, prawdopodobnie rękami ludzi, którzy ich dotykali, aby przekonać się, że to już nie ściana, tylko okno. Wszystko, co mogłoby im zagrażać, zostało usunięte. I tak w miejsce półki nad kominkiem dano tylko lekki gipsowy występ, a w miejsce progów korkowe pochyłości. Lecz niewidomi nie byli zbyt ruchliwi. Siedzieli i nie odnosiło się wrażenia, że wiele z sobą rozmawiają, toteż bardzo szybko człowiek zaczynał sobie zdawać sprawę, iż jest to wynaturzona beczyność. Poznałem tę beczyność w okresie Einhornowej szarugi mentalnej. A raczej duchowej, nie mentalnej, ową dręczącą dokuczliwość, że człowiekowi może jeszcze coś dolegać, gdy już pogodził się ze wszystkim.

Dyrektor i jego żona chlubili się, że dobrze żywią swoich podopiecznych. Fakt, że po zapachach dochodzących z kuchni można się było domyślić menu następnego posiłku.

Ogólnie biorąc uważałem to za dobrodziejstwo, że mama jest kobietą prostą. Myślałem, że jeśli w jej kręgu są ludzie kłótlivi, intryganci — bo czyż mogło ich tam nie być? — to w tym najskrytszym zaciszu przytułku musiały się dziać rzeczy straszne. Lecz mama poświęciła wiele lat uciszaniu burz, ustępowaniu im z drogi, toteż prawdopodobnie miała więcej kłopotów na skutek wizyt Simona niż z powodu współmieszkańców. Bo Simon przyjeżdżał sprawdzić, jak jest traktowana, a miał bardzo przykry sposób dociekania. Był twardy wobec dyrektora, który liczył, że mu się uda dzięki Simonowi nabyć od Arthura Magnusa materace po cenach hurtowych. Simon obiecał mu pomóc. Zgrywał jednak ważniaka, robił

groźne miny i był ze wszystkiego niezadowolony. Zaprotestował, że mama mieszka z innymi pensjonariuszkami, a kiedy uzyskał dla niej jednoosobowy pokój, to przy kuchni, z jej hałasami i zapachami, uważał więc, że nie ma za co być dyrektorowi wdzięczny. Kiedyś, w letnie popołudnie, zastaliśmy mamę siedzącą na łóżku i montującą agrafki do plakietek kampanii wyborczej Roosevelta. Dostawała dziesięć centów za sto sztuk i zarabiała po kilka dolarów tygodniowo dzięki życzliwości kierownika okręgu wyborczego. Widząc, jak dopasowuje swymi niezgrabnymi od pracy domowej rękami mosiężne agrafki do plakietek, składając te dwa przedmioty po omacku, Simon wpadł w szal, aż się skurczyła i wiedząc, że jestem z nim, zaczęła mnie szukać, abym zainterweniował. Była też przestraszona, że ją przyłapano na robieniu nieświadomie czegoś złego.

— Przystań się drzeć, na miłość boską! — powiedziałem.

Ale nie dał się powstrzymać.

— Co oni sobie myślą! Spójrz, co kazali jej robić! Gdzie jest ten sukinsyn?

Przyszła jednak żona dyrektora, w domowej sukience. Starła się być pełna szacunku, choć nie służalcza. Była błada i drżąca, z twarzą zaciętą, ale mówiła rozsądnie i z dumą.

— Czy to pani sprawki? — wrzasnął do niej Simon.

— Pani March nie jest do niczego przymuszana. Poproszono ją, a ona wyraziła zgodę. Dobrze na nią wpływa, jeśli ma coś do roboty.

— Poproszono? Wiem, jak się prosi ludzi, żeby się bali powiedzieć nie. Niech się pani dowie, że moja matka nie będzie wykonywała żadnej pracy akordowej za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści centów, a nawet dolara za godzinę. Ona dostaje ode mnie tyle pieniędzy, ile jej trzeba.

— Nie musi pan tak wrzeszczeć. Ludzie tutaj są bardzo wrażliwi i łatwo się denerwują.

W korytarzu zaczęli przystawać niewidomi i wkrótce zebrała się ich cała grupka, a w kuchni wielka rozczochrana kucharka odwróciła się od pieńka do rąbania mięsa z nożem w ręku.

■— Simon, sama chciałam, sama prosiłam — t®?

318

maczyła mama. Nie potrafiła nadać wagi swojemu tonowi, nigdy nie umiała, nie miała doświadczenia.

— Uspokój się — powiedziałem do niego osiagając wreszcie jaki taki skutek.

Okazało się, że już nie potrafił zrobić niczego w choćby najlepszej intencji, żeby nie dotknąć przy tym zaognionego miejsca wysokiego mniemania o sobie. Błędnie rozdzielał błogosławieństwa i klątwy jak Balaam, ale nie miał za sobą mocy, która by je odwróciła, tylko własną arbitralność rzutującą na niego samego. Nie mógł więc występować w imieniu matki nie nakazując zarazem, jak należy spoglądać na niego.

Potem podszedł do szafy, żeby zobaczyć, czy są w niej rzeczy, które dała mamie Charlotta—pantofle, torebka, suknie — i od razu zauważył brak lekkiego płaszcza, ofiarowanego przez tęższą osobę i za obszernego na mamę.

— Gdzie on jest... co oni zrobili z tym płaszczem?

— Posłałam go do pralni. Pana matka oblała go kawą — wyjaśniła żona dyrektora.

— Naprawdę — powiedziała mama czystym, bezbarwnym głosem.

— Zwęzę go trochę, jak wróci z pralni—zaofiarowała się dyrektorowa. — Jest za szeroki na nią w ramionach.

Simon patrzył dalej w milczeniu z wyrazem gniewu i wstrętu na szafę.

— Stacją na porządnego krawca — oznajmił — jeśli potrzebne poprawki. Chcę, żeby wyglądała przyzwoicie.

Za każdym razem zostawiał mamie trochę pieniędzy, w banknotach jednodolarowych, aby jej nie oszukano przy wydawaniu reszty. Wcale nie dlatego, że naprawdę nie ufał dyrektorowi i jego żonie. Chciał im jednak dać do zrozumienia, że nie musi się zdawać na ich uczciwość.

— Chcę, żeby codziennie chodziła na spacer.

— Taką mamy zasadę, proszę pana.

— Znam wasze zasady. Przestrzegacie ich wtedy, kiedy chcecie. — Powiedziałem mu coś po cichu, a on rzekł: — W porządku. Siedz cicho. I chcę, żeby przynajmniej raz na tydzień chodziła do fryzjera.

— Mój mąż zabiera samochodem wszystkie panie razem. Nie może ich wozić pojedynczo.

— Więc najmijcie jakąś dziewczynę. Czyż nie można zatrudnić jakiejś gimnazjalistki, która by ją zabierała raz w tygodniu? Chcę, żeby matka była zadbana. Wkrótce się żenię.

- Postaramy się panu dogodzić odparła, a on, dostrzegłszy w tym drwinę, choć żona dyrektora miała spokojny i niewystraszonego wyraz twarzy, popatrzył na nią, burknął coś pod nosem i wziął kapelusz.

M Do widzenia, mammo.

— Do widzenia, do widzenia, chłopcy.

- I niech pani zabierze stąd te śmieci — rzekł Simon roztrzęsając agrałki i plakietki szarpnięciem za róg kapy.

Wyszedł, a żona dyrektora powiedziała do mnie cierpko:

— Mam nadzieję, że przynajmniej FDR mu osobiście odpowiada.

## Rozdział XII

Kiedy nadeszły chłody, Simon zaczął zarabiać pieniądze i wszystko wróciło do normy. Podniosło go to na duchu. Wesele odbyło się z wielkim hukiem w głównej sali balowej jednego z wielkich hoteli, a przygotowania w gubernatorskim apartamencie, gdzie Simon i Charlotta spędzili też noc poślubną. Ja byłem starszym druhną. Lucy Magnus druha. Simon poszedł ze mną, by wypożyczyć smoking, a że leżał na nim jak ulał, więc z miejsca go kupił. W dniu ślubu Mimi pomagała mi zapinać spinki koszuli frakowej i wiązać krawat. Przyglądał się temu mój sąsiad, Kayo Obermark, siedząc bosy na moim łóżku i śmiejąc się z aluzji, jakie czyniła Mimi do małżeństwa.

— Sam wyglądasz jak pan młody — mówiła. — I prawdopodobnie wkrótce nim zostaniesz.

Chwyciłem płaszcz i wybiegłem, bo musiałem przywieźć mamę. Otrzymałem do tego celu Pontiaka. Mama została powierzona mojej opiece. Miałem trwać przy niej od początku do końca. Simon mi przykazał, aby miała ciemne okulary. Dzień był mroźny, wietrzny, pogodny i z niemrawej zielonej połaci wód nadbiegały fale burząc się bielą na skałach przy Outer Drive. A potem zbliżyliśmy się do pysznej elegancji hotelu, jego Jowiszowej o ciężkości i niepokoju marmurowych detali, tej elegancji, która pragnęła być wciąż czymś większym i większym, o jeszcze jedną donicę za wielką dla kwiatów, jeszcze jedną rzeźbioną postać, jeszcze jedną białą konstrukcję z żelaza. Wewnątrz panowało rozkoszne ciepło — nawet

podziemny garaż, w którym zaparkowałem, był nasycony, tym jedwabistym ciepłem. Prosto z białej windy wchodziło się do Alhambry róż i komórkowatych sufitów, złoceń i kości słoniowej, florydzkiej pierzastości roślin i puszystości dywanów, niezmiernych odległości, a wszystko służyło jednemu jednemu celowi otaczania jednostki ludzkiej udogodnieniami. Dogadaniu ciała. Schlebaniu mu. Kapaniu, osuszaniu, pudrowaniu, przygotowywaniu mu atlasowego wypoczynku, przemieszczaniu go i karmieniu. Zwiedzałem Schönbrunn i pałac Bourbonów w Madrycie i widziałem wszystkie ich ulepszenia służące jako oprawa dla władzy. Lecz luksus jako potęga sama w sobie to coś odmiennego — to luksus, za którym nic się nie kryje. Chyba tylko coś takiego jak wszelkie tęsknoty, obojętnie za czym, byle ogromne, które stanowią zlepek tajemnic i zawsze pozostają ukryte. A jak może wpłynąć na człowieka taka potęga? Wiem, że ja sam w jakimś starożytnym mieście, takim, powiedzmy, jak Wenecja lub Rzym, przechodząc wzdłuż majestatycznych murów, pod którymi siadywali wielcy ludzie, doznawałem tego, co to znaczy być po prostu kropką, plamką przesuwaną się przez rogówkę, korpuskułą, niemal białą, niemal jak powietrze — ja dla tych ottimati, w ich myślach. I potrafiłem docenić tę spektakularną starożytną wielkość z pozostałością jej sztuki i wieloma szlachetnymi znamionami, chociaż nie zamierzałem dać się przytłoczyć jej wspaniałością. Lecz w tej nowoczesnej potędze luksusu, z jej batalionami służby i inżynierów, wyróżniają się właśnie same rzeczy, produkty, jednostce ludzkiej zas daleko jest do zrównania się z ich ogromną sumą. W końcu one to właśnie stają się tym, co wielkie —mnogość łazienek z niezawodnie gorącą wodą, ogromne urządzenia klimatyzacyjne i wymyślna maszynena. Nie dopuszcza się żadnej przeciwstawnej wielkości, ten zaś, kto nie chce im służyć przez korzystanie z nich zaprzecza ich wielkości, nie chcąc się nimi cieszyć, ję burzycielem porządku. . Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jaki mam na to wszyst\*<sup>0</sup> pogląd. Wciąż nie było dla mnie jasne, czy będę za tym\* czy przeciwko temu. Lecz jak powstaje decyzja, by \* sprzeciwić i wytrwać w sprzeciwie? Kiedy się wybie » 322 a kiedy jest się wybieranym? Jeden słyszy głosy, inny jest świętym, wodzem, oratorem, Horacym, kamikaze. Jeden mówi: „Ich kann nicht anders — tak mi dopomóż Bóg!” I dlaczego ja nie mogę postąpić inaczej? Czy ludzkość wyznacza potajemnie nieszczęsnym jednostkom jakieś zadania, których wykonania one nie mogą odmówić? Tak jakby ogromna większość odwróciła się od jakiejś rzeczy, której nie może na trwałe zaniechać, więc wyznaczyła jakąś osobę, by pozostała owej rzeczy wierna? Tak czy owak ktoś z ogromnym trudem staje się jednostką przykładową.

Możliwe, że Simon wyczuwał we mnie tego rodzaju podatną na wpływy osobę, mającą szansę stać się jednostką przykładową. Bo Bóg świadkiem, istnieje dość porzuconych i wygłodzonych zasad, które płyną sobie z prądem i tylko szukają punktu zaczepienia. Chciał się więc do mnie dobrać najpierw.

Wpadł na pomysł, że powinienem się ożenić z Lucy Magnus, która miała jeszcze więcej pieniędzy niż Charlot- ta. Oto jaką nakreślił dla mnie przyszłość. Mogłem sobie skończyć wstępny kurs prawa, a potem chodzić do wieczorowej szkoły prawa Johna Marshalla, w dzień zaś pracować u Simona. Miał pokrywać koszty mojej nauki i płacić mi osiemnaście dolarów tygodniowo. Z czasem mogłem zostać jego współnikiem. Albo gdyby mi ta branża nie odpowiadała, zajęlibyśmy się handlem nieruchomościami, połączywszy nasze kapitały. Albo jakąś produkcją. Albo, gdybym zechciał rozpocząć praktykę prawniczą, nie musiałbym być łowcą nieszczęśliwych wypadków, pokątnym adwokacina albo drobnym mądrą i współuczestnikiem dwudolarowych transakcji. Nie przy tych pieniądzach, które by na mnie spadły, gdybym został mężem Lucy Magnus. Poza tym smaczny z niej kasek, mimo że ma brzydki odstające obojczyki, gdy jest wydekoltowana. Obiecał, że mnie poprze, gdy będę się do niej zalecał. Nie muszę się martwić o wydatki, a poza tym pożycz mi swego Pontiaka, żebym mógł ją zabierać do miasta, wstawi się za mną w rodzinie, pousuwa przeszkody. Do mnie należy tylko wyrazić zgodę, starać się uczynić pożądanym, grać, jak najlepiej potrafię, rolę zięcia, jakiego pragnęliby jej rodzice. Proste jak drut.

Byliśmy sami w gubernatorskim apartamencie, w pokoju o białych ścianach i złotych paneaux, z ciężkimi lustrami wiszącymi na jedwabnych sznurach i łóżkiem w stylu Ludwika XIV. Wyszedszy ze szklanej kabiny natryskowej, osuszywszy się grubym tureckim płaszczem kąpielowym oraz włożywszy czarne skarpetki i sztywną białą koszulę, Simon leżał teraz na łóżku i pałac cygaro tłumaczył mi to wszystko w sposób rzeczowy i surowy. Wyciągnął się na całą długość z nieosłoniętą środkową częścią ciała. Nie wychwalał tej wygody i luksusu, lecz mówił, co mam robić: abym nie topniał w zamęcie wyborów, ale pozostał nieugięty, tak jak on, i nauczył się trwać przy tym, co konieczne, nie rozpraszać się na rzeczy nieistotne. Oto co myślał, a do pewnego stopnia ja także. Czemu nie miałbym poślubić córki bogacza? Czy muszę postępować pod każdym względem tak samo jak Simon, czy nie mógłbym sobie urządzić życia nieco inaczej? Czyż nie ma innego sposobu przebycia tego wspaniałego szlaku? Pod warunkiem, że Lucy jest inna od swojej kuzynki. Byłem nie od tego, żeby się zająć tą sprawą i skorzystać z propozycji Simona. Już teraz wykonywałem tak wiele jego poleceń, tracąc na to tyle czasu, że równie dobrze mógłbym brać za to pieniądze, pójść na całego i robić to oficjalnie. Mogę też powiedzieć, że przystałem na tę propozycję z miłości do niego i entuzjazmu wobec jego perspektyw. W które w zasadzie nie wierzyłem. Jednak ogromnie mu zależało, abym nie uważał się za kogoś lepszego, kto nie chce postępować tak jak on, toteż upór, który zawsze kazał mi występować przeciwko niemu z nieświadomianych, a w każdym razie niedostatecznych powodów, wreszcie ustąpił. Nie sprzeciwiałem mu się, więc mówił do mnie z niezwykłą czułością.

Stoczył się z łóżka, żeby dokończyć toalety, mówiąc:

— Teraz zaczniemy piąć się w górę, ty i ja. Byłem ciekaw, kiedy wreszcie zaczniesz okazywać trochę zdrowego rozsądku i czy w ogóle okażesz, czy też po prosi u zostaniesz do końca szmaciarzem. Masz, załóż mi tę spinę z tyłu. Dostałem ten komplet spinek od teściowej- Chryste! Gdzie są moje lakierki? Tyle tu wszędzie bibułki Nic nie można znaleźć. Wywal ją stąd. Wpakuj do gubernatorskiego kibla — rzekł podniecony z nerwowym 324

śmiechem. — Świat nie jest jeszcze taki ciasny. Nie brak w nim miejsca, jeśli się umie znaleźć do niego dostęp. A jak się dobrze przyjrzeć, nie jest to wcale takie trudne. Horner to też Żyd i pewnie nie miał lepszego od nas startu, a został gubernatorem.

— Chcesz poprobać polityki?

— Czemu nie? Wszystko zależy od tego, jak się potoczą sprawy. Stryj Artie zna faceta, którego zrobiono ambasadorem, ponieważ dostatecznie często wspierał kampanie wyborcze. Dawał po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści tysięcy, a co to jest dla człowieka z forszą?

Tego piastowania urzędu ambasadora nie można już było sobie wyobrażać jak za dawnych czasów — wjazd do Florencji Guicciardiniego o inteligentnej twarzy, przybycie do Wenecji jakiegoś Rosjanina albo Adamsa — te wspaniałości już przeminęły i zarzuciliśmy w imaginacji obraz stąpającego po dywanach nosiciela potęgi własnego państwa na rzecz człowieka, który wdmuchuje szelak w rury wodociągowe Limy, aby zapobiec ich rdzewieniu.

Simon, kiedy włożył frak i chodził od lustra do lustra, obciągając zgiętymi palcami białe mankiety i zadzierając brodę, aby wyzwolić nieco silną szyję z ucisku muszki, potrafił swoją energią uświetnić ten apartament, bardziej niż — ta myśl sama się narzucała — gubernatorzy, dla których był zarezerwowany. A dostawszy się do tego apartamentu nie będąc nawet kandydatem, mógł zapewne zejść dalej niż oni bez kandydowania i przechodzenia przez tę męczącą część kariery politycznej. Wkroczył w fazę przemian, a ja też dostrzegałem, że człowiek tylko pozornie rodzi się, by pozostawać w obrębie pewnych określonych granic, poza które wyjść nie może. Takie rzeczy można tylko próbować ludziom wmawiać. Nie twierdzą, że w pełni podzielałem uczucia Simona, entuzjazm konia delfina, niemal zrywając zastony i rozsadzając lustra buńczuczną dumą, lecz z całą pewnością czułem się teraz przy nim mniej zaszufładowany niż kiedykolwiek przedtem i żadna z rzeczy, które dokonali inni, nie wydawała mi się taka nieprawdopodobna.

Tymczasem na dole czekano, a Simon wstrzymywał



[całą ceremonię swoim zwlekaniem. Przyszła sama Char- Mlotła, wielkie gmaszysko weselne w welonie, koronkach [i z kwiatami na długich łądygach w ręku. Ta nie ukrywała wielu zakulisowych spraw życia, aby utrzymać mężczyznę w więzach miłości, jak radzi Lukrecjusz każąc brać w rachubę śmiertelność. Wystarczyło spojrzeć na jej Ipraktyczne usta, by wiedzieć, że wszystko, co dotyczy śmiertelności, zostało z góry uwzględnione, chociaż dla zachowania pozorów robiła to samo co inne kobiety. Szczerłość dodawała jej jakiejś szlachetności. Lecz teraz, gdy weszła do pokoju, była widocznym pomostem do gubernatorskich apartamentów, urzędu ambasadora, i wszystko, co Simon mógł zrobić, sprowadzało go z powrotem do niej.

- Wszyscy są już gotowi. Co ty wyprawiasz? Mówiła do mnie, bo w żadnym wypadku nie chciała winić jego, gdy mogła obciążyć winą mnie, jego dublera.

— Ubieram się i gawędzę — rzekł Simon. — Jest jeszcze mnóstwo czasu... po co ten pośpiech? A w każdym razie nie musiałas przychodzić, mogłaś zadzwonić. Nie denerwuj się, kochanie, wyglądasz ślicznie i wszystko będzie dobrze.

—Jeżeli ja dopilnuję. Idź teraz i pogawędź z gośćmi — powiedziała rozkazującym tonem.

Usiadła na łóżku i zaczęła dzwonić do dostawcy, do muzyków, kwiaciarza, dyrekcji hotelu, fotografa, bo wszystko trzymała pod ścisłą kontrolą i wszystkie sprawy załatwiała sama, nie polegając na nikim, więc oparłszy białe ślubne pantofle o krzesło, kreśliła w notesiku na kolanach liczby, targowała się z fotografem usiłując jeszcze w ostatnim momencie uszczknąć coś z ceny.

— Słuchaj, Schultz, jeśli spróbujesz mnie naciągnąć, nigdy więcej żaden z Magnusów nie da ci zarobić, a jest nas dużo.

— Augie — rzekł Simon, kiedy wyszliśmy z pokoju— bierz mój samochód, ilekroć wybierasz się gdzieś z Lucy. Pewnie będziesz potrzebował pieniędzy, więc masz tu dziesięć dolców. Odeślę mamę do prz>łulku taksówką. Ale chcę, żebyś był w kantorze o ósmej. Czy mama włożyła te okulary, które kazałem ci kupić? Mama posłusznie włożyła okulary, ale nie spodo-

326  
bało się Simonowi, że miała w ręku białą laskę. Siedziała z Anną Coblin w hallu i trzymała między kolanami laskę, którą Simon próbował jej zabrać, a której ona nie chciała mu oddać.

— Mama, daj mi tę laskę, na miłość boską! Jak to będzie wyglądało? Będą nas fotografowali.

— Nie, Simon, nie chcę, żeby mnie potracali.

— Nie będą cię potracali... kuzynka Anpa będzie przy tobie.

— Słuchaj, zostaw jej tę laskę — powiedziała Anna.

— Mama, daj tę laskę Augie'emu, on ją zaniesie do szatni.

— Ja nie chcę jej oddawać, Simon.

— Mama, chcesz chyba, żeby wszystko wyglądało ładnie? — Próbował rozluźnić jej palce.

— Daj spokój! — powiedziałem, a kuzynka Anna z płonąca, nasepioną twarzą mruknęła coś do niego.

— Zamknij się, ty krowo! — odpalił. Odszedł, ale przedtem udzielił mi instrukcji. — Zabierz jej tę laskę. Ale tłum z naszej strony!

Pozwoliłem mamie zatrzymać laskę i musiałem uspokoić kuzynkę Annę, ubłagać, żeby została ze względu na mamę.

— Pieniądze robią z człowieka meszuge — skonstatowała, ciężka i wyprostowana w swoim gorsecie, rzucając wściekle spojrzenia na luksusowy hall.

Spodobał mi się u mamy ten przejaw silnej woli i dziwiłem się niespodziankom, jakie potrafią robić potulni. W każdym razie Simon dał spokój tej sprawie. Był zbyt zajęty, aby móc doprowadzić każdy spór do końca, i znikł z salonu, gdzie czyniono ostatnie przygotowania do ceremonii. Poszedłem poszukać wśród gości kilku znajomych. Zaprosił Einhornów, włącznie z Arthurem. Arthur, który zrobił dyplom na uniwersytecie stanowym, przebywał właśnie w Chicago nie zajmując się niczym szczególnym. Widywałem go czasami w Dzielnicy Południowej i wiedziałem, że przyjaźni się z grupą Frazera, a poza tym jakoby tłumaczy wiersze z francuskiego. Einhorn zawsze popierał tego rodzaju intelektualne przedsięwzięcia. W sali balowej byli zatem Einhornowie — stary w czymś w rodzaju wojskowego płasz-

cza, siwy, wyglądający jak dawny posiadacz podobnych splendorów, który bez specjalnego żalu, lecz ze zrozumieniem kolei losu patrzy, jak te splendory zmieniają właścicieli

- Świetnie wyglądasz w tym smokingu, Augie — rzeki. Tillie pocałowała mnie ujmując moją twarz w ciemne dłonie, Arthur zaś uśmiechał się. Potrafił być wyjątkowo uroczy, ale darzył człowieka tym urokiem jakby w roztargnieniu.

Poszedłem powitać Happy Kellermana i jego żonę, chudego blond gruchota z wypiętym brzuchem, obwieszanego gdzie tylko można sznurami paciorków i pereł. Potem zobaczyłem Pięć Nieruchomości i Cissy. Simon zaprosił ich z nietrudnych do zrozumienia pobudek, częściowo, aby pokazać Cissy, do czego doszedł, a także aby poddać Pięć Nieruchomości okrutnemu porównaniu. Cissy pobiła wszystkie kobiety na głowę swoją szelmowsko prowokującą skromnością, z jaką odnosiła się do własnych wdzięków, ze stykającymi się w głębokim wycięciu sukni piersiami. Wypowiadając nieliczne słowa ukazywała koniuszek języka. Pięć Nieruchomości przybył na pojednanie krewnych. Cissy nauczyła go, by inaczej cesał swe scytyjskie włosy — opadały mu teraz niżej na szorstkie czoło nie zmieniając przy tym sceptycznego wyrazu uśmiechniętych oczu. (ch barbarzyńska zieleń zawsze wyrażała wszystko, o czym Pięć Nieruchomości myślał. Przybył w smokingu na swym ogromnym cielsku, aby dorównać świetnościom, którymi Simon chciał się przed nim pochwalić. Toteż uśmiechał «ę promiennie zielonymi oczami i ustami, odsłaniając zęby i dziąsła. Widać było wyraźnie, że Cissy nim sterowała, uczyła go cywilizowanego zachowania — jego, ongiś ładowacza i woźnicę platformy podrygujących trupów, które Rosjanie i Niemcy porobili z siebie wzajem na polskich błotach. Podciągała go. Mimo to nie mogła sprawić ani swoim uśmiechem, ani powolnym szepceniem, aby jej z tyłu nie podmacywał. CÓŻ w tym złego, kochanie? - dziwił się.

No więc zagrała muzyka weselna. Poszedłem dopilnować, aby zaprowadzono mamę na pluszową ławę, przeznaczone dla niej miejsce w kwietnej klatce przy 32\* ołtarzu — byli z nią Coblino — a potem udałem się na z góry ustaloną pozycję, z Lucy Magnus, w proce\*ji wzdłuż białego dywanu, po którym kroczyły główne osobistości; Charlotta i jej ojciec, poprzedzani sypiącymi płatki róż dziećmi, pani Magnus i stryj Charlie, a potem Simon i brat Lucy, Sam, ciężko stąpający pierwszy obrońca drużyny Michigan. Podczas całej czeremnomi Lucy spoglądała na mnie w sposób niedwuznacznie deklaracyjny, a gdy obrączka została założona na palec i Simon obrócił Charlotte, aby ją pocałować, i wszyscy zaczęli klaskać i pokrzykiwać, Lucy podeszła i wzięła mnie pod ramię. Udaliśmy się na bankiet, który kosztował dziesięć dolarów od osoby — co na owe czasy było zawrotną sumą. Ale nie mogłem usiedzieć spokojnie do końca bankietu. Podeszedł do mnie odźwierny, powiedział, że jestem potrzebny, i zaprowadził w głąb hallu. Rozgniewany Pięć Nieruchomości opuszczał przyjęcie, ponieważ posadzono go z Cissy z dala od innych, przy małym stoliku za słupem. Nigdy się nie dowiedziałem, czyja to była sprawa, Simona czy Charlotty. Oboje byli zdolni do czegoś takiego. Pięć Nieruchomości poczuł się ogromnie obrażony,

— W porządku, Augie. Nic mam nic przeciwko tobie. Poprosił mnie. Przyszedłem. Życzę mu wszystkiego. Aie czy tak się traktuje kuzyna? Dobra. Jeść to ja mogę, gdzie mi się podoba. Chwała Bogu nie potrzebuję jego jedzenia. Idziemy, kochanie.

Poszedłem po jej futro, wiedząc, że żadne moje słowa nic pomogą, i odprowadziłem ich do windy garażowej z niejasno majaczącą w głowie myślą o grubiamtwie jako mierze powodzenia i o systemach chowania uraz. Wchodząc do windy Cissy powiedziała: Pogratuluj swojemu bratu. Ma strasznie ładną żonę.

Lecz nie zechciałem wziąć udziału w tej gierce w charakterze pośrednika i kiedy Simon pytał mnie ttk waphwie, czemu wyszli, odparłem od niechcenia:

- Och, po prostu nie mieli czasu. Przyszli na narną uroczystość. - Nie dałem mu żadnej satyfakcji.

A jeśli chodzi o tę drugą, ważniejszą grę, w którą mnie wrobił, to rozgrywałem ją na całego, chodząc do nocnych

klubów, na tańce organizowane przez koła studentek, do kabaretów i na wieczorne mecze futbolowe, gdzie żartowaliśmy i ściskaliśmy się z Lucy. Nie miała żadnych zahamowań i przenikał ją duch poznawczy w tych sprawach z pominięciem sprawy ostatecznej, a w miejscu, w którym kładła kres tym poczynaniom, kładłem kres i ja. Nigdy nie wiadomo, jakie formy przybierze szacunek dla samego siebie, zwłaszcza u ludzi, którzy mają w życiu mało zasad. Radowałem się jednak wszystkim, na co mi pozwalano, i w tym stopniu pozostałem sobą. Lecz pod innymi względami nie bardzo byłem sobą, co mnie ogromnie niepokoiło i wywierało chwilami tak wielkie ciśnienie na moją głowę, aż wreszcie zdałem sobie sprawę, że jestem u kresu swojej przystosowalności. Udałem jednak, że mi to przychodzi bardzo łatwo. Gdyby mi się zatem dobrze przyjrzeć w domu u stryja Charlie'ego w niedzielne popołudnie, po obiedzie, przy kominku, wśród rodziny, gdy pani Magnus robi na drutach szal, który wystaje z torby do robótek ręcznych, Sam zaś, brat Lucy, stoi obok z zadartą brodą, żeby zrobić miejsce dla fulara na szyi, i szlafrok opina mu się na tyłku, ilekroć przygląda z czułością swoje przyлизane włosy, stryj Charlie słucha księdza Coughlina, który nie zaczął jeszcze przeganiać kupców ze świątyni, ale posiadał ów nużący zapach obdarzonych wielką energią i bałamutnych, którzy nie dają człowiekowi spokoju, tylko każą mu odczuć całą drżącą pustką zimą od Detroit po Chicago—gdyby mi się wówczas dobrze przyjrzeć, przy kominku, naprzeciw stryja Charlie'ego, który siedzi z jedną nogą wyprostowaną i palcami ręki wsuniętymi w rozcięcie koszuli drapiąc się w kosmatą pierś, wcale nie wydałbym się taki szczęśliwy, za jakiego mogłaby mnie uznać ludzka zazdrość. Moja własna zazdrość biegła za spojrzeniem mych, nie wątpię, zniechęconych oczu, za czyste szare szyby, gdzie dzieci były się śnieżkami, które plaskały w ciemne pnie i wzbijały się między elegancką płataninę gałązek. Nie powiem, że Lucy, w ciemnej wełnianej sukience, ledwo zakrywającej końce pończoch, które poprzedniego wieczoru sama mi pomagała odpiąć, abym mógł głaskać jej skórę — nie powiem, że mi tego nie wynagradzała. W pewien sposób nie najgłębszy, ale też i nietrywialnie, kochałem się 330

w niej i ściskałem ją czule w stopniu, na jaki pozwalała, a ona odwzajemniała te uściski liżąc mnie w ucho, prawiąc komplementy i robiąc obietnice — już nawet zaczęła mnie nazywać mężem.

U Lucy widać też było tę wielką uwagę, dostrzeganą chwilami w zadumanych oczach kobiet, jaką one poświęcają potrzebom w większości zakazanym z lęku o wszystko, co już zostało uczynione dla zapewnienia godziwego, nieprzerwanego życia, owemu uciskowi, który kazał Fedrze wykrzyknąć, że wszystko ją drażni, wszystko w męczarnię się zmienia. Sprawilo to, że Lucy wybrała sobie właśnie mnie. Z punktu widzenia rodziny nie byłem tak pożądanym kandydatem na męża jak Simon. Cała ich troska skupiała się przede wszystkim na tym, czy pragnę być we wszystkim taki sam jak oni. Nigdy nie mieli co do tego pewności i wciąż prosili, abym im pokazał jeszcze raz moje listy uwierzytelniające i jak by to powiedzieć, wchodzili bez pukania, niczym w West Point, żeby się przekonać, czy wszystko jest odkurzone, a kąty szpitalne odpowiadają wymaganiom regulaminu. Lucy stawiała w mojej obronie, był to jej jedyny sprzeciw wobec nich, który ja, nieobliczalny, lecz pilny badacz sytuacji, mogłem dostrzec. Kiedy zaproponowałem, abyśmy uciekli i pobrali się w Crown Point, odmówiła prosto z mostu i wtedy pojąłem różnicę pomiędzy nią a Charlot- tą. Prawdopodobnie nie powinienem był również zapominać o różnicy pomiędzy Simonem a mną. Jemu udało się namówić Charlottę do ucieczki. A jeśli Lucy już teraz mnie nazywała swoim „mężem”, Mimi Villars powiedziałaaby na to, nie traktując tego jak komplement, że ona była istotnie żoną, pragnącą całej małżeńskiej otoczki. Innymi słowy, drobnej zmysłowości i żadnych kłopotów. Chyba że sama prowokowała kłopoty wykrywszy ich źródło we mnie. Podobnie jak u Renlingów, Inie byłem tym, kto wywiera wpływ, lecz tym, który mu ulega. Ja musiałem wkradać się w łaski, odgrywać rolę, prowadzić samochód, wydawać pieniądze, stroić się i służyć, jeszcze nim sobie jasno uzmysłowiłem, czy chciałem lub lubiłem to wszystko robić. Jeżeli nawet jej ojciec nachodził nas ukradkiem o drugiej w nocy, kiedyśmy się migdalili,

muuM przekraść się przez cały dom i trudno go było wańć. gdy tak sunął ku nam poirytowany zapalając po drodze światła. Chyba w niczym me dostrzegałem nicic go zlego i ponieważ wszystko tak br\* szczało, takie byto bogate, obfite, aksamitne, motyk, trochę za późno się zorientowałem, że OB mme nie lobi.

Towarzystwo, w jakim nę obracałem, w Gba Der- by, Chez Parea i na tańcach w Medśnah Chib, pochłaniało mnóstwo mego czasu. Chodziło o uskakuje, czy moja kirpra kwalifikuje mnie na przebywanie wśród synów zamożnych ojców- Musiałem pśJoae uważać. bo Simon wydzielał mś bardzo skape fundusze. Przyszło ma do głowy, że potrafię zdziałać to, co on zdziałał, za trochę Bmifjprpini^ToprairdaL2eaoM^ rządzić, lecz Lncy była mniej oszczędna niż Charlotta- Toteż mmaalm brać pod uwagę opłaty za wstęp, napiwki, opłaty parkingowe i wymykać się do sklepu po Camrie zamiast kupować je od dziewczyny w lokato. Zdołałem jakoś zyskać uznanie towarzystwa Lncy. me dprłwji, czego me chciałem słyszeć, lub zmuszając innych do odwrotu, a jeśli to nawet wyostrzyło w moją twarzy rys hipokryzji i trochę mme utwardziło. ohJubśkm sę, że w końce jakoś przebrnąłem przez to wszystko.

G ładzie me byli naszym jedynym towarzystwem. Chodziliśmy z wizytą do Simona i Charktfty — nńefe na początek tylko trzypokojowe mieszkanie — aby jeść m wyprą w owych obrusach i ślubnej porcelanie. Magnusowie czymk, co w ich mocy, aby członkowie ich klanu madfc wszystko, toteż te talerze i fiKžank< zostały wypaiont w an^elskich piecach, dywan pochodził naprawdę z B&- chary, a srebro było od Tifiany'ego. ieżeh zostawakŚB? po obiedzie\* graliśmy w brydza lub rermka. a o dziesiątą Chariotta dzwoniła do drugstore'u po lody miętOM i gorącą czekoladę. lizaliśmy więc łyżeczki i byto ogóhue biorąc towarzyski, pomocny, jowialny, mysi\* o swoich dwabarwnych szelkach jedwabnych i iwirin\* skrojonej koszul. podarunkach od Simona. Posłmzia ma Charlotta traktowała innie i Lucy jak zaręczony^ ale z okrywana przed mężem rezerwą i ostrożnoioł- Wkdziona instynktem rodzinnym wiedziała, że nie mf cech Simona, że tak naprawdę wcale me zamierzam p<9\* 132

w jego ślady, bo przerażały mnie trudności, jakie napotykał

On też zaczynał zdawać sobie z tego sprawę. Początkowo cieszył go mój zapal i rozmowność, moje lizanie łyżeczek, dobre maniere, gdy się poruszałem pod okiem Magnusów starając sśę w pełni poddawać urokowi tych pokos, które dla mme reprezentowali — tema całemu bogactwu, mocy samochodów na wielkiej paradzie samochodów w rozjaśnionym chłodnym blaskiem mroku na North Side Dri\*e, tej ruchomej heraldyce na miękkich oponach, mknącą ku szybującym kulom i księżycom Dralce Hotel i piętrzącym się wokół gmachom; grubym płatom mięsa, sofidnemu żarcia, podniecenia tańcem. Jadać brzegiem jeziora pozostawiało się wyschłe drewno i poszarzałe cegły ciężko zabudowanego, zatłoczonego Chicago znoju i ubóstwa szybko umykające w bok. Lecz mer'- Bo obie połówki prorocstwa były tam razem, chaldejskie piękności, dzikie bestie i żalosne stworzenia dzieliły te same domostwa.

Nie wolno mi było zapomnieć z początkiem tej zimy, że musze codziennie stawić się w składzie węgla, jeśli nawet moye wieczory i niedziele upływały w całkiem inne? sferze. Nawet niedziele miałem rozbite. Simon kazał mś otwierać bramy składu w niedzielne ranki, żeby złapać klientów, którzy saę mogH nadarzyć w wielkie chłody. Zameczał mnie pracą postanowiwszy wyrobić we mnie zdyscypb- nowanie. W niektóre ranki sprawdzał, czy się nie spóz- mam Kiedy czasami zdarzało im uę zaspać, nie było w tyra mc dziwnego, bo po odwiezieniu Lucy do domu i wstawienia samochodu Simona do garażu musiałem jeszcze wrócić do siebie tramwajem, wtęc rzadko udawało m się położyć do łóżka przed pierwszą. Nie chciał jednakże śladfcac żadnych tłumaczeń z mojej strony.

— Czemu więc me przyspieszysz tych zalotów? — mó- wsŁ — Ozeń się z nią, to będziesz miał więcej czasu na odpoczynek. — Początkowo wypowiadał to półzartem, lecz później, gdy zaczął we mmc coraz bardziej wątpić, zrobił się zgryźliwy, a wkrótce nawet gwałtowny. Żałował nu dodatkowych pieniędzy, sądząc, że je po prosta marnuję. Na co ty. u licha, czekasz, Aupć! Ona jest na pewno Łatwa do zdobycia. Gdybym byt na twoim miejscu,

m

zobaczyłbyś, jak szybko bym to zrobił. — Stawał się coraz gwałtowniejszy, w miarę jak opór rodziny Lucy zaczął nabierać kształtów, chociaż ja sam przez jakiś czas tego nic dostrzegałem.

Lecz wystarczyło, żebym przyszedł o ósmej piętnaście, zamiast o ósmej, a już stał przy wadze i łypał na mnie groźnie okiem.

— Co się stało? Mimi nie chciała cię puścić? — Był przekonany, że łączy mnie z Mimi romans, który wciąż trwa.

Mieliśmy również inne kłopoty. Ponieważ byłem nie tylko wagowym, lecz także pomocnikiem buchaltera, żądał ode mnie, abym odlicza) murzyńskim ładowaczom z ich płacy raty za stare ubrania, które im sprzedawał, i kilka razy przy takich okazjach dochodziło między nami do kłótni. Jak kiedyś, w grudniu, gdy pewien pijany handlarz, nazwiskiem Guzynski, wjechał z grząskiego placu na wagę z parą buchającą z pękniętej chłodnicy. Kupował tonę węgla, a miał paręset kilo nadwagi. Kiedy mu powiedziałem, że ma nadwagę, zaczął kłąć i wylał z kabiny ciężarówki grożąc, że wyważy drzwi kantoru i złamię mi rękę za oszustwo. Podeszedłem do drzwi i odepchnąłem go, a kiedy pozbierał się ze śniegu, zamiast znów na mnie natrzeć, zwałił cały swój węgiel na wagę. Była to pora, kiedy na węgiel czekała długa kolejka platform i ciężarówek, które stały nie tylko na placu, lecz nawet na ulicy. Kazałem jednemu z ładowaczy opróżnić wagę, ale Guzynski stał na swoim węglu z szuflą i zagroził, że zdzieli nią ładowacza, jeśli się zbliży. Happy Kellerman właśnie dzwonił po policję, gdy przybył Simon. Simon poszedł od razu po rewolwer i gdy wybiegał z kantoru, chwyciłem go za ramię, żeby go powstrzymać, a on, w przystępie szału, zamachnął się i uderzył mnie w pierś. Wrzasnąłem za nim, kiedy wybiegał: — Nie bądź idiotą! Nie strzelał! — i zobaczyłem, jak się potyka w węglowej mazi skracając za róg. Guzynski nie był aż tak pijany, żeby nie spostrzec rewolweru, i rzucił się, tęgi, w brudnej kurtce i marynarskiej czapce, do swojej ciężarówki chcąc schronić się w szoferce. Lecz w ciasnym przesmyku między ciężarówką a ścianą kantoru Simon go dopadł, chwycił za gardło i zdzielił rewolwerem na płask P° 334 twarzy. Stało się to dokładnie przed miejscem, gdzie staliśmy obaj z Kellermanem — przy oknie wychodzącym na platformę wagi — i widzieliśmy schwytanego w pułapkę Guzynskiego, z zaciśniętymi zębami i szkaradnymi oczyma, brudnoniebieskimi, i z zakrzywionymi palcami, nie śmiejącego wyrwać Simonowi rewolweru, którym dostał drugi raz. Miał rozplątany policzek. Serce mi zamarło, kiedy patrzyłem na te rany, i pomyślałem: „Czy Simon wie, co robi? Przecież ten facet krwawi!” Wreszcie puścił nieszczęśnika i dał znak ładowaczom, żeby oczyścili platformę wagi, i zaraz zazgrzytały szufle nad paskudnym milczeniem Guzynskiego, który spoglądał z odrazą na swoją krew. Wskoczył do kabiny ciężarówki i bałem się, że zaczepi nią o słupki bramy, lecz on wypadł poślizgiem na rozjeżdżony śnieg ulicy, gdzie koła zatrzymały się o szyny tramwajowe, i włączył się w ruch, który porwał go ze sobą w bezsłoneczny, nieokreślony kierunek.

— Czy to możliwe, że jedzie na komisariat złożyć oskarżenie pod przysięgą? — spytał Happy.

Simon, który odłożył pistolet, wysłuchał jego słów i rzekł ciężko dysząc:

— Połącz mnie z Nuzzem. — Powiedział to do mnie w sposób, do którego już przywykłem i który zwykle nie budził we mnie sprzeciwu. Simon nie wyszukiwał sam numerów ani ich nie wykręcał, lecz brał słuchawkę dopiero, gdy rozmówca był na linii. Tym razem jednak nie ruszyłem się z miejsca. Siedziałem z założonymi rękami przy wadze. Dał mi z ponurą miną do zrozumienia, że zapamięta to sobie. Happy połączył go z Nuzzem.

— Nuzzo! — wykrzyknął Simon. — Tu March. Jak leci? Co? Nie, za zimno na to. Słuchaj, Nuzzo, mieliśmy przed chwilą trochę kłopotu z jednym zakutym łbem, który uderzył szuflą mojego robotnika. Co? Nie, był pijany jak świnia, zwałił ładunek na wagę i spowodował godzinny przestój. Słuchaj, prawdopodobnie jedzie teraz ze skargą, bo trochę go poturbowałem. Zajmij się nim, dobra? Zamknij go do pudła, póki nie ochłonie. Pewnie, że złożę, mam świadków. Powiedz, że jeśli zamierza odegrać się na mnie, wsadzisz go na dobre. Co? Handluje

węgłem na buszle przy tym kościele na Dwudziestej Ósmej. Zrób to dla mnie, dobrze?

Zrobił i Guzynski posiedział w areszcie kilka dni. Kiedy go później zobaczyłem, nie planował żadnej zemsty. Rany mu zaskorupały i kiedy przyszedł znów jako klient, był pokornutki, a wiem, że Simon pilnie go śledził, gotów zareagować na najmniejszy błysk jego oka. Ale nie miał w oczach ani śladu groźby. Nuzzo czy też ludzie Nuzza napędzili mu nie lada strachu w swojej piwnicy pod piwnicą. Otrzymał od nich Saturnowe ukąszenie w ramię, by wiedział, że w razie czego może zostać pochwycony i pożarty w całości. Kazali mu nawet w dalszym ciągu pozostać klientem Simona. A Simon też wiedział, jak przypieczętować sprawę, i na Boże Narodzenie dał Guzynskiemu butelkę wytrawnego dżinu Gordona, a jego żonie pudełko nowoorleańskich pralinek orzechowych w kształcie beli bawełny. Powiedziała mu, że to wyszło jej mężowi na dobre.

— Oczywiście — stwierdził Simon. — Teraz jest zadowolony. Bo wie, na czym stoi. Kiedy zamachnął się tą szuflą, nie wiedział i chciał się przekonać. Teraz już wie.

Bo Simon chciał mi pokazać, jak umie zażegnawać kryzysy, w przeciwieństwie do mnie, który — ze zwykłej bojaźni — czynię to źle. Powinienem był stłumić bunt Guzynskiego natychmiast. Ale nie byłem szybki, nie byłem dzielny, nie rozumiałem, że należało Guzynskiego pobić pistoletem i wpakować do aresztu, aby się nie stał buntownikiem ze „Steelkila” i nie zastraszył wszystkich kapitanów. Miała to być wyraźna aluzja, że właśnie przez te moje braki tak opieszale mi idzie z Lucy Magnus. Gdybym się stał jej faktycznym mężem, reszta byłaby czczą formalnością. Lecz ja nie chciałem robić nic na siłę. Mógłbym uczynić to z miłości, ale nie dla innego celu.

I tak życie na placu stało się dla mnie ciężkie. Simon nu je utrudniał, czyniąc to dla mojego dobra, jak i dlatego, że mu to sprawiało przyjemność. Nie wiedział jeszcze w owym czasie, jak wysoko może mierzyć, i zgrywał różne wielkości. Niekiedy przy śniadaniu zaprzętał sobie głowę, jaką następnie obrać drogę postępowania — czy poświęcić się absolutnie jakiemuś drobiazgowi lub garść drobiazgów w interesie liczącym się na tony. Albo bujae 336

w sferze jedynie spraw zasadniczych i pozostawić drobiazgi podwładnym — co mógłby uczynić, gdyby owi podwładni, zwłaszcza ja, byli godni zaufania. Albo się stać jezuitą pieniędzy lub też człowiekiem zawdzięczającym wszystko samemu sobie — był to jeden z jego najslabszych pomysłów, lecz równie uporczywych.

— Och — powiedziałem — ale ty jesteś Henry Ford. Przecież się bogato ożeniłeś.

— Idzie o to — odparł — ile musisz wycierpieć, żeby te pieniądze zdobyć, jakie ponieść trudy. Nieważne, że zaczynasz z piątkiem w ręku, jak w tym opowiadaniu Algiera — co mi przypomniało, jakim był zagorzałym czytelnikiem — i pomnażasz go osiągając fortunę. Idzie o to, czy mając stawkę, zaryzykujesz ją, czy nie. — Lecz te rozważania były czysto teoretyczne i zdarzały się coraz rzadziej. Teraz musiałem odgadywać z jego pełnych oburzenia oczu, jaką akurat wyznaje teorię, jak bardzo ja sam do tej teorii nie pasuję i w czym odstaję, pozostaję w tyle, nie dorastam.

Były to dla mnie złe dni, na polu tych szczególnych wrażeń, które miały kształt placu węglowego, formę płotu, stosów węgla, maszynierii, okna wagowego i długiej mosiężnej belki z czarnymi oznakowaniami. Rzeczy te, a także ludzie, którzy tam pracowali, ludzie, którzy kupowali, policjanci, którzy przychodzili po swoje, mechanicy i agenci kolejowi, komiwojażerzy, wszystko to na mnie wpływało okropnie. Miałem głowę pełną spraw, o których musiałem pamiętać, nie wolno mi było podać złej ceny ani omylić się w rachunkach czy jakichkolwiek obliczeniach. Mimi Villars usłyszała któreś nocy, jak mówię przez sen o cenach, weszła i zaczęła mi zadawać pytania, zupełnie jakbyśmy rozmawiali przez telefon. Przytoczyła mi te ceny zupełnie poprawnie nazajutrz.

— Bracie — powiedziała — kiepsko z tobą, jeżeli tylko coś takiego ci się śni. — Mogłem jej powiedzieć jeszcze gorsze rzeczy, gdybym chciał, bo Simon postanowił traktować mnie jak najsurowiej i zlecał prace niekoniecznie przypominające wyprawę po jabłka Hesperyd. Musiałem toczyć boje z dozorcami o klinkier, ugłaskiwać ich i przekupywać, osładzać klientom życie za pomocą piwa, użerać się o ubytki z pełnomocnikami poszkodowa-

nych, dokonywać skomplikowanych wpłat w pchającym się, burkliwym tłumie w banku, gdzie każdy się spieszył i każdy był zły. Musiałem co więcej polować na ładowaczy, kiedy nam brakowało ludzi do roboty, i przymilać się do nich nad rynsztokami Madison Street. Musiałem raz nawet pójść do kostnicy, żeby zidentyfikować zastrzelonego człowieka, którego znaleziono z naszą kopertą od wypłaty, ale bez pieniędzy, w kieszonce koszuli. Unieśli sztywne, pogniecione przykrycie i rozpoznałem go w tych czarnych, sztywnych zwłokach, z zaciśniętymi pięściami i zniekształconymi stopami, jakby umarł w przystępie królewskiego gniewu krzycząc coś szeroko otwartymi ustami, odsłaniając ich wnętrze.

— Znasz go?

— To Ulace Padgett. Pracował u nas. Co się stało?

— Mówią, że zastrzeliła go przyjaciółka. — Wskazał na ranę na piersi.

— Złapali ją?

— Niii, nie chcieli nawet jej szukać. Nigdy tego nie robią.

Simon zlecił mi tę misję, ponieważ, jak powiedział, i tak miałem wziąć samochód, żeby wybrać się gdzieś z Lucy na wieczór, więc mogłem zająć się tą sprawą po drodze do domu. Musiałem się spieszyć z przebieraniem, a miałem tylko tyle czasu, aby zmyć brud z twarzy, szyi i uszu. Całe ciało, nawet pięty i uda pokrywał mi pył węglowy z placu. Kąciki oczu miałem przyciemnione tym pyłem. Poszerzało mi to oczy. Nie zdążyłbym zjeść, nawet gdybym był głodny, bo pobyt w kostnicy zajął dużo czasu, a Lucy czekała. Jechałem szybciej, niż należało, i na skrzyżowaniu Western Avenue i Diversey wpadłem na wzniesieniu w długi poślizg, aż mnie obróciło przodem do tyłu i uderzyłem w tramwaj. Motorniczy widział mnie z odległości dobrych czterdziestu metrów i zatrzymał się pod mostem kolejowym. Nie uderzyłem więc mocno. Roz\*biłem tylne światła, ale nie mogłem stwierdzić po ciemku reszty uszkodzeń i otrzymałem gratulacje od nagle zgromadzonego tłumu, który się zawsze zbiera przy takich okazjach. Powiedziano mi, że miałem szczęście, i zbyłem całą rzecz śmiechem, po czym siadłem znów za kieroW' nicą i pojechałem dalej. Przyjechałem do Magnusów 338

w radosnym nastroju i zatrzymałem się na ciemnym jak noc podjeździe pod śnieżną czapą ganku, pewny siebie i pogwizdujący, z kluczykami podzwaniającymi w kieszeni płaszcza, który cisnąłem na ławkę w hallu. Jednakże gdy Lucy i jej brat Sam dali mi drinka, wróciłem zdecydowanie szybciej, niż tu przyjechałem — sprawił to zapach whisky na pusty żołądek — do kostnicy i miejsca wypadku, i w efekcie moje brudne od pracy nogi stały się za słabe, by mnie utrzymać. Klapnąłem na fotel.

— Czemuś taki błąd? — zapytała Lucy, a Sam podszedł bliżej, jak gospodarz w drugorzędym filmie, zatroskany, aby jego siostra, ta ponętna i pełna temperamentu laleczka, nie zaręczyła się ze słabeuszem. Bardziej z tego powodu niż z litości nachylił się nade mną, rozciągając tyłkiem swój mocno opięty szlafrok w paski.

— Jestem błąd? — powiedziałem z trudem i uniosłem głowę. — Może dlatego, że jeszcze nic nie jadłem.

— Och, jak niemądrze. Od kiedy? Przecież już po dziewiątej. — Posłała Sama do kuchni po kanapkę i szklankę mleka.

— Poza tym miałem wypadek... taki niewielki — dodałem po wyjściu Sama i opisałem zdarzenie.

Nie wiem, co w niej wzięło górę, troska o mnie czy też nagła myśl, gdzieś na dnie umysłu, że jestem Jonaszem — ja, w obecnej chwili szczęśliwy kochanek. Miała zdolność przewidywania i gdy jak teraz chciała się nią posłużyć, ujrzała zapewne przede mną jedno pasmo pecha, a nawet majaczące na horyzoncie pasmo nieszczęść.

— Bardzo uszkodziłeś samochód? — zapytała.

— Jest trochę stłuczony.

Nie podobało jej się to wymijające określenie.

— Kufer?

— Nie wiem dokładnie. Wiem, że rozbiłem tylne światła. Co do reszty, trudno stwierdzić po ciemku, ale prawdopodobnie niewiele.

— Pojedziemy dziś moim samochodem — powiedziała — i ja będę prowadziła. Musisz być roztrzęsiony po tym wypadku.

Pojechaliśmy więc na przyjęcie na North Shore sportowym wozem, nowym, który jej niedawno podarował ojciec, a potem zaparkowaliśmy w jednym z wielkich pla-

cha cienia wokół świątyni Bahai, żeby się głaskać, szarpać i dygotać u stóp tego kultowego wzgórzka, w przerywanym chmurami blasku księżyca. Wszystko wydawało się jak zawsze, a jednak nie było, ani dla niej, ani dla mnie. Kiedy wróciliśmy, postanowiła jeszcze raz obejrzeć skutki zderzenia, z lęku o mnie. Nie chciałem z nią iść, schylać się nad kufrem samochodu, wkładać palec we wgniecenia. Zgasilem światła jej samochodu, przy których odbywały się te oględziny. A później, we frontowym hallu, kiedy stałem w płaszczu i kapeluszu pieszcząc ją i słuchając jej zapewnień, że mnie kocha, wiedziałem, iż nastąpiło nagle zahamowanie uczuć. Przewidziała, że Simon rozpęta całe piekło z powodu tego samochodu, i tak się stało, a poza tym, prócz jego punktu widzenia żaden inny nie wydawał jej się możliwy i była mną nieco przestraszona czując, że ja widzę rzecz odmiennie. I wdychałem zapach jej ramienia, i dotykałem jej piersi, ale to już nie była ta sama intymność co przedtem, w tym hallu z nagromadzonymi bogactwami, które częściowo inwentaryzował blask księżyca, i z ojcem sapiącym na górze, równie czujnym we śnie jak na jawie.

Byłem więc wyczerpany jeszcze przed nastaniem mokrego złotego poranka z jego chorobliwym chłodem, a także nim się znalazłem w paskudnym buchającym żarze od strzykającego ropą pieca w kantorze. Nie wątpię, że jest jakiś sposób, aby móc udźwignąć podobne rzeczy, tak jak wezbrane wody powodzi unoszą na sobie garść patyków, trzeba tylko ukierunkować odpowiednio energię, bo ciężar kostnic i samochodów zależy od hydraulicznej mocy udźwigu, jaką się dysponuje. Napoleon, kiedy uciekał w starym pudle sań ze skutej zimą Rosji, a jego martwi żołnierze leżeli pokotem pod śniegiem, przez całe trzy dni mówił bez przerwy do Caulaincourta, który zapewne niewiele z tego słyszał, bo miał zabandażowane uszy — dzięki czemu jego wódz nie mógł go za nie szarpać — a musiał widzieć w opuchniętej twarzy wodza tę toń unoszącą na swojej powierzchni całą Europę drobiaż

Tak, ludzie biznesu mają ogromną energię. Pytań\* tytko, co spala się dla jej wyprodukowania i co woJn° spalać, a czego nie wolno. Istnieje spalanie atonio\* 340

Płoną jak huba dzikie północne lasy. Lecz co stanowi żer dla ognia współzawodnictwa i jaka może być jego siła?

Inna rzecz, że ludziom brakuje wigoru, aby zrobić coś dla drugich, a po to, aby poczuć w ustach smak jajka, gotowi są do najwyższego wysiłku, i tak oto jest szafowana miłość.

Nie mogłem udźwignąć wszystkich tych żywiołów. Przyszedł Simon i zbeształ mnie za samochód, a ja byłem zbyt załamany, żeby mu się odgryźć i nawet odczuwać krzywdę, jaką mi wyrządza. Zdobyłem się tylko na to, aby mu odpowiedzieć:

— Po co się ciskasz? To był niewielki wypadek, a ty jesteś ubezpieczony.

I w tym właśnie leżał cały błąd. Powinienem być niepocieszony z powodu uszkodzonego kufra samochodu i tych skorupiastych oczu, które się za nim wlokły na drutach, i Simonowi szło nie tyle o wypadek, ile

o moją beztroskę. Dlatego właśnie palił mnie wzrokiem

1 z groźnie pochyloną głową szczyrzył swój nadłamany ząb. Byłem za bardzo przybity, aby mu stawić czoło. Nie] miałem za sobą niczego namacalnego, jak miał on, I niczego takiego, co można by zobaczyć i dzięki temu I zaufać. Wszystko, czym się powodowałem, było mgliste, ł a zarazem bardzo nieustępliwe.

Zostałem tego wieczoru w domu, żeby sobie poczytać. Zgodnie z naszą umową miałem rozpocząć z wiosną studia, gdy ruch w interesie nieco ustanie i Simon będzie mógł mnie zwolnić. Żywiłem jeszcze to wielkie pragnienie, które trawiło mnie całe lato, kiedy żyłem z książek, aby objąć cały obraz świata i skierować szkiełko badacza na każdą dziedzinę życia. Ale Padilla zdążył do tej pory sprzedać większość moich książek — sam przestał je ostatnio kraść, ponieważ dostał pracę przy obliczaniu prędkości impulsów nerwowych w laboratorium biochemicznym — i zostało mi ich tylko kilka. Miałem jednak w pudełku pod łóżkiem nadpalony komplet klasyków Einhorna, więc wybrałem z niego Wojnę trzydziestoletnią Schillera i właśnie leżałem sobie w skarpetkach na łóżku, kiedy weszła Mimi Villars.



Często wchodziła i wychodziła bez słowa po swoje rzeczy w szafie. Tym razem jednak miała coś do powiedzenia i palnęła bez żadnych wstępów:

— Zaszłam z Frazą rem.

— O raju, jesteś pewna?

— Oczywiście. Chodźmy gdzieś. Chcę z tobą porozmawiać tak, żeby Kayo nie słyszał. On podsłuchuje przez ścianę.

Pogoda była paskudna, nie za zimno, ale wietrznie, i latarnia uliczna stukała o słup podzwaniając jak cymbały.

— A gdzie jest Frazer? — zapytał, bo ostatnio nie orientowałem się w domowych sprawach.

— Musiał wyjechać. Ma wygłosić w Boże Narodzenie jakiś cholerny odczyt na zjeździe w Luizjanie, więc pojechał wcześniej, żeby odwiedzić najpierw rodzinę, bo nie może być z nią na święta. Ale jakie to ma znaczenie, gdzie on jest... co z niego za pożytek?

— No cóż, szczerze mówiąc... czy nie byłoby dobrze, Mimi, gdybyś teraz wyszła za męża?

Nie odrywając ode mnie wzroku milczała, żebym mógł cofnąć te słowa.

— Na pewno myślisz, że ja łatwo tracę głowę—powiedziała, kiedy ich nie cofnąłem. Nie wyszliśmy jeszcze na wiatr, staliśmy na ganku. Mimi odstawiła jedną nogę w bok, a dłonią wystającą z długiego rękawa przytrzymywała tył głowy, uniósłszy krągłą twarz z wyrazem niełatwego szczęścia ku mnie. Niełatwego szczęścia? Tak, albo trudnego rozbawienia lub czegoś zarazem duchowego i gimnastycznego, z zadaniem brwiom bólem, który pięknie podkreślił ich zarys. — Jeśli nie chciałam wyjść za niego przedtem, to miałabym to zrobić z powodu wypadku? Widzę, że się dostałeś pod czyjeś dobre wpływy. Chodź, napijmy się kawy.

Wzięła mnie pod rękę i ledwie doszliśmy do rogu, gdzie stanęliśmy, by znów rozmawiać, gdy nadbiegł mały piesek, za nim szła jego pani w karakułowym futrze i futrzanej czapie i wtedy zdarzyła się zdumiewająca rzecz z rodzaju tych, które pozwalały mi uwierzyć, że Mi®<sup>1</sup> zdolna była wyrwać napastnikowi pistolet z ręki i P°\* strzelić go. Otóż ów piesek, widać zdeorientowany § P°" 342

wodu silnego wiatru, wysikał się na nogę Mimi, a ta wrzasnęła na kobietę, która wyraźnie tego nie zauważyła:

— Zabieraj swego psa! — Następnie zerwała jej z głowy wysoką czapę, żeby nią sobie wytrzeć nogę, i zostawiła osłupiałą, z rozwianą przez wiatr fryzurą i krzykiem: — Moja czapka!—A czapka leżała na środku jezdni, gdzie Mimi ją cisnęła.

Cóż za brak szacunku dla już istniejących trudności! Ale też zawsze miała na swoje poparcie mnóstwo dowodów. W każdym bądź razie, kiedy usiedliśmy przy kawie i Mimi zdjęła, zwinęła i schowała pończochę do torebki, już się tylko śmiała. Prawdziwa okazja do przejawienia swego temperamentu zawsze mile łechtała jej serce.

Lecz tym, co pragnęła omówić ze mną nad kawą, była nowa metoda przerywania ciąży, o której gdzieś słyszała. Wypróbowała już takie środki jak ergoapiol, połączony ze spacerami, wspinaniem się na schody i gorącymi kąpielami, a obecnie jedna z kelnerek powiedziała jej o jakimś lekarzu z okolic Logan Square, który powodował poronienia zastrzykami.

— Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałam, ale warto spróbować i mam zamiar to zrobić.

— Jakże to zastrzyki?

— Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem uczonym.

— A jeżeli coś się stanie i będziesz musiała pójść do szpitala, to co wtedy?

— Och, oni mają obowiązek przyjąć człowieka, jeśli mu grozi utrata życia. Ale nigdy ze mnie nie wydobędą, jak do tego doszło.

— To mi wygląda na zbyt niebezpieczne. Może lepiej wcale nie próbować.

— I urodzić dziecko? Ja? Wyobrażasz sobie mnie z dzieckiem? Bo tobie jest wszystko jedno, jak świat się zaludnia, prawda? Pewnie myślisz o swojej matce — i w ten sposób dowiedziałem się, że albo Sylwester, albo Cłem Tam bo w rozmawiali z nią o mnie—i że nie byłoby cię tutaj, gdyby twoja matka miała takie poglądy jak ja. Ani twoich braci. Lecz choćbym nawet miała pewność, że urodzę syna takiego jak ty — powiedziała jak zwykle ze śmiechem — co wcale nie znaczy, że uważam cię za kogoś niezwykłego, nawet ze wszystkimi twoimi wadami... poco

miałabym się poddawać tej całej rutynie? Żeby duszyczki tych małych istotek nie napadły na mnie po śmierci, ponieważ nie dałam im się narodzić? Mogę im powiedzieć: „Słuchajcie, przestańcie się mnie czeplić. Czym wyście w ogóle byli? Czymś w rodzaju muszelek i nic więcej. Same nie wiecie, jakie jesteście szczęśliwe. Skąd macie pewność, że wam by się na tym świecie podobało? Wierźcie mi, oburzacie się, bo nie wiecie, jak tu jest.” Siedzieliśmy blisko kontuaru i wszyscy pracownicy stali i słuchali tej przemowy. Jeden mężczyzna powiedział:

— Zwariowana dziwka!

Usłyszała to, spojrzała na niego i rzekła ze śmiechem:

— Patrzcie na niego, ten całe życie będzie się starał robić za Cezara Romero, aż z tego umrze.

— Ledwie weszła, zaraz musiała ściągnąć pończochy, żeby pokazać, jakie ma giry...

I tak się zaczęło, aż wreszcie musieliśmy wyjść i dokończyć rozmowę na ulicy.

— Nie — powiedziałem — nie mogę się skarżyć, że się urodziłem.

— O, tak, oczywiście, i mógłbyś się nawet czuć wdzięczny za ten przypadek, gdybyś wiedział komu.

— To nie był wyłącznie przypadek. Jestem pewien, że ze strony mojej matki była także miłość.

— I dzięki tej miłości cała rzecz przestaje być przypadkiem?

— Myślę o pragnieniu, aby było więcej życia... z wdzięczności.

— Pokaż mi ją! Idź sobie na Fulton, na rynek jajczarski, i przemyśl sobie własne słowa. Znajdź mi tę wdzięczność...

— Nie mogę się w ten sposób z tobą spierać. Lecz gdybyś mnie spytała, czy nieświadomość nie byłaby dla mnie lepsza, skłamałbym odpowiadając „tak” lub „może”, bo temu przeczą fakty. Nie mógłbym nawet przysiąc, że wiem, czym jest ta nieświadomość, za to mógłbym ci dużo powiedzieć, jakie przyjemne jest moje życie.

— No to bardzo fajnie. Może cię i cieszy, że jesteś, jaki jesteś, ale większość ludzi bardzo z tego powodu cierpi- Cierpią, że są tacy, a nie inni. Jedna kobieta, że ma zmarszczki i mąż jej nie kocha, a inna dlatego, że jej

344

siostra nie chce umrzeć i zostawić w spadku Buicka, cierpi też ta, która przez całe życie dba tylko o to, żeby jej zadek zachował należyty kształt albo żeby wycisnąć z kogoś pieniądze, albo chciałaby mieć lepszego męża. Czy chcesz, żebym ci przedstawiła także listę męskich cierpień? Ta lista nie ma końca. Kobiety się nie zmieniają któregoś pięknego poranka. Są niezmiennie. Więc może i jesteś szczęśliwy. Ale inni czują się, jakby utknęli w martwym punkcie... mają, co mają... i jeśli tak z nimi jest w istocie, to co wtedy? \*

Co do mnielnigdy nie uważałem, że wszystko jest jakby odlane z betonu i nie ma w życiu chwili prawdziwego szczęścia, prócz złudzeń Judzi, którym jeszcze jest dane czasem zapomnieć o trwałym rozczarowaniu, mniej czy więcej trwałym bólu, śmierci dzieci, kochanków, przyjaciół, kresie spraw, starości, cuchnącym oddechu, zapadniętych twarzach, siwych włosach, zakłęsłych piersiach, powypadanych zębach i może jeszcze tym, co jest najbardziej nie do zniesienia: skrzepnięciu najobrzydliwszych cech charakteru na kość, na podobieństwo jakby drugiego szkieletu, który najgłośniej skrzypi pod sam koniec. I Ale Mimi zmuszona do podjęcia praktycznej decyzji nie mogła jej opierać na moich odczuciach. Bardzo szybko dała mi do zrozumienia, że ja, jako mężczyzna, mogę sobie mówić, ile chcę, w tym wypadku jednak idzie o jej ciało i krew, i aż pałała z dumy, że wszystko zależy od niej.

Nie przytoczyłem moich argumentów. I choć nie dałem się jej przekonać, nie byłem też tak bardzo przerażony myślą o nie narodzonych. Aby być całkowicie konsekwentnym w tego rodzaju gospodarce dusz, trzeba by było również odczuwać ogromny niepokój oraz wyrzuty sumienia z tego powodu, że łona w ogóle bywają nie zajęte. W podobny sposób szpitale, więzienia, domy wariatów i groby też powinny by być stale pełne. Ujmowanie tego zagadnienia w tak szerokiej perspektywie to stanowczo za wiele. Naprawdę zależało tylko od niej, czy mieć dziecko z Frazerem, który nie był wolny, by móc się z nią ożenić, gdyby nawet pragnęła za niego wyjść. A nawiasem mówiąc, nigdy nie brałem za dobrą monetę wszystkich jej wypowiedzi na jego temat. Jednakże wcale nie miałem pewności, że dobrze robi

345

decydując się na ten zastrzyk. Chciałem poradzić się w tej sprawie Padilli, który był dla mnie najwyższym autorytetem naukowym, i próbowałem go złapać w laboratorium. Gdyby sam nic nie wiedział na ten temat, zawsze mógł przecież zapytać kogoś ze swoich kumpli biologów w tym półdrapaczu chmur, gdzie zawsze słychać było to nienormalnie natężone szczekanie psów, wywołujące u mnie uczucie mrowienia, ilekroć je słyszałem. Padilli ono nie przeszkadzało. Chodził tam tylko robić obliczenia w ten swój dziwaczny, niechlujny, szybki sposób, z ręką w kieszeni i nietkniętym papierosem, znad którego unosiła się rozwidlona smużka dymu. Ale nie mogłem go znaleźć przed terminem wizyty Mimi u doktora. Sam ją do niego zaprowadziłem.

Ów doktor był człowiekiem, który na skutek przeciwności losu stał się zgorzkniały, a w każdym razie ponury, i wyglądał bardzo dyletancko. Miał zaniedbany gabinet ze starym wyposażeniem i siedział z zawiniętymi do łokci rękawami paląc cygaro przy biurku, na którym moje nawykłe do książek oczy zaraz wypatrzyły Spinozę i Hegla oraz inne książki dosyć dziwne u lekarza, zwłaszcza jego specjalności. Pod jego gabinetem mieścił się sklep muzyczny. Pamiętam nazwisko jego właściciela: Stracciatella. W oknie siedziała cała rodzina grająca do mikrofonu na gitarach — małe dziewczynki i chłopcy w krótkich spodenkach, nie sięgający jeszcze stopami podłogi, a dźwięki muzyki wylewały się na ulicę, chłodną tego wieczoru, po świeżo spadłym śniegu, czyniąc jeszcze większy hałas niż współzawodniczące z nim tramwaje, stare na tej linii i przejeżdżające z łoskotem.

Doktor wcale nie upiększał tego, co miał do zaoferowania — nie dbał nawet o to. Może i nie był taki nieczuły, ale sprawiał wrażenie, jakby zadawał sobie pytanie: „A co mi przyjdzie z tego, jeśli będę więcej dbał?” Być może żywił pogardę dla podwójnej bezsilności tych istot, aby po pierwsze odrzucić miłość, a po drugie uwolnić się od jej konsekwencji. Naturalnie wziął mnie za kochanka Mimi\* której przypuszczalnie właśnie o to szło, ale mnie tam było wszystko jedno. A zatem znajdowaliśmy się w gabinecie i tegi doktor wyjaśniał nam działanie zastrzyku, abyśmy mogli je pojąć swoimi laickimi rozumami, wyjaś\* 346  
niał sucho i bez zapału w tłustej twarzy, ciężko dysząc, z włochatymi rękami, a w pomieszczeniu cuchnęło cygarami i jego siedzącym trybem pracy, w starym czarnym fotelu skórzanym. Właściwie nie był niegrzeczny w tych swoich okularach i chwilami sprawiał wrażenie człowieka myślącego — tylko gdy szło o trudności, które oczyszczają, i ani odrobinę dalej. Poza tym były dźwięki gubiących rytm gitar, metaliczne jęki i brzęki. I Mimi z jasną twarzą i włosami, czerwonymi policzkami, różą z materiału rozkładającą swe płatki ku przodowi i środkowi kapelusza, w otoczeniu białych i mniej dostojnych kwiatuśków. Ach ta czerwień! Czerwień murów latem, a także tkaniny i lad sklepowych. I demonicznie ściągnięte brwi Mimi, jak u kogoś bardzo zażenowanego. Ale oto stała przed swoją najlepszą okazją, jeżeli dobrze rozumiałem stan jej ducha, aby rozprawić się z tą samą bezsilnością, jaką zauważył doktor — bezsilnością kobiet oczekujących na to, co im zostanie uczynione, i w ten, a nie inny sposób zdobyć chwałę.

— Ten zastrzyk wywołuje skurcze — rzekł lekarz — które mogą pozbawić panią kłopotu. Nikt nie może obiecać, że tego dokona, i czasem, jeżeli nawet zastrzyk zadziała, nadal istnieje potrzeba wykonania skrobanki. Rzecz tę aktorki w Hollywoodzie określają w prasie jako wydęcie wyrostka robaczkowego.

— Byłabym wdzięczna, gdyby pan nie dowcipkował. Interesują mnie wyłącznie pana usługi medyczne — palnęła Mimi prosto z mostu i zaraz zrozumiał, że nie ma do czynienia ze spłoszoną młodą robotnicą w dąży, która byłaby mu wdzięczna za jego dowdp i dałaby mu to mgliście do zrozumienia uśmiechem znad ogromnej dzielącej ich przestrzeni prawdziwego smutku i niebezpieczeństwa. Jakąś nieszczęsną istotą, która z czułość popadła w tarapaty. To nie Mimi — jej czułość nie była łatwo dostrzegalna. Człowiek zastanawiał się, jaka może być ta czułość i w jak straszliwych formach się musi objawiać.

— Pozostańmy na płaszczyźnie zawodowej — powiedziała.

— Dobra — odparł doktor ukazując w urażeniu demne dziurki w nosie. — Chce pani zastrzyku czy me?

- A po co bym do diabła szła taki szmat drogi w zimny wieczór?

Wstał i postawił emaliowany garnuszek na krążku gazu — kółeczku niedźwiedzich pazurów z płomienia drapiących denko żarem. Sposób, w jaki to uczynił, nasuwał na myśl lenistwo i niechlujstwo towarzyszące jego porannej ceremonii gotowania jajka w kuchni. Wrzucił do garnka strzykawkę, wyjął ją szcypcami i był gotowy. — A jeśli nadal będę potrzebowała pomocy... jeżeli zastrzyk podziała tylko w połowie, czy mogę liczyć na pana?

Wzruszył ramionami.

Głos Mimi zabrzmiał teraz dźwięczniej:

- Cholerny z pana doktor! Póki pan nie zacznie, nie chce pan rozmawiać? A może pana nie obchodzi, co dzieje się z ludźmi, którzy biorą pana zastrzyki? Myśli pan, że są zrozpaczeni, i pana już o nic głowa nie musi boleć, bo przecież narażają tylko własne życie, prawda?

- Gdybym musiał, mógłbym coś dla pani zrobić, ■fgffr. Chodzi o to, że jeśli panu zapłacą, to pan zrobi — wtrąciłem się. — Ile pan za to zdziera?

gf|\$| StÓWę.

— A nie zgodzi się pan na pięćdziesiątkę? — zapytała Mimi.

— Może i znajdzie pani kogo za pięćdziesiąt. — Chciał okazać, szczerze, jak przypuszczam, że wcale mu nie zależy. Non euro/To mu najłatwiej przychodziło. Równie dobrze mógłby odłożyć strzykawkę i wrócić do dłubania w nosie i do swoich myśli.

Poradziłem jej, żeby nie rozmawiała z nim o pieniądzach.

— Ta sprawa nie jest ważna powiedziałem.

— Robimy ten zastrzyk czy nie? Słuchajcie, mnie jest wszystko jedno.

— Mimi, jeszcze możesz zmienić zdanie — szepnąłem jej do ucha.

— I co wtedy? Wróć do punktu wyjścia.

Pomogłem jej zdjąć palto z futrzanym kołnierzem.

a ona wzięła mnie za rękę, jakbym to ja musiał ją zaprowadzić pod igłę. Kiedy ją objąłem — czując, czego 348 jej potrzeba, i bardzo pragnąc zrobić wszystko, aby jej to dać — wybuchnęła płaczem. Podziało to i na mnie, jakbym się od niej zaraził. Staliśmy więc przytuleni jak dwoje kochanków, którymi nie byliśmy.

Doktor jednak nie zamierzał pozwolić, abyśmy zapomnieli, że czeka. Żalodne czy męczące, jakie to mogło być dla niego? Pewnie trochę takie i takie, bo patrzył, jak będę ją pocieszał. Jeżeli przedtem czegokolwiek mi zazdrościł, biorąc mnie za jej kochanka, to, co teraz widział, nie było do pozazdroszczenia. No cóż, nie wiedział.

Lecz Mimi podjęła decyzję i nie wahała się. Te łzy oznaczały coś innego. Podsunęła rękę, a on zatopił w nią igłę. Gęsty z pozoru płyn wpłynął do żyły. Doktor powiedział, że będzie miała jakby bóle porodowe, więc lepiej niech się położy do łóżka. Kazał sobie wybulić piętastaka, co mogła zapłacić, nie chciała wówczas ode mnie żadnych pieniędzy. Nie znaczy to wcale, że miałem ich dużo. Chodzenie z Lucy bardzo mnie wyżyłowało.

Trochę winien mi był Frazer, ale gdyby mógł je oddać, mógłby też przysłać trochę Mimi. Ona zaś nie chciała mu zawracać głowy. Wciąż starał się o pieniądze na swój rozwód. Ponadto ignorowanie podobnych spraw było w stylu Frazera. Zawsze istniało coś ważniejszego od tego, co działo się w bezpośrednim polu jego widzenia, coś znakomitszego. Właśnie w tę jego cechę uderzała Mimi swoimi drwinami, a mimo to pochwałała ją jako coś równie cennego co głupiego. Nie dlatego, że nie był zbyt hojny, ale że zwykł odwlekać sprawy, by jego hojność mogła odbyć dłuższą, bardziej znaczącą drogę.

W każdym razie Mimi klnąc doktora położyła się do łóżka, bo zastrzyk zaczął działać. Było to jednak, powiedziała, działanie, jałowe", skurcze nie wywierały pożądanego efektu. Drżała i pociła się, jej nagie ramiona pod kołdrą wydawały się szczupłe i kanciaste, czoło o dzieciennym kształcie poznaczone bolesnymi zmarszczkami, oczy ogromnie rozszerzone, silnie rozjaśnione błękitem.

— Przeklęty oszust!

— Mimi, przecież on powiedział, że zastrzyk może nie poskutkować. Poczekaj...

— A cóż do wszystkich diabłów mogę teraz zrobić, jeżeli nie czekać, gdy jestem pełna tej strasznej

trucizny,

I którą mi wstrzyknął? Musiałam dobrze zaskoczyć, bo aż mi wydziera wnętrzności. Co za niezdara z tego krowiego lekarza! Och!

Co jakiś czas ataki ustępowały i Mimi zdobywała się na przynoszące ulgę żarty.

— Mocno siedzi, ani drgnie, uparto stworzenie. Niektóre kobiety muszą leżeć na plecach przez dziewięć miesięcy, żeby nic poronić. Słuchać radia. Ale — już poważniejszym tonem — nie mogę dzieciaka teraz zostawić w spokoju i pozwolić mu się urodzić po tym wszystkim, co wzięłam. Może być uszkodzony. Odurzony. Albo stać się niebezpieczny przez ten swój upór, zostać na przykład przestępcą. Myślę, że gdybym wiedziała, że będzie dość dziki, żeby przewrócić kopniakiem ten świat, może bym mu pozwoliła ujrzeć światło dzienne. Tylko czemu mówię o nim jak o chłopcu? Może to dziewczynka. A co mogłabym zrobić dla niej, biednej córeczki? Kobiety jednak to zawsze kobiety. Są bardziej godne zaufania, bardziej realistyczne. Żyją w większej zgodzie z własną naturą. Muszą. Ona w nich bardziej daje znać

O sobie. Mają piersi. Widzą swoją krew i to im dobrze robi, mężczyznom zaś wolno być bardziej próżnymi. Och! Daj mi rękę, Augie, na miłość boską! — To powróciły skurcze sprawiając, że siedziała sztywno i ścisnęła, parła na moją dłoń, póki nic minęły, a wtedy znów się położyła i pomogłem jej się okryć.

Z wolna działanie zastrzyku ustało. Leżała teraz ze zbolałymi mięśniami i brzuchem, wściekła na doktora i zła także na mnie.

— Ale przecież on ci nic nie obiecywał.

— Nie bądź głupi — odparła opryskliwie. — Skąd wiesz, czy dał mi dostatecznie dużą dawkę? Albo czy nie chce, żebym wróciła, kazała mu to zrobić w inny sposób i dała więcej zarobić? I tak też będzie musiało się stać. Tylko że nic u niego.

Widząc, w jakim jest nastroju, ponura i wściekła, chociaż osłabiona, nic pragnąca niczyjego towarzystwa, zostawiłem ją i poszedłem do siebie.

Kayo Obermark zajmował pokój pomiędzy naszymi i mimo starań Mimi, aby sprawę ukryć, wiedział doskonale, co się działo, bo jakżeby inaczej? Był młody, mniej 350

więcej w moim wieku, dwadzieścia dwa lata, ale już ocięzwały, z wielką, nadętą, niecierpliwą, czerwoną twarzą, zamgloną wybiegającymi daleko myślami. Ponury i obc-sowy, wiódł tam, w swym pokoju, surowy żywot. Nie lubił wykładów, twierdził, że sam potrafi się nauczyć, czego trzeba. Jego pokój cuchnął stęchlizną i stojącą w butelkach uryną, ponieważ Kayo nie lubił chodzić do ubikacji, kiedy pracował. Spędzał całe dni półnago, w łóżku, otoczonym różnymi niezbędnymi rzeczami i śmieciami. Był melancholijny i błyskotliwy. Twierdził, że to, co najczystsze, leży poza sferą stosunków międzyludzkich, które rodzą jedynie kłamstwo i wymuszoną zażyłość. Kiedyś powiedział:

— Zawsze wolałem kamienie niż ludzi. Mógłbym być geologiem. Nie czuję się nawet zawiedziony przez ludzkość, po prostu nic dbam o nią i jeśli istnieje coś pewnego, to tylko to, że ten świat jest stanowczo niewystarczający, i jeżeli nie ma nic poza nim, to niech się nim wypchają.

Kayo chciał się dowiedzieć, co z Mimi, chociaż mu zawsze dokuczała.

— Co się stało? Jakież kłopoty? Nic ma, biedaczka, szczęścia.

— Tak, kiepska sprawa.

— Nie! To nie jest sprawa tylko szczęścia. — Nie znosił, gdy się z nim zgadzano. — Można zaobserwować, że ludziom zwykle przytrafia się wciąż to samo, raz po raz.

Odnosił się do jej kłopotów podobnie jak doktor. Były to kłopoty kobiece i żaden z nich nie mógł ich traktować zbyt poważnie. Kayo był jednak o wiele inteligentniejszy od doktora i kiedy tak stał w moim pokoju na bosych, spłaszczonych pod ciężarem ciała stopach, w podkoszulce, z kępkami włosów na ramionach i z tym wyrzutem w wielkiej twurzy, że wszyscy sprawiają mu zawód i nic dorastają do jego poziomu—słowem istny obraz nieugiętego uprzedzenia - potrafił mimo to zdobyć się na sprawiedliwość, zostawić jakiś kanalik otwarty.

— No cóż... rozumiesz. Każdy znajduje gorycz na obranej drodze. Oorycz na obranej drodze. Po to właśnie był potrzebny Chrystus, aby nawet Bóg napotkał gorycz na obranej drodze, skoro miał naprawdę stać się Bogiem

człowieka, Bogiem-Człowiekiem. Mimi też ma w tyra swój udział. — Aż go zatrzęsło z irytacji. — To Chrystus. Inni bogowie uświetniali tłumnie wszelkie powodzenie, zbijali cię z nóg swoim splendorem. Nie dbali o nic. [Prawdziwe powodzenie, rozumiesz, jest przerażające. Nie można mu stawić czoła. Raczej wpierw wszystko zburzyć. Wszystko musiałoby zostać zmienione. Nie znajdziesz czystego pragnienia, prócz tego, by wszystko pogmatwać. Uciekamy od rzeczy, które by można sobie wyobrazić jako nieskażone, i każdy demonstruje tę zawiedzioną nadzieję na własny sposób, jakby chcąc dowieść, że to, co pomieszane i skażone, musi zwyciężyć i zwycięży!

Zawsze byłem pod wrażeniem Kayo i jego wielkich końskich oczu przestraszonych mądrością lub jej cieniem, tak jak konia może spłoszyć zarówno coś istotnego jak i rzecz zupełnie błaha. Czułem sens tego, co mówił. Wiedziałem, że jego słowa zawierają prawdę, i szanowałem w jego osobie źródło swego oświecenia — mimo że cechowały go ciemne kolory, miejscami brudne, a także zieleń i błękit oczu, ale miejscami promienne—patrzył na mnie stojąc z dłońmi wspartymi na szerokich biodrach, z twarzą, której pierwotne piękno zostało przygaszone jako nie prowadzące donikąd. L Widywałem przejawy faktu, że każdy musi dać za wygraną, a także towarzyszące im ostrzeżenie, iż zbytek nadziei stanowi śmiertelną chorobę. Tak, owej zabójczej nadziei, która przemyka pośród zła nie naruszając go. Sam miałem jej dostatecznie dużo, by umieć ją rokpoznaci! Zatem poglądy Kayo zarówno mnie pociągały, jak odpychały. Nie dla niego było malowane niebo ludzkiego teatru, tylko ta diamentowa kurtyna prawdziwego nieba na zewnątrz, ku której dążył po paśmie pełzającej wśród gwiazd, przejrzystej mgiełki rdzenia pacierzowego i mózgu, kopii Mlecznej Drogi.

Lecz pomyślałem sobie także, iż nikt nie traktuje spraw pod aż tak szerokim kątem, żeby uniemożliwić sobie życie, nie próbuje też łączyć ze sobą rzeczy nie do pogodzenia, co człowieka niszczy, ale najpierw bada, z czym, co ludzkie, zdoła współżyć. I gdyby do tej pustej, przegrzanej tawerny pełnej much i zgiełkliwej muzyki radiowej wstąpił, w przerwie między rozgrywkami piłkarskimi i piciem piwa beczkowego w Sox Park, sam Bóg, nie byłoby innego wyjścia, jak pogodzić się z tym pomieszaniem i stwierdzić, że niedoskonałość jest dowiedzionym stanem rzeczy, wszelkiego piękna również— moje porysowane gałki oczne zawsze będą dawały porysowany obraz. A bogowie mogą się zjawiać wszędzie.

— Gdybyś wejrzał w przyczyny—rzekłem do Kayo— mógłbyś także znaleźć przyczyny tego pomieszania.

— Nierzeczywiste — odparł. — Nie chciałbyś chyba próbować żyć na ekranie kinowym. Kiedy to zrozumiesz, znajdziesz się na drodze ku czemuś istotnemu. A stać cię na to, jeśli się nie mylę co do twego charakteru. Nie bałbyś się w coś wierzyć. Tylko nie rozumiem, czemu robisz z siebie takiego łalusia. Ale to ci przejdzie.

Mimi usłyszała nasze głosy i zawołała mnie. Wróciłem do jej pokoju.

— Czego on chce? — spytała.

— Kayo?

— Tak, Kayo.

— Rozmawialiśmy sobie.

— Rozmawialiście o mnie. Jeżeli mu coś powiesz, to cię zamordują. On zawsze szuka tylko potwierdzenia, że ma rację, i gdyby mógł, włożyłby mi tymi swoimi wielkimi stopami na piersi.

— Sama nie dochowujesz własnych sekretów — odparłem, usiłując jednak mówić jak najłagodniej. Nie pora była na jakiegokolwiek sprzeczeki i Mimi obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem ze swego łóżka z giętego metalu z mnóstwem ozdóbek z lanego żelaza i powiązanej w kokardy żelaznej taśmy.

— Co ja sama mówię, to mówię, a tobie mogę zabronić.

— Uspokój się, Mimi, nic nie powiem.

Niemniej musiałem nazajutrz poprosić Kayo, żeby uważał na nią, bo nie wiedziałem, co się może zdarzyć, i martwiłem się o nią w biurze i podczas kolacji na zebraniu Klubu Krewnych Magnusów, które odbywało się co miesiąc w obitym dębową boazerią pokoju w śródmieściu. Próbowałem zadzwonić do domu, ale zawsze słuchawkę podnosił sam Owens, który, gdy był zły, a właśnie złościł się na Mimi, nabierał walijskiego akcen-

tu, dla mnie nieprzeniknionego, więc była to tylko strata piątków na automat. Lucy chciała iść tańczyć po zebraniu, wymigałem się jednak od tego tłumacząc się zmęczeniem, którego nie musiałem udawać, i pojechałem prosto do domu.

Zastałem tam Mimi, która miała pomyslnie wiadomości. Ubrana w białą-czarną sukienkę, z czarną wstążką we włosach, siedziała w moim pokoju.

— Posłużyłam się dzisiaj głową — powiedziała. — Najpierw zapytałam sama siebie: „Czy jest jakiś sposób, żeby załatwić tę rzecz legalnie?” Otóż jest, nawet kilka. Jeden, to jeśli się pójdzie do psychiatry i wydobędzie od niego oświadczenie, że się jest wariatką. Nikt nie chce, żeby wariatki rodziły dzieci. Kiedyś wywinęłam się w ten sposób od wyroku sądowego, więc to jest w aktach. Ale teraz nie mam ochoty. Po co posuwać się za daleko? Postanowiłam, że nie będę udawała wariatki. Mogą ci to też zrobić, jeśli masz słabe serce albo grozi ci utrata życia. Więc poszłam dziś do kliniki i mówię, zdaje mi się, że jestem w ciąży, ale coś nie tak i wciąż mam kłopoty. Był tam taki facet, który mnie zbadał i powiedział, że prawie na pewno jest to ciąża pozamaciczna. Mam się poddać nowym badaniom i jeśli one to potwierdzą, będą musieli mnie operować.

Oto co napawało ją radością. Już teraz tryumfowała.

— Jak to tego doszłaś? — zapytałem. — Wykułaś z książki, co to jest ciąża pozamaciczna, a potem opisałaś im symptomy?

— Dziecko, cóż za pomysł! Myślisz, że jestem szalona? Wydaje ci się, że tam można wejść, powiedzcieć byle co i oni się nabiorą?

— Nie oszukasz tych ludzi z kliniki. Mogę cię zapewnić. Uważaj, w co się wrabiasz, Mimi. Nie próbuj z nimi wygrać.

— To nie jest tylko mój wymysł. Oni też tak uważają i mam niektóre symptomy. Ale nie pójdę więcej do nich. Pójdę do tego weterynarza.

Nie mogłem czuwać nad nią przez następnych kilka dni, bo miałem pełny kalendarz różnych zebrań i kolacji, a kiedy zaglądałem do niej późną nocą lub w pół do siódmej rano, przed wyjściem, była zbyt rozespana, by 3 54 móc ze mną rozmawiać. Kiedy wchodziłem ją obudzić, zdawała się wiedzieć od razu, czyja to ręka dotyka jej ramienia i jakie będzie pytanie, ponieważ mówiła jakby przez sen:

— Nie, nic. Nic się nie dzieje.

Nadciągnęła zima, był późny grudzień, ciemny i zakopcony. Rankami pełnymi mgły i dymu człapałem w kaloszach po schodach, zwykle już spóźniony, i biegłem do tramwaju w odsączających się przez zatkany filtr niskiego nieba resztkach nocy. O dziewiątej, po pierwszym nawale pracy, jadłem spóźnione śniadanie w garkuchni „U Marii”, z wmurowanymi ozdobnymi płycinami cynowymi i rzędem foteli o jednej poręczy wzdłuż ścian, niezbyt jasnej z powodu wysokości tego wbudowanego umeblowania.

W pewne sobotnie popołudnie spędzałem przerwę w pracy „U Marii”. W radiu szła opera z Nowego Jorku, lecz jej rozbuchana elokwencja nie docierała do mnie, tylko objęła mi się o uszy. Oto usługi, za które kiedyś trzeba było płacić, w przypadku księcia burgundzkiego, który posłał z więzienia w Brugii po malarza, aby mu rozjaśnił ciemne okiennice złotymi twarzami i nabożnymi malunkami. Tego rodzaju duchowego wsparcia dla ludzi w tarapatach udziela się obecnie praktycznie darmo, na przykład w pismach lub przez radio. Lecz nie słyszałem dobrze tej opery, docierała do mnie tylko siła i napuszo- ność głosów.

Wszedł przysłany przez Kellermana ładowacz i powiedział, że dzwoni do mnie jakaś pani.

Była to pielęgniarka z jednego ze szpitali w Dzielnicy Południowej, dzwoniła, aby mi przekazać wiadomość od Mimi.

— Ze szpitala? Co się stało? Odkąd ona tam jest?

— Od wczoraj — odrzekła pielęgniarka — i świetnie się czuje, ale chce się z panem zobaczyć.

Powiedziałem o tym Simonowi, który wysłuchał mnie pełen podejrzliwości, ironii i wyrzutu, z góry zacięty, gotów odrzucić pogardliwie moje wyjaśnienia, że muszę wcześniej wyjść z pracy, aby odwiedzić w szpitalu przyjaciółkę.

— Jaką przyjaciółkę? Tę twoją dziwkę, tę gburowatą

blondynkę? Za wiele srok trzymasz za ogon. Do jakiego stopnia się z nią zaplątałeś? Myślę, że się posunąłeś trochę za daleko, kręcąc z dwiema naraz. Dlatego jesteś ostatnio taki mizerny. Jak jedna nie da popieprzyć, to da druga. A może chodzi o coś więcej niż pieprzenie? Ach, to w twoim stylu, zakochać się na śmierć! Rozsadza cię potrzeba miłości! Czujesz taką wielką wdzięczność za kawałek dupy? Nie możesz położyć się do łóżka z dziewczyną, żeby się zaraz nie czuć w obowiązku opiekowania się nią do końca życia?

— Niepotrzebnie to wszystko mówisz, Simon, to nie ma żadnego związku ze sprawą. Mimi jest chora i chce, żebym odwiedził ją w szpitalu.

— Jeżeli chłopak dostaje dupy, to wcale nie widzę potrzeby, żeby się miał spieszyć do ślubu — rzekł Happy Kellerman.

— Niech no to dojdzie do nich... — powiedział Simon tak, żeby Happy nie słyszał, i dziwna rzecz, na jego twarzy odmalował się wyraz przypominający bardziej satysfakcję i przyjemność niżli cokolwiek innego, więc zrozumiałem, że już uporał się z konsekwencjami tej sprawy dla siebie — wyprze się mnie i wyjdzie z tego bez szwanku. Co do planów, tych z dnia ślubu, że co to my dwaj moglibyśmy razem osiągnąć, dawno od nich odstąpił, postanawiając, że wszystko winno być dziełem jednego umysłu i jednego pana.

Ale myślałem raczej o Mimi w szpitalu niż o tym. Byłem pewien, że spróbowała przechytryć lekarzy.

Odwiedziłem ją późnym popołudniem. Ledwie znalazłem się w drzwiach sali szpitalnej, już zaczęła pstrykać na mnie z daleka palcami i próbować się na łóżku.

— Przeprowadziłaś swój plan?

- Pewnie! A wątpieś, że to zrobię?

- No i co? Czy przynajmniej z dobrym skutkiem?

— Poddałam się tej operacji zupełnie niepotrzebnie, Augie. Wszystko przebiega normalnie. Wszystko jest nadal przede mną.

Nie rozumiałem początkowo. Czuję się tępy i otumaniony.

- Augie — powiedziała z czarcim humorem i potępieńczą goryczą — wszyscy przychodzili mi gratulować, że będę matką zdrowego, normalnego dziecka. Lekarz, praktykanci, pielęgniarki... wszyscy uważają, że powinnam szaleć z radości, bo to nie jest ciąża pozamaciczna. A ja nie mogę nawet im nawymyślać. Jestem taka wściekła, że aż płakałam.

— Ale po co poddałaś się operacji? Czyż nie wiedziałaś? Przecież sama wymyśliłaś symptomy.

- Nie. Nie byłam pewna. Niczego nie wymyśliłam. Miałam niektóre symptomy. Może to po tym zastrzyku. A kiedy doszli do wniosku, że to może być ciąża pozamaciczna, przestraszyłam się i zgodziłam na tę operację. Potem, gdy już znalazłam się na stole, pomyślałam, że może załatwią całą tę sprawę za mnie. Ale nie załatwili.

— To oczywiście, im nie wolno robić takich rzeczy. O to właśnie chodzi.

- Wiem, wiem. Myślałam, że się uda. To jeden z moich genialnych podstępów. — Nie płakała teraz, chociaż na gałkach jej oczu widniały szkarłatne żyłki, które występują od słoności łez, i nos też miała czerwony, lecz nie była przez to mniej arystokratką w swoim pojmowaniu, ile to trudu należy poświęcać miłości, i znajdowało to wyraz w jej urodziwej energicznej buzi.

— Jak długo masz leżeć w łóżku, Mimi?

— W każdym razie nie tyle, ile oni myślą. Nie mogę.

— Ale musisz.

— Och, nie. Robi się późno. Jeszcze trochę, a stanie się za późno. Zadzwoń do tego faceta, zapisz mnie na wizytę na koniec przyszłego tygodnia. Wydobrzeję do tej pory i będę mogła to znieść.

Bardzo mnie to poruszyło, toteż nie mogłem się powstrzymać, by nie okazać przerażenia, jak można wystawiać własne ciało na takie próby.

— Och, tobie się zdaje, że kobieta powinna być na to za słaba — odparła. — Ciągle zapominam, że jesteś tuż przed zaręczynami.

- Powinnaś chociaż zaczekać, aż cię stąd puszczą. Mówią, że mam tu zostać dziesięć dni, ale takie długie leżenie w łóżku tylko mnie osłabi. Tak czy owak, Oje mogę znieść szpitala. I że pielęgniarki są takie



zachwycone szczęśliwym obrotem sprawy. Nie zmiotę tego. Zaczynam się denerwować. Masz jakąś fortę?

—Niewiele. A ty?

— Nie mam nawet połowy potrzebnej sumy i nie wiem, skąd ją wziąć. A ten drań mnie nie tknie, jeśli zabraknie choć dolara. Frazer też nie ma forsy.

— Gdybym mógł się dostać do jego pokoju, wziąłbym kilka książek i sprzedał. On ma lam rzeczy, za które można dostać sporo pieniędzy.

— To by mu się nie podobało, A poza tym nie mpz jak się tam dostać. - Na chwilę oderwała się od trosk, aby mnie obdarzyć czystym spojrzeniem, dla mnie samego, ze śmiechem, który nie trwał długo, — Jesteś po mojej stronie, prawda? — Nic widziałem potrzeby odpowiadać. — To znaczy, rozumiesz się na sprawach miłości, — Pocałowała mnie z uczuciem, jakby ze mnie dumna. Przed całą tą resztą, tymi kobietami, mizernymi, przybyłymi w odwiedziny lub rozglądającymi się wokół.

— No cóż — powiedziałem — zdobędziemy te pieniądze. Ile brakuje ci do setki?

—Co najmniej pięćdziesiąt,

—Zdobędziemy je.

Najłatwiejszym ze znanych mi sposobów zdobycia ekstra gotówki — tak łatwym, że aż byłem z tego dumny — była kradzież książek. Nie musiałem nikogo prosić, a najmniej ze wszystkich Simona.

Natychmiast ruszyłem do śródmieścia. Był jeszcze wczesny wieczór lśniący elektrycznością, lodem i drżący w fabrykach, co się składały z samych prawie okien nad preriami, które powróciły na miejsca zburzonych budowli, z zimową trawą przebijającą się przez śnieg, zmierzwioną i zbitą mroźnym wiatrem w wiechcie. A do tego zimny połysk jeziora, granatowy, i równy ślizg szyn gdzieś w mrok.

Poszedłem do Carsona na Wabash Avenue, do działu książek na parterze, ciepłego i pełnego wieczornych klientów pod bożonarodzeniowymi dzwonekami i srebrzystymi bluszczami, Z zasady nie wałęsałem się długo, aby nic zwracać na siebie uwagi. Wiedziałem, na jakie książki mam polować: na jakiegoś rzadkiego Plotyna, angielskie wydanie Enneud warte kupę pieniędzy, więcej, 358

niż za nie żądano. Zdjąłem z półki tomy, przekart- ko wałem, obejrzałem oprawy, włożyłem pod pachę i z jaką taką swobodą ruszyłem ku drzwiom na Wabash Avenue. Drzwi obracały się wolno. Wkroczyłem w ćwiartkę koła, która się przede mną otworzyła, i byłem na wpół po drugiej stronie, gdy drzwi utknęły w miejscu i uwięziły mnie o parę cali od ulicy. Odwróciłem się, by stwierdzić, czy przyczyna ich zacięcia się jest z gatunku tych najgorszych z możliwych, już widząc w duchu policję, sąd i więzienie, straszliwy rok w Bridewell. Lecz za mną stał Jimmy Klein, człowiek właściwie dla mnie obcy od czasów dzieciństwa, ale niemniej nieobcy. On to sprawił, że zostałem uwięziony w mosiężnej beczce, w której się obracały drzwi, i dał mi znak, że mnie wypuści, że mam na niego czekać na ulicy. Jego spojrzenie spod ronda filcowego kapelusza i ruch ręki z zakrzywionym w dół palcem wskazującym, który mówił niedwuznacznie: „Zaczekaj na ulicy”, znamionowały starego wygę.

Po tych oznakach poznałem, że zostałem sklepowym tajniakiem. Czyż Ciem Tambow nie mówił mi, że Jimmy pracuje u Carsona? Nie zamierzałem dawać dyla. Najważniejsze było uwolnienie się z potrzasku, więc oddałem mu książki na ulicy.

Powiedział szybko:

Przy światłach na rogu. Zaraz tam będę.

Widziałem jego plecy i kapelusz, gdy wbiegał spieszenie w krąg drzwi. Nie był rozgniewany, ale odnosił się do sprawy, jakby ją przewidywał, był na nią przygotowany. Przy światłach, w tłumie, pocilem się w chłodnym powietrzu obficie, osłabły i wdzięczny, że niebezpieczeństwo minęło. Przypomniałem sobie ostrzeżenia babci Lausch, że Jimmy to przestępca. Tak czy owak jego zajęcie miało związek z łamaniem prawa.

- W porządku — rzekł powróciwszy. — Rzuciłeś książki i dałeś nogę, kiedy się rozdarłem. Nie widziałem twojej twarzy, ale wyszedłem się rozejrzeć, czy cię gdzie nie zobaczę, zrozumiałeś? A teraz idź do Thompsona na Monroe. Będę szedł za tobą.

Poszedłem ocierając twarz jedwabnym szalikiem. W kafeterii wziąłem filiżankę z lady i przenieśliem do stolika. Wkrótce przyszedł i usiadł koło mnie.

Przyglądał mi się przez chwilę. Wokół oczu porobiły mu się zmarszczki, twarz stała się ziemista, przebiegła, jakaś martwa, twarz komentatora. Jednakże obaj cieszyliśmy się z tego spotkania, w stopniu, w jakim okoliczności na to pozwalały.

—Przestraszyłeś się w tych drzwiach? — zapytał w końcu.

—Jezu, jeszcze jak... a co ty myślał? — odparłem z uśmiechem.

— Taki sam wariat jak zawsze. Gdybyś się zderzył z pociągami, też byś się podniósł z uśmiechem, rozkoszny niczym cebulka na wiosnę. Co cię tak uradowało?

— Że to byłeś ty, a nie prawdziwy tajniak.

- Jestem prawdziwym tajniakiem, bałwanie, tylko nie wobec ciebie. Musiałem puścić się za tobą. Stałem właśnie z klientem, a ty nam wlałeś prosto w oczy, o jakieś dwa jardy. Co mogłem zrobić? Ale po co kradniesz książki? Myślałem, że nam obu wybili to ze łbów, kiedy zrobiliśmy ten numer ze świętym Mikołajem. Mój stary o mało mnie nie zabił. O mało nie zabił.

— I to on zrobił z ciebie detektywa?

— On? Gównu! Nie jestem z tych, co idą, gdzie się im mówi, i robią, co się im każe.

Wiedziałem, że jego matka nie żyje, że kulejącą i korpulentną złożono do trumny i leży już w grobie. Ale co z resztą rodziny?

— Co robi twój ojciec?

—Pieprzy dalej. Po śmierci mamy ożenił się ponownie. Okazało się, że miał ukochaną jeszcze ze starego kraju i ten romans przetrwał prawie czterdzieści lat. Czy to nie jest coś? Przez ten czas on miał ośmioro dzieci z mamą, a ta kobieta czworo ze swoim mężem i serca im usychały z tęsknoty do siebie. Owdowiała, więc się pobrali. Co, dziwisz się?

—No tak, pamiętam, że twój ojciec zawsze siedział w domu.

— Czasami musiał jeździć do Dzielnicy Zachodniej, a wtedy zawsze miał bilet przesiadkowy ważny na linię biegnącą wzdłuż Szesnastej Ulicy, więc go wykorzystywał.

- Nie bądź dla niego taki surowy, Jimmy. 360

— Ja nie mam nic przeciwko niemu. Byłbym szczęśliwy, gdyby mu to wyszło na dobre, ale on został taki sam, jak był. Nic się nie zmienił.

— A co z Eleonorą? Podobno wyjechała do Meksyku.

— Masz przestarzałe wiadomości. To było dawno temu. Już minęło sporo czasu, jak wróciła. Powinieneś ją odwiedzić. Była kiedyś jej ulubieńcem i wciąż cię wspomina. Eleonora ma złote serce. Szkoda, że tak z nią kiepsko.

— A co, chora?

— Była. Teraz znów pracuje, u Zarropicka na Chicago Avenue, gdzie wyrabiają te lizaki, które sprzedaje się w sklepikach koło szkół. Ale nie powinna pracować. Rozchorowała się w Meksyku.

— Myślałem, że miała tam wyjść za mąż.

— Och, pamiętasz to?

— Za twego hiszpańskiego krewnego. Uśmiechnął się drwiąco.

— Tak. No więc on ma tam wytwórnię wyrobów skórzanych i Eleonora harowała u niego przez rok, kiedy to jakoby byli zaręczeni. On zaś sypiał z dziewczkami, które u niego pracowały, i tak naprawdę wcale nie chciał się żenić. W końcu rozchorowała się i wróciła. Bez złamanego serca... cieszyła się, że zobaczyła inny kraj.

— Żal mi Eleonory.

— Miała nadzieję, że przeżyje wielką miłość. Wiele na tym budowała.

Mówił to z bezbrzezną pogardą, nie wobec Eleonory, którą akurat bardzo kochał. Nie, lecz być może z tego właśnie względu, wobec miłości jako czegoś, co podkopało jej zdrowie i podcięło siły.

— Bardzo się tym przejąłeś.

— Wcale o tym nie myślę.

— Ale ty się ożeniłeś. Ciem mi mówił. Spodobała mu się ta moja prostoduszność.

— Tak jest, i mam syna. Wspaniały chłopak.

— A twoja żona?

— Och, dobra z niej dziewczyna. Ma dosyć ciężkie życie. Mieszkamy z jej rodziną, musimy. A jest w tej rodzinie jeszcze jedna zameżna siostra i jej mąż. No i wyobraź sobie te walki o toaletę, pranie, gotowanie, 16 —  
Przypadki.,, 361

wrzaski na dzieciaka. Jest jeszcze jedna siostra, straszny włóczykij, która sypia na schodach, i możesz nastąpić na nią po ciemku, jak wracasz z kina, więc ciągle są awantury. Ja mam z tego tylko miejsce w podwójnym łóżku. Nie wiesz, jak to jest?) Wszystko, czego pragniesz z życia, sprowadza się do jednego jedyne... pierdolenia. No więc spiknąłeś się z jakąś miłą dziewczuszką i po pewnym czasie stwierdzasz, że jest ci jeszcze gorzej, niż było, tylko już nie ma od wroju^ Jesteś żonaty i masz dzieckp.

- I tak właśnie jest w twoim wypadku?

— Zabawialiśmy się, zaszła w ciążę i pobraliśmy się. Pasma udreki, które odmalowała mi pani Renling mówiąc, co by się stało, gdyby Simon poślubił Cissy.

— Jesteś jak rakieta na czwartego lipca •— mówił Jimmy. — Tylko załadować i można cię wystrzelić. Wysoko. A potem błysk i laseczka spada na dół. Żyjesz, żeby wychowywać dziecko i spełniać życzenia żony.

— Tak to u ciebie wygląda?

— Przyznaję, że nie bardzo się do tego przykładam. Ona nie ma ze mną wesoło. Ale czemu my mówimy o mnie? To ty byłeś cudownym dzieckiem. I co teraz, u diabła, wyprawiasz? Serce mi zamarło, jak zobaczyłem, że się łakomisz na te książki. Co za miłe spotkanie. Augie-złodziejaszek!

— Niepełnoetatowy, Jim.

— Jeżeli nawet traktujesz to dorywczo, wcale mi to nie pasuje do tego, co słyszałem o tobie i Simonie, że wam się świetnie powodzi.

— Jemu tak... ożenił się i robi interesy.

— To właśnie słyszałem od Kreindla. I że ty chodzisz na uniwersytet. Dlatego właśnie kradłeś książki? Łapiemy wielu studentów. Większość z nich nie wywiera dobrego wrażenia.

Wytłumaczyłem mu, czemu są mi potrzebne pieniądze, pozwalając sądzić, że to ja jestem kochankiem Mimi, bo nie zrozumiałby inaczej. I choć ciekawe było to spotkanie z Jimem jako tajniakiem, który mnie przyłapał, i czułem lekkość w sercu na skutek doznanej ulgi, a także trochę paradoksalność sytuacji i całą żywą melancholię, jaką to spotkanie wywołało, musiałem zająć się organizowaniem 362 pieniędzy i innych niezbędnych rzeczy. Jednakże moja opowieść tak poruszyła Jima, że jego twarz rozděło zatroskanie i powzięte natychmiast postanowienie.

— Długo ona jest w ciąży?

— Ponad dwa miesiące.

— Słuchaj, Augie, pomogę ci, ile będę mógł.

— Nie, Jimmy — odparłem zaskoczony — nie chcę cię naciągać. Wiem, że tobie samemu jest ciężko.

— Nie bądź głupi. Czym jest kilka dolarów w porównaniu ze zmarnowanym życiem. Powiedzmy, że robisz to dla samego siebie... bo nie chcę patrzeć, jak grzęźnie ktoś, z kim się kiedyś przyjaźniłem. Ile potrzebujesz?

— Około pięćdziesięciu.

— Drobiazg. Złożymy się z Eleonorą. Ona ma trochę odłożonej forsy. Nie powiem jej, na co są potrzebne. Na pewno nie zapyta, a zresztą po co ma wiedzieć? Nie musisz mi mówić, czemu nie poszedłeś z tym kłopotem do brata. Nie kradłbyś, gdybyś wiedział, że da ci te pieniądze chętnie.

— Gdyby zaistniała taka konieczność, pewnie bym go poprosił, ale mam specjalne powody, żeby tego nie robić. Dziękuję ci, Jim. Jesteś wspaniały. Bardzo ci dziękuję.

Moja wdzięczność go rozśmieszyła.

— Nie przesadzaj. Spotkamy się tu w poniedziałek o tej samej porze i wtedy dam ci tych pięćdziesiąt dolarów.

Jimmy nie ufał w swoje możliwości flirtu z dobrymi motywami... zbyt go peszyły. A ja świetnie rozumiałem, że chciał w równym stopniu walczyć z samym mechanizmem spraw, jak i pomóc staremu przyjacielowi.

Jakkolwiek było, dał mi te pieniądze i zamówiłem wizytę u lekarza na koniec świątecznego tygodnia. Zorganizowanie tego było dosyć skomplikowane. Na ten sam wieczór umówiłem się z Lucy, a nie mogłem odwołać spotkania, bo Simon by się dowiedział i nie dał mi samochodu. Zostawiwszy więc Mimi u doktora zszedłem bardzo zdenerwowany na dół i zadzwoniłem z drug- store'u do Lucy.

— Kochanie, niestety bardzo się dziś spóźnię — powiedziałem. — Są pewne przeszkody. Będę mógł przyjechać dopiero o dziesiątej.

Ona jednakże nie mogła tego wieczoru wiele o mnie myśleć. Szepnęła do słuchawki:

— Kochanie, uderzyłam w płot i zgięłam zderzak. Nie powiedziałam o tym tatusiowi. Jest na dole, więc nie mogę głośno mówić.

— Och, na pewno nie będzie się gniewał.

— Ale, Augie, ja mam ten samochód niecały miesiąc. Powiedział, że go sprzeda, jeśli nie będę o niego dbała. Musiałam mu przyrzec, że nie będzie miał z nim kłopotów przez co najmniej pół roku.

— Może uda nam się naprawić ten zderzak bez jego wiedzy.

— Myślisz, że to możliwe?

— Chyba tak. Wykombinuję coś. Przyjadę późno.

— Tylko nie za późno.

— Więc jak nie przyjadę do dziesiątej, znaczy, że w ogóle nie przyjadę.

— Może powinnam się dobrze wyspać przed Sylwestrem? Ale jutro na pewno się nie spóźnisz, prawda? I nie zapomnij, że obowiązują stroje wieczorowe.

— Jutro o dziewiątej, w smokingu, a może nawet jeszcze dziś wieczorem. Obiecałem komuś pomóc wykaraskać się z kłopotów. Nie martw się o samochód.

n — Łatwo ci mówić. Nie znasz tatusia. I w^szedłem z budki pusty, sztywny i pełen lęku. Czulem się w mocy niewiadomego^

Stracciatella był zamknięty, a w mizernym szkle szyby wystawowej kuliły się saksofony i zapadały się boki gitarom. W głębi, z obfitującej w spaghetti kuchni, gdzie zasiadała rodzina, padały chochlikowate smugi światła. Czekałem w korytarzu przy drzwiach, w których po pewnym czasie zgrzytnął klucz. Wyszła z nich Mimi, sama, jakby mi wydana, i zaraz się zamknęły, zanim zdążyłem zobaczyć doktora i zadać mu jakiegokolwiek pytanie. Nie mogłem tego zrobić teraz, bo musiałem podtrzymywać Mimi, która się chwiała na nogach. Wyszła zaledwie przed dwoma dniami ze szpitala, a różnorodność decyzji, które musiała podjąć sama, nie licząc bólu i utraty krwi, osłabiła ją doszczętnie. Była taka słaba, że po raz pierwszy miała twarz bez wyrazu, jak dziecko śpiące w pociągu wycieczkowym, zmęczone całodziennym piknikiem. Z tą różnicą, że gdy jej głowa opadła na moje ramię, poczułem na szyi leciutkie dotknięcie jej warg, jakby w odruchu zmysłowości. Być może na chwilę stałem się dla niej Frazerem i chciała potwierdzić, że bez względu na komplikacje, doznane obrażenia i świństwa nie zmieniła swego przekonania, iż wszystko stoi na delikatności intymnych stosunków dwojga istot ludzkich — bo czynią z miłą chęcią to, co we wszechświecie skał i wody, wszechświecie zielonym, wszechświecie zwierzęcym, dokonuje się ze ślepej konieczności.

Kiedy stałem z nią u góry schodów, czując jej usta na szyi i trzymając ją wpół, szeptałem: — Teraz spokojnie, będziemy wolniutko schodzić. — Z ulicy wszedł jakiś mężczyzna, a ja, zdenerwowany, namyślałem się, skąd go znam. Mimi uświadomiła sobie, że ktoś idzie, i zrobiła kilka kroków. Kiedy się zbliżył, byliśmy właśnie w cieniu, nie w blasku korytarzowej lampy. Niemniej poznaliśmy się wzajem. Był to Kelly Weintraub, spokrewniony z Magnusami przez małżeństwo, który pochodził z naszej dzielnicy i groził mi kiedyś, że powie o Georgie em. Sądząc po rozszerzającym się na mój widok uśmiechu i bardziej tryumfalnym niż zwykły uśmiech wyrazie wokół ust i oczu, dobitniejszym w półmroku niż wyraz samych oczu, zdałem sobie sprawę, że mnie przydybał.

— Ach, panie March, cóż za niespodzianka! Był pan z wizytą u mego kuzyna?

— A kto jest pana kuzynem?

— Ten doktor.

— To by się zgadzało.

fp Co by się zgadzało?

— Ze pan jest jego kuzynem.

Choćbym się nie wiadomo jak starał wykręcić, on, Weintraub, i tak przyprawi mi łatkę rozpustnika, biło ro z wyrazu jego pełnej, przystojnej twarzy wozaka, mięsistej, z łukowatymi brwiami, kiedy tak stał podrygując lekko na nogach.

— Mam także innych kuzynów — rzekł.

Chciałem go wałnąć w gębę, bo wiedziałem, że jak zacznie paplać, i tak już go nigdy więcej nie zobaczę, nie mogłem jednak tego zrobić, gdyż podtrzymywałem Mimi. Być może na skutek wyostrenia zmysłów z wściekłości

wydało mi się, że czuję zapach krwi, ale ważne było tylko, że się przeraziłem.

— Z drogi! — powiedziałem.

Teraz chodziło mi tylko o to, żeby zawieźć Mimi do domu i położyć do łóżka.

— On nie jest moim kochankiem — rzekła mu Mimi. — On tylko robi, co może, żeby mi pomóc wyjść z kłopotów.

— To by się także zgadzało — odparł Kelly.

— Och, ty świński draniu! — powiedziała, ale była zanadto osłabiona, żeby móc włożyć w te słowa całą odczuwaną wściekłość.

Zaprowadziłem drżącą do samochodu i szybko odjechałem.

— Tak mi przykro, chłopcze, narobiłam ci bigosu. Kto to?

— Taki sobie facet... bez znaczenia. Nikt go nie chce słuchać. Nie myśl o tym, Mimi. Jak poszło?

— Nie był za delikatny — oznajmiła. — Najpierw zażądał pieniędzy.

— Ale czy już po wszystkim?

Na jezdni nie było śniegu i jechałem szybko po nieskończonych odmianach czerni i gładzi, wzdłuż szyn tramwajowych, przez tunele, wśród powodzi świateł, jakby wiatr wdarł się do kościoła i przelatywał nad świecami, tak bardzo pęd zlewał wszystko.

Przyjechaliśmy. Zawlokłem ją po schodach na nasze poddasze i kiedy kładła się do łóżka, pobiegłem po worek z lodem do panny Owens, która zaczęła robić mi różne grymasy.

— Co?! — wrzasnąłem. — Przecież mamy sam środek zimy.

— To idź i sobie urąb. Nasz lód robi się w lodówce, a do tego potrzebny jest prąd.

Przestałem się wydzierać widząc, że zdenerwowałem ja swoim gwałtownym wtargnięciem i wywołałem staropanieńskie fanaberie, niepomny na to, jak okazują swoją udrękę. Uspokoiwszy się zacząłem ją przekonywać, spożytkowując do tego celu cały urok, jaki mi jeszcze pozostał w odwodzie. Nie mogło go być wiele przy tak roztrzęsonych nerwach. 366

— Panna Villars ma wyrwany ząb — powiedziałem — i bardzo jej to dokucza.

— Ząb! Młodzi ludzie przejmują się byle czym. — Dała mi waniekę z lodem i popędziłem z powrotem.

Lód jednak niewiele pomógł. Mimi krwawiła obficie i usiłowała to ukryć, lecz wkrótce musiała się do tego przyznać, gdy sama, zdumiona, z szeroko otwartymi oczyma, zbadła, jak bardzo obficie. Cała pościel prześląkla jej krwią. Byłem za tym, żeby ją natychmiast zawieźć do szpitala, ale powiedziała:

— Zaraz krwotok się zmniejszy. Sądzę, że na początku musi tak być.

Zszedłszy na dół zadzwoniłem do doktora, który kazał mi być przy niej i jeśli krwawienie się nie zmniejszy, zadzwonić ponownie. On będzie czuwał i powie mi, co wtedy zrobić. W tonie jego głosu dawało się wyczuć lęk.

Kiedy ściągałem z łóżka prześcieradła, żeby położyć moje, podniosła ręce w geście sprzeciwu, ale powiedziałem:

— Słuchaj, Mimi, ktoś przecie musi to zrobić. — A wtedy zamknęła oczy i pozwoliła mi zmienić pościel, przedtem jednak odwróciła głowę i ukryła twarz w zagięciu łokcia.

Dokonano wielkich rzeczy dla złagodzenia widoku ludzkich okropności i nauczania ludzi, by wywoływały w nich inne uczucia niż odrazę. Wszystkie Golgoty zostały namalowane w tym celu. Lecz obecnie najprawdopodobniej bardzo niewielu ludziom podobne rzeczy i nauki pomagają, więc każdy ratuje się sam, jak potrafi.

Cisnąłem zakrwawione prześcieradła do szafy chyba zbyt gwałtownym ruchem, bo Mimi to zauważyła.

— Nie wpadaj w panikę, Augie — powiedziała.

Usiadłem koło niej siłąc się na spokój.

— Czy zdawałaś sobie sprawę, że może się tak stać?

— A nawet jeszcze gorzej — odparła. Oczy miała żółtawe i jakby pozbawione wilgoci, a usta blade. Przyszło mi na myśl, że być może sama nie pojmuje, w jakim jest stanie. — Tylko że...

— Tylko że co? — dopytywałem się.

— Nie można dopuścić, aby o czymś życiu decydowała byle rzecz, która się napatoczy.

— Iście mistrzowska niezależność — orzekłem przeznaczając te słowa dla siebie samego, ale usłyszała je.  
- Nie oszukuj się, to bardzo ważne, czemu się ulega. Przynajmniej w tej chwili dla mnie. Chociaż—  
powiedziała krzywiąc się i znów wygładzając twarz przystawszy na ustępstwo — zapewne tylko, jeśli z tego  
wyjdę. Bo cóż to za różnica, jeśli się jest martwym?

Nie mogłem się zdobyć na żadne dyskusje, więc tylko siedziałem milcząco i patrzyłem. I tak jak  
przewidziała, krwawienie stopniowo ustało. Leżała teraz mniej spięta i sprężona na łóżku, a ja czułem mniejsze  
odrętwienie w mięśniach. Myśli mi się rwały, bo cały czas wyobrażałem sobie, jak będę próbował przemycić ją  
do szpitala, gdyż wiedziałem, jakie to trudne w podobnych wypadkach, i już widziałem oczyma wyobraźni, jak  
moje błagania zostają odrzucone, a ja sam doprowadzony do szału urzędową bezwzględnością.

— No cóż — powiedziała — widać, że nawet on nie potrafił wyprawić mnie w zaświaty.

— Zaczynasz się lepiej czuć?

~ Chciałabym się napić.

— Przynieść ci jakiś napój? Myślę, że nie powinnaś dzisiaj pić whisky.

— Właśnie że chcę whisky, a tobie też by się przydało trochę.

Odprowadziłem samochód Simona do garażu i wróciłem z butelką taksówką. Mimi pociągnęła z niej spory  
łyk, ja wypilem resztę, bo teraz, kiedy uspokoiłem się co do losu Mimi, przypomniałem sobie o własnym  
kłopotcie i kiedy wpełzałem nagi do swego łóżka bez prześcieradeł, aż mnie skreśliło ze zmartwienia, więc  
wysączyłem ostatni łyk, żeby zapomnieć i móc zasnąć. Zbudziłem się jednak bardzo wcześnie, wcześniej niż  
zwykle. Wiedziałem, że Kelly Weintraub nie puści sprawy płazem. I nie wiem, jakie jeszcze były moje odczucia  
poza ogólnym wrażeniem ciemności i lęku, czegoś na kształt czarnych chmur, które zebrały się na zewnątrz.  
Ubrałem się w robocze łachy. Whisky wciąż na mnie działała, nie byłem przyzwyczajony do picia. W ponurości  
i bałaganie swojego pokoju Mimi wydawała się bardzo rozpalona, lecz spała normalnie. Poszedłszy na kawę 368  
załatwiłem, żeby zaniecono jej z drugstor^u śniadanie.

Czułość i niepokój sprawiły, że czułem się tego ranka jakiś rozchwiany. Na zewnątrz było wciąż czarno,  
na śniegu leżały nie rozproszone sadze. Wyglądało to niby wnętrze czegoś, co powinno być zamknięte. Budziło  
raczej grozę niż smutek, nawet we mnie, tubylcu, który niewiele więcej na świecie widział. Z tego iście  
azjatyckiego mroku wyłaniały się i wjeżdżały na plac wozy i platformy, a przez okno do kantoru zaglądały stare  
szkapy z zielonymi lub czerwonymi ozdobami u łbów i patrzyły, jak w jaskrawym świetle żarówek wypisujemy  
kwity i wkładamy pieniądze do szuflady kasy. Banknoty były jakby obsmarkane i pachniały niby nasycione  
wonnościami.

Simon wciąż przyglądał mi się badawczo, aż się zacząłem zastanawiać, czy może Kelly już do niego dotarł.  
Ale nie, Simon tylko ćwiczył na mnie surowość, tęgi i z czerwonymi błyskami w oku. A ja nie spisywałem się za  
dobrze.

Dzień jednak był krótki, ostatni w roku. Rozdawaliśmy klientom małe kurydziane whisky i dzinu i  
wkrótce kantor poweselał, zrobił się gwarny, z podłogą popstrzoną tymi pustymi buteleczkami. Nawet Simon się  
z czasem rozluźnił. Z dojrzałości do ostatniej karty kalendarza oraz odejściem starego roku, który, pochylony  
wiekiem, dźwigał swą kosę i latarnię Diogenesa, stanął oto przed nowym początkiem. A letnie kłopoty już  
dawno zostawił za sobą.

— O ile mi wiadomo, idziecie dziś z Lucy w strojach wieczorowych. Jak możesz myśleć o włożeniu  
smokinga z taką czupryną? Idź do fryzjera. I postaraj się trochę odpocząć. Balowałeś gdzieś w nocy? Bierz  
samochód i jedź. Po mnie przyjedzie stryj Artie. Która cię tak wymęczyła? Prawdopodobnie nie Lucy. Na pewno  
ta druga cipa. No, idź... Chryste, nie wiem, czy jesteś bardziej zmęczony, czy tępy. — Simon mógł ręczyć tylko  
za własne zdtfowe zmysły w naszej rodzinie. Gdy był zirytowany, odnosił się do mnie podejrzliwie.

Nie tracąc czasu ruszyłem do domu i wpadłem na schodach na Kayo Obermarka, który właśnie wychodził z  
toalety z mokrym ręcznikiem na głowę Mimi. Wyglądał

na bardzo zatroskanego. Jego oczy, i tak ogromne, były kilkakrotnie powiększone przez szkła okularów, a wargę miał obwisłą z niepokoju. Twarz była ciemna od zarostu czy brudu.

- Chyba z nią źle — powiedział.
- Krwawi?
- Nie wiem... ale jest cała rozpalona.

Pomyślałem, że musiało z nią być bardzo źle, skoro przyjęła pomoc od Kayo. I tak też się okazało, choć była rozmowna oraz fałszywie czujna i bystra... fałszywie, gdyż nie odpowiadało to wyrazowi jej oczu. W tym małym pokoiku było gorąco, zaduszkowato, wszystko w nim wydawało się stęchłe i chorowite, miało w sobie coś z bagiennej zgnilizny, która zaczynała się stawać niebezpieczna.

Dopałem wreszcie Padillę i przyszedł ze swojego laboratorium z pigułkami na gorączkę, skonsultowawszy się wprzód ze starszymi studentami z fizjologii. Czekaliśmy, aż pigułki zaczną działać, z czym się nie spieszyły, i aby nie stracić głowy, zgodziłem się zagrać w remika. Padilla zawsze biegły w liczeniu wygrywał za każdym razem. Póki mogłem trzymać karty w ręku. Pod wieczór — sądząc po zegarku, a nie mroku, który był tego dnia taki sam o szóstej jak o trzeciej — gorączka kapryśnie i powoli opadła. Potem zadzwoniła Lucy prosząc, abym przyszedł o godzinę wcześniej, niż się umówiliśmy. Wyczułem, że i z tej strony czekają mnie kłopoty, i spytałem:

- O co chodzi?
- O nic, tylko postaraj się, proszę, być tutaj o ósmej — odparła stłumionym głosem.

Było już dobrze po szóstej i jeszcze nie zdążyłem się ogolić. Zrobiłem więc to szybko i zacząłem ubierać się w smoking, konsultując się jednocześnie z Kayo i Padillą-

— Najgorzej byłoby — rzekł Padilla — gdyby miała posocznicę. Załóżmy, że ma gorączkę połogową. To zbyt niebezpieczne, żeby mogła zostać tutaj. Musicie ją zawieźć do szpitala.

- Nie czekając na jego dalsze słowa przeszedłem w koszuli frakowej przez przedpokój i powiedziałem Mimi-
- Słuchaj, musimy spróbować umieścić cię w szpitalu.

370

- Nie zechcą mnie nigdzie przyjąć.
- Zmusimy ich do tego.
- Zadzwoni i zapytaj, to zobaczysz.
- Nie będziemy dzwonić — rzekł Padilla. — Po prostu pojedziemy.
- Co on tutaj robi? — zapytała mnie. — He osób bierze w tym udział?
- Padilla jest moim dobrym przyjacielem, nie myśl o tym teraz.
- Wiesz chyba, co oni tam robią? Będą się starali, żebym doniosła na tego doktora. Jak sądzisz, będę trzymała język za zębami? — Miało to brzmieć jak przechwałka, że nikt jej nie zmusi do naskarzenia na kogoś, nawet na niego.

— Po co tracisz czas na gadanie? — mruknął Padilla. — W drogę. Ubrałem ją w palto i kapelusze, zapakowałem do małej walizeczki koszulę nocną, szczoteczkę do zębów, grzebień i owiniętą kocem sprowadziłem z Padillą do samochodu.

Gdy otwierałem szare drzwi samochodu, z ganku zawołał Owens:

- Ej, March! — Wyszedł w samej koszuli i stał wielki, ze skurczonymi ramionami i ściśniętymi kolanami, w chłodzie tej śmiertelnej pory roku. — Telefon, ważna sprawa.

Pobiegłem. Dzwonił Simon.

- Augie!
- Mów szybko. O co chodzi? Spieszę się!
- To raczej ty mów szybko — odparł wściekły. — Przed chwilą miałem telefon od Charlotty. Kelly Weint-  
raub rozповіда, że prowadziłeś przyjaciółkę na skrobankę.
- I co z tego, Simon?

— To ta damulka, która mieszka obok ciebie, prawda? A więc wpadłeś, przepieprzyłeś sprawę. Koniec z nami, Augie, zanim narobisz mi większych kłopotów. Nie mogę cię dłużej ciągnąć za sobą. Będę chyba musiał stanąć na głowie, żeby wyjaśnić, jak to mogło być, że przez cały okres zaręczyn z Lucy pieprzyłeś tę dziewczuchę. Powiem,

371

ze jesteś zwykła świnia, co nie będzie kłamstwem, bo jesteś za głupi, żeby żyć jak człowiek.

- I nawet nic zapytasz, czy to, co Kelly mówi, jest prawdą?

Pelen pogardy, iż w ogromie swej tępoty uważam go za tak głupiego, że mógłby uwierzyć w to, co zechcę mu włożyć w uszy, powiedział niemal tonem rozbawienia:

- No dobra... więc co? Zrobiłeś przysługę innemu facetowi, tak? Nigdy nie wsadziłeś tej laleczki między nogi? Mieszkasz obok niej i nigdy jej nie tknąłeś? Słuchaj, chłopcze, my już nie mamy po dziesięć lat. Ja widziałem tę kurewkę. Ona by ci nie dała spokoju, choćbyś nawet chciał mieć spokój. A ty nie chciałeś. Nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś na te rzeczy łasy. W naszej rodzinie wszyscy jesteśmy na nie łasi. Jak myślisz, dzięki czemu znaleźliśmy się na świecie... wszyscy trzej? Ktoś odkrył, że może zadzwonić do drzwi i wejść, kiedy tylko zechce. Myślisz, że mam ci za złe, że pieprzyłeś tę dziewczynę? Tylko że ty musiałeś zaraz koniecznie się zaplątać... zrobić się na cacy. Jakby inaczej nie było można. Masz to po mamie. No cóż, jeśli już musisz, nic mnie to nie obchodzi. Ale nie pozwolę, abys mi zamieształ z Magnusami.

— Nie ma żadnego powodu, abys mógł mieć jakiegokolwiek kłopoty z Magnusami. Słuchaj, opowiem ci o tym jutro.

- Nie, nie opowiesz. Ani pojutrze. Od tej chwili koniec z nami. Oddaj tylko samochód.

- Przyjdę i powiem, o co tu naprawdę chodzi...

- Trzymaj się ode mnie z dala. To jedyna i ostatnia rzecz, o jaką cię proszę.

- Ty skurwysynu! — wrzasnąłem ze łzami. -- Ty gnojku! Żebyś tak zdechl!

Nadbiegł Padilla i zawołał przez drzwi saloniku: -i Prędeż, skończ tę gadaninę. Chlipiąc i potykając się o wiklinowe meble wypadłem na zewnątrz.

- Co się stało? Skąd te łzy? Załamałeś się?

y Nie, miałem małe starcie — odparłem, kiedy się opanowałem.

- Jedźmy. Chcesz, żebym poprowadził? 372

— Nie, mogę sam.

Pojechaliśmy najpierw do szpitala, gdzie Mimi przebyła operację. Otrzeźwiona chłodnym powietrzem powiedziała, że wejdzie sama. Podprowadziliśmy ją do wejścia na ostry dyżur i dalej puściliśmy samą, po czym usiedliśmy w samochodzie modląc się, żeby nie wyszła. Lecz wkrótce przez złojące się, zamarzniete krople na szybie samochodu zobaczyłem ją znowu w drzwiach i popędziłem, żeby ją przyprowadzić.

— Mówiłam...

— Czemu cię nie przyjęli?

— Jest tam ten facet. Kiedy mu powiedziałam, odparł: „Nie mamy tu miejsca dla takich jak ty. Czemu nie chciałaś urodzić dziecka? Wracaj do domu i czekaj na przedsiębiorcę pogrzebowego.”

— Chinga su mądre!

Padilla pomógł mi przyprowadzić ją do samochodu.

— Zdaje się, że znam człowieka, który pracuje w laboratorium szpitalnym w Dzielnicy Północnej, jeżeli nadal tam jest. Zadzwonię do niego.

Podwoziłem go pod sklep z wyrobami tytoniowymi i poszedł zadzwonić.

— Powinniśmy spróbować — rzekł po powrocie. — Mamy powiedzieć, że sama to sobie zrobiła. Wiele kobiet tak robi. Poinformował mnie, o kogo mamy zapytać. Jeżeli ten ktoś jest właśnie na dyżurze. Podobno porządny facet. — A cichszym tonem dodał: — Być może będziemy musieli ją zostawić i zwiąć. Ona jest bliska omdlenia. Co będą mogli zrobić? Nie mogą jej wyrzucić na ulicę.

— Nie, to wykluczone.

— Czemu? Jak cię zobaczą, to ci ją zaraz oddadzą, bo nie będą chcieli jej brać na swoją głowę. Sami sobie wybierają przypadki, którymi chcą się zająć. Ale ruszmy głowami. Ja wejdę pierwszy i zrobię doktora.

Weszliśmy jednak wszyscy razem. Nie mogłem czekać z nią w samochodzie, ponadto zaś byłem zdecydowany, że albo ją wezmą, albo im porozbijam wszystko, co mi wpadnie w oczy. Weszliśmy więc do pierwszych prawie pustych pomieszczeń. Zamierzyłem się jedną ręką na faceta w szarym kitlu sanitariusza, który zastąpił nam drogę. Uchylił się, a Padilla rzekł:



— Co ty wyprawiasz! Chcesz wszystko spieprzyć? Teraz usiądź z nią tam i czekaj, a ja pójde zobaczyć, czy ten mój koleś jest na dyżurze.

Mimi zwiśla na mnie i poczułem jej rozpalone czoło na policzku. Nie mogła nawet siedzieć. Podtrzymałem ją, póki nie przyniesiono dla niej noszy.

Padilla odszedł, a mnie jak gdyby przyskrzyniono. W szpitalu był dyżurny policjant. Wyszedł z bocznych drzwi z tym sanitariuszem, z filiżanką kawy w ręku, w niebieskiej koszuli, trzymając w drugiej ręce pałkę.

— Co się tu dzieje? — zapytał jakiś lekarz.

— Czemu się pan nią nie zajmie zamiast pytać?

— Czy pan uderzył tego człowieka? — spytał policjant. — Zamachnął się na ciebie?

— Zamachnął się, ale nie uderzył.

Policjant widocznie zobaczył, że jestem w smokingu, bo kiedy zwrócił się teraz do mnie, nie miał już tak morderczo zwięzonych oczu i napiętego karku. Byłem w pańskim stroju, więc po co ryzykować?

— Co się stało tej kobiecie? Jest pan jej mężem? Nie widzę u niej obrączki. Krewny czy tylko przyjaciel?

— Mimi? Czy ona zemdląła?

— Nie, tylko nie chce odpowiadać. Porusza oczami.

Wrócił Padilla za pędzącym przed nim doktorem.

— Wnieście ją tutaj i zobaczmy, co się dzieje — rzekł doktor.

Manny rzucił mi spojrzenie tryumfu. Pozbyliśmy się tego całego obrzydliwego tłumu węszącego sensację i poszliśmy z doktorem. W drodze Manny opowiedział mi zmyśloną historyjkę.

— Ona to sama sobie zrobiła. To dziewczyna pracująca i nie może mieć dziecka.

— Jak to zrobiła?

— Bo ja wiem? Jakimś czymś. One tym różnym sposobom poświęcają całe życie.

— Widywałem już różne różności. Ale słyszałem też wiele zmyślonych opowiadań. No więc jeżeli kobieta z tego wychodzi, nie szukamy osoby, która dokonała przerwania ciąży, bo po co.

— Jak ona wygląda na pierwszy rzut oka?

— Póki jej nie zbadam, mogę tylko powiedzieć, że 374 straciła dużo krwi. Kto jest ten drugi, który się tak martwi?

— Jej przyjaciel.

— Brakowało, żeby naprawdę przyłożył temu sanitariuszowi, a spędziłby Sylwestra w pudle, z pijakami. Czemu jest taki odpicowany?

— Hej ty, co z twoją randką? — rzekł Padilla przykładając w przerażeniu rękę do swej długiej twarzy. Na elektrycznym zegarze w jasno oświetlonym pokoju, do którego weszliśmy, było po ósmej.

— Muszę się najpierw dowiedzieć, co z Mimi.

— Idź. Tak będzie lepiej. Ja zostanę. Nie jestem z nikim umówiony i nigdzie i tak nie zamierzałem iść. Doktor nie sądzi, że jest z nią bardzo źle. Co masz w planie?

— Bal w Edgewater.

Stałem i czekałem, póki nie wrócił doktor.

— Głównie utrata krwi i infekcja po operacji brzucha, moim zdaniem — rzekł. — Gdzie ją robiono?

— Sama odpowie na pytania, jeżeli będzie chciała — odparłem. — Ja nie wiem.

— A co pan wie? Czy wie pan, na przykład, kto pokryje koszt pobytu w szpitalu?

— Ona ma pieniądze — powiedział Padilla. — Niech pan spojrzy, jak przyzwoicie jest ubrana. — A potem zwrócił się do mnie, bo go to bardzo martwiło: — Zjeżdżasz czy nie? Facet jest zaręczony z córką milionera i każe jej czekać w wieczór sylwestrowy.

— Niech mi pan wypisze przepustkę, żebym jeszcze dziś w nocy mógł odwiedzić Mimi — poprosiłem doktora, który spojrzał z zakłopotaniem na Padillę, więc dodałem: — Na miłość boską, doktorze, niech pan się ze mną nie droczy, tylko wypisze tę przepustkę. Co złego się stanie, jeżeli odwiedzę Mimi? Chętnie bym panu opowiedział, jaki pech mnie prześladowa, ale nie mam czasu.

— Co panu zależy — dodał Padilla.

— Przepustka ode mnie nic panu nie pomoże przy bramie. Jestem na dyżurze aż do rana, więc niech pan po prostu przyjdzie i zapyta o mnie, nazywam się Castieman.

— Przyjść, może nawet bardzo szybko — powiedziałem. Bo byłem pewien, że Kelly Weintraub, skoro już

zaczas /Aepji ÓłAt7joL Óo stryja Cha/ibego Mag-  
 wm\\* Ate mfttkm tfaaeż, iż aaś or am zofia sic ne po<ie\*1z< Lc^ tws wytmaia tac ze hkh} aa Po b^szpoaoka  
 wyrz&zą. SBMe es  
 zfet> pvik ytótut pro^t źrtijrra przytżgft  
 godzzaę eatśef ostał uę zacząc dopiero o dattea ZstćrmHżleBj jnoe raz t zapytasr/ Czefcatf?  
 Oczywiście. Gdzae jote^  
 — Njedaieiu),  
 — Co robasz?  
 — M ztsakai fćzaei po drodze. Juz pędzę.  
 —  
 Jaćac o ętr octai&sa Wrnc., że sie  
 tezatafta - r. TZ&PŻ&s&fr rł&  
 sszsei wk -rarće. Wa^ftrzy za «zcr«fc» ikm 23  
 podjazd ■ ortat&ag dr- «zacp\*ątaB :.  
 m. z i kzzks? y/t portyk. Wen^z. 34 \*yfcrzr> r;. ^ efecaiarfe rtjrs/zpyć: bmó» klćcr  
 Ó0 bsitia, za \*\_izśc czanea sa.tzfc\*. ś w tjle. przy gszpzm ■ tato-  
 sar, ggśfa^g tezwzjsfcp Chófó&gp, atat esaffli -'Ai. i takZT M^1 » 'AT/JOL.\*^.. » OfgSr z&ttu-  
 mbtWBrnózm,jtejfcgft wizy\*- < wy . ^ waa® • ggsm sale 9  
 I\*\*\*, >5} i S&aaa. przy&c&te. m  
 Oatkm, 2R ppm  
 i^atzysenę jefeafc pr> 10. i^y ag  
 fcft 23fi tzasrt\* artjT  
 mmp^oj pmrt&t ! rozfcr> laać  
 tut ^ byfcac przr-  
 ate wsjy/smufa, a przysajsró?  
 <>iZiaW je 72ż l/ljcsa'  
 @r> 2 fli wł»r\*iii Siir hn aemfe  
 f/^KL; ffAućmn, jrMGottń 1 bita tzy cnfóć^- - xit XMmmdua> Zopemm  
 « wą&źfem, ar nuue jedyaar , 1 Iczaz.  
 M praabtt mkoó&t n \*\*  
 £łt&£ m wz#90& ru T" >7i<r jajuc^-ŁtA\*\*\* Stoi iwiyiliy r/r.TtM' \* zr Mgr . ^b tym jacm\*  
 m>  
 V\* ca^ rzccz, /r  
 a cfyx ♦ferr , Ir Ulrr^ęc  
 <M,pt)c: yr/j&kcia r.i zd^Mca yjtmf, \ jy/Jskrsto-dL byt iy u  
 tzcđi' \* " 4r<7 , ur.z^sr  
 t/z/styrr /-/^j j>e\*«a. Wi&atH&z m t ; ęz/Jtceżt tmrz, Acfe a ćr<>£\* (wanf (jmsfa  
 -A ya wezd&śl Jefegsst&ś\* g^y «e zfeyi pr/^&yj^, Ohs&m U l ze mx/;/m>. przez «. ^am//^ są śnis^, bd '  
 er&zt&zr. jut l'Ssńot s% do ^ ? ć&zfc\$ttz 7?/////myrtymt \* /pć Imz » tyśa z&otratoźefs- \* mt pmze óm  
 &/\*o . 'ic m&km fa&m^ pr&s&utok. M ^ y//m si • -zkm & kstmitemm\* mym :<<xAy dy^zyfra tae z%t - to  
 flte pr/> ^ife^  
 •• fr^IMMK^ « - ie i WSX7'  
 Myfi&u&r. źr>ez jrdziewy,  
 — Ko, fH 9pLtt€. I m tm emg&s&S&i mc  
 z -y/yiM  
 — Ai-. teraz ra^fiy 's/bpt\* \*/. '\*'  
 — Mfdy  
 ?'spisjcx/ ft& hsd z k-w  
 — Aie pezeskź Js ^actu^r wa pryjjai^ . im f#mą  
 łueij zerwać, u^lipifj ter wat  
 JZJ& we \* \*r/>ctt fol  
 5 fe ototeśeir ?\* z>c/e a zie ^adnr pńmk ietbyi mó irjffla le<irt  
 ' d^^tar Sar \*aiwy tar  
 f^ ptkwgff dKM\*bfk\*y m me/\* 4u  
 A ms tim^ktir/f m mefeaB t/tkhcm i'iMtMrp6\* Śj ir w ^ w  
 Im

— Jeżeli wyjdzie za ciebie, nie dostanie ani centa! — • oznajmił.

— Lucy, dla kogo to ma jakiegokolwiek znaczenie, dla mnie czy dla ciebie?

Jej uśmiech jeszcze bardziej się rozszerzył, tracąc teraz wszelki wyraz oprócz jednej jedynej sugestii, że właśnie ona mnie rozpałała, a wtedy musiałem się wyładować gdzie indziej, lecz tak naprawdę nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ jest za bardzo córką swego ojca, by jakiegokolwiek miłosne zapęły w samochodzie i w salonie, dotknięcia ust, języków, koniuszków palców i cała reszta mogły sprawić, żeby straciła głowę i postąpiła niemądrze.

Nie miałem pojęcia, na czym polegał układ. Napomknięto coś o uszkodzeniu jej samochodu. Przyznała się do tego. Ojciec odparł, że oczywiście, samochód będzie naprawiony. Byle tylko nic innego nie zostało uszkodzone, taką to uczynił subtelną aluzję do jej dziewictwa. Dla niego rzecz była warta śmiechu i w ten sposób cały jęk i trwoga utonęły w ojcowskiej radości, że córka pozostała nietknięta.

Nie miałem po co siedzieć dłużej. Jej brat, Sam, który podszedł do mnie w hallu, gdy nakładałem płaszcz, zagroził, że złamie mi kark, jeżeli będę się naprzykrzał jego siostrze, ale mimo całej swojej włochoatości i wielkiego tyłka nie udało mu się wyrzeć na mnie najmniejszego wrażenia.

Włączyłem silnik samochodu, z którym moje związki także dobiegały kresu, i pojechałem do szpitala.

Padilla oddał Mimi krew, więc leżał po transfuzji w tym samym pokoju, w którym się z nim rozstałem, i ssał pomarańczę. Jego chuda ręka z jedną śmieszną kulą mięśnia była zaklejona plastrem, a oczy, pod powierzchowną obojętnością, czerniały i pały ku nie wiedzieć czemu.

— Jak Mimi?

— Zabrali ją na górę. Nadal bzikuje, ale ten Castleman daje jej spore szanse.

— Pójdę ją zobaczyć. A co z tobą?

— Cóż, chyba nie będę już tu dłużej sterczał. Zaraz zabiorę się do domu. Ty zostajesz?

378

Dałem mu na taksówkę, bo nie chciałem, żeby się telepał taki szmat drogi do Hyde Park tramwajem w ten tłumny świąteczny wieczór.

— Dzięki ci, Manny.

Wsunął pieniądze do kieszeni koszuli i nagle zapytał zdumiony:

— Słuchaj, co się stało, że już wróciłeś z balu?

Wyszedłem bez słowa.

Mimi leżała na oddziale położniczym. Castleman powiedział, że nigdzie indziej nie ma dla niej miejsca, a ja pomyślałem, że właśnie tam z grubszą przynależy. Poszedłem więc. Była to wysoka, wielka sala, a na jej środku, na stoliku, stała małeńka choinka z zapalonymi lampkami i małą stajenką pod spodem, zrobioną z pudełka i waty.

—Może pan tu zostać—powiedział mi Castleman — ale nie pchać się nikomu w oczy, bo pana wyrzucą. Myślę, że ona się z tego wyliże, chociaż robiła wszystko z wyjątkiem podcięcia sobie żył i żyzia trucizny, żeby się nie wylizać.

Usiadłem przy jej łóżku w panującym półmroku. Co chwila wchodziły pielęgniarki przynosząc matkom niemowlęta do karmienia, słycać było szepty, tłumione okrzyki i odgłosy przewracania się na łóżku, a także przymilania się i ssania. Poddawałem się różnym uczuciom, które napływały bez żadnych przeszkód, aby mną zawładnąć, gdy tak siedziałem w ciemnościach i odtrąceniu, zbolały, rozgoryczony, zły i wściekły. A kiedy te uczucia z wolna odpłynęły, zdałem sobie sprawę z istnienia innych, nasuwających na myśl różne wspaniałości, i tego miejsca, w które zostałem rzucony. Zacząłem normalnie oddychać i znacznie się uspokoiłem. Gdy o północy wybuchła wrzawa, trąbienia, syreny, klaksony, całe to uniesienie radości docierało do wnętrza tej sali dość słabo, bo wszystkie okna były zamknięte, więc kwilenia dzieci pozostały nadal nie zagłuszone. Około pierwszej, o tyle czujna, by móc usłyszeć, że się poruszyłem, Mimi szepnęła:

— Co ty tu robisz?

— Nie mam specjalnie gdzie pójść.

Wiedziała, gdzie się znajduje, słysząc płacz noworod-

379

ków. Opatrzyła to dość melancholijną uwagą, że w końcu nie wie, czy przechytrzyła los, czy mu uległa. Zależało to zapewne od jej stosunku do własnych wyborów i dokonań, a także jej prawdziwych uczuć w obecnej chwili, kiedy słyszała cmokanie i kwilenie oraz odgłosy nocnej krzątanimy matek.

— W każdym razie uważam, że jesteś w dobrych rękach — powiedziałem.

Poszedłem się przejść i patrzyłem przez szyby na dziecięce buzie, a potem, ponieważ nikt mi nic przeszkodził, gdyż pielęgniarki zapewne urządziły sobie własne króciutkie noworoczne święto, przeszedłem na porodówkę, gdzie w oddzielnych pomieszczeniach za szkłem widziałem szamoczące się kobiety, obcy mi ból i zniekształcone potwornie brzuchy, a także jedną wielgachną twarz, która naprężyła się i dobyteła z siebie przeraźliwy, śpiewny głos przeklinając sprośnie męża za to, że dla swojej przyjemności wpędził ją w ten stan. Inne kobiety wzywały matki i świętych, niepohamowanie, szarpiąc za pręty łóżek, z płaczem lub przerażonymi twarzami i znar- kotyzowanymi oczyma. Byłem jak ogłuszony. Toteż gdy jedna z pielęgniarek nadbiegła, by się przekonać, kim jestem i co tam robię, zacząłem się jąkać. I właśnie wtedy z pobliskiego szybu windy dobiegły mnie krzyki. Przystanąłem i zaczękałem na wznoszący się blask, widoczny przez szklane szyby. Drzwi się otworzyły. Przede mną, na fotelu na kółkach, siedziała kobieta, a na jej kolanach narodzone przed chwilą w taksówce, sanitarze czy hallu szpitalnym, całe zakrwawione i wrzeszczące, z nabrzmiałymi żyłkami, napiętą z wysiłku piersią i ramionkami bezwłose dziecko, samo czerwone i zalewające ją czerwienią. Ona też straciwszy panowanie łkała z zaciśniętymi pięściami i szalonymi ze strachu oczyma. I oboje, ona i dziecko, wydawali się jak wrogowie skazani na siebie wzajem, jak postaci bitewne. Wypchnięto ich z fotelem z windy i minęli mnie tak blisko, że ramię matki otarło się o mnie.

— Co pan tu robi?—spytała pielęgniarka z gniewnym spojrzeniem. Nie miałem prawa tam przebywać.

Wróciłem do Mimi i stwierdziwszy, że śpi i jest znacznie chłodniejsza, wyszedłem ze szpitala schodami, które mi 380

pokazał Castleman, i pobrnąłem do samochodu w prószącym na szarą powłokę lodu świeżym śniegu.

Ruszając nie wiedziałem dokładnie, gdzie się znajduję. Jechałem wolno w coraz gęściejszej śnieżycy, bocznymi uliczkami, w nadziei, że wyjadę na jakąś ważniejszą arterię, i w końcu natrafiłem na Diversay Boulevard w jego bezludnej części fabrycznej, od strony Północnej Odnoży rzeki. I właśnie tu, gdzie myśl o rychłym położeniu się do łóżka zaczynała mi być miła, złapałem gumę, na tylnym kole. Powietrze uszło, więc doturlałem się na feldze do krawężnika i zgasłem silnik. Musiałem rozmrażać zamek kufra zapalkami, a gdy dostałem się do narzędzi, nie mogłem pojąć działania podnośnika zderzakowego. Ten typ podnośników wprowadzono dopiero w tym roku, a ja byłem przyzwyczajony do zwyczajnego, typu osiowego, jaki miał kiedyś Einhorn. Przez chwilę próbowałem, chociaż koszula frakowa mnie obcierała, a mróz kasał w nogi i ręce, i w końcu cisnąłem narzędzia do kufra, zamknąłem samochód i zacząłem rozglądać się za jakimś miejscem, gdzie mógłbym się ogrzać. Wszystko było pozamykane, ale ponieważ wiedziałem już, gdzie się znajduję, zorientowałem się, że jestem niedaleko Coblinów. Znając tryb życia Coblina, nie wahałem się pójść i obudzić go.

Kiedy w czarnej sieni domku zabłysła żółta lampa i Coblin ujrzał, kto dzwoni, załapał ze zdumieniem oczyma.

— Samochód zepsuł mi się na Diversay, więc pomyślałem sobie, żeby wstąpić, bo i tak zwykle wstajesz o tej porze i ruszasz na trasę.

— Nie, nie dziś. Dziś jest Nowy Rok. Żadne drukarnie nie pracują. Ale nie spałem. Przed chwilą słyszałem, jak Howard i Friedl wrócili z przyjęcia. Wejdz, na miłość boską, i zostań. Dam ci koc na kanapę.

Wszedłem z wdzięcznością, zdjąłem przyprawiającą mnie o męki koszulę i przykryłem nogi poduszkami.

Coblin był zachwycony.

— Ale będą mieli rano niespodziankę, kiedy zobaczą kuzyna Augie! Chłopie, świetnie zrobiłeś, że przyszedłeś! Anna będzie w siódmym niebie.

Z powodu jasności poranka, a także hałasów do-

chodzących z kuchni, wstałem wcześniej. Kuzynka Anna, jak zawsze niechlujna, krzątała się wokół wspaniale zastawionego stołu, gotowała kawę i smażyła placki. Włosy zaczynały jej siwieć, twarz z brodawkami i kępkami włosów zrobiła się ciemniejsza, oczy ponure. Jednakże ta ponurość była oznaką wzruszenia, nie zaś radykalnego pesymizmu. Płacząc i ściskając mnie w ramionach mówiła:

— Szczęśliwego Nowego Roku, mój ty najukochańszy. Obyś zaznał samej radości, bo na nią zasługujesz. Zawsze cię kochałam. — Pocałowałem ją, uściśnąłem rękę Coblinowi i zasiedliśmy do śniadania.

— Czyj samochód się zepsuł, Augie?

— Simona.

. - Twojego wielkiego braciszka.

Nie zepsuł się. Złapałem gumę, ale było za zimno, żeby zmieniać koło.

— Howard pomoże ci, jak wstanie.

Nie ma czym się przejmować... §g Pomyślałem sobie, że odeślę Simonowi kluczyki pocztą i niech sam przyjedzie po ten cholerny samochód. Ta gniewna myśl trwała jednak tylko chwilę. Piłem kawę i patrzyłem za okno na pierwszy pogodny ranek roku. Na sąsiedniej ulicy stała cerkiew, której cebulasta kopuła widniała na tle wypolerowanego śniegiem, oczyszczonego błękitu, krzyż i korona razem, połączone władze niebios i ziemi, ze śniegiem we wszystkich szczelinach, śniegiem jak cukier puder. Spojrzałem wyżej i zatopiłem wzrok w głębokim bezmiarze błękitu. Dni się nie zmieniły, chociaż czasy tak. Żeglarze, co pierwsi ujrzeli Amerykę, dokąd przyniosło ich wielkie brzuszysko oceanu, nie mogli widzieć piękniejszych barw niż ta.

— Szkoda, że Friedl nie mogła przyjechać z Ann Arbor na ślub twojego brata, Augie, miała egzaminy. Nie widziałeś jej od czasu, kiedy była dzieckiem, a to źle. Jest piękna. Nie dlatego, że jest moim dzieckiem, Bóg mi świadkiem. Sam ją wkrótce zobaczysz. Ale spójrz, to jej fotografia ze szkoły. A ta ukazała się w gazecie, gdy Friedl przewodniczyła młodzieżowemu komitetowi dobroczynności. I nie tylko piękna, Augie...

— Wiem, że jest bardzo ładna, kuzynko Anno.

382

— Więc po co się zadajesz z nowymi krewnymi swego brata, tymi prostakami? Spójrz, jak jest dobrze rozwinięta na tej fotografii. Była twoją ukochaną, gdy byliście dziećmi. Mówiłeś, że jesteście zaręczeni.

O mało jej nie poprawiłem:

^ Nie, to ty tak mówiłaś. — Ale się tylko roześmiałem, a ona pomyślała, że śmieję się z tych miłych wspomnień, i też zaczęła się śmiać, klaszcząc w dłonie i przymykając oczy. Z wolna zdałem sobie sprawę, że roni przy tym łzy.

— O jedno tylko proszę, żeby przed śmiercią zdążyć jeszcze zobaczyć moje dziecko szczęśliwe z mężem.

• Jfs I dziećmi.

— I dziećmi...

—<sup>1</sup> O rajy, co z plackami? Talerz pusty — powiedział Coblin.

Zakrzętnęła się spieszenie przy płycie zostawiając przede mną fotografie, album i wycinki z gazet, na które patrzyłem, by zaraz znów skierować wzrok za okno, na pogodę.

Przestałem już być dzieckiem zarówno ze względu na wiek, jak i na miarę otaczającej mnie opieki, i naprawdę zostałem rzucony w wir świata. Jeśli sądzicie, jak czynią niektórzy, że bezustanna zażyłość, poufałość i miłość mogą dać w efekcie fałsz, takie rzuconie w wir świata może być rzeczą bardzo pożądaną, aczkolwiek smutną. Co mógł mieć na myśli Chrystus, gdy nazwał swą matkę „Niewiastą”? Żc ostatecznie była jak każda kobieta. Że w każdym prawdziwym życiu trzeba wyjść na zewnątrz tego niewielkiego kręgu opasującego dwie lub trzy postaci z tej samej historii miłości. Spróbujcie jednak w nim pozostać. Zobaczycie, jak długo wytrzymacie.

Pamiętam, że byłem kiedyś na targu rybnym w Neapolu (a neapolitańczycy nie są ludźmi, którzy łatwo rezygnują z więzów krwi) — tym targu, gdzie małże układa się w bukiety, przewijając kolorowym sznurkiem i zdobiąc plasterkami cytryny, gdzie kałamarnice tracą cętki na zwiotczalym ciele, gdzie krwawią stalowolśniące i inne ryby o pieniążkowatych łuskach—i zobaczyłem żebraka, który siedział z zamkniętymi oczyma wśród muszli i miał na piersi napisane mieniącą się farbą: „Skorzystaj z mojej nadciągającej śmierci, by przesłać pozdrowienia krewnym w czyśćcu: cena 50 lirów.”

Ten dowcipny starzec, bliski śmierci czy też nic, drwił sobie z owego kręgu miłości, który chroni ludzi. Jego

384  
chuda pierś wznosiła się i opadała, gdy wdychał morski smrodek rozgrzanego brzegu oraz woń wybuchów i pożarów. Front niedawno przesunął się na północ. Neapolitańscy przechodnie uśmiechali się, ale i odczuwali ból czytając to pomysłowe wyzwanie z ironią i tęsknotą.

Robimy, co się tylko da, aby uczłowieczyć i obłaskawić ten świat, a on nagle staje się nam bardziej obcy niż kiedykolwiek. Żywi przestają być tym, czym byli, a zmarli coraz to bardziej umierają, aż w końcu stają się na dobre umarłymi.

Teraz to rozumiem. Wówczas nie rozumiałem.

Otóż wróciłem do książek, nie do ich kradzieży, ale do czytania, a żyłem z pieniędzy, które mi zwracała lub pożyczowała Mimi, gdy już stanęła na nogi i znów zaczęła pracować. Skończywszy z Frazerem poznała Artura Einhorna i nawiązała z nim romans. Nadal była kelnerką. Jadałem w knajpie, w której pracowała. Poza tym leżałem i kończyłem czytać klasyków, których dostałem od Einhorna, te podniszczone ogniem i wodą książki przechowywane w oryginalnym kartonowym opakowaniu pod moim łóżkiem. Miały zapach trochę drażniący gardło. Toteż gdy Odyseusz schodził do piekieł albo był pożar Londynu czy Rzymu, lub ludzie oddawali się chuciom w St. Paul, mogłem wdychać woń uzupełniającą drukowany tekst. Kayo Obermark pożyczał mi tomiki poezji i zabierał mnie od czasu do czasu na wykłady. Poprawiło to jego frekwencję. Nie lubił chodzić sam.

Nie wiem, czy to nie „kwaśne winogrona” z mojej strony, że uniwersytet jakoś nie robił na mnie wrażenia — mówię o tym dlatego, że zgodnie z umową pomiędzy mną a Simonem miałem tam wrócić z wiosną — ale naprawdę mnie to nie brało. Nie miałem przekonania do tej kamiennej pewności, że bez niego nie można się wdrapać na wyższe gałęzie myśli lub że musi się przesiadywać w tych murach imitujących europejskie. Wydawały mi się nazbyt bałwochwalcze i monumentalne. Ostatecznie, gdy wiatr zmieniał się na południowo-zachodni i wiał od rzeźni niosąc pył z fabryk nawozów sztucznych na te wszystkie piękne bluszcze, niektóre etapy między brutalnością świata a wzniosłością myśli omijało się, i było to nadmierne zboczenie z właściwej drogi.

Tej zimy spędziłem pewien okres w WPA \*. To Mimi skłoniła mnie, żebym poszedł i uzyskał odpowiedni papier. Mówiła, że to łatwe, i takie też się okazało. Spełniałem dwa niezbędne wymogi, byłem biedny i miałem obywatelstwo amerykańskie.

Kłopot w tym, że wcale nie chciałem, by mnie odkomenderowano do robót drogowych, jakie widywałem na ulicach, gdzie ludzie usuwali kamienną kostkę z jezdni i kładli ją na nowo ze wstydlivym poczuciem bezcelowości, kiedy brygada posuwała się kawałeczek naprzód, tylko tyle, ile było od niej bezwzględnie wymagane. Jednakże Mimi powiedziała, że mogę każdej chwili zrezygnować, jeżeli duma nie pozwoli mi na wykonywanie takiej pracy. Miała mi za złe, że chcę mieć pracę urzędniczą. Byłbym, jej zdaniem, w lepszej formie, gdybym pracował na świeżym powietrzu z prostymi ludźmi. Mnie wcale nie przeszkadzało to towarzystwo, buntowałem się tylko przeciw stukaniu w kamienną kostkę, przeciwko tej melancholijnej perkusji pięćdziesięciu młotków. Poszedłem jednak i zgłosiłem się, bo Mimi czuła się za mnie odpowiedzialna i dawała mi pieniądze, a ponieważ nie byliśmy kochankami, nie mogłem postąpić inaczej.

W każdym razie zostałem przyjęty i otrzymałem najlepszą pracę, na jaką mogłem liczyć. Byłem w komisji mieszkaniowej, sprawdzałem pokoje i kanalizację za rzeźniami. Mogłem sam sobie ustalać plan działania, dużo się obijać, czego zresztą wszyscy się po mnie spodziewali. W niepogodę spędzałem czas aż do końca pracy w ciemnym kącie jakiejś garkuchni. Wchodzenie do domów zaspokajało moją ciekawość. Ale te pokoje zamieszkiwane przez dziesięć osób, toalety w wykopach pod ulicą, dzieci pogryzione przez szczury. To mi się nie za bardzo podobało. Fetor rzeźni bardziej do mnie przywierał niż psi smród u Guillaume'a. I nawet dla mnie, przyzwyczajonego do slumsów jak Hindusi do słoni, była to terra incognita. Szły za mną zapachy cielesne w całej

swojej rozciągłości od pożądania do choroby. A wszelkie knowania, namiętności, nawet zbrodnie, jakie można sobie wyobrazić, spowijała pozorna prostota i banalność — prostacka szorstkość gospodyni obmacującej główki kapusty w sklepie u Polaka, ruch ręki faceta unoszącego szklanke piwa do ust w bladej, niby bezmyślnej twarzy, krzątania sklepiarza rozwieszającego damskie majtki i podwiązki na wystawie.

Pozostałem w tej pracy do końca zimy, a potem Mimi, zawsze dobra w tych sprawach, pomyślała, że może znajdzie się coś dla mnie w związku z działaniami ofensywnymi CIO. \* Stało się to wkrótce po pierwszych strajkach okupacyjnych. Mimi była jedną z pierwszych członkiń związku pracowników restauracyjnych CIO. Nie żeby miała jalties pretensje do swoich pracodawców —7 wierzyła w związki i była w dobrych stosunkach z jednym z organizatorów, człowiekiem o nazwisku Grammick. Skontaktowała nas.

Ten Grammick nie był typem zabijaki, przypominał pod niejednym względem Frazera i Sylwestra. Wykształcony, o łagodnym głosie, trochę jak pastor z osady pogranicznej, który robi, co może, potulny wobec hołoty, ale przywykły do niej, wywołujący u ludzi poczucie skruchy. Miał długi tułów i stosunkowo krótkie nogi. Chodził szybko, stawiając stopy do wewnątrz, wyglądał niechlujnie w długiej dwurzędowej marynarce, postać łagodna, nawet delikatna, o bujnym zaroście. Nie był jednak łatwy w pertraktacjach z przeciwnikami. Nie dawał się zaskoczyć, był nieustępliwy, sprytny i umiał stosować podstęp, ten Grammick.

Wywarłem na nim dosyć korzystne wrażenie i zgodziłem się, że może być ze mnie organizator. Odnosił się do mnie bardzo mile. Przyszło mi na myśl, że nie tylko sobie zawdzięczam to dobre wrażenie, lecz również Mimi, do której on się podpała.

Z czasem zacząłem go z wielu powodów cenić. Aczkolwiek był tak niepozorny, że mógł sobie wchodzić i wy

chodzić niezbyt zauważalny w hallach hotelowych i przejściach dla służby, gdy sprawy zaczynały się zaogniać, potrafił działać autorytatywnie i nie dać się zastraszyć stworzoną przez samego siebie sytuacją. Ceniłem go też za umiejętność przewidywania różnych rzeczy dobrych i złych, które jeszcze nie zdążyły wypłynąć na wierzch.

— Tak, potrzeba organizatorów. Chcieliby ludzi doświadczonych, ale gdzie ich znaleźć? Problemy szybko się piętrzą...

— Augie świetnie się do tego nadaje — powiedziała Mimi — umie mówić językiem robotników.

— Ach tak? — rzekł Grammick patrząc na mnie. Roześmiałem się słysząc taką reklamę swojej osoby i dodałem, że nie wiem, czym językiem mówię.

Nie mogło to mieć mniejszego znaczenia, jak się wkrótce przekonałem, kiedy podjąłem tę pracę. Ludzie walili drzwiami i oknami, żeby się zapisać, a był to pęd iście naturalny, jak zmiana uli, a w swym uporze dotarcia do celu przejawiali takie rozdrażnienie, które wynika z całkowitego pochłonięcia własnym ruchem, że byli zdolni do ataku i żądlenia. Musiało to przypominać migrację, pęd osadniczy, gorączkę złota. Tylko że tym razem szło o sprawiedliwość. Spowodowały to wielkie strajki, ci ludzie siedzący beczynnie przy maszynach i świętujący, ale świętujący na ponuro. Odbywały się te strajki w przemyśle samochodowym i gumowym, a ja widziałem ich dalekosiężny rezultat, aż po najmniej znaczących poławiaczy pereł zakazanych dzielnic.

Zacząłem przy stoliku w siedzibie związku — która nie była żadną tam lichą chałupą, jak można by sobie wyobrazić, ale budowlą solidną niczym bank, na Ashland Avenue. Była w niej nawet własna restauracja i salon bilardowy w suterenie—tylko dla rozrywki, w niczym nie przypominający salonu Einhorna. Miałem być pomocnikiem Grammicka, od przyjmowania telefonów i pracy biurowej. Przewidywano, że nie będę zanadto przeciążony pracą i stopniowo się nauczę, czego trzeba. Tymczasem wciąż nacierali na mnie ludzie, których sytuacja wymagała podjęcia natychmiastowych działań, dajmy na to jakiś zaharowany stary pomocnik kuchenny upaprany tłuszczem, jak górnik albo robotnik od łopaty glina 388

chciał, abym poszedł i porozmawiał z jego szefem, subito. Albo Indianin z żalami w formie wiersza wypisanymi na przesiąkniętej tłuszczem papierowej torebce po pączkach. Nie było ani jednego wolnego krzesła w moim pokoju, oddalonym od głównych biur, zarezerwowanych dla pracowników wielkiego przemysłu. Dotarliby do mnie nawet pod ziemię, po najłżejszych oznakach możliwości zadośćuczynienia, słabych jak ślad, po którym ćma potrafi przebyć nawet dziesięć mil nad polami, choćbym się nie wiadomo jak ukrył.

Przychodziły greckie i murzyńskie pokojówki ze wszystkich hoteli, tragarze, odźwierni, szatniarze, kelnerki, specjaliści, jak ów szef garde-manger, z eleganckich lokali Złotego Wybrzeża, miejsc, w których bywałem wożąc psy samochodem, a więc trochę mi znanych. Przychodzili najrozmaitsi ludzie. Zgłaszali się pracownicy podziemnych korytarzy, którymi biegną rury kanalizacyjne, magazynów, składów węgla, konserwatorzy różnych urzędzeń, skromni zjadacze chleba albo na przykład książęco wytworny Francuz w filcowym kapeluszu, niczym piosenkarz, który nazywał siebie „kucharzem piękności” i wypełniał kartę w rękawiczkach. A poza tym narkomani i ludzie o bladych, węszących twarzach, faceci z legitymacjami dawnego związku IW W \*, stare wyrobnice z listami wyjaśniającymi, czego pragną, słowem cała galeria urażonych twarzy, wszelkiej słabości, pijaństwa, otępienia, niewinności, okulawienia, płaszczenia się, obłędu, uprzedzenia, od przeżartych trądem aż po najżywotniejsze, proste jak trzcina piękności. Więc na wypadek gdyby ta zbieranina nie miała nic wspólnego z siłą, która mogłaby stworzyć zagrożenie dla, dajmy na to, armii Kserksesa albo Konstantyna, zaczęto tworzyć coś nowego. Lecz uderzało mnie w tej zbieraninie poczucie odwieczności i wielkie zaskorupienie. Podejrzewam jednak, że szczęście i zadowolenie są zawsze jednakowe, jakiejz więc różnorodności można oczekiwać w tym, co jest ich przeciwieństwem?

Podejście do nich podczas zapisywania do organizacji i wyjaśnianie, czego mogą się po niej spodziewać, nie było



samą hojną dobrocią. Raczej po większej części brutalne, gdy chciałem się usunąć na bok. Rozeszło się bowiem, że oto wybiła godzina sądu, a pretensje były tak gwałtowne, iż chcieli, bym wstał zza biurka i szedł z nimi. Ja zaś musiałem obiecywać, że zbadam sprawę.

— Kiedy?

- Wkrótce. Jak tylko to będzie możliwe. Mamy ogromne zaległości. Ale już wkrótce.

- Skurwysyny! Ci dranie! Tylko czekamy, żeby im dołożyć. Gdyby pan zobaczył tę kuchnię!

- Przyjdzie działacz związkowy i skontaktuje się z wami.

— Kiedy?

- Prawdę mówiąc, brak nam rąk do pracy z powodu nawału spraw. Mamy za mało ludzi. Wy tymczasem musicie się przygotować, niech wasi koledzy podpiszą karty związkowe, przygotujcie też listę żądań i skarg.

- Tak, tak, ale, panie, kiedy ten człowiek przyjdzie? Szef wezwie AFL\* i podpisze z nimi kontrakt, to dopiero będzie sprawa.

Próbowałem omówić to niebezpieczeństwo z moimi zwierzchnikami. Jednakże akurat wtedy hotele i restauracje były dla nich sprawą uboczną, nie mieli na nie czasu, zajęci ekspedientami, którzy właśnie strajkowali, zakładami krawieckimi, które się wymknęły spod kontroli, i tak dalej, ale nie mogli się zdobyć na to, by zrezygnować z nowych członków, chcieli więc zatrzymać ich do chwili, gdy będą mieli na nich czas i pieniądze. Krótko mówiąc, Grammicka i mnie przeznaczono do utrzymywania z nimi kontaktów. Nauczyłem się od niego paru rzeczy. Grammick pracował po szesnaście godzin na dobę przez dziesięć, dwanaście dni, a potem przez całe dwa następne nie można go było nigdzie znaleźć. Spędzał ten czas u matki, śpiąc, jedząc befsztyki i lody, chodząc ze staruszką do kina lub czytając książki. Czasami wymykał się na jakiś wykład. Studiował prawo. Nie miał zamiaru dać się pozbawić prywatnego życia.

A ja dałem się porwać temu pędowi, ponieważ naprawdę było mi potrzebne coś takiego po zerwaniu z Simonem. Po godzinach urzędowania w biurze spędzałem czas w tramwajach jeżdżąc na spotkania z kucharzami, pomy- waczami i pracownikami hotelowymi na nocnej zmianie — w te liściaste noce zaczynających się zielenić ulic bliższych części Dzielnicy Północnej, gdzie wagon zdawał się błąkać bez szyn, w bok od Fullerton czy Belmont, gdy białe dzwoneczki surmii właśnie się otwierały i nawet kurz uliczny miał słodki zapach. Wielu pracowników specjalnie prosiło, aby przyjść w nocy, gdy mogą mówić swobodnie. Nie przeszkadzała mi ta konspiracyjna strona zagadnienia. Przy panujących wówczas radykalnych ideach ci ludzie, którzy mieli wiele czasu do myślenia, ponieważ nie spali całą noc, szukali okazji do wypowiedzenia tego, co czasami za długo ciążyło im na sercu. Moim zdaniem, przedstawiali to jak zwykle w prawdziwym i fałszywym świetle. Lecz nie do mnie należało to osądzać, ja miałem tylko wykonać swoją robotę. Niektórzy z nich podchodzili do sprawy śmiertelnie poważnie. Podejrzewam, że wydawałem się im za mało bojowy. Wiem, że wyglądałem za świeżo i rumiano, za mało byłem osmalony i pożółkły, aby móc ocenić, jak twardy orzech mają do zgryzienia. Traktowałem sprawy zarówno niedbale jak i z werwą. Oczekiwali jakiegoś ogniściego konspiratora, który przygotowuje chwilę, kiedy będą mogli powstać i wrzaskiem ogłosić bunt. A tu wchodziłem ja... spostrzegłem czasem, że raziły ich moje rumieńce, długość włosów i spokojne zachowanie. Ale nie było na to rady.

Zdarzało się nawet, że proszono mnie o potwierdzenie mojej tożsamości.

— To pana przysłali z centrali?

— Pan Eddie Dawson?

— Tak.

—Jestem March. Rozmawiał pan ze mną przez telefon.

— Z panem?—zdumiał się Dawson. A ja wiedziałem, że spodziewał się zobaczyć ziemistego zawadiakę o zapadniętych policzkach, weterana strajków w kopalniach węgla, na polach naftowych lub w zakładach tekstylnych

New Jersey. Tak, przynajmniej to — kogoś, po kim widać, że część sił wyciągnęło z niego więzienie w Pater-son.

— Nie musi się pan martwić. Można na mnie polegać.

Wówczas poddawał się z rezygnacją. Zwiódło go brzmienie mego głosu przez telefon. Lecz mogłem być przynajmniej łącznikiem z ludźmi postawionymi wyżej, którzy się zajmą wysadzaniem Drake Hotel lub Gmachu Palmera — bo Eddiemu Dawsonowi szło o to, aby gromadzić proch w podziemiach.

Powiedział, co chciał przekazać moim zwierzchnikom, i dał mi dyrektywy.

— Niech pan mi urządzi spotkanie z waszym szefem...

— Panem Ackeyem?

- Niech mu pan powie, że mogę zebrać pracowników, ale zanim zrobimy strajk, chcemy z nim porozmawiać, wszyscy. Żeby moi ludzie zyskali pewność siebie.

- Skąd ta pewność, że będziecie musieli strajkować? Może wasze żądania zostaną spełnione.

— Wie pan, do kogo należy ten zapluskwiony pałac?

- Do jakiegoś banku? A może jest pod przymusowym zarządem? Większość tych małych dziur...

— Do zespołu, który się nazywa Holloway Enterprises.

— Karasia?

— Zna go pan?

- Tak, akurat przypadkiem znam. Pracowałem kiedyś u Einhorna, jego szwagra, który ma firmę ubezpieczeniową.

- Wystawia polisy na tę budę. Wie pan, co to za hotel? Na szybkie sztopy.

— Ach tak — powiedziałem i zauważyłem, że jego zaczerwienione czoło o nabrzmiałych żyłach pod lekką chmurką jasnych włosów zrosiło się potem i że otarł machinalnie wypielegnowane dłonie z wymanikiurowanymi paznokciami o koszulę w różowe paseczki — ale to problem policji. Nie chce pan chyba, żeby CIO zakładało związek dla tego rodzaju osób, prawda?

— Niech pan nie będzie głupi. Wszystkie kłopoty skrupiają się na mnie, bo jestem nocnym recepcjonistą-392

W każdym razie, skoro pan zna Karasia, to pan wie, jak łatwo od niego cokolwiek uzyskać.

— To twardy typ.

— Więc jak już wszystko tu przygotuję, poprosi pan Ackeya, żeby poświęcił nam kilka minut.

— Załatwimy to — odrzekłem, chociaż nie znałem tego człowieka nawet na tyle, by mu powiedzieć dzień dobry, gdybyśmy się mijali w drzwiach toalety. Lecz go reprezentowałem.

Całkiem odmienna sytuacja była w podrzędnych knajpach. Darzono mnie w nich zaufaniem i szacunkiem.

W kuchniach pracowali ludzie starzy — mieli na czole wypisane wielkimi literami różne domy noclegowe, szpitala powiatowe i misje, do których uczęszczali, i nie żywili wcale oburzenia, jakie cechowało Dawsona w koszuli w paski, dostatecznie bliskiego pozycji Karasia, aby domyślać się, skąd tamten czerpie zyski, zazdrościć i nienawidzić, a także pragnąć zadawać szyku na wyścigach, nosić ubrania w kratę, mieć teczkę, lornetkę i pokazywać się ludziom z szalową dziwką.

Weźmy natomiast jednego z tych starych, z garkuchni przy Van Buren — taki prosił zawsze, aby przyjść od strony zaułka, po wielkich brukowcach tchnących oparami uryny, i kiwnąć na niego zza okna. Sztyniał wówczas z napięcia i odpowiadał niewyraźnym ruchem, który niepowołanym oczom wydawał się przypadkowy. W końcu odbywaliśmy przy drzwiach cichą rozmowę, którą równie dobrze mogliśmy przeprowadzić po godzinach pracy. Lecz on zapewne pragnął, abym zobaczył, w jakich warunkach pracuje. Zaognioną skórę rąk zanurzonych w talerzach, wykoślawioną końską chudość, długie zęby i rozlaną maślaność oczu w zaułku pod rozgwieżdżonym niebem wieczoru. A także to jadło przypominające odpadki, którego woń wyniósł w swoim ubraniu, oddechu i włosach. Pod kruchą skorupą czaszki przesuwały się myśli. Dla niego nie było aż tak jak dla Dawsona ważne, czy wyglądam na wymarzonego działacza związkowego. On tylko chciał wnieść swój nieokreślony wkład w naprawę krzywd, więc wystarczyło mu, że może mnie znaleźć w biurze albo że przyjdę do cuchnącego zaułka, aby z nim porozmawiać i wziąć spis innych truposzy,

393

którzy chcą się zapisać do związku. Oczekiwał, że ich odszukam w zatęchłych pokojach. Tam, gdzie bywałem w całkiem odmiennym celu, gdy pracowałem dla Simona, rekrutując węglarzy. Nie będę udawał, że zmieniłem wszystko całkowicie i teraz zacząłem wchodzić w drzwi ich noclegowisk od strony światła, przedtem zaś wchodziłem od strony mroku. W tych czasach jasnego widzenia swoich obowiązków zdecydowałem, że muszę się troszczyć nie tyle o poszczególne osoby, ile o ogólny postęp, który obejmuje wszystkich.

Otrzymałszy któregoś ranka wezwanie do swojej starej dzielnicy wstąpiłem do Einhorna i zastałem go w słonecznym ni to biurze, ni to saloniku, z tym znajomym stęchłym zapaszkiem kawy, pościeli, papierów, jego płynu po goleniu i pudrów dwu kobiet. Mildred w swoich ortopedycznych butach — była grzeczna dla mnie, ale mnie nie lubiła — siedziała już przy maszynie, a słońce grzało i oświetlało jej kark właśnie świeżo wygolony do granicy bujnych włosów. Po drugiej stronie ulicy widniały puste okna dawnego domu z czasów wielkich dni i grands circonstances. Einhorn nie czuł się dobrze, choć trudno to było odgadnąć z jego nadętej twarzy. Przez chwilę nawet myślałem, że chce milczeniem zmusić mnie do wyjścia. Oddychał ciężko i obmacywał sobie zebra, patrzył za okno na poranek, palił, skubał jedzenie, bekał. Wydawał się jakiś smutny, a nawet wściekły.

— Jak ci płacą w twojej nowej pracy? — zapytał, decydując się wreszcie przerwać milczenie. — Dobrze?

— Nieźle.

— A więc jest jakaś korzyść z tego wszystkiego — rzekł z tą swoją oschłą stanowczością.

Roześmiałem się.

— Zdaniem pana tylko taka?

— Przynajmniej taka. Słuchaj, chłopcze, nie chcę gasić twojego zapału, jeżeli sądzisz, że robisz coś dobrego. I pamiętaj, nie jestem konserwatystą. Siedzę tu w fotelu, ale to nie jest klub bogaczy. Ja mam naprawdę mniej do stracenia niż inni, więc się nie wzdragam przed skrajnymi poglądami. Owszem, prowadzę z Karasiem interesy, co wcale nie znaczy, że moje poglądy są zgodne z interesami-

394

I to jakimi interesami! To kawał cwaniaka, ten Karaś, właśnie kupił nowy wielki dom w San Antonio. Teraz byłem pewien, że coś jest nie tak.

—Więc uważa pan, że to, co robię, to strata czasu?

— Och, wydaje mi się, że obie strony wyznają te same poglądy. Co za pożytek z tych samych starych poglądów? U obu stron? Odjąć coś jednej i dać drugiej, ta sama stara ekonomika.

Początkowo nie chciał ze mną rozmawiać, lecz ponieważ nie wychodziłem, zabrnął w temat, najpierw z czystej irytacji, a dopiero potem powiedział, co naprawdę myśli. Nie byłem zapaleńcem, tak jak sugerował, ale poczułem się zmuszony do wytłumaczenia:

—Ludzie wstają co ranka, żeby iść do pracy, i źle jest, jeśli to tylko złudzenie, albo jeżeli się sądzi, iż powinni być tak wdzięczni za możliwość kontynuowania tego swojego nawyku, by już nie móc chcieć niczego innego.

— Myślisz, że przez zamknięcie fabryk zrobicie z nie- dorajdów ludzi? Bo będą mieli delegata, który będzie za nich składał wszelkie skargi? Faj!

—Więc lepiej zostawić sprawę Karasiowi albo jakiemuś płatnemu gorylowi związkowemu, który jest na żołdzie Karasia?

—Słuchaj, uważasz, że skoro się urodzili, muszą wyjść na ludzi? To już przestarzały pogląd. I kto im to mówi? Wielka organizacja. Jeszcze jedna wielka organizacja. Wielka organizacja musi robić forszę albo przestaje istnieć. A jeśli robi forszę, to istnieje właśnie d l a forsy.

— Jeżeli w istnieniu tych wielkich organizacji nie ma za wiele sensu, to tym bardziej muszą się zajmować różnorodnymi sprawami — powiedziałem. — Cała rzecz w różnorodności.

Tymczasem Mildred, ignorując nas, przepisywała na maszynie jakieś papiery. Einhorn nie odpowiedział. Myślałem, że przeszkodziło mu wejście z kuchennej części domu Artura, ponieważ jego intelektualny autorytet chwilami sprawiał, że ojciec wahał się z wygłaszaniem opinii. Ale tym razem szło o coś innego. Wszedł tylko na chwilę, i stało się jasne, że to on był przyczyną całej nerwowości. Wszedł powolnym krokiem, w czarnym swetrze, wąski w ramionach, z rękoma w tylnych kiesze-

395

niach spodni, z właściwym starszemu wiekowi skrzywieniem twarzy, które mnie zaskoczyło, i z oczami przygaszonymi gradacją ciemnych tonów do ponurej barwy zatroskania. Przechylił głowę na bok, aż bujne włosy dotknęły framugi drzwi, a dym jego papierosa smużył się w słońcu jedwabście. Choć początkowo Artur nie wiedział, kim jestem, uśmiechał się uprzejmie, lecz również z napięciem i zmęczeniem. Zdałem sobie sprawę, że Einhorn stęzał aż po tkaninę swojej marynarki i mało nie kazał mu się wynieść, zrozumiałem również, czemu Mildred była wobec mnie taka oziębła i tłukła w klawisze maszyny, jakby widziała w tym sposób zmuszenia mnie do wyjścia.

Potem od strony kuchni nadbiegł mały chłopczyk i Artur pochwycił go zdecydowanie po ojcowsku, a malec zawisł na jego dłoni. Za nimi stanęła Tillie, ale nie weszła do pokoju. O ile się nie mylę, jeszcze nie zdecydowała, czy uda im się zachować rzecz w sekrecie, bo nawet dla nich była nowa, a z uznaniem tego dziecka wiązało się ryzyko. Artur wrócił do kuchni, malec zaś podbiegł do Mildred i znalazł sobie bezpieczne schronienie na jej kolanach. Gdy podniosła go skwapliwie, bućki chłopca zaplątały się w jej spódnicy i zadarły ją do góry odsłaniając uda pokryte małymi ciemnymi włoskami. Odniosła się do tego faktu ze spokojem. Pobieglem wzrokiem za spojrzeniem Einhorna. Mildred okryła chłopca niemal dorosłymi pocałunkami, po czym odnalazła kraj spódnicy i opuściła ją.

— Co powiesz na nasze nowiny! — rzekł Einhorn ostro i odwrócił się do mnie ze sztywnym skrzywieniem karku ni to onieśmielająco, ni to przygnieciony ciężarem zmartwień, a w twarzy, tym wielkim zwierciadle jego całego, drgały impulsy dobywające się z mało zbadanego u niego miejsca.

— Że Artur jest żonaty? — Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Już rozwiedziony. Stało się to w zeszłym tygodniu, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. Dziewczyna jest z Champaign.

— A więc macie wnuka. Gratuluję!

Wyglądał na zmęczonego, oczy mu błyszcząły zdecydo-

waniem zniesienia wszystkiego, lecz twarz z wielkim nosem była przygaszona, z niejasnym nalotem zgryzoty.

— Czy to jego pierwsze odwiedziny? — zapytałem.

— Odwiedziny? Ona go nam zepchnęła na kark. Postawiła w drzwiach z kartką i uciekła. Musieliśmy czekać, aż przyjdzie Artur i wszystko wytłumaczy.

— Jest taki słodki i kochany — rzekła z zapalem Mildred, którą malec ścisnął bezlitośnie za szyję. — Wzięłabym go każdej chwili.

Na te słowa drugiej żony, którą w rzeczywistości była Mildred, Einhorn skupił całą swoją troskę wokół pierwszej przyczyny: siebie samego, swojej zmysłowości. I wyglądał na gniewnie dotkniętego tą myślą, mimo swojego dumnego, istic burbońskiego profilu, odzwierciedlając to aż do głębi swoich czarnych oczu. Wyglądał jak chochlik przycupnięty pod okapem starego kościoła, z białymi plamkami na dłoniach po obu stronach zda się niepotrzebnych spodni. Jego włosy miały falistość rozplecionej liny, a osadzenie głowy nasuwało na myśl wznoszące się za nim ruiny. Ze swymi nieruchomymi rękami sprawiał wrażenie człowieka w pelerynie lub skutego więźnia. Biedny Einhorn! W każdej godzinie swojego upadku mógł dawniej podeprzeć się złotą obligacją, jaką .był dla niego Artur, teraz zaś nieszczęście chciało, że wartość tę stracił, uszła jak z carskich banknotów babci. Lśniący sejf, w którym trzymał to rezerwowe bogactwo, wydawał teraz zapaszek ubóstwa. Einhorn nawet nie patrzył na malca, rozkosznego malca, który deptał kolana Mildred. Tillie w ogóle się nie pokazała.

Wahałem się, czy okazać mu współczucie, odrzuciłby je, choć wyobrażam sobie, że byłem jednym z niewielu ludzi, którzy jeszcze pamiętali jego dawną wielkość. Mogłem mu się zatem przydać ze swoją gotowością potwierdzenia, że była to wielkość prawdziwie szlachecka i królewska. Lecz on sam wystartował bardzo słabo, mówiąc:

— Sytuacja nie jest dobra, Augie... masz jakie takie pojęcie o możliwościach Artura. A on, zamiast zacząć je wykorzystywać, wrabia się w coś takiego...

— O co chodzi? — powiedziała Mildred. — Masz ślicznego wnuka.

- Nie wtrącaj się z łaski swojej, Mildred. Dziecko to nie zabawka.

— Och — odparła — dzieci wyrastają. Czas robi w tym względzie więcej niż ojcowie i matki. Rodzice przypisują sobie za wielką zasługę.

— Zdaje się, że Artur bywa w twoich okolicach — rzekł Einhorn ciszej, chcąc ją wyłączyć z rozmowy. Jest tam dziewczyna imieniem Mimi, którą się interesuje. Znasz ją?

— To moja dobra przyjaciółka.

Uniósł szybko brwi, a ja zinterpretowałem to jako przejaw nadziei, że Mimi jest moją kochanką, więc Artur nie wplącze się w nową kabałę.

— Nie tego rodzaju przyjaciółka.

— Nie pieprzysz jej? — zapytał cicho.

— Nie.

Rozczarowałem go, ale w wyrazie jego twarzy było też drobnutkie ziarnko protekcjonalności czy też drwiny, leciutki jej błysk na samej powierzchni, lecz ja to dostrzegłem.

— Niech pan nie zapomina, że praktycznie aż do Nowego Roku byłem zaręczony — powiedziałem.

— Więc co to za dziewczyna, ta Mimi? Przyprowadził ją tu przed paroma tygodniami i wywarła na mnie i Tillie wrażenie osoby dość twardej, która mogłaby dobrze dać w kość komuś takiemu jak Artur, mającemu umysł zajęty zawsze sprawami intelektualnymi czy poetyckimi. Ale może ma dobre serce. Nie chcę jej niepotrzebnie odsądzać od czci i wiary.

— Czyżby Artur już myślał o ponownym ożenku? No cóż, jestem wielbicielem Mimi.

— Platonicznym?

Roześmiałem się, choć poczułem się urażony, bo wydało mi się, że Einhorn nie chce, aby jego syn został po mnie kochankiem Mimi czy jakiegokolwiek innej dziewczyny.

— Najlepiej zapytać samą Mimi. Chciałem tylko powiedzieć, że nie wydaje mi się, aby Mimi interesowała jakakolwiek propozycja małżeństwa.

— To dobrze.

Nie przytaknąłem mu.

398

— Augie — rzekł z wyrazem twarzy, który znamionował interes — przyszło mi na myśl, że może mój syn pasowałby do waszej organizacji.

— Szuka pracy?

— On nie. Ja szukam dla niego.

— Mógłbym spróbować. — Była to zniechęcająca prośba. Już widziałem Artura, jak siedzi pochylony nad biurkiem w siedzibie związku, z palcem między kartkami tomiku wierszy Valery'ego czy kogokolwiek innego, kim się ostatnio interesował. — Mimi może mu w tym pomóc, jeżeli zechce — dodałem. — Dostałem tam pracę przez jej znajomości.

— Czyje? Twojej przyjaciółki? — Wciąż w swej chytry- ści żywił nadzieję, że wydobędzie ze mnie podstępnie przyznanie się do intymnych stosunków z Mimi, ale się zawiodł. — No cóż — rzekł — nie powiesz mi chyba, że zachowujesz to kwitnące zdrowie bez pomocy jakiejś umiłowanej osoby? — Wypowiedziawszy to był tak z siebie rad, że zapomniał na chwilę o własnych kłopotach. Lecz zaraz dzieciak na kolanach Mildred coś zaszczębiotał i wyraz twarzy Einhorna zmienił się z lubieżnego w smutny i surowy.

To prawda, że miałem przyjaciółkę — młodą Greczyn- kę, nazywała się Sophie Geratis i pracowała jako pokojówka w jednym z luksusowych hoteli. Przyszła do mnie na czele delegacji kobiet pragnących przystąpić do związku. Zarabiały po dwadzieścia centów za godzinę i kiedy się udały do swojego lokalnego związku, aby poprosić jednego z szefów o wystąpienie o podwyżkę dla nich, ten grał właśnie w pokera i powiedział, że nie ma czasu. Wiedziały, że był w zмовie z zarządem hotelu. Ta mała Greczynka miała bardzo kształtne nogi, usta, twarz, wargi lekko wywiniete, ale ich wyraz bardzo osładzało jasne spojrzenie oczu. Miała spracowane ręce i nie cackała się z własną urodą. Nie chcę ani przez chwilę udawać, że nie przepadałem za nią. Kiedy ją zobaczyłem, od razu pomyślałem sobie, że z kącików oczu przegląda jej prywatna nadzieja na czułość, i to mnie wzięło. Roz- budziła też we mnie raczej tkliwość niż tę chuć przemieniającą człowieka w muł Nilowy, który równie łatwo pęka, co użyźnia.

Ledwie się zapisały, zaraz wpadły w niepohamowane podniecenie i jęły w przypływie oburzenia wykrzykiwać, jakby to były Tesmoforie błądych kobiet pracujących. Chciały z miejsca podjąć strajk. Wyjaśniłem jednak, czując przy tym jak zwykle nieprzyjemny dreszcz z powodu legalistycznej hipokryzji, że jest to przypadek podwójnej związkowości. Pod względem prawnym reprezentuje te kobiety AFL, a więc inny związek nie może występować w ich imieniu. Lecz kiedy ich większość opowie się za CIO, wówczas można będzie przeprowadzić wybory. Nie rozumiały, a ponieważ nie mogłem im tego wytłumaczyć w tej wrzawie, poprosiłem Sophie, aby wyszła ze mną na korytarz, gdzie wyjaśnię całą sprawę. Tak się złożyło, że na korytarzu nie było nikogo, więc pocałowaliśmy się od razu. Nogi nam drżały. Powiedziała mi po cichu, że mogę jej to wszystko wyjaśnić później, że zabierze stąd te kobiety i wróci. Zamknąłem biuro i gdy przyszła, zaprowadziłem ją do siebie. Nie mogliśmy iść do niej. Mieszkała z siostrą i obie były zaręczone z dwoma braćmi. Miały wyjść za mąż w czerwcu, za sześć tygodni. Widziałem fotografię jej narzeczonego. Był to spokojny, solidny faciuś. Sądziła, że czyni rozsądnie używając teraz, ile się da, by potem nie mieć pokusy zdradzenia męża. Miała piękną figurę o zwartych i zawiłych szczegółach, a wszystko gładziuteńkie. To było właśnie owo szczęście, które dostrzegłem we mnie Einhorn, szczęście posiadania Sophie.

Kayo Obermark miał w sobie nazbyt wiele męskiego respektu, aby mnie pytać o jej różne ochy i achy, krzyki i śmiechy. Mimi jednak powiedziała:

— Któż to się u ciebie tak zachowuje? — Mówiła żartobliwym tonem, ale czułem, że było jej trochę nie w smak. — Wygląda, jakby przychodziła z gromadą kibiców.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie spodziewałem się, że mnie zapyta.

— Niedawno pytała o ciebie jakaś inna — mówiła dalej Mimi. — Zapomniałam ci powiedzieć. Zaraz zaczną tu ciągnąć całe pielgrzymki.

— Kto to był?

400

— Młoda dama i w dodatku bardzo ładna, ładniejsza od tej hałaśliwej.

Zastanawiałem się, czy to możliwe, by Lucy zmieniła zdanie.

— Nie zostawiła żadnej kartki?

— Nie, mówiła, że musi z tobą porozmawiać. Zdawało mi się, że była bardzo podniecona, ale możliwe też, że nie jest przyzwyczajona do wspinania się po schodach i brakło jej oddechu.

Nie czułem się specjalnie poruszony myślą, że to mogła być Lucy. Przestała mnie już interesować i tylko zaciekała mnie ta jej wizyta.

Nawiązałem do sugestii Einhorna co do Artura i Mimi. O ile on odnosił się do niej krytycznie, o tyle ona wpadła w szal na wzmiankę o nim.

— A to stary cap! — rzekła. — Wystarczyło, żebym się na chwilę do niego zbliżyła, zaraz mnie łapał za nogę. Nie cierpię tych starych mężczyzn, którzy uważają się za seksownych.

— Och, musisz go zrozumieć — oponowałem. — To jest z jego strony tylko forma powitania albo przejaw rycerskości.

— Do diabła! Kto powiedział, że stary kaleka musi być zaraz taki lubieżny?

— To jest naprawdę wspaniały starszy pan i bardzo wiele dla mnie znaczy. Poznałem go, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

— Dla mnie nic nie znaczy i jest okropny dla Artura.

— Myślę, że kocha Artura nade wszystko w świecie.

— Co ty tam wiesz! Odgrywa się na nim bez przerwy. Prawdę mówiąc, musiałam pomóc Arturowi wyrwać się z tego domu, bo stary zadreżca go na śmierć z powodu dziecka.

— Matka nie zabierze małego?

— Z tego, co Artur mówi, nie mogę się połapać, czy to przyzwoita dziewczyna, czy ła jdaczka. Wyraża się bardzo niejasno, kiedy nie teoretyzuje. Trzeba być nie byle suką, żeby się pozbyć dziecka... skoro się już je ma. Chyba że się jest chorą. Na głowę, oczywiście.

— Artur nie mówił ci, jaka ona jest?

— Nie zmusisz Artura do rozmowy na takie tematy. Jego umysł jest ponad to.

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałaś stanowisko jego ojca. To dla Einhorna ciężki cios. On cały czas stawał na Artuę. Tillie także. A to jest jak scena z obrazu Krzysu. Dzieci wracają z własnymi dziećmi do rodziców, aby u nich mieszkać.

- A czemu los Einhorna miałby być inny niż los Polaków czy pożeraczy kielbasy jego ulicy? Byłoby bardzo źle, gdyby był inny i pomógł staremu durniowi nabrać przekonania, że mu się więcej należy niż innym ludziom dookoła. Kiedy nieszczęścia spadają na wszystkich w równym stopniu, wtedy można się napraw- dę przekonać, kto jest lepszy, kto gorszy. A w ogóle jakie nieszczęście dotknęło Artura? W każdym razie on jest lepszy od Frazera. Frazer podobno wrócił do żony i pewnie nigdy nie odda mi pieniędzy, które ode mnie pożyczył, bo to byłoby przyznaniem, że kiedyś mógł postąpić źle, tymczasem on nie jest z tych, co są gotowi przyznać się do jakiegokolwiek zła w przeszłości, teraźniejszości lub przyszłości. Wczoraj jakaś dziewczyna śmiała się czytając książkę i pokazała mi... ty wiesz, że ja prawie nie czytam, nawet powieści. Było tam napisane: „Zawsze byłem daleki od jakiegokolwiek błędu.” To książkę Metternich. Z równym powodzeniem mógłby to powiedzieć Frazer. Nie wiem, czy on jest zdolny się zapomnieć kiedykolwiek w życiu. Nigdy nie spóźni się na pociąg. Jezu, ten twój Einhorn byłby szczęśliwy, gdyby miał syna, który nie traci nigdy głowy, na wszystko ma gotową odpowiedź i nigdy nie spóźnia się na pociąg. Ale Artur jest poetą, a ten stary babiarz wcale nie chce być ojcem jakiegoś Villona albo Rimbauda.

— Ach, więc o to chodzi! — powiedziałem. — W jaki sposób Einhorn znęca się nad Arturem?

— Dokucza mu dniami i nocami i szuka okazji, żeby go obrazić. Wczoraj karmił dzieciaka cukierkami, a kiedy Artur zwrócił mu uwagę, że to niezdrowo, powiedział: „To jest mój dom i mój wnuk i jak ci się coś nie podoba, zabieraj się stąd w diabły.”

- Dość ostro. Powinien był się wynieść! Czemu on to znosi?

402

— Nie może się wyprowadzić. Nie ma pieniędzy. Poza tym jest chory. Ma rzeżączkę.

— Rany Julek! To nielicho. Powiedział ci?

— Nie udawaj głupiego. Skąd bym to wiedziała. Pewnie, że mi powiedział.

Uśmiechnęła się i był to uśmiech z blaskiem prawdziwego podniecenia. Gdybym nie wiedział o tym wcześniej, to w tej chwili musiałbym sobie zdać sprawę, że już się nie wahała. Stała za nim.

— Pomogę mu się uporać z trudnościami — oznajmiła. — Już chodzi do lekarza, a jak się wyleczy, wyprowadzi się z mieszkania ojca.

— Z dzieciakiem?

— Coś ty! Dzieciakiem ktoś się zajmie. Co ty sobie myślisz? Że Artur powinien się zmienić w niańkę przez tę wariatkę?

— Gdyby jej dawał pieniądze, pewnie nie zostawiłaby dziecka.

— Skąd wiesz? Cóż, pewnie tak byłoby najlepiej. Starzy ludzie nie powinni wychowywać dzieci.

— Einhorn chciał, żebym postarał się dla Artura

o pracę w związku.

Była zbyt zdumiona moimi słowami, by móc się chociaż uśmiechnąć, i tylko patrzyła mi w oczy nieugięte, jakby chciała, abym sam przyznał, że ludzka śmieszność nie zna granic, a potem zajęła się praniem pończoch 1 bielizny. Nie odpowiedziała mi.

Artur, oczywiście, i tak nie mógł pracować, póki miał trypra, toteż musiałem wymyślić jakąś wymówkę, która nie sprawiłaby przykrości Einhornowi. Powiedziałem, że chwilowo nie ma żadnej pracy dla kogoś na takim poziomie jak Artur. Chociaż aluzja do próżności starego, który się kiedyś chęłpił wyższością Artura, nie musiała być bardzo dla niego przyjemna. Brzmiało to jednak dość rozsądnie, że nie można proponować komuś takiemu jak Artur pierwszej lepszej pracy, jaka się nadarzy.

Co do wizyty Lucy Magnus, a nie wyobrażałem sobie, aby mógł mnie odwiedzić ktoś inny, byłem nią najzwyczajniej w świecie po prostu zaciekawiony, ale nie poświęcałem jej zbytnej uwagi aż do chwili, gdy w kilka dni później usłyszałem zdecydowanie kobiece pukanie do drzwi.

403

Wypadło to w niedogodnej chwili, gdy Sophie Geratis siedziała w koszulce na moim łóżku i gawędziliśmy sobie. Widząc, że się spłoszyła, powiedziałem:

- Nie przejmuj się, kochanie, nikt nas nie śmie niepokoić. — Bardzo spodobały jej się moje słowa i zaczęliśmy się całować, a sprężyny łóżka wydawały odgłos, który zwykle kojarzy się z Kochaniem i mógłby odpędzić od drzwi każdego, tylko nie tego intruza.

- Augie... panie March! — usłyszałem i nie był to wcale głos Lucy Magnus, tylko Tei Fenchel. Nie wiem, czemu go pamiętałem i od razu skojarzyłem. Wstałem z łóżka.

— Hej, włóż szlafrok — powiedziała Sophie. Była rozczarowana, że na dźwięk głosu innej kobiety za drzwiami przestaliśmy się całować.

Wystawiłem głowę na zewnątrz, zablokowałem drzwi ramieniem i bosą nogą. To była Tea. Napisała mi wówczas, że jeszcze się spotkamy, i oto stała przede mną.

Przepraszam — sumitowała się — ale byłam tu już parę razy, a chcę się z tobą zobaczyć.

— Myślałem, że tylko raz. Jak mnie znalazłaś?

- Najęłam detektywa. Więc ta dziewczyna nie powiedziała ci, że byłam dwa razy? Czy ona jest tam, z tobą? Zapytaj ją.

— Nie, to nie ona. Naprawdę szukałaś mnie przez agencję detektywistyczną?

— Cieszę się, że to nie tamta dziewczyna.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem tylko.

Nie bardzo umiała zachować spokój twarzy. Bystrej twarzy, trochę innej niż ta, którą pamiętałem, delikatnej, lecz już nie tak rezolutnej, o szerokich kościach policzkowych i bladej, z rozszerzonymi nozdrzami. Mimi mówiła, że Tea ciężko dyszała, ale nie było to spowodowane wspinaczką po schodach, tylko determinacją, aby nie ulec rozczarowaniu, jeśli nie zastanie mnie samego. Miała na sobie brązowy jedwabny kostiumik, bardzo wzorzysty, i mimo wszystko chciała, abym to zauważył. Lecz jednocześnie poznałem po jej rękach w rękawiczkach i chwiejności kwiecistego kapelusza, że drży, i jak szum fali przy burtach statku na środku oceanu jest tylko słabą oznaką ogromu mił głębi i przestrzeni, sztywność 404 jedwabiu zdradzała swym szelestem bezustanne drżenie.

- Nie szkodzi — powiedziała. — Skąd mogłeś wiedzieć, że przyjdę? Nie oczekuję...

Nie pragnąłem wybaczenia, bo też i trudno się spodziewać, abym cały ten czas na nią czekał, i miałem prawo się uśmiechnąć, ale nie mogłem. Uważałem ją kiedyś za kapryśną bogatą dziewczynę, dla której najważniejsza była rywalizacja z siostrą, lecz teraz musiałem zmienić zdanie, bo bez względu na to, jak się zaczęło, teraz stało się czymś innym. [Qdy człowiek daje się powodować niedostatecznymi przyczynami, wówczas szuka jakiegoś innego, lepszego uzasadnienia swoich poczynań/ Przypuszczam, że właśnie tak mogło być w jej przypadku, ale nie wiedziałem, co w niej przeważało, szlachetność czy niegodziwość, czy walczyła z własną dumą, czy z obyczajowością, tym, co młodej kobiecie przystoi — owymi kolczastościami, które tak dotkliwie ranią znacznie słabsze w tym względzie kobiety. Chodzi mi o to, czy znosiła przykrą sytuację z musu, czy z ochoty. Ale to wcale nie wszystko, co wówczas myślałem czy odczuwałem. W przeciwnym razie przepędziłbym ją, za bardzo bowiem lubiłem Sophie Geratis, aby z niej tylko dlatego zrezygnować, że ktoś inny mnie zaciekał lub mi schlebił. Albo dlatego, że dostrzegłem nagle okazję dotarcia do Estery Fenchel poprzez siostrę, bo jak już mówiłem, nie zwykłem żywić uraz. Nagle jednak Sophie przestała się nawet liczyć.

— Co ty robisz? — spytałem spojrzawszy na nią. Była już w pantoflach. Zobaczyłem, jak unosi ręce i czarna suknia opada jej na ramiona. Lekko się z nią mocując wciągnęła ją na piersi i biodra, po czym strząsnęła włosy z twarzy.

— Kochanie, to pewnie ktoś, z kim chciałbyś sobie porozmawiać...

— Ależ, Sophie, jestem dzisiaj z tobą.

— Ty i ja tylko się trochę zabawiamy, zanim wyjdę za mąż, prawda? Ty też możesz chcieć się ożenić. To tylko nic nie znaczący romans.

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedziałem. Ona nie słuchała i kiedy uniosła kolano, żeby zawiązać sznurowa-



dło. zakryła przed moim wzrokiem wewnętrzną część uda. Bo chyba nie mówiłem dość przekonująco. A tym zakryciem uda — bez gniewu, ale z odcieniem rezygnacji w zwieszeniu głowy — odjęła kilka stopni miłosego żaru. Zdałem sobie sprawę, że chcąc ją odzyskać musiałbym przejść sporą ilość prób i w końcu prawdopodobnie poprosić, żeby została moją żoną. Więc przyznałem jej w duchu rację, że odchodzi, ponieważ nie mógłbym już jej darzyć z dawną szczerością owym bez troskim zainteresowaniem, jakie nas łączyło.

Pod drzwiami wsunięto kartkę papieru i usłyszeliśmy oddalające się kroki Tei.

— Przynajmniej nie jest aż taka beczelna, żeby stać i patrzeć, jak wychodzę — powiedziała Sophie. — Trzeba mieć w sobie dużo beczelności, żeby zapukać wiedząc, że nie jesteś sam. Zaręczyłeś się z nią, czy co? Przeczytaj ten liścik.

Pocałowała mnie na pożegnanie w policzek, ale sama nie dała się pocałować i nie pozwoliła się odprowadzić do wyjścia. Toteż wciąż rozebrany usiadłem na łóżku w napływającym od okna świeżym powietrzu majowej nocy i rozłożyłem kartkę. Był na niej adres i numer telefonu oraz słowa: „Błagam cię, zadzwoń do mnie jutro i nie gniewaj się za to, co jest silniejsze ode mnie.”

Wspominałem, jak się wstydziła tej zazdrości wypisanej na jej twarzy, z jakim trudem nad sobą panowała, kiedy nagi otworzyłem drzwi i rozmawiałem z nią, więc wcale nie czułem się rozgniewany. Prawdę mówiąc, nie mogłem się oprzeć radości. Choćby nawet postąpiła arbitralnie, zachowując się w stosunku do Sophie, tak jak się zachowała, i zakładając, że tylko ją jedną stać na prawdziwą miłość. A potem przyszło mi do głowy mnóstwo innych myśli, jak na przykład ta, czy grozi niebezpieczeństwo zakochania się z samej wdzięczności. Czy dlatego, że miłość jest czymś tak rzadkim i człowiek nią obdarzony powinien zaraz skapitulować? Jeśli w danej chwili nie ma nic ważniejszego na głowie? W myśli tej było sporo drwiny, fakt bowiem, że byłem na wszelkie sposoby poruszony, nawet cichym szmerem liści na wierzchołku drzewa, które się świeżo rozwinęły z nabrzmiałych rudych pąków. Uważałem, że jedynym zajęciem kobiety musi być miłość. Lub kiedy indziej dziecko. I w swej lekkości ducha widziałem w tym zaletę i wadę. A propos tej lekkości ducha... mógłbym skorzystać na znajomości prawdy o niej, że wyrasta z ciężaru. Że to, co pełne wdzięku, rodzi się z czegoś głęboko zakorzenionego. I tak jak mądrość musi się rozprzestrzeniać i splatać we wszystkich kierunkach, odnosi się to również do nieznacznego śmiechu, który jest tylko odrobiną tego, co wypływa na wierzch z ogromnej ciężkości serca, lub też do powagi, która prześwituje poprzez podniecenie albo wesołość wykonawcy roli. Zdarza się nawet, że człowiek pragnący wierzyć maskuje swoją drogę do Jezusa drwiną.

Tej nocy spałem twardo, jak za dawnych czasów, spowity w prześcieradła. Wciąż jeszcze pachniały pudrem Sophie czy też czymkolwiek je nasyciła, spałem więc jakby pod jej sztandarami. Gdy się zbudziłem, sądziłem, że spałem spokojnie, ranek był promienny. Ale się myliłem. Przypomniałem sobie koszmarny sen, który mi się przyśnił, o szakalach próbujących wdrzeć się przez mury Hararu w Abisynii, aby pożreć trupy zmarłych od zaraży — po lekturze książki, którą mi zostawił Artur,

0 jednym ze swoich ulubionych poetów. Słyszałem, jak Mimi wrzeszczy i miota się przy telefonie na dole, chociaż była to jej najzwyczajniejsza pogawędka. Poranek wstał świeży, o niemal namacalnym pięknie, a w rogach podwórka pałały kwiaty rosnące w starych, blaszanych, przystosowanych do tego celu kotłach. Pałały tą czerwienią, która w późniejszej porze dnia przyprawi o zawrót głowy i uderzy w serce z mocą równą niemal mocy choroby, choroby wywołującej płucie kiwią, spazmy

1 rozkład w tym samym stopniu i tej samej obfitości co rozkosz. Twarz mnie piekła, jakby ją uderzono z siłą zdolną puścić krew z nosa. Wyglądałem i czułem się obrzmiały i markotny, jakbym miał nadmiar krwi i przewidywał, że trzeba jej będzie upuścić. To samo złowróżbne uczucie miałem w dłoniach i stopach. Wyszedłem na wpół skamieniały, lecz nawet płyty chodnika kłuły mnie przez skórę podszew, a krew w żyłach płynęła wolno, jakby była ołowiana. Nie mogłem się zdobyć, aby wejść do drugstore'u nawet na tę minutkę, jakiej trzeba na wypicie kubka kawy. Dowlokłem się ciasnymi tram-

wajami do biura i kiedy padłem na krzesło — z wyciągniętymi szeroko na boki nogami — poczułem trud wszystkich procesów zachodzących w moim ciele, aż po arterie w nogach tętniące regularnie, i modliłem się, że- bym nie musiał wstać. Drzwi i okno były otwarte, aby wywietrzyć stęchliznę mocno wydeptanego pomieszzcze- nia w tej chwili spokoju, niczym przerwa w rozprawie sądowej przed podjęciem wrogich działań, w tej godzinie łak, zanim flandryjski ogień zaporowy opróżnianych zbiorników na popiół i śmieci rozerwie niebo. I skowronek, który nie musi pluć i charkać, wzbije się w powietrze.

Potem zaczęła się normalna codzienna krzątanina i w mojej nekającej niemożności dotrzymania jej kroku był jakby podwójnie szybki rytm stemplowania lub tańca. Ponuro gniewny walc, w którym uczepieni siebie kur- czowo partnerzy zawzięli się, aby się wzajem zamęczyć; albo solowe wystukiwanie buciarami, albo tarantella skaczących szaleńców; albo bezwładne kołysanie się ludzi tracących przytomność; dostojne sewillany sztywnych, których twarze nie zdradzają, jak pracują pięty; epidemiczne podskoki niemieckiego chłopstwa pańszczyźnianego; kozackie prysiudy; powściągliwość kroku okresu młodzieńczego, charleston. Stawiałem czoło wszystkim tym odmianom i w miarę możliwości nie wstawałem. Z wyjątkiem wypadku, kiedy musiałem pójść do kibla, żeby się wysikać, lub gdy mi się wydało, że jestem głodny i wymknąłem się na dół do sali bilardowej, gdzie był bufet i gdzie zieleń sukna uderzyła mi do głowy. Nie miałem jednak apetytu. Dręczyło mnie coś innego niż puste kiszki.

Kiedy wróciłem do swego biura, zastałem w nim świeży tłum oczekujących na odegranie swoich numerów. Ja, znużony impresario, siedziałem obserwowany przez nich z gniewem i chciwością, tikami nerwowymi, czasem z godnością, kiedy indziej z obłędem w oczach. A jakie miałem zdobyć dla nich odszkodowania, jakie nowe księstwa, przez wyjaśnienie, jak mają wypełnić kwestionariusze? Boże miłosierny! Wiem, że trud człowieczy jes\* jednym ze sposobów wymyślonych przez Opatrzność, aby człowieka ocalić, zachować przy życiu, bo inaczej 408

byłby głodny, boby zamarzł albo skręcił sobie kruchy kark. Lecz zachowując się przy życiu jakże cudaczne i dziwne w końcu przybiera, przyswaja sobie w trakcie tego procesu formy.

Myśli te nawiedziły mnie w niezwykłym dla mnie stanie uczuć, a tymczasem każde wspomnienie szelestu brązowego jedwabiu Tei przyprawiało mnie o dreszcze. Wraz z tymi dziwaczными tworam i dziejów ludzkiego znoju.

Korzystałem z każdej okazji, żeby do niej dzwonić. Nikt nie podnosił słuchawki i Grammick mnie dopadł, zanim zdołałem się z nią porozumieć. Potrzebował tego wieczoru mojej pomocy w południowej części stanu, w wytwórni gazy i bandaży, gdzie zorganizował mimochodem grupę związkową. Bo to było wówczas tak, jakby na brzegu lądowali jezuici, a spragnieni chrztu poganie walili do nich całymi tysiącami wylewając się tłumnie ze swoich ceglanych miasteczek. Musiałem napelnić walizkę literaturą oraz kwestionariuszami i pędzić na Illinois Central, by złapać pociąg elektryczny i spotkać się z Grammickiem w jego kwaterze w tawernie, dość obskurnym miejscu, ale dozwolonym dla kobiet i rodzin, w wytwórni gazu bowiem pracowało wiele kobiet. Nie wiem, jak można było zachować czystość bandaży w tym zakopconym, zgiełkliwym miasteczku zbudowanym jakby według ogromnej ilości idiotycznych, amatorskich projektów wieży Babel po wielokroć już na poziomie pierwszego piętra zarzucanych, aż robotnicy się zbuntowali i poszli pracować we wnętrzach budowli. Grammick siedział w samym środku tego wszystkiego i organizował strajk. Był nieugięty jak Stonewall Jackson, ale zarazem bezgranicznie łagodny, jak nauczyciel stolarki w gimnazjum albo wielka osobistość z Partii Kongresowej, ktoś, kto w tej powiewającej bielą indyjskiej scenerii postanowił osiągnąć pełne zwycięstwo. Siłą łagodności.

Prawie całą noc byliśmy na nogach i rano zastał nas w pełni przygotowanych: komitety gotowe do akcji, żądania sprecyzowane, cała machina negocjacyjna sprawna i frakcje pogodzone. O dziewiątej Grammick podniósł słuchawkę, żeby porozmawiać z zarządem. O jedenastej negocjacje były w toku, a późnym wieczorem strajk odniósł zwycięstwo i poszliśmy z uradowanymi 18 — Przypadki-

członkami związku na kiełbaski z kapustą. Dla Grara- micka była to sprawa zwyczajna, ale ja czułem tryumf i podniecenie.

Poszedłem ze szklanką piwa w rękę do kabiny w głębi i spróbowałem jeszcze raz wykręcić numer Tei. Tym razem się udało. Powiedziałem:

— Słuchaj, dzwonię spoza miasta. Musiałem wyjechać służbowo, bo inaczej zadzwoniłbym wcześniej. Ale jutro będę z powrotem.

— Kiedy?

— Chyba po południu.

— Nie możesz przyjechać wcześniej? Gdzie teraz jesteś?

— Na głuchej wsi i przyjadę, jak tylko będę mógł.

— Ale ja nie zostanę długo w Chicago.

— Musisz wyjechać? Dokąd?

— Kochanie, wyjaśnię, jak się zobaczymy. Będę czekała na ciebie w domu cały jutrzejszy dzień. Jeśli nie będziesz mógł przedtem zatelefonować, zadzwoń do drzwi trzy razy.

Przeszła po mnie niby ostra szczotka fala podniecenia, a ja się jej poddałem z przymkniętymi z rozkoszy oczami, pałającymi uszami i drżeniem nóg. Umierałem z chęci udania się wprost do Tei. Lecz nie mogłem od razu wyjechać. Trzeba było doprowadzić różne sprawy do końca. Nawet w przypadku zwycięzców jest ważne, w jaki sposób mówią au revoir. Grammick nie mógł wyjechać, dopóki nie załatwił księgowości i nie uporządkował wszystkiego. Poza tym, kiedy wróciliśmy do miasta, musiałem jechać z nim do centrali, żeby zameldować o naszym sukcesie. I żebym ja coś na tym skorzystał... mógł zostać przedstawiony panu Ackeyowi, trochę się skumać z wyższymi urzędnikami i przestać być pracownikiem nieetatowym.

Ackey już na nas czekał, ale nie z gratulacjami, tylko rozkazem przerzucenia się na inny odcinek frontu.

- Grammick — powiedział, nie patrząc nawet na mnie — czy to twój protegowany March? March — ciągnął nie odnajdując mnie nadal oczyma, jakby czas jeszcze do tego nie dojrzał — będziesz miał dzisiaj trochę poważnej roboty, i to od zaraz. Chodzi o jedną z tydzi 410

zaognionych sytuacji z podwójną związkowością. To są cholerne sprawy. To Hotel Northumberland... szykowna buda... ilu mamy tam naszych? Za mało. W takim hotelu musi być ponad dwustu pięćdziesięciu pracowników.

— Z Northumberland mamy chyba około pięćdziesiąt zgłoszeń — odezwał się — głównie od pokojówek. Ale czemu? Co się stało?

— Przygotowują się do strajku, oto, co się stało. Dziś rano było do ciebie pięć telefonów od Sophie Geratis, jednej z pokojówek. Właśnie odbywa się tam wiec strajkowy, w magazynie bielizny, pojedziesz i powstrzymasz ich. Tam siedzi AFL i trzeba zmierzać do wyborów.

— Więc co mam zrobić?

— Opanować sytuację. Werbować do nas i powstrzymywać przed strajkiem. Szybko, tam się już na pewno rozpetęło całe piekło.

Chwyciłem pakiet formularzy i pognałem do Hotelu Northumberland. Był to ogromny gmach z ozdobnymi galerijkami i rzymskimi markizami powiewającymi aż po trzydzieste piętro ponad więzami i bujną zielenią Parku Lincoln.

Zajechałem taksówką. Przed wejściem nie było odźwiernego. Po obu stronach lśniły mosiężne tarcze z wypukłymi godłami, a także złote monogramy hotelu na czterech szybach drzwi obrotowych. Podejrzewając, że przez hall nie zaszedłbym daleko, popędziłem przez zaułek na tyłach hotelu do wejścia dla służby. Ponieważ nikt nie odpowiedział na dzwonek windy towarowej, wbiegłem na trzy kondygnacje żelaznych schodów, nim usłyszałem wrzaski, po czym kierując się nimi przemierzyłem kilka korytarzy, to wyściełanych, to cementowych, aż trafiłem do magazynu z bielizną.

Toczyła się tam walka pomiędzy ludźmi lojalnymi wobec uznanego związku a buntownikami, którymi były przeważnie źle wynagradzane kobiety, wściekłe, że im nie zechciano podwyższyć płacy wynoszącej dwadzieścia centów za godzinę. Wszyscy odziani w robocze ubrania lub liberie. Pokój był biały i gorący, od strony południowej, drzwi wiodące do pralni stały otworem, a kobiety w niebieskich roboczych fartuchach i białych czepkach wrzeszczały żądne walki. Powłaziły na metalowe stoliki, na

beczki mydła i krzyczały, żeby strajkować. Rozglądałem się za Sophie, ale ona zobaczyła mnie pierwsza.

— Jest nasz działacz!—zawołała.—Jest ten człowiek! Przyszedł March! — Stała z szeroko rozstawionymi nogami w czarnych pończochach na wielkiej beczce. Rozpalona, posępna i blada, z ukrytymi pod czepkiem czarnymi włosami, przez co podniecenie w jej oczach było tym czarniejsze. Postarała się nie zdradzić nici łączącej nas zażyłości, aby nikt nie odgadł, że nasze ramiona kiedykolwiek się obejmowały, a dłonie głaszały.

Rozejrzałem się i w jednej chwili odróżniłem przyjaciół od wrogów w tym tłumie ludzi szydzących, zachęcających, nieufnych, popierających, oburzonych, płaczących. Był wśród nich prowodyr, ubrany na biało jak lekarz, z twarzą Tecumseha\* albo jednego z umalowanych napastników na Schenectady. Ten chciał mi od razu wyjaśnić swoją strategię, bardzo rozważny w tej ptaszarni tropikalnych wrzasków i pralnianego upału, żeby nie wspomnieć oślepiającego blasku słońca.

— Czekajcie — wykrzyknąłem zajmując miejsce Sophie na beczce.

— Strajkujemy! — rozległy się okrzyki.

— Posłuchajcie mnie, proszę. To byłoby nielegalne...

— Do diabła! Mięczak! A co jest legalne? Że zarabiamy po półtora dolara na dzień? Co nam z tego zostaje po zapłaceniu biletów tramwajowych i opłat związkowych? Czy możemy się za to wyżywić? Strajkujemy i już.

— Nie, nie róbcie tego. To byłby dziki strajk. Faceci z AFL przysłaliby innych ludzi na wasze miejsce i to byłoby legalne. Najlepiej, gdybyście się zapisali do naszego związku, wtedy przeprowadzimy wybory i kiedy wygramy, będziemy was mogli reprezentować.

— Jeżeli wygracie. Upłynie znowu kilka miesięcy.

— Ale to najlepsze, co możecie zrobić.

Rozerwałem pakiet formularzy i zacząłem je wsuwać w powiewające ręce, gdy nagle od strony pralni zakotłowało się w tłumie. Kilku mężczyzn przepychało się ku mnie roztrzając na boki kobiety, doszło do ogólnej szarpaniny. W chwili gdy zdałem sobie sprawę, że to przedstawiciel wrogiego związku i jego zbiry, ktoś chwycił mnie z tyłu, ściągnął z beczki, a kiedy padałem, wyrznął w nos i pod oko. Zalałem się krwią. Do tego jeszcze mój koleś z nosem Indianina nadepnął na mnie, ale zrobił to niechcący, rzucając się na faceta, który mnie dzielił. Kiedy go odepchnął, murzyńska pokojówka pomogła mi wstać. Sophie wyjęła chusteczkę z mojej kieszeni.

— Cholerni gangsterzy! Kochanie, nie przejmuj się. Przechyl głowę do tyłu.

Powstał krąg strzegących mnie kobiet, utworzony wokół przewróconej beczki. Gdy jeden ze zbirów zrobił ruch w moją stronę, kobiety rzuciły się na niego. Jedne z nich chwyciły nożyce, inne chochle do mydła, więc przedstawiciel AFL odwołał swoich goryli, a kiedy stał w ich gronie, wydawał się niepozorny, lecz niebezpieczny—kurdupel w garniturze miastowego eleganta i wysokim jak komin kapeluszu. Wyglądał jak człowiek szeryfa, który przeszedł na stronę bezprawia albo przerzucił się ze zwykłej diety na kanibalizm. Pewnie z bliższej odległości cuchnął jak pijak, ale może poczerwieniał z wściekłości, a nie od whisky. Był to człowiek nieuchronnej podłości, zdolny do spełnienia wszystkich swoich gróźb. Czego dowód do pewnego stopnia stanowiłem ja sam, z plamami krwi na chusteczce i koszuli, z bulgotaniem w nosie, ze spuchniętym okiem, z którego pozostała tylko szparka. Jednakże prawo było po stronie tamtego, ponieważ reprezentował tych ludzi na mocy zawartego kontraktu.

— A teraz, łaskawe panie, usuńcie się z drogi, żeby moi ludzie mogli zabrać tego gówniarza, który nie ma tutaj nic do roboty. Złamał Akt Kongresu i mogę wnieść przeciwko niemu oskarżenie. Poza tym zarząd może go wsadzić za wtargnięcie na teren hotelu.

Kobiety wrzasnęły pokazując nożyce i inną broń, a Murzynka, której wymowa zdradzała pochodzenie z Indii Zachodnich albo kolonii brytyjskich, powiedziała:

— Nigdy, ty cholerny kurduplu! — Zdumiało to mnie, mimo że byłem przestraszony.

— Dobra, siostrzyczko, i tak go dostaniemy!—odparł jeden z opryszków. — Nie może zawsze chodzić z tą waszą babską obstawą.

— Zamknij jadaczkę! — rzekł jego szef. — Jakim prawem tu przyszedłeś? — zwrócił się do mnie.

— Zostałem zaproszony.

— A żebyś wiedział! Zaprosiliśmy go! — Tymczasem kucharze w wysokich czapach, a także inni z lepiej płatnej frakcji krzyczeli i drwili ze mnie, chwytali się za nosy i pociągali za wymaginowane łańcuszki do spuszczenia wody.

— Słuchajcie mnie, wy wszystkie. Ja jestem waszym reprezentantem. Macie jakieś skargi, wnieście je do mnie. Po co tu jestem?

— Żeby nas wyrzucić, gdy przychodzimy o coś prosić, kiedy sobie siedzisz z nogami na biurku, pociągasz z butelki i myślisz, jakiego konia by obstawić!

— Po co ten cały cholerny bunt? Widzę, że ten skurwysyn porozdawał wam formularze! Żądam, żebyście je podarły i nigdy więcej się z nim nie zadawały.

— Nie róbcie tego! — ostrzegłem.

Facet, który mnie zdzielił, spróbował przepchać się przez obronny krąg kobiet, a one natychmiast natarły na niego. Sophie odciągnęła mnie stamtąd i poprowadziła korytarzami dla służby.

— Tu jest wyjście przeciwpożarowe — powiedziała. — Zejdiesz na dół po zewnętrznych schodach. Uważaj na siebie, kochanie, będą cię ścigać.

— A co z tobą?

— Co mogą mi zrobić?

— Lepiej zapomnijcie na razie o strajku.

Zaparłszy się mocno na szeroko rozstawionych nogach

szarpnęła i otworzyła ciężkie drzwi przeciwpożarowe, a kiedy wychodziłem, zapytała:

— Czy już nigdy nie będziemy znowu razem, Augie?

— Chyba nie. Sophie. Wiesz, jest ta druga dziewczyna.

— No to żegnaj.

Popędziłem w dół po gorących, czarnych żelaznych stopniach, opuściłem się na rękach na najniższym szczeblu drabinki, zeskoczyłem i kiedy się zastanawiałem, którą pobiec ulicą, spotkał mnie pech. Zobaczyłem jednego ze zbirów. Czatował na mnie, więc puściłem się biegiem w stronę Broadwayu. Biegając kluczyłem, aby się uchronić przed ewentualnymi strzałami, jako że nie było 414

w Chicago czymś niezwykłym, iż ktoś padał na ulicy od kuli. Nie słyszałem jednak odgłosu wystrzałów i domyśliłem się, że celem zbira było sprawić mi łomot, dokończyć bicia, może połamać mi kości i wykluczyć z gry.

Miałem tyle tylko przewagi nad zbirem, że zdążyłem przedostać się na drugą stronę Broadwayu przed nim.

Widziałem go od pasa w górę, zatrzymanego przez ruch uliczny, jak nie odrywał ode mnie wzroku, i oddychałem przez suchy smark lęku w zatkanym zakrzepłą krwią nosie. Nadjechał nie spiesząc się tramwaj i wskoczyłem na platformę. Byłem pewien, że zbir podąży za mną, ponieważ tramwaj posuwał się powoli i ociężałe zbliżając się do Pętli. Miałem nadzieję, że zgubię go w tłumie. Na razie jednak jechałem na przedniej platformie z motorniczym, mogłem stąd widzieć całą długość tramwaju, a także miałem pod ręką żelazną wajchę, którą motorniczy przestawiał szyny przez otwór w podłodze. Byłem pewien, że zbir podąży za mną w jednej z taksówek w długim rzędzie samochodów wydzielających błękitnawy migotliwy zaduch spalin w mdły, napastliwy, gorący gnój uliczny. Męczyła mnie jego ohyda i powolne pełznięcie tramwaju. Aż mi się chciało rzygać. Lecz z wolna ukazał się most i wieżowce, cała seria, a wszystkie takie same od góry do dołu, rzeka brudnych pomyj i kościstonosych mew. Tramwaj nabrał prędkości na wolnej przestrzeni mostu i zjechał w dół ze swobodą rozpedzonej masy, ale zaraz zaczął znów pełznąć wolno po Pętli przez panujący na niej tłok. W okolicy Madison Street powiedziałem do motorniczego:

— Wsiadam!

— Tu nie ma przystanku.

— Otwieraj — rzuciłem z wściekłością — bo ci łeb rozwałę! — Kiedy zobaczył brzydki wyraz mojej twarzy i szczelinę mego oka, pozwolił mi wysiąść. Pobiegłem, ile sił w nogach, ale tylko za róg, żeby się zgubić w tłumie. Stałem w szybko posuwającej się kolejce do Mc Vickersa, gdzie siedł film z Gretą Garbo, przedostałem się między grube czerwone liny oddzielające tłum wychodzących z kina od tłumy wchodzących, a stamtąd do hallu jak salon, który Cagliostro i Serafina urządzili, aby upijać członków dworów i rodów królewskich, tam

poczułem się na jakiś czas bezpieczny. W każdym razie miałem wrażenie, że gdyby mnie tu przyłapał, mogłoby się to okazać niebezpieczne również i dla niego, jak dla Egipcjanina, którego zabił Mojżesz. Zszedłem na dół do kibla i zwymiotowałem śniadanie. Obmyłem się z krwi i osuszyłem pod suszarką elektryczną. Potem poszedłem i rozłożyłem się w fotelu w końcu sali kinowej, skąd było widać, kto wchodzi, i tam odpoczywałem do końca seansu i wejścia nowych widzów, a wtedy wyszedłem na ulicę w sam środek huczącego i wzbijającego południowy kurz ruchu.

Wskoczyłem do przejeżdżającej taksówki i pojechałem do Tei, co było moim prawdziwym celem od wielu dni.

#### Rozdział XIV

Spieszyłem, by wypełniło się proroctwo, które Tea Fenchel wypowiedziała na huśtawce w St. Joe. I chociaż nie uważałem za drobiazg tego, że mnie pobito i ścigano, nie bardzo czułem wagę sprawy albo tego, że moja walka o nią przyniesie komuś korzyść. Gdyby to była dla mnie kwestia sumienia, zapewne znalazłbym się przed Repub- lic Steel w godzinie Masakry 30 maja, tak jak Grammick. Dostał pałką po głowie. Lecz ja byłem wówczas z Teą. A skoro raz to się zaczęło, nie było w mojej mocy, abym mógł się znajdować gdzie indziej. Nie, ja po prostu nie miałem powołania, by zostać działaczem związkowym albo politykiem ani by choć najmniejszym okrucieństwem woli chcieć się wysforować przed szeregi mas, które rozpoczynały marsz ku lepszemu. Jak miałem wpłynąć na tę swoją wolę? Nie mogłem sobie po prostu rozkazać, abym się stał jednym z tych ludzi, którzy idą na czele, przechwytyjąc ten wielki promień społeczny albo skupiając go w sobie jak w ogniskowej szklą powiększającego, którzy jarzą się i olśniewają, i buchają ogniem. Nie to było mi przeznaczone.

Gdy wbiegłem z taksówki do domu, w którym mieszkała Tea, i zadzwoniłem trzy razy, szybko, nie zwróciłem specjalnej uwagi, gdzie jestem. Znajdowałem się w pretensjonalnym, przesadnie umeblowanym hallu i gdy starałem się odkryć, które z eleganckich drzwi prowadzą do windy, w jednych z nich ukazał się kwadrat światła. Tea zjechała po mnie na dół. Drzwi się otworzyły. W windzie

była wyścielana aksamitem ławka i padliśmy na nią ściskając się i całując, gdy winda ruszyła gładko w górę. Nie zauważywszy, że mam sztywną od krwi koszulę, Tea głaskała moją pierś i ramiona. Rozpiąłem jej szlafrok. Nie panowałem nad swoją głową. Byłem nieświadomy, co się wokół dzieje, prawie ślepy. Gdyby ktokolwiek zjawił się koło nas, żadne by tego nie spostrzegło. Nie mogę powiedzieć na pewno, czy pamiętam czyjaś twarz, może pokojówki, kiedy drzwi się otworzyły, i obejmowaliśmy się dalej w korytarzu, a potem w mieszkaniu, tuż za drzwiami, na dywanie.

Z Teą było zupełnie inaczej niż ze wszystkimi kobietami, które, jak by to powiedzieć, udzielają łaskawego przyzwolenia na rozpięcie jednej rzeczy, byś się nią zachwyił, drugiej już wzbraniają, a najwięcej bronią tej ostatniej. Nie zwlekała, ale też się nie spieszyła. Najpierw dokładnie badała uległym umysłem, a także ustami, dłońmi i włosami, dyszącą pierś i nogami, bez użycia jakiegokolwiek siły, aż zaczynało się odnosić wrażenie jakiejś wymiany albo przeniesienia nas dwojga w kogoś zupełnie innego, kto przedtem nie istniał. Bardzo ją kochałem. I w końcu, trwając na klęczkach w duchu przeciwnym, niż gdy się ma ręce złożone w modlitwie, sądzę, że odczuwałem to samo mając dłonie złożone na jej piersiach. Moja płonąca twarz z zapuchłym okiem spoczywała między nimi, a ramiona Tei opasywały mi szyję.

Niebawem słońce zaczęło nas przypiekać, pod drzwiami, na dywanie. Miało tu tę samą mglistą biel co w magazynie z bielizną pościelową. Brudniejsze było na chodniku Pętli, gdzie wyskoczyłem z tramwaju. Tu znów świeciło białe. Postanowiłem zaciągnąć zasłonę, bo mnie raziło w oko, i kiedy wstałem, Tea zobaczyła po raz pierwszy, jak wyglądam.

— Kto ci to zrobił? — zawołała.

Wyjaśniłem całą sprawę, a Tea raz po raz powtarzała:

— A więc dlatego nie przychodziłeś? Więc to cię zatrzymywało?—Stracony czas oznaczał dla niej najważniejszą rzecz. Chociaż przeszedł ją dreszcz, kiedy spojrzała na moje sińce, specyficzny powód pobicia wcale jej nie interesował, nie była go ciekawa. Tak, słyszała o wielkiej gorączce związkowej, ale mój udział w niej

418

wydawał się Tei nieistotny. Bo jeśli nie przebywałem z nią, czyli na swoim miejscu, wówczas nie miało większego znaczenia, gdzie się znajdowałem. Wszystkie przeszkody i zawady były jednako nierzeczywiste i należały do jakiegoś... „tam”. Robotnicy fabryki gazy, strajkujący pracownicy hotelowi, takie Wędy, jak moje złudzenia co do jej siostry, farsa brania mnie za żygola pani Renling, wszystko, co Tea robiła w międzyczasie, należało całkowicie do „tam”. Rzeczywistość była tu i teraz. Tea zmierzała do niej instynktownie od St. Joe. Więc to stanowiło przyczynę płaczu za całym tym straconym czasem i dawało mi wyobrażenie jej lęku, że nigdy nie uda jej się odnaleźć wyjścia z owego „tam”, że będzie wiecznie błądzić.

Oczywiście nie od razu zrozumiałem. To wyszło dopiero w ciągu następnych kilku dni, które spędziliśmy w tym mieszkaniu. Spaliśmy i budziliśmy się, i tak naprawdę nie rozmawialiśmy o moich lub jej poczynaniach. Przy łóżku stały walizki, ale nie pytałem o nie. Dobrze się stało, że nie wychodziłem do miasta, bo zbiry tylko czekały, aby mi dać nauczkę. Powiedział mi to Grammick, kiedy się zdobyłem na telefon do niego.

Inne kobiety, które znałem... cóż, nie mogę ich winić, że kochałem je mniej niż Teę. Dopiero dzięki niej zacząłem poznawać, co się kryje za moimi opiniami o ludziach. Jedni są zbyt powolni w życiu wskutek zmęczenia, niechęci, przeżytych trudów, żalu, nieufności. Inni znów za szybcy z powodu innych zmartwień lub rozpacz. Lecz Tea w moich oczach była ideałem. Tak, iż każda błahostka, jak przejście do kuchni, schylenie się po jakiś przedmiot na podłodze, kiedy dostrzegałem kształt jej pleców, linię grzbietu, lekkie odchylenie piersi lub włosy łonowe, wywoływało we mnie uczucie radości. Kochałem ją do tego stopnia, że wszystko, co robiła, było mi miłe. Czuję się bardzo szczęśliwy. Kiedy krzątała się po pokoju, a ja leżałem rozciągnięty na jej łóżku, czułem się jak król, taką przyjemność sprawiał mi jej widok.

Twarcz miała bledszą, niż zapamiętałem, ale też i nie przyglądałem jej się wtedy tak dobrze jak teraz. Przy bliższym przyjrzeniu się dostrzegałem oczywiście ślady bolesnych przeżyć, lecz akurat wtedy jej oczy były od nich

419

wolne. Miała czarne włosy. Wyrastały trochę nierówno nad czoła, do góry, bardzo piękne. Trzeba było dobrze patrzeć, żeby dostrzec tę dziwaczność. Oczy miała najciemniejsze. Często nakładała szminkę na wargi z małej tubki na nocnym stoliku, jakby uważała, że musi przynajmniej w ten sposób być przyozdobiona, kolorem goździka, i pozostawiała ogniste smugi na poduszkach, a także na moim ciele.

Gdy zadzwoniłem do niej wtedy z południa stanu, Tea twierdziła, że ma mało czasu i wkrótce będzie musiała wyjechać. Przez pierwsze kilka dni, jak wspomniałem, nie mówiła o tym, lecz w końcu otwarte walizki same nasunęły temat, a wówczas wyjaśniła, że była i wciąż jest wobec prawa zamężna, ale właśnie zmierza do Meksyku, aby uzyskać rozwód. Nie chcąc ranić moich uczuć, powiedziała na początku tylko tyle, że jej mąż jest znacznie starszy od nas dwojga i bardzo bogaty. Stopniowo dowiadywałem się więcej. Latał samolotem Stinson, kazał wrzucać tony lodu do prywatnego jeziora, kiedy stawało się w lipcu ciepawo, jeździł na wyprawy łowieckie do Kanady, nosił spinki do mankietów za tysiąc pięćset dolarów, sprowadzał z Oregonu jabłka, które kosztowały po czterdzieści centów sztuka, płakał, że tak wcześniej tysiące, et cetera. Wszystko, co o nim mówiła, miało dowiedzieć, że go nie kocha. Lecz ja nie byłem o niego zazdrosny. Przegrał, a więc nie miałem powodu do zazdrości. Estera też wyszła za mąż za człowieka bogatego, adwokata z Waszyngtonu. Wszystko to brzmiało dla mnie bardzo obco, czego ona nie spostrzegła — te samoloty, polowania, te góry pieniędzy. Tea również podróżowała z pełnym ekwipunkiem myśliwskim - bryczesami, butami do konnej jazdy, strzelbami, kamerami. Kiedyś w łazience zapaliłem przypadkowo podczerwoną lampę, której używała przy wywoływaniu filmów, a w wannie leżały kuwety z jakimś płynem, różne rurki i przybory, których nie znałem.

Prowadziliśmy tę rozmowę pod wieczór, przy oknie. Siedzieliśmy przy stole, po zamówionej telefonicznie kolacji. Przed nami leżała skórka melona, kości kurczęcia i podobne rzeczy. Tea opowiadała mi o swoim mężu, ale ja mogłem myśleć tylko o tym, jaki jestem szczęśliwy.

420

właśnie teraz, kiedy siedziała z głową opartą na dłoniach i przechyloną ku fircy tuż koło otwartego okna i cienia błękitu, który rozjaśniał wierzchołki drzew, a potem spełził. Te drzewa rosły na malutkim podwórku wysypanym białym żwirem. Przez okno wpadł jakiś wielki owad i zaczął wędrować po stole. Nie wiem, jaki to owad, był brązowy, lśniący, o skomplikowanej budowie. Światowa sieć owadów bardzo w mieście rzadnie, ale wystarczy parę marnych listków, a już daje znać o sobie. Gdzieś z dołu, z jakiegoś mieszkania dochodził plusk wody i odgłos zmywania naczyń, a dalej, od strony zakazanej dzielnicy, od dwóch dzwonnicy niby bliźniaczych czubków czarnych, twardych jak podeszwa skorupki jaj rekina piaskowego, znajdujących czasem na plażach, płynął dźwięk dzwonnicy. Słaby odgłos niby kanonady o rzymskim zmierzchu, ledwie dosłyszalny przez plusk wody z kranu i brzęk naczyń. Miałem na sobie jeden z płaszczy kąpielowych Tei, siedziałem z nogami wyciągniętymi pod stołem, na krytym jedwabiu fotelu, i co miałem robić w takiej chwili, czując przepełniającą mnie radość... być zazdrosnym o męża, którego porzuciła?

Ponieważ sam o mało nie zostałem mężem Lucy Magnus, rozumiałem, czemu Tea wyszła za mąż w tym samym czasie co jej siostra i za człowieka tego samego pokroju. Choć wyrażała się o takich mężczyznach z ironią, z czasem przekonałem się, że lubiła błyszczeć w kręgach towarzyskich męża albo przynajmniej czuć, że przewyższa o klasę kobiety z tych bostońskich czy wirgińskich rodzin. Należało to do dziedziny rywalizacji, o jakiej nie miałem pojęcia.

Zakładała, że pojedzie z nią do Meksyku, a mnie nawet nie przyszło do głowy odmówić. Nie miałem w sobie tyle dumy ani silnego poczucia obowiązku, by odpowiedzieć, że chętnie, ale innym razem, gdy będę na to przygotowany, a przynajmniej w lepszej sytuacji, po honorowym rozstaniu się ze związkiem albo z pieniędzmi w kieszeni, aby móc opłacić podróż. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy, na co ona odparła z powagą:

Weź, ile ci trzeba, z lodówki. - Miała zwyczaj chowania pieniędzy, reszty otrzymanej od dostawców, a także czeków, itp. do lodówki. Leżały tam przemieszane

421



z gnijącymi liśćmi sałaty, wśród spodeczków z tłuszczem wytopionym z boczku, bo nie lubiła niczego wyrzucać. W każdym razie leżały tam banknoty pięć- i dziesięcio- dolarowe i wychodząc miałem brać, ile mi trzeba, tak jak się bierze chusteczkę do nosa z szuflady, bez zastanowienia.

Odbyłem rozmowę z Grammickiem, bo chciałem go prosić, aby zastąpił mnie w Hotelu Northumberland. Zrobił tam już, co mógł. Nie doszło do dzikiego strajku. Ostrzegł, że przedstawiciel wrogiego związku i jego chłopaki wciąż na mnie polują, więc żebym się krył. Kiedy go powiadomiłem, że rezygnuję z pracy i wyjeżdżam z miasta, bardzo się zdziwił. Powiedziałem mu jednak

O Tei i że absolutnie muszę z nią jechać, wtedy przyjął to lepiej. Wyraził zdanie, że z tą podwójną związkowością parszywa sprawa, a organizacja powinna wziąć się poważnie do hoteli albo ustąpić.

Tea wyposażyła mnie przed podróżą. Kojarzy mi się to nie wiedzieć czemu z obrazem księcia Wellington wyruszającego na salisburskie łowy, niebieski kaftan, czarna czapka i spodnie z kodowej skóry. Może dlatego, że Tea miała tak bardzo sprecyzowany pogląd na to, co powinienem nosić, a czego nie. Jeździliśmy samochodem od sklepu do sklepu i przymierzałem ubrania. Gdy uważała, że coś jest odpowiednie, całowała mnie i wykrzykiwała:

— Och, kochanie, jaka ja jestem szczęśliwa.' — nie bacząc na sztywnienie sprzedawców i klienteli. Kiedy wybrałem coś, co się jej nie podobało, wybuchała śmiechem i mówiła:

— Och, ty głupcze! Zdejmij to zaraz. To mi przypomina rzeczy, które ta starsza pani w Evanston uważała za niezmiernie eleganckie. — i Nie podobały jej się też ubrania, które mi podarował Simon. Chciała, żebym wyglądał jak sportsmen, i kupiła mi ciężką skórzaną kurtkę u Von Lengerke i Antoine'a, z rodzaju tych, które wystarczy nałożyć, by poczuć chęć zabijania dzikich zwierząt. Była przepiękna, z mnóstwem kieszeni i wsuwek na naboje, nóż, zapalki wodoodporne, kompas. Można by w niej zostać rzuconym na sam środek jeziora Huron i nie zginąć. Żeby kupić buty, przeszliśmy na drugą stronę Wabash Avenue, do Carsona, gdzie jeszcze nie byłem.

422

odkąd Jimmy Klein przytąpał mnie w drzwiach obrotowych.

W tych sklepach przeważnie mówiła ona. Milcząco, czując tętniącą w żyłach krew, podchodziłem z uśmiechem, żeby przymierzać części garderoby, stawałem między trzema lustrami i dawałem się jej obracać za ramię i oglądać. Cieszyły mnie jej najdrobniejsze dziwactwa — że mówiła wysokim tonem, że nie zwracała uwagi na ramiączko halki widoczne spod jaskrawozielonej sukni, że miała na szyi włosy, które wymknęły się spod grzebienia, włosy o japońskiej czerni. Jej suknie były kosztowne, ale w ubiorze nigdy nie brakowało jakiejś oznaki podniecenia, jak owo drzenie kapelusza, gdy przyszła do mego pokoju, i czegoś, co się nie poddało uporządkowaniu.

Znoszenie tego wszystkiego, tego całowania w sklepach, zakupów i obdarowywania, muszę powiedzieć na swoją korzyść, nie zrobiło ze mnie cierpiętnika. Nie czułbym się niezręcznie, gdyby mnie obdarowała tytułami i przywilejami jak Elżbieta Leicester albo gdyby mnie ustroiła w pióra, a nie w stetsona, który jej się tak podobał. Toteż te kraty i kratki, irchy i zamsze albo wysokie buty, które sprawiały, że wychodziłem na Wabash Avenue jak jakiś niezwykły turysta, wcale mnie nie krępowały, a tylko śmieszyły i nawet trochę wbijały w dumę, że zachowuję się w swoim rodzinnym mieście jak obcy.

Była zwariowana na punkcie bazarów, gdzie kupowała kosmetyki, spinki do włosów i grzebienie. Zamknąwszy cenne zakupy w samochodzie, szliśmy do McCrory'ego lub Kresge'a i całymi godzinami chodziliśmy między stoiskami w kłębiącym się tłumie złożonym głównie z kobiet, przy dźwiękach głośnej, sentymentalnej muzyki. Tea bardzo lubiła kupować niektóre rzeczy tam. Być może dawało jej to najlepsze pojęcie o ścisłych związkach centów z piątkami i ukazywało prawdziwą głębię pieniądza. Nie wiem. Ale nie czułem się aż tak wielki, by widzieć w tym wałęsaniu się z nią po bazarze coś uwłaczającego. Chodziłem, gdzie chciała i jak chciała, a także robiłem, co chciała, bo byłem do niej jakby przyrośnięty. Był drobiazg, który sprawiał jej przyjemność, natychmiast

423

stawał się dla mnie ważny. Mogło to być najzwyczajniejsze głupstwo, jakiś grzebyk lub wsuwka do włosów, kawałek liny albo kompas w cynowym pierścionku, który kupiła z wielką satysfakcją, czapka baseballowa z zielonym daszkiem albo kotek, którego trzymała w mieszkaniu — zawsze musiała mieć przy sobie jakieś zwierzę. Ten mały pręgowany kocur z zadartym ogonem, władca mrocznych przestrzeni w pokojach, których Tea nigdy nie używała. Najpierw wynajmowała ogromne mieszkanie, a potem tak się w nim urządzała, aby zaoszczędzić jak najwięcej miejsca gromadząc wszystko wokół siebie. W mieszkaniu było mnóstwo różnych szaf i komód, a ona trzymała rzeczy w walizkach, pudłach, w pudełkach i trzeba było lawirować między nimi, żeby dojść do łóżka stojącego w samym środku tego bałaganu. Prześcieradeł używała zamiast ręczników, a ręczników zamiast szmat do czyszczenia butów albo ścierek do sprzątanego po kocie, który jeszcze nie nauczył się czystości. Przekupywała pokojówki buteleczkami perfum lub pończochami, żeby sprzątały, zmywały naczynia, prały bieliznę i wykonywały inne dodatkowe prace albo żeby nie krytykowały jej niechlujstwa. Twierdziła, że umie pierwszorzędnie radzić sobie ze służbą. Ja zaś, eks-działacz związkowy, nie przeczyłem.

Lecz to stało się nieważne. Wiele rzeczy zaliczyłem już do przeszłości. W tamtych dniach oddawałem się bez reszty temu, co mnie wzruszało, a co nie wzruszało, wydawało mi się martwe, jakby nie istniało. Nigdy przedtem nie byłem tak pochłonięty kimś jednym. Zdawałem się we wszystkim na jej rozeznaniu. Byłem jednakże za młody, by mogło mnie mierzyć ograniczanie się do własnego rozsądku, więc nie dość to doceniałem.

Chwilami zdawałem sobie natomiast sprawę, że opuszczam prastare zabezpieczenia, które świecą pustką. Czyżby mi było mało ostrzeżenia w losie mojej matki, a także własnym? Straszliwego ostrzeżenia? Kważaj, głupia pała! Jesteś zaledwie jednym z niezliczonej rzeszy ludzi, niczym opiłków metalu rozrzuconych w polu magnetycznym i przywoźdżonych do linii działających sił, zdeterminowanych prawami, jedzeniem, spaniem, stosowanymi, uzmysławianymi, posłuszny i podległy. Po cóż więc szukasz nowych sposobów utraty wolności? Czemu, za- 424

miast uciekać, pchasz się ku tej wielkiej bronie, która ci może rozedrzeć żebra, rozorać twarz, roztrzaskać zęby? Trzymaj się z dala! Bądź jednym z tych mądrzejszych, którzy pełzną, biegną, idą ku swoim samotnym celom, nawykli do samotnego trudu, troszczą się o siebie i wystrzegają lęków, królów tego świata. Ach, oni cię nie oszczędzą, ci królowie! Niejedna martwa lub umierająca twarz padła przed nimi lub daje się ku nim nieść bezwładnie!

Oto zjawia się Tea ze swymi pieniędzmi, spragniona miłości i wielkich wydarzeń, zjawia się ze swoim samochodem, swoją bronią, Leicami, butami, swoją gadaniną o Meksyku i swoimi poglądami. A bodajże najważniejszym z tych poglądów jest myśl, że musi istnieć jakiś świat lepszy od tego, co ludzie zwykli zwać rzeczywistością. No, więc dobrze. Bardzo dobrze. Bravo! Więc popróbujmy tej lepszej, wspanialszej rzeczywistości. A jednak w wypadku, gdy tego rodzaju twierdzenie wysuwa i przez długi czas podtrzymuje jedna osoba, wówczas w końcu upór bierze górę. Zanim twierdzenie zostanie udowodnione, straci wiele ze swojego piękna. Wiem to!

Jednakże Tea miała pewną wyższość w swoich poglądach. Była z rodzaju tych ludzi, którzy są tak pewni swoich przekonań, że mogą dać za nie głowę. Przeto wszystko, co stanowi zagrożenie tych przekonań, jest również skierowane przeciwko ich ciału i krwii tak jak w przypadku ludzi badanych na policji nago albo męczenników, kiedy od razu wiadomo, które przekonania są mocne, a które nie. Nie ma wówczas słów pustych. Bo co człowieka nie przejmuje do żywego, jest przeważnie marzycielstwem, świetlistym rozpryskiem, wystrzelającymi w niebo fajerwerkami i rozmazanymi kołami, które skapują na smutną ziemię. W kwestii swych poglądów Tea była przygotowana na najcięższe próby.

Co wcale nie znaczy, że sama zawsze dorastała do własnych najwyższych standardów. Musiałem akceptować jej wersję wszelkich zjawisk i to właśnie jest ów upór, o którym mówiłem. Oczywiście, przywykła otrzymywać wszystko, czego zapragnęła, nie wyłączając mnie. Jej zachowanie bywało czasem dziwne i szorstkie. Kiedy odbierała zamiejskowe telefony, niemal wyrzucała mnie

7 pokoju i wtedy słyszałem, jak wrzeszczy do słuchawki, a jej ton mnie zaskakiwał i zdumiewał. Nic rozróżniałem poszczególnych słów i tylko zachodziłem w głowę, co mogło spowodować takie zachowanie. A potem myślałem, jak też bym ja za to krytykował, gdybym nie był jd kochankiem.

Zakładała, że wie o mnie wszystko, i rzeczywiście wiedziała zadziwiająco dużo. Resztę uzupełniała ufnością, powierzała zamkniętym oczom i szybkim ruchom. Czasem, powodowana zazdrością, mówiła rzeczy niemiłe, a jej oczy bywały chwilami bardziej błyszczące niż przyjazne. Zdawała sobie sprawę ze swojej słabości, która kazała jej przyjść do mnie — w chwilach ufności interpretowała to jednak jako swoją siłę i przedmiot chluby.

Podobała ci się ta grecka dziewczyna?

—Tak, oczywiście.

Czy z nią było tak samo jak ze mną?

—Nie.

- Widzę wyraźnie, że kłamiesz, Augie. Dla ciebie było tak samo.

A czy dla ciebie nic jest ze mną inaczej? Czy jest tak samo jak z twoim mężem?

- Z nim? Nigdy w świecie!

Czy może to być dla ciebie takie inne nie będąc równocześnie inne dla mnie? Sądzisz, że cię nie Kocham, a tylko udaję?

Och, ale to ja przyszedłam cię szukać, nie ty mnie. Byłam bez ambicji. Zapominała, że pravic jej nie znałem w St. Joe. — Znudziłeś się tą greką pokojówką, kiedy się zjawiłam, i to ci tak schlebilo, że nie potrafiłeś się oprzeć, Lubisz otrzymywać takie bukiety, — Oddychała ciężko, niełatwo zdobyła się na te słowa, cierpiała. —\* Chcesz, żeby ludzie otaczali cię miłością, a ty się nią tylko upajasz. Wciąż ci jej mało, I kiedy jakaś inna kobieta zacznie za tobą biegać, pójdiesz z nią bez wahania, Jcitci najszcześliwszy, gdy się ktoś do ciebie łąsi. Nie możesz OÅ oprzeć pochlebstwu.

Może i tak. W tej chwili jednak nie mogłem się opizeć temu wyzywającemu spojrzeniu, kiedy była tak rw gorzała i blada, z takim ogniem w oczach i tą zuchwaM metafizyczną pewnością, Chociaż malowała usta ciemno-

426

czerwoną szminką, nie dodawała im przez to zmysowości, nie miała wcale zmysłowej twarzy, ale każde podniecenie, byle czym, ogarniało ją całą, bez reszty. W gniewie było z nią jak w miłości, gdy przywieriała do mnie piersiami, ściskając moje dłonie, dotykając moich stóp swoimi. Nawet ta zazdrość zatem nie miała sensu, nie chodziło o zazdrość udawaną.

Gdybym był mądrzejszy, sam bym cię odnalazł • powiedziałem, — Po prostu nie miałem na to dość rozumu, więc jestem ci bardzo wdzięczny, że to zrobiłaś, I wcale nie musisz się bać.

Nic, nie, po co mi przewaga albo spory ambicyjne? Precz 7. tym. Gdy usłyszała te słowa, przeszedł ją dreszcz odstepującego napięcia. Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się do siebie i jej twarz zaczęła nabierać normalnych kolorów.

Przywykła nie tylko do walk o niezależność, do oporu, do kroczenia pod prąd, co przydawało jej sądom surowości, lecz również cechowała ją podejrzliwość. Miała znacznie bogatsze doświadczenia towarzyskie niż ja, wige podejrzewała mnie o wiele rzeczy, które wówczas znajdowały się poza moim zasięgiem. Musiała pamiętać, że kiedyśmy się poznali, mogłem sprawiać wrażenie piec/e- niarza, który pasożytywał na starszej pani, a może nawet robił coś gorszego. Oczywiście nie posądzała mnie o to. Wiedziała o mnie teraz naprawdę dużo, z informacją, których udzielałem jej obficie. Ponieważ mimowolnie. Ale też i jej nawykowa przebiegłość była mimowolna, przebiegła podejrzliwość bogatej dziewczyny. A poza tymLgdy człowiek się raz, nieodwołalnie, na coś zdecyduje, czy to znaczy, iż przestał się lękać, pocić ze strachu przed pomyłkąT/Nawet Tea ze wszystkimi swoimi przekonaniem i pewnością siebie nic była uodporniona na chwilowe przyływy wątpliwości.

Dlaczego tak o mnie mówisz, Tea? - Bolało mnie to, chociaż z pewnością zawierało trochę prawdy; Czułem to pod podszewką, jak coś, co tam wpadło przez dziurę w kieszeni,

A może mówię niesłusznie? Zwłaszcza o tym, że jesteś taki uprzejmy?

Kiedyś byłem bardziej uprzejmy. Teraz już nie

427

tak. —[• Próbo watem jej powiedzieć, że całe życie szukałem tego, co powinienem robić, odpowiedniego dla siebie losu, że sprzeciwiałem się, gdy ktoś chciał mnie kształtować na swój sposób, a teraz, kiedy jestem w niej zakochany, rozumiem znacznie lepiej, czego chcę.]

Lecz ona miała dla mnie tylko taką odpowiedź: — Mówię tak, bo najwyraźniej zależy ci na tym, jak cię ludzie widzą. Za bardzo się tym przejmujesz. A są tacy, którzy to wykorzystują. Nie mają nic własnego i nie zostawią nic tobie. Chcą wdrzeć się do twoich myśli i do twojej duszy, żebyś ich kochał. To jakaś choroba. Ale wcale nie chcą, żebyś ich kochał takimi, jacy są naprawdę. Nie. W tym cały dowcip. Chcą, byś miał w świadomości ich obraz, nie prawdziwy, tylko taki, jaki sobie wymarzyli. Oni żyją myślą o tym, jak ich widzi otoczenie, i pragną, żebyś ty też w ten sposób żył. Augie, kochany, nie rób tego. Będiesz przez nich cierpieć. Bo tak naprawdę ty dla nich się nie liczysz. Liczysz się dla kogoś, kto cię kocha. Liczysz się dla mnie. A dla innych wcale, z innymi tylko przestajesz. Więc nie powinieneś dbać o to, jaki się im wydajesz. Tymczasem ty właśnie dbasz, za bardzo dbasz.

I tak dalej, i dalej. Czasem bywało to przykre, bo zwykle jej mądrość była skierowana przeciwko mnie. Jakby przewidywała, że ją skrzywdzę, i ostrzegała mnie. Ale chętnie słuchałem, co mówiła, i rozumiałem, rozumiałem aż za dobrze.

Rozmowy te prowadziliśmy najczęściej w podróży, kiedy już wyruszyliśmy do Meksyku.

Próbowała mi kilka razy powiedzieć, co będziemy robili w Meksyku, poza uzyskaniem dla niej rozwodu, i chyba zakładała, że wiem intuicyjnie, jakie ma plany. Często gubiłem się w tym wszystkim. Nie wiedziałem, czy miała na własność, czy tylko wynajmowała jakiś dom w mieście Acatla, a to, co mówiła o tamtym kraju, wcale nie wzbudzało we mnie entuzjazmu. Wydawał mi się dość ryzykownym miejscem, kiedy opowiadała o górach, polowaniach, chorobach, napadach i niebezpiecznych tubylcach. Przez długi czas najmniej jasna była dla mnie sprawa łowów. Sądziłem, że zamierza polować na orły, i to wydawało mi się dość osobliwe, lecz rzeczywistość przerosła moje najgorsze przewidywania. Otóż chciała polować z orłem wyuczonym w sokolnictwie, a ponieważ miała już kiedyś sokoły, bardzo pragnęła pójść śladem pewnego brytyjskiego kapitana i jakiejś pary amerykańskiej, którzy przyuczali czy też „układali” złote i amerykańskie orły, bardzo rzadkie już od średniowiecza. Wpadła na pomysł takiego polowania czytając artykuły Dana i Julii Mannix, którzy rzeczywiście wybrali się przed kilku laty do Taxco z przyuczonym do polowań łomi- gnatem białogłowym i łowili przy pomocy tego ptaka iguany.

Koło Texarkany mieszkał człowiek, który miał na sprzedaż orlątko. Podarował jedno panu George'owi H. Jakość, staremu przyjacielowi ojca Tei, właścicielowi prywatnego zoo. Ów przyjaciel ojca Tei, który, sądząc z jej opowiadań, wyglądał mi na wariata, takiego jak król Ludwik bawarski, zbudował sobie w stanie Indiana kopię Trianon, tyle że z umieszczonymi wewnątrz klatkami, i jeździł po świecie jak Hagenbeck, aby je zapełnić schwytanymi przez siebie zwierzętami. Obecnie zaprzestał już podróży, ponieważ był za stary, poprosił jednak Teę, a raczej sprowokował, by mu przywiozła kilka iguan, tych wściekłych olbrzymich jaszczurów, pozostałości ery mezozoicznej w górach na południe od Mexico City. Kiedy usłyszałem tę wiadomość, a nie wiedziałem, jak poważnie mam ją traktować, pomyślałem, że/tak jest właśnie ze mną i moim życiem — nigdy nie mogłem się zakochać, żeby nie było w tym jakiegoś dziwactwa/

Nie mam zamiaru powiedzieć, że się co do Tei przeliczyłem, bo chciałbym powiedzieć jasno, że się niczego nie spodziewałem. Powiem natomiast, że była niezwykła, nieobliczalna i sprzeczna w swojej kapryśności, stałości, nerwowości i odwadze. Potknąwszy się w ciemnościach na schodach krzyczała, za to podróżowała z ekwipunkiem do łapania węży i pokazywała mi zdjęcia z wypraw klubu zbieraczy grzechotników, do którego należała. Widziałem, jak trzyma diamentowca ściskając go ręką tuż przy głowie i pobierając jad kawałkiem gumy. Mówiła mi, jak wpełzła do jaskini, żeby go złapać. W sklepie Renlinga

I sprzedawałem przybory myśliwskie, ale polowania widywałem jedynie na ekranach kin, poza tymi, które urządzał Simon strzelając z pistoletu do szczurów na placu węglowym. Specjalnie pamiętam jednego ogromnego, z garbem na grzbiecie, jak mały dzik. Wyglądał strasznie, kiedy mknął na chyżych nogach w stronę płotu. A przecież gotów byłem zostać nawet myśliwym. Zanim wyjechaliśmy z Chicago, Tea woziła mnie na wieś i ćwiczyłem się w strzelaniu do wron.

Było to w czasie, kiedy nasz wyjazd się opóźnił o kilka dni, bo Tea czekała na list od adwokata Smitty'ego — pełnomocnika jej męża—i wykorzystała tę zwłokę na to, by mnie uczyć posługiwania się bronią w lasach koło granicy stanu Wisconsin. Kiedy wracaliśmy do domu, zdejmowała bryczesy i siadała z gołymi nogami w swojej sportowej koszuli, by zająć się reperacją zamka jakiegoś łańcuszka lub bransoletki, niczym dziesięcioletnia dziewczynka, jakby zadumana, ze zgiętą szyją i podciągniętymi pod brodę kolanami, z niezdatnymi palcami. Potem Judawaliśmy się do Parku Lincoln, aby pojeździć konno, i tam już nie było w niej nic niezdatnego. Nie zapomniałem od moich ewanstońskich dni, jak radzić sobie z koniem. Ale było to właśnie radzenie sobie, a nie jazda. Podążałem z nią, jak mogłem najszybciej, z czerwoną twarzą, mocno waląc tyłkiem w siodło, wykorzystując swoją wagę przeciwko zwierzęciu. Udawało mi się utrzymać w siodle, choć sposób, w jaki to czyniłem, bardzo Teę bawił.

Mnie bawił dopiero wtedy, kiedy wreszcie mogłem złapać oddech i zejść z konia, i zapytywałem też samego siebie, jak jeszcze długo będę się musiał dostosowywać do niej. Oprócz zdjęć z klubu zbieraczy grzechotników widziałem jeszcze inne. Tea miała skórzaną walizkę pełną fotografii. Niektóre z nich pochodziły z tego lata w St. Joe, kiedy ją poznałem, przedstawiały jej stryja i stryjenkę, jej siostrę Esterę. Inne dokumentowały sportowe wyczyny obu sióstr w białych spodenkach i z rakietami tenisowymi lub na canoe. Kiedy mi pokazała zdjęcie Estery, nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia, a tylko dostrzegłem w niej podobieństwo do Tei. Pokazywała też fotografie rodziców. Matka była wielbicieleką mieszkanką 430 ców pueblów i w związku z tym widniała na zdjęciu w kapeluszu i kołnierzu futrzanym w autobusie turystycznym u stóp skalnego urwiska. Na jedno zdjęcie zwróciłem szczególną uwagę. Przedstawiało jej ojca siedzącego w rikszy. Był w białym drelichowym ubraniu i kasku z guzikiem na czubku, z oczyma też białawymi z powodu plamek słońca, które sprawiały, że koła rikszy przypominały nasiąkłe herbatą plasterki cytryny. Spoglądał ponad ogoloną głowę Chińczyka o grubych łydkach stojącego między dyszlami niczym koń pociągowy.

Było więcej zdjęć z polowań. Niektóre ukazywały Teę z różnymi sokołami na dłoni w rękawicy. Kilka zdjęć Smitty'ego, jej męża. W spodniach do konnej jazdy. Przy zabawie, szamoczącego się z psem. Albo znów z Teą w nocnym klubie — śmiała się z zamkniętymi przed blaskiem flesza oczami, a on zakrywał swoją łysą głowę smukłymi palcami, gdy komik wymachiwał nad ich stolikiem. Wiele tych rzeczy sprawiało mi przykrość. Na przykład na tym śmiejącym się zdjęciu w nocnym klubie radośnie rozpoznawałem jej pierś, ramię, podbródek, ale te kpiące dłonie i skrzek śmiechu na pokaz — jakież to. obce! Nie było dla mnie miejsca przy tym stole. Ani przy jej ojcu w rikszy. Ani przy matce z szyją owiniętą futrem w autobusie turystycznym. Poza tym kłopotą mnie sprawa polowań. Nie wiedziałem, jak serio miałem je traktować. Strzelanie do wron wcale mi nie przeszkadzało. Ale gdy mi kupiła rękawicę, żebym mógł trzymać orła, i przymierzyłem ją, ogarnęło mnie dziwne uczucie, zupełnie jakbym był graczem w jakiejś demonicznej grze i musiał galopować to tu, to tam, żeby złapać w powietrzu rozpalony kamień.

Dreńczyły mnie więc niepewności. Nie co do tego, czy powinienem jechać, bo to nie podlegało mojej decyzji, gdyż jechać z nią musiałem, lecz co do tego, czego mam oczekiwać, przez co będę musiał przejść i jaki wnieść wkład tam, dokąd zmierzaliśmy. Sensowne wyjaśnienie tego komukolwiek było ponad moje siły. Próbowałem. Mimi, u której mogłem liczyć na największe zrozumienie, okazała się właśnie kimś, z kim rozmawiało mi się o tym najniezręcniej. Skrzywiła się z dezaprobatą i powiedziała:

— Co ty usiłujesz mi wmówić? — Nie chciała uwierzyć, że jestem zakochany, i zmarszczyła czoło unosząc skośnie brwi. Kiedy wytłumaczyłem jej rzecz bardziej szczegółowo, parsknęła mi prosto w twarz. — Co, co, c o? Musicie wziąć orła z Arkansas? Orła? Nie myślołowa? — Chcąc być lojalny wobec Tei nie śmiałem się. Mimi nie potrafiła mnie rozbawić, mimo że dziwaczność ekspedycji bardzo mnie martwiła. — Skąd wytrzasnąłeś tę panienkę?

— Mimi, ja ją kocham.

Przyjrzała mi się bliżej i stwierdziła, że mówię poważnie. Miała tak wielkie mniemanie o powadze miłości, że powątpiewała, aby wielu ludzi mogło tę powagę należycie ocenić, i już bardziej serio powiedziała:

— Uwważaj! Narobisz sobie kłopotów. A czemu rzucasz pracę? Grammick mówił, że jako działacz związkowy masz przed sobą dużą przyszłość.

— Obrzydło mi to. Niech Artur zajmie moje miejsce.

Jakby dopatrzysz się w moich słowach braku szacunku dla Artura, odparła:

— Nie bądź głupi. On musi skończyć te tłumaczenia i bardzo ciężko nad nimi pracuje. Jest właśnie w połowie eseju o tym poecie i śmierci.—Zaczęła też opowiadać, jak to poetom powinno być wolno zajmować się pogrzebami. Artur zainstalował się w moim pokoju i odkrył w starym pudle pod łóżkiem nadpalony komplet klasyków doktora Eliota. Zapytał mnie, czy może się nim zaopiekować, a ponieważ na książkach widniał stempelek „W. Einhorn”, trudno by mi było odmówić, nawet gdybym chciał. Leczył trypra, a Mimi nad nim czuwała i nie mogła poświęcić większej uwagi komukolwiek innemu.

Najłatwiej było wytłumaczyć mój wyjazd mamie. Nie musiałem wiele mówić, tyle tylko, że jestem zaręczony z młodą damą, która wyjeżdża do Meksyku, więc z nią jadę.

Na dłoniach mamy, choć nie zajmowała się teraz gotowaniem, widniały ślady noża i te ciemne linie pewnie pozostaną na nich już na zawsze. Miała też nadal lekkie rumieńce, ale jej oczy stawały się coraz mętniejsze, a dolna warga zdradzała coraz większe otepienie. Przypuszczam, że było jej całkowicie obojętne, co mówię, byle ton moich 432

słów jej nie przygnębiał. Właśnie w ów ton się wsłuchiwała. A czemu miałby ją przygnębiać, skoro czułem się taki szczęśliwy i radosny? Jeśli, dajmy na to, najsilniejszą z więzi są okowy śmierci, co w końcu jest wariactwem, dla mnie, przynajmniej teraz, tę najsilniejszą więź stanowiła przeżywana radość, a jeśli nawet było to uczucie złudne, nic nie wydawało mi się cudowniejsze i bardziej prawdziwe. Nie przewidywałem, że może zawierać jakiś podstęp, chyba że nic, co tak bardzo żywe, nie może być realne. Nie, z tym bym się nie zgodził.

— Czy to bogata dziewczyna? Jak żona Simona? Pomyślałem, że pewnie bierze Teę za Lucy Magnus.

Ona nie jest krewną Charlotty, mamó. —r Nie pozwól, żeby cię unieszczęśliwiła, Augie — powiedziała.

Co się mogło kryć za tymi słowami? Sądziła, że jestem dość do niej podobny, aby móc sobie narobić kłopotów, skoro Simon nie pomógł mi wybrać dziewczyny, tylko sam ją sobie wybrałem. Nie mówiłem mamie nic o polowaniach, lecz przyszło mi na myśl, że polowanie na dzikie zwierzęta jest w przypadku syna Hagar czymś nieuniknionym.

Zapytałem o Simona. Ostatnie wiadomości, jakie o nim miałem, pochodziły od Clema Tambowa, który go widział w bójkę z jakimś Murzynem na Drexel Boulevard.

—Kupił sobie nowego Cadillaka — powiedziała mama — i przyjechał nim, żeby mnie przewieźć. Ach, jak było cudownie! On będzie bardzo bogaty.

Nie zabolala mnie wieść o bogactwie Simona, mógłby sobie nawet zostać księciem Burgundii. Lecz muszę przyznać, że nie mogłem powstrzymać się od poczucia satysfakcji, że Tea też odziedziczyła majątek. Co tu udawać.

Odszukałem też przed wyjazdem Padillę. Znalazłem go przed jego instytutem. Był w poplamionym krwią fartuchu laboratoryjnym, chociaż, o ile mi wiadomo, zatrudniono go do robienia obliczeń, nie do eksperymentów. Pałac swojego śmierzącego papierosa z ciemnego tytoniu debatował jak zwykle w pośpiechu z typem, który trzymał w ręku otwarty notatnik, o jakichś dwóch

PMPi^HHHi!^Hr!"

krzywych. Padilla nie był zachwycony moim wyjazdem do Meksyku i ostrzegł, abym się trzymał z dala od Chihuahua, jego prowincji. Powiedział, że w Mexico City, gdzie sam nigdy nie był, ma kuzyna, którego adres zapisałem.

— Nie mogę przewidzieć, czy cię ograbi, czy wspomże, ale odszukaj go, jeżeli w ogóle będziesz chciał kogoś szukać — rzekł. — Był biedny jak mysz kościelna przed piętnastu laty, udając się do Mexico City. W ubiegłym roku, kiedy zrobiłem magisterium, przysłał mi pocztówkę. Może to oznaczać, że chce ode mnie zaproszenia. Nic z tego! No, cóż? Przyjemnej podróży, jeśli to możliwe, lecz nie mów mi później, że cię nie ostrzegałem. — Nagle uśmiechnął się w słońcu, marszcząc krótki zakrzywiony nos i czoło, które wznosiło się pochyło ku pięknym meksykańskim włosom. Uważaj na tę rodzimą rozbestwioną dupę! — Nie mogłem nawet przez grzeczność uśmiechnąć się do niego, tak niewłaściwa była ta rada dla zakochanego.

Nikt wówczas nie powiedział mi radośnie bon voyage, jak bym sobie życzył. Wszyscy tylko ostrzegali, każdy na swój sposób, i nawet przypomniałem sobie Eleonorę Klein i co Jimmy opowiadał o jej niedolach w Meksyku, jak tam zdarto z niej skórę. Próbowałem sobie tłumaczyć, że mam przekroczyć tylko Rio Grandę, nie Acheron, ale wszystko i tak mnie przygnębiało. Sprawiała to osobliwość mojego położenia, nie zaś celu podróży. Najbardziej zdumiewającą cechą tego stanu było, że jednostkę j ludzką mogła stanowić nie jedna, lecz dwie osoby. Nawet j orle sokolnictwo nie tak bardzo mnie gnębiło jak fakt, że i cokolwiek miałyby się przydarzyć Tei, godziło również we mnie. To mnie przerażało.

Oczywiście wtedy jeszcze nie zdawałem sobie jasno z tego sprawy. Całą winę składałem na Meksyk i polowanie. Pod koniec któregoś wieczoru, gdy Tea grała na gitarze j|j z wygiętym do tyłu kciukiem na strunie basowej; traktowała instrument lekko, a on czerpał całą siłę z siebie — zapytałem:

— Musimy jechać do tego Meksyku?

— Czy musimy? — rzekła i uciszyła dźwięki kładąc j dłoń na strunach.

434

— Możesz dostać szybko rozwód w Reno albo gdzie indziej.

— Ale czemu mielibyśmy nie pojechać do Meksyku? Byłam tam kilka razy, wiele razy. Co masz przeciwko Meksykowi? ,

— A co masz przeciwko innym miejscom?

— W Acatla mamy dom i będziemy tam chwytały te jaszczurki i inne zwierzęta. Poza tym umówiłam się z adwokatem Smitty'ego, że właśnie tam przeprowadzę rozwód. I jest jeszcze jeden powód, żebyśmy lepiej tam pojechali.

— Jaki?

— Po rozwodzie nie będę miała wiele pieniędzy. Zamknąłem oczy i przyłożyłem dłoń do czoła, jakby chcąc łatwiej przyswoić sobie tę zaskakującą myśl.

— Przepraszam cię, Tea, ale nie bardzo rozumiem. Myślałem, że macie obie z Esterą mnóstwo pieniędzy. A skąd jest to, co w lodówce?

1—' Augie, nasza część rodziny nigdy nie była bardzo zamożna. Bogaty jest mój stryj, który poza mną i Esterą nie ma żadnych krewnych, zawsze też dawał nam pieniądze i nigdy ich nie brakowało, musiałyśmy jednak spełnić pewne warunki. Estera je spełniła, wyszła za bogatego człowieka.

— Ty też.

— Tylko że moje małżeństwo się skończyło, w dodatku skończyło się skandalem. Nie powinieneś brać sobie tego do serca, bo to czysta głupota, ale uciekłam z przyjęcia z kadetem marynarki. Bardzo do ciebie podobnym. To nie miało żadnego znaczenia. Cały czas myślałam o tobie, a ciebie nie było.

— Substytut!

— Ta grecka dziewczyna nie była dla ciebie nawet tym.

— Bo też i nigdy nie twierdziłem, że przez cały czas od naszego pobytu w St. Joseph myślałem o tobie.

— A o Esterze?

— Ani o Esterze.

— Chcesz się kłócić czy chcesz posłuchać, co mam do powiedzenia? Ja tylko próbuję ci wytłumaczyć, co się stało. Była u nas moja stryjenka... pamiętasz tę starszą panią... i przyjęcie się odbywało w naszym domu, w domu

435

Smitty'ego. I zobaczyła, jak się migdałę z tym chłopakiem. Augie, naprawdę nie możesz brać mi tego za złe. To było całe tysiące mil stąd i jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że przyjadę do Chicago, żeby cię odnaleźć. Nie mogłam znieść Smitty'ego. Musiałam mieć kogoś innego. Choćby tylko jakiegoś chłopaka, jak ten z marynarki. Potem stryjenka wyjechała i stryj zadzwonił do mnie i powiedział, że mnie skreśla. I to jeszcze jeden powód, dla którego muszę jechać do Meksyku... żeby zarobić pieniądze.

i — Przy pomocy orła? — wykrzyknąłem. Niepokoilo mnie wiele rzeczy. — Jak zamierzasz cokolwiek zarobić przy pomocy orła? Jeśli nawet będzie łapał te zakazane jaszczury czy co innego. Rany Julek!

— Nie chodzi tylko o jaszczury. Będziemy kręcili filmy o polowaniu. Muszę postarać się sprzedać to, co umiem robić. Możemy sprzedawać artykuły o polowaniach w „National Geographic”.

— Skąd wiesz, że możemy? Kto je będzie pisał?

— Będziemy mieli materiały i znajdziemy kogoś, kto nam pomoże napisać. Gdziekolwiek się ruszysz, wszędzie jest ktoś taki.

— Ale, kochanie, nie możesz na to liczyć. Co ty sobie wyobrazasz! To nie takie łatwe.

— I wcale nie takie strasznie trudne. Znam wszędzie mnóstwo ludzi, którzy szaleją, żeby wyświadczyć mi jakąś przysługę. Wcale nie sądzę, że obchodzenie się z tym ptakiem będzie łatwe. Ale korci mnie, żeby spróbować. Poza tym w Meksyku żyje się taniej.

— A te pieniądze, które wydajesz teraz? W tym apartamencie?

— Do chwili rozwodu Smitty pokrywa wszystkie wydatki. Przypuszczam, że to dla ciebie nie ma żadnego znaczenia?

— Nie, ale powinnaś trochę przyhamować i nie wydawać takich gór złota.

— Czemu?—zapytała, naprawdę mnie nie rozumiejąc.

Tak samo jak ja nie rozumiałem jej poglądów na temat wydawania pieniędzy. Płaciła trzydzieści dolarów za francuskie nożyczki w sklepie z wyrobami ze srebra na Michigan Boulevard — jednym wielkim zamarłym 436 gejzerze srebra wyprawowego — żeby te nożyczki nigdy potem nie ucięły ani guzika, tylko zniknęły w potoku innych przedmiotów w torbach i pudłach w bagażniku samochodu i nigdy już nie ujrzały światła dziennego. A jednocześnie mówiła o oszczędnym życiu w Meksyku.

— Chyba nie masz nic przeciwko wydawaniu pieniędzy Smitty'ego.

— Nie — odparłem i tak było rzeczywiście. — Ale gdybym nie jechał z tobą do Meksyku... czy pojechałabyś sama? Z tym ptaszyskiem i tak dalej?

— Oczywiście. A ty nie chcesz ze mną jechać?

Wiedziała jednak, że prędzej wydlubałbym sobie oczy, niż został tu i pozwolił jej jechać samej. Choćby nawet szło o sępy afrykańskie, kondory, Ptaki-Roki lub feniksy. Wystąpiła z inicjatywą, a ja jej uległem. Gdybym miał inny, niezależny pomysł, mógłbym próbować porwać ją za sobą. Ale nie miałem żadnego.

Zapytała więc, czy nie wolałbym zostać, a potem widząc po mojej twarzy, jak bardzo ją kocham, wycofała to pytanie i milczała. Jedynym dźwiękiem był stukot odkładanej na bok gitary.

Potem powiedziała:

— Jeżeli ten ptak cię trapi, to po prostu zapomnij o nim do chwili, gdy go zobaczysz. Ja ci pokażę, co z nim robić. Tylko nie zaprzataj sobie nim przedwcześnie głowy. Albo wyobraź sobie, jakie to będzie podniecające, gdy już go ułożysz do polowania, i jaki jest piękny.

Próbowałem pójść za jej radą, ale mimo to skrajny pesymizm mieszkańca Zachodniej Dzielnicy Chicago nie przestawał mnie dręczyć podsuwając wciąż pytanie: „Eee, cóż to za wymysł?” Ponieważ zaś mieszkaliśmy blisko zoo, poszedłem obejrzeć sobie tego orła, który siedział na pniu drzewa w wysokiej na czterdzieści stóp klatce stożkowatego kształtu jak klatka papugi salonowej, miał barwy słońca i dymu z odcieniem zieleni, postawę istoty dwunożnej w tureckich czy janczarskich pantalonach z piór — przyklepaną z góry głowę, mordercze oko, głęboką żywość upierzenia. Oj! Wśród europejskiej parkowej zieleni trawników i pokrytych grynszpanem krat, zwykłego cienia drzew i ogrodowego blasku słońca ten ptak wydawał się bardzo nie na miejscu. „W jaki sposób



można takie coś w ogóle oswoić? — myślałem. — Lepiej jedźmy jak najprędzej do tej Texarkany i weźmy się do niego, nim za bardzo urośnie!"

Przyszedł list od adwokata Smitha. W tym samym dniu załadowaliśmy rzeczy do kombi i wyjechaliśmy z miasta kierując się na St. Louis. Ponieważ wyruszyliśmy dość późno, nie zdążyliśmy dojechać na miejsce. Rozbiliśmy obóz i spaliśmy na ziemi pod daszkiem z plandeki. Wyliczyłem, że powinniśmy być blisko Mississippi, którą bardzo pragnąłem zobaczyć. Byłem okropnie podniecony.

Leżeliśmy pod ogromnym drzewem. Taki wielowiekowy pień, a listki na nim drobniutkie jak monety — aż się nie chciało wierzyć, że coś tak ogromnego może żyć dzięki tym malutkim Ustkom. I wkrótce zacząłem odróżniać szmer tych liści, poruszanych powietrzem, od głosu owadów. Najpierw bliskiego i donośnego, potem dalszego i zawrotnego. A później zdałem sobie sprawę, że gdziekolwiek było ciemno, tam się rozlegało brzęczenie owadów, obejmujące cały kontynent i półkulę, raz za razem, jak fale przyływu, nieustające i gęste niczym gwiazdy.

#### Rozdział XV

W jakże wspaniałym stylu wyruszyliśmy w tę podróż! Czuliśmy się w siódmym niebie. Poszcęściło nam się w miłości, że trudno lepiej, w czym zapewne dopomagała nam wzajemna obcość, bo pod pewnymi względami nawet Danae lub Flora Belle Romaine nie mogłyby być bardziej dla mnie obce i jeden Bóg raczy wiedzieć, jak wielkim dziwadłem z barbarzyńskiego Chicago byłem ja sam dla Tei. Lecz te różnice pomniejszały moim zdaniem ciężar osobowości kochanej istoty i ciężar bagażu doświadczenia — na które w części zawsze składa się zażyłość.

Nasz wyjazd i wszystko, co robiliśmy lub widzieliśmy, co jedliśmy, pod jakimi drzewami się rozbieraliśmy i według jakiego protokołu całowaliśmy — od twarzy do nóg i z powrotem do piersi — w czym byliśmy zgodni, a w czym niezgodni, jakie zwierzęta lub jakich ludzi napotykałismy w drodze, wszystko to mogę obudzić w pamięci, ilekroć zechcę. Potrafię widzieć niektóre rzeczy bez osadzania ich na tle poprzedzających zdarzeń, tak jak ptaki lub psy, które nie dzielą doli człowieczej, lecz zawsze żyją w tej samej epoce, takie same u stóp Karola Wielkiego jak na łodzi płaskodennej na Missouri albo chicagowskim złomowisku. I często właśnie w ten sposób drzewa, woda, drogi, trawy powracają w pamięci w swojej zieleni, bieli, błękicie, spadziowości, plamkach, zmarszczkach, żyłkowaniach lub zapachu, że mogę przytwierdzić moje wspomnienie do mrówki w załomku kory, kawałka

tłuszczu w mięsie lub barwnej nitki na kołnierzyku bluzki. Albo takie wnikliwe spostrzeżenia: gdzie na krzaku róż widać różnice natężenia żaru, co sprawia, że człowiek czuje w różnych miejscach trzewi ssanie, w czymś na kształt odzewu. Gdy nawet róża zgnilizny i zła wywołuje chęć reakcji i podniecenie. I co również znaczy, że żar, który w człowieku krąży i ogrzewa go, kiedy się skupi na jakiejś przeszkodzie lub luce, wówczas wyrzuca do wewnątrz lub na zewnątrz typowe ogniste węgielki lub wypryski znacząc szlak gorączki lub ognia, czego odpowiednikiem jest ciemność i chłodne luki. A więc są płonące róże, są wypryski i luki w obwodzie. Rzadko się zdarza, by w nas nie było tych luk i zakłóceń.

Mieliśmy z Teą swoje kłopoty. Ona trzymała w niepewności mnie, ja zaś ją. Ja wywoływałem w niej niepewność swoim nawykowym wyrazem obojętności i niezależności, który mi było trudno zmienić. Ona ze swej strony nie mogła mi niczego obiecać. Po prostu nie chciała. Wiedziałem, że Smitty nie rozwiódłby się z nią z powodu jednego kadeta marynarki. Domyślałem się, że w tych wysokich kręgach towarzyskich takie „skoki na boki” nie są traktowane poważnie. Przyznała mi rację, gdy poruszyłem tę kwestię.

— Oczywiście — powiedziała — od czasu do czasu. Z winy Smitty'ego. No i trochę z mojej własnej. Ale nie musimy teraz o tym myśleć. Bo nikt taki jak ty nigdy nie stanął na mojej drodze. Po co będę wybiegała daleko w przyszłość? Nigdy przedtem nie było mi tak dobrze. A tobie?

— Też nie.

— Ach — zauważyła całkiem słusznie — jesteś zazdrosny! Słuchaj, Augie, to tamci powinni ci zazdrościć. Powinni. Bo sami byli epizodami. Ty wiesz, że te rzeczy potrafią być najmniej znaczące w świecie. Jeśli jest dobrze, po co odczuwać zazdrość? A jeśli źle, można tylko żałować. Czy możesz mnie winić, że próbowałam? A może nie chcesz znać prawdy?

— Och! Tak, chcę. Nie. Nie jestem pewien. Może lepiej nie.

- Bo gdybym nie szukała... co bym wiedziała? Jeśli jednak nie mogę mówić prawdy tobie, a ty mnie...

Tak, tak, wiedziałem, że prawdzie należy się jakieś miejsce, tylko czy akurat tutaj?

Chciała wszystko powiedzieć i wszystko poznać. Chociaż i tak błada, robiła się jeszcze bledsza, kiedy opanowywało ją to pragnienie mówienia i dowiadywania się, a jej powaga graniczyła wówczas niemal z paniką. Bo oczywiście ona też była zazdrosna. Tak, była zazdrosna. Czasem myśl o tym dobrze mi robiła. Chciała być bezwzględna, gdy szło o prawdę, a wówczas trzęsła się i ogarniało ją przerażenie.

Chwilami myślałem, że zainteresowała się mną, ponieważ pozazdrościła siostrze. Nie była to kojąca myśl. Ale przecież bardzo często bywa, że początkowo pragnie się czegoś z mylnych powodów. Istnieją też głębsze pragnienia, które potrafią człowieka wynieść ponad te powody. W przeciwnym razie motywy ludzkiego działania byłyby żalosne, zielone, a wszystkie lepsze i dojrzałe okazałyby się jedynie złudą. Jak wykazuje historia świata, podlejsze przyczyny nie są jedynymi przewodnimi przyczynami. Bo czemu nieszczęśliwi ludzie nie przestają myśleć o najlepszym i tylko najlepszym? Weźmy na przykład nieszczęsnego Rousseau z obrazu, jaki po sobie pozostawił, ze szczeciniąstą i mętą twarzą, w sznurkowej peruce, który płacząc podczas własnej opery wystawionej na dworze monarszym znajdował tyle otuchy w płaczu wzruszonych dam i marzył o spianiu tych łez z ich policzków — ten opryskliwy Jean-Jacques, który nie potrafił z nikim żyć w zgodzie, jedzie w las Montmorency, aby wymyślić i opisać najlepszy rząd albo najlepszy system edukacji. Podobnie Marks, ze swoimi bolesnymi karbunkułami, swoją biedą i utratą dzieci, którego myślą naczelną było, że anioł historii daremnie będzie próbował lecieć przeciwko wiatrowi wiejącemu od przeszłości. Mogę jeszcze wymienić wielu innych, nie tak znamienitych, ale niemniej zatroskanych, zepsutych lub zwichrowanych, a mimo to pragnących poświęcić się jakiemuś wielkiemu celowi i wierzących w jakąś jedną co najmniej wartość. Oto czym pod przykrywką pragnień pozornych jest owo pragnienie głębsze.

Och, zazdrość, oczywiście. Ale istniało jeszcze całe mnóstwo innych defektów i słabostek. Czego to ja czasem

O sobie nie myślałem ubrany w piękne spodnie ze skóry kozłowej, w wysokie buty, z nożem w pochwie u boku, kiedy siedziałem za kierownicą kombi, jadąc niby z dworu w Greenwich wzdłuż Tamizy, zaraz po powrocie z wyprawy na Hiszpanów, z kwiatami głupoty u kapelusza. Oto jak widziałem siebie zadowolony i promienny. Mógłbym się usprawiedliwiać rozpierającą mi serce miłością... że byłem po prostu szczęśliwym głupkiem. Lecz ona też miała różne wybryki, kiedy na przykład chełpiła się, przechwalała albo rywalizowała z innymi kobietami. Albo szukała pochwał czy też zmuszała mnie, żebym podziwiał jej włosy lub skórę, do czego wcale nie trzeba mnie było zmuszać. Albo jak przyłapywałem ją na wypychaniu papieru toaletowego do stanika. Papieru toaletowego! Cóż za dziwaczne mniemanie o sobie — kompletna nieświadomość tego, co posiada! Po co jej były inne piersi? Zaglądałem w dekolt bluzki, gdzie jej piersi wydawały mi się skończenie piękne, i zachodziłem w głowę, po co?

Mógłbym wyliczyć więcej nieporozumień, jak bóle, strapienia, rżnięcia w brzuchu, niepokojące krwawienia nosa i wymioty, nieustanne lęki, by nie zająć w ciążę. Pyszniła się też czasem swoim pochodzeniem i zdolnościami muzycznymi. W rzeczywistości słyszałem tylko raz jej grę na pianinie, któregoś popołudnia w zajezdzie przydrożnym. Weszła na podwyższenie dla orkiestry

I możliwe, że instrument był rozstrojony, bo grywali na nim muzycy jazzowi, w każdym razie mało nie pękł, gdy wyżywała się na klawiaturze, myląc akordy i gubiąc poszczególne tony. Nagle przerwała i wróciła milcząco do stolika, z kroplami potu na nosie.

— To chyba nie jest mój dobry dzień — powiedziała. Było mi wszystko jedno, czy umiała grać, czy nie, ale jej wydawało się to ważne.

Lecz takie braki, zarówno we mnie jak i w niej, można było skorygować lub naprawić. Sądziłem, że po tym, co nie dotyczy spraw zasadniczych, można się po prostu „przeturlać”. Jak po przyborach kempingowych, które leżały na naszej drodze. Zapomnieliśmy je odłożyć na bok — myślę o jednym szczególnym dniu, kiedy na kocu leżały aluminiowe kubki, linki i troki. Było popołudnie, 442

znajdowaliśmy się u podnóża gór Ozark, daleko od drogi, na skraju lasu, w pobliżu pastwiska. Nad miejscem, w którym siedzieliśmy, stały chwiejne sosenki, wyżej większe drzewa, a niżej opadał stok. Mieliliśmy do picia kiepską wodę, zaprawialiśmy więc ją dla smaku żytniów- ką. Pogoda była upalna, powietrze lśniące, chmury białe i ciężkie, obfite, groźne, zwisie, jedwabiste. Otwarta przestrzeń jaśniała i prażyła się, zboże wydawało się szklane, bydło stało w wodzie. Upał i żytniówka sprawiły, że zdjęliśmy ubrania — najpierw koszule, potem spodnie, wreszcie wszystko. Zaskoczył mnie widok różowych sutek jej piersi, takich nabrzmiałych i sterczących, i czułem się wbrew wszystkiemu trochę nimi onieśmielony. Kiedy odłożyłem blaszany talerz i zaczęliśmy się całować, oboje na klęczkach, przesunęła mi dłonią po włosach na brzuchu. Czasem zaskakiwała mnie wyborem miejsca, na którym kładła pieszczotliwy pocałunek, i nie wiedziałem, skąd wyjdzie drgnienie szczęścia. Początkowo pozwalała całować tylko twarz, a usta dopiero, gdy objęła ramionami moją głowę. Kiedy mnie okrył i spowił żar, poczułem się zaspokojony po najmniejszy włos, z lekkością unoszony na jej ciele. Nie zamknęła oczu, ale nie miała ich otwartych, aby widzieć mnie lub cokolwiek — wypełnione i powolne nie zdobywały się na żaden wysiłek, a tylko chłoneły lub przejawiały. Bardzo szybko i ja przestałem cokolwiek spostrzegać i wiedziałem tylko, że wyszedłem ze wszystkich swoich kryjówek, poza wszelkie ograniczenia, wysiłki, krańce, obserwacje, i nie pragnąłem niczego, co nie byłoby dla niej, i czułem to samo z jej strony. W ten sposób trwaliśmy przez jakiś czas, odprężając się i z wolna rozluźniając objęcia, a potem znów przybliżyliśmy się do siebie i całowaliśmy szyję, mostek, skraj twarzy, włosy.

Tymczasem chmury, ptaki, bydło stojące w wodzie, wszystko zachowywało należyty dystans i nie trzeba było o nie dbać, odpowiadać za nie, mieć ich na głowie, lecz wystarczyło przebywać pośród nich, pozostających na wolności w swoim strumyku czy w powietrzu. Właśnie coś podobnego miałem na myśli mówiąc, że potrafię widzieć otaczający świat jak zwierzęta albo ptaki. A jeśli wymieniłem jednym tchem chicagowskie złomowisko

i dwór Karola Wielkiego, miałem po temu powody. Bo skądkolwiek spojrzę w niebo, przypominam sobie pszczoły i komary pyłu w skwarze ciężko rozdzielonym ulicą słupów kolei nadziemnej i jej stacjami — jak Lake Street, gdzie mieszczą się składy złomu i starych butelek — niczym okropnie zaprojektowany kościół szaleńców, ciągnący się bez końca, gdzie wierni wloką wózki swoich lachmanów i kości. I czułem się nieszczęśliwy, że i ja jestem tworem takich miejsc. Jak to jest, że ludzie dają się zwieść poprzedzającym dziejom, a zwykle stworzenia patrzą nieskazonymi oczyma?

Mało mieliśmy takich popołudni, odkąd zaczęliśmy ćwiczyć orła. Ostatecznie przecież miłość może być powołaniem mitologicznych postaci na Olimpie lub w Troi, takich jak Parys, Helena, albo różnych Palamonów i Emilii, ale my musieliśmy zacząć zarabiać na chleb. I nie mogliśmy tego robić w żaden inny sposób jak tylko ten, który obrała Tea, to znaczy polując z orłem na inne zwierzęta. Z przybyciem do Texarcany skończyła się figlarna i złocona część naszej wyprawy.

Na widok tego dzikiego zwierzęcia w klatce zrobiło mi się ciemno przed oczami, a potem coś jakby spłynęło po nogach, jakbym się zmoczył — ale to tylko coś się stało z moimi żyłami. Naprawdę jednak na widok tego, z czym mieliśmy sobie radzić, załamałem się nerwowo i zrobiło mi się ciemno w oczach. Ten ptak wydawał się bliskim krewnym tamtego, który raz na dzień siadał na Prometeuszu. Łudziłem się, że będzie mniejszy i że wychowany przez nas od pisklęcia zdoła obudzić w sobie jakieś uczucia. Lecz nie — ku mojej rozpaczce — był równie wielki jak tamten w Chicago, z takimi samymi tureckimi czy spadochroniarskimi hajdawerami na bezlitosnych łapach.

Tea była okropnie podniecona i pełna zapału.

— Och, jaki on piękny! Ile ma lat? To już nie orlątko. Wygląda na w pełni dorosłego i waży ze dwanaście funtów.

— Trzydzieści — powiedziałem.

— Och, nie, kochanie.

444

Oczywiście wiedziała o nim więcej niż ja.

— Ale pan go chyba nie wyjął z gniazda? — zapytała właściciela.

Stary, który miał przydrożne zoo z górskimi lwami, armadylami, paru grzechotnikami, był kawalarzem typu dawnych poszukiwaczy złota lub niegdysiejszych szczurów pustynnych, dopraszających się oczyma, abyś uwierzył, że czające się w nich łotrostwo to tylko wybryk natury albo efekt niekorzystnego oświetlenia. Ale nie na darmo kręciłem się po sali bilardowej Einhorna i wychowała mnie babcia Lausch, toteż rozpoznałem w nim od razu starego sukinsyna i kawał buca w głębi serca.

— Nie, nie wspinałem się po niego. Znajomy mi go przyniósł, jeszcze bardzo małego. One cholernie szybko rosną.

— Wydaje mi się starszy. Powiedziałbym, że jest w kwiecie wieku.

— Muszę wiedzieć, czy był kiedykolwiek osvajany... czy zanim został oswojony, nie polował na dziko — powiedziała Tea.

— On nie opuszczał tej klatki, odkąd się wykluł z jaja. Pani wie, że ja dostarczam zwierząt pani wujowi już ze dwadzieścia lat. — Myślał, że George H. Jakoś tam jest jej wujem.

— Och, weźmiemy go, oczywiście — powiedziała. — Jest taki wspaniały. Niech pan otworzy klatkę. /<sup>v</sup>

Skoczyłem do przodu, bo zląkłem się o jej oczy. Polowanie z tymi małymi sokołami wędrownymi wśród łąk na wschodzie, w towarzystwie dam i myśliwych, to bardzo piękna sprawa, ale znajdowaliśmy się na skraju Teksasu, owiani zapachem gór i pustym, a Tea nigdy dotąd nie dotykała orła, mimo że miała doświadczenie z mniejszymi ptakami i umiała łapać jadowite węże. Jednakże była bardzo opanowana, gdy zajmowała się zwierzętami, wcale nie czuła przed nimi lęku. Wciągnąwszy rękawicę włożyła rękę z kawałkiem mięsa do klatki. Orzeł wytrącił z jej palców mięso i zjadł. Spróbowała podać mu drugi kawałek, a wówczas wspiął się na jej rękę z tym niemal niesłyszalnym wiewem rozpostartych skrzydeł, który sam w sobie jest straszny, wzniesionym ramieniem tryskającym mocą i wachlarzem lotek z ukrytą

445

rdzawą pachą czy też największą wklęsłością pod skrzydłem niby anioła śmierci. Szponami mocno trzymał jej ramię i szarpał mięso. Gdy jednak chciała go wyjąć z klatki, zaatakował dziobem. Próbowalem ja to zrobić, a wtedy kolnął mnie dziobem nad rękawicą kalecząc głęboko przedramię. Spodziewałem się tego, jeśli nie czegoś więcej, i odczułem dziwną ulgę, że stało się to tak szybko, bo teraz mniej się go bałem. Dla Tei, zafascynowanej i bledszej niż kiedykolwiek w białej czapce z zielonym daszkiem, ożywionej, pełnej energii, ze wzniesionym czołem, na którym widniało zdecydowanie, aby orła kupić i oswoić, moja tryskająca krew była w tej chwili zwykłym przypadkiem, czymś tak zwyczajnym jak chrzest żwiru pod butami. Zawsze tak traktowała nie-szczęśliwe zdarzenia — wywrotki, upadki z konia, motocykla, zacięcia nożem i myśliwskie skaleczenia — kiedy była w akcji.

Wreszcie przenieśliśmy ptaka na tył kombi. Tea była uszczęśliwiona. Musiałem zrobić kilka rzeczy, takich jak zabandażowanie ręki, przestawienie skrzynek, żeby ptak miał więcej miejsca, i to pozwoliło mi ukryć ponury nastrój. A tymczasem stary ledwie skrywał uśmiech pod bokobrodami twarzy, gdy mu się zwierzała ze swych planów. Jak większość entuzjastów, Tea rzadko kiedy umiała właściwie ocenić człowieka, który udaje, że słucha z powagą. Ponieważ zaś stary miał wziąć niezłą cenę za swojego orła lub, jak ja to rozumiałem, wyzbywał się trudnego wychowanka, uśmiechał się złośliwie. Odjechaliśmy zatem z tym ptaszyskiem królującym w tylnej części kombi. Widziałem, jak bardzo rada i ufna jest Tea, więc tylko zakonotowałem sobie miejsce dubeltówki za siedzeniem.

Pamiętam kuzynkę babci Lausch, która recytowała po rosyjsku Orła Lermontowa. Nie znałem rosyjskiego, ale wiersz brzmiał cudownie i romantycznie. Była ciemna, miała czarne oczy, głos płomienny, lecz ręce bezsilne. Znacznie młodsza od babci, wydała się za kuśnierza. Usiłuję tylko zebrać wszystko to, co człowiek wychowany w mieście mógł w ogóle wiedzieć o orłach, i to jest bardzo ciekawe: orzeł na monetach, wysoko szybujące orły Bombaju, orzeł Ministerstwa Odrodzenia Narodowego, 446 z kołem zębataym i błyskawicami, ptak Jupitera i różnych narodów, zarówno republik jak i Cezara, legionów i wróżbiarzy, pułkownika Juliana — Czarnego Orła Harlemu — a także kruki Noego i Eliasza, które mogły z powodzeniem być orłami; samotny orzeł, prezydent zwierząt. A także rabuś i padlinożerca.

Cóż, z czasem wszyscy w mniejszym lub większym stopniu doganiamy legendy.

Wydawało mi się, że ptak jest w kwiecie wieku, ale stary miał chyba rację, chociaż zapewne ujął mu jakieś osiem miesięcy. Orły amerykańskie, czyli łomignaty białogłowe, są zwykle czarniawe do czasu osiągnięcia wieku dojrzałego i zanim uzyskają białą część upierzenia, zmieniają kilka razy pióra. Nasz orzeł nie miał jeszcze białych piór ani w pełni złego oka w pobielalej głowie, ciągle jeszcze Czarny Książe, a nie Król. Był jednak piekielnie przystojny z tą swoją wymierzoną w przód głową, ciemnobrunatną barwą, z tu i ówdzie prześwitującymi białymi piórami, jego oczy budziły grozę jak jakieś klejnoty połyskujące tylko okrucieństwem, a całym sobą manifestował, że jest tu tylko dla własnych potrzeb. Nienawidziłem go od początku ponad wszelką miarę. Musieliśmy przez niego być na nogach całymi nocami, przez co przeszkadzał nam w miłości. Jeżeli spaliśmy pod gołym niebem i budząc się nie znajdowałem obok siebie Tei, wiedziałem, że znajdę ją przy nim. Albo budziła mnie i kazała iść sprawdzić, czy wszystko w porządku — pęta na nogach, zatyczki w otworach pęt, rzemień przewleczony przez oczka zatyczek. Jeżeli wynajmowaliśmy pokój w hotelu, dzielił go z nami. Słyszałem jego stapanie, skrzywienie piór, syk jakby osuwającego się śniegu. Był jej idie Juce, niby dzieckiem w pełni ją absorbującym, pozbawiał ją tchu. Kiedy jechaliśmy lub jedliśmy, stale odwracała się do niego, i zastanawiałem się, czy nawet przy innych okazjach nie myśli tylko o nim.

Musieliśmy go oczywiście ujarzmić, aby nie mieć na karkach potężnego i dzikiego stworu, bo antagonizm pomiędzy zniewolonym a jego panami wciąż wzrastał. Pogodziłem się z istnieniem orła, ponieważ musiałem. Wcale nie wymagał, abym go kochał, spodziewał się czegoś innego. Można z nim było dojść do porozumienia

za pomocą mięsa. Tea rzeczywiście wiedziała, jak go oswoić, więc naturalnie, posiadając tę umiejętność, musiała więcej ode mnie o nim myśleć. Wkrótce zaczął jeść nam wołowinę z ręki. Trzeba było do tego przywyknąć. Szarpał nam szponami skórę pod rękawicami i w ogóle siał wokół zniszczenie. Musiałem się też przyzwyczaić do tego, co wyprawiał dziobem, gdy żerował. Lecz później, gdy zobaczyłem sępy szarpiące ścierwo, nabrałem uznania dla dumnego zachowania przy jedzeniu u tego szlachetniejszego ptaka.

Tak to wyglądało w czasie podróży przez Teksas, a było bardzo gorąco. Zatrzymywaliśmy się po kilka razy dziennie, żeby popracować nad ptakiem. Zanim dojechaliśmy w okolice Laredo, gdzie jest pustynia, przylatywał już z dachu kombi do ręki Tei lub mojej. A jego rozpostarty cień odejmował człowiekowi serce swoim zapachem i mocą — Etnowym upierzeniem i rozwarciem zakrzywionego dzioba. Często wówczas bez żadnego przygotowawczego ruchu, jaki się daje zauważyć u innych stworzeń, strzykał prostą, ciężką strugą kału, nim zerwał się do powrotnego lotu na dach kombi. Tea nie posiadała się z zachwytu nad tymi postęпами. Ja zaś nie posiadałem się z zachwytu nad nią, i to z mnóstwa przyczyn, wśród nich z podziwu nad jej umiejętnością tresury.

Ptaki łowcze muszą być zakapturzone. Tea miała przygotowany kaptur, czubate nakrycie z tasiemkami, które się zaciskało lub luzowało, przed wypuszczeniem ptaka, aby się wzbił w niebo i czekał na zdobycz. Ale przed założeniem orłu kaptura trzeba go było w pełni ujarzmić, więc nosiłem go na ramieniu jakieś czterdzieści godzin bez snu. Nie chciał zasnąć, a Tea pilnowała, żebym nie zasnął ja. Było to w Nuevo Laredo, zaraz za granicą. Zamieszkaliśmy w hotelu pełnym much, w brunatnym pokoju z olbrzymim kaktusem niemal w oknie. I tam początkowo chodziłem od ściany do ściany, potem wreszcie usiadłem po ciemku z ręką na stole, przygwożdżony ciężarem ptaka. Po kilku godzinach cały bok i ramię zdrętwiały mi aż do kości. Muchy mnie gryzły, bo miałem tylko jedną rękę wolną, a poza tym nie chciałem go spłoszyć. Tea kazała chłopakowi przynieść kawy, którą zabrała od niego w drzwiach. Widziałem, jak chłopak 448 wytrzeszcza oczy chcąc nas podpatrzeć — wiedział, że mamy ptaka, i może nawet widział na mojej styranizowanej ręce jego kształt i czujne oko.

Gdy zajechaliśmy przed ten hotel i otworzyliśmy tylne drzwi kombi, zebrał się zdumiewający tłum. W ciągu kilku minut zbiegło się ponad pięćdziesięciu mężczyzn i dzieci. Orzeł przyszedł mi na rękę po mięso, a dzieci wrzasnęły:

— Aj! Mira, mira... elóguila, elóguila! — Był to chyba niezły widok, bo jestem dość wysoki i miałem na sobie przydadający jeszcze wzrostu kapelusz i prążkowane bryczesy, a ponadto słuchałem wyraźnie poleceń urodziwej i bardzo przejętej ważnością Tei. W każdym razie orły cieszyły się odwiecznym szacunkiem w Meksyku z uwagi na dawną religię i klasę rycerzy z czasów rzezi mieczem z obsydianu, której świadkiem był Diaz del Castillo. Dzieci, jak powiedziałem, wrzeszczały widząc kołyszącego się na moim ręku orła:

— El óguila, el óguila! — A ponieważ nigdy przedtem nie słyszałem hiszpańskiego, wyszło mi z tego całkiem inne słowo, rzymskie imię Kaligula. I pomyślałem sobie, jakie to odpowiednie imię dla tego orła. Kaligula!

— El óguila!

— Si, Kaligula — powiedziałem i po raz pierwszy odczułem pewną satysfakcję.

A teraz ptak boleśnie przyspilił mi rękę do stołu, co napełniało mi pierś i usta jękiem, którego nie wolno mi było wydobyć na zewnątrz. Dźwigałem tego ptaka, dokądkolwiek szedłem, również do toalety, i siedząc albo stojąc miałem wciąż na sobie jego krytyczne spojrzenie, którego sens mogłem próbować zgłębiać lub starać się wyczuć, ile tylko chciałem. Kiedy wstawałem, żeby wyjść, wyrywał się z trzepotem skrzydeł z markotnego przygnębienia, zaczynał kołysać szyją, oczy mu ożywały i ucisk na rękawicy stawał się mocniejszy. Nie będę próbował umniejszać swego strachu, gdy po raz pierwszy musiałem iść z nim do toalety. Trzymałem go na takiej odległość od siebie, na jaką mi siły pozwalały, on tymczasem rozprostowywał skrzydła i zmieniał pozycję swoich grubych nóg.

O obserwacji! Ona to właśnie, jak mi się wydaje, była

przedmiotem naszych sporów. Tę rozmowę z Teą o życiu w oczach innych ludzi już relacjonowałem. Kiedy dokonano tyle zniszczenia spojrzeniem i tyle straszliwego despotyzmu należało do oczu? No przecież Kain otrzymał piętno na czole, aby nigdy nie stracił świadomości swojego wyglądu w oczach innych ludzi. A policja towarzyszy oskarżonym i podejrzanym nawet do kibla, strażnicy więzienni zaś do woli obserwują skazanych przez kraty i judasze. Wodzowie i tyrani ludu nie uwalniają go od skrepowania. Próżność spełnia tę samą rolę w życiu prywatnym i w każdym rodzaju ucisku jest się narażonym i nie można się zapomnieć—jest się widzianym, trzeba być świadomym. Najbardziej osobistym poczynaniom w życiu towarzyszy obecność i moc kogoś innego — człowiek rozszerza jego byt we własnych myślach, które tamten zamieszkuje. Podobnie śmierć czyni wielkich ludzi pamiętanymi przez pomniki. Toteż musiałem znosić spojrzenie Kaliguli. I znosiłem.

Długo opierał się założeniu kaptura. Próbowaliśmy go zakapturzyć kilka razy i wyszedłem z tego z rozchłastaną ręką klnąc na czym świat stoi, lecz nadal go nosiłem. Czasami zmieniała mnie Tea, ale ptak był dla niej za ciężki i mniej więcej po godzinie wabiłem go z powrotem na swoją rękę, która nie zdążyła wypocząć. W ostatnim, półprzytomnym okresie nie mogłem wytrzymać w pokoju i wyszedłem z nim na ulicę, gdzie krzyki go niepokoiły. Bezcelnie weszliśmy do kina i usiadłem z nim w ostatnim rzędzie. Jednakże dźwięki filmu jeszcze bardziej go denerwowały i w końcu przestraszyłem się, że wpadnie w szal. Zanim wyszedłem z powrotem do hotelu i nakarmiłem kawałkami mięsa, żeby się uspokoił. Później, w środku nocy, w świetle lampy ciemniowej Tei, spróbowałem jeszcze raz nałożyć mu kaptur i tym razem się udało. Zakapturzonego karmiliśmy dalej mięsem, więc był spokojny. Znacznie spotulniał, kiedy miał zakryte oczy. Odtąd podróżował albo na mojej, albo na Tei ręce i dawał się kapturzyć nie atakując nas dziobem.

Kiedy odnieśliśmy to zwycięstwo i Kaligula stanął w kapturze na komodzie, padliśmy sobie w objęcia i odtanńczyliśmy taniec triumfu. Tea poszła przygotować się do snu, a ja zwałem się na łóżko, tak jak stałem.

450  
w spodniach, i spałem dziesięć godzin. Tea ściągnęła mi buty i nie budziła.

W następnym popołudniu, jasne i upalne, wyruszyliśmy do Monterey. Drzewa, krzaki, kamienie rysowały się wyraźnie jak to jedynie możliwe w spiekocie i wonności żaru z nieba. Ogromny ptak, gdy Tea wyniosła go z hotelu, zareagował na to wszystko jakby zwiększeniem zmysłowości. Mnie kręciło się w głowie od długiego snu i gorąca bijącego spiralami z drogi i kamieni. Również łapy i brzusce, jęzory i szczęki kaktusów, ich kościce, pył jakby żywiczny, łuszczące się, kruszące ściany były udręką dla oczu i skóry. Ale wraz z przemierzaną drogą i upływem godzin ochłodziło się, więc odżyliśmy oboje.

Zatrzymaliśmy się w Monterey tylko po to, by uzupełnić zapasy — głównie surowego mięsa dla Kaliguli. Chętnie zatrzymałbym się tam dłużej ciekaw wieczoru w tym zagranicznym mieście — było tak zielone, a domy takie czerwone i tłum tak liczny na otwartej przestrzeni przy stacji kolejowej z niskimi wejściami i oknami. Lecz Tea wpadła na pomysł, żeby jechać dalej dla uniknięcia upału. Nie była to łatwa jazda, bo wśród nie ogrodzonych pól napotykalimy bydło na drodze pozbawionej nocnych oznakowań, za to obfitującej w głupie skręty. Przez pewien czas utrzymywała się mgła, chociaż księżyc świecił dość jasno. Z tej mglistej osłony wynurzały się wielkie kształty zwierząt i czasem dopędzaliśmy jeźdźców na koniach zostawiając potem za sobą stukot żelaznych podków, brzęk i skrzywienie uprzęży.

W pewnym miasteczku daleko za Valles zatrzymaliśmy się, aby spędzić resztkę nocy, a i to na moje usilne nalegania. Powietrze było rześkie, gwiazdy się iskrzyły, koguty piałły i nigdy nie zażywająca snu część mieszkańców meksykańskich miast przyszła popatrzeć, jak wyjmujemy z samochodu orła, z takim samym namaszczeniem, z jakim zwykle uczestniczy w niedzielnej procesji, i tak jak wszędzie ludzie mówili do siebie ze zdumieniem:

— Es un óguila! — Chciałem zostawić Kaligulę w samochodzie, gdzie było pełno jego ekskrementów i ptasiego smrodu, ale nie raczył na to przystać. Pozostawiony na całą noc w samotności, robił się rano złośliwy, a Tea

451

obecnie bez reszty pochłonięta jego karierą nie widziała rzeczy ważniejszych. Tworzyła bowiem historię. Trawiła ją namiętność rządu tych, które powodowały poczynaniami owych dzielnych młodych synów finansistów, co to latali w latach dwudziestych samolotami i usiłowali bić rekordy przelotu z Nowego Orleanu do Buenos Aires, ponad dżunglami pochłaniającymi ich czasem wraz z maszynami. Wciąż mi uświadamiała, jak niewielu ludziom od czasów średniowiecza udało się ułożyć orła do polowań. Przyznawałem, że jest to wspaniała rzecz, i podziwiałem ją bezgranicznie. Dziękowałem Bogu, że mogłem w tym choć statystować czy być asystentem. Usiłowałem jednak wytłumaczyć jej, że obecność orła w pokoju przeszkadza mi, gdy leżymy w łóżku, kępuje. Że w końcu jest to zwierzę, nie dziecko w kołysce, któremu trzeba dać pierś albo butelkę. Do Tei nie docierały żadne argumenty, widziała tylko cel, jaki chciała osiągnąć przy pomocy tego ptaka, i ani przez chwilę nie wątpiła, że mnie chodzi o to samo. Sądziła, że różnimy się tylko co do sposobu tresury. Siła napędowa, ta sama, która na swój sposób dotykała wszystkich znanych mi ludzi, a którą w pewnym stopniu, chociaż na innym miejscu, i ja dysponowałem, niosła i pchała nas oboje. Bo jak tu zrezygnować, gdy się, że tak powiem, miało orła w garści? Skoro zaczęliśmy, musieliśmy brnąć dalej. Ale nie to było istotne, że znajdowaliśmy się w połowie trudności. Nie, powodowała się pasją chwytania za pomocą orła tych wielkich jaszczurów.

Przy drzwiach posada, zajazdu, płonęły dwie brudne grudki naftowego blasku jak dwie śliwy daktylowe z czarnymi prążkami. Bruk uliczny był śliski, ale nie od rosy ani deszczu, a zapachy, których jeszcze nie umiałem rozróżniać, unosiły się w powietrzu gęsto przemieszane — zapach słomy, gliny, węgla i dymu drzewa ocote, warzonego jadła, kamieni, łajna i owsianki, gotowanych kurcząt, pieprzu, psów, świń, osłów. Nic nie było jak dotychczas, wszystko obce. Na podwórzu, gdzie się aż zakotłowało najprawdopodobniej z przerażenia, gdy nieśliśmy zakap- turzonego Kaligulę, i w pokoju, gdzie wonne powietrze sphywało od zarośniętego zbocza na białe ściany i smrody miasteczkowe, tak samo jak przeciągły impuls ze środka 452 oceanu porusza zgniłe pomarańcze i inne śmieci u nabrzeża. I ta Indianka, która zdjęła kapę z żelaznego łóżka 0 fantastycznym kształcie białej pająkowatej mały.

Nie odpoczywaliśmy długo tej nocy, bo już wczesnym rankiem praczki zaczęły chlastać bielizną przy zbiorniku, ktoś tłukł kukurydżę, zwierzęta się ożywiły, szczególnie osiołki, i rozległ się głos kościelnego dzwonu. Jednakże Tea ocknęła się radosna i zaraz dała Kaliguli środek na uspokojenie, poranną porcję mięsa, ja zaś wyruszyłem przez wilgotne pokoje na poszukiwanie chleba i kawy.

Z powodu ptaka podrólowaliśmy dosyć wolno. Teraz Tea chciała go nauczyć latania za przynętą. Była nią końska podkowa z przywiązanymi skrzydłami i łbami kurczęcia lub indyka. Rozkręcało się ją na rzemieniu 1 puszczało w górę, a wtedy orzeł wykonywał silny skłon przygotowawczy i wzbijał się w powietrze. Jego problemy należały do gatunku problemów pilota liniowego, co się tyczy oceny odległości i prądów powietrznych. Nie chodziło w jego wypadku o prostą mechanikę lotu małych ptaszków, które wzbijały się i lądowały za podszeptem impulsu, ale o bardzo poważne zadanie. Gdy wleciał na należytą wysokość, wydawał się leciutki jak pszczołka, a z czasem widywałem go na wysokościach tak dużych, że wyglądał jak zwyczajny rozbrzykany gołąb — wykorzystywał zapewne rozmaite dziury powietrzne, zimna i gorąca. Tak czy inaczej był to wspaniały widok, gdy tkwił nieruchomo, jakby nad ogniami atmosfery, jakby sprawował tam, w górze, jakieś rządy. Jeżeli się powodował drapieżnością i wszystkim, co się opiera na akcie mordy, miał również naturę zdolną odczuwać tryumf z umiejętności wydzwignięcia się na największe wyżyny, na jakie tylko istota z krwi i kości może dotrzeć. I uczynienia tego z własnej woli, nie tak jak inne formy życia na tej wysokości, zarodki i spadochronowe nasionka, które nie przebywały tam jako osobniki, lecz wysłannicy gatunków. Im dalej posuwaliśmy się na południe, tym głębsze wydawało się niebo, aż po przybyciu do Doliny Meksyku pomyślałem, że powstrzymuje ono jakiś element zbyt silny dla życia i że płomienna jasność błękitu oddala jego groźbę i czasem niby przepona lub jedwabista membrana



objawia w zwiśnięciach podtrzymywany ciężar. Więc kiedy później Kaligula wznosił się wysoko nad stare kratery na wyżynie, węgliste wrzenie świata podziemnego, we wszechobecnej czerwieni od słońca, nad pokryte śniegiem wierzchołki — szybując jak Szatan—to przecież właśnie tutaj dawni kapłani, jeszcze przed Hiszpanami, czekali, aż Aldebaran znajdzie się w środku nieba i da im znak, czy życie przetrwa jeszcze jeden cykl, czy nie, a otrzymawszy swój astronomiczny znak rozpalali nowy ogień w rozplątanej i opróżnionej piersi ofiary ludzkiej. I również mniej więcej tutaj wierni przebrani za bogów i jako bogowie w ptasim przebraniu skakali z platform na wysokich słupach i szybowali obracając się na linach — pierzaste węże, a także orły, voladores, czyli latawcy. Jeszcze i dziś bywają tacy straceńcy na placach targowych, tak jak istnieją resztki albo przekształcenia, albo ekwiwalenty wszystkich dawnych rzeczy. W miejsce stosów czy piramid czaszek z włosami, kapiących kawałkami odpadającego mięsa, leżą przy drogach trupy psów, szczurów, koni i osłów. Kości wykopane z wynajętych grobów rzuca się na stos, gdy termin wynajmu mija. I są też trumny wyglądające jak karykatura kobiecych kształtów, które sprzedaje się w sklepach, czarne, białe, szare, wszelkich rozmiarów, ze śmiertelnymi lamówkami namazanymi srebrną farbą na czarnym tle. Żebracy na stopniach kościołów udają, skamłając, odwieczną kościelną hiszpańszczyzną śmiertelną słabość, pokazując kikuty nóg i rany. Tragarze z długimi sznurami konopnymi, które zakładają sobie na czoło, aby podtrzymać ciężar dźwigany na plecach, leżą wśród śmieci w porze sjęsty ilustrując lekceważenie okazywane zmarłym. A wszystko to dla podkreślenia, jak otwarcie przyjmuje się wszędzie śmierć wśród otaczającego piękna i że każdy człowiek może zostać potraktowany brutalnie — nawet najdumniejszy— nękany, bity, poskromiony, powalony. Bo śmierć rzuca człowiekowi w twarz jeszcze gorsze rzeczy, jest przyczyną tej okropności i absurdu, że ktoś nigdy nie tknięty nawet palcem zostaje jak śmieć wyrzucony, jak śmieć zasypany.

Gdy Kaligula szybował pod tym niebem, zastanawiałem się czasami, jaki on może mieć związek z tym 454 elementem aż za wielkiej siły, zaczipowanej w starych otworach kraterów.

Ale na razie nie szybował. Wciąż latał ciężko za przynętą ze śliskimi podrobami, nadpsutymi w słońcu. Była wyrzucana raz za razem w dół zbocza, bo tylko w ten sposób mogliśmy go nakłonić do lotu. Ilekroć Tea łeb obliczyła odległość, zbijał mnie z nóg, bo byliśmy z nim związani liną, która opasywała mnie wokół piersi. Tea biegła, żeby zobaczyć, jak pożera kurczę, i dawała mi znać, kiedy mam pociągnąć za linkę. Stopniowo więc nauczył się wracać od przynęty na rękawicę. Chociażby miejsce na stoku, gdzie zatrzymywaliśmy się, aby przeprowadzić trening, było nie wiadomo jak oddalone, wkrótce zbierała się wokół nas gromadka pasterzy i wieśniaków w pizamowatych białych ubiorach, w sandałach podzielowanych kawałkami opon, małe dzieci i górale o pomarszczonych kamiennych twarzach, które świadczyły, jak poważnie to traktują.

Co do Tei, czasami wyglądała bardziej barbarzyńsko od tych ludzi mimo swojej cywilizowanej szminki i konwencjonalnego kroju bryczesów. Stała z ręką wyciągniętą w stronę orła, kiedy opadał, hamując skrzydłami, ze złożonymi razem nogami i z rozwianymi od pędu piórami na piersi. Pelerynka Tei łopotiała. Byłem z niej bardzo dumny. Uważałem, że to najwspanialszy widok, jaki mogłem kiedykolwiek ujrzeć. Omotał mi duszę niby delikatną szarfą. I jeszcze wykrzykiwała do mnie, kiedy ustawiałem się do przejęcia ptaka, zachwycona jego wspaniałym wyglądem. Mnie też oczywiście on radował, choć nie aż upajał.

Po dziesięciu dniach dojechaliśmy do Mexico City. Tea miała się spotkać z przedstawicielem adwokata Smit-ty'cgo, więc musieliśmy się tu na trochę zatrzymać. Wbrew jej pragnieniom, bo chciała jechać natychmiast do Acatla. Urządziliśmy się bardzo tanio w hotelu pod nazwą La Regina, za jedne trzy peso dziennie. Nie krzywiono się tam na obecność orła, a hotel wydawał się skromny i spokojny, niezwykle czysty, ze świetlikiem w dachu nad hallem i galeryjkami, z których wchodziło się do pokoi, pryszniców i toalet. Hall też był bardzo ładny, zawsze pusty. Z góry miał wygląd schematyczny.

Fotele, stoliki do pisania ustawione geometrycznie, lecz nikt z nich nie korzystał. I wkrótce odkryliśmy, że prawdopodobnie hotel otrzymał swą nazwę dla uczczenia dawnej rozwiązłej władczyni Cypru. W szafach stało pełno misek do podmywania, a łóżka miały pod prześcieradłami gumowe ceraty, co trochę irytowało. Za dnia byliśmy w hotelu sami z pokojówkami, które bawiliśmy sobą. Śmieszyło je, że mieszkamy w domu schadzek, i usługiwały nam, prały, prasowały spodnie, przynosiły kawę i owoce, bo byliśmy jedynymi gośćmi. Bawiła je hiszpańszczyzna Tei — ja zacząłem sobie dopiero przyswajać poszczególne słowa — a także jej prośby i to, że wzywała je, kiedy leżeliśmy oboje w łóżku i zamawiała dla nas owoce mango, a dla orła mięso. Zachęceni, abyśmy się czuli swobodnie, okrywaliśmy się tylko ręcznikami idąc pod prysznic, a kiedy chciałem się uwolnić od towarzystwa orła, nikomu nie przeszkadzało, jeśli szliśmy do któregoś z innych pokoi. Jedynie w nocy Regina ujawniała swoje złe strony i choć jej klientelę stanowili zapewne ludzie szacowni, nie mieli pojęcia o cichym zachowaniu, a w bardzo niewielu pokojach okna nad drzwiami były oszklone. Jednakże wracaliśmy do hotelu dopiero nad ranem, bo zwiedzaliśmy miasto

I sypialiśmy dużo za dnia. Regenerowałem siły w ręce, której rany się goiły. Tea oprowadzała mnie po pałacach, nocnych klubach, zoo, po kościołach. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie jeźdźczyńie w Chapultepec, te patrycjuszki w kaskach, szerokich spódnicach i obcisłych, czarnych bucikach skórzanych, siedzące w siodle bokiem. Świat był rzeczywiście znacznie większy, niż sobie wyobrażałem.

— Zaczynam rozumieć — przyznałem się Tei — że naprawdę wiem niewiele.

Roześmiała się i odparła:

— Służę ci informacjami o tych wszystkich rzeczach, które znam. Ale ile ich musisz poznać?

—

Nie, naprawdę jest ich bardzo wiele — powiedzą' łem, bo byłem

zdmumiony i uderzony, jakie to wszystko jest wspaniałe. Chciałbym zostać dłużej, lecz musieliśmy m zająć ptakiem, a poza tym Tea nie bardzo lubiła | miasto. pBpS

456

Nie mogłem podawać w wątpliwość jej opinii na temat Kaliguli — tutaj się z nią zgadzałem i miałem do niej zaufanie, bo dowiodła swych umiejętności. Ten stwór rozszarpałby mnie na kawałki, gdybym się sam podjął osvajania, zakładając, że miałbym na to dość odwagi. Nie, gdy chodzi o orła, robiłem, co mi kazała. Gdy dowiedziałem się o nim więcej, drżałem na myśl o tym, jak wielu środków ostrożności zaniedbaliśmy. Powinniśmy nosić druciane maski, zwłaszcza podczas nauki puszczenia przynęty i wracania na rękawicę po mięso, ponieważ łomignaty białogłowe są najbardziej niebezpieczne, gdy mają pod sobą żer. Kaligula mógł wykluc Tei oczy. Lecz to się nie zdarzyło, a z czasem tak go wyuczyła, że reagował na nasze głosy i po schwyтaniu zdobyczy od razu przychodził jeść mięso z naszych rąk. Mówiliśmy do niego i staraliśmy się go pieścić. Lubił głaskanie piórem. Bardzo się obłaskawił, a mimo to serce mi biło, kiedy go kapturzyliśmy albo rozkapturzali.

W hotelu Regina wezwaliśmy wystraszone pokojówki, by były obecne przy naszej pracy z orłem. Tea ustawiła je w szeregu i powiedziała:

— Hablen, hablen, ustedes! — Musiały rozmawiać. Chodziło bowiem o to, by przyzwyczaić Kaligulę do bliskiej obecności ludzi i do hałasu. Więc Indianki w fartuchach, tyleż wystraszone, co rozbawione nami, stały w szeregu i patrzyły, jak Tea bierze orła z komody na rękawicę. To, co sobie wyobraziłem, gdy go zobaczyłem pierwszy raz, zdarzyło się naprawdę jednej z tych młodych dziewcząt — gdy zdjęliśmy kaptur z tych bezlitosnych oczu i ostrego dzioba z otworami nosowymi — zsi- kała się w majtki. Lecz obecność otaczających go kobiet rzeczywiście wpłynęła na Kaligulę. Zjadł mięso, a potem w pewnej chwili przechylił łeb do Tei i zachował się jak kot, który chce się ocierać, oplatać i owijać wokół nóg kobiety.

— Och, spójrz! — wykrzyknęła Tea. — Augie, spójrz, co on robi, on chce, żeby go pieścić.'

Odtąd zaczęła się niecierpliwić, że musi czekać w mieście.

— Teraz jest pora na następny krok. Powinniśmy już być z nim na wsi.

20 — Przypadki.

457

— Więc jedźmy na wieś.

— Nie możemy. Muszę zobaczyć się z adwokatem. Ale denerwuje mnie ta strata czasu. Moglibyśmy już dobijać do celu. Zacząć wprawiać go do łowów.

Rozumiała przez to zapoznanie orla z jaszczurami. Nie tą olbrzymią odmianą, z wysoką kryzą, którą pokazywała mi na obrazkach, obiektem naszych starań, ale z mniejszymi jaszczurkami. A ponadto należało przyzwyczaić Kaligulę do konia albo osiołka burro, bo te olbrzymie jaszczury zamieszkiwały najbardziej niedostępne części gór, daleko od dróg, i nie mogliśmy się guzdrać z nim przez całą tę długą i trudną drogę.

Sądziłem, że Tea nie powinna tak bardzo się spieszyć z rozwodem. Mogło to nie wyjść jej na dobre. Nie chciałem pytać o szczegóły, gdyż uważałem, że dość długo zajmuje się sprawami swojego majątku, aby umieć o nie dbać. Cóż ja mógłbym jej doradzić? Ponadto nie chciałem znać wszystkich jej kłopotów ze Smittym, a gdybym zapytał, na pewno by mi je przedstawiła. Nie poruszałem więc tego tematu i spędzaliśmy wolny czas na robieniu kolorowych fotografii Kaliguli siedzącego na mojej ręce przed katedrą, póki policjanci konni wypadli galopem z bramy jakiegoś ministerstwa nie przepędzili nas z placu. Odnosili się do mnie bardzo surowo. Domyślałem się, że szło im o to, iż ptak jest niebezpieczny, i chcieli zobaczyć moje papiery. Do Tei odnieśli się z większym szacunkiem, lecz w końcu z uśmiechami pożeraczy serc niewieścich kazali nam odejść. Tea nadal zamierzała sprzedawać artykuły ilustrowane o Kaliguli do „National Geographic” lub „Harper's Magazine”. Znała jakiegoś pisarza w Acatla, który miał nam pomóc, i wciąż robiła notatki w małym bardzo eleganckim notesiku oprawnym w czerwoną skórę ze złotym ołówkiem na łańcuszku. W rozmaitych najdziwniejszych chwilach kładła sobie ten notesik na kolanach i pisała w nim ze zgiętą szyją po kilka słów na stronie, a przerywając, aby się namyślić albo cos sobie przypomnieć, poruszała ręką z ołówkiem, jakby cieniując rysunek. Studiowałem ją uważnie i spostrzegłem nawet, iż fałdy na zgięciach jej palców są bardzo podobne do moich.

— Kochanie, w którym to mieście w Teksasie on chciał się puścić za królikiem?

— Czy nie gdzieś koło Uvalde?

— Ach, nie. A może?

Położyła dłoń na moim udzie. Tutaj, w mieście, złościła swoje paznokcie. Świeciły. I miała na sobie aksamitną suknię, tę miękką, czerwoną, z ciężkiego materiału. Z guziczkami w kształcie muszelek. Siedzieliśmy pod drzewem na krzesłach z kutego żelaza. Patrząc na nieskazitelną skórę jej piersi czułem bijące od niej ciepło tak samo realnie jak ciepło jej ręki przez cienki materiał spodni. Zakładałem, że się pobierzemy, kiedy tylko otrzyma rozwód.

## Rozdział XVI

Tak dziwnie się dzieje, Że nas natura zmusza do płakania Nad czymem, który chcieliśmy wykonać.

Antoniusz i Kleopatra• (Akt V, sc. 1)

Dom Tei zastaliśmy gotowy na nasze przyjęcie. O ile to był jej dom. Być może należał do Smitty'ego. Pomyślałem, że z czasem zapewne się dowiem. Nie musiałem się z tym spieszyć.

Wieży i dachy miasta najpierw się pokazały, a potem wielokrotnie znów znikwały za wybrzuszeniami góry i wysokimi na tysiące stóp skałami, zanim opadająca droga przeszła w ulicę i wjechaliśmy na plac katedralny, czyli zócalo. Tam zaparkowaliśmy samochód, a ponieważ droga wiodąca do willi była wąska, musieliśmy dalej iść pieszo. Nawet w normalnych warunkach powitałaby nas gromada dzieci, żebraków, próżniaków, naganaczy hotelowych i tak dalej, lecz orzeł na moim ręku ściągnął istne tłumy ze sklepów, barów i targowiska pod płóciennym dachem tuż przed katedrą. Mnóstwo ludzi od razu poznało Teę. Witali ją krzykami, wrzaskami, gwizdami, uniesionymi w górę sombreroami i w takiej burzliwej eskorcie wzbijającej wokół kurz wspięliśmy się kamiennymi tarasami kilkaset jardów nad zócalo do bramy willi. „Casa Descuitada”, przeczytałem na niebieskiej płycie pod gałęziami drzew granatu — Dom Beztroski. Weszliśmy do środka, gdzie powitała nas kucharka i służący. Matka i syn. Stali w sporej od siebie odległości, oboje bosy, na czerwonych płytach werandy, ona przy drzwiach do kuchni, a on sypialni. W szalu, którym była owinięta, miała dziecko i na widok orła, chociaż zakapturzonego, zaczęła wycofywać się do kuchni. Zabraliśmy Kałigulę z jej pola widzenia. Zamieszkał teraz w toalecie. Usadowił się na rezerwarze, gdzie bardzo sobie upodobał odgłos cieknącej wody. Jacinto chodził za nami krok w krok i przyglądał się, jak sobie radzimy z orłem. Był bardzo przejęty.

Czasem myślałem, że skoro powodem tego wariackiego przedsięwzięcia jest chęć zarobienia pieniędzy, to powinienem się zastanowić, jak trafić na jakąś złotą żyłę. Wówczas wypuściłbym Kałigulę albo komuś oddał. Nie pomijałem szlachetności zamiarów Tei, ich pradawnego źródła ani wiążącej się z nimi ambicji czy aspektu gry i ryzyka. Zdawałem sobie nawet sprawę ze związku tych wysiłków z wielkim przedsięwzięciem udomowiania zwierząt w czasach najdawniejszych. Tak, mimo całego sprzeciwu i strachu przed tym ptakiem, mimo życzeń, aby się stał kamienną chimera albo padł trupem, dostrzegałem również drugą stronę zagadnienia i co z tego miała Tea, że była taka pełna świetlistej energii. Ale myślałem: „Czy jest coś złego w radowaniu się miłością? Po co do tego orzeł?” Tak więc gdybym miał forszę, to przynajmniej zginąłby ten pretekst. Poza tym rozumiałem, że myślenie z założonymi rękami o pieniądzech jest czymś okropnie czczym. Po- wziąwszy być może niedorzeczny pomysł łowienia jaszczurów, Tea wystarała się o orła i przynajmniej zrobiła początek, podczas gdy moje myśli o pieniądzech ograniczały się do wyobrażeń. Bo co robiłem w środkowym Meksyku ubrany w bryczesy i szerokoskrzydły, wojskowy kapelusz, jeżeli chciałem traktować ten problem poważnie? Słowem, ujrzałem na nowo, jak wielką sprawą są pieniądze same w sobie. Oto cała ludzkość zarzuca sieci, kopie, nosi, zbiera, dźwiga, służy, wracając codziennie do swoich zajęć, uczciwie lub oszukańczo, czasem z płaczem, obłudnie lub jak w hipnozie, a pieniądze jeżeli nie są sekretem tych poczynań, to przynajmniej czymś bliskim tego sekretu, czymś z nim związanym, jego zastępcą i przedstawicielem wobec narodów.

A więc przyjechaliśmy i podano obiad — zupe, kurczęta z czarnym sosem mole, pomidory i avocado, kawę i galaretkę z guawy. I właśnie to nie znane mi, piekące

usta delikatne jadło przywiódło mi na myśl kwestię dolara.

Dom był ładny i rozległy, większy, niż mi się wydawało z zewnątrz, ponieważ do pokoi wchodziło się z ogrodu. Ściany miał czerwonawe, posadzki z ciemniejszych czerwonych lub zielonych płytek. Miał dwa patia, jedno z fontanną i beczułkowatymi fotelami z wołowej skóry, drugie przy kuchni, rodzaj dawnego podwórka stajennego, gdzie szkoliliśmy Kaligulę. Przylatywał do nas z dachu szopy, w której sypiał Jacinto.

Z werandy, na której jadaliśmy, widać było miasto i skalne urwiska. Prawie tuż pod nami znajdowało się zócalo, zwariowana estrada obrośnięta winoroślą, wokół monstrualne drzewa. Katedra miała dwie wieże i niebieskawe brzuszysko kopuły, pięknie sklepionej i jakby wypalanej w piecu, przegrzanym, bo miejscami szklistej, jak za mocno wypalona cegła. Stała pochyło na płytach placu i chwilami w samym środku zachwytu wywoływała wstrętne uczucie ciężkości, tak bardzo była przeładowana wszystkim, co ją otaczało. Dzwony chyliły się ku sobie jak dwoje słabych starych zwierząt, zielone i matowe, a drzwi prowadziły w przepastny mrok, w którym znajdowały się lśniące śmiertelną bielą ołtarze i figury posiekane, podrapane toporami i cierniami, pokryte czarnymi ranami —choć pokłute i przebite gwoździami, niektóre z nich pretensjonalnie obleczone w damskie majtki i złane krwią aż po czubki białych palców przebitych dłoni. Wzgórze obok zajmował cementarz, biały i kolczasty, a z drugiej strony i wyżej, w środku gwiazdziście łączących się żlebow, znajdowała się kopalnia srebra i można tam było zobaczyć szczerbę w potędzie wielkiej inwestycji. Zbocze zostało na pewnej odległości wygryzione maszynami. Zaintrygowany wdrapałem się tam któregoś dnia. Aż dziw bierze, jakie maszynerie napotyka się w całym Meksyku, jakie stare typy maszyn wgryzają się tam w ziemię i po niej pełzają — koparki dołów, drążarki tuneli, mechaniczne skarabeusze, sprzęt brytyjski i belgijski, manchesterskie wagoniki kopalniane albo ciuchcie na czele szeregu rozklekotanych wagonów pełnych robotników i żołnierzy okrytych kocami.

Przy drodze do kopalni, jeszcze w obrębie miasta, 462

wyrzucano śmieci do małej dolinki tworząc miękkie pagórki rozkładających się odpadków. Sępy krążyły nad nią cały dzień. Na jednym z najwyższych punktów urwiska skalnego był wodospad. Czasem spowijały go chmury, ale zwykle nad linią drzew unosił się wodny dymek, bledszy od powietrza. Znacznie niżej, w załomach pomarszczonych skał, rosły sosny, a dalej podzwrotnikowe drzewa i kwiaty, następnie kamienny pas zamieszkiwany przez węże i dzikie świny, jelenie i te olbrzymie legwany, po które właśnie przyjechaliśmy. Tam, gdzie przebywały, słońce bardzo przypiekało.

W jakimś Paryżu lub Londynie, gdzie słońce nie ma tak wielkiej wyrazistości, w szarościach i woalach, nie odczuwa się jego pełnej mocy i wielu południowców zazdrości tym miastom zalet, za jakie uważają zimno i chłód. Myślę, że Mussolini nie żartował mówiąc o porobieniu dynamitem wyrw w Alpach i Apeninach, ażeby wpuścić z Niemiec na półwysep chłodne mgliste prądy i uczynić z mieszkańców Rzymu i Perugii wojowników. Ten sam Mussolini, którego po śmierci powieszono za nogi i którego goły brzuch wyzierał spod połów zwisającej koszuli, a muchy, którym też wydał wojnę, łąziły mu po pustej twarzy już bez szerokoszczękiego uśmiechu. Aj! A jego dziewczyna, której nieszczęsne piersi były podziurawione kulami, też wisiała głową w dół, powieszona za nogi. Ale w tym kontraście pomiędzy tym, co okrzyczane lub eksponowane, a dyskretnym światłem chodzi mi o zasugerowanie, na jak wielkie domniemania czy złudzenia zezwala to, co dyskretniejsze. Wspomniałem już, że Tea wozila z sobą między innymi fotografię ojca siedzącego w rikszy podczas podróży po południowych Chinach. Fotografia była na komódce, zatknięta za ramę lustra, i często przyglądałem mu się, a także jego białym pantoflom wiszącym nad ziemią, po której stapał kan- tończyk o talerzowatej twarzy. Ojciec Tei był w białym garniturze. I myślałem sobie, co stoi za takim specjalnym wyróżnieniem. Może jako kochanek lub przyszły mąż jego córki patrzyłem na niego ze szczególnym szacunkiem. W każdym razie siedział sobie w tej ludzkiej taksówce jak hrabia. A wokół stali i wytrzeszczali oczy gapie — przedstawiciele tych milionów, znamion głodu,

463

nosicieli wszy, tego mięsa armatniego, żywy margines wielkiej ciżby ludzkiej, która już zesła pod ziemię, martwa, margines brzęczący lub skaczący po całej Azji jak okrzemki ogromnej balii oceanu w szpilkach słońca.

Patrzyłem w tym upalnym blasku na dziką górę, na jej pas półtropikalnej zieleni, gdzie wśród ogromnych liści i przepięknych kwiatów żyły legwany, na robotników, na chłopów, i nie zdawałem sobie sprawy, jak wielu gości z chłodnych i zimnych obszarów płaci ciężkie pieniądze, żeby tu być. Po sąsiedzku znajdował się luksusowy hotel, Carlos Quinto. W jego ogrodzie lśniła tafla wody basenu kąpielowego, białobłękitna jak ciepło i pogoda nieba, a na podjeździe stały zagraniczne samochody. Acatla zaczynała przyciągać ludzi, którzy kiedyś jeździli do Biarritz i San Remo, lecz teraz woleli być tutaj, z dala od wszelkiej polityki. Przyjechało trochę Hiszpanów, z obu stron kataklizmu, a także kilka Francuzek, Japończycy i Rosjanie, chińska rodzina prowadząca bar oraz produkująca alpargatas ze sznurkowymi podeszwami. Kolonia amerykańska była dosyć liczna, więc miasteczko wrzało i huczało. Lecz początkowo niewiele o tym wiedziałem.

Bawiło mnie obserwowanie ogrodów hotelu, baru na tarasie, pływaków w basenie, wyruszających grup konnych wycieczkowiczów, jelonka w drucianej klatce. Dyrektorem był Włoch. Chodził w spodniach dyplomaty i we fraku, pod którym się jakoś mieścił jego szeroki zadek. Włosy miał gładko przylizane, twarz pełną ufności do innych i zatroskania o własną osobę. Zauważyłem, jakie ma zwinne palce, wciąż grzebiące w kieszonkach kamizelki, gdzie znajdowało początek wiele jego czynności. Tea przedstawiła mnie jemu przez mur ogrodu. Nazywał się da Fiori. Okno naszej sypialni wychodziło na prywatną część ogrodu przeznaczoną dla jego rodziny. Rankami stary da Fiori, ojciec dyrektora, maleńki mężczyzna, wychodził w czapce i staromodnym ciemnozielonym garniturze z puszystego materiału ozdobionym paskiem i skórzanymi guzikami przy marynarce. Przyglądał końce bokobrodów włochatymi knykциями, a kiedy szedł, jego stopki wydawały się za małe, aby go udźwignąć. Bardzo lubiliśmy siedzieć na łóżku nadzy do pasa i przyglądać się, jak myszkuje wśród

ogromnych 464 kwiatów. Potem przychodził jego syn, już gładko przyczesany, błydy, znudzony, w zwilżonych rosą kamaszach, schylał się i całował ojca w rękę. Następnie pojawiały się jego dwie córeczki, niczym biały tort urodzinowy, i delikatna matka. Wszyscy przyciskali do ust dłoń starego pryka. Sprawiało nam to straszną frajdę. Wreszcie siadali razem w altance i jedli śniadanie.

Orzeł nauczył się już poznawać głos Tei i mój, więc kiedyśmy go wołali, rzucał przynętę i przylatywał. Nadeszła pora, aby go zaznajomić z jaszczurkami. Żywe sprawiały kłopot, bo uciekały i były zbyt małe. Martwe nie podobały się Tei. Podobnie jak te, które przynosił Jacinto. Proponowała, żeby co większe oszałamić nieco eterem, aby trochę spowolniały. Ja bardzo je lubiłem. Niektóre szybko się oswajały. Głaskało się je palcem po małych łebkach, a one się czuliły, wchodziły do rękawa, siadały na ramieniu, wpełzały we włosy. Wieczorem, kiedy siedzieliśmy przy kolacji, patrzyłem na nie, jak czyhają przy lampach wabiących owady nadymając gardziółką i błyskawicznie wysuwając języki, które podobno mają zdolność słyszenia. Wolałbym, abyśmy dali im spokój, zamiast przeznaczać je na żer dla tego strasznego stworu, co siedział na rezerwuarze w toalecie, ogromny, ze swoimi szponami i ze stworzonym do prucia i szarpania dziobem. Teę bawiło to zarazem i gniewało, lecz kiedy starała się wyperswadować mi współczucie dla poślizgłych dzieci Hyperiona, śmieszyła mnie i jednocześnie przyprawiała o katusze. Nie znaczy to wcale, by sama nie miała podobnych myśli.

— Ty wariacie! Przypisujesz ludzkie uczucia wszystkiemu dokoła, jak dzikus. Zachowaj te głupie uczucia dla siebie. Jaszczurki wcale ich nie potrzebują, bo gdyby odczuwały to samo co ty, nie byłyby jaszczurkami... byłyby za powolne i wkrótce by wyginęły. Zrozum, że gdybyś leżał martwy, wchodziłyby ci do otwartych ust, żeby łapać muchy, traktowałyby cię jak kłodę.

- A Kaligula by mnie pożarł.

— Może i tak.

— Pochowałabyś mnie?

— Bo jesteś moim kochankiem? Oczywiście. A ty byś mnie nie pochował?

W przeciwieństwie do Lucy Magnus nigdy nie nazywała mnie mężem. Czasem myślałem, że jej poglądy na małżeństwo są podobne do poglądów Mimi, tyle że nie polemiczne.

Rozmowa o jaszczurkach była jedną z kilku na ten sam ogólny temat i stopniowo zrozumiałem, do czego Tea zmierza. Nikt by mnie nigdy nie zmusił do przyznania, że jakaś sytuacja jest bez wyjścia albo jest zasadniczo zła, bo zawsze szukałem jakiegoś rozwiązania, i cała rzecz sprowadza się tylko do kwestii, co za tym stało: moja nadzieja czy moja głupota. Ale przypuszczam, że to, co odczuwałem w sobie jako dobro, musiało się wiązać z jakimś prawem. Tymczasem Tea wcale nie dbała o posagową miarę moich nadziei. Jeżeli ktoś mi zarzucał jakieś zło, wydawało mi się, że zawsze jakoś można temu zaradzić, w przeciwnym razie odwracałem głowę i patrzyłem w inną stronę. Miała świętą rację, kiedy mnie o to obwiniała. I próbowała mi narzucić własny pogląd.

Niemniej bardzo nie lubiłem patrzeć na te rozrywane, tryskające krwią małe jaszczurki, gdy Kaligula wydierała szponami ich delikatne kolorowe wnętrzości łypiąc okiem i rozwierając dziób.

W pewien niedzielny ranek, kiedy orkiestra huczała i brzęczała na zócalo już od świtu i w kuchennym patio po śniadaniu — jedliśmy sadzone jaja — panował suchy skwar, pracowaliśmy z Kaligulą. Słyszeć szum jego skrzydeł w rozgrzanym powietrzu to nie było co. Jacinto przyniósł nam tym razem większego jaszczura. Przywiązaliśmy go kawałkiem żyłki rybackiej do palika i w ten sposób nie mógł umknąć. Nadleciał orzeł bijąc groźnie skrzydłami w naładowanym elektrycznością suchym powietrzu i ruszył, aby zatopić szpony w jaszczurze. Lecz żyłka była długa i szybkie zwierzę mogło uskakiwać na boki, następnie otworzyło pyszczek i ukazało wielkiej bestii nad sobą tkankę wściekłości, po czym kłapnęło szczękami i zawisło na udzie ptaka wygięte od siły ataku i ukąszenia. Na jednym z tych ud, które sprawiały, że orzeł wyglądał jakby cwałujący przez powietrze któryś z jeźdźców Atylli. Kaligula wydał z siebie krzyk. Chyba nigdy dotąd nikt nie zrobił mu krzywdy, więc jego zdumienie nie miało granic. Oderwał jaszczura od nogi, 466 a potem zdusił go i zraniwszy śmiertelnie odskoczył na bok. Nie mogłem tego okazać, ale sprawił mi przyjemność widok tak urażonego Kaliguli. Przeczesał dziobem pióra szukając zranionego miejsca. Tea była wściekła, twarz jej poczerwiała.

— Zabij go! Wykończ! — krzyknęła. Lecz Kaligula wzbił się na dźwięk jej głosu w powietrze i przyleciał do niej po mięso, które zwykle mu dawała. Ponieważ zaś przyleciał, musiała mu pozwolić wylądować na wyciągniętej ręce. Była jednak bardzo zła. — Co za skurczybyk! Nie można dopuścić, żeby uciekał od takich małych zwierzątek. Co teraz zrobimy, Augie? Tylko się nie uśmiechaj!

— Wcale się nie uśmiecham, Tea. Krzywię się, bo razi mnie słońce.

— Co teraz zrobimy?

— Wezmę jaszczura i przywołam Kaligulę. To biedne stworzenie jest prawie martwe.

— Jacinto, zabij lagarto — powiedziała Tea.

Chłopak wybiegł radośnie na bosaka z szopy i uderzył

jaszczura w łeb kamieniem. Położyłem go sobie martwego na rękawicy i zawołałem Kaligulę. Przyleciał, ale nie chciał jeść. Potrząsnął jaszczurem z wściekłością i cisnął o ziemię. Kiedy mu podałem ponownie zakurzone teraz, martwe zwłoki, zrobił znów to samo.

— Co za cholerna wrona! Zabierz go sprzed moich oczu!

— Zaczekaj chwilę, Tea—powiedziałem.—To mu się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło.

— Na co mam czekać? Z jaja się wykluł także tylko raz. Ile razy musiał to robić? Powinien mieć jakieś instynkty. Ukręcę mu łeb. Jak zdoła walczyć z legwanami, skoro pozwala się ugryźć głupiej jaszczurze?

— A czego chcesz? Zabolało go.

Ale to znowu było moje przypisywanie ludzkich uczuć zwierzętom i Tea tylko pokiwała głową. Uważała, że natura orła powinna być inna.

Odniosłem Kaligulę na rezerwuar w toalecie i Tea stopniowo dała się udobruchać.

— Dokonałaś już cudów z tym ptakiem — powiedziałem. — Nie może ci się nie udać. Na pewno się uda.

Ostatecznie, on wcale nie musi być taki groźny, na jakiego wygląda. Jest jeszcze młody.

W końcu, po południu, wyzbyła się gniewu i po raz pierwszy zaproponowała, żebyśmy poszli na drinka do baru Hilaria przy zócalo. Kiedy się tak obruszyła na Kaligulę, czułem się trochę jakby potępiony z nim razem.

Tea jednak okazała się szczególnie czuła, kiedy weszliśmy do pokoju, żeby się przebrać na niedzielne popołudnie na zócalo. Rozebrała się. Jej wierzchni ubiór był szorstki, bielizna jedwabista. A kiedy była naga i paliła papierosa, patrzyła już inaczej na mnie siedzącego bez koszuli i ściągniętego buty w nagrzanym cieniu i czerwonym odbłasku płytek. Podszedłem i przytuliłem głowę do jej piersi. Wiedziałem, że choć byliśmy ciągle tak samo zakochani, nie jednoczył nas już dawny cel. Ona potrzebowała miłości jako czegoś wyzwalającego i przygotowującego do działania. Działanie to akurat wiązało się z Kaligulą. Wiele dla niej znaczył. Ale tak jak zaczęła teraz podejrzewać, że Kaligula woli gotowe mięso od łupu, być może myślała również o mnie, czy zdołam uczynić ten krok — od miłości do następnej ważnej rzeczy.

Wstaliśmy z łóżka i ubraliśmy się. Jaka była delikatna w swojej koronkowej bluzce! Włosy opadały jej nisko na plecy. Wzięła mnie pod rękę, choć nie dlatego, że potrzebowała oparcia na ostrych kamieniach, lecz żeby być blisko, i w cieniu drzew owocowych wyglądała bardzo podobnie jak w St. Joe na huśtawce, młoda dziewczyna.

Fenchelowie posiadali ten dom w Acatla od wielu lat, toteż Teę znano w mieście. W barze Hilaria usiedliśmy przy małym stoliku — nie chciała niczyjego towarzystwa. Ludzie jednak podchodzili, żeby się przywitać, zapytać o siostrę, stryjenkę i stryja, i Smitty'ego, i oczywiście, żeby obejrzeć mnie. Wielu z nich zostawało. Tea nie wypuszczała mojej ręki.

Moim chicagowskim oczom ci ludzie wydawali się dziwni i dalecy. Od czasu do czasu Tea wyjaśniała mi, kim lub czym są, i nie zawsze ją rozumiałem. Tak więc ten łysy stary Niemiec to niegdyś tancerz, a tutaj jubiler, a ta blondynka, jego żona, jest z Kansas City. Ta pięć- 468 dziesięcioletnia kobieta to malarka, a ten mężczyzna z nią to coś w rodzaju pastucha, pastucha z Reno, ta zaś, która teraz wchodzi, to bogata lesbijka, niegdyś królowa. Była wśród nich kobieta, która się bardzo inteligentnie wyrażała, i zdawało mi się, że patrzy na mnie srogo, bo jak początkowo sądziłem, zająłem miejsce Smitty'ego. Nazywała się Nettie Kilgore i potem okazała się całkiem przyjemna, tyle że czasem rzucała niecierpliwe spojrzenia i tego popijała. Nic jej nie obchodził Smitty. Cóż, znałem w życiu wielu groteskowych ludzi, ale jeszcze żadnego, który by obrał groteskowość za swoje powołanie życiowe. Kolonia zagraniczna tego miasta reprezentowała Green- wich Village albo Montparnasse, albo ich odpowiedniki z kilkunastu krajów. Był polski wygnaniec, Austriak z brodą, była Nettie Kilgore, dwóch pisarzy z Nowego Jorku, jeden nazwiskiem Wiley Moulton, drugi, jego przyjaciel, zwany po prostu Iggy, a także młody Meksykanin Talavera, którego ojciec miał przedsiębiorstwo taksówkowe i wypożyczał konie. Mężczyzna siedzący obok Iggy'ego okazał się drugim mężem pierwszej żony Iggy'ego. Nazywał się Jepson i był wnukiem jakiegoś badacza Afryki. No cóż, to wszystko było dla mnie nowe i jakby przepływało obok, podczas gdy my z Teą, świeżo z łóżka, siedzieliśmy obok siebie. Było to dość osobliwe i nie bardzo do mnie przemawiało. Bawiło mnie niemal tyle co szop Hilaria w klatce, którego karmiłem frytkami. Takie wielkookie zwierzątko.

Pochlebiali mi, gdy ludzie zakładali, że to ja jestem treserem orła. Oczywiście wyjaśniałem:

— Och, prawdziwym szefem jest Tea. — Lecz oni najwyraźniej sądzili, że tylko mężczyzna może sobie dawać radę z ptakiem tej wielkości. Wszyscy z wyjątkiem przystojnego, brązowoskórego, silnego młodego człowieka, Talavery, który powiedział, że wie, jak Tea potrafi sobie radzić ze zwierzętami. Nie przykładałem wagi do jego udziału w rozmowie, chociaż muszę przyznać, że sprawiał wrażenie o klasę lepszego od tego całego zbiorowiska. Nie mogłem przejść do porządku dziennego nad ich dziwaczością. Osoba siedząca obok niego miała na głowie coś w rodzaju kościstego czubka, a wierzch dłoni jak podbicie stopy — biały, gruby i jakby martwy. No



a Netty Kilgore. Albo czerwonoooki Iggy. Albo mężczyzna, którego nazwałem w duchu Ethelredem Bezradnym — jak babcia Lausch lub Komisarz Einhorn lubiłem czasem nadawać ludziom różne przydomki. A Wiley Moulton, ten autor niesamowitych opowieści. Miał wielki brzuch i długie włosy, twarz można powiedzieć dość subtelną, z brązowymi powiekami, zęby małe i ciemne od tytoniu, a palce jakby odgięte do tyłu w ostatnim stawie.

Niektórzy z tych ludzi nosili na sobie ślad odbytych trudów, najniesprawiedliwszej, chociaż udanej wspinaczki poprzez straszliwe górskie łańcuchy przeciwności.

— Będziecie więc łowić te potwory przy pomocy ptaka? — zapytał Moulton.

— Tak, będziemy — odparła Tea spokojnie. Miała tę wspaniałą cechę, że nic nie potrafiło jej skłonić do wprowadzenia choćby najmniejszych zmian w planach czy poglądach dla przypodobania się ludziom. Nie lubie małych gier — mawiała.

— Nie my pierwsi — zauważyłem.

Znowu tuż pod nami, na zócalo, zagrziała, huknęła orkiestra miejska i powietrze zadrgało urywaniem dźwiękami marsza. Zmierzchało się. Młodzi spacerowali, ale w szybkim rytmie, czuło się więc atmosferę flirtu, a zarazem rozpaczliwej pogoni. Wystrzeliwały w niebo sztuczne ognie. Ślepy skrzypek rzępolił z pozgrzytywaniem smyczka jak do tańca śmierci i jękliwie śpiewał serenady dla turystów. Potem głębokim głosem ogromnego, zaskorupiałego smutku odezwały się dzwony katedry. Ten hałas uciszył na pewien czas rozmawiających ludzi. Pili piwo lub wychylali kieliszki tequili oblizując umoczone w soli kciuki na stylowy meksykański sposób i zagryzali limoną.

Tea chciała, aby Moulton pomógł nam pisać artykuły, i kiedy znów można było usłyszeć własny głos, poprosiła go o to.

— Już tego nie robię — odparł. — Zarabiam więcej trzymając się Nicolaidesa. — Nicolaides był redaktorem szmatławca, do którego pisywał Moulton. — W ubiegłym miesiącu proponowano mi przeprowadzenie wywiadu z Trockim i zrezygnowałem, bo wołę pisywać dla Nicolaidesa. Poza tym pisywanie tych odcinków zżera wszystkie moje siły.

470

Czułem, że Moultona stać było na wszystko i że coś w końcu powie. Cokolwiek! Ze tylko czekał, aby mu pozwolono dojść do słowa.

— Ale przecież kiedyś pisywałeś do różnych magazynów — rzekła Tea — i możesz nas nauczyć, jak to się robi.

— Domyślam się, że pan March nie jest pisarzem.

— Nie — odpowiedziałem sam za siebie.

Chciał się więc dowiedzieć, jaki jest mój zawód. Być może wiedział, że nie mam takiego, którym mógłbym się pochwalić przed tym światowym gronem — bo wyobrażałem sobie, iż byli to ludzie z wielkiego świata, i niemalże zgadłem. Moulton uśmiechnął się do mnie dobitnie. Ze swymi głębokimi zmarszczkami wokół oczu bardzo mi przypominał pewną tęgą panią z dawniejszych czasów.

— Jeżeli ja nie potrafię, Iggy wam pomoże.

Moulton i Iggy byli przyjaciółmi, ale słowa te wszyscy potraktowali jako żart, ponieważ Iggy specjalizował się w opowiadaniach mrozących krew w żyłach dla „Doc Savage” i „Jungle Thrillers”. Nie umiał pisać niczego innego.

Lubiłem tego Iggy Blaikie. Naprawdę nazywał się Gurevitch, ale nazwisko to nie miało tej świetności co dumne anglosaskie miana jego bohaterów. Odrzucił Gurevitcha, a Blaikie nigdy nie było prawdziwe, stał się po prostu Iggym. Miał wygląd bywalca sal bilardowych. Tego chłopaka z kubłem w rogu Nagela na ringu, również trochę ogłupiałego i zamroczonego. Chodził w golfie i kupionych w chińskim sklepie sandałach z podeszwami ze sznurka. Był szczupły, twarz jednak miał pełną i czerwoną, zielone oczy przekrwione, usta żabioszerokie, a skórę na szyi pomarszczoną, brudną i tylko częściowo ogoloną. Mówił zduszonym głosem i na wpół bez związku. Ktoś niedoświadczony w ocenianiu takich ludzi mógłby go wziąć za handlarza narkotyków albo drobnego rozrabiakę. Był to typowy przypadek wprowadzającej w błąd powierzchowności.

Nie miałem natomiast pojęcia, co sądzić o młodym Talaverze. Wyraźnie taksował mnie wzrokiem uświadamiając mi wrażenie, jakie wywołuję swoją ogorzałą twarzą i bujną czupryną. Czułem się trochę głupio, choć

471

muszę przyznać, że ja mu się też pilnie przyglądałem. Byłem zbyt mało doświadczony, aby traktować podejrzliwie młodych tubylców, którzy się garną do gości z zagranicy, zwłaszcza do kobiet. Czynią to wypłukani z pieniędzy przedstawiciele starych rodów we Florencji, przed Cafe Gilli, albo młodzi ludzie w obcistych spodniach polujący na Capri u szczytu kolejki linowej na młode Dunki i Holenderki. A gdybym nawet miał doświadczenie, mógłbym się i tak pomylić co do Talavery. Stanowił typ mieszany. Był bardzo przystojny, przypominał Ramona Navarro z filmów, zarazem porywczy i delikatny, i miał jakoby dyplom inżyniera górnictwa. Nie zostało to nigdy dowiedzione, ale nie musiał pracować mając bogatego ojca, więc wiódł żywot sportsmena.

— Ten młody człowiek chyba nie bardzo mnie lubi — powiedziałem Tei.

— No to co? — odparła beztrąsko. — My tylko wynajmujemy konie od jego ojca.

Próbowaliśmy najpierw wozić Kaligulę na burro, chociaż jednak stał na siodle zakapturzony i przywiązany, osiołek aż przysiadł na zadzie i włos mu się jeżył z przerażenia. Potem próbowaliśmy koni, ale się płoszyły. Nie mogłem utrzymać się w siodle, gdy Tea podawała mi Kaligulę. Jej samej też to się nie udawało. W końcu Talavera senior wyprowadził starego konia, który brał udział w rebelii Zapatisty i był ranny podczas jednej z walk. To siwe bydlę nadawało się chyba jedynie dla pikadora, żeby je byk przebódl rogiem na arenie. Lecz było pierwszorzędne dla orła. Moim zdaniem pogodziło się z noszeniem orła na grzbiecie raczej ze smutkiem niż jakimkolwiek innym uczuciem. Starego Bizcocho, bo tak się ów koń nazywał, można było zmusić jedynie do szybkiego kłusa, choć miał w sobie jeszcze trochę siły.

Prowadziliśmy go najpierw za miasto, na skrawek równego terenu, żeby poćwiczyć z Kaligulą. Za cmentarz, na którym leżały porozrzucane kości i cuchnęły kwiaty rosnące wzdłuż białych ścian grobowców. Pierwszy jechałem ja na siwej wolno człapiącej chabecie, z orłem na rękawicy, za mną Tea, na innym koniu, a Jacinto w swoim białym piżamowym stroju i z dyndającymi tuż nad ziemią ciemnymi stopami na osle. Czasami mijaliśmy pogrzeby.

472

często dziecięce, i wtedy ojciec dzwigający na głowie trumienkę schodził z drogi — a za nim cały kondukt z orkiestrą włącznie — i stojąc z rzadkim mongolskim wąsikiem, cienkim i długim nad mięsistą wargą dzikusa, chociaż zbolęły i nieprzyjazny, śledził orła oczyma jak samo mleko czerni. Wokół rozchodził się ten sam co zawsze szept: „Mira, mira, mira — el aguila, el aguila<sup>P</sup> Tak więc mijaliśmy białe kamienie i ściany, które luszczyły się w upale, żelazne kolce, kości śmierci — także to małe zabite gorączką dziecko niesione w trumnie — a za nami majtał się pokornie, na końcu, obszerny piżamowaty strój.

Wjeżdżaliśmy na wyżynę, z której miasto było tylko częściowo widoczne w swej malowniczej kotlinie, i tam uczyliśmy Kaligulę wzbijać się w powietrze z kłusującego konia. Kiedy się tego nauczył, Tea odzyskała całą swą poprzednią wiarę w niego. Bo naprawdę szło nam nieźle. Siedział na moim ramieniu, jak przynaglałem starego Bizcocho do szybszego ruchu, orzeł zaś mocniej ścisnął mi rękę przez tę diabelską rękawicę. Zdzierałem mu kaptur i wyciągałem zawleczkę — musiałem w tym celu puścić cugle, ścisnąć konia kolanami — a Kaligula wypinał pierś i machając wielkimi skrzydłami powoli wzbijał się w powietrze.

Po kilku dniach Bizcocho był gotów i pewnego ranka, strasznie podnieceni, wybraliśmy się na te olbrzymie jaszczury. Jacinto wyruszył z nami, żeby wypłaszać je spośród skał, i zjechaliśmy w dół zbocza do ich tropikalnego siedliska. Powietrze stało, gęste od żaru zalegającego ciężko w skałach, miękkich i wyzartych przez deszczowe kwasy w grotach i w kambodżańskie formy. Jaszczury były naprawdę ogromne z wielkimi grzywami lub płetwami — tymi prawnymi membranami. Panował tu zmijowaty odór, jakbyśmy się znaleźli w erze węży wśród jadowitej zieleni i sinych gardenii. Czekaliśmy, a chłopak oddalił się i szturchał ostrożnie długim kijem listowie, bo legwany są dzikie. Nagle na półce nad nami ujrzałem jednego, jak się nam przygląda, lecz kiedy go wskazałem, zobaczyliśmy już tylko znikającą elżbistańską kryzę. Te bestie są szybkie i ogromnie śmiałe i potrafią skoczyć wszędzie i z każdej wysokości falistym jak u ryby ruchem

473

ciała. Mają wspaniałe mięśnie, też jak ryby, a ich lot przez powietrze jest monstrialnie piękny. Zdumiewało mnie, że nie rozpryskują się na kawałeczki na wzór kulek rtęci, lecz spadły na ziemię umykając dalej. Są szybsze od dzików.

Niepokoilem się o Teę. Wiedziałem, w jakim jest stanie. Teren był stromy, bez miejsca do manewrowania, a ona okręcała konia i zmuszała go do skoków. Ja dźwigałem orła, a stary siwek Zapatisty nie mógł się szybko obracać, chociaż był odważny i umiał podejmować ryzyko. Więcej zatem słyszałem, niż widziałem.

— Tea! — krzyknąłem. — Na miłość boską, nie rób tego!

Lecz ona wykrzykiwała coś do Jacinta i jednocześnie machała do mnie, żebym się przygotował. Chciała, żeby Jacinto wypłoszył jaszczury na kamienne zbocze, gdzie nie miały żadnej osłony. Lecąc wydawały się raz srebrne, raz pyliste, kiedy indziej szare, posągowo-zielonkawe. Wreszcie dała mi znak, żebym zerwał kaptur orła i uwolnił go z uwięzi. Pochyliłem się, Bizcocho ruszył w dół zbocza po osuwających się kamieniach, Kaligula ścisnął moją rękę. Pociągnąłem za sznurek, zdjąłem mu kaptur, wyjąłem zawleczkę i wbił się w przestworza ponad zboczem, ku wibrującemu błękitowi. Krząc wzniósł się na wielką wysokość i czekał.

Tea zeskoczyła z siodła chcąc wyrwać tyczkę z rąk chłopca. Jacinto uderzył nią w gęste listowie ścinając przepyszne czerwone jak mięso kwiaty, które spadały w zwały paproci w dole, i krzyknął: — Ya viene! — Po skałach pomknął w dół legwan. Kaligula zobaczył go i runął z wysokości. Wyglądał jak w zbroi w czerni swoich piór, bardzo groźnie, spadając szybko z nieba. Na dole legwan też wykonał skok, opadł, pomknął, skulił się przed ciosem Kaliguli, wyśliznął z jego szponów, przetoczył i broniąc się przed cieniem, który z taką szybkością na niego spadł, pomknął dalej. Zobaczyłem dwa ostre zajadłe oblicza i kiedy Kaligula położył łapę na potworze, legwan otworzył swój kanciasty pysk z niesamowitą wężową wściekłością i capnął orła w szyję. Jacinto wrzasnął, Tea zawtórowała mu jeszcze przenikliwiej. Kaligula szarpnął się potężnie, lecz tylko po to, aby się

474

uwolnić. Legwan opadł i umknął pozostawiając po sobie ślady lśniącej krwi.

— Za nim! — krzyczała Tea. — Łap go! On ucieka! — Lecz orzeł nie podjął pogoni w dół zbocza. Opadł na ziemię i stał bijąc skrzydłami. Kiedy legwan znikł, złożył je. Nie przyleciał do mnie.

— Ty śmierzący tchórz! — wrzeszczała Tea. — Ty wrono! — Wzięła kamień i cisnęła w orła. Nie trafiła. Kaligula tylko uniósł głowę, gdy kamień spadł koło niego.

— ■ Przestań, Tea! Na miłość boską, przestań! On ci wydrapie oczy!

— Niech tylko spróbuje, to go zabiję własnymi rękami! Niech się tylko zbliży! — Wpadła w furję i miała obłęd w oczach. Widząc ją w tym stanie poczułem bezwład w rękach. Chciałem ją powstrzymać, żeby więcej nie rzucała kamieniami, a kiedy nie zdołałem, pobiegłem przygotować dubeltówkę, chcąc zarazem zapobiec, żeby Tea jej nie wzięła. Znowu nie trafiła, ale tym razem kamień upadł bardzo blisko i Kaligula wbił się w powietrze. Kiedy wznosił się, myślałem: „Żegnaj, ptaku! Leci sobie do Kanady albo do Brazylii.” Tea szarpnęła mnie za koszulę na piersi i z wielkim bólem i łzami krzyczała:

;— Tylko straciliśmy czas, Augie. Och, Augie. On jest do niczego! To tchórz!

— Może bestia go zraniła.

— Nie. Tak samo było z tą małą jaszczurką. On się boi. — Już go nie ma. Zwiął.

— Dokąd? — Próbowała zobaczyć, ale chyba nie widziała przez łzy. A i ja nie byłem już pewien, którą z licznych plamek na niebie był właśnie on. — Mam nadzieję, że do piekła! — powiedziała z dreszczem gniewu. Twarz jej płonęła. Czuli się oszukana, że pod takim okrutnym, morderczym, królewskim wyglądem krył się całkiem odmienny duch. — Czy może być zraniony, skoro tak lata?

— Przecież rzucałaś w niego kamieniami — powiedziałem. I znowu poczułem się współwinny, ponieważ oswajał się na moim ramieniu.

Cóż, niełatwo jest uwierzyć, by dzika natura mogła żywić ludzkie uczucia, jakie tkwiły w zwierzętach, które

475

W tuliły się do Odyseusza i jego ludzi i płakały nad nimi w zagrodzie Kirke.

W domu, dokąd powróciliśmy zasmuceni, odesłaliśmy konie Talaverze przez Jacinta. Tea nie miała dość siły, żeby iść pieszo od stajen do domu, a ja nie chciałem jej teraz zostawić samej. Wszedłszy na patio usłyszeliśmy krzyki kucharki, która wbiegła do kuchni z dzieckiem, bo Kaligula spacerował po dachu szopy.

— Jest Kaligula -powiedziałem—wrócił. Co chcesz z nim zrobić?

— Nic mnie to nie obchodzi — odparła. — Nie chcę nic robić. On wrócił po prostu po mięso, bo jest za tchórzliwy, żeby sam na nie zapolować.

— Nie zgadzam się. Wrócił, bo nie czuje się winny. Nie przywykł do zwierząt, które się bronią, kiedy je chwytą.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz go dać kotom na pożarcie.

Wziąłem trochę mięsa z kosza stojącego koło pieca i wyszedłem do niego. Przyleciał i usiadł mi na rękawicy, a wtedy nałożyłem mu kaptur, spętałem nogi i postawiłem na rezerwuarze, w ciemnym chłodnym miejscu.

Mniej więcej z tydzień byłem jego jedynym dozorcą. Tea zajmowała się innymi sprawami. Urządziła ciemnię i zaczęła wywoływać filmy, które zrobiła w drodze. Orła pozostawiono mnie. Ćwiczyłem go i zajmowałem się nim w patio, jak człowiek, który samotnie usiłuje poruszać wiosłami wielką szalupę ratowniczą. A w owym czasie miałem też kłopoty żołądkowe, atak dyzenterii, toteż widywałem orła częściej, niż mi dogadzało. Lekarz przypisał mi carbosome i kazał przestać pić tequillę oraz wodę miejską. Zapewne nadużywałem nieco tej tequilli o smaku dymu, która potrafi zachwiać równowagę, jeżeli ktoś nie jest do niej przyzwyczajony.

To odejście od szlachetnych dążeń odbiło się na wszystkich. Dom stał się nudny, gdy Tea zamknęła się w laboratorium. Nudny to być może nie jest właściwe słowo, jeżeli zważyć, ile w nim było rozczarowania i tłumionego gniewu. A poza tym nie mogłem leżeć w łóżku, gdy nikt nie zajmował się Kaligulą, chociażby z tego względu, że głodny mógł się stać niebezpieczny, pomijając już humanitarną stronę zagadnienia.

Pod stosem papierów do rozniecania ognia w kominku znalazłem wielkie tomiszcze, bez okładek, wydrukowane piękną czcionką. Było w nim Miasto słońca Campanelli, Utopia Morusa, Machiavellego Rozprawy i Książę, a także wybór długich wyjątków z Saint-Simona, Comte'a, Marksa i Engelsa. Nie przypominam sobie nazwiska człowieka, który dokonał tak pomysłowego wyboru, lecz rzecz była kolosalna. Dwa dni padał deszcz, a ja siedziałem pogrążony w lekturze próbując palić na kominku mokrym drewnem i dorzucając w tym celu całe wiązki żywicznego ocote. Było za mokro, żeby ćwiczyć z Kaligulą. Stawałem na desce klozetowej i karmiłem go pod kapturem, wpychałem mięso w gardło, żeby móc jak najprędzej wrócić do książki. Zafascynowała mnie do tego stopnia, że zapomniałem o pozycji, w jakiej siedziałem, toteż wstawałem potem obolały, oszołomiony śmiałością założeń i sądów. Chciałem porozmawiać o tym wszystkim z Teą, lecz ją zbyt pochłaniały inne sprawy.

— Czyja to książka? — zapytałem.

— Ot, książka. Czyjaś.

— Są w niej różne wspaniałe rzeczy.

Cieszyła się, że znalazłem coś, co mnie interesowało, ale nie obchodził ją ten temat. Pogłaskała mój policzek i ucałowała w drugi, żebym sobie poszedł. Rozprostowałem kości w ogrodzie na deszczu. Zza muru zobaczyłem starego da Fiori, siedział w altanie i dłuwał w nosie.

Potem poszedłem po gumowe poncho, bo czułem ogromną potrzebę czyjegoś towarzystwa. Tea poprosiła, żebym jej kupił papier fotograficzny, miałem więc pretekst. Idąc po szerokich kamiennych płytach opadających tarasowo w siąpiącym deszczu zobaczyłem włochatą długonogą świnię, która leżała w rowie w czerwonym bloku, na niej kurczaka wydziobującego wszy. U Hilaria gramofon grał przez głośnik:

Tres cosas hay en la vida Salud dinero y amor

następnie coś wolnego i rozwlekłego w wykonaniu Claudii Muzio albo może Amelity Galli-Curei z Klejnotów

Madonny. Kiedyś miała tę płytę Eleonora Klein. Wprowadzała mnie w nastrój smutku, ale nie w przygnębienie.

Przeszedłem w tym stroju na nie pogodę przed katedrą, gdzie zebracy siedzieli przemoczeni w swoich barwnych wełnach i wystawiali na pokaz ucięte pofałdowane kikuty. Zostawiłem im kilka monet. Ostatecznie te pieniądze pochodziły od Smitty'ego, więc uznałem, że można puścić część ich dalej.

Z ukwieconego ganku na piętrze u Hilaria ktoś mnie zawołał i zastukał w blaszaną tarczę reklamującą piwo Carta Blanca, by zwrócić moją uwagę. Był to Wiley Moulton.

— Chodź na górę ^ powiedział. Chętnie to zrobiłem.

Oprócz Iggy'ego zastałem przy stoliku jeszcze dwoje ludzi, którzy początkowo wydali mi się małżeństwem. On dobijał do pięćdziesiątki, choć zachowywał się jak człowiek młodszy, był kostyczny, szczupły, wysoki. Ale ja najpierw zwróciłem uwagę na dziewczynę, którą mi przedstawiono jako Stellę. Bardzo się ucieszyłem na jej widok. Biła na głowę urodą wszystkich i wszystko dokoła. Jej twarz o drobnych rysach była zmysłowa, oczy, powiedziałbym, romansowe. To całkiem naturalne, że uradowałem się, kiedy ją zobaczyłem. Myślę, że tak jak rewolucjoniści dotykają rąk napotkanych ludzi, aby się przekonać, czy to robotnicy, czy arystokraci, podobny sposób identyfikacji istnieje też wśród zakochanych. Stella była dziewczyną tego mężczyzny, 01ivera. A on, chociaż wydawał się spokojny, kiedy na mnie patrzył, odniósł się do mnie nieufnie. Oto do czego prowadzi ludzki nierozsądek: jakby się przez to dopraszał, by mu zazdrozczono.

Moulton wkrótce dał do zrozumienia, że nie jestem wolny.

— Hej, Bolingbroke \* — rzekł.

— Kto to ma być, ja?

— Oczywiście, że ty. Jeżeli ktoś wygląda jak jakaś ważna osobistość, musi oczekiwać, że otrzyma głośne przezwisko. Coś mi zaskoczyło na twój widok i powie działał sobie, oto człowiek, który powinien nosić miano Bolingbroke'a, o ile jeszcze go nie nosi. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

^gljKto może mieć coś przeciwko temu, żeby być Bolingbrokiem?

Wszyscy, zależnie od tendencji, przybrali miłe wyrazy twarzy, ze złośliwości lub sympatii. JggaTo jest pan March. Bolingbroke, jak masz na imię?

— Augie.

— Jak się ma Tea?

— Świetnie.

— Rzadko widzimy was dwoje. Pewnie ten orzeł was tak absorbuje.

— O tak. Jesteśmy bardzo zajęci.

— Podziwiałem was, kiedy przyjechaliście swoim kombi i zobaczyłem, że wyjmujesz z niego orła. Ale podobno się zblamował.

— Kto to powiedział?

— Och, krąży pogłoska, że jest do niczego.

Ten mały skurczybyk Jacinto!

— Czy to prawda, Bolingbroke, że to potężne ptaszysko stchórzyło?

— Skądże — odparłem — bzdura! Czemu jeden orzeł miałby być niepodobny do drugiego? Wszystkie są mniej więcej takie same. Orzeł jest orłem, wilk wilkiem, nietoperz nietoperzem.

— Masz słuszność, Boling. Powiedziałbym, że nawet w obrębie naszego gatunku jesteśmy bardzo do siebie podobni. A mimo to interesujące są właśnie różnice. Więc jak jest z twoim orłem?

— On jeszcze nie dojrzał do tego rodzaju łowów. Ale niedługo dojrzeje. Tea jest świetnym treserem.

~ Nie przeczę. Lecz jeśli jest bojaźliwy, to łatwiej ułożyć było jego niż jakiegoś naprawdę krwiożerczego stwora palającego żądzą mordy jak ten, który tu kiedyś rzeczywiście chwycił te jaszczury.

— Kaligula to łomignat białogłowy, najsilniejszy i najdzikszy z orłów.

Jeszcze nie odkryłem, jak mało ludziom zależy, by komuś się powiodło w jakimś niezwykłym przedsię-

wzięciu, a niektórzy znajdują pociechę w tym, że zwyciężają rzeczy mało warte, wszelkie większe zaś wysiłki zostają obrócone wniwecz. Żal ten odczuwałem też za pisarzy, których czytałem.

— Oliver jest redaktorem pewnego magazynu — rzekł Iggy. — Może zechce wydrukować coś o waszym orle.

— Jakiego magazynu?

— „Wilmofs Weekly”.

— Tak, przyjechaliśmy tu na wypoczynek — powiedział Oliver.

Wyglądał trochę głupio, twarz miał delikatną, o wąskich jak nitka wargach, nikłym wąsik, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Był najwyraźniej trunkowy i bardzo próżny. Dopiero niedawno wypłynął na szerokie wody. Moulton i Iggy znali go w Nowym Jorku i jedną z pierwszych rzeczy, jaką mi o nim Moulton powiedział, było to, że jeszcze parę lat temu, jeśli ktoś wpuścił Olivera do swojego domu, ryzykował, że ten ukradnie mu ubranie i zastawi, by kupić whisky. Ostatnio był na kuracji insulinowej u czubków, bo miał delirkę. A teraz znalazł się tutaj, elegancki, z nowym kabrioletem i tą ślicznotką, która jakoby jest aktorką. I naprawdę redagował „Wil- mot s Weekly\*! O którym właśnie teraz powiedział:

— Interesują nas głównie artykuły polityczne.

— Chryste, Johnny, nie próbuj mi wmówić, że wszystko w twoim piśmie jest takie poważne... same myśłówki. Nigdy tak nie było.

— Przy nowych właścicielach wszystko jest inaczej — rzekł i zmienił temat w sposób, który wkrótce stał się łatwy do przewidzenia. — W ubiegłym tygodniu napisałem autobiografię. Tuż przed wyjazdem. Zajęło mi to tydzień. Jednego dnia opisałem dzieciństwo, drugiego lata chłopięce, a resztę równo w pięć dni. Dziesięć tysięcy słów dziennie. Wyjdzie w przyszłym miesiącu. — Gdy mówił o sobie, robił to z taką satysfakcją, że przez chwilę wyglądał na zdrowego i silnego, promieniał. Potem, gdy temat się zmieniał, następował nawrót i Oliver wydawał się bardzo słabutki.

— Zatrzymaliśmy się w hotelu Carlos Quinto — P<sup>o</sup>n wiedziała Stella. — Chodźcie do nas na drinka.

— Właśnie, czemu nie — rzekł Oliver — trzeba to 480

wykorzystać. Ten hotel kosztuje mnóstwo pieniędzy. Przynajmniej posiedzimy sobie w ogrodzie.

Odszedłem, bo drwiny Moultona sprawiły, że zapaliłem się do pracy z orłem. Mogłoby się здаwać, że kłapa Kaliguli powinna mi zrobić przyjemność, ale, o dziwo, okazało się, że tak nie jest. Przedtem stanowił zawadę w miłości, a teraz jego kłapa narobiła jeszcze więcej szkód. Nagle oboje z Teą poczuliśmy się zagubieni, a ja zupełnie zdezorientowany. Co to jest, że nie da się zachować czystości uczuć? Rozumiem, że poznałem tych autorów z wielkiej księgi utopii w dość osobliwym czasie. Jak można przeoczyć w tych utopiach, powstałych z nadziei i sztuki, tę część natury ludzkiej albo mieć pewność, że uczucia dadzą się zachować nie zmienione? Wróciłem do domu z mocnym postanowieniem, że się nie wycofamy i będziemy dalej wprawiać Kaligulę w chwytaniu tych olbrzymich legwanów tak samo jak tamta para Amerykanów.

Najpierw postanowiłem zbesztać Jacinta za rozpowiadanie, tylko że nie mogłem go nigdzie znaleźć. Tei też nie było w domu. Kucharka powiedziała:

— Estan cazando.

— Que?

— Culebras—rzekła tym swoim głosem, który był jak szelest traw z zamierzchłych czasów, zawsze taki cichy i odległy.

Poszukałem tego słowa w słowniku. Poszli łapać węże. Kaligula siedział w klozecie.

Wieczorem wrócili. Za nimi wlokła się gromada dzieciaków, a wśród nich koledzy Jacinta, wrzeszczący do siebie przy płonącej lampie u bramy Casa Descuitada. Jacinto niósł w pudełku dwa węże.

— Tea, gdzie byłaś?

— Łapaliśmy grzechotniki... mamy dwa piękne okazy.

— Kto? Ty i te wszystkie dzieciaki?

— Nie. One się przyplątały do nas w drodze powrotnej, kiedy Jacinto powiedział im, co mamy.

— Tea, jesteś nadzwyczajna, że potrafisz je łapać. To wspomniały wyczyni Ale czemu nie zaczekałeś na mnie? One są niebezpieczne, te węże, prawda?

— Nie wiedziałam, kiedy wrócisz. A właśnie przyszedł

węglarz i powiedział, że się pokazały, więc poszłam je łapać.

Włożyła je do jednej ze skrzynek, które przygotowaliśmy na legwany, i to był początek jej kolekcji. Z czasem weranda przemieniła się w galerię węży, aż kucharka chciała odejść obawiając się o dziecko.

Chwila, gdy Tea była ożywiona sukcesem, wydała mi się odpowiednia, żeby napomknąć o Kaliguli. Wysłuchała i dała się namówić, zgadzając się, że trzeba mu pozwolić jeszcze raz spróbować. Nigdy nie myślałem, że będę się za nim kiedykolwiek u niej wstawiał. Nazajutrz Jacinto poszedł do Talavery po konie. Przygotowałem przy bramie wszystkie manatki, klatki i tyczkę, a gdy Jacinto wrócił, czekaliśmy już z Kaligulą, który wyglądał jak zwykle wspaniale, krwiożerczo. Marszczyłem brew, gdy Tea popatrywała na niego sceptycznie. Ruszyliśmy w drogę. Jadąc zagadywałem do niego co chwila i głaskałem go piórem. Mówiłem:

— Najwyższa pora, stary, żebyś już zaczął robić, co do ciebie należy.

Przyjechalśmy na to samo miejsce, siedlisko legwanów, i zająłem pozycję nieco wyżej niż ostatnim razem, by Kaligula mógł lepiej widzieć kamienny stok. Zatrzymaliśmy się. Ścisnął mi rękę bardzo mocno. Próbowałem przenieść trochę jego ciężar na udo, a nie dźwigać go wciąż na wyciągniętym ramieniu. Bizcocho drganiem skóry strącał zawzięte muchy, które błyszcząc przyszpila-ły się do jego siwych żeber.

Tea jechała poniżej i widziałem ją przez paprocie. Chwilami widziałem również Jacinta wspinającego się na wieżyczkowate białe skały i słyszałem, jak niektóre z olbrzymów skaczą z łomotem uciekając przez zarośla i znacząc swą drogę bujaniem się zmysłowych kwiatów.

Nagle pojąłem, co znaczy polować, nic z bronią, lecz żywym stworzeniem, żywym stworzeniem, które człowiek potrafił nauczyć, ponieważ zakładał, że wszelka inteligencja, od najsłabszego mignięcia po blask gwiazdy pierwszej wielkości, jest w zasadzie ta sama. Dotknąłem go i pogłaskałem. Bizcocho, jakby chcąc sprawdzić, co się dzieje, obrócił ku mnie głowę. W tej samej chwili Tea zerwała chustkę z głowy, co było umówionym sygnałem. Znalaz- 482

łem sznurek kaptura i poderwałem Bizcocha do galopu czując, że teraz nie mogę się oszczędzać. Bizcocho ruszył bardzo szybko. Pewnie obrałem zbyt spadzistą drogę, bo ten stary koń biegł szybciej niż kiedykolwiek. Ścisnąłem go udami i zerwawszy Kaliguli kaptur wyciągnąłem zawleczkę.

— Leć za nim! — wrzasnąłem i nagle sam zacząłem lecieć, przez łeb konia, któremu wysunął się spod kopyt kamień. Padał, a z nim ja. Poczulem jeszcze pchnięcie odbijającego się od mojej ręki Kaliguli, a potem zobaczyłem barwę własnej krwi na kamiennym zboczcu. Uderzyłem o nie i staczałem się w dół. Usłyszałem szalone rzenie Bizcocha i krzyk Jacinta.

— Uciekaj, uciekaj! — wrzasnęła Tea. — Augie, kochany, uciekaj! On kopie! Jest ranny!

Lecz jedna podkowa Bizcocha trafiła mnie prosto w głowę i straciłem przytomność.

## Rozdział XVII

Niektórym z nas trzeba dużo czasu na przekonanie się, jaka jest cena przebywania w świecie materialnym i z jakimi wiąże się to trwanie warunkami. Wszystko zależy od prędkości rozpuszczania się życiowych cukrów. Lecz kiedy się wreszcie rozpuszczą, rodzi się w ustach inny smak, wieszczący nowe, które przejawia się w mrocznym zdumieniu i wypełnia oczy. A tym nowym jest, że człowiek powstały w jakiś sposób z ogromu istnienia może każdej chwili do niego powrócić. Każdej, może już następnej.

Otóż nieszczęsny Bizcocho rozbił mi głowę, ale miał złamaną nogę i Tea go zastrzeliła. Straciwszy przytomność nie słyszałem strzału. Oboje z Jacintem wciągnęli mnie na jej konia. Chłopak usiadł ze mną i przytrzymał mnie jak wór owsa. Krew lała się z mojej głowy i straciłem kilka zębów z dolnej szczęki. Zwisając w ramionach Jacinta, z chustką, której Tea używała do dawania znaków, tak przesiąkniętą krwią, że więcej jej nie mogła wchłonąć, zostałem dowieziony do domu lekarza. Gdy byliśmy prawie na miejscu, dzwignąłem się i spytałem:

— Gdzie jest orzeł?

Żaden wypadek przy polowaniu nie skłoniłby Tei do płaczu, nawet tak ciężki jak ten. Nie roniła łez. Ogluchły ze słabości albo od krwi, włosów czy ziemi w uszach, me tyle usłyszałem, ile zobaczyłem, jak przeklina Kaligulę- Czułem, jak mi się skóra na głowie zwija w falę albo marszczy w grudę. Zobaczyłem, że ręka Tei ściskająca 484

mnie mocno za nogę jest zlaną krwią. Twarz Tei okrywała gorąca bladeść. Przy głębi i fragmentaryczności widzenia, jakie się miewa w podobnych momentach, stała mi przed oczami z plamkami odbitego od mosiężnych kólek kapelusza blasku i gorąca na mostku noska i na ustach.

Słuch mi wrócił, usłyszałem krzyki dzieci:

— Es el amo del óguila! — El dguila, który gdzieś wysoko na niebie zataczał koła wielkimi skrzydłami, w tureckich hajdawerach i z morderczym dziobem. Wysokość przestworzy wydała mi się przeogromna. Czułem się, jakbym pełził po ich spodzie.

— Straciłeś zęby — powiedziała Tea.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem, gdzie mam lukę. Lecz prędzej czy później człowiek musi stracić kilka zębów.

Z podwórka lekarza wyszły dwie kobiety ze zwiniętymi noszami i położyły mnie na nich. Co chwila mdlałem, niezmiernie osłabiony. Lecz kiedy mnie przenoszono przez patio, byłem przytomny i zachwyciłem się dniem, szczególnie pięknym. Pomyślałem jednak zaraz, że to przeze mnie Bizcocho stracił życie, że przeżył dziką noc partyzanckich potyczek i ucieczek Zapatisty, bywał też prawdopodobnie świadkiem przywiązywania ludzi do krzyża lub napełniania im brzuchów mrówkami, że strzelano do niego z huczących strzelb, a zabiłem go właśnie ja.

Wyszedł lekarz z kwiatem w butonierce i uśmiechem na twarzy. Ale tak naprawdę był ponury. Jego gabinet śmierdział lekarstwami i eterem. Dostałem dawkę eteru, którym cuchnąłem później całe dni. Wciąż wymiotowałem. Okutano mnie bandażami. Twarz miałem sztywną od strupów. Mogłem jadać tylko kleiki, rosół z indyka i nie mogłem znieść samego siebie. W turbanie bandaży słyszałem syczenie, jakbym miał tam jakiś kurek albo dyszę. Ból i to syczenie czy kapanie wzbudziły moje podejrzenia, że ten uśmiechnięty ponurak nie zna się na robocie, i martwiłem się o swoją czaszkę z powodu beztroskiego podejścia Meksykan do rzezi, chorób i pogrzebów. Lecz jak się później okazało, lekarz spisał się doskonale. Jednakże wtedy cierpiałem, byłem przybity, oczy miałem podkrążone, policzki zapadnięte, w zębach szczelinę. Zdawało mi się, że w tych bandażach



J jestem bardzo podobny do matki, chwilami zaś do Oeorge'a.

Nawet kiedy zadrapania się już zagoiły, a bóle głowy osłabły, coś mnie nękało i nie wiedziałem co. Tea też zrobiła się bardzo niespokojna. Niepowodzenie z Ka- ligulą i moja głupota, bo popędziłem biednego Bizcocho w dół urwiska, strasznie ją rozczarowały. Trudno było jej, tak odważnej i pełnej zapału, pogodzić się z myślą, że podjęła to przedsięwzięcie, dokładnie je zaplanowała, przyuczyła ptaka, i wszystko wzięło w łeb, wzięło w łeb przez moją nieudolność. Odesłała Kaligulę do przyjaciela swojego ojca w Indianie, do jego trianańskiego zoo. Pomyślałem, jak bardzo by się cieszył ten stary szczur pustynny w Texarcanie, gdyby o tym wiedział. Pokuży- kałem, żeby zobaczyć, jak ładują na wóz zamkniętego w klatce orła. Biała plama dojrzałości zaczęła się już pokazywać na jego głowie. Oko miał ani odrobinę mniej władcze, a dziób służący do nieskrywanych celów od- dychania i rozrywania budził ten sam lęk co przedtem. — Żegnaj, Kaligulo — powiedziałem.

— Żegnaj i obym cię nigdy już nie ujrzała, fałszywcu— rzekła Tea. Byliśmy bliscy też oboje, z powodu zawiedzionych nadziei i ośmieszonych oczekiwań. Rękawice i kaptur jeszcze długo leżały w kącie, aż poszły w zapomnienie.

Tea siedziała w domu i pielęgnowała mnie w ciągu następnych kilku tygodni, coraz bardziej stawało się dla mnie jasne, że choć jej twarz nie zdradza najmniejszych oznak zniecierpliwienia, nie wyraża również żadnych innych uczuć. Kiedy zacząłem przychodzić do siebie, nie chciałem, żeby ze względu na mnie i chęć dotrzymania mi towarzystwa siedziała w domu, jeżeli miała tak wyglądać. Wynikł z tego spór, bo ona nie chciała zostawić mnie samego, ja zaś obstawałem, aby gdzieś poszła, tylko nic chwytac węże. Ktoś jednak powiedział jej o jakichś czerwono-zielonych żmijach i czego nie było widać po niej, cierpliwej wobec mnie, kiedy leżałem głuchy i wychudły w wyniku wielkiej klapy — czego nic było widać, to właśnie marzeń o łapaniu owych żmij. Poznałem, że się nudzi i potrzebuje działania.

Początkowo polowała na dzikie świnię i inne zwierzęta.

486

żeby mnie uspokoić, ale później zaczęła przynosić z gór w jutowym worku węże. To jej dobrze robiło, postanowiłem zatem nie gderać. Widziałem, jak jej nastrój poprawia się z dnia na dzień. Nie chciałem tylko, żeby chodziła na te polowania sama, więc namawiałem ją, by oprócz Jacinta brała sobie jeszcze kogoś do towarzystwa. W mieście było grono myśliwych i czasem chodził z nią lekarz, a czasem młody Talavera.

Zostawałem sam i wałęsałem się po willi w szlafroku i bandażach, spacerowałem po ogrodzie i wzdłuż werandy z węzami, które wiły się w słomie i poruszały szybko językami — patrzyłem na nie chłodnym okiem. Czulem, że wynika to nie tyle z odrazy, ile z antagonizmu. Ostatecznie przecież oswoiłem orła i otrzaskałem się z dzikimi stworzeniami, mogę więc twierdzić, że jestem dość odważny. Nie musiałem jednak oblekać się w nie- ustraszoność ani kochać wszystkich zwierząt. Panował tam rodzaj węzowej woni, coś jak zapach zepsutego manga albo zgniłego siana, taki sam jak w miejscu, gdzie polowaliśmy na legwany.

Gdy byłem spokojniejszy, siadałem w fotelu obitym skórą wołową i czytałem książkę o utopiach. Nadal miałem dyzenterię i rankami często odczuwałem mocne rżnięcie w kiszki, które kazało mi pędzić do klozetu, dawniej sypialni Kaliguli. Siedziałem tam przy otwartych drzwiach. Miałem dzięki temu widok na całe miasto, które teraz, późną jesienią, kiedy największe upały ustąpiły, bardzo wypiękniało. Nie było tam prawdziwych pór roku, ale cienie surowszych klimatów z północy lub południa, które różnicowały miesiące. Za dnia panował ten sam niezawodny błękit, lecz potężne moce nieba łagodniej traktowały porośle mchem płytki. To błękitne piękno stanowiło dla mnie znaczną kompensatę, tak samo jak książka, gdy byłem w nastroju do czytania. Kiedy indziej włóczyłem się melancholijnie po domu czując się jak bezużyteczny patałach. Policzki mi zakłęśły, więc uwydatniły ę skuły, a oczy zrobiły się jakby senne, bo gdyby były otwarte szerzej, wyjawyłyby mój niepokój. Zapaściłem coś w rodzaju jasnego indiańskiego wąsika po obu stronach ust.

Rano Tea piła kawę, życzyła mi zdrowia, wkładała

487

sombrero z mosiężnymi kółeczkami i wychodziła. Szed-łem zobaczyć, jak wsiada na koma. Siedziała w siodle z kkką ociężałością człowieka ufnego w swoje siły. Już nie pytała mnie, czy chcę, by została, tylko zalecała mi wyjście na popołudniowy spacer. Obiecywałem, że zadbam o to.

Iggy i Moulton przyszli mnie odwiedzić. Moulton powiedział:

—Boling, wyglądasz okropnie. — Rozzaliłem się więc nad sobą jeszcze bardziej i wpadłem w przygnębienie, pełen złowróżbnych przeczuć.

Również Stella, przyjaciółka OHvera, orzekła, że wyglądam kiepsko, kiedy rozmawiałem z nią przez mur ogrodu. Zauważyłem, że i na niej leży jakiś cień. W owych dniach pijałem sporo tequila ła monada i zaproponowałem, żeby się ze mną napiła. Odmówiła. Powiedziała z żalem:

— Bardzo bym chciała. Może któregoś dnia przyjdę. Chciałabym z tobą porozmawiać. Ale jak wiesz, mamy się wyprowadzić z Carlos Qmnto. — Nie wiedziałem, lecz zanim zdążyłem się dowiedzieć czemu, nadszedł przystępując przez kwiaty szczupły OHver w jedwabnych skarpetkach z podwiązkami na swych końskich kostkach i z nacąsanynń wąskimi ustami Zabrał ją spod mcm. Nawet się do mnie nie odezwał.

— Co go ugryzło?

Moulton powiedział, że jest zazdrosny.

— Ona mówi, że się wyprowadzają

— Tak, Ohver wynajął willę tego Japończyka. Japończyk musi wracać do Nagasaki Oliver mówi, że starr jędze w hotelu patrzą na Stefłę krzywym okiem. Bo wiedzą, że oni nie są małżeństwem. Gdybym ja miał taką dziewczynę, wcale bym się nie przejmował tymi starymi pudłami

— Ale czemu on tu wynajmuje willę? Przecież redapgr magazyn w Nowym Jorku.

— Robi to siedząc tutaj — odparł Iggy.

— Bzdura! — powiedział Moulton. — Siedzi tu, 6® wpadł w tarapaty.

— Sądzisz, że przywłaszczył czyjeś pieniądze? — tał zdumiony Iggy.

Moulton sprawiał wrażenie, jakby wiedział więcej, m 438

uważał za stosowne zdradzić. Gadatliwy osioł. Duże twarde brzuszysko sterczało mu pod koszulą w ananasy Nawet się trochę wstydził swojego wyglądu w słońcu. Jego powieki były równie ciemne jak palce palacza, a miał nawyk ciągłego mrugania.

— Jepson mówi, że on chce wydać wielkie przyjęcie na cześć Stelli, żeby pokazać tym starym sukum z Carlos Quinto — powiedział Iggy.

- Wszystkim pokaże i wszystkich zwali z nóg wielkością swojego sukcesu. Ktokolwiek brał go za międzynarodowego włóczęgę, to znaczy każdy, kto się z nim kiedykolwiek zetknął, teraz dopiero zobaczy. Chłopie! Oni wszyscy tkwią na swoich miejscach, a on wróci i wprawi ich w zachwyt. W dodatku zjeździł kawał świata, ale sam o tym me wie, bo był pijany. — Kiedy to mówił, wyobraziłem sobie Olivera leżącego w jakiejś bodzie, w Mongolii Zewnętrznej, i żołnierzy w waciakach patrzących, jak wymiotuje zamroczony alkoholem. Moulton lubił dowodzić, że zło, rzeczy żałosne i bzdurne stanowią o jedności świata. Tylko rozrywka czyniła to jakoby możliwym do zniesienia, więc specjalizował ssę w rozrywce. Wszyscy ci ludzie, cała kolonia, robili to samo.

No więc odwiedzili mnie w willi. Po półgodzinie Moulton wyczerpał zapas swoich dowcipów. Wypalili z tuzin papierosów i Moulton zrobił się strasznie znudzony. Wy glądał, jakby mu się chciało rzygać, że musi tu siedzieć.

— Bolingbroke — powiedział. — Wcale nie musisz wciąż tkwić w domu, dlatego że nosisz ten turban. Chodź na zócalo. Spotkamy się z ludźmi albo pogramy na tej idiotycznej maszynie. Chodź, Boling. Na koń.

— Tak, chodź, Boling.

— Ty nie, Iggy. Ty idź do domu. Eunice robi mt polem piekło, że cię odciągają od pracy.

— A ja myślałem, że jesteś rozwiedziony. Iggy? — po- wtęczałem.

— Jest, ale żona trzyma go na łańcuchu. Każe mu zostawać z dzieckiem, kiedy wychodzi z nowym mężem.

U Hilaha siedzieliśmy wśród kwiatów na werandzie nad placem. Były U> te zwykłejsze kwiaty chłodniejszej pory roku. Oprócz czerwonej poinsecji, gwi\*zd> bet-

lejemskiej o aksamitnych wystających czubkach, czerwonej piękności. Fakt, że te kwiaty nie mają żadnej władzy nad tym, gdzie i kiedy się ukazują, a jednak są tak piękne i zdołają skromne mury, wiele mi powiedział. Zobaczyłem też małego szopa, który przemierzał na wszystkie strony kwadrat klatki, tyłem, do góry nogami. W najgłębszej niedoli bądź uległy, a senny tylko w porze snu.

A Moulton siedział i dalej nabijał się z Iggy'ego. Eunice odbierała czek z Nowego Jorku i wydzielala mu pieniądze. Iggy nie umiał obchodzić się z pieniędzmi. Szedł z nimi do foco rojo i dziewczęta mu je zabierały. Iggy zaś z przekrwionymi zielonymi oczyma i żabimi dobrotliwymi ustami czuł się jakby pochlebiony tym obrazem siebie pośród kurew z foco rojo.

— Eunice potrzebuje tych pieniędzy na dziecko. W przeciwnym razie przegrałbym je do ciebie — mówił. — Oto, co drażni Wileya: nie może wygrać ode mnie forsy.

— Do diabła, czyja bym się tym przejmował, gdybym nie widział, jak Jepson chla tutaj za twoje pieniądze, które dostaje od Eunice?

— Zwariowałaś chyba! On ma własne. Jego dziadek stał na czele ekspedycji afrykańskiej. To nie kłamstwo.

Chcąc być blisko córki, rozpieszczonej ciemnowłosej dziewczynki, Iggy mieszkał w tej samej willi co jego eks-zona. Chyba po to, aby chronić ją i dziecko przed Jepsonem. Myślę, że Iggy wciąż kochał Eunice.

Szwendałem się teraz z nim i Moultonem. Ponieważ dom był pusty, ponieważ na werandzie ciągle przybywało węży, ponieważ miałem za mało siły, aby towarzyszyć Tei, ale nie aż tak mało, by się nie niecierpliwic, ponieważ obrzydły mi konie i polowania, ponieważ znalazłem się na życiowym rozdrożu, przeto zwlekałem i robiłem uniki. Poza tym intrygował mnie Moulton i Iggy, a także inni z międzynarodowej kolonii. Nie mogłem im odmówić pewnego uroku. Szybko się nauczyłem ich języka. Ale też i szybko się nimi zmęczyłem.

I dziwna rzecz, człowiek budził się wczesnym rankiem. widział powietrze, jasnozłote, rzadkie, lecz upojne, zanifli działające w ciągu dnia czynniki mu go odebrały. Jj 490

znał jednak powodu dlaczego, jeżeli chodzi o samo powietrze, czynniki te musiały być takie, jakie były, podle, niepokojące, śmieszne.

Na drewnianej ławce pod drzewem granatu Iggy poprosił mnie, żebym mu pomógł w kłopotach z powieścią. Utknął w martwym punkcie i musiał ją jakoś ożywić. Bohaterem jest zdegradowany i wyrzucony z marynarki chorąży, który się rozpił. Otrzymuje od pewnego mieszaiica propozycję nielegalnego przewozu kulisów na Hawaje. Lecz gdy wśród robotników plantacji odkrywa szpiegów, budzi się w nim dawny oficer amerykański. Postanawia oddać całą szajkę w ręce władz. Musi jednak najpierw stoczyć walkę z owym mieszaiicem, który zaczyna go podejrzewać. Iggy łamał sobie nad tym głowę, a ja poszedłem boso po butelkę tequili.

Potem zjawił się Moulton i poszliśmy sobie. Kucharka gotowała mi obiady, ale nie lubiłem jadać samotnie. Kupowałem na rynku taco, od których żołądek mi się jeszcze bardziej psuł, albo kanapkę u Chińczyka.

Bacon, kiedy pisał Nową Atlantyde, kazał grać w sąsiednim pokoju, aby dzięki temu łatwiej uporządkować myśli kłębiące mu się w głowie. Ale na zócalo przez cały dzień puszczano na gramofonach Salud Diner o albo Lfalisco i panował wściekły hałas, szybki podwójny łoskot Jmariachi8 i bełkotliwe pojękiwanie ślepego skrzypka do wtóru wariackim zgrzytom smyczka, plus warkot silników autobusów i dzwony — oto jakie było tło moich wewnętrznych dysonansów. Toteż przeważnie odczuwałem zamęt w duszy, a niebezpieczeństwa dorównujące grozie nieba i widoków górskich malowały się niezwykle okazale. Miasto wirowało i wyło wkraczając w pełnię sezonu turystycznego.

Podczas gdy Iggy starał się wykombinować, w jaki sposób Amerykanin i mieszaniec mają stoczyć walkę w trakcie dawania sygnałów straży przybrzeżnej, my dwaj szliśmy do hotelu Moultona. Moulton błagał mnie, żebym siedział u niego, gdy on haruje nad odcinkami o ludziach z Marsa. Nie cierpiał swojej pracy, a przede wszystkim jej samotności. Siadywałem na dachu przed jego pokojem, z opuszczonymi ramionami i rękoma zwisającymi bezwładnie z kolan, spoglądałem ku pię-

trzącym się górą i zastanawiałem się, otepiał słońcem, gdzie teraz może być Tea.

Moulton czasem opuszczał szary od dymu papierosowego pokój, żeby pomyśleć, i spacerował w szortach, spod których widać było wklęsłe kolana oraz potężne wielkie nogi. Mrużył oczy w ogromnej twarzy spoglądając na miasto, jakby było całe rakieta międzyplanetarną. Nalewał drinka, odpalał papierosa od papierosa — i w tych czynnościach, przygotowywania trunku, przypalania, zaciągania się, strzepywania popiołu, wydmuchiwanie dymu przez komiczny nos, zawierało się jak gdyby wszystko, co jego zdaniem było naprawdę warte wysiłku. Straszliwie się nudził. I umiał wciągać mnie w tę długą charakterystyczną chwilę swojego nastroju — w ten popiół, lód, niedopałki, skórki cytryny i lepkie szklanki, w dyszącą przestrzeń pustego czasu. Dbał, tak jak wszyscy, by jego los dzielili inni, i robił z ludźmi coś, co ich zmuszało, aby czuli jak on. Moulton potrafił to nawet sam ująć w słowa.

— Nuda to siła, Bolingbroke — mówił. — Człowiek znudzony może prędzej dopiąć swego niż ktokolwiek inny. Gdy jesteś znudzony, jesteś szanowany. — Siedząc z tym swoim malutkim noskiem, grubymi udami, z odgiętymi w tył przyżółconymi dymem palcami, wyświadczał mi uprzejmość tym wyjaśnieniem i zdawało mu się, że wywiera na mnie wrażenie jak na nikim innym. Gdy nie przeczyłem, był zadowolony, że udało mu się mnie przekonać, nie pierwszy zresztą popełniał ten błąd. Umiał prowadzić rozmowę i bardzo by chciał, żeby w jego życiu było jak w rozmowie. Wiedziałem.

— Eee tam, zróbmy sobie przerwę i zagrajmy w oko. — W kieszeni koszuli nosił zawsze talię kart. Zdmuchnął więc popiół ze stolika i przełożył karty, a widząc, że wciąż popatruję ku górą, powiedział, aby rozproszyć moje myśli, łagodnie: — Tak, ona jest tam. No chodź, chłopie, rozdaj. Dobra. Teraz sobie. Robimy zakład na boku. Zakładam się, że w dziesięć minut ja zacznę rozdawać.

Moulton był pies na karty, szczególnie na pokera. Grywaliśmy początkowo u Hilario, a kiedy Hilario zaczął się buntować przeciw tym długim, trwającym do późnej nocy posiedzeniom, przenieśliśmy się do brudnej re-492 stauracji chińskiej. Wkrótce zacząłem spędzać cały swój czas przy kartach. To zdaje się stary szczep Huronów sądził, że hazard jest najlepszym lekarstwem na jakieś tam choroby. Może właśnie cierpiałem na jedną z nich. Moulton pewnie też. Musiał bezustannie się zakładać. Porównywałem z nim numery pesos, ciągnąłem karty, kto starszą, grałem w wariactwo — Moulton nazywał tak maszyny do gry — a nawet o stawkę przy pomocy małego, oznaczonego literkami bączka. Miałem szczęście i byłem dobry w pokerze, którego się nauczyłem w dobrej szkole, w sali bilardowej Einhorna. Moulton uskarżał się:

— Bracie, ty chyba pobierałeś lekcje u pokerowego Capablanki. Nigdy nie wiem, kiedy blefujesz, bo zawsze masz taką samą niewinną minę. Nikt nie jest aż tak niewinny. — To prawda, chociaż ja sam powiedziałbym raczej, że zawsze starałem się być jak najlepszy. Oto w jakim stopniu znałem siebie. Ale Jezu, Boże! Obluda! Przecież mistrzowie obludy są wszędzie dokoła! A jeśli natura każe nam żyć i postępować, jak to czynią larwy i owady, aby uchronić się przed gąsieniczkami i oszukać mimikrą innych wrogów, i tak dalej... cóż, dobra! To nie nasz problem.

Wobec Tei też się zachowywałem jak gdyby nigdy nic, a mimo to wiedziałem, że między nami jest niedobrze. Jeżeli potrafiłem nie okazać, jaką mnie to napawa rozpacz, to o ileż łatwiej mi było zablefować Moultona waletem.

Po co te węże? Dlaczego musiała polować na węże? Wracła z ruszającymi się worami, a mnie się od tego kiszki przewracały, po czym traktowała te węże z taką czułością, że mogłem się w tym dopatrzeć jedynie dziwactwa. Trzeba było uważać, żeby nie prowokować ich do uderzenia w szybę, ponieważ od tego powstawały na ich pyszczkach trudne do wygojenia ranki. A na dodatek miały pod łuskami pasożyty i trzeba je było odkurzać i myć merkurochromem, niektórym zaś robić inhalacje z olejku eukaliptusowego na dolegliwości płucne, bo węże mają skłonności do gruźlicy. Najgorsze ze wszystkiego było zrzucanie skóry, co przypominało bóle porodowe, kiedy nie mogły się z niej wydobyć, i nawet oczy im wówczas zachodziły mgłą barwy brudnego mleka. Tea im

czasem pomagała kleszczami lub przykrywała je mokrymi szmatami, aby zmiękczyć skórę. Czasem wkładała co bardziej niespokojne do wody i rzucała drewniany klocek, by mogły na nim kłaść małe główki, kiedy zmęczyły się pływaniem. Ale pewnego dnia wyslizgiwały się lśniące ze starej skóry, a wówczas ich świeżość i klejnotowy blask podobały się nawet mnie, ich wrogowi, i lubiłem patrzeć na zrzuconą skórę, z której wychodziły odrodzone, zielonkawe lub w czerwone jak ziarnka granatu plamki albo jak złota lakierowana powłoka.

Tymczasem my z Teą wciąż nie byliśmy z siebie zadowoleni. Odnosiłem się z niechęcią do węży i tego, że się nimi zajmowała. Żyłem jakby pomiędzy dwoma dziwactwami, jej i miasta w pełni sezonu. Ale nic nie mówiłem. Kiedy mnie pytała, czy nie poszedłbym z nią na polowanie, odpowiadałem, że nie czuję się jeszcze dość dobrze. Patrzyła więc tylko na mnie i mogłem bez trudu wyczytać z jej twarzy, że przecież piję i rżnę w karty, i kiedy tak stałem przed nią wychudły, chory, skrywający I myśli, jakie mogliśmy wspólnie znaleźć lekarstwo?

— Nie podoba mi się ta banda, z którą przestajesz — powiedziała kiedyś.

— Oni są nieszkodliwi — odparłem wymijająco, ale ta odpowiedź nie była nieszkodliwa.

— Może wybierzesz się ze mną jutro? Talavera ma dla ciebie bezpiecznego konia. Chcę ci pokazać kilka miejsc, cudownych miejsc.

— To wspaniale — rzekłem. — Jak się poczuje lepiej.

Dość, że starałem się, jak umiałem, z Kaligulą. Na nic więcej nie potrafiłem się zdobyć. Prędzej by mnie szlag trafił, niżbym się dał Tei wciągnąć w łapanie węży. Byłaby to zbyt wielka cena za pozyskanie jej względów, przy tym wigorze, który nie mógł znaleźć zaspokojenia w zwyczajnych dążeniach. Jeśli musiała chodzić i łapać pętlę za gardła te niebezpieczne stworzenia, następnie hodować je i ściągać ich jad, to proszę bardzo. Lecz dowiedziałem się w końcu, że jest jakaś rzecz, której stanowczo nie zgodzę się robić.

Pojechała na dwa dni w góry. Kiedy wróciła, dowiedziałem się o tym, ale nie poszedłem do domu. Grałem w karty w restauracji Louie Fu i nie mogłem wyjść.

494

Nazajutrz spotkałem ją w ogrodzie w bryczesach i ciężkich butach, które wkładała do łapania węży, grubych i mocnych, żeby zęby węża nie mogły ich przebić. Jej biała cera zdradzała, że czuje się źle, jest przybita. Była niewyspana, zawiedziona i dotknięta i chciała mnie ukarać. W podpuchniętych oczach widać było zapowiedź burzy. Czarne włosy odbijały żar słońca, a wzdłuż ich nieregularnej Unii na czole widniało rude pasemko, które stanowiło część sekretu tej czerni.

— Gdzie byłeś? — zapytała ostro.

— Wróciłem bardzo późno.

Stała rozpalona, drżąca, porywcza, a wielkie przezroczyste łzy nadawały jej oczom wyraz szalonego żalu, jaki się czasem w nich pojawiał. Myślałem, że zacznę lkać, ale tylko się trzęsła.

— Ja ze swojej strony oczekiwałem ciebie przedwczoraj w nocy — rzekłem, lecz nie odpowiedziała mi. Byliśmy oboje urażeni, choć jeszcze niegotowi do prawdziwej kłótni. Trzęsła się nie z rosnącego, lecz załamującego się gniewu.

Co ty widzisz w tych ludziach z miasta? — spytała. — Ty się mnie przed nimi wstydzisz, odkąd się nam nie udało z Kaligulą. Śmieją się ze mnie. — Sądzisz, że pozwoliłbym im na to?

— Znam ich lepiej od ciebie. Ten Moulton jest okropny.

Wsiadła na Moultona i innych rezydentów. Ja słuchałem i w ten sposób zignorowaliśmy prawdziwy powód naszej sprzeczki. Nie mogliśmy jeszcze stawić czoła kłótni.

Chwilami niemal już przekonywałem sam siebie, że jestem gotów włączyć się po górach z pętlami na węże, aparatami fotograficznymi i strzelbami. Przydałoby mi się trochę ruchu, bo stałem się nerwowy, niewyżyty i bardzo już chciałem, by powróciło to, co przeżywaliśmy w Chicago. I nigdy nie potrafiłem się zdobyć na to, by z nią wyruszyć.

Zdawało mi się, że muszę dalej grać w pokera. Wygrywałem, więc nie mogłem przestać. Moulton wciąż wrzeszczał, że wszystkich wykrwawiam — musiałem dać ludziom szansę rewanżu. Trzymałem zatem talię kart

495

w palcach jako najbardziej znany im przedmiot i rzeczywiście stałem się bardzo zręczny i ekstrawagancki w rozdawaniu. Wkrótce zaczęli poszukiwać mego towarzystwa przy stoliku nawet ludzie obcy i stałem się jakby etatowym dealerem chińskiej restauracji. Nawet Louie Fu w swoim kaftanie z dzianiny wyraził tę opinię. Dla niezajomych turystów, którzy tam grywali, światowych włóczykijów, jak ich nazywał Moulton, byłem Bolingbrokiem albo Człowiekiem z Orłem. Miałem pełne kieszenie obcych pieniędzy. Nawet nie wiedziałem ile. W każdym razie miałem. Były moje, nie Smitty'ego. Skończyła się dla mnie lodówka z banknotami leżącymi wśród jarzyn i półmisków, a Tea ani nie pomyślała o tym, żeby mi dać jakąś sumkę na moje wydatki. Gdyby nie choroba, czułbym się dobrze sytuowany, zamożny, z tymi wszystkimi funtami, dolarami, peso i frankami szwajcarskimi. Jednakże szczęście dopisywało mi tylko pozornie. Tak naprawdę byłem roztrzęsiony, w brudnych bandażach, wychudły, miasto jakby się chciało rozpęknąć z głupoty na kawałki, Tea gromadziła arlekinę i grzechotniki, musiałem toczyć walkę cierpliwości ze swą niespokojną tylną częścią ciała, żeby wysiedzieć w chińskiej restauracji, czymś pokoju hotelowym lub nawet foco rojo, gdzie gra się czasem przenosiła. Od frontu w małym barze przesiadywali żołnierze, póki nie wyparli ich turyści, a w głębi kurwy. Żołnierze czytali komiksy, jedli fasolę i pili pulque. Po krokwiach spacerowały szczury. Dziewczęta gotowały, zamiatały i też czytały lub myły włosy na podwórku. Jeden półnagi chłopak w wojskowej czapce brzdąkał na marimbie — czarne gumowe kulki na pałeczkach uderzały szybko. Czułem, że i ja muszę coś zrobić dobrze, aby mój pobyt tutaj nie okazał się klęską totalną, więc pilnowałem kart.

Nie przekonałem Tei, gdy powiedziałem, że pojedę z nią, jak tylko poczuję się lepiej, ani ona mnie nie przekonała gestami czynionymi w moją stronę. Zgadzała się w niektóre wieczory towarzyszyć mi w mieście i dobrze było widzieć ją w spódnicy z nogami nie osłoniętymi nogawkami spodni. Bardzo ranie jednak zapiekło, kiedy któregoś dnia otrzymała wiadomość o rozwodzie, i powiedziałem, tak jak od dawna zamierzałem: 496

— Pobierzmy się — a ona po prostu zaprzeczyła ruchem głowy. Przypomniałem sobie wówczas, że kiedyś, kiedy obawiała się, że jest w ciąży, zdradziła się ze swoim lękiem, jak wytłumaczy rodzinie, iż to ja jestem ojcem dziecka. Początkowo mnie to rozczarowało, później wprawiało w zakłopotanie, a teraz bardzo bolało. Oczywiście, potrafiłem spojrzeć na to z jej punktu widzenia, że co innego mieć sobie młodego człowieka za przyjaciela w różnych dniach miłości, a całkiem co innego niewłaściwego ze względów praktycznych towarzysza życia. Wiedziałem, jak by mnie ocenił jej stryj, ten wielki milioner z białymi włosami w dziurkach dyniowatego nosa i ze sporządzanymi na zamówienie cygarami hawańskimi. Prawda, że Tea robiła mu na złość i chciała być od niego finansowo niezależna, ale ponieważ nie mogła na mnie liczyć, nie chciała dla mnie zrywać z rodziną. Gdybym był takim entuzjastą ptaków, węży, koni, strzelb i fotografowania jak ona, może byśmy się na to zdobyli. Ale za żadne skarby nie chciałem się zajmować światłomierzem i nie chciałem łapać węży, uparłem się i już. Miałem nadzieję, że Tea się tym znudzi, a ona, jak przypuszczam, czekała, kiedy ja znudzę się Moultonem i sp.

A tymczasem w mieście odbywała się fiesta za fiestą. Na zócalo rznąła orkiestra, brzęcząc, bębniąc i trąbiąc rozgłośnię, jarzyły się fajerwerki i wystrzeliwały całymi sznurami, kołyszącym krokiem przechodziła procesja ze świętymi obrazami. Jakaś kobieta zmarła na atak serca w czasie pięciodniowego pijaństwa i były różne skandale. Dwaj młodzi ludzie, kochankowie, pokłócili się o psa i jeden z nich przedawkował pigułki nasenne. Jepson zapomniał marynarki w foco rojo i madame, Negra, osobiście zaniósł ją do domu. Eks-zona Iggy ego wyrzuciła Jepsona z domu, musiał więc ubłagać Moultona, żeby mu pozwolił spać u siebie na ganku. Moulton się nie zgodził, bo Jepson próbował pożyczać od niego pieniądze oraz wypijał mu whisky. Teraz Jepson mieszkał na ulicy, ale ponieważ miasto buzowało, jego niedola pozostała w ogólnym rozgardiaszu nie zauważona. Wilków, dzików, ogromnych legwanów lub jeleni też nikt by nie zauważył, gdyby zeszły z gór do miasta.

Wzbijał się świetlisty pył i rozjaśniał noce. Hotele i sklepy pragnęły, aby był zgiełk, płaciły za muzykę, za fajerwerki, za bicie dzwonów, lecz dla podtrzymania tych długich fiest same pieniądze nie wystarczały i potrzebna do tego energia pochodziła zapewne z pradawnego kultu tych węży ognistych, dymnych luster i strasznych bóstw- -potworów. Nawet psy biegały i powarkiwały jakby świeżo po powrocie z wyprawy do krainy śmierci, Mict- lanu. Było odwiecznym wierzeniem Indian, że psy zanoszą tam dusze zmarłych. Panowała epidemia ameby jelitowej, utrzymywana w tajemnicy, i procesje często mieszały się z konduktami pogrzebowymi. Odbywały się wielkie widowiska. W katedrze śpiewał chór kozacki, a ksiądz, który jeszcze nigdy nie widział w niej takiego tłumu, odchodził od zmysłów i klaszcząc w dłonie beształ nas, krzyczał, że jesteśmy w la casa de Dios. Nie wywierało to najmniejszego wrażenia na tłumie. Nie mogę powiedzieć, żeby ci Rosjanie wyglądali obco na zócalo, kiedy tak chodzili nocami zadumani w swoich bluzach, butach z cholewami, z wpuszczonymi w nie spodniami i palili długie papierosy. Brazylijsko-włoska trupa operowa wystawiła La Forza del Destino. Ryczeli potężnie, ale jakby bez przekonania. Toteż i ja odniosłem się do sprawy sceptycznie. Tea wyszła po pierwszym akcie i już nie wróciła. Indiański cyrk dał ponure przedstawienie. Ekwipunek akrobatów wyglądał jak wyrwany ze starej odlewni, konie wynędzniałe, artyści — Indianie michoacań- scy — uroczyści i wykonywali swoje numery bez siatki i jakichkolwiek innych środków bezpieczeństwa. Małe dzikuski, które wyszły w brudnych portkach, by zonglować, chodzić po drucie i robić inne sztuczki, wcale się nie uśmiechały ani nie kłaniały.

Nie widziałem więc w tym mieście niczego znajomego z wyjątkiem reminiscencji — jak w przypadku tych Rosjan, którzy mi przypomnieli babcię Lausch.

Aż do pewnego dnia, kiedy było dość spokojnie i siedziałem na ławce na zócalo głaszcząc małego kotka, który usiłował wleźć mi pod pachę. Nagle pod katedrę zajechało kilka dużych samochodów. Były to samochody stare, lecz potężne, jakby z kutego żelaza, o długich maskach i niskim zawieszaniu kosztownych europejskich

498  
automobili. Od razu się zorientowałem, że w środkowym musi się znajdować jakaś gruba ryba, bo z dwóch pozostałych wysiadła obstawa, i zastanawiałem się, kto to może być, taki ważny, a zarazem taki podupadły. Wśród osób towarzyszących byli dwaj meksykańscy policjanci, nachmurzeni i dumni w swoich bluzach, które zaraz zaczęli obciążać, ale obstawa składała się z Europejczyków lub Amerykanów w skórzanych kurtkach i sztyl- pach. Trzymali dłonie na kaburach pistoletów i byli bardzo napięci — wydało mi się, że nie mają pojęcia o swojej pracy. Tak ich osądziłem, ponieważ widywałem niekiedy w Chicago, jak to powinno naprawdę wyglądać.

Dzień był chłodny. Miałem na sobie kurtkę z wieloma kieszeniami, którą Tea kupiła mi na Wabash Avenue, tę grubą kurtkę, co to mogła człowiekowi uratować życie w puszczy. Była jednak rozpięta, bo siedziałem w słońcu. Kotek pchał mi nos pod pachę, ugniał łapkami moje ramię, a ja głaskałem go po grzbiecie z rozbawieniem

1 patrzyłem, kto wysiadzie ze środkowej limuzyny, skoro przygotowania zostały ukończone. Szef obstawy kiwnął głową na znak, że wszystko gotowe, i jeden z goryli zaczął się szarpać z klamką drzwi, wyraźnie bardzo nieumiejętnie, a wszyscy stali bezradni w czasie tego żenującego incydentu, póki przeciwne drzwi nie otworzyły się nagle z metalicznym stukiem ograniczników starego typu i głowy o cudzoziemskim uczesaniu, okulary, brody nie pochylili się za pięknie wypolerowanymi szybami. Tu i ówdzie mignęła teczka. Zdawało mi się, że te teczki znamionują polityków. Jedna z osób, uśmiechnięta i rozgadana, mówiła coś przez mikrofon do szofera. I wtedy wysiadła sprężyste główna figura. Był to mężczyzna bardzo żywy i energiczny, jowialny, o ostrej, spiczastej brodzie. Zabrał się niezwłocznie do studiowania frontonu katedry. Miał na sobie kurtkę z futrzanym kołnierzem, wielkie okulary, policzki jakby pełne, ale to nie umniejszało ascetycznego wrażenia, jakie sprawiał. Patrząc na niego stwierdziłem z prawdziwym wstrząsem, że to musi być Trocki z Mexico City, ten wielki rosyjski wygnaniec,

i oczy mi się zaokrągliły. Zawsze wiedziałem, że życie nie może mi upłynąć bez ujrzenia jakiegoś wielkiego człowieka, i dziwna rzecz, pomyślałem sobie o Einhornie,

skazanym na tkwienie w fotelu, studiowanie twarzy w gazetach, ograniczonym do oglądania ludzi przechodzących przypadkowo. Bardzo przejęty wstałem z miejsca. Żebracy i włóczędzy już się gromadzili w średnio-wiecznym stylu. Nagabywacze, darmozjady i różni tacy ukazywali uszkodzenia ciała i cały inwentarz nieszczęść spod łachmanów i bandaży. Trocki z odrzuconą w tył głową oglądał i oceniał wielki kościół i z nienaruszoną przez lata sprężystością wszedł na schody, potem do wnętrza katedry. Ruszono za nim. Ludzie z teczkami — członkowie organizacji radykalnych, których znałem w Chicago, zawsze mieli podobne teuczki — a także wielki mężczyzna z włosami jak u kobiety i część tych dziwnych goryli oraz gromada ludzi o kulach, jęczących limomila, którzy jak sami twierdzili, byli bliscy śmierci. Wszystko to weszło w ciemną czeluść drzwi katedry.

Ja też chciałem wejść. Podniecił mnie widok tego sławnego człowieka i co mnie w nim najbardziej poruszało, to piorunujące wrażenie, które wywierał — bez względu na to, jak starą kupą złomu jeździł i jak dziwaczną miał świtę — wrażenie nawigowania według wielkich gwiazd, najwyższej jasności, i że zdolny jest wypowiadać słowa najwyższej ludzkiej miary, określenia uniwersalne. Gdy człowiek jest tak ograniczony do odmiennego nawigowania niż owo podniosłe, gwiazdne, jak byłem ja, i tylko wiosłuje po płytkiej zatoce, sunąc mozolnie od jednej ławicy mięczaków do drugiej, musi być poruszony widokiem dalekomorskiej wielkości. I jeszcze bardziej niż ustalonej wielkości, wielkości wygnanej, bo to wygnanie oznaczało dla mnie znamię wytrwania przy rzeczach najwznioślejszych. Opanował mnie więc szalony entuzjazm, który tłukł mi się pod czaszką jak kij od szczotki i przypominał, że głowę mam ciągle obandażowaną, więc nie powinienem się podniecać. Stałem i czekałem, kiedy się znów pojawi.

Mówię o tym wszystkim dlatego, że jednym z goryli okazał się mój stary znajomy, Sylwester, niegdyś właściciel Star Theatre, student politechniki, Armor Tech. eks-mążzonek siostry Mimi Villars, pracownik koki podziemnej. Poznałem go w tym westernowym przebraniu. O bogowie! Jakież wydawał się srogi, melancholii\* 500

ny, ważny i zbity z tropu! Podobnie jak inni uzbrojony w pistolet, spodnie miał opięte na szerokim zadzie, a brzuch zwiślał mu nad pasem. Wrzasnąłem:

— Sylwester! Ty, Sylwester! — Spojrzał na mnie ostro, jakbym dopuścił się niebezpiecznej poufałości, ale zarazem z zaciekawieniem. Czułem radość, w głowie mi łomotało. Twarz mi poczerwieniała ze śmiechu i podniecenia, tak bardzo cieszyłem się z tego spotkania. — Sylwester, ty stary durniu, nic poznajesz mnie? Jestem Augie March. Co tak stoisz? Chyba nie zmieniłem się tak bardzo.

— Augie? — zapytał i uśmiechnął się leciutko ciemnymi gorzkimi ustami, niedowierzająco. Głos mu zakrzypiał niepewnie.

- Oczywiście! To ja, ty ofiaro! Jezu, skąd się tu wzięłeś? Co tutaj robisz z tą pukawką?

— A skąd ty się tutaj wzięłeś? Raju, ale sobie podróżujemy, no nie? Co ci się stało w głowę?

— Spadłem z konia — powiedziałem i mimo radości z tego spotkania szybko przebiegłem w duchu szereg przekonujących i niespecjalnie prawdziwych wyjaśnień. Ale nie poprosił o nie, co mnie zdumiało. Obecnie mniej mnie zdumiewa, bo wiem, jak ludzie potrafią być zaabsorbowani.

— Strasznie miło cię tu widzieć, Sylwester. Jak do tego doszło, że się zajmujesz takimi rzeczami?

— Zostałem wyznaczony... co sobie myślisz? Potrzebny był ktoś z technicznym wykształceniem.

Z technicznym wykształceniem! Radość ze spotkania nie powstrzymała mnie od śmiechu i z tego wyjaśnienia. Biedny Sylwester, z tą swoją bajeczką, że jest technikiem. No cóż, prawda nie mogła być na pewno tą korzyścią, którą mieliśmy wynieść z tego niespodziewanego spotkania. Sam miałem na podorędziu zmyśloną bajeczkę na wypadek, gdyby zapytał mnie, co robię. Tak już jest. Gdyby wszystkie ludzkie kłamstewka, z jednego tylko dnia, przemienić w szlam, można by nim zatkać Amazonkę i spowodować, że wystąpiłaby z brzegów na stumilowym odcinku. One jednak nigdy nie występują w tej formie i są rozłożone równo jak azot w ziemiach. — Ach tak? — powiedziałem. — Jesteś więc cały czas



z Trockim, więc go pewnie dobrze znasz. To cudowne. Chciałbym go poznać. g! Ty?

— Raju, pewnie bym się mu nie nadał. Jaki on jest? Myślisz, że mógłbym go chociaż poznać, Sylwester? Możesz mnie przedstawić?

— Tak? Ot, tak po prostu? — rzekł rozbawiony Sylwester. — Nie sądzisz, że to może być bardziej skomplikowane? Śmieszny z ciebie facet. Słuchaj, muszę już iść. Zadzwoń do mnie, jak będziesz kiedy w stolicy. Chętnie się z tobą zobaczę, pójdziemy na piwo. Pamiętasz Frazera z Chicago? Jest jednym z sekretarzy starego. Nie zapomnij. — Właśnie go wzywał goryl z obstawy, więc pospieszył ku samochodom.

OHver kłął na Japończyka, że nie wyprowadza się z willi, ale w końcu ten odpłynął do Japonii, a Oliver wprowadził się i zaczął przygotowywać huczne przyjęcie spraszając najlepsze towarzystwo w mieście. Miało to struć jego wrogów z hotelu Carlos Quinto. Moulton pomógł mu sporządzić listę gości i rozesłano zaproszenia do wszystkich stałych rezydentów. Jednakże z powodu kłopotów Olivera, które do tej pory stały się publiczną tajemnicą, przyszła głównie hołota. Do miasta przyjechał agent Izby Skarbowej i wcale się nie krył, kim jest, ale przeciwnie, wszystkim mówił o tym z humorem. Siedział rozparty w ogrodowym fotelu u Hilaria i popijał piwo jak na wakacjach albo karmił fistaszkami szopa. Oliver udawał obojętność przechodząc przez plac i nadał oboje ze Stellą stroili się jak na bal. Im bardziej wydawał się opanowany, tym nieuchronniej zbliżała się kłeska, więc było mi go żal. Stella się bała. Czasem próbowała dać mi do zrozumienia, że chciałaby ze mną o tym porozmawiać. Nie widziałem w tym niczego niezwykłego, że właśnie ze mną chciała się podzielić swoimi kłopotami. Nie było jednak żadnych szans, aby to mogła zrobić. Oliver bardzo jej pilnował.

— Czego oni chcą od OHvera? — spytałem Moultona. — Sprawa musi być poważna, skoro przysłali tu człowieka z Waszyngtonu.

502

— Ten facet mówi, że chodzi o uchylanie się od podatku dochodowego, ale to z pewnością coś gorszego. Oliver jest próżny i głupi, nie do tego stopnia jednak, żeby zrobić takie głupstwo. To coś gorszego.

Żal mi OHvera!

—To głupol.

—Może. Ale zasadniczo... jako człowieka.

— Ech, zasadniczo — powtórzył w zamyśleniu, lecz zaraz jakby się z niego otrząsnął i rzekł: — Może zasadniczo też jest głupol.

Tymczasem było wręcz pouczające, choć budzące grozę, jak Oliver się zachowywał, jak usiłował wyglądać na opanowanego. Tylko że wciąż tracił opanowanie w drobnych sprawach. Któregoś popołudnia pobił się ze starym Louie Fu. Louie był trochę cudaczny z tym swoim hiszpańsko-chińskim gđakaniem, a w dodatku strasznie skąpy i przypuszczam, że dobrze poznał w głodujących Chinach, co to wybierać ziarna z końskiego gnoju, toteż zlewanie do butelki resztek napojów, których goście nie dopili, musiało być dla niego rzeczą błahą. Stojąc skromnie w szarym swetrze o dużych węzłastych oczkach za obitym blachą kontuarem złał któregoś dnia nie dopitą oranżadę do butelki i wstawił ją do lodówki. Oliver przyłapał go na tym i wyrznął pięścią pod oko. To było okropne. Louie wrzeszczał. Jego rodzina wpadła w szal i też zaczęła się drzeć. Wszyscy obcokrajowcy zerwali się od stolika karcianego. Pojawiła się pę ja zamykając odwrót przez frontowe drzwi. Wziąłem Stellę za rękę i wyprowadziłem przez kurtynę z paciorkó<sup>1</sup> do sąsiadującego z restauracją sklepu tekstylnego, i kiedy wychodziliśmy na ulicę, zobaczyliśmy, jak całe towarzystwo idzie za aresztantami do ratusza. Louie miał teraz wielki siniec wokół oka i darł się jak opętany. OHver wziął sobie jednego z młodych gitarzystów-sutenerów za tłumacza. A bronił się w ten sposób, że to, co zrobił Louie, jest bardzo niebezpieczne z powodu ameby. Nie mógł postąpić gorzej. Sędzia magistracki en seguida trzasnął pięścią w stół na takie nieodpowiedzialne plotki, że w mieście panuje dyzenteria. Był wielki, krępy, hodował byki do walki na arenie i siedział w sądzie w kapeluszu jak jakiś księżę biznesmen, wielka i mroczna osobistość.

503

Wyznaczył niebotyczną grzywnę, którą Oliver natychmiast zapłacił z całą rzetelnością, acz trochę pośpiesznie, a także z rozbawieniem. Pieniądze były rzeczą, której mu, jak się zdawało, nie brakło. A jak to przyjęła Stella... w swojej koronkowej sukni bez rękawów i kapeluszu? Wskazała mi swoimi wielkimi niespokojnymi oczyma, bym sam zobaczył, co musi znieść. W mieście się działo tyle rzeczy, że nie poświęciłem temu należytej uwagi. Choćby problemowi, dlaczego musiała się tak elegancko ubierać na popołudniowego pokera w restauracji Louie Fu? Zapewne dlatego, że nie miała innych sukien, tylko eleganckie, i żadnych miejsc do odwiedzania prócz tych, do których zabierał ją OHver. Było to bardzo dziwne.

- Muszę z tobą porozmawiać w najbliższych dniach— powiedziała. — Niedługo.

Ale jeszcze nie tym razem. Nadszedł OHver z Moul- tonem i Iggym mówiąc różne dziwne rzeczy, jak:

- Byłem w różnych sądach na świecie. — A także: — Teraz nie będą mogli kłamać o bieguncie, że nie ma żadnej ameby. — Albo: — Przynajmniej dałem nauczkę temu złotemu kutasowi.

Słuchając tego czułem się nieswojo, obandażowany, z kartami i różnymi rodzajami pieniędzy w kieszeniach, z sercem ściśniętym w piersi i swobodnymi palcami nóg w meksykańskich sandałach. Czułem się jak ktoś, kto się pojawia w widzeniach teozofów, tego rodzaju postacią.

Przy obiedzie Tea powiedziała:

- Podobno w mieście była jakaś burda. Czy ty też brałeś w niej udział?

Nie spodobały mi się jej słowa. Czemu musiała właśnie tak to ująć? Opowiedziałem więc, jak było, lub raczej przedstawiłem swoją wersję wydarzenia. W każdym razie skrzywiła się. Mówiąc o Stelli zdałem sobie sprawę, że chciałem ją przedstawić jako zakochaną w Oliverze. Tea mi nie uwierzyła.

- Augie — rzekła — wyjedźmy stąd. Przynajmniej do końca sezonu. Ucieknijmy od tych ludzi.

— Dokąd?

— Do Chilpanzingo.

Chilpanzingo było w upalnej strefie. Nawet miałem ochotę jechać. Pojechałbym. Ale co bym tam robił?

504

— Są tam bardzo ciekawe zwierzęta — dodała.

Odparłem więc wymijająco:

— Może już wkrótce poczuję się na siłach, żeby pojechać.

- Wyglądasz na wyczerpanego, ale jak możesz wyglądać inaczej prowadząc taki tryb życia? Nie piłeś ani kropli, zanim tu przyjechałeś.

- Bo nie miałem powodu. Przecież nie piję na umór.

— Nie — przyznała z goryczą — tyle tylko, żeby móc znieść swoje błędy.

— Nasze błędy — poprawiłem.

Siedzieliśmy przy stole zatroskani, w cieniu rozczarowania i gniewu. A potem, po długim namyśle, oznajmiłem:

— Pojadę z tobą do Chilpanzingo. Wolę być z tobą niż z kimkolwiek innym w świecie.

Popatrzyła na mnie ciepło, tak jak już od dawna nie patrzyła. Zastanawiałem się, czy może być dla nas w Chilpanzingo co innego do roboty, prócz łapania węży. Tego mi Tea nie powiedziała.

Każdy próbuje stworzyć świat, w którym potrafi żyć, i często nie dostrzega rzeczy, których nie umie spożytkować. Lecz świat realny jest już stworzony i jeśli wytwór ludzkiej wyobraźni nie pozostaje z nim w zgodzie, wówczas, jeśli nawet powodowany szlachetnymi uczuciami człowiek upiera się, że istnieje coś lepszego niż to, co inni zwą rzeczywistością, owo coś lepszego wcale nie musi przewyższać tej rzeczywistości, która, ponieważ wiemy o niej tak niewiele, może być bardzo zaskakująca. Zaskakująca w szczęśliwym stanie rzeczy — w żalnym lub tragicznym nie gorsza od zmyślonej.

## Rozdział XVIII

Zgodziłem się zatem pojechać z Teą do Chilpanzingo. Nastąpił niezmiernie krótki okres wzajemnej wdzięczności. Cieszyłem się, że już nie była dla mnie surowa, ona zaś czuła się szczęśliwa, że wciąż jest moją wybranką. W wieczór przyjęcia w nowym mieszkaniu Oliyera powiedziała: „Chodźmy zobaczyć, jakie ono jest. — I zrozumiałem, że chce się poświęcić dla mnie, bo ja chciałem iść. Mało chciałem! Pałem się, żeby pójść, ponieważ na poparcie swych dobrych zamiarów przesiedziałem w domu całe dwa dni. Przyjrzałem się jej bacznie i zobaczyłem, że zmusza się do uśmiechu, ale pomyślałem, do diabła, idziemy!

Wiedziałem już, co Tea sądzi o tych ludziach, a właściwie o większości ludzi z ich wszystkimi przywarami. Nie mogła ich znieść. Cała jej ekscentryczność sprowadzała się do tego, że chciałaby, aby ludzkość była zupełnie inna. Myślę, że nic nie zdoła wstrzymać ludzi przed wymaganiem warunków idealnych. Bardzo niewiele ich przed czymkolwiek wstrzymuje. Standardy Tei były wysokie, ale chyba nie należało jej winić, że umieściła je arbitralnie na takim pułapie. Bo kiedy mi o kimś mówiła, czyniła to bardziej z lękiem niż pogardą. Ludzie, z którymi musiała walczyć, budzili w niej strach i to, co ja nazwałbym przeciętną ludzką hipokryzją, po prostu przypadkowymi drobnymi wyzywami machiny społecznej, dla niej było trudne do zniesienia. Nie tolerowała chciwości i zazdro-

ści, gruboskórnej zadufkowatości, nienawiści i destruktowności, naciągania i dogryzania, i podczas spotkań towarzyskich widywałem w jej oczach naprawdę niebezpieczny bunt. Więc oczywiście wiedziałem, że nie chce iść, ale ja chciałem, ogromnie, i myślałem sobie: „Jeżeli ja potrafię znieść te jej węże, to i ona może się raz poświęcić dla mnie.”

Ubrałem się zatem przyzwoicie. Zdjąłem turban i przyklepiłem sobie tylko kawałek gazy na wygolonym miejscu. Tea włożyła suknię wieczorową i czarne jedwabne rebozo. Lecz kiedyśmy przybyli, nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego rodeo opryszków jak to przyjęcie. Przy wejściu do willi ogarnął nas tłum, który aż się wylewał na ulicę. Zobaczyłem zdumiewających włóczęgów obojga płci, wzory najwyższego zdeprawowania, pedałów, małpoludów, narkomanów, typy graniczne i peryferyjne, jak złopią, chlają i mielą ozorami, celebrując rozgłos. Nie było bowiem tajemnicą, że Oliver jest sądownie ścigany i że to już ostatni wielki ubaw. Prawdopodobnie Tea jedyna w mieście o niczym nie wiedziała.

Niektórzy goście leżeli z butelkami w ogrodzie, bliscy zamroczenia albo już spici do nieprzytomności. Japońskie kwiaty stratowano, a w sadzawce z rybkami pływały butelki po tequili. Nikt nie oglądał się na służbę, wszyscy sami sobie nalewali napoje, lichtarzami odrąbywali kawałki lodu, wrywali sobie wzajem szklanki. W patio wynajęta orkiestra rzępoliła słabo, a co trzeźwiejsi tańczyli. Tea chciała natychmiast wyjść, ale w chwili, gdy zaczęła o tym mówić, zobaczyłem koło drzewa pomarańczowego Stellę. Dała mi leciutki znak, więc musiałem pójść z nią porozmawiać. Zrobiłem to bardzo ochoczo. Zirytowany, że ledwie przyszlismy, Tea chce wracać, nie patrzyłem na nią. I kiedy Moulton w smokingu, lecz w szortach, poprosił ją do tańca, zezwoliłem na to z ochotą. Uważałem, że żywi do niego przesadną niechęć i nie stanie jej się żadna krzywda, jeśli się trochę z nim pokręci.

Zrozumiałem teraz, że od sprawy CHivera w magistracie, kiedy Stella powiedziała, że chce ze mną porozmawiać, wciąż byłem przejęty. Nie wiedziałem, co we

mnie wstąpiło, że czułem się tuki podniecony. Wiedziałem jednak, że cokolwiek mnie czeka i przyjdzie do mnie sumo. Uwolniłem więc ją od Tei na tanecznym patio, świadom, że mnie błaga, bym jej nie zostawiał, i że jest bardzo zła. Ale nic jej nie groziło, a ja mogłem się dowiedzieć, co się kroi. Umiałem widzieć czyjąś sytuację wyraźniej niż własną i z powodu niejasności i nieudolności, jakie odczuwałem w związku z wyjazdem do Chilpanzingo, albo brnąć jeszcze głębiej i bardziej na ślepo w to Chilpanzingo, być może potrzebowałem okazji wykazania swojej stanowczości oraz zdolności do czynu i uwierzenia, że takowe wciąż jeszcze istnieją. Lecz tak naprawdę poczułem też napad słabości, gdy zobaczyłem przyzywający ruch Stelli. Nie dlatego, bym miał wobec niej jakiegoś zamiary. Liczyłem się z odczuwanym do niej pociąganiem, ale sądziłem, że wszystko się na nim skończy. Wysłucham zwierzeń pięknej kobiety. Czułem się tym mile połączony, ponieważ musiała widzieć we mnie kogoś swojej klasy, skoro się zwróciła po pomoc. Zapomniałem, że spadłem z konia na mordę, co też było widać. Jest to coś, o czym człowiek ma skłonność zapominać. Nie zapomniałem jednak, że kiedy ostatni raz zostałem w ten sposób odwołany na bok dla omówienia spraw z Sophie Gratis, padliśmy sobie natychmiast w objęcia. I co ja na to? Otóż jakiś zanikający, skrzący, zwariowany giez w moim wnętrzu robił tyle szalonych, a zarazem czułych zabiegów wokół tego skarbu, kryształka cukru, jakim jest miłość własna, że mało myślałem. Oczywiście byłem też bardzo poważny, wiedziałem, że Stella ma kłopoty. Lecz że wybrała właśnie mnie, aby się poradzić i prosić o pomoc — bo cóż innego mogła zrobić\* jeśli nie prosić o pomoc? było jak wyświadczona mi uprzejmość i czułem się zobowiązany wobec Stelli, jeszcze nim wypowiedziała choćby słowo,

Panie March rzekła, Augie, liczę, że m» pomożesz.

Natychmiast poczułem się pokonany.

Och, tak, oczywiście. Zrobię wszystko, co tylko będę mógł odparłem drząc z przejęcia. W głowie miałem zamęt, bez krwi krążyła we mnie żywiciel. Sł! co mógłbym zrobić?

508

- Najlepiej, jeśli ci przedstawię sytuację, Tylko wyjdźmy z tego tłumu.

Dobrze — zgodziłem się i rozejrzałem dokoła, Pomyślała, że rozglądałam się za Oliverem, więc powiedziała:

Nic ma go tutaj i nic spodziewam się go wcześniej jak za pół godziny. ~ Niepokoiła mnie myśl o Tei, Lecz kiedy Stella wzięła mnie za rękę i wprowadziła między drzewa, czułem, że jej dotyk sięga poprzez moją rękę dalej w głąb, i idąc ze Stellą miałem chyba jeszcze mniejsze poczucie konsekwencji niż wtedy, gdy dokonałem włamania, Byłem niezmiernie ciekaw prawdy o Oliverze, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że jego osoba nic dla mnie nie znaczy.

Wiesz, oczywiście, o tym wysłanniku rządu, który przyjechał tu po Olivera — rzekła. Wszyscy wiedzą. Ale czy wiesz, czemu po niego przyjechał?

— Nie wiem.

„Wilmofo Weekly” został zakupiony za pieniądze rządu włoskiego. Zrobił to pewien człowiek w Nowym Jorku, Nazywa się Malfitano. Kupił ten magazyn i zlecił redakcję Oliverowi. Wszystkie drukowane tam ważniejsze artykuły opracowywano w Rzymie, Otóż ten Malfitano został przed paroma miesiącami zaarrestowany i dlatego nie wracaliśmy do Stanów. Nic wiem, za co go aresztowano. A teraz przysłano człowieka po Olivera.

— Czemu?

Nie wiem. Znam się tylko na branży rozrywkowej. Możesz mnie zapytać, czemu coś jest w „Variety” a chętnie ci wytłumaczę.

Pewnie chcą, żeby wystąpił jako świadek przeciwko temu Włochowi. Uważam, że najrozsądniej dla Olivera byłoby wrócić. Należy do tych starych dziennikarzy, którzy nie widzą żadnej różnicy pomiędzy jednym rządem a drugim. Nie zrozumiała mnie.

Wcale nie jest taki stary.

Powinien się zgodzić i wrócić, żeby świadczyć.

On chce zrobić coś innego -- wyjaśniła.

Tak? Może uciec? Dokąd? — Nic mogę powiedzieć. To byłoby nieuczciwe.

509

— Do Ameryki Południowej? Jest głupi, jeżeli myśli, że mu się uda. I dopiero narobi sobie kłopotów, jak będą musieli go ścigać. Przecież jest tylko płotką.

— Nie. On uważa, że sprawa jest bardzo poważna.

— Aty?

— A ja mam tego dosyć — odparła. Blask ogrodowych lamp, odbity w jej wilgotnych wielkich oczach, gdy na mnie patrzyła, stał się teraz całkowicie ich własnym i pełnym treści światłem. — Chce, żebym z nim jechała.

— Niemożliwe! Do Gwatemali, Wenezueli. Dokąd?

— To jedyna rzecz, której nie chcę zdradzić, mimo że ci ufam.

— I za co? Czy ma schowane w skarpetce pieniądze? Nie, na pewno nie ma. W końcu wylądujesz z nim gdzieś na ulicy. Ale on pewnie się ludzi, że kochasz go aż tak bardzo?

— Och, nie, nie tak bardzo — odparła, jakby starając się określić stopień swojej miłości. Zapewne chciała powiedzieć, że kocha go trochę, abym nie pomyślał, że jest nieuczciwa. Tego żalostnego, kościstego, zapijaczanego i romantycznego, podskakującego błazna Olivera! Widziałem, jak całe jego złudne szczęście — pieniądze, samochód, miłość — rozpada się w gruzy i zrobiło mi się na chwilę przykro. Dostrzegłem także przeblask jej niewdzięczności, ale nie mogłem widzieć długo czegokolwiek, co by ją dyskredytowało. Stojąc przed nią, ukryty wśród drzew przed hulającymi ludźmi, czułem, że coś się ze mną dzieje, czemu nie mogłem zapobiec.

To przyjęcie ma być zasłoną dymną — mówiła. — On poszedł ukryć gdzieś przy drodze samochód, a potem wróci po mnie. Mówi, że gliny tylko czekają, żeby nas zaarrestować.

— Chyba naprawdę zwariował — powiedziałem z nowym przekonaniem. — Myśli, że mu się uda daleko zajechać czerwonym kabrioletem?

— O świecie chce go gdzieś zostawić. On nie żartuje. Ma broń. I chyba trochę oszalał. Mierzył we mnie z tego pistoletu dzisiaj po południu. Mówi, że chcę go zdradac.

— Nieszczęsny głupiec! Sądzi, że jest cwany. Musisz od niego wiać. Jak mogłaś wpakować się w taką kabałę!

Wiedziałem, że było to głupie pytanie. Nie mogła na me 510

odpowiedzieć. O niektórych ścieżkach życia człowiek nie dowie się niczego, bo nie da się o nich opowiadać, można je tylko odgadywać. Tak, było to bardzo głupie, ale ileż to głupstw mówiłem i robiłem nie mogąc się powstrzymać.

— No cóż, znałam go od dosyć dawna. Dał się lubić, poza tym miał mnóstwo pieniędzy.

— Dobrze już, dobrze, nie musisz mi mówić.

— A czy ty nie przyjechałaś do Meksyku na nieco podobnej zasadzie? — spytała.

Więc to była rzecz, która nas łączyła. — Przyjechałam, ponieważ byłem zakochany. UJ Tea jest taka ładna, że to rzeczywiście różnica. Ale mimo wszystko — dodała z nagłą przenikliwością i otwartością — ten dom należy do niej, prawda? I wszystko inne. Co masz własnego?

— Co mam?

— Nie masz nic, prawda?

Oczywiście nie zamierzałem być takim hipokrytą, żeby się z nią spierać i udawać, że nigdy w świecie, nawet przez chwilę, nie poświęciłem ani jednej myśli sprawie pieniędzy. Bo czymże było to, co miałem w kieszeniach, ta różnorodność walut, moja wygrana, cała tęcza barw obcych banknotów zgarnięta u Chińczyka? Trafiły mi się nawet carskie ruble, za co winiłem kozackich śpiewaków. Nie ma co, liczyłem się bardzo z pieniędzmi, a więc wiedziałem, co ma na myśli.

— Mam trochę forsy — powiedziałem. — Mogę ci pożyczyć na ucieczkę. Nie masz w ogóle pieniędzy? — W tym punkcie rozmowy łączyło nas pełne zrozumienie.

— Mam konto bankowe w Nowym Jorku. Ale co mi teraz z tego przyjdzie? Mogę ci dać czek na pesos, które mi pożyczysz. Tutaj nie mam dojścia do żadnych pieniędzy. Musiałabym najpierw dotrzeć do Mexico City i zatelegrafować do banku z Wells Fargo.

— Nie chcę czeku.

— Nie będzie bez pokrycia... nie bój się!

— Nie, nie. Pożyczę ci na słowo. Chciałem powiedzieć, że nie potrzebujesz mi dawać żadnego czeku.

-T- Zastanawiałam się, czy nie zawiózłbyś mnie do Mexico City — rzekła. Tego się właśnie spodziewałem, chociaż nie sądzę,

abym zamierzał to uczynić. Teraz, kiedy przyszło, coś się ze mną stało. Zadrzałem, jakbym się otarł o przeznaczenie. To prawda, że zawsze próbowałem uniknąć tego, na co żywiłem nadzieje, jak rzadko jednak ludzie zawodzą w tak tajemniczym ich spełnianiu?

— A cóż to... skąd nagle?—powiedziałem traktując to nie jako plan mający jej zapewnić bezpieczeństwo, ale propozycję względem mnie. Wrzaski i piski bawiących się ludzi były głośne, a wąski pas drzew pomarańczowych, gdzie staliśmy, wydawał się ostatnim pasmem zboża, które żniwiarze właśnie żęli. Oczekiwałem, że każdej chwili może wtargnąć jakiś pijany intruz albo rozochocona para. Wiedziałem, że powinienem ruszyć na poszukiwanie Tei. Najpierw jednak należało zakończyć te sprawę. — Nie musisz tak do tego podchodzić — powiedziałem. — I tak ci pomogę.

— Za wiele sobie obiecujesz. Nie winię cię, ale tak jest. Może nawet czułabym się zawiedziona, gdyby tak nie było, mimo wszystko... Nie mogę być tak próżna, aby sądzić, że zasługuję na ten najlepszy sposób wydobycia się z kłopotów. Ty mnie nawet nie znasz. I powinnam teraz myśleć tylko o ucieczce od tego nieszczęśnika, który stracił rozum.

' — Bardzo mi przykro. Przepraszam. Mówiłem od rzeczy.

— Och, nie musisz przepraszać. Wiemy doskonale, w czym rzecz, prawda? Przyznaję, że często ci się przypatrywałam, myślałam o tobie. Myślałam między innymi, że ty i ja należymy do takich ludzi, których inni starają się wykorzystać. Więc gdybyśmy się tak zbuntowali, to co wtedy? No, nie czas na takie rozmowy.

Moja reakcja na jej słowa była przepiękna, zupełnie mnie nimi podbiła. Czułem do niej wdzięczność, że nazwała po imieniu to, co przez tyle długich lat ciążyło na mnie anonimowe. Rzeczywiście byłem wykorzystywany. Gdy to powiedziała, przeniknęło mnie uczucie prawdy- Głównie prawdy, choć nie wyłącznie. Bo przyznam, że myślałem sobie też, oto kobieta, która nie poddawałaby próbom moich braków, nie osądzałaby mnie. Ponieważ miałem już serdecznie dosyć tego walenia po głowie i tłuczenia czyimiś sądami. I to wszystko.

512

Nie mieliśmy jednak czasu na zgłębianie takich spraw. Oliver mógł wrócić każdej chwili. Spakował jej rzeczy i wywiózł, z wyjątkiem kilku drobiazgów, które zdołała przed nim ukryć.

— Słuchaj — powiedziałem—nie mogę cię odwieźć aż do Mexico, ale gdzieś dalej od miasta, gdzie będziesz bezpieczna. Czekaj na mnie przy kombi na zócalo. W którą stronę pojechał? Możesz mi zaufać. Wcale nie chcę, żeby go złapano. Nie mam po temu powodów.

— W stronę Acapulco.

— Okej, świetnie. To pojedziemy w przeciwną.

A więc chciał wsiąść na statek w Acapulco, biedny dureń! Czy może wyimaginował sobie w swoim rozmięczonym mózgu, że uda mu się zbiec przez dżunglę do Gwatemali? W takim razie, jeśli nie zamordują go Indianie dla tych jego sportowych czarno-białych butów, zginie z wyczerpania.

Pobiegłem szukać Tei. Poszła, powiedział mi Iggy, zostawiła Moultona na środku parkietu.

— Była bardzo zła—mówił. — Szukaliśmy cię. Potem kazała ci powiedzieć, że z samego rana wyjeżdża do Chilpanzingo. Była strasznie zdenerwowana, aż się trzęsła, Bolingbroke. Gdzieś ty się podziwiał?

— Powiem d innym razem.

Pobiegłem na zócalo i otworzyłem kombi. Wkrótce przyszła Stella i wsiadła do środka. Zwolniłem hamulec ręczny i przekręciłem kluczyk. Długo nie używany akumulator był słaby. Rozrusznik zaklekotał, silnik nie zaskoczył. Nie chcąc doszczętnie wyładować akumulatora chwyciłem nerwowo za korbę. Kiedy zacząłem nią kręcić, zaraz zebrał się tłum gapiów, ta niezawodna hołota z meksykańskiego placu, która podtrzymuje jego tajemny stosunek do życia. Pocąc się przy korbie wpadłem we wściekły gniew i powiedziałem do nich:

— Jazda stąd! Zjeżdżajcie, niech was diabli! — Wywołało to tylko drwiny i pogardę, a potem usłyszałem dawne przezwisko, el gringo del óguila. Czułem mord w sercu, jak wówczas w tramwaju na State Street, gdy ścigał mnie ten oprych, a motorniczy nie chciał się zatrzymać. Zapałem się piersią o chłodnicę i szarpnąłem. Stella nie miała dość rozumu, żeby się schować — przypuszczam, że chciała

513

widzieć, co się dzieje, być gotowa do ucieczki. Teraz ją zobaczono i było już za późno.

— Augie, co ty robisz?

Modliłem się, żeby Tea poszła prosto do Casa Des- cuitada i zabrała się do pakowania do Chilpanzingo, ale oto znalazła się tutaj, ściągnął ją widok tłumu zgromadzonego wokół kombi. Patrzyła na Stellę za szybą samochodu.

— Dokąd z nią jedziesz? Czy to nie gospodyni? Czemu mnie zostawiłeś na tym okropnym przyjęciu?

— Wcale cię nie zostawiłem.

— Z tym strasznym Moultonem. Nie? Nie mogłam cię znaleźć.

Nie potrafiłem się ani rusz przejąć, że zostawienie jej samej na tym przyjęciu było tak okropną rzeczą.

— Tylko przez kilka minut — powiedziałem. 11g- A dokąd teraz jedziesz?

— Słuchaj, Tea, ta dziewczyna jest w strasznym położeniu.

— Doprawdy?

— Mówię ci.

Stella nie wysiadła z samochodu, nie zmieniła nawet pozycji za przybrudzoną szybą.

A ty chcesz ją ratować?—rzekła Tea, zła, ironiczna i smutna.

— Możesz myśleć o mnie, co chcesz — odparłem — ale to wynika stąd, że nie rozumiesz, jaka to paląca sprawa i w jakim ta dziewczyna jest niebezpieczeństwie.

Spieszyłem się jak szalony, żeby uciec, choć w rzeczywistości czułem się już przyłapany.

A Tea, owinięta w rebozo, patrzyła na mnie — surowo, błagalnie, twardo i bezsilnie, wszystko razem. Była w niej jakaś nerwowość i miała w sobie coś z uniwersalisty, wierząc, że kiedy stoi na jakimś gruncie, opiera się stopami o wszystkie pryncypialne zasady. Wywoływało to w niej drżenie, a zarazem czyniło ją odważną. Toteż nigdy w podobnych chwilach nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać.

I jeszcze jedno: była, podobnie jak Mimi, teoretykiem miłości. Różniła się od Mimi w tym, że tamta była naprawdę gotowa zrobić dla siebie wszystko, gdy inni

zawiedli. I być może nawet potrzebowała innych tylko jako świadków albo akcesoria. Tea była mądrzejsza.

Słyszałem od różnych mężczyzn, a zwłaszcza od Einhorna, o kobiecym fanatyzmie w miłości, że dla nich całe życie skupia się i zawęża wokół tej jednej rzeczy, podczas gdy mężczyźni znajdują kilka innych niezbędnych miejsc przywiązania, łatwiej więc unikają monomanii. Tak, od Einhorna zawsze usłyszało się część prawdy.

— To fakt — powiedziałem. — Oliver zwariował i chciał ją dziś zastrzelić.

-r- Co ty mówisz! Kogo ten nędzny głupek mógłby skrzywdzić? A poza tym, dlaczego właśnie ty masz jej bronić? Co ty masz z tym wspólnego?

— To — odpowiedziałem zniecierpliwiony jej logiką — że poprosiła mnie, żebym ją wywiózł z miasta.

Chce jechać do Mexico City, a nie chce wsiąść tutaj do autobusu. Policja może zwinąć i ją.

— Mimo to, co masz z tym wspólnego?

— Nie rozumiesz? Poprosiła mnie!

— Ot tak, po prostu? Czy może chciałeś, aby to zrobiła?

— Jakim cudem? — zapytałem.

-T- Tak jakbyś nie wiedział, o czym mówię! Widywałam cię w towarzystwie kobiet. Wiem, jak wyglądasz, kiedy przechodzi jakaś przystojna albo nawet nie taka bardzo przystojna kobieta.

—| Cóż... — rzekłem, gotów twierdzić, że to zupełnie normalne. A potem chciałem powiedzieć zamiast tego: „A co z tymi mężczyznami na Wschodzie, tym oficerem marynarki i innymi?” Ale ugryzłem się w język, chociaż już czułem w gardle gorycz tych słów. Teraz już liczyły się minuty. Przypomniałem sobie o tym widząc wokół twarzy Meksykan, którzy przysłuchiwali się naszej kłótni, jak słowom Pisma Świętego. — Musisz to robić? Nie możesz uwierzyć mi na słowo, że ona jest w niebezpieczeństwie? Niech chociaż raz ja coś zrobię, dla odmiany. Możemy porozmawiać o tych sprawach później, jak będziemy sami.

— Czy musisz tak pędzić z powodu Oliyera? Nie możesz jej przed nim ochronić tutaj?

— Mówiłem ci już, że on jest niebezpieczny. Słu-

chaj! — Nieomal odchodziłem od zmysłów z niecierpliwości. — On próbuje uciec i chce pociągnąć ją z sobą.  
 — Nie, to ona próbuje puścić go kantem, a ty jej pomagasz.  
 — Wcale nie! — niemal wrzasnąłem i zaraz ściszyłem głos. — Czy nie rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć? Czemu jesteś taka uparta?  
 — Więc jedź, na miłość boską, skoro musisz. Po co się ze mną kłócisz! Czekasz na moje pozwolenie? Nie dostaniesz go. Mówisz śmieszne rzeczy. Ona wcale nie musi z nim jechać, jeżeli nie chce.  
 — Słusznie, nie chce. I dlatego pomagam jej wyjechać.  
 — Ty? Ty będziesz się cieszył, że Oliver nie będzie jej miał.  
 Chwyliłem za korbę i zacząłem kręcić nią zapamiętale.  
 — Augie, nie jedź! Słuchaj, jutro rano wyruszamy do Chilpanzingo. Weźmy ją do nas, on nie ośmieli się jej u nas niepokoić.  
 — Nie, zrobię, co postanowiłem. Obiecałem.  
 — Po prostu wstyd ci zmienić zdanie i zrobić, co należy!  
 — Może — odparłem. — Zapewne lepiej orientujesz się w sytuacji, ale to mnie nie powstrzyma.  
 — Nie jedź! Nie jedź!  
 — Słuchaj — powiedziałem odwracając się do niej — może pojedziesz z nami? Zawiozę ją do Cuernavaki i za kilka godzin będziemy z powrotem.  
 — Nie, ja nie pojadę.  
 — Więc zobaczymy się później.  
 — Każdy może zrobić z tobą pochlebstwem, co zechce. Mówiłam ci to już, Augie. W jakiej to mnie stawia sytuacji? Przyszłam po ciebie. Schlebiałam ci. Ale nie mogę przewyższyć pochlebstwami wszystkich na świecie. Bardzo mnie tym zraniła i sama cierpiała. Wiedziałem, że będę długo krwawił. Chwyliłem korbę i zakręciłem nią nieludzkim wysiłkiem. Silnik zaskoczył i korba o mało nie wyrwała mi ręk. Skoczyłem za kierownicę. W światłach reflektorów zobaczyłem suknię Tei. Stała nieruchomo i pewnie czekała, żeby zobaczyć, co zrobię. Moim prawdziwym pragnieniem było wysiąść. Ale samochód już 516

- \*

przejechał kawałek po kamieniach bruku i wydało mi się, że uruchomiwszy go, nie mogłem już zawrócić. Tak właśnie często bywa z maszyną — jeśli człowiek ma jakieś wątpliwości, ona sama za niego decyduje.

Skręciłem na Cuernavakę drogą pnącą się w górę, stromą, ciemną, źle oznakowaną. Wzniesiśmy się nad miasto, które wyglądało stąd jak rozżarzone węgle ogniska, i jechałem, jak mogłem najszybciej, bo widziało nas na placu dość ludzi, by Oliver mógł zaraz dowiedzieć się o naszej ucieczce. Myślałem, że jeśli Stella zdoła wynająć taksówkę w Cuernavace, będzie to znacznie lepsze od jazdy autobusem, który co chwila się zatrzymuje jak jednokonna furmanka i łatwiej może być doścignięty przez Olivera.

Ze straszliwym pędem jak na ciemność drogi pięliśmy się do Cuernavaki, mimo że w tej czerni i pomarańczowym aromacie, przez które przebijaliśmy się w pędzie, grożące nam niebezpieczeństwo z każdą minutą zdawało się mniejsze. Gnając samochodem pod górę w ucieczce przed tym miernotą Oliverem, zacząłem widzieć w niebezpieczeństwie, podobnie jak Tea — zwyczajne głupstwo. Trudno było teraz zrozumieć, jak siedząca obok mnie w milczeniu Stella, która z widocznym spokojem zapalała papierosa samochodową zapalniczką, mogła poważnie traktować groźby takiego kogoś jak Oliver. Jeżeli nawet groził jej pistoletem, to pewnie dlatego, że był roztrzęsiony. Najprawdopodobniej uciekała od jego kłopotów, a nie gróźb.

— Widzę światła na drodze — powiedziała.

Były to migocące światła zapory. Natrafiliśmy na objazd. Jechałem bardzo wolno koleinami starej drogi wyjeżdżonej przez wozy, aż dotarłem do wielkiej strzałki wskazującej w górę. Ślady kół prowadziły w obu kierunkach. Ponieważ poprzednio skręciłem w prawo, uznałem, że należy teraz skręcić w lewo, i to był błąd. Jechaliśmy w górę długą zwiężającą się drogą, słysząc chrzęst trawy i krzaków pod kołami, ale bałem się cofać i wypatrywałem jakiegoś szerszego miejsca na drodze, żeby móc zawrócić. Znalazłem wreszcie takie i postanowiłem spróbować. Kręcąc mocno kierownicą dodałem gazu, żeby mi nie zgasł silnik. Niezwrotne kombi miało za duży promień



skreću. Ostrożnie puściłem sprzęgło przy włączonym wstecznym biegu, ale silnik szarpnął i zgasł. Dobrze się stało, bo pod prawym tylnym kołem było jakoś dziwnie międko. Wsiadłszy zobaczyłem, że zatrzymało się na kępie trawy na skraju głębokiej przepaści. Nie mogłem dojrzeć, jak głębokiej, jednakże jechaliśmy pod górę dość długo, więc musiała mieć więcej niż jakieś marne pięćdziesiąt stóp. Byłem cały spocony. Ostrożnie otworzyłem drzwi po stronie Stelli i powiedziałem cicho: — Szybko! — a ona od razu zrozumiała i wysliznęła się z samochodu. Sięgnąwszy przez okno obróciłem kierownicę i pchnąłem drążek zmiany biegów na luz. Samochód przetoczył się kilka stóp i zatrzymał na skalnej ścianie. Lecz akumulator już się wyładował, nie potrafiłem zaś zapalić silnika korbą.

— Czy utknęliśmy tu na całą noc? — spytała Stella.

— O mało nie utknęliśmy na stałe. A ja powiedziałem Tei, że wrócę za kilka godzin. — Oczywiście Stella słyszała całą moją wymianę zdań z Teą. Ten fakt miał ogromne znaczenie. Zupełnie jakby po naszej rozmowie w lasku pomarańczowym Tea nas sobie na nowo przedstawiła. Czy byłam taki próżny i niemądry, Stella zaś tak niegodziwa? Nie mówiliśmy o tym. Stella zachowywała się, jakby uważała, że nie ma sensu odpowiadać przednerwowanej kobiecie. Ja zaś myślałem, że jeśli to, co Tea o mnie powiedziała, jest prawdą, wówczas ta prawda aż bije w oczy, i skoro jest tak oczywista, nie ma o czym mówić. Poza tym czułem się głupio, kiedy po całym tym pośpiechu i poceniu się z lęku i emocji utknąłem na tej górze jak stonoga, której jeden rząd nówek nagle odmówił posłuszeństwa, podczas gdy drugim nadal przebiera z zapamiętaniem.

— Gdyby było ze dwu mężczyzn, którzy by podnieśli przód i naprostowali samochód, zapaliłby z rozbiegu.

— Z takimi światłami? — Ledwie się zarzyły żółtym blaskiem. — Tak czy owak, skąd weźmiesz tych dwu mężczyzn?

Poszedłem jednak szukać pomocy i dotarłem aż do strzałki pokazującej donikąd. Nie wiedziałem, czy to, co widzę nad porośniętymi trawą obszarami, to gwiazdy czy światła domów. Ale nie byłem taki głupi, żeby teraz

518

sprawdzać. Musiałbym pokonać wiele zagłębień terenu, zanimby dotarł do tego, co wydawało się wioską. Albo mogło się okazać, że zmierzam ku gwiazdom południowego nieba. A nawet samo określenie „południowe niebo” jest próbą oswojenia straszliwych konwulsji ognia w odległości milionów lat świetlnych (i czemu mieszkańcem tych niezmiernych przestrzeni musi być ogień?). Były zatem spadki terenu, a także ciernie i kaktusy, od olbrzymich maguey dó złośliwych, ścielących się po ziemi i kaleczących nogi, były też zwierzęta. Objazdem nie jechał żaden samochód i przyszło mi na myśl, że ten, który przybędzie, może się okazać samochodem Olivera. Czy zatem czekam, aby przyjechał i zastrzelił mnie ze swojego pistoletu? Dałem spokój i wróciłem do kombi. W bagażniku woziliśmy koce i plandekę namiotową. Szukając ich przy świetle latarki pomyślałem, jak wielką niechęć czuję do tej maszyny i w jak wielu fałszywych sytuacjach mnie stawiała. Rozłożyłem plandekę na wilgotnej trawie i przykucnięty, prawie nieruchomy czułem wciąż przenikający mnie ogromny pośpiech i zamęt. Martwiłem się Teą. Wiedziałem, że mi nie daruje. Nigdy tego nie wybaczy.

A teraz Stella leżała przytulona do mnie, bo było zimno. Czułem przyjemny zapach jej włosów i pudru — myślę, że to dzięki chłodnemu, górskiemu powietrzu. Przylegała do mnie międko, ciężko, biodrami i piersiami. I jeśli przedtem myślałem niejasno o swoim pociągu do niej, teraz z tej niejasności nie pozostało nic.

Sądzę, że jeśli się spędza noc z kobietą na odludnej górze, to pozostaje tylko jedna właściwa rzecz, zgodna z tajemnym impulsem tego świata. Albo nie takim tajemnym. A kobieta, która tak wiele zrobiła, aby się stać niebezpieczna w tym samym układzie, im bardziej jest z tego świata, tym mniej wie, jak od niego odbiec.

Myślałem, że w kryzysie, który zda się musi nastąpić, kiedy mężczyzna i kobieta zostają rzućni ku sobie, nic, nic łatwego nie może zaistnieć, póki pierwsza trudność nie zostanie usunięta, mianowicie póki nie zostanie wykazane, w jakim stopniu mężczyzna jest mężczyzną, kobieta zaś kobietą. Jakby musiała zostać dokonana próba życia, pretensje mężczyzny i kobiety usatysfakcjonowane. Tak myślałem i tak też uczyniłem. Sporo

519

rzeczy. Straszliwie paliłem się do tej kobiety. Jak też, niespodziewanie, w zapierającym dech odruchu, ona do mnie. Poczulem jej język w swoich ustach, zacząłem zdierać z niej ubranie. Nieważne, jaka inna myśl się do mnie dobijała, bo dobijała się z zewnątrz. Kiedy ze Stelli spadło odzienie, kiedy w chłodzie nocy jej ramiona, piersi, jej wilgotny żar, na które się rzuciłem, doprowadziły mnie do zapamiętania, wydałem z siebie obco brzmiący krzyk. A ona mówiła mi coś szybko do ucha, unosiła ciało, tuliła moją twarz, zbierała dłońmi piersi oddając mi się bez reszty. Czyniła wiele rzeczy jak kobieta, która nauczyła się od mężczyzn, co im najbardziej dogadza. Było to u niej częściowo niewinne. Zaraz zaczęła radośnie mówić, co chwila mnie całując. Śmiała się, że powiedziała mi na przyjęciu, iż myślę się co do niej, a ja ją przeprosiłem. Wiedziałem od początku, że jej słowa nie mają żadnego znaczenia. Nieuchronność naszego zbliżenia na tej górze wilgotnej trawy przeważała inne względy. Wszyscy to wiedzieliśmy, wszyscy troje. Czyniąc wiele z sensem, ulegamy właśnie bezsensowi. Tea przewidziała, że to zrobię. Tym bardziej mnie to irytowało, jakby właśnie jej przewidywania doprowadziły do tego zdarzenia. I myślałem z wściekłością, że gdyby mi nie stanęła na drodze i nie mówiła, co mam robić, nie byłoby tego mojego ścierania się z własną dumą. To tylko mój nierozsądny wymysł, że mi usiłowała wszystko zepsuć. Lecz mógłbym przedstawić jeszcze całe mnóstwo przyczyn bez sięgania tak wysoko, aż do stóp nieuchronności.

Mieliśmy teraz ze Stellą tylko jeden możliwy temat do rozmowy, czy jest szansa na coś trwałego między nami. Ja jednak myślałem głównie o Tei, a ponieważ nie mogłem o tym powiedzieć, nie mogłem też mówić o innych prawdziwych sprawach. Więc nie mówiliśmy. Stella wspomniała raz o Tei, że zdaje się, stawia strasznie wysokie wymagania. Wreszcie umilkliśmy oboje, potem spaliśmy i było w tym więcej intymności niż w rozmowie.

Podobną noc spędziłem wiele lat później na zatłoczonym statku z Palma de Mallorca do Barcelony. Kajuty były pełne i spałem na pokładzie zatłoczonym tłumem ludzi zwanych tam „pokornymi”, robotników w drelichowych bluzach, całych rodzin, dzieci przy piersi, młodych delika- 520 tnych dziewcząt, które wymiotowały za burtę, śpiewaków pompujących harmonie, starców na pokładzie załadowczym — niby martwych lub zadumanych, z wielkimi brzuszyskami i wyciągniętymi niezgrabnie nogami. Smutna to była noc, wilgotna, z kłopciami sadzy z lichego węgla. Cherlawi oficerowie w białych mundurach prze- s tępo wali przez ludzi leżących na pokładach. Młoda dziewczyna z Teksasu leżała ze mną pod płaszczem. Powiedziała szczerze, że specjalnie szukała w tym obcym tłumie Amerykanina. Spędziła więc całą noc przytulona do mnie i w krewetkowym chłodzie brzasku, kiedy padł na nas różowy blask rozhuśtanego morza, przypominała mi Stellę.

Tamto przebudzenie przebiegło wśród hiszpańskiego zgiełku na mokrym pokładzie, a to o mglistym białym wschodzie słońca wśród ciszy gór, jak na składowisku, niczym po zderzeniu się samochodów, z tu i ówdzie próbującym swego trelu chudym świerszczem w pan- ceryzku. Od skał ciągnęło szarozielonym chłodem, mieszały się z nim dymy wioski. Ten zapach węgla drzewnego, ten właśnie dla niektórych zapach swojskości i powitania dnia, dla mnie znamionował obcość. Stella stała owinięta kocem i próbowała zajrzeć na dno urwiska, ja na jego widok poczułem skurcz żołądka.

Jacyś Indianie, za peso od głowy, naprostowali przód samochodu. Gdy zaczął się toczyć, silnik zaskoczył i pojechaliśmy do Cuernavaki, gdzie wynająłem Stelli samochód do Mexico City i oddałem jej wszystkie posiadane dolary. Powiedziała, że mi je zwróci przez Wells Fargo, i odbyliśmy rozmowę na temat długu wdzięczności, któremu tak trudno jest nadać zdecydowany charakter. Nie wierzyłem jej, ale pieniądze były teraz jedyną rzeczą, o której mogliśmy rozmawiać. Nie czuła dla mnie wyłącznie wdzięczności, to pewne, lecz skoro ją dla mnie miała, dała jej wyraz przemilczając resztę. Spytała jednak:

- Odwiedzisz mnie kiedyś?
- Oczywiście.

Czekając w słońcu na taksówkę, przy targowisku, koło straganów z kwiatami, staliśmy na śliskim od opadłych płatków bruku i czuliśmy tę miękką kwiatową mazistość

pod butami. Naprzeciwko nas ciągnęły się stragany rzeźników, gdzie na hakach wisały flaki, płucka i połcie, na których aż huczało od much skaczących niczym pierwsze krople ulewnego deszczu na czerwonej ścianie. Przy pieńku do rąbania mięsa przykucnął nagi dzieciak i robił powoli dziwnie zabarwioną kupę. Obeszliśmy wolno rozległą stalową halę, której szklany dach okrywał stosy wyrobów metalowych, papryki, wołowiny, bananów, wieprzowiny, orchidei, koszyków i ten błysk, furię, chitynę, głośny, elektryczny, miłosny brzęk tkanki, czułe bzyczenie fioletowych i zielonych much. Jakby wirowała jakaś wielka szpula z nawiniętymi na nią wszystkimi niemi słonecznego blasku.

Przyszedł kierowca. Stella upewniła się raz jeszcze, czy zapisałem nazwisko jej agenta teatralnego, który zawsze wie, gdzie ją można znaleźć. Pocałowała mnie w policzek wzbudzając we mnie nie znane uczucie, więc zaraz zadałem sobie pytanie, czy aby nie znalazłem się na krawędzi jakiegoś nowego błędu. Kiedy taksówka jechała wolno przez tłum na rynku, szedłem obok trzymając rękę Stelli przez okno.

— Dziękuję ci — powiedziała. — Postąpiłeś naprawdę jak przyjaciel.

— Życzę szczęścia, Stelli. Lepszego szczęścia...

— Na twoim miejscu nie pozwoliłabym, żeby ona mnie traktowała zbyt surowo — rzekła.

Nie miałem zamiaru dać się traktować zbyt surowo, kiedy jechałem kłamać i stawić czoło Tei. Nie czułem ostrości kłamstwa, jakiego zamierzałem się dopuścić. Wracalem do niej myśląc, że jestem jej teraz wierniejszy niż przedtem, wierzyłem więc, że obronię coś prawdziwszego. I wcale się nie spodziewałem, że będę się czuł tak źle, jak się poczułem, gdy zobaczyłem ją w ogrodzie, przy żywopłocie, na którym teraz pojawiły się lśniące czerwone jagódki. Miała na głowie podziurawiony kapelusz i była gotowa do wyjazdu do Chilpanzingo. Ja też byłem gotów natychmiast jechać, gdyby mi pozwoliła. Okropnie chciałem ją odzyskać. Lecz zaraz postanowiłem, że nie pojedę. Przyszło mi na myśl, że już i tak za długo godziłem się na 522 jej dziwne poczynania. Już nawet przy orle powinienem był ogłosić sprzeciw, nie zaś udawać spokój za każdym jej wyskokiem, jakby to chodziło o najzwyczajszą rzecz. Za szybko jednak wybiegłem myślą w przyszłość.

— A więc jesteś — powiedziała szorstko. — Nie wiedziałam, czy mam na ciebie czekać. Myślałam, że nie wrócisz. Może bym nawet to wolała.

— Dobra — odparłem. — Nie bądź taka wygadana. Po prostu powiedz, o co chodzi.

Zaczęła rzeczywiście mówić inaczej i zaraz pożałowałem, że ją o to poprosiłem. Z rodzajem szlochu, drżącymi ustami rzekła:

— Koniec z nami... koniec! Wszystko skończone, Augie. Popelniliśmy pomyłkę. Ja popelniałam pomyłkę.

— Po co ten cały pośpiech. Poczekaj chwilę, dobrze? Po kolei. Jeżeli cię trapi, że ja i Stella...

— Spędziliście razem noc!

— Musieliśmy. Bo zmyliłem drogę. Dlatego.

— Błagam cię, przestań. Nie mów nic. Twoje słowa są dla mnie jak trucizna — powiedziała z niepoohamowaną rozpaczą. Wyglądała na chorą.

Ale to prawda — upierałem się. — Co ty sobie myślisz? Nie powinnaś być taka zazdrosna. Samochód utknął w górach.

— Dziś rano ledwie się zwlokłam z łóżka. A teraz czuję się jeszcze gorzej, jeszcze gorzej. Nie opowiadaj mi tej bajeczki. Nie znoszę bajek.

— No cóż — rzekłem patrząc na świeżo umyte kamienie chłodzące żar słońca, nierówne, zieleń jak aksamit — jeżeli musisz mieć takie myśli i dręczyć się nimi, nic na to nie poradzę.

— Właśnie w pewnym sensie chcę, żeby to był mój własny kłopot.

Słowa te sprawiły, że stałem się bardziej oziębły.

— Więc jest twój własny — oznajmiłem. — Załóżmy, że było, jak myślisz. Nie byłoby mi wówczas tak trudno powiedzieć ci o tym, skoro sama nie szczędziłaś mi prawdy o sobie, o tym marynarzu i tak dalej, kiedy byłaś żoną Smitty'ego. I tak masz nade mną niezłą przewagę. — Zacerwieniliśmy się oboje.

— Nie sądziłam, że wykorzystasz moje zwierzenia

w taki sposób—odparła łamiącym się głosem, co przejęło mnie chłodem jak słony, gruby lód na wybrzeżu przy pierwszych mrozach — że będziemy notowali wyniki.

Wyglądała bardzo źle, z bardziej błyszczącym niż przyjaznym spojrzeniem czarnych oczu i głęboką bladocią twarzy. Jej nozdrza sprawiały wrażenie, jakby częściowo przejęły chorobę, jakby weszły truciznę, o której mówiła. A zwierzęta i przedmioty pochodzenia zwierzęcego, fotele ze skóry wołowej, szeleszczące w słomie węże, rogate i włochate łby, wszystko, co niegdyś miało *raison detre*, stawało się jakieś wyblakłe, bezużyteczne, brutalne albo wydawało się jedynie bałaganem, zbieraniną, gdy coś jej dolegało. Ona zaś wyglądała na zmęczoną, z węź- lastą szyją i zwisłymi ramionami. Nawet pachniała inaczej. I była w szponach najprzeróżniejszej zazdrości — chciała i musiała mnie ranić.

Nie wiadomo czemu myślałem, że to zaraz przejdzie. Drżałem.

— Nie wyobrazasz sobie nawet, że mogło się nic nie stać — odezwałem się. — Myślisz, że musieliśmy ze sobą spać, skoro spędziliśmy razem całą noc.

— Cóż, może to irracjonalne — odparła. Ale wszystko jedno... możesz, naprawdę możesz mi powiedzieć, że nic się nie zdarzyło? Możesz?

Już, już miałem to zrobić, przecież musiałem — i czułem się potwornie robiąc kłamliwą minę, gdy jeszcze nie zdążyłem zmyć z siebie zapachu Stelli — lecz Tea mnie wstrzymała.

— Nie, nie mów, bo tylko powtórzysz to samo. Wiem. I nie proszę, żebym sobie coś wyobrażała.

Wyobraziłam sobie już wszystko, co tylko można. Nie oczekuj po mnie rzeczy nadludzkich. Nie będę się na nie ważyła. Sprawa jest dla mnie już i tak nazbyt bolesna, boleśniejsza, niż kiedykolwiek myślałam. — Nie zalała się łzami, ale pojawiły się w kąciakach jej oczu jak nagła ciemność, i tak samo cicho.

Zmiękczyło to, a raczej roztopiło, całą moją zatwardziałość jak podmuch gorąca.

— Skończmy z tym, Tea — powiedziałem i zbliżyłem się do niej, odsunęła się jednak.

— Powinieneś być z nią zostać.

524

— Słuchaj...

— Naprawdę. Teraz jesteś czuły dla mnie. Za dziesięć minut mógłbyś być czuły dla niej, a za piętnaście dla jakiejś innej dziwki. Wszystkich nie obdzielisz. Jak się zwąchałeś z tą dziewczyną? To jedno chcę wiedzieć.

— Jak? Poznałem ją i Olivera przez Moultona.

— Czemu więc nie zwróciła się o pomoc do twego przyjaciela Moultona, tylko do ciebie? Bo flirtowałeś z nią.

— Nie, bo widziała we mnie kogoś, kto ją potrafi zrozumieć. Wiedziała, jakie stosunki łączą mnie i ciebie, i pewnie pomyślała, że potrafię lepiej zrozumieć sytuację kobiety niż ktokolwiek inny.

— To jedno z tych twoich łatwych kłamstewek, które często mówisz. Wybrała ciebie, bo wyglądasz na piekielnie usłużnego, i pomyślała, że będzie mogła z tobą zrobić, co zechce.

■ — O nie — zaprzeczyłem — jesteś w błędzie. Znalazła się w trudnej sytuacji, a ja jej współczułem. — Ale pamiętałem oczywiście to uczucie z pomarańczowego gaju, że dzieje się ze mną coś, czemu nie mogę zapobiec. Widocznie Tea i o tym coś niecoś wiedziała, czym wprowadziła mnie w zdumienie. Jeszcze w Chicago przepowiedziała, że polecę za inną kobietą, której wpadnę w oko. Gdybyż tylko nie opisała mnie w tak bezlitosny sposób. Jednakże tam, w Chicago, wydało mi się takie miłe, że nie mam przed nią sekretów, a teraz nastąpiło coś w rodzaju mglistego odejścia od tamtego stanowiska, jakby fatal- ność sytuacji polegała na braku cech ukrytych. — Chciałem jej naprawdę i szczerze pomóc — dodałem.

— O czym ty mówisz — wykrzyknęła — o jakiej pomocy! Ten człowiek został aresztowany niemal dokładnie w chwili, kiedy wyjeżdżaliście.

— Kto, Oliver? — Aż mnie zatkało. — Aresztowany? Więc nie powinienem był się tak spieszyć. Ale bałem się, że powlecze ją za sobą. Bo naprawdę miał rewolwer i uderzył Louie Fu, zaczynał się robić gwałtowny i myślałem, że ją zmusi...

— Ten głupi, słaby, nieszczęsny pijaczyna ... zmusi ją? Tę dziewczynę? Do czego ją przedtem zmuszał? Nie kładła się chyba z nim do łóżka pod groźbą pistoletu. To

525

kurwa! Nie straciła wiele czasu, żeby cię rozgryźć, zorientować się, że będziesz się bał zawieść jej oczekiwania, nie okazać się mężczyzną, jakiego chciała w tobie widzieć, że dasz się wciągnąć do jej gry. Ty się zawsze dajesz wciągnąć w czyjeś gierki.

— Jesteś wściekła, bo nie chce się dać wciągnąć w twoją. Tak, Stella mnie chyba rozumiała. Wcale mi nie kazała tego zrobić. Prosiła mnie. Pewnie zauważyła, że mam już dosyć ciągłych rozkazów.

Spojrzała na mnie z jeszcze większym bólem, jakby ogarnięta nową jego falą. Na chwilę przygryzła wargę zębami. A potem powiedziała:

— To nie była z mojej strony gra. Widzę, że tak do tego podchodziłeś. Ale nie. To było szczere. Na miarę moich możliwości. W twoich oczach oczywiście mogło wyglądać na grę. Chyba tak. Może nie chciałeś, aby to było coś innego.

— Mówimy o dwóch różnych rzeczach. Ja nie mówię o uczuciu. Mówię o twoich dziwactwach.

— O moich... dziwactwach? — powtórzyła suchymi ustami kładąc rękę na piersi.

— A czy to nie dziwactwa... ten orzeł, węże, codzienne polowania?

Poczuła się jeszcze bardziej dotknięta.

— Więc ty mi po prostu pobłażałeś? W związku z orłem? On dla ciebie nic nie znaczył? Cały czas traktowałeś tę sprawę jedynie jako moje dziwactwo?

Czułem, że zadałem jej straszny cios, więc spróbowałem go złagodzić.

— Nie potrafisz dostrzec w tych rzeczach dziwactwa, nawet przez chwilę? — zapytałem.

— Mnie też wiele rzeczy wydaje się dziwnych — powiedziała ze ściśniętym gardłem i jej łzy, poprzednio, wydały mi się niczym w porównaniu z tym ściśnięciem — Niektóre z nich może nawet bardziej niż to, co ja robię tobie. Moja miłość do ciebie wcale mnie nie dziwiła. Ale teraz ty zaczynasz wydawać się dziwny, jak wiele innych spraw. Może to i dziwactwo, że umiem robić tylko różne niezwykłe rzeczy. Zamiast postępować jak wszyscy

1 być fałszywą. Ach więc — a ja milczałem uznając słuszność jej słów — ty mi tylko pobłażałeś. — Nie 526

mogłem patrzeć, jak cierpi. Czasem nie byłem pewien, czy zdoła wydobyć z siebie następne słowo, bo jej krtań hamowała tyle innych dźwięków trzymając je w zawieszaniu. — Nigdy... cię o to nie prosiłam. Czemu mi nie powiedziałaś? Mogłaś powiedzieć. Nie chciałam ci się wydawać dziwaczna.

— Ty sama nigdy nie byłaś dziwaczna. Wcale nie byłaś.

— Ty chyba nikomu nic nie mówisz. Ale wobec mnie wcale nie musiałeś się zachowywać jak wobec wszystkich. Mogłaś postąpić tak, jak nie postąpiłbyś wobec kogokolwiek innego. Czyż nie ma na całym świecie ani jednego człowieka, wobec którego możesz być szczery? Jesteś szczery z kimkolwiek? Tak, miłość się zjawia w dziwaczny kształcie. I chyba ta dziwaczność jest twoją wymówką. Być może jednak miłość byłaby dla ciebie czymś dziwnym, choćby nie wiadomo jak zaistniała, może jej nie pragniesz. W takim razie pomyliłam się, bo myślałam, że jej chcesz. A ty nie chcesz, prawda?

— Co chcesz ze mną zrobić? Żeby mi się spalił do cna? Tylko dlatego, że jesteś taka zazdrosna i zła...

— Tak, jestem zazdrosna. Czuję się bardzo przybita i rozczarowana. W przeciwnym razie zapewne bym tego nie zrobiła. Wiem, że nie możesz tego zrozumieć. Niemniej jestem rozczarowana. Nie jestem po prostu zazdrosna. Kiedy odnalazłam cię w Chicago, miałeś u siebie dziewczynę. A kiedy przyszedłeś mnie odwiedzić, nie zapytałam najpierw, czyją kochasz, czy nie. Wiedziałam, że to nie mogło być coś poważnego. Gdyby nawet było poważne i tak bym spróbowała. Czułam się w najwyższym stopniu samotna, jakby świat był pełen różnych rzeczy, tylko nie ludzi. Wiem — przyznała wprawiając mnie w jeszcze większe przerażenie — że jestem trochę zwariowana. — Powiedziała to spokojnie, matowym głosem. — Na pewno. Muszę to przyznać. Lecz sądziłam, że jeśli uda mi się zyskać zrozumienie jednego człowieka, zyskam zrozumienie innych. Że ludzie nie będą mnie już nużyli i przestanę się ich lękać. Bo moje odczucie nie może być winą ludzi, nie tak bardzo. Oni i tego nie tworzą. No więc wierzyłam, że osiągnę to dzięki tobie. Że zdołasz to sprawić. Byłam taka szczęśliwa, gdy ciebie znalazłam.

527

Sądziłam, że wiesz, czego możesz dokonać, skoro mar/. tak wiele szczęścia j jesteś taki nadzwyczajny. Dlatego nic jest to po prostu zazdrość. Nic chciałam, żebyś wrócił. Przykro mi, że jesteś teraz tutaj. Nic jesteś nadzwyczajny. Jesteś jak wszyscy inni. Łatwo się męczysz. Nic chcę cię więcej widzieć.

Spuściła głowę. Płakała. Sombrero zsunęło jej się i zawisło na sznurku pod brodą. Czuję się okropnie i to uczucie uwięziło mi w piersi jak chora wiewiórka w kominie wśród jedwabistych dreszczów dymu. Jeszcze raz spróbowałam zbliżyć się do Tei, lecz ona uniosła głowę, spojrzała mi prosto w twarz i krzyknęła:

- Nic rób tego! Nie chcę. Nic mogę ci na to pozwolić. Wiem, że według ciebie można na wiele przymknąć oczy. ale nie według mnie.

Przeszła obok mnie ku drzwiom i zatrzymała się.

- Jadę do Chilpanzingo — oświadczyła. Już nie płakała.

— Pojadę z tobą.

— Nie pojedziesz. Nie będzie więcej żadnych gier. Jadę sama.

— A co ja mam robić?

— Mnie się pytasz? To twoja sprawa.

— Rozumiem — powiedziałam.

Byłem w pokoju i pakowałem rzeczy, gorejący, że łzami i szlochami, które nie znajdowały ujścia przez zdławioną krtani, czując w sobie nagromadzony ciężar żalu, gdy zobaczyłem Teę schodzącą na zócalo ze strzelbą na ramieniu, a za nią Jacinta z walizkami. Wyjeżdżała. Chciałem krzyknąć za nią: — Nic jedź! — tak jak ona zeszłego wieczoru na zócalo, i powiedzieć, jak wielki popełnia błąd. Przez ten błąd rozumiałem fakt, że mnie porzuca. Dlatego drżałem, gdy próbowałem za nią wołać. Nie mogła mnie porzucić. Przebiegłem przez dom, żeby krzyknąć przez mur kuchennego patio.

Coś w moim wyglądzie przeraziło kucharkę. Chwyciła dziecko i uciekła. Nagle w równym stopniu co żal opanowała mnie wściekłość i oba te uczucia odjęły mi głos. Pchnąłem furtkę, pobiegłem na zócalo, ale samochodu już nic było. Wróciłem, otworzyłem kopniakiem furtkę i zacząłem się rozglądać, na czym by wyładować

528

złość. Ciskając się i miotając wyrwałem kamienie z ziemi i grzmociłem nimi o ściany, aż się sypał tynk. Wszedłem do salonu i porozbijałem krzesła ze skóry wołowej, szkło, pozrywałem firanki i obrazy. Następnie, znalazłszy się na werandzie, porozwalałem w drzazgi klatki z węzami, poprzewracałem. Potem patrzyłem, jak się wydostają i umykają w popłochu, szukając kryjówek. Nie zostawiłem ani jednej całej.

Potem chwyciłem walizkę i wyszedłem. Z łkaniem w piersi, mocno tłukąc butami o kamienie udałem się na zócalo.

Na werandzie u Hilaria siedział Moulton. Widziałem tylko jego twarz nad tarczą Carta Blanca. Spojrzał z za niej. On, papież rumowiska.

- Hej, Bolingbroke, gdzie dziewczyna? Oliver siedzi w pudle. Chodź tu, chcę z tobą porozmawiać,

— Idź do diabła!

Nie usłyszał.

— Czemu dźwigasz walizę? — spytał.

Poszedłem dalej i włożyłem się trochę po mieście. Na rynku spotkałem Iggy'ego z córeczką.

— Hej, skąd przyjechałeś? Olivera zaaresztowano wczoraj w nocy.

— Pierdolę Olivera!

— Bolingbroke, nie wyrażaj się tak przy dziecku.

— Nie nazywaj mnie Bolingbroke.

Szedłem jednak z nim, prowadzącym za rękę dzieciaka, wzdłuż straganów. Po długich poszukiwaniach kupił córce lalczkę z kukurydzianej kolby.

Mówił o swoich kłopotach. Czy teraz, kiedy jego żona skończyła z Jepsonem, powinien poślubić ją ponownie? Nie miałem nic do powiedzenia w tej sprawie, ale kiedy patrzyłem na niego, oczy mnie piekły.

A więc pomogłeś Stelli uciec — rzekł. — Chyba słusznie postąpiłeś. Czemu miałaby dostać za niego po karku? Wiley opowiadał, jak wczoraj w więzieniu Oliver wrzeszczał, że go porzuciła. Nagle dostrzegł moją walizkę i powiedział:

— Oooh, przykro mi, chłopie! Wygnała cię, co? Skrzywiłem się, twarz mi drgnęła. Zrobiłem niemy gest i wybuchnąłem płaczem.

## Rozdział XIX

Wężę uciekły — chyba w góry. Nic chodzę do Caia Descuitada, żeby sprawdzić. Iggy zabrał mnie do pokoiku w willi, w której mieszkał. Przez pewien czas nie robiłem nic, tylko leżałem w tej małej ciepłej kamiennej celi na wierzchołku domu. Wchodziło się tam idąc aż do końca schodów, a dalej po drabinie. Wyciągnąłem się na niskim łóżku i przeleżałem wiele dni chory. Jeśli Tertulian podchodził do okna niebios, tak jak zapowiadał, aby nacieszyć się widokiem potępionych, mógł ujrzeć moją nogę na linii swojego wzroku poprzez blask słońca. Oto jak się czułem.

Iggy przychodził, aby mi dotrzymywać towarzystwa. Siadał na niskim fotelu i tkwił w nim godzinami nie wypowiadając ani słowa, z nogawkami przewiązanymi sznurkiem alpargatas, jak u rowerzysty, z opuszczoną brodą, przez co szyja marszczyła mu się i nabrzmiewała. Siedział więc ze spuszczoną głową i zaczerwienionymi powiekami zielonych oczu. Od czasu do czasu odzywał się głos dzwonu, kołyszącego się w przód i w tył, jakby ktoś niósł wodę, czystą, bez skazy, ale w brudnym kubku, i jakby potykał się, ślizgał na kamieniach. Iggy wiedział, że przeżywam kryzys, i nic chciał, żebym pozostawał sam. Jeśli jednak próbowałem coś powiedzieć, odwracał ostrze moich słów przeciwko mnie i nic akceptował niczego, co mu mówiłem, mimo że sam zachęcał mnie do mówienia- Zwierzyłem mu się, oczywiście, ze wszystkiego, aż do utraty tchu, potem czułem, jakby mi zatkał dłonią usta

i nie pozwalał więcej mówić. Toteż po kilku razach takiego zatykania ust przestałem się w ogóle odzywać. Przyszło mi na myśl, że wstępował do mnie, aby okazać litość, a zostawał, aby się upewnić, że się udusiłem. Współczując mi brał na mnie jakiś niejasny rewanż.

W każdym razie siedział przy suchej, schłodzonej ścianie, na którą padało słońce znad parapetu, gdzie siadywały gołębie na czerwonych nóżkach zmiatając skrzydłami kurz i słomę. Czasem nawet przykładł policzek do ściany.

Wiedziałem, że postąpiłem źle. I kiedy tak leżałem myśląc o tym, czułem poruszenia własnych oczu, jakby w poszukiwaniu wyjścia. Coś się stało z moją zdolnością zapominania, została uszkodzona. Wszystkie moje pomysły i błędy stały mi przed oczyma i zaczęły mnie nękać. Nękały, a ja pociełem się, przewracałem na łóżku albo odczuwałem daremność tego przewracania.

Próbowałem jeszcze raz i mówiłem:

— Iggy, co zrobić, aby jej udowodnić, że ją kocham?

— Nie mam pojęcia. Pewnie nie potrafisz, bo jej nie kochasz.

— Iggy, jak możesz coś takiego mówić! Czyż nic widzisz, jak jest?

— Więc czemu pojechałeś z tą dziwką?

— To było coś w rodzaju buntu czy co. Sam nic wiem! Nie ja wymyśliłem ludzi, Iggy.

— Nie masz jeszcze całego obrazu sprawy, Boling. Bardzo mi cię żal — rzekł od swej ściany — naprawdę żal. Ale widać musi tak być, zanim coś osiągniesz. Za gładko ci dotąd szło. Należało ci się takie lanie, żebyś mógł zrozumieć, jak bardzo ją skrzywdziłeś. Musisz to zrozumieć i skończyć z figlami.

— Jest na mnie bardzo zła. Gdyby mnie kochała, nie byłaby taka zła. Do takiej złości potrzebny jest jakiś powód.

— Sam go jej dałeś.

Nie było sensu kłócić się z Iggy, leżałem więc milcząc i kłóciłem się w duchu z Teą, ale wychodziłem na tej kłótni coraz gorzej. Czemu tak postąpiłem? Wiedziałem, że bardzo ją zraniłem. Miałem to równie jasno przed oczyma jak ją samą, gdy blada, ze ściśniętym gardłem, mówiła:

„Jestem zawiedziona.” „Ależ posłuchaj, kochanie — chciałem jej powiedzieć — każdy bywa czasem zawiedziony. Wiesz dobrze. Każdy krzywdzi i bywa krzywdzony. Zwłaszcza w miłości. I właśnie ja cię skrzywdziłem. Niemniej cię kocham, więc powinnaś mi wybaczyć, aby nasza miłość mogła trwać dalej.”

Powinienem być zaryzykować i chodzić z nią w te gorące góry, żeby pelzać z pętlą po brązowej ziemi za węzami, zamiast się włóczyć po zwariowanym mieście, gdzie bywa jeszcze bardziej niebezpiecznie.

Bardzo ją zraniłem mówiąc, co sędzę o jej polowaniach. A czy ona nie próbowała zetrzeć mnie na pył swoją napaścią, że jestem próżny, niesolidny, że zawsze patrzę na inne kobiety, że nie mam sumienia? I czy to prawda, że jak powiedziała, miłość zawsze by mi się wydawała czymś dziwnym, bez względu na formę, jaką by przybrała, nawet gdyby nie istniały żadne węże ani orły?

Myślałem nad tym i zdumiewała mnie trafność tego stwierdzenia. Przecież tak właśnie było! A mnie się zawsze zdawało, że w kwestii miłości opowiadałem się po stronie matki, przeciwko różnym babciom Lausch, paniom Renling i Lucy Magnus.

Skoro nie miałem pieniędzy, zawodu ani obowiązków, to czy nie po to, aby być wolnym i szczerym stronnikiem miłości?

Ja, sługą miłości? Nie byłem nim wcale! I nagle zrobiło mi się niemiło w sercu, poczułem niechęć do samego siebie. Pomyślałem, że obrana przeze mnie za cel prostota to czyste oszustwo, że nie mam w sobie nawet krzty dobroci serca ani czułości, toteż zapragnąłem, aby ten Meksyk zza ścian wtargnął tu i zabił mnie i moje zwłoki rzucono w ludzkie prochy między powykrzywiane krzyże cmentarza, na pastwę robactwa i jaszczurów.

Skoro raz zacząłem, musiałem dalej ciągnąć te straszne dociekania. Jeśli więc byłem właśnie taki, z pewnością wyglądałem zupełnie inaczej, jest to zatem mój sekret. A jeśli pragnąłem się przypodobać, czyniłem to, aby wyprowadzić ludzi w pole, aby wszystkich zwieść, czyż nie tak? To z kolei musi wynikać stąd, że w moim przekonaniu każdy człowiek jest ode mnie lepszy, że musi mieć coś, czego ja sam nie posiadam. Czymże w takim razie są dla 532

mnie ludzie? Czymś fantastycznym? Wcale nie chciałem być taki, za jakiego mnie uważają, lecz chciałem się im przypodobać. Jak tak można! Niezależny los i niezależna miłość ... co za chaos!

Chyba jestem potworem, skoro tworzę taki chaos.

Lecz nie, nie można jednocześnie cierpieć i być potworem. To byłoby zbyt niesprawiedliwe. Nie mógłbym w to uwierzyć.

Mylłem się sądząc, że wszyscy inni mają więcej siły istnienia. Bo i jakże, przecież to jasne, że tak nie jest, że to tylko działanie wyobraźni, przesadne uwrażliwienie na to, jak cię widzą, mylne pojmowanie, za co cię lubią, a za co nie lubią — wynik zarówno pomyłki jak lenistwa. Jedyne sposobem to nie przejmować się, ale w takim razie musisz wiedzieć, jak naprawdę masz rozumieć i dbać o to, co jest w tobie miłe, a co niemiłe. Czy sądzisz, że każdemu nowo poznanemu na tym zależy i przypatruje się tobie? Nie. A czy dbasz o to, by komukolwiek miałyby na tym zależeć? Ani trochę. Bo i tak nikt nie może pokazać, czym jest, bez uczucia obnażania się i wstydu, i zaprzątnięty tą sprawą dbać nie może, musi zaś udawać lepszego i silniejszego od innych. Obłąd! Tymczasem nie czuje wcale w sobie prawdziwej siły, oszukuje i jest oszukiwany, polega na oszustwie, lecz wierzy obłądnie w siłę silnych. I przez cały czas nie można dopuścić do głosu szczerości, aż w końcu nikt nie wie, co jest prawdziwe. I właśnie taka zniekształcona, zdegenerowana, mroczna jest ludzkość... zwyczajna ludzkość.

Lecz skoro wszyscy poruszają się tak umiejętnie i zdecydowanie w swoich mocnych eleganckich etui, czy możesz sobie pozwolić, aby wkuś tykać między nich słaby i nieszczęsny, jak jakiś głupi stwór, roześmiany i nieszkodliwy? Nie, zaczynasz knuć w sercu swoją inność. Ponieważ świat zewnętrzny jest tak potężny, narzędzia tak ogromne i straszliwe, wyczyny tak doniosłe, myśli tak wielkie i budzące grozę, tworzysz kogoś, kto w tym świecie zdoła egzystować. Wymyślasz człowieka, który potrafi stawić czoło straszliwym pozorom. Człowiek ten nie może zyskać sprawiedliwości ani jej oddać, ale może żyć. I właśnie to zwyczajna ludzkość zawsze czyni. Składa się z takich wynalazców czy artystów, całych ich milio-



nów, z których każdy na swój własny sposób usiłuje zwerbować innych do odegrania roli pomocniczej i podtrzymywania go w jego micie. Wielcy wodzowie i przywódcy werbują największą liczbę i właśnie na tym polega ich władza. Jedno wyobrażenie wysuwa się na czoło innych, by wieść pozostałe wmawiając, że jest autentyczne, z większą niż inne mocą, lub jeden głos nasilony do grzmotu rozbrzmiewa ponad innymi. Potem ogromne zmyślenie, które jest być może zmyśleniem samego świata i natury, staje się światem rzeczywistym — z miastami, fabrykami, gmachami publicznymi, kolejami, armiami, tamami, więzieniami i filmami — staje się rzeczywistością. O to ludzkość toczy walkę: o zwerbowanie innych, aby uznali twoją wersję rzeczywistości. Wówczas nawet kwiaty i mech na kamieniach stają się mchem i kwiatami jednej wersji.

Z całą pewnością wyglądałem na idealnego rekruta. Lecz rzeczy zmyślane nigdy nie nabierały dla mnie cech realności, choćbym nie wiadomo jak się starał.

Mój prawdziwy błąd polegał na tym, że nie potrafiłem wytrwać przy swoich najczystszych uczuciach. Oto co powodowało we mnie największą wyrwę. Może Tea też nie mogła znieść wielu szczęśliwych dni pod rządem, to przyszło mi na myśl jako przyczyna jej ochłodzenia. Może i ona cierpiała na tę przypadłość... w związku ze swoimi upodobaniami. Poprzedniego roku, gdy Mimi popadła w tarapaty, Kayo Obermark powiedział mi, że to się zdarza każdemu. Każdy znajduje gorycz w tym, co sobie upodobał. Niewykluczone, że ta upodobana rzecz to w końcu sama gorycz, ponieważ zdobycie jej wymaga męstwa, bo cechuje ją intensywność, a właśnie intensywność jest tym, czego słaba ludzkość nie może długo znosić. A poza tym ową upodobaną rzeczą nie może być to, co już posiadamy, ponieważ tego, co już posiadamy, nie pragniemy i nie szanujemy należycie. Och, jaką wielką wywoływało to we mnie pogardę w tym moim stanie rozdrażnienia i dzikości. „Cóż za pierdoleni niewolnicy! ii myślałem. — Wszawi tchórze!”

Co zaś do mnie, nie lepszego od tych najgorszych, moim zmyśleniem i upodobaniem była prostota. Pragnąłem prostoty i wypierałem się złożoności, a byłem 534 w tym przebiegły i w skrytości ducha bardzo pomysłowy, pełen inwencji jak wszyscy. Bo w przeciwnym razie skąd byłaby we mnie ta tęsknota za prostotą?

Po pierwsze osobowość nie jest bezpieczna. Bezpieczne są typy. Więc niemal wszyscy deformują się, aby wielka trwoga dała im spokój. Nic w tym nowego. Łekliwi członkowie szczepów spłaszczali sobie głowy, przebijali wargi lub nosy albo odrąbywali kciuki, albo sporządzali maski groźne niczym sama groza, malowali się lub tatuowali. A wszystko, aby uprzedzić strach, który nie jest rad istnieniu człowieka.

Powiedzcie, ilu jest Jakubów, którzy sypią na kamieniach, zmuszając je, aby im były poduszką, lub idą na matę z aniołami zмагаć się z tą wielką trwogą o prawo istnienia? Ci mężni są tak nieliczni, że zostali uczynieni ojcami całych ludów.

Co do mnie, szedłem do tych, którzy by mogli mi dać schronienie przed tą potężną, niezmożoną trwogą i dzikim chłodem chaosu, a zatem w chwilowe objęcia. Nie było to zbyt męzne. A fakt, że postępowałem podobnie jak wielu innych, nie stanowił pocieszenia. Skoro jest ich tak wielu, zatem cierpią tak samo jak ja.

Teraz, gdy już to wiedziałem, postanowiłem raz jeszcze zaryzykować. Muszę spróbować zdobyć się na męstwo. Powziąłem decyzję, że pojadę do Chilpanzingo i będę ją błagał. Powiem, że choć jestem słaby, może po trochu się zmienię, jeżeli ona okaże cierpliwość.

Gdy tylko zdecydowałem się na to, zaraz poczułem się znacznie lepiej. Poszedłem do peluqueria i kazałem się ogolić. Potem zjadłem obiad u Louie Fu, a jedna z jego córek wyprasowała mi spodnie. Byłem przedenerwowany, lecz zbrojny w nadzieję. Już widziałem, jak Tea błędnie oskarżając mnie, a jej oczy ciemnieją i miotają iskry. Lecz w końcu zarzuca mi ramiona na szyję. Bo ona też mnie potrzebuje. A cała jej ekscentryczna siła, która pochodzi ze zwątpienia, czy może jeszcze kiedykolwiek powierzyć komuś swe pragnienia, opuści ją i przejdzie na mnie.

Wyobrażając sobie, jak to będzie, topniałem cały, czułem w piersi miękkość, ból i tęsknotę. Już miałem to wszystko przed oczyma. Zawsze tak ze mną było, że

wybiegałem wyobraźnią naprzód, przecierając sobie drogę. W przeciwnym razie, jak się wydaje, wielka i ciężka machina osobowości, ciemna i niezgrabna, nie mogła mszyć w nieznanym terenie. Lecz ta moja wyobraźnia, na podobieństwo legionów rzymskich w Hiszpanii lub w Galii, tworzy ulice i mury, jeśli nawet tylko biwakuje, staje na jedną noc.

Kiedy siedziałem w szortach i czekałem na wyprasowanie spodni, podeszła do mnie suka właściciela. Tłusta i apatyczna śmierziała jak stara Winnie. Stała na wprost mnie i patrzyła. Gdy wyciągnąłem rękę, obnażyła małe stare zęby i wycofała się nie chcąc, aby ją głaskano. Nie żeby była zła, tylko chciała wrócić w swe odosobnienie. I wróciła, z ogromnym westchnieniem, pod zasłonę. Była bardzo stara.

Autobus, stary wiejski autobus szkolny ze Stanów, zajechał jak dawny dylizans. Już w nim siedziałem z biletem w rękę, gdy nadszedł Moulton i rzekł przez okno:

— Wysiadaj, chcę z tobą porozmawiać.

— Nie wysiądę.

— Chodź — powiedział nagle. — To ważne. Radzę

d.

— Czemu się wtrącasz w cudze sprawy, Wiley?— spytał go Iggy.

Wielkie czoło Moultona i rozkwaszony nochał pokrywały białe kropelki potu.

— A będzie lepiej, jak się w coś wpakuje i dostanie po łbie? — odparł.

Wysiadłem.

— Co znaczy „dostanie po łbie”? — zapytałem.

Zanim Iggy zdołał mu przeszkodzić, o ile zamierzał

przeszkadzać, Moulton przycisnął moją dłoń do twardego brzucha, wziął drugą ręką mocno pod ramię, a potem krzepko odciągnął na opierających się piętach kilka spiesznych kroków po kamieniach i zwiędłych różach.

— Opanuj się — powiedział. — Talavera był dawniej przyjacielem Tei, stary. Jest teraz z nią w

Chilpanzingo.

Wyrwałem mu się. Chciałem go chwycić za szyję i zadusić na śmierć.

536

— Ig! — wrzasnął. — Przytrzymaj go! Iggy, który stał za nami, schwytał mnie za ramię.

— Puszczaj!

— Czekaj, nie chcesz go chyba zabić na oczach wszystkich ludzi i glin. Lepiej uciekaj, Wiley. On ciągnie jak wół.

Chętnie rozwalilibym łeb i jemu, kiedy mnie tak trzymał.

— Zaczekaj, Boling. Najpierw przekonaj się, czy to prawda. Posłuż się głową, na miłość boską!

Moulton się cofał, a ja nacierałem wlokąc za sobą uczepionego mojego ramienia Iggy'ego.

— Nie bądź głupi, Boling — rzekł Moulton. — To święta prawda. Myślisz, że chciałbym ci się narażać?

Zrobiłem to tylko dla twojego dobra, żeby cię uchronić. Tam jest niebezpiecznie. Talavera cię zabije.

— Aleś mu zrobił przysługę! — powiedział Iggy.

— Spójrz na jego twarz.

— Czy to prawda, że on z nią pojechał, Iggy? — zapytałem stając. Czułem takie darcie i szarpanie wewnątrz, że ledwie zdołałem wydusić te słowa.

— Był tutaj jej chłopakiem przed tobą — rzekł Iggy.

— Wczoraj mówił mi jeden facet, że Talavera wyjechał do Chilpanzingo zaraz po jej odjeździe.

— Kiedy był jej ...

— Kilka lat temu. Nawet mieszkał w Casa Descuitada

— wtrącił się Moulton.

Nie mogłem dłużej utrzymać się na nogach, więc opadłem na podium dla orkiestry. Zakryłem głowę rękami i dygotałem z twarzą opartą na kolanach. Moulton nie pieścił się ze mną.

— Dziwi mnie, że tak ciężko to przyjmujesz, March.

— A jak ma przyjmować? Przestań się nad nim znęcać

— rzekł Iggy.

— Zachowuje się jak dzieciak, a ty go jeszcze do tego zachęcasz — rzucił Moulton. — To się ludziom zdarza. Zdarzało się mnie, zdarzało się tobie. Zdarzało się Talaverze, kiedy przyjechała tu ze Smittym, a później z nim.

— Nie, nieprawda. Talavera wiedział, że ona jest mężatką.

— Co za różnica? Jeżeli nawet Talavera nie jest takim niewiniątkiem, to też ma swoje uczucia. Czy człowiek nie powinien się o tym dowiedzieć, kiedy mu się to zdarzy? Czy ja nie powinienem być się dowiedzieć albo ty? To jeden z tych diabelnych faktów, które trzeba znać.

— Ale facet ją wciąż kocha. Ty się wściekasz, bo żona przyprawia d rogi, a nie dlatego, że ją kochasz.

— A czy ona go kocha? — spytał Moulton. — Co w takim razie robiła z Talaverą w górach, kiedy March dostał kopytem po łbie i leżał w łóżku?

— Ona z nim nic nie robiła w górach — wrzasnąłem wpadając znowu w szal. — Jeżeli on jest teraz w Chilpanzingo, to po prostu jest w Chilpanzingo, a nie z Teą.

Przyjrzał mi się z ogromną ciekawością i powiedział:

— Bracie, na pewno widzisz dokładnie to samo co wszyscy, tylko po prostu upierasz się przy swoim zdaniu. Czemu d nie powiedziała, że był dawniej jej chłopakiem? I co tam robili? Tylko sobie grzecznie rozprawiali, a ona wcale nie zsiadała z konia?

— Nic nie robili! Nic! Jeżeli nie przestaniesz gadać, zatkam d głowę brukowcem!

Lecz on był strasznie podniecony i musiał mówić. Wcale nie żartował, tylko do czegoś zmierzał. Miał oczy szeroko rozwarłe i wlepione we mnie.

— Paskudna sprawa, przyjacielu, ale kobiety wcale nie mają rozumu. Nie są jedynie dla młodych jak ty szczęściarzy. Powiesz mi, że nie ściągnęła dla niego bryczesów i zachowała wszystkie specjały dla ciebie? Skoczyłem na niego. Iggy schwycił mnie z tyłu, a ja uniosłem go na plecach i zacząłem nim tłuc o podium dla orkiestry, żeby się uwolnić, nie puszczał jednak i kiedy przygniotłem go całym ciężarem, jęknął:

— Chryste! Zwariowałeś? Ja dę tylko chcę uchronić przed nieszczęściem.

Moulton zdążył tymczasem umknąć ruchliwą ulicą wiodącą na rynek. Wrzasnąłem za nim:

— Czekaj, ty plugawy skurwysynu! Zabiję dę!

— Przestań, Boing, policjant patrzy.

Na stopniu stojącego w pobliżu samochodu siedział Indianin w mundurze policyjnym. Zapewne przywykł do widoku szarpiących się i biorących za łby pijanych gringo.

538

Iggy, który mnie tak przycisnął, że ukląknę, wciąż trzymał mnie za rękę.

— Mogę dę już puścić? Me pobiegiesz za nim? — spytał, a ja wydobyłem z krtani coś na kształt łkania i potrząsnąłem głową. Pomógł mi wstać. — Jak ty wyglądasz. Jesteś cały w gównie. Będziesz się musiał przebrać.

—rr. Nie mam czasu.

— Chodź do mnie. Oczyszczę cię trochę szczotką.

— Muszę pojechać tym autobusem.

— Więc jednak jedziesz? Chyba zwariowałeś.

Postanowiłem jednak jechać. Umyłem twarz u Lome

i wsiadłem do autobusu. Moje miejsce już ktoś zajął i wszystkie ranne ptaszki, które obserwowały mnie przy podium dla orkiestry, najwyraźniej pojmowały, o co chodzi, że nieszczęsny ze mnie cabrón, który utracił kobietę.

Iggy wsiadł do autobusu ze mną

— Daj mu spokój — powiedział. — Sam próbował ją przydybać i robił jej propozycje z kilkanaście razy. Konał z żądy. Dlatego się tak tobą interesował i chodził do willi. Na przyjęciu u Oliyiera też próbował ją zerwać. Dlatego tak prędko wyszła.

To już nie miało większego znaczenia — było jak płomień zapalniczki przy pożodze.

— Tylko nie wdawaj się tam w żadne bójkL Musiałbyś być chyba zupełnym wariatem Talavera dę zabije. Może powinienem pojechać z tobą. Chcesz?

— Nie, dziękuję. Po prostu daj mi spokój.

W głębi serca wcale nie miał ochoty jechać.

Stary autobus nagle zawarczał, niczym maszyna do szycia na poddaszu. Przez klęby spalin katedra wyglądała jak odbita w rzece.

— Spływam — rzekł Iggy. — Pamiętaj — przestrzegł mnie jeszcze raz, wysiadając. — Głupi jesteś, że jedziesz. Sam się o to prosisz.

Kiedy autobus wytoczył się z miasta, jakaś wieśniaczka uprzejmie przesunęła się robiąc mi miejsce na siedzeniu obok siebie. Usiadłszy poczułem znów trawiące mnie ognie. Och, te ognie, ognie! Spazmy i skurcze choroby

539

zazdrości, gwałtowne i palące. Zakryłem twarz dłońmi czając się tak, jakbym miał wykitować.

Dlaczego mi to zrobiła? Czemu zadała się z Talaverą? Żeby mnie ukarać? Czy można kogoś tak karać?

Przecież sama miała na sumieniu to, o co mnie oskarża! Czy zerkałem nad jej ramieniem na Stellę? To ona zerkała nad moim na Talaverę i w każdej chwili była gotowa się zemścić.

Gdzie się podziewa ten kociak, którego mieliśmy w Chicago?—przyszło mi ni stąd, ni zowąd do głowy. Bo kiedyś, gdy wyjechaliśmy na dwa dni do Wisconsin i wróciliśmy wieczorem, biedne stworzenie wrzeszczało z głodu. Tea rozplakała się nad nim, włożyła kotka w wycięcie sukni i pojechaliśmy na Fulton Street, aby go nakarmić rybą. A gdzie teraz jest ten kotek? Gdzieś zostawiony, porzucony... oto jak trwałe jest przywiązanie Tei.

Potem pomyślałem, iż kochałem ją tak bardzo, że nawet podobieństwo zmarszczek na zgięciach naszych palców sprawiało mi przyjemność — a teraz ona dotyka swoimi palcami Talaverę w miejscach, w których dotykała mnie. A gdy pomyślałem, że robi z innym mężczyzną to samo, co robiła ze mną, że tak samo się zapamiętuje, wielbi go i całuje w te same miejsca, oszalała z czułości, z rozszerzonymi oczyma, tuli jego głowę, rozchyła nogi,

O mało nie umarłem. Przyglądałem się temu w wyobraźni  
I strasznie cierpiałem.

Chciałem, żebyśmy się pobrali, ale własność nie istnieje. Nie, nie, żony nie posiadają swoich mężów, mężowie żon, a nawet rodzice dzieci. Bo odchodzą albo umierają. Wszelkie zatem posiadanie jest chwilowe. Jeżeli w ogóle może być o nim mowa. I jeśli pragnienie trwa, to na przekór wszelkim zaprzeczeniom. Stąd właśnie nasze uporczywe znaki posiadania. Jak testamenty, zaświadczenia, obrączki, rękojmie i inne rzeczy trwałe.

Gnaliśmy w upale ku Chilpanzingo. Najpierw przez brunatne wzburzone góry, obszary zwietrzałych skał i kęp zielonych traw florydzkich. Kiedy autobus wtaczał się do miasta, ktoś wskoczył na stopień, żeby się przejechać, chwytając się mego ramienia i mocno wbijając w nie palce. Szarpnąłem się i uwolniłem z uchwytu. Zeskakując 540

amator przejażdżki zdzielił mnie po rękę, aż mnie zapiekło, byłem więc wściekły.

Wreszcie zajechaliśmy na zócalo. Brudne białe mury zapadnięte w ziemię i zżarty przez szczury wygniły urok hiszpańskich balkonów, ulica straszna jak butwiejąca Sewilla, rozsypująca się w kwitnące kupy śmieci.

Pomyślałem sobie, że jeśli spotkam w tej uliczce Talaverę, to go zabiję. Czym? Miałem scyzoryk. Broń to niezbyt niebezpieczna. Na placu rozglądałem się za sklepem, gdzie mógłbym kupić nóż, ale nie mogłem go wypatrzeć. Zobaczyłem natomiast coś, co miało szyld „Cafe”. Był to kwadratowy czarny otwór w murze niczym odkopane na syryjskiej pustyni wejście do tysiącletniego grobowca. Wszedłem z zamiarem kradzieży jakiegoś noża z bufetu. Lecz nie było noży, tylko małe łyżeczki o plecionych rączkach w cukiernicach. Wisiał tam kawałek podartej moskitiery jak jakaś gęsta, misterna sieć wykonana w niewiadomym celu.

Wyszedłszy z kawiarni zobaczyłem kombi zaparkowane przed domem ozdobionym na sposób nowoorleański żelaznymi esami-floresami, którym tu i ówdzie brakowało poszczególnych elementów. Porzuciwszy myśl o nożach pobiegłem tam i wszedłem do środka. W recepcji nie było nikogo, tylko jakiś starszek grabił ścieżkę zaniedbanego patio. Podał mi numer pokoju Tei. Kazałem mu pójść na górę i zapytać, czy zechce mnie przyjąć. Usłyszała to i zapytała przez otwór w okiennicy, czego chcę. Wbiegłem szybko po schodach i przy wielkich drewnianych drzwiach jej pokoju powiedziałem:

— Muszę z tobą porozmawiać.

Wpuściła mnie do środka i kiedy znalazłem się wewnątrz, zacząłem najpierw szukać śladów jego. Wszędzie leżały jak zwykle porzucane części ubrania i ekwipunku. Nie mogłem stwierdzić, czy cokolwiek należało do Talavery. Lecz to nie miało większego znaczenia. Postanowiłem zlekceważyć tego rodzaju sprawę.

— Czego chcesz, Augie?—powtórzyła. Spojrzałem na nią. Jej oczy nie były tak bystre jak zwykle i sprawiała wrażenie chorej. Lśniące czarne kosmyki wymykały się spod grzebyków. Miała na sobie jedwabny szlafrok. Najwyraźniej przed chwilą go włożyła. W takim upale

wolała chodzić po pokoju nago. Gdy spróbowałam sobie przypomnieć Jak wygląda nago, stwierdziłam, że przyszło mi to bardzo łatwo. Zobaczyła, że patrzę na dół jej brzucha, i opuściła rękę, aby przytrzymać kraj szlafroka. Widząc, jak ta różowa dłoń o krągłych koniuszkach palców osuwa się w dół, poczułam z goryczą, że mój przywilej się skończył i przeszedł na innego. Zapragnąłem odzyskać ten przywilej.

— Przyjechałem zapytać, czy nie moglibyśmy znów być razem — powiedziałem z płonąca twarzą.

— Nie, teraz już nie.

— Mówiono mi, że Talavera jest tu z tobą. Czy to prawda?

— A co cię to może obchodzić?

Przyjąłem to za odpowiedź twierdzącą i poczułem straszny ból.

— Pewnie nic. Ale czemu musiałś z nim tak od razu zacząć? Gdy tylko ja kogoś znalazłem, zaraz i ty musiałś kogoś mieć. Nie jesteś lepsza ode mnie. Trzymałaś go sobie w rezerwie.

— Sądzę, że przyjechałaś tutaj tylko dlatego, że usłyszałaś o nim — zauważyła.

— Nie, przyjechałem zapytać, czy nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz. Jego osoba nie ma dla mnie tak wielkiego znaczenia.

— Tak? — zapytała z tym swoim ciepłem w białej twarzy. Pojawił się na niej chwilowy uśmiech zamyślenia.

^ > £ y!Ę

— Mógłbym zapomnieć o nim, gdybyś mnie nadal chciała.

— Wypominałbyś mi go codziennie, w każdej sprzeczce.

— Nie, nie wypominałbym.

— Wiem, że w tej chwili umierasz ze strachu, że on zaraz wejdzie i będziesz musiał się z nim bić. Ale jego to me ma, więc możesz się uspokoić.

— A więc był!

Nie odpowiedziała. Czyżby go odprawiła? Może tak. Przynajmniej ta mieszanina nadziei i lęku się skończyła-

Pewnie, że się bałem. Lecz również miałem nadzieję, że go zabiję. Na pewno próbowałbym zabić. Już to sobie

542

przemyślałem. Wyobraziłem sobie, że mnie przebiję nożem.

— Nie możesz mnie kochać sądząc, że jestem z innym mężczyzną. Pewnie pragniesz zamordować nas oboje. Chciałbyś zobaczyć, jak on spada w tysiącmetrową przepaść, a ja leżę w trumnie na swoim pogrzebie.

Milczałem i kiedy patrzyła na mnie, jakże dziwna mi się wydała w tym murszejącym hiszpańskim pokoju z tropikalnym słońcem w szczelinach okiennic — pośród rozkładu miasta, z płamą ostrego, pokręconego żelastwa cementarnego na zboczu góry, z krwawiącymi na murach banieczkami bougainvilli, purpurowej i gruzelkowatej, z pnączami krzyczącej zieleni i wielkimi wargami, i czołem gór zebrzących czy śpiewających, a także wśród tego bałaganu w samym pokoju, szmat i kosztownych ubiorów, które traktowała jednakowo, jak popadło, czy były to papierowe chusteczki, czy jedwabna bielizna, suknie, aparaty fotograficzne, kosmetyki. Robiła wszystko szybko, łudząc się, że robi dobrze. Najwidoczniej nie uwierzyła w to, co przyjechałem jej powiedzieć. Nie wierzyła, bo tego nie czuła, a nie czuła, ponieważ też się przerwała.

— Nie musisz teraz decydować, Tea.

— Nie, chyba nie. Może kiedyś zmienię swoje uczucia do ciebie, ale wątpię. W tej chwili jesteś dla mnie niczym. Zwłaszcza gdy pomyślę o twoim zachowaniu wobec innych ludzi. Życzę ci wszystkiego, co najgorsze. Życzę ci, żebyś skonał.

— A ja kocham cię nadal — oznajmiłem. I to musiało być widoczne, bo nie kłamałem. Stałem roztrzęsiony. Lecz ona nie odpowiedziała nic.

— Nie chcesz, żeby było jak dawniej? — spytałem. — Sądzę, że tym razem nie sprawię ci zawodu.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Większość ludzi jest zapewne w tym samym stanie co ja. Ale musi przecież być jakiś sposób, żeby się nauczyć lepiej postępować.

— Musi? — spytała. — To bardzo w twoim stylu, że tak sądzisz.

— Oczywiście. Bo czy w przeciwnym razie byłoby w ogóle miejsce na nadzieję? Skąd wówczas mógłbym wiedzieć, czego pragnę? Skąd ty wiedziałaś?

- Co ty chcesz udowodnić powołując się na mnie i moją wiedzę? — powiedziała cicho. — Myliłam się wiele razy... częściej, niż ci się wydaje. — Zmieniła temat. — Jacinto zawiadomił mnie o węzach — dodała. — Gdybyś mi się wtedy nawinął, dostałbyś ode mnie czymś po łbie.

Wyczułem jednak, że było to moje jedyne przewinienie, które nie sprawiło jej przykrości. Odniosłem nawet wrażenie uśmiechu połowicznego uznania dla tego postępk. Nie mogłem jednak na tym opierać wielkich nadziei, bo w chmurnej bladeści jej zdenerwowania uśmiech czy roztargnienie, upór, chęć zranienia następowały bardzo szybko po sobie i wiedziałem, że nie może określić uczuć, jakie dla mnie żywi. Nie mogłem się spodziewać odpowiedzi. Nigdy. Nie było już między nami więzi.

W pozbawionym wody akwariu nakrytym słomianym petate zobaczyłem jakiegoś stwora z najeżonymi łuskami, naroślami jak ogórek, cienkimi szarymi wąsami i łaskotliwymi pazurkami, leżącego na brzuchu i dyszącego.

— Zapoczątkowałaś nową kolekcję — zauważyłem.

— Złapałam go wczoraj. Jak dotąd jest to chyba najciekawszy okaz. Ale nie zostaję tutaj dłużej. Wyjeżdżam do Acapulco, potem wsiadam na samolot do Vera Cruz, a stamtąd jadę na Yucatán. Mam sprawdzić, gdzie przeniósł się z Florydy pewien rzadki gatunek flamingów.

— Weź mnie z sobą.

- Nie.

Tak to wyglądało. Całkiem inaczej, niż przewidywałem.

## Rozdział XX

Powróciwszy do Acatli spędzałem czas leżąc beczynn timer. Mimo wszystko nie traciłem nadziei, że Tea się do mnie odezwie, i choć wiedziałem, że to nie ma sensu, chodziłem wciąż na pocztę. Dowiedziawszy się, że nic tam dla mnie nie ma, szedłem potem na tequilę, którą zapijałem piwem. Nie grywałem już w pokera u Chińczyka Louie i nie widywałem się z nikim z tego towarzystwa. Jepsonego przymknęto za włóczęgostwo i odesłano do Stanów, więc żona Iggy<sup>1</sup> ego zapragnęła powrotu męża. Ich dzieciak był w tej całej sprawie świetnie zorientowany i żał mi było dziewczuszki, kiedy ich spotkałem na spacerze, widząc, że już w tym wieku tyle doświadczyła.

Toteż w niektóre złote popołudnia koło knajpy, gdzie siedziałem w zmiętych spodniach, brudnej koszuli i z trzydniowym zarostem na twarzy, miałem ochotę wstać i powiedzieć: „O, wy, stworzenia jeszcze poruszające się po ziemi, do czego zmierzacie! Nawet szczęście i piękno są jak film.” Wielokrotnie miałem łzy w oczach. Albo wpadałem we wściekłość i chciałem kłąć, na czym świat stoi. Lecz chociaż żadne inne stworzenie nie otrzymuje bury za wydawane odgłosy, rozmaite wycia, ryki, krzyki, krakania, ujadania, człowiek winien znajdować ulgę w czymś delikatniejszym. Chodziłem jednak górskimi drogami, gdzie tylko z rzadka jakiś Indianin mnie słyszał i wcale nie mówił, co o tym sądzi, i tam wypowiadałem głośno swoje uczucia lub wrzeszczałem, i potem czułem się przez pewien czas lepiej.

Przez kilka dni miałem jednego towarzysza, Rosjanina, wyrzuconego z kozackiego chóru za bójkę. Nadal nosił bluzę z serży z białymi lamówkami i pochewkami na naboje. Był bardzo dumny i nerwowy, obgryzał paznokcie. Miał łysą głowę, z której spływał miękki blask na jego przystojną i pełną powagi twarz, zawsze gładko ogoloną, nos prosty, usta jakby ściągnięte w wyrazie łagodnego żalu i czarne, pyszne, zrośnięte brwi. Niech mnie nie wiem co, jeśli nie przypominał poety D<sup>1</sup> Annunzia z portretu, który kiedyś oglądałem.

Pił i był bez grosza, więc mu groziło, że wkrótce go przymkną tak samo jak Jepsona. Bardzo już mało zostało mi pieniędzy, kupowałem jednak od czasu do czasu butelkę tequili, toteż się do mnie przywiązał.

Miałem do niego nieco podobny stosunek jak do córki Iggy'ego, której mi było żal, że tyle musiała rozumieć. Początkowo jego towarzystwo sprawiało mi przykrość. Lecz z czasem go polubiłem. Ponieważ czułem potrzebę opowiedzenia komuś o Tei, wyznałem mu wszystko. Opowiedziałem całą historię. Sądziłem, że będzie mi współczuł, bo miał na czole liczne, głębokie, jakby cięte ślady znajomości z bólem.

— Więc widzisz, jak mi ciężko — wyznałem. — Nie mam łatwego życia. Bardzo cierpię. Czasami jestem jak na wpół umarły.

— Zaczekaj — odparł i[śj] jeszcze nic w życiu nie widziałeś.

Wprawiło mnie to we wściekłość. Powiedziałem bez zastanowienia:

— Ty zawszony egoisto! — I chciałem go zdzielić, bo byłem dość pijany, żeby to zrobić.—Co ty sobie myślisz, ty kurduplu! Ty papierowy kozaku! Ja ci mówię o swoich uczuciach, a ty ...

Lecz on chciał tylko wzbudzić współczucie dla siebie, mizernego człowieczyny z nagą czaszką, czerwonym nosem i ustami pełnymi goryczy. Nie był draniem. Zareagował w sposób całkiem naturalny. Przecież też miał swoje życie. Siedział z miną nieszczęśnika pachnąc jak dawny gatunek talku do nóg, który już wycofano ze sprzedaży. Lecz mimo to był simpatico.

— Słuchaj, stary — powiedziałem. — To prawda, że 346

wiele przeżyłeś. Może już nigdy nie zobaczysz swojego Harbinu czy też innego miasta, z którego pochodzisz.

rr Nie Harbinu, Paryża — poprawił mnie.

— Dobra, ty biedny wariacie, Paryża. Niech to będzie Paryż.

— Ja miałem wuja w Moskwie — rzekł — który przebierał się za kobietę i chodził do cerkwi. Wszystkich straszyl, bo miał brodę i wyglądał bardzo groźnie. Kiedyś policjant mu powiedział: „Wy mi, panie, wyglądacie na mężczyznę, nie na kobietę.” Wuj odparł: „A wiesz, że ty mi wyglądasz na babę, nie na chłopca?” I odszedł. Wszyscy się go bali.

— Bardzo pięknie, tylko że to wcale nie tłumaczy, że jeszcze niczego nie widziałem.

— Chciałem powiedzieć, że spotkał cię zawód w miłości, ale czy wiesz, ile cię spotka innych zawodów, poza miłosnymi? Masz szczęście, że jeszcze przeżywasz zawody miłosne. Te późniejsze będą o wiele okropniejsze. Pomyśl, jaki mój wuj musiał być zrozpaczony, że szedł do tej ciemnej cerkwi i wszystkich straszyl. Musiał wykorzystać swoje możliwości. Czuł, że zostało mu tylko kilka lat życia.

Udawałem, że go nie rozumiem, bo wołałem wystawić go na śmieszność, wiedziałem jednak doskonale, co mi próbował dać do zrozumienia. Nie, że kres życia jest sam w sobie straszny, ale że życie w zasadzie kończy się wśród tylu rozczarowań. To fakt

W końcu musiałem przestać się z nim zadawać. Zajął się stręczeniem dla Negry, która była burdelmamą foco rojo, a ja postanowiłem ruszyć w drogę. Sprzedałem Louie Fu swój wymyślny ekwipunek, jak buty do konnej jazdy i kurtkę, która pozwalała utrzymać się przy życiu choćby na środku jeziora Huron, i za uzyskane w ten sposób pieniądze udałem się do Mexico City. Zrezygnowałem z czekania, aż Tea mi wybaczy. Smutno mi było, gdy zamieszkałem w hotelu Regina bez niej. Wszyscy tam pamiętali ją i orła i widzieli, jak bardzo podupadłem — nie miałem samochodu, nie miałem walizek, nie miałem dzikiego ptaka, skończyła się beztrzeska radość, jądanie mango w łóżku i tak dalej. Umówione pary hałasowały po

nocach i wtedy czułem się tam obco. Lecz hotel był tani, więc zatykałem sobie uszy.

W Wells Fargo nie było dla mnie forsy od Stelli. Miałem jednak numer telefonu Sylwestra w Coyóacan i mogłem do niego zadzwonić, gdybym się znalazł bez peso. Pomyślałem, że najpierw spróbuję odnaleźć kuzyna Padilli. Wcale nie był taki jak Manny Padilla, lecz chudy, czerwonoskóry, połyskujący zębami i chciwy, chytry na forszę. Chciał być moim przewodnikiem w mieście, ale Tea już mi je pokazała. Zaprzagnął mnie zapoznać z literaturą hiszpańską i w końcu naciągnął na trochę forsy. Powiedział, że kupi mi za nią koc, i już się więcej nie pokazał.

Tęsknota przejmowała bólem moje ciało, chociaż wiedziałem, że Tea jest już dla mnie nieosiągalna, z powodu jej uporu i mojego trudnego charakteru. Wałęsałem się więc po mieście rozważając całą rzecz od nowa. Przeglądałem się mariachis i żalobnym rzepoleniom skrzyp- ków-kalek albo sprzedawcom kwiatów i pszczołom karimiącym się słodyczami na straganach. W którąkolwiek zaś spojrziałem stronę, wszędzie widziałem czapę śniegu na jakimś wulkanie. O ile mogłem, unikałem spoglądania w lustro, bo byłem schorowany i wynędzniały. Zdarzały się chwile, że gdyby Śmierć podeszła, klepnęła mnie w ramię i zapytała: „Gotowy?“, zastanowiłbym się chwilkę i odparł: „Gotowy!” Więc byłem w pewien sposób częściowo umarły i jeśli wówczas w ogóle cokolwiek wiedziałem, to było to, jak trudno jest żyć bez czegoś bezgranicznie wszechmocnego i wielkiego. Miasto jednakże było przepiękne—pyszne nawet w swej szkaradzie, niedoli i bazgrołach — to oraz ciepła pogoda trzymały mnie przy życiu. Serce mnie bolało, czułem się chory, ale już nie trwałem wiecznie w skrajnej rozpacz.

W końcu zadzwoniłem do Sylwestra. Przyszedł i pożyczył mi trochę forsy. Początkowo niewiele mówił. Rozumiałem, że nie może poruszać tematów politycznych i poufnych.

— Wyglądasz na głodnego obdartusa — rzekł. — Gdybym cię nie znał, mógłbym cię wziąć za jednego z tych panamerykańskich włóczęgów. Musisz się doprowadzić do porządku.

Czułem się jak przedmiot, który Kaligula wypuścił ze 548

swoich szponów na wysokości tysiąca stóp. W uszach miałem gwizd powietrza. Barwy zrobiły się podobne do barw Jerozolimy. Zbierałem się ogluszony i zaprzagnąłem się ustatkować. Ale weź i ustatkuj się! Ot tak, po prostu! Niełatwe to zadanie, Sylwester zaś zdawał sobie sprawę, że nie chce własnej zguby, lecz pragnę się podźwignąć. Na ciemnej delikatnej twarzy Sylwestra—zawsze mną jakby trochę rozbawionego — pojawił się uśmiech.

— Miałem paskudnego pecha, Sylwester — powiedziałem.

— Rozumiem, rozumiem. Chcesz tkwić tutaj, póki się nie odmieni, czy wolisz wrócić do Chicago?

— A co mi radzisz? Sam nie wiem, co robić.

— To zostań tutaj. Mamy tu sympatyka, który mógłby cię urządzić, jeżeli Frazer o to poprosi.

— Bardzo chętnie. Byłbym bardzo wdzięczny, Sylwester. Kim jest ten sympatyk?

— Przyjacielem Starego z dawnych czasów. On cię urządzi. Nie mogę na ciebie patrzeć w tym stanie.

— Dzięki, Sylwester. Ogromne dzięki.

Więc później przyszedł Frazer i zabrał mnie, żeby przedstawić temu sympatykowi, który nazywał się Paslavitch. Był to przyjazny Jugosłowianin, mieszkający w małej willi w Coyóacan. Poniżej ust miał głęboką ryse, a w niej małe lśniące włoski, jak geoda, ów dziw świata skał, jest pełna drobnutkich kryształków. Był to wielki oryginał. Jego cebulasta w kształcie głowa była krótko ostrzyżona. W ogrodzie, gdzie go zastaliśmy, nad jego czaszką drgało gorące powietrze.

— Witam, witam — powiedział. — Cieszę się, że będę miał towarzystwo. Może zechcesz mi udzielać lekcji angielskiego?

— Pewnie, że zechce — odparł Frazer. On także się zmienił. Nigdy przezwisko „Kaznodzieja”, które nadała mu Mimi, nie pasowało do niego lepiej. Ze zmarszczką zamyślenia pomiędzy brwiami wyglądał naprawdę jak pastor. A także trochę jak oficer Armii Konfederatów. Sprawiał wrażenie zaabsorbowanego wielkimi sprawami.

Zostawił mnie więc u tego Paslavitcha i nie wiem czemu, poczułem się jak złożony w depozycie albo trzymany w rezerwie, ale ponieważ byłem zmęczony, nie



przejmowałem się zbytnio, co sobie umyślił. Paslavitch oprowadził mnie po domu i ogrodzie. Patrzyłem na ptaki, wolne i w klatkach, na kolibry w kwiatkach i na kolczasty aplauz kaktusów. Wzdłuż ścieżki leżały lub stały w trawie posągi meksykańskich bożków, które ścisnęły się, obejmowały i chłodziły gorące zęby oraz języki w błękitnym powietrzu.

Paslavitch był człowiekiem uprzejmym, zatroskanym, łagodnym i upartym — pisał reportaże z Meksyku dla prasy jugosłowiańskiej. Uważał się za bolszewika i starego rewolucjonistę, ale na moje oko był typem *lacrimae rerum*, wszystko go wzruszało i miał zawsze w pogotowiu łzy jak sosna żywicę. Grywał Chopina, a po wykonaniu jakiegoś marsza na pianinie mawiał do mnie:

— Fryderyk Chopin napisał ten marsz w czasie burzy, gdy był z George Sand na Majorce. Ona właśnie zeglowała po Morzu Śródziemnym. Kiedy przypłynęła, powiedział: „Myślałem, że utonąłaś!” — Naciskając swoimi meksykańskimi pantoflami pedały pianina przywodził mi na myśl Nerona występującego w jakiejś tragedii. Lecz przede wszystkim ten Paslavitch był zakochany w kulturze francuskiej i bardzo chciał mnie uczyć. Miał obsesję na punkcie uczenia i zawsze mówił: — Naucz mnie o Chicago. — Albo: — Naucz mnie o generale Ulissiesie S. Grancie. A ja będę uczył ciebie. Nauczę cię

o omlecie z szynką Fontenelle'a. Będziemy wymieniać wiadomości.

Był bardzo przejęty.

— Fontenelle chciał zjeść omlet z szynką w piątek

I zerwała się straszna burza z piorunami. Więc w końcu wyrzucił ten omlet za okno i rzekł zwracając się do Pana Boga: „Seigneur! Tant de bruit pour une omelette” — Mogło to być pouczające. Kiwał się z zamkniętymi oczyma kalecząc wymowę. Albo opowiadał: — Ludwik Trzynasty uwielbiał udawać balwierza i golił swoich poddanych, czy chcieli tego, czy nie. Lubił także udawać męki konania, więc stroił najprzeróżniejsze miny, a także spędzał w jednym łóżku z nowożeńcami ich noce poślubne i był najwyższym wyrazem feudalnej degeneracji.

Może i tak, lecz Paslavitch go uwielbiał, tak samo jak wszystkich Francuzów. Zatrzymywał mnie po kolacji

550  
cytowaniem rozmów Woltera z Fryderykiem Wielkim, de la Rochefoucauld z Duchesse de Longueville, Diderota z młodą aktoreczką i Chamforta z kimś innym. Lubiłem Paslavitcha, choć czasami niekiedy było gościć u niego. Musiałem też grywać z nim w bilard w klubie przy Calle de Uruguay. I pijać, gdy miał ochotę się napić. Nie chciałem tego robić popołudniami, bo mi to za bardzo przypominało picie tequili w Acatli. Ale siadaliśmy i opróżniali kilka butelek wina. Tysiące miękkich łośiowych biczów leśnego miedzianego słońca smagało drzewa, ogród się zieleńił, kobiecey kształt wulkanu drzemał w śniegu. Byłem gościem, a goście muszą podporządkować się gospodarzom. Płaciłem za to „uczeniem go” lig sportowych et cetera.

Wracałem powoli do zdrowia, i pewnego dnia przyszedł Frazer i wyjawiał, co ma dla mnie w zanadru.

— Wiesz, że GPU dybie na życie Starego — powiedział.

Wiedziałem. Czytałem w prasie o ostrzelaniu jego willi z broni maszynowej, Paslavitch zapoznał mnie też z wieloma innymi szczegółami.

— Pewien człowiek — ciągnął Frazer — nazwiskiem Mink, który jest szefem policji rosyjskiej, właśnie przyjechał do Meksyku, by stanąć na czele kampanii przeciwko Staremu.

„ — Ależ to straszne! Co zamierzacie zrobić?

— No więc fortyfikujemy willę i mamy straż przyboczną. Niestety prace fortyfikacyjne nie są jeszcze ukończone. Agentów jest za mało, żeby go mogli obronić. Stalin postanowił wykończyć Starego, bo on jest sumieniem rewolucyjnego świata.

— Czemu mi to mówisz, Frazer?

— Słuchaj. Zastanawiamy się na pewnym planem. Może Stary zdoła wywinąć się GPU podróżując incognito po kraju.

— Co znaczy „incognito”?

— Zastrzegam, że to tajemnica, March. To znaczy, że zgoliłby brodę i wąsy, ostrzygł włosy i udawał turystę.

Otóż wydało mi się to bardzo dziwaczne. Zupełnie jakby Gandhi ubrał się w surdut w stylu księcia Alberta. Że też ten niegdyś potężny i władczy człowiek musiał

zmieniać powierzchowność i tak się upokarzać. Chociaż widywałem w życiu wiele niedoli i sam ich zaznałem, bardzo mnie to zabolowało.

— Czyj to pomysł? — zapytałem.

— Projekt jest dopiero omawiany — odparł Frazer swoim tonem zawodowego rewolucjonisty, dając mi do zrozumienia, że to nie mój interes. — Ufam ci, March, w przeciwnym razie nie zaproponowałbym, abyś w nim wziął udział.

— A cóż ja mogę mieć z nim wspólnego?

— Skoro Stary ma podróżować incognito, jako turysta, musi mieć siostrzeńca ze Stanów.

— To znaczy mnie?

— Ciebie i jedną z towarzyszek, żebyście wyglądali na małżeństwo. Zrobisz to?

Ujrzałem w wyobraźni siebie, jak jeżdżę po Meksyku z tym wielkim człowiekiem ściganym przez tajnych agentów. Czuję się zbyt wyczerpany, aby na to pójść.

~ Nie będzie żadnych takich z tą dziewczyną — rzekł Frazer.

— Ja nawet nie wiem, o czym mówisz. Staram się właśnie przyjść do siebie po przeżytym romansie.

„Boże miłosierny! — myślałem. — Zachowaj mnie przed wciągnięciem w jeszcze jeden z tych wielkich nurtów, w których nie potrafię być sobą.” Naturalnie bardzo chciałbym pomóc i niebezpieczeństwo mnie pociągało, ale nie mogłem podjąć się tego, drapać się po meksykańskich górach przez ten czerwony jarmark przyrody, oszłamiający śmierciami i hałasami.

— Mówię ci to, bo Stary przywiązuje wielką wagę do moralności.

Frazer powiedział to tak, jakby on sam był też bardzo moralny. „Trele morele” — pomyślałem.

— On się i tak nie zgodzi — rzekłem. — To zwariowany pomysł.

— O tym decydują ci, którzy nad nim czuwają.

Mnie jednak wydawało się, że właśnie wyglądem był jego

znakiem firmowym. W każdym razie głowa. Prędzej by się chyba zgodził na śmierć męczeńską i dał sobie ją uciąć, niż pozwolił jej tknąć. Coś jak ze świętym Janem i Herodem. I zatrzymałem się na chwilę nad sprawą męczeństwa.

552

W dalekiej Rosji był wróg tego człowieka, który chętnie wyświadczyłby mu tę przysługę. Chętnie by go zabił. Śmierć dyskredytuje. Sukces polega na przeżyciu. Głos martwych cichnie. Nie pozostaje po nich żadna pamięć. Władza ustanowiona wypełnia ziemię, a to, co trwa, jest przeznaczeniem, zatem słuszne jest, co jest. Takie oto myśli przemknęły mi przez głowę.

— Musiałbyś nosić broń. Czy to cię przeraża?

— Mnie? Skądże — odparłem. — Nie to.

Powiedziałem sobie w duchu, że muszę mieć łeb

dziurawy jak sito, skoro nie odmawiam. Czyżbym czuł się pochlebiony szansą przebywania z tą wielką historyczną postacią, ganiańca z nią po górach? Samochód pędziłby jak szalony. Dzikie zwierzęta pierzchałyby na wszystkie strony. Ten straszliwy świat wirowałby wokół swojej osi. A wielki człowiek siedziałby, przy mnie w milczeniu, zadumany nad losem narodów. Świat utracony przyzywałby nas tajemnym głosem, podczas gdy zgraja międzynarodowych zabójców gnałaby za nami wyczekując swojej szansy.

— Czasami się zastanawiam — zauważyłem — czy ludzie, którzy pragną mówić prawdę, nie powinni najpierw się upewnić, czy potrafią się obronić.

— To nie jest dobry punkt widzenia — rzekł Frazer.

— Może i nie. Tak sobie tylko pomyślałem.

— Zgadzasz się?

— Uważasz, że ja się do tego nadaję?

— Potrzebny nam ktoś o bardzo amerykańskim wyglądzie.

— Może potrafię wygospodarować trochę czasu — powiedziałem — o ile to nie będzie trwało bardzo długo.

— Kilka tygodni, tylko żeby zgubić Minka i jego ludzi.

Odszedł, ja zostałem w ogrodzie, gdzie jaszczurki

buszowały w trawie, a wzdłuż rozgrzanych ścian widniał natłok przepysznych ptasich barw. Bóstwa stały lub leżały trwając w swoich wulkanicznoszarych ilustracjach sił natury. Pałała w nich grała na piętze Chopina.

Przyszło mi na myśl, że najstraszniejsze jest, gdy ktoś narzuca człowiekowi własne przeświadczenie, że istnieje to okropność, a żywić nadzieję to zguba, i każe mu smakować tę samą

553

rozpacz. Żc zc wszystkich nakazów ten jest dla niego najgorszy. Nic że jest, jakim ludzie chcą go widzieć, ale że czuje, jak oni mu dyktują. Gdyby nie posiadał owej najsilniejszej z więzi, z pewnością by w końcu popadł w rozpacz i jego usta piłyby krew.

Paslavitch wyszedł na balkon w swoim niebieskim szlafroku i spytał potulnie, czy mam ochotę się napić.

— Tak — odparłem. Bardzo mnie martwił ten cały plan.

Lecz plan upadł i bardzo się z tego cieszyłem. Zaczynałem już mieć bzika na jego tle i wpadłem w bezsenność myśląc, jak będziemy pędzić od miasta do miasta przez całe Jalisco lub przez pustynie. Tymczasem Stary zaprotestował. Chciałem wysłać do niego list, napisać, jakie mam uznanie dla jego inteligencji, ale pomyślałem, że nie powinienem poruszać tajemnic jego działalności politycznej. Musiał się bardzo ostro sprzeciwić, gdy przedstawiono mu ten plan.

Tak czy owak, w oddziaływaniu Meksyku na moją psychikę pojawiło się obecnie coś, z czego nie mógłbym już wyjść obronną ręką, postanowiłem więc wrócić do Stanów. Paslavitch pożyczył mi dwieście peso i wykupiłem bilet do Chicago. Był bardzo wzruszony moim wyjazdem i wciąż powtarzał po francusku, że będzie mu mnie brakowało. Mnie jego również, jestem pewien. To bardzo przyzwoity facet. Niewielu się takich spotyka.

#### Rozdział XXI

W drodze powrotnej z Meksyku do Chicago udałem się na małą wycieczkę, a raczej pielgrzymkę, w bok od East St. Louis, w stronę Pinckneyville, żeby odwiedzić po wielu latach brata, George'a. Był już dorosłym mężczyzną o wielkim tułowiu i niepewnym chodzie. Brązowe cienie na jasnej skórze pod jego oczyma świadczyły, że i on na swój sposób odbył walkę, którą toczymy wszyscy godząc się z życiem. Zupełnie jakbyśmy z nadejściem odpowiedniego czasu pozostawiali swoje dotychczasowe towarzystwo i szli potajemnie stoczyć kilka potyczek z wybranym przeciwnikiem w jego tajnym pomieszczeniu, na przykład wewnątrz jakiejś góry lub w jakiejś ogromnej piwnicy. Tak było i z George'em.

Niemniej był bardzo przystojnym mężczyzną, jak niegdyś ślicznym dzieckiem. Koszula z tyłu wciąż wyłaziła mu ze spodni, a włosy tworzyły jak dawniej kasztanową otoczkę wokół głowy, brązowe i złote, krótko przystrzyżone. Byłem z niego dumny, że z taką godnością godził się z losem. Wyuczyli go na szewca. Nie umiał obsługiwać żadnej z tych huczących maszyn, jakie się widuje w warsztatach szewskich, z wyjątkami krążkami i okrągłymi szczotkami pod osłonami, i nie dorósł do ręcznego wyrobu butów, ale radził sobie niezłe z żelowaniem i nabijaniem fleków. Pracował w suterenie, pod werandą. Weranda była przestronna, bo miejscowość leżała dostatecznie daleko na południu, by móc uchodzić za południową, a domy stawiano tam wielkie, białe,

z drewna. Winorośl barwiła na zielono zakurzone półokno w dole. Zobaczyłem George'a pochylonego nad kopytem, jak wyjmuje gwoździe z ust i wbija w skórę.

— George! — powiedziałem patrząc z podziwem, jak bardzo wydorósł. Od razu mnie poznał i wstał rozradowany mówiąc dokładnie jak za dawnych czasów:

— Cześć, Aug! Cześć, Aug! — nosowym głosem. To powtarzanie dwu słów, jeśli go w porę nie przerwać, zwykle przeradzało się w wycie. Podeszedłem więc do niego, ponieważ on sam nie ruszył się z miejsca.

— Jak leci, stary? — zapytałem. Objąłem go ręką i położyłem głowę na jego ramieniu. Miał na sobie niebieską koszulę roboczą. Był wielki, biały i czysty, z wyjątkiem dłoni. Oczy, nos, drobne usta w niedorozwiniętej twarzy wyrażały jak zawsze prostotę. Nawet nie wiedział, jak wiele słusznych zarzutów mógłby mi postawić, że go zaniedbuję, a gdy tylko mnie zobaczył, bardzo się ucieszył. Poczulem się tym wzruszony.

Od trzech czy czterech lat nikt go nie odwiedzał, toteż dostałem specjalne zezwolenie na pozostanie z nim przez cały dzień.

- ifSTf Co ty pamiętasz, Georgie? — zapytałem. — Babcie, mamę, Simona, Winnie?—Z tym swoim lekkim uśmiechem powtarzał za mną te imiona, jak w tej piosence, którą wyśpiewywał drepcąc z psem wzdłuż płotu z drucianej siatki, o tym, jak wszyscy kochają mamę. Za wilgotnymi wargami błyszcząły białą zdrowe zęby z bardzo ostrymi kłami. Wziąłem go za rękę, która teraz była większa od mojej, i poszliśmy pospacerować po terenie zakładu.

Był początek maja i liście dębu już się w pełni rozwinęły, ciemne, zdrowe. Równie bujnie rozwinęły się wielkie liście mleczy i otaczało nas ciepłe powietrze pachnące rzeczonym łem. Szliśmy wzdłuż muru, który początkowo był dla mnie po prostu murem. Lecz nagle zaniepokoiła mnie myśl, że George jest więźniem i nigdy nie wychodzi poza jego obręb, biedaczysko. Nie pytając więc o pozwolenie wyprowadziłem go za bramę. Patrzył na swoje nogi» stąpające po nie znanej drodze, śledząc, dokąd zmierzają, ponieważ się bał. W sklepie przy skrzyżowaniu kupiłem mu paczkę ślazowych ciasteczek w czekoladzie. Wziął je, 556 ale nie chciał jeść, tylko włożył do kieszeni. Oczy zaczęły mu się poruszać niespokojnie na boki, więc powiedziałem:

— Dobra, George, już wracamy. — To go uspokoiło.

Gdy usłyszał dzwon obiadowy — jak pobrząkiwanie dzwonu kościelnego mysiego miasteczka w dziecięcym zoo—nauczony natychmiastowego posłuszeństwa ruszył do zieleniącej się dzikim winem jadalni. Zostawił mnie samego. Podeszedłem za nim. Wziął swoją tacę i wraz z innymi półgłówkami, którzy zajadali postukując cynowymi sztućcami i kiwając słabymi makówkami, bez żadnych rozmów lub uwag, usiedliśmy i zaczęliśmy jeść.

Obmyślenie takiej opieki nad ludźmi, ubieranie ich, karmienie, układanie w sypialniach, musi być proste jak biało-niebieska kratka na powłoczkowym płótnie. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Przez resztę drogi myślałem, że trzeba coś zrobić dla George'a, żeby nie spędził w taki sposób całego życia. Myślałem też, jak szybko chwytały się wymówki i praktycznego traktowania każdego elementu, jak więźniów, sierot, kalek, upośledzonych umysłowo lub starców. I postanowiłem, że po odwiedzinach u mamy, pojedę i porozmawiam o George'u z Simonem. Nie miałem mu nic określonego do zaproponowania. Powiedziałem jednak sobie, że Simon ma pieniądze, więc powinien wiedzieć, co one mogą zdziałać. W każdym bądź razie, ponieważ powracałem do Chicago, myślałem o Simonie. Chciałem go zobaczyć.

Prosto z jednego zakładu udałem się do drugiego, w Chicago, ale jakże odmienne były te zakłady. Mama już nie mieszkała przy kuchni, lecz w niemal osobnym mieszkaniu z dywanem na podłodze i firankami w oknach. Uprzedziłem ją telefonicznie, że przyjadę, więc czekała na mnie przed domem, wsparta na białej lasce. Zawołałem do niej już z daleka, żeby jej nie przestraszyć. Poruszyła głową chcąc się zorientować, skąd dobiega głos, i krzykliwym tonem bolesnej radości wypowiedziała moje imię. Ze zwróconą ku mnie długą różową twarzą uniosła brwi nad oprawkami ciemnych matowych okularów, jakby próbowała mnie zobaczyć. Potem szepcząc całowała mnie. Obmacała ręką moją twarz i powiedziała:

— Jesteś chudy, Augie. Czemu jesteś taki chudy? — A potem, wysoka, prawie dorównująca mi wzrostem, poprowadziła mnie do siebie tylnym wejściem. Zapach gotowanej ryby wylewał się na schody. Wytworzyło to we mnie nastrój powrotu do domu, sprawiło, że poczułem jakby ciepło kuchni z dawnych czasów, kiedy siedziałem tam z matką.

Na toalecie leżały wszystkie moje widokówki z Meksyku, a także fotografie Simona i Charlotty. Żeby je pokazywać widzącym gościom. Lecz któż, oprócz kierownika i jego żony, która nie cierpiała Simona, mógł tu przychodzić? Jedyne Anna Coblin od czasu do czasu. Albo sam Simon. Przychodził zobaczyć, jak dobrze jest matce w tym mieszczańskim saloniku, aby potem być zadowolony z siebie. Ona też zdawała sobie sprawę, że jest dobrze traktowana. Na ręce miała srebrną bransoletkę, na nogach pantofle z wysokimi obcasami, miała też radio z wielkim chromowanym zygzakiem na głośniku. Babcia Lausch, wkładając na siebie swoją najlepszą odeską czarną suknię w Przytułku Nelsona, pretendowała do takiego stylu życia, w jakim tutaj żyła mama. Oto jak się obeszli ze starszą matką bracia Lausch, którzy nie potrafili ocenić, co się jej należy, i wykazali brak poczucia jakiegokolwiek poziomu. Jednakże mama niełatwo dostosowała się do poziomu życia, jaki jej zapewнили Simon i Charlotta. Simon sprawiał jej zapewne więcej trudności niż Charlotta. Był bardzo denerwujący. Otwierał szafę i robił przegląd wszystkich sukni, żeby zobaczyć, czy są wyprane, i czy któreś nie brakuje. Dobrze wiedziała, jak się potrafił zachowywać, gdy robił coś dla czyjegoś dobra. Bywał okropny.

Lecz może to ten korzenny, wspaniały zapach rybnego sosu sprawił, że odnosiłem się zbyt krytycznie do chwili obecnej, wyolbrzymiając trudności mamy i wyobrażając sobie, że dywan i firanki wyścielały klatkę. Niewidoma, starzejąca się, musiała gdzieś mieszkać, w jakimś pokoju, więc czemu nie w wygodnym? Ponadto zapewne niesłusznie uważałem mamę i George'a za więźniów i było mi głupio, że hulam sobie na swobodzie, podczas gdy oni przebywają w zamknięciu.

— Augie, odwiedź go — powiedziała. — Nie wściekaj się na Simona. Jemu też powiedziałam, że nie powinien się wściekać na ciebie.

— Odwiedzę go, mamó, jak tylko znajdę mieszkanie i zadomowię się.

— Co będziesz robił?

— Och ... nie wiem. Mam nadzieję, że coś ciekawego.

— Co? Radzisz sobie jakoś, Augie?

— Co masz na myśli, mamó? Żyję, więc sobie radzę.

— Czemu jesteś taki chudy? Ale ubranie masz porządne ... Dotykałam materiału.

Powinno być porządne. Tea sporo za nie zapłaciła.

— Augie, nie zwlekaj z wizytą u Simona. On chce się z tobą zobaczyć. Kazał ci to powiedzieć. Cały czas mówi o tobie.

Simon naprawdę chciał mnie zobaczyć. Gdy tylko usłyszał mój głos w słuchawce, wykrzyknął:

— Augie! Gdzie jesteś? Bądź gotów. Zaraz po ciebie przyjadę.

Dzwoniłem z budki w pobliżu mojego nowego mieszkania, które mieściło się niedaleko dawnego, w Dzielnicy Południowej. Simon mieszkał w pobliżu i za kilka minut już był. Przyjechał swoim czarnym Cadillakiem, tym pięknym lakierowanym pociskiem o jubilerskim wnętrzu, który cichutko zatrzymał się przy krawężniku. Kiwnął na mnie, żebym wsiadł.

— Muszę natychmiast wracać — powiedział. — Wyszedłem z domu bez koszuli. Włożyłem tylko płaszcz i kapelusz. No, niech ci się przyjrzę.

Mimo to nie bardzo mi się przyglądał. Musiał oczywiście kierować, ale do tego wystarczyło samo dotknięcie wypiełgnowanymi dłońmi drogich kamieni na kierownicy — chyba nefrytów. Samochód jakby sam się prowadził. Myślałem, że jest mu przykro z powodu awantury o Lucy i Mimi. Ja już nie byłem na niego zły, ale patrzyłem przed siebie. Simon jeszcze przytył. Lekki płaszcz raglanowy z kasztanowymi guzikami rozchylił się na jego nagim, twardym brzuchu. Twarz, także większa, stała się surowa, władcza. Jej tłuścieć nie była wyraźna, jak na niektórych twarzach. Pani Klein, matka Jimmy'ego, miała otyłą twarz, niemal orientálną, ale jej otyłość coś naświetlała. Pomyślałem jednak, że po tak długim niewidzeniu

nie mogę patrzeć na Simona krytycznym okiem. Bez względu na to, co zrobił lub zamierzał zrobić, gdy tylko go ujrzałem, pokochałem go na nowo. Nie miałem na to rady. To było silniejsze ode mnie. Chciałem, abyśmy znów stali się braćmi. A czemu przyjechał po mnie z takim pośpiechem, jeśli nie pragnął tego samego?

Teraz pragnął się dowiedzieć, jak mi było ciężko, ja zaś nie miałem zamiaru mówić. Co robiłem w Meksyku?

■ — Kochałem się w dziewczynie.

— Ach, tak. A co jeszcze?

Nie powiedziałem nic o orle ani doznanych zawodach i otrzymanych nauczkach. Może powinienem. I tak krytykował mnie w duchu za moją lekkomyślność i sentymentalizm. Cóż więc mogłem stracić zapoznając go z faktami? Powstrzymywała mnie jednak jakaś hardość. Osądza mnie? Co z tego? A niech sobie. Czyż nie byłem skopany, stłamszony, z rozbitym łbem i powybijanymi zębami, rozczarowany i tak dalej? I czyż nie mogłem powiedzieć: „Słuchaj, Simon, o co chodzi? Jestem i już.” Nie, powiedziałem, że wyjeżdżałem do Meksyku w pewnej ważnej sprawie.

A potem on zaczął mówić o sobie. Rozbudował interes i sprzedał z ogromnym zyskiem. Ponieważ nie chciał się zadawać z Magnusami, zajął się inną branżą i poszczęściło mu się.

— Mam zdecydowanie szczęśliwą rękę — rzekł. — No bo przecież startowałem w dobie kryzysu, kiedy to jakoby wszystko miało być przegrane i skończone. — Później opowiedział, jak kupił na licytacji stary budynek szpitalny i przerobił go na dom czynszowy. W ciągu pół roku zarobił na tym pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a potem zorganizował spółkę zarządzającą i zarządzał domem w imieniu nowych właścicieli. Obecnie miał sporo udziałów w hiszpańskiej kopalni kobaltu. Sprzedawali ten kobalt w Turcji czy jakimś innym kraju na Środkowym Wschodzie. Miał także koncesję na frytki kartoflane na kilku stacjach kolejowych. Sam Einhorn nie mógłby sobie wymarzyć lepszych interesów, a tym bardziej ciągnąc z nich korzyści.

— Jak myślisz, na ile mnie teraz wyceniają?

— Na sto patoli?

560

Uśmiechnął się.

— Trochę śmielej — rzekł. — Jeżeli wkrótce nie zostanę milionerem, to z moją arytmetyką jest coś nie tak.

Zaimponował mi. Komu by nie zaimponował? Z pewnością to zobaczył. Spojrzał jednak na mnie nagle pociemniałymi, despotycznymi niebieskimi oczyma i spytał:

— Powiedz, Augie, czy nie czujesz wyższości nade mną, ponieważ nie masz pieniędzy?

Rozśmieszył mnie i może zaśmiałem się głośniejsz, niż powinienem.

— To dziwne pytanie — powiedziałem. — Jakżebyem mógł? A gdyby nawet, to czemu miałbyś się tym przejmować? — I dodałem: — Myślę, że każdy by chciał, żeby mu się lepiej powodziło niż innym. Ja też chciałbym mieć pieniądze.

Nie powiedziałem, że zależy mi na lepszym losie i właśnie to stawiam na pierwszym miejscu.

Moja odpowiedź go zadowoliła. — Tracisz mnóstwo czasu — rzekł.

— Wiem.

— Powinieneś przestać się obijać. Nie jesteś już dzieckiem. Nawet George jest czymś, jest szewcem

Ja rzeczywiście podziwiałem George'a, że się tak godzi na swój los. Chciałem tylko, aby mój własny był bardziej ewidentny i żebym mógł wreszcie skończyć tę swoją włóczęgę. Nie czułem się lepszy od Simona, ani trochę. Gdybym miał w sobie prawdziwy spokój, mógłby mi zazdrościć. Ale w tej sytuacji, co tu było do pozazdroszczenia?

Jechał ulicami imponujący fizycznie, z nogą w modnym szpiczastym półbuciu na gumowej nakładce pedału gazu. Była to dumna maszyna, z heraldyką, iście królewska, ale czyż mój brat nie był jak księżę Detroit, pełen siły i ciemności? Cóż w tym złego, być potęgą świata maszynierii? Czy to nie dość dobre? I co byście woleli? Wierzcie mi, nie czułem się dumny z siebie i swego upierania się przy „wyższym”, niezależnym losie. Z całą pewnością nie byłem żadnym cudem, nie zapowiadałem się na jakąś znakomitość, nie rokowałem nadziei, że nie dam się zastraszyć Apollynowi z jego ohydnyimi łuskami i nie-

561

dźwiedzimi łapami, nic też nie wskazywało, że znajdę wytłumaczenie wszystkich moich hańb, jak Jan Jakub w drodze do Vincennes, pławiąc się w uczuciu, że to nie pełen ciepła, szczerych odruchów i miłości ja odpowiadam za wszystko, co mi się zdarzyło, tylko złe społeczeństwo. Nie mogłem się pochwalić żadną taką wspaniałością i kimże byłem, że nie powziąłem jeszcze decyzji i trwałem w uporze? Mogłem jedynie powiedzieć, że choć pragnąłem tego niezależnego losu, nie pragnąłem go wyłącznie ze względu na samego siebie.

Och, ate po co ta zbytnia powaga? Ona jest tylko dla wybrańców, to dar lub łaska, i chociaż wszystkim jest nielekko, tylko oni mogą o tym mówić prosto i otwarcie.

— Kiedy więc zaczynasz to, co sobie umyśliłeś?

— Sam chciałbym wiedzieć. Ale to chyba coś, z czym nie można się spieszyć.

— Słuchaj, ludzie nie mają do ciebie zaufania, jeśli nie wiesz, co robisz, i nie możesz ich za to winić.

Zajechał przed dom i zostawił Cadillaka na środku ulicy, by się nim zajął odzwierny. Wzniósłszy się szybko i bezszelestnie windą znaleźliśmy się przed drzwiami koloru kości słoniowej wiodącymi do jego mieszkania. Ledwie je otworzył, zaczął wrzeszczeć na służącą, żeby się zabrała do smażenia jaj na szynce. Zachowywał się jak król, jak jaki Franz Josef po powrocie z polowania. Pysznił się, pokrzykiwał, przestawiał rzeczy, nie tyle pokazując mi wielkie pokoje, ile w typowy dla siebie sposób dominując w nich. No więc były tam ogromne dywany i lampy stojące, wysokie jak lalki naturalnej wielkości lub boginie, mahoniowe boazerie na całą ścianę, komody pełne bielizny i koszul, rozsuwane drzwi zakrywające półki pełne butów, rzędy marynarek, pudła rękawiczek, skarpetek, butelek wody kolońskiej, małych kasetek, z lampkami oświetlającymi zakamarki, woda sycząca krzyżującymi się strumieniami w kabinie natryskowej. Wziął prysznic. Poszedłem sam do salonu. Stała tam ogromna chińska waza i po kryjomu wlałem na krzesło, by unieść pokrywę i zajrzeć do jej wnętrza, ale ujrzałem tylko odwrotną stronę białych wyrzuseń smoków i ptaków. Patery na słodczyce były pełne — zjadłem kilka kulek kokosowych i potnadek motelowych spacerując po pokoju, podczas 562 gdy Simon się kąpał. Potem poszliśmy jeść przy ładnym okrągłym stole z marmurowym blatem. Krzesła były wyściełane czerwoną skórą. Metalowy pierścień obejmujący blat stołu miał wyryte na sobie pawie i dziecięce buzie. Z olśniewającej białej kuchni wyszła służąca niosąc jaja na szynce i kawę. Simon wyciągnął upierścienioną rękę, żeby zbadać temperaturę filiżanki. Zachowywał się niczym włoski lord Moltocurante, bardzo dbający o jakość i wymagający we wszystkim.

Wiedziałem, że wjechaliśmy windą wysoko, ale nie zauważyłem, jak wysoko. Teraz, po śniadaniu, zablądziwszy do jednego z ogromnych, wyściełanych dywanami pokoi, ciemnego jak wagon pullmanowski z zasłoniętymi oknami na stacji, odchyliłem zasłonę i zobaczyłem, że jestem co najmniej na dwudziestym piętrze. Nie zdążyłem się jeszcze przyjrzeć Chicago po powrocie. I oto miałem je przed sobą — okno wychodziło na stronę zachodnią — szare zagmatwane miasto z czarnymi paskami szyn, ogromne, wrące przemysłem i drgającymi w powietrzu jego wyziewami, miasto partiami pnące się lub opadające, w różnych stadiach budowy lub wyburzania, a na nich przycupnięte i czuwające jak sfinksy inne moce podrzędne. Zalegało nad nim straszliwe milczenie, jak osąd, który nie znajdzie nigdy sformułowania. Przyszedł szukając mnie Simon.

— Hej! — krzyknął. — Co robisz w ciemnym pokoju? Chodź, dzisiaj zabieram cię ze sobą.

Chciał, żebym zobaczył, jak wygląda jego życie. Może też myślał, że trafię na coś, co mi przypadnie do smaku, i na czym oprę swoją przyszłość.

— Ale czekaj no — rzekł. — Cóż za błazeński strój masz na sobie? Nie możesz w takim ubraniu wejść między ludzi.

— Słuchaj, wybrała je dla mnie przyjaciółka. Pomacaj materiał. To niezłe ubranie.

Lecz on zrobił grymas zniecierpliwienia i zdarł ze mnie marynarkę.

— Rozbieraj się! — powiedział. Ubrał mnie w dwurzędowy garnitur flanelowy w bardzo eleganckim ciepło-szarym kolorze. Już taki widać był mój los, że nosiłem

się w kiepskim stylu. Przebrał mnie całkowicie, w szykowną bieliznę, jedwabne skarpetki, nowe pantofle, potem zawołał służącą, żeby oddała moje stare ubranie do pralni i kazała mi je odesłać... było jakoby wyświecone na łokciach. Resztę mojego przyodziewku kazał wrzucić do ognia. Więc poszło w ogień. Wytarłem twarz chusteczką z monogramem, która się stała teraz moją własnością, i poruszałem palcami w wąskich pantoflach starając się do nich przyzwyczaić. Na ukoronowanie wszystkiego dał mi pięćdziesiąt dolarów. Próbowałem protestować, ale język mi się plątał. — Przestań! Nie mamroc — rzekł. — Musisz mieć do tego stroju trochę pieniędzy w kieszeni. — Miał wielki złoty klips do banknotów, wszystkie były nowe. — A teraz chodźmy. Mam trochę roboty w biurze, a o piątej muszę zabrać Charlotte. Jest w buchalterii, przegląda niektóre księgi. — Zadzwoił po Cadillaka i pojechaliśmy rzadko komu ustępując drogi w tej lśniącej twardej skorupie z grającym radiem.

W biurze Simon siedział w kapeluszu jak jakiś członek parlamentu i rozmawiając przez telefon strącał z biurka przedmioty swoimi półbutami z krokodylowej skóry. Załatwiał kupno jakiegoś makaronu w Brazylii, a następnie jego sprzedaż w Helsinkach. Potem zainteresował się jakąś maszyną górniczą z Sudbury, Ontario, której potrzebowało jakieś towarzystwo indochińskie. Następnie odwiedził go siostrzeniec któregoś z członków rządu z propozycją w sprawie materiału wodoodpornego. Później jakiś bystrzacha zainteresował Simona pospiesznie sprzedawanymi dla zdobycia gotówki materiałami z Muncie w stanie Indiana. Simon je kupił. Za chwilę sprzedał jakiemuś producentowi skórzanych kurtek na podszewki. A wszystko to rozprawiając przez telefon, klnąc i pokrzykując, ale nie gniewnie, bo często wybuchał śmiechem, tylko taki miał po prostu styl.

Wreszcie pojechaliśmy do jego klubu na spóźniony obiad. W jadalni nie było już służby. Simon poszedł do kuchni, żeby obsztorcować szefa kelnerów. Ujrawszy pieczeń na półmisku ułamał kawałek chleba i zaczął nim wycierać sos pokrywając mięso okruszynami. Szef kelnerów wydarł się na niego, a Simon odpowiedział mu tym samym, śmiejąc się jak szalony.

564

— To czemu nie usługujesz ludziom, bałwanie!

W końcu nas nakarmiono i popołudnie zaczęło się Simonowi dłużyć.

Weszliśmy do pokoju karcianego, gdzie Simon wepchnął się na siłę do partii pokera. Widziałem, że nie był lubiany, lecz nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

— Posuń się, Kędzierzawy! — powiedział do kogoś z łysą głową i usiadł. — To mój brat — rzekł jakby zmuszając ich, żeby mnie obejrżeli w mojej eleganckiej szarej flaneli i z przypinanym kołnierzykiem. Wyciągnąłem się za jego plecami w skórzanym fotelu.

Później odwracał się i opisywał mi różnych ludzi udając, że zniża głos.

— Widzisz tego faceta w granatowym ubraniu, tego z cygarem, Augie? To prawnik, ale nie praktykuje, tylko ma biuro, żeby móc mówić, że jest adwokatem. Żyje z kart. Gdyby nikt z nim nie grywał, już za tydzień musiałby korzystać z opieki społecznej. To samo jego żona. Ona grywa we wszystkich ekskluzywnych hotelach. Ten drugi, tam dalej, to Głupol. Skończył Uniwersytet Harvarda, a jego ojciec ma wytwórnię kielbas. Łożyć na studia dla takiego to tyle, co lać sobie szampan na kutasa. Sukinsyn. Ja bym go użył do nadziania kielbasy. Jest kawalerem. Nigdy nie będzie miał własnych synów, ale lubi chłopców i w zeszłym roku próbował poderwać jakiegoś marynarza, a ten podbił mu oko. Tam siedzi Ruby Ruskin ... to porządny facet. Przynajmniej raz w miesiącu odwiedza staruszka ojca w Zakładzie Karnym w Joliet. Stary siedzi tam za podpalenie, którego dokonali wspólnie.

Niektórzy z graczy patrzyli z wściekłością, inni uśmiechali się, a jeszcze inni wstrzymali oddech i byłem pewien, że w końcu Simonowi się dostanie.

— Słuchajcie, świszczypały, chcę, żebyście się dobrze przyjrżeli mojemu bratu—powiedział.—Jest radykałem i właśnie wrócił z Meksyku. Augie, powiedz im o rewolucji, jak to niedługo przywiążą im ciężary do szyi i porzucają do kanałów.

Zgarnął ogromną pulę — pewnie dlatego, że tamci byli zbyt roztrzęsieni, aby móc dobrze rozegrać karty — i odszedł od stolika dumnym krokiem.



— Oni by cię utopili w łyżce wody — zauważyłem. — Czemu ich prowokujesz do takiej nienawiści?

— Bo ich nienawidzę. Chcę, żeby o tym wiedzieli. Co mnie obchodzi, że te skurwysyny mnie nie lubią. To są wszarze. Gardzę nimi.

To czemu należysz do ich klubu?

— A czemu miałbym nie należeć? Fajnie jest być członkiem klubu.

Zagrał z dziewczyną z Twenty Six przy barze o cygara, ciskając kości ze skórzanego kubka na zielone sukno stołu, i znów wygrał. Włożył mi kilka cygar do kieszeni marynarki mówiąc:

— Chodźmy do fryzjera. Tobie to potrzebne, a ja to lubię. Boże, uwielbiam salony fryzjerskie! —

Zatrzymaliś- my się przy Palmer House, gdzie mają te wielkie biskupie fotele. Zanim skończono to całe strzyżenie, golenie, okładanie ręcznikami, parowanie i polerowanie, zrobiła się piąta, więc pobiegliśmy do samochodu i wydostaliśmy się z Pętli przez zabronione skróty i zaułki. Charlotta czekała na nas na ulicy ubrana w lamowany futrem kostium, posepnie przystojna i ogromna. Była strasznie zdenerwowana, że musiała czekać, i od razu zaczęła mu robić wymówki:

Gdzie ty był, Simon? Wiesz, ile się spóźniłeś?

— Zamknij się! — odparł. — Przywiozłem braciszka. Nie widziałas go dwa lata i zamiast się z nim przywitać, zaczynasz od głędzenia.

— Jak się masz, Augie — powiedziała raczej żywo niż przyjaźnie, przechylając głowę na futrzany kołnierz, ku tyłowi samochodu. — Jak ci się podobał Meksyk?

— O, bardzo.

Była ubrana według najnowszej mody i przy prostych liniach brwi i ust mogłaby uchodzić za ponętą, gdyby nie było po niej tak wyraźnie widać, że jej osoba i cierpliwość zostały narażone na ciężką próbę. Mechanizm ukrywania irytacji miała w kiepskim stanie. Zauważyła oczywiście, że jestem w garniturze Simona. Rzecz nie w tym, że miała coś przeciwko temu, ale po prostu nie uszło to jej uwagi. W rozmowie używała dokuczliwego, rozkazującego tonu i była jakby nieustępliwym, surowym sędzią, a jej rozmówca oskarżonym. Należało bardzo uważać, co się przy

niej mówi. Lecz i tak wyrabiała sobie taką opinię, jaką chciała. W swoim kostiumie lamowanym futrem, wielka i przystojna, wyglądała akurat jak urzędnik sądowy, mimo że miała umalowane usta i oczy. A ja czułem się jak jakiś wykretny pirat, larron de mer, tyle że niezbyt śmiały w odpowiedziach.

Bardzo ją niepokoiło, że nie mając ani centa przy duszy czułem się swobodnie wśród luksusów dostępnych bogaczom, że korzystałem z nich darmo i bez specjalnych zachodów. Nie była to oczywiście prawda, lecz jeszcze jeden mylący pozór. Martwiło ją zwłaszcza to, że byłem aż tak spokojny.

Przy obiedzie chciałem porozmawiać z Simonem o Ge- orge'u, ale on mi odrzekł:

— Nie stwarzaj nowych problemów. Nie stwarzaj problemów. Jemu jest dobrze. Czego jeszcze chcesz?

— Zamiast się martwić o brata, lepiej zastanów się, co zrobisz z własnym życiem — powiedziała Charlotta. — Bardzo łatwo jest stać się obibokiem.

— Cicho bądź! — rzekł Simon. — Lepiej zostać obibokiem niż kimś takim jak mąż Lucy, a zięć twojego stryja. Zostaw Augie'ego w spokoju. On właśnie nie chce zostać obibokiem. Jemu tylko trzeba trochę więcej czasu na ustatkowanie.

— Widzę, że zgubiłeś parę zębów — zauważyła Charlotta. — Jak to się stało? Wyglądasz okropnie... — Pewnie mogłaby tak jeszcze długo, ale zadzwonił dzwonek i ktoś wpuszczony przez służącą wszedł przez przedpokój do salonu. Charlotta umilkła. Później zająłem tam i zobaczyłem ogromną kobietą postać siedzącą po ciemku. Wszedłem zobaczyć, kim była ta przedstawicielka kraju Brobdingnagów. Okazało się, że to matka Charlotty, pani Magnus, która mimo że siedziała koło ogromnej chińskiej wazy, nie wydawała się przez to ani trochę mniejsza. Nawet po ciemku cera pani Magnus, piękna i zdrowa, jej zaplecione w warkocz włosy, spokojny zadarty nos i jej wielkość ujęły mnie za serce.

— Czemu pani tu siedzi po ciemku? — spytałem.

— Bo muszę — odparła po prostu.

— Ale czemu pani musi?

— Bo mój zięć nie chce mnie widzieć.

— Co się stało? — spytałem Charlottę i Simona.

— Simon zbeształ ją za to, że się źle ubiera — odparła Charlotta.

— Bo ona tu przychodzi w sukniach po dziewiętnaście pięćdziesiąt — rzekł Simon z gniewem. — Kobieta, która ma pół miliona! Wygląda jak szkapia łachmaniarza.

Korzystając z mojej obecności Charlotta przyprowadziła matkę i posadziła przy stole. Jedliśmy właśnie wiśnie i piliśmy kawę. Charlotta zostawiła mnie w spokoju, ale Simon poczuł wściekłość na widok pani Magnus w brązowej sukni. Próbował czytać gazetę i nie patrzeć na nią — nie powiedział ani słowa, kiedy weszła—lecz w końcu nie wytrzymał i odezwał się, zły jak wszyscy diabli:

— Widzę, stara kutwo, że nadal donaszasz suknie po żonie stróża.

— Daj jej spokój — powiedziała Charlotta ostro.

Lecz nagle Simon rzucił się przez stół rozsypując wiśnie i przewracając filiżanki z kawą. Chwycił teściową za kołnierz, szarpnął i rozdarł jej suknię aż do pasa. Wrzasnęła przeraźliwie. Ujrzałem ogromne, miękkie piersi w różowym staniku. Cóż to za zdumiewający widok! Pani Magnus dyszała i zakrywała nagość rękami. Jednakże jej krzyki były zarazem parsknięciami śmiechu. Jakże kochała Simona! A on dobrze o tym wiedział.

Chowaj, chowaj! — powtarzał ze śmiechem.

— Ty wariacie! — wrzeszczała Charlotta. Wybiegła na swych wysokich obcasach, żeby przynieść matce coś do okrycia, wróciła też roześmiana. Byli z siebie wzajem ogromnie dumni.

Simon wypisał czek i wręczył pani Magnus.

Masz — powiedział. — Kup sobie coś i nie przychodź tu ubrana jak pomywaczka. — Podszedł i ucałował jej upięte na głowie warkocze, a ona wzięła jego głowę w obie dłonie i za każdy jego pocałunek oddała mu dwa, strasznie rozbawiona.

Poszedłem odwiedzić Einhorna. Siedział błydy i wymi-zerowany. Nie było z nim najlepiej. Podczas mojej nieobecności przebywał w szpitalu i przeszedł operację prostaty. Mimo to wciąż prezentował się wspaniale, S68 prawie jak na broszurkach ubezpieczeniowych, wycinkach z gazet i fotografiach porozwieszanych wszędzie w pokoju. Na naczelnym miejscu wisiał portret Komisarza — to dopiero był mężczyzna! Cóż za piękna i wspaniała głowa... a pod nią ów sławetny nekrolog! Tillie wyjechała z wnukiem na wakacje i rządy sprawowała Mildred, bliższa Einhornowi niż kiedykolwiek. Stała w grubych ortopedycznych butach przy barierce przeniesionej z dawnego biura po drugiej stronie ulicy. Miała w oczach coś, co wywoływało w rozmówcach wojowniczy nastrój. Na szczęście nie we mnie. Zaczynała siwieć. Włosy Einhorna były śnieżnobiałe, przez co oczy stały się jeszcze czarniejsze. Zobaczył dwurzędowy garnitur, który dostałem od Simona, i rzekł:

— Świetnie ci się wiedzie, Augie. — W mieszkaniu śmierdziało. Książki spadały z półek. Popiersia wielkich ludzi zawędrowały prawie pod sufit. Obite czarną skórą fotele na rolkach były dobrze utrzymane, ale stare.

Einhorn strasznie się uskarżał na Mimi Villars, że rujnuje jego syna.

Mimi wyrażała się o nim jeszcze nieuprzejmiej mówiąc, jak skrzywdził Artura.

— Powiem ci coś o tym starcu — oznajmiła.—On jest cholernie dobrym impresario, ale dla siebie. Ilekroć idzie do klozetu, zaraz jest gotów pisać o tym do gazet. Wiem, że wszyscy są próżni i że właśnie dzięki temu świat się kręci. Może to nawet nie próżność. Podobno jak się dostaje kulkę w głowę, człowiek nadal myśli o swoim ładnym kapeluszu. Albo o przyjęciu w sobotę, na które go zaproszono, i tak dalej. Więc może to jest to. Gdzieś jednak musi być granica. A jeśli ktoś nie może temu zapobiec, niech przynajmniej wie, że to nie jest dobre. Ten stary chce tylko jednego: żeby Artur przynosił mu chlubę i chwałę, ale jak trzeba Arturowi pomóc, nie wypuści z ręki nawet pięciu centów. A takim rodzicom, którzy mają forszę i nie chcą nic dać własnym dzieciom, powinno się wszystko odebrać. Niech idą na żebry. Postawiłabym starego dziada na rogu State i Lake z aluminiowym kubkiem, niechby spróbował. Wiesz przecież, że dziadek zapisał cały majątek Arturowi. Wiedział, że nie może zaufać synowi. Artur właśnie teraz kończy książkę,

wspaniałą książkę. Jestem przekonana, że będzie to wspaniała książka. Sam wiesz, że jak się pisze książkę, nie można pójść do pracy.

Einhorn rzeczywiście miał trochę pieniędzy, lecz Mimi wyolbrzymiała jego bogactwo. Nie spierałem się z nią. Sam czułem złość do Einhorna. Od czasu, gdy wróciłem z Buffalo i zastałem rodzinę rozproszoną, kiedy nakłaniał mnie, żebym był twardszy dla Simona, nie czułem już dawnej przyjaźni dla niego. I jeśli chcecie wiedzieć, ponieważ dawniej oboje z Tillie ostrzegali mnie, abym nie liczył na nic, bo wszystko odziedziczy Artur, nie mogłem oprzeć się uczuciu, że dla nich nikt nie był nigdy dosyć dobry i teraz sami dla siebie stali się nie dość dobrzy. Być może widziałem tu szansę odegrania się.

— Mam teraz, oczywiście — mówiła Mimi z dawną goryczą — zupełnie niezłą pracę, ale zeszłej zimy leżałam chora na grypę i nie mogłam pracować. A jeszcze do tego Owens wywalił nas z mieszkania, bo nie miałam czym zapłacić, i wzięła nas do siebie nasza przyjaciółka. Ale musieliśmy tam spać we dwoje na kanapie. Oboje razem, w dodatku ja z grypą. Rao był taki zmęczony, że jak moja przyjaciółka szła do pracy, kładł się w jej łóżku. Więc w końcu oznajmiłam mu, że powinien spróbować poszukać pracy. Zgodził się i któregoś ranka wstał o ósmej, a wrócił o dziesiątej. Powiedział, że dostał pracę w dziale zabawkarskim u Wieboldta i następnego dnia wprowadzą go w zakres obowiązków. Wyszedł tego dnia o dziewiątej i wrócił o jedenastej. Wprowadzili go, tylko że przed rozpoczęciem pracy chciał wygładzić bardzo ważny rozdział o Kierkegaardzie ... czy ja mogę mieć o tym jakiegokolwiek pojęcie? No i następnego dnia wyszedł o wpół do dziewiątej i wrócił w południe, bo go wylali. Porządkowy kazał mu podnieść z podłogi kawałek papieru, a on powiedział: „Podnieś go sam, sukinsynu. Możesz się przecież zginać.” Potem z kolei Artur złapał grypę

I musiałam wstać, i ustąpić mu kanapy. Aleja go kocham — powiedziała. — Z nim nigdy nie jest nudno. Im gorzej nam się wiedzie, tym większy widzę pożytek z miłości. A ty? — zapytała przypatrując się pilnie, jak Meksyk mniezbrazował, przeżycia i niedole postarzyły, a wreszcie Bizcocho rzucił na skały i wpadłem w rozpacz z powodu

570

Tei. W moim powrocie było coś przypominającego powrót niedobitków armii Krassusa po masakrze na wschodniej pustyni, wojowników, którzy ledwie się przywlekli w zbrojach z poobrywanymi łuskami.

Cóż, ludzie mnie ostrzegali. Padilla, na przykład, powiedział:

—Rany boskie, March, musiałeś tam jechać z tą dziwką i ptaszyskiem! Z dziewczyną, która łapie węże i Bóg wie co jeszcze! Czego się spodziewałeś? Nic dziwnego, że tak wyglądasz. Nie chcę ci robić przykrości, wydaje mi się jednak, że sam sobie na to zasłużyłeś.

—Manny, a co miałem robić? Zakochałem się.

—Czy miłość musi niszczyć człowieka? Wydaje mi się, że nie ... w przeciwnym razie co z niej za pożytek?

—Słusznie, ale nie kochałem jej tak, jak powinienem. Zawiodłem ją, rozumiesz? Powinienem być czysty i wytrwać w czystości. To ja nawaliłem.

— Pozwól, że ci coś powiem, stary—rzekł Padilla. — Ty za bardzo winisz siebie, a rzeczywista przyczyna jest gdzie indziej. Wszystko dlatego, że jesteś zbyt ambitny. Za wiele pragniesz i dlatego za bardzo siebie winisz, gdy ci się nie udaje. Ale to wszystko złuda. Dzisiaj robi się badania, które zmierzają do ustalenia stopnia zła w człowieku, a nie dobra. Nie idziesz z duchem czasów. Idziesz przeciwko biegowi historii. Żebyś chociaż przyznał, że jest źle, tylko że ty nie chcesz. Powinieneś zerwać z tym balowaniem i wrócić na uniwersytet.

— Chyba mógłbym to zrobić. Tylko muszę pozbierać myśli.

— Zbieraj je wieczorami. Nie potrafisz robić dwóch rzeczy naraz?

Później Ciem Tambow powiedział mi właściwie to samo. Miał wkrótce otrzymać dyplom i wyglądał teraz bardzo dojrzałe z gęstym wąsem i cygarem w zębach. Ubierał się jak agent prasowy od siedmiu boleści, a zala-tywało od niego płynem do czyszczenia i męskim zapasz-kiem.

— Słuchaj, chłopie, widzę, że nic się nie zmieniłeś — rzekł. Lubiliśmy się z Clemem, wspaniały i bardzo życzliwy był z mego facet, sól ziemi, pełen współczucia<sup>1</sup> zrozumienia dla ludzkiego losu. Lecz ja według niego

571

wypuściłem się na hulankę z bogatą kobietą i miałem teraz za swoje. Tak właśnie myślał, bo wcale nie byłem taki sam jak przed wyjazdem.

— Jak się czujesz po swojej udanej wyprawie, Augie? — spytał, bo wiedział o mnie wiele. Czemu musiał aż tak drwić? Chciałem jak najlepiej, a rozbiłem sobie głowę, straciłem zęby i w trakcie tego wszystkiego mocno się sparzyłem. Ładny ze mnie podróżnik. Boże, jakiz ja byłem pies na dobre rzeczy, sługa miłości, intrygant, rekrut wzniosłych idei i balownik! Dla kogoś mającego jakie takie rozeznanie był to raczej powód do płaczu niż do błaznowania, że próbowałem nie godzić się na życie pełne rozczarowań. Świetny powód do łez współczucia, lecz zdaniem Clema również i do śmiechu, jak to często bywa z dobrymi kawałami. Byłem więc strapiony, a Ciem śmiał się do rozpuku. Nie mogłem się na niego złościć.

Wiecie czemu wydawałem się ludziom śmieszny? Myślę, że było to wynikiem podziału pracy. Specjalizacja pozostawia takich jak ja w tyle. Nie umiałem zgrzewać punktowo, nie znałem się na ekonomice transportu, nie potrafiłem usunąć wyrostka robaczkowego, niczego takiego nie potrafiłem. Rozmawiałem na ten temat z Cieniem, który miał podobne zdanie. Ciem nie był wał-koniem. Powiedział mi, że ostatnio zajął się psychologią i zrozumiał wiele rzeczy, które dotychczas stanowiły dla niego tajemnicę. Och, a jednak wciąż drwił z siebie.

— Wszystkie moje najwspanialsze idee pochodzą z po- pożarowej wyprzedaży — powiedział, choć czuł się coraz pewniejszy swojego punktu widzenia. Narobił wiele szumu wokół mojego powrotu oświadczając, że jesteśmy nielicznymi prawdziwymi przyjaciółmi. To nie było kłamstwo. Żywiłem dla niego jak najcieplejsze uczucia. No więc przyszedł i powiedział, że musimy pójść do Oriental Theatre i zjeść razem kolację. Ciem musiał zawsze fundować, do ostatniego centa, a potem nie miał nic przeciwko temu, jeśli się jemu fundowało. Chciałby się dobrze prezentować, ale twarz miał często skrzywioną, pomarszczoną, śmiech rozgłośny, od ucha do ucha, a zęby zepsute, głowę potężną, ubrania zaś solidne, dostatnie, kogoś w średnim wieku, bankierskie, lecz nogi

572

długie, buty zniszczone, a skarpetki w barwną kratę; nosił golf i cuchnął cygarami.

Poszliśmy więc do Oriental Theatre. Po granatowym nieboskłonie przesuwały się tam gwiazdy jak w Baśniach z tysiąca i jednej nocy. Słuchaliśmy Milтона Berle, jak śpiewa Rzeko, nie podchodź pod moje drzwi, potem oglądaliśmy ciężkawe tancerki, niczym lalki kanapowe w aksamitach, następnie małe pieski przelatujące przez scenę w samochodzikach i trupę dziewcząt grających na kobzach. Najpierw wykonały Annie Laurie, potem przeszły do klasycznych utworów. Zagrały Liebestod i Valse triste, po czym pokazano tak szmatławy numer, że wstaliśmy i poszliśmy do restauracji.

Pełen dostojeństwa, po gromkich śmiechach w teatrze, Ciem zamówił obfitą chińską kolację — słodko- kwaś- ną wieprzowinę, pędy bambusowe, potrawkę z kurczęcia z anansem, jajka fu jung oraz herbatę, ryż, sorbet i ciasteczka migdałowe. Zażeraliśmy się tym prowadząc jednocześnie rozmowę.

— Wyobraźmy sobie — rzekł Ciem — że płyniemy sobie teraz dahabiją do pierwszej katarakty Nilu. Wokół zielone pola, chłopcy rzucają kamieniami w wielkie ptaki i barwne kwiaty, my zajadamy sobie daktyle ze środkami podniecającymi, a piękne koptyjskie dziewczęta wiosłują ku nam przy łopocie łaćnińskich żagli i tak dalej. Płyniemy sobie do Karnaku kopiować inskrypcje. Żle by było?

— Cóż, właśnie wróciłem z egzotycznego kraju.

— Tak, ale to był fałstart. Jeszcze nie byłeś gotowy do wyjazdu. Ty nie chcesz się posuwać krok za krokiem. Dlatego twoja wyprawa się nie udała. Mógłbyś wyruszyć w górę Nilu, gdybyś był egiptologiem.

— Dobrze, zostanę więc egiptologiem. Trzeba mi na to tylko dziesięciu lat.

- Spójrz na siebie, jesteś taki promienny i radosny po kolacji, a na twojej twarzy maluje się taka rozkosz, jakbyś był właścicielem tego budynku. Ha, ha, ha! Fajny jesteś, bracie!

— Jest tylko jedna kwestia — rzekłem pochlebiony i uśmiechnięty — czemu to ma być właśnie Nil?

— Dla ciebie? Bo to coś wyjątkowego — odparł Ciem. Gdy myślę o tobie, muszę myśleć w kategoriach niezwyk-

573

łości. Na poziomie nadzwyczajnych osiągnięć. — Nauczył się tego języka na uniwersytecie. Jednym z jego ulubionych wyrazów było „utwierdzenie”, czyli dawanie szczurowi, który rozwiązał jakiś problem, jedzenia dla zachęty. A przy tym miał istic królewski wygląd — wielkie czerwone usta, groźny śmiech, hektar twarzy i wielki nochal z tunelami nozdrzy, -gp Czy jesteś jednym z tej hołoty, która oklaskuje wiosłujące ku nam Koptyjki? Nie. Jesteś osobistością wybitną. Człowiekiem wrażliwym. Pośród nas, szarej hołoty w tej ludzkiej maskaradzie, jawisz się jak anioł.

Próbowałem zamknąć mu usta, ale powiedział:

— Uspokój się, jeszcze nie skończyłem. Nie wiem, czy będziesz tak bardzo rad, kiedy usłyszysz wszystko.

— Więc mnie nie wynos pod niebiosa, to nie będziesz potem musiał ściągać za nogi na ziemię.

Nie przebywamy w tym samym świecie dyskursu. To jeszcze nie to, co święty Tomasz nazywa moim poziomem pierwszej intencji. Wcale nie mówiłem, że uważam cię za anioła, tylko że nam, ze zwykłej gliny ulepionym, posuwającym się krok za krokiem zwykłym nieszczęśnikom, wydajesz się, jakbyś przybywał na bal, promienny i uśmiechnięty. Jesteś ambitny. Ale twoje ambicje mają charakter ogólny. Są za mało konkretne. A muszą być konkretne. Tak jak u Napoleona. Albo u Goethego. Weźmy na przykład tego profesora Sayce'a, któremu wyszedł numer z Nilem. Znał wszystkie dane wzdłuż jego brzegów na tysiąc mil. Dokładnie! Nazwiska i adresy. Daty. Cała tajemnica życia tkwi w dokładnych danych.

Czemu się tak nagle zapaliłeś do Egiptu?—zapytałem. — A poza tym bardzo dobrze wiem, że ze mną jest źle. Możesz być spokojny.

— No tak, oczywiście, mimo całej promienności dręczy cię niepokój. Czyja tego nie wiem? Sikasz pod wiatr. Trzeba ci trochę lekarstwa doktora Freuda. Zrobiłoby ci znakomicie.

— Prawdę mówiąc—powiedziałem już nieco zaniepokojony — ostatnio miewam dziwne sny. Posłuchaj. Ubiegłej nocy śniło mi się, że jestem we własnym domu, nie wiem gdzie ... czułem się nie tyle zaskoczony samym

574

snem, ile faktem posiadania domu. Stałem w pięknym pokoju frontowym bawiąc gościa. I wyobrazasz sobie? Miałem dwa fortepiany, jakby przygotowane do koncertu. I wtedy mój gość, który miał wykwinne maniere... ja zresztą też, prawdziwie wielkie towarzystwo... zauważył: „Jakie to niezwykle mieć trzy fortepiany.” Trzy! Odwracam się i Boże wielki, widzę trzeci. A właśnie starałem się odgadnąć, skąd u mnie w domu te dwa, skoro tak umiem grać, jak wół haftować. Wydało mi się to złowróźbne. Choć wstrząśnięty, nie zdradziłem się ani nic po sobie nie pokazałem. Powiedziałem temu facetowi' „Ależ tak, oczywiście, mam ich trzy”, jakby nie można się było obejść bez trzech. Czułem się więc jak straszny oszust.

— Och, cóż za przypadek! Byłbyś istną cieplarnią dla naukowca. Największą kolekcją niewiadomych, jaka kiedykolwiek leżała na kozetce. Domyślam się, że masz syndrom aiystokratyczności. Nie potrafisz dostosować się do rzeczywistej sytuacji. To wychodzi z ciebie wszystkimi porami. Chciałbyś, żeby istniał Człowiek, przez duże C, wielkiego formatu. Znam cię i wiem, co myślisz, bo od dzieciństwa jesteście kumplami. Pamiętasz, jak przychodziłeś do nas codziennie? Ja wiem, czego chcesz. O paidea! O król Dawid! O Plutarch i Seneka! O rycerskość, o opat Suger! O pałac Strozich, o Weimar! O Don Giovanni, o zalety zaspokojonego pragnienia! O boski człowiek! Powiedz, chłopie, jestem blisko?

— Jesteś, tak, jesteś — odparłem. Siedzieliśmy, rozumiecie, w drewnianej altance chińskiej restauracji i wszystko wydawało się odpowiednie, spokojne, przyjazne. Wiem, jakie cenne są okazje, gdy ważna myśl nie musi być wypowiedziana jedynie do siebie. Bo przed kim można się w pełni zwierzyć tak jak przed sobą samym?

— Mów dalej, Ciem, mów dalej — powiedziałem.

— Do czwartej klasy chodziłem w Mottley School. Naszą nauczycielką była pani Minsick. Wzywała dziecko do tablicy i wręczała mu kawałek kredy. „A teraz, Dorabello, jaki będziesz wachała kwiatek?” Ha, ha, ha! To ci heca! Ta mała Dorabella Feingold wachała, aż jej majtki wystawały spod sukienki, i przewracała w ekstazie oczyma. Mówiła: „Groszek.” To było prawdziwe ćwicze-

575

nie. Wdychanie i wydech. Stefania Krizecki mówiła: „Fiołek, róża, nasturcja.” — Trzymał cygaro za koniuszek i wdychał rozdętymi nozdrzami. — Wyobraź sobie tę parszywą klasę, te wszystkie biedne dzieciaki na zarte kiszoną kapustą, chlebem i nóżkami w galarecie, z imig-ranczką krwią w żyłach i zapachami prania, kielbasy oraz domowego piwa w nosach. Skąd one miały znać te wykwintności flory? Do licha! A potem stara Minsick dawała wyróżniającym się złotą gwiazdkę dla utwierdzenia w postępach. Ona, z tą swoją buźką z ostrymi kłami i z cyckami, które zwisały aż po pępek, spluwająca do kosza na papieru. Urwisy mówiły: „Skunksina, psze pani” albo „Dziki buc” lub „Bździna”. Za takie coś chwytła cię za kark i prowadziła do dyrektora. Ale te urwisy miały rację. Który z nich widział groszek pachnący? Przecież ja sam siadywałem nad studzienką kanalizacyjną ze sznurkiem z agrafką na końcu, bo mój braciszek mądrała powiedział, że mogę złowić złotą rybkę.

— To smutna opowieść, ale nie sądzisz, że jedno i drugie dzieci miały rację? Jedne trzymały się uparcie tego, co знаły, a drugie tęskniły za nieznanym. Chcesz dowieść, że są takie dzieci lub ludzie, dla których nie może być kwiatów? To nieprawda.

— Wiedziałem, że ci się spodoba to wążanie kredy. Masz silne superego. Chcesz akceptować. Ale skąd wiesz, co akceptujesz? Jesteś wariat, że wszystko przyjmujesz za dobrą monetę. Nikt ci nie podziękuje za twoje starania. A tylko doprowadzisz się do zguby ignorując zasadę realizmu i usiłując robić dobrą minę do złej gry. Powinieneś akceptować dane wynikające z doświadczenia. Czemu nie postudiujesz trochę psychologii? Mnie to dużo dało.

— Pożyczę od ciebie kilka książek, skoro to jest takie ważne. Tylko że ty widzisz to wszystko błędnie. Powiem ci, jak sam to widzę. Gotowość na śmierć nigdy nie może być rzeczą słuszną i jeśli dane wynikające z doświadczenia tak mówią, musisz się obejść bez tych danych. Rozumiem też, do czego zmierzasz twierząc, że nie jestem dość konkretny. Jest tak: w dzisiejszym świecie jednostka musi chcieć reprezentować sobą coraz

576  
węższy i węższy punkt istnienia. A ja nie jestem specjalis- tą.

— Podobno umiesz tresować ptaki.

— Tak, jak dotąd to moja jedyna specjalizacja.

I to święta prawda, że człowiek musi być jednym z tych duchów jakby owładniętych, porwanych i napędzanych celem społecznym. By jeśli trzeba wpełznąć do kanału pod ulicą, wpełznął. Albo do szybu kopalni. Albo organizował rozrywki w karnawale. Albo wymyślał nazwy dla nowych cukierków. Albo posrebrzał dziecięce buciki. Albo chodził i ustawiał tekturowe podobizny dziewcząt w salonach fryzjerskich. Albo oddał życie w takiej czy innej podrzędnej roli, z taką czy inną myślą, ciasną, uporczywą ideą własnej funkcji.

Zawsze żywiłem przekonanie, że nie mogę mieć nadziei na to, czego pragnę, jeżeli do tego trzeba zostać specjalistą, jakimś doktorem lub ekspertem. Bo wówczas, jako ekspert, miałbym do czynienia z innymi ekspertami. Musiałbym lekceważyć amatorów, bo eksperci właśnie to czynią. A ponadto specjalizacja oznacza trudności i w czym tu się specjalizować? Kierowałem się hasłem Padilli: „Łatwo lub wcale.”

Mimi strasznie się śmiała z moich meksykańskich przeżyć.

— Aleś się ubawił — rzekła. Bardzo niemiło wyrażała się o Tei, w związku zaś ze Stellą powiedziała:— Tacy jak ty ułatwiają życie niektórym kobietom.

Nic w tym nie było łatwe dla nikogo, tylko że Mimi nie dała sobie tego powiedzieć. Zrozumiawszy wszystko po swojemu, nie chciała więcej słuchać. Rozciągnęła szerokie usta i besztła mnie głosem helikonu lub rogu myśliwskiego prawie tak samo jak Ciem. Żebym się lepiej wyleczył z tych swoich skłonności. Bo dlatego nie widzę rzeczy, jakimi są, że nie chcę, że nie mógłbym ich kochać takimi, jakie są. Ale nie w tym sztuka, aby je ulepszać we własnym umyśle, lecz widzieć wszystkie ludzkie słabości — ludzi złych, przestępców, chorych, zawistnych, lubujących się w brudach, pazernych, żerujących na tych, co są bliscy śmierci. Żebym zaczął od tego. Pogodził się z fak-

577

tem, że ludzie na ogół są pełni odrazy dla siebie wzajem i z trudem mogą na siebie patrzeć. Przeważnie chcą, aby ich zostawiano w spokoju. A bardziej niż skarbów poszukują złudzeń, gdyż one są ich ostatnią wielką nadzieją, bo mogą wówczas powątpiewać, że to, co o sobie wiedzą, jest prawdziwe. Może przesadziła z tym podniebnym gniewem i naprawdę tak nie odczuwała. Ostatnio jednak miała oczy podkrążone ze zmartwienia.

Gdy przyszedł Artur, zaczęła mówić o pracy i pieniądzu\* dzach. Odkąd się pokazał, chyba ze cztery razy zmieniała temat i poruszała tę sprawę.

Chciała go namówić na pewną posadę. Lecz on odparł:

— Przecież to farsa! — I zaczął się cicho śmiać, skrzywiony ponuro.

— Pieniądze nie są farsą.

— Och, przestań, Mimi. Nie bądź niedorzeczna. ||§| Nie wiąże się z tym praktycznie żadna praca.

On jednak przedstawił rzecz jako całkowicie niemożliwą. Pomyślałem sobie, że taka posada byłaby w sam raz dla mnie, gdybym się nadawał.

Spotkawszy Artura poza domem zapytałem, czemu jej nie chce.

Popołudnie było chłodne i miał na sobie kurtkę i czapkę. Stracił sporo na wadze, wychudł, ramiona zrobiły mu się kościste. Uderzyło mnie jego podobieństwo do stryja, Szajbusa, i sposób stonowania tego samego dziedzictwa odmiennym trybem życia. Miał identyczną, wątlą budowę ciała, długą twarz, szybki chód, z palcami do wewnątrz. Nosił półbuty w szpic, bardzo eleganckie, istna rycerskość w strzemionach — albo koniuszek ogona jaszczurki wślizgującej się do szczeliny skalnej. Tylko nie miał takiego zdrowia jak Szajbus i był smaglejszy. Pachniał kawą i tytoniem. Przyznawał się w uśmiechu również do gorszych zębów. Potrafił jednak błysnąć całym wdziękiem Einhornów, jeśli chciał.

Był wspaniały w swoim sposobie myślenia. Czasem miałem wrażenie, że potrafi wypowiedzieć, a także rozważyć wszystko. Osobiście byłem raczej za myślami praktycznymi. To znaczy takimi, które odpowiadają na drążące człowieka pytania. Artur stwierdził, że to źle. Prawda jest tym prawdziwsza, im mniej ma wspólnego z ludzkimi 578

potrzebami. Jaka może być, na przykład, osobista potrzeba w badaniu pełnienia światła od najodleglejszych gwiazd, które nawet przy tej niewyobrażalnej prędkości podlega rozkładowi i zniszczeniu, tak bowiem starzeje się w swej drodze? Zafascynowała mnie ta kwestia.

Wracając jednak do owej posady: jest jakiś milioner, który pisze książkę i potrzebuje sekretarza.

— Sądzisz, że mu się nadam?

— Z całą pewnością, Augie. A chciałbyś?

— Szukam właśnie pracy. Czegoś, co by mi dało wolny czas.

— Lubię taki sposób układania sobie życia. A co zamierzasz zrobić z wolnym czasem?

— Chcę go należycie wykorzystać. — Nie podobało mi się jego pytanie. Czemu on sam musiał mieć wolny czas, a kwestionował to u mnie?

— Jestem po prostu ciekawy. Jedni ludzie zawsze zdają się wiedzieć, co będą robili, inni natomiast nigdy. Oczywiście ja jestem poetą, więc mam szczęście. Często myślałem, kim bym był, gdybym nie został poetą. Politykiem? Wystarczy spojrzeć, co się stało z dziełem życia Lenina. Profesorem? To za spokojne. Malarzem? Przecież ostatnio w ogóle nie wiadomo, o co w malarstwie chodzi. Ilekroć piszę jakiś poemat dramatyczny, nie mogę pojąć, czemu moje postaci miałyby chcieć być kimkolwiek innym niż poetami.

No więc tak to było w Chicago po moim powrocie. Mieszkałem w Dzielnicy Południowej. Zabrałem od Artura swoją skrzynkę z książkami i czytałem. Czerwcowy upał rósł, z cienistych podwórek zaczął się wydzielać zapach wilgotnej gleby, podziemi, miejskiego królestwa ścieków i kanałów Plutona, kubłów z zaprawą murarską, bulgocących kociołków ze smołą dekarzy, pelargonii, konwalii, pnących róż, a czasem, przy silnym wietrze, siejący straszne spustoszenie zaduch z rzeźni. Czytałem sobie książki i niemal codziennie pisałem do Tei na Wells Fargo, ale nie otrzymywałem odpowiedzi. Przesłano mi jeden list z Meksyku, lecz był to list od Stelli. Pisała z Nowego Jorku. Nie spodziewałem się, że tak świetnie umie pisać. Stwierdziłem, że stanowczo jej nie doceniałem. Donosiła, że jeszcze nie może mi oddać pieniędzy.

Musi być lojalna wobec swego związku. Gdy tylko dostanie jakąś pracę, zaraz spłaci dług.

Dostałem od Simona trochę pieniędzy, więc mogłem pójść na letni kurs na uniwersytecie. Teraz wydawało mi się, że chętnie zostałbym nauczycielem, i zapisałem się na pedagogikę. Ale ciężko mi szło przesiadywanie na wykładach oraz studiowanie podręczników. Mogłem zawsze liczyć na pomoc Simona, chociaż on sam nie widział w -studiowaniu nic pożytecznego dla siebie.

Nadal miałem ochotę na tę pracę, którą Artur odrzucił, u milionera pragnącego napisać książkę. Ten milioner nazywał się Robey. Był słuchaczem Frazera, gdy Frazer wykladał na uniwersytecie, i stąd Mimi go znała. Wysoki i pochylony, bardzo się jąkał, nosił brodę i żenił się coś ze cztery czy pięć razy—znałem te fakty od Mimi. Artur mi wyjawiał, że ta książka miała być zarysem dziejów ludzkiej szczęśliwości z punktu widzenia ludzi bogatych. Nie wiedziałem, czy mi to będzie odpowiadać, ale nie chciałem, aby Simon mnie utrzymywał. Próbowałem naciągnąć Einhorna na pożyczkę, lecz on miał mi za złe, że byłem starym znajomym Mimi

— Nie mogę pożyczyć ci pieniędzy — rzekł. — Wiesz przecież, że muszę utrzymywać wnuka. Jest mi ciężko. A poza tym, co będzie, jeśli Artur zechce mnie uszczęśliwić na stare lata jeszcze jednym? — Był wkurzony.

Poszedłem więc niechętnie do Artura prosić, żeby zadzwonił do Robeya.

— To bardzo dziwny facet, Augie, pewnie aę ubawi

— Do diabła, ja wcale nie chcę, żeby mnie bawił. Niech mi tylko da pracę.

— Będziesz musiał spróbować go zrozumieć. To kawał dziwaka. Ma to po swojej matce. Ona myślała, że jest królową Rockford w Illinois. Nosila koronę. Miała tron. Chciała, by wszyscy w mieście składali przed nią ukłony.

— Czy on teraz mieszka w Rockford?

— Nie, ma rezydencję w Dzielnicy Południowej. Kiedy studiował, przyjeżdżał na uniwersytet limuzyną z szoferem. Przez długi czas miał fioła na punkcie klasyków filozofii i płacił gazetom za umieszczanie w dziale ogłoszeń cytatów z Platona lub Locke'a. Na przykład:

nie zbadane jest mc niewarte." Ma siostrę, która jest też 580

rąbnięta ... Karolinę. Myśli, że jest Hiszpanką. Ale ty masz dar radzenia sobie z postrzeleńcami! Mój ojciec dę uwielbiał.

— Byłem nim zafascynowany.

— Może i Robey dę zafascynuje.

— On mi wygląda na wariata. Nie mogę wciąż się wiązać ze śmiesznymi ludźmi. To nic nie daje.

Niebawem jednak, w deszczowe popołudnie, stanąłem twarzą w twarz z tym Robeyem, w jego domu nad jeziorem. A cóż to była za twarz—jaka niezwykła facjata! Wielkie, zaczerwienione, powściągliwe oczy, rudawa broda i wąsy, czerwone, ponure usta, strup na nosie — poprzedniego wieczoru, pijany czy zaspany, rąbnął się o drzwi taksówki. Jąkał się okropnie. Gdy go naprawdę chwyciło, związał się z wysiłku, zapierał w sobie i wykrzywił głowę, a jego oczy odzwierciedlały całą tę mękę

I niemal nienawiść. Początkowo mnie to zdumiewało i było mi go żal, gdy zęby mu zaczynały szczekać albo wydawał z siebie warknięcie. Wkrótce jednak przekonałem się, jak płynnie potrafił mimo wszystko mówić.

Patrzył na mnie tymi powściągliwymi, przekrwionymi oczyma jak ktoś, kto chce wyjaśnić, że urodził się do samych trudów i przedwność, i zanim zaczął mówić, otworzył usta, jakby chcąc oddzielić wąsy od brody.

— M -może zjemy obiad? — spytał.

Zjedliśmy paskudny obiad — cieniutką zupę z mięczaków, wędzoną szynkę, którą sam pokroił, gotowane ziemniaki, woskową fasolkę szparagową i dwa razy odgrzewaną kawę. Zezłościł mnie ten milioner, który potrafił zaprosić kogoś na tak nędzne żarcie.

Mówił, a ja słuchałem. Najpierw musi mnie zapoznać ze swoją przeszłością, powiedział. Jako współpracownik powinienem go poznać bliżej. Zaczął od opowiadania

O swoich pięciu małżeństwach me kryjąc, że rozwody następowały również z jego winy. Lecz te małżeństwa stanowiły część jego edukacji, przeto musiał poddać je ocenie. Byłem zde gustowany. Pociągnąłem łyk kawy i zaraz skrzywiwszy się wypuściłem ją przez zęby z powrotem do filizanki. On jednak tego nie zauważył. Mówił właśnie strasznie nudnie o trzeciej żonie. Czwar ta dała mu prawdziwy wgląd w jego wnętrze. Zdaje saę, że wciąż za



nią tęsknił. Kiedy wykręcał szyję nad jakimś kłopotliwym słowem, przerwałem mu. Chciałem powiedzieć: „Może przynajmniej napijemy się świeżo zaparzonej kawy?”, ale nie miałem serca. Zapytałem więc:

— Ale na czym polegałaby moja praca?

Wtedy język bardziej mu się rozwiązał.

— Potrzebuję rady — rzekł. — Pomocy. Muszę dopracować niektóre z moich koncepcji, moje myśli. Brak im k-klarowności. Ta k-książka t-to nie byle co.

— O czym ona jest?

— T-to nie jest zwykła książka ... t-to przewodnik, p-program. P-pomysł powstał w mojej głowie, ale mnie p-przerósł. P-potrzebuję pomocy. — Mówiąc o tej pomocy wydawał się przerażony. — Odkryłem z-zbyt wiele. To czysty przypadek, że t-trafło właśnie na mnie, a teraz uginam się pod b-brzemieniem odpowiedzialności.

Weszliśmy do salonu, żeby tam rozmawiać dalej. Szedł z ciężkim brzuchem, wlokąc za sobą nogi, jakby wciąż musiał pamiętać, żeby nie nadebrać własnego kutasa.

Mżyło bezustannie, jezioro wyglądało jak mleko. Wewnątrz księżycowate lampy rzucały blask na plusze, dalekowschodnie szkarłaty i mahonie. Były tam perskie kotary i hełmy z kitą z końskiego włosia, popiersia Peryklesa, Cycerona, Ateny i kogóż tam jeszcze. I portret jego matki. Wyglądała rzeczywiście na wariatkę, z koroną na głowie, berłem w jednej ręce, a różą w drugiej. Barki wiozące rudę żelaza z Duluth do Gary pojękiwały we mgle. Robey siedział przy lampie i pod zarostem na jego twarzy widać było ropne wypryski.

Zapewne nie jest bardzo bystry, zaczął skromnie, ale nic na to nie poradzi. Nie może uniknąć myślenia. Nikt z nas nie może uniknąć myślenia i każdy stoi przed tym samym, mianowicie koniecznością przemyślenia i poznania setek spraw. A jego obowiązkiem jest wywiązać się z tego jak najlepiej. Oto jak ukrywał swój zapach potężnie pulsujący pod tą zewnętrzną powłóczką.

Książkę tę, ciągnął, pragnie zatytułować Ucho igielne. Nigdy bowiem nie było życia duchowego dla bogaczy, którzy nie rozdali swoich bogactw. Obecnie jednak niebezpieczeństwo nie grozi jedynie bogaczom. Już niedługo rozwój technologii stworzy taką obfitość dóbr, że 582

każdy człowiek będzie miał wszystko, czego mu trzeba. Pozostanie oczywiście nierówność społeczna, ale głód i dotkliwie niedostatki znikną. Ludzie będą jedli do syta. Co wówczas nastąpi? Eden swobody, obfitości i młodości, spełnione marzenie rewolucji francuskiej. Lecz Francuzi byli zbyt optymistyczni sądząc, że gdy nieudolne stare cywilizacje zostaną zniszczone, wkroczymy do ziemskiego raju. To nie takie proste. Stoimy przed największym kryzysem dziejowym. I wcale nie ma na myśli wojny, która właśnie grozi światu. Nie, sami zobaczymy, czy to będzie ziemski raj, czy nie.

— Ch-chleb jest t-teraz w Ameryce niemal d-darmo- wy. Co się s-stanie, gdy w-walka o chleb się s-s ... Czy obfitość d-dóbr uwolni człowieka, czy z-zniewoli?

Można było niemal zapomnieć o jego głupkowskim wyglądzie, bogatej kolekcji zasłon, antyków, żelastwa, rosyjskich sań, kit na hełmach i szkatulek z macicy perłowej. Mimo to, nawet bujając w najwyższych regionach, wyglądał nieszczęśliwie, jakby się miał zaraz zalać łzami. A mnie tymczasem wciąż się odbijało stęchłą szynką.

— M-maszynaria wytworzy cały o-ocean dóbr. Dyktatorzy nie mogą temu zapobiec. Człowiek pogodzi się ze śmiercią. Będzie żył bez Boga. To odważny p-pro- jekt. Koniec z-złudzeń. I jakie wartości przyjdą w to miejsce.

— Ładny interes — powiedziałem.

— Ale o tym będzie p-pod koniec książki. Myślę, że powinniśmy zacząć od opinii Arystotelesa, ile dóbr doczesnych potrzebuje człowiek, żeby móc żyć cnotliwie.

— Niewiele go studiowałem.

— T-to jest jedna z p-pierwszych rzeczy, które będziesz musiał zrobić. Zapłacę ci za to, nic się nie bój. Ale chcę, żeby to było solidne dzieło, naprawdę naukowe. Obejmie Greków i Rzymian, wieki średnie, renesansowe Włochy, i p-planuję wykres: Kreteńczycy wysoko w górze, Kalwin na samym dole, Sir Walter Raleigh w górze, Carlyle do kitu, wiedza nowoczesna w martwym punkcie. Nawet mnie nie interesuje.

W ciągu następnej pół godziny mówił z sensem tylko chwilami. Chyba się zmęczył, niemniej wciąż klepał

ładu i składu, łypał przekrwionymi oczyma i pokaszliwał w pięść.

- T-t-teraz ty opowiedz mi o sobie — rzekł. Nie wiedziałem, od czego zacząć, i byłem zły, że mnie o to zapytał. Ale on mnie nie słuchał. Widząc, jak spogląda na zegarek, domyśliłem się, że czeka, kiedy wreszcie sobie pójdę.

Poprosiłem więc, żeby mi pokazał, gdzie jest kibel. Kiedy wróciłem, odzyskał jakby zainteresowanie książką i zapragnął jeszcze o niej mówić. Powiedział, że jestem z całą pewnością człowiekiem, który może mu pomóc, i zaczął mi nakreślać zarys tego całego interesu. Część pierwsza: wprowadzenie. Część druga, poganie. Trzecia, chrześcijaństwo i tak dalej. Czwarta, praktyczne przykłady najwyższej szczęśliwości. Znowu się podniecił. Zdjął z nogi kapeć, położył na jakiejś książce czy albumie na stoliku do kawy i co chwila ponownie go wkładał. Mówił, że chrześcijaństwo było pierwotnie adresowane do ludzi niskiego stanu i do niewolników, stąd potrzeba ukrzyżowania, przybijania gwoździami i całego karzącego majestatu męczeństwa. Lecz na przeciwnym biegunie, szczęśliwym biegunie, powinno być takie samo zagęszczenie. Radość bez grzechu, miłość bez mroków, radosny dobrobyt. Bez tego ciągłego psucia wszystkiego dokoła. O wspaniały wieku szczerzej miłości, czasie nowego człowieka! Nie jak ten nieszczęśny, ciemny, wykoślawiony stwór, stłamszony własną fałszywością, kłamca od kołyski, dręczony ubóstwem, cuchnący tchórzostwem, z głęboką jak dół kloaczny zawiścią, o wrażliwości głębia kapuścianego, pięknie larwy i poczuciu obowiązku skorupiaka. Nie mający łez do płaczu ani dosyć tchu do śmiechu, okrutny, przeklęty, pasożytniczy, płaszczący się, zrzędny, bojaźliwy i leniwy. Musztrowany jak Prusak chamskimi, sierżanckimi łajaniem swoich lęków. Robey wylał to wszystko na moją głowę i czekał, aż to we mnie zapadnie.

A ja myślałem: Cóż to za kawał wariata! Że też musieli mnie wysłać właśnie do takiego stukniętego milionera! Tymczasem jego słowa zaczęły wywierać skutek, trafiać mi do przekonania. Na koniec pomyślałem: Boże, miej litość nad nami, biednymi głuptakami! A razem z tą 584 ostatnią myślą zakiełkowała inna: Jeżeli Bóg jest litościwy, to nad czym innym miałby się litować?

Potem Robey przerzucił się na mnie. Szybko zmieniały mu się nastroje.

Przekłeta burżuazja, mówił, powinna być siłą przywódczą i dać praktyczne przykłady szczęśliwości. Ona się jednak okazała historycznym fiaskiem. Wszystko spartaczyła. Słaba to klasa dominująca, bo umiała naśladować tylko przepływ pieniądza wokół świata, wdzierać się w każdą szczelinę stwarzającą okazję zysku, jak woda dążąca do zrównania poziomów, imitować ten mechanizm. Robey przestał być teraz sobą, to znaczy nie mówił już z dawnym zapałem, tylko książkowo. Drapał się w stopę i ciągnął dalej jak wykładowca, a z tą swoją brodą, jakby słomianą, wyglądał jak jeszcze jedno kuriozum tego pokoju.

Ja jednak byłem wciąż dostatecznym czcicielem Einhorna, by dać się Robeyowi oczarować. Odsunąłem na bok wszelką krytykę i powiedziałem:

— Mówił pan przedtem o płacy. Mógłby pan powiedzieć coś bliżej na ten temat?

Wywarło to dosyć niemile wrażenie.

- I-ile pan oczekuje? Póki nie wiem, jak będzie się pan spisywał, m-mogę zaofiarować u-umiarkowaną s-sumę.

— To znaczy?

— Piętnaście tygodniowo.

— Musiał się pan pomylić. Piętnaście? Tyle mogę dostać z opieki społecznej nawet palcem nie ruszając.

— Byłem oburzony.

- Więc osiemnaście — dorzucił szybko.

— Spróbuj pan zapłacić hydraulikowi, kiedy przyjdzie naprawić umywalkę, mniej niż pół dolara za godzinę. Kpi pan ze mnie, czy co? Chyba nie jest pan poważny.

- Niech pan p-pomyśli o wykształceniu, jakie pan z-zdobędzie. Poza tym to nie jest p-po prostu praca, tylko służenie sprawie. — Był bardzo zirytowany. — N-no dobrze, d-dwadzieścia dolarów i mieszkanie na górze za darmo.

Żeby mnie miał pod ręką i mógł mi klepać do ucha, kiedy zapagnie, o każdej porze dnia i nocy? Za żadne skarby.

- Nie — powiedziałem. — Trzydzieści tygodniowo za trzydzieści godzin.
- Strasznie cierpiał, kiedy musiał płacić. Widziałem, jak j się związał na samą myśl o tym.
- Dobra — rzekł wreszcie — kiedy się pan sprawdzi. Dwadzieścia pięć na początek.
- Nie, trzydzieści.

— Czemu mnie pan naraża na te straszne targi? — wykrzyknął. — To doprawdy s-straszne. Do licha! Kładzie pan tym całą s-sprawę. — Oczy miał pełne prawdziwej nienawiści. Ale jednak mnie zatrudnił.

Z dnia na dzień zmieniał plan. Najpierw chciał robić część historyczną i kazał mi czytać Maxa Webera, i Tawneya i Marksa. Następnie musiałem cisnąć to wszystko i zbierać materiał do pamfletu o filantropii. Nie cierpiał milionerów-filantropów i pragnął ugodzić we wszystkich purytańskich bogaczy, którzy wyglądali tak żałośnie i czuli się tacy nieszczęśliwi. Wymienił wśród nich kilku swoich kuzynów, więc zorientowałem się, że to są wszystko porachunki rodzinne. Nawet największa cyniczna wesz z Wall Street z ssawkami pełnymi krwi uczyniła jako istny diabeł więcej dobra niż ci zatroskani jak wszyscy bogacze, mówił. Po prostu zatroskani. I pieklił się na nich godzinami.

Przywykłem do entuzjastycznych projektów, które nigdy nie opuszczały hangaru wynalazcy. Jak zindeksowany Szekspir Einhorna w dawnych czasach. I dobrze wiedziałem, że Robey chciał ode mnie ściśle tego samego, co kiedyś Einhorn, a mianowicie bym był jego słuchaczem. Stale do mnie dzwonił, wysyłał samochód, polował na mnie w bibliotece albo czekał przed salą wykładową.

Przez pierwsze kilka miesięcy zasypywał mnie lekturami. Nie zdołałbym przebrnąć przez tych wszystkich Greków i Ojców Kościoła, a także dzieje Rzymu i Cesarstwa Wschodniego i czego tam jeszcze—przez lata. Nie wiem nawet, czy istnieje ktoś taki, kto by chciał się przeorywać przez tak wielki materiał. Bardzo mi jednak odpowiadało przesiadywanie w bibliotece wśród stosów książek.

Dwa razy tygodniowo mieliśmy oficjalne konferencje. Przychodziłem na nie ze swoimi notatkami, z przygotowanymi cytatami i parafrazami. Wszystko wydawało się 586 w porządku, kiedy podchodził do sprawy rzeczowo, miał jednak dziwne nastroje, gdy czuł się nieszczęśliwy, głos mu się wówczas łamał, włosy sterczały, a twarz nabiegała krwią, mówił ze łzami lub z gniewem i był zbyt zirytowany, skłopotany, żeby rozmawiać ze mną o Arystotelesie, teoriach szczęścia i tak dalej. Czasem potrafił mnie prawdziwie zaskoczyć, wprawić w zdumienie. Jak na przykład raz, kiedy szukałem go po całej rezydencji i w końcu znalazłem stojącego w szlafroku na kuchennym krześle i flitującego z zapalem kredens, a setki karaluchów pierchały w popłochu i skapywały ze ścian. Cóż to była za scena! Wzniecał istne piekło pompując zajadle, z pasją, dysząc przy tym jak sama flitownica, a karaluchy sypały się na ziemię jak groch albo pędziły na wszystkie strony jak szalone, niczym osadnicy w pamiętnym wyścigu po ziemię w Oklahomie.

Kiedy go na tym przyłapałem, Robey spróbował opanować podniecenie i zachowywać się tak, jakby wcale nie nienawidził karaluchów i nie zabijał ich z dreszczem emocji. Musiał uważać to za coś wstydliwego. Ponadto wiedziałem, że wtargnąłem w nieodpowiednim momencie i że będzie mi to miał za złe. Nic na to nie poradzi.

Podskoczył, jakbym go dźgnął w krzyże, i zszedł z krzesła.

— T-tego już za wiele. O-opanowały cały d-dom. Włożyłem kromkę chleba do opiekacza i r-razem z grzanką wyskoczył p-przypieczony karaluch, w-więc już nie mogłem tego znieść.

Cała jego wściekłość, jak węgielek, który wypalił dziurkę w słomie, nagle zgasła i Robey poprowadził mnie do salonu, gdzie w słońcu widać było porozrywaną tapicerkę, dziury we wspaniałej zieleni aksamitu i kurz. Stał ze szlafroka oleistą morderczą miksturę i zapytał:

— Opracowałeś dla mnie te materiały z okresu włoskiego renesansu o książętach i humanistach? Jak cierpieli bez Boga! — rzekł odwracając głowę. — A-ale oni sami byli b-boscy. Jakie t-to odważne! I jakie s-straszne zarazem. To się jednak musiało s-stać, że człowiek się odważy.

Jesienią przestał panować nad sobą. Nadal wydawał mi

polecenia i brałem swoje trzydzieści dolarów z czystym sumieniem, sam zaś nie robił nic.

Często się zastanawiałem, z jakimi kobietami się zadawał, gdy nie był żonaty, czy z eleganckimi kurwami, czy damami z towarzystwa, puszczałskimi dziewczynami z okolic rzeźni czy miłutkimi studentkami. Lecz mnie zaskoczył. Leciał na zwyczajne striptizerki z Dzielnicy Północnej, z Clark Street, Broadwayu, Rush i temu podobnych rejonów. Traktowały go bardzo szorstko. A on przyjmował to jak słuszną karę i nawet się uśmiechał. Próbował mnie namówić na te dziewczęta, ale właśnie nawiązałem ponownie romans z Sophie Geratis. Głównie zależało mu chyba na tym, żebym mu towarzyszył. Chodziłem z nim kilka razy do lokali w Dzielnicy Północnej. Jedna ze striptizerek wyraziła się obraźliwie

O jego brodzie — przełknął to gładko. Tylko zaczerwienione oczy, których od niej nie odrywał — była już ubrana, w szarym, szytym na miarę kostiumie — miała zgorszony wyraz, powiedział jednak z pedanterią:

— W dawnych, elżbietańskich czasach balwierze mieli u siebie lutnie i gitary, aby oczekujący panowie mogli sobie grać i śpiewać. A wszystko dlatego, że fryzowanie bród i loczków na skroni trwało tak długo.

Tego samego wieczora, gdy wypowiedział tę uwagę, wpadł w szał i wyrwał w taksówce licznik. Miałem wysiąść przy Pięćdziesiątej Piątej, ale bałem się, że kierowca go pobije, więc najpierw odwiozłem go do domu.

Mimo to znęcał się nade mną. Był bardzo wrażliwy

I chciał, żebym miał o nim dobre zdanie. Miewał jednakże zmienne nastroje i raz bywał pokornutki, a za chwilę wpadał w popłoch, że płaci mi za nic, wrzeszczał i markotniał, zaciskał wielkie czerwone usta ze zgrzyoty czy gniewu. Pamiętam zwłaszcza jeden dzień. Dokoła leżał śnieg, świeciło słońce i wszystko wyglądało świeżo, pięknie, lecz on był w paskudnym nastroju i postukiwał knykiami jednej ręki o knykcie drugiej w rękawiczkach ze świńskiej skóry. Wciąż mi dokuczał i dokuczał, więc powiedziałem:

— Ja wcale nie jestem ci potrzebny do pracy. Tobie po prostu jest potrzebny ktoś, na kim mógłbyś wyładowywać tę swoją parszywą nerwowość. — Owinąłem się swoim 588 starym płaszczem z wielbłądziej sierści, która miejscami łysiała, i ruszyłem przez podwórko. Zaczął mnie gonić chcąc wszystko odwołać. Szedłem depcząc kaloszami śnieżny puch, a on wybiegł za mną w swoich pięknych brązowych pantoflach zbliżonych do kapci, mówiąc:

— Przestańmy się kłócić, Augie. Na miłość boską. Przepraszam cię. — Lecz ja poszedłem dalej, wściekły. I tego wieczoru zadzwonił do mnie z prośbą, żebym przyjechał do niego do śródmieścia. Już po głosie poznałem, że coś jest nie w porządku. Powiedział, że będzie w Pump Room, wówczas jednym z najszykowniejszych lokali w mieście. Kiedy tam przyjechałem i zapytałem

O niego, wytaszczyło go dwóch lokai w pumpach. Był pijany jak kłoda.

Z czasem zaczął mi ufać. Jak niegdyś Einhorn, przekonał się, że nie będę go wykorzystywał i można na mnie polegać. A mimo wszystkich swoich dziwactw, mimo zagubienia, różnych wybryków i kaprysów rodem z gu- jańskiej dżungli, w jakich znajduje czasem przejaw siła życia, miał w sobie coś, co mnie pociągało. Ta siła, z którą niewątpliwie brał się za łby. Kiedy był samotny, dzielił tę rezydencję ze swoją siostrą Karoliną ... cóż, nie wychodziło mu to na dobre. Karolina miała bzika. A gdy się dowiedziała, że byłem w Meksyku, poczuła do mnie sympatię, ponieważ uważała się za Hiszpankę. Pisała mi kartki w rodzaju: „Eres muy GuapoA co jakiś czas przysyłała telegramy, na przykład: Amigo, que te vaya eon toda suerte, Carolina." Strasznie była zwariowana, biedaczka.

Koniec końców opiekowałem się przecież moim bratem, George'em. Tę zdolność czy cechę wciąż posiadałem

I niektórzy ją dostrzegali.

Czasem pragnąłem sam zostać szewcem.

## Rozdział XXII

Ze swego dawnego pokoju u Owensów, który w końcu odzyskałem, śledziłem zachodzące w owych czasach zmiany: przemysłowe, militarne, naukowe. Sam doświadczyłem gwałtownych przemian, wielkich zawodów, poważnych strat, złych marzeń, czarodziejskich zwidów, jak widok zwierząt mający oczy Ojcom pustyni w skwarze popołudni, jednak z radością stwierdzam, że wyszedłem ze wszystkiego obronną ręką. Policja, niezależnie od tego, co powiedzieliby moralisci, nie mogła się na mnie uskarżać. Gorsze wykroczenia ograniczały się do mojej wyobraźni, gdzie ich miejsce, a jednocześnie, jak w przypadku wielkiego i prężnego przedsięwzięcia, kiedy się mierzy siły na zamiary, dumałem w głębi ducha nad biegiem mego życia. Wyprowadziłem szereg wniosków, które czasami bywały cząstkowe — jak na przykład: „Uzasadnieniem rozstania może być jedynie ponowne połączenie”, albo: „Och, to bardzo męczące mieć o wszystkim wyrobione zdanie” — lecz kiedy indziej całkowite, co w odpowiednim czasie zostanie wykazane. Włóczyłem się po Chicago, jak zawsze z natury towarzyski Wciąż jednak odczuwałem wibracje od szarpaniny, którą przeszedłem w Meksyku. Tea nie pisała — znikła na dobre nad błękitnymi brzegami odwiecznych mórz, zapewne na szlaku flamingów, z jakimś nowym kochankiem, który ją rozumiał nie lepiej ode mnie, obozując na występie skalnym z całym arsenałem strzelb i siideł, aparatów fotograficznych i lornetek. Tak będzie już zawsze—do samej śmierci.

590

Ja też nie młodniałem i przyjaciele prawili mi komplementy o moim wyglądzie, który nie był wcale zażywny. Odzwajemniałem się uśmiechem z paroma lukami w dolnej szczęce, trochę rozmazany, ogłuszony czułym pocałunkiem ze skalną ścianą przeżyć. Włosy mi bujnie odrosły zakrywając blizny górskiego łowcy. Oczywiście miałem w oczach odcień zieleni tak jak mój kuzyn, Pięć Nieruchomości, chodziłem z cygarem w zębach i ani trochę nie wywoływałem wrażenia, że traktuję jakiegokolwiek zadania poważnie, roztargniony, wymijający, czasem radosny, lecz ach, już nie tak figlarny jak dawniej. W zadumie często schylałem się na ulicy po różne przedmioty przypominające monety — krążki metalu, kapsle od butelek i skrawki cynfolii — najwyraźniej licząc na uśmiech losu. Pragnąłem też, aby ktoś umarł i pozostawił mi majątek. Było to nieładne, bo mogłem skorzystać na odejściu tylko tych ludzi, których kochałem, i pragnąłem, aby żyli jak najdłużej. A co dobrego mogłoby mi przynieść znalezienie jakiegoś pieniążka, choćby to nawet była ćwierćdolarówka, u szczytu i w ostatecznie ukształtowanej formie mego życia? Nic, przyjaciele, nic, a nic.

Zabawne było również, że ubiegałem się o świadectwo uprawniające do nauczania w szkole podstawowej, bo przecież nie wyglądałem na kogoś takiego. Jednakże trwałem uparcie w tym zamiarze. Bardzo lubiłem uczyć dzieci. Robiłem to z prawdziwym przejęciem. Wobec dzieci mogłem bez problemu być sobą — czemuż na Boga, nie wychodziło mi to wobec dorosłych? Lecz nie zadawajmy pytań, na które odpowiedzi należą do najściślej strzeżonych sekretów świata. W klasie albo wśród wrzasków na boisku, wdychając woń siusiek w hallu, słysząc dochodzące z pokoju muzycznego brzdąkania na fortepianie, wśród map, popiersi, w promieniach słońca, w których wiruje pył kredy, byłem szczęśliwy. Czułem się u siebie. Starąłem się dać z siebie wszystko, nauczyć te dzieci, co tylko umiałem.

W tej samej szkole uczył łaciny i algebry mój dawny sąsiad, Kayo Obermark. Kudłaty, niechlujny i opasły wylegiwał się w gatkach na łóżku w pokoju sąsiadującym z moim u Owensów. Porośnięty na udach kręconym włosem leżał tak z cuchnącymi stopami wpatrzony z peł-

591

nym determinacji zamyśleniem w ścianę i gasił pety w stojącej nad głową starej zatłuszczonej patelni, na której zwykle smażył salami. Przy łóżku stała butelka od mleka w roli nocnika, bo bardzo nie lubił chodzić do łazienki.

Kiedy szedł przez dziedziniec szkolny, posepny jak imperator, z ogromną, bladą, nadętą i nierówno ogoloną twarzą, dzieci obskakiwały go niczym szarańcza. Miał przy sobie pełno pogniecionych papierowych chusteczek do nosa, pachniał katarem i mówił przez nos, Lecz nic był naprawdę posepny, tylko dodawał sobie w ten sposób godności, i bardzo się cieszyłem, że tu uczył.

Widziałem, że przyjechałeś swoim samochodem - powiedział.

Bo dziś rano dla odmiany zapalił. — Rzeczywiście miałem dziesięcioletniego Buicka, na który jeden przyjemniaczek nabrał mnie jak lichy. Samochód nie chciał palić w chłodne ranki i narażał mnie na ciężkie próby. Za radą Padilli wstawiłem mu dwa akumulatory, ale miał zasadniczy defekt, to jest zgięte popychacze. Jednakże zapalał z popychu, a ponieważ miał długą maskę i dodatkowe siedzenie w tyle, wyglądał na potężną maszynę.

Jesteś żonaty? — spytał Kayo.

- Przyznam z przykrością, że nie.

Ja mam syna obwieścił z dumą.- Radzę ci się na to załapać. Nie masz nikogo? Kobiętę łatwo zdobyć. Mieć synów to twój obowiązek. Był jeden stary filozof, którego uczeń przyłapał za portykiem z kobietą, a on na to: „Nie drwij! Sadzę człowieka.” Ale słyszałem o tobie różne rzeczy, że pojechałeś z cyrkiem czy też wesołym miasteczkiem do Meksyku i że cię tam o mało nie zamordowano.

Był w niezłym humorze, oprowadził mnie kilka razy wokół dziedzińca szkolnego, ogromnie miły na swój wyniosły sposób, cytując różne poematy napiętym tenorem:

Niech ustana waśnie jako wśród bogów, tak i pośród ludzi.

I gniew niech szcześnie, co nawet roztropnego okrutnym czyni,

A w sercu ludzkim gęstnieje niczym dym I słodszy bywa w smaku niżli krople miodu. 592

Les vrais voyageurs sont ceux qui parlent Pour partir, coeurs fiers, semblables aux baliom, De leur fatalite jamais ils ne s'ecartent, Et, sans savoir pourquoi, disent toujours: Allons!

To ostatnie było zapewne wymierzone we mnie: oskarżało o zbytnią lekkomyślność i ignorancję w moich rozstaniach. Wyglądało na to, że wszędzie mam krytyków. Jednakże jak na chłodny dzień słońce bardzo jasno przyświecało, pociągi przemykały w czerni po nasypie obmurowanym żółtym betonem, dzieciaki darły się i hały po całym ogromnym dziedzińcu wokół masztu, wpadały i wypadały przez wejścia, i czułem się wzruszony.

- Powinieneś się ożenić — rzekł Kayo.

- Chciałbym. Często o tym myślę. Prawdę mówiąc, śniło mi się dzisiaj, że jestem żonaty, lecz nie był to przyjemny sen. Bardzo mnie zaniepokoił. Zaczęło się dobrze. Wróciłem z pracy i na oknie siedziały przepiękne ptaszki, a w powietrzu rozchodziła się woń pieczonego na ruszcie mięsa. Miałem bardzo przystojną żonę, ale jej piękne oczy były pełne łez i jakby dwukrotnie powiększone. „Co się stało, Lu?” „Dziś po południu niespodziewanie urodziły się dzieci i tak mi wstyd, że aż je schowałam.” „Ale dlaczego? Co to za wstyd?” „Jedno z nich jest cielęciami, a drugie żukiem.” „Nie wierzę, gdzie one są?” „Nie chciałam, żeby sąsiedzi zobaczyli, więc włożyłem je za pianino.” Czułem się okropnie. To przecież były mimo wszystko nasze dzieci i nie mogły siedzieć za pianinem, poszedłem więc ich szukać. Tymczasem za pianinem zobaczyłem, o dziwo, siedzącą na krześle własną matkę, która, jak ci wiadomo, jest ślepa. Powiedziałem: „Mamo, po co tu siedzisz? Gdzie są dzieci?” A ona popatrzyła na mnie jakby z żalem i odparła: „Och, mój synu, co ty wyprawiasz? Musisz postępować uczciwie.” Wtedy zacząłem płakać. Czułem się bardzo nieszczęśliwy i powiedziałem: „Czyż nie tak właśnie pragnę postępować?”

- Biedaku — rzekł Kayo ze współczuciem. — Nie jesteś wcale gorszy od innych, nic wiesz o tym?

- Doprawdy powinienem uprościć swoje życie. Ile zmartwień człowiek musi przeżyć? Czy mam jakąś wy-

znaczoną ich porcję? To chyba niemożliwe, bo o ile wiem, wszelkie dobro, jakie uczynili ludzie, czynili, gdy byli szczęśliwi. Prawdę mówiąc, Kayo, skoro już należysz do tych, którzy potrafią to zrozumieć, moja duma zawsze na tym cierpiała, że nie potrafiłem się postawić i ciągle dawałem sobą manipulować. Człowiek sam kształtuje swoją rzeczywistość, a najgorzej, kiedy jest bezradny. Och, wcale nie tak jak pływak na morzu albo dziecko w trawie, niewinna istota w ręku Stwórcy, ale nie można być takim niewiniątkiem w odniesieniu do zjawisk będących tworem człowieka — powiedziałem. — W świecie natury można być ufnym, lecz w świecie wytworów ludzkiej ręki należy się mieć na baczności. Tam trzeba wiedzieć, a nie można mieć aż tylu rzeczy w świadomości i czuć się szczęśliwym. „Spójrzcie na moje dzieła, o potężni, i rozpaczajcie!” Ale dajmy spokój Ozyman- diasowi, po którym pozostały teraz tylko nogi bez tułowia. Za owych dni ludzie prości musieli żyć w jego cieniu i tak samo my żyjemy w cieniu, z aktami wiary w funkcjonowanie wynalazków, przebywając w strato- sferze, w kolei podziemnej, przemierzając mosty i tunele, wznosząc się i opadając w windach, wynalazków, którym powierzamy swoje bezpieczeństwo. Żyjemy w cieniu rzeczy wykonanych przez człowieka. A owa wiara dotyczy również mięsa na stole, gorącej wody w rurach, dźwięków w gazecie, dźwięków w powietrzu, aż wszystkie sprawy stają się podobne, tej samej wagi, tej samej rangi, kocioł Bożego gniewu na pierwszej stronie, wyprzedaż u Wiebol- dta na drugiej. Wszystko powierzchowne i takie samo. Cóż więc sprawia, że twoje istnienie jest niezbędne, jak być powinno? Te osiągnięcia techniczne, które usiłują sprawić, abyś istniał na ich sposób?

Niezbyt tym zaskoczony Kayo odparł:

— To, o czym mówisz, to moha... słowo w języku Navajo, a także w sanskrycie, oznaczające opór tego, co skończone. To wielkie hura sił warunkujących. Jedyną odpowiedzią na moha jest miłość, jako nieskończona. Mam na myśli wszystkie formy miłości, jak eros, agape, libido, philia i ekstaza. One są zawsze takie same, ale czasem dominuje jedna cecha, czasem inna. Słuchaj, cieszę się, że mieliśmy okazję się spotkać. Wygląda na to, 594

że bardzo spoważniałeś. Chodź, poznasz moją żonę. Mieszkamy z teściową, która jest dosyć tępawą staruszką i o wszystko robi wrzawę, możemy ją jednak zignorować. Nawiasem mówiąc, bardzo nam pomaga przy dzieciaku. Za to zawsze mi wypomina, jak to mój szwagier daje sobie świetnie radę w życiu. On reperuje radia i jest zwyczajnym bałwanem. Przyjdź na'obiad, to porozmawiamy. Chcę ci też pokazać mojego dzieciaka.

Poszedłem więc — bardzo to było uprzejme, że mnie zaprosił. Lecz jego żona zachowywała się nieprzyjaźnie, podejrzliwie. Dziecko miłe, oczywiście na swój wiek, jeszcze małe. Podczas tej wizyty przyszedł szwagier. Zainteresował się moim Buickiem, który szczęśliwie dobrze palił tego wieczoru. Szwagier zadawał mi różne pytania, bo frapowało go dodatkowe siedzenie z tyłu samochodu, a potem przejechał się i zapytał, czy mu go nie sprzedam. Postawiłem umiarkowaną cenę, z pewną stratą, lecz przyznam ze wstydem, nie wspomniałem

O zgiętych popychaczach.

Natychmiast zapragnął go kupić, więc pojechaliśmy do jego domu, gdzie wystawił mi czek na sto osiemdziesiąt dolarów. Nie chciał mnie jednak wypuścić. Powiedział żartobliwie, że chciałby zagrać ze mną w pokera i odegrać trochę tych pieniędzy. Jego żona też wyraziła na to ochotę. Oczywiście chcieli mnie najordynarniej obedrzeć z pieniędzy. Dla zachowania pozorów Kayo także miał zasiąść do gry. Była to próba najprawdziwszego szwindlu. Siedzieliśmy koło pieca przy okrągłym stole, na którym stał dzbanek kawy i puszka skondensowanego mleka,

I graliśmy długo w noc. W tej samej przestronnej kuchni stał warsztat z zepsutymi radioodbiornikami. Gospodarz wściekał się na żonę, ponieważ przegrywała. Gdyby wygrała, wygaliby podwójnie, ale ponieważ przegrywała, klął ją, a ona wrzeszczała na niego. Kayo też przegrywał. Ja jeden wygrywałem, choć wołałbym, żeby tak nie było. W drodze do domu oddałem Kayo pieniądze, które do mnie stracił. Jednakże w dwa dni później szwagier wstrzymał wypłatę czeku i musiałem pójść po samochód, ponieważ nie chciał palić. Nie obyło się bez awantury. Kayo bardzo się zirytował i przez jakiś czas nie rozmawiał ze mną w szkole, chociaż później dał się

595

udobruchać. Chyba rzeczywiście nie powinienem był sprzedawać samochodu nie napomknąwszy o zgiętych popychaczach.

Sophie Geratis, moja przyjaciółka z okresu organizowania pracowników hotelowych w związek, była już zamężna, chciała się jednak rozwieść i wyjść za mnie. Powiedziała, że mąż zadaje się z mężczyznami i wcale nie zwraca na nią uwagi. Kupił jej samochód i dawał pieniądze, ale potrzebował jej tylko jako szyldu. Zajmował się sprzedażą jakiegoś produktu do szklarni i miał na ten produkt monopol, więc wiódł łatwy żywot i codziennie jeździł w hamburgu i rękawiczkach limuzyną z szoferem po dzielnicach miasta, gdzie były ciepłarnie. Sophie zatem spędzała mnóstwo czasu ze mną, urządzając mi pokój u Owensów, dotychczas jeszcze nie urządzony. Zdziwiła się, że spiam na poduszce bez poszewki, i przyniosła mi ich kilka.

— Jesteś skąpiradło — powiedziała. — Wcale nie niechlujny, bo lubisz przyzwoite rzeczy. — Miała rację. Była bardzo inteligentna, mimo że pracowała jako pokojówka hotelowa. W niektórych przypadkach zdradzałem rzeczywiście skąpstwo. Gdy szedłem do przyzwoitego baru albo klubu, trzymałem się za kieszeń i martwiłem, ile wyniesie rachunek. Ona naturalnie to widziała. — Ale wiem także, że rozdajesz forszę, jeśli ktoś dotknie twojej czulej struny. To też nie jest wcale takie dobre. A ten twój samochód to przecież czysta głupota. Trzeba być tępą' kiem, żeby coś takiego kupić.

Sophie była bardzo ładna, o wielkich wilgotnych oczach, brązowych i powolnych. Poza tym, jak powiedziałem, odznaczała się inteligencją, choć miała skłonność do okazywania jej w szyderstwie. Nie chciała korzystać z pieniędzy, które dawał jej mąż. W kupionym u Goldblatta kapeluszu z polskimi kwiatkami prała swoją bieliznę u mnie. Robiła to stojąc w halce, z papierosem w ustach. Rzecz paradoksalna, była bardzo czuła, bardzo dla mnie dobra, i to nie dlatego że mnie potrzebowała, ale przeciwnie, ponieważ ja jej potrzebowałem. Ja jednak nie miałem ochoty na małżeństwo.

— Byłoby nam razem nieźle, gdybym bardziej odpowiadała twoim ambicjom — powiedziała. — Jestem dla ciebie

596

dobra do łóżka, ale nie na żonę. Kiedy po ciebie przysłała tamta dziewczyna, rzuciłeś mnie w jednej sekundzie. Pewnie byś się mnie wstydził. Najwięcej mnie potrzebujesz, kiedy się czujesz słaby albo przygnębiony. Znam cię. Dla ciebie nic nie jest wystarczająco dobre. Twój stary musiał być jakimś arystokratycznym bękartem.

[H Wątpię. Brat mówi, że był kierowcą ciężarówki pralni na Marshfield. Nigdy nie uważałem go za grubą rybę. Poza tym poznał moją mamę w warsztacie na poddaszu przy Wells Street.

— Ty mnie tak naprawdę nie pragniesz, prawda?

Otóż szło jej o to, czemu nie chcę wejść na ścieżkę życia zamiast spoglądać przez pole. A przecież niczego więcej nie pragnąłem. Niech się to stanie! Niech nastąpi dopełnienie i niech miarka się przebierze zaraz z następnym ruchem wahadła! Niech potrzeba wielkich mistycznych spraw życia, która, jeśli nie zaspokojona, stanowi źródło tajemnych niedoli, zostanie wreszcie nasycona i znajdzie szansę ukazania, że nie jest samym diabłem. Czy Sophie myślała, że ja nie chcę mieć żony, synów i córek albo nie chcę zająć się codzienną odpowiednią pracą? Zerwałem się więc na nogi i od razu oświadczyłem, jak gruntownie się co do mnie myli.

— Więc na co czekamy? — rzekła uradowana. — Zaczniemy nowe życie! Będę dla ciebie dobrą żoną, sam o tym wiesz. Ja też muszę zacząć.

Wtedy zaczerwieniłem się, zakłopotalem i język ani mi drgnął.

— A widzisz? — powiedziała z pełną smutku otwartością i szerokimi, przycienionymi szminką ustami w świetle żarówki obejmującym jej nagie jasne ramiona. — Nie jestem dla ciebie dość dobra. A kto jest?

Jeszcze mi nie spieszo do małżeństwa, odparłem. Ale Sophie chciała powiedzieć to samo, co miał na myśli mój kumpel, Kozak, wtedy gdy uraził moją diunę. Od razu bowiem bezbłędnie wyczułem, o co mu chodzi — że los innych ludzi za mało mnie boli. Któż to mógł wiedzieć, jeśli nie on, który się błąkał to tu, to tam, i po cóż się tak pałętał, z Moskwy do Turkiestanu, Arabii, Paryża, Singapuru? Nikt nie wyzbywa się tego cierpienia na podobieństwo pielgrzyma zwiedzającego świątynie i do-

597



Id, palącego papierosy nad stosami murszejących kości i po wielekroć przetrwioną glebą, gdy w domu pozostali bliscy, którzy dostają w kark.

Na twarzy Sophie, dojrzałszej teraz od tej ładniutkiej twarzyczki, jaką zobaczyłem pierwszy raz w biurze związkowym, pojawiła się uraza. Lecz jej właścicielka nie opuściła mnie tym razem jak wtedy, gdy Tea zapukała do moich drzwi. Zakryła wówczas nagle uda. Teraz chyba już wiedziała, ile rozczarowań tkwi w smaku istnienia. Nie pragnąłem się z nią ożenić. Myślałem, że za bardzo by mnie lajała dla mego własnego dobra. A więc przeszedłem obok jeszcze jednej istoty, która ode mnie czegoś pragnęła.

— Czekasz na tamtą dziewczynę—rzekła z niesłuszną zazdrością.

— Nie — odparłem — już nigdy jej nie zobaczę.

Niemniej zdażałem ku czemuś, bo nie możecie mnie osądzać jedynie po pozorach. Dochodziłem do pewnych szczególnie ważnych wniosków. Leżałem właśnie któregoś popołudnia w łóżku dokonując wspaniałego podsumowania, wciąż w szlafroku, pod natchnieniem bowiem chwili zrezygnowałem ze wszystkich moich zajęć w tym dniu, kiedy odwiedził mnie zaabsorbowany własną ideą Ciem Tambow.

Otóż nie wierzę, by Ciem miał wiele wad skazujących go na potępienie, ale te jego wady szczególnie rzuciły mi się w oczy przy tej okazji—jego późne wstawanie, nalana twarz, jego dwurzędowe niechlujstwo, które starszy pan La Bruyere uważa za tak plugawe, cuchnące tytoniem, z przyczepionymi paprochami oraz kocimi włosami, niechlujstwo poparte artykułami nabytymi w sklepach tandeciarskich, jak liche wody po goleniu, skarpetki ze sztucznego jedwabiu i tak dalej, niezależnie od dumnego i samo obwiniającego wyrazu oczu. Jakkolwiek to było, on też przeleżał ten ponury, brunatny chicagowski dzień w łóżku snując plany.

Postanowił zacząć życie profesjonalisty. Gdy tylko otrzyma dyplom psychologa, zaraz otworzy gabinet w jednym ze starszych wieżowców przy Dearborn, me opodal Jackson, i zajmie się poradnictwem zawodowym.

598

— Ty?—zdziwiłem się.—Przecież nigdy w życiu nie przepracowałeś ani jednego dnia!

— I dlatego idealnie się do tego nadaję — odparł, przygotowany na ten zarzut. — Jestem na luzie. Bez lipy, Augie. Pamiętasz Benny<sup>1</sup>ego Fry z sali bilardowej? Robi straszną forszę. Zajmuje się poradnictwem małżeńskim.

rr- Przypominam sobie, chodził w butach na podwyższonych obcasach. Czy on nie stawał w ubiegłym miesiącu przed sądem za oszustwo?

— Tak, my jednak możemy robić to samo legalnie.

— Nie chcę cię oblewać zimną wodą — zauważyłem pamiętając wciąż własne doświadczenia — ale jak zdobędziesz klientelę?

— Och, z tym nie ma problemów. Sądziysz, że ludzie wiedzą, czego chcą? Błagają, żebyś im to odpowiedział. Będziemy ekspertami, a oni będą do nas walili drzwiami i oknami.

— O nie, Ciem, nie do „nas”.

— Augie, chcę, żebyś przystąpił ze mną do spółki. Nie lubię nic robić w pojedynkę. Ja będę przeprowadzał testy zdolnościowe, a ty wywiady. Przy tej nowej nie nakierowującej technice Rogersa musisz i tak pozwolić mówić im samym. Prosta sprawa. Słuchaj, nie możesz się wciąż przerzucać z jednej wariackiej roboty do drugiej.

— Wiem, ale coś mi się dziś przydarzyło.

— Znowu się upierasz—rzekł. — Możemy zbić kupę forsy.

— Nie, Ciem. Co mógłbym zrobić dla tych mężczyzn i kobiet? Byłoby mi wstyd brać od nich pieniądze w tego rodzaju biurze pośrednictwa.

— Bzdura! — Nie będziesz ich posyłał do pracy, tylko mówił, do czego się nadają. To nowoczesna działalność. A nowoczesna działalność to zupełnie inna sprawa.

— Nie kłóć się! — rzuciłem ostro. — Nie widzisz, że coś mi się dzisiaj przydarzyło? — Zobaczył wówczas, że jestem naprawdę poruszony. Wygłosiłem wtedy dłuższą deklarację, która, o ile pamiętam, brzmiała mniej więcej tak:

— Czuję — powiedziałem — że są pewne linie osiowe życia, zgodnie z którymi należy postępować, bo inaczej

599

staje się ono jedynie błazenadą kryjącą tragedię. Pewnie wyczuwałem te linie osiowe już w dzieciństwie, co stwarzało we mnie pragnienie budowania na nich mojego jestestwa i kazało jak uparciuchowi odpowiadać „nie” na wszelkie sugestie, bo z uporem trzymałem się wspomnienia tych linii, nigdy zupełnie wyraźnego. Ale ostatnio znów wyczułem te ekscytujące linie. Kiedy ustają zmagania, wówczas, jako nagroda, zjawiają się one. Właśnie leżałem sobie w łóżku, gdy nagle przeszły mnie na wskroś. Prawda, miłość, pokój, szczodrość, pożytek, harmonia! I wszelki hałas i zgrzyty, wypaczenia, jazgoty, wysiłki, nadmiar, odpłynęły jako coś nierealnego. I wierzę, że każdy człowiek zawsze może wrócić do tych linii osiowych, każdy, choćby był najniebezpieczniejszym draniem, jeżeli tylko zachowa spokój i cierpliwość. Zawsze miałem ambicję dokonania czegoś specjalnego, niezwykłego, ale to tylko chęć, która odrywa świadomość od jej źródła najstarszej wiedzy, starszej niż Eufrat, starszej od Gangesu. Każdej chwili życie może się zlepiać na nowo i zregenerować człowieka, który nie musi być do tego bogiem ani publicznym sługą jak Ozyrys, co roku rozszarpywany na kawałki dla dobra powszechnego. Mimo swojego spętania i ograniczoności może on, człowiek, wrócić tam, gdzie są te linie. Zostanie wywieziony na światłość. Będzie żył prawdziwie radośnie. Nawet jego cierpienia staną się radosne, jeżeli są prawdziwe, nawet bezradność nie odbierze mu siły, nawet tułaczka nie odwiedzie go od niego samego, dowcipy i drwiny nie ośmieszą go, a rozczarowanie za rozczarowaniem nie odbierze mu miłości. Uścisk innych prawdziwych ludzi odpędzi lęk przed szybką zmianą i krótkim życiem. I to wcale nie jest żaden wymysł, Ciem, bo tej próbie poddałem całe moje życie.

— Ale z ciebie uparty facet — rzekł Ciem.

— Pomyślałem, że gdybym więcej wiedział, wszystko stałoby się prostsze, może więc powinienem skończyć studia. Lecz pracując u Robeya stwierdziłem, że nie mogę wykorzystać na Wet dziesięciu procent tego, co wiem — Dam ci przykład. Jako mały chłopiec czytałem o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu, ale co z tego za pożytek? Wzruszyły mnie te akty poświęcenia i chwalebne

600

czyny, ale co z tego? Albo weźmy Ewangelie. Jak można je wykorzystać w życiu? Przecież są nie do spożytkowania! A człowiek idzie dalej i wzbogaca się o nowe rady i nowe wiadomości. Wszystko, co zwiększa zasób wiedzy, której nie sposób wykorzystać, jest wręcz niebezpieczne. W każdym razie za wiele jest t e g o, co sobie przyswoilem, za wiele historii i kultury do śledzenia, za wiele szczegółów, za wiele nowin, za wiele przykładów, za wiele wpływów, za wielu ludzi, którzy ci mówią, abyś był jak oni, i całej tej obfitości, ogromu, zamętu, rwącego nurtu Niagar. I któżby miał to wszystko interpretować? Ja? Nie mam głowy, żeby nad tym zapanować. Daję się więc ponieść. Jeżeli mam tylko gromadzić i stać się encyklopedią, to gdzie miejsce na moje uczucia? Weźmy samą kwestię czasu przygotowania się do życia... Chłopie! Można spędzić w ten sposób czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat ciągle w obrębie murów własnego istnienia. I wszelkie wielkie przeżycia zachodziłyby wewnątrz tych murów. I wszelkie wzniosłe dysputy. I wszelkie osiągnięcia. I wszelkie blaski. A nawet nienawiści, potworności, zawiści, zbrodnie, wszystko w tych murach. Byłby to jeden straszliwy, potworny koszmar istnienia. Już lepiej kopać rowy i walić innych łopatą po łbach niż umrzeć w tych murach.

— Czekaj, co chcesz udowodnić?

— Nic a nic. Myślisz, że mam ambicję wyróżnić się i czegoś dowieść? Prawie każdy, kogo kiedykolwiek znałem, pragnął w jakiś sposób pokazać, jak to on trzyma cały świat w kupie. Tymczasem on po prostu sam się ledwie trzyma w kupie i rozdmuchuje ten swój ciężki trud, z jakim mu to przychodzi, na cały świat. Ale to wcale nie wymaga tak ciężkiego trudu. A raczej nie powinno wymagać. Tego się nie robi. Świat trzyma się sam. Więc ja nie chcę być niczym reprezentantem ani przykładem, ani przywódcą mego pokolenia, ani żadnym wzorem człowieczeństwa. Chcę tylko czegoś własnego i zastanawiam się. Dlatego mówię tak bezładnie i jestem taki podniecony. Chcę mieć na ziemi własne miejsce. Gdyby ono się znajdowało na jakiejś lodowatej górze na Grenlandii, pojechałbym na Grenlandię i nigdy już nie dał się uwikłać w czyjeś knowania.

— Powiedz mi więc, nim skonam z niecierpliwości, do czego zmierzasz?

— Zmierzam to tego, aby zdobyć kawałek ziemi i osiaść na niej. Najbardziej by mi odpowiadało tu, w Illinois, chociaż mogłoby to również być w Indianie albo w Wisconsin. Nie bój się, nie zamierzam zostać farmerem, choć nie zaszkodziłoby trochę pogospodarować, ale najbardziej chciałbym ożenić się, założyć dom i uczyć w szkole. Ożenię się i sprowadzę matkę z domu dla ociemniałych i mego brata, George'a, z południa— moja żona musiałaby oczywiście na to przystać. Myślę, że Simon dałby mi trochę forsy na początek. Och, wcale się nie luję, że stworzę jakieś Wyspy Szczęśliwe. Nie uważam się za żadnego Prospera. Nie mam na to kwalifikacji. Nie mam córki. Poza tym nigdy nie byłem królem. Nie, nie, nie szukam żadnej hyperborejskiej krainy Pindara, gdzie mógłbym wraz z bogami wieść łatwe, wyzbyte smutków życie, nigdy się nie starzejąc...

— Nigdy jeszcze nie usłyszałem od ciebie czegoś tak fantastycznego. To plan na miarę twojego umysłu. W pewien sposób jestem z ciebie dumny, choć zarazem przerażony tym, co ci się snuje po głowie, kiedy wyglądasz na spokojnego i wypoczętego. Skąd jednak weźmiesz dzieci do tej swojej szkoły?

— Myślę, że mógłbym uzyskać akredytację u władz stanowych lub powiatowych albo u kogo tam się ją uzyskuje, i zebrać dzieci z różnych zakładów. W ten sposób miałbym z głowy sprawę wyżywienia, utrzymania i zyskałbym uczniów.

— Plus własne dzieci?

— Oczywiście. Bardzo bym chciał mieć własne dzieci. Tęsknię za tym, by je mieć. A te dzieciaki z zakładów, którym jest ciężko...

— I które mogą wyrosnąć na nowych Johnów Dillingerów, Basilów Banghartów albo Tommych O'Connorów. Wiem, o co ci chodzi. Myślisz, że będziesz je kochał, a wtedy one przemienią się w małych Michałków Aniołków i Tolstoików, ty zaś stworzysz im życiową szansę i ocalisz je, będziesz im ojcem, ich świętym. Ale jeżeli sprawisz, że staną się takie dobre, jak poradzą sobie w świecie? Będą musiały spędzić całe życie w samotności.

602

— Nie! Mógłbym z nimi mieszkać. Byłbym bardzo szczęśliwy. Założyłbym warsztat stolarski. Może nawet nauczyłbym się reperować swój samochód. Mój brat, George, byłby nauczycielem szewstwa. Może zacząłbym studiować języki obce, żeby móc ich uczyć. Moja matka siadywałaby na ganku i przychodziłyby do niej zwierzęta, do samych stóp, koguty i koty. Może założylibyśmy szkółkę leśną.

— Ty naprawdę chciałbyś być królem — rzekł Gem. — Chcesz być jakimś cholernym królem tych kobiet, dzieci i swego brata półgłówka, stary sukinsynu. Twój ojciec uciekł od rodziny i ty też to masz na sumieniu, więc teraz chciałbyś wszystko naprawić.

— Zawsze można się doszukać złych motywów — odparłem. — One zawsze istnieją. Więc mogę tylko powiedzieć, że ja ich nie chcę. Nic nie wiem o moim nieszczęsnym ojcu... zdaje się, że zrobił jak większość innych, przyszedł i poszedł. Z pozoru w poszukiwaniu wolności. A najprawdopodobniej nabawić się innych kłopotów lub cierpień. Ale dlaczego miałbym oszukiwać w takiej jak ta sprawie, dążąc do czegoś trwałego i stałego, usiłując dotrzeć do tych osiowych linii? Zdaję sobie sprawę, że dla wielu nie brzmi to atrakcyjnie. Lecz wiem, że nie mam wielkich szans na uporanie się z życiem w jego ogromnym skomplikowaniu i wariackiej mocy, chcę więc zacząć skromniej i prościej.

— Powodzenia — powiedział Ciem. — Nie sądzę jednak, aby to się kiedykolwiek mogło zdarzyć.

Miałem więc tę swoją kryształową ideę, swój plan. Byłem u punktu zwrotnego. Przez chwilę nawet myślałem poważnie o poślubieniu Sophie, ale ta myśl zrodziła się jedynie z niecierpliwości, by zacząć wprowadzać plan w życie. Aż tu nagle... trach! Wybuchła wojna, w to straszne niedzielne popołudnie, i już można było myśleć tylko o niej. Natychmiast dałem się porwać. Z dnia na dzień utraciłem wszelkie osobiste plany. Gdzie się podziały? Pewnie zalety gdzieś na dnie. Obchodziła mnie jedynie wojna i cały gorzałem. Jak bardzo takie wydarzenie może kogoś przejąć? Mnie przejęło jak lichy. Z początku zupełnie zwariowałem, nienawidziłem wroga, nie

603

mogłem się doczekać, kiedy zacznę walczyć. W kinach zachowywałem się jak szaleniec, wrzeszczałem i klas-kałem w czasie kroniki filmowej. No cóż, gdy się nadarzy okazja, człowiek chwytą, co mu najpotrzebniejsze. Po pewnym czasie wspominając swoje wielkie plany mówiłem sobie, że zacznę je wprowadzać w czyn po wojnie, bo przecież nie mogę tego zrobić, gdy cały świat jest w ogniu, a wszędzie wokół ludożerczy Saturnowie porywają faceta za facetem. Chodziłem i wygłaszałem mowy do przyjaciół, ku ich wielkiemu zdumieniu, o uniwersalnym mrowisku, jakie stworzyłby wróg wygrawszy wojnę, los, którego nikt by nie uniknął — cała ludzkość pod gwiazdą jednego rządu, ludzka pustynia spiętrzona w monstrualne piramidy władzy. Po kilku wiekach i na powierzchni tej samej Ziemi, pod tym samym słońcem i księżycem, gdzie ludzie niegdyś byli jak bogowie, nie byłoby nic prócz mrówczej ludzkości, która stałaby się tak niesamowita jak groźny wszechświat dokoła, naśladując go przez stworzenie ludzkiej regularności mechanicznej tak nieodmiernej jak prawa fizyczne. Posłuszeństwo stałoby się bogiem, wolność diabłem. Nie powstałby żaden nowy Mojżesz, aby wyprowadzić lud, bo wśród tych nowych piramid żaden Mojżesz by się nie uchował. O tak, stawałem na tylne łapy jak orator i przemawiałem, do kogo się dało.

Potem zgłosiłem się na ochotnika, lecz okazało się, że Bizcocho przyprawił mnie o rupturę. Lekarze wojskowi kazali mi kaszleć i orzekli, że mam przepuklinę pachwinową. Zalecili operację, która była darmowa.

Udałem się więc do Szpitala Powiatowego, aby się poddać operacji. Nie wspomniałem o tym mamie, bo nigdy jej o takich rzeczach nie mówiłem.

— Chyba już zupełnie zwariowałeś — powiedziała Sophie. — Zamiast się cieszyć, że jesteś zdrowy i masz zwolnienie od poboru, idziesz z własnej woli pod nóż. — Czuła się osobiście dotknięta. Jej mąż dostał powołanie, uważała więc, że tym bardziej powinienem zostać, a ponieważ poszedłem do szpitala, uznała, że jej nie pragnę. Odwiedzała mnie tam jednak, podobnie jak Cłem i Simon, ale ona przychodziła zawsze w porze odwiedzin.

Operacja była ciężka, długo po niej nie mogłem się wyprostować i musiałem chodzić lekko pochylony.

604

Zatłoczony szpital przypominał karnawałowe lub wielkopostne korowody. Był to szpital przy Harrison Street, dokąd chodziłem z mamą po okulary, nie opodal miejsca, gdzie kiedyś musiałem zidentyfikować zwłoki ładowacza węgla, burzowa mroczność, brunatność nagiego kamienia, turkot i dzwonięcie przejeżdżających czerwonych tramwajów. Każde łóżko, okno, przepierzenie, kąt, wszystko było zapełnione jak mury Troi albo ulice Clermont, gdy Piotr Pustelnik głosił kazania. Połamańcy, kuternogi, ludzie spięci uprzęą pasów rupturowych, balansujący na szczydach, jeżdżący w fotelach na kółkach z głowami pod przyłbicami bandażu, woń ran i leków wykwitająca z gazy, z barwnych okropności, z głębi zlewów. Od czubków dochodziły przeróżne wrzaski, pienia, świergotania, niczym z klatek z tropikalnym ptactwem w Parku Lincolna. W ciepłe dni włożyłem na dach, żeby popatrzeć na miasto. Wokół mnie roztaczało się Chicago. Mnogością swoich powtarzających się zespołów i elementów, liczniejszych od komórek mózgu i cegieł Wieży Babel, przerastało ludzką wyobraźnię. Ezechielowy kocioł gniewu podgrzewany palącymi się kośćmi. Z czasem sam kocioł się stopił. Jakieś tajemnicze drżenie, kurz, opary, emanacja potwornego trudu niosły się w powietrzu nade mną, stojącym na wierzchołku tej ogromnej instytucji, straszliwie zatłoczonej, i nad klinikami, więzieniami, fabrykami, domami noclegowymi, trupiarnią, rzędem lichych barów i jadłodajni przyciągających wszelkie męty. Jak wobec dzieła Egiptu i Asyrii, wobec ogromu morza, jest się tu niczym. Niczym.

Przyszedł Simon i cisnął mi na łóżko torbę pomarańczy. Zbeształ mnie, że nie poszedłem do prywatnego szpitala. Był wściekły, a jego wściekłość nie oszczędzała niczego i nikogo.

Lecz przecież właśnie wychodzę, więc po co się awanturować? Wciąż poruszałem się zgięty, jakby zszyty w niewłaściwych miejscach, ale wyjaśniono mi, że to przejdzie.

Zdrów i cały wróciłem do Dzielnicy Południowej i stwierdziłem, że Padilla zainstalował w moim pokoju swego gościa, dziewczynę, a mnie przeniósł do swojego mieszkania. Umieścił tę młodą damę w moim pokoju ze

605

względów czysto formalnych i dla czezej etykiety, bo sam też się tam przeniósł. Nigdy nie było go w domu. Pracował na uniwersytecie nad czymś związanym z uranem.

Jego mieszkanie mieściło się w zatęchłym domu czynszowym. Tynk trzymał się tam ścian głównie dzięki farbie. Sąsiadami były rodziny pozostające na łasce opieki społecznej, nocne ptaszki, które o czwartej rano stawały w bieliźnie w oknach, aby powitać dzień, dziewczyny, schludni, szykowni Filipińczycy, stare pijaczki i ponuracy. Aby wydostać się z tego mieszkania, należało zejść wiele piętér w dół i minąć długie poziome wejście skonstruowane z niezwykłą fantazją architektoniczną na kształt chińskiej cieplarni, w której pod cynobrowymi ramami nie znajdowało się nic, prócz rozmaitych badyli, starych gazet i śmieci. Na ulicy, tuż za okrągłymi pojemnikami na odpadki, mieściła się świątynia buddyjska, dawniej kościół. Dalej chińska jadłodajnia. Następnie bukmachernia, jak zwykle pod parawanikiem sklepu tytoniowego, gdzie kręcili się klienci z listami gonitw w ręku, emeryci albo agitatorzy polityczni, ciężko stąpający palacze cygar i policjanci. Nie czułem się za świetnie mieszkając w tym domu. Minęło wiele długich miesięcy, nim wydobrzałem, i radziłem sobie bardzo kiepsko. Na dodatek mniej więcej w tym czasie dostałem list od Tei, z poczty wojskowej w San Francisco, w którym donosiła, że wyszła za mąż za kapitana Sił Powietrznych. Uważała, że powinienem się o tym dowiedzieć, ale chyba nie powinienem, bo się zupełnie rozłożyłem z żalu. Oczy mi jeszcze bardziej zapadły, dłonie oraz stopy miałem zimne i leżałem w brudnej pościeli Padilli chory i załamany.

Naturalnie nie mogłem szukać pociechy u Sophie. Byłoby niesprawiedliwe, gdybym pozwolił się pocieszać, nie mówiąc w czym rzecz. Zwierzyłem się za to Clemowi, jak bardzo jestem załamany.

— Rozumiem cię. Miałem romans z córką policjanta i wycięła mi taki sam numer w zeszłym roku — powiedział. — Wyszła za jakiegoś szulera i wyjechała na Florydę. Ale mówiłeś mi już dawno, że to skończona historia.

— Bo była [j]f odparłem.

606

— Widzę, że wy, Marchowie, jesteście bardzo romansowi. Wciąż spotykam twego brata z taką jedną blond laleczką. Nawet Einhorn ich widział. Wracał właśnie na barana z Oriental Theatre. Po Lou Holtz wybrał się tam obejrzeć Junonę i pawia... nieczęsto opuszcza dom, ale jak już to robi, to na cały dzień. I gdy tak jechał w tej swojej czarnej pelerynce na grzbiecie Louie Elemelka, tego eks-boksera, wpadł na Simona i jego dziwkę. Sądząc po tym, co mówił, tę samą. Zaftige kobitka, w norkowej etoli.

— Biedna Charlotta — powiedziałem, myśląc o szwa- gierce.

— Dlaczego biedna? Myślisz, że Charlotta nie słyszała o podwójnym życiu? Kobieta z takimi pieniędzmi? Żeby to tylko podwójnym! Przecież to jest niemal prawo tego kraju!

Miałem więc o czym myśleć w czasie rekonwalescencji, kiedy pragnąłem wyjechać z Chicago tam, gdzie światowe wydarzenia toczyły się wartko.

Któregoś dnia byłem w Dzielnicy Zachodniej. Pojechałem tam, żeby zabrać mamę na spacer po Parku Douglasa. Obojgu nam dobrze to zrobiło, bo i ja byłem wciąż trochę słabowity. Chłodny blask słońca na omszałych drzewach Parku Douglasa, starsi ludzie na zaniedbanych w czasie wojny ławkach, gazety, futra, zdobione sztukaterią mury, papiery szybujące jak szalone nad laguną. Mama zaczęła już nabierać starczej sztywności i nogi jej się jakby lekko wykrzywiły w kabłąk, ale cieszyło ją rześkie powietrze i wciąż miała zdrową gładką cerę.

Odprowadzałem ją właśnie do przytułku, gdy nagle koło nas zatrzymał się samochód. Siedział w nim Simon z kobietą, ale nie Charlottą. Spostrzegłem futrzaną etolę i złote włosy. Simon od razu dał mi znak rozplywając się w uśmiechach, że mama ma o niej nie wiedzieć. Potem wysiadł z auta na chodnik, wyraźnie zbyt lichy jak dla niego, strasznie spękane betonowe płyty przysypane trocinami ze sklepu kolonialnego i rzeźniczego. Simon wyglądał świetnie. Od wytłaczanych kurdybanowych półbutów po rubinowe spinki mankietów, śnieżnobiałą koszulę, krawat najprawdopodobniej firmy Sułka, marynarkę od Strooka, wszystko szyte ręcznie i nie pomyślane

607

wyłącznie dla okrycia jak koźle skóry Robinsona Crusoe. Muszę przyznać, że gdy się tak nagle pokazał, wzbudzał zazdrość.

Czy przyjechał odwiedzić mamę? Czy pokazać ją dziewczynie? Chcąc jej dać do zrozumienia, kim jestem, powiedział z lubością:

— Mój braciszku! Cóż za wspaniała niespodzianka! Czemu ja cię wcale nie widuję? Jak się masz, mamó?

— Objął nas oboje i obrócił twarzami w stronę samochodu, a siedząca w nim dziewczyna patrzyła z przyjaznym uśmiechem. — Jak to wspaniale, kiedy rodzina jest razem.

Zastanawiałem się, czy mama wyczuwa, że on to robi na cudzy użytek. Może wyczuwała. Lecz co mogła wiedzieć w całej swojej niewinności o tych wypielegnowanych dwojgu, spowitych w luksusy, rozpieszczonych, przemieszczających się z miejsca na miejsce na wysokich poduszkach Cadillaców jak para świętujących rzymian po Corso, o tej dziewczynie ze stromymi piersiami i o Simonie?

Robił teraz prawdziwe pieniądze. Spółka, w którą zainwestował, produkowała coś dla wojska. Gdy mi opowiadał, jak mu napływa forsa, zawsze się śmiał, jakby sam tym zdumiony, i mówił, że wkrótce dogoni mojego milionera, Robeya, i zacznie pisać książkę. Wtedy będę mógł zostać jego pomocnikiem. Nie podobał mi się ten dowcip. Robey, nawiasem mówiąc, przygotowywał się do wyjazdu do Waszyngtonu. Nie umiał mi wytłumaczyć po co, ale musiał jechać.

- Wstąpiłem tylko, żeby zobaczyć, jak się czujesz, mamó — rzekł Simon. — Muszę lecieć. I zabieram Augie'ego.

- Idźcie, chłopcy — odparła mama. Chciała, żebyśmy mieli wspólną sprawę.

Wprowadziliśmy ją po kamiennych schodach do domu. Kiedy zostaliśmy sami, Simon powiedział z powagą:

- Zanim cokolwiek pomyślisz, musisz się dowiedzieć, że kocham tę dziewczynę.

— Tak? Od kiedy?

— Od dość dawna.

— Ale kto to? Skąd ona jest?

608

- W dniu, w którym ją poznałem, opuściła swego męża — odparł z uśmiechem. — W nocnym klubie w Detroit. Byłem tam tylko dwa dni, w interesach. Zatańczyłem z nią, a ona powiedziała, że nie zostanie ani jednego dnia dłużej z tym facetem. To ja na to: „Chodź ze mną”, i od tego czasu jesteśmy razem.

— Tu, w Chicago?

— Oczywiście... a gdzie by? Augie, chcę, żebyś ją poznał. Najwyższy czas, żebyście się poznali. Dużo przebywa sama, bo... rozumiesz czemu. Wie o tobie wszystko. Nie martw się, mówiłem tylko to, co dobre. No dobrze! — rzekł prostując się i wykorzystując tę parocalową przewagę wzrostu, jaką miał nade mną. Czerwień na jego policzkach była jak politura lub barwa bezczelności. Na moją uwagę o Charlocie odparł: — Nie sądziłem, że będzie ci tak trudno to zrozumieć.

— Nie, nie tak trudno.

— To nie ma nic wspólnego z Charlottą. Ja jej nie mówię, co ma robić. Chce, to niech robi to samo.

— A zrobiłaby? Mogłaby?

— To jej problem. Mój problem to Renee. I ja sam. — Przez chwilę, gdy wypowiadał słowa, ja sam, wydał się jakiś ponury, jakby śledził upadek swojej duszy pośród mnóstwa niebezpieczeństw. Nie wiedziałem, co to mogą być za niebezpieczeństwa. Jeszcze nie rozumiałem. Byłem nim jednak zafascynowany, nią też. — Renee, to jest Augie — rzekł sprowadzając mnie ze schodów. Kiedy poznałem ją bliżej, nie bardzo mogłem pojąć, czemu znaczyła dla Simona aż tak wiele.

Była niezaprzeczalnie bardzo kształtna, chociaż drobna. Suknia nie kryła pięknego zarysu jej bujnych piersi — jak to się mówi w stolicy seksu: *du monde au balcon* — i innych kształtów aż po obleczone w jedwabne pończoszki nogi. Mimo że młodzianka, miała twarz zrobioną na złoty odcień, usta ściągnięte w serduszko grubo nałożoną szminką, rzęsy i brwi jakby zroszone i natarte złotym pyłem, włosy złote, niby doczepione, jak na salonach Wersalu, grzebienie złote, okulary w złotej oprawie, biżuterię złotą. Chciałem się wyrazić, że wyglądała niedojrzale, lecz może raczej chodzi o to, że nic dźwigała tego złotego frachtu z należytą pewnością siebie, że może tylko

609

wielkie kobiety są do tego zdolne. Niekoniecznie fizyczne olbrzymki, lecz osoby o rzeczywiście wielkiej zdobniczej pojemności. Członkinie dawnych żeńskich społeczności, których szpilki i spinki, słoiczki i grzebienie z Asyrii czy Krety leżą tak dziwnie wśród okrytego plamami złota i nadzartego zielenią brązu w gablotach muzealnych—te uświęcone dziewczęta, które kapłani układali w łózkach, aby oczekiwały tajemniczych nocnych wizyt Attysa czy kogoś tam innego, dziewice biorące udział w gorących dorocznych zmaganiach ogrodowych, pieśniarki pieśni miłosnych, Syryjki, Amorytki, Moabitki i tak dalej. Linia ta biegnie następnie przez femmes galantes, dwory miłości, Akwi tanki, infantki, Medyceuszki, kurtyzany, kobiety nieokiełzane aż po nowoczesne kluby nocne czy salony pierwszej klasy luksusowych liniowców, z ich wykwinną klientelą, dla której szefowie kuchni wymyślają największe suflety, ryby w cieście i inne niespodzianki. Do takiej klasy kobiet miała należeć Renee, a moim zdaniem nie należała. Można by sądzić, że wystarczyłoby jedynie poddać się instynktom, aby się to stało. Gdybyż to było takie łatwe! Bo skąd wiadomo, jakie instynkty wezmą wówczas górę?

Renee wydawała mi się dziewczyną bardzo podejrzliwą. Na jej nosie niby plamką blasku kładła się podejrzliwość i niepewność.

Gdy tylko Simon wysiadł na kilka chwil z samochodu, zaraz powiedziała:

— Kocham twojego brata. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia i będę go kochała aż do śmierci. — Podala mi rękę w rękawiczce. NI Wierz mi, Augie.

Szkoda, że przez niepotrzebne starania rzucała cień podejrzenia na to, co przecież mogło być prawdziwe. Gierki i gierki. Gierki w gierkach. Mimo to na przekór gierkom rzeczy mówione z przekonaniem jakoś się ostają.

Chcę, żebyśmy się bliżej poznali — mówiła. — Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale Simon czuwa nad tobą. Znaczysz dla niego więcej niż ktokolwiek na świecie. Gdybyś wiedział, jak o tobie mówić! Twierdzi, że gdy tylko naprawdę zabierzesz się do czegoś, staniesz się wielkim człowiekiem. A ja chcę tylko, żebyś mnie uważał za kogoś, kto kocha Simona, i żebyś nie osądzał mnie zbyt surowo- 610

jj Czemu miałbym to robić? Ze względu na moją bratową?

Zesztywniała, kiedy wspomniałem o Charlocie. Zaraz jednak zrozumiała, że nie chciałem jej urazić.

Simon mówił o Charlocie bezustannie. To mnie zdumiewało. Mówił swojej dziewczynie:

— Nie chcę mieć żadnych kłopotów z Charlottą z twojego powodu. Szanuję ją. Nigdy, pod żadnym warunkiem jej nie opuszczę. Jest mi na swój sposób bliższa niż ktokolwiek w świecie. — W Charlocie również był zakochany. A Renee musiała to znosić i wiedziała, że nigdy nie będzie go miała na wyłączną własność. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że i ja na swój sposób robiłem to samo ze Stellą, z Teą, używałem jednej jako tarczy przeciw drugiej, aby nie zostać na łasce żadnej z nich. Aby żadna nie mogła się na mnie odegrać. Och, robiłem to świadomie. Na pewno świadomie. Wcale nie było tak, jak Simon mówił. Nie szło nawet o ten najzwyczajniejszy wzgląd, że on i Charlotta mają wspólny majątek. Próbowałem mu to wytłumaczyć, ostrzec go, ale tylko wprawiłem w zdumienie. Jednakże nim to uczyniłem, czekałem, aż lepiej poznam sytuację.

Pomiędzy nim a Renee układało się następująco: Prawie każdego ranka zabierał ją z jej mieszkania. Czekala na niego przed domem albo w pobliskiej restauracji. Potem odwoziła go do biura, ale nie wchodziła tam, chociaż większość pracowników ją znała. Następnie jechała sama po zakupy albo spełniać jego polecenia; albo przeglądała magazyny i czekała, aż on będzie wolny. Cały długi dzień spędzała z nim lub w jego pobliżu, później, wieczorem, odwoziła go prawie pod drzwi i wracała do domu taksówką. W ciągu dnia, niemal co godzina, powstawały między nimi kryzysy, kiedy wrzeszczeli i krzyczeli na siebie — ona z rozszerzonymi oczyma i zgiętą w łuk szyją, a on straciwszy głowę czasem usiłując ją uderzyć, z pomarszczoną w gniewie twarzą i zgrzytając zębami. Nie zreperował sobie tego złamanego zęba na pizodzie, dzięki któremu widziałem w nim, tym z wyglądu czerstwym germańskim blond biznesmenie i inwestorze, tego uczniaka, którego babcia Lausch wysyłała, by obsługiwał przy stolikach w restauracjach kurortów. Za-

zwyczaj walczyli o stroje, jakieś rękawiczki, butelkę perfum Chanel albo o służącą. Simon twierdził, że Renee nie potrzebuje służącej, skoro nigdy nie przebywa w domu i może sama słać swoje łóżko. Co za pożytek z dziewczyny, która będzie tam tylko siedziała? Lecz Renee musiała mieć to samo, co Charlotta. Wiedziała o niej wszystko, więcej niż rodzona siostra, i często pokazywała się w tym samym klubie nocnym lub miała bilety na ten sam musical. Studiowała więc jej wygląd i sposób ubierania się. Domagała się tego samego dla siebie i póki chodziło o takie drobiazgi, jak torebki, suknie, pantofle z jaszczurczej skóry, arlekinowe okulary, zapalniczki firmy Ronson, żądania jej mogły być zaspokojone. Największa jednak awantura wybuchła, kiedy zapragnęła własnego samochodu, takiego, jaki miała Charlotta.

— Ty żebraczko! — wykrzyknął Simon. — Charlotta ma własne pieniądze, czy nie zdajesz sobie z tego sprawy?

— Ale nie ma tego, co ty chcesz. A ja mam.

— Nie ty jedna! — ryknął Simon. — Nie oszukuj się. Mnóstwo kobiet to ma. — I to był jeden z nielicznych wypadków, gdy wołał, abym go w tej chwili nie widział. Zwykle nie przeszkadzała mu moja obecność. A Renee, wygłosivszy do mnie mowę o tym, jak bardzo pragnie, abyśmy się lepiej poznali, uznała, że załatwiła całą sprawę i odtąd prawie się do mnie nie odzywała. Teraz zaś wykrzyknęła:

— Widzisz, jakiego masz brata?!

Nie, tego nie widziałem. Widziałem natomiast, że cały czas wrzał wściekłością, otwarcie lub skrycie.

Na przykład wybuchał:

— Czemu nie byłaś wczoraj u lekarza? Jak długo będziesz zaniedbywała ten kaszel? Skąd wiesz, co masz w płucach? — (Co sprawiało, że rzucałem okiem ku tym płucom — mniej więcej, bo przecież miała je jak każda żywa istota, pod futrem, jedwabiem, biustonoszem i piersiami.) — Nie, n i e poszłaś. Sprawdziłem to. Dzwoniłem do niego, ty kłamczucho! Na pewno pomyślałaś sobie, że mam za wiele ważnych spraw, by móc zadzwonić, albo się boję, żeby to nie doszło do Charlotty. — (Chodziła do lekarza Charlotty, ale to był najlepszy lekarz w mieście.)

— A ja zadzwoniłem. Nie byłaś u niego. Nie umiesz

612

mówić prawdy. Nigdy! Wątpię nawet, czy stać cię na nią w łóżku. Gdy mówisz, że mnie kochasz, tylko mi mydlisz oczy.

Oto przykład jego gniewu w formie troski o nią.

Nie mogłem się doczekać, kiedy się wyleczę z przepukliny i pójdę na wojnę. „Żeby już wreszcie wyruszyć!” — myślałem. Jeszcze się jednak nie nadawałem, a tymczasem zajmowałem stanowisko „zapchajdziury” w spółce produkującej maszyny biurowe. Była to fantastyczna, wyborna posada. Zawdzięczałem ją jedynie brakowi rąk do pracy. Gdybym pozostał w tej spółce, mógłbym zostać czymś w rodzaju księcia komiwojażerów, który jeździ dwa razy w miesiącu salonką do St. Paul i po wypaleniu siedmiu cygar w podróży wysiada na stacji z godnością, wdychając mroźne powietrze i dzierżąc w dłoni aktówkę. Lecz nie, musiałem iść do wojska.

— Ty głupia pało — mówił Simon — myślałem, że dożyjesz przynajmniej średniego wieku, ale chyba jesteś na to za głupi i chcesz się już rozstać z życiem. Jeżeli musisz jechać i dać się postrzelić, leżeć w gipsie, rzygać krwią, tarzać się w błocie i jeść obierki kartoflane, to jedź! Mnie to jeszcze pomoże w interesach, jeżeli znajdziesz się na liście poległych. Biedna nasza matka, że ma aż trzech synów i tylko jeden z nich jest normalny! A ja? Zostanę sam na świecie. Jedyнным moim inteligentnym towarzyszem jest idea robienia forsy, bo przecież nie brat.

Ale nie dałem się powstrzymać. Tylko że nadal nie nadawałem się ani do armii, ani do marynarki wojennej, więc zapisałem się do handlowej i wyznaczono mi termin stawienia się w zatoce Sheepshead na przeszkolenie.

Kiedy następnym razem natknąłem się na Simona na Randolph Street, zachowywał się inaczej niż zwykle.

— Wstąpmy coś przekąsić — rzekł, bo byliśmy akurat przed Henricim, gdzie w oknie stał kosz posezonowych truskawek. Kelnerzy znali Simona, lecz on prawie nie odpowiadał na ich słowa, zamiast się tym pysznić, jak miał w zwyczaju. Kiedy usiedliśmy i zdjął kapelusz, bladość jego twarzy aż mnie przestraszyła.

— O co chodzi... co się stało? — zapytałem.



— Dziś w nocy Renee próbowała popełnić samobójstwo — rzekł—Za pomocą tabletek nasennych. Kiedy do niej wszedłem, właśnie traciła przytomność. Trząśłem nią, uderzałem po twarzy, zmuszałem do chodzenia, wrzuciłem do wanny z zimną wodą, póki nie przyszedł lekarz... i żyje. Nic jej nie będzie.

Czy to była prawdziwa próba samobójstwa? Naprawdę chciała umrzeć?

— Lekarz powiedział, że tak naprawdę nic jej nie groziło. Może nie wiedziała, ile należy wziąć tabletek.

— To mi nie wygląda na prawdopodobne.

— Mnie też nie. Pewnie udawała. Jest oszustką. Nie pierwszy raz to robi. — Smuciły mnie te bezsensowne zmagania. — Ludzie jednak w końcu czegoś się do- grawają—ciągnął Simon.—Dają się ponieść.—I dodał: — Jeżeli człowiek słono płaci za jakąś przyjemność, to w porządku. Ale jeżeli płaci, a nie ma żadnej przyjemności? Tylko stara się ją zyskać? Pragniesz przyjemności. Płacisz za to, czego pragniesz, nie zawsze za to, co dostajesz. Oto co oznacza cena. Bo w czym w przeciwnym razie się zawiera? Ona polega na płaceniu za to, czego może nie być.

— Chciałbym móc ci w czymś pomóc.

— Możesz mnie pchnąć pod pociąg.

Zaczął opowiadać, co się stało. Charlotta dowiedziała się o Renee.

— Myślę, że już od dawna o niej wiedziała — mówił— ale wolała poczekać. — Dziwne by było, gdyby nie wiedziała. Nigdy nie przestawała o nim myśleć i wciąż jej coś mówiono. Wszyscy w śródmieściu go znali. Kelner, który nam przyniósł truskawki w cynowych naczyniach, powiedział: — Bardzo proszę, panie March. — Renee przebywała z Simonem cały czas i wciąż narażali się, że zostaną odkryci. Czemu odprowadzała go pod same drzwi? Któregoś dnia zobaczyłem na podłodze samochodu złoty grzebień. Simon powiedział: — Niech ją diabli, jest zbyt nieostrożna. — I włożył grzebień do kieszeni. To niemożliwe, aby przez te dwa lata Charlotta niczego nie znalazła — ani złotych włosów, ani chusteczek, ani zapalek z reklamą salonów, w których me bywała, w schowku na rękawiczki, albo żeby nie wy-

614

czytała z Simonowych powrotów do domu. gdy w kapeluszu i z wieczornym wydaniem gazety w rękę całował ją w policzek i klepał zartobliwie w tyłek, że zaledwie przed pięcioma minutami, niezbędnymi na zaparkowanie samochodu i wjazd windą na górę, był z inną kobietą. Zupełnie niemożliwe. Myślę, że przez pewien czas musiała sobie wmawiać: „Jak oczy nie widzą, to serce nie boli”, co byto nie tyle rozmyślną ślepotą, ile silnym przekonaniem osoby, która planuje daleko w przyszłość. Kogoś, kto mocując się na śmierć i życie z niedźwiedziem, obmyśla z czołem zagłębionym w szare kudły, co zrobi w przyszłą niedzielę, kogo zaprosi na obiad i jak nakryje stół,

Ale z Charlottą nigdy nie było nic wiadomo. Być może rozumiała, że podnosząc krzyk sprowokowałyby Simona do brawury, ze względu na romantyczne poczucie honoru, toteż wolała postępować ostrożnie. Kiedyś mi wyjaśniała:

— Twój brat potrzebuje mnóstwa pieniędzy. Umarłby, gdyby nie mógł ich wydawać tyle, ile chce, — Byłem zdumiony, gdy to usłyszałem — stało się to w upalny ranek, w słonecznym, po barbarzyńsku wyścielanym salonie drapacza chmur, kiedy gorące poddmuchy poruszały rośliny w wazonach, a ona siedziała, wielka w białym satynowym zakiecie, z cygarniczką w uszmiłkowanych ustach, ale surowa jak wszyscy Magnusów te, jak każdy z jej stryjów i kuzynów. Była uprzejma powiedzieć mi, że ratuje Simonowi życie.

Lecz on rzeczywiście potrzebował pieniędzy. Renee wiodła życie w takim samym stylu, co Charlotta. Simon miał odczucie, że tak być powinno. Poza tym tanie zdobycze nie pasowały do jego natury. Kiedy pojechał z Charlottą na Florydę, po paru dniach zjawiała się tam Renee i zatrzymała się w szykownym hotelu. Nie tyle martwiły go wydatki, ile bezustanna konieczność kombinowania. Zaczął od buntu wobec żony, a wkrótce stwierdził, że jest żonaty podwójnie.!

Biedny Simon! Żałowałem go. Żał mi było mojego braciszka.

Cały czas podkreślał, że ten romans jest nietrwały. Tak? A jak określić tę nietrwałość w czasie? W końcu przyszło

mu do głowy, że Renee wyjdzie za kogoś bogatego. W mojej obecności to omawiali.

— Ten Karham — mówił Simon — któregośmy poznali w klubie, pytał mnie później o ciebie. Bardzo by się chciał z tobą umówić.

— Ale ja się z nim nie umówię — odparła.

— Umówisz się. Nie bądź głupia. Musimy cię jakoś urządzić. On ma mnóstwo forsy. Jest kawalerem.

Prowadzi firmę robót drogowych.

— Niech ma, co chce. Jest brzydki i stary. Ma sztuczne zęby. Za kogo mnie uważasz? Daj mi spokój! —  
Założyła ręce, rozniewana, ściskając drobne bicepsy — lato było ciepłe, więc miała na sobie suknię bez rękawów. Ścisnęła kolana i patrzyła przed siebie, przez szybę samochodu. Trzeba pamiętać, że te rozmowy odbywały się głównie w aucie.

— Ona chce wyjść za ciebie — powiedziałem później Simonowi.

— Nie, ona chce tylko być ze mną. Uważa, że tak jest lepiej, niż gdyby była moją żoną.

— Aleś ty zarozumiały, Simon. Myślisz, że nic innego jej nie trzeba, jak jeździć z tobą codziennie i czytać magazyny filmowe, kiedy załatwiasz swoje sprawy?

Teraz, u Henriciego, powiedział mi, że przed kilkoma tygodniami Charlotta wreszcie nie wytrzymała i oświadczyła, iż sprawy zaszły za daleko. Trzeba skończyć ten romans. Zaczęły się awantury. I to nie dlatego, że Simon się nie zgadzał z Charlottą. Wiedział, że musi skończyć, i powiedział o tym Renee, lecz to, co ona zaczęła wyprawiać, było jeszcze gorsze. Wrzeszczała, groziła mu sądem i mdlała. Następnie wkroczył na scenę adwokat Simona. Urządził w swoim biurze spotkanie, by wszystko załatwić. Renée otrzymała zapewnienie, że Charlotty nie będzie, ale Charlotta przyszła. Renee ją skłęła. Charlotta spoliczkowała Renee. Simon też ją spoliczkował. Potem wszyscy się popłakali, do czego zdawali się mieć mnóstwo powodów.

— Musiałeś ją uderzyć?

— Trzeba ci było słyszeć, co wygadywała. Zrobiłbyś to samo. Poniosło mnie.

W końcu Renée zgodziła się wyjechać do Kalifornii,

pod warunkiem, że zostanie sflacona. I wyjechała. Ale teraz wróciła i zakomunikowała mu przez telefon, że jest w ciąży.

— To mnie nie obchodzi — powiedział jej Simon. — Jesteś oszustką. Wzięłaś pieniądze i pojechałaś do Kalifornii wiedząc, że zaraz wrócisz. — Zamilkła i odłożyła słuchawkę. Pomyślał wtedy, że ona targnie się na własne życie. I rzeczywiście, gdy przybył do hotelu, właśnie zdążyła połknąć pigułki.

Była w czwartym miesiącu ciąży.

— Co mam robić? — spytał.

— A co tu jest do zrobienia? Nic. Będzie dzieciak. Kto wie, czy nie w taki właśnie sposób my trzej przyszliśmy na świat.

Pocieszałem go, jak umiałem.

## Rozdział XXIII

Gdyby Wielka Mgławica Andromedy musiała wesprzeć się na twoich barkach, March, aby się utrzymać, gdzież by teraz była, jeżeli nie na samym dnie otchłani? Niechaj proroczy duch szerokiego świata śniący o rzeczach przyszłych (S. T. Coleridge) przywoła swych olbrzymów i mobilizatorów, Cezarów i Atlasów. Bo przecież nie ciebie, żaloszny rekrucie! Ty lepiej idź i ożeń się z kobietą, która będzie cię kochała, osiądź na swojej farmie, załóż szkołę i nie pchaj się tam, gdzie narody biorą się wściekle za bary. Przyjacielu, przemawiałem do siebie samego, daruj sobie ten wysiłek. Czas jest w rękach ludzi wszechpotężnych, dla których ty jesteś jak pojedynczy artykuł w umyśle szefa Spółki Sears i Roebuck, a ty się pchasz, pragnąc postępować słusznie i uniknąć rozczarowań w życiu (sic!).

Sumienie jednak zdecydowało za mnie. Klamka zapadła, nie mogłem się wycofać i w końcu godzina wybiła. Zacinający deszczem wiatr pędził po ziemi dymy, całe miasto było zmokłe i czarne, słupy stacji przy La Salle Street ociekały łzami

— Nie ufaj nadto szczęściu — rzekł mi Cłem. — Uwważaj, żebyś nie złapał trypra. Nie zdradzaj swoich sekretów, by zaspokoić cudzą ciekawość. Nie żeń się bez półrocznego okresu narzeczeństwa. A jeśli znajdziesz się w potrzebie, możesz u mnie zawsze liczyć na kilka dolarów.

Staralem się o przyjęcie na Kurs Rachunkowości i Farmakologii i przyjęli mnie. Miałem trochę kłopotów 618

z psychiatrą. Czemu zaznaczyłem literą x, że moczę się w łóżku? Twierdziłem stanowczo, że moja pościel jest zawsze sucha.

— Ale wstawił pan x w kolumnie „Tak” przy pytaniu o nocne moczenie. — Czy nie zdaje sobie sprawy, odpowiedziałem, że mając do wypełnienia dwadzieścia kwestionariuszy, po pięciu badaniach i trzydziestu bezsennych godzinach spędzonych w pociągu, człowiek może się pomylić?

— A dlaczego właśnie w t y m, a nie innym miejscu? — spytał chytrze. Poczułem do niego bezbrzeżną nienawiść, kiedy tak siedział spokojnie na tyłku obleczonym w biały kitel i widać było w jego leniwych oczach, jak niemiłe wnioski wysuwa co do mnie.

— Chce pan, żebym panu wyznał, że moczę się w łóżku, choć wcale tak nie jest? A może pan uważa, że chciałbym się moczyć? — Powiedział na to, że mam agresywne usposobienie.

W każdym razie, zanim poszedłem na kurs, posłano mnie na przeszkolenie nad zatokę Chesapeake. Pływaliśmy po niej tam i z powrotem w straszliwym upale. Nasz statek był wielopokładową machiną z czasów Mc Kin- leya. Biały, jakby żelazna, mączysta pływająca piekarnia, pławił się w morzu bezcelowo cały tydzień. Mijały nas eleganckie białe promy z południowymi kolumnkami. Albo płaskie kutry ratownicze z samolotami niczym dziecięce zabawki na pokładach, wypuszczające z boków potworny, osiadający na włosach kopciem dym Osiem, dziesięć razy dziennie ćwiczyliśmy pożar na pokładzie i opuszczanie statku. Lodzie spadały z łoskotem z żurawi- ków, ludzie zsuwali się do nich po linach i siatkach ładunkowych, wrzeszczeli, lądowali jeden drugiemu na grzbiecie, wyglupiali się, szturchali bosakami, tręcali w tyłki wykrzykując nazwy kobiecych genitaliów. Potem wiosłowali. Całymi godzinami. Woda falowała niczym ogromne pole cykorii. W wolnych chwilach można się było wylegiwać w słońcu na rufie tej odmalowanej, starej, pionowej piekarni, za którą płynęły lub pozostawały w tyle skrzynki, zepsute główki sałaty, pomarańcze, gówna i malutkie kraby. Niebo było jak emalia, słońce miało złote szprychy.

Przywodzi mi to na myśl widok szaleńców z rybami i ciastem, wiosłujących przy pomocy czegoś na kształt warząchwi, z obrazu dawnego mistrza Hieronymusa B.

— ten nieruchomy statek z wycieczkowymi grajkami, pieczonym kurczęciem wiszącym na drzewie i trupią czaszką w górze, wśród gałęzi. A także inne sceny: jajka nadziane na noże, drepczące na maleńkich nóżkach, ludzie niesieni w skorupach ostryg na kanibalistyczną ucztę. Śledzie, mięsiwa i inne dobra dla napchania brzucha. Lecz oczy ludzi mimo to baczne. Być może nie wypatrują niczego dobrego, ale kto wie? Albo možni królowie w Betlejem. Józef przy ogniu drewniak. A z boku, na łące, cóż się tam dzieje? Wilk krwawiący od ciosu zadanego nożem pożera świniarka, który go zranił, ktoś pędzi jak szalony ku zwariowanym wieżom miasta, zanikom jak tłuczki do kartofli i domostwom w kształcie rondli, garnków do gotowania na parze, wędzarni.

Jadaliśmy obficie: naleśniki, kotlety, szynkę, ziemniaki, befsztyki, meksykański gulasz i ryż, lody, ciasta. Wszyscy mówili o żarciu, rozwodzili się nad jadłospisami i wspominali domowe przepisy.

W sobotę zawinęliśmy do Baltimore, gdzie na Clap Hill czekały kurewki i przedstawiciele różnych sekt z drukowanymi wersetami. Przyszła poczta. Simona zwolniono od służby ze względu na ucho. „Każde wyjście jest dobre”

— pisał. Clemowi nie wiodło się w nowym interesie. Dostałem też dwa listy od Sophie Geratis, obecnie mieszkającej z mężem w Camp Blanding. Były to listy pożegnalne, w których słowa pożegnania powtarzały się raz takimi, raz innymi literami. Od Einhorna dostałem powielane pismo do wszystkich przyjaciół, którzy szli na wojnę, pełne przesadnej czułości, komedianckie. W odręcznym dopisku donosił, że Szajbus służy w Nowej Gwinei, jest kierowcą jeepa, on zaś niedomaga.

Potem nastąpiły dalsze tygodnie niewoli w rejsie tam i z powrotem po zatoce; te same cykoriowe fale i ryk głośników, psie figle, wiosłowania, słona woda, obfite posiłki, słońce, coraz to wybuchające piekło i to nieustanne niemal ogłupiające wbijanie do głów kilku podstawowych zasad.

Wreszcie odstawiono nas z powrotem do Sheepshead, 620

gdzie zacząłem uczyć się rachunkowości i okrętowych praktyk lekarskich. Pociuszająca była dla mnie strona naukowa tej imprezy. Myślałem sobie, że póki poszerzam zasób wiadomości, wszystko jest jak należy.

W Nowym Jorku był Sylwester. A także Stella Chesney, dziewczyna, której pomogłem uciec w Meksyku. Oczywiście poszedłem najpierw do niej. Na pierwszej przepustce zadzwoniłem, a ona powiedziała, żebym zaraz przyszedł. Kupiłem więc butelkę wina, trochę sezonowych przysmaków i poszedłem. Wmawiałem sobie, naturalnie, że przydałyby mi się pieniądze, które ode mnie pożyczyła, i różne takie rzeczy, ale powinienem był lepiej znać samego siebie.

Co za pożytek z wojny bez miłości?

Mieszkała w dzielnicy szwalni czy czegoś takiego, cichej w sobotę. Wspinając się po schodach byłem bardzo podniecony. Ostrzegałem sam siebie w myślach, że przecież nie możemy zacząć od punktu, w którym przegraliśmy w Cuernavaca. Skoro bowiem Oliver siedzi w więzieniu, mogła mieć kogoś innego.

Lecz oto znalazłem się przed obiektem tych złych myśli, który stał z ciepłym uśmiechem na zdrowej twarzy, niewinny i uradowany na mój widok. Co za piękność! Serce waliło mi w piersi bezlitośnie. Oczyma duszy widziałem siebie upokorzonego w prochu miłości, gdy bożek Eros przydeptuje mnie nogą do ziemi i zmusza do rozmaitych niemożliwości.

Wywarła na mnie to samo wrażenie, co za pierwszym razem, gdy zobaczyłem ją na ganeczku nad tarczą z reklamą piwa Carta Blanca, z Oliverem o wylupiastych oczach i dwoma przyjaciółmi. Potem przypomniało mi się, jak przyszła w koronkowej sukni do sądu, gdy Oliver zdzielił Louie Fu w oko. Potem w górach, pod plandeką, kiedy jej suknia i halka poszły tak szybko w górę. I zobaczyłem teraz te same nogi, które miałem wówczas nad sobą. W świetle padającym z okna nad schodami i odbitym od zielonego dywanu widziałem, że są gołe.

— Jaka miła niespodzianka! — powiedziała i wyciągnęła do mnie rękę. Byłem wystrojony w nowiutkie państwowe ubranko i idąc czułem na sobie bawełnianą bieliznę i skarpety, nowe półbuty, obcisłą bluzę i spodnie.

621

Nie mówiąc już o białej czapce i haftowanych kotwicach na marynarskim kołnierzu. — Nie mówiłeś mi, że cię powołano. Co za niespodzianka!

— Sam czuję się zaskoczony twoim widokiem — odparłem.

Naprawdę jednak myślałem tylko o tym, czy ją pocałować. Nagle przypomniałem sobie, niemal poczułem na policzku, jakie wrażenie wywołało u mnie dotknięcie jej warg na upalnym placu targowym. Twarz mi płonęła. W końcu postanowiłem, że lepiej powiedzieć otwarcie, i wyznałem:

— Nie mogę zdecydować, czy wypada, żebym cię pocałował.

— Oczywiście. Nie stwarzaj problemów. — Roześmiała się, dając do zrozumienia, że powinienem. Dotknąłem ustami jej policzka, zupełnie tak samo jak ona zrobiła to wówczas, i natychmiast poczerwieniałem. Ona się też zaczerwieniła, rada, że to zrobiłem.

Czyżby nie była taka prosta i wolna od skrytych zamiarów, na jaką wyglądała? No cóż, ja też nie byłem ich pozbawiony.

Usiedliśmy, żeby porozmawiać. Chciała się dowiedzieć o mnie czegoś więcej.

v. -tt Co porabiasz? — spytała mając na myśli ten okres, kiedy nie jestem przyjacielem pięknej, młodej, bogatej dziewczyny, poskromicielem orła lub graczem w pokera.

— Ciężko mi się zdecydować, czym się zająć. Teraz jednak myślę, że jestem stworzony na nauczyciela. Chciałbym mieć własny dom i założyć rodzinę. To ciągle obijanie się zaczyna mi już wychodzić bokiem.

— Och, lubisz dzieci? Byłbyś dobrym ojcem.

Uznałem to za miłe z jej strony, że tak powiedziała.

Nagle zapragnąłem zaofiarować jej wszystko, co posiadam. Zacząłem wznosić w duchu wspaniałe budowle, złote i skomplikowane. Może zrezygnuje dla mnie z prowadzonego dotychczas życia. A jeśli ma kogoś, to go rzuci. Albo ten ktoś zginie w wypadku samochodowym. Lub wróci do żony i dzieci. Może sami wiecie, jakie bywają te czcze wyobrażenia. O dobrzy bogowie, nie miejcie mi tego za złe! Serce mi płonęło. Nie mogłem jej widzieć normalnie, olśniewała mnie.

622

Miała na nogach atlasowe domowe pantofle, z tasiemkami. Ciemne włosy upięła z trzech stron. Była w pomarańczowej spódnicy. Oczy spoglądały miękko, łagodnie. Zastanawiałem się, czy może wyglądać tak świeżo nie mając kochanka, i bardzo mnie to dręczyło.

Winięciem żywici nadzieje! ...w związku z tą wzmianką o dobrym ojcu. A czym ona sama się zajmowała? Trudno się zorientować. Wspomniała kilka rzeczy dla mnie obcych. Żeńskie uczelnie, karierę muzyczną, sceniczną, malarstwo. Z uczelni pozostały książki, z muzyki pianino etc., z teatru fotosy z dedykacjami, a także maszyna do szycia o pająkowatej budowie, model circa rok 1910, którą łączyłem z koniecznością szycia kostiumów scenicznych. Jej obrazy wisiały na ścianach — kwiaty, pomarańcze, żelazne łóżka, nagie dziewczęta w kąpielu. Mówiła o dostaniu się do radia i napomknęła o USO\* i Sta-ge-Door Canteen \*\*. Robiłem, co mogłem, aby się w tym połapać.

— Podoba ci się mój dom? — zapytała.

Nie był to dom, lecz pokój, salonik, wysoki, długi, staromodny, z arcyksiążęcymi sztukateriami w kształcie instrumentów muzycznych i gruszek. Kwiaty w doniczkach, pianino, wielkie ozdobne łoże, rybki w akwarium, kot i pies. Pies sapał ciężko — był zaawansowany w latach. Kot bawił się u jej stóp i drapał ją w kostki nóg. Zdzieliłem go gazetą, ale to się Stelli nie spodobało. Usiadł jej na ramieniu i kiedy powiedziała:

— Pocałuj, Rudy, całuj, całuj... — poliznął ją po twarzy.

Po drugiej stronie ulicy były szwalnie. Skrawki materiału powiewały przy drucianych siatkach okien. Samoloty z potężnym wibrującym rykiem przecinały niebo w górze, czyste od Anglii po Kalifornię. Podała wino, które przyniosłem. Wypiłem i głowa zaczęła mi pulsować w zranionym miejscu. Byłem bardzo rozpalony i pełen miłosnego podniecenia. Pomyślałem jednak, że muszę wziąć pod uwagę jej dumę. Chciałem się od niej odczepić w Cuernavaca. Czemu miałaby teraz uwierzyć, że tracę

dla niej głowę? A może nie powinienem tracić. A może jest typem Kressydy, jak Einhorn zwykł zwać Cissy F.?

— Wciąż mam zamiar oddać ci pieniądze, które byłeś uprzejmy mi pożyczyć — powiedziała.

— Nie, błagam, nie przyszedłem po pieniądze.

— Ale pewnie są ci teraz potrzebne.

— Jeszcze nawet nie zdążyłem wydać swojej ubiegłomiesięcznej gaży.

jj — Ojciec przysłał mi trochę pieniędzy z Jamajki. Bo teraz tam przebywa. One oczywiście mi nie wystarczają. Ostatnio szczególnie mi się wiedzie. — Nie brzmiało to jak skarga, lecz zapewnienie, że wkrótce będzie lepiej. — Oliver wystawił mnie do wiatru. Byłam na jego utrzymaniu. Myślałam, że go Kocham. A ty kochałeś tę dziewczynę, z którą mieszkałeś?

— Tak — odparłem. Cieszę się, że nie skłamałem.

— Pewnie mnie znienawidziła.

Sjjs- Wyszła za kapitana sił powietrznych gdzieś na Pacyfiku.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. To stało się już dawno.

— Czulałam później, że zrobiłam źle. Ale byłeś jedyną osobą, która mogła mi pomóc. I wcale nie myślałam...

— Cieszę się, że mogłem pomóc. I jeśli o to chodzi, sam bardzo tego chciałem.

— Miło, że to mówisz. I wiesz... teraz, kiedy to się skończyło, chyba nie weźmiesz mi za złe, jeśli powiem, że jechaliśmy na jednym koniu. Wszyscy mówili, jak ona...

— Jeździła polować beze mnie. Wiem. — Miałem nadzieję, że nie wspomni o Talaverze.

— Bezwiednie narobiłeś sobie kłopotów, tak jak ja. Może zasłużyłeś na to... tak samo jak ja. Dobrze mi tak. Jechałam z nim do Hollywood. Meksyk był w tej drodze jedynie etapem. Oliver miał ze mnie zrobić gwiazdę filmową. Śmieszne, no nie?

— Nie, wcale nie. Mogłabyś być wielką gwiazdą. Ale jakże Oliver chciał tego dokonać wiedząc, że go wsadzą do więzienia?

— Dałam mu się łatwo zwieść, bo byłam zakochana. To słowo w jej ustach uderzyło mi do głowy.

Budowałem wciąż wyżej i wyżej aż po najwyższe 624

rejony, a jednocześnie popełniałem dziesiątki zbrodni dla osiągnięcia celu. Kot brykający koło fotela zadrapał mi rękę. Bałem się, że z namiętności zacznę mi zaraz i z nosa lecieć krew. Raz czułem się prostacki i nabrzmiały, a za chwilę szybowałem duchem zgodnie wśród subtelnych siostrzanych dusz.

— Albo gorzej niż śmieszne — dodała sarkastycznie. Gorzej? Och, może chodziło o cenę tej podróży? Nie musiała tego mówić. Bolało mnie, że uważała takie wyjaśnienia za konieczne. Miałem szczęście, że siedziałem, bo nie utrzymałbym się na nogach.

— Co? Co się stało? — zapytała swoim pełnym serdeczności głosem.

Błagałem, aby się ze mnie nie śmiała.

— Jak mogłaś myśleć, że jedziemy na tym samym koniu — zapytałem — kiedy siedziałem cały w bandażach i grałem w pokera u Chińczyka?

• — ' Na pewno pamiętasz, jak patrzyliśmy na siebie kiedyś w barze, gdzie mieli tę małpę czy coś.

— Szopa.

Krzyżując ręce i ściskając je kolanami — na co patrzyłem z zachwytem, choć wołałem, aby tego nie robiła — powiedziała:

— Nikt nie powinien udawać, że jest zawsze stuprocentowo uczciwy. Chciałabym wiedzieć, jak być uczciwą bodaj w siedemdziesięciu, sześćdziesięciu procentach.

Przysiągłem, że ona jest w stu dziesięciu, dwustu procentach uczciwa. Potem powiedziałem coś, czego się sam nie spodziewałem:

— Nikt nie powinien być umyślnie tajemniczy. Wystarczy, że jest tajemniczy nieumyślnie.

— Postaram się nie być. Przynajmniej wobec ciebie. Mówiła szczerze. Wiedziałem. Zobaczyłem, jak jej krtań nagle nabrzmiała.

Moje ciało, które jest być może wszystkim, czym jestem, ten pełen dążeń twór, poczuło się nagle podległe prądom i bezradne. Chciałem podejść i objąć jej nogi, lecz pomyślałem, że lepiej poczekać. Bo czemu zakładałam, że byłoby to na miejscu? Dlatego że mam na to ochotę?

— Sądzę, że wiesz — oznajmiłem — co do ciebie czuję. Jeżeli popełniam błąd, lepiej mi powiedz.

27 — Przyoariki-<sup>v</sup>

— Błąd? Czemu tak mówisz?

— Bo po pierwsze — rzekłem—dawno mnie nie było. Pomyślisz, że zbytnio się spieszę.

— A po drugie? Dlaczego mówisz tak powoli?

Czy mówiłem inaczej niż zwykle? Nawet nie zauważyłem.

A po drugie, zrobiłem źle w Cuernavaca, że wróciłem.

— Może tym razem zrobisz dobrze — odparła.

Wtedy padłem na ziemię i objąłem ramionami jej kolana. Schyliła się i pocałowała mnie. Rwałem się do niej, lecz ona wołała zwolnić tempo.

— Poczekaj — powiedziała. — Zamkniemy zwierzęta w kuchni. — Wzięła psa za obrozę, ja podniosłem z ziemi kota i umieściliśmy je w kuchni. Drzwi zamykały się na zgięty gwóźdź, bo nie miały klamki ani haczyka. Potem zdjęła kapę z łóżka i pomogliśmy sobie wzajem się rozebrać.

— Co ty do siebie mówisz? — szepnęła, kiedy się położyliśmy. Nawet nie wiedziałem, że to robię. Bałem się, że uderzy się głową o ścianę i usiłowałem osłonić ją dłońmi. Zrozumiała i pomogła mi. Byłem wygłodniały i całowałem ją, gdzie tylko mogłem sięgnąć ustami, aż przygryzła mi wargę zębami i przyciągnęła mnie, przyciągnęła. Nie było już nic, co można by starać się albo próbować udawać.

Teraz już nie mogło mieć znaczenia, czy jest kobietą próżną, zgubną czy cyniczną. Albo czy ja sam głupi, niepoprawny, niezdarny, lekkomyślny i niesolidny. To wszystko stało się blahe, bez sensu i nic nie znaczące. Istotna prawda o jednym czy drugim z nas była znacznie prostsza niż którekolwiek z tych określeń.

Powiedziałem, że ją kocham. Była to prawda. Czułem, że dojrzałem do kresu moich trosk i tęsknot, i to rozstrzygało sprawę. Kiedy tak leżeliśmy w łóżku, całując się, szepcząc i kochając, jak weekend długi, na dworze było pięknie, słońce płynęło po błękitnym niebie pyszne i wspaniałe. Wstawaliśmy tylko po to, aby wyprowadzić psa, Harry'ego, na dach. Kot łąził po pościeli i ugniatał nas łapami rozcapierzając pazury. Jedyni ludzie, jakich 626

widzieliśmy, to dwaj starcy grający w bezika na stole do krajania materiału w szwalni po drugiej stronie ulicy.

W poniedziałkowy rano musiałem jednak wrócić do bazy. Zbudziła mnie w środku nocy, kazała się ubrać i poszła ze mną na stację kolei podziemnej.

Wciąż ją pytałem: Czy wyjdzie za mnie? Odpowiadała:

— Chcesz, żeby wszystkie twoje kłopoty nagle się skończyły, i tak się do tego spieszysz, że możesz popełnić błąd.

Było to tuż przed świtem, koło przypominających zejście do piekieł schodów kolei podziemnej, pod wschodnim sklepieniem ze zbrojonego szkła i zaciemnioną latarnią niby bezsensownym kwiatem na grubej żelaznej lodydze. Staliśmy i całowaliśmy się w tym błękitnym oświetleniu, póki nie zaczęło mżyć i pantofle Stelli nie przemokły.

— Kochanie, idź już — powiedziałem, ig ■— Zadzwonisz do mnie?

— Jak tylko znajdę okazję. Kochasz mnie?

— Oczywiście, że cię kocham.

Ilekrót to mówiła, byłem tak wzruszony, że oblewało mnie całego poczucie radosnej wdzięczności i dreszcz przechodził po plecach. Tak jak pływając w rozkosznych wodach morza odczuwa się powstającą za sobą jakąś styczność. Cała głębia technie jak nieme koncerty, a brzeg powiewa radośnie flagami.

W końcu musiałem zejść do tunelu i wsiąść do pociągu. Rozstałem się z nią na całe pięć dni. A tymczasem nie wolno mi było zaniedbać nauki na Kursie Rachunkowości ani narazić się żandarmom, żeby nie stracić następnej przepustki. Co wieczór chodziłem na nabrzeże, gdzie były budki telefoniczne, lecz często nie zastawałem Stelli w domu, bo wiodła pracowite życie. Ogarniał mnie straszliwy lęk, że spędziła ze mną ten weekend jedynie z poczucia przyjaźni lub żebym mógł lepiej zrozumieć, co powinno się było stać w górach tamtej nocy. Jeżeli tak, to po mnie, bo byłem teraz zakochany ponad wszelką miarę, nie do zniesienia, jakby do moich żył i arterii przedostał się jakiś minerał, i czułem się obolały, w kościach i na ciele, jak przy rozpoczynającej się grypie.

Przez cały tydzień frachtowce pojeżdżały na morzu, a Coney hiand była spowita szarą tub liliową mgłą i po wieczornym posiłku przesiadywałem pełen miłosnych męczarni w budce telefonicznej czekając, aż Stella się odezwie, i próbując odrabiać lekcje. Bałem się, że w tej mojej spóźnionej miłości nie mogę na nic liczyć, W którym to wypadku byłbym skończony, bo teraz wszystko zależało tylko od niej.

W sobotę, zaraz po zakończeniu obowiązkowych nonsensownych inspekcji, urwałem się jak w gorączce z bazy. Cóż się ze mną działo! Kiedy jechałem z Brooklynu przez most zawieszony na tych podniebnych sponach nad ceglanyimi dolinami, a potem nad gwałtownym wrzieniem wód portowych, nad szybko szybującymi mewami, nad okrętami wojennymi jak otwarte wnętrza ogromnych radioodbiorników, nad rogami zwierzęcymi Hengista i Horsy, a potem znów tunelem, czułem, że gdyby mi przyszło tak jechać i jechać, na pewno bym nie wytrzymał, musiałbym ustać.

Lecz niepotrzebnie się bałem, Stella czekała. Cały tydzień była niemal chora z powodu mojej nieobecności, miała temperaturę, zastanawiała się, czy ją kocham. Płakała, kiedy leżeliśmy w łóżku, i przyciskała mnie do piersi. Powiedziała, że zakochała się we mnie, gdy zobaczyła mnie przed katedrą z balkonu baru, na którym wisiała tarcza reklamowa piwa Carta Blanca. Wcale nie potrzebowała pieniędzy, które jej pożyczyłem w Cuernavaca, ale wzięła je, aby pozostać ze mną w kontakcie. A co do Olivera...

— Co mi tam Oliver! On mnie nie obchodzi — powiedziałem. — Ja chcę się ożenić.

Ciem mi zalecał, abym nie żenił się przed sześciomiesięcznym okresem narzeczeństwa, mając na względzie mój charakter i obciążenia. Lecz była to rada dobra dla ludzi niezdecydowanych, a me dla kogoś, kto przeżył całe życie mając tylko jeden wielki cet

— Oczywiście — odrzekła — i ja chcę wyjść za ciebie, jeźdź mnie kochasz.

Zapewniłem ją o tym gorąco.

— Jeżeli po obiedzie nadal będziesz mnie kochał — powiedziała — poprosz mnie znowu o rękę.

62S

Przyniosła mi ten obiad do łóżka, które kupiła na licytacji, koloru kości słoniowej, z malowanymi wianuszkami i sielskimi różyczkami. Przywieziono je z Bawarii. Karmiła mnie w tym łóżku i nawet nie pozwoliła samemu smarować masłem chleba. Usługiwała jak elektorowi, a ja z kolei rzucałem resztki psu i kotu.

Czuła się w obowiązku powiedzieć mi wszystko o sobie.

— Co roku kupuję los Totalizatora Irlandzkiego,

Nie widziałem w tym nic niewłaściwego,

— Jestem też mistyczką, zwolenniczką Gurdjieff'a,

To było dla mnie czymś nowym. Pokazała mi zdjęcie tego staruszka — ogolona głowa, głębokie oczy i wąsik wedle starej szkoły weteranów wojny krymskiej). Nie widziałem w nim niczego specjalnie złego.

Co jeszcze? Wydawała mnóstwo pieniędzy na stroje. To widziałem. Jej szafy były wypchane sukniemi. Lecz nie zwracałem sobie tym głowy. Skoro zgadzała się z moimi planami założenia internatu i szkoły, a odnosiła się do nieb entuzjastycznie, jaki wpływ mogła mieć na to jej garderoba? Prawdę mówiąc byłem dumny, że jest taka elegancka. Miała też długie, powiedziała.

— To co, kochanie? Spłacimy je. Ces/ la moindres choses jak mówią za oceanem. — Gdy czułem się kochany i siedziałem w tak pięknym łóżku, byłem jak król i załatwiałem wszelkie sprawy jednym słowem.

Postanowiliśmy się pobrać, gdy tylko skończę Sheeps-head.



## Rozdział XXIV

Widzę następnie przed sobą człowieka nazwiskiem Mintouchian, który jest oczywiście Ormianinem. Siedzimy sobie razem w łaźni tureckiej i gawędzimy, tyle że mówi głównie on, wyjaśniając mi różne fakty życiowe, na ogół przez alegorię. Dzieje się to na tydzień przed moim ślubem ze Stellą i przed wyjściem w morze.

Ow Mintouchian był człowiekiem monumentalnej postury, z głową wprawdzie ściętą z tyłu, jak to czasami bywa u Ormian, ale z przodu iście lwią, z czerwonymi kośćmi policzkowymi. Nogi miał na podobieństwo nóg posągu Clemenceau na Polach Elizejskich, gdzie Clemenceau kroczy pod wiatr i myśli o chlebie i wojnie, doli i niedoli, kroczy ostatkiem sił w długich gaciach i getrach.

Siedząc razem w tym małym, wyłożonym białymi kafelkami pomieszczeniu jesteśmy dość zbratani mimo różnicy wieku i dochodów — Mintouchian miał opinię nadzianego. Wyglądał imponująco i mówił dudniącym głosem, jakby ktoś zsypywał węgiel. Pewnie mu się to przydawało w sądzie, ponieważ był adwokatem. Przyjaźnił się z przyjaciółką Stelli, niejaką Agnes Kuttner. Agnes mieszkała luksusowo w pobliżu Piątej Alei, nie opodal jednej z ambasad latynoamerykańskich, w mieszkaniu umeblowanym w stylu empire, z wielkimi lustrami i kandelabrami, chińskimi parawanami, alabastrowymi ptakami nocy, grubymi kotarami i podobnymi luksusami. Włóczyła się po aukcjach skupując skarby Romanów i Habsburgów. Pochodziła z Wiednia. Mintouchian 630 otworzył jej konto, więc wcale nie zajmowała się antykami zawodowo i jej mieszkanie było jego domem poza domem, jak to czasem mylnie o sobie twierdzą hotele. Jego drugi dom znajdował się też w Nowym Jorku, lecz żona Mintouchiana była kaleką. Co wieczór udawał się tam, by zjeść z nią kolację, którą podawała pielęgniarka w jej sypialni. Przedtem jednak odwiedzał Agnes. Zwykle szofer odwoził go przez Central Park o 7.45 na ten posiłek z żoną.

Siedziałem z nim w to popołudnie w łaźni, bo Stella i Agnes poszły po ślubne zakupy. Ci dwoje, Agnes i Mintouchian, to jedyni ludzie, jakich widywaliśmy, gdy byłem na przepustce. Lubił zabierać nas do „Dzidzi Shor” albo pod „Diamentową Podkowę” i w inne miejsca za zdobnymi w złoto i szkarłaty drzwiami. Gdy raz wyciągnąłem rękę po rachunek, bezceremonialnie ją odepchnął. Musiałbym i tak zapożyczyć się u Stelli, żeby móc zapłacić. Mintouchian był bardzo hojny, miał wielokopański gest. Niemal zawsze ubrany wieczorowo w rembrandtowską czerń, miał oczy w czerwonych obwódkach, kanciastą głowę i uszy, i płaski nos jakby węszący piaski i sawanny, lecz także uśmiech „graj muzyko” i „płyn forso”. Zęby miał długie i ciut, ciut szelmowski wyraz przy rozciągniętych ustach i zmarszczkach znamionujących inteligencję i zepsucie. W obecności pań nie pozwalał sobie na ten wyraz, ale teraz, gdy siedział niczym naczelnik południowoazjatyckiej wioski, w karnawałowych barwach ręcznika, mógł się nie kryć i rozprawiając jak mężczyzna z mężczyzną szczypał się pod oczyma, aby usunąć worki — żółte paznokcie u nóg malował przezroczystym lakierem z wyjątkiem małych palców, boleśnie pogrzebanych w zniszczonych życiem stopach o przyłkowanej skórze. Zastanawiało mnie, czy nie jest jednym z tych niedotykalnych i niebezpiecznych facetów jak Zaharoff albo Juan March, albo Król Szwedzkich Zapalek, Jake Golibroda czy Trójpalczy Brown. Stella mówiła mi, że on sam nie wie, ile ma pieniędzy. Z pewnością dużo wydawał na Agnes, którą poznał na Kubie. Opłacał jej męża, żeby się stamtąd nie ruszał. Mimo że, jak się przekonałem, nie jest z gruntu uczciwy, nie należał też do galerii łotrów. Prawdę mówiąc, dla zdobycia prawniczego

wykształcenia grywał na organach w niemych kinach. Za to teraz został bombowym adwokatem i miał udziały w światowych firmach, poza tym był wykształcony i ocytany. Do jego dziwactw należało wgłębianie się w takie sprawy jak bitwa pod Tannenbergiem albo budowa kolei Berlin—Bagdad, poza tym wiedział wiele o życiu świętych męczenników. Zaliczał się do tych osób, które stale wyrastają przede mną podsuwając mi rady życiowe i pouczenia na całej trasie mojej ziemskiej pielgrzymki.

Nie mogłem odgadnąć, co widział w Agnes, która wyraźnie trzymała go pod pantoflem. Miała ciemno-brązowe oczy arystokratycznej faworyty kawiarni i powozów za dni Imperium, chociaż musiała być w owych czasach zaledwie dzieckiem. A ponadto miała lekkie wgłębienia po obu stronach zadartego nosa, co nie wywoływało wrażenia otwartości. Niemniej była przyjaciółką Stelli i Mintouchian ją kochał. Budziło to we mnie refleksje nad głębią pragnień ludzi starszych lub pożądaniami, których nic prócz śmierci nie jest w mocy uśmie- rzyć.

— Śmierć! — powiedział do siebie Mintouchian. Mówił mi właśnie o udarach, które przeżył. — Nie chcę cię wprowadzać w ponury nastrój tuż przed ślubem.

— Ach nie, nic nie może mnie wprowadzić w ten nastrój. Za bardzo kocham Stellę.

— No cóż, nie powiem, że bym był aż tak szczęśliwy jak ty, kiedy się żeniłem, ale też bardzo mnie to wzruszało. Może dlatego, że grywałem wówczas nastrojową muzykę. Pod przygody morskie podkładałem Jaskinię Fingala. Pod Rudolfa Valentino Orient ale, pod Cesara Cui Czajkowskiego Tęsknotę. Także Chłopa i poetę. Spróbuj sam brnąć przez to, kiedy Milton Sills widzi, że Conway Terle nie utonęła na Titaniku albo co innego. Grałem to wszystko z podręcznika prawa cywilnego, bo właśnie przygotowywałem się do egzaminu adwokackiego. Ale mimo wszystko były to czasy wzruszeń. A może myślisz, że lżę?

— Nie, skądże.

— Myślisz, że jestem bandytą, tylko że za nic nie chcesz tego powiedzieć. Za bardzo tłumisz swoją niechęć.

632

— Każdy mi to mówi. Jakby się z góry zakładało, że człowiek musi wszystko krytykować. Nie powiem, że bym był aniołem, ale staram się w miarę możliwości odnosić do ludzkich spraw z szacunkiem.

— W ciągu jednego dnia praktyki — rzekł Mintouchian — widuję więcej, niż można sobie wyobrazić. Komedia ludzka Balzaka jest w porównaniu z tym dziecinną igraszką. Budzę się rano i muszę stawiać sobie pytanie: „Kto kogo stara się wyrolować w sprawie Shmil contra Shmil? Kto na tym wyjdzie gorzej? Mąż, który zabiera dziecko żyjącej w grzechu matce? Kochanek, żądający od niej, aby zrezygnowała z dziecka, bo nie chce rozgłosu, który mógłby mu zaszkodzić w interesach? Matka, która robi wszystko, czego kochanek zapragnie?” Ribono shel Olami

Zdumiałały mnie te słowa, ale zaraz wyjaśnił:

- Mój ojciec był dozorcą synagogi, więc pałętałem się wokół tej piwnicy. Miałem wuja, który był pułkownikiem w wojnie burskiej. Kto jest czym? Więc jeśli historia rzuca na nas dziwne, a nawet śmieszne światło, mimo to zachowujemy powagę, no nie? I tak umieramy. — Wrócił do tematu udarów. — Kilka lat temu siedziałem sobie na sedesie rozmyślając nad jakąś ważną sprawą, gdy nagle Anioł Śmierci pociągnął mnie za nos. W głowie zrobiło mi się ciemno. Upadłem na twarz. Myślę, że gdyby nie brzuch, który zamortyzował upadek, mógłbym się zabić. Krew z nosa opryskała drzwi jak woda sodowa. Które, w swojej próżności, zamknąłem za sobą. Potem stopniowo powróciła iskra życia. Mój umysł z powrotem wypełnił się typową dla Mintouchiana myślą i blaskiem. Teraz, pojąłem, jestem znowu Mintouchianem. Jakbym miał jakikolwiek inny wybór. Czy muszę powracać do życia jako Mintouchian, razem z jego strapieniami? Tak, mój drogi, bo żyć to znaczy być Mintouchianem. Przejrzałem rejestr wszystkich swych sekretów i przekonałem się, że są na miejscu. Wciąż nie wiedziałem, kto kogo roluje, i wpełzłem do łóżka drżąc od dotyku śmierci.

Ale mówiłem właśnie — uśmiechnął się jowialnie ze szczerym spojrzeniem z ukosa, a potem-ziewnął pławiąc się w złotym świetle — o tym, jak człowiek walczy z własną niechęcią. Jak życie przebiega poza sumieniami

633

grzecznych, dobrze wychowanych ludzi. Dobre wychowanie nie dopuszcza do nich nawet świadomości tego, o czym myślą. Bo wszyscy myślimy mniej więcej o tym samym. Kochasz Stellę, prawda?

Jak nikogo dotąd,

- Świetnie, Oto jest męska odpowiedź, Kiedy się urodziłeś?

W styczniu.

Gotów byłbym przysiąc, że tak. Ja też urodziłem się w styczniu. Tak jak w moim przekonaniu najwybitniejsi ludzie. I o kwest>a barometryczna „, możesz to sprawdzić u Ellswortha Huntingтона, Rodzice kochają się na wiosnę, kiedy organizm jest najzdrowszy, i poczynają najlep- szych przedstawicieli gatunku. Jeżeli pragniesz dzieci, staraj się podbijać umiłowaną właśnie o tej porze roku. Pradawna mądrość jest nieomylna. Potem przychodzi nowoczesna wiedza i ją potwierdza. Ale co chciałem powiedzieć o twojej narzeczonej, nawet o niej, to to, że nie jest wcale inna od reszty z nas, poza tym, że jest bardziej utalentowana i piękniejsza. Jest absolutnie pewne, że myśli o przyszłości zarówno z tobą jak i bez ciebie.

Powiem wam, gdy mam być szczerą, Ja chcę wyjść za milionera, A gdy umrze, zamiast płakać, Następnego będę łapać.

To ma miejsce w głębszej świadomości, która jest wyjęta spod prawa i z niczym się nie liczy, I co z tego? To też można przeżyć. Tylko że nawet rzeczy słuszne i rozsądne muszą przejść przez tę Mongolię czy też bezdrzew- ną pustynię jasnego blasku. Co cieszy się większym poważaniem niż handel i przemysł? A kiedy pan Cccii Rhodes z Imperium Brytyjskiego leje łzy, że nie może robić interesów z gwiazdami na niebie, nic jest to dekadencja, Iccz głos głębszej świadomości,ponad najszczytniejszymi dokonaniem aroganckiego człowieka.

Czułem się głęboko urażony, gdy wyrażał się w ten sposób o Stelli. Jak on śmie, ten bezczelny drań, mówić mi, że Stella mnie uśmierciła w swojej głębszej świadomości? Płonałem z oburzenia.

634

Najpierw mówi pan o pradawnej mądrości — rzekłem w gniewie a potem drwi pan z miłości.

Bo jest ze mnie kawał skurwysyna! — odparł wstając w tym tureckim żarze i poprawiając rękaw. Nie zamierzałem urazić niczyich uczuć. Do licha! Jeżeli to uczyniłem w tej pogawędce dla zabicia czasu, prze- prasam. Widzę, że jesteś naprawdę zakochany. Niechaj cię Bóg błogosławi za tak szlachetne uczucia! Poza tym niedługo wypływasz w morze i niebezpieczeństwo, a także rozłąka z ukochaną pobudza naturalne odruchy, W tej piosence małych dziewczynek tkwi jednak pradawna mądrość. Nie jest to powód do cynizmu, ale do dumy ze zwycięstwa natury. Umysł ludzki objął eksplodujące oceany przestrzeni wszechświata — głowa pochłonęła empireum. Lecz nie wolno również przeoczyć mnogości potajemnych knozań i spisków.

— Słuchaj, skoro już o tym mówimy, pozwól, że ci przedstawię kilka przykładów tego, co dzieje się w innych częściach duszy, na podstawie mojej praktyki. Kilka lat temu żona jednego z klientów doniosła, że zgubiła cenną bransoletę. Kobieta ze wszech miar godna zaufania, matka trojga dzieci, żona bogatego męża, który jej dał majątek wart stu tysięcy dolarów, zachowując sobie tylko rolę jej pełnomocnika. Zgubiona bransoleta? Bardzo dobrze. Dla towarzystwa ubezpieczeniowego taka sprawa to drobiazg. Prowadzą dochodzenie, wracają do męża i mówią: „Twoja żona nie zgubiła bransolety, tylko dała ją swojemu kochankowi, który był zrujnowany." Joj, oburzenie! „Moja żona, kochankowi? Moja szanowna małżonka, matka dzieciom, która okazuje mi nieustanną czułość i dowody lojalności? Moja umiłowana żona, ukochana od \atT<sup>f</sup> Niemniej swędziało ją, dawała dupy czy jak tam to nazwiesz. Nieszczęśliwy człowiek. Złamane serce! Jak to możliwe! Można sobie wyobrazić jego ból i osłupienie, że kryła przed nim taką tajemnicę. Kiedy on ciężko harował, chcąc mieć pewną, gwarantowaną podstawę do sądzenia, że życie może potrwać dłużej niż od czwartku do soboty, nagle życiowy zawód. Jeżeli nad czymkolwiek warto płakać, to właśnie nad tym. Jednakże nie mógł wierzyć na słowo agentowi ubezpieczeniowemu, więc przyszedł do mnie, a ja postarałem mu się o prywat-

635

■■■pn

nego detektywa. Ten potwierdził wszystkie fakty, że kochanek jest łobuzem z karierą więzienną za stręczycielstwo i handel kradzionymi towarami. Pokazał nawet nieszczęśnikowi jego zdjęcie, aby mógł wiedzieć, co to za typ. Gruby nos, długie bokobrody. Znasz ten rodzaj ludzi. No cóż, nieszczęsny mąż odchodzi od zmysłów. W dodatku dowiaduje się, że w całej dzielnicy on jeden tylko nie orientował się w sytuacji. Widywano ich w samochodzie zaparkowanym to tu, to tam. W lesie, w krzakach. Przygniata go to jak walący się dom. „Czy jest jeszcze ktoś wśród was, kto widział ten dom w jego pierwotnej chwale? I jak on teraz wygląda?”

Nieszczęsny człowiek. Strasznie mi go było żal.

— Ludzie zaczynają mówić: „Wyrzuć ją, człowieku! Nie bądź ofiara! Tamten ją przyznał i był jej pieściosz-kiem za twoje pieniądze.” Więc nie mogąc tego więcej znieść oskarża ją. A ona wypiera się wszystkiego. Co do joty. Wówczas on przedstawia nazwiska, miejsca, daty i ona nic już nie może powiedzieć. Wszystko prawda. W końcu mówi: „Nie opuszczę domu i dzieci, bo są moje.” Wtedy on przychodzi do mnie po radę. Całe prawo jest po jego stronie. Może wyrzucić ją na ulicę, jeżeli chce. Ale czy chce? Nie!

Jak żona Ozeasza, która się łajdaczyła. „Przez wiele dni masz zostać w spokoju” — myślałem.

— I powiem ci coś jeszcze. Ona swojego męża także kochała. Proszę, jak zagmatwane bywają sytuacje. Porzuciła swojego lalusia-cacusia. A potem sąsiedzi widzieli ją z mężem w kinie, jak trzymali się za ręce i całowali niby młodzi kochankowie.

Ucieszyłem się, że to się tak skończyło i że sobie wzajem wybaczyli. Serce podskoczyło mi z radości, że im się udało.

— Żona też zasługuje na litość — powiedziałem.

— Ona zasługuje na jeszcze większą litość — rzekł Mintouchian — bo musiała kłamać i wieść podwójne życie. Ta skrytość jest prawdziwym ciężarem. Wracasz do domu jeszcze dyszący, ociekający lub oszołomiony po spotkaniu. I co zastajesz? Inny świat, inne życie i sam jesteś inny. Wiesz także dobrze, co robisz. Zupełnie jak aptekarz, który przechodzi od jednej recepty do drugiej.

636

Akurat taka jak trzeba ilość atropiny lub arseniku. I słusznie. I bardzo słusznie! — powiedział to z rodzajem barbarzyńskiego przekonania. Nie mógł się od niego powstrzymać. — Wracasz do domu. „Witaj żono lub mężu.” „Jak tam było dzisiaj w biurze?” „Jak zwykle. Widzę, że zmieniłaś prześcieradła.” „Wysłałam też ratę ubezpieczeniową.” „Świetnie.” Więc jesteś kimś zupełnie innym. Gdzie są te słowa wypowiedane przed godziną? Gdzie jest Centrala? Och, mój przyjacielu, Centrala nasłuchuje z Mongolii. Mówisz, podwójne życie? To sekret na sekrecie, tajemnica ze znakiem nieskończoności. Któż więc zna jej ostateczną wielkość i gdzie jest godzina prawdy?

— To, oczywiście — rzekł — nie ma nic wspólnego z tobą. — Uśmiechnął się i próbował trochę się rozpogodzić, ale w tym super oświetlonym pomieszczeniu do pocenia pozostał nadal jakby jakiś mrok. Po nieudanej próbie mówił dalej: — Opowiem ci jeszcze jedną sprawę, tylko dlatego że jest ciekawa. Miałem przed wojną taką zamożną parę ludzi. On przystojny, ona szalowa. Connecticut, Yale, rozumiesz, te sfery. Mąż jedzie do Włoch w sprawach służbowych, poznaje pewną Włoszkę i ma z nią affaire de coeur, a następnie, po powrocie, koresponduje niedyskretnie z ową damą. Żona przechwytyje list miłosny, który on nosi w kieszeni. Nie tylko nosi ten list, March, lecz tam, gdzie skreślone ukochaną dłonią słowa zbladły od jego potu, poprawia je własnym piórem. Następnie żona przychodzi z mordem w oku do mnie. A ja tymczasem wiem na pewno, że kiedy mąż był nieobecny, ona sama bałowała z innym panem. Ale teraz chce ukarać męża. Ponieważ go złapała! Chce, żeby mąż jechał z nią do Włoch, spotkał się z tą panią i zaprzeczył, że ją kiedykolwiek kochał. W przeciwnym razie rozwód. Ja naturalnie nie mogę powiedzieć mężowi, co ma robić, i on jedzie. Siedem tysięcy mil podróży dla dokonania tego niezbędnego aktu. Potem wracają do domu i co? Jesteś inteligentnym człowiekiem, wiesz, co się potem stało.

- On się dowiedział o niej. Panie — powiedziałem, tym razem podejrzliwie — co te opowieści mogą mieć wspólnego ze raną, właśnie teraz, przed ślubem? Chce

637

pan, żebym się zraził do małżeństwa? — Wrząłem na samą myśl o tym.

— Hola! Nie bierz tego do siebie. Wcale nie mówiłem, że te opowieści odnoszą się do ciebie. One prawdopodobnie mają tylko ogólne odniesienie. Czy ja mógłbym coś powiedzieć przeciw panie Chesney? Nie tylko dlatego, że jest przyjaciółką Agnes, lecz ponieważ za nic nie chciałbym nikomu psuć zabawy, stawać na drodze prawdziwej miłości, którą po tobie widać. — Ale może zainteresuje Cię tak samo jak mnie, co jeden spryciarz powiedział mi kiedyś o związku pomiędzy miłością a cudzołóstwem. W jakikolwiek dzień, gdy czujesz się szczęśliwy, wiesz, że to nie jest trwałe, że pogoda się zmieni, podupadniesz na zdrowiu, skończy się ten rok i życie też się skończy. Innego dnia w innym miejscu będzie już inna kochanka. Twarz, którą całujesz, zmieni się w jakąś inną twarz, a tak samo zmieni się twoja własna. Nic się na to nie poradzi, mówił ten facet. Oczywiście był strasznym skurwysynem, cholernym nierobem, całe życie utrzymankiem kobiet. Porzucił swoje dziecko i nikt nie mógł na nim polegać. Miłość to cudzołóstwo, powiedział, i wyraża zmianę. Człowiek godzi się ze zmianą. Inne miasto, inna kobieta, inne łóżko, ty jednak jesteś ten sam, więc musisz być elastyczny. Całujesz kobietę i okazujesz przez to, jak miłujesz własny los, jak wielbisz i czcisz te życiowe zmiany. Stajesz się posłuszny temu prawu. Miał czy nie miał łobuz racji, niechaj go Bóg skarże! A nie myśl, że możesz nie poddać się prawom życia.

Mój dziwny nauczyciel, bo wyraźnie mnie pouczał, stwierdził następnie:

- Brak konsekwencji jest do kitu. Jedynie system jest zgodny z wolą wszechświata.

— Chcę być posłuszny tym prawom — powiedziałem. — Nie próbuję się migać. Nigdy nie próbowałem.

Pot płynął teraz obficie z naszych twarzy i karnawałowy ręcznik, który się zsunął z jego tłustej piersi i spod pach aż do błotnego mchu brzucha, był jak szata mędrca. Nie mogłem się zgodzić, by miłość miała być cudzołóstwem. Nigdy! Coś podobnego! Nawet jeśli musiałem przyznać, że wielu kochanków było cudzołożnikami, jak Paolo i Francesca lub Anna Karenina, ulubienica babci Lausch.

638

Co mi przywiodło na myśl cierpienie, jakie wiąże się z miłością. Jak spożywanie zepsutego owocu, aby nie obrazić bogów, dla których zarezerwowana jest nieskażona radość.

Mintouchian jakby się uśmiechał, z wielką, szyderczą dobrocią na złanej potem twarzy, niczym mędrzec, prorok albo guru, księżę doświadczenia życiowego z paznokciami u nóg jak klejnoty. Pragnąłem, aby udzielił mi swojej mądrości.

— Czemu musisz myśleć, że to, co tolerujesz, jest właśnie rzeczą, która cię zabija? Bo jesteś autorem własnej śmierci. Co jest tą bronią? Młot i pazury twego charakteru. Co krzyżem? Twój własny kościec, na którym stopniowo opadasz z sił. A mąż czy żona sprawiają, że drugie z nich dokonuje tego dzieła. „Miła połowico, będziesz twórcą mego losu”, mogliby równie dobrze powiedzieć i pokazać, w jaki sposób. Ryba pragnie wody, ptak powietrza, a my dwoje naszej dominującej idei.

— A może pan powiedzieć, co jest pana dominującą ideą?

— Tajemnice — odparł zaraz. — Oczywiście, społeczeństwo sprawia, że je posiadamy. Braterstwo ludzi pragnie nas od nich wyzwolić mocą wyznania. Lecz ja muszę rodzić tajemnice. Będę z nich znany po śmierci, jak święty Błazej rzekomo zabity gremplami do czesania wełny i dlatego uczyniony potem patronem gremplarzy.

— Komplikacje, kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa! — mówił. — Maski, wodewile, wielorakie osobowości, choroby, konwersacje. Czy zdajesz sobie sprawę, ile razy twoje uczucia zostają przemienione w ciągu zaledwie kilkuminutowej rozmowy, zanim staną się takie, jak mówisz? Ktoś mówi ci A. Twoja odpowiedź jest B. Ale nie możesz powiedzieć B, więc przetwarzasz je, przepuszczasz przez uzwojenia w piersi. Z prądu stałego na prąd zmienny, zwiększone do czterystu wolt, przeffllt- rowane. I zamiast B wychodzi jeden przez gamma. Im dłuższy proces przetwarzania, tym mniejsza wartość wyrazu jeden przez gamma. Zważ, że jestem wielkim admiratorem naszego gatunku. Odnoszę się ze złością do geniuszu naszej rasy. Lecz większą część tego geniuszu poświęcamy kłamstwu i wysiłkom, aby uchodzić za to,

639

czym nie jesteśmy. Strasznie nam się podoba, kiedy Ulisses powraca w przebraniu, aby wziąć odwet. Ale założmy, że zapomniał, po co wrócił, i tylko przesiadywał sobie dzień w dzień w przebraniu. To zdarza się wielu słabym duszyczkom, które zapominają, po co jest przebranie. Nie rozumieją złożoności, nie wiedzą, jak powrócić do prostoty. Mówiąc każdemu co innego, zapominają, o co pierwotnie im chodziło i czego pragną. Jak rzadka bywa prostota myśli i czystość serca! Chylę czoło, aż do ziemi, przed chociażby chwilą czystości serca. Dlatego tak cię cenię, gdy mówisz, że jesteś zakochany. Szanuję ten stan, sam też jestem człowiekiem, który kocha.

Niech go Bóg błogosławi! Co za pocziwy człowiek! Naprawdę to widział, więc odwzajemniłem się mu miłością za miłość.

- Pan to zrozumie, gdy powiem, że zawsze starałem aę być, czym jestem. Co za okropna sprawa. Bo co, jeśli to, czym jestem z natury, nie wystarcza? — Byłem bliski łez, kiedy to mówiłem. — Ale chyba tak czy tak dam sobie spokój i pozostanę, jaki jestem. Nie będę zmuszał ręki losu, aby stworzyła lepszego Augie'ego Marcha, ani zmieniał czasu na wiek złoty.

— Bardzo słusznie. Musisz postawić na to, czym jesteś. I nie możesz tkwić nieruchomo. Znam tę łamigłówkę, jeśli się ruszysz, możesz stracić, lecz jeśli będziesz tkwić nieruchomo, zgnijesz. Tylko co stracisz? Nie wymyślisz niczego lepszego niż Bóg czy natura ani nie przemienisz się w człowieka, który już ma wszystkie dary i nie musi się rozwijać, póki się nie mszysz. To nie jest nam dane.

— Tak jest, bardzo panu dziękuję — powiedziałem. — Jestem panu bardzo wdzięczny za to wyjaśnienie.

Działo się to na pięćdziesiątym ósmym piętrze budynku w środku Manhattanu, za szklanymi, rozsuwanymi drzwiami. Nie ma co udawać tak zblazowanego, by o tym nie wspomnieć.

— Lepiej umrzeć takim, jakim się jest, niżli żyć wiecznie obcym — dodał.

Po tych słowach trwał przez chwilę w pełnym skupienia milczeniu, jakby liczył kapiące gdzieś krople. Czego to były krople? Czystej esencji czy żółci?

640

— Sądę, że zainteresuje cię sprawa, która mnie dręczy od miesięcy. — Żółć. Teraz zrozumiałem. Jego wielkie oczy przygasały i posmutniały.

— Mówiłem ci o tamtej bransolecie — rzekł — ponieważ biżuteria nie schodzi mi z myśli z powodu brylantowego pierścionka, który pani Kuttner, Agnes, straciła przed kilkoma miesiącami. Powiedziała, że napadnięto ją w Parku Centralnym, kiedy wyprowadziła wieczorem psa, i zrabowano pierścionek. Bywa, oczywiście, że się napada ludzi.

— Ale po co brać pierścionek z brylantem, gdy się wychodzi z psem?

— Jest na to wytłumaczenie, ponieważ była umówiona ze mną. Na szyi miała ślady palców. Wystarczający dowód, no nie? Znalaziono ją nieprzytomną na ścieżce między Muzeum Metropolitalnym a terenem zabaw dzieci. Policja przywiozła ją do domu. Dosyć przekonująco, prawda?

— To brzmi zupełnie...

— Podjęła pięć tysięcy dolarów ubezpieczenia. A teraz powiem ci w całkowitym zaufaniu, że wszystko to zrobiła sama.

— Co? <sup>"7?\_n</sup>

— Zdusiła się aż do utraty przytomności. Ślady na szyi zrobiła własnymi palcami.

— Jak mogła to zrobić?

— Mogła.

Wizja tej wiedeńskiej piękności duszącej się za szyją w parku o zmroku wprowadziła mnie w osłupienie.

— Skąd pan wie?

— Stąd, że jedna z jej przyjaciółek przechowuje ten pierścionek dla niej.

— Ale co ona kombinuje?

— W tym cała rzecz. Daję jej tyle pieniędzy, ile potrzebuje. Do tego posyłam czekę jej mężowi na Kubę. Więc po co Agnes ten ekstra szwindel?

— Może odkłada sobie coś w rodzaju ubezpieczenia na przyszłość. Czy pan ją jakoś zabezpieczył?

— Ona jest bardzo zaradna, jeśli o to chodzi. W tym moja największa nadzieja. Czyją zabezpieczyłem? Oczywiście. Kupiłem jej dom na Long Island. Ale jeżeli to coś

641

innego? Rozumiesz sytuację? Ona ma przede mną sekrety. Prowadzi podwójne życie.

— Może się okazać, że chodzi o najzwyczajszą rzecz, że na przykład ma brata, który znalazł s\*ę w kłopotach, a nie chce panu o tym mówić. Albo ma dość proszenia o pieniądze i sama chce je robić.

Zdawał sobie sprawę, że próbuję go pocieszyć,

— Są na to łatwiejsze sposoby. Nie, a jeśli chce kogoś spłacić? Och, moja praktyka adwokacka każe mi być podejrzliwym. Widzisz, w co się wrobiłem? — zapytał.

— Przy swoim poglądzie na świat?

Czasem znając kogoś krótko można się do niego bardzo zbliżyć. Tak właśnie stało nę ze mną i Mintouchianem.

W tę sobotę, gdy Stella i Agnes wskutek nieporozumienia nie przyszły do biura, gdzie na me czekaliśmy, Mintouchian bardzo się denerwował. Ponieważ zbliżała się godzina kolacji z żoną. W końcu posłał szofera do mieszkania Stelli z zawiadomieniem, że będziemy tam o wpół do dziesiątej, i zawiózł mnie taksówką przez park do swego domu.

Posiałem więc panią Mintouchian. Nie mogłem się zorientować, na czym polegały jej dolegliwości. Była ubrana w niebieski pikowany szlafrok i miała siwe włosy. Dostojna, jeśli nie wyniosła. Jej zachowanie sprawiało na mnie wrażenie przejmującego wyczynu sportowego.

Potraktowała mme z ogromną wyższością.

— Haroldzie, martim trzeba przygotować w kuchni

— powiedziała do Mintouchiana. Wyszedł więc, a wtedy zaraz, niemal gwałtownie mnie zapytała: — Kim jesteś, młody człowieku?

Ja? Jestem klientem pana Mintouduana. Za kilka dni saę żenię.

- Nie oczekuję, że ań cokolwiek powiesz — rzekła. Wiem, że Harold ma swoje sekrety. To znaczy, tak mu się wydaje. Wiem o mm wszystko, bo cały czas o nim myślę. To me takie trudne, jeśh saę o kimś cały czas myśli. Nie macę opuszczać tego pokoju.

Byłem zdumiony. Czuję, że mi saę oczy rozszerzają.

- Znam pana Mintouchiana od bardzo niedawna, 642

proszę pani, ale moim zdaniem jest to wielki człowiek — powiedziałem.

— Och, zdajesz sobie z tego sprawę? Jest wielki, mamó że aż nazbyt ludzki.

Groza mnie przejmowała, że gdy ten lew, Mintouchian, lkał w gąszczach, jak mniemał, samotności, ta chora stała nasłuchując za jego plecami.

Lecz oto właśnie nadszedł z kieliszkami i rozmowa się skończyła.

Cóż mogło kogoś odurzonego tak jak ja miłością powstrzymać przed małżeństwem? Nie jestem pewien, czy Mintouchian próbował to zrobić, lecz jeśli tak, to nie miał szans, bo nie hołdowałem podejrzliwości. Odegrał jednak rolę dobrego przyjaciela. Zamówił nam do domu przyjęcie weselne, kupił wszystkim róże i gardenie. Niebo nad ratuszem było błękitne i w powietrzu jakby drżała muzyka. Kiedy zjeżdżaliśmy windą na dół, przypomniałem sobie, jak ponad rok wcześniej stałem na dachu Szpitala Powiatowego w Chicago i myślałem, że z całej naszej rodziny, włącznie z babcią, jedynie Simon zdołał ominąć wszelkie zakłady opieki społecznej. Lecz teraz już nie miałem powodu mu zazdrościć. Zazdrościć? Przecież pobiłem go z kretesem żeniąc się z kobietą, którą kocham, a przeto dokonując prawdziwego postępu na jedynie słusznej drodze życia. Mówiłem sobie, że mój brat jest rodzajem człowieka, który mógłby opuścić ten świat tylko takim, jakim go zastał, i przekazać odziedziczony los swoim dzieciom, o ile je posiada... nie byłem pewny, czy je ma. Tak, oto jak podobni jemu ludzie podlegają wszelkim obowiązującym prawom, niczym szczyty górskie, które się skłaniają ku odpowiednim dla siebie polom magnetycznym, albo jak kraby w zielskach czy kryształki w grotach. Natomiast ja, wsparty miłością, zaznałem znacznie lepszego losu i sam kształtowałem własną rzeczywistość, nie zaś pozostawałem na jej łasce lub niełasce. I oto miałem obok siebie pannę młodą, która z twarzą 644

plonąca radosnym podnieceniem pragnęła, czego ja pragnąłem. W swoim czasie popełniała błędy, lecz teraz wszystkie te błędy zostały zatarte.

Wyszliśmy na schody. Wokół spacerowały gołębie i na zamówienie Mintouchiana czekał fotograf, żeby zrobić weselnikom zdjęcie. O wszystkim pomyślał, dla wszystkich był miły.

Poprzedniego dnia ukończyłem Sheepshead i miałem w kieszeni nowe zaszeregowanie. Uśmiech mi się zmienił, bo mi wstawili gratis nowe dolne zęby, w miejsce utraconych w Meksyku. Muszę wyznać, że oprócz namiętnej miłości i dumy nowożeńca, miałem w sobie banieczkę, jak bańka powietrza w stolarskiej poziomnicy. Byłem jednak ogolony i uczesany jak aktor filmowy, a nadto ustrojony w nowy mundur, na którym brakowało jedynie gwiazdek i pasków. Bardzo bym chciał je mieć i móc poślubić moją piękność jako bohater w służbie kraju. Obiecywałem sobie, że pozostanę skromny. Jednakże nie pokazywałem chyba po sobie, jak bardzo byłem zdenerwowany. Nie tylko dlatego, że wkrótce po ślubie miałem wyjść w morze, lecz także ponieważ Stella za tydzień wyjeżdżała na Alaskę i Wyspy Aleuckie z występami. Bardzo mi to było nie w smak.

Nie chciałem, oczywiście, nic mówić, żeby nie zepsuć uroczystości. Zrobiliśmy zdjęcia całej grupy, która obejmowała również Agnes i Sylwestra. Spoglądałem teraz na Agnes innymi oczyma, odkąd wiedziałem o jej samoudu- szeniu. Miała na sobie piękny szary kostium podkreślający jej biodra, a także wysoki kołnierzyk, jakby dla zasłonięcia gardła.

Na kredensie w mieszkaniu Stelli stały półmiski z indykiem i szynką oraz koniak, szampan, owoce i tort. Przyjęcie było wspaniałe. Ponieważ do Nowego Jorku przyjechał Robey z Frazerem, więc ich też zaprosiłem i miałem kim się pochwalić. Frazer zjawił się w mundurze majora. Broda Robeya zgęstniała, on zaś sam przybrał na wadze w Waszyngtonie. Siedział sobie sam w rogu pokoju ściskając kolano splecionymi dłońmi i prawie się nie odzywał. Rozmowa była ożywiona i bez niego.

Po kilku kieliszkach szampana Sylwester się rozpogodził. Śmieszny, melancholijny facet z tego Sylwestra.



Chciał, aby go brano poważnie, ale zdradził się swoimi posępnymi uśmieszkami i cała beztroska strona jego charakteru wyszła na wierzch. Siedział obok mnie w dwurzędowym garniturze w paski. Ja obejmowałem Stellę w pasie i głaskałem jej ślubną suknię z satyny.

— Co za kasek! — rzekł mi Sylwester. — Ależ ci się trafiło! I pomyśleć, że kiedyś pracowałeś u mnie!

To znaczy wtedy, kiedy był właścicielem kina Star przy California Avenoe, pod dentystą, który znęcał się nad babcią. Sylwester nie był już młodzikiem, miał swoje lata. Mówił,<sup>1</sup> że odszedł od polityki. Chciałem zapytać go

o Meksyk, ale w dniu ślubu nie pora na takie pytania, więc dałem spokój.

Gwiazdą przyjęcia byłem me tyle ja, ile na swój sposób Frazer.

Frazer właśnie wrócił z Dalekiego Wschodu. Pracował w wywiadzie i był związany z misją w Czungkingu.

Rozmawiał z Agnes i Mintouchianem o Wschodzie. Wciąż miałem dla niego podziw i szacunek. Był bardzo przystojny, wręcz idealny. Cechowała go koścista amerykańska elegancja, w swobodzie długich nóg, wysoko wystrzyżonej z boków j^owie, która od szyi po wierzchołek była męska, niemal wychudła, o chłodnawo szczyrych oczach. Wszystkie rysy twarzy miał mocne, ze 7maix7r7kami które zaczynały się pogłębiać od presji świata. I miał w sobie jeszcze coś... jakby siedział w fotelu fryzjerskim ze schnącym płynem po goleniu na twarzy

I wysuniętych ku przodowi pięknych butach kowbojskich. W dodatku bardzo wiele wiedział. Przypuśćmy, że ktoś powiedział coś o d'Alembecie albo Izidorze z Sewilli, Frazer od razu był gotów dyskutować o nich. Zawsze miał coś do powiedzenia. Kroiło się, że zostanie ważną osobistością. Szybował w najwyższych regionach, od jednego życiowego szczytu do drugiego. A przy tym był na luzie. Ale im bardziej od niechcenia i z większą swobodą się zachowywał, tym więcej było w tym dystansu i blasku. Mówił o Tukidydesie lub Marksie malując wręcz historyczne wizje. Aż dreszcz przechodził po plecach. Rozpierała mnie duma z powodu obecności takiego przyjaciela. Nadał ton przyjęciu i wszystkim się bardzo spodobał.

646

Lecz kiedy się przysłuchiwało tej jakże kształczącej rozmowie, czuło się też lęk, jak przy zetknięciu z wysokim napięciem.

Frazer mówił o deklaracjach, rezolucjach, traktatach, kongresach, szczątkach królów, Kromwelach, Lojolah, Leninach i carach, chińskich i indyjskich hordach, głodach, rozruchach, masakrach i ofiarach. Sprawił, że przed moimi oczyma przesuwały się ogromne tłumy Benares, Londynu i Rzymu. Jerozolima powstająca przeciwko Tytusowi, Piekło, kiedy weń wstąpił Odyseusz, Paryż, gdy na ulicach rżnięto konie. Martwe Ur i Memfls. Atomy niemal ciszy, zgasłe czyny, które wydawały zbiorowy ryk. Macedońscy wartownicy. Krety tuneli kolei podziemnej. Pan Kreindl popychający barkiem koła armaty z towarzyszami broni. Babcia i legendarny Lausch w kamizelce kuloodpornej kłócący się na stacji kolejowej w Odessie w dniu wybuchu wojny japońskiej. Moi rodzice spacerujący nad laguną w Parku Humboldta w dniu, w którym mnie poczęli- Kwiecista wiosna.

I pomyślałem sobie, że z tym wszystkim nie da się żyć. Że lepiej o tym częściowo zapomnieć. Że owszem, ten Ganges ze swoimi demonami i władcami istnieje, lecz człowiek ma prawo również umyć w nim nogi i przeprać brudy. Albo że gdyby się nawet miało najwspanialszy samochód, nie wystarczyłoby jednego życia, aby objechać wszystkie kalwarie.

Gdy Fraza tak rozprawał, owszem, kłopotalo mnie, czy stałem się tym, kim mogłem się stać, ale już znacznie mniej, niż gdyby to było przed moją rozmową z Cleniem

o liniach osiowych i z Mintouchianem w łaźni tureckiej. Ogromną ulgę sprawiała mi obecność Mintouchiana.

1 w końcu był to ślubny haracz ... wszystko, co się zdarzyło. Szampan się kończył, mięsa zostały zjedzone, dwaj mężczyźni grający w bezika przy stole do krojenia materiału po drugiej stronie ulicy wkładali marynarki szykując się do wyjścia i nasi goście zaczęli się żegnać. Bywajcie i stokrotne dzięki.

— Prawda, jaki mądry jest mój przyjaciel Frazer?

— Prawda, ale ty jesteś najukochańszy — odparła Stella i pocałowała mnie. Poszliśmy więc do ślubnego łóża.

647

Mieliśmy tylko dwa dni miodowego miesiąca. Musiałem odpłynąć do Bostonu. W wieczór poprzedzający wyjście w morze Stella pojechała tam ze mną pociągiem. I rozstanie było, oczywiście, trudne. Odesłałem ją rano do Nowego Jorku.

— Jedź, kochanie.

— Augie, najmilszy, do widzenia — powiedziała z pomostu wagonu. Niektórzy ludzie w ogóle nie znoszą odjazdów pociągów, a jakże przygnębiające były te odjazdy w czasie wojny, kiedy wagony nikły w dali pozostawiając za sobą całe tłumy, puste szyny poplamione smarem i rosnącą w nieskończoność liczbę podkładów. — Proszę cię — dodała — uważaj.

— Będę uważał — obiecałem. — Nie martw się o to. Za bardzo cię kocham, żeby się dać utopić w pierwszym rejsie. Ty też na siebie uważaj na Alasce.

Mówiła tak, jakby to ode mnie zależało, czy uda mi się bezpiecznie przepłynąć wojenne wody Atlantyku. Lecz ja wiedziałem o co jej chodzi.

— Radar po wykańczał łodzie podwodne — powiedziałem. — Czytałem w gazetach.

Zaimprovizowałem, oczywiście, tę wiadomość prasową, ale z dobrym skutkiem, i mówiłem jeszcze wiele innych rzeczy z tak wielką pewnością siebie, że można by mnie wziąć za wilka morskiego.

Podszedł konduktor, żeby zamknąć drzwi, więc rzekłem:

— Wejdź do przedziału, kochanie, idź już. Widziałem jej wielkie oczy w oknie aż do ostatniej chwili. Kiedy się schylała siedząc na ławce przedziału, przeszył mnie jak sztyletem urok i wdzięk tego ruchu, za którym miałem tęsknić w czasie miesięcy spędzonych na morzu.

Pociąg odjechał, ja zostałem w tłumie z poczuciem pustki i przygnębienia.

Na dobitkę było szaro, wietrznie, a statek, „Sam Mac Manus”, stary. Czarne maszyny na moło obok, ponure urządzenia na pokładzie, smar, szarość, smutek, nawet sam dzień niczym w żelazo oprawiony. Ocean czekał ze wzniosłym, gorzkim wyzwaniem, jakby zapraszając, abys 648

myślał, jak jest głęboki, o ileż zimniejszy od twojej krwi lub bardziej słony, abys go przechytrył odgadując, co z jego strony jest tylko manewrem mylącym i żon gierką, co zaś prawdziwą intencją, z odłożeniem żartów na bok. Nie było to żadne Morze Śródziemne wędrowni apostoła i błakań Eneasza, owe łaskawe, jedwabiste, cudownie perliste wody okresu dzieciństwa wszystkich najpradawniejszych ras. Gdy wypłynęliśmy z portu, Północny Atlantyk, szary brutal, tłukł w statek całą mocą, łomocąc, wałąc, hucząc, z głodnym skwierczeniem soląc grodzie.

Ale już nazajutrz, w słońcu i ciepłe, szliśmy pełną parą na południe. Wyszędłem na pokład po całonocnym ataku choroby morskiej — nawet pigułki Mothersills mi nie pomogły — darty tęsknotą i niepokojem o Alaskę.

Podstarzały statek parł przez wody tak, by człowiek mógł czuć ich ogromną głębię, powietrze zaś stało wonne, promienne. Było przejrzyste. Nawet usmolony „Mac Manus” wyglądał świeżo, jak insekt kuchenny umykający o brzasku do ogrodu. Błękitnawy pokład dudnił pod nogami. Kilka niejasnych podobieństw przesunęło się przed moimi oczyma: chmury albo daleki brzeg, ptaki albo jakieś drobiny.

Poszedłem zbadać moje biuro i obowiązki. Nic nadzwyczajnego. Jak już mówiłem, wyposażenie apteczne i księgi rachunkowe. Stare, zielone szufladki kartoteki. Szafki tego samego koloru. Krzesło obrotowe i dość dobre światło do czytania. Zaczynałem się przystosowywać do podróży.

Przeszło kilka dni mechanicznego posuwania się po wodach, gdy morski horyzont wznosił się, aby pochwycić jakąś chmurkę, niby krab motyla, chwiejny w skorupie pancerza, opadał i znów mozolnie sięgał w górę. Do tego żar słońca i patriarchalna smuga za rufą, wrąca i koronkowa.

W wolnych chwilach czytałem książki i pisałem nie kończący się list-kronikę do Stelli, który miałem nadzieję wysłać z Dakaru, pierwszego portu w rejsie, na Alaskę. Działa na pokładzie i talerz radaru przypominały, oczywiście, o niebezpieczeństwie, ale w ogóle było przyjemnie.

Niebawem się rozeszło, że chętnie wysłuchuję żalonych opowieści, historii życia, bolączek i że udzielam rad, toteż z czasem zyskałem codzienną klientelę, zupełnie jak wróżka. Raju, mógłbym nawet pobierać opłaty! Ciem wiedział, co mówi, kiedy mnie namawiał do poradnictwa psychologicznego. A tutaj robiłem to za darmo, w dodatku w warunkach zagrażających życiu. Chociaż pozory na to nie wskazywały. Późnym popołudniem, powiedzmy: czerwono-złotym na ciemnoniebieskim tle nad wezbranymi wodami, pomiędzy mną a tym blaskiem pojawiała się jakaś ciemna sylwetka jakby na sesję duchowego przewodnictwa. Nie mogę twierdzić, że mnie to irytowało. Dawało mi szansę poznania sekretów i, niestety, również wymądrzania się na temat problemów życiowych. Byłem na dobrej stopie praktycznie ze wszystkimi. Nawet z delegatem związku, gdy się przekonał, że nie zamierzałem być krnąbrny i trudny w kwestii interesów spółki. A Stary—przechodził kilka korespondencyjnych kursów filozofii na różnych uniwersytetach, bo miał takie hobby, i wciąż pisał jakieś referaty — też mnie polubił, choć nie pochwalał mojej wyrozumiałości.

W każdym razie zostałem powiernikiem okrętowym. Chociaż nie wszystkie zwierzenia były w rodzaju budzących nadzieję.

Niejeden przechodził, aby zasięgnąć mojej opinii w sprawie jakiejś czarnorynkowej możliwości zrobienia szybkich pieniędzy na obcej glebie.

Jeden zamierzał zostać fryzjerem damskim po wojnie, bo wtedy mógłby trzymać za głowę każdą dziwkę w Keno-sha.

Jeden wylany ze szkoły spadochronowej, który wciąż nosił buty z Fort Benning, powiedział mi szczerze, gdy zawadziliśmy o sprawę jego wyposażenia, że ma trzy prawowite żony w różnych częściach Pensylwanii i New Jersey.

Niektórzy żądali diagnozy, tak jakbym był zawodowym specem od czubków, a nie skromnym dublerem dublera wyznawcy kultu Asklepiosa, jakim uczyniła mnie Komisja Morska.

— Jak myślisz, może mam kompleks niższości? — zapytał jeden z nich.

650

Istotnie dostrzegałem wiele skutków chorobowych, ale nigdy o tym nie mówiłem.

Ludzie wychodzący z siebie, zaganiani, załatani, z rozbieganymi oczyma.

— Założmy, że byłbyś w takiej sytuacji ...

— Miałem jednego takiego przyjaciela ...

gg! A on na to: „Spróbowałbyś wziąć starego na jakiś czas na utrzymanie, tobyś zobaczył, jak by ci się to podobało.”

— Stracił głowę dla cyrkówki.

— Więc ta dziewczyna, która kulała na jedną nogę, pracowała w laboratorium lakierniczym fabryki pieców.

— To był taki typ szwindlera jak magiczna skrzynka, co wkładasz dolca, a wychodzi pięć.

— Gdyby płynął z prądem rzeki, na plecach, ze stojącą pyłą, to chciałby, żeby wszyscy podnosili mosty, taki z niego egoista.

— Powiedziałem: „Słuchaj, ty łachudro, ty drobny kanciarzu...”

— Pewnie, że była słodka i mieliśmy dzieci, ale przyszedł taki moment, że mi się to przejadło, i zrozumiałem: „Dla ciebie dobre są tylko dziwki i tylko z nimi powinieneś się zadawać. Niech cię wykorzystują, niech tobą pomiatają. Dobrze ci tak!”

Lasciar le donnę? Pazzo! Lasciar le donnę!

— Chciałem spędzić jedną noc z tą dziewczyną przed rejsem. Oboje pracowaliśmy w wydziale żeglugi. Ale się nie składało. Całe tygodnie nosiłem w kieszeni prezerwatywę i nie mogłem jej użyć. Kiedyś wszystko już miałem nagrane, a tu umiera babka mojej żony. Musiałem przywieźć dziadka na pogrzeb. On w ogóle nie rozumiał, co się dzieje. Siedzieliśmy w kaplicy, gdzie grały organy. „Przy takiej muzyce nawet psy zdychają” — mówił i wiele innych podobnych dowcipów. Potem poznał ją leżącą w trumnie i powiedział z podnieceniem: „Przecież to matka! Widziałem ją wczoraj w A & P. Co ona tu robi? Matka, słuchaj, matka!” A potem zrozumiał i się rozplakał. „Och”, płakał. „I mnie to czeka. Nas wszystkich.” A ja mam wciąż tę prezerwatywę w kieszeni. Co ty na to? Każdy ma lekkiego fioła. Nawet ja.

Potem żona i córka odprowadziły mnie na stację.

Nie przespałem się z tą dziewczyną, która pewnie o wszystkim zdążyła zapomnieć i zaczęła z kimś innym. Moja córeczka powiedziała: „Tata, ja muszę się odlać.” Słyszała, jak chłopcy to mówią. Musieliśmy się roześmiać. Ale zaraz do widzenia. Serce ważyło mi chyba z tonę. Żegnaj, kochanie. Plakała przy oknie wagonu i ja też gotów byłem się rozpłakać. A cały czas miałem tę przeterminowaną w kieszonce kamizelki. Nie wyrzuciłem jej. Był to człowiek o twarzy płaskiej, szczupłej, różowej, z kościstym nosem, szarymi oczyma i drobnymi ustami. Rad udzielałem bardzo skąpo, nikt nie jest doskonały. Zalecałem zwłaszcza miłość.

Zdarzały się też strasznie dziwne osobowości.

Na przykład Griswold, jeden ze stewardów. Niegdyś przedsiębiorca pogrzebowy, a także dandys i eleganciura. Jasny Murzyn, ogromnie przystojny i wytworny, z krótką lśnią bródką, o włosach gęstych i wypomadowanych. Sparzony policzek lśnił mu od maści. Obszerne i pasiaste nogawki jego spodni spływały ku spinanym na dwa paski butom. Palił dla rozrywki trawkę i uczył się gramatyki różnych języków dla frajdy. Griswold pokazał mi wiersz, który sam napisał:

Pytasz, czy ludzkie cierpienia rozumiem. Słuchaj, kochanie, ja kłamać nie umiem. Własne ambicje i aspiracje są moim krzyżem. Duch mój szybuje wysoko i mierzy najwyżej.

Kolano mu podrygiwało gwałtownie, kiedy to czytałem, a oczy były ciemne i niespokojne.

Jeżeli rozwodzę się zbyt nad poszczególnymi członkami załogi, to dla uczczenia ich pamięci. Bo piętnastego dnia rejsu, gdy przepływaliśmy opodal Wysp Kanaryjskich, „Sam Mac Manus” poszedł na dno, trafiony torpedą.

Zdarzyło się to właśnie w chwili, gdy wysłuchiwałem jednej z tych nieoficjalnych spowiedzi. Była noc i musieliśmy płynąć z prędkością chyba ze dwunastu węzłów, gdy nagle nastąpił ten druzgocący cios w burtę. Rzuciło nas na ziemię. Zgrzyt, łomot, a potem ogłuszający wybuch wewnątrz statku. Wybiegliśmy na pokład, ile sił w no-

gach. Kosmyki ognia już dostawały się przez porozrywane płyty i nadbudówki były jasno oświetlone płomieniami. Płachty wody też płonęły tuż obok i ta rozświetlona woda się przybliżała. Rozpaczliwe krzyki, wybuchy pary, skoki do wody. Ogromne tratwy spadały uwolnione za burtę, łodzie zjeżdżały z trzaskiem z żurawików. Pogromiliśmy się do łodzi, ten facet i ja, i zaczęliśmy spuszczać jedną z nich. Lina zacięła się i łódź zawisa krzywo. Krzyknąłem do niego, żeby wskoczył i zobaczył, co się pochrzaniło. Patrzył na mnie dzikim wzrokiem, zupełnie jakby nie rozumiał.

— Skacz do łodzi! — wrzasnąłem chrapliwym i niesamowitym z przerażenia głosem. Potem wskoczyłem sam, żeby uwolnić łódź, i w tej samej chwili mechanizm wyciągarki puścił i łódź wyrznięta mocno o wodę wyrzucając mnie za burtę. Gdy byłem pod wodą, myślałem tylko o tym, że statek tonąc pociągnie mnie za sobą. Strach wyssał mi wszystkie siły z rąk i nóg, ale usiłowałem walczyć słysząc pomruki i Orfeuszowe potrącania strun z głębin, a potem cała pozostała we mnie świadomość wydała się jak rześka w grzmącym wodnym wszechświecie.

Wynurzyłem się na powierzchnię chcąc wrzeszczeć, lecz nie mogłem. Szczęki rozwarły mi się tylko dla zacerpnięcia tchu. A gdzie łódź ratunkowa? No cóż, tu i ówdzie widniały i łodzie, i tratwy w świetle ogni na wodzie. Plułem, rzygałem morską wodą i płacząc wyczerpałem wszystkie siły, żeby oddalić się od płonącego statku, z którego w bieli od płomieni ludzie wciąż skakali.

Skierowałem się ku łodzi unoszącej się na wodzie

0 jakiegoś sto jardów ode mnie. Posuwałem się ku niej mozolnie przerażony, że może odpłynąć. Nie widziałem jednak przy niej wiosła. Nie mogłbym za nią krzyczeć, bo głos jakby mnie opuścił. Lecz ona tylko dryfowała i doścignąłem ją. Chwyciłem się cumy i zawołałem do tego kogoś, kto mógł w niej leżeć — byłem za bardzo zmachany, żeby móc wdrapać się samemu. Łódź niestety była pusta. W tym momencie „Mac Manus” poszedł na dno. Poznałem to po nagłym zgaśnięciu białego blasku. Na wodzie wciąż płonęły ognie, lecz prąd niósł szybko. Zobaczyłem załadowaną tratwę w nierównym świetle

plamieni. Potem spróbowałem znowu wdrapać się do łódki. Przesunąłem się ku jej środkowi, gdzie burta była niższa. Z tej pozycji zobaczyłem jakiegoś faceta, który się trzymał rufy, biedaczysko. Wrzasnąłem na niego, przejęty, uradowany, ale głowa zwisała mu do tyłu. Podpłynąłem jak szalony, żeby zobaczyć, co mu jest.

— Ranny? — spytałem.

— Nie, wypompowany — mruknął.

— Chodź, podeprę cię, a potem ty podasz mi rękę. Musimy zobaczyć, czy nie uda nam się kogoś wyłowić. Musiałem poczekać, aż zbierze trochę sił. W końcu wgramolił się wykorzystując moją rękę jako strzemie. Czekałem, że z kolei on pomoże mi się wdrapać, ale daremnie. Pozwolił mi się wlec za łodzią, nie wiem jak długo. Krzyczałem, wrzeszczałem, przeklinałem, bujałem łodzią, wszystko na nic. Wreszcie przerzuciłem nogę przez burłę, dźwignąłem się z ogromnym trudem i jakoś na nią wlałem. Siedział sobie na ławeczce ściskając ręce kolanami. Łupnąłem go rozwścieczony pięścią w mokre plecy. Bujnął się do przodu, lecz dalej siedział nieruchomo i tylko patrzył na mnie oczyma zwierzęcia pochwyconego w światła reflektorów.

— Chciałeś, żebyś się utopił, ty skurwysynu? Rozwalę ci łeb! — wrzeszczałem. Nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie zimnymi oczyma i twarz mu drgała. — Chwytaj wiosło, spróbujemy ratować ludzi — powiedziałem.

Lecz było tylko jedno. Reszta przepadła.

Nie pozostało nam nic innego jak tylko siedzieć i dryfować. Wytrzeszczałem oczy i krzyczałem na wypadek, gdyby kogoś zniosło w tę stronę. Ale nie było nikogo. Ognie opadały i gasły. Na wpół wyczekiwałem, że łódź podwodna wypłynie, aby dokonać przeglądu, i na wpół tego pragnąłem. Na pewno była gdzieś w pobliżu umykając pod powierzchnią wód. Co myślałem? Że będę miał szansę ich zbesztać, powiedzieć, jakie mam o nich zdanie? Nie, odpłynęli, jedząc dalej kolację lub rżnąc w karty. I gdy zapadły kompletne ciemności, nie można było dojrzeć nigdzie ani łodzi, ani tratwy.

Siedziałem i czekałem świtu łudząc się, że zobaczę coś na horyzoncie.

Nic nie zobaczyłem. O świcie znaleźliśmy się w lekkiej 654

mgiełce przypominającej poniedziałkowy żar staromodnej pralni, ze słońcem jak rozgrzane dno miedzianego kotła do gotowania bielizny, i w tym zamgleniu i rozproszeniu barw można było sięgnąć wzrokiem najwyżej na pięćdziesiąt jardów. Widzieliśmy jakieś szczątki, ale żadnych łodzi. Morze było wokół puste. Śmierć tych ludzi i zniknięcie ocalałych, zmiecionych przez fale, wzbudzały we mnie grozę. Ci w maszynowni nie mieli wielkich szans na ocalenie.

Ponury i przepojony goryczą zacząłem badać zawartość łodzi. Znalazłem świece dymne i flary i stwierdziłem, że na razie nie ma problemu z żywnością i wodą, bo jest nas tylko dwóch. Lecz kim był ten, którego los mi przydzielił na współtowarzysza? Ten facet siedzący na ławce, którego zbiłem minionej nocy, na ile siły mi pozwoliły, jakie będę miał z nim kłopoty? Był cieślą okrętowym i majstrem do wszystkiego, toteż miałem szczęście, bo sam nie posiadałem zdolności manualnych. Sklecił coś na kształt żagla stawiając wiosło pionowo i twierdził, że jesteśmy najwyżej dwieście mil na zachód od Wysp Kanaryjskich i jeśli w ogóle mamy szczęście, trafimy wprost na nie. Powiedział, że codziennie chodził śledzić naszą trasę na mapach, wiedział więc dokładnie gdzie jesteśmy i jak przebiegają prądy. Wyliczył to z ogromną satysfakcją i pewnością siebie i sprawiał wrażenie absolutnie spokojnego. O tym, że go pobiłem i skłamię, ani słowa.

Był szeroki, rozrośnięty, z wielką, rozumną kulą głowy, krótko przystrzyżoną. Miał wiele siwych włosów, lecz nie ze starości, i ciemny wąsik, który przy kącikach ust opadał łagodnie. Oczy miał niebieskie i nosił szkła. Wyblakłe na kolanach nogawki kombinezonu schły powoli na jego szerokich udach. Przebiegłem wyobraźnią jego przeszłość i zobaczyłem go, jak w wieku lat dziesięciu czyta *Mechanicę popularną*.

Kiedy go tak szacowałem wzrokiem, on oczywiście robił to samo ze mną.

— Jesteś March, oficer rachunkowy — powiedział wreszcie. Kiedy chciał, umiał się zdobyć na bardzo kulturalny, głęboki ton.

— Tak jest — odparłem, zaskoczony tym nagłym altówką wym głosem.

- Basteshaw, cieśla okrętowy. Ale, ale, czy ty też przypadkiem nie jesteś z Chicago?

Słyszałem gdzieś już to nazwisko.

— Czy twój ojciec nie miał do czynienia z handlem nieruchomościami? W latach dwudziestych koło Einhorna kręcił się ktoś o tym nazwisku.

- On się tym parał tylko dla zabawy. Handlował płodami rolnymi. Basteshaw Król Zupy i Zieleniny.

- Stary Komisarz Einhorn inaczej go nazywał.

— Jak?

Było za późno, żeby się wycofać.

— On go przezywał Gruboskórem.

Basteshaw parsknął śmiechem. Zęby miał jak łopaty.

- Wspaniałe! — powiedział.

Wyobraźcie sobie! Tutaj cała niedola, samotność, niebezpieczeństwo, przybicie nieszczęściem, a tu nagły wiew znajomości z rodzinnego miasta, nawet faux pas z przezwiskiem.

Nie miał szacunku dla swego starego. Nie pochwaląłem tego.

Szacunku? On go wręcz nienawidził. Cieszył się, że ojciec umarł. Chętnie uwierzę, że stary Basteshaw był tyranem, sknerą, okropnym człowiekiem. Ale był też jego ojcem.

W barwach piękna albo zatracenia, zależnie od stanu ducha, niebo i morze przechodziły cykle dnia i nocy, lśniąca blaskiem klejnotów woda ciągnęła się jak okiem sięgnąć, zapadała furia świetlistej nocy. Dni były parne. Siedzieliśmy pod skorupką płótna, w plamie cienia. W ciągu pierwszych kilku dni wiatr prawie nie wiał, na nasze szczęście.

Próbowałem zapanować nad niespokojnym umysłem, w którym wciąż wypływało pytanie, czy ujrzę jeszcze kiedykolwiek Stellę albo matkę, braci, Einhorna, Clema. Wciąż miałem pod ręką świecę dymną i flary, pilnując, by nie zwilgotniały. Mieliśmy niejaki szanse, że nas wyłowią w tych okolicach. Nie wyglądało na to, że zapędziliśmy się bardzo na południe, gdzie wówczas panował słaby ruch statków.

656

Gdy z nieba lał się żar, czasem słychać było niemal szelest soli w wodzie, jak szelest kruchego śniegu, kiedy zaczyna topnieć.

Basteshaw bez przerwy mnie obserwował przez te swoje gogle. Nawet w czasie drzemki jakby nie spuszczał mnie z oka, z głową odrzuconą w tył, badawczy, czujny. Kuzynka Anna nie patrzyła bardziej uporczywie w lustro. Siedział ciężko, z wypiętą szeroką piersią. Zbudowany był ten Basteshaw jak koń. Zupełnie jakby to nie dłonie, lecz kopyta spoczywały na jego kolanach. Gdyby mi oddał, kiedy zdzieliłem go tej pierwszej nocy, znalazłbym się w poważnym kłopotcie. Aie obaj byliśmy za słabi, żeby się bić. A teraz sprawiał wrażenie, jakby zupełnie o tym zapomniał. Wyglądał jak ludzka forteca i nigdy nie można go było przyłapać na jakimś potknięciu. Śmiał się często. Lecz kiedy dźwięki jego śmiechu płynęły w morską przestrzeń, oczy, małe i niebieskie, wciąż mnie świdrowały zza szkieł.

—Z jednego się cieszę — mówił — że nie utonąłem. Przynajmniej jeszcze nie. Już wołałbym skonać z głodu, zimna, czegokolwiek. Bo, rozumiesz, tata utonął w jeziorze.

—Naprawdę?—Ach, więc żegnaj, Gruboskórze. W taki sposób dowiedziałem się o jego śmierci.

—W Montrose Beach w czasie urlopu. Pracowici ludzie często umierają na urlopie, jakby nie mieli na to czasu w dni pracy. Wypoczynek ich zabija. Miał atak serca.

— A ja myślałem, że utonął.

—Wpadł do wody i utonął. Wczesnym rankiem. Siedział na molo czytając „Chicago Tribune”. Zawsze wstawał przed wschodem słońca, został mu ten nawyk po latach chodzenia na targ. Zawał był niewielki i nie mógł być śmiertelny. Ale do płuc dostała się woda.

Basteshaw, jak się przekonałem, uwielbiał wszelkie rozmowy na tematy medyczne i naukowe.

— Znaleźli go ratownicy, gdy przyszli na dyżur. Popołudniówki zamieściły o tym wiadomość sugerując nieczystą grę. Ojciec miał w kieszeni plik banknotów, grube pierścienie na palcach. Wściekłem się. Poszedłem na Brisbane Street, żeby im powiedzieć, co o nich myślę.

657

Uważałem to za skandaliczne. Żeby w taki sposób igrać z ludzkimi uczuciami. Moja biedna mama była przerażona. Morderstwo? Zmusiłem ich do zamieszczenia odwołania.

Znam te malutkie notatki odwołań, zamieszczane na trzydziestej stronie drobnymi drukami.

Basteshaw pochwalił się tym jednak z prawdziwą dumą. Powiedział mi, że włożył najlepsze ojcowe borsalino, wyprowadził z garażu Cadillaka i rozbił. Celowo wjechał nim na mur. Bo stary nigdy mu nie pozwalał brać tego Cadillaka i cackał się z nim jak ze szwajcarskim zegarkiem. Nieboszczyk miał świra na punkcie niszczenia. Kiedy wpadał w szał i zanosilo się, że wszystko porozbija, pani Basteshaw krzyczała: „Aaron, Aaron, szuflada!” Trzymała dla niego w kuchennej szufladzie puszki po herbatnikach, aby mógł je ciskać i deptać. Choćby nie wiadomo jak się wściekał, zawsze ciskał tymi puszkami, nigdy porcelaną.

Basteshaw śmiał się, kiedy mi to opowiadał, ale mnie zrobiło się żal starego.

Samochód nadawał się na złom, więc nie można go było użyć do pogrzebu. Miał więc coś w rodzaju wikińsko- kiego pochowku. Jak tylko znalazł się w ziemi, pierwsze, co zrobiłem -nk w tym miejscu wzdrygnąłem się na zapas — to zerwałem z moją kuzynką Lee. Stary zmusił mnie, żebym się z nią zareczył, ponieważ igrałem z jej uczuciami. Ale gdy się wmieszał, ani mi się śniło z nią żenić.

■— Igrałeś? Co przez to rozumiał? v -r-r Ze z nią spałem. Poprzysiągłem, że nigdy mu nie zrobię tej satysfakcji.

— Mogłeś ją przecież kochać.

Spojrzał na mnie bystro. Doprawdy nie wiedziałem, z jakim typem miałem do czynienia.

— Ona chorowała na gruźlicę, a tacy ludzie bywają często bardzo pobudliwi. Zwiększona temperatura znacznie oddziałuje na strefy erogenne — rzekł tonem wykładowcy.

— Ale czy była w tobie zakochana?

— Te typki z wyższą temperaturą wiodą też intensywniejsze życie emocjonalne. Z tego, co mówisz o miłości, widzę, że nie masz pojęcia o psychologii i biologii-

658

Potrzebowała mnie, więc mnie kochała. Gdyby jakiś inny facet był pod ręką, pewnie kochałaby jego. A gdybym się nie urodził, czy wtedy nie kochałaby nikogo? Gdyby stary się nie wtrącił, może bym się z nią ożenił, on jednak był pro, więc ja musiałem być contra. Poza tym ona powoli konała. Więc powiedziałem jej, że małżeństwo jest wykluczone. Po co ją miałem nabijać w butelkę?

Brutal!

Świnia!

Żmija!

Morderca!

Przyspieszył jej śmierć. Przez chwilę nie mogłem znieść jego widoku.

— Umarła w ciągu roku. Pod koniec miała twarz zupełnie białą, biedaczka. A przedtem była nawet dosyć ładna.

— Stul pysk!

Zdziwił się.

— Co? Co cię ugryzło?

— Niech cię szlag trafi!

Mnie też pozwoliliby utonąć albo zjeść rekinom.

Niemniej po jakimś czasie zaczęliśmy znowu rozmawiać. Cóż było robić w tych okolicznościach?

Opowiedział mi więc o swojej ciotce, która spała przez piętnaście lat. A któregoś dnia nagle wstała i zaczęła krzątać się po domu jak gdyby nigdy nic.

— Zasnęła, kiedy miałem dziesięć lat. A kiedy się obudziła, miałem dwadzieścia pięć. Ale od razu mnie poznała. Nawet nie była zdziwiona.

Gotów jestem się o to założyć.

— Pewnego dnia wuj Mort wracał do domu po pracy ... to było w Ravenswood. Wiesz, jak tam budują domki? Szedł od tyłu, między dwoma domami, i kiedy mijał okno sypialni, zobaczył jej rękę, gdy zaciągała żaluzje. Poznał ją po ślubnej obrączce i o mało nie narobił w portki. Wszedł na trzęsących się nogach do domu, a tam na stole stoi kolacja i ciotka mówi: „Idź, umyj ręce!”

— Nie do wiary! Czy to możliwe? Całkiem jak w bajce o śpiącej królewnie! Śpiączka afrykańska?

— Gdyby była królewną, nie spałaby tak długo. Według mojej diagnozy jest to jakaś forma narkolepsji.

659

O czysto mentalnej etiologii. To może tłumaczyć przypadek Łazarza. Panny Usher z Domu Usherów i wiele innych. Ale przypadek mojej ciotki jest niezmiernie pouczający. Głębia tajemnic życia. Większa niż głębia tego oceanu. Trzymać wszystko mocno w garści to pragnienie każdego neurotyka. Śpiąc ciotka rządziła. W jakimś zakątku umysłu wiedziała, co się wokół dzieje, czego świadectwem jest fakt, że mogła po piętnastu latach podjąć życie, jakby się nic nie stało. Wiedziała, gdzie co jest, i wcale ją nie dziwiły zmiany. Miała tę moc, jaką zyskują ci, co leżą nieruchomo.

Musiałem w tym miejscu pomyśleć o Einhornie na wózku inwalidzkim, jak prawił mi o sile.

— Szaleją wojny, latają samoloty, fabryki produkują, pieniądze zmieniają właścicieli, Eskimosi polują, kid- naperzy grasują po gościach... bezpieczny jest tylko ten czy ta, co leżąc w łóżku mogą sprawić, by świat sam przyszedł do nich. Całe życie mojej ciotki Ettl było przygotowaniem na ten cud.

— Niechybnie coś w tym jest — powiedziałem.

— Możesz być o to spokojny. Rzecz o ogromnym znaczeniu. Czy pamiętasz, jak wielki Sherlock Holmes rozwiązywał różne zagadki w swoim pokoju przy Baker Street? Ale w porównaniu ze swoim bratem, Mycroftem, był nikiem. Mycroft! Ten miał mózgowicę! Nie ruszał się ze swojego klubu, a miał wyższy umysł i wszystko wiedział. Więc kiedy Sherlock był w kropce, przychodził do Mycrofta, który znajdował odpowiedź. Wiesz czemu? Bo Mycroft siedział mocniej od Sherlocka. Mocno siedzieć oznacza mieć siłę. Król siedzi na tyłku, a pospólstwo stoi. Pascal mówi, że ludzie popadają w tarapaty, bo nie mogą usiedzieć w swoich pokojach. Następny angielski poeta-laureat, jak myślę, będzie się modlił, ażeby Bóg nauczył nas siedzieć spokojnie. Znasz ten słynny obraz przedstawiający cygańskiego podróżnika arabskiego, który śpi ze swoją mandoliną, a obok stoi lew i patrzy na niego? To wcale nie oznacza, że lew szanuje jego spoczynek. Nie, to znaczy, że bezruch Araba hamuje lwa. To czary. Bierność plus siła. Słuchaj, March, ten stary Rip van Winkle wyciągnął kopyta celowo.

— A kto przez ten cały czas opiekował się ciotką?

— Jedna taka Polka... Władka. I powiem ci jeszcze, że gdy ten cud się skończył, mój wuj wpadł w piekielne tarapaty. Ponieważ ułożył sobie życie przy śpiącej ciotce. Ona spała, a on chodził sobie na karty i do kochanki. Bardzo mu współczuliśmy, gdy się obudziła.

— Skoro mowa o współczuciu — powiedziałem — ona chyba także na nie zasługuje. Straciła cały ten czas, kawał życia. Jakby odsiedziała bardzo duży wyrok.

Uśmiech rozciągnął wąsiki Basteshawa.

— Miałem kiedyś kota na punkcie historii sztuki

— rzekł. — Zamiast pracować latem, jak chciał mój ojciec, wykradałem się do biblioteki, gdzie byłem jedynym chłopakiem wśród dziesięciu zakonnic przy stole w czytelni. Kiedyś wziąłem książkę Ghibertiego i ta książka wywarła na mnie ogromne wrażenie. Ghiberti pisał w niej o pewnym niemieckim złotniku księcia Anjou dorównującym wielkim rzeźbiarzom Grecji. Pod koniec życia człowiek ten musiał stać i patrzeć, jak jego arcydzieła topnieją w tyglu, przerabiane na złote monety. Cała jego praca szła na marne. Padł na kolana i błagał: „Boże, Stwórczo wszystkiego, nie dopuść, abym podzielił los tych fałszywych bożków.” Potem wstąpił do klasztoru, święty mąż, gdzie z czasem dokonał żywota.

O niedolo! Że też twardy grunt pod nogami musiał ustąpić pod koniec życia. Do licha! Lecz on mógł się wesprzeć na Bogu. A gdyby nie miał dla siebie Boga? Gdyby prawda okazała się jeszcze straszliwsza i bardziej szaleńcza?

— Czymże więc była choroba ciotki Ettl, jeśli nie dziełem sztuki? I tak samo jak ten nieszczęsny Niemiec musiała być przygotowana na klęskę. Oto co znaczą ruiny czasu...

„Lub jedź do Rzymu, który jest grobem.” Myślę, że znasz Shelleya...

„Jedź więc do Rzymu — zarazem Raju, Grobu, miasta, i puszczy.”

|



Więc dzieła sztuki nie są wieczne. Piękno jest nietrwałe. Czyż ten świątobliwy Niemiec nie budził się rankiem natchniony, z radością w sercu? Czego więcej można żądać? Nie mógł być zarazem szczęśliwy i pewny przygotowania do wieczności. Człowiek musi ryzykować, że być szczęśliwym oznacza również być w porządku.

W tym miejscu przyznałem mu rację. Kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Nabrałem o nim lepszego mniemania. Ostatecznie jednak miał coś w sobie. Cechowała go szlachetność serca i był pod pewnymi dość niejasnymi względami niezłym facetem. Ale cóż za mieszanina!

A tymczasem łódź sunęła wolno poprzez szklane grotty blasku i pruła dziobem strome fale.

I wtedy myślałem rozważyć w duchu, ileż to razy myśląc, że mam rację, myliłem się.

I znów się myliłem.

I znów się myliłem.

I znów.

A jak długo teraz będę miał rację?

Lecz pokładałem wielką ufność w mojej miłości do Stelli i jej miłości do mnie.

A poza tym, kto wie, czy wszelkie zagadnienia dobra i zła wkrótce się nie skończą, ponieważ możemy nie przeżyć.

Punkty i krzyżyki diamentowego blasku raziły z błękitnych pochyłości wezbranych wód. Ryby i potwory uwijały się w głębinach. Być może niektórzy z naszych potopionych towarzyszy byli blisko i przepływali pod nami.

Teraz mówił o swojej ciotce Ettl jako malarce i sprawiał wrażenie napuszonego. Parę dni temu ledwie mógł ruszyć nogami, skurczony ze strachu, a teraz proszę, u szczytu swojej sprawności umysłowej, spocony i krągłogłowy, krzepko usadowiony na ławce.

— Czemu taki wykształcony człowiek jak ty zaciąga się na statek jako cieśla? — zapytałem wyrażając myśl, która nękała mnie już od dłuższego czasu.

I wtedy wyszło na jaw, że jest biologiem, biochemikiem czy też psychobiofizykiem, co mu się najbardziej podobało. Z sześciu uniwersytetów wylano go za dziwaczne poglądy i nie chciano nawet spojrzeć na wynik eksperymentów. Mając tak wielkie wykształcenie nie miał 662

zamiaru być piechurzem. Zaokrętował się więc i to był już piąty jego rejs. Na morzu mógł prowadzić nadal swoje prace naukowe.

Czemu ja zawsze muszę trafiać między teoretyków!

Zaczął mi opowiadać o tej swojej pracy, rozpoczynając od historii swego życia.

— Wiesz, jak to bywa z tym, czym każde dziecko pragnie zostać. Kiedy na przykład miałem dwanaście lat, byłem szybki na łyżwach i mogłem zostać mistrzem łyżwiarским. Ale to mnie znudziło. Potem zostałem ekspertem od znaczków. I to przestało mnie bawić. Później socjalistą, to też niedługo trwało. Brałem lekcje gry na fagocie i zaraz je zarzuciłem. Interesowałem się więc wieloma rzeczami, lecz żadna mi nie odpowiadała. Potem, kiedy byłem w szkole średniej, opanowało mnie przemożne pragnienie, żeby zostać... móc zostać... renesansowym kardynałem. To byłoby coś, co bym uwielbiał. Zepsutym, pełnym życia, rżącym i wierzgającym. Chłopie! Zamknąłbym matkę w klasztorze. Ojca bym wsadził do wora. Zatrudniłbym Michała Anioła, aby przewyższył księcia Parmy i Strozzięgo. Działałbym spontanicznie. Energicznie. Bez skrupułów. Szczęśliwy jak bóg. Ech, co tam. Czy można narzucić życiu własne idee? Każdy by chciał być najbardziej pożądanym rodzajem człowieka.

A jak to się zaczyna? Trzeba powrócić do czasów, gdy byłem małym chłopcem na miejskim basenie pływackim. Z tysiąc gołych bachorów wrzeszczy, okłada się pięściami, rozpycha, kopie. Ratownicy gwizdzą, krzyczą, nakładają kary, policjanci dźgają cię kciukami w żebra i nazywają smarkaczem. Małym dygocącym szczurem. Usta masz sine, krew rozrzedzoną, jesteś wystraszony, jajczyny ci się skurczyły, siusiak zmałał. Jesteś chudzinka. Przytłacza cię kłębiący się tłum i jesteś niczym, nic nie znaczącym imieniem, i to nie wobec wieczności, ale tego tu i teraz. Twój los jest losem najpodlejszych. Więc śmierć! Lecz nie, musi być jakiś sposób wyróżnienia się. Dusza buntuje się przeciwko tej anonimowości. A potem przesadza. Mówi ci: „Jesteś po to, aby zadziwić świat. Ty, Hymie Basteshaw, stupor mundil Weż się w garść, chłopcze. Zostałeś powołany i będziesz wybrany. Więc

przystosuj się do swojej roli. Całe pokolenia ludzi będą cię wielbiły aż po kres istnienia kalendarzy!" Wiem, że to neurotyczne... daruj ten żargon... ale żeby nie być neurotykiem, trzeba się dostosować do tego, co nazywają realną sytuacją. Lecz realna sytuacja jest właśnie taka, jaką opisałem. Miliard dusz wrących gniewem przeciwko znikomości losu. Rzeczywistością są też te skryte nadzieje powstałe w wyobraźni. Nadzieje, te nieodzowne klęski z puszek Pandory. Pewność losu, dla którego warto cierpieć. Innymi słowy, pragnienie, by zostać ukształtowanym na obraz prawdziwego człowieczeństwa. Ale kto został w ten sposób ukształtowany? Tego nie wie nikt

Zrobiłem, co mogłem, by stać się renesansowym kardynałem w stopniu, w jakim to jest możliwe w nowoczesnych warunkach.

Po wielu wysiłkach, aby dorosnąć do chwalebego wzorca, przyszło zmęczenie, upadek nadziei i nuda. Doznałem skrajnego znudzenia. Widziałem, że inni też są znudzeni, choć nawiasem mówiąc wielu zaprzeczało, że takie zjawisko istnieje. W końcu postanowiłem, że wezmę sobie nudę za temat dociekań. Będę ją studiował. Stanę się największym światowym autorytetem w kwestii nudy. March, to był wielki dzień dla ludzkości. Cóż za dziedzina! Cóż za domena! Tytaniczna! Prometejska! Na myśl o tym drżałem. Byłem natchniony. Nie mogłem spać. W nocy przychodziły mi do głowy pomysły, więc je spisywałem, tomy pomysłów. Dziwne, że nikt dotychczas nie zajął się naukowo tą kwestią. Och, melancholią zajmowano się, lecz nie nowoczesną nudą.

Przeprowadziłem sporo badań w literaturze i wśród nowoczesnych myślicieli. Pierwsze wnioski były oczywiste. Nuda rodzi się z bezużytecznego wysiłku. Masz braki i nie jesteś tym, czym powinieneś być? Nuda jest przeświadczeniem, że się nie możesz zmienić. Zaczynasz się martwić w skrytości ducha utratą giętkości swego charakteru i niepochlebny porównaniami z innymi ludźmi i to sprawia, że zaczynasz odczuwać zmęczenie. Od strony społecznej nuda jest przejawem siły społeczeństwa. Im silniejsze jest to społeczeństwo, tym większej oczekuje od ciebie gotowości do wypełniania twoich społecznych obowiązków, im zaś większa jest twoja gotowość, tym 664

■mniejsze znaczenie. W poniedziałek usprawiedliwiasz się pracą. Ale jak będziesz się usprawiedliwiał w niedzielę? Potworna niedziela, wróg ludzkości. W niedzielę jesteś niezależny... wolny. Aby móc robić co? Odkrywać, co siedzi w twoim sercu, jakie uczucia żywisz do żony, dzieci, przyjaciół i jaki masz stosunek do rozrywek. Duch człowieka, zniewolony, łąka w cichości nudy, tego zjadłego wroga. Nuda może więc powstać z ustania funkcji zwyczajowych, chociaż i one mogą też być nudne. Jest również krzykiem niewykorzystanych możliwości, przekleństwem tego, że się nie służy żadnym wielkim celom ani planom, że się nie wspiera żadnej uniwersalnej siły. Opornym posłuszeństwem, bo nikt nie wie, jak sprawić, by było ochocze. Harmonią, która nie została osiągnięta. Oto, co stoi za nudą. Czy widzisz te nie kończące się perspektywy?

Czy widzę! Byłem oszołomiony. Patrzyłem, jak pnie się niczym alpinista po szczytach własnego intelektu, krzepko, ze spokojnym błyskiem okularów i pewnością siebie w błękitnym spojrzeniu.

— I chciałem podejść do tego w sposób naukowy — ciągnął. — Więc najpierw postanowiłem przestudiować fizjologię nudy. Zająłem się eksperymentami Jacobsona i innych uczonych w dziedzinie zmęczenia mięśni. To z kolei doprowadziło mnie do biochemii. Zrobiłem magisterium w rekordowym czasie. Dodam, że z chemii komórki. Podtrzymując życie szczyrzej tkanki in vitro, metodą Harrisona i techniką ulepszoną przez Carrela. To doprowadziło mnie do von Wettsteina, Leo Loeba i tak dalej. Jak to się dzieje, że proste komórki pragną nieśmiertelności, podczas gdy organizmy bardziej złożone się nudzą? Te komórki obdarzone są w swej istocie wolą trwania ...

Nastąpiło kilka opisów, których z powodu braku znajomości chemii fizycznej, kinezy enzymów i tak dalej, nie zdołałem przytoczyć. Koniec końców, badając drażliwość protoplazmy odkrył pewne tajemnice życia.

— Trudno ci będzie uwierzyć, co potem się zdarzyło. Nikt nie wierzy.

— Nie stworzyłeś chyba życia!

— Z całą skromnością twierdzę, że właśnie to zrobi-

Jem. nie.

Sześć uniwersytetów wylało mnie za to twierdze-

- To szaleństwo! Jesteś pewien, że to uczyniłeś?

— Jestem człowiekiem poważnym — odparł sztywno. — Przez całe życie byłem ogromnie poważny. Nie mam zamiaru narażać na szwank własnego zdrowia psychicznego jakimiś urojeniami. Raz za razem otrzymuję ten sam wynik: protoplazmę.

Musisz być geniuszem.

Nie zaprzeczył.

Niechby lepiej byt W przeciwnym razie dzieliłbym tę szalupę z szaleńcem.

1sg&- Wpadłem na to przypadkiem — rzekł. — Nie jestem Bogiem.

r— Nie mogli zobaczyć, że to zrobiłeś?

— Nie zdołałem ich do tego przekonać. Poza tym te pierwsze komórki, które stworzyłem, nie miały dwóch zasadniczych mocy, regeneracyjnej i rozrodczej, były formami sterylnymi i wątlymi. Ale w ostatnich dwóch latach przeprowadziłem specjalne studia nad organizatorami biologicznymi. Zająłem się embriologią i dokonałem dalszych odkryć.

Musiał łyknąć sobie wody, bo mu zaschło w gardle od tego gadania. Wielkogłowy, rozrośnięty, silny i spokojny, był jak ogromna skrzynia najwspanialszych zdolności. Niczym jedna z tych egipskich skrzyń z mumiami, których kształt przypomina z grubsza zarzą znajdujących się w nich zwłok. Poza tym nadal bardzo mi przypominał konia.

— Wciąż jeszcze nie wyjaśniłeś, co człowiek o twoich zdolnościach mógł robić jako cieśla okrętowy na „Mac Manusie”.

— Kontynuowałem eksperymenty.

J— Chcesz powiedzieć, że miałeś na statku trochę tej protoplazmy?

— Rzeczywiście. ||\$f]

— I ona teraz pływa sobie w oceanie?

-T- Z całą pewnością.

— I co się stanie?

Nie wiem To jedna z późniejszych form, znacznie lepsza od tej wczesnej, zniszczalnej.

— A co będzie, jeżeli zapoczątkuje nowy łańcuch ewolucji?

— No właśnie. Co?

— Może coś strasznego. Niech was wszystkich diabli wezmą, zbyt bez troski manipulujecie przyrodą! — zawołałem skrajnie rozgniewany. — Jeszcze któregoś dnia ktoś spali całą atmosferę albo wy truje nas jakimś gazem.

Zgodził się, że to nie jest wykluczone.

— Czy pojedynczy człowiek powinien mieć moc zniszczenia całej natury albo skażenia całego świata? — zapytałem.

— Nie sądzę, aby były na to wielkie szanse — odparł. Nie chciał już kontynuować rozmowy i popadł w pełne zafascynowania zamyślenie.

Często Basteshaw zdawał się myśleć za mądrze dla mnie i popadał w dziwny humor czyniąc jakieś spostrzeżenia, zarówno ponure jak i zabawne dla siebie samego. Jąłem się zastanawiać, do czego zmierza. Przez długie okresy, choć nie przestawał mnie obserwować kątem oka i rejestrował każde moje poruszenie, siedział ciężko jak sztaba mosiądzu. Czułem się bardzo zaniepokojony.

Przez parę dni nie wypowiedział najmniejszej uwagi. To było dziwne zostać tak nagle zalany potokiem wymowy, a potem być całkowicie wyizolowanym. Skoro mowa o nudzie! Czułem się zanudzony na śmierć. Ale po części winiłem za to samego siebie. Mówiłem sobie: — Masz tylko jednego człowieka, jedną jedyną duszę do towarzystwa... o co chodzi? Nie stać cię na nic więcej? Jest dostatecznie podobna do twojej, ta dusza, jeden lew to jakby wszystkie lwy, i jesteście tu tylko we dwóch, można mówić, co się tylko zechce. Złe robisz, że usiłujesz dowiedzieć się prawdy.

Tej nocy, na dnie szalupy, miałem bardzo dziwny sen, a mianowicie, że poprosiła mnie o jałmużnę stara kobieta, płaskostopa, obuta w tenisówki, z zadartym nosem. Wyśmiałem ją:

— Ty stara pijaczko, słyszysz brzęk puszek od piwa w twojej torbie!

— Nie, to nie puszkę od piwa — odparła — to moje przybory do mycia okien, wycieraczka, płyn „Bon

Ami”

667

i inne rzeczy. Boże, czy muszę myć po czterdzieści, pięćdziesiąt okien przez wszystkie dni życia? Wesprzyj mnie!

— Dobrze już, dobrze — odparłem z uśmiechem w swej hojności. W ten miły nastrój wprowadził mnie między innymi fakt, że znów widziałem swoją Zachodnią Dzielnicę Chicago. Wsunąłem rękę do kieszeni chcąc wyjąć kilka miedziaków. Bo nie byłem skąpiradłem, ale w niektóre dni musiałem bardzo liczyć się z pieniędzmi. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zamiast jej dać na piwo, dałem po jednej monecie każdego rodzaju: półdolarówkę, ćwierćdolarówkę, dziesiątaka, piątaka i centa. Leżały rządkiem na mojej dłoni, dziewięćdziesiąt jeden centów, i wsypałem je w rękę staruszki. Zaraz też pożałowałem tego, bo to stanowczo za dużo. A Brzydula mi podziękowała. Była niemal karlicą, z szerokim zadem.

— Uwolniłem cię od kilku okien — powiedziałem. — Sam nie mam żadnego, które mógłbym nazwać własnym.

— Chodź — rzekła ciepło — postawię ci piwo.

— Dziękuję, matko, ale się spieszę. Dziękuję mimo wszystko. — Poczułem dobroć w sercu i z tej dobroci dotknąłem ręką jej starej głowy. Natychmiast przeszył mnie silny dreszcz.

. Staruszko opowiedziałem — masz włosy anioła!

— A czemu nie miałabym mieć — odparła łagodnie — jak inne córki człowiecze?

Pierś rozsadała mi burza niespodzianek i mroczne eksplozje szczęścia.

— Niech Bóg ześle ci prawdę — powiedziała karlica-pomywaczka i skierowała się w stronę jaskiniowego cienia i chłodu piwiarni.

Westchnąłem głęboko i ocknąłem się niechcący. Gwiazdy były niespokojne i rozgorączkowane. Basteshaw spał na siedząco, w poprzek łodzi. Żałowałem, że śpi, bo nie mogłem zaraz zacząć z nim rozmawiać.

Lecz następnego dnia, zamiast serdecznego zbratania, wybuchła między nami bitka.

Basteshaw twierdził, że musimy być blisko lądu. Mówił, że widział ptactwo lądowe, a także wodorosty i unoszące się na wodzie gałęzie. Nie wierzyłem mu. Powiedział też, że barwa wody się zmienia, jest bardziej 668 żółtawozielona. Moim zdaniem się nie zmieniała. Powołał się na swój autorytet naukowy. Ostatecznie, rzekł, jest przecież uczonym, oglądał mapy, studiował prądy, poczynił obliczenia i pilnie śledził wszelkie oznaki, więc nie mógł się mylić. Głównym jednakże powodem mojego sprzeciwu była obawa przed zbytnią radością i przez to zwiększeniem goryczy zawodu, gdyby się pomylił.

Prawdziwy zatarg rozpoczął się jednak dopiero, kiedy zdawało mi się, że zobaczyłem statek na zachodnim horyzoncie. Zacząłem krzyżeć, skakać i wymachiwać koszulą. Byłem jak oszalały. A potem rzuciłem się, żeby umieścić świecę dymną na wodzie. Cały czas pilnie dbałem o ekwipunek sygnalizacyjny i czytałem instrukcje jego obsługi z pięćdziesiąt razy. Teraz więc ze spoconymi dłońmi i zeszywniały mi z podniecenia palcami zacząłem przygotowywać świecę.

Natomiast Basteshaw ze spokojem w głosie, co było jego specjalnością i kazało wątpić, czy dobrze usłyszałem, rzekł:

— Po co chcesz dawać te sygnały? Do diabła! Ten facet nie chce być uratowany! Chce utracić szansę ocalenia!

Odwrociłem się tyłem do niego i umieściłem świecę na wodzie. Czarny dym wzniósł się na tle czystego nieba. Dalej wymachiwałem koszulą. Nieomal czułem już obejmujące mnie w pasie ramiona Stelli i dotknięcie jej policzka na ramieniu. A jednocześnie serce wypełniał mi wściekły gniewna tego wariata Basteshawa, który siedział sobie z założonymi rękami na rufie. Jego widok doprowadzał mnie do szaleństwa.

Lecz teraz na horyzoncie nie było już nic, doszedłem więc do wniosku, że wyobraźnia spletała mi figła. Zmartwiłem się ogromnie i pierwszy raz odczułem zmęczenie i osłabienie.

— Przykro mi, ale uległeś halucynacji — powiedział, gdy ja się okrywałem potem słabości.

S Ty ślepy skurwysynu, tam naprawdę jest statek, tuż za horyzontem.

— Szklą korygują mój wzrok w stu procentach — odparł. Właśnie ta jego pedanteria wzbudzała we mnie dziką nienawiść.

— Ty czterooki dumniu, czemu chcesz tutaj wyzionąć ducha? Myślisz, że masz w głowie kompas? Może i wierzysz, że znasz się na nawigacji, ale nie oczekuj po mnie tej samej wzniosłej pewności. Nie mam zamiaru rezygnować z najmniejszej szansy.

— Uspokój się. Nikt nie wyzionie ducha. Na kilka godzin przed zatonięciem statku przyjrzałem się dobrze kursowi, więc wiem, że jesteśmy blisko lądu. Musimy być, płyniemy wprost na wschód. Wylądujemy na terytorium Hiszpanii i zostaniemy internowani. To ty jesteś dumniem. Czy jeszcze ci nie dosyć wojny? Miałeś szczęście, że nie spłonąłeś żywcem i że nie zjadły cię rekiny. A teraz— rzekł ostro — słuchaj mnie uważnie. Nie lubię się powtarzać. Wszystko przemyślałem i jestem przekonany, że szczęście nam sprzyja. Wyląduję na Wyspach Kanaryjskich i dam się internować. Będę tam siedział do końca wojny i dalej prowadziłem badania, na które w kraju nie chcieli mnie zwolnić od służby wojskowej, chociaż odwoływałem się w tej sprawie do Waszyngtonu. Ot co. Mam mnóstwo pieniędzy w Stanach. Stary zostawił mi blisko sto patoli, możemy więc tu pracować. Będę cię uczył. Jesteś dosyć bystry, chociaż masz pokiełbaszone w głowie na swój temat. Po roku będziesz wiedział więcej o biochemii niż facet z doktoratem Pomyśl, jaka to dla ciebie szansa. Zrozumieć narodziny życia i osiąść jego najgłębsze tajemnice. Stać się mądrzejszym od Sfinksa. Patrzeć ze zrozumieniem na największą zagadkę wszechświata!

Prowadził dalej swój krasomówczy wywód. Czuję się przerażony i przejęty grozą. Nie pod naporem jego intelektu, którego ogrom dostrzegam, ale na skutek ponownego ukazania się znaku rekruta, pod którym się urodziłem.

— Mówię, że to dla ciebie wielka szansa nie tyle wzniesienia się na szczyty albo osiągnięcia najwyższego rozwoju zdolności intelektualnych, ile uczestniczenia w historycznym wkładzie w szczęście ludzkości. Te eksperymenty z komórkami, March, dadzą rozwiązanie zagadnienia, skąd bierze się nuda u wyższych organizmów. Tego, co się kiedyś nazywało grzechem lenistwa. Staruszkowie mieli rację, bo to jest grzech. Ślepotą na

670  
życie, secesją, nieczułość, głuchy mur niespokojnego, nadmiernie chronionego ciała, nieświadomego subtelności Boga i Przyrody, niewrażliwego na jej piękno. March, wyzwoleni z tej nudy mężczyźni będą poetami, kobiety zaś świętymi. Miłość napelni świat. Zniknie niesprawiedliwość, niewolnictwo, skończą się rozlewy krwi, okrucieństwa. Będą należały do przeszłości, a widząc te wszystkie okropności minionych czasów cała ludzkość usiądzie i zapłacze na ich wspomnienie, wspomnienie krwi i straszliwego życia monad, wspomnienie nieporozumień i morderczych szarów, rzezi niewinnych. Wizje przeszłości stopią ludzkie serca. I wtedy powstanie nowe braterstwo ludzi. Więzienia i domy wariatów będą muzeami. Jak piramidy i ruiny Majów staną się pomnikami błędnego rozwoju ludzkiego geniusza. Nastąpi prawdziwa wolność, nie oparta na polityce i rewolucjach, które tak naprawdę nigdy jej nie dały, bo wolność nie jest darem, ale własnością człowieka, który się nie nudzi. March, do tego właśnie prowadzą moje eksperymenty. Stworzę surowicę, która będzie nową rzeką Jordan. W odniesieniu do niej ja będę Mojżeszem. A ty Jozuą. By przeprowadzić Izraela, czyli całą ludzkość, na drugi brzeg. Dlatego nie chcę wracać do Stanów.

Byłem napięty, dławiałem się. Nawet powietrze przepływające nade mną było jak tchnienie z ust wyroczni. Tymczasem świeca wciąż dymiła. Basteshaw patrzył na dym jak na wroga.

— Nie chcę przepuścić żadnej szansy ocalenia. Nie chcę być internowany. Właśnie się ożeniłem. Gdybym więc nawet miał pewność, że wiesz, o czym mówisz, też bym się nie zgodził.

— Sądzisz, że nie wiem, co mówię?

Powinienem okazać więcej taktu. Widziałem po nim, że tak właśnie myślał.

— Proponuję d wspaniałą karierę — rzekł. — Dla której warto ryzykować.

— Mam już swoją drogę życiową.

— Czyżby?

- Tak, I jestem stanowczo przeciwny robieniu czegokolwiek dla całej ludzkości. Nie chcę, aby cokolwiek robiono dla mnie, i nie chcę wtrącać się do innych. Nikt

671

nie stanie się świętym albo poetą dzięki twemu błaznowaniu. Dość miałem kłopotów, żeby się stać tym, czym jestem, z natury. Nie chcę płynąć z tobą na Wyspy Kanaryjskie. Chcę wrócić do żony.

Siedział z założonymi wielkimi rękami i twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, a świeca słała jedwabiste, oleiste, fryzowane smugi w morską świeżość poranka. Wczesna czerwień od wschodniej krawędzi nieba leżała jeszcze na wodzie. Wciąż spozierałem na horyzont.

- Zapewniam cię, że nie uważam twojej odpowiedzi za lekkomyślną — dodał. — Moim zdaniem jest szczerą, chociaż małostkową. Życie ma znacznie większą skalę. Na pewno później zgodzisz się ze mną, kiedy popracujemy i podyskutujemy sobie na wyspach. Które, jak mniemam, są urocze.

- Możemy je minąć o sto mil na północ lub południe i nigdy ich nie zobaczyć — powiedziałem. — Chcesz mi zaimponować, jaki to z ciebie wielki uczoney, który potrafi sterować siłą własnego umysłu. Proszę bardzo, ale ja będę się starał uratować.

- Mam przekonanie, że lada chwila zobaczymy ład — rzekł. — Zgaś więc z łaski swojej tę świecę.

- Nie chcę! — krzyknąłem. — Ani mi się śni! — Facet rzeczywiście zwariował. Lecz nawet wówczas, w gniewie, myślałem, że może on naprawdę jest geniuszem, ja zaś jestem zbyt podejrzliwy.

— Dobra — odparł spokojnie.

Odwrociłem się od niego poświęcając całą uwagę horyzontowi, gdy nagle poczułem potężne uderzenie, które zważyło mnie z nóg. Wyrzucił mnie wiosłem. Szykował się do zadania mi drugiego ciosu, tym razem ręką i wiosłem, nie piórem jak poprzednio. Ten Mojżesz, Mesjasz i Zbawiciel! Uniósł się na masywnych nogach. Miał wyraz twarzy człowieka wypełniającego zadanie, a nie powodowanego namiętnością. Spróbowałem przeturłać się w bok, żeby uniknąć ciosu, i wrzasnąłem:

— Na Doga, nie zabijaj!

Skoczyłem i chwyciwszy go czułem, że gdybym tylko zdołał, zabiłbym go na pewno, taki byłem wściekły. Chciałem go udusić. Puścił wrosto i ścisnął mnie w pól.

672

Ścisnął unieruchamiając mi ręce. Rzucąłem się i kopałem, on zaś cisnął coraz mocniej, aż mi dech zaparło. To był wariat.

I morderca.

Dwie pomyłone istoty lądowe ze wszystkich sił szarpały się na bezkresnych wodach, głowa przy głowie. Z całą pewnością zabiłbym go, gdybym tylko zdołał. Ale był silniejszy. Naparł na mnie swoim ogromnym cielskiem, ciężki jak mosiądz, i przewróciłem się przez ławeczkę padając twarzą na klepki dna szalupy.

Przygotowywałem się na najgorsze.

Niech moce wszechświata mnie zabiorą tak, jak mnie zesłały.

Śmierć!

Lecz on nie chciał mnie zamordować. Zrywał ze mnie ubranie i wiązał mnie nim. Skręcił koszulę i zrobił z niej więzy dla moich rąk. Spodniami skrepował mi nogi. Potem rozerwał podkoszulek, żeby obetrzeć moją twarz z krwi, a swoją z potu. Urwał cumę i wzmocnił nią więzy.

Następnie zgasił świecę dymną, ustawił znów wiosło z kawałkiem płótna pionowo i stał wypatrując na wschodzie brzegu, którego był tak pewien, ja zaś leżałem nagi i dyszący, na boku, tak jak mnie zostawił.

Później mnie podniósł i posadził pod skrawkiem brezentu, bo przypiekało słońce. Wzdrygnąłem się pod jego dotknięciem i szarpnąłem.

- Coś pękło? — zapytał tonem lekarza i obmacał moje kości, żebra i ramiona. Kląłem go, aż nadwerżyłem sobie gardła.

Sam mnie karmił, kiedy nadeszła pora posiłku, a potem rzekł:

- Lepiej mi powiedz, jak zechcesz do toalety, bo inaczej będzie problem.

- Daję ci słowo honoru, że nie będę wysyłał sygnałów, jeżeli mnie rozwiążesz — powiedziałem.

- Nie mogę ryzykować — odparł. — Sprawa jest zbyt ważna.

Co jakiś czas pocierał mi ręce i nogi, żeby pobudzić krążenie krwi. Zacząłem go teraz błagać. Mówiłem: — Dostanę gangreny.

Nie, odpowiadał, dokonałem wyboru. Poza tym, zapewniał, już wkrótce dotrzemy do tych szczęśliwych wysp. Późnym popołudniem oświadczył, że czuje wiew od lądu. Powiedział też:

— Robi się goręcej. — I osłaniał ręką oczy. Z nadejściem wieczoru położył się na dnie szalupy. Zrobił to ciężko, rozprostowując wielkie krzepkie nożyiska i układając ten gar niez mordowanych kontemplacji, z którego wyszedł rozkaz obezwładnienia mnie, pozostawienia w więzach na noc i kto wie, jaki jeszcze w przyszłości, ja zaś patrzyłem i życzyłem mu najgorszego.

Świecił księżyc, spadła rosa, a łódź pelzła — ledwie poruszała się po wodzie. Otarłem sobie przeguby rąk usiłując się uwolnić, potem pomyślałem, że gdyby mi się udało podpełznąć tak daleko, może przepiłowałbym więzy o róg metalowej szafki. Obróciłem się na plecy i zacząłem posuwać się ku niej popychając się piętami. Basteshaw się nie obudził. Leżał niczym wielki malowany sarkofag mumii, ze stopami sterczącymi do góry i głową jak głaz.

Zrobił mi wielką pręgę na plecach i kiedy pelzłem, otarłem ją sobie, musiałem więc zaprzestać wysiłków zagryzając usta. Wszystko na nic. Ogarnął mnie straszliwy smutek i zapłakałem cicho. Tak, żeby go nie obudzić.

Minęło pół nocy, zanim dopelzłem do szafki i uwolniłem ręce. W końcu jednak koszula się przedarła i porozrywała włókna cumy mocząc ją w wodzie, aby się rozciągnęła. Wreszcie puściła. Siedziałem w kukki i lizałem otarcia na przegubach. Całe plecy mnie paliły od lania, jakie otrzymałem, lecz w moim ciele pozostało jedno zimne miejsce: serce, w którym kryła się chęć mord. Podpełzłem do Basteshawa. Bałem się wstać, żeby się nie obudził i nie zobaczył mnie stojącego w świetle księżyca. Miałem teraz do wyboru albo wrzucić go do wody, albo udusić, albo stłuc wiosłem jak on mnie, połamać mu kości i nacieszyć się widokiem jego krwi.

Postanowiłem najpierw go związać i zabrać mu okulary. Potem zobaczę, co zrobić dalej.

Kiedy stanąłem nad nim na palcach, pełen pragnienia zemsty, z cumą w ręku, poczułem żar bijący od niego. Dotknąłem lekko jego policzka. Facet płonął od gorą- 674

czki. Przyłożyłem ucho do jego piersi. Usłyszałem coś na kształt kanonady, głuchej i przerażającej, i Opuściła mnie chęć zemsty. Oczywiście zająłem się nim. ! Wyciąłem otwór w płóciennym płachcie sporządzając sobie coś na kształt poncha, bo całe moje ubranie było w strzępach, i przesiedziałem przy nim całą noc.

Tak jak w przypadku Henry'ego Ware z pogranicza Kentucky i wielkiego wodza Ohio, Timmendiąusa. Henry mógł przebić nożem Timmendiąusa, lecz puścił go wolno.

Współczułem Basteshawowi i było mi go żal. Zdawałem sobie sprawę, ile musiał lub usiłował ponieść wyrzeczeń, aby dorosnąć do swoich idei. Bo choć to pochodziło u niego raczej z głowy niż z serca, czyż nie pragnął dla całej ludzkości wybawienia i ocalenia od cierpień?

Był nieprzytomny przez cały następny dzień. Pewnie by skończył marnie, gdybym pod koniec tego dnia nie spostrzegł brytyjskiego tankowca i nie zaczął dawać sygnałów. Ja też skończyłbym marnie, bo, jak się okazało, minęliśmy już dawno Wyspy Kanaryjskie i byliśmy na wysokości Rio de Oro. Wielki uczoney Basteshaw! Zwyczajny wariat! Zgnilibyśmy obaj na tym afrykańskim morzu i szalupa by zgniła, i na koniec nie byłoby nic prócz śmierci i szalonych idei. Albo zamordowałby mnie i zjadł z całym właściwym sobie spokojem i rozsądkiem, sterując dalej ku swemu celowi.

Wciągnięto nas na pokład, obu w kiepskim stanie. Pierwszym portem, do którego zawinął ten angielski statek, był Neapol, gdzie władze natychmiast posłały nas do szpitala. Minęło kilka tygodni, zanim stanąłem na nogi i spotkałem Basteshawa, jak szedł wolniutko korytarzem w szpitalnym szlafroku. Wydawał mi się znów sobą, pewny siebie i dumny. Ale traktował mnie zdecydowanie chłodno. Z pewnością winił mnie za zniweczenie jego wielkich planów. Teraz stał przed koniecznością powrotu na statek. Koniec z Wyspami Kanaryjskimi. Jego badania naukowe, tak istotne dla przetrwania ludzkości, musiały zostać odłożone.

— Czy zdajesz sobie sprawę — powiedziałem z satysfakcją, wciąż pełen oburzenia z powodu tego, co mogło 675

się stać •— że chybiłeś, ty wielki żeglarzu? Gdybym ciebie posłuchał, mógłbym już nigdy więcej nie zobaczyć żony.

Słuchał mierząc mnie wzrokiem. Potem rzekł: — Zdolność jednostki do uczynienia czegoś w drodze intelektualnej na rzecz ludzkości jest teraz mniejsza niż kiedykolwiek.

— Idź, ocalaj ludzkość — powiedziałem. — Ale nie zapominaj, że gdybym ci pozwolił zrobić, tak jak chciałeś, już byś nie żył.

Od tego czasu nie rozmawiał ze mną, a ja się tym nie przejmowałem. Mijaliśmy się na korytarzu patrząc w inną stronę. Teraz już i tak myślałem wyłącznie o Stelli.

Minęło sześć miesięcy, nim znów ujrzałem Nowy Jork. Wyszukiwali powód za powodem, żeby zatrzymać mnie w szpitalu.

I oto w pewien wrześnieowy wieczór wysiadłem z taksówki u drzwi Stelli, które teraz były też moimi drzwiami, i zobaczyłem ją, jak biegła ku mnie w dół po schodach.

#### Rozdział XXVI

Gdybym tak wrócił i zaczął wieść szczęśliwy i spokojny żywot, bardzo niewielu ludzi miałoby prawo mi zarzucić, że jeszcze nie jestem na to przygotowany lub nie zapłaciłem należnej ceny wstępu, ustanowionej przez tego, kto się zajmuje ustanawianiem cen. Tacy faceci, jak ten upadły Kozak z meksykańskich gór oraz inni orędownicy, musieliby się zgodzić, że mi się należy choć chwila wytchnienia. Tymczasem prawie jej nie miałem. Może za wiele żądałem od życia.

Rozpoczynając te zapiski zapowiedziałem, że będę mówił bez ogródek zajmując się tym, co pierwsze zakola cze. Stwierdziłem również, iż czyjś charakter stanów' o jego losie. A więc jest także oczywiste, iż ten los lub to, na czym człowiek poprzestaje, stanowi również o jego charakterze. Ponieważ zaś nigdy nie zaznałem spokoju, powinno z tego wynikać, że mam kłopoty z jego osiągnięciem, a ponadto moja nadzieja na odnalezienie osiowych linii życia wiąże się z uspokojeniem. Kiedy zmagania ustępują, wówczas przychodzi jakby w darze prawda ... z nią szczodrość, harmonia, miłość i tak dalej. Może właśnie nie mogę znieść tych rzeczy, których pragnę.

Kiedyś, gdy rozprawialiśmy o tym, powiedziałem Min- touchianowi:

— Gdziekolwiek jestem, korzystam zawsze z czyjejś gościnności. Najpierw babci... tak naprawdę to był jej dom.

Potem tych państwa w Evanston, Renlingów,



następnie w Casa Descuitada w Meksyku i u pana Paslavitcha, tego Jugosłowianina.

— Są tacy ludzie, którzy muszą sobie utrudniać życie, boby inaczej posnęli — odparł Mintouchian. — Nawet Syn Człowieczy je sobie utrudnił chcąc mieć dostatecznie wiele z naszą rasą, aby być jej Bogiem.

— Miałem ten pomysł ze szkołą-sierocińcem czy czymś podobnym.

— To by ci nie wyszło. Wybacz, ale to był śmieszny pomysł. Niektóre śmieszne pomysły oczywiście się udają, twój jednak by się nie udał, z tym wychowywaniem mnóstwa dzieci. To nie w twoim typie, a jeszcze mniej Stelli.

— Och, wiem, że to zwariowana myśl, że miałbym kształcić dzieci. Kim jestem, bym mógł kogokolwiek kształcić? Nie tyle szło mi o kształcenie, ile o miłość. Ona mi przyświecała. Chciałem, aby dla odmiany ktoś zamieszkał u m n i e, a nie ja u kogoś.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem jakiś wyjątkowy. Lecz jakże rzadko dwie wyobraźnie bywają z sobą zbieżne! Ponieważ są wyobrażniami ambitnymi, obie. Gdyby im szło o zaspokojenie, wówczas byłyby zbieżne.

Kiedy myśleliśmy o takich sprawach jak szkoła i sierociniec, ja widziałem jedno, Stella drugie. Ja miałem na myśli coś odosobnionego wśród zieleni, skleconą pod łaskawym słońcem chatkę jak te nad Walden albo Innisfree pośród aksamitnych lasów, barwnych ogrodów i pól elizejskich obsianych nasionami traw z Parku Lincoln. Tak nas jednak pomyślano, że się dajemy porwać temu, co skomplikowane, proste zaś dociera do nas jako daleki odgłos Rolandowego rogu, gdy obaj z Oliwierem giną z rąk Saracenów. Powiedziałem Stelli, że bardzo chciałbym się zająć pszczelarstwem. Do licha, myślałem, dawałem sobie radę z orłem, czemu więc nie miałbym sobie poradzić z innymi skrzydlatymi istotami i mieć przy tym miód? Kupiła mi więc książkę o pszczelarstwie, którą zabrałem z sobą w drugą podróż statkiem. Ale wiedziałem już, jak Stella wyobrażała sobie tę szkołę: sklecony byle jak przez pijanych w trupa budowniczych 678

ledwie stojący drewniany dom pod okrytymi kurzem nieznośnymi drzewami, kocioł z gotującą się bielizną na podwórku, jakieś nieszczęsne kurczęta, rozrabiające dzieciaki, moja niewidoma matka w moich starych butach i George z młotkiem przy szewskim kopycie, ja zaś w lesie z rojem pszczół w pudle.

Początkowo Stella orzekła, że to świetna myśl, ale co miała mówić w radości z mojego powrotu, kiedy jej opowiadałem, jak statek zatonął i tak dalej? Płakała przytulona do mnie, a jej łzy tryskały fontanną na moją pierś.

— Och, Augie! — wykrzyknęła. — Ty biedaku! Ile przecierpiałeś! — Leżeliśmy w łóżku. We włoskim lustrze, tym wielkim, okrągłym, które wisiało nad kominkiem, widziałem jej kształtne, gładkie plecy.

— Niech diabli wezmą wojnę, wpadanie do wody i wszystko inne — powiedziałem. — Chciałbym wreszcie móc gdzieś osiąść na stałe.

— O tak — odparła. Bo cóż innego mogła wówczas rzec?

Nie miałem jednak pojęcia, jak się do tego zabrać. I oczywiście było to tylko jedno z tych ulotnych marzeń ludzi, którzy jeszcze nie zdali sobie sprawy, jacy są i co jest ich przeznaczeniem.

Bardzo prędko zrozumiałem, że będę robił głównie to, czego pragnie Stella, gdyż ja kocham więcej. Przez pewien czas jednak nie było wiadomo, czego ona pragnie. Bo, rozumiecie, wciąż trwało to immenso giubbilo powrotu do domu, uratowania z morza i od tego Basteshawa — romantycznego ocalenia i ucieczki. Stosowna pora na okrzyki dziękczynienia jakby spisane przez Franza Jose- fa Haydna i wyśpiewywane przez chór Schola Cantorum i temu podobne. A przecież Stella rzeczywiście mnie kochała i mieliśmy jeszcze do odrobienia miodowy miesiąc. Jeśli więc widywałem, że była zaabsorbowana, sądziłem, że to ja ją absorbuję. Bardzo to inteligentne z mojej strony. W rzeczywistości jednak to nie ja absorbowałem ją najbardziej. A cóż to znaczy, pomyślelibyście, oderwać kogoś od jego trosk, jego trudu powszedniego! Z początku lekceważylibyście to, zwłaszcza że chodzi o kobietę takiej prezencji, tak niebagatelnych przymio

tów ciała zwieńczonego delikatną główką z ciemnymi, puszystymi, przystrzyżonymi krótko włosami. Otóż przestrzeń wokół niektórych ludzi jest ich własną przestrzenią, toteż kiedy się chce do nich zbliżyć, wkracza się na ich prywatne terytorium i trzeba się zachowywać wobec nich tak, jak oni chcą, a wtedy człowiek ze zdumieniem stwierdza, że ich dominujące idee zadają im cierpienia być może większe niż cierpienia innych ludzi. Moje marzenie o szkole i sierocińcu nie absorbowало mnie bez reszty, było raczej jednym z tych trzpiotowatych, odwiecznych kaprysów lub letnich motyli. Nigdy się nie powinno, że tak powiem, smażyć motyli na smalcu. Moim losem jest mieć życie i myśli wypełnione innymi treściami. Jest nim także zaabsorbowanie Stellą, i co będzie z nią, musi z konieczności stać się i ze mną.

Niektórzy najprawdopodobniej myślą: „Do licha! Cóż to za brednie o losach?” i pewnie odnoszą wrażenie, że to wszystko jest u mnie niedzisiejsze, z jakichś zamierzonych czasów, gdy na świecie było mniej ludzi i więcej luzu między nimi, kiedy nie rośli jak dzika trawa, ale jak drzewa w parku, z dala od siebie, rozwijając się z roku na rok w różowym blasku. Otóż wy proponujecie: „Spójrzmy na to inaczej, ludzie nie są nawet jak trawa, lecz jak pas cząsteczek, światowy szal cząsteczek, które mogą mieć funkcje, z całą pewnością jednak nie losy.” Istnieje nawet takie stanowisko, że jest wręcz odrażające być osobą, a nie funkcją. Niemniej ja trwam przy swojej idei losu. Dla którego funkcja jest rozpaczliwą namiastką.

Niedawno byłem we Florencji. Jesteśmy teraz ze Stellą w Europie, gdzie przebywamy już od końca wojny. Ona pragnęła tu przyjechać z przyczyn zawodowych, a ja w interesach, o których wkrótce opowiem. W każdym razie byłem we Florencji — wciąż podróżuję, kilka dni wcześniej odwiedziłem Sycylię, gdzie było ciepło. Tutaj przywitał mnie mróz. Kiedy wyszedłem ze stacji, na górskim niebie iskrzyły się gwiazdy. Wiał wiatr zwany tu tramontana. Rano, gdy się obudziłem w hotelu Porta Rossa, tuż za rzeką Arno, było mi zimno. Pokojówka przyniosła kawę, która mnie trochę rozgrzała. Lekka skorupa starego metalu na wieży kościelnej dzwoniła w szybkim lśniącym pędzie przejrzystego górskiego po- 680 wietrza. Umyłem się gorącą wodą, zachlapując drewnianą podłogę. Przyjemnie było wyjść w mroźny dzień z ciałem natartym ręcznikiem i okutanym w ciepły płaszcz.

— Co warto zobaczyć mając wolną godzinę?— spytałem w recepcji. — Jestem umówiony na dwunastą.

Wiem, że to bardzo amerykańskie pytanie, ale taka niestety była prawda.

Nie będę ukrywał, co to za spotkanie. Działalem w imieniu Mintouchiana w pewnym interesie i miałem się skontaktować z człowiekiem, który nam załatwiał zezwolenie importowe, abyśmy mogli opchnąć we Włoszech zakupione tanio w Niemczech nadwyżki dostaw wojskowych. Zwłaszcza witaminy i inne produkty farmaceutyczne. Mintouchian świetnie się znał na tego typu spekulacjach i zarabialiśmy kupę forsy. Musiałem podkupić florenckiego wujaszka pewnej grubej ryby z Rzymu, który to wujaszek był jedną z tych cywilizowanych, kutych na cztery nogi osób. Zdążyłem się jednak już połapać, jak z takimi postępować, a w razie wątpliwości łączę się przez transatlantycką linię z Mintouchianem i on mówi mi, co robić. Recepcjonista w Porta Rossa odparł: — Może pan obejrzeć złote drzwi Baptysterium z rzeźbami Ghibertiego.

Przypomniałem sobie, że o Ghibertim mówił mi ten wariat Basteshaw, i pouczony przez recepcjonistę udałem się na Piazza del Duomo.

Konie dygotały na przejmującym wietrze. W zimnych zaułkach płomienie buchały z salamandrowych blasz- nek sprzedawców kasztanów w kamiennych zakątkach ze ścian i bruku.

Przy Baptysterium niewielu było ludzi z powodu tego zimna, tylko kilku skulonych sprzedawców pamiątek z załzawionymi oczyma, którzy pstrykali palcami w harmonijki widokówek. Podszedłem i zajrzałem w te złote płyciny opowiadające całe dzieje ludzkości. Kiedy patrzyłem, a te złote głowy naszych jakoby wspólnych ojców i matek płonęły w słońcu mówiąc raz na zawsze, czym są, podeszła do mnie jakaś starsza pani, by mi wyjaśnić, co reprezentują, i jęła mi opowiadać historię Józefa, Jakuba

zmagającego się z aniołem, a także o ucieczce z Egiptu i dwunastu apostołach. Wszystko poplątała, bo ludzie w krajach łacińskich nie są czytani w Biblii. Ja zaś pragnąłem być sam, więc odszedłem, lecz ona podążała za mną. Miała łaskę, o którą ocierała się trzymana tą samą ręką torebka, i była w woalce. W końcu spojrzęła na jej twarz za woalką, postarzała twarz wielkiej damy, pokrytą parchami, ze smolistymi plamkami na wargach. Jej futro było wytarte, wyliniałe miejsca splekane i zeskorupałe. Oto co miała mi do powiedzenia:

— Opowiem panu o tych drzwiach. Jest pan Amerykaninem, prawda? Pomogę, bo nie potrafi pan zrozumieć tych rzeczy bez mojej pomocy. Znałam wielu Amerykanów w czasie wojny.

— Pani nie jest Włoszką, prawda? — zapytałem. Mówiła jakby z lekkim akcentem niemieckim.

— Jestem z Piemontu — odparła. — Wielu ludzi zwraca uwagę, że nie mówię po angielsku jak Włoszka. Nie jestem nazistką, jeśli do tego pan zmierza. Powiedziałabym, jak się nazywam, gdyby pan cokolwiek wiedział o znakomitych rodach, ale zapewne nie wie pan nic, więc po co miałabym wymieniać swoje nazwisko?

— Ma pani całkowitą rację. Nie powinno się mówić obcym swoim nazwiska.

Poszedłem dalej z twarzą sieczoną trainontaną i znów zająłem się oglądaniem rzeźb drzwi.

Dośćciężła mnie na swoich rozstawionych, ale szybkich nogach.

— Nie chcę przewodnika |ig powiedziałam, wyjąłem trochę forsy z kieszeni i dałem jej sto lirów.

— Co to jest? — spytała -f- Jak to co? Pieniądze.

— C o mi pan daje? Czy pan wie, że muszę mieszkać w klasztorze w górach, z zakonnkami, i że one umieściły mnie w pokoju w czternastoma kobietami? Najrozmaitszego rodzaju. Muszę sypiać z czternastoma innymi kobietami I muszę chodzić piechotą do miasta, bo siostry nie chcą nam dawać pieniędzy na autobus.

— Chcą, żeby pani się stamtąd nie oddalała?

— Siostry są nie bardzo inteligentne — powiedziała. Nie mogła siedzieć tam i wykonywać nudnych prac, więc

682

uciekała do miasta. Była zbuntowana. Spod jej skóry przeglądały kości, zęby miała powykrzywiane, woalka nie kryła drgających na brodzie i nad wargą włosów, tego nieśmiesznego żartu z gładkości niegdysiejszej damy.

Chciałem obejrzeć sobie te drzwi i myślałem: „Czemu w tym kraju człowiek nie może mieć spokoju?”

— To jest Izaak udający się na miejsce, gdzie ma zostać złożony w ofierze.

Popatrzyłem i miałem wątpliwości, czy to prawda. Powiedziałem jej:

— Nie chcę przewodnika. Rozumiem panią, ale co mogę zrobić? Ludzie wciąż mnie zaczepiają. Niech więc pani weźmie te pieniądze i... — Zaczęło mi to już dokuczać.

— Ludzie! Ja nie jestem ludzie. Powinien pan sobie zdawać z tego sprawę. Jestem... —aż ją zatkało z gniewu. — Że też to musiało się zdarzyć właśnie mnie! — powiedziała. Przycisnęła łokciem serce, podeszła blisko i zaczęła od początku te dziwne błagania i żądania.

O prawa niszczące!

O co chodzi, czyżby to trwało nie dość długo, nie było dość stopniowe? To znaczy to występowanie zmarszczek, dławienie czerni przez siwiznę, wiotczenie skóry i sztywnienie ścięgien? Czyżby wciąż miała świeżo w pamięci tę wilę, którą utraciła, męża lub kochanków, dzieci, dywany i fortepian, służbę i pieniądze? Co jest, że jakby ciągle była w pierwszych bólach głębokiego upadku? Dałem jej jeszcze sto lirów.

— Niech mi pan da pięćset, pokażę katedrę i zaprowadzę do Santa Maria Novella. To niedaleko, a nie będzie pan wiedział nic, jeśli nikt panu nie powie.

— Szczerze mówiąc, mam zaraz spotkanie z jednym człowiekiem w interesach. Ale bardzo dziękuję.

Odszedłem. I dobrze, bo Ghiberti nie wywarł na mnie wówczas wielkiego wrażenia.

Ta starsza pani też miała rację — zawsze jest jakiś j a, któremu to się zdarza. Śmierć zniesie wszelkie granice, abyśmy nie byli więcej osobami. To właśnie czyni śmierć. Jeśli zaś życie pragnie czynić to samo, jakże się wówczas można nie buntować?

Tak, po moich trzech następnych rejsach w czasie wojny, udaliśmy się ze Stellą do Europy.

Spisałem te swoje wspomnienia, ponieważ wciąż podróżując, w dodatku samotnie, mam mnóstwo wolnego czasu. W zeszłym roku musiałem przez parę miesięcy być w Rzymie. Było lato i miasto rozkwitło czerwonym kwieciami, upalne i senne. Wszystkie południowe miasta są latem miastami snu, a sen za dnia sprawia, że czuję się jakiś nieswoj i ociężały. Pijałem kawę i paliłem cygaro za cygarem, aby się rozbudzić po południu, i zanim zdążyłem do siebie po sjeście, robił się wieczór. Człowiek jadł obiad, a tu już łagodna, mdła, zielona noc, żarzą się koszulki lamp gazowych na ulicy tworząc długą pulsującą rysę na tle pełni nocy. Pora znów iść spać, więc szedłem i waliłem się ciężko na łóżko.

Zacząłem zatem chodzić w każde popołudnie do Cafe Valadier w Ogrodach Borghese na Pincio, z całym kłębiastym Rzymem w dole, gdzie siadywałem przy stoliku i oświadczałem, że jestem Amerykaninem, z Chicago rodem, a następnie przytaczałem inne zdarzenia i myśli. Nie po to, aby im nadać wielkie znaczenie, ale chyba dlatego, że ludzkie istoty mają zdolność mówienia i powinny z niej korzystać we właściwym czasie. Gdy w końcu człowiek przestaje mówić, robi się niemy na wieki, a kiedy przestaje się ruszać, nieruchomieje, lecz nie istnieje żaden powód, aby nie mówił, nie ruszał się lub nie był, czym jest.

Staram się przebywać jak najwięcej w Paryżu, bo tam pracuje Stella. Pracuje w spółce filmowej, która robi międzynarodowe filmy. Mamy mieszkanie przy rue François I!! w dosyć szykownej części miasta, koło Hotel Georges V. Dzielnica jest dekoracyjna, luksusowa, lecz mieszkanie przez nas wynajęte było straszne. Należało do pewnego starego Anglora i jego francuskiej żony. Wyjechali do Mentony, by żyć sobie wygodnie z wysokiego czynszu, jaki z nas ściągali, a tu tymczasem przez całą zimę deszcz i mgła nie ustępowały ani na chwilę. Spędzałem całe dni próbując z jakimś uporem przywyknąć do tego stęchłego, mimo że odszykowanego mieszkania, skoro się stało teraz moim domem. Szło mi to z trudem z powodu tych dywanów i foteli, lamp jakby prosto 684

z Coney Island, burdelowych obrazów, alabastrowych sów z elektrycznymi oczyma, książek Ouidy i Marie Corelli w skórzanej oprawie, cuchnącej spluwaczką. Stary oszust Anglor, locataire tego mieszkania, miał tam coś, co nazywał swoim gabinetem, rodzaj pomieszczenia z paskudnym dywanem, odwieczną encyklopedią Larousse'a i zielonym stołem. Szufłady tego pokrytego zielonym sukniem stołu były pełne skrawków papieru zapisanych przeliczeniami funtów i franków, dolarów, peset, szylingów, marek, escudo, piastrow, a nawet rubli. Ten stary, Ryehurst, prawie truposz, siedział tu w ubraniu jak do trumny, z fioletowej flaneli bez klap, guzików i dziurek od guzików, spekulował na kursach walut i pisał listy do gazet na temat upadku Francji i jak sprawić, aby chłopcy wydobyli złoto z ukrycia, oraz które przełęczce wiodące do Włoch są najlepsze dla zmotoryzowanych. Za młodu pobił rekord szybkości na trasie z Turynu do Londynu. Była tam jego fotografia w samochodzie wyścigowym. Obok niego siedział mały terier irlandzki.

Pokoje frontowe były okropne, a stołowy dla mnie wręcz nie do zniesienia. Stella wychodziła wcześniej do studio i chociaż nasza bohna a tout faire robiła mi śniadanie, nie zawsze mogłem zdobyć się na to, by przy żółtym, czerwono haftowanym obrusie turkiestańskim zasiąść do kawy.

Chodziłem więc na śniadania do małej kawiarenki, w której pewnego dnia natknąłem się na swego starego przyjaciela, Frazera. W tej kawiarence, Roseraie, dosyć zgiełkliwym lokaliku, były okrągłe stoliki, trzcinowe krzesła, palmy w mosiężnych donicach, sztuczny dywan w paski na podłodze, czerwono-białe markizy, para z ogromnej maszyny z setkami ozdóbek, ciastka w celofanie i wszelkie tego rodzaju rzeczy. Po napaleniu w piecach węglowych — ta służąca, Jacqueline, była bardzo miła, ale nie miała pojęcia o rozpalaniu węgla, natomiast ja umiałem robić to świetnie od dziecka — szedłem na śniadanie. I oto pewnego ranka zamawiałem kawę w Roseraie. Ulicą przechodzili starzy ludzie w rannych pantoflach, jakby się znajdowali w swoich własnych zdobnych w koronki salonikach, niosąc koninę, truskawki i tak

^^BĘBĘF<sup>9</sup>

685

& 1

dalej w drodze z targu na Place de l'Alma. Nagle wszedł Frazer. Nie widziałem go od dnia swojego ślubu.

— Hej, Frazer!

Augie!

— Co cię sprowadza do Paryża, stary druhu?

— Jak się masz? Jak zawsze rumiany i uśmiechnięty! Pracuję w Światowym Funduszu Oświaty. W ciągu minionego roku widziałem tu chyba wszystkich ludzi, których kiedykolwiek znałem. Ale nie spodziewałem się, że spotkam ciebie, Augie, w tym Mieście Człowieka!

Czuł się znakomicie, to miasto działało na niego ożywczo. Usiadł i wygłosił mi coś na kształt pogadanki

— ładne sobie! — o Paryżu i że nigdzie na świecie nic podobnego nie istnieje, że jest to stolica nadziei, iż Człowiek może być wolny bez pomocy bogów, z czystym umysłem, cywilizowany, mądry, miły i tak dalej.

Przez chwilę czułem się dotknięty, kiedy zapytał mnie ze śmiechem, skąd się tutaj wziąłem. Bo może to i bezsensowne, lecz skoro jest to Miasto Człowieka, dlaczego nie miałyby w nim być miejsca dla mnie? A jeśli nie było, to być może nie ja sam jestem w pełni temu winien. Jakiego więc Człowieka jest to Miasto? Znowu jakaś wersja. Zawsze bywa taka albo inna wersja.

Lecz któż mógłby się uskarżać na ten impertynencki, śliczny Paryż wirujący niczym karuzela S złote rumaki na moście, greccy bohaterowie i kamienne piękności w Tuileries, przeładowana Opera, porywające wystawy sklepowe, piękne barwy, słup obelisku, wielokolorowe lody, wszystko, co świat ma do zaoferowania.

Nie sądzę, aby Frazer chciał umyślnie mnie urazić

— po prostu zdziwił się, że mnie tu zobaczył.

— Mieszkam tu od końca wojny.

— Ach tak? I co robisz?

— Prowadzimy interesy z tym armeńskim adwokatem, którego poznałeś na moim weselu. Pamiętasz?

— Och, oczywiście, jesteś żonaty. Czy twoja żona jest tutaj z tobą?

— Naturalnie. Pracuje w filmie. Może widziałeś ją w Les Orphelines. To o uchodźcach.

— Nie, prawdę mówiąc, rzadko chodzę do kina. Ale 686

wcale się nie dziwię, że jest aktorką. Jest bardzo piękna. Jak wam się układa?

— Kocham ją — odparłem.

Jakby to była odpowiedź! Ale nie wińcie mnie, że nie chciałem Frazerowi nic więcej powiedzieć! Czy miałem wyjaśniać, że i ona mnie kocha, lecz kocha mnie w taki sam sposób, w jaki Paryż jest Miastem Człowieka albo tym, co przy swoim zaabsorbowaniu weń wносиła—jako że miłość jest zwyczajem uczucia nad zaabsorbowania- mi — albo tym, co Mintouchian nazwał w łaźni w owo popołudnie dominującymi ideami. Nie miałem zamiaru zagłębiać się z Frazerem w te sprawy. Kiedy podjąłem ten temat ze Stellą, a co jakiś czas robiłem to albo próbowałem robić, sprawiałem wrażenie fanatyka i być może spoglądała na mnie tak, jak ja na innych ludzi, którzy trąbili na temat jakiejś swojej idei, którą usiłowali mnie zarazić lub dla której chcieli mnie zwerbować. To czyniło z niej coś na kształt lustra, w którym widziałem swój dawny upór i jak to musiało wyglądać, kiedy stawałem okoniem. Miała słuszość mówiąc, że jesteśmy bardzo do siebie podobni, kiedy schroniliśmy się w ogrodzie japońskiej willi w Acatla. No więc jesteśmy.

Chociaż jednak nie jestem najuczciwszym człowiekiem na świecie, nie lubię kłamać więcej niż przeciętnie. Stella natomiast kłamie. Oczywiście, można to nazwać kłamaniem albo ochroną własnej wizji. Chyba wolę to drugie określenie. Stella wygląda na szczęśliwą i niezachwianą i chce, żebym ja też tak wyglądał. Siada przy brzuchatym piecu w salonie, na fotelu, który, jak mnie ten stary Anglor, Ryehurst, ostrzegł — mając na uwadze niebezpieczeństwo uszkodzenia — był prawdziwym chippen- dale, i jest spokojna, inteligentna, silna, pełna wigoru, ogromnie przystojna. Oto jak pragnie być widziana. To jest owa wizja. Naturalnie często nie od razu mogę się połapać, na czym stoimy. Mówi o zdarzeniach w studio i śmieje się tym swoim czystym, głębokim śmiechem z dowcipów, które tego dnia słyszała. A co ja robiłem? No więc, dajmy na to," miałem spotkanie z kimś, kto siedział w obozie w Dachau, i zawarłem z nim umowę na dostawę materiałów dentystycznych z Niemiec. To mi zajęło godzinę czy dwie. Następnie mogłem się udać do zimnych

sal Luwru i odwiedzić Szkołę Holenderską albo zauważyć, jak Sekwana cuchnie lekarstwami, lub pójść do kawiarni i napisać list, i tak mi upłynął dzień.

Ona tymczasem siedzi i słucha ze skrzyżowanymi pod batikowym szlafrocikiem nogami, potrójnie upiętymi ciężkimi włosami, z papierosem w ustach i odmawia odpowiedzi — przynajmniej na razie — na najważniejsze dla mnie pytanie.

Doprawdy straszne, jak się to wszystko odbywa. Nigdy byście nie odgadli, ile pochłania trudu. Dopiero nie tak dawno się zorientowałem, jak bardzo wiele. Wróciła ze studio i poszła wziąć kąpiel. Z łazienki zawołała do mnie: — Kochanie, przynieś mi ręcznik! — Wziąłem jeden ze szlafroków kąpielowych, które kupiłem w Bon Marche, i zaniósłem. Mała łazienka była w półmroku. W chaudière, mosiężnej skrzynce z kłami płonącego gazu, z zielonkawego metalu wewnątrz sypały się okruchy od tysiactwiercowego żaru. Ciało Stelli z jego ciepłym kobiecym zapachem było zanurzone w wodzie poczynając od spokojnej linii tuż nad piersiami. Lustro szafki z lekarstwami lśniło na ścianie granatowo niby okienko na wieczorne morze, a nie na popielatą mgłę Paryża. Usiadłem z przewieszonym przez ramię szlafrokiem i czułem wielki spokój. Raz dla odmiany mieszkanie wydawało się czyste i ciepłe. Abominacje zeszły na drugi plan, w piecach dobrze się paliło, pałały. Jacqueline gotowała obiad, pachniało sosem. Byłem spokojny i swobodny, w piersi nic nie gniozło, palce miałem rozprężone i rozwarłe. I w tym cała rzecz. Trzeba było aż takiej chwili, żeby stwierdzić, jak wielki ból nosiło się w sercu i co więcej, że kiedy człowiek, mogłoby się здаwać, włożył się beczynnym, przez cały czas trwała w nim straszliwie ciężka praca. Ciężka, bardzo ciężka praca, drążenie, kopanie, wydobywanie, wiercenie tuneli, dźwiganie, spychanie, przewalanie skał, praca, praca, praca, praca, praca, dyszenie, ciągnięcie, windowanie. I wcale tej pracy nie widać z zewnątrz. Jest wykonywana wewnętrznie. Odbywa się ona, ponieważ jesteś bezsilny i niezdolny, aby cokolwiek osiągnąć, uzyskać sprawiedliwość albo wziąć odwet, a zatem mozolisz się w sobie, wojujesz i zmagasz, załatwiasz porachunki, pamiętasz obelgi, walczysz, od- 688 powiadasz, zaprzeczasz, bełkoczesz, wypierasz się, tryumfujesz, przechytrzasz, pokonujesz, bronisz, płaczesz, upierasz się, rozgrzeszasz, umierasz i znów powstajesz. Samiuteńki! Gdzie są wszyscy? W twojej piersi, pod skórą, cała obsada.

Leżąc w kąpiele Stella wykonywała pracę. To było dla mnie oczywiste. I na ogół ja także ciężko pracowałem. A po co?

Każdy mi powtarza, że Paryż jest miejscem spokoju i wymienia calme, ordre, luxe et wlupte, a mimo to ta znojna praca trwa. Każda najszacowniejsza osobistość bierze udział w tym dramacie i wykonuje tę nieodzowną pracę. Gdyby Stella nie musiała wykonywać swej najcięższej pracy, nie byłibyśmy w tym mieście tak zwanego spokoju i luksusu. Stroje, nocne kluby i rozrywki, rzekoma atmosfera wesołości w studio i przyjaźń artystów—którzy sprawiają na mnie wrażenie bardzo wyniosłych typów, jak nasz koleżka Alain du Nivcau—nie ma w tym nic łatwego. Opowiem wam o tym du Niveau. Jest on tym, co paryżanie nazywają noceur, przez co należy rozumieć, że dla niego każda noc to noc poślubna albo że grywa na muzycznych łózkach. Niech wam to wystarczy.

W każdym razie wolałbym pozostać w Stanach i mieć dzieci. Tymczasem jestem jak na razie w okowach obcości. To tylko tymczasowe. Jeszcze się z tego wykaras- kamy.

Powiedziałem już, że Stella kłamie niestety więcej, niż to się przeciętnie zdarza. Mówiła mi szereg rzeczy, które się nie wydarzyły, z kolei zapomniiała powiedzieć o tych, które się zdarzyły. Mówiła na przykład, że otrzymuje pieniądze od ojca z Jamajki. Nigdy nie miała ojca na Jamajce. Nigdy też nie studiowała na wyższej uczelni. I nigdy nie była zakochana w Oliverze. On nie odegrał w jej życiu ważniejszej roli. Ważnym mężczyzną jej życia był wielki spekulant giełdowy nazwiskiem Cumberland. Nie ona pierwsza mi o nim powiedziała. Ktoś inny zdradził, że był taki człowiek. A potem Stella stwierdziła, że ten Cumberland to oszust. To znaczy pod względem moralnym. W interesach to postać nie tylko zasługująca na szacunek, lecz wręcz wielka. Była to rzeczywiście jedna z tych przepotężnych jednostek, których fotografie nie

trafiają nawet do gazet, bo są to jednostki zbyt silne, aby je wymieniać w prasie. I stopniowo ten człowiek, z którym nawiązała romans będąc jeszcze w szkole średniej, wyrósł na kogoś niemal takiego jak Jupiter-Ammon, z okiem jak ten nowy teleskop obserwatorium na Mount Palomar, na kogoś prawie, tak niegodziwego jak Tyberiusz, na cara i geniusza. Prawdę powiedziawszy, mam już wyżej uszu tych wielkich osobistości, kowali losu, ciężkowodnych mózgów, Machiavellich i genialnych złoczyńców, wielkich przywódców i wmawiaczy cudów, absolutystów. Odkąd dostałem od Basteshawa po łbie, poprzysiągłem obojętność względem nich. Ale moja przysięga jest widać zaledwie pobożnym życzeniem, bo oto zawisło nade mną widmo jednego z tej zgrai. Bracie! Ty wcale z tym nie skończyłeś, tobie się tylko tak wydaje!

Po raz pierwszy usłyszałem o tym Cumberlandzie od Alaina du Niveau, który był w Nowym Jorku w czasie wojny, w przemyśle filmowym. Znał go Mintouchian i znała Agnes. Początkowo był przyjacielem Agnes. Kiedyśmy się poznali, powiedział mi, że jest potomkiem hrabiego de Saint-Simon. Jestem pies na rodowody, ale ten du Niveau nie bardzo mi się spodobał. Miał niebieskie, zawiane oczy w nabitej, ciężkiej twarzy o niezdrowych rumieńcach. Chociaż zapewne nie żywił żadnych złych zamiarów, tę twarz znamionował wyraz niebywalej bezczelności. Rzadkie rudawoblond włosy miał uczesane jak u brytyjskiego oficera, schludne i przyzylane. Nosił "buty na futerku, długie aż do kostek palto z pięknego zamszu. Był tęgi. Uganiał się w metrze za dziewczętami. Opowiadał, jak je podrywa i jak znalazłszy się z nim sam na sam czują się, biedactwa, bezwolne niczym wobec jakiegoś ognistego bóstwa.

Staliśmy w hallu kina Paramount czekając na Stellę, kiedy wymienił nazwisko Cumberlanda. Najpierw pojawiło się w rozmowie nazwisko Olivera i du Niveau powiedział:

- Jeszcze jest w więzieniu.
- Znałeś tego faceta? — zapytałem.
- Tak. Jaki to był dla niej upadek po Cumberlandzie. Jego też znałem.
- Kogo?

690

Nie zdawał sobie sprawy, co powiedział. W ogóle rzadko sobie zdawał sprawę z tego, co mówił. Poczułem się jakby uwięziony w kopalnianym szybie przez nagłe tapnięcie. Ogarnęła mnie straszliwa rozpacz, zazdrość, wściekłość. — Kogo? Jakiego Cumberlanda? Wówczas spojrział na mnie i uświadomił sobie, że cierpię i oczy mi płoną. Sądzę, że był bardzo zdziwiony i spróbował wybrnąć z godnością z tego kłopotu.

Rzeczywiście zdawałem sobie od pewnego czasu sprawę z czegoś dziwnego, co trzeba będzie prędzej czy później wyjaśnić. Ludzie wciąż molestowali Stellę o pieniądze. Były kłopoty z jakimś samochodem. Ona nie miała samochodu. I trwał spór prawny o jakieś mieszkanie w śródmieściu. Jakie mieszkanie mogła mieć w śródmieściu? A ponieważ byłoby chyba nieludzkie, gdyby o tym nie wspomniała, powiedziała mi o futrze z norek za siedem tysięcy pięćset dolarów, które musiała sprzedać, i o brylantowym naszyjniku. Przychodziły z pocztą koperty urzędowe, których nie chciała otwierać. Jest coś w tych urzędowych kopertach z podłużnymi celofanowymi okienkami, przed czym się wzdryga moja dusza.

Poza tym, czy miałem zlekceważyć to, co Mintouchian powiedział mi w łaźni tureckiej? Jakżebym mógł?  
— Kto to jest ten Cumberland? — spytałem. Właśnie w tej chwili Stella wyszła z toalety, więc wziąłem ją pod ramię i pociągnąłem spieszenie do taksówki. Wpadliśmy do mieszkania i dałem upust wściekłości.

— Powinienem był wiedzieć, że w tym jest coś nieuczciwego! — wrzasnąłem do niej. — Kto to jest ten Cumberland?

— Augie! Przestań się ciskać — poprosiła błada. — Powinnam była ci powiedzieć. Ale co to za różnica? Dowodzi tylko, że cię kocham i bałam się, że cię stracę, jeżeli ci powiem.

— To ten, który ci dał futro?

— Tak, kochanie. Lecz ja wyszłam za ciebie, nie za niego.

— I samochód?

— To był prezent, kochanie. Najdroższy, ja kocham ciebie, nie jego.

691

— I te wszystkie rzeczy, które masz w domu?  
— Meble? Przecież to tylko przedmioty. Liczysz się jedynie ty. — Stopniowo mnie uspokoiła.  
— Kiedy go ostatni raz widziałaś?  
— Nie miałam z nim nic wspólnego od dwóch lat.  
— Nie mogę znieść wzmianek o tych facetach — powiedziałem. — Nie mogę. Te wszystkie nagle wyskakujące sekrety nie powinny istnieć.  
— Ale ostatecznie — wykrzyknęła — mnie jest ciężiej niż tobie. To ja cierpiałam przez tego człowieka. Twoje cierpienie ogranicza się tylko do słuchania o tym.  
Teraz, gdy sprawa stała się jawna, bardzo trudno było położyć jej kres. Stella wciąż chciała o niej mówić. Chcąc udowodnić, że nie mam powodu do zazdrości, musiała opowiedzieć wszystko bez reszty, co zaszło, a ja nie mogłem jej powstrzymać — taki, wiecie, szarmancki, płomienny temperament — niełatwo ją pohamować.  
— Co za bydlę! — mówiła. — Jaki tchórz! Nie miał krzty ludzkich uczuć. Potrzebna mu byłam głównie po to, żeby mu pomagała bawić jego przyjaciół i żeby się mógł mną popisywać, bo się wstydził swojej żony.  
Niezupełnie się to zgadzało z jej stosunkiem do rzeczy, z których korzystała, jak letni dom w New Jersey, konta rachunkowe i Mercedes-Benz, stosunkiem niebywale trzeźwym. Świetnie się orientowała w sprawach podatkowych, ubezpieczeniowych i tak dalej. Nie jest to oczywiście wadą u kobiety, że się zna na takich sprawach. Czemu nie miałyby się znać? Lecz obawiałem się, że nie znajdę idealnego wyjaśnienia jej dotychczasowego życia. Co tam, wcale nie musiałem go koniecznie szukać.  
— Nie chciał, żebym była niezależna. Kiedy dowiadywał się, że mam jakieś oszczędności, zaraz mnie zmuszał, abym je wydała. Uważał, że muszę być na jego łasce. Kiedyś znajomy prezes spółki drzewnej chciał otworzyć na Long Island kasyno gry i zaproponował mi piętnaście tysięcy dolarów rocznie za rolę hostessy. Cumberland wpadł w szal, kiedy się o tym dowiedział.  
— Wiedział o wszystkim?  
— Wynajmował detektywów. Jeszcze nie wiesz nic 692 o takich ludziach. Wynajęłyby nawet księżyc, gdyby widział w tym jakiś interes.  
— Wiem o nich tyle, ile chcę.  
— Och, Augie! Pamiętaj, kochany, że i ty popełniałeś błędy. Przemyciałeś imigrantów z Kanady. Kradłeś. Też dałeś się nabierać mnóstwu ludziom.  
Zgoda, ale czemu nie mogła się zadowolić tym, że ją kocham, i przestać gadać? Co to było z tym drzewiarzem? Czy naprawdę chciała być hostessą? Medytowałem nad tym wszystkim i czułem się okropnie. Zdawało się, że nawet poręcze fotela, na którym siedziałem, tylko czekają, żeby mi przebić boki, a wesołe, kwieciste bawarskie łoża, figuynki i wypchane ptaki działały na mnie przygnębiająco. Czyżbym się miał znów pomylić? Była to myśl, która dręczyła mnie w szalupie unoszonej prądami na oceanie... że raz po raz popełniam omyłki.  
Niemniej wierzyłem, że w końcu wszystko się ułoży. Nie chcę wywołać mylnego wrażenia stuprocentowej rozpaczy. To nie jest tak. Nie wiem, który to święty obudził się, uniósł głowę, otworzył usta i opowiedział swój sen, że błogosławieństwo boże obejmuje cały świat, lecz na niektórych miejscach kładzie się grubszą warstwą niż na innych. Kimkolwiek był, jego sen bardzo do mnie przemawia. Jest to owa amor fati, czyli tajemnicze uwielbienie tego, co zachodzi.  
Stella ma w sobie nieco prostoduszności obok szachrajstwa, rodzaj naiwnej powagi. Jej łzy są bardzo szczerze i gorące. Ale niełatwo sprawić, aby zmieniła zdanie w jakiegokolwiek sprawie. Próbowałem, na przykład, ją skłonić, żeby przycinała krócej paznokcie. Najpierw hoduje sobie bardzo długie, a kiedy potem zdradzi któryś do krwi, zaczyna płakać. Mówię wówczas:  
— O, nieba, po co wyhodowałaś takie długie! — Następnie biorę nożyczki i przycinam je, na co pozwala mi ulegle. Jednakże tylko po to, aby je znów wyhodować. Albo, jak w przypadku kota, Rudego, który jest bardzo rozpuszczony i budzi nas w nocy przewracając lampy i talerze, abyśmy mu dali jeść, zrobiłem z siebie durnia dowodząc, że trzeba go zamykać na noc w kuchni. Nic to nie dało.  
Stale powtarzała, jak bardzo pragnęła niezależności.



— Naturalnie. Któż jej nie pragnie?

— Nie, chodzi mi o to, że chciałam zrobić coś z własnej inicjatywy. To nie była sprawa po prostu pieniędzy.—On ją ciemiężył. Oto co mi usiłowała z niemal załamanyh rękoma dać do zrozumienia. — Ilekroć obiecywał pozwolić mi coś zrobić, nigdy nic dotrzymywał obietnicy. Więc w końcu zerwałam z nim i pojechałam do Kalifornii. Znałam tam kogoś, kto mi kiedyś proponował próbne zdjęcia. Wypadły cudownie i dostałam rolę w musicalu. Ale gdy film został ukończony, okazało się, że cały mój tekst wycięto. Wysłałam w nim na idiotkę, która uśmiecha się, szykuje się, żeby coś powiedzieć, i w końcu nic nie mówi. Byłam wprost chora po pokazie. Wykorzystał swoje wpływy, aby wymusić to na producencie. Wysłałam mu telegram, że zrywam ostatecznie. Następnego dnia miałam atak ślepej kiszki i zabrano mnie do szpitala. Nie minęła doba, a już znalazł się przy moim łóżku. Zapytałam go: „Co wymyśliłeś, żeby wytłumaczyć tę podróż zonie?” Skończyłam z nim na zawsze.

Zawsze się krzywię słysząc, jak żony i mężowie opowiadają sobie o swoich minionych małżeństwach i romansach. Jestem bardzo wrażliwy na tym punkcie.

Wiedziałem oczywiście, że właśnie to była ciężka praca Stelli. Nie przestawała cierpieć z tego powodu, nic a nic. Musiała się wciąż dręczyć wspomnieniami o tym człowieku, a czyniąc to męczyła też i mnie.

— Dostyc, Stella, daj temu spokój — powiedziałem w końcu.

— Czego dostyc — spytała rozgniewana. — Mam o tym nigdy więcej nie mówić?

— Przecież mówisz bezustannie, w dodatku więcej o nim niż o kimkolwiek innym.

— Bo go nienawidzę. Jestem ciągle w długach przez te zobowiązania, które zaciągnęłam z jego winy.

— Pozbędziemy się tych długów.

— W jaki sposób?

— Jeszcze nie wiem. Porozmawiam o tym z Min- touchianem.

Nie chciała, żebym to robił. Miała poważne opory, ale i tak poszedłem do niego.

Wiedział wszystko o Cumberlandzie, co nie jest wcale 694 zaskakujące. Rozmawialiśmy w jego biurze przy Piątej Alei.

— Skoro poruszasz ten temat — rzekł — to wybacz, ale ona mu się wciąż naprzykrza. Był wobec niej nie w porządku, a teraz już jest stary i wszystko między nimi skończone. Ona zakłóca mu życie rodzinne. Na czele firmy stoi obecnie jego syn i Stella groźbami nic nie wskóra. Nie osiągnie nic na drodze sądowej.

— Groźbami? Jakimi groźbami? Chcesz powiedzieć, że ona mu grozi? Mówiła mi, że nie ma z nim nic wspólnego od dwóch lat!

—Więc nie mówiła prawdy.

To mnie zupełnie przekonało, zawstydziłem się. Jak człowiek ma postępować? Jeżeli się nie broni, może zostać zamordowany, jeśli zaś występuje we własnej obronie, też może stracić życie.

— Obawiam się, że ona chce wstąpić na drogę sądową — rzekł Mintouchian. — Jest bardzo niecierpliwa. Powiedziałem Stelli:

—Musisz z tym skończyć. Nie będzie żadnej sprawy sądowej. Zawsze wiesz, gdzie jest ten człowiek i co robi. Nie powiedziałaś mi prawdy. To się musi raz na zawsze skończyć. Za tydzień muszę znów wyruszyć w rejs i nie chcę się tym zadrećcać całymi miesiącami. Jeżeli chcesz, żebym wrócił, obiecaj mi, że z tym skończysz.

Uległa. Płakała gorzko, że jej grozę, ale obiecała. Ma ciepłą, łatwo czerwieniącą się twarz, ta moja Stella. Kiedy zaczyna płakać, jej rumieńce pogłębiają się i rozszerzają aż po oczy, co obudziło we mnie taką tkliwość, kiedy ujrzałem je pierwszy raz w Acatla. Rysy jej twarzy są tak delikatnie zaznaczone, jakby pochodziła z Jawy lub Sumatry. Siedziałem zarówno urażony jak i pocieszony, gdy płakała. Płacz u niektórych kobiet jest dalszym ciągiem uporu, ale u Stelli chwilą szczerości. Wie, że nie powinna tyle mówić o tym starym, oświadczyła, i starać się wszystko zwalić na niego jednego.

Odpłynąłem więc w lepszym stanie ducha i to właśnie wtedy kupiła mi książkę o pszczelarstwie. Przestudiowałem ją pilnie i zdobyłem mnóstwo wiedzy o pszczołach i miodzie, której, jak czułem, nigdy zapewne nie wykorzystam w praktyce.

Oczywiście cała ta -prawa / praca y/ filmie jest po to, aby pokazać ^ umbertandrwi, że potrafił tobie radzić samodzielnie, Nie ma wielkiego talentu aktorskiego, ale tak już bywa f. udzie wcale nic robią tego, do ij/ttyh mają talent, lecz to, do c/ego ich prowadzi zaabsorbowanie, Jeśli tą dobrzy w reperowaniu aut, mus/a śpiewać Don Gioranuego, Jeżeli potrafią śpiewać, mu,/a być jar\* cfonektarm Jeśli zaś mają zdolności architektoniczne, pragną zostać dyrektorami szkół, malarzami abtrak- cjomstarn albo czymkolwiek innym Czymkoi wieki 7 o przekora K onieezność udoworiniema pełnej sarnowy- starczalriości albo jakiegoi podobnego montto uaJjKfO wymysłu, że człowiek me potrzebuje niczyje) pomocy.

No więc Stella pracuje w spółce filmowej du f Jiveau, ia zai zajmuję nielegalnymi spekulacjami aby zdyt\* kryminować sk samemu bo też i ponad połowa interesów w kurt/pic jest faka, Nieczysta sprawa Ale co na to poradzę Niechaj jednak będzie ja%r\*c, że tentem pełen nadziei i moje nadzieje się z dziećmi i Życiem osiadłym Do czego jak dotąd me //U/łutem przekonać Hieih l łukac sic zatem w rupideb mk nacych za c/padające horyzonty, za Alpy, \* par/e > po&pkctw albo pędząc ffitim czarnym Citroenem, paląc cygara i patrząc na drogę przez, poktrofdowe okulary, rozmyślam znacznie ezę&żej o nie narodzonych dzieciach mż o interesach.

nie wiem, czy to tylko taka faza albo co, ale ch wilami czuje \*\*€< jak bym już był ojcem

Oftatwo w Rzymie, na Via Veneto, próbowałem mnie poderwać kurwa. Okoliczności były dość osoMwe, ja pniem wysoki, a dziewczyna, która mnie zaczyna, bardzo n.ska, pulchna > w drugo- czy trzeci//rocznej Żalobie, 7 warz .smutna,

Pójdiesz ze mną? zap/tała, Nk chcę być kłamcą, więc nie powiem, że mnie nie pociągała To zawsze cz^/wieka troszeczkę pociąga, Jednakże odmowa niewiele run tę kosztowała, a gdy powiedziałem nie, sprawiała v.rażefnie głęboko ołobi&ie urażonej j rzekła; O co chodzi . jestem dla ciebie nie dość dobra?

Ach. tkądze, gtpwim, ale ja jestem żonaty, Mam <i/i<vu to h/t hombinl. Była tym /uptfgie zbita / «r</f«i ji powiedziała.'

64\*

h'4td//> przeprowom, nte wiedziałam, 't. maw, A/s. c», i o mało %k me rozplakała / powodu tej pomytk ("henc być absolutnie tprawiedMwym, ^flimm wyjaśnić, że to oszustwo, i że powiedziałem tak powodo wany jakimi impniwn. Lecz zdradzę wam, skąd wywodził ten pomyt z humhlni Z tego filmu Steth, 0 ktrirym wspomniałem Ir a/er wi ()rph#ltmn Mu- wt/em go obejrzyć kilkakrotnie (jedna jego c/ą / . /rok/Aa na mnie głębokie wrażenie na %t/>)ern/riix//wym<sub>1</sub> w wyłożonym boazeria, odizolowanym, wytfmy/m/m pfonfiem wołkowym p\*mńev/czenni, w kt/trym imierd ziało zauJoi- %e'ami / kotztownyrw perfumami Hyla to tteria / iórej Stella błagała lekarza, aby zaja^ j^k^i rnaUa

1 dzieckiem z«auczyH ja p#rti linijek y/lo\*kic\$o i ^tefia wykrzykiwała;  
A/tf Murki, erJ // hamhln//f U haml/in//! A lekarz, który im nie mógł pomóc, wzrm/yl ramumam i r/dpaiS Che porto fare! Che pyt&O jurel <Vi/lziakm to puvztzan': na Mole montażowym ta/ za razem i byłem pr/jcpdm\*my ur-alkiem niemal na pmky tez, dojrnjaniem w>ec do tego, aby wylrrzykriać do O, o, tutaj marz coś, nad czym możesz Włainie tu! Po co ci zmyśleni ludzie i oeme uczuć me z tego iwiata? Mój trnulek omal nie zaczał m> przelewać oczami

Podobno laitniej fe#l óerpk/. / powodu hipotetycznych ludzi, różnych Hekabe, Nawet łat r/fej n»Z z powodu łych, których samemu stę skrzywdziło, bo ich wrogów teb przeMadov/€&w lepiej widać nu ttebte samego udartrn- majacego krmiaus życie lub wyr/a^lza>a/>ęgr> mu / r/ytnU;

Nie wi<rm. jak to jest naprawdę, ale dlatego własni wyobrażałem v/bie, że już mam hambini.

Do Paryża przejechali Sirr^m j CharUitta i zarme^zkaii w h/4eł<> CriH^/n /j»\owa\em że nie zabrali z v/ba mamy, chociaż zapewne nic by z lego mc ■.k.f/t,y%tat'4 Niedługo trzeba będzie zrobić dla niej coi mczwyklegr>. mylałem musiał zdecydować «ie na coś M060W8&g01 z^ia | >>> to sam, skr/ro jestem przy pieniądzech. Simon pochwalał, że 4ię zajmuję interesami (JiarUrta też nabrała o mme

697

lepszego mniemania, choć chciałyby móc poznać więcej szczegółów. Niechby spróbowała je ze mnie wyciągnąć! Prowadzałem ich do Tour d'Argent, do Lapin Agile, do Casino de Paris, do Rose Rouge, do innych lokali rozrywkowych i płaciłem rachunki. Sprawilo to, że Simon rzekł z dumą do Charlotty:

- No i co ty na to? Mój mały braciszek wyrósł na prawdziwego światowca.

Uśmiechnęliśmy się ze Stellą do siebie ponad stolikiem w Rose Rouge.

Charlotta, ta solidna i podejrzliwa kobieta lat trzydziestu kilku, przystojna, niewzruszona w swych opiniach, była pełna uraz. Kiedy poprzednio miała coś przeciwko Simonowi, brała zwykle odwet na mnie. Teraz, kiedy sprawiałem wrażenie solidniejszego niż niegdyś, a w każdym razie miałem, jak sądziła, właściwy pogląd na szereg spraw, mogła się skarżyć na niego przede mną. Bardzo chciałem poznać wynik ich rozgrywek. Przez mniej więcej tydzień niewiele mogłem się dowiedzieć, ponieważ zwiedzaliśmy miasto. Ogromnie w tym pomocny okazał się du Niveau. Wywarł na nich wspaniałe wrażenie, gdyż był prawdziwym arystokratą, a służba w restauracjach, nocnych klubach i lokalach haute-couture traktowała go z wielkim szacunkiem. Stella też bardzo pomogła.

— Co za kasek! — mówił o niej Simon. — I ma na ciebie dobry wpływ. Będzie cię mobilizowała. — Miał na myśli to, że zaspokajanie potrzeb pięknej kobiety działa stabilizująco. Zmusza mężczyznę do zarabiania pieniędzy. — Mam tylko jedno pytanie — rzekł — czemu trzymasz ją w takim chlewie?

- Trudno znaleźć mieszkanie w tej części miasta, koło Champs felysées. Ponadto rzadko bywamy oboje w domu. Ale zamierzam postarać się o willę w St. Cloud, jeśli będziemy musieli tu osiąść.

— Jeśli będziecie musieli? Mówisz, jakbyś tego nie chciał.

— Och ... wszystko mi jedno, gdzie mieszkam.

Byliśmy właśnie, o dziwo, w Petit Palais na wystawie obrazów z monachijskiej Pinacothek. Ściany były obwieszane arcydziełami. Towarzyszył nam du Niveau, 698 potężny, w płaszczu z czerwonego zamszu i w wyglansowanych spiczastych półbutach. Obaj z Simonem podziwiali wzajem swój ubiór. Stella i Charlotta były w etolach z norek, Simon w dwurzędowej szkockiej kracie i krokodylowych pantoflach, a ja w palcie z wielbłądziej sierści, więc wyglądaliśmy dostatecznie okazale, by móc wmieszać się w ten włoski tłum, zdobny w złoto i klejnoty, sportretowany na obrazach.

Du Niveau powiedział:

— Uwielbiam malarstwo, ale nie znoszę tematyki religijnej.

Nikt specjalnie nie cenił sobie malarstwa, chyba z wyjątkiem Stelli, która czasami sama maluje. Nie potrafię wytłumaczyć, czemu się tam znaleźliśmy. Chyba dlatego, że nie mieliśmy innego wyboru.

Na chwilę zostaliśmy z Simonem trochę z tyłu, więc go zapytałem:

— Co stało się z Renée?

Ciemny rumieniec okrył jasną twarz Simona — zrobił się teraz bardzo tęgi.

— Na miłość boską, nie pytaj mnie teraz o to.

— Możemy mówić spokojnie, Simon. Oni nie usłyszą. Czy urodziła dziecko?

— Nie, nie, to był zwykły bluff. Nie było żadnego dziecka.

— Ale mówiłeś, że ...

— Nieważne, co mówiłem. Pytasz, więc ci odpowiadam.

Nic wiedziałem, czy mam mu wierzyć, czy nie. Strasznie się spieszył, żeby zakończyć ten temat. A jaki się zrobił drażliwy! Nie chciał, aby o nim mówiono.

Pizy obiedzie jednak, gdy Stella i du Niveau wrócili do studio, Charlotta zaczęła mówić. Siedziała wyprostowana w swoich norkach i welurowym kapeluszu, który bardzo pasował do jej twarzy, pokrytej meszkiem i rumianej. Kłopoty Simona z Renee musiały być na łamach wszystkich chicagowskich gazet, bo zakładała, że wiem o nich wszystko. Ja jednak nie wiedziałem nic. Byłem kompletnie zaskoczony. Simon siedział z zasznurowanymi ustami i pewnie się dręczył, że mogę powiedzieć coś, o czym Charlotta nie wiedziała. Ale to nie byłbym ja. Ja

także milczałem i nie zadawałem żadnych pytań. Renee zaskarżyła Simona do sądu i wywołała skandal. Twierdziła, że ma z nim dziecko. Charlotta powiedziała, że Renee mogła oskarżyć o to jeszcze trzech mężczyzn, a jeśli Charlotta coś mówi, to można być tego pewnym. Jest kobietą dobrze poinformowaną. Gdyby sąd z miejsca nie oddalił sprawy, przedstawiłaby mnóstwo dowodów.

— Ja bym jej dała sprawę w sądzie — powiedziała. — Tej kurewce! — Simon siedział w czasie tej rozmowy jakby nieobecny. Był przy stole, ale jak by to rzec, nie darzył nas swoim towarzystwem. — W każdej minucie, którą z nim spędziła, zbierała dowody — mówiła Charlotta.—Gdziekolwiek wstępowali, brała książeczkę zapalek reklamowych i zapisywała wewnątrz datę. Miała nawet niedopałki jego cygar jako dowody. A przez cały czas udawała wielką miłość. Za co ona cię kochała? — zwróciła się do Simona z nagłym wybuchem. — Za twój tłusty brzuch? Bliznę na czole? Łysinę na czubku głowy? Za twoje pieniądze. Nic innego, tylko pieniądze. — Chętnie bym się schował pod stół. Siedziałem ze spuszczonej ramionami. Ona zaś smagała nas obu. Simon jednakże nie wydawał się zaniepokojony, tylko pogrążony w myślach, i nadal palił cygaro. Nie odezwał się ani słówkiem. Może myślał, że skoro sam pragnął pieniędzy, nie może za to potępić Renee, ale nie powiedział nic.

- Potem dzwoniła do mnie i mówiła: „Ty nie możesz mieć dzieci, więc powinnaś go od siebie uwolnić, on chce dzieci.” „Dobrze, weź go sobie, jeśli zdołasz”, odpowiadałam. „Wiesz, że go nie zdobędziesz, bo jesteś tylko zwykłą dziwką. Jesteście oboje nic niewarci.” Przysłała mu wezwanie do sądu i kiedy przyszli je doręczyć, zadzwoniłam do niego i poradziłam, żeby wyjechał z miasta. Nie chciał wyjeżdżać beze mnie. „Czego się boisz?”—zapytałam. „To nie twoje dziecko, tylko trzech innych facetów.” Właśnie chorowałam na grypę i powinnam leżeć w łóżku, ale ponieważ nie chciał jechać sam, musiałam się powlec na lotnisko, a tu akurat była burza. Wreszcie wystartowaliśmy i mieliśmy awaryjne lądowanie w Nebrasce. A on powiedział: „Właściwie mógłbym skończyć życie. I tak ja zmarnowałem.” A jeśli on zmarnował swoje, to co ja zrobiłam? Po co żyłam? Co 700

miałam z tego życia? Jak tylko zaczęło mu się psuć, zaraz przyleciał do mnie i ja go ochroniłam. Gdyby me miał idiotycznego przekonania, że przede wszystkim musi być szczęśliwy, nigdy do tego by nie doszło. Kto mu powiedział, że może żądać od życia aż tyle? Czy ktokolwiek ma do tego prawo? Takie prawo nie istnieje — oświadczyła.

W głębi sali orkiestra wyładzała smyczki na strunach instrumentów.

— Teraz jest mężatka. Wyszła za jednego z tych trzech i ulotniła się z nim...

Chciałem, żeby Charlotta wreszcie przestała. Tego już było dla mnie za wiele, o tym locie w czasie burzy i rozmowie o straconym życiu ich obojga, podczas gdy on stawał się coraz bardziej obojętny, czego mógł dokonać jedynie przez to swoje oderwanie. Zacząłem kaszleć. Dostałem długiego ataku kaszlu. Mam wyjaśnić czemu? Bo przed wielu, wielu laty, kiedy byłem małym chłopcem, poszedłem, aby mi usunięto migdałki, i gdy mi nałożono maseczkę z eterem, rozplakałem się. Pielęgniarka powiedziała:

— On płacze? Taki duży chłopak?—A druga odparła:

— Nie, on jest dzielny. On wcale nie płacze, tylko kaszle. — A ja, usłyszawszy to, zacząłem strasznie kaszleć. I teraz był to taki sam kaszel, z wielkiej rozpacz. Przerwał rozmowę. Maitre d'hôtel podszedł zobaczyć, co się stało, i dał mi szklankę wody.

Boże! Ile tego wszystkiego Simon musiał wysłuchiwać? Jeżeli ona z tym nie przestanie, przemieni go w głaz. Już dawno przemieniłby się w głaz, gdyby nie te rozliczne Renee. Co człowiek ma w takiej sytuacji zrobić, zrezygnować z życia? Tego właśnie od niego chciała i to miała na myśli mówiąc o „prawie”. Czyste morderstwo. Jeśli myśli, że skoro człowiek musi tak czy owak umrzeć, więc niechaj lepiej umrze prędzej niż później, jest to morderstwo z premedytacją.

Był zawstydzony, skamieniały ze wstydu. Oto rozgłasza się jego sekrety. Sekrety! Do czego one się prowadzą? Można by sądzić, że piętrzyły się jak Himalaje. Ale one dotyczyły tylko jego nieudanej próby, żeby żyć. Żyć, a nie umrzeć. Oto czego musiał się wstydzić.

- Radzę ci coś wziąć na to przeziębienie — rzekła Charlotta ostro.

Kocham swojego brata ogromnie. Ilekroć go spoty\* kam, zawsze przepełnia mnie gorące uczucie braterskiej miłości. On też żywi je dla mnie, chociaż obaj jakby walczyliśmy z tym uczuciem.

- Kaszlesz jak wtedy, kiedy miałeś koklusz—powiedział Simon i po raz pierwszy, odkąd Charlotta zaczęła mówić, spojrzął na mnie.

I właśnie wtedy pomyślałem, że najgorsze z tego wszystkiego dla niego było to, że nie miał tego dziecka.

Nie mogłem spędzić dużo czasu z Simonem w Paryżu. Mintouchian zadepešował, żeby m udał się do Brugii i odszukał tam człowieka, który chciał zrobić interes z nylonem, więc wyruszyłem w drogę. Za pasażera miałem Jacqueline, naszą służącą. Jacqueline ma rodzinę w Normandii i chciała do niej pojechać na Boże Narodzenie, ponieważ zaś wiozła im parę waliz prezentów, więc ją zabrałem.

Jacqueline polecił Stelli du Niveau. Kiedy ją poznał, była kelnerką w Vichy, zaraz po klęsce Francuzów, a du Niveau wybierał się za granicę. Zapewne zaprzyjaźnili się z sobą, co trudno pojąć, bo Jacqueline wygląda dosyć groteskowo. Aczkolwiek było to kilka lat temu i mogła właśnie dożywać kresu swoich najlepszych dni. Zewnętrzne kąćki jej oczu są śmiesznie obniżone. Ma duży, zakrzywiony normandzki nos, włosy jasne, niezbyt mocne, pożyłkowane skronie, długą szczękę i surowe usta, których wyraz niewiele zmienia nawet szminka. Mocno się maluje, a jej kosmetyki i płyn zmywający mają słodki zapach. Jest bardzo pracowita. Chodząc tłucze mocno i szybko stopami o podłogę, ale ma anielski charakter, choć lubi plotkować i powoduje się rozmaitymi niezrozumiałymi ambicjami towarzyskimi. Oprócz pracy u nas jest również zatrudniona jako ouvreu&e, czyli bi leterka w kinie, znowu za sprawą du Niveau. Ma zatem do opowiadania mnóstwo plotek z kroniki towarzyskiej, o tym kinie i brutalnym nocnym życiu po pracy, kiedy wstępuje do Coupole na filiżankę kawy. Zawsze ma 702 styczeń z przemocą, gwałtem i grabieżą, napadają na nią lub usiłują się w nocy włamać do jej pokoju Arabowie, Ma szerokie biodra i żylakowate nogi, mimo że się tak żwawo porusza, a do tego ostrą twarz i rozlane piersi, ale na skutek czego ktoś przestaje być godny pożądania? Nie mnie o to pytajcie. Szczyci się niez mordowanie swoją zmysłowością i awanturczym duchem, a jeśli nawet jest tak przesadnie umalowana i ma papuzi zgryz, to co z tego?

Wyruszyliśmy w nastroju wielkiego święta. Jacqueline usunęła plamy z mego pałta z wielbłądziej sierści herbata, która według niej jest do tego najodpowiedniejsza, a potem zniósłem jej wypchane tekturowe walizy z blaszanymi zamkami na dół i włożyłem do kufra Citroena.

Było zimno. Przeszywające zimno z prósującym śniegiem. Okrążyliśmy Etoile i pogrzmiliśmy na Rouen. Powinienem był jechać przez Amiens, ale nałożyłem trochę drogi ze względu na Jacqueline, To dobra, miła i w gruncie rzeczy potulna kobieta. Przemknęliśmy z głodną chyżością przez Rouen, a potem tkierowaliśmy się na północ, w stronę Kanału. Jacqueline opowiadała mi o Vichy za dawnych dobrych dni i o znakomitościach, które tam poznała. Był to jej sprytny sposób skierowania rozmowy na du Niveau, bo korzystała z każdej okazji, by mówić ze mną o nim, ponieważ chciała mnie przed nim ostrzec, uważając go za człowieka bez skrupułów. Co wcale nie znaczy, że nie była mu wdzięczna, lecz miała również zobowiązania wobec mnie, więc napomynała o rozmaitych zbrodniach, które miał na sumieniu. Zdawałem tobie sprawę, że fantazjowała. Du Niveau re-prezentował dla niej jakiś wielki ideał, za którym tęskniła jej dusza.

Zbliżaliśmy się do końca jej podróży, ale nie odczuwałem z tego powodu wielkiej przykrości, chociaż dzień był ciemny i smutny, a ja musiałem jechać dalej, do Brugii, samotnie. Jazda przez Dunkierkę i Ostendę, przez gruzy i wzdłuż posępnych wód Kanału, jest przedsięwzięciem strasznie melancholijnym.

Na kilka kilometrów przed gospodarstwem wuja Jacqueline silnik Citroena zaczął się dławić i w końcu utknęliśmy w miejscu, Podniosłem maskę, ale cóż ja ńc

znam na silnikach? Poza tym był okropny ziąb. Ruszyliśmy więc piechotą przez pola ku zabudowaniom. Jacqueline powiedziała, że pośle siostrzeńca do miasta po mechanika, kiedy dobrniemy na miejsce. Mieliśmy jednak przed sobą kawał drogi, kilka mil przez brunatne, torflaste i zmarzłe na grudę pola, gdzie niegdyś toczyła się wojna stuletnia, gdzie bieleły kości poległych Anglików a ich uprzątaniem zajmowały się wilki i wrony, aż wreszcie odesłano je, by mogły być pogrzebane przy kościołach. Chłód po pewnym czasie zaczął zapierać dech w piersi. Łzy spływały po policzkach Jacqueline, rozognionych pod makijażem. Mnie też szczypał mróz, a ręce i nogi mi zdrętwiały.

— Żeby nam tylko żołądki nie przemarzły — powiedziała, gdy przeszliśmy z milę. — To bardzo niebezpieczne.

— Żołądek? Żołądek może przemarznąć?

— Tak. Człowiek potem do końca życia niedomaga.

— A co zrobić, żeby temu zapobiec? — spytałem.

— Trzeba śpiewać — odparła bardzo nieszczęśliwa w swoich miejskich pantofelkach, usiłując nasunąć bawełniany szalik na tył głowy. I zaraz zaczęła śpiewać jakąś kabaretową piosenkę. Z łopotem skrzydeł wypadło z lasku rdzawych dębów stadko zziębniętych kosów, lecz nawet im musiało być za zimno, by chciały wydać jakieś odgłosy, bo nie słyszałem ich skrzypliwych gwizdów. Słyszałem tylko słabiutki głos Jacqueline, który nie niósł się daleko nad cieniutkie zaspy śnieżne i bruzdy. — Koniecznie musi pan spróbować śpiewać — powiedziała. — Nigdy nie wiadomo. Coś może się stać. — Ponieważ zaś nie chciałem się z nią spierać o jej przesady medyczne, wymądrzać się przed nią na temat nowoczesnej wiedzy, postanowiłem w końcu, że do licha, mogę też spróbować zaśpiewać. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to La Cucaracha. Śpiewałem tę La Cucarachę przez milę czy dwie i chyba bardziej mi to zaszkodziło, niż pomogło, bo mi się zrobiło jeszcze zimniej. A potem, kiedy zmachaliśmy się porządnie usiłując oddychać na ostrym wietrze i stosować ten śpiewaczy lek, Jacqueline powiedziała: — To nie było po francusku, co pan śpiewał, prawda?

Wyjaśniłem, że to meksykańska pieśń.

704

— Ach, podróż do Meksyku jest marzeniem mego życia! — wykrzyknęła.

Marzeniem jej życia? Nie Saigon? Nie Hollywood? Nie Bogota? Nie Aleppo? Spojrzałem uważniej w jej błyszczące od łez oczy i w zmarzniętą, drżącą, podrysowaną tuszem, chochlikowatą, przejętą i opanowaną, błonko-watą, a mimo to wspaniałą twarz, z czarodziejskim kopcem rózu na policzkach i czerwoną nitką ust. A mimo to kobiecą, mimo to figlarną, mimo to wciąż optymistycznie i uparcie uwodzicielską. Co ona by robiła w Meksyku? Spróbowałem ją tam sobie wyobrazić. Jakie to śmieszne! Zacząłem śmiać się w głos. A co ja robiłem tu, wśród pól Normandii? Czy to też nie śmieszne?

— Pomyślał pan o czymś śmiesznym, M'sieu March? — zapytała machając w rytm szybkiego marszu rękami w swojej kurteczce z bufiastymi rękawami.

— O czymś bardzo śmiesznym! Potem wskazała:

— Vous voyez les chiens? — Gospodarskie psy przeskoczyły strumyk i pędziły ku nam po brązowej darni ujadając i szczekając. — Niech się pan nie martwi — powiedziała biorąc z ziemi gałąź. — One mnie dobrze znają. — Rzeczywiście znały. Skakały w górę, żeby polizać ją po twarzy.

Okazało się, że zawiniły świece, które wkrótce nareperowano, i ruszyłem na Dunkierkę i Ostendę. Tam, gdzie Brytyjczycy dostali cięgi, miasto leżało w gruzach. Wśród ruin stały baraki z blachy falistej. Powierzchnia odwiecznych wód była wilczo szara. Na długiej piaszczystej plaży fale rozpryskiwały się bielą — rozpluwały się na strzępy. Patrzyłem na to widmo białej wściekłości dobywającej się z dzikiej szarżyny i gnałem na północ, bo było mi spieszno znaleźć się w Brugii, uciec od tej linii bieli niczym wieczności rozwierającej się tuż obok zniszczeń nowoczesnego świata, sędziwej i szemrzącej. Myślałem, że jeśli zdążę do Brugii przed zmrokiem, ujrzę zielone kanały i starożytne pałace. W taki dzień jak ten, w taką niepogodę, przydałby mi się ten kojący widok. Wciąż czułem się przemarznięty tym marszem przez pola, ale na wspomnienie Jacqueline i jej marzenia o Meksyku znów się roześmiałem. To przez owo animul ridens, szydzące

705

zwierzę, które wciąż bierze we mnie górę. Cóż w tym śmiesznego, że na przykład taka Jacqueline, którą życie traktowało tak surowo, nie chce poddać się rozczarowaniu? Może śmiech tkwi w naturze — a także w wieczności — skoro uważa, że może zwyciężyć nas i moc nadziei? Nie, nie, myślę, że nie! Nigdy nie zwycięży. Ale w tym zapewne cały dowcip, a śmianie się jest zagadką obejmującą jedno i drugie. Spójrzcie na mnie, jak się rozbijam po świecie! Jestem rodzajem Kolumba tych obok i wierzę, że możecie się do nich zbliżyć na tej bezpośredniej terra incognita, która się rozpościera w każdym spojrzeniu. Być może zawiodłem w swoich staraniach. Kolumb zapewne też myślał, że zawiódł, gdy odsyłano go do kraju w łańcuchach. Co wcale nie dowiodło, że Ameryka nie istnieje.